



W I L B U R
S **M** **I** **T** **H**

Bóg Nilu

S **W** **I** **L** **B** **U** **R**
SMITH

Bóg Nilu

Z angielskiego przełożył
MARCIN KRYGIER



2012. Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
RIVER GOD

Copyright © Wilbur Smith 1993
All rights reserved

First published in 1993 by Macmillan, a division of Pan
Macmillan Publishers Ltd., London

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A.
Kuryłowicz 2000

Polish translation copyright © Marcin Krygier 1995

Redakcja: Anna Calikowska

Ilustracje na okładce:
AWL Images/Getty Images/Flash Press Media (*front*)
Axiom Photographic Agency/Getty Images/Flash Press
Media (*tył*)

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-441-5

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



2012. Wydanie elektroniczne

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego.

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

virtualo.eu

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Mapa](#)

[Bóg Nilu](#)

[Od autora](#)

[Od wydawcy](#)

*Książkę tę dedykuję Mokhiniso,
ukochanej żonie, klejnotowi mojego życia,
której jestem ogromnie wdzięczny
za wszystkie cudowne lata naszego małżeństwa*



Bóg Nilu

Rzeka płynęła ospale przez pustynię, błyszcząca niczym rozpryski płynnego metalu z hutniczego pieca. Niebo dymiło od upału, fale słonecznego żaru biły w ziemię z mocą kowalskiego młota. Pod wpływem ich uderzeń posępne wzgórza po obu stronach Nilu drżały w rozgrzanym powietrzu.

Łódź mknęła tuż przy kępach papirusu, wystarczająco blisko, by skrzypienie wiader szadufów, chybotających się na długich, obciążonych przeciwwagą ramionach, ponad wodą dochodziło z pól do naszych uszu. Ten klekot towarzyszył śpiewowi dziewczyny siedzącej na dziobie łodzi.

Lostris miała czternaście lat. Ostatni wylew Nilu rozpoczął się tego samego dnia, gdy po raz pierwszy zakwitł czerwony kwiat jej kobiecości, co kapłani Hapi uznali za okoliczność wysoce pomyślną. Lostris, kobiece imię wybrane wówczas dla niej miało zastąpić odrzucone już imię dziecięce i oznaczało Córkę Wód.

Jakże wyraźnie pamiętam ją tamtego dnia. Z upływem lat stała się jeszcze piękniejsza, nabrała powagi i królewskich

manier, lecz nigdy już nie otaczała jej tak przemożna aura dziewiczej kobiecości. Wszyscy mężczyźni na pokładzie, nawet wojownicy zasiadający na ławkach dla wiosłarzy, byli tego świadomi. Żaden z nas nie potrafił oderwać od niej wzroku. Lostris wyzwała we mnie poczucie mej własnej ułomności, a także głębokie i bolesne pragnienie, bo chociaż jestem eunuchem, zanim mnie wykastrowano, poznałem rozkosz kobiecego ciała.

- Taito - zawołała do mnie - zaśpiewaj ze mną!

Gdy usłuchałem, jej uśmiech był pełen radości. Głos stanowił jeden z wielu powodów, dla których trzymała mnie przy sobie, gdy tylko było to możliwe - mój tenor znakomicie dopełniał jej uroczy sopran. Śpiewaliśmy jedną ze starych chłopskich pieśni, której ją nauczyłem i którą wciąż lubiła najbardziej.

*Me serce trzepoce niczym ranna przepiórka,
gdy widzę twarz mego ukochanego,
a moje policzki płoną niczym niebo o świcie,
rozpalone słonecznym blaskiem jego uśmiechu...*

Kolejny głos przyłączył się do nas od strony steru. Był to głos mężczyzny, głęboki i mocny, lecz brakowało mu jasności i czystości mojego tenora. O ile mój śpiew brzmiał jak pieśń witającego poranek drozda, ten był rykiem młodego lwa.

Lostris obróciła głowę i jej uśmiech rozbłysnął niczym promienie słońca na powierzchni Nilu. Chociaż mężczyzna, dla którego przeznaczony był ten uśmiech, był moim

przyjacielem, być może jedynym prawdziwym przyjacielem, poczułem palącą gardło gorycz zazdrości. A jednak przemogłem się, by podobnie jak Lostris posłać Tanusowi uśmiech pełen miłości.

Ojciec Tanusa - Pianki, księżę Harrab - należał w swoim czasie do egipskiej arystokracji, lecz matka mego przyjaciela była córką wyzwolonego niewolnika Tehenu. Jak wielu z jej ludu, miała jasne włosy i błękitne oczy. Umarła na gorączkę bagienną, gdy Tanus był jeszcze dzieckiem, więc niezbyt dobrze ją pamiętam. Ale stare kobiety mówią, że rzadko spotykało się w obu królestwach podobną urodę.

Znałem i podziwiałem ojca Tanusa, zanim jeszcze utracił całą olbrzymią fortunę i rozległe majątki, które w swoim czasie dorównywały posiadłościom samego faraona. Był mężczyzną o ciemnej skórze i egipskich oczach koloru wypolerowanego obsydianu, więcej w nim tkwiło fizycznej siły niż piękna, lecz serce miał szlachetne i hojne. Niektórzy rzekliby, że aż zanadto hojne i zbytnio ufne, gdyż umarł w nędzy, z sercem złamanym przez tych, których uważał za swoich przyjaciół, samotny wśród mroków, odcięty od słonecznego blasku przychylności faraona.

Tanus odziedziczył po swych rodzicach wszystko co najlepsze, z wyjątkiem ziemskiego majątku. Z natury i siły przypominał swego ojca, urodę wziął po matce. Dlaczego więc miałbym nieprzychylnie spoglądać na miłość mej pani? Ja, nędzna, bezpłciowa istota, jaką jestem, także go kochałem i wiedziałem, że nawet gdyby bogowie wynieśli mnie ponad stan niewolnika, nigdy nie będę miał jej dla

siebie. Lecz człowiecza natura jest już tak pokrętna, że pragnąłem tego, czego nigdy nie będę mógł osiąść, i marzyłem o niemożliwym.

Lostris siedziała na poduszce na dziobie łodzi z niewolnicami u swych stóp. Były to dwie drobne czarne dziewczyny z Kusz, gibkie jak pantery, nagie, jeśli nie liczyć złotych obręczy wokół ich szyi. Miała na sobie jedynie spódniczkę z wybielonego płótna, szeleszczącą i białą jak skrzydło czapli. Jej skóra, pieszczona przez słońce, miała kolor impregnowanego drewna cedrowego z gór wokół Byblos, a piersi przypominały kształtem i rozmiarami dojrzałe, gotowe do zerwania agi, przybrane różowymi granatami.

Perukę używaną podczas uroczystości odłożyła na bok i włosy, związane w długi warkocz, spadały grubym, czarnym sznurem na jedną pierś. Skośność oczu podkreślała srebrzysta zieleń sproszkowanego malachitu, wprawnie nałożonego na górne powieki. Jej oczy również były zielone ciemną, czystą zielenią. Taki odcień przybiera Nil, gdy już opadną jego wody, pozostawiwszy na polach ładunek cennego mułu. Między piersiami na złotym łańcuchu wisiała statuetka Hapi, bóstwa Nilu, wykonana ze złota i drogocennego lapis-lazuli. Było to niewątpliwe dzieło sztuki, jako że sam ją dla niej zrobiłem.

Nagle Tanus uniósł zaciśniętą prawą dłoń. Wioślarze jak jeden mąż zamarli w pół ruchu, zatrzymując w powietrzu migoczące w słońcu i ociekające wodą pióra wiosła. Wtedy Tanus z całej siły przerzucił wiosło sterowe w bok, a ludzie

przy lewej burcie zanurzyli swoje głęboko, napierając wstecz i tworząc całą serię drobnych wirów na powierzchni zielonej wody. Na sterburcie pociągnięto wiosłami energicznie do przodu. Łódź skręciła tak ostro, że pokład przechylił się niebezpiecznie. Wtedy wiosłarze po obu stronach zaczęli pracować równym rytmem i łódź wystrzeliła przed siebie. Ostry dziób, na którym płonęły namalowane błękitne oczy Horusa, rozgarnął gęste zarośla papirusu, wdzierając się z głównego biegu rzeki na nieruchome wody zakola.

Lostris urwała pieśń i, osłoniwszy oczy, spojrzała przed siebie.

- Tam są! - zawołała, pokazując pełnym gracji ruchem drobnej dłoni.

Pozostałe łodzie z flotylli Tanusa rozrzucone były niczym sieć w południowej części zatoki, przegradzając główne połączenie z wielką rzeką i odcinając jakąkolwiek drogę ucieczki w tym kierunku.

Tanus oczywiście wybrał dla siebie stanowisko północne, wiedząc, że tam zabawa będzie najlepsza. W duchu żałowałem tego. Nie żebym był tchórzem, lecz moim obowiązkiem jest w pierwszym rzędzie troska o bezpieczeństwo mojej pani. Na pokład „Oddechu Horusa” dostała się jedynie dzięki skomplikowanej intrydze, w samo serce której jak zwykle wciągnęła i mnie. Gdy jej ojciec się dowie - a to nieuniknione - o jej udziale w łowach, będzie ze mną krucho, lecz jeżeli dowie się też, że dopuściłem do tego, by przez cały dzień przebywała w towarzystwie

Tanusa, nawet uprzywilejowana pozycja nie uchroni mnie przed jego gniewem. W kwestii tego młodego człowieka otrzymałem jednoznaczne instrukcje.

Byłem jednak chyba jedyną osobą na pokładzie „Oddechu Horusa”, którą dręczył niepokój. Pozostałe drżały z podniecenia. Tanus ledwo dostrzegalnym gestem zatrzymał wiosłarzy i łódź wyhamowała ślizg, kołysząc się łagodnie na zielonej wodzie tak spokojnej, że gdy wyjrzałem za burtę i zobaczyłem własne odbicie, jak zawsze zdziwiłem się, że moja uroda przetrwała w tak doskonałej formie przez wszystkie te lata. Odniosłem wrażenie, że moja twarz jest piękniejsza od okalającego ją modrego kwiecica lotosu. Z powodu gorączkowej krzątaniny załogi miałem wszakże niewiele czasu, by podziwiać ten widok.

Jeden z oficerów wciągnął na szczyt masztu osobistą chorągiew Tanusa. Widniał na niej wizerunek błękitnego krokodyla o wyprostowanym grzebieniastym ogonie i rozwartych szczękach. Tylko oficerowie w randze dowódcy dziesięciu tysięcy mieli prawo do własnych chorągwi. Tanus otrzymał ten stopień przed ukończeniem dwudziestego roku życia i powierzono mu dowództwo pułku Błękitnych Krokodyli, elitarniej gwardii samego faraona.

Chorągiew na szczycie masztu stanowiła sygnał rozpoczęcia polowania. Z tej odległości stojące w głębi zatoki pozostałe łodzie flotyli wydawały się maleńkie. Teraz ich wiosła zaczęły uderzać rytmicznie, podnosić się i opadać, połyskując w słońcu jak skrzydła dzikich gęsi w locie. Niezliczone drobne fale powstające za rufami

pomknęły po spokojnej wodzie i przez długi czas pozostały na powierzchni jak utoczone z gliny.

Tanus opuścił gong za rufę. Była to długa tuba z brązu. Jeden jej koniec zanurzył pod wodę. Gdy zostanie uderzona młotkiem z tego samego metalu, ostre, przenikliwe dźwięki poniosą się przez wodę i spłoszą naszą zwierzynę. Mój spokój mąciła świadomość, że niepewność zwierząt łatwo może się przerodzić w morderczą furję.

Tanus roześmiał się. Mimo swego podniecenia zdołał wyczuć moje obawy. Jak na żołnierza obdarzony był niezwykłą spostrzegawczością.

- Wejź na wieżę rufową, Taito! - rozkazał. - Będziesz bił w gong. Przynajmniej choć na chwilę przestaniesz zaprzętać sobie głowę strachem o swoją delikatną skórę.

Zabolał mnie ten brak powagi, lecz wezwanie przyniosło mi ulgę, jako że wieża rufowa wznosiła się wysoko nad wodą. Ruszyłem powolnym, pełnym godności krokiem, by wykonać polecenie. Mijając Tanusa, zatrzymałem się i upomniałem go surowo:

- Weź pod uwagę bezpieczeństwo mojej pani. Słyszysz, chłopcze? Nie zachęcaj jej do nierozwagi, bo jest tak samo lekkomyślna jak ty.

Mogłem sobie pozwolić na zwracanie się w ten sposób do prześwietnego dowódcy dziesięciu tysięcy, bo niegdyś był moim uczniem i nieraz zmierzyłem trzciną szerokość jego żołnierskich pośladków. Uśmiechnął się teraz do mnie krzywo - jak w owych dniach - beczelnie i zuchwale.

- Pozostaw tę panią pod moją opieką, zaklinam cię, stary druhu. Zaręczam ci, że nic nie sprawi mi większej radości.

Nie skarciłem go za pozbawiony szacunku ton, gdyż spieszyłem się nieco, by zająć miejsce na wieży. Stamtąd patrzyłem, jak Tanus podnosi swój łuk.

Łuk ten zyskał już sławę w armii na całej długości rzeki, od katarakt do morza. Zaprojektowałem go, gdy Tanusowi przestało wystarczać nędzne uzbrojenie, jakim się dotąd posługiwał. Zasugerowałem wtedy, że powinniśmy spróbować sporządzić łuk z jakiegoś nowego materiału, innego niż mizerne drzewa rosnące w naszej wąskiej rzecznej dolinie - być może z egzotycznego drewna, takiego jak pień oliwki z krainy Hetytów lub kuszycki heban czy z dziwniejszych jeszcze materiałów; rogu nosorożca, czy słoniowych kłów.

Zaledwie podjęliśmy pracę, natrafiliśmy na tysiące kłopotów, z których pierwszym była kruchość tych egzotycznych tworzyw. W stanie naturalnym wszystkie łamały się przy zginaniu i jedynie największe, a zatem i najdroższe, słoniowe kły pozwalały na wycięcie z nich kompletnego łączyska. Oba te problemy rozwiązałem, rozszczepiając mniejszy kieł i sklejjąc tak uzyskane fragmenty tak długo, dopóki nie uzyskałem wystarczającej wielkości. Niestety łuk okazał się o wiele za sztywny, by mógł go naciągnąć jakikolwiek człowiek.

Niemniej później łatwo już było skleić warstwami wszystkie cztery rodzaje materiału - drewno oliwne, heban, róg oraz kość słoniową. Oczywiście wiele miesięcy

pochłoneły próby znalezienia właściwej kombinacji tych materiałów i eksperymenty z przeróżnymi typami kleju, który miał związać je w całość. Nigdy nie udało nam się znaleźć wystarczająco mocnego. W końcu usunąłem tę ostatnią przeszkodę, obwiązując całe łączysko drutem z elektrum, by uchronić je przed rozpadnięciem się na kawałki. Gdy klej był jeszcze gorący, dwóch silnych mężczyzn pomagało Tanusowi w okręcaniu łączyska tym drutem. Kiedy łuk ostygł, wytworzył prawie idealną kombinację siły i giętkości.

Wówczas wyciąłem pasma z jelit wielkiego, czarnogrzywego lwa wytropionego i upolowanego przez Tanusa na pustyni za pomocą dzidy o grocie z brązu. Następnie wygarbowałem je i skręciłem z nich cięciwę. W końcu powstał ten lśniący łuk o tak nadzwyczajnej mocy, że jeden tylko człowiek z setek, którzy tego próbowali, był w stanie w pełni go naciągnąć.

Przepisowy styl strzelania, jakiego uczą łuczników armijni instruktorzy, nakazuje zwrócić się ku celowi i przyciągnąć do mostka nałożoną na cięciwę strzałę, wytrwać w tej pozycji przez chwilę i wystrzelić na rozkaz. Ale nawet Tanus nie dysponował wystarczającą siłą, by naciągnąć swój łuk i utrzymać nieruchomo. To zmusiło go do wypracowania zupełnie odmiennej metody. Stając bokiem do celu, zwracając się ku niemu ponad lewym ramieniem, podrywał łuk ku górze wyprostowaną lewą ręką i gwałtownym szarpnięciem naciągał cięciwę, dopóki upierzone lotki nie dotknęły warg, a mięśnie ramion i piersi

nie nabrzmiały od wysiłku. W tym momencie cięciwa była całkowicie napięta i wtedy, pozornie bez mierzenia, zwałniał ją.

Początkowo strzały mknęły we wszystkich kierunkach niby dzikie pszczoły opuszczające gniazdo, lecz Tanus ćwiczył dzień za dniem i miesiąc za miesiącem. Palce prawej dłoni pokryły się otwartymi, krwawiącymi ranami od ocierającej się cięciwy, lecz z czasem zagoiły się i stwardniały. Wewnętrzną stronę lewego przedramienia zdobiły sińce i otarcia od uderzeń cięciwy po zwolnieniu strzały, wymyśliłem więc skórzaną osłonę. Tanus stał na strzelnicy i ćwiczył bez końca.

Nawet ja straciłem wiarę w jego zdolność opanowania tej broni, lecz on się nie poddawał. Wolno, boleśnie wolno, zdobywał nad nią pełną kontrolę i w końcu potrafił wystrzelić trzy strzały tak szybko, że wszystkie znajdowały się jednocześnie w powietrzu. Przynajmniej dwie trafiały w cel – ustawiony w odległości pięćdziesięciu kroków miedziany dysk wielkości ludzkiej głowy – z takim impetem, że bez trudu przebijały warstwę metalu grubości mojego małego palca.

Tanus nadał tej potężnej broni imię Lanata. Całkowity zbieg okoliczności sprawił, że było to odrzucone dziecięce imię mojej pani. Teraz stał na dziobie łodzi z kobietą u boku i jej imiennikiem w lewej dłoni. Stanowili tak wspaniałą parę, że nie mogłem spoglądać na nich bez niepokoju.

– Pani! Przyjdź tutaj natychmiast! Tam, gdzie stoisz, jest niebezpiecznie – krzyknąłem ostro.

Lostris nie raczyła nawet spojrzeć przez ramię, lecz za plecami wykonała lekceważący gest. Widziała to cała załoga, a najśmielsi parsknęli rubasznym śmiechem. Tego gestu, pasującego raczej do dam z nadrzecznych tawern niż do wysoko urodzonej córki Domu Intef, musiała się nauczyć od jednej z tych małych czarnych lisic, jej służebnic. Zastanawiałem się, czy zrobić jej z tego powodu wymówkę, lecz natychmiast odrzuciłem to nieroztropne rozwiązanie, jako że moja pani zdolna jest do powściągliwości jedynie w niektórych nastrojach. By ukryć moje rozdrażnienie, oddałem się energicznemu biciu w brązowy gong.

Przenikliwy, dźwięczny ton poniósł się po szklistej wodzie zatoki i natychmiast powietrze wypełniło się szumem skrzydeł. Olbrzymia chmura wodnego ptactwa wzbiła się w niebo z kęp papirusu, ukrytych stawów i otwartej toni, zasłaniając słońce. Były tam setki najprzeróżniejszych gatunków: poświęcone bóstwu rzeki czarne i białe ibisy o sępich głowach, hałaśliwe stada rdzawo upierzonych gęsi o rubinowych plamkach na piersiach, zielonkawoblękitne albo czarne mrokiem nocy czaple o dziobach jak miecze, ociężałe bijące powietrze skrzydłami, wreszcie kaczki w takiej obfitości, że ich liczba wystawiała na próbę oko i wiarę obserwatora.

Szlachetnie urodzeni Egipcjanie oddają się łowom na ptaki z wielką żarliwością, lecz tego dnia interesowała nas inna zwierzyna. Daleko przed nami na gładkiej powierzchni wody dostrzegłem plamę. Była masywna, przemieszczała się ospale, więc moje serce zadrżało, gdyż wiedziałem, co

za potworna bestia tam się poruszyła. Tanus także ją zauważył, lecz jego reakcja całkowicie różniła się od mojej. Szczeknął niczym pies myśliwski, a jego ludzie krzyknęli wraz z nim i pochyłili się nad wiosłami. „Oddech Horusa” wystrzelił w przód, jakby był jednym z ptaków zaciemniających niebo nad nami, moja pani zaś zapiszczała z podniecenia i uderzyła drobną piąstką w umięśnione ramię Tanusa.

Woda zmaciła się raz jeszcze i Tanus zasygnalizował sternikowi, by podążał w tamtą stronę, podczas gdy ja łomotałem w gong, by przywołać i utrzymać odwagę. Dotarliśmy na miejsce, w którym ostatnio dostrzegliśmy ruch, i okręt powoli stanął, a każdy człowiek na jego pokładzie rozglądał się pilnie dookoła.

Ja jeden spoglądałem prosto za rufę. Woda pod naszym kadłubem była płytka i nieomal równie przejrzysta jak niebo nad głowami. Krzyknąłem tak głośno i piskliwie jak przed chwilą moja pani, a potem odskoczyłem od barierki, gdyż potwór znajdował się bezpośrednio pod „Oddechem Horusa”.

Hipopotam to domownik Hapi, bóstwa Nilu. Tylko za specjalną zgodą mogliśmy na niego polować. Aby ją uzyskać, tego ranka Tanus, z moją panią u boku, modlił się i składał ofiarę w świątyni. Oczywiście Hapi jest jej patronem, lecz wątpiłem, czy tylko z tego powodu Lostris tak chętnie wzięła udział w ceremonii.

Zwierzę, które ujrzałem pod nami, było olbrzymim starym samcem. Wydawał mi się równie wielki jak nasza łódź.

Gigantyczny kształt stąpający ciężko po dnie zatoki, spowolniony oporem wody poruszał się niczym stworzenie z nocnego koszmaru. Nogami unosił kłęby mułu podobnie jak dzika antylopa wzbijająca kurz podczas biegu przez pustynne piaski.

Tanus obrócił łódź wiosłem sterowym i podążyliśmy w ślad za samcem. Lecz on tym swoim statecznym i miarowym truchtem oddalił się od nas. Ciemny kształt rozpląnął się w zielonej głębi zatoki.

- Wiosłować! Na zgniły oddech Seta, wiosłować! - wrzasnął Tanus do swoich ludzi.

Gdy jednak jeden z oficerów potrząsnął zakończonym węzłami rzemieniem bicia, Tanus zmarszczył brew i pokręcił głową. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć, by uciekał się do tego środka, jeśli nie było to potrzebne.

Nagle samiec wyłonił się przed nami na powierzchnię, wypuszczając z płuc wielką chmurę cuchnącej pary. Smród doleciał nas, chociaż wciąż znajdowaliśmy się od bestii dalej niż na odległość strzału z łuku. Przez moment grzbiet zwierzęcia tworzył lśniąca granitową wyspę na zatoce, a później hipopotam nabrał tchu i wśród zawirowań wody ponownie zniknął nam z oczu.

- Za nim! - krzyknął Tanus.

- Tu jest! - zawołałem, wskazując za burzę. - Zawraca!

- Brawo, stary druho - zaśmiał się Tanus. - Jeszcze zrobimy z ciebie wojownika.

Ten pomysł był śmiechu wart, gdyż jestem pisarzem, mędrce i artystą preferującym heroiczne czyny umysłu.

Niemniej, poczułem dreszcz zadowolenia, jak zwykle na dźwięk pochwały z ust Tanusa, i mój niepokój przynajmniej na chwilę rozmył się w podnieceniu wywołanym pościgiem.

Na południe od nas pozostałe łodzie przyłączyły się do łowów. Kapłani Hapi prowadzili ścisłą ewidencję liczby hipopotamów żyjących w zatoce i wyrazili zgodę na zabicie pięćdziesięciu dla potrzeb związanych z nadchodzącym świętem Ozyrysa. W ten sposób w świątynnej zatoce pozostanie będące własnością bóstwa stado złożone z prawie trzystu sztuk. Tę liczbę kapłani uważali za najwłaściwszą, by drogi wodne były wolne od wodorostów, papirus nie zarastał uprawnej ziemi, a świątynia miała zapewnione regularne dostawy mięsa. Poza dziesięciodniowym okresem obchodów święta Ozyrysa tylko kapłanom wolno było spożywać mięso hipopotama.

Łowy trwały w zatoce niczym jakiś skomplikowany taniec, w którym łodzie flotylli tworzyły figury i wykonywały piruety, podczas gdy spłoszone bestie umykały przed nimi, nurkując, prychając i chrząkając lub wynurzały się, by zanurkować raz jeszcze. Lecz za każdym razem okres przebywania pod wodą był krótszy od poprzedniego, a wirujące rozpryski na powierzchni coraz częstsze. Zwierzętom brakowało tchu, lecz ścigające je łodzie zmuszały bestie do powtórnego zanurzenia, zanim te zdążyły zaczerpnąć powietrza. Na wieży rufowej każdej łodzi przez cały czas dźwięczały brązowe gongi, ich dźwięk zlewał się z okrzykami wioślarzy i ponagleniami sterników. Panował tak dziki zgiełk i zamieszanie, iż stwierdziłem, że

sam krzyczę i dopinguję myśliwych na równi z najbardziej żądnymi krwi spośród nich.

Tanus całą uwagę skupił na pierwszym, największym samcu. Na samice i młodsze zwierzęta wynurzające się w zasięgu strzału nie zwracał uwagi i śledził wszystkie manewry wielkiej bestii, nieubłaganie zbliżając się do niej za każdym razem, gdy wyłaniała się na powierzchnię. Nawet w stanie podniecenia, w jakim się znajdowałem, nie mogłem nie podziwiać wprawy, z jaką manewrował „Oddechem Horusa”, i sposobu, w jaki załoga reagowała na jego sygnały. Ale cóż, Tanus zawsze miał talent do wykorzystywania w pełni umiejętności tych, którymi dowodził. Jakże w przeciwnym razie, bez majątku i potężnego protektora, który by go otaczał opieką, mógłby zdobyć tak szybko równie odpowiedzialne stanowisko? To, co osiągnął, zawdzięczał własnym zasługom, i to pomimo złośliwych intryg ukrytych wrogów, którzy stawiali na jego drodze najprzeróżniejsze przeszkody.

Nagle samiec wyrwał się na powierzchnię nie dalej niż trzydzieści kroków przed dziobem. Wyłonił się, błyszcząc w słońcu, wielki czarny i przerażający, a chmury pary tryskały z jego nozdrzy. Wyglądał jak owo stworzenie z zaświatów, pożerające serca tych, których bogowie uznają za niegodnych.

Tanus trzymał strzałę nałożoną na cięciwę, teraz więc poderwał wielki łuk i posłał ją w mgnieniu oka. Lanata zagrała swą złowieszczą, burkliwą melodię, a strzała pomknęła prawie niewidoczna dla oka. Świszczała jeszcze

w locie, a już podążała za nią następna i jeszcze jedna. Cięciwa brzęczała niczym struny lutni, a groty uderzyły jeden po drugim. Samiec czując, jak wchodzi głęboko w jego szeroki grzbiet, ryknął i zanurkował ponownie.

Zaprojektowałem te strzały specjalnie na tę okazję. Usunięto z nich pierzaste lotki i zastąpiono małymi pływakami z baobabu, jakich rybacy używają przy swych sieciach jako bojek. Zamocowano je w ten sposób, że podczas lotu trzymały się strzały, lecz wyczepiały się, gdy trafiona bestia nurkowała, toteż wlokła je za sobą po wodzie. Z grotem z brązu wiązała je cienka lniana nitka owinięta wokół brzechwy, która powinna się rozplątać wraz ze zwolnieniem pływaków. Teraz więc, gdy samiec pędził pod wodą, trzy drobne pływaki wyskoczyły na powierzchnię, podskakując na falach w ślad za nim. Pomalowałem je na jaskrawożółty kolor, tak że przyciągały wzrok i natychmiast zdradziły pozycję hipopotama, chociaż krył się w głębinach zatoki.

Dzięki temu Tanus mógł przewidzieć każdą dziką szarżę bestii i tak pokierować „Oddechem Horusa”, by przeciąć mu drogę i umieścić następną garść strzał w połyskującym czarnym grzbiecie, gdy ten wynurzał się z odmętów. Teraz samiec wlokł już za sobą wianuszek zgrabnych żółtych pływaków, a po wodzie snuły się za nim smużki krwi. Chociaż byłem bardzo podekscytowany łowami, nie mogłem nie żałować ranionego stworzenia za każdym razem, gdy rycząc, wynurzało się na powierzchnię tylko po to, by napotkać następny deszcz zabójczych, świszczących strzał.

Moja pani nie podzielała tego współczucia. Pochłonięta wirem walki, pokrzykiwała piskliwie czarująco wystraszona starciem.

Raz jeszcze samiec wynurzył się prosto przed dziobem, lecz tym razem zwrócony ku gnającemu nań „Oddechowi Horusa”. Jego szczęki rozwarły się tak szeroko, że mogłem zajrzeć mu głęboko w gardziel. Był to tunel o ścianach z jasnoczerwonego ciała, mogący bez trudu pochłonąć całego człowieka. Szczęki wyposażone zostały w takie uzębienie, że wstrzymałem oddech, czując nagły chłód. W dolnej szczęce widniały wielkie sierpy, przeznaczone do zbierania opornych i mocnych łodyg papirusu. W górnej tkwiły połyskliwe białe kolumny grubości mego nadgarstka, mogące przebić się przez drewno kadłuba „Oddechu Horusa” równie łatwo jak moje zęby przez placek z pszennej mąki. Niedawno miałem możliwość przyjrzenia się ciału wieśniaczki, która zbierając papirus nad rzeką spłoszyła samicę hipopotama, chroniącą ledwie co urodzone małe. Kobieta została rozcięta na połowy tak czysto, jakby uderzyło ją najlepsze ostrze z brązu.

I teraz ten rozwścieczony potwór o pysku wypełnionym błyszczącymi zębiskami gnał ku nam i, chociaż znajdowałem się wysoko na wieży, tak daleko od niego, jak to tylko było możliwe, stwierdziłem, że niczym świątynny posąg z przerażenia niezdolny jestem do wykonania jakiegokolwiek ruchu czy wydania dźwięku.

Tanus wypuścił jeszcze jedną strzałę, która pomknęła wprost w rozwarte gardło, lecz stworzenie cierpiało już

straszliwie, więc chyba nawet nie zauważyło kolejnej rany, choć ostatecznie musiała się okazać śmiertelna. Hipopotam szarżował bez wahania pełną szybkością wprost na dziób „Oddechu Horusa”. Z obolałej gardzieli wydarł się przerażający ryk wściekłości i potwornej męczarni, gdzieś w jej głębi pękła arteria i strumień krwi chlusnął wachlarzem spomiędzy rozwartych szczęk. Tryskająca krew w słońcu przemieniła się w obłoki czerwonej mgły, tyleż piękne co straszne.

Potem samiec z impetem uderzył w dziób naszej łodzi.

„Oddech Horusa” rozcinał wodę z prędkością biegnącej gazeli, lecz rozszalały hipopotam był jeszcze szybszy, a na dodatek tak masywny i ciężki, iż odniosłem wrażenie, że weszliśmy na skalistą mieliznę. Wioślarzami cisnęło, pospadali z ławek, ja poleciałem do przodu, uderzyłem o balustradę wieży, co odebrało mi dech w piersiach i napełniło ciężkim kamiennym bólem.

A jednak nawet mimo cierpienia obawiałem się jedynie o moją panią. Przez łzy bólu ujrzałem, jak siła zderzenia popycha ją naprzód. Tanus wyciągnął rękę, starając się uratować Lostris, lecz on także pod wpływem uderzenia stracił równowagę, a ponadto przeszkadzał mu łuk, który ciągle dzierżył w lewej dłoni. Zaledwie przez moment zdołał przytrzymać moją panią. Potem Lostris zatoczyła się na balustradę, wymachując desperacko ramionami, i mocno przechyliła się przez burzę.

- Tanusie! - krzyknęła, wyciągając ku niemu rękę.

Tanus odzyskał równowagę ze zwinnością akrobaty i spróbował chwycić jej dłoń. Przez mgnienie oka ich palce stykały się, a potem, jakby popchnięta niewidzialną siłą, Lostris wypadła za burzę.

Z mojego wysoko umieszczonego stanowiska widziałem, jak spadała. Obróciła się w powietrzu niczym kot i białe spódniczki zatrzepotały, odsłaniając niezrównaną długość ud. Wydawało mi się, że ten upadek trwa całą wieczność, i mój pełen bóleści okrzyk zmieszał się z jej rozpaczliwym wrzaskiem.

- Moja dziecinka! - zawołałem. - Moja maleńka!

Byłem przekonany, że ją utraciłem. Całe jej życie, tak jak je pamiętałem, przesunęło mi się przed oczyma. Zobaczyłem ją ponownie jako krocącego niepewnie berbecia, usłyszałem dziecinne czułe słówka, jakimi obdarzała mnie, pełnego uwielbienia piastuna. Ujrzałem ją wyrastającą na kobietę, przypomniałem sobie wszystkie radości i strapienia, jakich mi przysporzyła. W tym momencie kochałem ją bardziej niż przez te długie czternaście lat.

Spadła na wielki, zbryzgany krwią grzbiet rozwścieczonego samca i przez mgnienie oka leżała z rozpostartymi ramionami niczym ludzka ofiara złożona na ołtarzu jakiejś plugawej religii. Hipopotam okręcił się w miejscu, wychylając się mocno ponad wodę, i przegiął swój wielki niekształtny łeb do tyłu, by jej dosięgnąć. Gdy olbrzymie szczęki zatrzasnęły się głośno, z nabiegłych krwią świńskich oczu biła szaleńcza furia.

Jakimś sposobem Lostris zdołała otrząsnąć się z szoku i złapać dwie brzechwy wystające niczym uchwyty z szerokiego grzbietu samca. Leżała z szeroko rozłożonymi ramionami i nogami. Nie krzyczała już, bo cała siła i zręczność potrzebna jej była do utrzymania się przy życiu. Zakrzywione zębiska biły dźwięcznie o siebie jak tnące powietrze ostrza pojedynkujących się wojowników. Za każdym uderzeniem chybiły jedynie o włos i spodziewałem się, że w każdej chwili mogę ujrzeć jedną z ślicznych kończyn mojej pani odciętą niczym delikatny pęd winorośli, jej słodką młodą krew mieszającą się z posoką spływającą z ran samca.

Stojący na dziobie Tanus szybko oprzytomniał. Przez moment ujrzałem jego twarz i był to przerażający widok. Odrzucił bezużyteczny w tej chwili łuk, złapał rękojeść miecza i wyrwał go z pochwy z krokodylej skóry. Lśniący brąz długości jego ramienia wyostrzony był tak dalece, że mógł ścinać włoski z dłoni.

Tanus wskoczył na okrężnicę i stanął na niej, przez moment przyglądając się dzikiemu wirowaniu śmiertelnie rannego samca. Potem rzucił się do przodu i opadł niczym nurkujący sokół ze skierowanym w dół, trzymanym w obu dłoniach mieczem.

Wylądował w rozkroku na grubym karku samca, jakby zamierzał wjechać na nim do świata umarłych. Z całym impetem tego szaleńczego skoku uderzył mieczem, przelewając nań wagę swego ciała. Ostrze na pół długości zanurzyło się w karku hipopotama u nasady czaszki,

a Tanus, usadowiony na nim jak jeździec, wkręcał i wpychał ostrą klingę głębiej i głębiej, używając obu rąk i siły szerokich ramion. Samiec wpadł w szal. Jego poprzednie wysiłki były niczym w porównaniu z tą świeżą eksplozją. Wystawił nad powierzchnię większość swej olbrzymiej masy, ciskając łbem z boku na bok i wyrzucając wysoko w powietrze strugi wody, które spadały na pokład łodzi, tworząc kurtynę prawie kompletnie przesłaniającą mi widok.

Przez cały ten czas przyglądałem się rzucanej bezlitośnie na boki parze na grzbiecie potwora. Z trzaskiem złamała się jedna brzechwa i Lostris o mało nie spadła. Gdyby tak się stało, samiec bez wątpienia by ją zmasakrował i rozszarpał na skrwawione kawałki. Tanus sięgnął za siebie, chwycił ją, przytrzymał, a prawą ręką bezustannie wpychał brązowe ostrze w kark hipopotama.

Nie mogąc ich dosięgnąć, hipopotam uderzał we własne boki, zadając sobie straszliwe, głębokie rany, tak że woda na pięćdziesiąt kroków od łodzi zarumieniła się od posoki, a bryzgająca krew od stóp do głów pokryła purpurą Lostris i Tanusa. Ich twarze zmieniły się w groteskowe maski o pałających bielą oczach.

Gwałtowne przedśmiertne podrygi samca przeniosły ich daleko od burty. Ja pierwszy spośród znajdujących się na pokładzie odzyskałem rozsądek.

- Za nimi! - wrzasnąłem do wioślarzy. - Nie pozwólcie im się oddalić!

Skoczyli ku swoim stanowiskom, rzucając „Oddech Horusa” w pogoń.

W tejże chwili ostrze miecza Tanusa musiało chyba sięgnąć szczeliny między kręgami w karku potwora. Olbrzymie cielsko zeszywniało i zamarło. Hipopotam przekręcił się na grzbiet, prostując sztywno wszystkie cztery nogi, i zniknął w wodach zatoki, pociągając ze sobą w głębinę Lostris i Tanusa.

Zduśłem wzbierający w gardle jęk rozpacz i wykrzyknąłem rozkaz ku pokładowi:

- Cała wstecz! Nie staranujcie ich! Pływacy na dziób!

- Nawet mnie samego zaskoczyła moc i władczość mego głosu.

Łódź została zatrzymana i, zanim zdążyłem zastanowić się nad roztropnością moich czynów, znalazłem się na czele gnających po pokładzie niezdarnych wojowników. Bez wątpienia przyglądaliby się bez żalu, jak tonie każdy inny oficer, lecz nie Tanus.

Zrzuciłem już spódniczkę i zostałem nagi. Nawet groźba stu biczów nie zmusiłaby mnie do uczynienia tego w innych okolicznościach, gdyż tylko jednej osobie pozwoliłem ujrzeć rany zadane mi tak dawno temu przez państwowego kata. Ujrzał je ten, kto polecił użyć na mnie kastrującego noża. Lecz teraz choć raz byłem kompletnie nieświadomy potwornego okaleczenia mej męskości.

Jestem dobrym pływakiem i chociaż z perspektywy czasu taka nieroztropność przyprawia mnie o dreszcze, niezachwianie wierzę, że skoczyłbym za burtę i zanurkował

w skrwawioną wodę, próbując uratować moją panią. Gdy jednak szykowałem się do skoku z balustrady, woda rozstała się i na powierzchnię wyskoczyły dwie głowy, tak blisko siebie jak para kopulujących wydr. Jedna była ciemna, druga zaś jasna, lecz od obu dobiegał najmniej oczekiwany dźwięk, jaki w tego rodzaju okolicznościach zdarzyło mi się słyszeć. Śmiech. Tanus i Lostris rechotali, piszczeli i parskali śmiechem, brnąc ku burcie okrętu tak ciasno spleceni ramionami, że w moim przekonaniu poważnie groziło im, że się nawzajem potopią.

Cały mój niepokój momentalnie przemienił się w gniew na ich lekkomyślność i moją horrendalną głupotę, jakiej o mały włos nie popełniłem. Niczym matka, której pierwszym odruchem po odnalezieniu zagubionego dziecka jest złożenie mu skóry, usłyszałem, że mój głos traci swą uprzednią głęboką władczość i staje się piskliwy i pełen irytacji. Wymyślałem mojej pani, używając całej swojej sławnej elokwencji, gdy tuzin pomocnych dłoni wyciągał ją i Tanusa z wody na pokład.

- Ty nierozważna, nieokrzesa dzikusko! - pomstowałem.

- Ty bezmyślna, samolubna, niezdyscyplinowana łobuzico! Przymknęłaś mi! Złożyłaś przysięgę na dziewiczość bóstwa...

Lostris podbiegła do mnie i zarzuciła mi ręce na szyję.

- Och, Taito! - zawołała, wciąż trzęsąc się ze śmiechu. - Widziałeś to? Widziałeś, jak Tanus skoczył mi na ratunek? Czyż nie był to najszlachetniejszy czyn, o jakim słyszałeś? Zupełnie jak bohater twoich najlepszych opowieści.

Na to, że ja byłem o krok od dokonania podobnie heroicznego czynu, nie zwróciła najmniejszej uwagi, co jedynie powiększyło moją irytację. W dodatku nagle zorientowałem się, że Lostris zgubiła spódniczkę i że jej chłodne, mokre ciało przyciśnięte do mojego jest kompletnie nagie. Na prostackie spojrzenia oficerów i żołnierzy wystawiała najzgrabniejszą, najjędrniejszą parę pośladków w całym Egipcie.

Porwałem najbliższą tarczę i osłoniłem nią nasze ciała, jednocześnie wołając na jej niewolnice, by znalazły swej pani inną spódniczkę. Ich chichoty jedynie podsyciły moją złość, toteż gdy tylko Lostris i ja byliśmy ponownie przyzwoicie okryci, napadłem na Tanusa:

- Co do ciebie, lekkomyślny zbójcu, doniosę na ciebie księciu Intefowi! On każe wybatożyć cię do kości!

- Nic takiego nie zrobisz - zaśmiał się Tanus i objął me barki mokrym, umięśnionym ramieniem, ściskając tak mocno, że uniósł mnie w powietrze - bo równą radość sprawiłoby mu wybatożenie ciebie. Niemniej jednak, dziękuję ci za troskę, stary druhu.

Rozejrzał się szybko, wciąż obejmując mnie ramieniem, i zmarszczył czoło. „Oddech Horusa” oddzielił się od reszty flotylli, lecz łowy były już skończone. Każda łódź z wyjątkiem naszej zdobyła swoją część usankcjonowanego przez kapłanów łupu.

Tanus potrząsnął głową.

- Nie wykorzystaliśmy naszej szansy, prawda? - mruknął i rozkazał jednemu z oficerów podnieść na maszt proporzec

stanowiący sygnał zbiórki dla flotyli. Potem zmusił się do uśmiechu. – Napocznijmy wspólnie dzban piwa, jako że musimy teraz chwilę poczekać, a była to powodująca pragnienie praca.

Odwrócił się i przeszedł na dziób, gdzie niewolnice krzątały się wokół Lostris. Początkowo byłem nadal tak rozłoszczony, że postanowiłem nie przyłączać się do zaimprovizowanego posiłku na pokładzie. Zamiast tego z wyniosłą godnością pozostałem na rufie.

– Och, pozwól mu się trochę podąsać – usłyszałem sceniczny szept Lostris do Tanusa, gdy napełniała jego puchar pianistym piwem. – Staruszek porządnie się przestraszył, ale minie mu to, kiedy zgłodnieje. Przecież tak uwielbia jeść.

Moja pani to uosobienie niesprawiedliwości. Nigdy się nie dąsam, nie jestem żarłokiem, a miałem wówczas zaledwie trzydzieści lat, choć dla czternastolatki każdy człowiek powyżej dwudziestki to starzec. Przyznaję, że w sprawach jedzenia posiadam wyrafinowane podniebienie smakosza. Dobrze o tym wiedziała, pieczona dzika gęś z figami, którą mi ostentacyjnie pokazała, była jednym z moich ulubionych dań.

Pozwoliłem im cierpieć jeszcze przez chwilę. Dopiero gdy Tanus osobiście przyniósł mi dzban piwa, używając całego swego uroku, by mnie ułagodzić, raczyłem nieco ustąpić i dałem mu się zaprowadzić na dziób. Mimo to wciąż traktowałem ich dość chłodno, dopóki Lostris nie

pocałowała mnie w policzek, mówiąc tak głośno, by wszyscy słyszeli:

- Moje dziewczęta powiadają, że przejąłeś dowództwo łodzi niczym weteran i że skoczyłbyś za burtę, by mnie ratować. Och, Taito, co ja bym bez ciebie zrobiła?

Wówczas uśmiechnąłem się do niej i przyjąłem plaster gęsiny, który mi wciskała. Smakował wybornie, a piwo było trzypalmowej jakości. Niemniej jednak, jadłem oszczędnie, gdyż muszę zważać na figurę, a poza tym wcześniejsza uwaga na temat mojego apetytu wciąż jeszcze trochę bolała.

Flotyła Tanusa rozrzucona była szeroko po zatoce, lecz teraz poczęła się przegrupowywać. Zauważyłem, że kilka innych łodzi, tak jak nasza, również zostało uszkodzonych. Dwa okręty zderzyły się w trakcie gorączkowego pościgu, a cztery inne zostały zaatakowane przez zwierzynę. Mimo to łodzie skupiły się szybko i zajęły pozycje bojowe. Później w szyku torowym przeszły obok nas z trzepoczącymi na masztach sznurami kolorowych proporców, obwieszczającymi wielkość zdobyczy. Załogi wznosiły okrzyki, mijając „Oddech Horusa”. Tanus pozdrowiał je zaciśniętą pięścią, a sztandar Błękitnych Krokodyli powiewał na szczycie masztu, zupełnie jakbyśmy dopiero co odnieśli wiekopomne zwycięstwo nad przeważającym liczebnie przeciwnikiem. Był to być może chłopięcy popis, lecz wciąż jest we mnie dość z chłopca, by bawił mnie wojskowy ceremoniał.

Gdy tylko zakończyła się ta parada, okręty powróciły na stanowiska bojowe, mimo lekkiej bryzy wprawnym użyciem wiosł i sterów utrzymując pozycje. Oczywiście nie było jeszcze śladu złowionych hipopotamów. Chociaż każda łódź zabiła przynajmniej jednego, a niektóre upolowały dwa, a nawet i trzy, wszystkie padła zatonęły w zielonej głębinie zatoki. Wiedziałem, że w skrytości ducha Tanus rozpaczał nad tym, iż to nie „Oddech Horusa” miał najwięcej szczęścia i że długie starcie ze starym samcem spowodowało, że upolowaliśmy tylko tę sztukę. Tanus przyzwyczajony był do górowania nad innymi. Tak czy owak, zniknęła gdzieś jego zwykła porywczność i wkrótce, oddalwszy się, by nadzorować naprawę kadłuba „Oddechu Horusa”, pozostawił nas na dziobie.

Szarża samca zerwała poszycie poniżej linii zanurzenia, więc nabieraliśmy tyle wody, że konieczne było ciągle czerpanie jej z dna skórzanymi wiadrami. Była to niezwykle mało wydajna procedura, odrywająca wioślarzy i wojowników od ich obowiązków. Pomyślałem sobie, że z pewnością można by ją ulepszyć.

Tak więc gdy czekaliśmy na wynurzenie się cielsk martwych bestii, posłałem jedną z niewolnic po koszyk z moimi przyborami do pisania. Potem po krótkim namyśle zacząłem przelewać na papirus ideę mechanicznego wybierania wody z dna bojowego okrętu podczas akcji, metodę niewymagającą wysiłku połowy załogi. W swym założeniu opierała się na tym samym pomysle co wiadra szadufów. Uważałem, że do obsługi urządzenia

wystarczyłoby dwóch ludzi zamiast tuzina wybierających wodę wiadrami, jak dotychczas.

Kiedy ukończyłem szkic, rozważać począłem przebieg zderzenia, które doprowadziło do powstania uszkodzeń.

Z historycznego punktu widzenia taktyka stosowana w bitwach flotylli rzecznych okrętów była identyczna z tą wykorzystywaną w bojach lądowych. Okręty ustawiały się równolegle, a wojownicy strzelali do siebie z łuków. Potem podchodziły bliżej, szczepiały się bosakami i dochodziło do abordażu, by zakończyć starcie przy użyciu mieczy. Kapitanowie łodzi zawsze z wielką ostrożnością unikali kolizji, gdyż uważane to było za dowód kiepskiego opanowania sztuki nawigacji.

A gdyby tak... - zastanowiłem się nagle i zacząłem szkicować okręt o wzmocnionym dziobie. Gdy pomysł zakorzenił się pewnie w mojej wyobraźni, na wysokości linii zanurzenia dodałem jeszcze pożyczony od nosorożca róg. Można by go wyciosać z twardego drewna i okuć brązem. Skierowany do przodu i lekko ku dołowi, przebijałby się przez kadłub wrogiego okrętu, wypruwając mu wnętrzności. Tak mnie to pochłonęło, że nie słyszałem podchodzącego od tyłu Tanusa. Szybkim ruchem wyrwał mi papirus i przyjrzał mu się chciwie.

Oczywiście natychmiast pojął, do czego zmierzałem. Gdy jego ojciec utracił majątek, zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, by wyszukać bogatego protektora, który opłaciłby przyjęcie Tanusa do którejś ze świątyń jako początkującego skryby, by mógł tam kontynuować studia

i naukę. A to dlatego, że szczerze wierzyłem, iż pod moją kuratelą mieć będzie wszelkie możliwości stania się jednym z wybitnych umysłów Egiptu, z czasem być może porównywalnym z Imhotepem, który przed tysiącem lat zaprojektował owe precudne pierwsze piramidy w Sakkarze.

Jak można się było spodziewać, nie powiodło mi się, gdyż ten sam wróg, którego niechęć i knowania zniszczyły ojca Tanusa, postawił sobie za zadanie zamknąć wszystkie drzwi przed jego synem. Nikt w całym kraju nie mógł przeciwstawić się tym fatalnym wpływom. Dlatego też pomogłem Tanusowi zaciągnąć się do wojska, gdyż pomimo mego rozczarowania i złych przeczuć, wybrał karierę w armii, kiedy po raz pierwszy stanął na dwóch nogach, atakując drewnianym mieczem inne dzieci na placu zabaw.

- Na przyszcze na pośladkach Setha! - wykrzyknął teraz, przestudiowawszy moje rysunki. - Ty i twój pędzel jesteście dla mnie więcej warci niż dziesięć flotylli.

Swobodne bluźnierstwa Tanusa na temat wielkiego boga Setha zawsze mnie niepokoją. Choć obaj jesteśmy ludźmi Horusa, nie należę do zwolenników jawnego obrażania któregokolwiek z członków panteonu egipskich bogów. Nigdy nie przechodzę obok świątyni bez modlitwy czy drobnej ofiary, niezależnie od tego jak niewielkiemu czy mało znaczącemu bóstwu jest poświęcona. Uważam to za objaw zdrowego rozsądku i przezorności. Człowiek ma dosyć wrogów wśród ludzi, by nie musiał szukać ich wśród bogów. Szczególnie pokorny jestem w stosunku do Setha,

gdyż jego straszna reputacja mnie przeraża. Podejrzewam, że Tanus wie o tym i bluźni celowo, by się ze mną drażnić. W każdym razie mój niepokój szybko rozpułnął się w ciepłe jego pochwał.

- Jak ty to robisz? - zapytał. - Jestem żołnierzem i widziałem dziś to co ty. Dlaczego ten pomysł nie przyszedł mi do głowy?

Bezwłocznie pograżyliśmy się w ożywionej dyskusji nad moimi projektami. Oczywiście Lostris niezbyt długo pozostała na uboczu i szybko przyłączyła się do nas. Służebnice wysuszyły i ułożyły na nowo jej włosy, poprawiły też makijaż. Uroda mej pani rozpraszała uwagę, zwłaszcza że Lostris stanęła przy mnie, nonszalancko wspierając się ręką na moim ramieniu. Nigdy nie dotknęłaby publicznie mężczyzny w ten sposób, gdyż byłoby to naruszenie zasad skromności i obyczajności. Lecz ja nie jestem mężczyzną, a poza tym chociaż opierała się o mnie, ani na chwilę nie odrywała wzroku od twarzy Tanusa.

Jej zauroczenie Tanusem pochodziło z czasów, gdy dopiero co nauczyła się chodzić. Kroczyła w uwielbieniu za dziesięcioletnim, wyniosłym chłopcem, potykając się co chwila i starając się wiernie naśladować każdy jego ruch i słowo. Gdy on splunął, spluwała i ona. Gdy on klął, i ona wyrzucała z ust to samo przekleństwo, aż wreszcie Tanus poskarżył mi się z goryczą: „Tafto, czy nie mógłbyś sprawić, by zostawiła mnie w spokoju? To przecież dzieciak”. Zauważyłem wszakże, że teraz już przestał się na to skarżyć.

W końcu przerwał nam okrzyk obserwatora na dziobie i wszyscy pospieszyliśmy tam, rozglądając się po zatoce. Pierwsze hipopotamie cielsko wynurzało się na powierzchnię. Najpierw wyłonił się brzuch, jako że gazy w jego wnętrznościach rozprężyły się i rozdęły jelita niczym dziecięcy balonik z koziego pęcherza. Podskakiwał teraz na powierzchni ze sztywno wyprostowanymi nogami.

Któraś łódź pomknęła ku niemu, by zabezpieczyć zdobycz. Żeglarz przelazł na cielsko i przywiązał linę do łapy. Gdy tylko to uczynił, łódź pohołowała zwierzę ku odległemu brzegowi.

Teraz wielkie cielska wynurzały się wszędzie. Łodzie zbierały je i odciągały na bok. Tanus przyczepił dwa do naszej cumy rufowej, a wiosłarze natężyli się przy wiosłach, by pociągnąć je po wodzie.

Kiedy zbliżyliśmy się do brzegu, osłoniłem oczy przed ostrymi promieniami słońca i spojrzałem przed siebie. Zdawało się, że nad rzeką czekali wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci w Górnym Egipcie. Zebrał się tam olbrzymi tłum, który na powitanie nadpływającej flotylli tańczył, śpiewał i wymachiwał palmowymi liśćmi. Niespokojne ruchy białych szat przypominały sztormowy przybój rozbijający się na skraju zacisznej zatoki.

Gdy łodzie podeszły do brzegu, zespoły mężczyzn odzianych jedynie w najbardziej skąpe przepaski biodrowe weszły do wody aż po pachy, by przymocować liny do skrwawionych cielsk. W ferworze zapomnieli o wszechobecnym zagrożeniu ze strony czających się pod

mętną zieloną powierzchnią krokodyli. Te dzikie smoki co roku pożerają setki ludzi. Czasami są tak śmiałe, że zapuszczają się na stały ląd, by porwać bawiące się nad wodą dziecko czy wieśniaczkę piorącą bieliznę albo nabierającą wody dla swej rodziny.

W tej chwili gnani niezmiernym głodem mięsa ludzie zaprzętnięci byli tylko jednym. Pochwycili liny i wywlekli cielska z wody. Padła ślizgały się po mulistym brzegu, a dziesiątki drobnych srebrzystych rybek pożywiających się w otwartych ranach spóźniły się z wypuszczeniem zdobyczy i wyciągnięte zostały razem z hipopotamami. Rzucone w nadbrzeżny szlam, trzepotały się i podskakiwały niczym strącone z nieba gwiazdy.

Mężczyźni i kobiety, wszyscy wymachujący nożami i toporami, opadli hipopotamy jak mrówki. Wyli i warczeli jeden na drugiego jak sępy i hieny wokół upolowanej przez lwa zwierzyny, kłócili się o każdy kęs, rąbali gigantyczne padła. Pyskała krew i odłamki kości, a ostrza uderzały i cięły. Wieczorem przed świątyniami ustawia się długie kolejki rannych, w oczekiwaniu, by kapłani opatrzyli odrąbane palce i sięgające do kości rany zadane źle wymierzonymi uderzeniami ostrzy.

Ja także będę zajęty do późna w nocy, gdyż w pewnych kręgach cieszę się reputacją lekarza lepszego od kapłanów Ozyrysa. Z całą skromnością muszę przyznać, że reputacja ta nie jest całkowicie bezpodstawna, a Horus wie, że pobierane przeze mnie opłaty są znacznie rozsądniejsze od tych, których domagają się owi święci mężowie. Książę

Intef zezwala mi zachować dla siebie trzecią część moich zarobków. W ten sposób mimo statusu niewolnika jestem człowiekiem dość zamożnym.

Z wieży rufowej „Oddechu Horusa” przyglądałem się odgrywanej w dole pantomimie ludzkich słabości. Zgodnie z tradycją ludność ma prawo jeść upolowane mięso, dopóki łupy pozostają na miejscu. Lud nasz jest dobrze odżywiony, ponieważ żyje w krainie pokrytej zielenią, użyźnianej i nawadnianej przez wielką rzekę. Niemniej podstawową strawę ubogich stanowi zboże i nierzadko mięsące upływają, zanim ponownie mają okazję skosztować mięsa. W dodatku zaś podczas święta zapomniano o codziennej wstrzeźliwości. Był to czas przyzwolenia na nieograniczone folgowanie potrzebom ciała, jedzeniu, piciu i cielesnej rozkoszy. Rankiem wiele będzie dokuczających żołądków, bolących głów i rodzinnych kłótni, lecz dziś był pierwszy dzień święta i nie obowiązywały ograniczenia żadnej żądy.

Uśmiechnąłem się, obserwując nagą do pasa i oblepioną od stóp do głów posoką i tłuszczem, wyłaniającą się z jamy brzusznej hipopotama matkę, która trzymała okrwawiony kawał wątroby, a potem rzuciła zaraz swemu dzieciakowi, wrzeszczącemu i skaczącemu w otaczającym padło tłumie dzieciarni. Kobieta zniknęła z powrotem we wnętrzu bestii, podczas gdy dziecko, przyciskając do piersi łup, pomknęło ku jednemu z setek ognisk płonących wzdłuż brzegu. Tam starszy brat wyrwał mu kawał wątroby i cisnął na węgle,

podczas gdy banda młodszych łobuziaków stłoczyła się przy nim niecierpliwie, śliniąc się jak szczeniaki.

Najstarsze dziecko, używając zielonej gałęzi, wyciągnęło ledwie przypieczoną wątrobę z ognia, a jego bracia i siostry rzucili się na nią i pożarli. Gdy tylko została zjedzona, zaczęli wrzeszczeć o więcej, a tłuszcz i sok ociekał po ich twarzach i skapywał z bród. Wiele młodszych spośród nich zapewne nigdy przedtem nie jadło wyśmienitego hipopotamięgo mięsa. Jest soczyste, kruche i delikatne, ale przede wszystkim bardziej tłuste od wołowiny czy mięsa dzikiego pasiastego osła, a kości szpikowe stanowią przysmak zaiste godny samego wielkiego boga Ozyrysa. Nasz lud głodny jest zwierzęcego tłuszczu i jego smak doprowadza go do szaleństwa. Wszyscy obżerali się nieprzytomnie, lecz dzisiaj mieli do tego pełne prawo.

Odpowiadało mi pozostawanie z dala od tego niesfornego tłumu, jako że byłem spokojny, iż rządcy mojego pana, księcia Intefa, zatroszczą się o to, by najlepsze kawały mięsa i kości szpikowych trafiły do pałacowych kuchni, gdzie kucharze dopracują do perfekcji moją prywatną porcję. Znaczeniem na dworze wezyra przewyższam wszystkich innych, nawet majordomusa i dowódcę straży przybocznej, choć obaj są wolno urodzeni. Oczywiście nigdy się o tym nie mówi wprost, lecz wszyscy milcząco uznają moją uprzywilejowaną i nadrzędną pozycję, a jedynie nieliczni odważyliby się ją zakwestionować.

Obserwowałem pracę rządców, którzy egzekwowali należności mego pana, namiestnika i wielkiego wezyra

wszystkich dwudziestu dwóch nomów Górnego Egiptu. Wymachiwali długimi laskami z wprawą świadcząca o długotrwałej praktyce, uderzali w każde nagie plecy lub pośladki, jakie im się nadstawiały, i wykrzykiwali swe żądania.

Zęby zwierząt należały do wezyra i rządca zebrali je co do jednego. Miały wartość równą kłom słoniowym, zdobywanym przez handel z położoną za kataraktami krainą Kusz. Ostatni słoń w Egipcie ubity został prawie tysiąc lat temu za panowania jednego z faraonów czwartej dynastii, choć może były to tylko przechwałki spisane hieroglifami na steli w jego świątyni. Mój pan powinien oczywiście zapłacić dziesięcinę od plonu łowów kapłanom Hapi, nominalnym pasterzom boskiego stada hipopotamów. Niemniej jednak, wysokość dziesięciny pozostawiono do uznania memu panu, a ja, któremu powierzono ogólny nadzór nad finansami pałacu, wiedziałem, gdzie wyląduje lwia część tego majątku. Mój pan, książę Intef, nawet w stosunku do bóstwa nie ulega porywom niepotrzebnej hojności.

Jeśli chodzi o skóry hipopotamów, te należały do wojska i wkrótce miały zostać przerobione na tarcze dla oficerów z pułków gwardii. Armijni kwatermistrze nadzorowali już zdzieranie i zabezpieczanie skór, z których niemal każda dorównywała rozmiarami beduińskiemu namiotowi.

Mięso, jeśli nie zdoła się go skosztować na brzegu, zostanie zapeklowane w solance, uwędzone lub wysuszone. Oficjalnie zostanie wykorzystane do wykarmienia armii,

sędziów, kapłanów i innych urzędników państwowych. W praktyce jednakowoż znaczna jego część będzie dyskretnie sprzedana, a dochody w całkiem naturalny sposób przesaczą się do szkatuł mego pana. Jak już zaznaczyłem, mój pan był najbogatszym po faraonie człowiekiem w Górnym Królestwie, a jego bogactwo wzrastało każdego roku.

Za moimi plecami na nowo rozległ się zgiewk, obróciłem się więc pospiesznie. Flotylla Tanusa wciąż pozostawała w akcji. Okręty stały w szyku bojowym, dziób w rufę, równoległe do linii brzegowej, pięćdziesiąt kroków od niej, na granicy głębszej wody. Przy burtach czyhali harpunnicy z gotową do ciosu bronią wymierzoną w powierzchnię zatoki.

Woń krwi i pozostających w wodzie odpadków zwabiła krokodyle. Przybywały teraz rojnie na ucztę nie tylko z całej zatoki, lecz nawet z głównego nurtu Nilu. Harpunnicy byli gotowi na ich przyjęcie. Każdy długi harpun zwieńczony był względnie niedużym, zabójczo haczykowatym grotem z brązu. Mocną lnianą linę przepleciono przez oko w metalowym grocie.

Umiejętności harpunników rzeczywiście robiły wrażenie. Gdy tylko jeden z wielkich, pokrytych łuską gadów nadpływał pod powierzchnią zatoki i rozcinając zieloną wodę, przemieszczał się niczym długi, ponury cień, cichy i śmiertelnie groźny, oni już na niego czekali. Pozwalali krokodylowi przepłynąć pod łodzią, a gdy wyłaniał się po

drugiej stronie, zasłonięty przed wzrokiem gada kadłubem okrętu harpunnik przechylał się przez burtę i uderzał.

Nie był to gwałtowny cios, wręcz delikatne trącenie długą tyczką. Brązowy grot, równie ostry jak igła chirurga, zagłębiał się na całą długość pod grubą, łuskowatą skórę. Harpunnik celował w nasadę czaszki, a ciosy wymierzał tak zręcznie, że wiele przebijało rdzeń kręgowy, momentalnie zabijając zwierzę.

Kiedy wszakże uderzenie nie było tak dokładne, woda wybuchała pod wpływem dzikich konwulsji rannego krokodyla. Jeden obrót tyczki harpuna wystarczał, by metalowy grot oddzielił się i pozostał głęboko w opancerzonym karku gada. Czterech mężczyzn chwyciło wówczas za lnianą linę, by unieruchomić miotające się wściekle zwierzę. Jeżeli krokodyl był dużym okazem – a niektóre mierzyły cztery długości człowieka – zwoje liny dymiąc wystrzeliwały za burtę, paliły dłonie starających się ją utrzymać ludzi.

Gdy do tego dochodziło, nawet głodne tłumy na plaży robiły chwilę przerwy, dopingując i wywrzaskując słowa zachęty, by przyglądać się zmaganiom kończącym się albo przełamaniem oporu krokodyla, albo zerwaniem pękającej z suchym trzaskiem liny i efektownymi koziołkami żeglarzy po pokładzie. Zazwyczaj mocny lniany postronek wytrzymawał napięcie. Gdy tylko ciągnącym udało się odwrócić łeb gada ku sobie, nie dał już rady odpłynąć na głęboką wodę. Mogli wtedy przyciągnąć go przez kipiela do

burty okrętu, gdzie inny zespół czekał już z pałkami, by rozbić twardą jak skała czaszkę.

Gdy wyciągnięto na brzeg martwe krokodyle, zszedłem z łodzi, by się im przyjrzeć. Oprawcy z pułku Tanusa już zabrali się do pracy. To pradziad naszego obecnego króla obdarzył pułk zaszczytnym mianem „Błękitnych Krokodyli” i nadał mu sztandar Błękitnego Krokodyla. Zbroje jego żołnierzy wykonane są ze zrogowaciałej skóry tych smoków. Odpowiednio wyprawiona i zakonserwowana staje się dość twarda, by zatrzymać strzałę i odbić ostrze wrogiego miecza. Jest znacznie lżejsza od metalu i nie nagrzewa się tak w pustynnym słońcu. Tanus w hełmie z krokodylej skóry ozdobionym rozetami z brązu stanowi widok budzący przestrasz w sercu wroga i chaos w łonie każdej panny, której wzrok na nim spocznie.

Gdy tak mierzyłem i spisywałem długość i obwód każdego zewłoka, przypatrując się pracy oprawców, inaczej niż w przypadku zarżniętych hipopotamów nie czułem żadnego współczucia dla tych ohydnych potworów. Uważam, że nie ma w przyrodzie bardziej odrażającej bestii od krokodyla, może poza jadowitą żmiją.

Moja odraza wzrosła stukrotnie, kiedy oprawca rozpruł brzuch jednego z największych spośród tych groteskowych zwierząt i w błoto wyslizgnęły się na wpół strawione szczątki małej dziewczynki. Krokodyl połknął całą górną połowę jej ciała, od talii w górę. Choć ciało wytrawione zostało na ziemiście blady kolor przez soki żołądkowe, a skóra odchodziła płatami od czaszki, kokarda dziewczynki

nadal pozostawała nietknięta, warkocz precyzyjnie ułożony i zwinięty ponad upiorną, zdeformowaną twarzą. Kolejnym makabrycznym szczegółem był naszyjnik na jej szyi i ładne bransoletki z czerwonych i błękitnych ceramicznych paciorków wokół zżartych do kości nadgarstków.

Gdy tylko ukazały się te ponure pozostałości, przez wrzawę tłumu przebił się wysoki, przejmujący krzyk i jakaś kobieta roztrąciła łokciami żołnierzy, opadając na kolana przy nędznych szczątkach. Rozdarłszy swoje odzienie, poczęła zawodzić przygnębiającą żałobną lamentację.

- Moja córeczka! Moja dziewczynka!

Była to ta sama kobieta, która przyszła poprzedniego dnia do pałacu, by zgłosić zaginięcie córki. Urzędnicy oznajmili jej, że dziecko zostało prawdopodobnie porwane i sprzedane w niewolę przez oddział bandytów terroryzujących rejony wiejskie. Bandy te stały się potęgą w kraju, w biały dzień dopuszczały się bezczelnych rozbojów nawet u bram miejskich. Pałacowi urzędnicy powiedzieli kobiecie, że nic nie mogą uczynić dla odzyskania jej córki, jako że władza państwa żadną miarą nie rozciągała się na bandy.

Tym razem te ponure przewidywania okazały się bezpodstawne. Matka rozpoznała ozdoby wciąż jeszcze przystrajające żalosne zwłoki. Serce krajało mi się na widok jej nieszczęścia, posłałem więc niewolnika po pusty dzban po winie. Choć kobieta i jej dziecko byli mi obcy, nie byłem w stanie powstrzymać łez, gdy pomagałem jej pozbierać

szczątki i umieścić je w dzbanie, by w nim oczekiwały przyzwoitego pogrzebu.

Gdy przyciskając dzban do piersi i potykając się zniknęła w nieczułym tłumie biesiadników, pomyślałem, iż mimo wszelkich obrzędów i modlitw, jakich matka nie poskąpi swej córce, nawet jeżeli stać ją będzie na opłacenie zawrotnych kosztów najbardziej elementarnej mumifikacji, co i tak wydawało się mało prawdopodobne, cień dziecka nigdy nie uzyska nieśmiertelności w życiu pozagrobowym. Aby tak się stało, przed zabalsamowaniem zwłoki muszą być całe. Z całego serca współczułem tej matce. Jedną z moich słabości, której tak często przychodzi mi żałować, jest przyjmowanie na siebie trosk i niedoli każdego napotkanego nieszczęśnika. O ileż łatwiej byłoby żyć z twardszym sercem i bardziej cynicznym usposobieniem.

Tak jak się to zwykle dzieje, gdy smucę się lub troskam, sięgnąłem po pędzelek i zwój papirusu, po czym zacząłem rejestrować wszystko to, co działo się wokół mnie, od harpunników, pogrążonej w rozpacz matki, sprawiania oraz dzielenia martwych hipopotamów i krokodyli na plaży, po nieskrępowane zachowania ucztującej, hulającej ludności.

Niektórzy, obzarci mięsem i opici piwem, chrapali już tam, gdzie padli, nieświadomi tego, że inni, trzymający się jeszcze na nogach, kopali ich i deptali po nich. Młodszy i bardziej bezwstydni tańczyli, obejmowali się i wykorzystywali nadchodzące ciemności oraz wątpliwą osłonę rzadkich krzewów i wydeptanych kęp papirusu, ale

wszystko to nie wystarczało, by ukryć nieskrępowaną kopulację. Rozpusta stanowiła jedynie symptom choroby trapiącej cały kraj. Nie doszłoby do tego, gdybyśmy mieli silnego faraona oraz etyczną i sprawiedliwą administrację w nomie Górnych Teb. Prosty lud bierze przykład z tych, którzy stoją wyżej.

Choć zupełnie tego nie pochwalałem, opisywałem wszystko wiernie. Tak minęła godzina, a ja siedziałem ze skrzyżowanymi nogami na pokładzie rufowym „Oddechu Horusa” całkowicie zaabsorbowany, robiąc notatki i szkice. Słońce zaszło, zgasło w wielkiej rzece, pozostawiając miedziany poblask na wodzie i dymną łunę na zachodnim niebie, jakby zaproszyło ogień w zaroślach papirusu.

Tłum na brzegu stawał się coraz bardziej swawolny i rozhlukany. Nierządnicę zbierały obfite żniwo. Przypatrywałem się, jak pulchna, stateczna kapłanka miłości z charakterystycznym niebieskim amuletem swej profesji na czole wiedzie w cieniu z dala od światła ognisk kościstego, o połowę od niej mniejszego żeglarza z łodzi. Tam zrzuciła spódniczki i uklękła w kurzu, ukazując mu parę monumentalnych pośladków. Z okrzykiem radości człowieczek wskoczył na nie niczym pies na sukę i po paru sekundach kobieta stękała równie głośno jak on. Począłem szkicować ich wyczyny, lecz światło gasło szybko, musiałem więc skończyć pracę.

Gdy odkładałem papirus na bok, uświadomiłem sobie z przerażeniem, że od czasu incydentu z martwym dzieckiem nie widziałem mojej pani. W popłochu skoczyłem

na równe nogi. Jak mogłem być równie niedbały? Moja pani otrzymała surowe wychowanie, sam tego dopilnowałem. Była dobrym i przyzwoitym dzieckiem, w pełni świadomym obowiązków i powinności nakładanych na nią przez prawo i obyczaje. Była też świadoma honoru wysokiego rodu, do którego należała, oraz swojego miejsca w społeczeństwie. Co więcej, na równi ze mną lękała się władzy i temperamentu swego ojca. Ufałem jej, rzecz jasna.

Ufałem na tyle, na ile zaufałbym każdej innej młodej istocie o silnej woli, istocie znajdującej się w pierwszym rozkwicie kobiecości, w noc taką jak ta, samej w ciemnościach z przystojnym i równie namiętym młodym żołnierzem, w którym była totalnie zadurzona.

Mój popłoch nie był spowodowany obawą o kruchą dziewiczość mojej pani – ten złudny talizman, którego utratę rzadko się oplakuje – lecz raczej znacznie bardziej wymiernym zagrożeniem mojej własnej skóry. Rankiem mieliśmy wrócić do Karnaku i do pałacu mojego pana, księcia Intefa, gdzie znajdzie się wiele chętnych języków gotowych zrelacjonować mu każdą niedyskrecję czy potknięcie z naszej strony.

Szpiedzy mego pana obecni byli we wszystkich warstwach społeczeństwa i wszystkich rejonach kraju, od doków i pól do samego pałacu faraona. Liczebnie przewyższali nawet moich, gdyż miał on do dyspozycji więcej pieniędzy na opłacenie swych agentów, choć wielu z nich służyło bezstronnie nam obu i nasze sieci przecinały się na wielu poziomach. Gdyby Lostris okryła hańbą nas

wszystkich - ojca, rodzinę i mnie, jej wychowawcę i opiekuna - mój pan, ksiązę Intef, dowiedziałby się o tym przed świtem, podobnie jak ja.

Szukając jej, przebiegłem okręt wzdłuż i wszerz. Wspiąłem się na wieżę rufową i w rozpaczy przepatrywałem brzeg. Nie dostrzegłem ani jej, ani Tanusa, co tylko podsycało me najgorsze obawy.

Nie mogłem się zdecydować, gdzie powinienem ich szukać w tę szaloną noc. Przyłapałem się na tym, że załamuję ręce w mękach bezsilności i natychmiast kazałem sobie przestać. Zawsze dokładam wszelkich starań, by uniknąć okazywania pozorów zniewieściałości. Jakże nie znoszę tych opasłych, mizdrzących się i krygujących istot, które zostały okaleczone podobnie jak ja. Zawsze staram się zachowywać jak mężczyzna, a nie jak eunuch.

Opanowałem się siłą woli i przybrałem tę samą chłodną, pełną zdecydowania pozę, jaką tyle razy widziałem u Tanusa w ogniu bitwy. Wtedy powróciła mi zdolność logicznego rozumowania i ponownie zacząłem myśleć racjonalnie. Począłem rozważać, jak mogła się zachować moja pani. Oczywiście znałem ją bardzo dobrze. Obserwowałem ją w końcu przez czternaście lat. Pojąłem, że jest za bardzo wybredna i świadoma swego szlchetnego pochodzenia, by mieszać się z pijanym, nieokrzesanym motłochem na plaży lub by wślizgnąć się w krzaki i zabawiać się w stwora o podwójnym grzbiecie tak jak widziani przeze mnie żeglarz i tłusta stara nierządnicą. Wiedziałem, że nie wolno mi brać nikogo do pomocy

w poszukiwaniach, gdyż wtedy z pewnością wieść o tym dotarłaby do uszu mojego pana, księcia Intefa. Musiałem sobie radzić sam.

Do jakiegoż sekretnego miejsca pozwoliłaby się zaprowadzić Lostris? Jak większość młodych dziewcząt w jej wieku opętana była ideą czulej miłości. Wątpiłem, iż mimo niewątpliwych starań jej czarnoskórych dziewczek, które chciały oświecić ją w tej materii, choć raz poważniej zastanawiała się nad bardziej przyziemnymi aspektami kontaktu fizycznego. Gdy podjąłem próbę ostrzeżenia w takiej przynajmniej mierze, by ochronić ją przed samą sobą, co należało do moich obowiązków, nie okazała nawet zbytniego zainteresowania szczegółami technicznymi tej czynności.

Uświadomiłem sobie, że szukać jej należy w miejscu, jakie odpowiadałoby sentymentalnym wyobrażeniom o miłości. Gdyby na pokładzie „Oddechu Horusa” znajdowała się kabina, popędziłbym do niej, lecz nasze okręty rzeczne to niewielkie, zwykłe okręty bojowe, ogołoczone ze wszystkiego, co zbędne, by osiągnąć maksymalną szybkość i manewrowość. Załoga śpi na gołym pokładzie, a kapitanowi i jego oficerom za schronienie przed nocą służy zasłona z trzciny. Tej zaś jeszcze nie rozstawiono, tak więc tutaj nie mieli gdzie się ukryć.

Karnak i pałac odległe były o pół dnia drogi. Niewolnicy dopiero rozbijali nasze namioty na jednej z małych przybrzeżnych wysepek, wydzielonej, by zapewnić naszej grupce odosobnienie od mas prostej ludności. Opóźnienie

było efektem opieszałości niewolników, których wciągnęły świąteczne uroczystości. W świetle pochodni widać było, że paru z nich zmagając się z linami z największym trudem trzyma się na nogach. Nie wzniesli jeszcze osobistego namiotu Lostris, więc luksusowa wygoda dywanów, haftowanych draperii, puchowych materacy i lnianej pościeli nie była kochankom dostępna. Gdzież więc mogli być?

W tejże chwili moją uwagę przykuł bladożółty blask pochodni na zatoce. Momentalnie doszła do głosu intuicja. Zrozumiałem, że zważywszy na związek mojej pani z bóstwem Hapi, świątynia na malowniczej granitowej wysepce na środku zatoki była miejscem, które przyciągnęłoby Lostris z nieodpartą mocą. Przepatrzyłem brzeg w poszukiwaniu sposobu dotarcia tam. Choć do plaży przycumowały flotyle drobnych stateczków, większość przewoźników waliła się z nóg z przepicia.

Wtedy na brzegu dostrzegłem Kratasa. Strusie pióra na hełmie sterczały wysoko nad tłumem, a jego dumna postawa rzucała się w oczy.

- Kratasie! - wrzasnąłem ku niemu, on zaś spojrzał na mnie ponad wodą i pokiwał dłonią.

Kratas był pierwszym zastępcą Tanusa i, poza mną, najpewniejszym z ciżby jego przyjaciół. Mogłem mu zaufać w sprawie, której nie śmiałem powierzyć nikomu innemu.

- Przeprowadź mi łódź! - krzyknąłem. - Byle jaką łódź!

Byłem tak oszalały ze zdenerwowania, a mój głos tak piskliwy, że nie miał kłopotu ze zrozumieniem mych słów.

Ten człowiek nie miał zwyczaju tracić czasu na pytania czy wahanie. Podszedł do najbliższej wyciągniętej na brzeg feluki. Przewoźnik leżał na jej dnie niczym kłoda. Kratas wziął go za kark i podniósł, po czym rzucił na brzeg. Przewoźnik nawet się nie poruszył, leżał odurzony tanim winem, w takiej pozycji, w jakiej cisnął go Kratas. Oficer własnoręcznie zepchnął łódź na wodę i kilkoma ruchami wiosła popchnął ją pod „Oddech Horusa”. Tak się spieszyłem, że stoczyłem się z wieży i wylądowałem na dziobie stateczka.

- Do świątyni, Kratasie - poprosiłem, podnosząc się z dna łodzi - i oby słodkie bóstwo Hapi sprawiło, byśmy nie przybyli za późno.

Wieczorna bryza wypełniająca żagiel feluki przeniosła nas przez mroczne wody do kamiennego nabrzeża poniżej świątyni. Kratas przymocował cumę do pierścienia i najwyraźniej chciał zejść za mną na brzeg, lecz go powstrzymałem.

- Dla dobra Tanusa, nie mojego - powiedziałem mu - nie idź za mną, błagam.

Zawahał się przez moment, po czym skinął głową.

- Poczekam, aż zawołasz. - Obnażył swój miecz i podał mi go rękojeścią do przodu. - Przyda ci się?

- To nie ten rodzaj niebezpieczeństwa. A gdyby nawet, mam sztylet. Lecz doceniam twoje zaufanie.

Pozostawiłem go w łodzi i pospieszyłem granitowymi schodami ku wejściu do świątyni Hapi.

W czerwonym, pulsującym świetle pochodni z sitowia umieszczonych w obejmach na wysokich kolumnach po obu stronach wejścia naścienne płaskorzeźby zdawały się ożywać i tańczyć. Hapi jest jednym z moich ulubionych bóstw. Dokładnie rzecz ujmując, nie jest ani bogiem, ani boginią, lecz dziwną, brodatą, hermafrodytyczną istotą wyposażoną w masywny członek i w odpowiednio przepastną pochwę oraz obfite piersi, obdarzające wszystkich mlekiem. Jest deifikacją Nilu oraz bóstwem żniw. Dwa królestwa Egiptu i wszyscy ich mieszkańcy są całkowicie uzależnieni od niej i cyklicznych wylewów wielkiej rzeki – jej alter ego. Hapi potrafi zmieniać płeć, a także, jak wielu innych bogów Egiptu, przybierać postać dowolnego zwierzęcia. Ulubionym przebraniem Hapi jest kształt hipopotama. Mimo niejednoznacznej płciowości tego bóstwa, Lostris zawsze uważała je za istotę żeńską, tak jak i ja. Kapłani Hapi mogą mieć odmienny pogląd na tę sprawę.

Wizerunki na ścianach przedstawiały postać o obfitych kształtach, uosobienie macierzyństwa. Namalowane ognistą czystą czerwienią, żółcią i błękitem Hapi spogląda statecznie z góry. Łagodnie pochylona głowa hipopotamicy zachęcała całą naturę do owocowania i rozmnażania. Ta zachęta przyprawiała mnie o jeszcze większy niepokój. Obawiałem się, że moja bezcenna podopieczna w tej właśnie chwili korzysta w pełni z pobłażliwości bogini.

Przy bocznym ołtarzu klęczała kapłanka, podbiegłem więc do niej, chwyciłem za skraj szaty i szarpnąłem

niecierpliwie.

- Święta siostrze, powiedz, czy widziałaś panią Lostris, córkę wielkiego wezyra?

Niewielu obywateli Górnego Egiptu nie znało z widzenia mojej pani. Wszyscy kochali ją za jej urodę, radosne i słodkie usposobienie, toteż z okrzykami entuzjazmu tłoczyli się wokół niej na ulicach i targowiskach, kiedy opuszczała pałac.

Bezzębna i pomarszczona kapłanka uśmiechnęła się do mnie i kościstym palcem dotknęła swego nosa z tak szelmowską i znaczącą miną, że potwierdziła moje najgorsze obawy.

Szarpnąłem nią ponownie, tym razem mniej łagodnie.

- Gdzie ona jest, szacowna matko? Zaklinam cię, mów!

Ale ona nic nie powiedziała, potrząsnęła jedynie głową i wskazała oczyma na portale wewnętrznej świątyni.

Pognałem po granitowych płytach. Serce galopowało mi szybciej od stóp. Mimo strapienia zadziwiłem się śmiałością mojej pani. Choć należała do najdostojniejszej arystokracji i miała dostęp do największych świętości, to czy znalazłby się w całym Egipcie ktoś inny, kto miałby czelność wybrać takie miejsce na miłosną schadzkę?

Zatrzymałem się przed wejściem do sanktuarium. Mój instynkt mnie nie zawiódł. Tak jak się obawiałem, byli tam oboje. Byłem do tego stopnia pewien, co się dzieje, że omal nie wrzasnąłem, by przestali. Ale się pohamowałem.

Moja pani stała w pełni odziana, bardziej nawet niż zazwyczaj, bo piersi okryła zarzuconym na głowę

niebieskim szalem z wełny. Klęczała przed gigantycznym posągiem Hapi. Okryta wieńcami z błękitnych lilii wodnych statua bóstwa górowała nad nią.

Tanus klęczał przy niej. Jego broń i zbroja leżały z boku, przy wejściu do sanktuarium. Miał na sobie jedynie lnianą koszulę i krótką tunikę, a na nogach sandały. Młoda para trzymała się za ręce, stykając się nieomal twarzami i szeptała razem z powagą.

Moje nikczemne podejrzenia rozwiały się, ogarnęły mnie wstyd i skrucha. Jak mogłem choć przez moment zwątpić w moją panią? Zacząłem się po cichu wycofywać, lecz zamierzałem pójść tylko do bocznego ołtarza, aby podziękować bóstwu za opiekę. Stąd też mogłem dyskretnie obserwować dalszy rozwój wydarzeń.

Ale w tejże chwili Lostris powstała i nieśmiało zbliżyła się do posągu. Byłem tak oczarowany jej dziewczęcym wdziękiem, że przystanąłem jeszcze na chwilę, by się jej przyjrzeć.

Lostris zdjęła z szyi figurkę z lapis-lazuli, którą dla niej zrobiłem. Z żalem zrozumiałem, że ma zamiar podarować ją bogini jako ofiarę. W ten klejnot włożyłem całą miłość do mej pani i bolało mnie, że ona zdejmuje go z szyi. Lostris wspięła się na palce, by zawiesić figurkę na posągu. Potem przyklęknęła i pocałowała kamienną stopę, Tanus przypatrywał się temu, wciąż klęcząc tam, gdzie go pozostawiła.

Lostris wstała, odwróciła się, by wrócić do Tanusa, i dostrzegła mnie przycajonego w wejściu. Usiłowałem

wycofać się w cień, gdyż krępowało mnie szpiegowanie tak intymnej chwili. Twarz wszakże rozjaśniła się radością i, zanim zdołałem się wymknąć, podbiegła do mnie, po czym chwyciła moją dłoń.

- Och, Tafto, tak się cieszę, że tu jesteś... Właśnie ty! To takie odpowiednie. Teraz wszystko jest idealne.

Wprowadziła mnie do sanktuarium, a Tanus podniósł się i podszedł do nas z uśmiechem, po czym ujął moją drugą rękę.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Wiem, że zawsze możemy na ciebie liczyć.

Chciałem, by moje intencje były tak czyste, jak im się wydawało, więc swe zbrukane serce ukryłem pod pełnym miłości uśmiechem.

- Klęknij tutaj! - rozkazała Lostris. - Tu, skąd będziesz słyszał każde słowo, jakie między nami padnie. Będziesz za nas świadczyć przed Hapi i wszystkimi bóstwami Egiptu.

Pchnęła mnie na kolana, a potem oboje wrócili na dawne miejsce przed boginią i ujęli się za ręce, patrząc sobie głęboko w oczy.

Lostris odezwała się pierwsza.

- Jesteś moim słońcem - wyszeptała. - Mrok spowija me dni bez ciebie.

- Jesteś Nilem mego serca - odrzekł cicho Tanus. - Wody twej miłości karmią mą duszę.

- Jesteś moim mężczyzną w tym świecie i wszystkich przyszłych światach.

- Jesteś moją kobietą i ślubuję ci miłość. Klnę się na oddech i krew Horusa - powiedział wyraźnie i głośno Tanus, a jego głos odbił się echem po kamiennych komnatach.

- Przyjmuję twoje ślubowanie i zwracam ci je po stokroć - krzyknęła Lostris. - Nikt nie jest w stanie wejść pomiędzy nas. Nic nie jest w stanie nas rozdzielić. Jesteśmy jednym na wieki.

Pochyliła swą twarz ku niemu, a on pocałował ją mocno i długo.

O ile mi było wiadomo, był to pierwszy pocałunek tej pary. Poczułem się zaszczycony możliwością uczestniczenia w tak intymnej chwili.

Gdy się objęli, nagły chłodny powiew wiatru znad laguny wdarł się do słabo oświetlonych komnat świątyni, przyduszając płomienie pochodni, tak że przez moment twarze kochanków rozmyły się przed moimi oczyma, a postać bóstwa zdała się poruszać i dygotać. Wiatr ucichł tak szybko, jak się zerwał, lecz jego szept wśród wielkich kamiennych kolumn brzmiał niczym odległy sardoniczny śmiech bogów i zadrzałem, ogarnięty przesadną bojaźnią.

Wzbudzanie ciekawości bogów wymyślnymi żądaniami jest zawsze rzeczą niebezpieczną, a Lostris poprosiła właśnie o niemożliwe. Oto nadeszła chwila, której zbliżania świadom byłem od lat i której obawiałem się bardziej niż dnia mojej własnej śmierci. Ślubowaniu, jakie złożyli sobie Tanus i Lostris, nie mogli dochować wierności. Nieważne jak bardzo w nie wierzyli, nie mogło ono stać się

rzeczywistością. Gdy wreszcie przerwali pocałunek i odwrócili się oboje ku mnie, poczułem, że serce mi pęka.

- Skąd ten smutek, Taito? - zapytała Lostris, a na jej twarzy malowała się najczystsza radość. - Ciesz się wraz ze mną, bo jest to najszczęśliwszy dzień mego życia.

Zmusiłem me usta do uśmiechu, lecz nie byłem w stanie znaleźć żadnego słowa pociechy czy gratulacji dla tych dwojga, dla tych, którzy byli mi najdrożsi na tym świecie. Trwałem więc na klęczkach z idiotycznym uśmiechem przyklepionym do warg i rozpaczą w duszy.

Tanus postawił mnie na nogi i objął ramieniem.

- Przemówisz w moim imieniu przed księciem Intefem, prawda? - zapytał, ściskając mnie.

- Och, tak, Taito - przyłączyła się do jego prośby Lostris. - Mój ojciec cię wysłucha. Ty jeden możesz to dla nas zrobić. Nie zawiedziesz nas, Taito? Nigdy mnie nie zawiodłeś, nigdy przez całe moje życie. Zrobisz to dla mnie, powiedz, że tak.

Cóż miałem im rzec? Nie mogłem być tak okrutny, by wyjawić im nagą prawdę. Nie potrafiłem znaleźć słów, by zniszczyć ich świeżą i delikatną miłość. Czekali na moją odpowiedź, na wyraz radości z powodu tego, co uczynili, na obietnicę pomocy i wsparcia. Lecz ja stałem sparaliżowany, w ustach miałem sucho, jakbym ugryzł niedojrzały owoc granatu.

- Taito, o co chodzi? - Widziałem, jak radość znika z twarzy mej pani. - Dlaczego się z nami nie cieszysz?

- Wiesz, że kocham was oboje, ale... - nie byłem w stanie kontynuować.

- Ale? Ale co, Taito? - zażądała Lostris. - Dlaczego masz dla mnie tylko „ale” i ponurą minę w tym najszcześniejszym ze wszystkich dni? - Zaczynał ogarniać ją gniew, zacisnęła usta, a w oczach pojawiły się łzy. - Nie chcesz nam pomóc? Tyle warte są wszystkie obietnice, jakie mi składałeś przez te lata? - Podeszła do mnie i zbliżyła twarz do mojej w niemym wyzwaniu.

- Pani, proszę, nie mów do mnie w ten sposób. Nie zasługuję na takie traktowanie. Nie, posłuchaj mnie! - Przyłożyłem jej palec do ust, uprzedzając kolejny wybuch. - To nie ja. To twój ojciec, mój pan, księżę Intef...

- No właśnie! -Lostris odtrąciła niecierpliwie moją dłoń. - Mój ojciec! Udasz się do niego i przemówisz doń tak, jak to zawsze robisz, i wszystko będzie w porządku.

- Lostris. - zacząłem, a fakt, że pozwoliłem sobie na taką poufałość, by użyć jej imienia, był dowodem mej rozpacz - nie jesteś już dzieckiem. Nie wolno ci zwodzić się dziecinnymi fantazjami. Dobrze wiesz, że twój ojciec nigdy się nie zgodzi...

Nie chciała mnie słuchać, nie chciała usłyszeć prawdy, jaką bym jej wyjawiał, więc zasypała mnie słowami, by zagłuszyć moje:

- Wiem, że Tanus nie jest majętny, zgoda. Lecz ma za to przed sobą wspaniałą przyszłość. Pewnego dnia stanie na czele wszystkich armii Egiptu. Pewnego dnia stoczy boje, które zjednoczą oba królestwa, a ja będę u jego boku.

- Pani, wysłuchaj mnie, proszę. Nie chodzi jedynie o to, że Tanus nie ma majątku. Chodzi o więcej, znacznie więcej.

- Jego pochodzenie i wychowanie zatem? Czy to cię kłopotczy? Dobrze wiesz, że jego rodzina jest równie szlachetna jak nasza. Pianki, księżę Harrab, był równy memu ojcu i był jego najdroższym przyjacielem.

Lostris pozostała głucha na moje słowa. Nie pojmowała złożoności tragedii, w jaką wkraczaliśmy. Nie pojmowała tego ani ona, ani Tanus, lecz po prawdzie ja byłem chyba jedyną osobą w królestwie, która rozumiała to dogłębnie.

Ochraniałem ją przed prawdą przez wszystkie te lata i oczywiście nigdy też nie byłem w stanie wyjawić jej Tanusowi. Jak mógłbym więc wyznać ją teraz? Jak mógłbym ukazać głębię nienawiści, jaką jej ojciec żywił dla młodego mężczyzny, którego kochała? Nienawiści zrodzonej z poczucia winy i zazdrości, a z tychże powodów tym bardziej nieprzejednanej.

Mój pan, księżę Intef, był wszakże sprytnym i podstępny człowiekiem. Umiał skrywać swe uczucia przed otoczeniem. Potrafił schować swą nienawiść i niechęć, całując tego, kogo zamierzał zniszczyć, obsypując go darami i usypiającymi czujność pochlebstwami. Posiadał cierpliwość zagrzebanego w mule rzeczno wodopoju krokodyla, czatującego na niepodejrzewającą zagrożenia gazelę. Umiał czekać przez lata, nawet i przez dziesięciolecie, lecz gdy nastęczała się okazja, uderzał i porywał swoją ofiarę z bystrością tegoż gada.

Lostris pozostawała w błogiej nieświadomości na temat przepastnych otchłani animozji jej ojca. Wierzyła nawet, że kochał Piankiego, księcia Harrab, tak jak ojciec Tanusa jego kochał. Lecz z drugiej strony jak miała znać prawdę, skoro zawsze skrywałem ją przed nią? W swej słodkiej niewinności Lostris wierzyła, że jedynymi zastrzeżeniami, jakie ojciec mógłby wysunąć wobec jej ukochanego, były te dotyczące majątku i pochodzenia.

- Wiesz, że to prawda, Taito. Tanus jest mi równy urodzeniem. To zostało zapisane w archiwach świątynnych, wszyscy mogą to sprawdzić. Jak mój ojciec może temu zaprzeczyć? Jak ty możesz temu zaprzeczyć?

- Nie do mnie należy zaprzeczenie ani uznanie...

- W takim razie udasz się w naszym imieniu do mojego ojca, czyż nie, kochany Taito? Powiedz tak, proszę, powiedz tak!

Mogłem tylko pochylić głowę na znak zgody, a także by ukryć malujący się w moich oczach brak nadziei.

Powracająca do Karnaku flota została bardzo obciążona. Okręty zanurzały się głęboko pod ciężarem surowych skór i solonego mięsa. Nasza podróż pod prąd Nilu była zatem wolniejsza niż w stronę przeciwną, lecz mimo wszystko zbyt szybka dla mego ciężkiego serca i rosnącego przestachu.

Kochanków przepełniała radość i euforia wywołana świeżo wyznaną miłością i ufnością w moją umiejętność usunięcia z ich drogi wszystkich przeszkód. Nie potrafiłem zmusić się do tego, by pozbawić ich tego dnia radości, gdyż wiedziałem, że jest to jeden z ostatnich radosnych dni, jakie

będą ich udziałem. Sądzę, że gdybym tylko znalazł odpowiednie słowa lub zebrał się na odwagę, zachęciłbym ich, tam i wtedy, do spełnienia miłości, czemu byłem tak przeciwny poprzedniej nocy. Taka szansa nie mogła się już więcej powtórzyć, skoro tylko moja z góry skazana na niepowodzenie próba swatania zaalarmuje mojego pana, księcia Intefa. Gdy dowie się, co knują, wkroczy między nich i rozdzieli na zawsze.

Zamiast tego śmiałem się i uśmiechałem równie beztrosko jak oni, starając się ukryć przed nimi me obawy. Miłość tak ich zaślepiała, że mi się to udało, choć w każdych innych okolicznościach moja pani przejrzałaby tę grę w mgnieniu oka. Zna mnie w końcu prawie tak dobrze jak ja ją.

Siedzieliśmy we trójkę na dziobie i omawialiśmy przedstawienie ukazujące mękę Ozyrysa, które stanowić miało punkt kulminacyjny święta. Mój pan, książę Intef, uczynił mnie reżyserem przedstawienia, a ja obsadziłem Lostris i Tanusa w głównych rolach.

Święto odbywa się co dwa lata, w czasie pełni księżyca Ozyrysa. Niegdyś stanowiło ono coroczną uroczystość. Jednakże wydatki i zakłócenia w królewskim życiu spowodowane przeprowadzką dworu z Elefantyny do Teb były tak znaczne, że faraon zarządził dłuższy odstęp między świętami. Nasz monarcha zawsze roztropnie rozporządzał swym złotem.

Na powrót pochłonęły mnie przygotowania do spektaklu, odwracając uwagę od nieuniknionej konfrontacji z moim

panem, księciem Intefem. Przepytowałem kochanków z ich kwestii. Lostris miała grać Izydę, żonę Ozyrysa, podczas gdy Tanus wziął na siebie główną rolę Horusa. Niezmiernie bawiło ich to, że Tanus ma przedstawiać syna Lostris, więc musiałem wytłumaczyć, że bogowie nie mają wieku, toteż jest całkiem możliwe, by bogini wyglądała młodziej od swego potomka.

Na potrzeby przedstawienia napisałem nowy tekst, który zastąpić miał stary, niezmienny od prawie tysiąca lat. Jego język był archaiczny i nie odpowiadał współczesnej publiczności. Faraon miał być honorowym gościem podczas wystawiania widowiska w świątyni Ozyrysa w ostatnią noc święta, tak więc szczególnie zależało mi na odniesieniu sukcesu. Już uprzednio napotkałem sprzeciw wobec nowej wersji ze strony co bardziej konserwatywnych arystokratów i kapłanów. Jedynie interwencja mojego pana, księcia Intefa, zdołała stłumić te sprzeciwy.

Mój pan nie jest człowiekiem głęboko religijnym i nie wtrącałby się normalnie do sporów natury teologicznej. Napisałem wszakże kilka wersów, które miały go rozbawić, a zarazem mu schlebić. Przeczytałem je wyrwane z kontekstu, a potem taktownie zaznaczyłem, że głównym oponentem mojej wersji jest arcykapłan Ozyrysa, surowy starzec, który niegdyś pokrzyżował zamiary mego pana, księcia Intefa, wobec urodziwego młodego akolity. Tego wykroczenia mój pan nigdy kapłanowi nie wybaczył.

Dzięki temu moja wersja zostanie wykonana po raz pierwszy. Aktorzy koniecznie musieli ukazać całą świetność

tej poezji, gdyż inaczej mogłoby to być ostatnie jej wykonanie.

Zarówno Tanus, jak i Lostris obdarzeni byli wspaniałymi głosami, a w dodatku starali się ze wszystkich sił wynagrodzić mnie za to, że obiecałem im pomoc. Dali z siebie wszystko, więc próba ta była tak absorbująca, ich recytacje zaś tak świetne, że na chwilę mogłem zapomnieć o frasunku.

Dopiero okrzyk obserwatora na dziobie odwrócił moją uwagę od boskich namiętności i skierował ją ku przyziemnym troskom. Flota pokonywała już ostatni zakręt rzeki i oto ukazały się bliźniacze miasta Luksor i Karnak, składające się razem na Wielkie Teby, rozciągnięte przed naszymi oczyma wzdłuż brzegu i migoczące niczym perłowy naszyjnik w ostrym egipskim słońcu. Nasze fantazyjne interludium dobiegło końca i musieliśmy ponownie stawić czoło rzeczywistości. Poderwałem się na równe nogi.

- Tanusie, zanim zbliżymy się bardziej do miasta, musisz przekazać Lostris i mnie na okręt Kratasa. Słudzy mego pana będą z lądu obserwować powrót. Nie mogą ujrzeć nas w twoim towarzystwie.

- Troszkę za późno, prawda? - uśmiechnął się Tanus. - Powinieneś był o tym pomyśleć ładnych parę dni temu.

- Mój ojciec wkrótce dowie się o nas - poparła jego sprzeciw Lostris. - Może twoja misja stałaby się łatwiejsza, gdybyśmy uprzedzili go o naszych zamiarach?

- Skoro wicie lepiej, musicie przeprowadzić to na wasz sposób, a ja nie będę się więcej wtrącał do waszego

szalonego przedsięwzięcia.

Przybrałem najsztynniejszą i najbardziej urażoną z moich pów, a oni ulegli natychmiast.

Tanus przywołał galereę Kratasa i kochankom pozostało jedynie parę minut na wymienienie pożegnań. Nie odważyli się objąć na oczach połowy floty, lecz spojrzenia i przesycone miłością słowa, jakie między nimi padły, były równie wymowne.

Z wieży rufowej okrętu Kratasa pomachaliśmy „Oddechowi Horusa”, gdy ten oddalił się od nas i z wiosłami migoczącymi niczym skrzydła ważki popędził ku swemu miejscu cumowania przed miastem Luksor, podczas gdy my podążyliśmy dalej w górę rzeki, ku pałacowi wielkiego wezyra.

Gdy tylko przybiliśmy do pałacowego nabrzeża, zasięgnąłem języka na temat miejsca pobytu mego pana i z ulgą dowiedziałem się, że przeprowił się przez rzekę, by przeprowadzić ostatnią inspekcję grobowca faraona i grobowej świątyni na zachodnim brzegu. Świątynia i grób króla wznoszone były przez ostatnie dwanaście lat, od dnia gdy po raz pierwszy założył podwójną białą i czerwoną koronę dwóch królestw. Były już bliskie ukończenia, więc król z pewnością zechce je odwiedzić, gdy tylko zakończy się święto i wolno mu będzie to uczynić. Memu panu, księciu Intefowi, zależało na tym, by władca nie doznał rozczarowania. Jednym z rozlicznych tytułów mego pana był strażnik grobów królewskich, a wiązała się z nim poważna odpowiedzialność.

Dzięki jego nieobecności zyskałem dodatkowy dzień na przygotowanie mej prośby i zaplanowanie strategii. Niemniej uroczysta obietnica, jaką wymusili na mnie kochankowie, zobowiązywała mnie do przemówienia w ich imieniu przy pierwszej nadarzającej się okazji i wiedziałem, że stanie się to rankiem dnia następnego, gdy mój pan odprawiać będzie cotygodniowe sądy.

Gdy tylko dopilnowałem ukrycia mej pani w haremie, pospieszyłem do własnych apartamentów w skrzydle pałacu przeznaczonym dla szczególnych towarzyszy wielkiego wezyra.

Sprawy rodzinne mego pana, księcia Intefa, były równie pokrętne jak i całe jego życie. Miał osiem żon, z których każda do łoża małżeńskiego wniosła znaczący posag albo szerokie powiązania polityczne. Tylko trzy wszakże spośród nich urodziły mu dzieci. Oprócz mej pani, Lostris, było jeszcze dwóch synów.

O ile mi wiadomo, a wiedziałem o wszystkim, co działo się w pałacu, oraz o większości z tego, co zdarzało się poza nim, mój pan nie odwiedził haremu przez ostatnie piętnaście lat. Spładzając Lostris, po raz ostatni wypełnił swą małżeńską powinność. Jego preferencje seksualne skierowane były w inną stronę. Specjalnymi towarzyszami wielkiego wezyra, mieszkającymi w naszym skrzydle pałacu, była najpiękniejsza kolekcja niewolników w całym Górnym Królestwie, gdzie w ciągu ostatniego stulecia pederastia stała się ulubionym zajęciem większej części arystokracji w miejsce niegdyś preferowanych łowów. Był

to jeszcze jeden symptom choroby, jaka drążyła nasz piękny kraj.

Byłem najstarszym spośród tej dobranej gromadki niewolników. W przeciwieństwie do wielu innych, których przez te lata mój pan posłał na sprzedaż, gdy tylko piękno ich ciała poczynało więdnąć czy blaknąć, utrzymałem swoją pozycję. Mój pan nauczył się cenić mnie za inne zalety niż tylko urodę cielesną. Nie żeby ta zbladła - wręcz przeciwnie, stała się jeszcze bardziej uderzająca, gdy dojrzałem. Nie wolno wam uważać mnie za próżnego, skoro o tym wspominał, gdyż postanowiłem zawrzeć w tej relacji samą prawdę. Jest ona godna uwagi bez uciekania się do fałszywej skromności z mojej strony.

Nie, mój pan rzadko czerpał teraz przyjemność z mego ciała, za które to zaniedbanie byłem mu prawdziwie wdzięczny. Czynił to, gdy chciał mnie ukarać. Świetnie wiedział, że jego zaloty były dla mnie źródłem fizycznego bólu i upokorzenia. Choć jeszcze jako dziecko nauczyłem się skrywać odrazę i udawać, że czerpię rozkosz z perwersyjnych czynności, do których mnie zmuszał, nigdy nie udało mi się go zwieść.

O dziwo, niesmak i odraza, jakie żywiłem wobec tych nienaturalnych stosunków, nigdy nie umniejszały jego przyjemności, a wręcz zdawały się ją pomnażać. Mój pan, książę Intef, nie znał ani łagodności, ani współczucia. Przez te lata naliczyłem setki niewolnych chłopców, których przyprowadzano do mnie wstrząśniętych i zalanych łzami po pierwszej nocy miłości z moim panem. Opatrywałem ich

i robiłem co w mojej mocy, by ich pocieszyć. Prawdopodobnie z tego powodu w apartamentach niewolników nazywano mnie *Akh-Ker*, imieniem oznaczającym Starszego Brata.

Może nie byłem już ulubioną zabawką mego pana, lecz stałem się dla niego o wiele cenniejszy. Byłem dla niego czymś znacznie więcej - lekarzem i artystą, muzykiem i skrybą, architektem i rachmistrzem, doradcą i powiernikiem, inżynierem i piastunem jego córki. Nie jestem na tyle naiwny, by sądzić, że mnie kochał albo że mi ufał, ale myślę, iż czasami był tego tak bliski, jak tylko potrafił. Oto dlaczego Lostris nakłoniła mnie do wstawienia się za nią.

Mój pan, książę Intef, nie miał serca dla swojej córki, interesowało go wyłącznie utrzymanie jej optymalnej wartości jako partii małżeńskiej, co między jednym wylewem Nilu a drugim okazało się jeszcze jednym powierzonym wyłącznie mnie obowiązkiem. Bywało, że nie odzywał się do niej ani słowem. Nie poświęcał również uwagi regularnym raportom z przebiegu jej nauki i kształcenia, jakie mu składałem.

Oczywiście cały czas starałem się ze wszystkich sił ukryć przed nim moje prawdziwe uczucia wobec Lostris, zdając sobie sprawę z tego, iż bez wątpienia przy pierwszej sposobności użyłby tej wiedzy przeciw mnie. Zawsze usiłowałem dać mu do zrozumienia, że nauczanie i opiekę nad nią uważam za męczący obowiązek i czuję do niego lekki żal za zrzucenie go na moje barki, a także iż

podzielał jego pogardę i niechęć do kobiet. Nie sądzę, by kiedykolwiek uświadomił sobie, że choć jestem kastratem, płęć przeciwną darzę uczuciami i pożądaniem normalnego mężczyzny.

To z powodu braku zainteresowania mego pana swą córką czasami ulegałem pokusie i dawałem się namówić mej pani na podjęcie tak szaleńczego ryzyka, jakim była nasza ostatnia eskapada na pokładzie „Oddechu Horusa”. Zawsze pozostawała jakaś szansa, że ujdzie nam to na sucho.

Tego wieczoru udałem się wcześniej do swych prywatnych komnat, gdzie pierwszą troską było nakarmienie i dopieszczenie moich ulubieńców. Kocham ptaki i zwierzęta, potrafię się z nimi porozumieć w sposób zadziwiający nawet mnie samego. Zawarłem intymną przyjaźń z tuzinem kotów, jako że nikt nie ma prawa twierdzić, iż posiada kota. Z drugiej strony, byłem właścicielem stada pięknych psów. Tanus i ja używaliśmy ich do polowań na antylopy i lwy na pustyni.

Dziki ptaki zlatywały się na taras, by korzystać z gościnności, jaką im okazywałem. Wrzaskliwie współzawodniczyły ze sobą o miejsce na moim ramieniu czy dłoni. Najśmielsze potrafiły brać jedzenie spomiędzy mych warg. Oswojona gazela ocierała się o moje nogi niczym kot, a dwa sokoły skrzeczały ze swych stanowisk na tarasie. Były to rzadkie pustynne rarogi, piękne i ogniste. Gdy tylko mogliśmy, Tanus i ja zabieraliśmy te ptaki na pustynię, by puszcząć je przeciw gigantycznym dropiom. Wielką

przyjemność sprawiały mi ich szybkość i gracia, z jaką spadały na swoją ofiarę. Każdy inny człowiek próbujący się z nimi bawić poznałby ostrość żółtych zakrzywionych pazurów, lecz w stosunku do mnie były łagodne jak wróble.

Dopiero gdy zadbałem o moją menażerię, wezwałem niewolnika, by przyniósł wieczorny posiłek. Na tarasie wychodzącym na rozległy zielony bezmiar Nilu smakowałem wyborne danie z dzikiej przepiórki ugotowanej w miodzie i kozim mleku, przyrządzone przez głównego kucharza specjalnie, by przywitać mnie w domu. Z tego miejsca mogłem wypatrywać łodzi mego pana powracającej z drugiego brzegu. Nadpłynęła wraz z zachodzącym słońcem płonącym na pojedynczym kwadratowym żaglu. Upadłem nieco na duchu, bo mógł wezwać mnie tego wieczoru, a ja nie byłem gotów, by przed nim stanąć.

Z ulgą więc usłyszałem, że Rasfer, komendant gwardii pałacowej, woła obecnego ulubieńca mego pana, zaledwie dziesięcioletniego beduińskiego chłopca o śliwkowych oczach. Chwilę później usłyszałem, że Rasfer wlecze dziecko obok moich drzwi ku przesłoniętemu zasłoną wejściu do komnat wielkiego wezyra, a ono protestuje przestraszonym dyszkantem. Choć już wielokrotnie byłem tego świadkiem, nie potrafiłem utwardzić mego serca na głosy dzieci i poczułem znajome ukłucie współczucia. A jednak zadowolony byłem, że to nie mnie wezwano tego wieczoru. W nocy musiałem się spokojnie wyspać, by raniem wyglądać jak najlepiej.

Zbudziłem się przed świtem z nieodstępującym mnie wciąż ani na krok uczuciem lęku. Nawet rytualna kąpiel w chłodnych wodach Nilu nie zdołała go rozproszyć. Pospieszyłem z powrotem do komnaty, gdzie dwaj niewolnicy czekali, by naoliwić mi ciało i ułożyć włosy. Nie znosiłem panującej wśród arystokracji nowej mody na noszenie makijażu. Moja skóra i cera są na tyle ładne, że nie muszę ich upiększać, lecz mój pan lubi, by jego chłopcy się malowali, a ja szczególnie w tym dniu chciałem sprawić mu przyjemność.

Choć odbicie w lustrze z brązu dodało mi otuchy, nie miałem apetytu na śniadanie. Jako pierwsza osoba w najbliższym otoczeniu mego pana oczekiwałem jego nadejścia w ogrodzie wodnym, gdzie urzędował co rano.

Dopóki nie zebrała się reszta dworu, przypatrywałem się krzątaniu zimorodków. Osobiście zaprojektowałem ten ogród i nadzorowałem jego budowę. Był to wspaniały kompleks stawów i kanałów, w których nieustannie cyrkulowała woda. Kwitnące rośliny, sprowadzone z krańców królestwa i spoza jego granic, grały wszystkimi kolorami. Stawy wypełnione były setkami gatunków ryb, jakie Nil oddaje rybackim sieciom, lecz wskutek dokonywanych przez zimorodki spustoszeń ich ławice musiały być codziennie uzupełniane.

Mój pan, książę Intef, lubił przyglądać się ptakom, które nieruchomiały w powietrzu niczym klejnoty z lapis-lazuli, by chwilę później pikować w dół, uderzyć z rozbryzgiem w wodę i wzlecieć ponownie ze srebrzystą iskrą tańczącą

w długich szponach. Wydaje mi się, że uważał się za podobnego im drapieżnika, rybaka ludzi, i że ptaki uznawał za istoty pokrewne sobie. Nigdy nie pozwalał ogrodnikom ich przeganiać.

Stopniowo przyłączali się do mnie pozostali dworzanie. Wielu nie zdążyło się ufryzować i jeszcze ziewało. Mój pan, książę Intef, wstaje wcześniej, gdyż woli załatwić większość spraw państwowych, zanim upała stanie się nie do zniesienia. W pierwszych promieniach słońca czekaliśmy więc z szacunkiem na jego pojawienie się.

- Jest dzisiaj w dobrym nastroju - wyszeptał szambelan, zajmując miejsce obok mnie.

Poczułem delikatne ukłucie nadziei. Ciągle jeszcze miałem szansę uniknąć poważnych konsekwencji nieroztropnej obietnicy danej Lostris.

Gdy mój pan, książę Intef, wyszedł do nas, wśród czekających zapanowało poruszenie, rozległy się szmery, podobne tym, które towarzyszą rzecznej bryzie przedzierającej się przez zarośla papirusu.

Jego krok był stateczny, nosił się bowiem godnie, gdyż otaczała go potęga jego władzy i ciężar dźwiganych zaszczytów. Na piersiach miał Złoto Chwały, naszyjnik z czerwonego złota z kopalni Lotu, który na szyję włożył mu własnoręcznie faraon. Poprzedzał go obwoływacz, krzywonogi karzeł wybrany dla swego niekształtnego ciała i donośnego głosu. Mego pana bawiło otaczanie się rzeczami godnymi uwagi ze względu na ich groteskowość

lub piękno. Błaznując i podskakując na wygiętych nogach, karzeł wygłaszał długą listę tytułów i odznaczeń księcia.

- Podziwiajcie podporę Egiptu! Pozdrówcie strażnika wód Nilu! Ukorzcie się przed towarzyszem faraona!

Wszystko to były tytuły nadane przez króla i z wieloma z nich wiązały się określone funkcje i obowiązki. Przykładowo jako strażnik wód Nilu mój pan był odpowiedzialny za nadzorowanie wysokości i tempa przepływu wód sezonowych wylewów Nilu, który to obowiązek oczywiście powierzył swemu wiernemu i niezmordowanemu niewolnikowi Taicie.

Spędziłem pół roku z zespołem pracujących pod moim nadzorem inżynierów i matematyków, mierząc i kształtując skaliste klify w Asuanie, tak by można było dokładnie ustalić wysokość wzbierającej wody i wyliczyć rozmiary wylewu. Dzięki temu byłem w stanie z wyprzedzeniem oszacować rozmiary przyszłych zbiorów. Umożliwiało to administracji przewidywanie głodu i urodzaju oraz podejmowanie odpowiednich przygotowań. Faraon był zachwycony moją pracą i obdarzył mego pana, księcia Intefa, dalszymi zaszczytami i nagrodami.

- Zegnijcie kolana przed nomarchą Karnaku i zarządcą wszystkich dwudziestu dwóch nomów Górnego Egiptu! Pozdrówcie pana nekropolii i strażnika królewskich grobów!

Te tytuły zobowiązywały mego pana do planowania, budowania i utrzymywania pomników faraonów zarówno tych dawno zmarłych, jak i żyjącego obecnie. Również te

obowiązki zrzucone zostały na barki cierpliwego niewolnika. Wczorajsza wizyta mego pana w grobowcu faraona była pierwszą, jaką tam złożył od poprzedniego święta Ozyrysa. To ja posyłany byłem w kurzu i upale, by łagodzić pochlebstwami lub besztać łgających budowniczych i niedbałych kamieniarzy. Często żałowałem, iż pozwoliłem, by mój pan dostrzegł szeroki zakres mych uzdolnień.

Wywołał mnie teraz z tłumu, choć pozornie nie uczynił żadnego gestu. Spojrzenie jego żółtych oczu, nieprzejednane niczym wzrok lamparta, zatrzymało się na mnie i mój pan delikatnie skinął głową. Podążyłem za nim, gdy mnie mijał. Jak zwykle wielkie wrażenie wywarł na mnie jego wzrost i szerokość ramion. Był niezwykle przystojnym mężczyzną o długich, kształtnych kończynach i twardym, płaskim brzuchu. Gęste, lśniące włosy wyglądały jak lwia grzywa. Był wtedy człowiekiem czterdziestoletnim, ja zaś jego niewolnikiem od lat prawie dwudziestu.

Mój pan powiódł nas do altany w centrum ogrodu, krytej trzciną konstrukcji bez ścian, otwartej na chłodną bryzę znad rzeki. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na wyłożonej kamiennymi płytami podłodze, przy niskim stoliku, na którym leżały dokumenty państwowe, ja zaś zająłem me zwykle miejsce za jego plecami. Rozpoczął się kolejny dzień urzędowania.

Dwukrotnie w ciągu tego poranka książę Intef pochylił się lekko w moją stronę. Nie odwrócił głowy, nie wyrzekł też ani słowa, oczekiwał jednak mojej rady. Prawie nie

poruszałem ustami, gdy odpowiadałem tak cicho, że nie słyszał mnie nikt inny, a zaiste niewielu było w ogóle świadomych wymiany uwag między nami.

Raz wyszeptalem: „To kłamca”, potem zaś: „Retik to lepszy kandydat na to stanowisko, a ponadto ofiarował pięć złotych pierścieni jako prezent dla prywatnej szkatuły mego pana”. A także, choć o tym nie wspomniałem, kolejny złoty pierścień dla mnie, jeśli otrzyma tę posadę.

W południe książę Intef odprawił zgromadzonych urzędników i petentów, po czym zażądał zwykłego o tej porze posiłku. Po raz pierwszy tego dnia zostaliśmy sami, nie licząc Rasfera, komendanta gwardii pałacowej, a jednocześnie i państwowego kata, który objął teraz posterunek przy bramie prowadzącej do ogrodu. Był widoczny z altany, lecz pozostawał poza zasięgiem głosu.

Mój pan niedbałym gestem przywołał mnie do siebie, bym skosztował rozłożonych przed nim smakowitych mięs i owoców. Gdy czekaliśmy na wystąpienie u mnie ewentualnych objawów otrucia, szczegółowo omówiliśmy sprawę wynikłe podczas porannej sesji.

Następnie zaczął mnie wypytywać o przebieg wyprawy na zatokę Hapi i wielkich łowów na hipopotamy. Opisałem mu wszystko z detalami, podając wysokość dochodu, jakiego mógł oczekiwać ze sprzedaży mięsa, skór i zębów rzecznej trzody. Odrobinę zawyżyłem szacunki, on zaś się uśmiechnął. Jego uśmiech jest szczery i ujmujący. Kto go widział, bez trudu pojmie łatwość, z jaką mój pan, książę Intef, manipuluje ludźmi i sprawuje nad nimi władzę.

Jeszcze raz uspił nim moją czujność, choć kto jak kto, ale ja powinienem pamiętać, że należy mieć się na baczności.

Gdy mój pan zaczął jeść soczysty płat filetu z hipopotama, wziąłem głęboki oddech, zebrałem się na odwagę i rozpocząłem przedstawianie mojej prośby.

- Mój pan musi wiedzieć, że pozwoliłem jego córce, by towarzyszyła mi podczas wyprawy.

Po jego oczach poznałem, że już o tym słyszał i że spodziewał się, iż będę próbował to przed nim zataić.

- Nie pomyślałeś o tym, by przedtem uzyskać moją zgodę? - zapytał łagodnie.

Uniknąłem jego wzroku i skupiłem się na obieraniu winogrona.

- Poprosiła dopiero wtedy, gdy mieliśmy już wyruszać. Jak wiesz, panie, patronuje jej Hapi, pragnęła więc oddać mu cześć i złożyć ofiarę w świątyni na zatoce.

- A jednak nie zapytałeś mnie, czy się zgadzam? - powtórzył, a ja podałem mu winogrono.

Rozchylił wargi i pozwolił mi włożyć je do ust. To mogło oznaczać jedynie, że był przychylnie do mnie nastawiony, tak więc nie poznał jeszcze całej prawdy o Tanusie i Lostris.

- Mój pan naradzał się wówczas z nomarchą Asuanu. Nie ośmieliłbym się przeszkadzać ci, panie. Ponadto, nie dostrzegalem w tym niczego szkodliwego. Była to mało ważna decyzja w sprawach domu, którą uznałem za niegodną twej uwagi.

- Wygadany jesteś, co, mój drogi? - zachichotał. - Jak ślicznie dziś wyglądasz. Podoba mi się makijaż na twoich

powiekach... Jakich pachnideł używasz?

- Otrzymuje się je z płatków dzikich fiołków - odparłem. - Cieszę się, że ci się podobają, bo przyniosłem flakon jako skromny podarunek dla ciebie, mój panie.

Wyciągnąłem flakonik z woreczka i padłem na kolana, by mu go wręczyć. Mój pan wsunął mi palec pod brodę i uniósł moją głowę, by pocałować mnie w usta. Posłusznie oddałem pocałunek, a on odsunął się i poklepał mnie po policzku.

- Niezależnie od tego, co knujesz, wciąż jesteś bardzo pociągający, Taito. Nawet po tylu latach potrafisz sprawić, bym się uśmiechnął. Teraz powiedz mi, czy dobrze opiekowałeś się panią Lostris? Ani na moment nie spuściłeś jej z oka?

- Jak zawsze, mój panie - zgodziłem się skwapliwie.

- Tak więc nie ma niczego niezwykłego, o czym chciałbyś mi donieść w związku z nią?

Nadal klęczałem przed nim, lecz tym razem nie zdołałem mu odpowiedzieć. Nagle zaschło mi w gardle.

- Nie piszcz tak, kochany - zaśmiał się. - Mów jak mężczyzna, nawet jeśli nim nie jesteś.

Przytyk był wyjątkowo okrutny, lecz to właśnie on przywrócił mi odwagę.

- W rzeczy samej jest coś, na co chciałbym z całą pokorą zwrócić uwagę mego pana-powiedziałem. - I zaiste dotyczy to pani Lostris. Jak już informowałem, czerwony księżyc twej córki wszedł po raz pierwszy wraz z wylewem wielkiej rzeki. Od tego czasu powracał regularnie co miesiąc z podobną siłą.

Mój pan skrzywił się z niesmakiem, czując odrazę do szczegółów funkcjonowania kobiecego ciała. Dostrzegałem w tym pewną ironię, zważywszy na jego zainteresowanie znacznie mniej pociągającymi częściami męskiej anatomii.

- Pani Lostris osiągnęła już wiek, w którym dziewczyna staje się zdatna do małżeństwa - ciągnąłem pospiesznie. - Jest kobietą o ognistym i namiętym usposobieniu. Uważam, że rzeczą roztropną byłoby jak najszybsze znalezienie dla niej małżonka.

- Bez wątplenia chcesz mi kogoś zaproponować? - zapytał sucho.

- Rzeczywiście, jest pewien kandydat do jej ręki - skinąłem głową.

- I to nie jeden, Taito. Chciałeś powiedzieć kolejny, prawda? Wiem o przynajmniej sześciu, w tym o nomarsze Asuanu i gubernatorze Lotu, którzy złożyli propozycje.

- Istotnie, myślałem o kolejnym kandydacie, lecz tym razem jest to ktoś, na kogo zgadza się pani Lostris. Jak z pewnością pamiętasz, nomarchę określiła mianem tłustej ropuchy, gubernatora zaś nazwała starym sprośnym kozłem.

- Aprobata czy też niechęć dziecka nie obchodzą mnie w najmniejszym stopniu - potrząsnął głową i zachęcająco pogładził mój policzek. - Ale mów dalej, Taito, wyjaw mi imię tego usychającego z miłości młodzieńca, który chce uczynić mi ten zaszczyt i zostać moim zięciem w zamian za największy posąg w Egipcie. - Zebrałem się w sobie, by mu

odpowiedzieć, lecz on mnie powstrzymał. – Nie, zaczekaj! Niech zgadnę.

Dobrze mi znany przebiegły, lisi grymas zajął miejsce uśmiechu i pojąłem, że mój pan przez cały czas jedynie bawił się ze mną.

– Żeby spodobał się Lostris, musi być młody i przystojny. – Udał, że się zastanawia. – A żebyś ty przemówił w jego imieniu, musi być twoim przyjacielem albo protegowanym. Ów ideał musiał mieć okazję, by wyznać jej swe uczucia i zapewnić sobie twe poparcie. Zastanawiam się, jaka pora i jakie miejsce byłyby ku temu najodpowiedniejsze? Być może było to o północy w świątyni Hapi? Czy jestem na właściwym tropie, Taito?

Poczułem, że blednę. Skąd wiedział aż tyle? Mój pan przesunął mi dłońią po głowie i zaczął pieścić kark – tak rozpoczynały się zwykle jego zaloty, zanim przystąpił do rzeczy – potem pocałował mnie ponownie.

– Z wyrazu twojej twarzy wnioskuję, że moje przypuszczenia nie są dalekie od prawdy. – Chwycił kosmyk moich włosów i pociągnął delikatnie. – Teraz pozostaje już tylko ustalić imię tego śmiałego kochanka. Czy to może Dakka? Nie, nie, Dakka nie jest aż tak głupi, by ściągać na siebie mój gniew. – Pociągnął mocniej, aż łzy nabiegły mi do oczu. – Więc może Kratas? Jest przystojny i dość nieroztropny, by poważić się na takie ryzyko.

Szarpnął ostro i poczułem, że garść włosów pozostała w jego dłoni. Zdusiłem rodzący się w gardle jęk.

- Odpowiedz mi, mój kochany, czy był to Kratas? - przydusił mi twarz do swych kolan.

- Nie, mój panie - szepnąłem z bólem.

Nie zdziwił mnie wcale fakt, że był bardzo podniecony. Przycisnął moją twarz do swego ciała i przytrzymał nieruchomo.

- Nie Kratas, jesteś tego pewien? - udał zaskoczonego. - Jeżeli nie był to Kratas, pojęcia nie mam, któż inny mógłby być tak bezczelny, tak zuchwały i tak śmiertelnie głupi, by zbliżyć się do dziewiczej córki wielkiego wezyra Górnego Egiptu.

Nagle podniósł głos.

- Rasfer! - zawołał.

Wykręcił mi przyciśniętą do jego ciała głowę tak, że przez zasnutę łzami oczy mogłem patrzeć na zbliżającego się Rasfera.

W asuańskiej menażerii faraona na wyspie Elefantynie znajdował się olbrzymi czarny niedźwiedź, przywieziony przed wieloma laty ze Wschodu przez jedną z karawan kupieckich. Ten złośliwy, poznaczony bliznami bydlak zawsze przywodził mi na myśl komendanta straży przybocznej mego pana. Jeden i drugi odznaczał się identycznym, wielkim, bezkształtnym cielskiem oraz dziką, pierwotną siłą zdolną człowieka zmiażdżyć. Jeżeli wszakże chodzi o urodę i łagodność charakteru, niedźwiedź znacznie przewyższał Rasfera.

Patrzyłem teraz, jak Rasfer zbliża się truchcikiem, zadziwiająco szybkim i zwawym jak na jego ciężkie,

klocowate nogi i wydęty owłosiony bandzioch. Nagle przeniosłem się myślą wstecz przez te lata do dnia, w którym pozbawiono mnie męskości.

Wszystko wydawało się tak znajome, jak gdyby zmuszano mnie do przeżycia raz jeszcze owego straszego dnia. Każdy jego szczegół pozostawał w mej pamięci tak wyraźny, że miałem ochotę krzyczeć. Aktorzy tej tragedii pozostali ci sami. Mój pan, książę Intef, Rasfer oprawca i ja. Brakowało jedynie dziewczyny.

Na imię miała Alida. Była w moim wieku, słodka niewinnością szesnastu lat. Podobnie jak ja była niewolnicą. Pamiętam ją jako piękność, lecz możliwe, że to pamięć płata mi figle, jako że gdyby tak było w istocie, znalazłaby się w haremie któregoś z wielkich rodów, nie zaś w kuchni. Wiem z pewnością, że jej skóra miała barwę i połysk polerowanego bursztynu, była ciepła i delikatna. Nigdy nie zapomnę dotyku ciała Alidy, gdyż nigdy nie doświadczę już czegoś podobnego. W naszej niedoli znajdowaliśmy w sobie odpoczynek i głęboką pociechę. Nigdy się nie dowiedziałem, kto nas wydał. Zazwyczaj nie jestem mściwy, lecz wciąż marzę o tym, że pewnego dnia odnajdę osobę, która nas zdradziła.

Byłem w owym czasie faworytem mego pana, jego ulubioną zabawką. Gdy dowiedział się, że byłem mu niewierny, urażone poczucie własnej godności doprowadziło go na krawędź szaleństwa.

Przyszedł po nas Rasfer. Zawlókł nas do komnaty mego pana, dzierżąc po jednym w każdej ręce z taką łatwością,

jakbyśmy byli parą kociąt. Potem rozebrał nas do naga, a mój pan, książę Intef, siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami jak teraz. Rasfer skrępował nadgarstki i kostki Alidy rzemieniami z niewyprawionej skóry. Dziewczyna była blada i drżąca, ale nie płakała. Moja miłość do niej i mój podziw dla jej odwagi nigdy nie były większe niż w owej chwili.

Mój pan, książę Intef, gestem wezwał mnie, bym ukląkł przed nim, ujął w palce kosmyk mych włosów i zaczął szeptać czułe słówka.

„Kochasz mnie, Taito?” – zapytał, a ponieważ bałem się i ponieważ w jakiś niejasny sposób miałem nadzieję, że oszczędzi to bólu Alidzie, odparłem: „Tak, mój panie, kocham cię”. „Kochasz kogoś jeszcze, Taito?” – dociekał jedwabistym głosem, a ja, tchórz i zdrajca, jakim byłem, odpowiedziałem: „Nie, mój panie, kocham jedynie ciebie”. Dopiero wtedy usłyszałem szloch Alidy. Ten dźwięk przepełnił mnie bólem, jednym z największych w moim życiu. „Przyprowadź tę zdzirę tutaj! – zawołał mój pan do Rasfera. – Ustaw ją tak, by mogli się dobrze widzieć. Taita musi zobaczyć wszystko, co się będzie z nią działo”. Gdy Rasfer popchnął Alidę przed moje oczy, dostrzegłem na jego twarzy szydery uśmiech. Wtedy mój pan podniósł nieco głos: „Tak jest dobrze, Rasfer, możesz robić swoje”.

Rasfer nasunął pętlę z niewyprawionego rzemienia na czoło Alidy. Na rzemieniu, w niewielkich odstępach od siebie, związane były węzły, tak że przypominał opaski noszone przez beduińskie kobiety. Stojąc za dziewczyną,

Rasfer wsunął krótką, mocną pałkę z drzewa oliwnego pod rzemienną pętlę i obrócił ją, tak że rzemień przylgął do gładkiego, nieskazitelnego czoła. Węzły z surowej skóry wcięły się w ciało i Alida skrzywiła się z bólu.

„Powoli, Rasfer – ostrzegł go mój pan. – Mamy jeszcze wiele do zrobienia”.

Pałka z oliwnego drewna wydawała się dziecięcą zabawką w wielkich, owłosionych łapach Rasfera. Okręcał ją z powolnym rozmysłem, za każdym ruchem o ćwierć obrotu. Węzły wrzynały się głębiej, Alida otworzyła usta, oddychała spazmatycznie. Krew odpłynęła spod jej skóry, a ciało przybrało barwę zimnego popiołu. Z wysiłkiem napełniła płuca powietrzem, a potem z jej gardła wyrwał się długi, przenikliwy krzyk.

Wciąż uśmiechnięty, Rasfer przekręcił pałkę i sznur skórzanych węzłów zagłębił się w czole Alidy. Czaszka zmieniła kształt. Początkowo składałem to na karb mego przemęczonego umysłu, lecz później pojąłem, że ta głowa rzeczywiście zwięzła się i wydłużała wraz z zaciskaniem się pętli. Krzyk był teraz jednym, nieprzerwanym skowytem, rozdzierającym me serce niczym ostrze miecza. Rozbrzmiewał bezustannie chyba przez całą wieczność.

Wreszcie czaszka się rozprysnęła. Usłyszałem, jak z dźwiękiem, jaki wydaje kokos miażdżony szczękami pożywiającego się słonia, pęka kość. Przerażający, przeszywający krzyk urwał się ostro, ciało Alidy zwisło w rękach Rasfera, a moją duszę przeppełnił ból i rozpacz.

Po chwili, która zdawała się trwać wieki, mój pan podniósł mą głowę i spojrzał mi w oczy. Z pełnym żalu i smutku wyrazem twarzy powiedział: „Ona odeszła, Taito. Była zła i sprowadziła cię na złą drogę. Musimy sprawić, żeby to się nie powtórzyło. Musimy ochronić cię przed podobnąpokusą”. Ponownie dał znak Rasferowi, który chwycił nagie ciało Alidy za stopy i wywłókł je na taras. Jej zgnieciona głowa podskakiwała na schodach, wlokąc za sobą wachlarz włosów. Jednym pchnięciem masywnych ramion Rasfer cisnął zwłoki do rzeki daleko od brzegu. Bezwładne kończyny zatrzepotały, gdy uderzyły o powierzchnię wody. Zatonęła szybko, a włosy rozłożyły się na falach niczym dryfujące liście rzecznych wodorostów.

Rasfer odwrócił się i przeszedł na skraj tarasu, gdzie dwaj jego ludzie pilnowali kosza wypełnionego płonącym węglem. Obok niego na drewnianej tacy rozłożony był komplet narzędzi chirurgicznych. Rasfer omiótł je wzrokiem i skinął z zadowoleniem głową. Wrócił do nas i skłonił się przed mym panem. „Wszystko gotowe”.

Mój pan jednym palcem otarł mą posmuzoną łzami twarz, potem przytknął palec do ust, jak gdyby smakując mój żal.

„Chodź, mój kochany” – szepnął i, poderwawszy mnie na nogi, wyprowadził na taras.

Byłem tak oszołomiony i ślepy od łez, że dopiero gdy żołnierze pochwycili mnie, zdałem sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa. Rzucono mnie na wyłożoną ceramicznymi płytkami posadzkę, rozpostarto ramiona,

unieruchomiono nadgarstki i kostki, tak że poruszać mogłem jedynie głową.

Książę Intef przyklęknął nad nią, Rasfer zaś ukląkł pomiędzy moimi rozwartymi udami.

„Nigdy więcej nie uczynisz tej ohydnej rzeczy, Taito”.

Dopiero wtedy zauważyłem brązowy skalpel, skrywany przez Rasferę w prawej dłoni. Mój pan skinął głową, a kat sięgnął wolną dłonią, uchwycił mnie i rozciągnął, tak że miałem uczucie, jakby przez krocze wywlekał mi wnętrzności.

„Jakąż piękną parę jaj my tu mamy! – Rasfer wyszczerzył zęby i pokazał mi skalpel, przytrzymując go przed moimi oczyma.

– Zaraz nakarmię nimi krokodyle tak samo jak twoją przyjaciółką”. – Pocałował ostrze.

„Proszę, mój panie – zacząłem żebrać. – Miej litość...”.

Lecz moje błagania zakończył przeraźliwy krzyk, gdy Rasfer przeciągnął ostrze. Czułem się tak, jakby ktoś wepchnął mi w brzuch rozgrzany do czerwoności szpikulec.

„Pomachaj im na do widzenia, śliczny chłopczyku!”.

Rasfer podniósł worek z pomarszczonej skóry i jego żalostną zawartość. Potem chciał powstać, lecz mój pan go zatrzymał. „Jeszcze nie skończyłeś – rzekł cicho. – Chcę wszystko”.

Rasfer patrzył na niego przez chwilę, nie pojmując polecenia. Potem zaczął chichotać tak, że aż zatrzęsł się jego brzuch.

„Na krew Horusa - wykrztusił - od teraz śliczny chłopczyk będzie kuczał jak dziewczyna, gdy zachce mu się sikać”. - Ciął ponownie, a potem, zanosząc się śmiechem, uniósł kawałek mięsa, który niegdyś był najbardziej intymną częścią mego ciała.

„Nie martw się, chłopcze. Znacznie łatwiej ci się będzie chodziło, jak nie będziesz musiał nosić tego ze sobą”.

Zataczając się ze śmiechu, ruszył ku krawędzi tarasu, by wrzucić wszystko do rzeki, lecz raz jeszcze mój pan zawołał na niego ostro. „Oddaj mi to!” - rozkazał i Rasfer posłusznie umieścił skrwawione szczątki mej męskości w jego dłoni. Przez parę sekund mój pan przyglądał im się z zainteresowaniem, potem rzekł do mnie: „Nie jestem aż tak okrutny, by na zawsze pozbawiać cię tak wyszukanych trofeów, mój kochany. Poślę je do balsamiarzy, a gdy oni skończą, każę umieścić je w naszyjniku z pereł i lapis-lazuli. Będą prezentem, jaki wręcę ci podczas najbliższego święta Ozyrysa. W ten sposób w dniu twego pogrzebu będą mogły być umieszczone w grobowcu wraz z tobą i, jeżeli bogowie okażą się łaskawi, przydadzą ci się w życiu pozagrobowym”.

Te koszmarne wspomnienia powinny były wygasnąć w chwili, gdy Rasfer zatamował krwawienie chochlą wrzącej żywicy do balsamowania zwłok i natężenie bólu stało się nie do zniesienia, wtrącając mnie w błogosławiony stan nieświadomości. A teraz to wszystko działo się znowu. Tyle że tym razem nie było ze mną małej Alidy, Rasfer zaś

trzymał w wielkiej, włochatej pięści nie nóż kastratora, lecz bat z hipopotamiej skóry.

Bat dorównywał długością zasięgowi rozpostartych ramion Rasfera, zwężając się na końcu do grubości małego palca. Przyglądałem się kiedyś, jak strugał go własnoręcznie, ścinając chropawą zewnętrzną warstwę z długiego pasa wyprawionej skóry, dopóki nie obnażył rdzenia. Co jakiś czas przerywał, by wyważyć ciężar, ciął nim powietrze, aż zaczęło świstać niczym pustynny wiatr pędzący przez wąwozy na wzgórzach Lotu. Bat miał barwę bursztynu, a Rasfer polerował go z zamiłowaniem, aż nadał mu gładkość i przezroczystość szkła, a zarazem taką giętkość, że w jego niedźwiedzich łapach wyginał się w idealny łuk. Zaszła na nim krew setek ofiar, barwiąc jego koniec błyszczącą patyną, niezwykle piękną z estetycznego punktu widzenia.

Rasfer był artystą w posługiwaniu się tym okrutnym narzędziem. Potrafił uderzyć tak, by na delikatnym udzie młodej dziewczyny pozostała jedynie szkarłatna pręga. Nie rozcinał przy tym skóry, lecz ciął równie jadowicie jak skorpion, tak że ofiara wiła się i łkała z bólu. Tuzinem świszających ciosów potrafił też zedrzeć skórę i ciało z ludzkiego grzbietu, obnażyć kręgosłup i żebra.

Stał teraz nade mną, szczerząc zęby i naprężając długi bat w rękach. Kochał swą pracę, mnie zaś nienawidził całą siłą swej zawiści i poczucia niższości, jakie zaszczepiły w nim moja inteligencja, wygląd i uprzywilejowana pozycja.

Mój pan, księżę Intef, pogładził me obnażone plecy i westchnął.

- Czasami jesteś doprawdy nieznośny, mój staruszk. Próbujesz oszukać mnie, któremu winien jesteś najgłębsze oddanie. Nie, więcej niż zwykle oddanie... zawdzięczasz mi swoje istnienie.

- Westchnął ponownie. - Dlaczego stawiasz mnie przed tak nieprzyjemną koniecznością? Powinieneś być na tyle mądry, by nie przedstawiać mi prośby tych dwojga młodych zuchwalców. Próba niedorzeczna, ale chyba rozumiem, dlaczego ją podjąłeś. Dziecinne współczucie stanowi jedną z twoich słabości i prawdopodobnie któregoś dnia doprowadzi cię do całkowitego upadku. Niemniej jednak, zwykle odbieram je jako urocze i miłe, więc z chęcią bym ci to wybaczył, ale nie mogę przeoczyć faktu, że wystawiłeś na szwank rynkową wartość powierzonego twej pieczy towaru. - Poderwał mi głowę, bym mógł mu odpowiedzieć.

- Za to musisz ponieść karę. Rozumiesz?

- Tak, mój panie - wyszeptałem, lecz oczy skierowałem w bok, by obserwować bat w rękach Rasfera.

Mój pan, księżę Intef, ponownie przycisnął mi twarz do swego ciała, a potem ponad moją głowę odezwał się do Rasfera:

- Najlepiej, jak umiesz, Rasferze. Proszę, nie uszkodź skóry. Nie chciałbym, by ten uroczo gładki grzbiet został nieodwracalnie zeszpecony. Na początek starczy dziesięć. Licz głośno.

Widziałem może więcej niż setkę nieszczęśników odbierających podobną karę... Niektórzy byli wojownikami i sławnymi bohaterami, ale żaden nie potrafił zachować milczenia pod batem Rasfera. Zresztą krzyk był najlepszą możliwą taktyką, gdyż Rasfer ciszę traktował jako osobiste wyzwanie dla swych umiejętności. Przemierzywszy już w przeszłości ten gorzki szlak, dobrze o tym wiedziałem. Gotów byłem pozbyć się próżnej dumy i złożyć hołd sztuce Rasfera pełnym gardłem. Nabrałem tchu i przygotowałem się, by wrzasnąć.

- Jeden - chrząknął Rasfer i bat zaśpiewał.

Jak kobieta zapomina z czasem ból porodu i ja zapomniałem jego niezrównane ukłucie, więc wrzasnąłem głośniejsz, niż zamierzałem.

- Masz szczęście, Taito - wymruczał mi w ucho mój pan. - Kazałem kapłanom Ozyrysa dokonać oględzin towaru ostatniej nocy. Nadal jest nietknięty.

Poruszyłem się w jego uścisku. Nie tylko wskutek bólu, lecz i na myśl o tych lubieżnych starych capach oglądających i obmacujących moją dziewczynkę.

Rasfer odprawiał swój własny rytuał, by przeciągnąć karę i mieć pewność, że on jak i jego ofiara w pełni smakować będą tę chwilę. Po każdym uderzeniu obiegał altanę w kółko, pomrukując do siebie słowa namowy i zachęty, trzymając bat w regulaminowy sposób niczym ceremonialny miecz. Gdy ukończył bieg i znalazł się w pozycji do kolejnego uderzenia, wznosił wysoko bat.

- Dwa! - zawołał, a ja wrzasnąłem ponownie.

Gdy utykając z bólu, wlokłem się po schodach z ogrodu, na rozległym tarasie mego mieszkania czekała już na mnie niewolnica Lostris.

- Moja pani rozkazuje ci bezzwłocznie stawić się u niej - powitała mnie.

- Powiedz jej, że jestem niedysponowany - próbowałem wymigać się od wezwania.

Zawołałem niewolnego chłopaka, żeby mnie opatrzył, i poszedłem do komnaty, chcąc pozbyć się dziewczyny. Nie mogłem jeszcze stanąć przed Lostris, bo bałem się donieść jej o mym niepowodzeniu. Wiedziałem, że będę zmuszony skłonić ją, by przestała bujać w obłokach i pogodziła się z faktem, iż jej miłość do Tanusa nie ma przyszłości. Czarnoskóra dziewczyna podążyła za mną, z dreszczem rozkoszy i przerażenia wlepiając wzrok w sine pręgi na moich plecach.

- Idź i powiedz twej pani, że jestem ranny i że nie mogę do niej przyjść - warknąłem przez ramię.

- Powiedziała, że będziesz próbował się wymigać, ale kazała mi zostać z tobą i dopilnować, żeby to ci się nie udało.

- Bezczelna jesteś jak na niewolnicę - skarciłem ją surowo, podczas gdy chłopiec nacierał mi plecy leczniczą maścią sporządzoną według mej własnej receptury.

- Zgadza się - przyznała ta diablica z promiennym uśmiechem. - Zupełnie jak ty - i z łatwością uskoczyła przed wymierzonym jej przeze mnie bez przekonania ciosem.

Lostris stanowczo zbyt łagodnie obchodzi się ze swymi sługami.

- Idź i powiedz twej pani, że przyjdę do niej - skapitulowałem.

- Kazała mi poczekać i upewnić się, że to zrobisz.

Tak więc pod eskortą minąłem strażników przy wrotach haremu. Strażnicy byli eunuchami jak ja, lecz w przeciwieństwie do mnie stali się tędzy i bezpłciowi. Mimo swej korpulentności, a może ze względu na nią, byli silni i gwałtowni. Niemniej jednak to dzięki moim wpływom zapewniłem im obu tę przytulną synekurę, tak więc przepuścili mnie do kobiecych apartamentów z pełnym szacunku pozdrowieniem.

Harem ani wspaniałością, ani wygodami nie dorównywał mieszkaniom niewolnych chłopców, jasnym więc było, w którą stronę zwracały się zainteresowania mego pana, księcia Intefa. Kompleks wzniesionych z glinianych cegieł baraków otaczał wysoki mur także wykonany z gliny. Jedyne ogrody i dekoracje, jakie się w nim znajdowały, to dzieło Lostris i jej służących, w czym wydatnie im pomagałem. Żony wezyra były zbyt otyłe, leniwe i pochłonięte skandalami i intrygami haremu, by się trudzić.

Apartamenty Lostris położone były najbliżej głównej bramy, otoczone uroczym ogrodem z porośniętym liliami stawem i śpiewającymi ptakami ćwierkającymi w klatkach uplecionych z rozszczepionego bambusa. Gliniane mury ozdobione zostały jaskrawymi freskami przedstawiającymi

pejzaże znad Nilu, ryby, ptaki i boginie, namalowane przez nią przy mojej pomocy.

Jej niewolnice skuliły się na progu w cichej grupce, niektóre miały oczy zapuchnięte od płaczu, a łzy płynęły im po twarzach.

Przepchnąłem się do chłodnego, mrocznego wnętrza i natychmiast usłyszałem dochodzące ze środkowej komnaty szlochanie mojej pani. Pospieszyłem do niej, zawstydzony tym, że okazałem się tak nikczemnym tchórzem, iż usiłowałem uniknąć wypełnienia mojej powinności wobec niej.

Leżała z twarzą ukrytą w niskim łożu, całym jej ciałem wstrząsały paroksyzmy rozpacz. Gdy usłyszała, że wchodzę, przekręciła się na pościeli, a następnie pospieszyła do mnie.

- Och, Taito! Tanus ma być wysłany daleko stąd. Faraon przybywa jutro do Karnaku i mój ojciec nakłoni go, by rozkazał Tanusowi przeprowadzić swoją flotyllę w górę rzeki do Elefantyny i katarakt. Och, Taito! Podróż do pierwszej katarakty zajmuje dwadzieścia dni. Nigdy go już nie zobaczę. Chciałabym umrzeć. Rzucę się do Nilu i niech mnie pożrą krokodyle. Nie chcę żyć bez Tanusa...

Powodowana rozpaczą wszystko to wyrzuciła z siebie jednym tchem.

- Cicho, moje dziecko. - Objąłem ją ramionami. - Skąd dowiedziałaś się o tych wszystkich okropieństwach? Być może wcale do tego nie dojdzie.

- Ależ dojdzie. Tanus przesłał mi posłanie. Kratas ma brata w straży przybocznej mego ojca. Podszuchał, jak ojciec omawiał to z Rasferem. W jakiś sposób ojciec dowiedział się o nas. Wie, że byliśmy sami w świątyni Hapi. Och, Taito, przysłał kapłanów, by mnie zbadali. Ci brudni starcy robili ze mną okropne rzeczy. To tak bolało, Taito.

Przytuliłem ją łagodnie. Nie za często mam ku temu sposobność, lecz tym razem Lostris odwzajemniła uścisk ze wszystkich sił. Jej myśli odbiegły od doznanych krzywd i zwróciły się ku kochankowi.

- Nigdy już nie ujrzę Tanusa - zapłakała, co przypomniało mi, że wciąż jest bardzo młoda, że jest nieledwie dzieckiem, wrażliwym i zagubionym w rozpacz. - Mój ojciec go zniszczy.

- Nawet twój ojciec nie jest w stanie skrzywdzić Tanusa - próbowałem ją pocieszyć. - Tanus jest dowódcą pułku doborowej gwardii samego faraona i cieszy się pełną opieką podwójnej korony Egiptu. - Nie dodałem, że był to prawdopodobnie jedyny powód, dla którego jej ojciec jeszcze go nie zniszczył, lecz łagodnie mówiłem dalej. - A jeśli chodzi o to, że nie zobaczysz więcej Tanusa, to przecież będziesz występowała razem z nim w przedstawieniu. Postaram się, byście mogli ze sobą pomówić pomiędzy aktami.

- Teraz mój ojciec na pewno nie dopuści do pokazu.

- Nie ma innego wyjścia, chyba że skłonny jest zrujnować moją sztukę i zaryzykować, że wzbudzi niezadowolenie faraona, a możesz być pewna, że tego nie uczyni.

- To odeśle Tanusa, a Horusem będzie ktoś inny - wychlipała.

- Zostało za mało czasu, by wyszkolić innego aktora. Tanus zagra boga Horusa. Przedstawię to jasno memu panu, księciu Intefowi. Ty i Tanus będziecie mieli okazję porozmawiać. Znajdziemy jakieś wyjście dla was dwojga.

Lostris przełknęła łzy, a jej spojrzenie wyrażało całkowite zaufanie.

- Och, Taito, wiem, że coś wymyślisz. Ty zawsze... - Przerwała nagle i jej twarz spoważniała. Przesunęła dłońmi po moich plecach, wymacując nabrzmiące pręgi, jakie pozostawił bat Rasfera.

- Bardzo mi przykro, pani. Spróbowałem przemówić w imieniu Tanusa, jak ci obiecałem, i tak wyglądają skutki mojej głupoty.

Lostris stanęła za mną, zadarła lekką lnianą tunikę, którą włożyłem, by skryć rany, i jęknęła:

- To robota Rasfera. Och, mój biedny, kochany Taito, dlaczego nie uprzedziłeś mnie, że to się stanie? Dlaczego nie powiedziałeś, że mój ojciec jest tak zdecydowanie przeciwny mojemu związkowi z Tanusem?

Nieomal dech mi zaparło wobec tak jawnej bezczelności, z jaką zostałem potraktowany. Ja, który błagałem i ostrzegałem ich, w rewanżu zostałem oskarżony o nielojalność. Zdołałem jednak zachować spokój, choć plecy nadal paliły mnie żywym ogniem.

Przynajmniej niedola mojej pani poszła w niepamięć na tę chwilę, kiedy przejęła się moimi powierzchownymi

obrażeniami. Poleciała mi, bym usiadł na łóżku i zdjął tunikę, po czym poczęła mnie opatrywać, szczerą miłością i współczuciem nadrabiając brak umiejętności lekarskich. To zajęcie skutecznie wyrwało ją z otchłani rozpacz. Wkrótce paplała już w swoim typowym, impulsywnym stylu, układając plany mające pokrzyżować zamiary jej ojca i ponownie zjednoczyć ją z Tanusem.

Niektóre z tych pomysłów dowodziły jej zdrowego rozsądku, inne zaś, bardziej wydumane, świadczyły jedynie o młodzieńczej ufności oraz o braku wiedzy i doświadczenia w sprawach tego nikczemnego świata.

- Tak doskonale w przedstawieniu zagram rolę Izydy - oznajmiła w pewnym momencie - i tak spodobam się faraonowi, że obieca mi spełnić każdą prośbę, jaką mu przedstawię. Wtedy będę go błagać, by dał mi Tanusa za męża, a on powie... - Tu zaczęła tak zręcznie naśladować pompatyczny, uroczysty ton króla, że mimo woli się uśmiechnąłem. - A on powie: „Ogłaszam zaręczyny Tanusa, księcia Harrab, syna Piankiego, i pani Lostris, córki Intefa, i wynoszę mego wiernego sługę Tanusa do rangi wielkiego lwa Egiptu i dowódcy wszystkich moich armii. Dalej rozkazuję, by wszystkie dawne majątności jego ojca, szlachetnego Piankiego, księcia Harrab, zostały mu zwrócone...”.

W tym miejscu przerwała nagle nakładanie opatrunku i zarzuciła mi ręce na szyję.

- Tak może się zdarzyć, prawda, kochany Taito? Proszę, powiedz, że może.

- Żaden normalny mężczyzna nie mógłby ci się oprzeć, pani - uśmiechnąłem się, rozbawiony jej brakiem realizmu. - Nawet sam wielki faraon.

Gdybym wiedział wówczas, jak bliskimi prawdy okażą się me słowa, położyłbym chyba sobie na języku rozżarzone węgle, zanim je wypowiedziałem.

Nadzieja ponownie rozpromieniła jej oblicze. Była to dla mnie wystarczająca nagroda, przywdziałem więc z powrotem tunikę, by położyć kres zbyt gorliwemu opatrywaniu mego grzbietu.

- Lecz teraz, pani, jeżeli twoja Izyda ma emanować nieodpartym pięknem, musisz odpocząć.

Przyniosłem ze sobą napój z proszku z kwiatów nasennych zwany czerwonym shepennem. Nasiona tej cennej rośliny po raz pierwszy przywiezione zostały do Egiptu przez kupieckie karawany z górzystej krainy gdzieś na wschodzie. Wyhodowałem je w ogrodzie, a gdy opadały płatki, nacinałem łuskę nasienia trójzębnym widelcem ze złota. Z nacięć wypływało gęste, białe mleczko, które zbierałem, suszyłem i przygotowywałem zgodnie z wypracowaną przeze mnie metodą. Uzyskany proszek wywoływał sen, sprowadzał niesamowite wizje i łagodził ból.

- Zostań ze mną jeszcze, Taito - wymruczała, ułożywszy się na łóżku, zwinięta niczym senny kociak. - Utul mnie do snu, tak jak to robiłeś, kiedy byłam dzieckiem.

Biorąc ją w ramiona, pomyślałem, że nadal tym dzieckiem pozostała.

- Wszystko dobrze się skończy, prawda? - szepnęła.

- Będziemy żyli długo i szczęśliwie, tak jak w twoich opowieściach...

Gdy zasnęła, ucałowałem ją delikatnie w czoło i przykryłem futrzaną narzutą, po czym wymknąłem się z komnaty.

Piątego dnia trwania święta Ozyrysa faraon przybył do Karnaku ze swego pałacu w Elefantynie, znajdującego się o dziesięć dni żeglugi szybką rzeczną łodzią w górę rzeki. Zawitał w pełnej glorii, wraz ze wszystkimi dworzanami, by przewodniczyć obrzędom podczas święta bóstwa.

Okręty Tanusa opuściły Karnak trzy dni wcześniej, popłynęły pod prąd, by powitać wielką flotyllę i eskortować ją podczas ostatniego etapu podróży, tak więc ani Lostris, ani ja nie widzieliśmy go od chwili powrotu z wielkich łowów na hipopotamy. Widok wynurzającej się z za zakrętu rzeki, gnanej nurtem i silnym bocznym wiatrem z pustyni jego łodzi sprawił więc nam obojgu niezwykłą radość. „Oddech Horusa” płynął na czele floty, wskazując jej drogę z południa.

Lostris stała za swymi dwoma braćmi, Mensetem i Sobekiem, wśród świty wielkiego wezyra. Obaj byli zgrabni i przystojni, lecz jak na mój gust za wiele mieli z ojca. Nie ufałem zwłaszcza starszemu, Mensetowi, młodszy zaś zawsze szedł w jego ślady.

Ja uplasowałem się bardziej z tyłu, w szarym tłumie dworzan i pomniejszych urzędników, skąd mogłem obserwować Lostris i mego pana, księcia Intefa.

Dostrzegłem, że jej kark rumieni się z radości i podniecenia na widok wysokiej postaci na pokładzie rufowym „Oddechu Horusa”. Łuski napierśnika z krokodylej skóry migotały w słońcu, a chmura strusich piór wieńcząca hełm Tanusa trzepotała na wietrze, co świadczyło o tym, że łódź płynie z dużą szybkością.

Podeksycytowana Lostris podskakiwała, wymachiwała nad głową szczupłymi ramionami, lecz jej piski i błazeństwa gubiły się w ryku olbrzymiego tłumu, który wyległ na oba brzegi Nilu, by powitać swego faraona. Teby są najludniejszym miastem świata. Według moich szacunków prawie ćwierć miliona mieszkańców wyszło na powitanie króla.

Tanus tymczasem nie rozglądał się, lecz patrzył przed siebie, na swój obnażony miecz wzniesiony w powitalnym salucie. Reszta flotylli podążała za „Oddechem Horusa” w szyku zwanym szykiem czapli od kształtu klucza, w jakim ptaki te wracają o zmierzchu do swoich gniazd. Ustawiają się zawsze w linii dwóch boków rozwartego trójkąta. Proporce i bojowe odznaki powiewały w całej okazałości, migocząc tęczowym blaskiem – ten wspaniały widok sprawił, że tłumy zaczęły wiwatować i szaleńczo wymachiwać palmowymi liśćmi.

Po jakimś czasie, kołysząc się ciężko na falach, ukazał się z za zakrętu pierwszy okręt głównego konwoju, pełen wielmożów z królewskiej świty. Za nim podążył kolejny, a dalej cała olbrzymia, bezładna horda małych i dużych statków. W dół rzeki płynęły transportowce wypełnione

sługami pałacowymi i niewolnikami z ich dobytkiem i niezbędnymi sprzętami, barki wyładowane wołami, kozami i kurczakami dla kuchni, złożone i jaskrawo pomalowane okręty wiozące pałacowe meble i skarby, arystokratów i pomniejszych urzędników, wszystko stłoczone razem w sposób mający niewiele wspólnego ze sztuką żeglarską. Jakiż kontrast stanowił pokaz w wykonaniu flotyli Tanusa, ustawionej bokiem do wiatru i utrzymującej regularny szyk mimo bystrego prądu Nilu!

Wreszcie zza zakrętu wyłoniła się z trudem reprezentacyjna barka faraona. Entuzjazm tłumu sięgnął zenitu. Ten olbrzymi statek, największy zbudowany przez człowieka, parł ociężale ku kamiennemu nabrzeżu pod pałacem wielkiego wezyra, gdzie czekaliśmy, by go powitać.

Miałem wiele czasu na przestudiowanie jego szczegółów i rozmyślenia o tym, jak trafnie jego rozmiary, konstrukcja oraz metoda sterowania odzwierciedlają obecną sytuację i sposób sprawowania władzy w naszym Egipcie – Egipcie w dwunastym roku panowania faraona Mamose, ósmego władcy o tym imieniu pochodzącego z tego rodu, a zarazem najsłabszego przedstawiciela biernej i chwiejnej dynastii. Paradna barka miała długość pięciu bojowych okrętów, lecz brak proporcji między szerokością i wysokością boleśnie ranił mój zmysł artystyczny. Masywny kadłub pomalowany został na najmodniejsze w naszych czasach jaskrawe, ostre barwy, a statua Ozyrysa na dziobie pokryta była płatkami prawdziwego złota. Lecz im bliżej miejsca, w którym jej oczekiwaliśmy, znajdował się okręt, tym łatwiej było

dostrzec wyblakłe plamy na olśniewającej kolorami powierzchni i ciemne smugi na burtach w miejscach, gdzie załoga oddawała kał.

Na środku pokładu znajdowała się wyniosła nadbudówka, prywatne apartamenty faraona, tak solidnie skonstruowana z grubych desek z bezcennego cedru i tak wypchana ciężkimi sprzętami, że prędkość i zwrotność barki ulec musiały znacznemu pogorszeniu. Na szczycie tej groteskowej budowli, za ozdobną balustradą uplecioną ze świeżych lilii, pod baldachimem z delikatnie wyprawionej skóry gazeli, umiejętnie zszytej i pokrytej wizerunkami wszystkich ważniejszych bogów i bogiń, siedział w majestatycznym odosobnieniu faraon. Jego stopy obute były w misternie zrobione złote sandały, ciało okrywała szata z czystego lnu, lśniąca niczym spiętrzone cumulusy na letnim niebie. Na głowie nosił wysoką podwójną koronę: białą, z sępią głową bogini Nechbet symbolizującą Górny Egipt, połączoną z czerwoną koroną i głową kobry bogini Wadzet, symbolizującej Deltę.

Mimo posiadania tej korony jak na ironię nasz umiłowany władca utracił Deltę przed bez mała dziesięcioma laty. W naszych burzliwych czasach Dolnym Egiptem rządził inny faraon, również noszący podwójną koronę, a przynajmniej własną jej wersję. Był to oszust, śmiertelny wróg naszego władcy, a jego stale podejmowane przeciwko nam działania wojenne pozbawiały oba królestwa złota i krwi młodych mężczyzn. Egipt był podzielony i rozdarty przez walki wewnętrzne. W ciągu tysiąca lat naszej historii

zawsze tak się działo, gdy słabi ludzie przywdziewali strój faraona. Do władania dwoma królestwami potrzeba silnego, śmiałego i bystrego człowieka.

Aby wykonać tą ciężką barką zwrot pod prąd i przycumować w wyznaczonym przy pałacowym nabrzeżu miejscu, kapitan powinien był prowadzić jednostkę bliżej przeciwległego brzegu. Gdyby tak uczynił, miałby całą szerokość Nilu na wykonanie manewru. Jednak najwyraźniej źle ocenił siłę wiatru i prądu, toteż zarządził zwrot na środku rzeki. Najpierw barka stanęła powoli burtą do nurtu, przechylając się ciężko, gdy wysoka nadbudówka niczym żagiel pochwyciła gorący, pustynny wiatr. Sześciu bosmanów szalało na dolnym pokładzie, unosząc i opuszczając bicz, a uderzenia rzemieni po nagich ramionach wiosłarzy niosły się echem nad wodą.

Pogani biczami niewolnicy pochylali się z pasją nad wiosłami, po obu stronach kadłuba spienili wodę setką wiosła, każdy uderzał w swoim rytmie, nawet nie próbując dostosować swych ruchów do wysiłków pozostałych. Ich przekleństwa i okrzyki mieszały się z wywrzaskiwanymi rozkazami czterech sterników, którzy zmagali się z wiosłem sterowym na rufie. Tymczasem na pokładzie rufowym Nembet, zgrzybiały admirał, a zarazem kapitan barki, to przeczesywał palcami długą, poszarpaną brodę, to wymachiwał rękoma, niespokojny, lecz bezsilny.

Wysoko nad tym pandemonium siedział faraon, nieruchomy niczym posąg, zbyt wyniosły, by zauważyć zamieszanie. Och, doprawdy to był nasz cały Egipt.

Nagle barka zwolniła tempo wykonywania zwrotu, wreszcie stanęła i skierowała się wprost ku nam, stojącym na brzegu. Znalazła się w kleszczach prądu i wiejącego z przeciwnej strony wiatru. Kapitan i załoga mimo szaleńczych, lecz nieskoordynowanych wysiłków nie byli w stanie ani zakończyć manewru i poprowadzić barki z powrotem zgodnie z nurtem, ani też puścić jej w dryf, co by ją uchroniło przed gwałtownym uderzeniem w granitowe bloki nabrzeża i wybiciem dziury w wielkim, złożonym dziobie.

Gdy wszyscy uświadomili sobie, na co się zanosi, entuzjastyczne okrzyki spoglądającego z brzegu tłumu z wolna ucichły i po obu stronach Nilu zapadła przerażająca cisza, w której tym wyraźniej rozbrzmiewały wrzaski i odgłosy chaotycznej krzątania na pokładach olbrzymiego statku.

Nagle wzrok tłumu skierował się w dół rzeki. Napędzany lśniącoymi wiosłami „Oddech Horusa” opuścił swą pozycję na czele eskadry i jak burza pomknął pod prąd. Wiosła opadały, wznosiły się i opadały ponownie w idealnym równym rytmie. Łódź przepłynęła tak blisko dziobu barki, że tłum jęknął bezgłośnie, zagłuszając szmer wiatru w kępach papirusu. Zderzenie wydawało się nieuniknione, lecz w ostatniej chwili Tanus dał sygnał wzniesioną nad głowę zaciśniętą pięścią. Oba rzędy wiosłarzy zanurzyły wiosła, przyciągając je ku sobie, a sternik przerzucił gwałtownie w bok wiosło sterowe.

„Oddech Horusa” wyhamował i uskoczył przed nadciągającą ociężałą wielką barką. Dwa okręty zetknęły się tak delikatnie jak usta w dziewiczym pocałunku i przez mgnienie oka wieża rufowa „Oddechu Horusa” znajdowała się na prawie równej wysokości z głównym pokładem barki.

W tym momencie Tanus znieruchomiał na parapecie wieży.

Zdjął sandały, pozbył się zbroi i odrzucił broń. Wokół pasa obwiązał się lekką lnianą liną. Ciągnąc ją za sobą, skoczył przez szczelinę między okrętami.

Jakby budząc się z odrętwienia, tłum poruszył się i otrząsnął z paraliżu. Jeżeli był jeszcze ktoś nieznaną imienia Tanusa, musiał poznać je przed końcem dnia. Oczywiście Tanus zdobył już sławę w rzecznych bojach z oddziałami uzurpatora z Dolnego Królestwa, lecz dotąd jedynie wojska widziały go w akcji. Opisywane wyczyny nigdy nie są przyjmowane tak jak te oglądane na własne oczy.

Teraz na oczach faraona, królewskiej flotylli i wszystkich mieszkańców Karnaku Tanus przeskoczył z jednego pokładu na drugi i wylądował lekko jak lampart.

- Tanus!

Jestem pewien, że to moja pani Lostris pierwsza wykrzyknęła jego imię, lecz ja byłem drugi.

- Tanus! - wrzasnąłem, a potem wszyscy podchwycili ten okrzyk.

- Tanus! Tanus! Tanus! - wykrzykiwali rytmicznie, jakby recytowali odę do jakiegoś nowo odkrytego boga.

Tanus, gdy tylko wylądował na pokładzie barki, obrócił się i pognał na dziób, wybierając w biegu linę. Załoga jego okrętu splotła jej koniec z ciężką cumą grubości męskiego ramienia. Teraz rzucono ją za burtę. Tanus uskoczył. Potem przeciągnął ją na barwę. Jego plecy i ramiona załśniły od potu.

W tym czasie część członków załogi barki pojęła jego zamiary i podążyła mu z pomocą. Na rozkaz Tanusa ludzie trzykrotnie owinęli cumę wokół bukszprytu barki. Gdy tylko została pewnie zamocowana, Tanus skinieniem dłoni odesłał swój okręt.

„Oddech Horusa” wpadł w nurt rzeki i błyskawicznie nabrał szybkości. Nagle cuma rozwinęła się na całą długość, a masa ciężkiego statku na drugim jej końcu zatrzymała go w miejscu. Przez pełną grozy chwilę myślałem, że okręt przewróci się i zostanie wciągnięty pod powierzchnię, lecz Tanus przewidział siłę szarpnięcia i dał znak swej załodze, by zamortyzowała je umiejętnymi poruszeniami długich wiosel.

Choć zanurzył się tak mocno, że zielona woda przelała się przez rufę, okręt przetrwał niebezpieczeństwo, wyskoczył na powierzchnię i ponownie napiął cumę. Przez długi moment nic się nie działo. Lekki okręt nie miał żadnego wpływu na bezwładność wielkiej barki. Oba statki były spięte razem, jakby krokodyl pochwycił za pysk starego bawołu, lecz nie potrafił ściągnąć go z brzegu. Wówczas stojący na dziobie barki Tanus odwrócił się do zdezorientowanej załogi. Wykonał jeden władczy gest, który

przyciągnął jej uwagę, i nagle w jej postawie zaszła radykalna zmiana. Wszyscy czekali na jego rozkazy.

Dowódcą całej floty faraona w randze wielkiego lwa Egiptu był Nembet. Przed laty jego potęga stawiała go w gronie najmożniejszych, lecz teraz zestarzał się i zniedołężniał. Tanus bez wysiłku przejął komendę, jakby było to coś równie naturalnego jak prąd rzeki czy wiatr, a załoga barki zareagowała bez zastanowienia.

- Do wiosł! - dał znak obsadzie lewej burty, ludzie zaś zgięli grzbiety i z ochotą pociągnęli za wiosła.

- Cała wstecz! - machnął zaciśniętą pięścią ku sterburcie, a żeglarze naparli na wiosła, zanurzając ich ostre pióra głęboko w wodę.

Tanus podszedł do nadburcia i dał sygnał sternikowi „Oddechu Horusa”, po mistrzowsku koordynując wysiłki obu załóg. Lecz barka nadal pędziła ku nabrzeżu. Tylko wąski pas wody oddzielał statek od granitowych bloków.

Wreszcie zareagowała powoli, zbyt powoli. Obracany przez łódź jaskrawo pomalowany dziób począł zawracać do nurtu rzeki. Raz jeszcze okrzyki ucichły i zapadła złowieszcza cisza, gdy czekaliśmy, aż olbrzymi statek uderzy w nabrzeże i wypruje wnętrzości na skałach. Gdyby tak się zdarzyło, dla Tanusa rezultat katastrofy mógł być tylko jeden. Odebrał dowodzenie niedołężnemu admirałowi, musiał więc wziąć na siebie odpowiedzialność za wszystkie błędy starca. Gdy wstrząs zderzenia zrzuci faraona z tronu, gdy podwójna korona potoczy się wraz z utraconą powagą po pokładzie, gdy wreszcie monarsza

barka zatonię pod jego stopami, a on na oczach wszystkich swoich poddanych wyciągnięty zostanie z rzeki niczym tonące szczenię, urażony admirał Nembet i mój pan, książę Intef, podjudzać będą faraona, by cały swój gniew wyładował na butnym, młodym parweniuszu.

Kiedy patrzyłem bezsilnie, drżąc o losy mego drogiego przyjaciela, zdarzył się cud. Barka była już blisko brzegu, a Tanus tak niedaleko od miejsca, w którym stałem, że jego głos rozległ się donośnie.

- Pomóż mi teraz, wielki Horusie! - zawołał.

Nigdy nie wątpiłem, że bogowie czasem przykładają rękę do spraw śmiertelników. Tanus jest człowiekiem Horusa, Horus zaś jest bogiem wiatru.

Pustynny wicher wiał przez trzy dni i trzy noce z zachodnich pustkowi Sahary. Przez cały ten czas dął równie silnie, ani na moment nie przestawał, teraz wszakże ucichł. Nie zelżał stopniowo, lecz po prostu nagle przestał wiać. Drobne fale marszczące powierzchnię rzeki wygładziły się, palmy wzdłuż nabrzeża, nieprzerwanie szumiące swymi liśćmi, znieruchomiały jakby ścięte nagłym przymrozkiem.

Uwolniona z objęć wiatru barka wyprostowała się i poddała wysiłkom „Oddechu Horusa”. Słoniowaty dziób ustawił się pod prąd i statek znalazł się w pozycji równoległej do nabrzeża dokładnie w chwili, gdy jego burta dotknęła ociosanego kamienia, a siła wód Nilu wyhamowała jego pęd, zatrzymując w bezruchu.

Tanus wydał ostatni rozkaz i zanim paradna jednostka zaczęła poruszać się wstecz, na brzeg rzucono cumy, które zostały błyskawicznie pochwycone i przymocowane do kamiennych pachołków przez zręczne dłonie. Lekko, niczym gęsie pierze na wodzie, wielka reprezentacyjna barka spoczywała spokojnie i bezpiecznie przy nabrzeżu. Ani tron, na którym zasiadał faraon, ani wyniosła korona na jego skroni nie zostały poruszone podczas cumowania.

My, gapie, z entuzjazmem wykrzykiwaliśmy pochwały tego wyczynu, więc to imię Tanusa, a nie faraona znalazło się na ustach wszystkich. Tanus skromnie, ale i bardzo roztropnie, nawet nie próbował dziękować wiwatującym. Dalsze ściąganie na siebie uwagi mogłoby umniejszyć przepych ceremonii powitalnej przygotowanej na cześć władcy, a to byłoby zaiste głupotą, która pozbawiłaby go monarszej łaski, jaką zaskarbił sobie swoim wyczynem. Faraon zawsze był zazdrosny o swą królewską pozycję. Dlatego też Tanus przywołał dyskretnie do zewnętrznej burty „Oddech Horusa”. Gdy wielka masa barki skryła łódź przed naszym wzrokiem, zeskoczył na jej pokład, opuszczając scenę, na której tak znacząco się wyróżnił, i pozostawił ją swemu władcy.

Ja jednak dostrzegłem, że gdy Nembet, stary admirał, wielki lew Egiptu schodził na brzeg za faraonem, miał twarz ponurą i wykrzywioną wściekłością. Wiedziałem więc, że Tanusowi przybył kolejny potężny wróg.

Tego samego wieczoru, gdy przeprowadzałem próbę kostiumową sztuki, miałem możliwość spełnić daną Lostris

obietnicę. Przed rozpoczęciem przedstawienia zostawiłem kochanków prawie przez całą godzinę na osobności.

Wokół świątyni Ozyrysa, w której miało się odbyć nasze przedstawienie, rozstawiłem namioty, pełniące funkcję garderób każdego z głównych wykonawców. Namiot Lostris celowo umieściłem w pewnym oddaleniu od pozostałych. Oddzielały go od nich masywne kamienne kolumny wspierające strop świątyni. Podczas gdy ja stałem na straży przy wejściu do namiotu, Tanus odchylił płótno z drugiej strony i wślizgnął się do środka.

Starłem się nie przysłuchiwać okrzykom radości, gdy objęli się po raz pierwszy, ani też szeptom i gruchaniu zakochanych, stłumionemu śmiechowi, ściszonemu jękowi i westchnieniom towarzyszącym ich niewinnej miłości. Choć w tej chwili nie zamierzałem nawet próbować temu zapobiec, przekonany byłem, że nie doprowadzą swej gry do samego końca. Znacznie później zarówno Lostris, jak i Tanus osobno potwierdzili to przekonanie. Moja pani w dniu swego ślubu była dziewicą. Gdyby tylko któreś z nas wiedziało, jak bliski jest ów dzień zaślubin, kto wie, czy nie rozegralibyśmy tego inaczej.

Miałem bolesną świadomość, że każda minuta ich wspólnego pobytu w namiocie zwiększa zagrożenie dla nas wszystkich, ale nie potrafiłem zdobyć się na to, by ich wezwać i rozdzielić. Choć pręgi po bacie Rasfera wciąż paliły mój grzbiet i choć głęboko na dnie duszy, gdzie staram się skryć wszystkie niegodne myśli i instynkty,

równie boleśnie płonęła zazdrość, pozwoliłem im przebywać razem znacznie dłużej, niż powinienem był.

Nie usłyszałem, że nadchodzi mój pan, książę Intef. Kazał podbijać swe sandały najdelikatniejszą kozłą skórką, by tłumiała jego kroki. Poruszał się bezszelestnie niby duch i niejeden dworzanin czy niewolnik poczuł pieśczętę rasferowego bicia lub stryczka z powodu nieostrożnego słowa, które posłyszał mój pan podczas bezgłośnych wędrówek salami i korytarzami pałacu. Niemniej w ciągu wszystkich tych lat wyrobiłem w sobie instynkt, który pozwalał mi zwykle wyczuć jego obecność, zanim jeszcze wyłonił się z cienia. Nie był to instynkt niezawodny, lecz tego wieczoru mnie nie zawiódł. Gdy się obejrzałem, mój pan był prawie przy mnie. Szedł w moją stronę między kolumnami sali hipostylowej, smukły, wysoki i śmiertelnie niebezpieczny jak gotowa do ataku kobra.

- Mój panie! - krzyknąłem tak głośno, że aż sam się wystraszyłem. - To dla mnie zaszczyt, że przybyłeś, by przyglądać się naszej próbie. Będę niezmiernie wdzięczny za wszelkie rady i sugestie... - Wyrzucałem z siebie zdania w zabójczym tempie, starając się ukryć zmieszanie i ostrzec kochanków skrytych w namiocie za moimi plecami.

W obu przypadkach powiodło mi się znacznie lepiej, niż miałem prawo oczekiwać. Z garderoby za mną dobiegł odgłos pełnej konsternacji krzątanimy, gdy kochankowie odskoczyli od siebie, a potem zatrzepotało płótno w tylnej części namiotu, kiedy Tanus wymykał się tą samą drogą, którą wszedł.

Innym razem nie zdołałbym tak łatwo oszukać mego pana, księcia Intefa. Wyczytałby winę z mej twarzy z równą łatwością, jak ja odczytuję hieroglify na ścianach świątyni czy też moje pismo na tym zwoju; lecz tego wieczoru był zaślepiony gniewem i chęcią zrugania mnie za ostatnie wykroczenie. Nie miotał się i nie szalał ze złości. Mój pan jest najniebezpieczniejszy, gdy mówi jedwabistym tonem i uśmiecha się łagodnie.

- Drogi Taito - był to prawie szept - doszły mnie słuchy, że zmieniłeś pewne szczegóły dotyczące pierwszego aktu sztuki, mimo iż sam poleciłem, by znalazły się w przedstawieniu. Nie mogę uwierzyć, żebyś pozwolił sobie na taką butę, więc odbyłem tę daleką drogę, by przekonać się osobiście.

Próżnym trudem byłoby udawać niewinność czy niewiedzę, skłoniłem więc głowę, starając się wyglądać na zasmuconego.

- Mój panie, to nie ja wprowadziłem zmiany. To jego świątobliwość, arcykapłan świątyni Ozyrysa...

- Tak, oczywiście, że on - przerwał niecierpliwie mój pan - lecz dopiero wtedy, gdy wbiłeś mu to do głowy. Czy sądzisz, że nie znam ciebie i tego bełkoczącego starego kapłana? Przez całe życie nie wymyślił nic oryginalnego, ty zaś nie zajmujesz się niczym innym.

- Ależ panie! - zaprotestowałem.

- Jakim podstępny sposobem posłużyłeś się tym razem? Czyżby był to kolejny sen, zesłany ci w najodpowiedniejszym momencie przez bogów? - zapytał

mój pan, głosem tak miękkim jak szelest sunącej po kamiennych płytach posadzki jednej ze świątyni kobr, od których roiło się w świątyni.

- Panie mój!

Robiłem, co w mojej mocy, by wyglądać na zaskoczonego tym oskarżeniem, chociaż w rzeczy samej nakarmiłem dobrego ojca dosyć malowniczą historią o tym, jak Ozyrys nawiedził mnie we śnie pod postacią czarnego kruka, by poskarżyć się na rozlew krwi w swojej świątyni.

Do owego momentu kapłan nie zgłaszał zastrzeżeń do elementów teatru realistycznego, jakie zaplanował książę Intef ku uciechu faraona. Uciekłem się do snów dopiero wtedy, gdy zawiodły wszelkie próby wyperswadowania memu panu tego pomysłu. Głęboką odrazę budziło we mnie uczestniczenie w tak ohydnych dziełach, jakie kazał odegrać w pierwszym akcie sztuki. Oczywiście świadom jestem tego, że pewne dzikie ludy we wschodnich krainach składają swym bogom ofiary z ludzi. Słyszałem, że Kasyci, którzy mieszkają pomiędzy bliźniaczymi rzekami Tygrysem i Eufratem, ciskają noworodki do rozpalonych pieców. Przewodnicy karawan, którym zdarzyło się podróżować przez te odległe ziemie, opowiadają także o innych okropieństwach dokonywanych w imię religii, o dziewicach zarzynanych dla zapewnienia dobrych plonów czy o jeńcach wojennych ścinanych przed posągami trójgłowego boga.

Wszakże my, Egipcjanie, jesteśmy narodem cywilizowanym i oddajemy cześć mądrym i sprawiedliwym bogom, a nie opętanym żądzą mordy potworom.

Próbowałem przekonać o tym mego pana. Zwróciłem mu uwagę, że do tej pory tylko jeden faraon złożył bogom ofiarę z ludzi - był to Menotep, który w świątyni Seta rozplątał gardła siedmiu zbuntowanym książętom, a następnie kazał poćwiartować zwłoki, zabalsamowane kawałki zaś rozesłał zarządcom wszystkich nomów jako ostrzeżenie. Historia wciąż spogląda na ten czyn z niesmakiem, Menotepa natomiast do dzisiaj nazywa Krwawym Królem.

- Nie jest to ofiara z człowieka - zaproponował mój pan. - Jedynie zasłużona egzekucja, wykonana w dosyć nowatorski sposób. Nie zaprzeczysz chyba, drogi Taito, że kara śmierci zawsze stanowiła ważny składnik naszego wymiaru sprawiedliwości? Toż to złodziej. Kradł z królewskiej szkatuły i musi za to umrzeć choćby dla przykładu.

Brzmiało to rozsądnie, tyle tylko, że wiedziałem, iż nie interesuje go sprawiedliwość, lecz raczej ochrona swego własnego skarbcza i wywarcie wrażenia na faraonie, który kochał widowiska i teatr. Tak oto jedyną alternatywą, jaka mi pozostała, było odebranie we śnie ostrzeżenia przeznaczonego dla dobrego ojczulka. Teraz mój pan, książę Intef, rozchylił wargi w uśmiechu, który odsłonił dwa rzędy idealnie równych zębów, a mnie krew stanęła w żyłach i zjeżyły mi się włosy na głowie.

- Oto drobna rada - wyszeptał, zbliżywszy twarz do mojej.

- Proponuję, byś miał dziś w nocy następny sen, tak by bóg, który odwiedził cię ostatnim razem, miał okazję odwołać swe uprzednie instrukcje dla kapłana i zatwierdzić

moje ustalenia. Jeżeli nie, znajdę nową pracę dla Rasfera... obiecuję ci to uroczyście.

Odwrócił się i odszedł, a ja odetchnąłem z ulgą, uspokojony tym, że nie odkrył kochanków, po czym zachmurzyłem się, widząc, że zmuszony będę dopuścić do owego ohydneho czynu, który nakazał.

Gdy mój pan się oddalił, próba okazała się tak wielkim sukcesem, że podniosło mnie to nieco na duchu. Lostris była uosobieniem szczęścia po schadzce z Tanusem i jej uroda stała się zaiste boska, a Tanus, ze swoją siłą i młodością, wyglądał niczym wcielenie boga Horusa.

Oczywiście wejście na scenę Ozyrysa wytrąciło mnie trochę z równowagi, jako że świadomy byłem losu, jaki gotował mu mój pan, ksiązę Intef. Ozyrysa grał przystojny mężczyzna w średnim wieku o imieniu Tod, niegdyś jeden z rządców. Przyłapano go na czerpaniu ze szkatuły mego pana dla utrzymania młodej i kosztownej kurtyzany, w której się zadurzył. Nie czułem dumy z tego, że to moja kontrola ksiąg wydobyła na światło dzienne te nieprawidłowości.

Ksiązę Intef zwolnił go z aresztu, gdzie oczekiwał na formalny proces i wyrok, by zagrał w widowisku rolę boga podziemi. Przyrzekł mu, że zapomni o całej sprawie, jeżeli Tod należycie odegra rolę Ozyrysa. Nieszczęsny Tod nie dostrzegł groźby skrytej w tej propozycji i z tragicznym entuzjazmem zaangażował się w spektakl, wierząc, iż wypracowuje w ten sposób swe uniewinnienie. Nie mógł wiedzieć, że mój pan podpisał już w sekrecie wyrok śmierci

i wręczył zwój Rasferowi, który był nie tylko nadwornym oprawcą, lecz i aktorem wybranym przeze mnie do roli Setha w naszej sztuce. Życzeniem mego pana było, by następnego wieczoru, gdy widowisko odegrane zostanie przed faraonem, połączył obie te role. Choć było oczywiste, że Rasfer jest najlepszym kandydatem do roli Setha, obserwując jego i Toda podczas próby pierwszej sceny, żałowałem, że go w niej obsadziłem. Zadrżałem na myśl, jak właściwe przedstawienie różnić się będzie od tej próby.

Po próbie czekał mnie jakże przyjemny obowiązek odprowadzenia mej pani do haremu. Nie pozwoliła mi odejść, lecz zatrzymała do późna, zmuszając do wysłuchiwania pełnych ekscytacji uwag na temat nadzwyczajnych wydarzeń minionego dnia. Podkreślała zwłaszcza rolę, jaką odegrał w nich Tanus.

- Czy widziałeś, jak wezwał wielkiego boga Horusa i jak bóg przybył mu natychmiast z pomocą? Zgodzisz się ze mną, że cieszy się jego pełną przychylnością i ochroną? Horus nie pozwoli, by przytrafiło się nam coś złego, teraz jestem o tym przekonana.

Usłyszałem jeszcze wiele podobnych radosnych fantazji, nie było już za to mowy o rozstaniu i samobójstwie. Jakże zmienne są wiatry młodszej miłości!

- Po tym, co Tanus dziś uczynił, po tym jak uratował paradną barkę przed rozbiciem, na pewno zaskarbił sobie wielką łaskę faraona. Jak myślisz, Taito? Jeśli otoczony jest łaską boga i faraona, mojemu ojcu bez wątpienia nie uda się go odesłać z Karnaku, prawda?

Przytakiwać musiałem każdemu radosnemu pomysłowi, jaki przyszedł do głowy mej pani. Pozwoliła mi opuścić harem dopiero po zapamiętaniu przynajmniej tuzina zapewnień o nieprzemijającej miłości, które pod przysięgą zobowiązałem się osobiście przekazać Tanusowi.

Gdy w stanie krańcowego wyczerpania dotarłem wreszcie do swoich komnat, nadal nie było dla mnie spokoju. Prawie wszyscy niewolni chłopcy czekali na mnie, równie podnieceni i rozgadani jak moja pani. Oni także chcieli znać moją opinię na temat wydarzeń całego dnia, a szczególnie uratowania statku faraona przez Tanusa i znaczenia tego czynu. Gdy karmiłem swoje zwierzaki, stłoczyli się wokół mnie na tarasie nad rzeką i zawzięcie rywalizowali między sobą o zwrócenie na siebie uwagi.

- Starszy bracie, czy to prawda, że Tanus wezwał na pomoc boga, a Horus natychmiast przyszedł mu z pomocą? Czy widziałeś, jak to się stało? Niektórzy mówią, że bóg objawił się pod postacią sokoła i zawisł nad głową Tanusa, ochraniając go swymi rozpostartymi skrzydłami? Czy to prawda?

- Czy to prawda, *Akh*, że faraon podniósł Tanusa do godności towarzysza faraona i podarował mu w nagrodę pięćset feddanów żyznej ziemi nad rzeką?

- Starszy bracie, mówi się, że wyrocznia w pustynnej świątyni Thota, boga mądrości, ułożyła horoskop Tanusa. Wyrocznia przepowiada, że będzie kiedyś największym wojownikiem w historii Egiptu i że pewnego dnia faraon wyróżni go spośród wszystkich.

Gdy wspomnę teraz to dziecięce gadanie, czuję rozbawienie, widząc, jak niezwyklej prawdy było ono zapowiedzią, lecz wówczas przegnałem moich chłopców z udaną surowością, jak dzieci.

Kiedy kładłem się do snu, myślałem o tym, że Tanus zaskarbił sobie miejsce przynajmniej w sercach mieszkańców bliźniaczych miast Luksoru i Karnaku. Był to jednak zaszczyt uciążliwy i dwuznaczny. Sława i popularność rodzą zazdrość wśród możnych, a uwielbienie tłumu jest nietrwałe. Motłoch często znajduje wiele zadowolenia w zrzucaniu z piedestału wczorajszych bohaterów i w wynoszeniu nowych na ich miejsce.

O wiele bezpieczniej jest żyć na uboczu, bez przyciągania niczyjej uwagi, jak ja zawsze staram się czynić.

Po południu szóstego dnia święta faraon w uroczystej procesji przemierzył oficjalnym traktem między rzędami granitowych lwów drogę ze swej willi w sercu królewskich posiadłości na otwartym terenie między Karnakiem i Luksorem do świątyni Ozyrysa na brzegu Nilu.

Wielkie sanie, którymi jechał, były tak wysokie, że gęsty tłum tłoczący się wzdłuż alei musiał zadzierać głowy, by spojrzeć na władcę usadowionego na wspaniałym pozłacanym tronie, gdy przesuwiał się obok w pojeździe ciągniętym przez dwadzieścia nieskazitelnie białych wołów o masywnych, zgarbionych grzbietach i rogatych łbach ozdobionych wieńcami kwiatów. Płozy zgrzytały nieprzyjemnie po nawierzchni traktu i rysowały kamienne płyty.

Procesji przewodziło stu muzyków, pieszcząc struny lir i harf, bijąc w cymbały i bębny, potrząsając grzechotkami i Bistrum, dmąc w długie proste rogi afrykańskich antylop i zakrzywione rogi dzikich baranów. Za nimi podążał chór złożony z setki najlepszych głosów Egiptu, wyśpiewując pochwalne hymny na cześć faraona oraz drugiego boga, Ozyrysa. Oczywiście chór prowadziłem ja. Za nami maszerował oddział reprezentacyjny pułku Błękitnych Krokodyli, dowodzony osobiście przez Tanusa. Gdy kroczył aleją cały w piórach i zbroi, tłum zgotował mu specjalną owację. Niezameżne panny piszczwały i niejedna osunęła się zemdlona w kurz, ulegając hysterii z powodu jego świeżo pozyskanej popularności.

Za gwardią posuwał się wezyr i jego najznacniejsi urzędnicy, dalej arystokraci, ich żony i dzieci, potem oddział z pułku Sokołów i wreszcie potężne sanie faraona. Było to zgromadzenie kilku tysięcy najbogatszych i najbardziej wpływowych osobistości Górnego Egiptu.

Gdy zbliżyliśmy się do świątyni Ozyrysa, arcykapłan i podlegający mu kapłani ustawili się na schodach między gigantycznymi pylonami, by powitać faraona Mamose. Świątynia została niedawno odmalowana, toteż płaskorzeźby na ścianach oślepiały grą kolorów w ciepłym, żółtym blasku zachodzącego słońca. Jaskrawa chmura proporców i flag trzepotała na masztach we wnękach zewnętrznego muru.

U podstawy schodów faraon zstąpił ze swego pojazdu i z majestatyczną powagą począł wspinać się po stu

stopniach. Chór ustawił się po obu stronach schodów. Ja stałem na pięćdziesiątym stopniu, tak więc podczas tych kilku sekund, gdy przechodził obok mnie, miałem okazję dokładnie przyjrzeć się władcy.

Znałem go dobrze, jako że był jednym z moich pacjentów, lecz zapomniałem, jak niewielkiego był wzrostu – to znaczy niewielkiego jak na boga. Nie sięgał mi nawet do ramienia, choć wysoka, podwójna korona przydawała mu wyniosłości. Kroczył z rękami splecionymi na piersiach w rytualnej pozie, niosąc berło i bicz, odznaki swego monarszego urzędu i boskości. Nie po raz pierwszy zauważyłem, że jego ręce są pozbawione owłosienia, gładkie, niemal kobiece, oraz że jego stopy są także drobne i smukłe. Pierścienie przyozdabiały wszystkie palce rąk i nóg, amulety ramiona, a bransolety nadgarstki. Na ciężkim pektorale z czerwonego złota widniał wykonany z różnokolorowych fajansowych płytek wizerunek boga Thota dzierżącego pióro prawdy. To arcydzieło sztuki jubilerskiej miało prawie pięćset lat i nosiło go wcześniej siedemdziesięciu innych monarchów.

Twarz pod podwójną koroną pokrywał biały puder, który nadawał jej trupią bladość. Oczy miał wyraziście obrysowane czarną linią, a wargi pokryte szkarłatnym barwnikiem. Jego spojrzenie było nerwowe i niespokojne, czego się zresztą można było spodziewać.

Fundamenty wielkiego domu Egiptu były spękane, a królestwo rozdarte i osłabione. Nawet bóg ma swoje troski. Niegdyś władza faraonów rozciągała się od morza,

przez siedem ujść Deltę, sięgając na południe aż do Asuanu i pierwszej katarakty - było to wtedy największe imperium świata. Mamose i jego przodkowie pozwolili, by wyślizgnęło się im z rąk, teraz zaś wrogowie roili się wzdłuż skurczonych granic, zwołując się na ucztę na truchle Egiptu niczym hieny, szakale i sępy.

Na południu czekały czarne hordy Afryki, na północy wzdłuż wybrzeży wielkiego morza grasowały pirackie ludy morskie, a w dole Nilu wojska faraona uzurpatora. Na zachodzie czyhali zdradzieccy Beduini i podstępni Libijczycy, podczas gdy na wschodzie co dzień gromadziły się nowe hordy, a ich nazwy siały postrach w narodzie bojaźliwym i niezdecydowanym z powodu poniesionych klęsk. Asyryjczycy i mieszkańcy Medii, Kasyd, Huryci i Hetyci - można wymieniać ich bez końca.

Jakaż przewaga pozostała naszej starożytnej cywilizacji, skoro gdy osiągnęła sędziwy wiek, stała się cherlawą i zgrzybiałą? Jak mieliśmy się opierać dzikiej żywotności, okrucieństwu, bucie, żądzy mordy i grabieży barbarzyńców? Jestem pewien, iż ten faraon, jak i jego bezpośredni poprzednicy, nie był w stanie przywrócić narodowi jego minionej chwały. Nie potrafił nawet spłodzić męskiego potomka.

Brak dziedzica Egiptu najwyraźniej martwił go bardziej niż utrata imperium. Do tej pory wziął sobie dwadzieścia żon. Te dały mu córki, prawdziwe stado córek, lecz ani jednego syna. Nie chciał jednak zaakceptować tego, że to on jako mężczyzna jest temu winien. Zasięgał porady

u każdego sławnego doktora Górnego Królestwa, odwiedzał wszystkie wyrocznie i znaczniejsze świątynie.

Wiedziałem o tym, gdyż byłem jednym z uczonych lekarzy, po których posłał. Przyznaję, że zalecając kurację bogu, czułem pewną obawę i dziwiłem się, iż w tak delikatnej materii musi uciekać się do wiedzy zwykłego śmiertelnika. Jednakowoż przepisałem mu dietę złożoną z byczych jąder zasmażanych w miodzie i poradziłem, by odszukał najpiękniejszą dziewicę w Egipcie i powiódł ją do małżeńskiego łóża przed upływem roku od wzejścia czerwonego księżyca jej kobiecości.

Nie wierzyłem zanadto w skuteczność mego lekarstwa, lecz bycze jądra przyrządzone według mego przepisu stanowią smakowite danie, a ponadto zakładałem, że poszukiwanie najpiękniejszej dziewicy w kraju zajmie nieco władcę, dostarczając mu nie tylko rozrywki, ale i przyjemności. Praktycznie rzecz ujmując, jeżeli król spędzi noc z odpowiednią liczbą młodych panien, z pewnością któraś z nich wniesie w końcu szczenie płci męskiej do jego haremu.

Tak czy owak pocieszałem się, że kuracja nie była równie drastyczna jak niektóre przepisane przez moich kolegów, a już zwłaszcza odrażające zabiegi wykoncypowane przez znachorów ze świątyni Ozyrysa zwanych się lekarzami. Nawet jeżeli moje zalecenia nie okażą się skuteczne, nie powinny wyrządzić żadnej szkody. Tak w każdym razie sądziłem. Jak bardzo się myliłem! Gdybym tylko potrafił przewidzieć konsekwencje mego szalonego czynu, zająłbym

raczej miejsce Toda w przedstawieniu, niż udzielił faraonowi tak frywolnej rady.

Rozbawiło mnie, ale i mile połechtało, gdy usłyszałem, że władca najwyraźniej potraktował moje zalecenie z całą powagą i nakazał swym nomarchom i zarządcom przetrząsnąć kraj wzdłuż i wszerz, od el-Amarny do katarakt, w poszukiwaniu byków z soczystymi jądrami i dziewic mogących spełniać przedstawione przeze mnie kryteria doboru matki pierwородnego. Z moich źródeł na dworze królewskim wiem, że odrzucił setki kandydatek aspirujących do miana najpiękniejszej dziewicy w kraju.

Władca minął mnie szybkim krokiem i zniknął w świątyni, odprowadzany zawodzeniem kapłanów i służalczymi pokłonami arcykapłana. Wielki wezyr wraz ze swoją świtą podążył tuż za nim, a potem w bezładzie ruszyła masa mniej znaczących obywateli, którzy tłoczyli się, by zająć miejsca przed rozpoczęciem misterium. Liczba miejsc w świątyni była ograniczona. Tylko możni i wpływowi, a także ci wystarczająco bogaci, by przekupić pazernych kapłanów, dopuszczeni zostali na wewnętrzny dziedziniec. Pozostali zmuszeni byli przypatrywać się przez bramy z zewnętrznego dziedzińca. Wiele tysięcy mieszkańców dozna rozczarowania i zadowolić się będzie musiało relacjami z drugiej ręki. Nawet ja, organizator, miałem wielkie trudności z utorowaniem sobie drogi przez napierający tłum. Udało to mi się dopiero wówczas, gdy Tanus dostrzegłszy me kłopotliwe położenie, wysłał dwóch swoich ludzi, by mnie wybawili z opresji i siłą

przeprowadzili do tej części świątyni, która przeznaczona była dla aktorów.

Przed rozpoczęciem przedstawienia zmuszeni byliśmy znieść całą serię kwiecistych przemówień, najpierw w wykonaniu lokalnych urzędników i ministrów, potem zaś mowy samego wielkiego wezyra. Ta wypełniona podniosłymi słowami przerwa dała mi sposobność upewnienia się, że przygotowania do widowiska zostały zakończone. Przeszedłem od namiotu do namiotu, kontrolując kostiumy i makijaż każdego aktora, łagodząc ostatnie ataki złego humoru i tremy.

Nieszczęsny Tod denerwował się, że jego gra może nie zadowolić mego pana, księcia Intefa. Zdołałem zapewnić go, że z pewnością się spodoba, a potem wmusiłem w niego łyk czerwonego shepenna, by zmniejszyć cierpienie, jakie miało wkrótce stać się jego udziałem.

Gdy wszedłem do namiotu Rasfera, popijał właśnie wino z dwoma swymi kamratami z gwardii pałacowej, osełką ostrząc swój krótki miecz z brązu. Zrobiłem mu taki makijaż, by uczynić go jeszcze bardziej odrażającym. Nie było to łatwe zadanie, zważywszy, z jak obrzydliwym obiektem miałem do czynienia. Kiedy Rasfer wyszczerzył na mnie poczernione zęby i zaoferował kubek wina, uświadomiłem sobie, że mimo wszystko mi się to udało.

- Jak tam twój grzbiet, śliczny chłopczyku? Masz, łyknij sobie napoju dla mężczyzn. Może ci jaja odrosną.

Jestem przyzwyczajony do szyderstw z jego strony, więc zachowałem godną postawę. Powiadomiłem go, że mój pan

odwołał polecenia arcykapłana i że pierwszy akt miał zostać odegrany zgodnie z oryginalnymi ustaleniami.

- Rozmawiałem już z księciem Intefem. - Podniósł miecz.

- Dotknij ostrza, eunuchu. Chcę się upewnić, że jesteś z niego zadowolony.

Opuściłem namiot, czując lekkie nudności.

Choć Tanus miał się pojawić na scenie dopiero w drugim akcie, już włożył kostium. Odprężony i uśmiechnięty, poklepał mnie po ramieniu.

- Cóż, stary druhu, oto twoja szansa. Po tym wieczorze twój talent dramatopisarski stanie się sławny w całym Egipcie.

- Ty już jesteś sławny w całym Egipcie. Twoje imię jest na wszystkich ustach - powiedziałem, lecz on zbył te słowa śmiechem i beztroską skromnością, ja zaś ciągnąłem dalej.

- Przygotowałeś już swoją końcową deklamację? Czy zechciałbyś mi ją teraz wyrecytować?

Zgodnie z tradycją aktor grający Horusa zamykał przedstawienie posłaniem do faraona, oficjalnie pochodzącym od bogów, a w rzeczywistości od jego poddanych. W dawnych czasach była to jedyna okazja, by ustami aktora zwrócić królewską uwagę na swe problemy, których nie byli w stanie przedstawić mu w inny sposób. Jednakże pod władaniem ostatniej dynastii tradycja ta zanikła i końcowa oracja stała się jeszcze jednym hymnem pochwalnym na cześć boskiego władcy.

Przez kilka minionych dni prosiłem Tanusa, by przećwiczył ze mną swą mowę, lecz za każdym razem

zbywał mnie tak nieprzekonującymi wymówkami, że zacząłem podchodzić do jego intencji z daleko posuniętą podejrzliwością.

- To ostatnia okazja - nalegałem, ale mnie wyśmiał.

- Postanowiłem, by me przemówienie było niespodzianką dla ciebie i, mam nadzieję, dla faraona. W ten sposób obaj będziecie się lepiej bawić.

Nie było już sposobu, by go przekonać. Czasami potrafi być zdecydowanie najbardziej upartym i nieprzejednanym młodym łotrem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Opuściłem go w niemałym gniewie i poszedłem poszukać bardziej przystępnego towarzystwa.

Gdy schylony przekroczyłem próg garderoby Lostris, zamarłem w zdumieniu. Choć osobiście zaprojektowałem jej kostium i choć szczegółowo poinstruowałem jej służebnice, jak mają nakładać puder, róż i tusz do powiek, nie byłem przygotowany na spotkanie tak pięknego zjawiska, jakie stanęło teraz przede mną. Przez moment byłem przekonany, że zdarzył się kolejny cud i że bogini rzeczywiście wyłoniła się z podziemi, by zająć miejsce mej pani. Jęknąłem głośno i zacząłem opadać na kolana w przesądnym przestraszu, ale Lostris zachichotała i wyprowadziła mnie z błędu.

- Jakie to zabawne! Nie mogę się doczekać Tanusa w pełnym stroju. Pewna jestem, że wygląda jak prawdziwy bóg.

Obróciła się wolno, pozwalając mi ocenić swój kostium i uśmiechając się do mnie przez ramię.

- Nie bardziej bosko niż ty, pani - wyszeptałem.

- Kiedy rozpocznie się przedstawienie? - zapytała niecierpliwie. - Jestem tak podniecona, że nie mogę już dłużej czekać.

Przytknąłem ucho do ściany namiotu i przez chwilę przysłuchiwałem się szmerowi przemówień w wielkiej sali. Przekonałem się, że trwała ostatnia oracja i że mój pan, książę Intef, mógł w każdej chwili wywołać aktorów.

Ująłem dłoń Lostris i uścisnąłem ją.

- Pamiętaj o długiej pauzie i wyniosłym spojrzeniu, zanim rozpocznesz swą pierwszą przemowę - ostrzegłem ją, a ona klepnęła mnie żartobliwie po ramieniu.

- Precz stąd, stary marudo, wszystko odbędzie się znakomicie, zobaczysz.

W tejże chwili usłyszałem, że mój pan, książę Intef, podnosi głos.

- Boski faraonie Mamose, wielki domu Egiptu, podpora królestwa, o sprawiedliwy, wspaniały, wszystkowidzący, najmiłościwszy...

Tytuły i zaszczyty układały się w długą listę. Pospiesznie opuściłem namiot Lostris i popędziłem na moje miejsce za centralną kolumną, skąd miałem zacząć przedstawienie. Kiedy zza niej wyjrzałem, zobaczyłem, że wewnętrzny dziedziniec świątyni wypełniony jest po brzegi, a faraon wraz ze starszymi żonami siedzi w pierwszym rzędzie na niskich ławkach z cedrowego drewna, popijając chłodny szербet, pogryzając daktyle i kandyzowane owoce.

Mój pan, książę Intef, zwracał się do nich ze skraju platformy pod ołtarzem, stanowiącej naszą scenę. Jej główna część wciąż skryta była przed publicznością za lnianymi kurtynami. Po raz ostatni sprawdziłem, jak wygląda, chociaż było już za późno, by cokolwiek zmienić.

Dekoracje za zasłonami ozdobiono palmami i akacjami, przesadzonymi pod moim nadzorem przez pałacowych ogrodników. Odciągnąłem też kamieniarzy od budowy królewskiego grobowca, by na tyłach świątyni wzniesli kamienny zbiornik, z którego wypuścić można było na scenę strumień wody symbolizujący Nil.

Z tyłu sceny, spod stropu aż do samej podłogi zwieszały się zasłony z napiętego lnianego płótna, na których artyści z nekropolii namalowali urzekające krajobrazy. W półmroku gasnącego dnia i migotliwym świetle osadzonych w obejmach pochodni wyglądały tak prawdziwie, że mogły przenieść widza w inne, odległe czasy.

By zabawić faraona, przygotowałem również inne cuda, od klatek wypełnionych zwierzętami, ptakami i motylami, których uwolnienie miało symbolizować stworzenie świata przez wielkiego boga Amona-Re do flar i pochodni wzbogaconych chemikaliami w taki sposób, by płonęły jaskrawym szkarłatnym i zielonym ogniem, zalewając scenę niesamowitym blaskiem, i otaczały ją chmurami dymu, przywodzącymi na myśl podziemny świat zamieszkiwany przez bogów.

- Mamose, synu Re, oby dane ci było wieczne życie! My, twoi wierni poddani, mieszkańcy Teb, błagamy cię, byś

zniżył się i obdarzył boską uwagą tę nędzną sztukę, dedykowaną twemu majestatowi.

Mój pan zakończył powitalną mowę i zajął z powrotem swe miejsce. Wśród fanfar ukrytych baranich rogów wystąpiłem zza kolumny i stanąłem przed widownią, która cierpliwie zniosła nudę i niewygodę siedzenia na twardych płytach posadzki. Teraz gotowa już była na rozpoczęcie przedstawienia. Powitał mnie ochryply okrzyk; nawet faraon uśmiechnął się wyczekująco.

Uniosłem ręce, prosząc o ciszę, po czym, dopiero gdy zapadło kompletne milczenie, zacząłem wygłaszać słowo wstępne.

- „Gdy wędrowałem w świetle słońca, młody i pełen młodzieńczego wigoru, wśród trzciny przy brzegu Nilu usłyszałem zgubną muzykę. Nie rozpoznałem dźwięku tej harfy i nie żywiłem lęku, gdyż silny byłem pełnią mej męskości i pewien uczucia mej umiłowanej.

Z muzyki biło niezrównane piękno. Radośnie ruszyłem, by odszukać grajka, skąd miałem wiedzieć, że była nim Śmierć i że grała, by wezwać mnie do siebie?”.

My, Egipcjanie, zafascynowani jesteśmy śmiercią, toteż natychmiast trąciłem czułą strunę ukrytą głęboko w sercach mych słuchaczy. Widzowie westchnęli i zadrżeli.

- „Śmierć pochwyciła mnie i poniosła w swych kościstych ramionach ku Amonowi-Re, bogu słońca, i oto zjednoczyłem się z jaskrawym blaskiem jego istoty. Z oddali dobiegł mnie szloch mej lubej, lecz nie mogłem jej dostrzec, a wszystkie

dni mego życia stały się tak nierealne, jakby były tylko snem”.

Była to pierwsza publiczna recytacja mojej prozy, lecz prawie natychmiast pojąłem, że zdobyłem sobie słuchaczy, bo fascynacja i skupienie malowały się na ich twarzach. Ciszy w świątyni nie zakłócił żaden dźwięk.

- „Wówczas Śmierć postawiła mnie na wyniosłym miejscu, skąd postrzegałem świat jako lśniącą okrągłą tarczę wśród błękitnego morza niebios. Widziałem wszystkich ludzi i wszystkie stworzenia, które kiedykolwiek żyły. Przed moimi oczami czas płynął wstecz niczym potężna rzeka. Obserwowałem sto tysięcy lat ich zmagania i ich śmierci. Przyglądałem się ludziom wędrującym od zgonu i starości ku niemowlęctwu i narodzinom. Czas cofał się i cofał, aż doszedł do chwili, gdy stworzeni zostali pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta. Patrzyłem na moment ich narodzin i chwile jeszcze wcześniejsze. Wreszcie na świecie nie było ludzi, istnieli jedynie bogowie.

A jednak rzeka czasu wciąż płynęła wstecz, przed erę bogów ku Nun, ku czasom mroku i pierwotnego chaosu. Gdy już nie mogła cofać się dalej, zawróciła swój bieg. Czas popłynął w sposób znany mi z mych ziemskich dni i oto moim oczom ukazywać się poczęły namiętności bogów”.

Moja publiczność doskonale знаła teologię naszego panteonu, lecz nigdy dotąd nie słyszano owych sekretów przedstawianych w tak nowatorski sposób. Wszyscy zastygli w milczeniu, a ja ciągnąłem dalej.

- „Z chaosu i mroku Nun wyłonił się Amon-Re, Ten-Który-Stwarza-Samego-Siebie. Przyglądałem się, jak gładzi swój stwórczy członek, sam podnieca siebie do szczytu i rozsiewa zapładniające nasienie gigantycznymi falami, które pozostawiły wśród mrocznej pustki srebrną wstęgę. My nazywamy ją Drogą Mleczną. Z tego nasienia powstał Geb i Nut, ziemia i niebo”.

- *Bakher!* - rozedrganą ciszę w świątyni przerwał pojedynczy głos. - *Bakher!*

Stary arcykapłan nie potrafił się powstrzymać i oto poświadczał słusność mojej wizji stworzenia. Byłem tak zaskoczony tą zmianą stanowiska, że omal nie zapomniałem następnej linijki. W końcu to on był do tej pory moim najzagorzalszym krytykiem. Podbiłem go całkowicie, więc mój głos zabrzmiał triumfalnie.

- „Geb i Nut parzyli się i kopulowali jak mężczyzna i kobieta, a z ich przerażającego związku zrodzili się bogowie Ozyrys i Seth oraz boginie Izyda i Neftyda”.

Wykonałem gwałtowny gest i lniane kurtyny rozstały się powoli, ukazując stworzony przeze mnie świat fantazji. Niczego podobnego dotąd w Egipcie nie widziano, więc widownia westchnęła z zachwytu. Wycofałem się statecznie, a moje miejsce na scenie zajął bóg Ozyrys. Publiczność rozpoznała go natychmiast po wysokim butelkowanym w kształcie nakryciu głowy, po skrzyżowanych na piersiach ramionach i trzymany przed sobą berle i biczu. Każda rodzina posiadała w domowej kapliczce jego statuetkę.

Ze wszystkich gardeł wyrwał się długi okrzyk uwielbienia. Rzeczywiście, środek znieczulający, jaki zaaplikowałem Todowi, nadał jego oczom blask szaleństwa, co sprawiało, że wyglądał niesamowicie, jak bóg. Ozyrys wykonał kilka mistycznych gestów berłem i biczem, po czym dźwięcznym głosem wyrecytował:

- „Oto Atur, rzeka!”.

Kolejny raz widzowie zaszemrali i zamruczeli, rozpoznając Nil. Nil był Egiptem i środkiem świata.

- *Bakher!* - zakrzyknął inny głos.

Wyjrzałem z mej kryjówki między kolumnami, po czym z zaskoczeniem i radością zrozumiałem, kto się odezwał. Był to faraon. Tekst mojej sztuki otrzymał zarówno świecką, jak i boską aprobatę. Byłem teraz pewien, że od tej chwili ta wersja stanie się oficjalna, zastępując tysiącletni oryginał. Znalazłem klucz do nieśmiertelności. Me imię przetrwa tysiąclecia.

Z radością dałem sygnał otwarcia zbiornika i przez scenę popłynęła woda. Początkowo widownia nie pojęła jej znaczenia, lecz po chwili uświadomiła sobie, że oto staje się świadkiem faktycznego objawienia się wielkiej rzeki, i tysiąc gardeł powtórzyło okrzyk:

- *Bakher! Bakher!*

- „Oto podnoszą się wody!” - zawołał Ozyrys i Nil posłusznie wezbrał wylewem.

- „Oto opadają wody!” - zakrzyknął bóg, a rzeka skurczyła się na jego polecenie.

- „A teraz podniosą się ponownie!”.

Zarządziłem uprzednio, by do wody wypływającej ze znajdującego się na tyłach świątyni zbiornika dodano wiadra barwnika. Zielony oznaczał okres niskiego stanu wód, a później, gdy rzeka wzbierała, ciemniejsza farba wiernie oddawała kolor nasyconej mułem wody wielkiego wylewu.

- „Oto owady i ptaki nad ziemią!” - rozkazał Ozyrys.

Wtedy otwarto klatki w głębi sceny i wrzeszcząca, rozćwierkana, wirująca chmura dzikiego ptactwa i przepysznie ubarwionych motyli wypełniła świątynię.

Widzowie byli oczarowani i zachwyceni jak dzieci. Łapali rojące się w powietrzu motyle, by wypuścić je znowu między wysokie kolumny świątyni. Jeden z dzikich ptaków, długodzioby dudek efektownie upierzony białymi, cynamonowymi i czarnymi barwami, bez obawy obniżył lot i przysiadł na koronie faraona.

Tłum był zachwycony.

- Omen! - krzyczeli ludzie. - Błogosławieństwo dla króla!
Oby żył wiecznie!

Faraon uśmiechnął się.

To nieprzyzwoitość z mej strony, lecz później zasugerowałem memu panu, księciu Intefowi, że wyszkoliłem tego ptaka tak, by potrafił rozpoznać faraona, choć było to oczywiście całkowitą niemożliwością, a on mi uwierzył. Taką już cieszę się reputacją w obchodzeniu się ze zwierzętami i ptakami.

Ozyrys wędrował przez stworzony przez siebie raj, a nastrój tej chwili przygotowywał widzów na dramatyczny moment, w którym z mrozącym krew w żyłach wrzaskiem na scenę wyskoczy Seth. Choć wszyscy tego oczekiwali, jego siła i odpychająca powierzchowność zaszokowała publiczność. Kobiety krzyknęły i zakryły twarze, spoglądając z przestraszonym przez drżące palce.

- „Cóżes uczynił, bracie? - zaryczał wściekły z zazdrości Seth. - Czyżbyś się wynosił nade mnie? Czyż i ja nie jestem

bogiem? Czy całą moc tworzenia zachowujesz dla siebie jednego, bym ja, twój brat, nie mógł jej z tobą dzielić?”.

Ozyrys odpowiedział mu spokojnie, z wyniosłą i zimną godnością, wciąż poddany działaniu narkotyku.

- „Nasz ojciec, Amon-Re, obdarzył nią nas obu. Ale dał nam też prawo wyboru, czy użyjemy jej ku pożytkowi dobra, czy zła...”.

Słowa włożone przeze mnie w usta boga poniosły się przez świątynię. Były najlepszym owocem mego pióra i publiczność kurczowo się ich uczepiła. Tylko ja jeden wiedziałem, co miało się zdarzyć, więc piękno i siła mego dzieła zostały skażone, bo przygotowywałem się na najgorsze.

Ozyrys zbliżał się już do końca swej przemowy.

- „Oto świat mego objawienia. Jeżeli pragniesz dzielić go ze mną w pokoju i braterskiej miłości, jesteś w nim mile widziany. Jeżeli jednak przybywasz w wojennej furii, jeżeli zło i nienawiść wypełniają twe serce, rozkazuję ci, byś odszedł”.

Uniósł prawą rękę okrytą błyszczącą, przezroczystą płócienną szatą i wskazał Sethowi drogę, którą ten miał opuścić ziemski raj.

Seth zgarbił masywne, owłosione ramiona niczym bawół i zaryczał tak potężnie, aż ślina trysnęła mu z ust chmurą przesyconą smrodem gnijących zębów. Nawet z miejsca, w którym stałem, czułem ten odór. Seth uniósł szeroki miecz z brązu i ruszył na brata. Ten moment nigdy nie był ćwiczony i całkowicie zaskoczył Ozyrysa. Stał nadal

z wyciągniętą prawą ręką. Opadające ostrze szczęknęło pod wpływem siły ciosu. Dłoń odcięta została w nadgarstku z taką precyzją, z jaką ja oberwałbym pęd winorośli rosnącej nad moim tarasem. Upadła u stóp Ozyrysa. Leżała tam, a palce wciąż jeszcze drgały.

Zaskoczenie było tak ogromne, a miecz tak ostry, że przez długą chwilę Ozyrys nie ruszał się, chwiał się tylko lekko na nogach. Publiczność musiała uwierzyć, że ujrzała jedynie kolejną teatralną gierkę i że odrąbana dłoń jest sztuczna. Krew nie od razu trysnęła z rany, co tym bardziej zmyliło widzów. Byli niezmiernie zainteresowani, lecz nie zatrwożeni. Nagle Ozyrys zatoczył się do tyłu i z przeraźliwym wrzaskiem objął kikut swego ramienia. Dopiero wówczas krew trysnęła pomiędzy palców i splamiła białą szatę niczym rozlane wino. Wciąż ściskając kikut, Ozyrys przebiegł chwiejnym krokiem przez scenę i zaczął krzyczeć. Ten wysoki krzyk, przepojony śmiertelnym cierpieniem, zburzył pełen zadowolenia spokój widzów. Po raz pierwszy zrozumieli, że to, co się dzieje, nie jest udawaniem, lecz wciąż pogrążeni byli w pełnej przerażenia ciszy.

Zanim Ozyrys dotarł do skraju sceny, Seth ruszył za nim, podskakując na swych grubych, koślawych nogach. Złapał go za kikut i wywlókł brata z powrotem na środek sceny. Rzucił go na wznak na kamienne płyty. Ozyrys leżał tam w powiększającej się kałuży własnej krwi, błyszcząca korona stoczyła mu się ze skroni, a sploty ciemnych włosów opadły na ramiona.

- „Błagam, oszczędź mnie!” - krzyknął, gdy Seth stanął nad nim.

Ale Seth tylko się roześmiał. Był to serdeczny rehot prawdziwego rozbawienia. Rasfer stał się Sethem, a Seth bawił się doskonale.

Ten barbarzyński śmiech wyrwał widzów z transu, choć dotąd całkowicie ulegli złudzeniu. Teraz nie wierzyli już, że oglądają przedstawienie, i dla wszystkich ten odrażający spektakl stał się rzeczywistością. Kobiety krzyczały, a mężczyźni szaleli w furii, widząc, że morduje się ich boga.

- Oszczędź go! Oszczędź wielkiego boga Ozyrysa! - wyli, lecz żaden z nich nie ruszył się z miejsca, nie wdarł się na scenę, by spróbować zapobiec rozgrywającej się na ich oczach tragedii.

Wiedzieli, że śmiertelnicy nie mają wpływu na zmagania i namiętności bogów.

Ozyrys dźwignął się i ocalałą dłonią chwycił Setha za nogę. Wciąż zanosząc się śmiechem, Seth złapał go za nadgarstek i wyprostował rękę swej ofiary na całą długość, taksując ją wzrokiem niczym rzeźnik kozią łopatkę przed rozebraniem.

- Odrąb ją! - wrzasnął głos z tłumu, nabrzmiały żądzą krwi.

Nastrój ponownie się zmienił.

- Zabij go! - krzyknął inny.

Zawsze niepokoiło mnie, że widok krwi i okrutnej śmierci wpływa nawet na najłagodniejszego z ludzi. I ja sam poruszony byłem tym ohydny widokiem, przerażony

i bliski mdłości, to prawda, lecz w głębi duszy także obrzydliwie podniecony.

Niedbałym machnięciem ostrza Seth oderznął ramię i Ozyrys znów upadł na posadzkę. Drgająca kończyna pozostała w okrwawionej pięści Seta. Ten próbował jeszcze powstać, lecz nie miał rąk, na których mógłby się wesprzeć. Wierzgał konwulsyjnie nogami, głowa kiwała mu się z boku na bok, a z gardła wciąż wydobywał się krzyk. Próbowałem zmusić się do odwrócenia wzroku, lecz choć żołądek podchodził mi do gardła, musiałem patrzeć dalej.

Seth porąbał ramię na trzy części, w nadgarstku i łokciu. Pojedynczo cisnął kawałki na przepełnioną widownię. Leciały w powietrzu, opryskując siedzących rubinowymi kroplami. Widzowie ryczeli niczym lwy w menażerii faraona podczas pory karmienia i wyciągali ręce, by pochwycić święte relikwie swego boga.

Seth kontynuował dzieło z zapalem i oddaniem. W następnej kolejności odrąbał Ozyrysowi stopy w kostkach, potem łydki i wreszcie uda na wysokości bioder. Gdy rzucał fragmenty ciała w stronę publiczności, motłoch wrzaskiem domagał się kolejnych.

- Talizman Seta! - zawył głos wśród widzów. - Daj nam talizman Seta!

Okrzyk został momentalnie podchwycony.

Według mitu talizman ten jest najpotężniejszym z magicznych amuletów. Posiadająca go osoba włada wszystkimi mrocznymi mocami podziemnego świata. Stanowi jedyny spośród czternastu kawałków ciała Ozyrysa,

którego nigdy nie odnalazły Izyda i jej siostra Neftyda. Poszukiwały ich na odległych krańcach świata, gdzie porozrzucił je Seth. Ów talizman to ta sama część ciała, której pozbawił mnie Rasfer i która stanowi centralny element przepięknego naszyjnika, będącego cynicznym podarunkiem od mego pana, księcia Intefa.

- Daj nam talizman Seta! - wył tłum, a Seth schylił się i zadarł przesiąkniętą krwią tunikę okrywającą pozbawione kończyn ciało leżące u jego stóp.

Ciągle się śmiał. Zadrzałem, rozpoznawszy ten bezlitosny dźwięk, który tak często słyszałem podczas wymierzania mi kary za różne przewinienia. Współczułem nieszczęsnemu Todowi, raz jeszcze poczułem ów nagły ogień w podbrzuszu, gdy krótki miecz, mokry i ociekający krwią ofiary, błysnął w owłosionej łapie Seta, po czym oprawca uniósł wysoko żaloszny szczątek.

Tłum domagał się go wyciem.

- Daj nam go! Przekaż nam moc talizmanu.

Przedstawienie zamieniło ludzi w zgłodniałe bestie.

- Podarunek - zawołał Seth, ignorując ich prośby. - Podarunek od jednego boga dla drugiego. Ja, Seth, bóg ciemności, daruję ten talizman bogu-faraonowi, boskiemu Mamose!

I zbiegł po kamiennych stopniach na muskularnych, krzywych nogach, by złożyć relikwię u stóp faraona.

Ku memu zdumieniu władca schylił się i własnoręcznie ją podniósł. Jego twarz pod pudrem i farbą wyrażała oczarowanie, zupełnie jakby była to prawdziwa relikwia

boga. Przekonany jestem, że w owym momencie święcie w to wierzył. Aż do końca widowiska dzierżył ją w prawej ręce.

Kiedy dar został przyjęty, Seth powrócił pospiesznie na scenę, by dokończyć sprawiania ofiary. Do tej pory prześladuje mnie myśl, że to nieszczęsne, zmasakrowane stworzenie wciąż żyło i do samego końca zachowało przytomność. Zrozumiałem, że narkotyk, który mu podałem, w nieznacznym jedynie stopniu przytępił zmysły Toda. Gdy spoczywał w kałuży własnej krwi, rzucając na boki głową, jedyną częścią ciała, jaką mógł jeszcze poruszać, dostrzegłem w jego oczach niewypowiedziane cierpienie.

Było więc dla mnie wielką ulgą, gdy Seth odrąbał mu ją wreszcie i uniósł za gęste splecione włosy, by publiczność mogła się jej przyjrzeć. Nawet wtedy oczy nieszczęśnika wywracały się dziko, po raz ostatni przypatrując się temu światu. Wreszcie zaszły mgłą i Seth cisnął głowę w tłum.

Pierwszy akt widowiska zakończyły tak entuzjastyczne, z każdą chwilą głośniejsze oklaski, że groziły wytrąceniem z posad granitowych kolumn świątyni.

Podczas przerwy niewolnicy pomogli oczyścić scenę z makabrycznych pozostałości mordu. Szczególnie zależało mi na tym, by moja pani nie zauważyła, co naprawdę wydarzyło się podczas pierwszego aktu. Życzyłem sobie, by wierzyła, że wszystko potoczyło się jak podczas prób. Zadbalem więc, by została w namiocie, a jeden z ludzi Tanusa stanął na straży przed wejściem i miał jej stamtąd

nie wypuszczać. Dopilnowałem też, by żadnej z kuszyckich dziewczyn nie wolno było podglądać pierwszej części przedstawienia, żeby nie mogły donieść Lostris o jej przebiegu. Wiedziałem, że gdyby poznała prawdę, byłaby zanadto roztrzęsiona, by wystąpić. Podczas gdy pomocnicy wiadrami wody pochodzącej ze scenicznego Nilu zmywali okropne ślady, pospieszyłem do namiotu mojej pani, by podnieść ją na duchu i upewnić się, czy me działania, które miały uchronić ją przed poznaniem prawdy, okazały się skuteczne.

- Och, Taito, słyszałam te oklaski - powitała mnie wesoło.

- Kochają twoją sztukę. Jestem taka szczęśliwa z tego powodu. Tak bardzo zasługujesz na ten sukces. - Zachichotała konspiracyjnie. - Chyba uwierzyli, że zabójstwo Ozyrysa było prawdziwe i że wiadra byczej krwi, w której skąpałeś Toda, były prawdziwą krwią boga.

- Zaiste, moja pani, dali się kompletnie oszukać naszym sztuczkom - potwierdziłem, choć nadal czułem się słabo i niedobrze wskutek niedawnych przeżyć.

Moja pani Lostris niczego nie podejrzewała, więc gdy wyprowadziłem ją na scenę, ledwie spojrzała na ponure plamy pozostałe na kamieniach. Ustawiłem ją w pozycji, w jakiej miała się pojawić, i tak poprawiłem pochodnie, by podkreślały jej urodę. Chociaż byłem przyzwyczajony do jej widoku, jej piękno znów zaparło mi dech w piersiach, a łzy przysłoniły oczy.

Pozostawiłem ją skrytą za lnianymi zasłonami i wyszedłem, by stanąć przed publicznością. Tym razem nie

powitały mnie sarkastyczne okrzyki. Gdy błyskotliwą prozą opisywałem żałobę Izydy i jej siostry Neftydy po śmierci brata, każdy widz, od faraona do najędźniejszego poddanego, zniewolony był moim głosem.

Potem wycofałem się, a kurtyna odsłoniła pogrążoną w żałobie postać Izydy. Publiczność głośnym westchnieniem zachwytu przyjęła jej urodę. Po okropnościach i krwi pierwszego aktu obecność Lostris tym bardziej wzruszała.

Izyda zaczęła śpiewać pieśń żałobną i jej głos napełnił mroczne wnętrza świątyni. Głowa Lostris poruszała się w rytm pieśni, światło pochodni rozmigotanymi i pełnymi blasku promieniami odbijało się od księżyca z brązu, który wieńczył jej zakończone rogami nakrycie głowy.

Gdy śpiewała, uważnie obserwowałem faraona. Ani na moment nie spuścił wzroku z jej twarzy, bezgłośnie poruszając ustami w takt słów płynących z ust mej pani.

*Moje serce jest ranną gazelą
szarpaną lwimi pazurami smutku...*

Wypowiadała swą żalność, a król i jego świta lamentowali wraz z nią.

*Nie ma słodyczy w plastrze miodu
ani woni w pustynnym kwieciu.
Ma dusza jest pustą świątynią
opuszczoną przez boga miłości.*

W pierwszym rzędzie jedna czy dwie spośród królewskich żon pociągały nosami i chlpały, lecz nikt nawet nie spojrzał

w ich stronę.

*Z uśmiechem spoglądam w posępne oblicze śmierci.
Chętnie podążyłabym za nią,
gdyby mogła zawieść mnie w objęcia mego
umalowanego pana.*

Teraz już nie tylko królewskie małżonki, lecz wszystkie kobiety płakały, większość mężczyzn zresztą też. Nikt nie potrafił oprzeć się jej słowom i urodzie. Wydawało się niemożliwe, by bóg okazywał takie same uczucia jak śmiertelnicy, lecz gdy spoglądał na moją panią Lostris, grube łyzy powoli żłobiły bruzdy w białym pudrze na policzkach faraona, mrugającego jak sowa ciężkimi, ubarwionymi proszkiem antymonowym powiekami.

Wyszła Nefyda i zaśpiewała w duecie ze swoją siostrą, a potem, trzymając się za ręce, obie kobiety wyruszyły na poszukiwanie rozproszonych fragmentów ciała Ozyrysa.

Oczywiście nie rozmieściłem na scenie prawdziwych kawałków ciała Toda. Podczas przerwy moi pomocnicy zebrali je i na mój rozkaz przekazali je balsamiarzom. Postanowiłem zapłacić za pogrzeb z własnej kieszeni. Przynajmniej to byłem w stanie zrobić, by zadośćuczynić nieszczęsnej istocie fakt, iż brałem udział w tym morderstwie. Pomimo że faraon wciąż dzierżył w dłoni brakujący element jego anatomii, miałem nadzieję, że bogowie uczynią wyjątek i wpuszczą cień Toda do podziemi, a także że tam nie będzie myślał o mnie zbyt

nieprzychylnie. Roztropnie jest posiadać przyjaciół, gdzie tylko się da, czy to na tym, czy na drugim świecie.

By przedstawić ciało boga, poleciłem specjalistom pogrzebowym z nekropolii skonstruowanie z kartonu efektownej imitacji mumii, przedstawiającej Ozyrysa w całym królewskim przepychu, spoczywającego w śmiertelnej pozie z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Tę imitację pociąłem na trzynaście fragmentów, pasujących do siebie niczym dziecięce klocki.

Za każdym razem, gdy siostry odnajdywały kolejny element, intonowały hymn ku chwale poszczególnych części boskiego ciała – dłoni i stóp, kończyn i korpusu, na koniec ku czci jego boskiej głowy.

*Te oczy niczym gwiazdy osadzone w niebiosach
świecić będą przez wieki.*

*Śmierć nigdy nie zdoła zaćmić podobnego piękna,
grzebalne całuny nie skryją takiego majestatu.*

Gdy siostry zebrały wreszcie całe ciało Ozyrysa, z wyjątkiem brakującego talizmanu, poczęły głośno rozważać, jak mogłyby przywrócić go do życia.

W tej części sztuki wykorzystałem okazję, by wzbogacić widowisko o ten niezbędny element, który sprawia, iż przedstawienie teatralne zaspokaja powszechne oczekiwania. W większości z nas głęboko tkwi pokład lubieżności, a pisarz czy poeta, jeżeli ma ambicję uzyskania aprobaty całej widowni, właściwie czyni o tym nie zapominając.

- „Jedna tylko rzecz przywrócić może naszego drogiego pana i brata do życia. - Te słowa włożyłem w usta bogini Neftydy. - Któraś z nas musi dokonać aktu stworzenia z jego strzaskanym ciałem, by złożyć je na powrót w jedno i rozdmuchać skrytą w nim iskrę życia”.

Słyszając tę propozycję, widzowie poruszyli się i pochylili w oczekiwaniu. Zawierała treści odpowiadające gustom nawet największych rozpustników spośród obecnych, łącznie z kazirodztwem i nekrofilią.

Cierpiałem istne katusze, zastanawiając się nad sposobem przedstawienia na scenie tego epizodu mitu o zmartwychwstaniu Ozyrysa. Moja pani zaskoczyła mnie stwierdzeniem, że chętnie zagra swą rolę do końca. Miała nawet czelność podsunąć, z tym swoim pewnym siebie uśmiechem, że tą drogą zdobędzie być może cenną wiedzę i doświadczenie. Nie byłem pewien, czy żartuje, czy też naprawdę jest do tego skłonna; niemniej jednak, nie zamierzałem dawać sposobności do zademonstrowania dobrej woli lub braku takowej. Jej reputacja i honor rodu były zbyt cenne, by z nimi igrać.

Tak więc na mój znak Iniane zasłony zostały raz jeszcze zasunięte, a Lostris szybko opuściła scenę. Jej miejsce zajęła jedna z wysoko urodzonych kurtyzan, uprawiających swój zawód w pałacu miłości w pobliżu portu. Wynająłem tę dziewczkę spośród kilku, z którymi przeprowadziłem wstępne rozmowy, ze względu na jej zgrabne, młode ciało, zadowolająco przypominające moją panią. Oczywiście

urodą nie miała szansy konkurować z Lostris, lecz nie słyszałem o nikim, kto by mógł.

Gdy tylko fałszywa bogini znalazła się na stanowisku, zapłonęły pochodnie z tyłu sceny, rzucając jej cień na zasłony. Kurtyzana poczęła się rozbierać w niezwykle prowokacyjny sposób. Mężczyźni na widowni okrzykami pełnymi zachwyty zareagowali na uwodzicielskie ruchy jej cienia, przekonani, że widzą moją panią. Rozpustnica odpowiedziała na taką zachętę jeszcze bardziej sprośnym pokazem, przyjętym nieomal tak dobrze jak zabójstwo Ozyrysa w pierwszym akcie.

Nadeszła teraz ta scena sztuki, która mnie jako autorowi zajęła najwięcej czasu, bo w jaki sposób miałem przedstawić płodność boga, nie mając kołka do jej podparcia? Przed chwilą ujrzelśmy Ozyrysa tracącego swój w gwałtownych okolicznościach. Koniec końców zmuszony byłem zniżyć się do użycia owego wyświechtanego chwytu scenicznego, który tak często wyśmiewałem w dziełach innych autorów, a mianowicie boskiej interwencji z zastosowaniem ponadnaturalnej mocy.

Podczas gdy moja pani Lostris przemawiała zza kulis, cień jej alter ego stanął nad zmumifikowaną postacią Ozyrysa, wykonując serię mistycznych gestów.

- „Mój drogi bracie, rzadką i cudowną mocą darowaną mi przez naszego praojca, Amona-Re, przywracam ci twe męskie członki, tak brutalnie wydarte przez okrutnego Seta” - zaintonowała moja pani.

Uprzednio już wyposażyłem sarkofag w urządzenie, które podnosić mogłem, ściągając delikatny lniany sznur, przebiegający przez blok pod stropem świątyni bezpośrednio nad miejscem spoczynku Ozyrysa. Przy tych słowach Izyda długi jak moje ramię drewniany fallus, przymocowany na zawiasach do podbrzusza boga, uniósł się w majestatycznej glorii pełnej erekcji. Publiczność jęknęła z podziwu.

Izyda pieściła go, a ja szarpnięciami sznura sprawiałem, że podskakiwał i drżał. Widzowie byli zachwyceni, ich aplauz sięgnął zenitu, gdy bogini dosiadła smukłej mumii boga. Wnioskując z przekonujących akrobacji udawanej rozkoszy, nierządnicą wybraną przeze mnie do tej roli była z pewnością jedną z prawdziwie wybitnych przedstawicielek swego zawodu. Widownia bez wahania uznała niezrównany profesjonalizm tego pokazu, zagrzewając ją do dzieła gwizdami, świstami i wykrzykiwanymi głośno ordynarnymi radami.

Kiedy podniecenie sięgnęło szczytu, zgasły pochodnie i świątynię pochłonęły ciemności. W mroku dokonano ponownej zamiany i gdy na powrót skrzęsano światło, moja pani stała na środku sceny z nowo narodzonym potomkiem w ramionach. Jedną z niewolnic zatrudnionych w kuchni była na tyle uprzejma, by urodzić kilka dni wcześniej, więc na tę okazję pożyczyłem od niej jej szczeniaka.

- „Daję wam nowo narodzonego syna Ozyrysa, boga podziemi, oraz Izydy, bogini księżyca i gwiazd”.

Moja pani uniosła niemowlę nad głowę, a ono, przerażone widokiem morza obcych twarzy, zmarszczyło buzię i zaczerwieniło się od płaczu. Izyda przekrzykując jego wrzask, zawołała:

- „Pozdrówcie młodego pana Horusa, boga wiatru i nieba, sokoła niebios”.

Połowę widowni stanowili ludzie Horusa, toteż ich owacja dla swojego patrona nie ustawała. Zerwali się na równe nogi z nieskładnym rykiem. Drugi akt zakończył się mym kolejnym triumfem, upokorzeniem zaś dla nieletniego boga, który, jak wykazały późniejsze oględziny, obficie zanieczyścił swe powijaki.

Rozpocząłem końcowy akt kolejną recytacją, opisując dzieciństwo i dojrzewanie Horusa. Opowiedziałem o świętym obowiązku nałożonym nań przez Izydę, a gdy to robiłem, rozsunęły się zasłony, ukazując boginię w centrum sceny.

Izyda kąpała się w Nilu w otoczeniu swych służebnic. Mokra szata przylgnęła do ciała, tak że przeświecała przez nią mleczna piękna skóra. Niewyraźne zarysy piersi zwieńczone były drobnymi kwietnymi pąkami dziewiczego rózu.

Tanus w roli Horusa wyłonił się zza kulis i natychmiast stał się najważniejszą postacią na scenie. W swej wypolerowanej zbroi, tryskający wojowniczą dumą, stanowił doskonałą przeciwwagę dla urody bogini. Długa lista zwycięstw w wojnach na rzece oraz ostatni wyczyn - uratowanie królewskiej łodzi - przyciągnęły ku niemu

uwagę całej publiczności. Tanus stał się ulubieńcem tłumu. Zanim zdążył się odezwać, powitały go okrzyki, a owacja trwała tak długo, że aktorzy zmuszeni byli zastygnąć w wyjściowych pozach.

Widownia wiwatowała na cześć Tanusa, a ja wyszukałem w niej kilka twarzy i przyglądałem się malującym się na nich emocjom. Nembet, wielki lew Egiptu, patrzył spode łba i mruzczał coś pod nosem, nawet nie starając się skryć swej wrogości. Faraon uśmiechnął się łaskawie i skinął głową, tak by siedzący za nim zdali sobie sprawę z jego pochwały, co podsyciło tylko ich zapał. Mój pan, książę Intef, nie zwykł żeglować wbrew nieprzychylnym wiatrom, przywołał więc swój najśłodszy uśmiech i skłonił głowę na znak, że całkowicie podziela uczucia władcy. Lecz z mojego niezwykle dogodnego punktu obserwacyjnego widziałem, że jego oczy zieją śmiertelną nienawiścią.

Wreszcie owacja przycichła i Tanus mógł rozpocząć swą kwestię, choć nie bez problemów, jako że za każdym razem, gdy przerywał, by zaczerpnąć powietrza, rozlegały się kolejne wiwaty. Dopiero gdy Izyda zaczęła śpiewać, raz jeszcze na widownię spłynęła kompletna cisza.

*Cierpienie twego ojca,
straszliwe przeznaczenie zawisłe nad naszym domem,
wszystko to musi zostać zmazane*

Wierszem Izyda ostrzegała swego szlachetnego syna i błagalnie, a zarazem rozkazująco, wyciągnęła ku niemu ramiona.

*Przekleństwo Seta okrywa nas wszystkich,
jedynie ty władny jesteś je odwołać.
Odszukaj swego potwornego wuja.
Po jego pysze i zawziętości
rozpoznaś go.
Gdy go odnajdziesz,
pował.
Zakuj w łańcuchy,
nagnij do twej woli,
tak by bogowie i wszyscy ludzie
uwolnieni zostali spod jego ohydnej władzy.*

Wciąż śpiewając, bogini wycofała się, by powierzyć poszukiwania synowi. Niczym dzieci słuchające ulubionego wierszyka, widzowie dobrze wiedzieli, co będzie dalej, lecz pochyłili się i zabrzmiał szmer oczekiwania.

Gdy Seth wpadł wreszcie w podskokach na scenę, przygotowany na decydujące starcie – starą jak świat walkę dobra ze złem, piękna z ohydą, prawości z bezwstydem – publiczność gotowa była na jego przyjęcie. Powitał go chór nienawistnych głosów, spontaniczny i nieudawany. Rasfer wyszczerzył wyzywająco zęby, bełkocząc coś do widzów, stąpał wyniośle przez scenę. Genitalia ujął w złożone dłonie i ruszał biodrami w szyderyczym i obscenicznym geście, który doprowadził publiczność do szału.

- Zabij go, Horusie! - zawyli. - Rozwał mu ten brudny pysk!

Seth zaś podskakiwał przed nimi, podsycając ich furję.

- Zabij mordercę wielkiego boga Ozyrysa! - ryczeli w paroksyzmie szaleństwa.

- Rozwal mu gębę!

- Wypruj mu flaki!

Zgromadzeni wcale nie reagowali spokojniej przez to, że w głębi duszy wiedzieli, że przed sobą mają Rasfera, a nie Seta.

- Odrąb mu głowę! - krzyczeli.

- Zabij go! Zabij go!

Seth udał wreszcie, że dopiero teraz zauważył swego siostrzeńca, i podążył ku niemu buńczucznie, wywalając język spomiędzy poczerniałych zębów, śliniąc się jak debil, tak że srebrne nitki śliny ściekały mu na pierś. Nigdy nie uwierzyłbym, że Rasfer potrafi ohydą swego wyglądu przewyższyć wszelkie osiągnięcia natury w tej dziedzinie, lecz okazało się, że byłem w błędzie.

- Cóż to za dzieciak? - zapytał i beknął Horusowi prosto w twarz.

Tanus nie był na to przygotowany i mimo woli cofnął się z nieudawanym wyrazem niesmaku, poczuwszy smród oddechu Rasfera i zawartości żołądka, w którym ciągle jeszcze fermentowało wino.

Szybko jednak odzyskał pewność siebie i wyrzekł kolejną kwestię:

- „Jestem Horus, syn Ozyrysa”.

Seth zaniósł się szyderczym śmiechem.

- „A czego szukasz, niedorosły potomku martwego boga?”.

- „Szukam pomsty za zabójstwo mego szlachetnego ojca. Poszukuję mordercy Ozyrysa”.

- „Nie szukaj więc dalej - zawołał Seth - bo to ja jestem Seth, niszczyciel pomniejszych bogów. Jestem Seth pożeracz gwiazd, burzyciel światów”.

Dwaj bogowie obnażyli miecze i rzucili się na siebie, by zewrzeć się na środku sceny ostrze w ostrze. Aby zmniejszyć prawdopodobieństwo odniesienia przypadkowej rany, próbowałem zastąpić miecze z brązu drewnianymi, lecz żaden z moich aktorów nie chciał nawet o tym słyszeć. Mój pan, książę Intef, interweniował osobiście, gdy Rasfer odwołał się do jego sądu. Wydał polecenie, by pozwolono im zachować prawdziwą broń, ja zaś musiałem ustąpić przed takim autorytetem. Przynajmniej wnosilo to do sztuki jeszcze więcej realizmu, gdy stali tak pierś w pierś z zakleszczonymi ostrzami, przeszywając się wzrokiem.

Stanowili dobraną parę. Byli tak do siebie niepodobni, że podkreślało to morał sztuki, wieczny konflikt dobra ze złem. Tanus - wysoki, jasnoskóry i przystojny. Seth - śniady, mocno zbudowany, krzywonogi i odpychający. Jaskrawy kontrast między nimi bazował na najprymitywniejszych uczuciach. Widownią targwały tak samo silne emocje jak te, które grały w sercach obu bohaterów.

W tej samej chwili odparowali ciosy, a potem starli się ponownie. Parowali ciosy, napierali i robili uniki. Obaj byli dobrze wyszkolonymi, wprawnymi szermierzami, jednymi z najzręczniejszych we wszystkich armiach faraona. Miecze wirowały i migotały w świetle pochodni, pozornie równie

niematerialne jak światło słoneczne odbite od zmarszczonej wiatrem powierzchni wielkiej rzeki. Gdy przecinały powietrze, wydawały dźwięk podobny trzepotowi skrzydeł ptaków wypłoszonych z gniazd pod wysokim, mrocznym sklepieniem świątyni, lecz gdy spotykały się w zwarciu, dźwięczały przenikliwie niczym młoty w kuźni.

To, co obserwatorowi wydawało się chaosem prawdziwej bitwy, stanowiło w rzeczywistości drobiazgowo dopracowany choreograficznie, precyzyjnie wyćwiczony balet. Każdy z walczących wiedział dokładnie, kiedy wyprowadzić kolejny cios i jak wymierzyć w czasie zasłonę. Byli to dwaj wyśmienici atleci, pochłonięci czynnością, którą ćwiczyli jako wojownicy przez całe swe życie, i to sprawiało, że pozornie nie wkładali w nią żadnego wysiłku.

Gdy Seth wyprowadził pchnięcie, Horus zaczekał ze sparowaniem tak długo, aż czubek miecza uderzył w napierśnik, pozostawiając na metalu cienką, jasną ryse. Z kolei Horus rzucił się do przodu. Broń przemknęła tak blisko głowy Setha, że kosmyk skudlonych, matowych włosów został odcięty jak brzytwą cyrulika. Ruchy ich stóp, lekkie i skomplikowane, można porównać do kroków świątynnych tancerzy. Walczący zręcznością dorównywali sokołom, a gibkością polującym gepardom.

Tłum był zafascynowany i ja także. Dlatego ostrzegł mnie chyba instynkt, a może nawet i boskie szturchnięcie pod żebro, kto wie? W każdym razie jakaś zewnętrzna siła kazała mi oderwać wzrok od spektaklu i spojrzeć na

zasiadającego w pierwszym rzędzie mego pana, księcia Intefa.

I ponownie czy to instynkt, czy moja głęboka znajomość jego natury, a może interwencja opiekującego się Tanusem boga umieściła tę myśl w mej głowie. Zdecydowały o tym te wszystkie czynniki, w każdym razie momentalnie poznałem powód drapieżnego uśmiechu na przystojnej twarzy mego pana, księcia Intefa.

Zrozumiałem, dlaczego do roli Setha wybrał Rasfera. Zrozumiałem, dlaczego nie spróbował odebrać Tanusowi roli Horusa nawet wtedy, gdy dowiedział się o jego związku z moją panią Lostris. Zrozumiałem, dlaczego zażądał użycia ostrej broni, zrozumiałem wreszcie, dlaczego teraz się uśmiechał. Tego wieczoru rzeź jeszcze się nie zakończyła, z niecierpliwością oczekiwał na jej dalszy ciąg. Przed końcem tego aktu Rasfer raz jeszcze zrobi użytek ze swych szczególnych umiejętności.

- Tanusie! - wrzasnąłem, zrywając się i biegnąc do przodu.

- Uważaj! To pułapka. On chce...

Me krzyki zginęły w ryku tłumu, a zanim zrobiłem drugi krok, zostałem pochwycony od tyłu za rękę. Spróbowałem się wyrwać, lecz dwóch łotrzyków Rasfera przytrzymało mnie i poczęło wlec do tyłu. Ustawiono ich tam, by przeszkodzić mi w próbie ostrzeżenia przyjaciela.

Horusie, dodaj mi sił! - błagałem w duchu i zamiast stawiać opór, rzuciłem się w tym kierunku, w którym mnie ciągnięto. Na mgnienie oka złoczyńcy stracili równowagę

i na tyle wyzwoliłem się z ich uchwytu, że zdołałem dotrzeć na skraj sceny, zanim zdążyli ponownie mnie unieruchomić.

- Horusie, daj mi siłę! - poprosiłem boga, a potem krzyknąłem pełną piersią: - Tanusie, uważaj! On chce cię zabić!

Tym razem mój głos przebił się przez szmer tłumu i Tanus go usłyszał. Dostrzegłem, że głowa mu drgnęła, a oczy się zwężyły. Lecz Rasfer także mnie usłyszał. Zareagował błyskawicznie, przerywając wyćwiczony schemat. Zamiast ustąpić przed burzą pchnięć, jakie Tanus kierował w jego bydlęcą głowę, postąpił do przodu i wyprowadzonym z dołu zamachem miecza podbił wysoko uzbrojone ramię.

Gdyby nie zaskoczenie, nigdy nie udałooby mu się uzyskać przewagi. Natychmiast z niej skorzystał, wykonał pchnięcie, w które włożył całą moc swych masywnych ramion i potężnego cielska. Czubek miecza wymierzony był o włos poniżej krawędzi hełmu Tanusa, bezpośrednio w jego prawe oko. Chciał mu je wyjąć i rozłupać czaszkę.

Ale moje ostrzeżenie dało Tanusowi ów bezcenny, krótki moment na reakcję i zdążył w samą porę się osłonić. Końcem miecza zdołał dosięgnąć nadgarstka Rasfera. Zrobił to z dostateczną siłą, by przesunąć o palec czubek broni wroga. Jednocześnie oparł brodę na piersi i odwrócił głowę. Było już za późno, by całkowicie uniknąć ciosu, lecz uderzenie, które miało wydłubać mu oko i rozłupać czaszkę jak zgniły melon, zaledwie rozcięło do kości brew, potem ostrze przemknęło niegroźnie nad barkiem.

Strumień krwi natychmiast trysnął z płytkiej rany i spłynął po twarzy Tanusa, zalewając prawe oko. Musiał uskoczyć przed dzikim natarciem Rasfera. Wycofywał się z desperacją, mrugając zakrwawionym okiem i starając się otrzeć je wolną ręką. Wydawało się niemożliwe, by zdołał się obronić. Gdybym tylko nie był tak mocno trzymany przez pałacowych gwardzistów, wyciągnąłbym zza pasa sztylet o wysadzanej klejnotami rękojeści i ruszyłbym mu z pomocą.

Ale i bez mego wsparcia Tanus zdołał przetrwać pierwszy, morderczy atak. Choć został jeszcze dwukrotnie ranny – głęboko cięty przez lewe udo i draśnięty w biceps dzierzącej miecz ręki – nadal kluczył, parował i wykonywał uniki. Rasfer napierał na niego bez wytchnienia, nie pozwalając mu odzyskać równowagi ani otrzeć zalanego krwią oka. Po paru minutach Rasfer sapał i stękał niczym olbrzymi leśny knur, ociekając potem tak, że jego niekształtny tors lśnił w świetle pochodni, lecz szybkość i furia jego ataków nie malały.

Choć kiepski ze mnie szermierz, z zapalem studiuję teorię tej sztuki. Tak często przyglądałem się Rasferowi trenującemu na placu ćwiczeń, że dogłębnie poznałem jego styl walki. Wiedziałem, że był zwolennikiem *khamsin*, ataku „gwałtownego jak pustynny wiatr”. Manewr ten idealnie współgrał z jego brutalną siłą i budową ciała. Setki razy widziałem, jak ćwiczył ten rodzaj ataku i teraz z ruchu stóp odgadłem, że przygotowuje się właśnie do ostatniego, kończącego natarcia.

Szarpiąc się w uchwycie mych strażników, wrzasnąłem ponownie do Tanusa:

- *Khamsin!* Uważaj!

Pomyślałem, że trzęsący świątynią ryk tłumu zagłuszył me ostrzeżenie, bo Tanus w ogóle nie zareagował. Później powiedział, że usłyszał mnie i że wzięwszy pod uwagę jego częściowo przesłonięte pole widzenia, bez wątpienia ponownie go uratowałem.

Rasfer cofnął się o pół kroku w klasycznym preludium do *khamsinu*, zmniejszając napór, by przeciwnik wystawił się na cios. Potem przeniósł ciężar ciała i jego lewa stopa wystrzeliła w przód. Wykorzystał zamach i siłę prawej nogi, by zaatakować całym ciałem niczym zrywający się do lotu groteskowy padlinożerny ptak. Gdy obie stopy oderwały się od ziemi, ostrze miecza skierowało się ku gardłu Tanusa. Koniec zbliżał się nieubłaganie.

Tylko klasyczna obrona mogła powstrzymać mordercze narzędzie.

Dokładnie wtedy, gdy Rasfer naparł całym ciałem, Tanus rzucił się mu na spotkanie z równą siłą, lecz nieporównanie większą zwinnością. Jak zwolniona z cięciwy strzała pomknął prosto ku przeciwnikowi. Zetknęli się w powietrzu, a Tanus wychwycił ostrze Rasfera własnym i pozwolił mu ześlizgnąć się aż do jelca i wtedy zablokował je pewnym ruchem. Tak wygląda perfekcyjnie wykonana kontra.

Masa i prędkość dwóch wielkich mężczyzn przeniesione zostały na brązowe ostrze w dłoni Rasfera, które nie

wytrzymało napięcia. Złamało się bez odprysków, a w garści pozostała jedynie sama rękojeść. Wtedy raz jeszcze zwarli się pierś w pierś. Choć miecz Tanusa nie doznał uszczerbku, Rasfer unieruchomił go skwapliwie, tak że Tanus nie mógł go użyć. Tanus, trzymając kurczowo broń w prawej dłoni, splótł obie ręce na plecach przeciwnika. Mocowali się dalej.

Zapasy to jedna z wojskowych umiejętności, w jakiej szkolony jest każdy żołnierz armii egipskiej. Spleceni ramionami w miażdżącym uścisku Tanus i Rasfer tańczyli teraz po scenie, próbując zachwiać równowagę przeciwnika, zahaczyć go piętą i przewrócić. Patrzyli sobie w oczy morderczym wzrokiem, uderzali się hełmami z równą siłą i determinacją.

Widzowie dawno już wyczuli, że nie jest to udawane starcie, lecz walka na śmierć i życie. Myślałem, że wydarzenia tego wieczoru przytępiły już ich apetyt, ale byli nienasytzeni. Wyciem domagali się krwi i jeszcze więcej krwi.

Wreszcie Rasfer wyrwał ramię z uchwytu Tanusa. Nadal trzymał w zaciśniętej dłoni rękojeść złamanego miecza i poszczerbioną krawędzią uderzył przeciwnika w twarz, celowo mierząc w oczy i ranę na czole, by ją powiększyć i rozgrzebać. Tanus wykręcał głowę, unikając ciosów, przyjmował je na okap swego hełmu z brązu. Jak pyton przesuwający swe sploty wokół ofiary wykorzystał tę chwilę, by poprawić miażdżący chwyt wokół piersi przeciwnika. Uścisk był tak mocarny, że twarz Rasfera

poczęła obrzmiewać i nabiegać krwią. Tanus wyciskał z niego powietrze i Rasfer musiał bronić się przed uduszeniem. Wyraźnie zaczął słabnąć. Tanus nie zwalniał nacisku, aż pękł nabrzmiąły wrzód na plecach Rasfera i żółta ropa wystrzeliła śmierzącym strumieniem, a potem wsiąkła w pas jego spódniczki.

Rasfer cały czas się dusił, skrzywił się z bólu wywołanego pęknięciem ropnia i zawahał się. Tanus wyczuł jego niepewność i sięgnął do ukrytych gdzieś rezerw energii. Zmienił kierunek nacisku, opuścił nieco ramiona i zepchnął przeciwnika na pięty. Rasfer stracił oparcie, więc Tanus sprężył się raz jeszcze i zmusił go do zrobienia kroku w tył. Potem przyspieszył. Wciąż przyklejony do przeciwnika, przepchnął Rasfera przez scenę, naprowadzając go na jedną z gigantycznych kamiennych kolumn. Przez moment nikt nie domyślał się zamiarów Tanusa, lecz za chwilę ujrzelśmy, jak ustawia swój miecz w pozycji poziomej i przyciska jego rękojeść do kręgosłupa Rasfera.

Całym impetem ostrze Tanusa uderzyło w nieustępliwą kolumnę. Metal zazgrzytał o granit i ostrze przeniosło na rękojeść całą energię zderzenia. Zatrzymało obu mężczyzn w miejscu, z całą siłą wbijając głowicę rękojeści w plecy Rasfera. Słabszy człowiek zginąłby od tego ciosu, Rasfer został wskutek niego sparaliżowany. Wraz z ostatnim zgniłym oddechem wydał krzyk bóleści i rozłożył ramiona. Złamana broń wyslizgnęła mu się z palców i upadła na posadzkę.

Kolana ugięły się pod Rasferem i oprawca zwiśł w ramionach Tanusa. On zaś oparł go sobie na biodrze i szarpnięciem górnej części ciała zarzucił zwyciężonego na plecy. Kat upadł tak ciężko, że usłyszałem chrupnięcie pękających żeber, suche jak trzask zeschniętych gałązek w obozowym ognisku. Potylica podskoczyła na kamiennych płytach z takim odgłosem, jakby ktoś upuścił z wysoka pustynny melon, i powietrze ze świstem uciekło mu z płuc.

Rasfer zajęczał z bólu. Z trudem zdołał unieść rękę w geście kapitulacji. Tanus tak opętany był szałem bitewnym i rozgrzany rykiem tłumu, że zachowywał się jak szalony. Stanął nad Rasferem i wzniósł miecz, ujmując rękojeść obiema dłońmi. Przedstawiał sobą przerażający widok. Krew z rany na czole zmieniła twarz w połyskliwą diabelską maskę. Pot i krew zlepiły włosy na jego piersi i splamiły odzienie.

- Zabij go! - ryczeli zgromadzeni. - Zabij złego!

Czubek miecza wymierzony był w środek piersi Rasfera i przygotowałem się na pchnięcie, które miało przeszyć olbrzymie cielsko. Pragnąłem, by Tanus to zrobił, gdyż nienawidziłem Rasfera bardziej niż inni. Bogowie wiedzą, że miałem ku temu powód, gdyż to ten potwór mnie wykastrował, a teraz pożyłem zemsty.

Wszystko na próżno. Powinienem lepiej znać mojego Tanusa i wiedzieć, iż nie należy oczekiwać, by przeszył mieczem poddającego się wroga. Dostrzegłem, że ogień szaleństwa gaśnie w jego oczach. Potrząsnął lekko głową, żeby odzyskać panowanie nad sobą. Potem, zamiast

wyprowadzić pchnięcie, powolnym ruchem opuścił miecz, lekko tylko nakłuwając kosmatą pierś Rasfera. Ostry czubek wytoczył kroplę krwi, która zajaśniała niczym owoc granatu. Wtedy Tanus powrócił do przeznaczonej dla niego scenariuszem kwestii.

- „Tak oto podporządkowuję cię mej woli i skazuję na wygnanie z dala od światła. Obyś przez całą wieczność błąkał się przez mroczne obszary. Obyś już nigdy nie zawładnął szlachetnymi i dobrymi spośród ludzi. Oddaję ci we władanie złodzieja i tchórza, okrutnika i oszusta, kłamcę i mordercę, rabusia grobów i gwałciciela cnotliwych kobiet, bluźniercę i niewiernego. Odtąd będziesz bogiem wszelkiego zła. Odejdź teraz, dźwigając na sobie klątwę Horusa i jego wskrzeszonego ojca, Ozyrysa”.

Zdjął czubek swego miecza z piersi Rasfera i odrzucił broń. Rozmyślnie rozbroił się w obecności wroga, by okazać mu swą pogardę i lekceważenie. Ostrze zabrzączało na kamiennych płytach, a Tanus przeszedł ku toczącemu wodę przez scenę teatralnemu Nilowi i przyklęknął na jedno kolano, napełnił dłonie, opryskał sobie twarz i splukał krew. Następnie oddarł pas lnianej tkaniny ze spódniczki i zręcznie obwiązał ranę na czole, by powstrzymać krwawienie.

Dwie małpy Rasfera uwolniły mnie i wpadły na scenę, żeby pomóc swemu powalonemu dowódcy. Postawili go na nogi, a on zataczał się pomiędzy nimi, sapiąc i dysząc jak olbrzymia, obrzydliwa ropucha. Dostrzegłem, że odniósł

poważne obrażenia. Gwardziści zwlekli go ze sceny, a tłum pożegnał pogardliwym i nienawistnym wyciem.

Przyjrzałem się memu panu, księciu Intefowi, który przez moment nie kontrolował wyrazu twarzy. Ujrzałem na niej potwierdzenie wszystkich mych podejrzeń. To właśnie w ten sposób zaplanował swoją zemstę na Tanusie – miał zginąć na oczach całego ludu – i na swojej córce, która miała ujrzeć swego ukochanego mordowanego u jej stóp. Taką karę przygotował dla Lostris za lekceważenie woli swego ojca.

Zawiedzione nadzieje i rozczarowanie mego pana, księcia Intefa, wystarczyły teraz, by napełnić me serce zadowoleniem i satysfakcją na myśl o zapłacie, jaką musiał już obmyślać dla Rasfera. Ten wolałby zapewne doznać trochę brutalności z ręki Tanusa, niż ponieść karę, jaką bez wątpienia wymierzy mu mój pan. Książę Intef nie obchodził się łagodnie z tymi, którzy go zawiedli.

Tanus wciąż oddychał ciężko po trudach pojedynku, lecz przesunął się na skraj sceny, wziął kilka głębokich oddechów, by uspokoić się przed deklamacją, która zakończyć miała widowisko. Gdy stanął przed zgromadzonymi, zapadła cisza, gdyż rozpalony gniewem i pokryty krwią stanowił zapierający dech w piersiach widok.

Uniósł ręce ku sklepieniu świątyni i zakrzyknął donośnym głosem:

– „Amonie-Re, udziel mi swego głosu. Ozyrysie, udziel mi daru słowa” – była to tradycyjna inwokacja mówcy.

- Udziel mu głosu! Udziel mu daru słowa! - zareagował tłum, na twarzach ludzi malowało się urzeczenie dopiero co obejrzanym spektaklem, ale i głód nowych wrażeń.

Tanus stanowił niezwykłą postać, połączenie człowieka czynu z myślicielem i mówcą. Pewien jestem, że byłby na tyle wielkoduszny, by przyznać, że wiele z tych myśli posiał w jego umyśle ów nędzny niewolnik, Taita. Raz posiane wszakże, padały na żyzny grunt.

Jeżeli chodzi o oracje, sławne były mowy Tanusa do podlegających mu załóg okrętów w przeddzień bitwy. Oczywiście nie byłem świadkiem wygłaszania żadnej z nich, lecz Kratas, jego wierny zastępca i przyjaciel, powtarzał mi je słowo w słowo. Wiele z tych przemówień spisałem na zwojach papirusu, jako że zasługiwały na to, by je utrwalić.

Tanus umiał zyskiwać popularność wśród pospólstwa, posiadał też umiejętność trafiania bezpośrednio do umysłu prostego człowieka. Często przychodziło mi do głowy, że znaczna część tej niezwykłej mocy płynęła z jego niezachwianej uczciwości i bezpośredniego sposobu bycia. Ludzie ufali mu i szli za nim chętnie tam, dokąd ich prowadził, choćby i prosto w paszczę śmierci.

Wciąż targały mną emocje wywołane starciem, którego dopiero co byliśmy świadkami, i świadomością tego, jak niewiele dzieliło Tanusa od wpadnięcia w sidła zastawione nań przez księcia Intefa. Niemniej z niecierpliwością oczekiwałem deklamacji, jaką Tanus przygotował bez mej pomocy ani porady. Mówiąc szczerze, nadal czułem do niego lekki żal za to, że odrzucił moje wsparcie, oraz

znacznie silniejszą obawę o to, z czym zamierza wystąpić. Takt i delikatność nigdy nie stanowiły jego mocnej strony.

Lecz oto faraon gestem zaprosił Tanusa, by przemówił, krzyżując i rozkrzyżowując ceremonialne berło i bicz, a jednocześnie skinął łaskawie głową. Widzowie zamilkli w skupieniu, pochylając się, by nie uronić ani jednego słowa.

- „Oto słowa Horusa o głowie sokoła” - rozpoczął Tanus, a publiczność przywitała te słowa aplauzem.

- Zaprawdę, to Horus o głowie sokoła! Wysłuchajcie go!

- *Ha-Ka-Ptah!* - Tanus posłużył się archaiczną formą, od której wywodziła się obecna nazwa Egiptu. Bardzo niewiele zdaje sobie sprawę z tego, że pierwotnie oznaczała ona świątynię boga Ptah. - Mówię do ciebie o tej starożytnej krainie oddanej nam przed dziesięcioma tysiącami lat, gdy bogowie byli jeszcze młodzi. Mówię do ciebie o dwóch królestwach, z natury rzeczy będących niepodzielną jednością.

Faraon skinął głową. Tak brzmiał dogmat, zatwierdzony przez władze świeckie i duchowne, nie uznający samozwańca z Dolnego Królestwa i nie wspominający nawet o jego istnieniu.

- O, *Kemi!* - Tanus użył kolejnej dawnej nazwy Egiptu, Czarna Ziemia, wziętej od barwy rzeczno-mułowego pozostawianego przez coroczne wylewy Nilu. - Mówię do ciebie o rozdartej i podzielonej krainie, szarpanej wojną domową, krwawiącej i pozbawionej bogactwa.

Moje zaskoczenie znalazło odbicie na twarzach wszystkich, którzy go słuchali. Tanus właśnie wygłosił słowa, których nie należało wypowiadać. Zapragnąłem wybiec na scenę i zakryć mu usta dłonią, by przerwać tę orację, lecz stałem jak wmurowany w ziemię.

- O, *Ta-Meri!* - Jeszcze jedna stara nazwa, Umiłowana Ziemia. Tanus dobrze nauczył się historii, którą mu wykładałem.

- Mówię do ciebie o starych, niedołężnych generałach i admirałach zbyt słabych i bezradnych, by wyrwać zrabowaną ziemię z rąk uzurpatora. Mówię do ciebie o wiekowych, zdziecinniałych mężach, trwoniących twe skarby i rozlewających krew twych najlepszych młodych synów, jak gdyby była szumowinami skwaśniałego wina.

Siedzący w drugim rzędzie Nembet, wielki lew Egiptu, zsiniał z wściekłości i począł szarpać z furią swą brodę. Zgromadzeni obok starsi dowódcy wojskowi przybrali niezadowolone miny, zaczęli kręcić się niespokojnie na ławkach i grzechotać mieczami w pochwach, w ten sposób wyrażając swą dezaprobatę. Tylko mój pan uśmiechał się, widząc, jak Tanus, wymknąwszy się z jednej pułapki, pakuje się ślepo w następną.

- Nasza *Ta-Meri* opadnięta jest przez rzeszę wrogów, a jednak synowie szlachetnie urodzonych wolą raczej obciąć sobie kciuki niż dźwignąć miecz w jej obronie.

Mówiąc te słowa, Tanus spojrzał ostro na Menseta i Sobeka, starszych braci Lostris, siedzących w drugim rzędzie u boku swego ojca. Dekret władcy zwalniał ze

służby wojskowej jedynie mężczyzn obciążonych kalectwem, które dyskwalifikowało ich jako żołnierzy. Kapłani-chirurdzy w świątyni Ozyrysa do perfekcji opanowali sztukę odcinania górnej części kciuka stosunkowo bezboleśnie i przy niewielkim ryzyku zakażenia, co uniemożliwiało trzymanie w tej dłoni miecza i naciągnięcie cięciwy. Młodzi lalusie z dumą wystawiali na pokaz swe okaleczenia, po czym uprawiali hazard i hulali w nadrzecznych tawernach. Uważali ów brakujący palec za oznakę nie tchórzostwa, lecz wyrafinowania i niezależności ducha. „Wojna to gra, w której starcy bawią się życiem młodych ludzi - argumentowali bracia Lostris. - Miłość ojczyzny to mit wymyślony przez owych starych łotrów, by wciągnąć nas do tej szatańskiej rozgrywki. Niech sobie walczą, ile chcą, ale bez nas”. Na próżno robiłem im wymówki, wskazując, że przywileje związane z egipskim obywatelstwem pociągają za sobą powinności i obowiązki. Zbywali mnie lekceważeniem typowym dla młodości i beztroski.

Teraz wszakże pod nieugiętym spojrzeniem Tanusa poruszyli się niespokojnie, skrywając swe lewe dłonie w fałdach ubrania. Obaj byli praworęczni, lecz używając całej swej elokwencji i hojnie szafując złotem, zdołali przekonać oficera rekrutacyjnego o czymś zgoła przeciwnym.

Zwykli ludzie na tyłach wielkiej sali zamruczeli i zatupali, wyrażając w ten sposób poparcie dla tego, co powiedział Tanus. To ich synowie zapełniali ławki wioślarzy na

bojowych okrętach i maszerowali w pełnym uzbrojeniu przez pustynne piaski.

Ja jednak, stojąc za kulisami, załamywałem ręce z rozpacz. Tym krótkim stwierdzeniem Tanus uczynił sobie wrogów z pięćdziesięciu młodych szlachetnie urodzonych, którzy znajdowali się na widowni. Ci mężczyźni któregoś dnia odziedziczą władzę i wpływy w Górnym Królestwie. Ich wrogość stokrotnie przewyższała podziw prostego tłumu, błagałem więc w myślach Tanusa, by skończył. Przez parę minut narobił dość szkód, by starczyło nam i na sto lat, lecz on beztrąsko ciągnął dalej.

- O, *Ta-Nutri!* - To było jeszcze jedno starożytne miano, Kraina Bogów. - Mówię do ciebie o złoczyńcy i rabusiu, czającym się w zasadzce na szczycie każdego wzgórza i w każdym zaroślach. Rolnik zmuszony jest orać z tarczą przy boku, a wędrowiec podróżować z nagim mieczem w dłoni.

I teraz lud zareagował entuzjastycznie. Napady zbójckich band stały się dla wszystkich straszliwą plagą. Nikt nie był bezpieczny poza glinianymi murami miast, a wodzowie rabusiów zwały się Dzierzbami okazywali butę i brak bojaźni. Przestrzegali jedynie swych własnych praw i nikt nie był przed nimi bezpieczny.

Tanus poruszył w ludziach właściwą strunę i nagle wstrząsnęła mną myśl, że kryło się w tym coś głębszego, niż się wydawało. Takie właśnie wezwania skierowane do mas kończyły się rewolucjami i obalaniem faraonów. Kolejne słowa Tanusa wzmocniły tylko me podejrzenia.

- Podczas gdy biedacy jęczą pod biczem urzędników podatkowych, szlachetnie urodzeni smarują pośladki swych ulubionych chłopców najdrogocenniejszymi olejkami Wschodu...

W głębi sali podniósł się zgiełk, a me obawy ustąpiły miejsca podnieceniu. Czyżby Tanus okazał się subtelniejszy i bardziej podstępny, niż go o to kiedykolwiek podejrzewałem?

Na Horusa! - zakrzyknąłem w duchu. - Kraj dojrzał do rewolucji, któż lepiej od Tanusająpoprowadzi? - Czułem jedynie żal, że nie dopuścił mnie do spisku i nie zapoznał ze swymi planami. Mógłbym przygotować rewolucję równie zręcznie i chytrze, jakbym projektował wodny ogród lub pisał sztukę.

Wyciągnąłem szyję, by spojrzeć ponad głowami zgromadzonych. Spodziewałem się, że w każdej chwili Kratas i cała oficerska brać może wdrzeć się do świątyni na czele kompanii żołnierzy z flotyli. Poczułem, że włosy na przedramionach i karku jeżą mi się z podniecenia, gdy wyobraziłem sobie, jak zdzierają podwójną koronę z głowy faraona i umieszczają ją na usmarowanej krwią skroni Tanusa. Z jaką radością przyłączyłbym się do okrzyku: „Niech żyje faraon! Niech żyje król Tanus!”.

Zapierające dech w piersiach wizje zawirowały mi przed oczami, a Tanus mówił dalej. Ujrzałem spełnienie proroctwa pustynnej wyroczni. W wyobraźni widziałem Tanusa z mą panią Lostris u boku, zasiadającego na białym tronie Egiptu i siebie stojącego za ich plecami w bogatym stroju

wielkiego wezyra Górnego Królestwa. Lecz dlaczego, ach dlaczego nie poradził się mnie przed rozpoczęciem tego niebezpiecznego przedsięwzięcia?

Gdy zaczerpnął tchu, przyczyna stała się oczywista. Złe go oceniłem. Mojego uczciwego, prostego i porządnego Tanusa, mego szlachetnego, bezpośredniego i godnego zaufania Tanusa, nieznającego podstępów, chytryści i przebiegłości.

Nie był to żaden spisek. Po prostu Tanus mówił to, co mu leżało na sercu, bez strachu czy oglądania się na innych. Prostacy, jeszcze przed chwilą chwytający żarliwie każde płynące z jego ust słowo, poznali niespodzianie ostrość jego języka, gdy ten zwrócił się przeciwko nim.

- Słysz mnie, o Egipcie! Cóż stanie się z krainą, w której ubodzy duchem starają się ukorzyć potężniejszych od siebie, gdzie kochający kraj otaczany jest pogardą, gdzie żaden z mężów wczoraj wyniesionych na piedestał nie jest ceniony za swą mądrość, gdzie mali i zazdrośni za cel stawiają sobie uczynienie z wartościowych ludzi nędzników takich, jakimi są oni sami.

Tym razem w głębi sali nie było entuzjazmu, bo ludzie rozpoznali siebie w tym opisie. Tanusowi bez wysiłku udało się nastroić nieprzychylnie do siebie wszystkich - wielkich i małych, bogatych i biednych. Dlaczego nie poprosił mnie o radę - rozpacziałem, a odpowiedź nasuwała się sama. Nie poprosił mnie, gdyż wiedział, że byłbym takiemu wystąpieniu przeciwny.

- Jakiż porządek panuje w społeczeństwie, w którym niewolnik bezkarnie mieli językiem i ma się za równego szlachetnie urodzonym? - grzmiał. - Czy syn ma prawo gardzić ojcem i szydzić z mądrości opłaconej siwizną i zmarszczkami? Czy portowa nierządnica może stroić się w pierścienie z lapis-lazuli i wynosić się ponad cnotliwą małżonkę?

Na Horusa, nie oszczędza nikomu smagnięć tnącymi niczym bicz słowami - pomyślałem gorzko. Jak zawsze gdy dążył ku temu, co uważał za słuszne i właściwe, zupełnie nie dbał o własne bezpieczeństwo.

Tylko jedna osoba w świątyni oczarowana była tym, co mówił. Lostris pojawiła się przy mnie i ścisnęła mnie za ramię.

- Czyż nie jest cudowny, Taito? - szepnęła. - Każde słowo, które wypowiada, to prawda. Dziś jest prawdziwym młodym bogiem.

Zabrakło mi słów i chęci, by się z nią zgodzić, zwiesiłem więc tylko smutnie głowę, a Tanus perorował nieubłaganie.

- Faraonie, tyś ojcem ludu. Wołamy do ciebie, błagając o opiekę i wsparcie. Złóż sprawy państwa i wojny w ręce uczciwych i rozumnych ludzi. Odpraw łotrów i głupców, by gnili w swych majątkach. Odwołaj niewiernych kapłanów i przekupnych urzędników państwowych, owych pasożytów na ciele naszej *Ta-Meri*.

Horus dobrze wie, że nie cierpię kapłanów nie mniej od innych, lecz jedynie głupiec lub ktoś niezmiernie odważny ścigałby na swą głowę gniew całego tego stanu w Egipcie,

gdyż jego władza jest bezkresna, a nienawiść nieubłagana. Co się zaś tyczy urzędników państwowych, ich wpływy i sposób korupcji ustalone zostały przed wiekami, a mój pan, książę Intef, był najwyższym z nich. Zadrzałem ze współczucia dla mego drogiego, tak otwarcie przemawiającego przyjaciela, który instruował faraona, jak przekształcić winien całe egipskie społeczeństwo.

- Wysłuchaj słów mędrca! O, królu, szanuj artystę i skrybę. Nagradzaj mężnego woja i wiernego sługę. Wypędź bandytów i rabusiów z ich pustynnych twierdz. Bądź dla ludu przykładem i wzorem w codziennym życiu, by nasz Egipt mógł ponownie rozkwitnąć i urosnąć w siłę. - Tanus padł na kolana na środku sceny i rozłożył szeroko ramiona. - O, faraonie, tyś naszym ojcem. Ofiarujemy ci naszą miłość. W zamian okaż nam swe ojcowskie uczucia. Błagamy cię, wysłuchaj naszych prośb.

Aż do tej chwili byłem ogłuszony rozmiarami szaleństwa mego przyjaciela, lecz teraz, o wiele za późno, wziąłem się w garść i rozpaczliwie dałem znak, by opuszczono kurtynę, zanim Tanus wyrządzi jeszcze więcej szkody. Gdy lśniąca płachta płótna spłynęły w dół i skryły go przed ich wzrokiem, widzowie siedzieli w pełnej oszołomienia ciszy, jak gdyby nie mogli uwierzyć w to, co ujrzeli i usłyszeli tego wieczoru.

Faraon pierwszy odzyskał przytomność umysłu. Powstał z miejsca z nieprzeniknionym wyrazem twarzy pod grubą warstwą białego makijażu. Gdy pospiesznie opuszczał świątynię, zgromadzeni pokłonili się przed nim z pokorą.

Udało mi się dostrzec minę mego pana, księcia Intefa, zanim i on schylił się w pokłonie. Była pełna triumfu.

Odprowadziłem Tanusa ze świątyni do skąpo umeblowanej kwatery w pobliżu basenu portowego, w którym rozłożyła się na nocleg jego flotylla. Choć kroczyłem obok niego z dłonią na rękojeści sztyletu, przygotowany na to, że w każdej chwili objawić się nam mogą konsekwencje jego butnej szczerości, Tanus wcale nie okazywał skruchy. Prawdę mówiąc, chyba nie uświadamiał sobie ogromu swej nieostrożności i okazywał niezwykle samozadowolenie. Niejednokrotnie zauważałem już, że człowiek świeżo wyrwany z objęć śmiertelnego zagrożenia i stanu ogromnego napięcia staje się gadatliwy i podniecony. Nawet Tanus, zahartowany wojownik, nie był wyjątkiem.

- Już najwyższy czas, by ktoś powstał i powiedział to, co powiedzieć należało, zgodzisz się ze mną, stary druhu?

Jego głos rozbrzmiewał czysto i donośnie w okrytej mrokiem alei, jak gdyby zależało mu na przywołaniu wszystkich czających się w ciemności morderców. Przytaknąłem mu bez przekonania.

- Nie spodziewałeś się tego po mnie, co? Bądź ze mną szczery, Taito, całkiem cię to zaskoczyło.

- Nikt tego nie oczekiwał. - Tym razem zgodziłem się z nieco większym ożywieniem. - Nawet faraon był zbity z tropu, o ile to w ogóle możliwe.

- Faraon słuchał, Taito. Przyjmował wszystko, sam to widziałem. Dobrze się dziś spisałem, nie uważasz?

Gdy spróbowałem poruszyć temat zdradzieckiego ataku Rasfera i zasugerować, że został on przeprowadzony na życzenie mego pana, Tanus nie chciał nawet o tym słyszeć.

- To niemożliwe, Taito. Chyba ci się przyśniło. Księżę Intef był najlepszym przyjacielem mego ojca. Jak mógłby źle mi życzyć? Poza tym mam w końcu zostać jego zięciem - i mimo odniesionych ran zaśmiał się tak dźwięcznym, szczęśliwym śmiechem, że pobudził nim śpiących w mrocznych chatach przy drodze ludzi, którzy zrzędlawie poczęli wrzeszczeć, żebyśmy się uciszyli. Tanus nie zwrócił uwagi na ich protesty.

- Nie, nie, pewien jestem, że się mylisz! - zawołał. - To tylko Rasfer wyładowywał żale w typowy dla siebie, uroczy sposób. Następnym razem poważnie się zastanowi. - Objął mnie ramieniem i ścisnął boleśnie. -Uratowałeś mnie dziś dwukrotnie. Bez twych ostrzeżeń Rasfer w obu przypadkach niechybnie by mnie dopadł. Jak ty to robisz, Taito? Przysięgłbym, że jesteś czarownikiem, widzącym rzeczy ukryte przed ludzkim wzrokiem.

- Roześmiał się ponownie.

Jakże mógłbym zgasić jego radość? Zachowywał się jak dzieciak, wielki, hałaśliwy dzieciak. Nic nie mogłem poradzić na to, że kochałem go jeszcze mocniej. Nie była to właściwa pora na ukazywanie mu niebezpieczeństwa, na jakie wystawił siebie i tych, którzy byli jego przyjaciółmi.

Niech się dziś wyszumi, a jutro zasypię go słowami rozsądku i przestrogi. Zaprowadziłem go więc do domu, zszyłem rozcięcie na czole, obmyłem pozostałe rany

i nasmarowałem je specjalną miksturą z miodu i ziół, by zapobiec zakażeniu. Potem zaaplikowałem mu solidny łyk czerwonego shepennu i poleciłem wiernemu Kratasowi, by strzegł spokoju jego snu.

Gdy dotarłem do swoich komnat, a było już dobrze po północy, czekały na mnie dwa wezwania: od mojej pani, Lostris, oraz od pokonanego Rasfera. Nie ulegało wątpliwości, na które bym odpowiedział, gdyby pozwolono mi wybrać, lecz tak się nie stało. Dwóch zbójów Rasfera nieomalże zawlokło mnie do jego apartamentów, gdzie leżał na przesiąkniętym potem materacu, na zmianę jęcząc i przeklinając, wzywając Seta i resztę bogów na świadków swego cierpienia i hartu ducha.

- Dobry Taito! - powitał mnie, mimo odniesionych obrażeń wspierając się z wysiłkiem na łokciu. - Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić podobnego bólu. Ma pierś płonie. Mogę przysiąc, że nie ma w niej ani jednej całej kości, a głowa tak mnie boli, jakby ktoś obwiązał ją rzemieniami z surowej skóry.

Powstrzymanie łez litości nie wymagało ode mnie zbyt dużego wysiłku, lecz dziwną cechą tych, którzy są lekarzami i uzdrowicielami, jest to, że w potrzebie nie potrafimy odmówić pomocy nawet najbardziej odrażającym istotom. Westchnąłem z rezygnacją, rozpakowałem skórzaną torbę kryjącą me narzędzia lekarskie i rozłożyłem instrumenty oraz maści.

Z radością przekonałem się, że diagnoza Rasfera była całkowicie trafna i że oprócz niezliczonych

powierzchnowych obrażeń oraz płytkich ran doznał złamania co najmniej trzech żeber, a z tyłu głowy wyrósł mu guz prawie wielkości pięści. Byłem przeto w pełni uprawniony do tego, by wydatnie pogorszyć mu samopoczucie. Jedno ze złamanych żeber było znacznie przemieszczone i zagrażało przebicciem płuca. Podczas gdy jego dwaj bandyci utrzymywali go w bezruchu, on sam zaś kwiczał i wył wprost zachwycająco, wstawiłem żebro z powrotem na miejsce, a potem obwiązałem klatkę piersiową lnianymi bandażami porządnie zmoczonymi w occie, tak by schnąc, skurczyły się.

Potem zająłem się guzem, który powstał w miejscu, gdzie kat uderzył głową o posadzkę. Bogowie często bywają hojni. Gdy zaświeciłem Rasferowi lampą w oczy, źrenice nie zwężyły się. Nie miałem żadnych wątpliwości co do rodzaju wymaganego leczenia. Krwawy płyn zbierał się pod tą niekształtną czaszką. Bez mojej pomocy Rasfer nie doczekałby następnego zachodu słońca. Przegnałem nieuniknienie nasuwającą się pokusę i powtórzyłem sobie obowiązki lekarza wobec pacjenta.

W całym Egipcie prawdopodobnie jest tylko trzech chirurgów potrafiących z jakimi takimi szansami powodzenia dokonać trepanacji czaszki, a i tak osobiście nie ufałbym zanadto tamtym dwóm. Raz jeszcze poleciłem oprychom Rasfera, by uniemożliwili mu miotanie się po łożu i by przytrzymali go twarzą do materaca. Z brutalności, z jaką wykonali to polecenie, i z widocznego braku szacunku dla uszkodzonych żeber swego pana

wywnioskowałem, że ich serc wcale nie przepełniało uczucie miłości do zwierzchnika.

Gdy wykonywałem półkoliste nacięcie wokół guza na jego łbie, by odciągnąć wielki kawał skóry od kości, ponownie seria ryków i jęków skaziła noc i uprzyjemniła me wysiłki. Teraz nawet dwaj krępujący jego ruchy brutale nie byli w stanie go przytrzymać. Szamocząc się, rozbryzgiwał swą krew nawet po suficie pomieszczenia, opryskując nas wszystkich tak, że wyglądaliśmy jak zarażeni ospą. W akcie krańcowej desperacji rozkazałem przywiązać go skórzanymi paskami za nadgarstki i kostki do nóg łóżka.

- Och, łagodny, słodki Taito, ten ból jest wprost niewyobrażalny. Daj mi choć kropelkę twego kwietnego soku, błagam cię, kochany przyjacielu - wybełkotał.

Teraz, gdy przywiązany był solidnie do łóżka, mogłem pozwolić sobie na szczerłość.

- Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, co czujesz, drogi Rasferze. Ja również wdzięczny byłbym za łyk wywaru, gdy ostatni raz używałeś na mnie noża. Niestety, stary towarzyszu, mój zapas narkotyku wyczerpał się, a kolejna karawana ze Wschodu nie przybędzie wcześniej niż za miesiąc - skłamałem bez wahania, gdyż niewielu ludzi wiedziało, że sam uprawiam czerwony shepenn. Świadom, że najlepsze jest wciąż przed nami, sięgnąłem po świder do kości.

Ludzka głowa to jedyny fragment ciała stanowiący zagadkę dla mnie jako lekarza. Na rozkaz mego pana, księcia Intefa, przekazywane mi są zwłoki wszystkich

straconych przestępców. Ponadto Tanus przywoził mi z pobożowisk wiele wspaniałych okazów odpowiednio zapeklowanych w solance. Na wszystkich przeprowadziłem sekcje i starannie przestudiowałem wyniki, tak że znam każdą kość i wiem, gdzie jest jej miejsce w szkielecie. Prześledziłem szlak, którym pożywienie trafia do ust i wędruje przez ciało. Odkryłem ów wielki i wspaniały organ, serce, usadowiony między bladymi pęcherzykowatymi workami płuc. Zbadałem bieg rzek ciała, którymi płynie krew, i odnalazłem dwa rodzaje krwi, określające nastroje i uczucia człowiecze.

Jest więc oczywiście jasna, radosna, która, gdy wypuszczona cięciem skalpela lub katowskiego topora, tryska regularnym strumieniem – to krew pogodnych myśli i szlachetnych uczuć, to krew miłości i łagodności. Oprócz niej jest i ciemniejsza, ponura, płynąca bez wigoru i rozbrykanej wesołości tej pierwszej – to krew gniewu i smutku, melancholijnych myśli i złych uczynków.

Te wszystkie problemy przestudiowałem w swoim czasie i zapełniłem obserwacjami setkę zwojów papirusu. Nie ma drugiego człowieka na świecie, który posunąłby się równie daleko, z pewnością żaden ze świątynnych szarlatanów posługujących się amuletami i inkatacjami tego nie uczynił. Wątpię, czy którykolwiek z nich bez modlitwy do Ozyrysa, rzutu wróżebnymi kośćmi i pobranej z góry słonej opłaty rozróżniłby wątrobę od zwieracza odbytu.

Przy zachowaniu całej skromności mogę stwierdzić, że nie spotkałem dotąd nikogo, kto rozumiałby ludzkie ciało

lepiej ode mnie, a jednak głowa wciąż jest dla mnie tajemnicą. Pojmuję oczywiście, że oczy widzą, nos rozróżnia zapachy, usta smakuje, a uszy słyszą – lecz jakiemu celowi służy owa szara owsianka wypełniająca wewnątrz czaszki?

Nigdy nie zdołałem rozwikłać tej zagadki i nikt też nie potrafił przedstawić mi zadowalającego wyjaśnienia, oprócz Tanusa, który był temu najbliższy. Po spędzeniu wspólnego wieczoru na kosztowaniu ostatniego rocznika czerwonego wina, Tanus zbudził się o świcie i zasugerował z jękiem:

- Seth umieścił to w naszych głowach w akcie zemsty na ludzkości.

Spotkałem raz męża podróżującego wraz z karawaną spoza legendarnych bliźniaczych rzek, Tygrysu i Eufratu, który twierdził, że zajmował się tym samym problemem. Był to mądry człowiek i przez pół roku dyskutowaliśmy o wielu niewyjaśnionych problemach. W którymś momencie podsunął mi myśl, że wszystkie ludzkie uczucia i myśli nie wypływają z serca, lecz z owego miękkiego, bezkształtnego twarogu tworzącego mózg. Wspominam to naiwne stwierdzenie tylko po to, by ukazać, jak olbrzymie błędy popełniać może nawet tak inteligentny i wykształcony człowiek.

Nikt, kto kiedykolwiek zajmował się owym potężnym organem pulsującym własnym życiem w centrum naszego ciała, karmionym wielkimi rzekami krwi, chronionym palisadami kości, nie może powątpiewać w to, że to z tej fontanny tryskają wszelkie myśli i uczucia. Serce wykorzystuje krew, by rozsiewać je po całym ciele. Czy

czuliście kiedykolwiek, jak serce porusza się w was i przyspiesza na dźwięk pięknej muzyki czy składnych słów porywającej mowy, na widok urodziwej twarzy? Czy czuliście kiedykolwiek, by coś poruszało się we wnętrzu waszej głowy? Nawet mędrzec ze Wschodu musiał ustąpić przed mą nieubłaganą logiką.

Żaden racjonalnie myślący człowiek nie może uważać, że bezkrwawa breja skwaśniałego mleka, spoczywająca nieruchomo w pojemniku z kości, jest w stanie ułożyć wiersz czy zaprojektować piramidę, sprawić, by człowiek pokochał czy wywołał wojnę. Nawet balsamiarze, przygotowując ciało na długą podróż, wygarniają ją łyżką i wyrzucają.

Istnieje wszakże pewien paradoks, a mianowicie gdy owa kleista masa zostanie poruszona, choćby ciśnieniem gromadzącego się pod czaszką płynu, los pacjenta jest przesądzony. Przewiercenie kości bez uszkodzenia worka zawierającego tę owsiankę wymaga szczegółowej znajomości budowy czaszki i nadzwyczajnej wprost zręczności. Ja posiadam obie te cechy.

Wwiercałem się powoli w kość, dopingowany wyciem Rasfera, przerywałem regularnie, by splukać odpryski kości i opiłki i zalewałem ranę octem. Szczypanie płynu nie wpływało pozytywnie na samopoczucie pacjenta, lecz wzmacniało słabnące natężenie jego głosu.

Nagle ostre brązowe wiertło przebiło się czysto przez czaszkę i wewnętrzne ciśnienie wydmuchnęło drobny, idealnie kolisty kawałek kości. W ślad za nim wytrysnął

strumień czarnej, na wpół skrzepłej krwi, trafiając mnie w twarz. Rasfer natychmiast odprężył się. Wiedziałem już, nie bez pewnego ukłucia żalu, że mój pacjent przeżyje. Przyszywając placek skóry na swoje miejsce, przykrywając otwór, w głębi którego złowieszczo pulsowała opona twarda, zastanawiałem się, czy zasłużyłem się ludzkości, ratując tego jej przedstawiciela.

Gdy opuściłem charczącego niczym wieprz i jęczącego w żalu nad sobą Rasfera, zabandażowawszy mu wprzód głowy, poczułem, że jestem całkowicie wykończony. Podniecenie i zamieszanie minionego dnia wyczerpały moje pokaźne zasoby energii. Lecz nie dane mi było jeszcze odpocząć, gdyż posłaniec Lostris wciąż czaił się na tarasie moich apartamentów i spadł na mnie, gdy tylko postawiłem stopę na pierwszym stopniu. W drodze szczególnej łaski pozwolono mi zmyć z siebie krew Rasfera i zmienić ubrudzone odzienie.

Z trudem powłócząc nogami, chwiejnym krokiem dowlokłem się do jej komnaty. Moja pani powitała mnie płomiennym spojrzeniem i jak najgorzej wróżącym tupaniem.

- Co ty sobie wyobrażasz, gdzie ty się przede mną ukrywasz, mistrzu Taito? - naskoczyła na mnie natychmiast.
- Posłałam po ciebie przed drugą zmianą straży, a zbliża się już świt. Jak śmiesz kazać mi czekać tak długo? Czasami zapominasz, kim jesteś. Dobrze wiesz, jaka kara spotyka krnąbrnych niewolników.

Emocje poniosły ją zupełnie, wyzwalając gotującą się w niej przez wszystkie te godziny niecierpliwość. W złości jej uroda stawała się wprost oszałamiająca i gdy zatupała teraz nóżką w tak typowym dla niej uroczym geście, poczułem, że me serce rozsadza miłość.

- Nie stój tak z tym głupkowatym uśmieszkiem! - wybuchnęła. - Jestem tak rozzłoszczona, że mogłabym rozkazać cię wychłostać.

Tupnęła ponownie, a ja poczułem, jak zmęczenie opuszcza mnie niczym zdjęty z ramion masywny ciężar. Sama jej obecność przywracała mi chęć do życia.

- Moja pani, cóż za wspaniałą rolę dziś zagrałaś. Wszystkim, którzy cię podziwiali, wydawało się, że to prawdziwa bogini zstąpiła pomiędzy nas.

- Nawet nie próbuj na mnie swoich sztuczek! - Stuknęła po raz trzeci, lecz już bez przekonania. - Nie wykręcisz się tak łatwo...

- Zaiste, moja pani, gdy wracałem ze świątyni zatłoczonymi ulicami, imię twe było na wszystkich ustach. Mówiono, że twój śpiew był najdoskonalszym, jaki kiedykolwiek słyszano, i że zawładnął sercami wszystkich słuchaczy.

- Nie wierzę w ani jedno słowo - oznajmiła, lecz podtrzymywanie furii sprawiało jej wyraźną trudność. - Myślę, że mój głos był dziś okropny. Sfałszowałam przynajmniej raz i pomyliłam tonację w wielu...

- Muszę ci się sprzeciwić, pani. Nigdy nie byłaś w lepszej formie. A cóż za piękno! Rozświetliło całą świątynię.

Moja pani Lostris nie jest szczególnie próżna, ale jest kobietą.

- Ty straszny człowieku! - zakrzyknęła bezsilnie. - Tym razem gotowa byłam kazać cię wychłostać, bogowie mi świadkami. A teraz chodź, usiądź przy mnie na łóżku i opowiadaj o wszystkim. Wciąż jestem tak podniecona, że na pewno nie zasnę przez tydzień.

Ujęła mnie za rękę i poprowadziła do posłania, radośnie paplając o Tanusie, o tym, jak to swym wspaniałym przedstawieniem i śmiałą mową bez wątpienia podbił wszystkie serca, w tym również faraona, jak mały Horus zabrudził jej strój i czy szczerze sądziłem, że jej śpiew brzmiał przynajmniej zadowolająco, czy tylko tak mówiłem.

W końcu musiałem ją powstrzymać.

- Moja pani, już prawie świta i musimy być gotowi, by wraz z całym dworem towarzyszyć królowi podczas podróży za rzekę, gdzie zamierza dokonać inspekcji świątyni grobowej i grobowca. Musisz się trochę przespać, jeżeli chcesz wyglądać olśniewająco podczas tak ważnej uroczystości państwowej.

- Nie chce mi się spać, Taito - zaprotestowała i trajkotała dalej, by po paru minutach osunąć się na mnie, zasnąwszy w pół zdania.

Delikatnie ułożyłem jej głowę na rzeźbionym drewnianym podgłównku i przykryłem Lostris futrzaną narzutą. Nie potrafiłem się zmusić do natychmiastowego wyjścia, toteż przez parę chwil kręciłem się niezdecydowanie przy jej

łóżku. W końcu złożyłem na jej policzku aksamitny pocałunek. Lostris nie otworzyła oczu, wyszeptała tylko:

- Jak myślisz, czy będę miała okazję przemówić jutro do króla? Tylko on jest w stanie odwieść mego ojca od pomysłu odesłania Tanusa.

Nie miałem przygotowanej odpowiedzi na to pytanie, a gdy wciąż się wahałem, Lostris zapadła w głęboki sen.

Z trudem zwlokłem się o świcie z łoża, gdyż wydawało mi się, że ledwie zdążyłem przymknąć oczy, a już trzeba było na powrót je otworzyć. W brązowym lustrze ujrzałem swe wynędzniałe odbicie o nabiegłych czerwienią oczach. Z pośpiechem sięgnąłem po barwiczki, by choć częściowo ukryć pożałowania godny stan. Podkreśliłem owale oczu proszkiem antymonowym i ożywiłem wyblakłe rysy warstwą różu. Dwaj niewolni chłopcy ufryzowali mi włosy, a ja byłem tak zadowolony z rezultatu, że prawie radośnie pospieszyłem ku prywatnemu basenowi portowemu wielkiego wezyra, gdzie cumowała wielka monarsza barka.

Jako jeden z ostatnich dołączyłem do cizby na nabrzeżu, lecz chyba nikt nie dostrzegł mego późnego przybycia, nawet moja pani, która znajdowała się już na pokładzie. Przez chwilę całą uwagę skupiłem na niej.

Lostris otrzymała zaproszenie, by dołączyć do grona królewskich kobiet. Były tam nie tylko monarsze małżonki, lecz także liczne konkubiny i wszystkie córki władcy. Te ostatnie stanowiły źródło większości zmartwień faraona - tłum córek, od niemowlaków i berbeci do panien w wieku zdatnym do zamążpójścia i ani jednego syna. Jak faraon

miał zachować swą nieśmiertelność bez męskiego potomka, który przedłużyłby dynastię?

Trudno uwierzyć, że Lostris również spała jedynie godzinę albo dwie, gdyż wyglądała słodko i świeżo jak jedna z róż w moim ogrodzie. Nawet w otoczeniu kobiet o tak efektownej urodzie, starannie dobranych przez wysłanników faraona i przysłanych mu w hołdzie przez zarządców prowincji z najodleglejszych krańców imperium, Lostris wyróżniała się z tłumu jak jaskółka w stadzie szarych pustynnych skowronków.

Poszukałem wzrokiem Tanusa, lecz jego flotylla znajdowała się już daleko w górze rzeki, gotowa eskortować faraona podczas przeprawy, a odbijające się od powierzchni rzeki światło wschodzącego słońca zamieniło Nil w oślepiającą srebrną płaszczyznę. Spoglądanie na nią było niemożliwe.

W tejże chwili odezwał się miarowym łoskotem bęben i lud wyciągnął szyje, by ujrzeć władcę podążającego statecznym krokiem drogą z pałacu do królewskiej barki.

Tego ranka miał na głowie lekki *nemes* z wybielanego i złożonego lnianego płótna, spięty nad brwiami złotą opaską *ureusa*. Wyprostowana złota kobra z rozpostartym kapturem i ogniem w oczach z granatu wznosiła się nad jego czołem. Wąż symbolizował władzę, jaką monarcha sprawował nad życiem i śmiercią poddanych. Król nie niósł dziś berła ani bicza, jedynie złotą buławę. Po podwójnej koronie był to najcenniejszy skarb spośród wszystkich

klejnotów koronnych, a legenda głosiła, że liczył sobie ponad tysiąc lat.

Choć w trakcie uroczystości dzierżył insygnia królewskie, faraon nie miał umalowanej twarzy. W jasnych promieniach porannego słońca, bez kryjących wszystko barwiczek, Mamose wyglądał co najwyżej przeciętnie. Ot, dobrotliwy mały bożek w średnim wieku o niedużym okrągłym brzuszku wylewającym się zza pasa spódniczki i twarzy pobrużdżonej frasunkiem.

Gdy mijał miejsce, w którym stałem, rozpoznał mnie zapewne, gdyż nieznacznie skinął głową. Momentalnie rozciągnąłem się jak długi na chodniku, on zaś zatrzymał się i dał mi znak, bym się zbliżył. Poczłogałem się naprzód na dłoniach i kolanach, po czym trzykrotnie uderzyłem czołem w ziemię u jego stóp.

- Ty jesteś Taita, poeta? - zapytał swym piskliwym, pełnym rozdrażnienia głosem.

- Jestem Taita, niewolnik, Wasza Wysokość - odparłem. Czasami zalecana jest odrobina pokory. - Jestem także i nędznym wierszokletą.

- Cóż, Taito, niewolniku, ostatniego wieczoru kleciłeś wiersze z dobrym skutkiem. Nigdy dotąd nie bawiłem się równie znakomicie podczas misterium. Wydam królewski edykt uznający twe nędzne wierszydła za oficjalną wersję.

Obwieścił to tak głośno, że nie mogło to ujść uwagi nikogo z jego świty, i nawet mój pan, książę Intef, idący tuż za nim, rozpromienił się z zadowolenia. Jako że byłem jego

niewolnikiem, zaszczyt przypadał bardziej jemu niż mnie. Lecz faraon jeszcze ze mną nie skończył.

- Rzeknij mi, Taito, niewolniku, czy nie jesteś też tym chirurgiem, który badał mnie ostatnio?

- Wasza Wysokość, jestem tym nędznym niewolnikiem, który ma czelność zajmować się nieco medycyną.

- Kiedy więc zadziała twoja kuracja? - zniżył głos, tak bym tylko ja usłyszał to pytanie.

- Wasza Wysokość, stanie się to w dziewięć miesięcy po tym, gdy wypełnisz wszystkie zalecenia, które ci przedstawiłem. - Jako że rozmawialiśmy teraz jak pacjent z lekarzem, ośmieliłem się dodać: - Czy przestrzegasz diety, jaką ci zaleciłem, panie?

- Na obfite piersi Izydy! - wykrzyknął z nieoczekiwanym błyskiem w oku. - Jestem tak opchany byczymi jajami, że to cud, iż nie ryczę, gdy stado krów przechodzi koło pałacu.

Był w tak dobrym nastroju, że i ja odważyłem się na niewinny dowcip.

- Czy faraon znalazł już jałówkę, która odpowiadałaby moim sugestiom?

- Niestety, lekarzu, to nie tak łatwe, jak ci się zdaje. Pszczoły najwcześniej odwiedzają najpiękniejsze kwiaty. Podkreślałeś, że ona musi być całkowicie nietknięta, prawda?

- Dziewica i nietknięta, w ciągu pierwszego roku od wschodu jej szkarłatnego księżyca - dodałem pospiesznie, by jak najbardziej utrudnić praktyczne wypróbowanie

skuteczności mej kuracji. – Czy Wasza Wysokość znalazł już jakąś odpowiadającą temu opisowi?

Mamose uśmiechnął się do swych myśli, zmieniając wyraz twarzy. Ten uśmiech nie pasował do jego melancholijnych rysów.

– To się okaże – wymruczał. – To się okaże.

Odwrócił się i wkroczył na trap łodzi. Gdy mój pan, księżę Intef, zrównał się ze mną, wykonał dyskretny gest, każąc mi podążyć za sobą, poszedłem więc za nim na pokład królewskiej barki.

W nocy wiatr ucichł, a ciemne wody rzeki stały się ciężkie i nieruchome niczym oliwa w naczyniu, poruszane jedynie drobnymi zaburzeniami i zawirowaniami w miejscach, gdzie w głębi płynął rączy, nieustający prąd. Przeprowadzenie statku przez Nil w tych warunkach nie powinno sprawić kłopotu nawet Nembetowi, choć flotylla Tanusa oczekiwała w pobliżu, co było wielce nietaktowne. Wyglądało na to, że Tanus przygotowywał się, by naprawić popełnione przez niego błędy.

Mój pan odciągnął mnie na bok, gdy tylko dotarliśmy na pokład.

– Nadal umiesz czasami mnie zaskakiwać, mój kochany – wyszeptał, ściskając mnie za ramię. – Dokładnie wtedy, gdy zacząłem poważnie powątpiewać w twoją lojalność.

Ten nagły przyływ dobrej woli zdumiał mnie, bo przecież wciąż czułem pręgi pozostawione na plecach przez bat Rasfera. Pochyliłem więc głowę, by ukryć wyraz twarzy,

i czekałem, aż książkę odkryje swe karty, zanim powiem coś wiążącego, co też nie zwlekając uczynił.

- Sam nie napisałbym stosowniejszej mowy dla Tanusa, nawet gdybym spróbował. Tam, gdzie ten debil, Rasfer, zawiódł tak żałośnie, ty w typowym dla ciebie stylu uratowałeś sytuację.

Dopiero wtedy wszystko stało się jasne. Mój pan sądził, że to ja byłem autorem potężnego głupstwa Tanusa i że napisałem je, mając na uwadze jego korzyść. W wypełniającym świątynię zgiełku nie mógł usłyszeć wykrzykiwanych przeze mnie pod adresem Tanusa ostrzeżeń, inaczej jego reakcja byłaby z gruntu odmienna.

- Jestem zadowolony, że ty jesteś zadowolony, panie - odszepnąłem.

Poczułem olbrzymią ulgę. Moja wpływowa pozycja nie została zachwiana. W owej chwili nie myślałem o własnej skórze... no, w każdym razie nie wyłącznie o niej. Myślałem o Tanusie i Lostris. Wkrótce będą potrzebować każdej najdrobniejszej pomocy i protekcji, jakiej zdołam im udzielić podczas czekających ich burzliwych dni. Wdzięczny byłem bogom za to, że nadal miałem możliwość na coś się im przydać.

- Było to moim obowiązkiem.

Tak oto do maksimum wykorzystałem ten dar niebios.

- Poznasz moją wdzięczność - odparł mój pan. - Pamiętasz tę działkę przy kanale za świątynią Thota, o której rozmawialiśmy jakiś czas temu?

- W rzeczy samej, mój panie.

Obaj wiedzieliśmy, że od dziesięciu lat wzdychałem do tej ziemi. Stanowiłaby idealne miejsce odosobnienia dla pisarza oraz zacisze, gdzie mógłbym osiąść po przejściu w stan spoczynku.

- Jest twoja. Gdy znów będę odprawiał sądy, przynieś mi akt własności do podpisu.

Oszłomił, a zarazem przeraził mnie podły sposób, w jaki wszedłem w jej posiadanie. Było to wynagrodzenie za wymyślony akt zdrady z mej strony. Przez moment rozmyślałem o odrzuceniu tego daru, ale tylko przez moment. Gdy otrząsnąłem się z zaskoczenia, przemierzyliśmy już rzekę i wchodziliśmy w ujście kanału wiodącego przez równinę ku olbrzymiej świątyni grobowej faraona Mamose.

Wymierzyłem ten kanał z minimalną jedynie pomocą ze strony królewskich architektów, w pojedynkę też zaplanowałem cały skomplikowany proces przetransportowania ciała władcy z miejsca zgonu do świątyni, gdzie przeprowadzona być miała mumifikacja.

Wyszedłem z założenia, że umrze w swym pałacu na uroczej wyspie Elefantynie. Z tego powodu jego ciało przewiezione zostanie w dół rzeki paradną barką. Zaprojektowałem przesmyk tak, by bez problemów pomieścił masywny statek. Tak więc wślizgnął się teraz tam równie zgrabnie jak miecz do pochwy.

Prosty jak ostrze mego sztyletu kanał przebijał się przez czarną ilastą ziemię nadrzeczną równiny ku odległym o dwa tysiące kroków podnóżom posępnych saharyjskich

wzgórz. Dziesiątki tysięcy niewolników mozoliły się przez lata, by go wybudować i wyłożyć kamiennymi blokami. Gdy barka się weń wsunęła, dwustu mocnych niewolników pochwyciło rzucone z dziobu liny holownicze i zaczęło przeciągać ją sprawnie przez równinę. Maszerując rzędami wzdłuż ścieżki holowniczej, śpiewali jedną ze smutnych, melodyjnych pieśni. Chłopi pracujący nad kanałem biegli, by nas powitać. Tłoczyli się na brzegu, wykrzykując błogosławieństwa dla władcy i wymachując palmowymi liśćmi, a wielka łódź posuwała się majestatycznie.

Gdy wślizgnęliśmy się wreszcie do kamiennego doku poniżej zewnętrznych murów na wpół ukończonej świątyni, niewolnicy przymocowali liny do pierścieni cumowniczych. Mój projekt był tak dokładny, że zejście w burcie paradnej barki znalazło się idealnie naprzeciwko portali głównej bramy świątyni.

Masywny statek zatrzymał się, a trębacz na dziobie zadał w gazeli róg i kratownica podniosła się powoli, odsłaniając oczekujący w przejściu królewski karawan otoczony przez grupę balsamiarzy w szkarłatnych strojach oraz pięćdziesięciu kapłanów Ozyrysa ustawionych w szyku za ich plecami.

Kapłani zaintonowali pieśń i potoczyli karawan na drewnianych rolkach na pokład łodzi. Faraon zaklaskał w dłonie z zachwytem, po czym pospieszył, by przyjrzeć się temu groteskowemu pojazdowi.

Nie przykładałem ręki do spłodzenia tego szczytowego arcydzieła złego smaku. Było ono wyłączną zasługą

kapłanów. Wystarczy powiedzieć, iż w pełnym blasku słońca aż do przesady ozdobiony złotem pojazd lśnił tak jaskrawie, że porażał wzrok równie boleśnie jak jego pokraczna konstrukcja. Taka masa złota wyciskała z kapłanów pot i jęki, gdy wysiłkiem mięśni wprowadzali ową niezgrabną arkę na pokład, co wywołało alarmujący przechył tego wielkiego przecież statku. Za tyle złota wypełnić by można ziarnem wszystkie spichrze Górnego Egiptu albo też wybudować i wyposażyć pięćdziesiąt flotylli okrętów wojennych, opłaciwszy ich załogi za dziesięć lat z góry. Tak oto niezdarny rzemieślnik pod błyskiem złota stara się ukryć brak pomysłu. Gdybym tylko ja dostał w swe ręce taki surowiec, ujrzano by zapewne coś zupełnie innego.

Owo monstrum miało spocząć w grobowcu wraz ze zwłokami faraona. To, że jego budowa w znacznym stopniu przyczyniła się do finansowej ruiny królestwa, nie miało najmniejszego znaczenia - faraon był oczarowany jego widokiem.

Zgodnie z sugestią mego pana monarcha wsiadł do pojazdu i zajął miejsce na platformie, mającej stanowić podstawę jego sarkofagu. Stamtąd promieniował radością, całkowicie zapomniawszy o swej wyniosłości i powściągliwości wymaganej od króla. Pomyślałem, czując ukłucie litości, że prawdopodobnie przeżywał właśnie najradośniejsze chwile swego ponurego żywota. Śmierć miała być dla niego uwieńczeniem wszystkich starań i ku niej skierowana była cała jego energia i oczekiwanie.

Wyraźnie powodowany impulsem skinął na mego pana, księcia Intefa, by dołączył do niego na arce, potem zaś rozejrzał się po zatłoczonym pokładzie, jakby szukając w ścisku kogoś jeszcze. Najwyraźniej znalazł tego, kogo szukał, gdyż schylił się nieznacznie i powiedział coś do wielkiego wezyra.

Mój pan uśmiechnął się i, idąc za jego wskazówkami, wyłowił z tłumu moją panią Lostris. Stanowczym gestem polecił jej wsiąść za nim na arkę. Lostris niewątpliwie straciła głowę, bo zarumieniła się pod barwiczką - rzadkie zjawisko u kogoś tak mało podatnego na zmieszanie. Szybko jednak doszła do siebie i wspięła się na pojazd dziewczęca, długonoga, pełna wdzięku, co jak zwykle przyciągnęło ku niej wszystkie spojrzenia.

Lostris uklękła przed królem i trzy razy dotknęła czołem podłogi platformy. Wówczas na oczach wszystkich kapłanów i całego dworu faraon uczynił rzecz niesłychaną. Sięgnął w dół, ujął dłoń Lostris i podniósł moją panią, potem zaś posadził ją obok siebie na platformie. Nie było to ujęte w żadnym protokole, nie miało to najmniejszego precedensu, toteż dostrzegłem ministrów porozumiewających się pełnym osłupienia wzrokiem.

Wtedy zdarzyło się coś jeszcze, czego nawet oni nie byli świadomi. Gdy byłem bardzo młody, w pomieszczeniach dla chłopców mieszkał stary, głuchy niewolnik, z którym się zaprzyjaźniłem. To on nauczył mnie odczytywać mowę ludzi nie z jej dźwięku, lecz z ruchów ich ust, gdy wymawiali słowa. Była to bardzo użyteczna zdolność. Dzięki niej

mogłem śledzić dyskusję toczoną w przeciwległym rogu zatłoczonej sali, mimo przygrywających muzykantów i setki śmiejących się i krzyczących jeden do drugiego ludzi wokół mnie.

Teraz na własne oczy ujrzałem faraona mówiącego do Lostris:

- Nawet w świetle dziennym jesteś równie boska jak bogini Izyda w blasku świątynnych pochodni.

Wstrząs, jakiego doznałem, porównywalny był z ciosem pięścią w żołądek. Czy byłem ślepy, beształem się w rozpaczy, czy jedynie głupi? Bez wątpienia każdy idiota przewidziałby kierunek, jaki obiorą padające kości przeznaczenia wskutek mego kapryśnego wtykania nosa w nie swoje sprawy.

Żartobliwa rada udzielona królowi bez wątpienia zwróciła jego uwagę na moją panią Lostris. Było tak, jakby jakiś złośliwy impuls w podświadomości skłonił mnie do opisanja jej dokładnie jako matki jego pierworodnego syna. Najpiękniejsza dziewczica w całym kraju, poślubiona w ciągu roku od wzejścia jej szkarłatnego księżycy - wszystko idealnie pasowało. Potem zaś, obsadzając ją w głównej kobiecej roli w przedstawieniu, zdołałem ukazać ją władcy w najlepszym świetle.

Wszystko, co, jak sobie nagle uświadomiłem, miało wkrótce się zdarzyć, było wyłącznie moją winą, i to tak, jakbym celowo do tego doprowadził. Co więcej, nic nie mogłem na to poradzić. Stałem w słońcu tak przerażony

i przepełniony wyrzutami sumienia, że na chwilę utraciłem zdolność mowy i logicznego myślenia.

Gdy zlani potem kapłani zepchnęli karawan z pokładu i przeprowadzili go przez bramę, tłum podążył w ślad za nim, niosąc mnie bezwolnie ze sobą, tak jakbym był liściem gnany prądem strumienia, niewładnym z własnej woli zmienić kierunku ruchu. Zanim zdołałem otrząsnąć się z szoku, znalazłem się na dziedzińcu świątyni grobowej. Zacząłem przepychać się do przodu, odsuwając stojących przede mną, by ich wyminąć i zrównać się z karawanem, zanim dotrze do głównego wejścia do królewskiego domu pogrzebowego.

Jeden zespół kapłanów pchał pojazd, a druga grupa zbierała pozostawione za nim drewniane rolki i pędziła do przodu, by podłożyć je pod toczącego się ciężko złotego molocha. Kiedy karawan dotarł do tej części dziedzińca, która nie została jeszcze wybrukowana, nastąpiło nieznaczne opóźnienie. Podczas gdy kapłani rozścielali słomę przed rolkami, by ułatwić płynny przejazd po nierównym gruncie, prześlizgnąłem się pospiesznie wzdłuż rzędu wielkich, rzeźbionych w kamieniu lwów, ustawionych z obu stron drogi, i pogałem pustym przejściem, by zrównać się z arką. Jeden z kapłanów spróbował zagrozić mi drogę i przeszkodzić w dotarciu do burty pojazdu, lecz zmierzyłem go spojrzeniem, które przyprawiloby o drżenie kamiennego lwa, i posłałem mu pojedyncze słowo, rzadko słyszane w obrębie świątyni, on zaś pospiesznie odstąpił w bok i przepuścił mnie.

Gdy dotarłem do burty arki, znalazłem się bezpośrednio poniżej Lostris, tak blisko, że wyciągnąwszy rękę, mógłbym dotknąć jej ramienia. Słyszałem też każde słowo skierowane przez nią do króla. Od razu zauważyłem, że całkowicie odzyskała już równowagę, zakłóconą nieoczekiwanym zainteresowaniem faraona jej osobą, i że próbowała teraz mu się przypodobać. W desperacji pojąłem, że dokładnie to planowała, chcąc wykorzystać jego łaskę, by doprowadzić do swego małżeństwa z Tanusem. Nie dawniej niż wczoraj wieczorem zlekceważyłem ten plan jako dziewczęce paplanie, lecz teraz stał się on rzeczywistością i nie mogłem temu zapobiec ani też ostrzec jej, na jak niebezpieczne wody wpływa.

Jeżeli wcześniejsze części tej kroniki sprawiały wrażenie, że moja pani Lostris była kapryśnym dzieciakiem z głową wypełnioną jedynie romantycznymi nonsensami i frywolną radością życia, to zawiodłem w mych wysiłkach jako historyk dokumentujący te nadzwyczajne wydarzenia. Choć nadal bardzo młoda, czasami okazywała dojrzałość ponad swój wiek. Nasze egipskie dziewczęta wcześniej rozkwitają w słońcu Nilu. Była też pilnym uczniem, obdarzonym byстрыm umysłem, z natury inteligentnym i kwestionującym uznane prawdy. Przez całe lata usilnie nad nim pracowałem, kształtując go i rozwijając.

Pod moją kuratelą osiągnęła taki poziom, że potrafiła dyskutować z kapłanami o najbardziej niejasnych dogmatach religijnych, obronić swe stanowisko w sporze z pałacowymi prawnikami o interpretację ustawy

o własności ziemskiej czy też niezwykle skomplikowanej ustawy irygacyjnej, regulującej sposób wykorzystania wód Nilu. Oczywiście przeczytała i przyswoiła sobie zawartość wszystkich zwojów z pałacowej biblioteki. Wśród nich było kilkaset mego autorstwa, od traktatów medycznych do klasycznych esejów o taktyce bojów rzecznych, astrologicznych zwojów poświęconych nazwom i naturze wszystkich ciał niebieskich, podręczników łucznictwa, szermierki, ogrodnictwa i sokolnictwa. Potrafiła nawet kłócić się ze mną na temat mych własnych zasad architektury i porównywać je z dziełami wielkiego Imhotepa.

Była więc idealnie przygotowana do rozmowy na każdy temat, od astrologii do rzemiosła wojennego, od polityki do budowy świątyń, mierzenia i regulacji przepływu wód Nilu, a wszystko to stanowiło kwestie żywo interesujące faraona. Oprócz tego umiała rymować, układać zagadki i kalambury, jej zasób słów zaś był prawie tak obszerny jak mój. Krótko mówiąc, była utalentowanym specjalistą w dziedzinie konwersacji, niepozbawionym żywego poczucia humoru. Potrafiła się wysłowić, miała czarujący głos i radosny, słodki śmiech. Zaiste, żaden człowiek ani bóg nie był w stanie się jej oprzeć, zwłaszcza gdy dla kogoś pozbawionego syna stanowiła obietnicę dziedzica.

Musiałem jakoś ją ostrzec, lecz jak niewolnik mógł przeszkodzić w rozmowie osobom o statusie tak nieskończenie wyższym? Podskakiwałem nerwowo przy pojeździe, przysłuchując się dźwięczącemu bardziej

urzekająco niż kiedykolwiek głosowi mej pani, starającej się usilnie zawładnąć wyobraźnią króla.

Opisywała mu, w jaki sposób zaprojektowano jego grobową świątynię tak, by pozostawała w zgodzie z najpomyślniejszymi układami astronomicznymi, pozycjami księżyca i zodiaku w dniu urodzin faraona. Oczywiście powtarzała jedynie uzyskane ode mnie informacje, gdyż to ja wymierzyłem i zorientowałem świątynię według ciał niebieskich. Niemniej mówiła tak przekonująco, że przysłuchiwałem się jej wyjaśnieniom, jakbym słyszał je po raz pierwszy.

Arka pogrzebowa przejechała między kolumnami wewnętrznego dziedzińca świątyni i potoczyła się przez długą, ograniczoną kolumnadą salę, mijając zamknięte na zasuwę i strzeżone drzwi sześciu skarbców, w których produkowano i składowano dary pogrzebowe, przeznaczone do złożenia w królewskim grobowcu. Po drugiej stronie sali otwały się pokryte płaskorzeźbami z wizerunkami wszystkich bogów Egiptu odrzwia z drewna akacjowego i wkroczyliśmy do domu pogrzebowego, gdzie pewnego dnia ciało faraona poddane zostanie zabalsamowaniu.

Tu, w ponurej kaplicy, król zsiadł z pojazdu i podszedł, by przyjrzeć się ciężkiemu stołowi, na którym spocznie przed rytuałem mumifikacji. W przeciwieństwie do balsamowania człowieka z ludu zabezpieczanie królewskich szczątków zajmowało siedemdziesiąt dni. Stół wyrzeźbiono z pojedynczego bloku diorytu, długiego na trzy kroki i szerokiego na dwa. Na ciemnej, cętkowanej powierzchni

kamienia wyłobiono wgłębienie pasujące do tyłu królewskiej głowy oraz rowki odprowadzające krew i inne płyny uwolnione z ciała skalpelami i przyrządami balsamiarzy.

Wielki mistrz tego cechu stał przy stole, gotów objaśnić królowi cały proces, i zyskał w nim uważnego słuchacza, gdyż, jak się okazało, faraona fascynował każdy makabryczny detal. W pewnej chwili odniosłem wrażenie, iż zapomni się tak dalece, że wespnie się na blok diorytu i sprawdzi, czy rozmiary się zgadzają, zupełnie jakby był to nowy kostium z lnianego płótna prezentowany przez pałacowego krawca.

Powstrzymał się jednak z zauważalnym trudem i zamiast tego poświęcił całą uwagę zarządcy domu pogrzebowego opisującemu sposób wykonania pierwszego nacięcia, biegnącego od przetyku do pachwiny, umożliwiającego czyste wyjęcie wnętrzności i podzielenie ich na odrębne części - wątrobę, płuca, żołądek i jelita. Serce, jako palenisko boskiej iskry, pozostanie na swoim miejscu, podobnie jak nerki, powiązane z wodą, a zatem i z Nilem, źródłem życia.

Po tym budującym instruktażu faraon poddał drobiazgowej inspekcji cztery urny, mające pomieścić jego wnętrzności. Ustawione były w pobliżu na mniejszym granitowym stole. Wykonano je z połyskliwego, półprzezroczystego alabastru mlecznej barwy. Ich pokrywy ukształtowane były na wzór głów opiekuńczych geniuszy zmarłego, synów Horusa: Imset o głowie ludzkiej opiekował

się żołądkiem, Hapi o głowie pawiana opiekował się jelitami, Duamutef o głowie szakala płucami, Kebehsenuf o głowie jastrzębia - wątrobą. Mieli oni strzec boskich szczątków faraona do momentu przebudzenia się go do wiecznego życia.

Na tym samym stole, na którym stały urny, balsamiarze rozłożyli swe instrumenty oraz bogaty zestaw naczyń, zawierających sode, żywice i inne chemikalia wykorzystywane w trakcie ich pracy. Faraona zafascynowały migotliwe skalpele z brązu, które miały go wypatroszyć, a gdy balsamiarz pokazał mu długą, ostro zakończoną łyżkę, którą wepchnie mu się w nozdrza, by wybrać zawartość czaszki, ową serowatą papkę, nad którą rozmyślałem tak długo i bezowocnie, król jak zauroczony obracał w palcach ponury instrument z pełnym szacunku lękiem.

Gdy zaspokoił już swoją ciekawość przy stole sekcyjnym, moja pani Lostris skierowała jego uwagę ku nasyconym farbami płaskorzeźbom pokrywającym ściany świątyni od podłogi do sufitu. Dekoracje nie były jeszcze ukończone, lecz nie umniejszało to efektywności ich rozplanowania i wykonania. Własnoręcznie narysowałem większość pierwotnych szkiców, ściśle nadzorując pałacowych artystów kreślących pozostałe. Następnie przeniesione zostały na ściany przy użyciu pałeczek z węgla drzewnego. Gdy wzory znalazły się na właściwych miejscach, sam naniosłem poprawki i ulepszenia. Obecnie zespół mistrzów dłuta wykuwał je w blokach piaskowca, a podążająca za

nimi druga grupa artystów malowała na ukończonych płaskorzeźbach.

Kolorem, jaki wybrałem na dominujący dla tych projektów, był niebieski we wszelkich odcieniach: barwa szpaczego skrzydła, błękity nieba i Nilu o zachodzie słońca, niebieski kolor płatków pustynnej orchidei, i błyszczący błękit rzeczno-okonia trzepoczącego się w sieci rybaka. Ale były tam i inne barwy - pulsujące odcienie czerwieni i żółci tak ulubione przez nas, Egipcjan.

Faraon, w towarzystwie mego pana, księcia Intefa, jako strażnika królewskich grobowców, przeszedł wolnym krokiem wzdłuż wyniosłych ścian, przyglądając się każdemu szczegółowi i komentując większość z nich. Oczywiście tematem wybranym przeze mnie dla pracowni balsamiarskiej była „Księga umarłych”, szczegółowa mapa i opis drogi do podziemnego świata, którą przemierzyć musi cień faraona, prezentacja wszystkich prób i niebezpieczeństw, na jakie będzie wystawiony podczas wędrówki.

Na długą chwilę zatrzymał się przed moim malowidłem przedstawiającym boga Thota o ptasiej głowie i długim, zakrzywionym dziobie ibisa, porównującego ciężar wydartego z ciała serca faraona z wagą pióra prawdy. Gdyby serce okazało się nieczyste, przeważyłyby szalę na swoją stronę, a bóg natychmiast cisnąłby je na pożarcie czekającemu w pobliżu potworowi o głowie krokodyla. Król wyszeptał po cichu zapisaną w księdze ochronną formułę,

by ustrzec się przed tym nieszczęściem, potem zaś podszedł do mego kolejnego rytuału.

Dochodziło prawie południe, gdy monarcha zakończył inspekcję grobowej świątyni i powiódł wszystkich na dziedziniec, gdzie pałacowi kuchmistrze przygotowali obfitą ucztę na świeżym powietrzu.

- Pójdź, usiądź tutaj, tak bym mógł dalej omawiać z tobą sprawę gwiazd!

Raz jeszcze król zlekceważył tradycję i posadził mą panią przy sobie za stołem, wskazawszy jednej ze swych starszych żon inne miejsce. Podczas posiłku jego uwaga skupiona była w przeważającej mierze na mej pani. Ona zaś odzyskała już spokój i bawiła króla oraz siedzących najbliżej współbiesiadników swą inteligencją i urokiem.

Oczywiście jako niewolnik nie otrzymałem miejsca przy stole, nie byłem nawet w stanie prześlizgnąć się w pobliże mej pani i ostrzec jej, by miała się na baczności w towarzystwie monarchy. Zamiast tego znalazłem sobie miejsce na piedestale jednego z granitowych lwów, skąd mogłem przyglądać się biesiadnemu stołowi i wszystkiemu, co tam się działo. Nie byłem jedynym obserwatorem, jako że mój pan, książę Intef, siedział przy królu, a jednak zamknięty w sobie, przypatrywał się otoczeniu błyszczącymi, zimnymi oczyma, niczym piękny, choć niebezpieczny pająk w środku sieci.

W pewnym momencie nad głowami obiadujących zatoczyła koło żółtodzioba kania, skrzecząc przeraźliwie, krzycząc sardonicznie i szyderczo. Pospiesznie wykonałem

znak chroniący przed złym okiem, bo któż wie, który to bóg przybrał kształt ptaka, by wypaczyć i pogmatwać nasze przyziemne zamiary?

Po południowym posiłku zwyczajem dworu było odpoczywać przez jakąś godzinę, zwłaszcza w obecnej, najgorętszej porze roku. Faraon jednak był tak podekscytowany, że nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Teraz zwizytujemy skarbcę - oznajmił.

Gdy zbliżył się królewski orszak, strażnicy u wrót pierwszego odstępili na boki i sprezentowali broń, a drzwi zostały otwarte od wewnątrz.

Zaplanowałem te sześć skarbców nie tylko jako magazyny niezmiernego pogrzebowego skarbu, zbieranego przez faraona w ciągu minionych dwunastu lat, od kiedy tylko zasiadł na podwójnym tronie, lecz i jako warsztaty, w których mała armia rzemieślników i artystów stale zajęta była powiększaniem tych dóbr.

Sala, do której wkroczyliśmy, była zbrojownią, mieszczącą zbiór tak praktycznego jak i ceremonialnego, bitewnego oraz myśliwskiego uzbrojenia i ekwipunku, który król miał zabrać ze sobą w zaświaty. Za zgodą mego pana, księcia Intefa, zarządziłem, żeby rzemieślnicy znajdowali się na swych ławkach, by król miał sposobność przyjrzeć się im przy pracy.

Gdy faraon szedł powoli wzdłuż rzędu ławek, zadawał pytania tak wnikliwe i techniczne, że arystokraci i kapłani, do których je kierował, nie byli w stanie dostarczyć mu odpowiedzi. Rozpaczliwie rozglądali się w poszukiwaniu

kogoś, kto mógłby to uczynić. W pośpiechu przyzwano mnie z głębi tłumu i wypchnięto naprzód, bym stawił czoło królewskiej ciekawości.

- A, tak - usta faraona wykrzywił blady uśmiech, gdy mnie rozpoznał. - Oto ów nędzny niewolnik piszący sztuki i leczący chorych. Najwyraźniej nikt tutaj nie zna składu tego oto drutu z elektrum, opasującego łączysko łuku, jaki ten człowiek robi dla mnie.

- Miłościwy faraonie, metal ten to stop jednej części miedzi, pięciu części srebra i czterech złota. Złoto jest odmiany czerwonej, dobywanej jedynie w kopalniach Lotu na zachodniej pustyni. Żadne inne nie nadaje drutowi takiej giętkości ani elastyczności.

- Oczywiście - zgodził się monarcha i popatrzył krzywo. - A jak sprawiacie, że nici są tak cienkie? Nie są grubsze od włosów na mojej głowie.

- Panie, rozciągamy gorący metal, rozkręcając go specjalnym wahadłem, jakie zaprojektowałem w tym celu. Możemy później prześledzić ten proces w kuźni złotników, jeżeli Wasza Wysokość sobie tego życzy.

Tak oto przez resztę zwiedzania mogłem pozostać przy boku króla i odwrócić nieco jego uwagę od Lostris, lecz wciąż nie znalazłem okazji, by pomówić z nią na osobności.

Faraon przeszedł przez zbrojownię, sprawdzając jakość olbrzymiego zestawu już zgromadzonych najprzeróżniejszych rodzajów broni i zbroi. Niektóre z nich należały do jego przodków i były używane w sławnych bitwach, inne zostały dopiero wyprodukowane i nigdy nie

zostaną zastosowane podczas wojny. Wszystkie wyglądały wspaniale, każdy egzemplarz stanowił szczyt maestrii płatnerzy. Były tam hełmy i napierśniki z brązu, srebra i złota, miecze o rękojeściach z kości słoniowej wysadzanych szlachetnymi kamieniami, kompletne stroje ceremonialne dowódców wszystkich elitarnych królewskich pułków, tarcze oraz puklerze ze skóry hipopotamów i krokodyli rozgwieżdżone złotymi rozetami. Robiło to niezwykle wrażenie.

Ze zbrojowni przeszliśmy przez dziedziniec do składów meblarskich, gdzie setka stolarzy trudziła się nad cedrem, akacją i bezcennym hebanem, by stworzyć pogrzebowe wyposażenie na długą podróż króla. Zaiste niewiele godnych wspomnienia drzew rośnie w naszej nadrzecznej dolinie, a drewno jest towarem rzadkim oraz kosztownym, wartym prawie swojej wagi w srebrze. Nieomal każdy patyk przewieziony być musi przez pustynię albo sprowadzony statkiem w dół rzeki z owych tajemniczych krain południa. W tym pomieszczeniu drewno spoczywało ułożone w stosy, jakby było powszechnie dostępne, a gorące powietrze przesycił zapach świeżych trocin.

Przypatrywaliśmy się rzemieślnikom inkrustującym zagłówek łoża faraona wzorami z masy perłowej i różnokolorowych fragmentów drewna. Inni ozdabiali poręcze krzeseł złotymi sokołami, a oparcia kanap głowami srebrnych lwów. Nawet w salach królewskiego pałacu na Elefantynie nie znalazłoby się rękodzieła równie

wyrafinowanego jak to, które miało stać się ozdobą kamiennych pomieszczeń królewskiego grobowca.

Ze składu mebli przeszliśmy do sali rzeźbiarzy. W marmurze, piaskowcu i granicie o stu odcieniach rzemieślnicy kuli i żłobili dłutami oraz pilnikami. W powietrzu unosił się drobny, szary pył. Kamieniarze zakrywali nosy i usta płóciennymi opaskami, na których osiadał kurz; również ich twarze przyprószone były tą złowieszczą substancją. Niektórzy przy pracy pokasływali pod maskami upartym, suchym kaszlem charakterystycznym dla ich zawodu. Przeprowadziłem sekcje zwłok wielu starych rzeźbiarzy, którzy przepracowali w tej profesji trzydzieści lat i zmarli w trakcie zajęć. Ich płuca przesyczone były skalnym pyłem i skamieniałe, tak więc spędzałem w warsztacie kamieniarzy nie więcej czasu, niż to było konieczne, by nie zarazić się tą chorobą.

Niemniej ich dzieła stanowiły rozkosz dla oka, posągi bogów i samego faraona emanowały życiem. Były tam naturalnej wielkości wyobrażenia władcy zasiadającego na tronie albo też kroczącego na otwartej przestrzeni w boskiej postaci lub w ciele śmiertelnika. Posągi te miały stanąć wzdłuż długiej drogi biegnącej ze świątyni grobowej na dnie doliny ku ścianie czarnych wzgórz, w których w tejże chwili wykuwano grobowiec. Po śmierci monarchy złoty karawan, ciągnięty przez zaprzęg stu białych wołów, powieźć miał tą drogą masywny sarkofag na miejsce ostatecznego spoczynku.

Zaledwie część owego granitowego sarkofagu spoczywała na środku sali kamieniarzy. Początkowo był to pojedynczy blok różowego granitu wydobytego z kamieniołomów w Asuanie i spławiony w dół rzeki specjalnie w tym celu zbudowaną barką. Pięć setek niewolników potrzebnych było do tego, by wywlec na brzeg i przeciągnąć na drewnianych rolkach w to miejsce prostopadłościan z litego kamienia, długi na pięć kroków, szeroki na trzy i na trzy także wysoki.

Kamieniarze zaczęli od odpiłowania z jego wierzchu grubej płyty. Na granitowej pokrywie mistrz kamieniarski kształtował podobiznę zmumifikowanego faraona ze skrzyżowanymi ramionami i martwymi dłońmi trzymającymi berło i bicz. Inny zespół rzemieślników zajęty był teraz drążeniem wnętrza głównego bloku granitu, by przygotować gniazdo, w którym idealnie zmieścić się miały wewnętrzne trumny. Wliczając w ich liczbę masywny zewnętrzny sarkofag, było ich w sumie siedem. Mieściły się jedna w drugiej niczym składana dziecięca zabawka. Siódemka była oczywiście jedną z liczb magicznych. Najbardziej wewnętrzna trumna wykonana być miała z czystego złota i później w sali złotników mieliśmy sposobność przyjrzeć się jej wykuwaniu z bezkształtnej masy kruszcu.

To właśnie ten wielowarstwowy sarkofag, tę górę kamienia i złota mieszczącą w swym wnętrzu zabandażowane ciało króla, powiezie złoty karawan drogą ku wzgórzom w powolnej podróży, której ukończenie zajmie siedem dni. Każdej nocy karawan zatrzymywać się będzie

w jednej z małych świątyń rozmieszczonych w równych odstępach wzdłuż drogi.

Fascynującym dodatkiem do sali posągów był warsztat *uszebti* mieszczący się na jej tyłach. Tam rzeźbiono służących i dworzan, którzy eskortować mieli martwego króla. Były to idealnie odwzorowane maleńkie figurki z drewna, przedstawiające wszystkie warstwy i klasy egipskiego społeczeństwa, które pracować miały dla króla w zaświatach, by mógł utrzymać swój majątek i styl życia na tamtym świecie.

Każdy *uszebti* był cudownie wyrzeźbioną drewnianą figurką ubraną w idealnie odwzorowane odzienie swej profesji i wyposażoną w odpowiednie narzędzia. Byli tam rolnicy, ogrodnicy, rybacy, piekarze, piwowarzy, dziewczki służebne, żołnierze, poborcy podatkowi, pisarze i fryzjerzy oraz setki zwykłych robotników dla wykonywania wszelkich posług i zastępowania króla, gdyby inni bogowie wezwali go do pracy w zaświatach.

Na czele tego tłumu figurek stał wielki wezyr, którego drobne rysy dokładnie przypominały twarz mego pana, księcia Intefa. Faraon podniósł tę właśnie lalkę i przyjrzał jej się uważnie, obracając ją, by odczytać inskrypcję na jej plecach.

Me imię jest książe Intef, wielki wezyr Górnego Królestwa, jedyny towarzysz faraona, trzykrotnie obdarowany Złotem Chwały. Jestem gotów odpowiadać w imieniu króla.

Faraon przekazał figurkę memu panu.

- Czy two ciało w rzeczy samej jest tak muskularne, mój panie? - zapytał z uśmiechem czającym się tuż pod powierzchnią jego zwykle ponurej twarzy, a wielki wezyr skłonił się nieznacznie.

- Rzeźbiarz nie zdołał wiernie oddać mej postaci, Wasza Wysokość.

Ostatnim skarbcem odwiedzionym przez króla tego dnia była sala złotników. Piekielny żar pieców rzucał niesamowity blask na twarze jubilerów pracujących na swych ławkach w absolutnym skupieniu. Dobrze ich wyćwiczyłem. Gdy do sali wkroczył królewski orszak, złotnicy uklękli jak jeden mąż, by oddać potrójny hołd faraonowi, a potem powstali i powrócili do pracy.

Nawet w tej wielkiej sali ciepło bijące od płomieni pieców było tak intensywne, że nieomal zapierało dech w piersiach, i po chwili pławiliśmy się we własnym pocie. Król wszakże był do tego stopnia zajęty ukazaniem mu bogactwem, że zdawał się nawet nie zauważać duchoty. Przeszedł bezpośrednio ku podwyższeniu na środku sali, gdzie najbardziej doświadczeni i najzręczniejsi rzemieślnicy mozolili się nad złotą wewnętrzną trumną. Udało się im wiernie oddać twarz żywego faraona w połyskliwym metalu. Maską pasować będzie dokładnie na jego zabandażowaną głowę. Była to boska podobizna o oczach z obsydianu i kryształu górskiego, z *ureusem* o głowie kobry opasującym czoło. Uważam, że piękniejszego arcydzieła sztuki złotniczej nie stworzono przez całe tysiąc lat trwania

naszej cywilizacji. Był to jej szczyt. Wszystkie nienarodzone jeszcze wieki zatrzymają się pewnego dnia w zadziwieniu nad jego przepychem.

Gdy faraon zakończył już podziwiać maskę ze wszystkich stron, najwyraźniej nie był w stanie się od niej oddalić. Resztę dnia spędził przy niej na podwyższeniu, siedząc na niskim stołku, podczas gdy u jego stóp składano jedną skrzynię z cedrowego drewna za drugą, wyliczając mu ich zawartość.

Nie sądzę, by podobne bogactwo zgromadzono już kiedyś w jednym miejscu i w jednym czasie. Sporządzenie spisu przedmiotów w żadnej mierze nie odzwierciedla ich różnorodności i bogactwa. Niemniej jednak, pozwólcie mi od razu zaznaczyć, że w cedrowych skrzyniach znajdowało się już sześć tysięcy czterysta pięćdziesiąt pięć sztuk i że każdego dnia do zbioru dodawano nowe, jako że jubilerzy pracowali niezmiernie.

Były tam pierścienie na palce nóg i rąk faraona, amulety i talizmany, złote figurki bogów i bogiń, naszyjniki i bransolety, medaliony i pasy ozdobione wizerunkami sokołów, sępów i wszelkich innych stworzeń nieba, ziemi i rzeki; również korony i diademy wysadzone lapis-lazuli, granatami, agatami, krwawnikami, jaspisami i wszelkimi innymi drogimi kamieniami, które miłe są sercu cywilizowanego człowieka.

Mistrzostwo, z jakim przedmioty te zostały zaprojektowane i wykonane, zaćmiewało wszystko, co stworzone zostało przez poprzednie tysiąc lat. Często tak

bywa, że naród wydaje najpiękniejsze dzieła sztuki u schyłku swej historii. Gdy imperium dopiero się kształtuje, obsesją są nowe podboje i gromadzenie bogactwa. Dopiero po osiągnięciu tego celu ma się wolny czas i odczuwa potrzebę tworzenia sztuki. Co ważniejsze, wtedy istnieją już także bogaci możnowładcy chętni ją opłacać.

Waga złota i srebra już wykorzystanego do wykonania karawanu, maski pogrzebowej i całej reszty tej zapierającej dech w piersiach kolekcji bogactw przekraczała pięćset hekatów - trzeba by więc pięciuset silnych mężczyzn, by ją unieść. Z moich obliczeń wynikało, że stanowiło to prawie jedną dziesiątą całkowitej wagi tych cennych metali, jaką wydobyto w kopalniach przez całe tysiąc lat znanej historii Egiptu. To wszystko król zamierzał zabrać ze sobą do grobu.

Kim jestem ja, nędzny niewolnik, by podawać w wątpliwość cenę, jaką władca skłonny był zapłacić za życie wieczne? Wystarczy jedynie wspomnieć, że gromadząc ten skarb, a jednocześnie tocząc wojnę z Dolnym Królestwem, faraon zdołał w pojedynkę i bez niczyjej pomocy wtrącić nasz Egipt w skrajną nędzę.

Nic dziwnego więc, że Tanus w swej mowie wybrał złodziejstwo poborców podatkowych jako jedną z najpotworniejszych plag nękających lud. Ściśnięci pomiędzy nimi i bandami rozbójników, pustoszącymi bez przeszkód i do woli tereny wiejskie, zgniatani byliśmy i rujnowani finansowym jarzmem zbyt ciężkim, by

ktokolwiek z nas mógł je udźwignąć. Aby w ogóle przeżyć, musieliśmy unikać sieci rozstawionych przez poborców podatkowych. Tak oto, postawiwszy sobie za zadanie zmienienie nas w żebraków dla powiększenia swej wielkości, monarcha uczynił z nas jednocześnie przestępców. Bardzo nieliczni spośród wielkich i małych, bogatych i biednych spali spokojnie w nocy. Większość leżała bezsennie, gnębiona obawą przed mogącym się rozlec w każdej chwili głośnym stukaniem poborcy podatkowego do drzwi.

Ach, ponury i wykorzystywany kraj, jakże boleśnie jęczał pod tym jarzmem!

W nekropolii przygotowano pełne przepychu komnaty, w których król spędzić miał noc na zachodnim brzegu Nilu, niedaleko od miejsca swego ostatniego spoczynku wśród posępnych, czarnych wzgórz.

Nekropolia, miasto umarłych, rozmiarami prawie dorównywała samemu Karnakowi. Była domem dla wszystkich ludzi zatrudnionych przy budowie i utrzymaniu świątyni grobowej oraz królewskiego grobowca. Cały pułk elitarnej gwardii strzegł świętych miejsc, gdyż uzurpator z północy spoglądał na te skarby równie pożądlwym okiem jak nasz ukochany król, podczas gdy zbójcekim wodzom pustyni z każdym dniem przybywało śmiałości i zuchwałości. Bogactwa świątyni grobowej stanowiły srogą pokusę dla każdego łupieżcy w obu królestwach i poza ich granicami.

Dach nad głową należało zapewnić nie tylko gwardzistom, lecz także zespołom rzemieślników i artystów. Odpowiedzialny byłem za prowadzenie zapisów dotyczących wynagrodzeń i zaopatrzenia w żywność, wiedziałem więc dokładnie, ilu zatrudnialiśmy. Przy ostatniej wypłacie ich liczba wynosiła cztery tysiące osiemset jedenaście głów. Ponadto w najprzeróżniejszych pracach brało udział ponad dziesięć tysięcy niewolnych.

Nie będę się męczył wymienianiem liczby byków i owiec, jakie trzeba było zarznąć co dzień, by wykarmić ich wszystkich, ani liczeniem wozów wypełnionych rybami, które sprowadzano znad Nilu, czy też wspomnianiem tysięcy dzbanów piwa warzonego każdego dnia, by zaspokoić letnie pragnienie tego tłumu, trującego się pod czujnym spojrzeniem i czekającymi w gotowości biczami nadzorców.

Nekropolia jest miastem, a w tym mieście znajduje się pałac dla króla. Z nieskrywaną ulgą przenieśliśmy się do niego na noc, jako że miniony dzień należał do męczących. Ale i tym razem dane mi było zaznać niewiele odpoczynku.

Spróbowałem dotrzeć do mej pani, lecz wyglądało na to, że istnieje spisek mający na celu niedopuszczenie mnie do niej. Według czarnoskórych służek najpierw zajmowała się toaletą, następnie brała kąpiel, po czym udała się na spoczynek i nie wolno było zakłócać jej spokoju. Wreszcie, gdy czekałem jeszcze w przedsionku jej komnat, dotarło do mnie wezwanie od jej ojca, nie mogłem więc dłużej zwlekać, musiałem pospieszyć do mego pana.

Skoro tylko wszedłem do sypialni księcia Intefa, odprawił pozostałych służących. Gdy zostaliśmy sami, złożył pocałunek na mych ustach. Raz jeszcze zaskoczyła mnie jego łaskawość, zaniepokoiło zaś pełne ekscytacji zachowanie. Rzadko widywałem go w takim nastroju, a dotychczas zapowiadało to katastrofalne w skutkach wydarzenia.

- Jak często brama wiodąca do władzy i majątności ukryta jest w najmniej spodziewanym miejscu! - zaśmiał się, pieszcząc moją twarz. - Tym razem spoczywa między udami kobiety. Nie, nie, mój kochany, nie udawaj niewiniątka. Dobrze wiem, jak znaczącą rolę odegrał w tym twój spryt. Faraon powiedział mi, że nakłoniłeś go do tego pochlebstwami, obiecując mu męskiego dziedzica. Na Seta, ależ z ciebie spryciarz! Ani słowa przy mnie o swoich planach, uknułeś to wszystko na własną rękę.

Zaśmiał się ponownie, jego palce bawiły się puklem mych włosów.

- Musiałeś przejrzeć na wylot moją najwyższą ambicję, chociaż nigdy otwarcie tego nie omawialiśmy. Tak więc postanowiłeś ją dla mnie urzeczywistnić. Oczywiście powinienem ukarać cię za zbytnią pewność siebie - wykręcił lok włosów, tak że łyzy stanęły mi w oczach - lecz jak mogę się na ciebie złościć, skoro umieściłeś podwójną koronę na wyciągnięcie ręki ode mnie?

- Wypuścił kosmyk i znowu mnie pocałował. - Wracam prosto od króla. Za dwa dni, w kulminacyjnym punkcie święta, ogłosi swe zaręczyny z moją córką Lostris.

Nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami, chłodny pot sperlił skórę.

- Dopilnowałem tego, by ślub odbył się tego samego dnia, natychmiast po ceremonii zakończenia święta. Nie potrzeba nam żadnego opóźnienia, by nie wydarzyło się coś, co mogłoby przeszkodzić zaślubinom, prawda?

Tak nagły królewski ślub był czymś niezwykłym, lecz w żadnej mierze nie wyjątkowym. Gdy panna młoda wybrana została dla przypieczętowania związku politycznego albo też by umocnić podbój nowego terytorium, do zaślubin często dochodziło tego samego dnia, w którym zostawały postanowione. Faraon Mamose Pierwszy, praprzodek obecnego władcy, poślubił córkę pokonanego huryckiego wodza bezpośrednio na polu bitwy. Te historyczne precedensy stanowiły wszakże niewielką pociechę, urzeczywistniały się bowiem me najgorsze obawy.

Księżę Intef chyba nie dostrzegł mej rozpacz. Był na to zbyt pochłonięty swymi bieżącymi zamierzeniami i dalej prowadził wywód:

- Zanim udzieliłem formalnego przyzwolenia na ten związek, nakłoniłem króla do zaakceptowania tego, że jeżeli moja córka urodzi mu syna, wyniesie ją do pozycji pierwszej żony i królowej małżonki - klasnął w dłonie z nieskrywanym triumfem.

- Pojmujesz oczywiście, co to oznacza. Gdyby faraonowi zdarzyło się umrzeć, zanim mój wnuk osiągnie pełnoletniość, wówczas ja, jako jego dziadek i najbliższy krewny płci męskiej, zostałbym regentem...

Urwał nagle i przeszył mnie ciężkim spojrzeniem. Znałem go na tyle dobrze, by pojąć dokładnie, jakie myśli krążyły mu pod czaszką. Gorzko żałował teraz swej niedyskrecji, bo nikt nie powinien był być świadkiem ubrania tego zamysłu w słowa. To zdrada w najczystszej postaci. Gdy Lostris urodzi faraonowi syna, ojciec długo już nie pożyje. Obaj to rozumieliśmy. Mój pan rozmyślał na głos o królobójstwie, a teraz zastanawiał się nad usunięciem jedyne go świadka tych zamysłów, nędznego niewolnika Taity. Obaj doskonale to pojmovaliśmy.

- Mój panie, cieszę się niezmiernie, że sytuacja rozwinęła się tak, jak to zaplanowałem. Przyznaję teraz, że podstępными staraniami umieściłem twoją córkę na drodze króla i że opisałem ją jako matkę jego przyszłego syna. Wykorzystałem też przedstawienie, by zwrócić na nią jego uwagę. Jednakowoż nie potrafiłem się przemóc i powiadomić cię o tak ważkich zamierzeniach, dopóki nie zostały z powodzeniem zrealizowane. Wciąż pozostaje wszakże wiele do zrobienia, zanim możemy czuć się bezpieczni...

Pospiesznie improwizować począłem listę możliwych przeciwności, jakim należało zapobiec przed przejęciem kontroli nad koroną i złotym berłem Egiptu. Taktownie dałem do zrozumienia, jak bardzo byłem mu wciąż potrzebny do zrealizowania jego planów. Ujrzałem, że się uspokaja, słuchając mych argumentów, i wiedziałem już, że przynajmniej w najbliższej przyszłości nic mi z jego strony nie grozi.

Dopiero po jakimś czasie zdołałem się oddalić, rozsądnie uzasadniwszy swoje odejście, pospieszyć do Lostris, by ostrzec mą panią, w jak fatalnym położeniu ją postawiłem. Zanim jeszcze dotarłem do drzwi, uświadomiłem sobie, że jedynym efektem mego ostrzeżenia byłoby wpędzenie jej w rozpacz graniczącą z obłędem, a może i samobójstwem. Nie mogłem marnować ani chwili więcej, jeżeli chciałem zapobiec rozwinięciu się sytuacji aż do tragicznego końca.

Teraz mogłem zwrócić się tylko do jednej osoby.

Opuściłem nekropolię i podążyłem wzdłuż ścieżki holowniczej przy kanale z powrotem ku brzegowi rzeki, gdzie, jak wiedziałem, obozowała flotylla Tanusa. Do pełni brakowało zaledwie trzech dni i promienie księżyca rozjaśniały poszarpaną linię wzgórz na zachodzie zimną, żółtą poświatą, kładąc ich czarne cienie na położonej w dole równinie.

Gdy tak gnałem, powtarzałem sobie pełną litanie wszelkich możliwych klęsk i nieszczęść, jakie w najbliższych dniach spaść mogą na Tanusa, na mą panią Lostris i na mnie. Podniecałem się do czynu niczym czarnogrzywy pustynny lew, przed rzuceniem się na łowców rozbudzający swą złość smagnieniami kościstego kolca na końcu ogona. Na długo przed dotarciem na brzeg Nilu byłem rozsierdzony do granic możliwości.

Obóz Tanusa odnalazłem bez trudu - znajdował się tuż nad brzegiem rzeki u ujścia kanału. Okręty kotwiczyły poniżej obozowiska. Wartownicy kazali mi się zatrzymać, a poznawszy, kim jestem, zaprowadzili do namiotu Tanusa.

Spożywał właśnie spóźnioną kolację w towarzystwie Kratasa i czterech innych podległych mu oficerów. Podniósł się, by z uśmiechem mnie powitać, a potem podał mi dzban z piwem.

- Nieoczekiwana to przyjemność, stary druhu. Usiądź ze mną i pociągnij piwa, a niewolnik przyniesie ci kubek i talerz. Wyglądasz na zgrzanego i nie w humorze...

Przerwałem tę wymianę uprzejmości, wskakując na niego bez ogródek:

- Do Setha z tobą, wielki nieczuły mule! Czy nie pojmujesz, na jakie zagrożenie wystawiłeś nas wszystkich? Ty i ta twoja niewyparzona gęba! Nie pomyślałeś nawet o bezpieczeństwie i powodzeniu mej pani?

Prawdę mówiąc, nie zamierzałem być wobec niego tak surowy, lecz gdy już zacząłem, nie zdołałem zapanować nad uczuciami, toteż cały strach i niepokój wyrwały się na wolność powodzią wyzwisk. Nie żeby wszystkie zarzuty były prawdziwe czy sprawiedliwe, ale poczułem się znacznie lepiej, gdy to wszystko z siebie wyrzuciłem.

Tanus zmienił się na twarzy, podniósł ramię, jakby chciał się nim zasłonić.

- Hej! Nie jestem przygotowany na ten atak! Stoję bezbronny i niezdolny do obrony przed tak morderczym napadem.

Przed swymi oficerami zachował żartobliwy ton, lecz z bladym uśmiechem chwycił mnie za rękę i wywiódł z namiotu w ciemność. Prawie siłą wyprowadził mnie za linię umocnień w szczerze, skąpane w świetle księżyca pole.

Byłem niczym dziecko w uchwycie tej prawej dłoni, wyćwiczonej we władaniu mieczem i naciąganiu wielkiego łuku Lanaty.

- Teraz wyrzuć to z siebie! - polecił ponuro. - Czemu mam zawdzięczać twój podły humor?

Wciąż byłem rozzłoszczony, bardziej jednak przestraszony niż zły, i znów przestałem trzymać język na wodzy.

- Pół życia spędziłem, chroniąc cię przed twoją własną głupotą, i mam już tego dosyć. Czy życie niczego cię nie nauczyło? Czy naprawdę sądziłeś, że twoje szaleństwo, w które wmieszałeś nas wszystkich ostatniej nocy, ujdzie ci na sucho?

- Mówisz o mojej recytacji podczas przedstawienia? - Wyglądał na zbitego z tropu i zwolnił swój miażdżący uścisk. - Jak możesz nazywać to szaleństwem? Wszyscy moi oficerowie i każda inna osoba, z którą od tego czasu rozmawiałem, są zachwyceni tym, co musiałem powiedzieć...

- Ty głupcze, nie rozumiesz, że opinia wszystkich twoich oficerów i przyjaciół w planie wszechrzeczy nie jest warta jednej zgniłej ryby? Za każdego innego władcy byłbyś już martwy. Lecz nawet ten słaby i niezdecydowany człowiek nie może pozwolić sobie na puszczenie płazem twej bezczelności. Tron przedstawia dla niego zbyt wielką wartość. Przyjdzie ci zapłacić ten rachunek, Tanusie, księżę Harrab. Horus wie, że będzie to rachunek słony.

- Przemawiasz zagadkami - warknął. - Wyrządziłem królowi wielką przysługę. Otaczają go służalczy lizusi,

karmiący go kłamstwami, które, jak sądzą, chce od nich słyszeć. Już najwyższy czas, by poznał prawdę, i jestem głęboko przekonany, że gdy się nad nią zastanowi, będzie mi wdzięczny.

W obliczu jego prostej, niezachwianej wiary w triumf dobra mój gniew począł słabnąć.

- Tanusie, mój najdroższy przyjacielu, jakże niewinną masz duszę! Nikt nie jest wdzięczny za wepchnięcie mu w gardło ciężko strawnej prawdy. Ponadto zaś twoje postępowanie to woda na młyn księcia Intefa.

- Księcia Intefa? - zmierzył mnie ciężkim wzrokiem. - Cóż znowu o księciu Intefie? Mówisz o nim tak, jakby był moim wrogiem. Wielki wezyr był najdroższym przyjacielem mego ojca. Wiem, że mogę ufać jego protekcji. Przysiągł memu ojcu, gdy ten leżał na łożu śmierci...

Jasne było, że mimo pogodnego z natury usposobienia i naszej przyjaźni zaczyna się na mnie prawdziwie złościć, prawdopodobnie pierwszy raz w życiu. Wiedziałem też, że choć trudno go było rozniecić, gniewu Tanusa należało się obawiać.

- Och, Tanusie! - wziąłem wreszcie w karby własną złość.

- Byłem wobec ciebie nieuczciwy. Tak wiele powinienem był ci powiedzieć i nigdy nie powiedziałem. Nic nie jest tak, jak sądzisz. To tchórzostwo, lecz nie potrafiłem ci powiedzieć, że Intef był najzacieklejszym wrogiem twego ojca.

- Jak może to być prawdą? - Tanus pokręcił głową. - Byli przyjaciółmi, najbliższymi przyjaciółmi. Moje najdawniejsze

wspomnienia to widok ich obu śmiejących się razem. Ojciec powiedział mi, że z ufnością mogę powierzyć księciu Intefowi nawet własne życie.

- Szlachetny Pianki, księżę Harrab, wierzył w to, to prawda. Ta wiara kosztowała go utratę całej fortuny, a w końcu i życia, które zawierzył Intefowi.

- Nie, nie, musisz się mylić. Mój ojciec padł ofiarą całej serii nieszczęść...

- A każde z nich zostało zaplanowane przez mego pana, księcia Intefa. Zazdrościł twemu ojcu cnotliwości i popularności, bogactwa i wpływów na dworze faraona. Pojmował, że księżę Harrab zostanie wielkim wezyrem wcześniej niż on, i za to go nienawdził.

- Nie mogę w to wierzyć. Nie mogę się zmusić, by w to uwierzyć. - Tanus potrząsnął głową i resztki mego gniewu rozwiały się niczym dym.

- Wszystko ci wyjaśnię, tak jak powinienem był uczynić dawno temu. Przedstawię ci wszelkie dowody, jakich zażadasz. Lecz teraz nie ma na to czasu. Musisz mi zaufać. Mój pan nienawdzi cię tak, jak nienawdził twego ojca. Zarówno ty jak moja pani jesteście w niebezpieczeństwie. Grozi wam nie tylko utrata życia, grozi wam wieczna rozłąka.

- Czy to możliwe, Taito? - Me słowa skonfundowały go i wstrząsnęły nim. - Sądziłem, że księżę Intef zgodził się na nasz związek. Czyż nie rozmawiałeś z nim?

- Tak, rozmawiałem - zawołałem, pochwyciłem dłoń Tanusa i wepchnąłem ją pod moją tunikę na plecach. - Oto

jego odpowiedź. Czujesz pręgi pozostawione przez bat? Kazał mnie wychłostać za to tylko, że dałem mu do zrozumienia, iż chciałbyś poślubić moją panią, Lostris. Oto jak dalece nienawidzi ciebie i twojej rodziny.

Tanus patrzył na mnie w milczeniu, lecz dostrzegłem, iż nareszcie mi uwierzył, tak więc mogłem przejść do tematu, który zaprzętał me myśli bardziej nawet niż to pochopne przemówienie, bardziej niż zemsta, której wielki wezyr dokonywał na nim z takim powodzeniem przez tyle lat.

- Wysłuchaj mnie teraz, drogi przyjacielu, i przygotuj się, gdyż najgorsze wieści masz wciąż przed sobą. - Mogłem mu to powiedzieć tylko wprost, jak by to uczynił sam Tanus. - Daleki od udzielenia zgody na wasz ślub, książę Intef tejże nocy przyrzekł rękę swej córki innemu. Ma natychmiast poślubić faraona Mamose, a gdy urodzi mu pierworodnego syna, stanie się jego pierwszą małżonką i królową. Król ogłosi to osobiście na zakończenie święta Ozyrysa. Zaślubiny odbędą się tego samego wieczoru.

Tanus zatoczył się w tył, jego twarz w świetle księżyca przybrała upiornie blady odcień. Przez dłuższy czas żaden z nas nie był w stanie przemówić, potem Tanus odwrócił się ode mnie i ruszył samotnie przez pole młodej pszenicy. Powlokłem się za nim, nie spuszczać go z oczu, dopóki nie znalazł wreszcie wystającej z ziemi czarnej skały, na której przysiadł. Jego powolne, zmęczone ruchy przypominały gesty bardzo starego człowieka. Podszedłem delikatnie i przycupnąłem u jego stóp. Z rozmysłem zachowywałem milczenie, dopóki nie westchnął i nie zapytał cicho:

- Czy Lostris wyraziła zgodę na to małżeństwo?

- Oczywiście, że nie. W tej chwili prawdopodobnie jeszcze nic o nim nie wie. Ale czy myślisz, że jej sprzeciw odniesie jakikolwiek skutek wobec woli ojca oraz króla? W tej sprawie nie będzie miała nic do powiedzenia.

- Cóż mamy uczynić, stary druhu?

Nawet w mej rozpaczy poczułem dla niego wdzięczność za użycie liczby mnogiej, włączenie mnie w swe plany i zapewnienie o trwałości starej przyjaźni.

- Musimy stawić czoło jeszcze jednemu bardzo prawdopodobnemu wydarzeniu - ostrzegłem go. - A mianowicie, w tym samym przemówieniu, w którym faraon obwieści swe zaręczyny z Lostris, rozkaże cię uwięzić lub co gorsza wyda na ciebie wyrok śmierci. Mój pan, książę Intef, cieszy się zaufaniem u króla i bez wątpienia mu to podsunie. Prawdę mówiąc, będzie miał bardzo dobry pretekst. Winien jesteś podżegania do buntu.

- Nie chcę żyć bez Lostris jako żony. Jeśli król mi ją odbierze, może dostać mą głowę w ślubnym prezencie.

Powiedział to prosto, bez udawania, tak więc z trudem przyszło mi udać gniew i zabarwić głos jadowitą pogardą.

- Mówisz jak słaba i żałosna stara baba bez walki ulegająca losowi. Jakże piękna i nieśmiertelna jest twa miłość, skoro nie chcesz nawet o nią walczyć!

- Jak można walczyć z królem i z bogiem? - zapytał cicho Tanus. - Z królem, któremu przysięgało się wierność, i z bogiem, który jest odległy i równie łatwy do zaatakowania jak Słońce?

- Jako król nie zasługuje na twą wierność. Wyraźnie to przedstawiłeś w swoim przemówieniu. To słaby i niezdecydowany stary człowiek, który podzielił dwa królestwa i sprawił, że nasza *Ta-Meri* padła na kolana.

- A jako bóg? - zapytał ponownie Tanus cicho, jak gdyby nie był ciekawy odpowiedzi, choć znałem go jako pobożnego i religijnego człowieka, pod tym względem podobnego do wielu wielkich wojowników.

- Bóg? - nadałem swemu głosowi pogardliwe zabarwienie.

- W twoim ramieniu dzierżącym miecz masz więcej boskości niż on w całym miękkim ciele.

- Co więc proponujesz? - zapytał z pozorną łagodnością. - Co powinienem według ciebie uczynić?

Wzięłem głęboki oddech i wyrzuciłem to z siebie.

- Twoi oficerowie i ludzie poszliby za tobą do bram podziemnego świata. Lud uwielbia cię za odwagę i poczucie honoru...

Zawahałem się, gdyż na jego oświetlonej promieniami księżycy twarzy nie dostrzegłem niczego, co zachęciłoby mnie do tego, by mówić dalej.

Przez dwadzieścia uderzeń mego gnającego jak szalone serca milczał, a potem rozkazał mi łagodnie:

- Dalej! Powiedz, co masz do powiedzenia.

- Tanusie, byłbyś najszlachetniejszym faraonem, jakiego *Ta-Meri*, nasza ojczyzna znała od tysiąca lat. Na tronie, z Lostris u boku, poprowadziłbyś nasz kraj i nasz lud na powrót ku wielkości. Wezwij swe flotyle, poprowadź ludzi

drogą tam, gdzie niegodny tego miana faraon śpi bez ochrony, podatny na ciosy. Jutro o świcie możesz być władcą Górnego Królestwa. Za rok o tej porze pokonasz uzurpatora i zjednoczysz oba królestwa. - Zerwałem się na równe nogi i stanąłem przed nim. - Tanusie, księżę Harrab, przeznaczenie twoje i kobiety, którą kochasz, czeka na ciebie. Pochwyć je w twe mocne, żołnierskie dłonie!

- Żołnierskie dłonie. O tak! - podsunął mi je pod nos. - Dłonie, które walczyły za moją ojczyznę i broniły jej prawowitego króla. Złą mi wyświadczasz przysługę, stary druhu. To nie są dłonie zdrajcy. A to serce nie należy do bluźniercy, usiłującego strącić z tronu i zniszczyć boga, by zająć jego miej sce w panteonie.

Jęknąłem głośno, nie mogąc ukryć mego zawodu.

- Byłbyś największym faraonem na przestrzeni ostatnich pięciu stuleci i nie musisz wcale ogłaszać swej boskości, jeżeli ten pomysł wydaje ci się odpychający. Uczyń to, zaklinam cię, dla dobra naszego Egiptu i kobiety, którą obaj kochamy!

- Czy Lostris darzyłaby zdrajcę równą miłością jak żołnierza i patriotę? Ja tak nie sądzę. - Potrząsnął głową.

- Kochałaby cię bez względu na to, co... - zacząłem, lecz Tanus bezceremonialnie wszedł mi w słowo.

- Nie zdołasz mnie przekonać. To kobieta cnotliwa i honorowa. Jako zdrajca i złodziej utraciłbym wszelkie prawo do jej szacunku. Co ma równe znaczenie, nigdy więcej nie czułbym szacunku dla samego siebie, nie uważałbym się za godnego jej słodkiej miłości, gdybym

zrobił to, na co nalegasz. Nie mów o tym więcej, jeśli cenisz sobie naszą przyjaźń. Nie pożądam podwójnej korony i nigdy tego nie uczynię. Horusie, wysłuchaj mnie i odwróć ode mnie swe oblicze, jeżeli kiedykolwiek złamię ten ślub.

Sprawa była zamknięta, dobrze z tej strony znałem tego wielkiego osła, który mógł człowieka doprowadzić do białej gorączki i którego kochałem z całego serca. Myślał dokładnie tak, jak mówił, i odtąd za każdą cenę trzymać się będzie swych słów.

- Niech zostanie przeklęte twoje uparte serce, co w takim razie uczynisz? - naskoczyłem na niego. - Wszystko, co powiedziałem, nic dla ciebie nie znaczy. Chcesz stawić temu czoło samotnie? Tak nagle zmądrzałeś, że nie chcesz wysłuchać mej rady?

- Gotów jestem zastosować się do twojej rady, o ile znajdę w niej sens. - Wyciągnął rękę i przyciągnął mnie do siebie. - Dalej, Taito, pomóż nam. Lostris i ja potrzebujemy cię bardziej niż kiedykolwiek. Nie opuszczaj nas. Pomóż nam znaleźć honorowe wyjście.

- Obawiam się, że takowe nie istnieje - westchnąłem, podczas gdy uczucia szalały w moim wnętrzu niczym szczątki rozbitego statku, podskakujące i wirujące w wezbranym powodzią nurcie Nilu. - Lecz jeżeli nie chcesz zagarnąć korony, nie wolno ci tu pozostać. Musisz wziąć Lostris w ramiona i unieść ją stąd.

W świetle księżyca spojrział na mnie ze zdumieniem.

- Opuścić Egipt? Nie mówisz serio? To mój świat. To świat Lostris.

- Nie! - uspokoilem go. - Nie to mialem na mysl. Jest w Egipcie inny faraon. Faraon, który potrzebuje wojownikow i uczciwych ludzi. Masz wiele do zaoferowania takiemu królowi. W Dolnym Królestwie cieszysz się równą sławą jak tutaj, w Karnaku. Zabierz Lostris na pokład „Oddechu Horusa” i powiedz swą łódź na północ. Żaden okręt nie zdoła was pochwycić. Za dziesięć dni, żeglując z prądem i z wiatrem, staniesz na dworze czerwonego faraona w Memfis i złożysz mu przysięgę wierności...

- Na Horusa, naprawdę postanowiłeś uczynić ze mnie zdrajcę - przerwał mi. - Złożyć przysięgę wierności uzurpatorowi, powiadasz? Co w takim razie z wiernością, jaką poprzysiągłem prawdziwemu faraonowi Mamose? Według ciebie ona nic nie znaczy? Cóż ze mnie za mężczyzna, skoro mogę składać tę samą przysięgę każdemu napotkanemu królowi czy renegatowi? Przysięga nie jest czymś, co można wymienić czy wycofać, Taito, to coś na całe życie. Złożyłem przysięgę prawdziwemu faraonowi Mamose.

- Ten prawdziwy faraon to ten sam, który poślubi twoją ukochaną, a także rozkaże zacisnąć na twojej szyi katowską pętlę - zauważyłem posępnie i tym razem nawet on się zawahał.

- Masz oczywiście rację. Nie powinniśmy pozostać w Karnaku. Ale nie stanę się zdrajcą i nie złamię uroczystej przysięgi, podnosząc miecz przeciw memu królowi.

- Twoje poczucie honoru jak dla mnie jest zbyt skomplikowane. -Nie potrafiłem ukryć tkwiącego w mym

głosie sarkazmu. – Wiem jedynie, że dla niego jest rzeczą sprawiedliwą uczynienie trupów z nas wszystkich. Powiedziałeś mi, czego nie uczynisz. Teraz powiedz mi, co zrobisz, by chronić siebie i by ratować mą panią przed nienawistnym losem.

– Tak, stary druhu, masz wszelkie prawo gniewać się na mnie. Prosiłem o twoją pomoc i radę. Gdy zaś udzieliłeś jej z własnej woli, wzgardziłem nią. Błagam cię o cierpliwość. Jeszcze przez chwilę okaż mi wyrozumiałość.

Tanus zerwał się na nogi i począł krążyć tam i z powrotem niczym lampart w monarszej menażerii, mrużąc do siebie, potrząsając głową i zaciskając pięści, jakby zamierzał stawić czoło jakiemuś przeciwnikowi.

W końcu zatrzymał się przede mną.

– Nie jestem gotów odegrać roli zdrajcy, lecz z ciężkim sercem zmuszę się do odegrania roli tchórza. Jeżeli Lostris zgodzi się mi towarzyszyć i tylko wtedy, jeżeli się zgodzi, gotów jestem uciec. Zabiorę ją z tego kraju, który oboje kochamy tak mocno.

– Dokąd się udacie? – zapytałem.

– Wiem, że Lostris nigdy nie porzuci rzeki. To nie tylko jej życie i moje, lecz także jej bóstwo. Musimy pozostać w pobliżu Hapi, rzeki. To oznacza dla nas tylko jeden kierunek. – Uniósł prawe ramię, mięśnie zajaśniały w blasku księżyca, i wskazał na południe. – Podążymy wzdłuż Nilu na południe w głąb Afryki, do krainy Kusz i dalej. Wyruszymy za katarakty w niezgłębioną dziczą, dokąd nie udał się jeszcze żaden cywilizowany człowiek.

Tam być może, jeśli bogowie będą łaskawi, wykroimy dla siebie nową *Ta-Meri*.

- Kto będzie wam towarzyszyć?

- Na pewno Kratas, a także ci spośród mych oficerów i ludzi, którzy żądni są przygód. Zwrócę się do nich dziś wieczorem, lecz zostawię im wolny wybór. Może z pięć okrętów i ludzie do ich obsadzenia. Musimy być gotowi, by wyruszyć o świcie. Pójdiesz z powrotem do nekropolii i przyprowadzisz do mnie Lostris?

- A ja? - zapytałem cicho. - Zabierzesz mnie z sobą?

- Ciebie? - roześmiał się. Teraz, gdy decyzja została już powzięta, jego nastrój wzbił się w górę niczym trzepoczący skrzydłami sokół spuszczonej z okrytej rękawicą dłoni. - Czy naprawdę porzuciłbyś swój ogród i książki, swoje sztuki i wznoszenie świątyń? Droga będzie niebezpieczna, a życie ciężkie. Czy naprawdę tego pragniesz, Taito?

- Nie pozwoliłbym ci wyruszyć samemu, bez mej hamującej twój temperament ręki na twoim ramieniu. Na jakie szaleństwa i zagrożenia wystawiłbyś moją panią, gdyby nie było z tobą kogoś, kto by tobą pokierował?

- Chodźmy! - rozkazał, klepiąc mnie po plecach. - Nigdy nie wątpiłem, że poszedłbyś z nami. Wiem, że Lostris i tak nie uciekłyby bez ciebie. Dość gadania! Mamy wiele do zrobienia. Najpierw powiem Kratasowi i pozostałym, co zamierzam, a potem pozwolę im zadecydować za siebie. Musisz wrócić do nekropolii i zabrać Lostris, a ja czynić będę przygotowania do wymarszu. Poślę z tobą tuzin mych

najlepszych ludzi, lecz musimy się spieszyć. Już po północy i blisko końca trzeciej stróży.

Wiem, że jestem starym romantycznym głupcem, lecz w podnieceniu równym Tanusowemu podążyłem wraz z nim z powrotem ku obozowisku jego pułku poniżej świątyni i drogi. Byłem tak przejęty, że stępiło to we mnie wyczucie zagrożenia. To Tanus wychwycił złowieszcze poruszenie w księżycowych cieniach przed nami, pochwycił me ramię i wciągnął mnie pod osłonę karłowatego drzewa chlebowego.

- Zbrojna banda - szepnął i teraz także ja dostrzegłem migotanie brązowych grotów włóczni.

Grupa przed nami była liczna, szacowałem ją na trzydziestu, czterdziestu ludzi.

- Bandyci, a może łupieska wyprawa z Dolnego Królestwa - warknął Tanus i nawet ja zaniepokoiłem się zachowaniem zbrojnych ludzi przed nami.

Nie używali ścieżki holowniczej wzdłuż kanału, lecz przekradali się przez otwarte pole, rozchodząc się na boki, by otoczyć obozowisko Tanusa na brzegu rzeki.

- Tędy! - okiem wyćwiczonego w ocenie terenu żołnierza zauważył płytkie wadi zbiegające ku rzece i poprowadził mnie ku niemu.

Zsunęliśmy się na dół i pognaliśmy skuleni, dopóki nie dotarliśmy do przedpoła obozu. Wtedy Tanus wyskoczył z przesmyku i zbudził obóz krzykiem.

- Do broni! Do mnie, Błękitni! Do mnie!

Był to tradycyjny okrzyk, którym zwoływali się gwardziści z pułku Błękitnych Krokodyli, więc natychmiast podchwycony został przez podoficerów oddziału. W mgnieniu oka obóz zbudził się do życia. Ludzie śpiący wokół ognisk zerwali się na nogi, chwytając ustawioną w stosy broń, oficerowie zaś wypadli ze swych namiotów, jakby w ogóle nie spali, lecz oczekiwali w napięciu, gotowi wykonać rozkaz Tanusa. Z mieczami w dłoniach pognali na stanowiska, a na ich czele ujrzałem Kratasa.

Zdumiała mnie szybkość ich działania, chociaż wiedziałem przecież, że byli to zaprawieni w boju weterani. Zanim zdążyłem nabrać tuzin podnieconych oddechów, uformowane zostały szeregi z zachodzącymi na siebie tarczami i długimi włóczniami skierowanymi na zewnątrz, ku ciemności. Tajemniczy oddział przekradający się przez noc musiał być na równi ze mną przerażony tym pokazem gotowości bojowej, gdyż choć nadal rozróżniałem niewyraźne sylwetki wielu ludzi i błyszczącą w mroku broń, nie doszło do morderczej szarży, jakiej się spodziewaliśmy.

Gdy tylko oddziały zajęły swe miejsca w szyku, Tanus nakazał atak. Wielekroć dyskutowaliśmy o przewadze akcji ofensywnej nad defensywną i oto zbite oddziały ruszyły naprzód, gotowe rzucić się do szarży na rozkaz Tanusa. Kryjący się w ciemności ludzie musieli się zdrowo przestraszyć tym widokiem, gdyż nagle dobiegł nas głos, w którym pobrzmiwała panika:

- Jesteśmy ludźmi faraona w królewskiej misji. Wstrzymajcie atak!

- Błękitni, stać! - Tanus powstrzymał groźne natarcie i odkrzyknął: - Któremu faraonowi służycie, czerwonemu uzurpatorowi czy prawdziwemu władcy?

- Służymy prawdziwemu królowi, boskiemu Mamose, władcy Górnego i Dolnego Królestwa. Jestem królewskim posłańcem.

- Podejź bliżej, królewski posłańcu, skradający się nocą niczym złodziej. Zbliź się i powiedz, z czym przybywasz! - zachęcił go Tanus, a ściszym głosem polecił Kratasowi: - Oczekuj zdrady. Jej smród wisi w powietrzu. Każ podsyć ogień. Daj nam więcej światła.

Kratas wydał rozkazy i pęki suchego sitowia ciśnięte zostały na strażnicze ogniska. Płomienie strzeliły w górę, odpędzając ciemność. W krąg czerwonej poświaty wkroczył przywódca tajemniczej grupy i zawołał:

- Jestem Neter, dowódca dziesięciu tysięcy. Dowodzę przyboczną gwardią faraona. Przynoszę jastrzębią pieczęć z poleceniem aresztowania i zatrzymania Tanusa, księcia Harrab.

- Na Horusa, łże jak pies! -wycharczał Kratas. -Nie jesteś przestępcą ściganym nakazami sądowymi. Obraża ciebie i cały pułk. Spuść nas na nich, a wsadzę mu tę jastrzębią pieczęć w tyłek.

- Wstrzymaj się! -pohamował go Tanus. - Wysłuchajmy go najpierw. - Ponownie podniósł głos. - Ukaż nam pieczęć, panie Neter.

Neter uniósł małą statuetkę z błyszczącego, niebieskiego fajansu w kształcie królewskiego jastrzębia. Jastrzębia

pieczęć stanowiła osobiste monarsze pełnomocnictwo. Jej właściciel działał z całym wsparciem potęgi i autorytetu samego faraona. Pod groźbą śmierci nikt nie miał prawa kwestionować jego władzy ani przeszkadzać mu w wypełnianiu królewskiej misji. Właściciel pieczęci odpowiadał jedynie przed królem.

- Ja jestem Tanus, książę Harrab - przyznał Tanus. - Uznaję władzę jastrzębiej pieczęci.

- Mój panie, mój panie - wyszeptał natarczywie Kratas. - Nie idź do króla. To oznacza pewną śmierć. Mówiłem z innymi oficerami. Pułk jest po twojej stronie, nie, cała armia jest po twojej stronie. Daj nam znak. Nim wstanie nowy dzień, uczynimy cię królem.

- Me uszy głuche są na te słowa - odparł spokojnie Tanus, a w jego głosie czaiła się groźba wymowniejsza niż warknięcie czy krzyk. - Lecz tylko ten jeden raz, Kratasie, synu Mayduma. Gdy następnym razem wspomnisz o zdradzie, własnymi rękoma wydam cię na gniew króla.

Odwrócił się od Kratasa i przyciągnął mnie nieznacznie ku sobie.

- Już za późno, stary druhu. Bogowie nieprzychylnie patrzą na nasze przedsięwzięcie. Muszę powierzyć mój los zdrowemu rozsądkowi króla. Jeżeli naprawdę jest bogiem, potrafi spojrzeć w me serce i przekonać się na własne oczy, że nie ma w nim zła.

- Dotknął mego ramienia, a ten oszczędny gest znaczył dla mnie więcej niż najgorętszy uścisk. - Idź do Lostris, opowiedz, co się stało, powiedz jej, dlaczego tak się stało.

Powiedz, że ją kocham i że, cokolwiek się zdarzy, będę jej wierny przez całe życie, to i następne. Powiedz, że będę na nią czekał, po kres wieczności, jeżeli będzie trzeba.

Potem Tanus wsunął na powrót swój miecz do umieszczonej przy boku pochwy i z pustymi dłońmi wystąpił na spotkanie okaziciela jastrzębiej pieczęci.

- Gotów jestem wykonać królewskie polecenie - oznajmił prosto.

Za jego plecami Błękitni szumieli i mruzczyli, uderzając mieczami o puklerze, lecz Tanus odwrócił się i uciszył ich gestem oraz zmarszczeniem czoła, potem ruszył na spotkanie Netera. Królewscy gwardziści skupili się wokół niego i truchtem oddalili się wzdłuż ścieżki holowniczej przy kanale, kierując się na powrót do nekropolii.

Gdy opuściłem obóz i podążyłem w dyskretnej odległości za Tanusem i jego eskortą, pozostawiłem za sobą gniewnych, rozżalonych młodych ludzi. Dotarłem do nekropolii i pospieszyłem bezpośrednio do apartamentów Lostris. Były puste, tylko trzy czarnoskóre służki, jak zwykle rozmamłane i leniwe, pakowały resztę ubrań swej pani do skrzyni z cedrowego drewna. Wzbudziło to mój najwyższy niepokój.

- Gdzie jest wasza pani? - zapytałem ostro.

Najstarsza i najbezczelniejsza z nich odpowiedziała mi wyniośle, dłubiąc w nosie:

- Tam, gdzie nie zdołasz do niej dotrzeć, eunuchu.

Pozostałe zachichotały, dumne z jej ciętej odpowiedzi.

Wszystkie zazdrosne są o przychylność, jaką obdarza mnie moja pani.

- Odpowiadaj natychmiast albo wychłosczę ci twój krnąbrny tyłek, mały łobuziaku.

Już raz tak uczyniłem, więc ustąpiła i mruknęła chmurnie:

- Zabrano ją do osobistego haremu faraona. Tam nie sięgają twoje wpływy. Chociaż nie masz jaj, strażnicy nigdy nie wpuszczą cię między królewskie kobiety.

Oczywiście miała rację, ale i tak musiałem spróbować. Moja pani potrzebowała mnie w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Jak się tego obawiałem, strażnicy przy wejściu do królewskiego haremu byli nieustępliwi. Wiedzieli, kim jestem, lecz mieli rozkazy, by nie dopuszczać do niej nikogo, nawet najbliższych członków świty Lostris.

Kosztowało mnie to złoty pierścień, lecz nawet za cenę tej rozrzutności osiągnąłem tylko obietnicę, że jeden ze strażników zanieśnie jej posłanie ode mnie. Napisałem je na skrawku papirusu, delikatnie próbując dodać jej otuchy. Nie ośmieliłem się opisywać wszystkiego, co się nam przytrafiło, nie wspomniałem też o niebezpieczeństwie, w jakim znajdował się obecnie Tanus. Nie mogłem nawet wspomnieć jego imienia, a jednak musiałem zapewnić ją o jego miłości i opiece, którą ją otacza. Inwestycja nie była warta ceny, jaką zmuszony byłem zapłacić. Dowiedziałem się później, że me złoto zostało kompletnie zmarnowane, a Lostris nigdy nie otrzymała tego listu. Czy na tym perfidnym świecie nie ma nikogo, komu można by zaufać?

Tanusa i moją panią Lostris ujrzyć miałem ponownie dopiero wieczorem ostatniego dnia święta Ozyrysa.

Uroczystości w świątyni kończyły się. Raz jeszcze zdawało się, że cała ludność Wielkich Teb wtłoczyła się na dziedzińce. Ściśnięci byliśmy tak ciasno, że w tłoku i upale z trudem mogłem oddychać.

Czułem się fatalnie, jako że przez dwie kolejne noce niewiele spałem ze zdenerwowania i napięcia. Oprócz niepewności co do losu Tanusa, dodatkowym obciążeniem był dla mnie obowiązek przygotowania ceremonii zaślubin króla z Lostris, złożony na me barki przez mego pana, księcia Intefa, obowiązek jakże przeciwny moim własnym pragnieniom. Do tego rozdzielony zostałem z moją panią, co znosiłem z niemałym trudem. Nie wiem, jak to przetrwałem. Nawet niewolni chłopcy niepokoiли się o mnie. Oznajmili, że nigdy nie widzieli mej urody równie nadwerężonej, mnie zaś samego w równie podłym nastroju.

Podczas nie mającej końca mowy tronowej faraona dwukrotnie stwierdzałem, że chwieję się na nogach bliski zemdenia. Za każdym razem zmuszałem się jednak do wytrwania, podczas gdy król wygłaszał monotonnym głosem frazesy, jakimi starał się zamaskować prawdę o stanie królestwa i ułagodzić lud.

Jak można się było spodziewać, ani razu nie wspomniał bezpośrednio o czerwonym faraonie na północy ani o wojnie domowej, w jaką byliśmy uwikłani, chyba że przy użyciu takich ogólników jak „te ciężkie czasy” czy „zdrada i rebelia”. Niemniej gdy przez chwilę posłuchałem jego

mowy, nagle stało się dla mnie jasne, że odnosił się do wszystkich problemów, które poruszył Tanus w swej recytacji, i że próbował znaleźć receptę na każdy z nich.

To prawda, że robił to w swój zwykły, nieudolny i chwiejny sposób, lecz sam fakt, iż zwrócił uwagę na to, co powiedział Tanus, podniecił mnie i skupił mą błakającą się bez celu uwagę. Przepchnąłem się przez tłum w miejsce, z którego miałem lepszy widok na tron, król zaś mówił już o zuchwalstwie niewolników i pozbawionym szacunku zachowaniu niższych klas społeczeństwa. Był to kolejny temat wspomniany przez Tanusa. Proponowane przez faraona rozwiązanie mnie rozbawiło.

- Od tej chwili właściciel może wymierzyć bezczelnemu niewolnikowi pięćdziesiąt plag bez zwracania się do sędziego o usankcjonowanie tej kary - ogłosił.

Uśmiechnąłem się, przypomniawszy sobie, jak dwanaście lat wcześniej ten sam król prawie doprowadził do upadku państwa innym obwieszczeniem o intencjach diametralnie przeciwnych od dzisiejszego. W dniu koronacji wciąż będąc idealistą, naprawdę zamierzał znieść starożytną i szacowną instytucję niewolnictwa. Pragnął wyzwolić wszystkich niewolników w Egipcie i uczynić z nich ludzi wolnych.

Nawet z perspektywy tylu lat nie potrafię zrozumieć źródeł owego szaleństwa. Choć sam jestem niewolnikiem, wierzę, że niewolnictwo i poddaństwo stanowią instytucje, na których opiera się wielkość narodów. Motłoch sam nie potrafi się rządzić. Władza winna być oddana jedynie ludziom urodzonym i wyszkolonym do jej objęcia. Wolność

to przywilej, nie prawo. Masy potrzebują silnego pana, gdyż bez kontroli i przewodnictwa królowałaby anarchia. Monarcha absolutny, niewolnictwo i poddaństwo to filary systemu, który pozwolił nam przekształcić się w ludzi cywilizowanych.

Pouczającą lekcję stanowił bunt, jaki podnieśli sami niewolnicy na wieść o tym, że ma im być wmuszona wolność. Byłem wówczas bardzo młody, ale i mnie zatrząsała perspektywa wygnania z ciepłego i bezpiecznego kąta w chłopięcych kwaterach i przerzucania gór śmieci w poszukiwaniu następnego okrucha chleba wraz z hordą innych uwolnionych niewolników. Zły pan lepszy jest niż żaden.

To szaleństwo oczywiście wtrąciło królestwo w chaos. Armia znalazła się na skraju rewolty. Gdyby czerwony faraon z północy wykorzystał tę sposobność, historia mogłaby potoczyć się odmiennym torem. Ostatecznie nasz monarcha w pośpiechu wycofał niefortunny edykt o zniesieniu niewolnictwa i zdołał utrzymać się na tronie. I oto teraz, nieco ponad dekadę później, ogłaszał zwiększenie kary dla nieposłusznych niewolników. Było to tak typowe dla tego pozbawionego talentu organizacji i niezdecydowanego faraona, że udać musiałem, iż ocieram czoło, by skryć pierwszy uśmiech, jaki odwiedził mą twarz w ciągu ostatnich dwóch dni.

- Praktyka samookaleczania w celu uniknięcia służby wojskowej będzie w przyszłości nieprzychylnie widziana - ciągnął monotennie król. - Każdy młody człowiek w wieku

poborowym ubiegający się o zwolnienie na tej podstawie ma stanąć przed trybunałem złożonym z trzech oficerów, z których przynajmniej jeden musi być oficerem wyższej rangi. - Tym razem mój uśmiech wyrażał niechętną aprobatę. Choć raz władca obrał właściwy kurs. Z rozkoszą popatrzylibym, jak Menset i Sobek pokazują swe brakujące kciuki zahartowanemu staremu weteranowi wojen rzecznych. Jakże wielkiego współczucia mogliby oczekiwać!

- Grzywna za takie wykroczenie wynosić będzie tysiąc pierścieni złota.

Na opasy brzech Setha, to dałoby tym dwóm młodym dandysom do myślenia, a mój pan, książę Intef, musiałby pokryć grzywnę w ich imieniu.

Pomimo trosk nastrój zaczął mi się odrobinę poprawiać, a monarcha obwieszczał dalej:

- Od tego dnia wykroczeniem karanym grzywną w wysokości dziesięciu złotych pierścieni staje się uprawianie przez nierządnicę swej profesji w miejscach publicznych innych niż wydzielone w tym celu przez sędziów.

Tym razem z trudem powstrzymałem się od głośnego śmiechu. Rękoma faraona Tanus uczyni purytanów i uczciwych ludzi ze wszystkich tebańczyków. Zastanawiałem się tylko, jak żeglarze i żołnierze po służbie przyjmą tę ingerencję w swe rozrywki. Okres jasności umysłu władcy nie trwał długo. Każdemu głupcowi wiadomo, że szaleństwem jest próba ograniczania środkami prawnymi kaprysów ludzkich zmysłów.

Mimo mych wątpliwości co do mądrości królewskich środków poczułem, że zaczynam drzeć z podniecenia. Jasnym było, że król uważnie wysłuchał wszystkich zarzutów, jakie Tanus przedstawił w swej mowie. Czy mógł teraz skazać go za bunt – zadumałem się.

Faraon wszakże jeszcze nie skończył.

- Zwrócono mi uwagę, że pewni urzędnicy państwowi nadużyli zaufania i wiary, jaką ich obdarzyłem. Ci urzędnicy, których zadaniem jest zbieranie podatków i zarządzanie funduszami publicznymi, wezwani zostaną do rozliczenia się z powierzonych im pieniędzy. Jeśli udowodni się defraudację i korupcję, zostaną w trybie przyspieszonym skazani na śmierć przez uduszenie.

Lud poruszył się z niedowierzaniem. Czyżby król naprawdę zamierzał wziąć w ryzyko swych poborców podatkowych?

Wtedy pojedynczy głos z głębi sali zakrzyknął:

- Faraon jest wielki! Niech żyje faraon!

Okrzyk ten został podchwycony i wkrótce cała świątynia trzęsła się od entuzjastycznego wrzasku. Dla uszu króla taka spontaniczna aprobata musiała być czymś niezwykłym. Nawet z tej odległości, jaka dzieliła mnie od tronu, mogłem zauważyć, że sprawiała mu przyjemność. Jego ponura twarz rozjaśniła się, a podwójna korona na skroniach jakby utraciła część swego ciężaru. Przekonany byłem, że wszystko to musi powiększyć szanse Tanusa na uniknięcie katowskiej pętli.

Gdy entuzjazm w końcu przycichł, król w charakterystycznym dla siebie stylu zabrał się do pomniejszania wszystkiego, co właśnie osiągnął.

- Mój zaufany wielki wezyr, szlachetny książę Intef, obejmie wyłączne i absolutne zwierzchnictwo nad tym dochodzeniem, otrzymując pełną władzę, upoważniającą go do zarządzania przeszukaniami i aresztowań, decydowania o życiu i śmierci.

Tę nominację powitało jedynie nikłe echo poprzedniej owacji, a ja skorzystałem z niego, by ukryć sardoniczny chichot. Faraon posyłał głodnego lamparta, by policzył kurczaki w kojcu. Jakąż zabawę będzie miał mój pan w królewskich skarbcach i do jakiegoż powtórnego podziału narodowego majątku dojdzie, gdy on zajmie się jego zliczaniem i wyciskaniem od poborców podatkowych ich sekretnych oszczędności.

Faraon obdarzony był rzadkim talentem do rozbijania o skały najszlachetniejszych zamiarów dzięki niezdarnemu posługiwaniu się sterem. Zastanawiałem się, jakie głupstwo zdąży jeszcze popełnić tego dnia, nim zakończy swe przemówienie, i nie musiałem długo czekać.

- Od pewnego czasu wielką troską napawało mnie bezprawie panujące w Górnym Królestwie, sprawiające, że życie i majątki uczciwych obywateli znajdują się w wielkim niebezpieczeństwie. Wydałem zalecenia, by we właściwym momencie uporać się z tym stanem rzeczy. Jednakowoż problem ten został mi ostatnio przedstawiony w najmniej odpowiedniej chwili i w tak nierozważny sposób,

że zakrawa to na bunt. Dokonano tego pod osłoną praw rządzących świętem Ozyrysa. Wolności związane z tym świętem nie obejmują wszakże zdrady ani też zbrodni bluźnierstwa, ataku na osobę i boskość króla.

Faraon zrobił znaczącą pauzę. Oczywistym było, że mówi o Tanusie, i po raz kolejny krytycznie oceniłem jego rozsądek. Silny władca nie przedstawiałby motłochowi powodujących nim motywów, nie starałby się też uzyskać aprobaty dla swych działań. Ogłosiłby po prostu wyrok i w ten sposób zamknął całą sprawę.

- Mówię oczywiście o Tanusie, księciu Harrab, który grał rolę wielkiego boga Horusa w misterium na cześć Ozyrysa. Został aresztowany za zbrodnię buntu. Moi doradcy są podzieleni w sprawie winy tej osoby. Są wśród nich tacy, którzy pragną, by poniósł za to najwyższą karę... - Ujrzałem, jak mój pan, stojący poniżej tronu, odwraca na moment wzrok, co tylko potwierdziło to, co już i tak wiedziałem. To on był przywódcą tych, którzy pragnęli stracenia Tanusa. - ...są też i tacy, którzy sądzą, iż jego mowa podczas święta prawdziwie natchniona była przez boskie siły i że to nie księżę Harrab wypowiadał się na te tematy, lecz iż słyszeliśmy prawdziwy głos boga Horusa. Gdyby to drugie było prawdą, śmiertelnik, przez którego przemówił bóg, nie ponosi żadnej winy.

Rozumowanie było właściwe, lecz jaki faraon godzien podwójnej korony raczyłby wyjaśniać je tłumowi prostych żołnierzy, żeglarzy i rolników, kupców, robotników i niewolnych, z których większość nadal jeszcze odczuwała

nieprzyjemne skutki nadmiaru wina i zabawy? Gdy wciąż nad tym rozmyślałem, król dał rozkaz stojącemu poniżej tronu oficerowi gwardii przybocznej. Poznałem w nim Netera, wysłanego z zadaniem aresztowania Tanusa. Neter odmaszerował żywo i chwilę później powrócił, wyprowadzając mego przyjaciela z sanktuarium na tyłach sali.

Serce zabiło mi szybciej na jego widok, a potem z radością i nadzieją uświadomiłem sobie, że nie był związany, na jego kostkach nie było łańcuchów. Choć nie miał broni, pozbawiony był dystynkcji i ubrany w prostą białą spódniczkę, siedł swym zwykłym elastycznym, pełnym lekkości i wdzięku krokiem. Poza gojącym się strupem na czole, w miejscu gdzie uderzył go Rasfer, nie miał chyba żadnych obrażeń. Nie bito go ani nie torturowano, więc odżył we mnie optymizm. Nie traktowano go jak skazańca.

Mgnienie oka później cała moja nadzieja rozsypała się w proch. Tanus wykonał pokłon przed tronem, lecz gdy powstał, faraon spojrzał na niego surowo i oznajmił bezlitosnym głosem:

- Tanusie, książę Harrab, oskarżony jesteś o zdradę i bunt. Uznaję cię winnym obu tych zbrodni. Skazuję cię na śmierć przez uduszenie, zwyczajową karę dla zdrajcy.

Gdy Neter założył Tanusowi na szyję pętlę z lnianego sznura, piętnując go jako skazanego na śmierć, wśród przyglądającego się temu tłumowi rozległ się jęk. Jakaś kobieta zaczęła płakać i wkrótce świątynię wypełniły rozpaczliwe lamenty i żałobne zawodzenie. Nigdy dotąd

takie sceny nie towarzyszyły wydawaniu wyroku śmierci. Nic nie mogło wyraźniej ukazać ogromu miłości, jaką lud darzył Tanusa. Rozpaczałem wraz z tłumem, łzy wyrwały się spod mych powiek i popłynęły strumieniem po twarzy, spadając na pierś niczym wodospad.

Gwardziści uderzyli na tłum, drzewcami długich włóczni usiłując zmusić zawodzących do milczenia. Ich starania spełzły na niczym, ja zaś zawołałem ponad ich głowami:

- Litości, szczodroblivy faraonie! Litości dla szlachetnego Tanusa!

Jeden z gwardzistów zdzielił mnie w skroń i padłem na wpół ogłuszony na ziemię, lecz mój okrzyk został podchwycony.

- Litości, błagamy cię, o, boski Mamose!

Nadludzkim wysiłkiem żołnierze zdołali przywrócić coś na kształt spokoju, ale parę kobiet wciąż szlochało.

Dopiero gdy monarcha ponownie podniósł głos, uciszyliśmy się, by usłyszeć jego następne obwieszczenie.

- Skazaniec uskarżał się na panujące w królestwie bezprawie.

Wezwał koronę do wygonienia band rabusiów gnębiących kraj. Skazaniec nazywany jest bohaterem, a są i tacy, którzy twierdzą, że jest wielkim wojownikiem. Jeżeli jest to prawdą, on sam bardziej niż ktokolwiek inny nadaje się do wprowadzenia środków, których się domaga.

Skonfundowani ludzie ucichli, a ja otarłem przedramieniem łzy z twarzy, wysilając się, by uchwycić następne słowa.

- Dlatego też wykonanie wyroku zostaje odroczone o dwa lata. Jeżeli skazaniec rzeczywiście natchniony był przez boga Horusa, gdy wygłaszał swoją buntowniczą mowę, bóg ten wesprze go w wykonaniu zadania, jakie mu przydzielam.

Wśród głębokiej ciszy nikt z nas nie był w stanie pojąć tego, co słyszał, choć nadzieja i rozpacz po równo wypełniały dusze.

Na królewski znak jeden z ministrów korony wystąpił naprzód i podał faraonowi tacę, na której spoczywała drobna, błękitna statuetka. Władca uniósł ją i obwieścił:

- Wydaję księciu Harrab jastrzębią pieczęć faraonów. Z pomocą tej pieczęci może gromadzić ludzi i materiały wojenne w takich ilościach, jakie uważać będzie za niezbędne dla wykonania swej misji. Może dobierać środki wedle swego uznania i nikt nie ma prawa mu przeszkadzać. Przez pełne dwa lata jest człowiekiem króla i odpowiada wyłącznie przed królem. Po upływie tego czasu, w ostatnim dniu następnego święta Ozyrysa stawia się ponownie przed tronem z pętlą śmierci na szyi. Jeżeli zawiedzie w swej misji, pętla zostanie zaciśnięta i zostanie uduszony w miejscu, gdzie teraz stoi. Jeżeli wypełni swe zadanie, wówczas ja, faraon Mamose, własnoręcznie zdejmę pętlę z jego szyi i zastąpię ją złotym łańcuchem.

W dalszym ciągu nikt z nas nie był zdolny się poruszyć ani odezwać i z fascynacją patrzyliśmy, jak monarcha czyni znak berłem i biczem.

- Tanusie, księżę Harrab, powierzam ci zadanie oczyszczenia Górnego Królestwa z band banitów i rabusiów terroryzujących ten kraj. W ciągu dwóch lat przywrócić masz porządek i pokój w Górnym Królestwie. Zawodząc mnie, uczynisz to na własne ryzyko.

Nad zgromadzeniem zerwał się ryk, dziki niczym dźwięk sztormowej fali uderzającej o skalisty brzeg. Choć inni radowali się bezmyślnie, ja rozpaczałem. Zadanie postawione przez monarchę przerastało każdego śmiertelnika. Cień śmierci nie został przegnany znad głowy Tanusa. Dobrze wiedziałem, że za dwa lata od dnia dzisiejszego umrze dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stał teraz tak młody, dumny i wysoki.

Samotna niczym porzucone bezdomne dziecko, stała wśród tłumu, mając za plecami rzekę, swe bóstwo opiekuńcze, przed sobą zaś morze twarzy.

Długa lniana koszula, która opadała jej do kostek, ufarbowana była wydzieliną mięczaków na kolor najprzedniejszego wina, znaczący ją jako dziewczyną pannę młodą. Rozpuszczone włosy opadały na ramiona miękką, ciemną falą, lśniącą w słońcu, jakby trawiona była wewnętrznym ogniem. Na te błyszczące loki nałożyła ślubny wianek spleciony z długich łodyg wodnych lilii. Kwiaty były niezmiernie błękitne, o środkach z najczystszej złota.

Jej twarz białą przypominała świeżo zmieloną pszenną mąkę. Oczy, wielkie i ciemne, boleśnie przywodziły mi na myśl małą dziewczynkę, którą w dawno minionych czasach

tak często uwalniałem z więzów koszmaru, zapalając lampę i siedząc przy niej na łóżku, dopóki ponownie nie zasnęła. Tym razem nie byłem w stanie jej pomóc, ponieważ koszmar stał się rzeczywistością.

Nie mogłem się zbliżyć, gdyż otaczali ją kapłani i gwardziści faraona, jak przez wszystkie poprzednie dni, i nie dopuściliby mnie do niej. Moja mała dziewczynka była dla mnie na zawsze stracona, a ja nie potrafiłem pogodzić się z tą myślą.

Kapłani nad brzegiem Nilu wzniesli ślubny baldachim z rzecznego sitowia i moja pani Lostris czekała pod nim na pana młodego, by zjawił się i wziął ją w posiadanie. U jej boku stał ojciec ze Złotem Chwały połyskującym na szyi i przewijającym się przez wargi uśmiechem kobry.

Królewski oblubieniec nadszedł nareszcie w rytm uroczystego warczenia bębnów i beczenia trąb z gazelich rogów, a dla mnie ten weselny marsz stanowił najsmutniejszy dźwięk świata.

Faraon niósł berło, *nemes* opasywał mu skronie, lecz pod uroczystą pozą i insygniami władzy krył się niski, stary człowiek o okrągłym brzuchu i smutnej twarzy. Nie mogłem przestać myśleć o innym panu młodym, jaki mógł stać teraz pod baldachimem z moją panią, gdyby tylko bogowie okazali się łaskawsi.

Ministrowie i wyżsi urzędnicy otaczali monarchę tak ścisłym kręgiem, że przesłonili mi moją panią. Chociaż to ja zmuszony byłem przygotować najdrobniejsze szczegóły

ślubu, nie pozwolono mi wziąć w nim udziału, więc podczas ceremonii tylko chwilami udawało mi się dostrzec Lostris.

Arcykapłan Ozyrysa wodą świeżo zaczerpniętą z Nilu obmył dłonie i stopy obojga młodych, co symbolizować miało czystość ich związku. Następnie król odłamał kawałek rytualnego pszennego placka i podarował go pannie młodej jako oznakę złożonego ślubowania. Przez moment ujrzałem twarz mej pani, gdy król wsunął jej okruch placka w usta. Nie zdołała pogryźć go ani przełknąć, stała nieruchomo, trzymając go w ustach, jakby był z kamienia.

Raz jeszcze ktoś przesłonił mi widok i dopiero gdy usłyszałem trzask pustego dzbana po weselnym winie, rozbijanego ciosem miecza przez pana młodego, pojąłem, iż ceremonia została dokonana, a Lostris na wieki znalazła się poza zasięgiem ramion Tanusa.

Tłum pod baldachimem rozstał się i faraon podprowadził swą najnowszą małżonkę na krawędź platformy, by przedstawić ją ludowi. Ten okazał swą miłość dla Lostris chóralnym okrzykiem entuzjazmu, który trwał i trwał, aż zaczęło mi dzwonić w uszach i kręcić się w głowie.

Chciałem wyrwać się z tłumu i udać na poszukiwanie Tanusa. Choć wiedziałem, że wypuszczono go z aresztu i ponownie był wolny, nie wziął udziału w obrzędzie. Był prawdopodobnie jedynym człowiekiem w Tebach, który nie przyszedł dziś nad brzeg rzeki. Zdawałem sobie sprawę, że gdziekolwiek by się znajdował, potrzebował mnie równie

rozpaczliwie jak ja jego. Wzajemnie mogliśmy udzielić sobie jedynej pociechy, jaka była nam dostępna tego tragicznego dnia. Nie umiałem się jednak zmusić do odejścia. Musiałem być świadkiem tej ceremonii aż do ostatniego, bolesnego momentu.

Wreszcie wystąpił mój pan, księżę Intef, by pożegnać córkę. Gdy wśród ludzi zapanowała cisza, objął Lostris.

W jego objęciach była sztywna niczym trup. Jej ręce zwisały bezwładnie u boków, twarz pokryła śmiertelna bladość. Ojciec uwolnił ją, lecz gdy odwrócił się do zgromadzonych, by zaofiarować swej córce rytualny podarunek, wciąż trzymał ją za rękę. Zgodnie z tradycją dar ten składany był niezależnie od posagu, który wędrował bezpośrednio do rąk pana młodego. Lecz jedynie moźni przestrzegali tego obyczaju, którego celem było zapewnienie młodej małżonce niezależnego źródła dochodu.

- Teraz, gdy opuszczasz mój dom i przestajesz znajdować się pod moją opieką, udajesz się bowiem do domu twego małżonka, wręczam ci pożegnalny podarunek, tak byś zawsze pamiętała mnie jako kochającego ojca. - Pomyślałem kwaśno, że słowa te całkowicie nie pasowały do okoliczności. Mój pan nigdy nikogo nie kochał. Wypowiadał wszakże starożytną formułę, tak jakby były to jego własne słowa. - Żądaj ode mnie każdej łaski, ukochane dziecię. W tym radosnym dniu niczego ci nie odmówię.

Zwyczajowo rozmiary daru uzgadniano między córką a ojcem przed uroczystością. W tym jednakże wypadku mój pan niedwuznacznie poinformował swoją córkę, czego ma

prawo zażądać. Poprzedniego dnia, co było dla mnie zaszczytem, przedyskutował to ze mną, zanim przekazał swą decyzję Lostris. „Nie chcę żadnej przesady, z drugiej zaś strony nie pragnę wyjść w oczach faraona na skąpca – rozważał. – Powiedzmy pięć tysięcy złotych pierścieni i pięćdziesiąt feddanów ziemi... oczywiście nie nad rzeką”.

Idąc za moimi wskazówkami, zdecydował ostatecznie, że pięć tysięcy złotych pierścieni i sto feddanów pierwszorzędnej ziemi uprawnej stanowić będzie odpowiedni dar podczas królewskich zaślubin. Zgodnie z jego poleceniem sporządziłem już dokument przekazania tytułu własności i odłożyłem złoto z sekretnego schowka, jaki mój pan posiadał poza zasięgiem poborców podatkowych.

Sprawa była postanowiona. Lostris pozostawało jedynie wygłosić swą prośbę przed małżonkiem i gośćmi weselnymi. Ona wszakże stała blada, milcząca, zamknięta w sobie, jakby nie widziała ani nie słyszała niczego, co działo się wokół niej.

– Mów, moje dziecko. Czego ode mnie pragniesz? – Książę Intef z coraz większym wysiłkiem zachowywał ojcowski ton. Szarpnął córkę za ramię, starając się wyrwać ją z odrętwienia. – Dalej, powiedz swemu ojcu, co może uczynić, by dopełnić radość dzisiejszego dnia?

Moja pani poruszyła się, jakby przebudzona z przerażającego snu. Rozejrzała się, łzy stanęły jej w oczach, grożąc potoczeniem się spod drżących powiek. Otworzyła usta, by przemówić, lecz dobyła z gardła jedynie

słaby, cichy krzyk zranionego ptaka. Ponownie zacisnęła wargi i w milczeniu pokręciła głową.

- Dalej, dziecko. Odezwij się - mój pan, książę Intef, miał coraz większe trudności z utrzymaniem wyrazu ojcowskiego cierpienia na twarzy. - Nazwij swój dar weselny, a otrzymasz go, czegokolwiek byś zapragnęła.

Wysiłek, do jakiego zmusiła się Lostris, wyraźny był nawet dla mnie, choć stałem tak daleko od niej, lecz gdy tym razem otworzyła usta, jej prośba rozległa się ponad naszymi głowami czysto niczym muzyka liry. W tłumie nie było nikogo, kto nie usłyszałby każdego jej słowa.

- Jako prezent daj mi twego niewolnika Taite!

Mój pan, książę Intef, cofnął się o krok, zupełnie jakby wepchnęła mu sztylet w brzuch. Spojrzał na nią z przerażeniem, bez słów rozwierając i zamykając wargi. Jedynie on i ja znaleźliśmy wartość daru, jakiego zażądała. Nawet on, mimo olbrzymich zasobów i bogactwa, jakie nagromadził przez całe życie, nie mógł pozwolić sobie na zapłacenie takiej ceny.

Doszedł do siebie szybko. Ponownie przybrał spokojny i dobroduszny wyraz twarzy, choć układ jego warg znamionował wewnętrzne napięcie.

- Zbyt skromne masz wymagania, kochana córko. Pojedynczy niewolnik to dar niegodny oblubienicy faraona. Takie skąpstwo obce jest mojej naturze. Wolałbym raczej, byś przyjęła prawdziwie wartościowy dar, pięć tysięcy złotych pierścieni oraz...

- Ojczy, zawsze byłeś aż zbyt hojny wobec mnie, lecz ja pragnę jedynie Taity.

Mój pan uśmiechnął się lodowato, błysnęły białe zęby, zbielały wygięte w wyrazie wściekłości wargi. Gdy tak wpatrywał się w Lostris, bez trudu dostrzegłem, że jego umysł pracuje na przyspieszonych obrotach.

Byłem najcenniejszą z posiadanych przez niego rzeczy. Na pełną wartość mej osoby w jego oczach składał się nie tylko szeroki zakres mych niezwykłych talentów. Więcej, w grę wchodziła również moja szczegółowa znajomość najbardziej powikłanych nitek w skomplikowanej tkaninie jego przedsięwzięć. Znałem wszystkich informatorów i szpiegów w jego sieci wywiadowczej, wszystkich przekupionych przez niego ludzi i wszystkich, którzy jego przekupili. Wiedziałem, komu należała się jeszcze szczególna przychylność, kto winien mu był przysługę, i jakie urazy oczekiwały wciąż na właściwą zapłatę.

Znałem wszystkich jego wrogów, a była to długa lista; znałem też tych, których zaliczał do swych przyjaciół i sprzymierzeńców, ta lista zaś była znacznie krótsza. Znałem miejsce ukrycia każdej sztabki złota z jego kolosalnego majątku, wiedziałem, kim byli jego bankierzy, agenci i nominaci, a także w jaki sposób w prawnym labiryncie umów, tytułów posiadania i serwitutów ukrył fakt posiadania rozległych połaci ziemi oraz składów cennych metali i szlachetnych kamieni. Wszystkie te informacje uradowałyby poborców podatkowych i zmusiłyby faraona do zrewidowania opinii o swym wielkim wezyrze.

Wątpiłem, by ksiązę Intef potrafił sam spamiętać i odszukać całe swe bogactwo bez mej pomocy. Beze mnie nie był w stanie sprawnie zarządzać swym bezgranicznym mrocznym imperium i sprawować nad nim nadzoru, jako że stał na uboczu i nie angażował się osobiście w co bardziej przykre strony gospodarzenia nim. Zwykle wolał wysyłać mnie, bym zajął się tymi szczegółami, które, wyciągnięte na jaw, mogłyby go obciążyć.

Tak oto znałem tysiąc mrocznych tajemnic, wiedziałem o tysiącu okropnych czynów, o defraudacjach i wymuszeniach, o grabieżach i krwawych mordach, a wszystko to zebrane razem mogło zniszczyć człowieka nawet tak potężnego jak wielki wezyr.

Byłem niezastąpiony. Nie mógł pozwolić mi odejść. A jednak w obecności faraona i całej ludności Teb nie mógł też odmówić Lostris spełnienia jej prośby.

Mój pan, ksiązę Intef, to człowiek pełen gniewu i nienawiści. Widziałem go w napadach takiego szału, że sam Seth, bóg złości, musiał zerwać się na równe nogi i zwrócić na niego uwagę. Lecz nic nie dorównywało jego obecnej furii wywołanej tym, że własna córka wpędziła go w sytuację bez wyjścia.

- Niech wystąpi niewolnik Taita - zawołał, a ja pojąłem, że to podstęp z jego strony, mający na celu zyskanie chwili oddechu.

Przepchnąłem się tak szybko, jak tylko potrafiłem, do podnóża weselnej platformy, by dać mu jak najmniej czasu na zaplanowanie kolejnego świństwa.

- Tu jestem, mój panie! - krzyknąłem, on zaś spojrział na mnie z góry swymi oczyma zabójcy.

Byliśmy ze sobą tak długo, że mógł przemawiać do mnie spojrzeniem prawie równie wyraźnie jak wypowiedzianym słowem. Patrzył na mnie w milczeniu, dopóki me serce nie rozszalało się dzikim łomotem, a palców nie ogarnęło powodowane strachem drżenie. Wtedy odezwał się wreszcie łagodnym, niemalże czułym głosem:

- Taito, służysz mi od dziecka. Przywykłem traktować cię jak brata raczej niż jak niewolnika. Słyszałeś prośbę mej córki. Jestem z natury człowiekiem uczciwym i łagodnym. Po wszystkich tych latach nieludzkim czynem z mej strony byłoby odprawić cię wbrew twojej woli. Wiem, że rzeczą niezwykłą jest umożliwienie niewolnikowi wpłynięcia na decyzję dotyczącą jego losu, lecz i twoja sytuacja jest doprawdy niezwykła. Wybieraj, Taito. Jeżeli pragniesz pozostać w swym domu, jedynym domu, jaki znałeś, nie umiałbym cię odesłać, nawet na prośbę mej własnej córki.

Ani na moment nie spuszczał ze mnie oczu, tych przerażających, żółtych oczu. Nie jestem tchórzem, dbam jednak o swoje bezpieczeństwo. Pojąłem, że zaglądam śmierci w oczy, i nie byłem w stanie dobyć głosu.

Oderwałem od niego wzrok i spojrzałem ku mej pani Lostris. Z jej całej postaci biło takie błaganie, taka samotność i przerażenie, że moje bezpieczeństwo nic przy tym nie znaczyło. Nie mogłem jej teraz opuścić, za żadną cenę ani pod żadną groźbą.

- Jakże biedny niewolnik może sprzeciwić się życzeniu małżonki faraona! Gotów jestem wypełniać polecenia mej nowej pani! - zakrzyknąłem, zdzierając sobie płuca,

i miałem jedynie nadzieję, że mój głos brzmiał po męsku i nie dźwięczał tak piskliwie, jak odebrały go moje uszy.

- Pójdź, niewolniku! - rozkazała moja nowa pani. - Zajmij swe miejsce za mną.

Gdy wspiałem się na podwyższenie, zmuszony byłem przejść obok księcia Intefa. Jego blade, sztywne wargi ledwie się poruszyły, gdy wypowiedział słowa przeznaczone jedynie dla moich uszu:

- Żegnaj, mój kochany. Jesteś już martwy.

Zadrzałem, jakby jadowita kobra prześlizgnęła się przez ścieżkę, którą szedłem, i pospiesznie zająłem swe miejsce w świetle Lostris, tak jakbym naprawdę wierzył, że znajdę bezpieczeństwo pod jej ochroną.

Przez resztę ceremonii pozostawałem blisko Lostris i osobiście usługiwałem jej podczas uczyty ślubnej, stałem przy jej łokciu i próbowałem zmusić ją do przełknięcia odrobiny mięsa i innych rozstawionych na stole delikatnych specjałów. Wyglądała tak blado i niezdrowo, że pewien byłem, iż nie jadła niczego przez ostatnie dwa dni, od chwili swych zaręczyn i skazania Tanusa.

W końcu udało mi się wmusić w nią nieco zmieszanego z wodą wina, lecz na tym się skończyło. Faraon dostrzegł, że pije, i pomyślał, że wznosi do niego toast. Uniósł więc swój złoty kielich i uśmiechnął się znad jego brzegu, odwzajemniając gest, a goście weselni z zachwytem pozdrowili młodą parę pełnymi entuzjazmu okrzykami.

- Taito - wyszeptała do mnie, gdy tylko uwagę króla przyciągnął siedzący po drugiej jego ręce wielki wezyr. -

Obawiam się, że będę wymiotować. Nie mogę zostać tu ani chwili dłużej. Proszę, zabierz mnie z powrotem do mojej komnaty.

Była to rzecz niesłychana i wielka zuchwałość, toteż gdybym nie cieszył się opinią wyśmienitego chirurga, nigdy by mi się to nie udało. Zdołałem jednak przeczołgać się na kolanach do boku króla i szepnąć mu parę słów bez wywoływania niestosownych uwag ze strony gości weselnych, z których większość była już w owej chwili tego zaprawiona winem.

Gdy z czasem poznałem go bliżej, przekonałem się, że faraon był człowiekiem znacznej życzliwości, a pierwszy tego dowód dał właśnie wtedy. Wysłuchał moich wyjaśnień, potem zaklaskał w dłonie i zwrócił się do gości.

- Moja oblubienica uda się teraz do swojej komnaty, by przygotować się na nadchodzącą noc - powiedział im, oni zaś wymienili porozumiewawcze spojrzenia i powitali jego słowa lubieżnymi komentarzami i przesyconym pożądlivością aplauzem.

Pomogłem mojej pani wstać, lecz Lostris zdołała bez mojego wsparcia wykonać ukłon przed królem i opuścić salę bankietową. W swojej sypialni zwymiotowała wypite wino do misy, którą jej podstawiłem, potem zaś opadła na łóżko. Wino było wszystkim, co zawierał jej żołądek. Potwierdziło się więc moje podejrzenie, że rozmyślnie się głodziła.

- Nie chcę żyć bez Tanusa.

Głos brzmiał słabo, lecz znałem ją wystarczająco dobrze, by zorientować się, że jej wola była równie silna jak zawsze.

- Tanus żyje - spróbowałem ją pocieszyć. - Jest mocny, młody i przeżyje następne pięćdziesiąt lat. On cię kocha i przyrzeka, że będzie na ciebie czekał do końca czasu. Król to stary człowiek, nie będzie żyć wiecznie...

Usiadła na futrzanej narzucie, w jej głosie zadźwięczała twardość i zdecydowanie:

- Jestem kobietą Tanusa, nie posiadzie mnie żaden inny mężczyzna. Raczej umrę.

- Wszystkich nas to czeka, pani.

Gdybym tylko zdołał rozproszyć jej uwagę przez pierwsze kilka dni małżeństwa, pewien byłem, że uda mi się ją przez to przeprowadzić bez większych komplikacji. Lecz ona aż za dobrze przejrzała me zamiary.

- Wiem, co knujesz, ale twoje piękne słówka na nic się nie zdadzą. Zamierzam się zabić. Rozkazuję ci przygotować dla mnie zatruty napój.

- Pani, nie mam wprawy w sztuce trucicielstwa.

Ta próba z góry skazana była na porażkę i Lostris pojęła to bez wysiłku.

- Wielekroć widziałam, jak podawałeś truciznę cierpiącemu zwierzęciu. Czy nie pamiętasz twego starego psa, tego z wrzodami w uszach, i twojej ulubionej gazeli poszarpanej przez lamparta? Powiedziałeś mi, że trucizna jest bezbolesna, że działa tak, jakby się zasypiało. No więc, chcę zasnąć, zostać zabalsamowana i odejść na tamten świat, by tam czekać na Tanusa.

Spróbowałem innej metody perswazji:

- A co stanie się ze mną, pani? Dopiero co wzięłaś mnie w posiadanie. Jak możesz mnie porzucić? Zmiłuj się nade mną.

Dostrzegłem jej wahanie i myślałem, że jąłapałem, lecz Lostris wyzywająco zadarła brodę.

- Nic ci się nie stanie, Taito. W żadnym wypadku nic ci się nie stanie. Mój ojciec z radością odzyska cię po mojej śmierci.

- Proszę, maleńka - w ostatniej próbie udobruchania jej użyłem czulej nazwy z czasów dzieciństwa - pomówmy o tym rano. W świetle słońca wszystko wyglądać będzie inaczej.

- Nic się nie zmieni - zaprzeczyła. - Będę oddzielona od Tanusa, a ten pomarszczony starzec będzie chciał zawlec mnie do łóżka, by wyprawiać ze mną ohydne rzeczy - podniosła głos tak, że inni mieszkańcy królewskiego haremu byli w stanie usłyszeć każde słowo.

Na szczęście większość wciąż jeszcze była na uczcie weselnej, lecz zadygotałem na samą myśl o tym, że ten opis mógłby zostać powtórzony faraonowi.

Jej głos nabrał piskliwych tonów, wkradła się do niego nutka hysterii.

- Natychmiast zmieszaj dla mnie zatruty napój, w tej chwili, na moich oczach. Rozkazuję ci to uczynić. Nie waż mi się sprzeciwić!

Rozkaz ten wykrzyczała tak głośno, że musieli go usłyszeć nawet strażnicy przy zewnętrznych wrotach, nie odważyłem

się więc dłużej z nią dyskutować.

- Jak sobie życzysz, moja pani. Zrobię to. Muszę przynieść skrzynię z medykamentami z moich komnat.

Kiedy wróciłem ze skrzynką pod pachą, Lostris wstała już z łóżka i krążyła po pokoju z oczyma lśnącymi w bladej, naznaczonej rozpaczą twarzy.

- Patrzę ci na rękę. Nie próbuj teraz ze mną żadnych swoich sztuczek - ostrzegła, podczas gdy przygotowywałem miksturę ze szkarłatnej szklanej butelki.

Dobrze wiedziała, że ten kolor uprzedzał o śmiertelnej zawartości.

Kiedy podałem jej czarękę, nie okazała strachu i zawahała się jedynie po to, by ucałować mnie w policzek.

- Byłeś dla mnie ojcem i kochającym bratem. Dziękuję ci za tę ostatnią przysługę. Kocham cię, Taito, i będzie mi cię brakowało.

Uniosła czarękę w obu dłoniach, zupełnie jakby zawierała biesiadne wino, nie zaś zabójczą truciznę.

- Tanusie, mój ukochany - wzniosła toast - nigdy mnie tobie nie zabiorą. Spotkamy się ponownie po drugiej stronie!

Opróżniła czarękę jednym haustem, potem upuściła ją, roztrzaskując o podłogę. W końcu z westchnieniem opadła z powrotem na łóżko.

- Chodź, usiądź przy mnie. Boję się umierać w samotności.

Mikstura, wypita na pusty żołądek, zadziałała błyskawicznie.

Lostris zdążyła jedynie odwrócić głowę ku mnie i wyszeptać:

- Powtórz Tanusowi raz jeszcze, jak bardzo go kochałam. Po same wrota śmierci i poza nie.

Potem oczy zamknęły się i znieruchomiała.

Leżała tak sztywna i blada, że przez moment naprawdę się przeraziłem, że źle oceniłem moc czerwonego shepennu, jakim zastąpiłem zabójczy wywar ze strąków bielunia. Dopiero gdy przytknąłem do jej ust ręczne lustro z brązu, jego zamglona powierzchnia upewniła mnie, że Lostris nadal oddycha. Przykryłem ją delikatnie, próbując przekonać samego siebie, że rankiem pogodzi się z tym, iż nadal żyje, i że wybaczy mi to, co uczyniłem.

W tejże chwili rozległo się władcze pukanie do drzwi zewnętrznej komnaty i rozpoznałem głos Atona, królewskiego szambelana, żądającego, by go wpuścić. On też był eunuchem, jeszcze jednym członkiem szczególnego braterstwa kastratów, więc mogłem uważać go za przyjaciela. Pospieszyłem przez komnaty, by go powitać.

- Przybywam, żeby zaprowadzić twoją panią na uciechę królowi, Taito - powiedział wysokim, dziewczęcym głosem, jakże absurdalnym w zestawieniu z jego masywną postacią. Wykastrowano go przed osiągnięciem dojrzałości.

- Jest już gotowa?

- Zdarzył się mały wypadek - wytłumaczyłem i powiodłem go do Lostris, by mógł sam się przekonać.

Gdy zobaczył, w jakim jest stanie, zmieszany wydał uróżowione policzki.

- Co mam powiedzieć faraonowi? - zawołał. - Każe mnie obić. Nie zrobię tego. Ty jesteś odpowiedzialny za tę kobietę. Sam musisz przekazać tę wiadomość królowi i ponieść konsekwencje jego gniewu.

Nie zachwycała mnie konieczność spełnienia tego obowiązku, lecz rozpacz Atona nie była udawana, a ja mogłem przynajmniej liczyć na moją lekarską renomę jako częściową choćby ochronę przed efektami pokrzyżowania królewskich planów. Niechętnie zgodziłem się towarzyszyć mu w drodze do królewskiej sypialni. Zanim zostawiłem moją panią, upewniłem się wszakże, że jedna ze starszych i bardziej godnych zaufania niewolnic czuwać będzie w przedpokoju jej apartamentów.

Faraon zdjął już koronę i perukę. Miał ogoloną głowę, białą niczym strusie jajo. Rezultat tej przemiany zaskoczył nawet mnie i mogłem tylko przypuszczać, jak zareagowałaby na ten widok moja pani. Wątpię, by podniosłoby to jej zapał lub zmieniło opinię o małżonku.

Król był równie zaskoczony, ujrawszy mnie, jak ja na jego widok. Patrzyliśmy na siebie przez moment, a potem padłem na kolana w pokłonie.

- Cóż to ma znaczyć, niewolniku Taito? Posyłałem po kogoś innego...

- Miłościwy faraonie, w imieniu pani przybywam, by błagać cię o zrozumienie i pobłażliwość.

Roztoczyłem przed nim żalosny opis stanu Lostris, naszpikowując go mętnymi terminami medycznymi i wyjaśnieniami, mającymi na celu zaspokojenie

królewskiego apetytu. Aton stał obok mnie i kiwał głową, wymownie potwierdzając wszystko, co miałem do powiedzenia.

Przekonany jestem, że nie odniosłoby to żadnego skutku w przypadku młodszego i zwawszego oblubieńca, płonącego z ochoty, by wziąć się do dzieła, lecz Mamose był starym bykiem. Niemożliwością byłoby zliczenie wszystkich urodziwych kobiet, które skorzystały z jego usług przez ostatnie trzydzieści kilka lat. Ustawione w pojedynczym rzędzie bez wątpienia opasałyby stubramne miasto Teby, możliwe że więcej niż jednokrotnie.

- Wasza Wysokość-Aton przerwał wreszcie me wyjaśnienia - za twoim przyzwoleniem przyprowadzę ci inną towarzyszkę na noc. Może ową małą Hurytkę o nadzwyczajnych umiejętnościach...

- Nie, nie - zbył go król. - Będzie na to mnóstwo czasu, gdy to dziecko otrząśnie się ze swej dolegliwości. Opuść nas teraz, szambelanie. Jest jeszcze jedna sprawa, którą pragnę przedyskutować z lekarzem... to znaczy z tym niewolnikiem.

Gdy tylko zostaliśmy sami, król zadarł koszulę i pokazał swój brzuch.

- Co mogło być tego przyczyną, lekarzu?

Uważnie zbadałem wysypkę przyozdabiającą jego wydatny brzuszek i stwierdziłem, że jest to zakażenie pospolitym liszajem. Niektóre królewskie kobiety myją się rzadziej, niż to pożądane w naszym gorącym klimacie. Król prawdopodobnie złapał zakażenie od jednej z nich.

- Czy to niebezpieczne? Potrafisz to wyleczyć, lekarzu?

Strach czyni z nas wszystkich pospólstwo. Zdawał się teraz na mnie tak, jak uczyniłby to każdy inny pacjent.

Za jego zgodą udałem się do moich apartamentów, by zabrać skrzynkę z lekarstwami, a gdy powróciłem, poleciłem, by położył się na ozdobnym, pokrytym inkrustacją ze złota i kości słoniowej łożu, następnie zaś wmasowałem maść w rozjątrzony, zaczerwieniony krążek skóry na jego brzuchu. Zapewniłem go, że sam sporządziłem tę maść i powinna wyleczyć wysypkę w ciągu trzech dni.

- W znacznej mierze ty odpowiadasz za to, że poślubiłem to dziecko, będące twoją nową panią - powiedział mi, gdy pracowałem nad nim. - Twoja maść wyleczy wysypkę, lecz czy twoja kuracja zapewni mi syna? - zapytał z naciskiem. - Czasy są burzliwe. Muszę mieć dziedzica, zanim będę o rok starszy. Dynastia jest zagrożona.

My, lekarze, niechętnie gwarantujemy skuteczność naszych mikstur, lecz podobnie czynią przecież prawnicy i astrologowie. Podczas gdy zwlekałem z odpowiedzią, sam ukazał mi drogę ucieczki, jakiej poszukiwałem.

- Nie jestem już młodzieniaszkiem, Taito. Jesteś lekarzem i mogę ci to powiedzieć. Mój oręż był w wielu zaciekłych bitwach. Jego brzeszczot nie jest już tak ostry jak niegdyś. Ostatnimi czasy zawodził mnie w największych potrzebach. Masz może w tym swoim pudle coś, co usztywniłoby więdnącą łodygę lilii?

- Faraonie, cieszę się, że postanowiłeś omówić to ze mną. Czasami bogowie działają tajemniczymi sposobami... - Obaj wykonaliśmy znaki przeganiające zło, dopiero potem mogłem mówić dalej. - Twoje pierwsze zbliżenie z mą dziewiczą panią musi być doskonałe. Każda chwila słabości, zejście z prostego traktu, nieudana próba wzniesienia ku niebu królewskiego berła twej męskości pokrzyżuje nasze wysiłki. Będzie tylko jedna okazja, pierwsze połączenie musi zakończyć się powodzeniem. Jeżeli będziemy zmuszeni do ponowienia próby, zaistnieje groźba, iż spłodzisz kolejnego potomka płci żeńskiej.

Naukowe podstawy tej prognozy były raczej nikłe. Niemniej jednak, zachmurzyliśmy się obaj, ale to on z nas dwóch przybrał bardziej ponurą minę.

Uniosłem palec wskazujący.

- Gdybyśmy podjęli próbę tej nocy i... - Nie powiedziałem nic więcej, jedynie zgiąłem sugestywnie palec i potrząsnąłem głową. - Nie, mamy szczęście, że bogowie dali nam jeszcze jedną szansę.

- Co należy nam uczynić? - zapytał niespokojnie, a ja zamilkłem na długą chwilę, klęcząc przy jego łożu w głębokim zamyśleniu.

Z trudem skryłem uczucie ulgi i zadowolenia. Pierwszego dnia małżeństwa mej pani zacząłem wypracowywać sobie wpływową pozycję u boku króla, zaoferowano mi też idealną wymówkę dla zachowania jej dziewictwa przynajmniej przez jakiś czas, czas być może wystarczający do tego, bym zdążył przygotować ją na brutalny szok

pierwszego aktu prokreacji z mężczyzną, którego nie kochała i do którego, prawdę mówiąc, czuła fizyczną odrazę. Powiedziałem sobie, że jeśli będę zręcznie czuwał nad rozwojem sytuacji, być może uda mi się rozciągnąć ten okres łaski w nieskończoność.

- Zaiste, Wasza Wysokość, potrafię ci pomóc, lecz zajmie to nieco czasu. Nie będzie to rzeczą równie łatwą jak wyleczenie wysypki. - Mój umysł pracował na przyspieszonych obrotach. Powiniennem wycisnąć każdą kroplę z tej gąbki. - Będziemy musieli zastosować bardzo surową dietę.

- Tylko nie bycze jaja, zaklinam cię, lekarzu.

- Sądzę, iż spożyłeś wystarczającą ich ilość. Będziemy jednak musieli rozgrzać twą krew i osłodzić twórcze płyny przed rozstrzygającą próbą. Kozie mleko, ciepłe kozie mleko, miód trzy razy dziennie i oczywiście specjalne mikstury, jakie przygotuję dla ciebie z rogu nosorożca oraz korzenia mandragory.

- Jesteś pewien, że to zadziała? - zapytał z ulgą w głosie.

- Nigdy dotąd nie zawiodło, lecz niezbędny jest jeszcze jeden środek.

- A mianowicie? - Jego ulga wyparowała bez śladu, usiadł na łożu, spoglądając na mnie z niepokojem.

- Kompletna wstrzemięźliwość. Musimy pozwolić królewskiemu członkowi odpocząć i raz jeszcze odzyskać pełną moc i siłę. Musisz na pewien czas wyrzec się swego haremu oraz wszelkich jego rozkoszy.

Wypowiedziałem to stanowczym tonem lekarza, któremu nie wolno się sprzeciwić, jako że był to jedyny skuteczny sposób na upewnienie się, że moja pani, Lostris, pozostanie nietknięta. Obawiałem się jednak reakcji faraona. Nie było wykluczone, że zakaz małżeńskich przyjemności doprowadzi go do szału. Mógł mnie odtrącić, a wtedy utraciłbym całą przewagę, jaką dopiero co osiągnąłem. Lecz musiałem podjąć to ryzyko dla dobra mej pani. Musiałem ochraniać ją tak długo, jak byłem w stanie.

Królewska reakcja mnie zaskoczyła. Monarcha po prostu oparł z powrotem głowę o zagłówek i uśmiechnął się błogo do siebie.

- Na jak długo? - zapytał, a mnie poraziła nagła świadomość tego, że te ostre środki przyjął z nieskrywaną ulgą.

Dla mnie, dla którego akt miłosny z piękną kobietą na wieki pozostanie nieosiągalnym, nieuchwytnym marzeniem, wielkiego wysiłku wymagało zrozumienie faktu, że faraon cieszył się, iż zwolniłem go z tego niegdyś przyjemnego obowiązku, który przez tak częste wykonywanie stał się uciążliwy.

W owym czasie w jego haremie przebywać musiało przynajmniej trzysta żon i konkubin, a niektóre kobiety azjatyckiego pochodzenia okryte były sławą ze względu na swe nienasycone apetyty. Próbowałem wyobrazić sobie, jakiego wysiłku wymagało odgrywanie roli boga noc po nocy i rok po roku. Mnie taka perspektywa nie zrażała w stopniu, w jakim rzeczywistość zdawała się znużyć króla.

- Dziewięćdziesiąt dni - zawyrokowałem.
- Dziewięćdziesiąt dni - powtórzył z namysłem. -
Dziewięć egipskich tygodni po dziesięć dni każdy?

- Co najmniej - przyznałem pewnie.

- Bardzo dobrze - skinął bez żalu głową i zmienił temat. -
Mój szambelan twierdzi, że oprócz twych medycznych
uzdolnień posiadasz także jeden z trzech najwybitniejszych
talentów astrologicznych w Egipcie?

Zdziwiło mnie, dlaczego mój przyjaciel szambelan
obwarował to stwierdzenie takim zastrzeżeniem. Za
wszelkie skarby świata nie potrafiłbym dociec, kim były
pozostałe dwa, lecz skinąłem tylko skromnie głową.

- Szambelan schlebia mi, Wasza Wysokość, lecz być może
zaiste posiadam pewną znajomość ciał niebieskich.

- Przedstaw mi mój horoskop - rozkazał, siadając
ochoczo.

- Teraz? - zdziwiłem się.

- Teraz! - zażądał. - Czemu nie? Skoro zgodnie z twoimi
zaleceniami niczego innego nie powinienem robić.

Jego nieoczekiwany uśmiech był całkiem ujmujący i mimo
zamiarów, jakie żywił w stosunku do Tanusa i mojej pani,
stwierdziłem, że zaczynam go lubić.

- Będę musiał sprowadzić kilka moich zwojów
z pałacowej biblioteki.

- Mamy na to całą noc - zauważył. - Sprowadź wszystko,
czego ci potrzeba.

Dokładna data i czas narodzin króla były dobrze
udokumentowane, a me zwoje zawierały wszystkie

obserwacje ruchów ciał niebieskich wykonane przez pięćdziesiąt pokoleń astrologów przede mną. Pod zachłannym spojrzeniem króla sporządziłem pierwszy monarszy horoskop i zanim ukończyłem połowę pracy, gwiazdy dokładnie potwierdziły moją wizję charakteru tego człowieka. Wielka, wędrowna czerwona gwiazda, znana nam pod nazwą Oka Setha, określała jego przeznaczenie. Była to gwiazda konfliktu i niepewności, zamieszania i wojny, smutku i nieszczęścia, w końcu zaś gwałtownej śmierci.

Tylko jak miałem mu to wszystko powiedzieć?

Z głowy wysnułem i skleciłem w całość lekko zawołowane podsumowanie dobrze udokumentowanych faktów z jego życia, ubarwiwszy je kilkoma gorzej opisanymi szczegółami, jakie zgromadziłem od moich szpiegów, z których jednym był królewski szambelan. Dalej przedstawiłem zwyczajowe zapewnienia dobrego zdrowia i długiego życia, jakie każdy pragnie usłyszeć.

Król był pod wrażeniem.

- Posiadasz wszystkie te umiejętności, jakich należało się spodziewać na podstawie reputacji, którą się cieszysz.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. Sprawia mi przyjemność, że mogłem się czymś przysłużyć.

Zacząłem zbierać zwoje i przybory do pisania, przygotowując się do odejścia. Zrobiło się bardzo późno. Z ciemności za pałacowymi murami dobiegło mnie już pianie pierwszego kura.

- Czekaj, Taito! Nie pozwoliłem ci się oddalić. Nie powiedziałeś mi tego, co naprawdę chcę wiedzieć. Czy będę miał syna i czy przetrwa moja dynastia?

- Niestety, faraonie, tych spraw nie da się wyczytać z gwiazd. One ukazują jedynie ogólne tendencje rządzące twym losem, ogólny kierunek, w jakim potoczy się twoje życie, nie wyjaśniając takich szczegółów.

- Ach tak - przerwał mi - lecz istnieją i inne sposoby zaglądania w przyszłość, czyż nie tak?

Zaniepokoiłem się, widząc, w jaką stronę zmierzały jego pytania, spróbowałem więc przeciąć im drogę, lecz on wykazywał w tej sprawie niezwykle zdecydowanie.

- Interesujesz mnie, Taito, zasięgnąłem więc wieści o tobie. Jesteś biegły w posługiwaniu się Labiryntami Amona-Re.

Strapiłem się. Skąd się o tym dowiedział? Niewielu było świadomych mego talentu w tej kwestii i pragnąłem, by tak pozostało. Nie mogłem jednak otwarcie zaprzeczyć, zachowałem więc milczenie.

- Zauważyłem Labirynty ukryte na dnie twojej skrzynki z lekarstwami - powiedział, a ja ucieszyłem się, że nie próbowałem wyprzeć się tego daru i nie zostałem przyłapany na kłamstwie. Wzruszyłem z rezygnacją ramionami, gdyż wiedziałem, co mnie czeka. - Użyj Labiryntów dla mnie i powiedz mi, czy będę miał dziedzica i czy moja dynastia przetrwa - polecił.

Horoskop to jedna rzecz - wymaga jedynie znajomości układu gwiazd i ich właściwości. Trochę cierpliwości

i poprawna procedura zaowocuje uzyskaniem w miarę dokładnej przepowiedni. Wrózenie z Labiryntów Amona-Re to zupełnie odmienna sprawa. Wymaga zużytkowania sił życiowych, wypalenia czegoś ukrytego głęboko w duszy jasnowidza, co sprawia, że staje się potem wyniszczony i wyjałowiony.

Obecnie gotów jestem posunąć się daleko, byle uniknąć używania tego daru. To prawda, że w rzadkich wypadkach nadal daję się przekonać do korzystania z Labiryntów, lecz jeszcze wiele dni później jestem duchowo i fizycznie wyczerpany. Moja pani Lostris, która wie o tej mojej dziwnej mocy, wie także, jaki wpływ ma na mnie jej użycie, zabroniła mi więc dla mojego własnego dobra stosowania tego środka, chyba że w szczególnych przypadkach i tylko na jej potrzeby.

Niewolnik nie może wszakże odmówić królowi, westchnąwszy więc sięgnąłem po leżącą na dnie skrzyni skórzaną torbę, zawierającą Labirynty. Odstawiłem ją na bok i przygotowałem mieszaninę ziół konieczną do otwarcia oczu duszy, tak by mogły spojrzeć w przyszłość. Wypiłem miksturę, a potem czekałem, dopóki nie ogarnęło mnie znajome, lecz przerażające uczucie wznoszenia się poza swoje ciało. Czułem się jak pogrążony we śnie, oderwany od rzeczywistości, przyciągnąłem więc skórzaną torbę kryjącą Labirynty.

Labirynty Amona-Re składają się z dziesięciu krążków z kości słoniowej. Dziesięć to mistyczna liczba o największej mocy. Każdy krążek reprezentuje odrębny element ludzkiej

egzystencji, od narodzin po śmierć i życie pozagrobowe. Własnoręcznie wyciąłem te symbole na powierzchni każdego Labiryntu. Wszystkie były miniaturowymi dziełami sztuki. Przez ciągłe dotykanie i owiewanie ich oddechem, co zajęło mi wiele lat, obdarzyłem je częścią mej siły życiowej.

Wysypałem je z worka i zacząłem gładzić, koncentrując na nich całą moją moc. Wkrótce poczęły się nagrzewać pod wpływem dotyku niczym żywe ciało i odczułem znajome wrażenie utraty energii, gdy moja siła przepływała ze mnie na te krążki z kości słoniowej. Ułożyłem Labirynty wierzchem w dół w dwa przypadkowe stosy i poprosiłem faraona, by po kolei podniósł każdą kupkę, potarł ją między palcami i skupił na niej całą swoją uwagę, jednocześnie powtarzając na głos pytania: „Czy będę miał syna? Czy przetrwa moja dynastia?”.

Odprężyłem się całkowicie i otworzyłem duszę, wpuszczając do niej duchy wyroczni. Głos monarchy począł przenikać do wnętrza mego jestestwa, głębiej i głębiej z każdym powtórzeniem, niczym pociski z procy uderzające w to samo miejsce.

Zacząłem powoli kołysać się jak kobra tańcząca do muzyki fletu zaklinacza. Narkotyk osiągnął już pełnię swego działania. Czułem się tak, jakby me ciało było nieważkie i unosiło się w powietrzu. Mówiłem niby z wielkiej odległości, a głos odbijał mi się niesamowitym echem w głowie, zupełnie jakbym siedział w jaskini pod powierzchnią ziemi.

Poleciłem królowi chuchnąć na oba stosy, a potem rozdzielić je na pół, odłożyć na bok jedną część i zatrzymać drugą. Raz za razem kazałem mu rozkładać obie kupki i mieszać to, co zachowywał w dłoniach, dopóki nie pozostały mu jedynie dwa podobne monetom Labirynty.

Po raz ostatni chuchnął na nie, a potem zgodnie z instrukcjami złożył je w moich rękach. Ścisnąłem je mocno i przyłożyłem do piersi. Pod zaciśniętymi pięściami czułem, jak łomocze mi serce, gdyż przejmowało emanacje Labiryntów.

Zamknąłem oczy i ujrzałem wyłaniające się z mroków sylwetki, dziwne odgłosy wypełniły mi uszy. Nie było w nich kształtu ani spójności, jedynie chaos. Zakręciło mi się w głowie, myśli rozmyły się w bezkształtną plamę. Czułem, że staję się wciąż lżejszy, dopóki wreszcie nie odniosłem wrażenia, iż dryfuję w przestrzeni. Pozwoliłem nieść się w górę tak, jakbym był kawałkiem zeschniętej trawy porwanym trąbą powietrzną, jednym z letnich saharyjskich wichrów.

Dźwięki stały się wyraźniejsze, mroczne kształty przybrały bardziej namacalne formy.

- Słyszę płacz noworodka. - Mój głos był zniekształcony, tak jakbym urodził się z rozszczepionym podniebieniem.

- Czy to chłopiec? - zaszemrało mi w głowie pytanie faraona, bardziej poczułem je, niż usłyszałem.

Wizja powoli zaczęła się konkretyzować, spojrzałem długim tunelem przez ciemność ku światłu na odległym

jego końcu. Kościane Labirynty w mych rękach rozgrzały się niczym węgle na palenisku i paliły mi ciało.

W świetlistym nimbie u wylotu tunelu ujrzałem dziecko, leżące w krwawej kałuży wód połogowych, tłusty pyton łożyska wciąż owijał się wokół jego brzucha.

- Widzę dziecko - wychrypiałem.

- Czy to chłopiec? - naciskał faraon z otaczającej mnie ciemności.

Noworodek wrzeszczał i kopał nogami w powietrzu, a pomiędzy tłustymi udami dostrzegłem blady, cielisty palec okryty kapturem pomarszczonej skóry.

- Chłopiec - potwierdziłem, przepelniony nieoczekiwaną czułością w stosunku do tej ułudy mego umysłu, tak jakby była naprawdę z krwi i kości. Otwarłem nań me serce, lecz wizja zbladła, krzyk narodzin przycichł i zagubił się wśród czerni.

- A dynastia? Co stanie się z moim rodem? Czy przetrwa?

Głos króla dotarł do mnie, a potem zatonął wśród kakofonii innych dźwięków, jakie wypełniły mą głowę - ryku bitewnych trąb, krzyków ludzi zwartych w śmiertelnym boju, dźwięczenia brązu uderzającego o brąz. Nad sobą ujrzałem niebo, powietrze przesłaniały chmury mknących łukiem nad moją głową strzał.

- Wojna! Widzę olbrzymią bitwę, która odmieni losy świata - krzyknąłem, by zostać usłyszonym przez wypełniający mą czaszkę zgiełk.

- Czy mój ród przetrwa?

W głosie króla brzmiał szaleńczy niepokój, lecz nie zwracałem na niego uwagi, gdyż uszy me rozdarł potężny huk, przypominający wycie *khamsinu* lub grzmot wód Nilu przedzierających się przez wielką kataraktę. Horyzont mej wizji zakryła niesamowita żółta chmura, rozcinana rozbłyskami światła, które były, jak dobrze wiedziałem, promieniami słonecznymi odbijającymi się od wojennego ekwipunku.

- Co z moją dynastią?

Głos faraona nękał mi umysł i wizja rozmyła się. W głowie zapanowała cisza, a przed oczyma ujrzałem drzewo rosnące na brzegu rzeki. Była to olbrzymia akacja okryta bujnym listowiem, jej gałęzie uginały się pod ciężarem strąków. Na najwyższej gałęzi siedział jastrząb, królewski jastrząb, lecz gdy mu się przyjrzałem, zmienił kształt i barwę. Przekształcił się w podwójną koronę Egiptu, czerwoną i białą, splecione ze sobą papirus i lotos obu królestw. Wtedy na moich oczach wody Nilu uniosły się i opadły, uniosły się i opadły ponownie. Pięciokrotnie ujrzałem wylew wód rzeki.

Gdy wciąż jeszcze pochłaniałem ten widok płonącym wzrokiem, nagle niebo nad drzewem zaćmiły uskrzydłone owady, gęsta chmura szarańczy spadła na gałęzie, pokryła je kompletnie. Gdy ponownie zerwała się do lotu, drzewo było zniszczone, nagie, pozbawione nawet śladu zieleni. Ani jeden liść nie ostał się na suchych, brązowych konarach. Wówczas martwe drzewo przechyliło się i runęło ciężko na ziemię. Upadek strzaskał pień, korona rozprysnęła się na

kawałki. Szczątki rozsypały się w pył, który wnet rozwiął wiatr. Nie pozostało nic, jedynie wiatr i ruchome piaski pustyni.

- Co takiego widzisz? - nalegał faraon, lecz wszystko rozmyło się nagle i znalazłem się z powrotem na podłodze królewskiej sypialni.

Dyszałem ciężko, jakbym przebiegł wielką odległość, słony pot palił w oczy, strumykami spływał po ciele, moczył płótno spódniczki i zbierał się w kałużę na posadzce. Trzęsa mną paląca gorączka, ścisnęło mnie i mdliło w dołku znajome uczucie, którą, jak dobrze wiedziałem, pozostać miało przez wiele dni.

Faraon wlepił we mnie wzrok i uświadomiłem sobie, jaki nędzny i okropny widok sobą przedstawiałem.

- Co ujrzałeś? - wyszeptał. - Czy mój ród przetrwa?

Nie mogłem wyjawić mu prawdy zawartej w wizji, wymyśliłem więc inny obraz, by go zadowolić.

- Ujrzałem las wielkich drzew, sięgający po horyzont mego snu. Ich liczbie nie było końca, a na szczycie każdego drzewa widniała korona, czerwona i biała korona dwóch królestw.

Władca westchnął i na chwilę zakrył oczy dłońmi. Siedzieliśmy w milczeniu, on rozluźniony po wysłuchaniu mego kłamstwa, ja przepełniony współczuciem dla niego.

W końcu skłamałem cicho:

- Las, który zobaczyłem, przedstawiał linię twych następców - wyszeptałem, by go oszczędzić. - Biegnie po kres czasu, a każdy z nich dźwiga koronę Egiptu.

Odsłonił oczy. Aż przykro było patrzeć na jego wdzięczność i radość.

- Dziękuję, Taito. Widzę, że wrózenie nadwerężyło twe siły. Możesz odejść i odpocząć. Pojutrze dwór pozegluje do mego pałacu na Elefantynie. Każę wyznaczyć osobną łódź, byście bezpiecznie odbyli tę podróż, ty i twoja pani. Strzeż jej nawet za cenę swego życia, gdyż jest naczyniem, które zawiera nasiona mej nieśmiertelności.

Byłem tak słaby, że musiałem chwycić się ramy łoża, by wstać.

Chwiejnie dotarłem do drzwi i oparłem się o framugę. Nie byłem wszakże aż tak osłabiony, żeby nie pamiętać o swych obowiązkach wobec mej pani.

- Pozostaje jeszcze problem małżeńskiego prześcieradła. Lud oczekiwać będzie wystawienia go na pokaz - przypomniałem mu. - W grę wchodzi reputacja twoja i mojej pani.

- Co sugerujesz, Taito? - Oto jak szybko zaczął na mnie polegać. Powiedziałem mu, co należy zrobić, on zaś skinął głową.

- Dopilnuj tego!

Ostrożnie zwinąłem prześcieradło okrywające królewskie łoże. Uszyte było z najdelikatniejszego lnianego płótna, białego niczym spiętrzone letnie cirrusy, wyszywane rzadką jedwabną nicią od czasu do czasu sprowadzaną przez karawany kupieckie ze Wschodu. Zabrawszy ze sobą złożony materiał, opuściłem sypialnię króla, po czym

powróciłem przez milczący i wciąż spowity mrokiem pałac do haremu.

Moja pani spała jak zabita. Wiedząc jaką dawkę czerwonego shepennu jej podałem, spodziewałem się, że prześpi cały dzień i obudzi się prawdopodobnie dopiero wieczorem. Na chwilę przysiadłem przy jej łóżku. Byłem wymęczony i przybity, gdyż Labirynty opróżniły mi duszę. Wciąż mnie dręczyły ukazane przez nie obrazy. Byłem pewien, że ujrany przeze mnie noworodek należał do mojej pani, lecz w takim razie jak wytłumaczyć resztę mojej wizji? Wydawało się, że ta zagadka nie ma rozwiązania, odepchnąłem więc te myśli, gdyż miałem jeszcze jedno zadanie do wykonania.

Kucając przy łóżku Lostris, rozpostarłem haftowane prześcieradło na podłodze. Brząz sztyletu był wystarczająco ostry, by zgolić włosy z mego przedramienia. Wybrałem jedną z niebieskich rzek krwi pod gładką skórą na wewnętrznej stronie nadgarstka i przekłułem ją czubkiem ostrza, po czym pozwoliłem ciemnej krwi kapać wolno na prześcieradło. Gdy zadowolili mnie wielkość plamy, obwiązałem nadgarstek płóciennym paskiem, by zahamować krwawienie, a następnie zebrałem ubrudzoną pościel.

Niewolnica wciąż czekała w zewnętrznych apartamentach. Poleciałem jej, by pozwolono Lostris spać bez przeszkód. Wiedząc, że będzie pod dobrą opieką, bez niepokoju opuściłem ją i wspiąłem się po drabinie na szczyt muru okalającego harem.

Dopiero świtało, lecz pod murami już zgromadził się ciekawski tłum starych kobiet i próżniaków. Gdy im się ukazałem, podnieśli wzrok w oczekiwaniu.

Na ich użytek odegrałem małe przedstawienie – strzepnąłem prześcieradło, zanim rozwiesiłem je na parapecie zewnętrznego muru. Krwawa plama na śnieżnobiałym tle miała kształt kwiatu i tłum zaszumiał od plotek na widok tego znaku dziewictwa mej pani i męskości jej oblubieńca.

Z tyłu stała postać wyższa od tych wokół niej. Jej głowę skrywał wełniany prążkowany szal. Rozpoznałem ją dopiero, gdy zsunęła tkaninę na plecy, odsłaniając twarz i pokrytą czerwonożłotymi włosami głowę.

– Tanusie! – zawołałem. – Muszę z tobą pomówić.

Spojrzał na mnie stojącego na murze, jego oczy napełniła taka bolesć, jakiej nie chciałem już nigdy oglądać. Ta plama na prześcieradle zniszczyła jego życie. Ja również znałem ból utraconej miłości i nawet po tylu długich latach pamiętałem każdy szczegół. Rana w sercu Tanusa była świeża i wciąż krwawiła, dotkliwsza od wszystkich obrażeń, jakich doznał na polu bitwy.

Jeżeli miał przeżyć ten cios, potrzebował mojej pomocy.

– Tanusie! Poczekaj na mnie.

Zarzucił szal na głowę, skrywając twarz, i odwrócił się ode mnie. Odszedł niepewnym krokiem pijaka, potykając się.

– Tanusie! – krzyknąłem za nim. – Wróć! Muszę z tobą porozmawiać.

Nie obejrzał się, przyspieszył tylko kroku.

Kiedy zszedłem z muru i wybiegłem przez główną bramę, zniknął już w labiryncie alejek glinianych lepianek i nędznych zabudowań śródmieścia.

Szukałem Tanusa przez pół poranka, lecz jego kwatery stała opuszczona i nikt go nie widział w miejscach, gdzie zazwyczaj bywał.

Musiałem w końcu zaprzestać poszukiwań i powrócić do swoich pokoi w kwaterze niewolników. Królewska flotylla szykowała się do wypłynięcia na południe. Jeśli moja pani i ja mieliśmy być gotowi przed wyruszeniem, należało jeszcze zebrać i spakować mój dobytek. Odrzuciłem na bok przygnębienie, wywołane wizją Labiryntów i widokiem Tanusa, po czym wziąłem się do gromadzenia na kupę moich rzeczy, rozbierania jedyne go domu, jaki kiedykolwiek znałem.

Moje zwierzęta zdawały się wyczuwać, że dzieje się coś niepomyślnego. Biegały podniecone, ćwierkały i popiskiwały, każde próbowało na swój własny sposób przyciągnąć moją uwagę. Dzikie ptaki podskakiwały i trzepotały na posadzce tarasu, a w kącie koło łóżka moje ukochane rarogi rozpościerały skrzydła i jeżyły pióra, skrzecząc ze swoich żerdzi. Psy, koty i oswojona gazela kłębiły mi się u stóp, starając otrzeć się o mnie i przeszkadzając mi w pracy.

Dostrzegłem stojący przy łóżku dzban kwaśnego koziego mleka. To jeden z moich ulubionych napojów, więc niewolni chłopcy pilnują, by zawsze był pełen. Zwierzęta również

przepadają za zgęstniałym mlekiem, więc by je czymś zająć, wyniosłem dzban na taras, po czym napełniłem gliniane miski. Stłoczyły się wokół nich, popychając i szturchając się wzajemnie, zostawiłem więc tę całą menażerię i na powrót zabrałem się do dzieła, uprzednio zasunąwszy zasłony z sitowia, by zwierzaki nie wchodziły do środka.

To zadziwiające, jak wiele przedmiotów może zebrać w ciągu życia nawet niewolnik. Gdy wreszcie skończyłem, pudełka i tobołki piętrzyły się wysoko pod jedną ścianą. Przygnębienie i zmęczenie prawie mnie powaliły, lecz byłem wciąż na tyle czujny, by uświadomić sobie, że nagle zapadła cisza. Przez moment stałem na środku komnaty, nasłuchując niespokojnie. Doleciało mnie tylko pobrzękiwanie brązowych dzwoneczków na pętach samiczki sokoła, siedzącej w przeciwległym rogu i przypatrującej mi się uważnym, nieprzeniknionym spojrzeniem drapieżnika. Samczyk, mniejszy, lecz ładniejszy od niej, spał na swojej żerdzi w drugim rogu z oczyma zakrytymi miękkim skórzanym kapturem. Żadne inne zwierzę nie wydawało dźwięku. Żaden kot nie miauczał i nie syczał na psy, dzikie ptaki nie świergotały ani nie śpiewały, szczeniaki nie warczały, nie przewracały się jeden przez drugiego w hałaśliwej zabawie.

Podszedłem do zasłony z sitowia i odsunąłem ją na bok. Światło słoneczne wdarło się do wnętrza, na moment mnie oślepiając. Gdy odzyskałem wzrok, z mych ust wyrwał się krzyk przerażenia. Wszystkie ptaki i zwierzęta leżały porozrzucane na tarasie i w głębi ogrodu.

Spoczywały zakrzepłe w śmiertelnych pozach, tam gdzie padły. Pospieszyłem ku nim, nawołując ulubieńców po imieniu. Przyklękałem, by wziąć każdego w ramiona, poszukać w bezwładnych, ciepłych ciałach oznak życia. Nie znalazłem ich, choć nie pominąłem ani jednego truchelka. Ptaki leżały mi na dłoni drobne i lekkie, ich efektownego upierzenia nie zdołała przyćmić śmierć.

Myślałem, że moje i tak ciężkie serce na pewno pęknie pod samym ciężarem rozpacz. Ukląknę na tarasie wśród rozsypanych naokoło zwłok mojej rodziny i zapłakałem.

Dopiero po jakimś czasie zdołałem zmusić się do zastanowienia nad przyczynami tej tragedii. Wstałem i podszedłem do jednej ze stojących na ziemi misek. Była wylizana do czysta, ale powąchałem ją, starając się zgłębić naturę trucizny, jaką dla mnie przeznaczono. Woń kwaśnego mleka zabiła wszelkie inne zapachy; wiedziałem jedynie, że substancja działała szybko i zabójczo.

Zastanowiłem się, kto mógł umieścić dzban przy łóżku, lecz nie miało znaczenia, czyja dłoń przyniosła naczynie do komnaty. Z absolutną pewnością wiedziałem, kto wydał takie polecenie. „Żegnaj, mój kochany. Jesteś już martwy” – powiedział książę Intef i nie czekał długo, by swe słowa zamienić w czyn.

Gniew, który mnie ogarnął, był jakimś rodzajem szaleństwa. Pogarszały go jeszcze marny stan ducha i posępny nastrój. Stwierdziłem, że trzęsę się z wściekłości, jakiej dotąd nie znałem. Wyszarpnąłem z pochwy sztylecik i, zanim zorientowałem się, co robię, gnałem po schodach

tarasu z nagim ostrzem w dłoni. Wiedziałem, że o tej porze Intef będzie w ogrodzie wodnym. Nie potrafiłem już więcej o nim myśleć jako o moim panu. Wspomnienia wszystkich zniewag, które mi kiedykolwiek wyrządził, wszystkich cierpień i upokorzeń, tkwiły jasno i wyraźnie w moim umyśle. Zamierzałem go zabić, setką pchnięć rozkawałkować to okrutne i złe serce.

Widziałem już przed sobą wrota ogrodu, gdy zacząłem odzyskiwać zdrowy rozsądek. Przy bramie stało pół tuzina strażników, drugie tyle przebywało w środku. Nigdy nie dotarłbym do wielkiego wezyra na odległość skutecznego pchnięcia, zdążyliby mnie przedtem powalić. Zmusiłem me lotne stopy do zatrzymania się i zawrócenia. Wsunąłem sztylet do wysadzanej klejnotami pochwy ze skóry i opanowałem oddech. Powolnym krokiem powróciłem na taras, gdzie pozbierałem w jedno miejsce żalosne trupki moich zwierzaków.

Wzdłuż muru ogrodu zaplanowałem posadzenie rzędu figowców. Wykopano już dziury na sadzonki. Opuszczałem Karnak, więc drzewa te nigdy nie zostaną włożone do ziemi, a otwory posłużą jako miejsca spoczynku moich ukochanych stworzeń. Było dobrze po południu, gdy zasypałem ostatni grób, lecz moja wściekłość nie zelżała. Skoro nie mogłem dokonać teraz pełnej pomsty, przynajmniej jej posmakuję.

W dzbanie przy łóżku pozostało jeszcze trochę mleka. Wziąłem naczynie i spróbowałem wymyślić sposób, w jaki mógłbym podrzucić je do kuchni wielkiego wezyra. Byłoby

niezwykle stosownie odpłacić mu jego własną parszywą monetą, choć w głębi serca wiedziałem, że to próżne marzenie. Książę Intef był zanadto przebiegły, by dać się tak łatwo złapać. Osobiście pomogłem mu wypracować system, chroniący go przed trucizną i sztyletem zabójcy. Nie można dosięgnąć tego człowieka bez długotrwałych i starannych przygotowań. Tym bardziej że teraz będzie się szczególnie pilnował. Musiałem uzbroić się w cierpliwość, lecz tego nie potrafiłem zrobić. Skoro nie mogłem go jeszcze zabić, mogłem wymierzyć mu mniejszą zapłatę, traktując ją jako zaliczkę na poczet tego, co musiało nieuchronnie nastąpić.

Wciąż dzierżąc ów nieszczęsny dzban, wyslizgnąłem się bocznymi drzwiami z kwatery chłopców na ulicę. Nie musiałem szukać daleko, by znaleźć mleczarza otoczonego stadkiem kóz. Podczas gdy się przyglądałem, wydoił odżywcze mleko z nabrzmiałego wymiona zwierzęcia i napełnił dzban po brzegi. Ktokolwiek przygotował truciznę, użył jej tyle, że można by wymordować połowę obywateli Karnaku. Wiedziałem, że w dzbanie pozostało jej więcej, niż było trzeba dla moich potrzeb.

Przy drzwiach komnaty Rasfera krążył jeden z gwardzistów wielkiego wezyra. To, że polecono go strzec, przekonało mnie, że Rasfer wciąż przedstawiał sobą jakąś wartość w oczach księcia Intefa i że utrata osobistego zastępcy zirytuje go, a może i rozżłości.

Strażnik rozpoznał mnie i gestem zaprosił do śmierdzącego jak chlew pokoju chorego. Rasfer leżał na

swym brudnym łóżku zlany potem. Od razu dostrzegłem jednak, że moja operacja zakończyła się powodzeniem, jako że otworzył oczy i skłął mnie słabym głosem. On także musiał być przekonany o tym, że w końcu powróci do zdrowia, skoro nie czuł już potrzeby, by mi się podlizywać.

- Gdzieżeś się podziewał, pokrako bez jaj? - warknął, co tylko umocniło mnie w postanowieniu i pozbawiło resztek litości, jaką mogłem dla niego czuć. - Zwijam się z bólu, od kiedy przewierciłeś mi czaszkę. Cóż z ciebie za lekarz...

Było jeszcze więcej wyzwisk w tym samym stylu, lecz udałem, że puszczam je mimo uszu, i odwinąłem brudny bandaż z jego głowy. Gdy badałem małą ranę, jaką pozostawiła na jego czerepie trepanacja, kierowała mną czysta akademicka ciekawość. Była to jeszcze jedna perfekcyjnie przeprowadzona operacja i poczułem pewien zawodowy żal, że jej owoce zostaną zmarnowane.

- Daj mi coś na złagodzenie bólu, eunuchu!

Rasfer spróbował złapać mnie za skraj tuniki, lecz byłem szybszy i odstąpiłem poza zasięg jego ramion.

Dla zachowania pozorów wysypałem do jego miski kilka kryształów soli ze szklanej fiołki, a potem wypełniłem ją mlekiem z dzbana.

- Skoro ból staje się nie do zniesienia, to przyniesie ci ulgę - powiedziałem, stawiając miskę przy jego ręce, bo nawet w tej chwili nie potrafiłem mu jej podać.

Rasfer dźwignął się na łokciu i sięgnął po naczynie, by wyłopać zawartość. Zanim dotknął go palcami, stopą odsunąłem je od niego. W owym momencie sądziłem, że

było to po prostu pragnienie, by przedłużyć oczekiwanie, i z satysfakcją przysłuchiwałem się jego jękowi.

- Dobry Taito, daj mi ten napój. Pozwól mi go wypić. Ten ból w mej głowie doprowadzi mnie do obłądzenia.

- Najpierw porozmawiajmy przez chwilę, dobry Rasferze. Słyszałeś może, że pani Lostris zażyczyła sobie mnie jako pożegnalnego daru od księcia Intefa?

- Jesteś głupcem, skoro sądzisz, że on pozwoli ci odejść - wyszczerzył zęby mimo bólu. - Jesteś już martwy.

- Dokładnie tych słów użył książę Intef. Będziesz mnie oplakiwał, Rasferze? Będziesz po mnie płakał, gdy odejdę? - zapytałem cicho, on zaś zaczął chichotać, potem przerwał i spojrzał na miskę.

- Na swój sposób zawsze cię raczej lubiłem - mruknął. - Teraz podaj mi miskę.

- Jak bardzo mnie lubiłeś, kiedy mnie kastrowałeś? - zapytałem, a on podniósł na mnie zdziwione spojrzenie.

- Chyba nie czujesz już do mnie urazy z tego powodu? To było tak dawno temu, a ponadto nie mogłem sprzeciwić się rozkazowi księcia Intefa. Bądź rozsądny, Taito, daj mi się napić.

- Śmiałeś się, kiedy mnie okaleczałeś. Dlaczego się śmiałeś?

Tak wielką przyjemność ci to sprawiało?

Wzruszył ramionami i skrzywił się z bólu wywołanego tym ruchem.

- Jestem człowiekiem o pogodnym usposobieniu. Zawsze się śmieję. Dalej, stary przyjacielu, powiedz, że mi

wybaczasz, i podaj miskę.

Podsunałem mu ją stopą. Rasfer wyciągnął rękę i z trudem chwycił naczynie. Kilka kropel wylało się, gdy chciwie unosił mleko do ust.

Nie uświadamiałem sobie, co robię, ale skoczyłem naprzód i wytrąciłem mu miskę z rąk. Uderzyła o podłogę i potoczyła się w kąt, rozbryzgując mleko na ścianie.

Rasfer i ja wpatrywaliśmy się w siebie. Zdumiała mnie własna głupota i słabość. Jeżeli ktokolwiek zasługiwał na śmierć w męczarniach trucizny, on nim był. Lecz nagle ponownie ujrzałem poskręcane ciała mych zwierząt porozrzucane na tarasie i zrozumiałem, dlaczego nie mogłem pozwolić Rasferowi się napić. Jedynie demon był w stanie popełnić taki czyn. Zbyt wysoko się ceniłem, by zniżyć się do podłości trucicielstwa.

Zobaczyłem, że w nabiegłych krwią oczach Rasfera zaczyna świtać zrozumienie.

- Trucizna - wyszeptał. - Napój był zatruty.

- Przysłał mi go księżę Intef.

Nie mam pojęcia, dlaczego to powiedziałem. Może próbowałem wytłumaczyć się z okropności, jakiej o mało co nie popełniłem. Nie wiem, z jakiego powodu zachowałem się tak dziwacznie. Możliwe, iż należało to przypisać ubocznym efektem skorzystania z Labiryntów. Zatoczyłem się lekko, obracając się do drzwi.

Za moimi plecami Rasfer zaczął się śmiać, najpierw cicho, potem coraz głośniej, aż wreszcie gwałtowne salwy śmiechu zdawały się wstrząsać murami.

- Jesteś durniem, eunuchu! - ryknął za mną, gdy zacząłem uciekać. - Powinieneś był to zrobić. Powinieneś był mnie zabić, bo teraz możesz być równie pewien tego, że ja cię zabiję, jak tego, że mam dziurę między pośladkami.

Jak się tego spodziewałem, gdy powróciłem wreszcie do jej komnaty, moja pani Lostris nadal spała. Ułożyłem się w nogach jej łóżka, zamierzając czekać, póki sama się nie obudzi. Trudy minionego dnia i nocy były jednak dla mnie zanadto wyczerpujące. Zsunąłem się z łóżka i zasnąłem, zwinięty na posadzce jak szczeniak.

Obudziłem się, gdy mnie zaatakowano. Coś zadało mi tak bolesny cios w skroń, że zerwałem się na nogi, nie w pełni się obudziwszy. Kolejny cios trafił mnie w ramię, palącym żądło szerszenia.

- Oszukałeś mnie! - krzyknęła na mnie moja pani Lostris. Nie dałeś mi umrzeć!

Raz jeszcze zamachnęła się wachlarzem. Stanowił groźną broń, bambusowa rączka była dwukrotnie dłuższa od rozpiętości moich ramion, a grzebień na jej końcu, w którym osadzono strusie pióra, wykonany został z czystego srebra. Na szczęście Lostris wciąż jeszcze była oszołomiona narkotykiem i nadmiarem snu, więc dokładne celowanie przychodziło jej z trudem. Uniknąłem ciosu, więc sama siła zamachu obróciła ją w miejscu i rzuciła z powrotem na łóżko.

Cisnęła wachlarz i wybuchnęła płaczem.

- Chciałam umrzeć. Dlaczego nie pozwoliłeś mi umrzeć?

Dopiero po pewnym czasie mogłem się do niej zbliżyć i objąć ramieniem, by pocieszyć.

- Zraniłam cię, Taito? - zapytała. - Nigdy przedtem cię nie uderzyłam.

- Pierwsza próba była całkiem udana - pogratulowałem jej żałości. - Prawdę mówiąc, jesteś w tym tak dobra, że nie sądzę, byś musiała dalej ćwiczyć. - Teatralnym gestem potarłem skroń, a Lostris uśmiechnęła się przez łzy.

- Biedny Taita. Tak źle się z tobą obchodzę. Ale tym razem zasłużyłeś sobie na to. Oszukałeś mnie. Chciałam umrzeć, a ty nie wykonałeś mego polecenia.

Dostrzegłem, że nadeszła pora, by zmienić temat.

- Pani, mam dla ciebie nadzwyczajne nowiny. Ale musisz mi przyrzec, że nikomu ich nie zdradzisz, nawet twoim służkom.

Od kiedy nauczyła się mówić, nie potrafiła oprzeć się urokowi tajemnicy, lecz która kobieta to potrafi? Taka obietnica zawsze starczała, by odwrócić jej uwagę; podziałała również i tym razem.

Nawet mimo złamanego serca i wiszącej jej nad głową groźby samobójstwa przełknęła ostatnie łzy i rozkazała:

- Powiedz mi!

Ostatnimi czasy nagromadził mi się obszerny zasób tajemnic, z którego mogłem teraz wybierać. Zawahałem się więc na moment, by dokonać selekcji. Oczywiście nie mogłem powiedzieć jej o otruciu moich zwierząt ani też o tym, że widziałem Tanusa. Potrzeba mi było czegoś, co

rozweseliłoby ją raczej, niż wpędziło w jeszcze głębszą depresję.

- Poszedłem do sypialni faraona i rozmawiałem z nim przez pół ostatniej nocy.

W jej oczach raz jeszcze wezbrały łzy.

- Och, Taito, nienawidzę go. To ohydny staruch. Nie chcę...

Nie trzeba mi było niczego więcej w tym rodzaju, za moment będzie znowu płakać, mówiłem więc dalej:

- Użyłem dla niego Labiryntów.

W mgnieniu oka przyciągnąłem jej całą uwagę. Lostris jest absolutnie zafascynowana moim darem jasnowidzenia. Gdyby nie szkodliwy wpływ, jaki Labirynty wywierają na moje zdrowie, zmusiłaby mnie do zaglądania w nie codziennie.

- Mów! Co widziałeś? -powiedziała jak zahipnotyzowana.

Ani śladu samobójczych myśli, zapomniany cały smutek.

Pozostała wciąż tak młoda i otwarta, że zawstydziłem się mego podstępu, choć uciekłem się przecież do niego wyłącznie dla jej dobra.

- Miałem najniezwyklejsze wizje, pani. Nigdy nie widziałem równie wyraźnych scen, takiej głębi obrazu...

- Mów! Uprzedzam cię, że umrę z niecierpliwości, jeżeli natychmiast wszystkiego mi nie opowiesz.

- Najpierw zaprzysiąc musisz całkowitą tajemnicę. Nikt inny nie może się dowiedzieć, co ujrzałem. To sprawy wagi państwowej, a skutki ich ujawnienia mogą być okropne.

- Przysięgam, przysięgam.

- Nie możemy lekce sobie ważyć tych spraw.

- Zaczynaj, Taito. Przekomarzasz się teraz ze mną. Rozkazuję ci powiedzieć mi wszystko w tej chwili, inaczej, inaczej... -przez moment rozpaczliwie poszukiwała groźby zdolnej wymusić me posłuszeństwo - inaczej znowu cię pobiję.

- Dobrze więc. Posłuchaj mej wizji. Ujrzałem wysokie drzewo na brzegu Nilu. Na szczycie drzewa widniała korona Egiptu.

- Faraon! Drzewo symbolizowało króla - pojęła natychmiast, skinąłem więc głową. - Dalej, Taito. Opowiedz mi resztę.

- Ujrzałem, jak Nil podnosi się i opada pięć razy.

- Pięć lat, upływ pięciu lat! - z podniecenia zaklaskała w dłonie. Lostris uwielbiała rozwikływać zagadki mych snów.

- Wówczas drzewo pożarte zostało przez szarańczę, runęło i obróciło się w proch.

Wpatrywała się we mnie, niezdolna wyrzec słowa, dopowiedziałem więc za nią:

- Za pięć lat faraon będzie martwy, a ty staniesz się wolną kobietą. Wolną od więzów nałożonych przez twego ojca. Wolną, by pójść do Tanusa, a nikt nie będzie mógł cię powstrzymać.

- Jeżeli mnie okłamujesz, nie ścierpię takiego okrucieństwa. Powiedz, że to prawda.

- To prawda, moja pani, jest wszakże coś jeszcze. W wizji ujrzałem nowo narodzone dziecko, chłopca. Poczulem

niezwykłą miłość do tego noworodka i wiedziałem, że to ty jesteś jego matką.

- Ojciec, kim był ojciec mojego dziecka? Och, Taito, powiedz mi, proszę.

- W wizji wiedziałem z całkowitą pewnością, że ojcem był Tanus.

Było to pierwsze odstępstwo od prawdy, na jakie sobie pozwoliłem, lecz raz jeszcze pociechę stanowiło przekonanie, że czynię to dla dobra Lostris.

Przez długi czas milczała, lecz jej twarz lśniła wewnętrznym blaskiem, i to było najwyższą nagrodą, o jaką mogłem w ogóle prosić.

- Pięć lat mogę poczekać - wyszeptała w końcu. - Gotowa byłam czekać na niego całą wieczność. Będzie mi ciężko, ale mogę zaczekać pięć lat na Tanusa. Miałaś słuszość, nie pozwalając mi umrzeć, Taito. Byłoby to obelgą ciśniętą bogom prosto w twarz.

Ulga podniosła mnie na duchu i teraz zyskałem większą pewność, że zdołam przeprowadzić Lostris bezpiecznie przez wszystko, co niosła ze sobą przyszłość.

O świcie następnego dnia królewska flota pożeglowała z Karnaku na południe. Jak obiecał monarcha, moja pani wraz z całą świtą znalazła się na pokładzie jednej z małych, szybkich łodzi południowej floty.

Siedziałem z Lostris na poduszkach na pokładzie rufowym, pod baldachimem, jaki kapitan kazał rozstawić specjalnie dla niej. Oglądaliśmy się za siebie na pomalowane wapnem budynki miasta, lśniące

w pierwszych, pomarańczowych promieniach wschodzącego słońca.

- Nie mam pojęcia, gdzie mógł zniknąć - wyraziła swój niepokój o Tanusa, tak jak to uczyniła już z setką razy, od kiedy podnieśliśmy żagiel. - Na pewno wszędzie go szukałeś?

- Wszędzie - potwierdziłem. - Spędziłem pół rana, badając miasto i doki. Po prostu zniknął. Ale zostawiłem twoją wiadomość Kratasowi. Możesz być pewna, że mu ją przekaże.

- Pięć lat bez niego, czy one w ogóle upłyną?

Podróż w górę rzeki mijała dość przyjemnie. Były to długie, leniwie płynące dni rozmów z moją panią spędzone na pokładzie rufowym. Omawialiśmy drobiazgowo każdy szczegół naszego zmienionego położenia, zagłębialiśmy się we wszystko, czego mogliśmy się spodziewać i z nadzieją oczekiwać od przyszłości.

Wyjaśniałem jej wszystkie niuanse życia na dworze królewskim, prawa pierwszeństwa i protokołu. Wskazywałem ukryte sieci władzy i wpływów, wyliczałem tych wszystkich, z którymi podtrzymywanie znajomości leżało w naszym interesie, oraz tych, na których można było bezpiecznie nie zwracać uwagi. Zapoznawałem ją z bieżącymi sprawami i stanowiskiem faraona wobec każdej z nich. Potem omawiać począłem nastroje i uczucia obywateli.

W znacznej mierze informacje te zawdzięczałem memu przyjacielowi Atonowi, królewskiemu szambelanowi. Przez

ostatnie dwanaście lat chyba każdy statek płynący w dół rzeki z Elefantyny do Karnaku wioził list od niego pełen tych fascynujących szczegółów, a wracając zabierał złoty dowód mej wdzięczności dla mego przyjaciela.

Zdecydowany byłem jak najszybciej umieścić nas w centrum dworu i w pobliżu źródeł władzy. Nie po to szkoliłem mą panią przez wszystkie te lata, by się przyglądać, jak bezużytecznie rdzewieje broń, którą umieściłem w jej arsenale. Kolekcja jej uzdolnień i talentów już była ogromna, a każdego dnia cierpliwie dodawałem do niej nowe elementy. Lostris miała bystry i niespokojny umysł. Gdy tylko pomogłem jej otrząsnąć się z mrocznego nastroju, który mógłby ją zniszczyć, jak niegdyś otwarła się na moje instrukcje. Przy każdej sposobności podsyciałem ambicję i ochotę na odegranie roli, jaką dla niej planowałem.

Szybko przekonałem się, że najskuteczniejszym sposobem pozyskania jej uwagi i gotowości do współpracy było zasugerowanie, że wszystko to w ostatecznym rozrachunku przyniesie korzyść Tanusowi.

- Jeżeli zdobędziesz wpływy na dworze - przekonywałem - tym lepiej będziesz mogła go ochraniać. Król zlecił mu zadanie, które jest prawie niemożliwe do wykonania. Tanus będzie nas potrzebował, jeżeli ma mu się powieść, a jeśli zawiedzie, tylko ty będziesz w stanie uchronić go przed wykonaniem wyroku, jaki wydał na niego król.

- Co możemy uczynić, by pomóc mu w wypełnieniu misji?

- Na samo wspomnienie Tanusa skupiała na mych słowach całą uwagę. - Powiedz mi szczerze, czy ktokolwiek będzie w stanie zgnieść Dzierzbów? Czy nie jest to zbyt trudna misja nawet dla Tanusa?

Bandyci terroryzujący Górne Królestwo nazywali siebie Dzierzbami, biorąc tę nazwę od owych zadziornych ptaków. Nasza nilowa dzierzba jest mniejsza od gołębia. Zgrabne, drobne stworzenie o białej piersi i gardle, czarnym grzbiecie i głowie plądruje gniazda innych ptaków i wystawia nędzne truchła swych ofiar na pokaz, nadziewając je na kolce akacji. Lud nazywa je ptakiem rzeźnikiem.

Początkowo bandyci używali tej nazwy jako tajnego imienia, by ukryć swą tożsamość i otoczyć swe istnienie tajemnicą, lecz gdy urosli w potęgę i zuchwałość, przyjęli ją otwarcie i często używali czarno-białego pióra ptaka rzeźnika jako swojego symbolu.

Na początku zwykli pozostawiać takie pióro na progu domu, który obrabowali, i na zwłokach swych ofiar. Teraz jednak stali się tak śmiali i dobrze zorganizowani, że czasami posyłali pióro upatrzonej ofierze jako ostrzeżenie. W większości wypadków wystarczało, by ofiara zdecydowała się oddać połowę swego ziemskiego majątku. Było to rozwiązanie lepsze od pożegnania się z jego całością, utraty uprowadzonych i zgwałconych żon i córek, a do tego jeszcze wrzucenia wraz z synami w płonące zgliszcza własnego domu.

- Czy sądzisz, że mając za sobą moc jastrzębiej pieczęci, Tanus zdoła się wywiązać z powierzonego mu przez króla zadania? - powtórzyła moja pani. - Słyszałam, że wszystkie bandy Dzierzbów w całym Górnym Królestwie kontrolowane są przez jednego człowieka, kogoś, kogo oni zwą Akh-Sethem, bratem Seta. Czy to prawda, Taito?

Zanim odpowiedziałem, zastanawiałem się przez chwilę. Nie mogłem jeszcze wyjawić jej wszystkiego, co wiedziałem o Dzierzbach, bo gdybym to uczynił, zmuszony byłbym do powiedzenia, w jaki sposób znalazłem się w posiadaniu tej wiedzy. Na tym etapie nie przyniosłoby to Lostris znacznej korzyści, a za to spowodowałoby poważny uszczerbek na moim dobrym imieniu. Być może później nadejdzie właściwy czas na odkrycie tych sekretów.

- Również słyszałem tę pogłoskę - zgodziłem się ostrożnie.

- Wydaje mi się, że gdyby Tanus odnalazł i zniszczył tego jednego człowieka, tego Akh-Seta, potęga Dzierzbów rozsypałaby się w proch. Lecz będzie potrzebować z naszej strony każdej pomocy, jakiej będziemy w stanie mu udzielić.

Lostris spojrzała na mnie bystro.

- Jak ty możesz mu pomóc? - zapytała zdecydowanie. - I co ty w ogóle wiesz o całej tej sprawie?

Lostris myśli szybko i trudno ją oszukać. Natychmiast wyczuła, że coś przed nią zatajam. Musiałem pospiesznie się wycofać i zagrać na jej miłości do Tanusa i zaufaniu, jakie we mnie pokładała.

- Dla dobra Tanusa nie pytaj mnie o nic więcej. Daj mi tylko zezwolenie, bym mógł udzielić mu wszelkiej pomocy w wypełnianiu zadania, jakie postawił przed nim faraon.

- Tak, oczywiście musimy uczynić wszystko, co leży w naszej mocy. Powiedz mi, jak ja mogę pomóc.

- Zostanę z tobą na dworze w Elefantynie przez dziewięćdziesiąt dni, lecz później musisz pozwolić mi się do niego udać...

- Nie, nie - przerwała mi - jeżeli potrafisz pomóc Tanusowi, powinieneś wyruszyć bezzwłocznie.

- Dziewięćdziesiąt dni - powtórzyłem z uporem.

Tyle trwać miał okres łaski, jaki dla niej wywalczyłem. Chociaż rozdarty byłem między tymi dwojgiem moich dzieci, moim pierwszym obowiązkiem było czuwanie przy mojej pani.

Wiedziałem, że nie mogę zostawić jej na dworze samej, bez przyjaciela i mentora. Zdawałem też sobie sprawę, że muszę być przy niej, gdy król przyśle wreszcie po nią w środku nocy.

- Nie mogę cię jeszcze zostawić, ale nie martw się. Dałem Kratasowi list do Tanusa. Będą mnie oczekiwać, a Kratasowi wytłumaczyłem już wszystko, co musi zostać uczynione przed moim powrotem do Karnaku.

Nie zamierzałem powiedzieć jej więcej, a niewielu ludzi potrafi udzielać równie mętnych i niejasnych wyjaśnień jak ja, gdy się przy tym uprę.

Flotyła żeglowała jedynie za dnia. Ani umiejętności nawigacyjne admirała Nembeta, ani też wygoda króla i jego

dworu nie zniosłyby nocnej podróży, tak więc każdego wieczoru rzucaliśmy kotwice i na brzegu rzeki wyrastał las namiotów. Królewscy rządcy zawsze wynajdywali jak najodpowiedniejsze miejsce na rozbicie obozu, zwykle w palmowym zagajniku bądź też po zawietrznej stronie wzgórza, niedaleko jakiejś świątyni czy wioski, z której mogliśmy sprowadzić prowiant.

Na dworze wciąż panował świąteczny nastrój. Każdy postój traktowany był jak święto. Tańczono i ucztowano przy świetle ognisk, a dworzanie intrygowali i flirtowali w cieniu drzew. Niejeden związek, tak polityczny jak cielesny, zawarty został podczas owych balsamicznych nocy przesyconych soczystymi aromatami z pól uprawnych ciągnących się wzdłuż rzeki i ostrzejszymi zapachami niesionymi z pustynnym powietrzem z głębi łądu.

Każdą chwilę wykorzystywałem z jak największą korzyścią dla mojej pani i siebie samego. Oczywiście Lostris była teraz jedną z dam królewskich, lecz tych dałoby się naliczyć już ładnych kilka setek, a ona wciąż pozostawała najmłodszą żoną. Dalekowzroczność księcia Intefa mogła zmienić jej przyszły status, ale tylko wtedy, gdyby urodziła faraonowi syna. Tymczasem wszystko zależało ode mnie.

Prawie każdego wieczoru po zejściu na brzeg faraon posyłał po mnie, oficjalnie w celu wyleczenia dręczącego go liszaja, a w rzeczywistości, by zdać relację z postępów przygotowań do spłodzenia męskiego dziedzica podwójnej korony. Pod jego pełnym zainteresowaniem spojrzeniem przygotowywałem wzmagający potencję wywar z utartego

rogu nosorożca i korzenia mandragory wymieszanego z ciepłym kozim mlekiem i miodem. Gdy już to wypił, dokonywałem oględzin królewskiego członka, ze względu na mą panią z zadowoleniem konstatując, iż nie wykazywał się długością ani obwodem, jakiego można by oczekiwać od boga. Uważałem, że moja pani, nawet w swym dziewiczym stanie, bez zbytej niewygody da sobie radę z jego skromnymi rozmiarami. Naturalnie zamierzałem uczynić wszystko, co w mojej mocy, by pomóc Lostris uniknąć tej strasznej chwili, lecz gdybym nie zdołał odsunąć jej w czasie, zdecydowany byłem jak najbardziej ułatwić jej przejście do kobiecości.

Znalazłszy króla w zdrowiu, aczkolwiek przeciętnym, jeśli chodzi o tę część jego ciała, zalecałem okładanie królewskiego członka przed udaniem się na nocny spoczynek kataplazmami z pszennej mąki zmieszanej z oliwą i miodem, a następnie zabierałem się do liszaja. Ku wielkiej satysfakcji monarchy maść wyleczyła tę dolegliwość w ciągu trzech dni, jak obiecałem. Tak oto moja i tak znakomita reputacja medyczna jeszcze się poprawiła. Król pochwalił me osiągnięcia przed radą ministrów i po paru dniach popyt na moje usługi na dworze wzrósł niepomierne. Kiedy zaś wyszło na jaw, że jestem nie tylko lekarzem, ale i astrologiem, z którego porad korzystał sam władca, ma popularność przekroczyła wszelkie granice.

Co wieczór do naszych namiotów ciągnęła procesja posłańców niosących drogie podarki dla Lostris od przeróżnych wielmożów, błagających ją, by zezwoliła mi

odwiedzić ich w celu postawienia diagnozy. Zgadzałiśmy się tylko na prośby tych, z którymi pragnęliśmy nawiązać bliższe stosunki. Gdy znajdowałem się w namiocie potężnego i możnego księcia, a on stawał z zadartą wokół talii spódniczką, podczas gdy ja badałem jego hemoroidy, nietrudną sprawą było wychwalanie mej pani i zwracanie uwagi pacjenta na jej rozliczne zalety.

Pozostałe damy z haremu wkrótce odkryły, że Lostris i ja śpiewamy razem piękne duety, że umiemy układać najbardziej frapujące zagadki słowne i opowiadać jeszcze bardziej zajmujące historie. Nasza obecność stała się pożądana na całym dworze, zwłaszcza zaś wśród mieszkających w haremie dzieci. To sprawiało mi szczególną przyjemność, jako że małe dzieci kocham jeszcze bardziej niż zwierzęta.

Faraonowi, któremu w pierwszym rządzie zawdzięczaliśmy naszą popularność, wkrótce doniesiono o jej wzroście. To jedynie wzmogło jego zainteresowanie moją panią, tak jakby nie było już dosyć intensywne. Niejednego poranka przed odbiciem od brzegu wzywano ją na pokład królewskiej barki, by spędziła dzień w towarzystwie władcy, prawie każdego wieczoru zaś na królewskie zaproszenie wieczerzała przy monarszym stole, ciesząc zmysły jego i zebranego towarzystwa swą naturalną inteligencją i dziecinnym wdziękiem. Ma się rozumieć, że zawsze dyskretnie nad nią czuwałem. Skoro faraon nie zdradzał zamiaru wezwania jej w nocy i przymuszenia do poddania się owym strasznym, choć raczej niejasnym

okropieństwom, jakie wyobrażała sobie na swój użytek, jej uczucia wobec niego zaczęły łagodnieć.

Mimo swej odpychającej postury faraon Mamose był łagodnym i przyzwoitym człowiekiem. Moja pani Lostris szybko to zauważyła i, tak jak ja, zaczęła go nawet lubić. Zanim dotarliśmy do Elefantyny, traktowała go jak dobrego wujka i z nieskrępowaną naturalnością siadała mu na kolanie, by opowiedzieć jakąś historyjkę, albo też rzucała z nim bumerangami na pokładzie królewskiej barki, oboje zaś rumienili się z wysiłku i śmiali jak dzieci. Aton wyznał mi, że nigdy jeszcze nie widział króla w równie radosnym nastroju.

Wszystko to obserwowane było i odnotowywane przez dwór, który szybko uznał Lostris za ulubienicę króla. Wkrótce wieczorami do naszych namiotów przybywać poczęli i inni goście, prosząc moją panią, by przedstawiła monarsze ich osobiste sprawy. Dary, jakie składali, były cenniejsze nawet niż te oferowane w zamian za moje usługi.

Moja pani odrzuciła podarunek swego ojca w zamian za jednego niewolnika, rozpoczęła więc podróż na południe jako biedaczka, uzależniona od moich skromnych oszczędności. Zanim wszakże żegluga dobiegła końca, nie tylko zgromadziła pokaźną fortunę, lecz także długą listę przysług, jakie winni jej byli nowi bogaci i wpływowi przyjaciele. Skrupulatnie prowadziłem księgowość tych aktywów.

Nie jestem aż tak zarozumiała, by udawać, że moja pani nie zdobyłaby takiego uznania bez mej pomocy. Jej uroda,

bystrość umysłu i słodka, żywa natura uczyniłyby z niej ulubienicę wszystkich w każdych warunkach. Chcę jedynie dać do zrozumienia, że zdołałem dopilnować tego, by zdarzyło się to odrobinę wcześniej i w sposób nieco bardziej naturalny.

Nasz sukces miał także ujemne strony. Jak zwykle spotykaliśmy się z zawiścią ze strony tych, którzy poczuli się pozbawieni przychylności faraona, pozostawał także problem rosnącego fizycznego pociągu monarchy do mojej pani. Okres abstynencji, jaki mu narzuciłem, tylko pogarszał całą sprawę.

Któregoś wieczoru w jego namiocie po przygotowaniu przeze mnie codziennej porcji rogu nosorożca faraon wyznał mi:

- Taito, twoja kuracja jest nader skuteczna. Nie czułem się równie męski od czasów mej młodości, dawno przed koronacją i ubóstwieniem. Dziś rano, gdy się zbudziłem, mój członek zesztyniał w sposób tak zachęcający, że posłałem po Atona, by to ujrzał. Był pod wielkim wrażeniem i natychmiast wyraził chęć sprowadzenia twojej pani.

Tak bardzo zaniepokoiły mnie owe wieści, że przybrałem najsurowszą minę, potrząsnąłem głową, wciągnąłem powietrze przez zęby i cmokałem, by okazać dezaprobatę.

- Bogom dziękuję za twój rozsądek, który kazał ci nie zgodzić się na sugestię Atona, Wasza Wysokość. Łatwo mogło to zniweczyć wszystkie nasze wysiłki. Jeżeli pragniesz syna, musisz skrupulatnie przestrzegać moich zaleceń.

To zdarzenie uzmysłowiło mi szybki upływ czasu i tempo, w jakim zbliżało się do końca owe dziewięćdziesiąt dni łaski. Zacząłem przeto przygotowywać moją panią na noc, której wkrótce zażąda od niej faraon.

Najpierw musiałem przygotować jej umysł. Przystąpiłem do tego, wskazując, że nie da się tego uniknąć i że jeśli pragnie przeżyć króla, by w końcu poślubić Tanusa, musi się poddać królewskiej woli. Lostris zawsze była rozsądną dziewczyną.

- W takim razie będziesz musiał dokładnie wyjaśnić, czego on ode mnie oczekuje, Taito - westchnęła.

Nie byłem najlepszym doradcą w tej akurat kwestii. Sam miałem tylko przelotne doświadczenie, lecz zdołałem z grubsza przedstawić podstawowe zagadnienia, traktując je jako nic nadzwyczajnego, tak by niepotrzebnie jej nie przerazić.

- Będzie bolało? - chciała wiedzieć, pospieszyłem więc rozwiązać te niepokoje.

- Król jest człowiekiem łagodnym. Ma wielkie doświadczenie z młodymi dziewczętami. Pewien jestem, że będzie postępował z tobą delikatnie. Sporządzę dla ciebie maść, która znacznie wszystko ułatwi. Będę ją nakładał każdej nocy, zanim pójdziesz spać. Ona otworzy wrota. Myśl o tym, że pewnego dnia Tanus wkroczy przez ten sam portal i że robisz to, by powitać jego i nikogo innego.

Starąłem się pozostać beznamiętnym lekarzem i nie czerpać żadnej zmysłowej przyjemności z tego, co musiałem zrobić, by jej pomóc. Bogowie niech mi wybaczą,

lecz nie wytrwałem w tym postanowieniu. Jej kobiecość była tak doskonała, że przyćmiewała najpiękniejsze kwiaty, jakie kiedykolwiek wyhodowałem w moim ogrodzie. Żadna pustynna róża nie mogła poszczycić się równie wybornymi płatkami. Gdy nakładałem na nie mój krem, wydzielały własną słodką rosę, bardziej oleistą i jedwabistą w dotyku niż jakakolwiek maść, jaką mógłbym wytworzyć.

Jej policzki okrył rumieniec, a głos zmatowiał, gdy wyszeptała:

- Do tej pory sądziłam, że ta część mego ciała służy tylko jednemu celowi. Dlaczego tak jest, że gdy to robisz, nieznośnie pragnę Tanusa?

Ufała mi bezgranicznie i niewiele pojmowała z tych nowych wrażeń, toteż zmuszony byłem uciec się do najgłębszych pokładów mej etyki lekarskiej, by nie przeciągać nacierania dłużej, niż to było konieczne. Spałem jednak tej nocy bardzo nerwowo, dręczony snami o rzeczach niemożliwych.

Gdy żeglowaliśmy tak coraz dalej na południe, pasy zielonej ziemi po obu stronach rzeki zaczęły się zwężać. Miejscami strome urwiska czarnego granitu całkowicie wypierały soczystą zieleń pól i przysuwały się tak blisko, że zwisały bezpośrednio nad wzburzonymi wodami Nilu.

Najgroźniejszy z tych przesmyków nazywany był Wrotami Hapi. Spieniona woda przelewająca się przez szczelinę w wysokich skalnych ścianach wirowała tam dziko i krnąbrnie.

Pokonaliśmy Wrota Hapi i przybiliśmy nareszcie do nabrzeża Elefantyny, największej z licznej grupy wysp rozciągniętych w poprzek wąskiej gardzieli Nilu tam, gdzie surowe wzgórza ograniczały jego nurt i zmuszały do płynięcia ciasnym przesmykiem.

Elefantyna przypominała kształtem monstrualnego rekina ścigającego ławicę pomniejszych wysp w górę przesmyku. Napierająca z obu stron rzeki pustynia na każdym brzegu odznaczała się odmiennym kolorem i charakterem. Na zachodnim saharyjskie wydmy były ostro pomarańczowe i tak okrutne jak Beduini, jedyni śmiertelnicy potrafiący wśród nich przeżyć. Na wschodnim arabska pustynia robiła się ciemnobrązowa i brudnoszara, naszpikowana czarnymi wzgórzami, tańczącymi niematerialnie w gorącym powietrzu. Te dwie pustynie łączyła tylko jedna rzecz – obie zabijały ludzi.

Jakże kontrastowała z nimi Elefantyna, wprawiona niczym połyskliwy, zielony klejnot w srebrną koronę rzeki. Swoją nazwę brała od gładkich głazów z szarego granitu skupionych w grupy wzdłuż jej brzegu niczym stada tych wielkich zwierząt, a także od faktu, że od tysiąca lat koncentrował się w tym miejscu handel kością słońsiową sprowadzaną z dzikiej krainy Kusz leżącej za kataraktami.

Pałac faraona zajmował większą część wyspy, a dowcipnisie sugerowali, że władca zdecydował się wznieść go tutaj, w najbardziej na południe wysuniętym punkcie swego państwa, by jak najdalej uciec przed czerwonym oszustem z północy.

Szerokie pasmo wody otaczające wyspę od lądu zabezpieczało ją przed atakiem ze strony przeciwnika, lecz pozostała część miasta rozlała się na oba brzegi. Po wielkich Tebach zachodnia i wschodnia Elefantyna tworzyły wspólnie największy i najludniejszy ośrodek Górnego Egiptu, godnego rywala Memfis, siedziby czerwonego uzurpatora w Dolnym Królestwie.

Jako jedyne miejsce w całym Egipcie Elefantyna pokryta była drzewami. Ich nasiona przyniosła ze sobą rzeka podczas tysiąca corocznych wylewów, a one zapuściły korzenie w żyznych namulach, które także nagromadzone zostały przez niespokojne wody.

Podczas mej ostatniej wizyty na Elefantynie, gdy podróżowałem w górę Nilu, by dokonać kontroli wodowskazów dla mego pana, księcia Intefa, jako strażnika wód, spędziłem na tej wyspie wiele miesięcy. Z pomocą głównego ogrodnika skatalogowałem nazwy i opisy wszystkich roślin w królewskich ogrodach, mogłem więc teraz zwrócić na nie uwagę mojej pani. Były tam drzewa figusowe, jakich nigdy nie widziała reszta Egiptu. Ich owoce rosły nie na gałęziach, lecz na głównym pniu, a korzenie wyginały się i skręcały razem niczym kopulujące pytony. Rosły tam draceny, których kora, gdy nacięta, wydzielała jaskrawoczerwony sok. Były i kuszyckie figowce oraz sto innych gatunków drzew, rozpościerających cienisty parasol nad tą uroczą wysepką.

Królewski pałac wzniesiony został na tworzącej szkielet wyspy litej skale ukrytej pod żyzną glebą. Często

zastanawiało mnie to, że każdy nasz król – a był to długi szereg faraonów pięćdziesięciu dynastii sięgający na ponad tysiąc lat w przeszłość – poświęcał tak znaczną część swego żywota i majątku wznoszeniu obszernych, wiecznotrwałych grobowców z granitu i marmuru, podczas gdy za życia nie przeszkadzało mu zamieszkiwanie w pałacach o ścianach z gliny i krytych strzechą dachach. W porównaniu z majestatyczną świątynią grobową, jaką budowałem dla faraona Mamose w Karnaku, ten pałac przedstawiał się skromnie, brak zaś prostych linii i symetrii raził me zmysły matematyka i architekta. Zakładam, że rozległa płatanina murów z czerwonej gliny i nachylonych pod dziwaczными kątami dachów miała w sobie pewien prymitywny urok, lecz ręce swędziły mnie, by sięgnąć po liniał i pion.

Gdy zesliśmy na brzeg i odszukaliśmy wyznaczone nam apartamenty, niezaprzeczalny urok Elefantyny stał się bardziej widoczny. Oczywiście umieszczono nas w ogrodzonym murem haremie na północnym skraju wyspy, lecz rozmiary i wyposażenie komnat potwierdziły tylko naszą uprzywilejowaną pozycję w oczach króla i jego szambelana. Przydziału tego dokonał Aton, a on, jak wielu innych, okazał się całkowicie bezbronny w zetknięciu z naturalnym urokiem mojej pani i teraz należał do grona jej najbardziej bezwstydných wielbicieli.

Oddał do naszej dyspozycji tuzin przestronnych i przewiewnych pokoi z własnym dziedzińcem i kuchnią. Boczna furtka w głównym murze prowadziła prosto na brzeg rzeki i kamienne nabrzeże. Zaraz pierwszego dnia

zakupiłem płaskodenną lekką łódź, której mogliśmy używać do łowienia ryb i polowań na wodne ptactwo. Poleciałem przycumować ją w pobliżu.

Jeśli chodzi o pozostałą część naszego nowego domu, choć był wygodny, to ani moja pani, ani ja nie byliśmy zadowoleni, toteż natychmiast zabraliśmy się do jego ulepszenia i upiększenia. Razem z moim starym przyjacielem, głównym ogrodnikiem, zaplanowałem i posadziłem nasz własny, prywatny ogród na dziedzińcu, zbudowałem trzcinową altanę, pod którą mogliśmy przesiadywać w upale dnia i gdzie trzymałem uwiązane do żerdzi rarogi.

Na molo zamontowałem szaduf, pompujący nieprzerwanie z rzeki wodę, którą poprowadziłem ceramicznymi rurami do naszego ogrodu wodnego z porośniętymi liliami sadzawkami i stawami pełnymi ryb. Nadmiar wody ze stawów odprowadzany był wąską rynną. Tę rynnę skierowałem przez ścianę komnaty mej pani, w poprzek osłoniętego parawanem kąta i ponownie na zewnątrz, skąd biegła z powrotem ku głównemu nurtowi Nilu. Wyrzeźbiłem z wonnego drewna cedrowego stołek z otworem w siedzeniu i zamontowałem go nad rynną, tak że wszystko spuszczone przez ową dziurę porywane było nieustającym przepływem wody. Moją panią zachwyciła ta innowacja i spędzała na stołku znacznie więcej czasu, niż wymagała tego sprawa, do załatwiania której został pierwotnie przeznaczony.

Ściany naszych pokoi uformowane były z nagiej czerwonej gliny. Dla każdego pomieszczenia zaplanowaliśmy zestaw fresków. Narysowałem szkice i przenieśliśmy je na ściany, a moja pani i jej służki pomalowały wzory. Freski przedstawiały bogów w mitologicznych scenach na tle wymyślnych krajobrazów zaludnionych cudownymi zwierzętami i ptakami. Oczywiście Lostris użyłem jako modelu dla postaci Izydy, lecz czy można się dziwić, że figura Horusa zajmowała centralne miejsce na każdym malowidle i że po naleganiach ze strony mojej pani przedstawiony został z jasnymi włosami, jego twarz zaś wyglądała dziwnie znajomo?

Freski wywołały poruszenie w całym haremie. Wszystkie królewskie małżonki odwiedziły nas po kolei, by napić się szербetu i podziwiać malowidła. Zapoczątkowaliśmy nową modę, a mnie przekonano, bym zajął się doradztwem przy odnawianiu niemalże wszystkich prywatnych apartamentów w haremie, za odpowiednim wynagrodzeniem, ma się rozumieć. W trakcie tej działalności zyskaliśmy wiele nowych przyjaciółek wśród królewskich dam i znacznie poprawiliśmy naszą sytuację finansową.

Nie upłynęło wiele czasu, a sam król usłyszał o nowym wystroju naszych apartamentów i osobiście przybył, by je obejrzeć. Lostris urządziła wielkie zwiedzanie komnat. Faraon zauważył jej nowy wodny sedes, z którego moja pani była tak dumna, że gdy monarcha zażyczył sobie, by zademonstrowała mu sposób jego użycia, zrobiła to bez

wahania, siadając na nim i z chichotem posyłając do rynny rozdzwonioną strugę.

Była wciąż jeszcze tak niewinna, że nawet nie zdawała sobie sprawy z efektu, jaki pokaz ten wywarł na jej małżonku. Z jego miny poznałem, że jakakolwiek próba opóźnienia go o więcej niż obiecane dziewięćdziesiąt dni niewątpliwie będzie trudna.

Po zakończeniu zwiedzania faraon usiadł w altanie i wypił kubek wina, szczerze śmiejąc się z wybryków mojej pani. Wreszcie zwrócił się do mnie:

- Taito, musisz mi zbudować podobny ogród wodny i altanę, tylko znacznie większe, a gdy już się będziesz tym zajmował, możesz też zrobić dla mnie taki sam sedes.

Gdy w końcu gotów był do odejścia, polecił mi, bym odprowadził go w pojedynkę, oficjalnie, by przedyskutować plany nowego ogrodu wodnego, lecz przejrzałem go bez trudu. Kiedy tylko wyszliśmy z haremu, ruszył na mnie.

- Ostatniej nocy śniłem o twojej pani - powiedział. -A gdy się zbudziłem, stwierdziłem, że rozlałem nasienie na pościel. Nie przytrafiło mi się to, od kiedy byłem chłopcem. Ta mała lisica opętała me myśli na jawie i we śnie. Nie mam wątpliwości, że jestem w stanie spłodzić z nią syna i że nie powinniśmy dłużej zwlekać. Jak sądzisz, czyż nie jestem już gotów na tę próbę?

- Stanowczo doradzam, byś przestrzegał terminu dziewięćdziesięciu dni, Wasza Wysokość. Przedwczesna próba byłaby szaleństwem. -Nazywanie królewskiej żądy szaleństwem to dość niebezpieczne, lecz rozpaczliwie

pragnąłem utrzymać ją w ryzach. – Roztrwonienie wszelkiej szansy powodzenia za cenę tak krótkiego okresu to rzecz nader nieroztropna.

W końcu dałem sobie z nim radę, ale gdy odchodziłem, był bardziej ponury niż kiedykolwiek.

Powróciłem do haremu i uprzedziłem moją panią o zamiarach króla, ona zaś tak dokładnie przygotowana była na zaakceptowanie nieuniknionego, że nie okazała nadmiernego zmartwienia. Do tej pory pogodziła się już zupełnie ze swoją rolą królewskiej faworyty, a moja obietnica bliskiego kresu niewoli na Elefantynie ułatwiała jej znoszenie swego położenia. Szczerze mówiąc, naszego pobytu na wyspie nie można uczciwie nazwać niewolą. My, Egipcjanie, jesteśmy najbardziej cywilizowanym narodem świata i dobrze obchodzimy się z naszymi kobietami. Słyszałem o innych ludach, jak na przykład Hurytach, Kuszytach czy Libijczykach, które traktują swe żony i córki z najwyższym okrucieństwem i wbrew naturze.

Libijczycy zamieniają karem w prawdziwe więzienie, gdzie kobiety spędzają całe swe życie, nie widząc innych mężczyzn jak tylko eunuchów i własne dzieci. Mówi się, że nawet psy i koty płci męskiej nie są wpuszczane za bramy, tak wielka jest obsesja posiadania kobiety na własność.

Huryci są jeszcze gorsi. Nie tylko zamykają swe żony i zmuszają je do przykrywania ciał od stóp do głów, lecz każą im zakrywać także twarze, nawet w obrębie haremu. Tak oto jedynie mąż ma prawo spoglądać na twarz swojej żony.

Prymitywne plemiona Kusz są najgorsze z nich wszystkich. Gdy ich kobiety wkraczają w okres dojrzewania, obrzezują je w najokrutniejszy sposób. Wycinają im łechtaczkę i wewnętrzne wargi sromowe, by usunąć źródło rozkoszy miłosnej i by nigdy nie naszła ich pokusa zejścia z drogi cnoty.

Może się to wydawać tak dziwaczne, że aż nie do uwierzenia, lecz na własne oczy widziałem efekty owych brutalnych zabiegów chirurgicznych. Trzy niewolnice mej pani schwytane zostały przez handlarzy jako dojrzałe kobiety i zaznały noża swych własnych ojców. Gdy zbadałem ziejące, pomarszczone od blizn dziury, stanowiące wszystko, co im pozostało, zrobiło mi się niedobrze, jako że moje uczucia uzdrowiciela zostały głęboko poruszone na widok takiego okaleczenia boskiego arcydzieła, jakim jest ludzkie ciało. Zaobserwowałem ponadto, że obrzezanie nie daje oczekiwanych rezultatów, gdyż pozbawia ofiarę najbardziej pożądanym elementom kobiecości, czyniąc z niej zimnego, wyrachowanego i okrutnego bezpłciowego potwora.

My, Egipcjanie, szanujemy nasze kobiety i traktujemy je jeżeli nie jako równe nam, to przynajmniej okazujemy im względy. Żaden mąż nie może obić swej żony bez zgody sędziego, ma też obowiązek odziewać ją, karmić i utrzymywać odpowiednio do własnej pozycji w społeczeństwie. Żona króla lub wielmoży nie jest zamykana w haremie, lecz w towarzystwie odpowiedniej świty ma prawo spacerować po mieście czy terenach

wiejskich. Nie zmusza jej się do ukrywania swych uroków, ale zgodnie z panującą modą i jej własnym kaprysem może zasiadać przy stole biesiadnym swego męża z odkrytą twarzą i nagimi piersiami, zabawiając jego towarzyszy rozmową i pieśnią.

Ma też prawo do samodzielnego posiadania niewolników, ziemi i majątności oddzielnie od majątku męża, choć urodzone przez nią dzieci należą wyłącznie do niego. Może łowić ryby, polować z sokołem, a nawet zajmować się łucznictwem, choć takie męskie zajęcia jak zapasy czy szermierka są jej zabronione. Istnieją też – i to jest całkowicie słuszne – pewne czynności dla niej niedostępne, takie jak studiowanie prawa czy architektury. Lecz dobrze urodzona żona jest osobą znaczącą, obdarzoną przywilejami w obliczu prawa i nie pozbawioną godności. Oczywiście rzeczy mają się inaczej w wypadku konkubiny albo żony prostego człowieka. Te mają takie same przywileje jak wół czy osioł.

Dlatego też moja pani i ja mogliśmy wędrować do woli, zwiedzając bliźniacze miasta na obu brzegach Nilu i ich okolice. Na ulicach Elefantyny Lostris wkrótce stała się ulubienicą wszystkich, toteż prości ludzie gromadzili się wokół niej, oczekując błogosławieństwa i przejawów hojności. Oklaskiwali jej wdzięk i urodę, tak jak to miało miejsce w rodzinnych Tebach. Poleciała mi, bym zawsze niósł ze sobą wielki wór ciastek i słodczy. Napychała nimi gęby wszystkich napotkanych obszarpańców, którzy w jej oczach

wymagali podkarmienia. Gdzie byśmy nie poszli, zawsze otaczało nas wrzaskliwe, roztańczone stadko dzieci.

Mej pani niezmiennie sprawiało przyjemność siedzenie z gospodynią na progu ubogiej chaty czy pod drzewem na chłopskim polu i wysłuchiwanie żalów i skarg. Przy pierwszej okazji podnosiła je w obecności faraona. Król często reagował pobłażliwym uśmiechem i godził się na proponowane przez nią rozwiązanie. Tak oto zrodziła się jej reputacja obrończyni prostego ludu. Gdy przechodziła przez najsmutniejsze, najuboższe dzielnice miasta, pozostawiała za sobą uśmiechy i radość.

Kiedy indziej znów łowiliśmy ryby z naszej małej łodzi na nieruchomych wodach lagun utworzonych wylewem Nilu albo też rozstawialiśmy sidła na dzikie kaczki. Wykonałem dla mojej pani specjalny łuk przystosowany do jej siły. Oczywiście nie mógł się równać z wielką Lanatą, jaką zaprojektowałem dla Tanusa, lecz wystarczał na wodne ptactwo, na które polowaliśmy. Lostris była lepszym strzelcem niż większość mężczyzn, jakich widziałem na strzelnicy, i kiedy wypuszczała strzałę, rzadko zdarzało się, żebym nie musiał skoczyć za burtę i płynąć, by przynieść zwłoki kaczki czy gęsi.

Gdy tylko król wyruszał na łowy z jastrzębiem, moja pani zapraszana była do współuczestnictwa. Przetrzęsaliśmy obrzeża kęp papirusu, a ja szedłem wtedy za nią z moimi rarogami na ramieniu. Skoro tylko jakaś czapla podrywała się z ukrytej w trzcinach sadzawki, bijąc ciężko skrzydłami,

Lostris brała ode mnie sokoła i całowała jego zakapturzoną głowę.

- Leć szybko i pewnie, mój śliczny! - szeptała i ściągała kaptur, odkrywając płonące, żółte oczy ptaka i wypuszczając wspaniałego małego mordercę w powietrze.

Patrzyliśmy jak urzeczeni, gdy sokół wzbijał się wysoko ponad swą ofiarę, potem składał sierpowate skrzydła i nurkował z taką prędkością, że wiatr śpiewał na plamistym upierzeniu. Odgłos uderzenia brzmiał wyraźnie w naszych uszach z odległości dwustu kroków. Chmura bladobłękitnych piór rozpryskiwała się na tle ciemnej plamy niebieskiego nieba, a potem nadrzeczna bryza przeganiała ją jak dym. Sokół chwycił swą zdobycz zakrzywionymi pazurami i ściągał ją na ziemię. Moja pani krzyczała triumfalnie i pędziła szybko jak chłopiec, by odebrać ptaka, pochwalić go wylewnie i obsypać pieśczołami, a potem nakarmić odrąbaną głową czapli.

Kocham wszystkie stworzenia wodne, ziemne i powietrzne. Moja pani podziela me uczucia. Zastanawiam się przeto nieraz, dlaczego oboje tak podniecamy się sportami łowieckimi? Niejednokrotnie głowiłem się nad tym, ale nie znalazłem odpowiedzi. Być może jest tak dlatego, gdyż mężczyzna i kobieta są najbardziej zajadłymi drapieżnikami na Ziemi. Czujemy pokrewieństwo z sokołem, jego urodą i szybkością. Czapla i gęś dane zostały sokołowi przez bogów jako prawowita zdobycz. W ten sam sposób człowiekowi dane zostało zwierzchnictwo nad wszystkimi innymi stworzeniami

świata. Nie możemy wyprzeć się owych instynktów, jakimi obdarowali nas bogowie.

Od najmłodszych lat, gdy tylko nabrała sił i wytrzymałości wystarczających, by dotrzymać nam kroku, pozwalałem Lostris towarzyszyć sobie i Tanusowi w wyprawach łowieckich i rybackich, jako że mój pan, książę Intef, być może by zamaskować zawiść wobec swego rywala, księcia Harrab, przystał na moje myśliwskie wypady z młodym Tanusem.

Przed laty Tanus i ja zajęliśmy opuszczoną chatkę rybaka, którą odkryliśmy na skraju bagien pod Karnakiem. Uczyniliśmy z niej nasz sekretny domek myśliwski. Z chatki blisko było do granic prawdziwej pustyni. Ta wygodna baza umożliwiała nam dokonywanie wyboru pomiędzy łowieniem ryb na lagunie a polowaniem na wodne ptactwo czy nawet łowami z jastrzębiem na owego szlachetnego ptaka, gigantycznego dropia, żyjącego w głębi pustyni.

Początkowo Tanus nie mógł pogodzić się z wtargnięciem do naszego prywatnego świata chudej niezdarnej dziewięciolatki o piersi płaskiej jak u chłopca. Wkrótce jednak przywykł do jej obecności, a nawet przyznał, że wygodnie jest mieć kogoś na posyłki, kogoś, kto wykonywałby za niego nieprzyjemną czarną robotę w obozie.

Tak oto Lostris stopniowo gromadziła wiedzę o świecie poza murami pałacu, dopóki nie poznała w końcu właściwej nazwy każdej ryby i ptaka i nie umiała z równą wprawą posługiwać się harpunem jak łukiem myśliwskim.

Ostatecznie Tanus stał się z niej tak dumny, jakby to on w pierwszym rzędzie zaprosił ją, by się do nas przyłączyła.

Lostris była z nami wśród czarnych skalistych wzgórz nad doliną rzeki tego dnia, gdy Tanus upolował zabójcę bydła. Stary, pokryty bliznami lew samiec o czarnej grzywie, falującej w rytm jego kroków niczym pole pszenicy na wietrze, obdarzony był głosem niczym grom z niebios. Spuściliśmy na niego sforę moich psów i podążyliśmy za nimi. Zegnały lwa z pastwiska, na którym zabił ostatniego wołu, w głąb kamienistego terenu. Otoczyły go u wylotu skalistego wąwozu. Lew zauważył nas, kiedy tylko się zbliżyliśmy, i roztrącił psy na boki, szarżując na nas.

Gdy pędził ku nam, sapiąc i rycząc, moja pani stała niezachwianie jedynie o krok za lewym ramieniem Tanusa, naciągając do oporu swój drobny łuk. Oczywiście to Tanus zabił bestię, posławszy z sykiem strzałę z potężnej Lanaty prosto w rozwarte szczęki, lecz wówczas ujrzeliśmy w pełni odwagę Lostris.

Przypuszczam, że to właśnie owego dnia Tanus po raz pierwszy uświadomił sobie prawdziwą naturę uczucia, jakim ją darzył, natomiast jeżeli chodziło o moją panią, łowy i pogoń na zawsze powiązane były z obrazami i wspomnieniami ojej ukochanym. Od tego czasu stała się zapalonym myśliwym. Od Tanusa i ode mnie nauczyła się darzyć zwierzyne szacunkiem, zarazem nie obciążając się winą przy korzystaniu z danej przez bogów władzy nad innymi stworzeniami tego świata. Wykorzystywała je jako

zwierzęta pociągowe, spożywała jako strawę i ścigała je jako zwierzynę łowną.

Możemy posiadać przewagę nad bezrozumnymi stworzeniami, lecz w ten sam sposób wszyscy mężczyźni i kobiety stanowią bydło faraona i nikt nie może temu zaprzeczyć. Dokładnie dziewięćdziesiątej nocy król przysłał Atona, by przyprowadził mu moją panią.

Ze względu na naszą przyjaźń i swe uczucia wobec mej pani Aton ostrzegł mnie z dużym wyprzedzeniem. Byłem więc w stanie dokonać ostatnich przygotowań, zanim się zjawił.

Ostatni raz poleciłem Lostris dokładnie powtórzyć słowa, jakimi miała się zwrócić do króla, i sposób, w jaki ma się zachowywać w jego obecności. Następnie użyłem balsamu, który zarezerwowałem specjalnie na tę okoliczność. Nie była to zwykła maść, zawierała bowiem wywar z zioła, którego używam dla innych pacjentów do złagodzenia bólu zęba i podobnych pomniejszych dolegliwości. Jego właściwością było znieczulanie wrażliwych błon śluzowych.

Zachowywała się dzielnie aż do momentu, gdy w drzwiach stanął Aton. Wtedy odwaga opuściła ją zupełnie i Lostris odwróciła się do mnie z oczyma pełnymi łez.

- Nie mogę pójść sama. Boję się. Proszę, chodź ze mną, Taito.

Zbladła pod makijażem, jaki jej tak starannie nałożyłem, dostała dreszczy i jej białe ząbki zadzwoniły cicho o siebie.

- Pani, wiesz dobrze, że to niemożliwe. Faraon posyła po ciebie. Tym razem nie mogę ci pomóc.

Właśnie wtedy Aton przyszedł jej w sukurs.

- Taita mógłby zaczekać w przedpokoju sypialni króla razem ze mną. W końcu jest królewskim lekarzem i jego usługi mogą być potrzebne - zasugerował piskliwym głosem, a moja pani wspięła się na palce, by ucałować go w tłusty policzek.

- Jesteś taki kochany, Atonie - wyszeptała, a on się zaczerwienił.

Gdy podążaliśmy za nim przez labirynt przejść ku apartamentom króla, moja pani Lostris przez cały czas kurczowo trzymała mnie za rękę. W przedpokoju ścisnęła mocno, a potem puściła moją dłoń i podeszła do wejścia do królewskiej komnaty. Przystanęła i obejrzała się na mnie. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak uroczo, tak młodo ani tak bezbrannie. Serce pękało mi z bólu, lecz uśmiechnąłem się, by dodać jej odwagi. Odwróciła się i przeszła przez zasłony. Dobiegł mnie szmer witającego ją królewskiego głosu i cicha odpowiedź.

Aton usadowił mnie na stołku przy niskim stoliku, a potem bez słowa rozstawił między nami planszę do senet. Grałem nieuważnie, przesuwając wypolerowane okrągłe kamienie w otworach wyżłobionych w drewnianej planszy, i Aton wygrał trzy szybkie partie jedną po drugiej. Rzadko udawało mu się dotąd mnie pokonać, lecz teraz moją uwagę rozpraszały dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia głosy, aczkolwiek zbyt ciche, by odróżnić pojedyncze słowa.

Nagle usłyszałem, że moja pani mówi wyraźnie, dokładnie tak jak ją wyszkoliłem:

- Proszę Waszą Wysokość, obchodź się ze mną łagodnie. Zaklinam cię, nie zrób mi krzywdy.

Apel ten był tak wzruszający, że nawet Aton zakaszłał cicho i wytarł nos w rękaw, ja zaś z trudem zdołałem się opanować, by nie zerwać się na nogi, nie popędzić za zasłony i nie unieść Lostris w bezpieczne miejsce.

Na chwilę zapanowało milczenie, potem pojedynczy, wysoki, płaczliwy krzyk rozdarł me serce i znów zapadła cisza.

Siedzieliśmy z Atonem zgarbieni nad planszą do senet i już nawet nie próbowaliśmy grać. Nie mam pojęcia, jak długo czekaliśmy, lecz musiało już być dobrze po ostatniej zmianie warty, gdy usłyszałem wreszcie dobiegające zza kotary chrapanie starego człowieka. Aton podniósł na mnie wzrok i skinął głową, potem podniósł się ociężale.

Zanim dotarł do zasłony, ta rozstała się, przez drzwi wybiegła moja pani i podążyła prosto do miejsca, gdzie siedziałem.

- Zabierz mnie do domu, Taito - wyszeptała.

Nie zastanawiając się, wziąłem ją na ręce, a ona zarzuciła mi ramiona na szyję i wsparła swą główkę na mej piersi, tak jak to robiła, będąc jeszcze małą dziewczynką. Aton podniósł oliwną lampę i przyświecał nam w drodze do haremu. Zostawił nas u drzwi sypialni mojej pani. Złożyłem Lostris na łóżku i, gdy przysnęła, zbadałem ją ostrożnie. Było tylko trochę krwi, jedynie plama na tych jedwabistych udach, już zakrzepła.

- Boli cię, maleńka? - zapytałem łagodnie, a ona otworzyła oczy, pokręciła głową i całkiem niespodzianie uśmiechnęła się do mnie.

- Nie wiem, po co to całe zamieszanie - wymruczała. - W końcu nie było to wiele gorsze od używania twojego wodnego sedesu i wcale nie trwało dłużej.

Po tych słowach zwinęła się w kłębek i zasnęła.

Nieomalże popłakałem się z ulgi. Wszystkie moje przygotowania i znieczulające zioła, jakie zastosowałem, przeprowadziły ją przez to doświadczenie bez szkody dla jej ciała i delikatnego ducha.

Rano wyjechaliśmy z sokołami na łowy, jak gdyby nic niepomysłnego się nie przydarzyło, a moja pani tylko raz w ciągu całego dnia poruszyła ten temat. Gdy jedliśmy posiłek na brzegu rzeki, zapytała w zamyśleniu:

- Czy z Tanusem będzie tak samo, jak sądzisz, Taito?

- Nie, pani. Ty i Tanus się kochacie. Będzie zupełnie inaczej. Będzie to najwspanialszy moment w całym twoim życiu - zapewniłem ją.

- Tak, w głębi serca wiem, że tak właśnie powinno być - wyszeptała i mimowolnie spojrzeliśmy oboje ku północy wzdłuż wielkiego łuku Nilu, w stronę skrytego daleko za horyzontem Karnaku.

Chociaż wiedziałem, na czym polega mój obowiązek wobec Tanusa, życie na wyspie było tak beztraskie i tak wielką przyjemnością sprawiało mi wyłączone towarzystwo mej pani, że opóźniałem odjazd, tłumacząc się tym, że ona wciąż mnie potrzebuje. Prawdę powiedziawszy, chociaż

faraon posyłał po nią noc w noc, Lostris obdarzona była twardą i odporną naturą, otrzymała też błogosławieństwo w postaci w pełni rozwiniętego instynktu samozachowawczego. Bardzo szybko nauczyła się, jak zadowolić króla, pozostając nietkniętą i emocjonalnie przez to niezachwianą. Nie potrzebowała mnie tak bardzo jak Tanus. Wreszcie to ona zaczęła nalegać, bym pozostawił ją na Elefantynie i wyruszył raz jeszcze w dół rzeki.

Ociągałem się aż do pewnego wieczoru, kiedy po całym dniu spędzonym na świeżym powietrzu w towarzystwie króla powróciliśmy późno do pałacu. Zanim udałem się do swoich pokoi, dopilnowałem, by moja pani została wykąpana i by przygotowano dla niej wieczorny posiłek.

Gdy wszedłem do komnaty, powietrze wypełniał smakowity zapach świeżych granatów i mango. Na środku podłogi stał duży, zamknięty kosz, który, jak mogłem się domyślać, wypełniony był tymi dwoma ulubionymi przeze mnie gatunkami owoców. Nie zdziwił mnie jego widok, gdyż rzadko mijał dzień bez podarków przysłanych mojej pani i mnie przez kogoś starającego się o naszą przychyłność.

Zastanawiałem się, któż mógł to być tym razem, a kiedy kolejna fala zapachu dotarła do nozdrzy, poczułem, że ślina wypełnia mi usta. W końcu nie jadłem od południa. Podniosłem wyplataną pokrywę, sięgając po najczerwieńszy i najdojrzały granat, a owoce rozsypały się i potoczyły po podłodze. Rozległ się syk, olbrzymia czarna kula poskręcanych zwojów i migoczących łusek wypadła z kosza, rzucając się na moje nogi.

Odskokczyłem do tyłu, niestety nie wystarczająco szybko. Rozwarte szczęki węża uderzyły w skórzaną podeszwę sandała z taką siłą, że o mało nie straciłem równowagi. Chmura jadu wytrysnęła z zagiętych zębów. Przezroczysta, lecz zabójcza ciecz zwilżyła mi skórę na kostce, ale kolejnym skokiem udało mi się uniknąć drugiego ataku, który nastąpił natychmiast po pierwszym. Oparłem się plecami o ścianę w przeciwległym rogu pokoju.

Kobra i ja mierzyliśmy się wzrokiem przez szerokość pokoju. Połowa jej ciała zwijała się w nakładające się na siebie pierścienie, lecz łeb wznosił się na wysokość mego ramienia. Rozpostarty kaptur ukazywał pokrywające go szerokie czarne i białe pasy. Niczym przerażająca czarna lilia śmierci kołysząca się na swej łodydze, kobra obserwowała mnie błyszczącymi, drobnymi jak paciorki oczyma i uświadomiłem sobie, że wąż znajduje się między mną a jedynym wyjściem z komnaty.

To prawda, że niektórzy trzymają kobry jako zwierzęta domowe. Daje się im swobodny wstęp na teren gospodarstwa, one zaś utrzymują w ryzach populację szurów i myszy zamieszkujących w budynku. Taka kobra będzie pić mleko z dzbana i oswoi się niczym kociak. Są jednak i inne, za pomocą tortur i drażnienia przekształcane w zabójcze narzędzia mordercy. Nie miałem wątpliwości, przedstawiciel którego rodzaju stał teraz przede mną.

Przesunąłem się bokiem wzdłuż ściany, próbując obejść węża i dotrzeć w bezpieczne miejsce. Kobra rzuciła się na mnie, wewnątrz jej rozwartej paszczy miało mdliście żółtą

barwę, pasma jadu ściekały z czubków zębów. Mimowolnie wrzasnąłem z przerażenia, odskoczyłem do tyłu i skuliłem się ponownie w kącie. Gad szybko doszedł do siebie po ataku i wyprostował się. Nadal odcinał mnie od drzwi. Wiedziałem, że trucizna w jego torebkach jadowych była wystarczająco silna, by zabić stu mocno zbudowanych mężczyzn. Gdy jej się przyglądałem, kobra powoli rozwinęła dolną część odwłoka i poczęła pełznąć ku mnie po podłodze, wysoko unosząc wybrzuszoną na kształt kłosa głowę i nie odwracając ode mnie swych przerażających, błyszczących oczek.

Widziałem już, jak podobny wąż hipnotyzował dzikiego ptaka, który nie próbował nawet uciekać przed zbliżającym się falistym ruchem gadem, lecz trwał przed nim z osobliwą rezygnacją. Byłem teraz sparaliżowany w taki sam sposób i stwierdziłem, że nie jestem w stanie się poruszyć ani ponownie krzyknąć, choć śmierć ślizgała się w moją stronę.

Wtedy nagle dostrzegłem ruch za kołyszącą się kobrą. W drzwiach, przywołana mym pierwszym okrzykiem, pojawiła się moja pani. Odzyskałem znów głos i zawołałem:

- Uważaj! Nie podchodź bliżej!

Nie zwróciła uwagi na moje ostrzeżenie, jednym spojrzeniem omiatając całą scenę. Chwila wahania czy spóźnienia z jej strony, a wąż uderzyłby mnie po raz trzeci i ostatni. Moja pani wieczerzała, gdy usłyszała mój wrzask. Stała teraz z na wpół zjedzonym melonem w jednej dłoni i srebrnym nożem w drugiej. Zareagowała błyskawicznie tak, jak nakazywał instynkt prawdziwego myśliwego.

Tanus wytępił w niej niezgrabny sposób rzucania z dwóch stawów, naturalny dla kobiety, tak więc cisnęła trzymanym w ręce melonem z siłą i precyzją wyszkolonego oszczepnika. Owoc uderzył kobrę w rozpostarty kaptur i na mgnienie oka impet trafienia rozpląszczył gada na posadzce. Niczym zwolnione łączysko wojennego łuku wąż wyprostował się błyskawicznie i obrócił ohydny łeb ku mojej pani, a potem błyskawicznie przesunął się przez pokój, rzucając się do ataku.

Wyrwałem się wreszcie z transu i skoczyłem, by jej pomóc, lecz byłem zbyt wolny. Wykorzystując swój ogon jako punkt podparcia, kobra wystrzeliła przed siebie, mierząc w Lostris szczękami tak szeroko rozwartymi, że jad z podniesionych kłów rozprysnął się w delikatną, mglistą chmurkę. Moja pani dała susa w tył, zwinna i szybka jak gazela umykająca przed szarżą polującego geparda. Kobra nie trafiła i na moment pęd natarcia rozpląszczył ją u stóp Lostris, wyprostowaną na całą długość połyskującego, pokrytego łuskami cielska.

Nie mam pojęcia, co ją opętało, ale z pewnością mojej pani nie brakowało odwagi. Zanim gadzina odzyskała równowagę, Lostris ponownie skoczyła do przodu i obutymi w sandały drobnymi stopami wylądowała na jej karku, przyciskając do posadzki całym swoim ciężarem.

Być może miała nadzieję zmiażdżyć jej kręgosłup, lecz wąż był tak gruby jak jej nadgarstek i sprężysty jak bat Rasfera. Mimo unieruchomionej głowy miotał się na boki, owijając się wokół jej nóg. Kobieta obdarzona mniejszą

dozą rozsądku i opanowania spróbowałyby pewnie uwolnić się z tego odrażającego uchwytu. Gdyby tak uczyniła, zginęłaby, jako że natychmiast, kiedy uwolniłaby głowę kobry, nastąpiłby zabójczy atak.

Miast tego Lostris trzymała pewnie obie stopy na wijącym się wężu, rozpościerając ramiona, by utrzymać równowagę.

- Pomóż mi, Taito! - krzyknęła.

Byłem już w połowie pokoju, zanurkowałem więc teraz szczupakiem, wpychając ręce w kłębiące się wokół jej nóg zwoje węzowego cielska. Macając po nim, sięgnąłem do zwężającej się szyi, chwyciłem ją i zacisnąłem obie dłonie na gardle kobry.

- Mam ją! - wrzasnąłem ledwie zrozumiale, uniesiony własnym przerażeniem i odrazą do tego zimnego, pokrytego łuską stworzenia miotającego się w moim uścisku. - Mam ją. Cofnij się! Trzymaj się z daleka!

Moja pani odskoczyła posłusznie, a ja wstałem, ściskając kobrę z szaleńczą siłą i starałem się utrzymać rozwarte szczęki z dala od mojej twarzy. Ogon bił na boki i owijał mi się wokół ramion i szyi, grożąc, że mnie zadusi, w czasie gdy ja trzymałem łeb. Uchwyciwszy mnie, wąż zyskał punkt oparcia, a jego siła była przerażająca. Stwierdziłem, że nie jestem w stanie go utrzymać nawet obiema dłońmi splecionymi wokół gardła. Powoli wyrывał głowę z uchwytu, nieubłaganie przeciskając ją pomiędzy palcami. Uświadomiłem sobie, że gdy tylko wyrwie się z uścisku, zaatakuje moją nieosłoniętą twarz.

- Nie mogę jej utrzymać! - krzyknąłem bardziej do siebie niż do mojej pani Lostris.

Trzymałem kobrę na wyciągnięcie ręki, lecz ta przeciskała się ku mojej twarzy, z każdą chwilą zbliżała się do oczu w rytm fal energii przepływających przez jej ciało. Skracala i zaciskała zwoje wokół mego gardła, przepychając swą głowę przez palce.

Choć kłykcie zbiegły mi od wysiłku, jaki wkładałem w zaciskanie chwytu, gad był już tak blisko mojej twarzy, że mogłem dostrzec podnoszące się i opadające zęby w podniebieniu szeroko otwartej gardzieli. Kobra potrafiła ustawiać je pionowo i kłaść równolegle do podniebienia. Były to białe kościane igły, z których czubków tryskały blade, mętne strugi jadu. Wiedziałem, że gdyby choć jedna kropelka prysnęła mi w oko, oślepiłaby mnie, a palący ból zagnałby mnie na krawędź szaleństwa.

Odgiąłem głowę węża od mojej twarzy, tak że chmura trucizny rozpyliła się w powietrzu, i w rozpaczy wrzasnąłem ponownie:

- Przywołaj niewolnika na pomoc!

- Na stół! - odpowiedziała moja pani, stając tuż obok. - Połóż jej łeb na stole!

Przeżyłem wstrząs. Myślałem, że Lostris posłuchała mego polecenia i pobiegła po pomoc, a ona tkwiła u mego boku. Zauważyłem, że wciąż wymachuje srebrnym nożem stołowym.

Wlokąc kobrę ze sobą, przeszedłem z wysiłkiem przez pokój i padłem na kolana przy niskim stole. Z najwyższym

trudem zdołałem przydusić łeb węża do skraju blatu i przytrzymać go w tej pozycji. Stworzyłem w ten sposób dla mojej pani prowizoryczny pieniek katowski, w który mogła bić nożem. Lostris uderzyła kobrę w kark, tuż za odrażającym łbem.

Wąż poczuł ból pierwszego cięcia i zdwoił swe starania. Sprężyste jak guma ciało, zwój za zwojem, chlastało mnie po twarzy i zaciskało się wokół głowy. Powietrze z sykiem dobywało się z paszczy, niemal nas ogłuszając. Okropny hałas towarzyszył kolejnym wytryskom trucizny.

Mały nóż był ostry, więc pokryte łuskami ciało rozstępowało się pod jego naciskiem. Śliska, zimna, gadzia krew popłynęła po moich palcach, a ostrze wgryzło się w kości kręgosłupa. Ze wszystkich sił, z twarzą wykrzywioną wysiłkiem moja pani przecinała kręg, ale palce miałem usmarowane teraz posoką kobry. Poczułem, jak jej łeb prześlizguje się między nimi, i nagle wąż był wolny. Lecz w tej samej chwili nóż znalazł połączenie między kręgami i wcisnął się w nie, rozszczepiając kręgosłup.

Łeb zwiśł na płacie skóry, tańczył na boki miotany przedśmiertnymi podrygami. Choć nóż prawie całkowicie oddzielił go od reszty cielska, zęby wciąż poruszały się i ociekały jadem. Wystarczyłoby najlżejsze dotknięcie, by wbić je w ciało. Szarpałem szaleńczo bydlaka zakrwawionymi palcami i w końcu zdołałem odwinąć go z szyi i cisnąć na podłogę.

Gdy wycofaliśmy się ku drzwiom, kobra nadal tańczyła swój groteskowy konwulsyjny taniec, zwijając się w kłębek, a pokryte łuskami pierścienie prześlizgiwały się jeden po drugim.

- Nic ci się nie stało, moja pani? - zapytałem, nie potrafiąc oderwać wzroku od śmiertelnych skrętów zdychającego węża. - Czy jad dostał ci się do oczu, kapnął na skórę...?

- Nic mi nie jest - wyszeptała. - A tobie, Taito?

Brzmienie tego głosu zaniepokoiło mnie tak dalece, że zapomniałem o własnym położeniu i spojrzałem jej w oczy. Reakcja na przeżyte niebezpieczeństwo zaczęła już się w nich odbijać, ciało Lostris ogarnęło drżenie. Ciemnozielone oczy tak się powiększyły, że prawie nie mieściły się w szklistej białej twarzy. Musiałem znaleźć jakiś sposób na wyrwanie jej z lodowatego uścisku szoku.

- No cóż - powiedziałem z ożywieniem - jutrzejszą kolację mamy z głowy. Przepadam za kawałkiem dobrze upieczonej kobry.

Przez moment Lostris wpatrywała się we mnie tępo, a potem z jej gardła wyrwał się wysoki, histeryczny śmiech. Mój własny rechot był nie mniej szalony i niepohamowany. Opletliśmy się bezsilnie ramionami i zanosiliśmy się śmiechem, dopóki łzy nie potoczyły się po naszych policzkach.

W tej sprawie nie zaufałym naszemu kucharzowi, sam więc przygotowałem kobrę. Obrąłem ją ze skóry, wypatroszyłem i wypchałem dzikim czosnkiem i innymi

ziołami, dodawszy też kawał pierwszorzędnego tłuszczu z baraniego ogona. Potem zwinąłem mięso i opatuliłem liśćmi bananowca, a całość oblepiłem grubą warstwą gliny. Nad tą grudą rozpałem ognisko i podsyciałem je przez cały dzień.

Wieczorem rozłupałem wypaloną na twardo glinę, a aromat wydzielany przez soczyste białe mięso napełnił nasze usta śliną. Wśród tych, którzy wieczerzali przy moim stole, są i tacy, którzy utrzymują, iż nigdy nie jadali pożywienia smaczniejszego niż to przyrządzone przeze mnie, a kimże jestem, by się sprzeciwiać moim przyjaciołom?

Podąłem mej pani soczyste filety wraz z pięciopalmowym winem, na jakie natrafił przypadkiem Aton w spiżarni faraona. Moja pani Lostris nalegała, byśmy usiedli w altanie i spożyli posiłek wspólnie. Zgodziliśmy się, że smakiem przewyższał on ogon krokodyla, a nawet i najdelikatniejsze mięso nilowych okoni.

Dopiero gdy najedliśmy się do syta, a resztki posłaliśmy jej niewolnicom, poruszyliśmy kwestię, kto przysłał mi ów kosz owoców w podarku.

Starąłem się nie niepokoić Lostris i obróciłem wszystko w żart:

- To musiał być ktoś, komu nie podoba się mój śpiew!

Nie dała się jednak zbyć byle czym.

- Nie rób z siebie błazna, Taito. W tym jednym kierunku bogowie poskąpili ci talentu. Myślę, że wiesz, kto to był, i ja chyba też to wiem.

Spojrzałem na nią, nie mając pojęcia, jak stawić czoło temu, co, jak przypuszczałem, nadciągało. Zawsze starałem się ją ochraniać, nawet przed prawdą. Zastanawiało mnie to, jak dalece mnie przejrzała.

- To mój ojciec - powiedziała z niezachwianą pewnością, tak że nie było jak jej zaprzeczyć czy odpowiedzieć. - Opowiedz mi o nim, Taito. Powiedz mi wszystko, co powinnam wiedzieć, a czego nigdy nie ośmieliłeś się mi zdradzić.

Na początku było ciężko. Praktykowanej przez całe życie powściągliwości nie da się przewyciężyć w ciągu chwili. Wciąż z trudem przyjmowałem do wiadomości, że nie byłem już zniewolony przez księcia Intefa. Mimo siły mej starej nienawiści, jaką do niego czułem, był przecież panem mego ciała i ducha od dzieciństwa, co pozostawiło w sercu swego rodzaju wypaczone poczucie lojalności, utrudniające otwarte wypowiedanie się przeciw niemu. Niezdarnie próbowałem omamić ją najogólniejszym z możliwych streszczeniem tajemnych działań jej ojca, lecz Lostris przerwała mi niecierpliwie.

- Dalej! Nie traktuj mnie jak głupca. Wiem o moim ojcu więcej, niż ci się śniło. Już czas, bym dowiedziała się reszty. Rozkazuję ci, opowiedz mi o wszystkim.

Posłuchałem więc, a do opowiedzenia było tak wiele, że gdy skończyłem, księżyc w pełni przebył już połowę swej drogi po nocnym niebie. Przez długi czas siedzieliśmy w milczeniu. Nie pominąłem niczego, nie próbowałem też wyprzeć się ani usprawiedliwić mojej roli w tym wszystkim.

- Nic dziwnego, że pragnie twojej śmierci - szepnęła w końcu. - Wiesz dosyć, by go zniszczyć. - Zamilkła ponownie na moment, potem ciągnęła dalej. - Mój ojciec to potwór. Jak to możliwe, że nie jestem do niego ani trochę podobna? Dlaczego jako jego córka nie zostałam obdarzona podobnie nienaturalnymi instynktami?

- Powinniśmy dziękować za to wszystkim bogom. Lecz czy nie pogardzasz także mną za to, co uczyniłem?

Wyciągnęła dłoń i musnęła palcami moją rękę.

- Zapominasz, że znam cię przez całe życie, od dnia, w którym zmarła moja matka, wydając mnie na świat. Wiem, kim naprawdę jesteś. Cokolwiek uczyniłeś, zmuszono cię do tego. Bez wahania ci to wybaczam.

Poderwała się na nogi i niespokojnym krokiem obeszła porośnięty liliami staw, potem dopiero powróciła na miejsce.

- Tanusowi grozi ze strony mego ojca straszliwe niebezpieczeństwo. Aż do dzisiejszego wieczoru nie uświadamiałam sobie jego rozmiarów. Trzeba go ostrzec, by mógł się obronić. Musisz się do niego teraz udać, Taito. Nie marnuj już ani jednego dnia więcej.

- Pani... - zacząłem, lecz ona przeszkodziła mi obcesowo.

- Nie, Taito. Nie mam zamiaru dłużej wysłuchiwać twoich perfidnych wykrętów. Jutro wyruszasz do Karnaku.

Tak więc następnego ranka przed wschodem słońca wybrałem się w pojedynek na ryby naszą łodzią. Upewniłem się, że co najmniej tuzin niewolników widziało, jak odpływam z wyspy.

Na martwych wodach zatoki otworzyłem skórzany worek, gdzie ukryłem kocura, który się ze mną ostatnio zaprzyjaźnił. Stary, smutny zwierzak obsypany był parchami i bolesnymi naroślami w obu uszach. Od jakiegoś czasu zbierałem się do tego, by uwolnić go od tego cierpienia. Teraz nakarmiłem go kawałkiem surowego mięsa polanym wywarem z bielunia, Wziąłem go na kolana i głaskałem, a on jadł, pomrukując z zadowolenia. Gdy tylko bezboleśnie zapadł w niebyt, poderżnąłem mu gardło.

Krwią obryzgałem łódź, a kocią padlinę rzuciłem za burtę w miejsce, o którym wiedziałem, że krokodyle szybko się z nią rozprawią. Następnie, zostawiwszy na pokładzie harpuny, liny i pozostały sprzęt, wypchnąłem łódź w wolno płynący nurt rzeki i brodząc, przeszedłem przez papirusowe zarośla na stały grunt.

Ustaliliśmy, że moja pani odczeka do zmierzchu z podniesieniem alarmu. Nie wcześniej jak w południe dnia następnego odnaleziona zostanie umazana krwią łódź i wszyscy dojdą do oczywistego wniosku, że zostałem porwany przez krokodyla albo zamordowany przez bandę Dzierzbów.

Gdy wyszedłem na brzeg, przebrałem się pośpiesznie w strój, jaki wziąłem ze sobą. Zdecydowałem się udawać kapłana Ozyrysa. Nierzadko, by rozbawić moją panią, małpowałem ten sztywny krok i nadęte maniery. Do dokonania przemiany potrzebowałem jedynie peruki, odrobiny makijażu i właściwego odzienia. Kapłani są w ciągłym ruchu, przemieszczają się w górę i w dół rzeki,

podróżując od jednej świątyni do drugiej, po drodze żebrzą o jałmużnę, a raczej ją wymuszają. Zwrócę na siebie niewiele uwagi, a moje przebranie może pomóc w uniknięciu napadu Dzierzbów. Ci przesądni ludzie niechętnie zadawali się ze świętymi mężami.

Okrzyżłem zatokę i przez dzielnicę biedoty wkroczyłem do Zachodniej Elefantyny. W porcie zaczepiłem kapitana jednej z barek ładujących transport pszenicy i wypełnionych oliwą w glinianych dzbanach. Z odpowiednią dozą bezczelności zażądałem darmowego przejazdu do Karnaku w imieniu boga, on zaś wzruszył ramionami, spluwając na pokład, lecz zezwolił mi się zaokrętować. Wszyscy dawno się pogodzili ze zdzierstwem tego bractwa. Mogą gardzić kapłanami, lecz lękają się ich mocy, tak duchowej jak i świeckiej. Niektórzy twierdzą, że kapłaństwo posiada władzę niemalże równą potędze samego faraona.

Księżyc był w pełni, a kapitan należał do marynarzy śmielszych od admirała Nembeta. Nie rzucaliśmy na noc kotwicy. Gnani bryzą i pełną mocą nilowego nurtu płynęliśmy bez zatrzymania, a piątego dnia wyszliśmy zza zakola rzeki i ujrzeliśmy rozciągające się przed nami miasto Karnak.

Gdy schodziłem na brzeg, czułem ściskanie w żołądku, jako że było to moje miasto i każdy żebrak czy próżniak dobrze mnie znał. Gdybym został rozpoznany, księżę Intef usłyszałby o tym, zanim zdążyłbym dotrzeć do bram miejskich. Przebranie wszakże poskutkowało, a ponadto

trzymałem się bocznych uliczek, spiesząc z należnym kapłanowi zdecydowaniem do domu Tanusa niedaleko bazy flotyli.

Frontowe wejście było otwarte. Wszedłem tak, jakbym miał do tego pełne prawo, dokładnie zamykając za sobą drzwi. Surowo umeblowane pokoje były opuszczone, a gdy je przeszukałem, nie znalazłem niczego, co udzieliłoby mi jakiegokolwiek wskazówki na temat obecnego miejsca pobytu ich właściciela. Tanus najwidoczniej opuścił to miejsce dawno temu, możliwe że wówczas, gdy moja pani wyjechała z Karnaku. Mleko w dzbanku przy oknie zgęstniało i zaschło jak twardy ser, a skórka chleba z sorgo na talerzu obok dzbana pokryta była błękitną pleśnią.

Na ile mogłem to sprawdzić, nic nie zginęło; nawet Lanata wisiała na uchwytych nad łóżkiem. Nie było rzeczą zwyczajną, by Tanus tak ją zostawiał. Zwykle traktował ten łuk jak przedłużenie swego ciała. Ukryłem go starannie pod łóżkiem w tajnej skrytce, którą skonstruowałem dla niego, gdy tylko wprowadził się do tego mieszkania. Wolałem unikać poruszania się po mieście za dnia, pozostałem więc w domu Tanusa przez resztę popołudnia, zajęty zamiataniem nagromadzonego kurzu i brudu.

O zmroku wyslizgnąłem się z domu i poszedłem ku nabrzeżu. Natychmiast dostrzegłem, że „Oddech Horusa” cumuje na swoim zwykłym miejscu. Od kiedy ostatni raz go widziałem, najwyraźniej brał udział w walce, bo odniósł bitewne obrażenia. Jego dziób był strzaskany, deski śródpokładu opalone i zwęglone.

Z uczuciem autorskiej dumy zauważyłem, że Tanus zrealizował zaprojektowane przeze mnie modyfikacje konstrukcji kadłuba. Połączony metalowy róg wystawał z dzioba okrętu tuż nad linią wody. Z jego pokiereszowanego wyglądu wywnioskowałem, że zebrał krwawe żniwo wśród flot czerwonego oszusta.

Napokładzie nie dostrzegłem jednakże ani Tanusa, ani Kratasa. Wachtę pełnił znany mi młodszy oficer, lecz odrzuciłem pomysł, by go zawołać, i zamiast tego wyruszyłem na obchód portowych spelunek w rejonie przystani.

Wiele o morale i świętości kapłanów Ozyrysa mówi to, że w tych knajpach i burdelach witany byłem jak stały bywalec. W jednej z szacowniejszych tawern dojrzałem masywną postać Kratasa. Zastępca Tanusa pił i grał w kości z grupą oficerskiej braci. Nie próbowałem nawet się do niego zbliżyć, a jedynie obserwowałem go spod przeciwległej ściany zatłoczonej sali. Tymczasem opędzałem się przed zalotami szeregu prostytutek płci obojga, które stopniowo obniżały swą taryfę w nadziei, że zwabią mnie w którąś z mrocznych alejek celem pokosztowania ich otwarcie ukazywanych uroków. Żadnej w najmniejszym stopniu nie zniechęcił mój kapłański naszyjnik z niebieskich szklanych paciorków.

Gdy Kratas pożegnał się wreszcie serdecznie ze swymi towarzyszami i wyszedł na ulicę, z ulgą podążyłem za jego wysoką postacią.

- Czego chcesz ode mnie, wybrańcu bogów? - warknął na mnie szyderczo, gdy zrównałem się z nim pospiesznie. - Pożadasz mego złota czy kutasa?

Wielu kapłanów z entuzjazmem powitało nową modę na pederastię.

- Wezmę złoto - odparłem. - Masz go więcej niż tego drugiego, Kratasie.

Zatrzymał się jak wryty i zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem. Jego szczera, przystojna twarz była tylko odrobinę zaczerwieniona i zamroczone alkoholem.

- Skąd znasz moje imię? - Chwyił mnie za ramię i zaciągnął pod rozświetlone drzwi, by przyjrzeć się mej twarzy. Nagle zerwał mi perukę z głowy. - Na hemoroidy między półdupkami Setha, to ty, Taito! - krzyknął.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś powstrzymał się przed wykrzykiwaniem mego imienia na cały świat - mruknąłem, a on natychmiast spowaźniał.

- Chodź, pójdziemy do mnie.

Gdy byliśmy już sami, Kratas napełnił dwa kufle piwem.

- Nie masz tego dosyć? - zapytałem, a on wyszczerzył do mnie zęby w uśmiechu.

- Odpowiedź poznamy dopiero rano. Dalej, Taito! Nie bądź taki surowy wobec mnie. Przez ostatnie trzy tygodnie byliśmy w dole rzeki, napastując flotę czerwonego oszusta. O! Hapi, ten twój róg czyni cuda. Porąbaliśmy ze dwadzieścia ich okrętów i obcięliśmy głowy dwóm setkom tych kanalii. Choć przy robocie człowiek odczuwa pragnienie, nic mocniejszego od wody nie zwilżyło mych

warg przez cały ten czas. Nie żałuj mi teraz łyka piwa. Napij się ze mną! – uniósł swój kufel i ja także poczułem pragnienie.

Odwzajemniłem jego toast, lecz gdy odstawiłem kufel, zapytałem:

– Gdzie Tanus?

Kratas momentalnie wytrzeźwiał.

– Tanus zniknął – powiedział, a ja wlepiłem w niego oczy.

– Zniknął? Co rozumiesz przez „zniknął”? Nie dowodził wyprawą w dół rzeki?

– Nie – Kratas potrząsnął głową. – Zniknął. Rozpłynął się w powietrzu. Posłałem ludzi, by przetrzasnęli każdy zaułek i każdy dom w całych Tebach. Nie ma po nim śladu. Powiadam ci, Taito, niepokoję się, naprawdę się niepokoję.

– Kiedy ostatni raz go widziałeś?

– Dwa dni po królewskim ślubie, kiedy to pani Lostris wyszła za faraona, wieczorem tego dnia, w którym odplynałeś do Elefantyny z królewską flotyllą. Próbowałem przemówić temu zakutemu łbu do rozsądku, ale nawet mnie nie słuchał.

– Co powiedział?

– Przekazał mi dowództwo „Oddechu Horusa” i całej flotylli.

– Z pewnością nie miał prawa tego uczynić?

– Ależ miał. Posłużył się władzą jastrzębiej pieczęci faraona.

Skinałem głową.

– A potem? Co uczynił potem?

- Już ci powiedziałem. Zniknął.

Pociągnąłem piwa z kufła, starając się to przemyśleć. W tym czasie Kratas podszedł do okna i oddał przez nie mocz. Struga ciepłej cieczy uderzyła głośno o powierzchnię ulicy i usłyszałem wrzask wystraszonego przechodnia:

- Uważaj, gdzie lejesz, brudna świnio!

Kratas wychylił się przez okno i wesołym tonem zaproponował tamtemu, że rozwali mu czaszkę, a narzekania przechodnia gwałtownie ucichły. Chichocząc z rozbawienia tym małym sukcesem, Kratas wrócił do stołu.

- W jakim nastroju był Tanus, gdy was zostawił? - zapytałem.

- Najczarniejszym i najpodlejszym, jakiego kiedykolwiek byłem świadkiem. - Ponownie spowaźniał. - Przeklinał bogów i faraona. Przeklinał nawet panią Lostris i nazwał ją królewską nierządnicą.

Skrzywiłem się. A jednak wiedziałem, iż nie były to słowa mojego Tanusa, lecz że przemawiała przez niego rozpaczliwa, pozbawiona nadziei miłość.

- Powiedział, że faraon może wykonać swą groźbę i kazać go udusić za bunt, a on przyjmie to jako wyzwolenie. Nie, znajdował się w potężnych tarapatach i nic, co mógłbym zrobić czy powiedzieć, nie zdołałoby go pocieszyć.

- To wszystko? Nie wspomniał nawet, co zamierza?

Kratas pokręcił głową i napełnił swój kufel.

- Co stało się z jastrzębią pieczęcią? - zapytałem.

- Zostawił ją u mnie. Powiedział, że już jej nie potrzebuje. Trzymam ją w bezpiecznym miejscu na pokładzie „Oddechu

Horusa”.

- Co z innymi przygotowaniami, jakie z tobą omawiałem? Zrobiłeś, o co cię prosiłem?

Kratas opuścił wzrok w głąb kufła z miną winowajcy i wymruczał:

- Poczyłem pewne przygotowania, ale gdy Tanus zniknął, nie widziałem w nich sensu. Poza tym od tamtego czasu ciągle byłem zajęty w dole rzeki.

- Taka niesolidność jest do ciebie niepodobna, Kratasie. - Przekonałem się już, że w przypadku Kratasa ton urażonego rozczarowania działał skuteczniej od gniewu. - Moja pani Lostris liczyła na ciebie. Powiedziała mi, że całkowicie ci ufa. „Kratas to człowiek pewny niczym skalna opoka”. Oto jej słowa.

Wyraźnie widziałem, że moje podejście raz jeszcze odniosło zamierzony skutek, gdyż Kratas jest kolejnym zagorzałym wielbicielem mojej pani. Poruszyłaby go nawet najdrobniejsza wzmianka, że jest niezadowolona.

- Niech cię cholera, Taito, robisz ze mnie idiotę o kolanach jak z waty... - Milczałem, lecz milczenie może być bardziej nieprzyjemne od słów. - Co, w imię Horusa, pani Lostris chce, bym uczynił?

- Nic ponad to, o co ja cię prosiłem przed wyjazdem do Elefantyny - odparłem, on zaś rąbnął kufłem o stół.

- Jestem żołnierzem. Nie mogę porzucić moich obowiązków i zabrać połowy flotylli na jakąś szaloną eskapadę. Co innego gdyby Tanus miał jastrzębią pieczęć...

- Ty ją teraz masz - podsunąłem mu cicho.

Kratas spojrział na mnie z niedowierzaniem.

- Nie mogę jej użyć bez zgody...

- Jesteś jego zastępcą. Tanus przekazał ci pieczęć, byś jej używał. Wiesz, co masz z nią zrobić. Zrób to więc! Ja odszukam Tanusa i sprowadzę go z powrotem, ale do tego czasu musisz być gotowy. Czeka nas ciężkie i krwawe dzieło, a Tanus cię potrzebuje. Nie zawieź go ponownie.

Mój przytyk wywołał rumieniec wstydu na jego twarzy.

- Wepchnę ci te słowa z powrotem w gardło - obiecał.

- I będzie to najwyszukańsze danie, jakie mógłbyś mi przygotować - odparłem.

Uwielbiam odważnych i uczciwych ludzi - tak łatwo się nimi manipuluje.

Nie wiedziałem za bardzo, jak wypełnić moją obietnicę znalezienia Tanusa, lecz zostawiłem Kratasa, by odespał swoją hulankę, sam zaś wyszedłem z powrotem do miasta, bo chciałem przynajmniej spróbować. Raz jeszcze obszedłem jego stare przybytki i wypytałem wszystkich, którzy mogli go widzieć. Nie miałem żadnych złudzeń co do ryzyka, na jakie się wystawiałem, prowadząc nadal te poszukiwania, ani też co do niezawodności mojego przebrania, gdybym napotkał kogoś, kto znał mnie dobrze, ale musiałem go odnaleźć. Chodziłem całą noc, dopóki nawet nadrzeczne nielegalne knajpy i burdele nie wygoniły ostatnich spitych klientów i nie pogasiły lamp.

Gdy nad rzeką wstał świt, tkwiłem znużony i zrozpaczony nad brzegiem Nilu, starając się zastanowić, czy nie istniała jakaś możliwość, którą pomiąłem. Donośny dziki krzyk

zmusił mnie do zadarcia głowy. Wysoko nade mną, na tle nieba rozpalonego bladozłotą i miedzianą poświatą wschodzącego słońca krążyło rozległe stado egipskich gęsi. Natychmiast w mym umyśle pojawiło się wspomnienie owych szczęśliwych dni, jakie nasza trójka, Tanus, pani Lostris i ja, spędziła polując na dzikie ptactwo na bagnach.

- Głupcze - skarciłem się. - Oczywiście, że tam.

Tymczasem aleje bazaru wypełnił hałaśliwy, niesforny tłum. Teby to najruchliwsze miasto świata, nikt tu nie próżnuje. Robi się szkło, formuje złoto i srebro, przedzie len i lepi garnki. Kupcy targują się i handlują, prawnicy operują frazesami, kapłani intonują modlitwy, dziwki swadźbią. To pasjonujące, kipiące życiem miasto i takie je kocham.

Przeciskałem się przez ścisk, gwar kpin i targów, towarzyszących kupcom i wieśniakom rozkładającym towary przed gospodyniami domowymi i rządcami bogatych domów. Bazar śmierdział przeróżnymi woniami przypraw i owoców, warzyw, ryb i mięs, z których część daleka była od stanu pierwszej świeżości. Bydło ryczało, kozy beczały, ich odchody dołączały do daniny ludzkich ekskrementów spływającej otwartymi rynsztokami ku odwiecznej matce rzece.

Rozmyślałem nad zakupieniem osła, jako że czekała mnie długa wędrówka w najgorętszej porze roku, a na sprzedaż wystawiono kilka mocnych sztuk. Ostatecznie zrezygnowałem z takiej rozrzutności nie tylko ze względu na oszczędność. Wiedziałem, że jeśli znajdę się na otwartym terenie, drogie zwierzę bez wątpienia zwróciłoby

uwagę Dzierzbów. Dla takiego łupu mogliby przewyciężyć swe skrupuły natury religijnej. Zamiast tego nabyłem więc jedynie kilka garści daktyli, bochenek chleba, skórzaną torbę do dźwigania tych zapasów oraz wykonany z tykwy pojemnik na wodę. Potem ruszyłem wąskimi ulicami ku głównej bramie miasta.

Nie dotarłem tam jeszcze, gdy na ulicy przede mną zapanowało zamieszanie. W moim kierunku zdążył oddział gwardii pałacowej, laskami torując sobie drogę przez tłum. Tuż za nim truchtało pół tuzina niewolników niosących ozdobną, zasłoniętą kurtynami lektykę. Zostałem unieruchomiony pod glinianą ścianą jednego z budynków i chociaż rozpoznałem lektykę i dowódcę straży, nie byłem w stanie uniknąć tego spotkania.

Ogarnęła mnie panika. Być może przemknąłbym się pod nieuważnym spojrzeniem Rasfera, lecz pewien byłem, że nawet mimo przebrania mój pan, książę Intef, rozpoznałby mnie bez trudu. Obok stała stara niewolnica o piersiach jak wielkie amfory na oliwę i plecach hipopotamich rozmiarów. Przecisnąłem się ku niej i skryłem za jej masywnym cielskiem. Potem zsunąłem perukę na oczy i wyjrzałem.

Mimo obawy poczułem coś na kształt zawodowej dumy na widok Rasfera w pełni sił tak szybko po operacji. Wiódł swój oddział gwardzistów ku miejscu, w którym się skryłem, lecz dopiero gdy mnie mijał, dostrzegłem, że jedna strona jego twarzy się zapadła. Stan ten jest częstym rezultatem nawet najbardziej udanej trepanacji. Drugą część oblicza Rasfera wykrzywiał znajomy grymas. Skoro

już uprzednio wyglądał odrażająco, to teraz jego widok winien wywoływać płacz u dzieci i czynienie znaków chroniących przed złym urokiem u ich rodziców.

Minął mnie w niewielkiej odległości, a lektyka podążyła jego śladem. W szparze między haftowanymi zasłonami przez moment ujrzałem księcia Intefa, rozłożonego elegancko na poduszkach z czystego jedwabiu importowanych ze Wschodu, z których każda kosztować musiała przynajmniej pięć złotych pierścieni.

Był świeżo ogolony, włosy upięte miał w odpowiednie do sprawowanego urzędu loki. Na szczycie fryzury widniał stożek perfumowanego wosku pszczelego, który miał topić się w ciepłe i, ściekając po głowie i karku, chłodzić i pielęgnować skórę. Jedną dłoń o palcach sztywnych od wysadzanych klejnotami pierścieni trzymał ociężale na gładkim, brązowym udzie ślicznego młodego niewolnika, który musiał być nowym nabytkiem w jego kolekcji, jako że go nie rozpoznałem.

Gdy spoglądałem na mego dawnego pana, byłem zaskoczony siłą własnej nienawiści. Wszystkie niezliczone cierpienia i upokorzenia, jakich doznałem z jego ręki, powróciły, by mnie dręczyć, a pogarszała je jeszcze najświeższa zbrodnia. Posyłając mi kobrę, naraził na niebezpieczeństwo życie mej pani. Jeżeli nawet zdołałbym wybaczyć mu wszystko inne, nigdy nie będę w stanie darować tego jednego.

Intef zaczął odwracać głowę w moją stronę, lecz zanim nasze spojrzenia się zetknęły, zanurkowałem za stojącą

przede mną olbrzymią kobietę. Lektyka oddaliła się w głąb wąskiej alei, ale gdy odprowadzałem ją wzrokiem, stwierdziłem, że dygoczę tak, jak dygotałem po walce z kobrą.

- Boski Horusie, usłysz me błaganie. Nie daj mi spocząć, dopóki ten człowiek nie umrze i nie powróci do swego pana, Seta - wyszeptałem i począłem na nowo przepychać się ku bramie miasta.

Wylew osiągnął swe apogeum i tereny wzdłuż rzeki spoczywały w płodnych objęciach Nilu. Jak co roku od początku czasu, rzeka składała na naszych polach kolejną żyzną warstwę czarnego mułu. Gdy się wycofa, te lśniące obszary raz jeszcze zakwitną odcieniem zieleni charakterystycznym wyłącznie dla Egiptu. Żyzny namuł w połączeniu ze słonecznym blaskiem trzykrotnie wyda plony, a potem Nil ponownie przeleje się przez brzegi, by złożyć swój dar.

Granice zalanych pól opasane były wyniosłymi groblami, stabilizującymi rozmiary wylewu i służącymi jako drogi. Jedną z tych ścieżek podążyłem na wschód, a dotarwszy do kamienistego gruntu u stóp wzgórz, skręciłem na południe. Gdy tak szedłem, od czasu do czasu przystawałem, by odwrócić przydrożny kamień, dopóki nie znalazłem tego, czego szukałem. Wtedy z jeszcze silniejszym postanowieniem wydłużyłem krok.

Cały czas nie spuszczałem czujnego wzroku z dzikiego i nierównego terenu po prawej stronie, gdyż dla bandy Dzierzbów stanowił on idealne miejsce na urządzenie

zasadki. Przechodziłem właśnie przez kolejny skalisty wąwóz przecinający ścieżkę, gdy zawołano mnie z niedużej odległości.

- Módl się za mnie, wybrańcu bogów!

Nerwy miałem napięte do ostateczności, toteż mimo woli podskoczyłem z okrzykiem przerażenia.

Na skraju wąwozu nad moją głową siedział pastuszek. Nie miał więcej niż dziesięć lat, lecz sprawiał wrażenie starego jak pierwszy człowieczy grzech. Wiedziałem, że Dzierzbowie często wykorzystywali dzieci jako zwiadowców i strażników. Ten niechlujny skrzat idealnie nadawał się do takiej funkcji. Włosy zmatowiały mu od brudu, a za przyodziewek służyła kiepsko wyprawiona kozia skóra, której smród czułem nawet z tej odległości. Omiótł mnie spojrzeniem, szacując mój strój i bagaż, a oczy lśniły jasno i pożądliwie jak u kruka.

- Dokąd podążasz i w jakim celu, dobry ojczy? - zapytał i wygrał na swoim flecie z trzciny długi trel, który mógł stanowić sygnał dla kogoś skrytego wyżej na zboczu wzgórza.

Kilka kolejnych chwil zajęło mi uspokojenie rytmu serca. Wciąż jeszcze lekko zdyszany głosem odpowiedziałem:

- Jesteś impertynencki, synu. Cóż cię obchodzi, kim jestem i dokąd zmierzam?

Natychmiast zmienił postawę.

- Głoduję, dobry kapłanie, sierotam, zmuszony, by samemu dbać o siebie. Czy nie znajdziesz dla mnie choćby okrucha w twej wielkiej torbie?

- Jak dla mnie wyglądasz na dobrze odżywionego. - Odwróciłem się, lecz on zgramolił się po zboczu i zatańczył naokoło mnie.

- Pozwól mi zajrzeć do twojej torby, dobry ojciec - nalegał. - Jałmużny błagam od ciebie, szlachetny panie.

- Jak chcesz, mały łobuzie.

Wyjąłem z torby dojrzałego daktyla. Sięgnął po niego, lecz nim jego palce dotknęły owocu, zacisnąłem dłoń, a gdy znów ją otworzyłem, daktyl zamienił się w purpurowego skorpiona. Jadowity pajęczak uniósł groźnie ogon nad głowę, a chłopiec wrzasnął i uciekł w górę wąwozu.

Na szczycie zatrzymał się tylko na tak długo, by krzyknąć:

- Nie jesteś kapłanem. Jesteś pustynnym dzinnem. Jesteś demonem, nie człowiekiem.

Gwałtownie wykonał znak chroniący przed urokiem, splunął trzykrotnie na ziemię, a potem pognał na wzgórze.

Skorpiona złapałem po drodze pod płaskim kamieniem. Naturalnie wyrwałem mu żądło z końca ogona, zanim wsunąłem do torby, przygotowując się właśnie na taką okoliczność. Stary niewolnik, który nauczył mnie czytania z ust, przekazał mi przy okazji kilka innych umiejętności. Jedną z nich było kuglarstwo.

Na zboczu kolejnego wzgórza zatrzymałem się, by spojrzeć za siebie. Pastuch stał na szczycie wysoko nade mną, lecz nie sam. Byli z nim dwaj mężczyźni. Stali razem, patrząc w moim kierunku, a dzieciak gestykulował energicznie. Gdy tylko zorientowali się, że ich dostrzegłem,

cała trójka zniknęła za wzgórzem. Wątpiłem, by chcieli mieć jeszcze do czynienia z kapłanem-demonem.

Nie uszedłem daleko, gdy ujrzałem ruch na szlaku przed sobą, zatrzymałem się więc, osłaniając oczy przed blaskiem słońca w zenicie. Z ulgą zidentyfikowałem niedużą i niewinnie wyglądającą grupkę podążającą w moją stronę. Ostrożnie ruszyłem jej na spotkanie, a kiedy się zbliżyłem, serce mi zadrżało, gdyż zdało mi się, że rozpoznaję Tanusa. Tanus wiódł osła. Dzielne stworzenie było porządnie obciążone. Na wielkim pakunku na jego grzbiecie siedziała kobieta z dzieckiem, a sam osioł kulał. Zauważyłem, że kobieta również dźwiga ciężar – jej brzuch nadymała ciąża. Balansujące za nią dziecko było dziewczynką wkraczającą w okres dojrzewania.

Miałem już zawołać Tanusa i pospieszyć mu na spotkanie, gdy pojąłem, że się mylę i że nie znam tego mężczyzny. To jego wysoka, barczysta postać, sprężysty sposób poruszania się i lśniąca kępa jasnych włosów mnie zmyliły. Przyglądał mi się podejrzliwie z obnażonym mieczem. Sprowadził osła z traktu i ustawił się między mną a wiezionym przezeń drogocennym ładunkiem.

- Błogosławieństwo bogów dla ciebie, dobry człecze - odegrałem swą rolę kapłana, on zaś chrząknął i nie cofnął wymierzonego w mój brzuch czubka miecza. W Egipcie naszych czasów nikt nie ufał obcemu. - Ryzykujesz życie swojej rodziny na tym szlaku, przyjacielu. Powinieneś być schronić się pod opiekę jakiejś karawany. Na tych wzgórzach grasują bandyci.

Szczerze się o nich niepokoiłem. Kobieta wyglądała na delikatną i porządną, a dziecko po moim ostrzeżeniu było o krok od płaczu.

- Ruszaj w drogę, kapłanie! - rozkazał mężczyzna. - Zachowaj swe rady dla tych, którzy je sobie cenią.

- Łaskawy jesteś, dobry panie - wyszeptała kobieta.

- Czekaliśmy przez tydzień w Kenie na karawanę i nie mogliśmy zostać dłużej. Moja matka mieszka w Luksorze i pomoże przy narodzinach mego dziecka.

- Zamilcz, kobieto! - warknął na nią mąż. - Nie chcemy mieć do czynienia z obcymi, nawet jeżeli noszą kapłańskie szaty.

Zawahałem się, starając się rozstrzygnąć, czy mogę coś dla nich uczynić. Dziewczynka była ślicznym stworzeniem o oczach w odcieniu czarnego obsydianu, które całkowicie ujęły mnie za serce. W tym samym momencie mąż pognał osła obok mnie, więc z bezsilnym wzruszeniem ramion odprowadziłem ich wzrokiem.

Nie można cierpieć za całą ludzkość - powiedziałem sobie. - Nie można też radzić na siłę tym, którzy tego nie pragną. Nie oglądając się, podążyłem na północ.

Późnym popołudniem zatrzymałem się i obejrzałem na skalną ostrogę, wdzierającą się w zielone mokradła. Nawet z tego miejsca dostrzeżenie chaty było niemożliwością. Kryła się głęboko w zaroślach papyrusów, a jej dach tworzyły łodygi tej rośliny, co doskonale ją maskowało. Zbiegłem ścieżką, skacząc z kamienia na kamień, dopóki

nie dotarłem na skraj wody. Tak daleko od głównego koryta Nilu wylew nie sięgał zbyt wysoko.

Na końcu traktu znalazłem naszą starą, zniszczoną łódź przywiązaną do drzewa. Była na wpół zalana, tak więc przed spuszczeniem na rzekę musiałem wyczerpać z niej wodę. Ostrożnymi ruchami drąga posuwałem ją do przodu w tunelu papirusów. Przy niskim stanie Nilu chatka stała na suchym lądzie, lecz teraz pod podtrzymującymi ją palami było dość wody, by przykryć stojącego człowieka.

Do jednego z pali uwiązana była pusta łódź w stanie lepszym od mojej. Zacumowałem przy niej, wspiąłem się po chwiejnej drabinie i zajrzałem do wnętrza naszego dawnego domku myśliwskiego. Składało się z jednego pokoju, a słońce przeświecało przez dziury w strzesze, lecz o tyle nie miało to znaczenia, że w Górnym Egipcie nigdy nie pada deszcz.

Podobny bałagan nie panował w chacie od dnia, w którym odkryliśmy ją z Tanusem. Odzież, broń i naczynia kuchenne wałały się dookoła niczym szczątki na pobojuwisku. Smród alkoholu był mocniejszy nawet od odoru starego jedzenia i niemytych ciał.

Te niemyte ciała leżały na równie brudnym materacu w przeciwległym kącie. Ostrożnie przeszedłem przez zaśmiecone pomieszczenie, by poszukać w nich oznak życia, lecz w tej samej chwili kobieta chrapnęła i przewróciła się na bok. Była młoda, ciało miała pełne i kuszące, o dużych okrągłych piersiach i kępce kędzierzawych włosów na podbrzuszu. Ale nawet

w spoczynku jej twarz pozostała zacięta i prostacka. Nie miałem wątpliwości, że Tanus znalazł tę istotę w porcie.

Zawsze znałem go jako człowieka wymagającego, a już nigdy jako pijaka. To stworzenie oraz ustawione pod wszystkimi ścianami dzbany po winie dowodziły, jak nisko upadł. Przyglądałem mu się pogrążonemu we śnie i z trudem go poznawałem. Jego twarz była pokryta plamami i opuchnięta od pijaństwa, pokryta niestrzyżonym zarostem. Najwyraźniej nie golił się, od kiedy widziałem go ostatni raz pod murami haremu.

W tym momencie kobieta się zbudziła. Jej spojrzenie spoczęło na mnie i jednym kocim ruchem zerwała się z materaca, sięgając po wiszący na ścianie za moimi plecami, skryty w pochwie sztylet. Porwałem broń, zanim zdążyła ją wziąć, i pokazałem nagie ostrze.

- Odejdź! - poleciłem cicho. - Zanim wpakuję ci w brzuch coś, czego nawet ty jeszcze nie posmakowałaś.

Zebrała swe odzienie i włożyła je w pośpiechu, cały czas wpatrując się we mnie jadownicie.

- On mi nie zapłacił - powiedziała, ubrawszy się.

- Pewien jestem, że sama obficie sobie to wynagrodziłaś.

- Wskazałem sztyletem wyjście.

- Obiecał mi pięć złotych pierścieni. - Spuściła z tonu i zaczęła jęczeć. - Ciężko dla niego pracowałam przez ostatnie dwadzieścia dni, a może i dłużej. Robiłam wszystko: gotowałam i utrzymywałam mu dom, obsługiwałam go i zmywałam jego wymiociny, gdy się opił. Musisz mi zapłacić. Nie odejdę, zanim mi nie zapłacisz...

Chwyciłem ją za skudłone długie, czarne włosy i popchnąłem ku drzwiom. Nie rozluźniając uścisku, pomogłem jej zejść do bardziej zniszczonej z dwóch łodzi. Gdy już wypchnęła ją żerdzią poza zasięg mych rąk, posłała mi taką wiązanekę wyzwisk, że czaple i inne wodne ptaki zerwały się spłoszone z okolicznych kęp sitowia.

Wróciłem do Tanusa, ale ten nawet nie drgnął. Skontrolowałem zawartość dzbanów. Większość była opróżniona, lecz znajdowały się wśród nich dwa czy trzy pełne. Zastanowiło mnie, jakim sposobem nagromadził taki zapas napitku, ale domyśliłem się, że prawdopodobnie posłał kobietę do Karnaku, by wyszukała przewoźnika skłonnego przetransportować wino na wyspę. Musiało go być tyle, by na parę miesięcy pogrążyć cały oddział gwardzistów Błękitnego Krokodyla w permanentnym upojeniu. Nic dziwnego, że był w takim stanie.

Przez chwilę siedziałem przy jego materacu, pozwalając wyszumieć się memu współczuciu. Tanus próbował się zniszczyć. Rozumiałem to i nie potępiałem tego, co uczynił. Darzył moją panią tak wielką miłością, że nie chciał bez niej żyć.

Oczywiście byłem wściekły na niego za rujnowanie swego zdrowia w taki sposób, za uleganie szaleństwu żalu nad samym sobą. A jednak mimo to, że był w sposób godny pożałowania przesiąknięty alkoholem, nadal znajdowałem w nim szlachetne i warte podziwu cechy. W końcu nie tylko on zawinił. Moja pani próbowała zażyć truciznę z tego samego powodu, z którego on obrał drogę samozniszczenia.

Ją zrozumiałem i wybaczyłem jej. Czy dla Tanusa mogłem mniej uczynić? Westchnąłem w zadumie nad tym dwojgiem młodych ludzi, stanowiących jedyną prawdziwą wartość w moim życiu. Potem wstałem i wziąłem się do roboty.

Najpierw stałem przez chwilę nad Tanusem, podsycając mój gniew do takiego stopnia, by obejść się z nim naprawdę brutalnie. Potem chwyciłem go za pięty i powlokłem po podłodze chatki. Na wpół rozbudzony z odrętwienia zaklął słabo, lecz nie zwróciłem uwagi na jego protesty i wypchnąłem go za próg. Poleciał do mokradła głową w dół, a wpadając w nie, wzbilił swym upadkiem potężną fontannę. Odczekałem, dopóki się nie wynurzył i nie zaczął się ociężale miotać po powierzchni, nadal jedynie częściowo przytomny.

Wskoczyłem w ślad za nim, chwyciłem za włosy i wepchnąłem mu głowę pod wodę. Przez moment stawiał słaby opór, więc przytrzymałem go bez trudu. Później odezwał się w nim naturalny instynkt przetrwania i napał w górę z całą dawną siłą, tak że wypchnął mnie nad powierzchnię i odrzucił w bok niczym wiatr gałąź podczas burzy.

Wynurzył się z rykiem, usiłując nabrać powietrza i bijąc na oślep w poszukiwaniu niewidocznego przeciwnika. Jeden taki cios ogłuszyłby hipopotama, wycofałem się więc w popłochu, by przyglądać się temu z dystansu.

Kaszląc i krztusząc się, dobrnął do drabiny i zawisł na niej, a włosy zakrywały mu oczy. Musiał połknąć tyle wody i wciągnął jej tak dużo do płuc, że poczułem dreszcz

niepokoję. Moja kuracja mogła okazać się odrobinę za energiczna. Miałem właśnie pognać z pomocą, ale on otworzył usta i trysnęła z nich ohydna mieszanka bagiennej wody i skwaśniałego wina. Jej ilość wprowadziła mnie w osłupienie.

Wisiał na drabinie, bulgocząc i łapiąc oddech ciężkimi sapnięciami. Podpłynąłem do jednego z pali, na których wspierała się chata, i odczekałem, dopóki Tanus nie wymiotował ponownie, a potem odezwałem się, nasycając mój głos całą pogardą, jaką zdolny byłem w nim zawrzeć.

- Moja pani Lostris byłaby dumna, gdyby mogła cię teraz ujrzeć.

Rozejrzał się zalany wodą oczyma i dostrzegł mnie nareszcie.

- Taito, niech cię cholera weźmie! To ty próbowałeś mnie utopić? Idioto, mogłem cię zabić.

- W twym obecnym stanie nie zagroziłbyś niczemu niebezpieczniejszemu od dzbanu wina. Przedstawiasz politykanta godnego, odpychający widok!

Wspiąłem się po drabinie do chatki i zostawiłem go w wodzie, potrząsającego głową i mamroczącego do siebie. Wziąłem się do uprzątnięcia nieporządku i brudu.

Po jakimś czasie Tanus podążył za mną i usiadł w progu z zawstydzoną twarzą. Nie zwróciłem na niego uwagi, nadal byłem pochłonięty pracą. W końcu to on się odezwał.

- Jak się miewasz, stary druhu? Brakowało mi ciebie.

- Innym cię też brakowało. Na przykład Kratasowi. Flotylla wojowała w dole rzeki. Przydałby im się jeszcze

jeden miecz. Albo mojej pani Lostris. Mówi o tobie każdego dnia, a jej miłość jest wciąż czysta i szczerą. Ciekawe, co sobie pomyśli o tej dziewczce, którą przegnałem z twojego barłogu?

Tanus jęknął i chwycił się za głowę.

- Och, Taito, nie wspominaj imienia twojej pani. Przypominanie o niej jest nieznośnym...

- A więc otwórz lepiej kolejny dzban wina, a potem wytarżaj się w swych nieczystościach i żałosci nad samym sobą - zasugerowałem ze złością.

- Utraciłem ją na zawsze. Czego ode mnie oczekujesz?

- Oczekuję od ciebie wiary i hartu ducha, jaki w niej znajduję.

- Opowiedz mi o niej, Taito. - Spojrzał na mnie żałośnie. - Jak się czuje? Czy nadal o mnie myśli?

- Jeszcze gorzej - burknąłem z niesmakiem. - Nie myśli prawie o niczym innym. Żyje gotowością na dzień, w którym znowu się połączycie.

- To się nigdy nie stanie. Utraciłem ją na wieki i nie chcę dłużej żyć.

- W porządku! - zgodziłem się z wawo. - Nie będę więc marnował tu więcej czasu. Powiem mej pani, że nie chciałeś wysłuchać jej posłania.

Przepchnąłem się obok niego, zszedłem po drabinie i zeskoczyłem do łódki.

- Zaczekaj, Taito! - zawołał za mną. - Wróć!

- Po co? Chcesz przecież umrzeć. W takim razie nie krępuj się. Później przyślę balsamiarzy, by zabrali ciało.

- Już dobrze - uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Robię z siebie głupca. Picie zaćmiło mi umysł. Wróć, błagam cię. Przekaż mi posłanie od Lostris.

Z pokazową niechęcią wspiałem się na powrót po drabinie, a on poszedł za mną do chatki, tylko lekko się zataczając.

- Moja pani kazała ci powtórzyć, że jej miłość nie została naruszona żadną z rzeczy, jakie jej narzucono. Nadal jest i zawsze będzie twoją kobietą.

- Na Horusa, ona mnie zawstydza - wymruczał.

- Nie - zaprzeczyłem. - Twój wstyd jest dziełem twych własnych uczynków.

Tanus wyrwał miecz z zawieszanej nad brudnym łóżkiem pochwy i zaatakował rząd amfor pod przeciwległą ścianą. Po każdym ciosie wino rozlewało się i ściekało pomiędzy deskami podłogi.

Gdy do mnie wrócił, posapywał, zakpiłem więc z niego:

- Spójrz na siebie! Rozpuściłeś się tak dalece, że zmiękłeś i straciłeś oddech niczym stary kapłan...

- Dostyc tego, Taito! Powiedziałeś już swoje. Nie szydź ze mnie więcej albo będziesz tego żałował.

Widziałem, że ogarnia go gniew, tak jak tego pragnąłem. Obelgi doskonale go podsycaly.

- Moja pani chciałaby, byś podjął wyzwanie rzucone ci przez faraona, pozostał przy życiu i zachował swą cześć oraz dobre imię, gdy za pięć lat będzie wolna, by się z tobą połączyć.

- Pięć lat? - Skupił teraz całą uwagę na moich słowach. - O co tu chodzi, Taito? Czy nasze cierpienie rzeczywiście będzie miało swój kres?

- Z woli faraona zajrzałem w Labirynty. Za pięć lat będzie martwy - powiedziałem otwarcie.

Tanus spojrział na mnie ze zgrozą i dostrzegłem setkę przeróżnych uczuć odbijających się jedno po drugim w jego twarzy. Można z niej czytać równie łatwo jak z tego zwoju, na którym piszę.

- Labirynty! - wyszeptał w końcu.

Dawno temu był niedowiarkiem i lekceważąco wyrażał się o moim wróżeniu z Labiryntów. To się zmieniło i obecnie wierzył w ich moce silniej nawet niż moja pani. Zbyt często był świadkiem tego, jak urzeczywistniały się moje wizje, by mogło być inaczej.

- Czy jesteś w stanie czekać tak długo na swoją ukochaną? - zapytałem. - Moja pani klnie się, że może czekać na ciebie przez całą wieczność. Możesz poczekać na nią przez kilka krótkich lat?

- Przyrzekła, że będzie na mnie czekać? - zapytał.

- Przez całą wieczność - powtórzyłem.

Odniosłem wrażenie, że zaraz się rozpłacze. Nie byłbym w stanie stawić temu czoła i nie zniósłbym też widoku takiego mężczyzny jak Tanus zalanego łzami, pospiesznie więc mówiłem dalej.

- Nie chcesz usłyszeć, jaką wizję przekazały mi Labirynty?

Tanus odegnał łzy.

- Tak! Tak! - zgodził się gorliwie, zaczęliśmy więc rozmawiać.

Dyskutowaliśmy do zmierzchu, a potem usiedliśmy w ciemności i rozprawialiśmy znowu.

Powiedziałem mu wszystko to, co wyjawiałem mej pani Lostris, każdy drobiazg, jaki skrywałem przed nimi dwojgiem przez wszystkie te lata. Gdy przyszło do odkrywania ze szczegółami, w jaki sposób jego ojciec, Pianki, księżę Harrab, został zrujnowany i zniszczony przez ukrytego wroga, gniew Tanusa tak się wzmógł, że wypalił z jego umysłu ostatnie pozostałości po rozpuszczeniu, i kiedy nad mokradłami wstał świt, w oczach mego przyjaciela ponownie czysto i mocno płonęło zdecydowanie.

- Zabierajmy się do twojego przedsięwzięcia, jako że wydaje się być słusznym i właściwym sposobem działania.

Zerwał się na nogi i przypasał pochwę. Choć uważałem za rozsądne, by parę dni odpoczął i otrząsnął się ze skutków nadmiaru wina, nie chciał o tym słyszeć.

- Natychmiast z powrotem do Karnaku! - oznajmił z naciskiem. - Kratas czeka, a żąda pomszczenia pamięci mego ojca i ponownego ujrzenia słodkiej ukochanej płonie w mych żyłach niby ogień.

Opuściliśmy mokradła. Tanus podążył skalistą ścieżką, a ja pobiegłem w ślad za nim. Kiedy tylko słońce wyjrzało zza horyzontu, pot pokrył jego plecy i spłynął, przemaczając pas spódniczki, zupełnie jakby ciało oczyszczało się ze starego, skwaśniałego wina. Choć słyszałem dzikie sapanie, Tanus nie przystanął, by odpocząć, ani nawet nie zwalniał

kroku, lecz biegł niepowstrzymanie we wzmagającym się pustynnym upale.

To ja zatrzymałem go okrzykiem i stanęliśmy ramie w ramie, patrząc przed siebie. Moją uwagę przyciągnęły ptaki. Już z daleka doleciało mnie trzepotanie ich skrzydeł.

- Sępy - mruknął Tanus, oddychając nierówno. - Odkryły coś martwego wśród skał. - Obnażył miecz i ostrożnie ruszyliśmy naprzód.

Najpierw znaleźliśmy mężczyznę i wśród burzliwego wirowania skrzydeł odgoniliśmy od niego sępy. Po czuprynie jasnych włosów rozpoznałem w nim człowieka, którego spotkałem na drodze poprzedniego dnia. Z twarzy nie pozostało nic, gdyż leżał na plecach i ptaki wyjadły mięso, obnażając kości czaszki. Wydłubały też oczy, więc tylko puste oczodoły wpatrywały się w bezchmurne niebo. Pozbawiły go także ust i szczyrzył teraz krwawe zęby, jakby rozbawiony próżnym żartem, jakim jest nasza przelotna egzystencja na tej ziemi. Tanus przetoczył go na brzuch, wtedy natychmiast spostrzegliśmy w jego plecach rany od pchnięć, które go zabiły. Było ich pomiędzy łopatkami ze dwanaście.

- Ktokolwiek to był, chciał mieć absolutną pewność - zauważył Tanus, znieczulony na śmierć tak, jak może być zahartowany tylko żołnierz.

Przeszedłem się wśród skał. Brzęcząca czarna chmura much zerwała się z martwego ciała kobiety. Nigdy nie rozumiałem, skąd biorą się te muchy, jakim sposobem materializują się tak szybko w palącym suchym żarze

pustyni. Domyśliłem się, że żona poroniła, gdy byli nią zajęci. Po zaspokojeniu swej potrzeby musieli pozostawić ją przy życiu. Resztkami sił ochronnym gestem przytuliła do piersi niemowlę. W tej pozycji skonała, skulona przy głazie, chroniąc nieżywego noworodka przed sępami.

Zapуściłem się głębiej w nierówny teren, a muchy zaprowadziły mnie w miejsce, dokąd bandyci zaciągnęli dziewczynkę. Przynajmniej któryś miał w sobie tyle litości, by poderżnąć jej gardło, gdy z nią skończyli, i nie pozwolić, by stopniowo się wykrwawiła.

Mucha usiadła mi na ustach. Odpędziłem ją i zacząłem płakać. Tak znalazł mnie Tanus.

- Znałeś ich? -zapytał, a ja skinąłem głową i odchrząknąłem, by odpowiedzieć.

- Spotkałem ich wczoraj na szlaku. Starąłem się ich ostrzec... - przerwałem, gdyż słowa nie przychodziły mi łatwo. Wziąłem głęboki oddech. - Mieli osła. Dzierzbowie musieli go zabrać.

Tanus kiwnął głową. Z ponurą miną odwrócił się i przeszukał skały.

- Tędy! - zawołał i zerwał się do biegu w głąb kamienistej pustyni.

- Tanus! - zawołałem za nim. - Kratas czeka...

Lecz on nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, toteż nie pozostało mi nic innego, jak tylko podążyć w ślad za nim. Dopędziłem go, gdy zgubił trop osła na nieprzyjaznym terenie i zaczął go szukać.

- Żal mi tej rodziny bardziej niż tobie - nalegałem. - Ale to szaleństwo. Kratas na nas czeka. Nie mamy czasu do stracenia...

Przerwał mi, nie spoglądając nawet w moją stronę.

- Ile lat miało to dziecko? Nie więcej niż dziewięć? Zawsze mam czas, by dopilnować wymierzenia sprawiedliwości.

Ta twarz była teraz chłodna i zacięta. Bez trudu można było dostrzec, że powróciła mu cała dawna krewkość. Dalsze przekonywanie go nie miało sensu.

Obraz małej dziewczynki wciąż stał mi wyraźnie przed oczyma. Przyłączyłem się do Tanusa i podjęliśmy trop. Teraz, gdy połączyliśmy nasze siły, posuwaliśmy się jeszcze szybciej.

Tropiliśmy w ten sposób z Tanusem gazyli i antylopy, a nawet lwy, i staliśmy się mistrzami tej trudnej do opanowania sztuki. Pracowaliśmy zespołowo, biegnąc po obu stronach śladu pozostawionego przez zwierzynę, sygnalizując sobie wzajemnie każdą jego zmianę i skręt. Wkrótce ślady ściganych przez nas bandytów dotarły do nierównego szlaku, biegnącego od rzeki na wschód jeszcze głębiej w pustynię. Dzierzbowie podążyli wzdłuż niego. Dzięki temu łatwiej będzie ich dogonić.

Dochodziło prawie południe, a nasze pojemniki na wodę były już puste, gdy dostrzeżliśmy ich wreszcie daleko w przedzie. Było ich pięciu, nie licząc osła. Najwyraźniej nie spodziewali się, by ktoś pogonił za nimi w głąb pustyni, która była ich twierdzą, gdyż poruszali się bez zachowania

środków ostrożności. Nie zadali sobie nawet trudu zamaskowania własnych tropów.

Tanus wciągnął mnie za skałę.

- Zajdziemy ich od przodu. Chcę zobaczyć ich twarze - warknął, gdy odpoczywaliśmy.

Poderwał się i szerokim łukiem powiódł mnie w bok od szlaku. Wyprzedziliśmy Dzierzbów dobrze poza zasięgiem ich wzroku. Potem skęciliśmy ponownie, by wyjść na ścieżkę przed nimi. Tanus z wojskową wprawą oszacował teren i bezbłędnie przygotował zasadzkę.

Z daleka słyszeliśmy, jak nadchodzą, dobiegał nas stukot kopyt osła i śpiew. Kiedy na nich czekaliśmy, po raz pierwszy miałem sposobność zastanowić się, czy roztropnym posunięciem było bez dyskusji pójść za Tanusem. Wreszcie ukazała się grupa Dzierzbów. Wiedziałem już, że postąpiłem zbyt pochopnie. Moje oczy w życiu nie widziały bandy łotrów o równie morderczym wyglądzie, a ja uzbrojony byłem jedynie w wysadzany klejnotami sztylecik.

Tuż przed naszą kryjówką wysoki brodaty Beduin, będący najwyraźniej ich przywódcą, zatrzymał się nagle i polecił jednemu z idących za nim mężczyźn zdjąć z osła szawłok z wodą. Napił się jako pierwszy, a potem podał go pozostałym. Przyglądając się, jak pochłaniają drogocenny płyn, odruchowo przełknąłem ślinę.

- Na Horusa, spójrz na plamy krwi tej kobiety na ich odzieniu. Szkoda, że nie mam teraz ze sobą Lanaty - wyszeptał Tanus, gdy tak kuliliśmy się wśród skał. -

Mógłbym wpakować mu strzałę w brzuch i spuścić z niego tę wodę jak piwo z beczki. – Potem położył mi dłoń na ramieniu. – Nie ruszaj się, póki ja tego nie zrobię, słyszysz? Nie potrzebuję żadnych heroiczych czynów z twojej strony, jasne?

Pokiwiałem energicznie głową, bo nie miałem najmniejszej chęci oprotestowania tych bardzo rozsądnych instrukcji.

Dzierzbowie ruszyli dalej. Przeszli obok miejsca, w którym na nich czekaliśmy. Wszyscy byli ciężko uzbrojeni. Jako pierwszy szedł Beduin. Miecz przewiesił przez plecy w ten sposób, że rękojeść wystawała ponad lewym barkiem, łatwa do uchwycenia. Na głowę naciągnął kaptur wełnianego kaftana, chroniący go przed palącym słońcem. Ograniczał sobie pole widzenia, więc nas nie zauważył, choć przeszedł tuż obok.

Dwaj kolejni szli zaraz za nim, jeden z nich wiódł osła. Dwaj ostatni wlekli się za zwierzęciem, pochłonięci apatyczną sprzeczką o kawałek złotej biżuterii ściągnięty z zamordowanej kobiety. Cała ich broń była ukryta, tylko idący z tyłu nieśli krótkie włócznie o grotach z brązu.

Tanus przepuścił ich wszystkich, a potem powstał bezszelestnie i podążył za dwoma ostatnimi mężczyznami w kolumnie. Poruszał się niedbale jak lampart. Nie zdążyłem nawet odetchnąć, gdy uderzył mieczem w kark człowieka po prawej stronie.

Choć zamierzałem wesprzeć Tanusa, jakimś cudem nie zdołałem obrócić mych zamiarów w czyn i wciąż kuciałem za oferującą bezpieczeństwo skałą. Usprawiedliwiałem się

myśla, że gdybym podążył za nim w zbyt małej odległości, prawdopodobnie i tak bym mu tylko przeszkadzał.

Nigdy przedtem nie przyglądałem się Tanusowi zabijającemu ludzi. Choć wiedziałem, że na tym polega jego rzemiosło i że przez te lata miał mnóstwo okazji, by podszlifować tę ponurą umiejętność, zdumiała mnie jego wirtuozeria. Uderzył, a głowa ofiary zeskoczyła z barków niczym pustynny zając wyskakujący z nory, bezgłowy korpus postąpił jeszcze jeden krok i wtedy dopiero ugięły się pod nim nogi. Gdy miecz zatoczył pełen łuk, Tanus płynnym ruchem odwrócił jego kierunek. Tym samym pociągnięciem uderzył na odlew kolejnego bandytę. Drugi kark rozszczepił się równie gładko. Głowa stoczyła się i upadła, trup runął do przodu, a fontanna krwi trysnęła wysoko w powietrze.

Chłopot krwi i ciężkie łup, łup dwóch oddzielonych od ciała głów uderzających o skalisty grunt ostrzegły pozostałych trzech Dzierzbów. Zaalarmowani, odwrócili się i przez moment oszołomieni spoglądali z niedowierzaniem na nieoczekiwaną rzeź. Potem z dzikim wrzaskiem obnażyli miecze i runęli na Tanusa. Zamiast się wycofać, Tanus natarł na nich szaleńczo i rozdzielił ich. Okręcił się, by zwrócić się w stronę tego, którego odizolował od towarzyszy, a jego pchnięcie zostawiło krwawą powierzchowną ranę z boku klatki piersiowej przeciwnika. Trafiony zapiszczał i zatoczył się do tyłu. Lecz zanim Tanus zdołał go dobić, dwaj pozostali skoczyli na niego zza pleców. Musiał obrócić się i stawić im czoło. Brąz uderzył

o brąz, gdy zablokował ich natarcie. Trzymał ich na długość miecza, zwierając się to z jednym, to z drugim, dopóki lekko ranny Dzierzba nie odzyskał równowagi i nie zaszedł go od tyłu.

- Za tobą! - wrzasnąłem, a on okręcił się na pięcie, w ostatniej chwili przechwytyjąc pchnięcie na ostrze miecza.

W tym samym momencie dwaj pozostali znów do niego doskoczyli i Tanus zmuszony był ustąpić, by bronić się ze wszystkich stron. Jego umiejętności szermiercze zapierały dech w piersiach. Klinga poruszała się tak szybko, że zdawało się, iż Tanus wzniosł wokół siebie połyskliwą ścianę z brązu, o którą tłukły bezsilnie ciosy przeciwników.

Zauważyłem, że traci siły. Pot ściekał w upale po jego ciele, a wysiłek wykrzywiał mu twarz. Długie tygodnie wina i rozpusty zebrały swe żniwo, rujnując jego niewyczerpaną niegdyś siłę i wytrzymałość.

Odskoczył przed kolejnym ciosem, jaki wymierzył w niego brodaty Beduin, i oparł się plecami o głaz, ja zaś wciąż kulilem się bezsilnie w ukryciu po drugiej stronie ścieżki. Mając plecy osłonięte przez skałę, zmusił wszystkich trzech napastników do atakowania go od przodu. Lecz nie dało to żadnego wytchnienia.

Napór wzrastał się nieubłaganie. Prowadzeni przez Beduina Dzierzbowie przyparli go do skały, wyjąc niczym stado dzikich psów, a prawe ramię Tanusa męczyło się i zwalniało szybkość ruchów.

Włócznia niesiona przez mężczyznę, którego Tanus ściał jako pierwszego, upadła na środku szlaku. Pojąłem, że jeżeli nie chcę ujrzeć mego przyjaciela rozsiekanego na kawałki na moich oczach, bezzwłocznie muszę coś uczynić. Z olbrzymim wysiłkiem zebrałem mą ulotną odwagę i wykradłem się z kryjówki. Opętani żądzą krwi Dzierzbowie zupełnie o mnie zapomnieli. Żaden z nich nie zauważył mnie, gdy dobiegłem na miejsce, w którym leżała włócznia, i gdy chwyciłem ją w rękę. Kiedy w dłoni poczułem solidną masę drzewca, powróciła mi cała utracona dzielność.

Beduin był najgroźniejszym z trzech przeciwników Tanusa i znajdował się najbliżej. Zwrócony był do mnie plecami, a całą jego uwagę pochłaniał nierówny pojedynek. Nastawiłem włócznię i popędziłem ku niemu.

Nerki stanowią najwrażliwszy cel w tylnej części ludzkiego ciała. Korzystając z mej znajomości anatomii, mogłem precyzyjnie wymierzyć pchnięcie. Ostrze zagłębiło się w ciało na całą długość, o palec w bok od kręgosłupa. Szeroki grot otworzył wielką ranę, przebijając prawą nerkę z chirurgiczną dokładnością. Beduin zeszywniał i znieruchomiał niczym świątynna statua, błyskawicznie sparaliżowany moim pchnięciem. Następnie, podczas gdy ja bezlitośnie obracałem ostrzem w ranie tak, jak mnie tego uczył Tanus, mieląc nerkę na miazgę, miecz wypadł mu z dłoni i Beduin zwałił się na ziemię z tak przeraźliwym wrzaskiem, że jego towarzysze zawahali się, co dało Tanusowi szansę.

Kolejne pchnięcie trafiło jednego z nich w środek piersi i, choć Tanus był wyczerpany, miało jeszcze tyle mocy, by przejść gładko przez tors mężczyzny i wychynąć usmarowanym krwią czubkiem ostrza spomiędzy łopatek. Nim Tanus zdążył oswobodzić broń z lepkiego uścisku żywego ciała i zabić ostatniego Dzierzbę, ten odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Tanus zrobił za nim kilka kroków.

- Jestem wykończony. Za nim, Taito, nie pozwól ujść temu krwiożerczemu szakalowi - wydyszał.

Niewielu ludzi jest w stanie prześcignąć mnie w biegu. Tanus to jedyny znany mi człowiek zdolny do takiego czynu, lecz musi w tym celu być w szczytowej formie. Oparłem stopę o plecy Beduina i przycisnąłem go do ziemi, wykręciłem włócznię z ciała, a potem popędziłem za Dzierzbą.

Dognałem go, zanim ubiegł dwieście kroków, a stąpałem tak lekko, że nawet nie usłyszał, że się do niego zbliżam. Grotem przeciąłem mu ścięgno piętowe, a on runął jak długi na ziemię. Miecz wyleciał mu z ręki. Gdy leżał na plecach, wrzeszcząc i wierzgając, krążyłem wokół niego, kłując ostrzem włóczni, ustawiłem go w takiej pozycji, bym mógł zadać czyste, śmiertelne pchnięcie.

- Która kobieta bardziej ci odpowiadała? - zapytałem, uderzając go w udo. - Matka z brzuchem czy dziewczynka? Była dla ciebie odpowiednio jędrna?

- Proszę, oszczędź mnie! - krzyknął. - Ja nic nie zrobiłem. To tamci. Nie zabijaj mnie!

- Na twojej spódnicy widzę zaschniętą krew - stwierdziłem i pchnąłem go w żołądek, ale nie za głęboko. - Czy dziecko krzyczało równie głośno jak ty teraz?

Gdy zwinął się, by ochronić brzuch, uderzyłem go w kręgosłup, szczęśliwym trafem znajdując szczelinę między kręgami. Momentalnie Dzierzba został sparaliżowany od pasa w dół. Cofnąłem się.

- Jak chcesz - oznajmiłem. - Prosisz, żeby cię nie zabijać, więc nie zrobię tego. Byłaby to za łagodna kara.

Odwróciłem się i ruszyłem, chcąc dołączyć do Tanusa. Okaleczony Dzierzba powlókł się kawałek za mną, sparaliżowane nogi ślizgały się za nim niczym para martwych karpi ciągnięta przez rybaka. Potem wysiłek okazał się dla niego zbyt duży i z jękiem padł bezwładnie. Choć minęło już południe, słońce miało w sobie dość żaru, by zabić go przed zmierzchem.

Gdy powróciłem, Tanus zmierzył mnie osobliwym spojrzeniem.

- Masz w sobie żyłkę zabójcy, o jaką cię nie podejrzewałem.

- Potrząsnął głową w zdumieniu. - Nigdy nie przestajesz mnie zadziwiać.

Zdjął szawłok z grzbietu osła i podał mi, lecz ja pokręciłem głową.

- Ty pierwszy. Potrzebujesz tego bardziej ode mnie.

Napił się, przymykając oczy z rozkoszy, a potem sapnął:

- Na słodki oddech Izydy, masz rację. Jestem miękki jak stara baba. Ta odrobina fechtunku prawie mnie

wykończyła. - Następnie spojrział na porozrzucane ciała i uśmiechnął się z zadowoleniem. - Lecz ogólnie rzecz biorąc, nieźle rozpoczęliśmy wykonywanie misji faraona.

- Najgorzej jak tylko było można - sprzeciwiłem się, a gdy uniósł pytająco brew, wyjaśniłem: - Powinniśmy byli zachować przynajmniej jednego przy życiu, by zaprowadził nas do gniazda Dzierzbów. Nawet tamten - wskazałem na konającego mężczyznę leżącego wśród skał - na nic się już nam nie przyda. To moja wina. Pozwoliłem zapanować nade mną memu gniewowi. Tego błędu już nie powtórzymy.

Byliśmy w połowie drogi do miejsca, w którym zostawiliśmy ciała wymordowanej rodziny, gdy ponownie zaczęła dochodzić do głosu moja prawdziwa natura i począłem gorzko żałować, że tak bezdusznie i okrutnie potraktowałem okaleczonego bandytę.

- W końcu to człowiek taki sam jak my - powiedziałem Tanusowi, a on tylko prychnął.

- To zwierzę, wściekły szakal, i zrobiłeś dobrą robotę. Stanowczo za długo go oplakujesz. Zapomnij o nim. Zamiast tego powiedz mi lepiej, dlaczego musimy zbaczać z drogi, by popatrzeć na martwych ludzi, zamiast podążać prosto do obozu Kratasa.

- Potrzebne mi jest ciało tego mężczyzny.

Nie wyjawilem mu nic więcej, dopóki nie stanęliśmy nad okaleczonym trupem. Nędzne szczątki zaczynały już cuchnąć w upale. Sępy pozostawiły niewiele mięsa na kościach.

- Popatrz na jego włosy - poradziłem Tanusowi. - Kto ma podobną czuprynę?

Tanus przez moment wyglądał na skonfundowanego, potem wyszczerzył zęby i przeciągnął dłonią przez swe gęste loki.

- Pomóż mi załadować go na osła - poleciłem. - Kratas może zawieźć go do Karnaku grabarzom, by go zabalsamowali. Opłacimy mu porządny pogrzeb i okazały grobowiec z twoim imieniem na ścianach. I jutro o zachodzie słońca całe Teby wiedzieć będą, że Tanus, książę Harrab, zginął na pustyni i został na wpół pożarty przez ptaki.

- Jeżeli Lostris się o tym dowie... - zaniepokoił się Tanus.

- Poślę jej list. Przewaga, jaką zyskamy, pozwalając światu wierzyć, że nie żyjesz, znacznie przewyższa jakiegokolwiek ryzyko przestraszenia mojej pani.

Kratas obozował w pierwszej oazie na szlaku karawan wiodącym ku Morzu Czerwonemu, mniej niż o dzień drogi od Karnaku. Tak jak poleciłem, miał ze sobą stu, starannie dobranych, ludzi z pułku Błękitnych Krokodyli. Tanus i ja dotarliśmy do obozu w środku nocy. Podróżowaliśmy tak szybko, że byliśmy bliscy wyczerpania. Padliśmy na maty przy ognisku i spaliśmy do świtu.

Z pierwszym blaskiem wstającego dnia Tanus zbudził się i ruszył między swych ludzi. Ich radość była oczywista. Oficerowie obejmowali go, a żołnierze pozdrawiali, uśmiechając się z dumą, gdy witał każdego z nich po imieniu.

Przy śniadaniu wydał Kratasowi instrukcje w kwestii zabrania rozkładającego się ciała do Karnaku i pogrzebania go. Kratas powinien też się upewnić, czy wieść o śmierci wodza Krokodyli stanie się najczęściej powtarzaną plotką w całych Tebach. Ja wręczyłem mu list do mojej pani Lostris. Miał znaleźć godnego zaufania człowieka, który powiozłby go w górę rzeki, do Elefantyny.

Wybrał dziesięciu ludzi do eskorty i zaczął przygotowywać się do wyruszenia z osłem i jego woniejącym ciężarem z powrotem ku Nilowi i Tebom.

- Postaraj się złapać nas na drodze do morza. Jeżeli nie zdołasz, znajdziesz nasz obóz w oazie Gebel Nagara. Tam będziemy na ciebie czekać - zawołał za nim Tanus, gdy oddział opuszczał truchtem obozowisko. - I nie zapomnij zabrać ze sobą mego łuku, Lanaty, kiedy będziesz wracał!

Gdy tylko Kratas zniknął za pierwszym wzniesieniem zachodniego traktu, Tanus sformował resztę pułku i powiódł nas w przeciwnym kierunku szlakiem karawan ku morzu.

Szlak karawan znad brzegów Nilu ku wybrzeżom Morza Czerwonego był długi i trudny. Liczna, nieporadna karawana traciła zwykle na jego przebycie dwadzieścia dni. My pokonaliśmy tę odległość w cztery, gdyż Tanus gnał nas serią forsownych marszów. Na początku on i ja byliśmy prawdopodobnie jedynymi w tym towarzystwie, których kondycja fizyczna pozostawiała cokolwiek do życzenia. Wszakże gdy dotarliśmy do Gebel Nagara, Tanus spalił

nadmiar tłuszczu pod skórą i wypocił pozostałości trucizn z winnych amfor. Ponownie wyszczupłał i stwardniał.

Jeżeli o mnie chodzi, pierwszy raz brałem udział w forsownym marszu w towarzystwie oddziału gwardii. Przez pierwsze kilka dni cierpiałem wszystkie tortury pragnienia i obolałych mięśni, pokrytych pęcherzami stóp i wyczerpania, jakie są udziałem *ka* zmarłego na drodze w zaświaty. Ma duma nie pozwalała mi jednak pozostać w tyle, nie mówiąc już o prostym fakcie, że w tej dzikiej i bezlitosnej okolicy oznaczałoby to pewną śmierć. Ku memu zaskoczeniu, a i zadowoleniu, przekonałem się, że po pierwszych paru dniach coraz łatwiej przychodziło mi utrzymanie się w formacji maszerujących wojowników.

Po drodze minęliśmy dwie duże karawany wędrujące w stronę Nilu. Złożone były z uginających się pod ciężarem towarów osłów, eskortowane przez ciężko uzbrojonych mężczyzn liczbą znacznie przewyższających kupców i służących. Żadna karawana nie była bezpieczna przed rozbojem ze strony Dzierzbów, o ile nie ochraniała jej podobna liczba najemników. Chyba że kupcy gotowi byli zapłacić zdziercze myto, jakiego żądali Dzierzbowie za prawo przejazdu.

Spotykaliśmy tych podróżnych, a Tanus naciągał chustę na głowę, by zamaskować twarz i ukryć jasną czuprynę. Stanowił postać zbyt charakterystyczną, by ryzykować, że ktoś go rozpozna i doniesie do Karnaku o tym, że nadal żyje. Nie odpowiadaliśmy na pozdrowienia i pytania kierowane do nas przez wędrowców i przebiegaliśmy obok

nich w wyniosłym milczeniu, nawet nie spoglądając w ich stronę.

Gdy byliśmy jeszcze o dzień marszu od morza, zeszliśmy z głównego szlaku karawan i skręciliśmy na południe, podążając starą, zapomnianą drogą, którą pokazał mi parę lat wcześniej jeden z zaprzyjaźnionych Beduinów. Studnie w Gebel Nagara znajdowały się przy tej starej trasie ku morzu i tymi czasy z rzadka odwiedzane były przez ludzi. Beduinów właśnie i pustynnych bandytów, o ile tych ostatnich można nazwać ludźmi.

Gdy dotarliśmy do studni, me ciało nabrało siły i zeszczupłało jak nigdy dotąd. Gorzko opłakiwałem brak lustra, gdyż przekonany byłem, że ta nowa siła i energia, jaką w sobie czułem, musiała znaleźć odbicie na mojej twarzy, jeszcze powiększając mą urodę. Z radością powitałbym sposobność przypatrzenia się sobie. W zastępstwie nie brakowało wszakże innych chętnych do podziwiania mej urody. Przy wieczornych ogniskach mknęło w moją stronę niejedno lubieżne spojrzenie, otrzymałem też od towarzyszy więcej niż jedną figlarną propozycję, gdyż nawet tak elitarna jednostka bojowa jak gwardia skażona była nową rozwiązłością seksualną, jaką przesiąknięte zostało nasze społeczeństwo.

Nocami trzymałem pod ręką sztylet i gdy dziabnąłem jego czubkiem pierwszego nieproszonego gościa na mojej macie, jego wrzaski wzbudziły powszechną wesołość wśród pozostałych. Od tego czasu nie miałem już kłopotów z niepożądanymi zalotami.

Nawet gdy dotarliśmy do studni, Tanus zostawiał nam niewiele czasu na odpoczynek. Czekał na Kratasa, zajmował swych ludzi ćwiczeniami z bronią, zawodami strzeleckimi, zapasami i biegami. Z zadowoleniem stwierdziłem, że Kratas wybrał ich zgodnie z moimi instrukcjami. Nie było wśród nich ani jednego wielkiego brutala. Poza Tanusem wszyscy byli niewysokimi, zwinnymi mężczyznami, idealnie nadającymi się do odegrania roli, jaką dla nich zaplanowałem.

Kratas przybył zaledwie dwa dni po nas. Biorąc pod uwagę czas zużyty na powrót do Karnaku i załatwienie tam spraw zleconych mu przez Tanusa, oznaczało to, że musiał podróżować jeszcze szybciej od nas.

- Co cię zatrzymało? - powitał go Tanus. - Spotkałeś po drodze chętną dziewczkę?

- Niosłem dwa ciężkie ładunki - odparł Kratas, gdy się objęli.

- Twój łuk i jastrzębią pieczęć. Z radością pozbywam się ich obu. - Jak zawsze ucieszony z powrotu do Tanusa, z uśmiechem przekazał broń i posążek.

Tanus natychmiast zabrał Lanatę na pustynię. Poszedłem z nim i pomogłem mu podkraść się do stada gazeli. Zwinne, nieduże stworzenia galopowały i skakały po całej równinie. Nadzwyczajny widok stanowiło przyglądanie się, jak Tanus powalał ich tuzin w pełnym galopie taką liczbą strzał. Tej nocy, uczując nad pieczonymi wątrokami i filekami z gazeli, omówiliśmy następny etap naszego planu.

Rankiem zostawiliśmy Kratasowi dowództwo gwardzistów, po czym we dwójkę wyruszyliśmy w stronę wybrzeża. Zaledwie pół dnia drogi dzieliło nas od małej rybackiej wioski będącej naszym celem, toteż w południe pokonaliśmy ostatnie wzniesienie, by spojrzeć ze wzgórza na migoczący bezmiar morza rozciągający się u naszych stóp. Z tej wysokości pod powierzchnią turkusowej wody z łatwością mogliśmy dostrzec ciemne zarysy raf koralowych.

Gdy tylko wkroczyliśmy do wioski, mój przyjaciel przywołał naczelnika, a władza i znaczenie Tanusa tak wyraźnie emanowały z jego postawy, że starzec przybiegł do nas w pośpiechu. Tanus okazał mu jastrzębią pieczęć, a naczelnik padł na ziemię w pokłonie, zupełnie jakby stanął przed nim sam faraon, i zaczął uderzać głową o grunt z taką siłą, że bałem się, iż wyrządzi sobie jakąś poważniejszą krzywdę. Skoro tylko podniosłem go na powrót na nogi, zaprowadził nas do najlepszej kwatery w wiosce, własnej brudnej budy, i wygnał liczną rodzinę, by uczynić dla nas miejsce.

Po zjedzeniu miski rybnego gulaszu dostarczonego przez gospodarza i popitego kubkiem wyśmienitego palmowego wina zeszliśmy z Tanusem na oślepiająco białą piaszczystą plażę. W ciepłych wodach zatoki, ograniczonej poszarpaną koralową barykadą biegnącą równoległe do brzegu splukaliśmy z siebie pot i kurz pustyni. Za naszymi plecami posępne góry, pozbawione najbledszego nawet śladu

zielonej roślinności, strzelały w boleśnie błękitne pustynne niebo.

Morze, góry i niebo łączyły się w pokazie paralizującej zmysły wspaniałości. Miałem wszakże niewiele czasu, by się nią napawać, gdyż powracała już rybacka flotylla. Pięć małych, zniszczonych łodzi o żaglach splecionych z palmowych liści wpływało przez przejście w rafie. Wiozły tak wielki ładunek ryb, że wyglądało na to, iż zatoną przed dotarciem do brzegu.

Fascynują mnie wszelkie dary natury, jakimi obsypują nas bogowie, z zapalem przejrzałem więc wyrzucany na plażę połów, wypytyując rybaków o każdy z setki odmiennych gatunków. Stos ryb utworzył migotliwy skarbiec mieniący się wszystkimi kolorami tęczy. Żałowałem tylko, że nie mam przy sobie zwojów i naczyń z farbami, by to utrwalić.

Ta przerwa trwała stanowczo zbyt krótko. Gdy tylko ryby zostały wyładowane, wsiadłem na mały stateczek, jakże mocno zalatujący zapachem związanym ze swym przeznaczeniem, po czym, gdy przepływaliśmy przez przerwę w rafie, pomachałem stojącemu na plaży Tanusowi. On miał pozostać w wiosce, dopóki ja nie powrócę z wyposażeniem potrzebnym do realizacji następnej części planu. Raz jeszcze nie chciałem, by go rozpoznano tam, dokąd się udawałem. Musiał przeszkodzić każdemu rybakowi czy członkowi jego rodziny w wyslizgnięciu się na pustynię na tajne spotkanie z Dzierzbami, by wieść o obecności w ich wiosce złotowłosego pana noszącego jastrzębią pieczęć się nie rozeszła.

Stateczek na pierwszej silnej fali otwartego morza zadarł wysoko dziób, a sternik zahalsował pod wiatr, kierując go na północ, wzdłuż ciemnobrązowego straszego wybrzeża. Mieliśmy do pokonania niedużą odległość, toteż przed zmierzchem sternik wskazał przed dziób na pojawiające się na odległym brzegu gęsto skupione kamienne budynki portu Safaga.

Przez tysiąc lat Safaga była portem przeładunkowym dla towarów docierających ze Wschodu do Górnego Królestwa. Nawet teraz, stojąc na dziobie naszej łódki, dostrzegałem na północnym horyzoncie cienie innych, znacznie większych statków, kursujących między Safagą a portami Arabii na wschodnim wybrzeżu wąskiego morza.

Gdy zstąpiłem na plażę Safagi, było już ciemno i nikt nie zwrócił uwagi na moje przybycie. Wiedziałem dokładnie, dokąd zmierzam, gdyż regularnie odwiedzałem ten port w nikczemnych interesach księcia Intefa. O tej godzinie ulice, w przeciwieństwie do tawern, były niemal kompletnie opustoszałe. Bez ociągania pospieszyłem do domu kupca Tiamata. Tiamat był zamożnym człowiekiem, jego dom zaś największym w starej części portu. Uzbrojony niewolnik zagroził mi wejście.

- Powiedz twemu panu, że jest tu chirurg z Karnaku, który uratował mu nogę - poleciłem i po chwili Tiamat wykuśtykał, by mnie powitać.

Moje kapłańskie przebranie zbiło go z tropu, lecz miał na tyle rozsądku, by nie robić żadnych uwag na ten temat i by nie wymieniać mego imienia przy niewolniku. Zaciągnął mnie do otoczonego murem ogrodu.

- To naprawdę ty, Taito? Słyszałem, że zostałeś zamordowany przez Dzierzbów w Elefantynie! - wykrzyknął, gdy tylko zostaliśmy sami.

Był pulchnym mężczyzną w średnim wieku, o otwartej, inteligentnej twarzy i przenikliwym umyśle. Kilka lat wcześniej przyniesiono go do mnie na noszach. Grupa wędrowców znalazła go przy drodze, gdzie był pozostawiony na pewną śmierć po tym, jak jego karawanę obrabowali Dzierzbowie. Poskładałem to ciało do kupy i nawet zdołałem uratować nogę, choć gdy ją ujrzałem, już zaczynała się gangrena. Niemniej zawsze będzie kuleć.

- Cieszę się, że doniesienia o twojej śmierci są przedwczesne - zachichotał i klasnął w dłonie, dając znak niewolnikom, by przynieśli mi kubek chłodnego szербetu oraz tacę z figami i oblanymi miodem daktylami.

Po stosownej chwili poświęconej na uprzejmą rozmowę Tiamat zapytał cicho:

- Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie uczynić? Zawdzięczam ci życie. Musisz jedynie wyrazić życzenie. Mój dom jest twoim domem. Wszystko, co mam, należy do ciebie.

- Przybywam w misji królewskiej - oznajmiłem i spod tuniki wyciągnąłem jastrzębią pieczęć.

- Uznaję władzę pieczęci faraona - przybrał poważny wyraz twarzy. - Lecz nie musiałeś mi jej pokazywać. Mów, czego ode mnie chcesz. Nie mogę ci odmówić.

Bez słowa wysłuchał wszystkiego, co miałem mu do powiedzenia, a gdy skończyłem, posłał po swego rządcę i w mojej obecności wydał mu polecenia.

- Jest może coś jeszcze, o czym zapomniałem? Coś jeszcze, czego ci trzeba? - zwrócił się do mnie, zanim go odprawił.

- Twa hojność nie zna granic - odparłem. - Jest jednak jeszcze jedna rzecz. Brakuje mi moich przyborów do pisania.

Tiamat odwrócił się z powrotem do rządcy.

- Dopilnuj, aby w jednym z pakunków znalazły się zwoje i kałamarz.

Po odejściu rządcy spędziliśmy pół nocy na rozmowie. Tiamat mieszkał w centrum jednego z najruchliwszych szlaków handlowych Górnego Królestwa, docierały do niego wszystkie plotki i pogłoski z najdalszych krańców imperium, a nawet z za morza. Przez te kilka godzin spędzonych w jego ogrodzie dowiedziałem się więcej, niż byłbym w stanie się dowiedzieć przez miesiąc pobytu w Elefantynie.

- Nadal płacisz okup Dzierzbom za przepuszczanie twoich karawan? - zapytałem, a on wzruszył z rezygnacją ramionami.

- Czy mam inne wyjście po tym, co zrobili z moją nogą? Z każdym rokiem ich żądania stają się bardziej

wygórowane. Muszę oddawać jedną czwartą moich towarów, gdy tylko karawana opuszcza Safagę, oraz połowę zysków, gdy sprzedam coś w Tebach. Wkrótce doprowadzą nas wszystkich do ruiny, szlaki karawan zarośnie trawa, a handel w królestwie skurczy się i umrze.

- W jaki sposób płacisz? - zainteresowałem się. - Kto określa stawkę i kto ją odbiera?

- Mają swoich szpiegów w porcie. Przyglądają się każdemu rozładowywanemu transportowi i wiedzą, co wiezie każda opuszczająca Safagę karawana. Zanim dociera do prowadzącej przez góry przełęczy, spotyka ją jeden z bandyckich wodzów i żąda wyznaczonego okupu.

Było już dobrze po północy, gdy Tiamat wezwał niewolnika, by oświetlił drogę do komnaty, którą dla mnie przeznaczył.

- Gdy wstanę jutro rano, ciebie już nie będzie. - Tiamat objął mnie. - Żegnaj, mój dobry przyjacielu. Mój dług wobec ciebie nie został jeszcze w pełni spłacony. Odwiedź mnie ponownie, kiedykolwiek będziesz w potrzebie.

Ten sam niewolnik zbudził mnie przed świtem i sprowadził w ciemności na nabrzeże. Szybki statek handlowy z floty Tiamata cumował za rafą koralową. Kapitan podniósł kotwicę, gdy tylko wszedłem na pokład.

O poranku prześlizgnęliśmy się przez przesmyk w rafie i zakotwiczyliśmy przed małą wioską rybacką, naprzeciwko plaży, na której stał Tanus, by mnie powitać.

Podczas mej nieobecności zdołał zgromadzić sześć zramolałych osłów, a żeglarze ze statku Tiamata przenieśli

przez płytką wodę na brzeg bele przywiezione przez nas z Safagi i załadowali je na te nędzne stworzenia. Tanus i ja zostawiliśmy kapitanowi frachtowca wyraźne rozkazy oczekiwania naszego powrotu, a potem wiodąc za sobą sznur osłów, skierowaliśmy się na powrót w głąb lądu ku źródłom w Gebel Nagara.

Ludzie Kratasa najwidoczniej niechętnie znosili upał, piaskowe muszki i nudę, bo zgotowali nam powitanie niewspółmierne do czasu trwania naszej nieobecności. Tanus polecił Kratasowi zrobić zbiórkę. Szeregi wojowników przyglądały się, jak odpakowywałem pierwszą belę z przywiezionych przez nas oslim orszakiem. Niemalże natychmiast ich zainteresowanie ustąpiło miejsca lekkiemu rozbawieniu, bo wyciągnąłem z niej strój niewolnicy. Z kolei rozbawienie zastąpione zostało szmerem domysłów i dyskusji, kiedy wydobyłem z bel dalsze siedemdziesiąt dziewięć kompletnych kobiecych strojów.

Kratas i dwaj spośród jego oficerów pomogli mi rozłożyć ubrania na piasku, po jednym przed każdym gwardzistą.

- Rozebrać się! Włożyć strój na siebie! - rozkazał Tanus.

Rozległ się ryk protestu i przepętnionej niewiarą wesołości.

Dopiero gdy Kratas przeszedł ze swymi oficerami wzdłuż szeregów, ze sztuczną surowością ponawiając polecenie, udało się zmusić żołnierzy do posłuchu.

W przeciwieństwie do naszych kobiet, które ubierają się lekko, często zostawiając odsłonięte brzuchy oraz nagie i niczym nieskrępowane nogi, kobiety Asyrii swymi

spódnicami zamiatają ziemię, a rękawy ich strojów sięgają po nadgarstki. Z powodu niewłaściwie pojmowanej skromności, wychodząc z domu, osłaniają nawet twarze, choć ograniczenia te być może zostały im narzucone wskutek zaborczej zazdrości ich mężczyzn. Z drugiej strony, istnieje przecież znacząca różnica między słonecznymi krainami Egiptu a owymi mroczniejszymi ziemiami, gdzie woda spada z nieba i zmienia się w stałą biel na szczytach gór, wiatry zaś przenikają ciała i kości ludzi niczym śmierć.

Kiedy już otrząsnęli się z pierwszego szoku wywołanego widokiem swych towarzyszy w tym barbarzyńskim odzieniu, ludzie dostosowali się do nastroju chwili. Wkrótce zamienili się w osiemdziesiąt niewolnic, biegających bezładnie w długich, sięgających kostek spódnicach, szczypiących się wzajemnie w pośladki, robiących przesadnie maślane oczy w stronę Tanusa i jego oficerów.

Oficerowie nie byli w stanie dłużej zachowywać powagi. Być może ze względu na me szczególne położenie zawsze odbierałem widok mężczyzn przebranych za kobiety jako odpychający, lecz dziwne, jak niewielu ludzi podziela ten niesmak. Wystarczy jedynie, by jakiś kudłaty zbój przywdział spódnicę, a widownia moczy się ze śmiechu.

Pośród zgiełku pogratulowałem sobie tego, że nalegałem na Kratasa, by wybrał jedynie najmniejszych i najszczuplejszych mężczyzn. Spoglądając teraz na nich, byłem pewien, że zdołają skutecznie wprowadzić wszystkich w błąd. Potrzebowali jedynie nieco przeszkolenia w kobiecym zachowaniu.

Następnego ranka nasza niezwykła karawana przemaszerowała przez wioskę rybacką i skierowała się na plażę, gdzie czekał statek kupiecki. Kratas z ośmioma oficerami stanowili eskortę. Całkowity brak zbrojnej ochrony tak wartościowego towaru bez wątpienia wzbudziłby podejrzenie. Dziewięciu uzbrojonych mężczyzn w wielobarwnych strojach najemników starczyło, by je rozwiać, nie odstraszać jednocześnie dużej łupieżczej bandy Dzierzbów.

Na czele karawany maszerował Tanus, odziany w pyszny strój i ozdobione klejnotami nakrycie głowy bogatego kupca zza Eufratu. Zapuścił już gęstą brodę, którą ułożyłem w ciasne zwoje, ulubione przez Asyryjczyków. Wielu Azjatów, zwłaszcza pochodzących z górzystego rejonu dalej na północ, miało tę samą cerę i barwę skóry co Tanus, tak więc wyglądem pasował do roli, jaką mu wyznaczyłem.

Ja kroczyłem tuż za nim. Przewyciężyłem niechęć do przywdziewania kobiecych strojów i włożyłem długie spódnice i zasłonę wraz z krzykliwą biżuterią asyryjskiej żony. Zależało mi na tym, by nie zostać rozpoznanym po powrocie do Safagi.

Podróż urozmaiciła morską choroba większości niewolnic i niejednego oficera, gdyż przyzwyczajeni byli do żeglugi po łagodnych wodach wielkiej rzeki. W pewnej chwili tyłu przewieszało się przez burtę, by złożyć ofiarę bogom morza, że statek nabrał zauważalnego przechyłu.

Z ulgą zesliśmy wszyscy na plażę Safagi, gdzie wywołaliśmy duże podniecenie. Asyryjskie dziewczyny

słyną ze swoich umiejętności w miłosnym łożu. Powiada się, że niektóre znają sztuczki zdolne ożywić tysiącletnią mumię. Dla obserwatorów przypatrujących się naszemu zejściu na ląd oczywiste było, że niewolnice skrywają pod zasłonami niebywałą kobiecą urodę. Sprytny azjatycki kupiec nie przewoziłby swych towarów tak daleko i takim kosztem, gdyby nie był pewien uzyskania dobrej ceny na targowiskach niewolników nad Nilem.

Jeden z safagijskich handlarzy natychmiast zaczął Tanusa i złożył mu ofertę zakupu wszystkich dziewczyn na pniu, co zaoszczędziłoby nam uciążliwej podróży przez pustynię. Tanus odegnał go dłonią z pogardliwym chichotem.

- Czy uprzedzono cię o niebezpieczeństwach podróży, na jaką zamierzasz się powążyć? - nalegał handlarz. - Zanim dotrzesz do Nilu, zostaniesz zmuszony do zapłacenia okupu za bezpieczne przejście pustyni, okupu, który pochłonie większość twoich zysków.

- Kto mnie do tego zmusi? - zapytał Tanus. - Płacę jedynie to, co jestem winien.

- Ci, którzy pilnują drogi - ostrzegł kupiec. - A nawet jeżeli zapłacisz, ile od ciebie zażądata, nie ma pewności, że przepuszczą cię bezpiecznie, zwłaszcza z tak kuszącym towarem jak twój. Sępy na trakcie ku Nilowi są tak tłuste od żywienia się trupami butnych handlarzy, że ledwie mogą latać. Sprzedaj mi je teraz z dobrym zyskiem...

- Mam uzbrojonych strażników - Tanus wskazał na Kratasa i jego mały oddział - którzy dadzą sobie radę

z wszystkimi rabusiami, jakich możemy napotkać.

Słyszając tę przechwałkę, gapie przysłuchujący się tej wymianie zdań chichotali i tręcali się łokciami.

- Jak chcesz, mój dzielny przyjacielu - wzruszył ramionami kupiec. - Podczas mej następnej podróży przez pustynię będę rozglądał się za twoim szkieletem leżącym przy drodze. Rozpoznam go po tej ogniście rudej brodzie.

Zgodnie z obietnicą daną mi przez Tiamata czekało na nas czterdzieści jego osłów. Dwadzieścia obładowanych było pełnymi wody szawłokami, pozostałe zaś obciążone jukami, w których powieź mieliśmy bele i toboły, jakie znieśliśmy na brzeg ze statku kupieckiego.

Nalegałem, by jak najmniej czasu spędzić w porcie, pod spojrzzeniami wścibskich oczu. Wystarczyło, by choć jedna niewolnica zdradziła swą prawdziwą płćć, a nasze plany ległyby w gruzach. Dopóki nie dotarliśmy na otwartą przestrzeń za miastem, Kratas i jego eskorta prowadzili je wąskimi ulicami, odpychali gapiów i pilnowali, by niewolnice miały zasłonięte twarze oraz spuszczone oczy, a także by żadna nie odpowiedziała basem na rzucane za nami sprośne komentarze.

Tej pierwszej nocy obozowaliśmy, mając Safagę wciąż w zasięgu wzroku. Chociaż nie spodziewałem się ataku przed przekroczeniem przełęczy, pewien byłem, że jesteśmy już obserwowani przez szpiegów Dzierzbów.

Gdy jeszcze było jasno, pilnowałem, by nasze niewolnice zachowywały się jak kobiety - skrywały twarze i ciała i, udając się do pobliskiego wąwozu gnane zewem natury,

kucaly przyzwoicie, nie rozpryskujac na wszystkie strony moczu w nieokrzesany sposob na stojaco.

Dopiero po zapadnieniu ciemnosci Tanus polecil, by otwarto wiezione przez osly pakunki i rozdano niewolnicom skryta w nich broń. Kazda spala z lukiem i mieczem pod mata.

Tanus rozstawil podwojne posterunki wokol obozu. Po ich sprawdzeniu i upewnieniu sie, ze sa dobrze rozmieszczone i pozostaja w pelnej gotowosci, wymknelymy sie z Tanusem, by w mroku powrocic do Safagi. Ciemnymi ulicami zaprowadzilem go do domu Tiamata. Kupiec oczekiwal naszego przybycia przy zastawionym do wieczery stole. Widac bylo, ze spotkanie Tanusa jest dla niego duzym przezywciem.

- Twa slawa cie prowadzi, ksiazę Harrab. Znałem twojego ojca. Był wielkim czlowiekiem - powital go. - Choć doszły do mnie uporczywe plotki, powtarzające, jakobyś miał zginac na pustyni nie dalej jak tydzien temu i ze w tejze chwili tve ciało leży w balsamiarni na zachodnim brzegu Nilu, poddawane rytualnemu czterdziestodniowemu procesowi balsamowania, jesteś mile widzianym gościem w moim domu.

Podczas uczty, jaką Tiamat nas uraczył, Tanus wyptał go dokladnie o wszystko, co ten wiedzial na temat Dzierzbów, a kupiec odpowiadail szczerze i otwarcie.

Wreszcie Tanus zerknal na mnie, a ja skinalem glowa. Odwrócił się z powrotem do Tiamata i rzekł:

- Jesteś dla nas szczodrym przyjacielem, a jednak pozostaliśmy wobec ciebie niezupełnie szczerzy. Zmusiła nas do tego konieczność, gdyż rzeczą niezwyklej wagi było, by nikt nie przejrzał prawdziwego celu naszych wysiłków. Teraz mogę ci wyjawić, że moim zamiarem jest zniszczenie Dzierzbów i oddanie ich przywódców sprawiedliwości oraz gniewowi faraona.

- Nie jest to dla mnie wielkim zaskoczeniem - odparł Tiamat, gładząc brodę i uśmiechając się - jako że słyszałem o zadaniu, jakie wyznaczył ci faraon podczas święta Ozyrysa. To oraz twoje otwarte zainteresowanie tymi krwiożerczymi bandytami nie pozostawiło wiele wątpliwości w moim umyśle. Mogę jedynie rzec, że złożę ofiarę bogom za twoją pomyślność.

- By tak się stało, będę ponownie potrzebował twojej pomocy - powiedział Tanus.

- Musisz jedynie poprosić.

- Czy sądzisz, że Dzierzbowie wiedzą już o naszej karawanie?

- Cała Safaga o niczym innym nie mówi - odparł Tiamat. - Wasz towar jest najcenniejszy, jaki do tej pory przybył tego roku do portu. Osiemdziesiąt urodziwych niewolnic w Karnaku będzie warte przynajmniej tysiąc złotych pierścieni każda - zachichotał i pokręcił głową, rozbawiony własnym żartem. - Możesz być pewien, że Dzierzbowie wiedzą już o was wszystko. W tłumie na nabrzeżu zauważyłem przynajmniej trzech szpiegów. Możesz

oczekiwać, że wyjdą ci na spotkanie i przedstawią swe żądania, zanim jeszcze dotrzecie do przełęczy.

Gdy wstaliśmy, by odejść, odprowadził nas do samych drzwi.

- Niech wszyscy bogowie wspomagają was w waszych zamierzeniach. Nie tylko faraon, lecz każda żywa dusza w całym królestwie będzie waszym dłużnikiem, jeżeli zdołacie wyduścić tę zarazę, która grozi zniszczeniem naszej cywilizacji i wpędzeniem nas na powrót w epokę barbarzyństwa.

Następnego ranka było jeszcze chłodno i ciemno, gdy nasza kolumna wyruszyła w drogę. Tanus szedł na czele karawany z Lanatą przewieszoną przez ramię, a ja, z całą mą kobiecą urodą i wdziękiem, podążałem tuż za nim.

Za nami, środkiem dobrze ubitego traktu, jeden za drugim szły osły. Niewolnice maszerowały podwójną kolumną po obu stronach rzędu zwierząt. Ich broń skryta była w jukach. Ludzie musieli tylko wyciągnąć rękę, by ująć rękojeść swego miecza.

Kratas rozdzielił swą eskortę na trzy oddziały po sześciu ludzi w każdym, pod dowództwem Astesa, Rem-rema i jego samego. Astes i Rem-rem byli sławnymi wojownikami, zasługującymi na własne dowództwo. Przy niezliczonych okazjach obaj odmówili wszakże awansu, byle tylko pozostać z Tanusem. Oto jak wierni byli Tanusowi ci, którzy pod nim służyli. Ponownie nie mogłem oprzeć się myśli, iż świetny byłby z niego faraon.

Eskorta wlokła się teraz ociężale obok kolumny, usilnie starając się robić jak najmniej wojownicze wrażenie. Szpiegom, jacy bez wątplenia obserwowali nas ze wzgórz, powinno się zdawać, że jedynym zadaniem tej ochrony było zapobieganie ucieczkom niewolnic. Naprawdę zaś całą uwagę żołnierzy pochłaniała troska o to, by ich podopieczni nie szli krokiem marszowym i nie zaintonowali chóralnie jednej z awanturnicznych pieśni pułkowych.

- Ty tam, Kernit! - usłyszałem, jak Rem-rem beszta jednego z nich. - Nie sadź takimi wielkimi krokami, człowieku, i zakręć trochę swoim tłustym dupskiem! Staraj się wyglądać pociągająco.

- Daj mi buzi, kapitanie - odkrzyknął Kernit - a zrobię wszystko, czego sobie zażyczysz.

Upał wzmagał się i otaczające nas skały zaczęły tańczyć w rozgrzanym powietrzu. Tanus odwrócił się do mnie.

- Wkrótce zarządzę pierwszy postój. Po kubku wody dla każdego...

- Dobry mężu - przerwałem mu - przybyli twoi przyjaciele. Spójrz przed siebie!

Tanus okręcił się i odruchowo chwycił łączyśko wielkiego łuku, wiszącego mu u boku.

- A jakie z nich przystojniaczki!

Nasza kolumna pięła się krętym szlakiem przez stoki pierwszych wzgórz poniżej pustynnego płaskowyżu. Po obu stronach strzelały w górę strome stoki kamiennych wzniesień. Na szlaku przed nami stało trzech ludzi. Ten, który im przewodził, był wysokim, groźnym typem

zawiniętym w wełnianą szatę pustynnego wędrowca, lecz jego głowa pozostawała odkryta. Ciemną skórę pstrzyły głębokie blizny po ospie, nos zakrzywiał się niczym dziób sępa, a prawe oko było matową galaretą, śladem pozostawionym przez padalca, który zakopuje się głęboko w gałkę oczną swej ofiary.

- Znam tego jednookiego zbója - powiedziałem cicho, tak by tylko Tanus mnie usłyszał. - Nazywa się Shufti. To naj słynniejszy spośród wodzów Dzierzbów. Uważaj na niego. W porównaniu z nim lew to łagodne stworzenie.

Tanus nie dał po sobie poznać, że mnie usłyszał, lecz uniósł prawą dłoń, pokazując, że nie trzyma w niej żadnej broni.

- Oby wszystkie twe dni miały zapach jaśminu, szlachetny podróżniku - zawołał pogodnie - i oby kochająca żona powitała cię na progu twego domu, gdy ukończysz wreszcie wędrówkę.

- Niech twe szawłoki zawsze będą pełne i niech chłodna bryza owiewa twe czoło, gdy przekraczać będziesz Piaski Pragnienia! - odkrzyknął Shufti i uśmiechnął się.

Ten uśmiech dzikszy był od warknięcia lamparta, a jedyne oko zapłonęło ponurym blaskiem.

- Jesteś uprzejmy, szlachetny panie - podziękował mu Tanus.

- Zaoferowałbym ci posiłek i gościnę w mym obozie, prosić jednak muszę o wyrozumiałość. Mamy przed sobą długą drogę, toteż musimy iść dalej.

- Zajmę tylko odrobinę twego czasu, Asyryjczyku. - Shufti przesunął się, blokując przejście. - Mam coś, co będzie ci potrzebne, jeżeli chcesz dotrzeć bezpiecznie ze swoją karawaną do Nilu - pokazał niewielki przedmiot.

- Ach, amulet! -wykrzyknął Tanus. - Jesteś czarodziejem? Cóż to za amulet mi oferujesz?

- Pióro - Shufti wciąż się uśmiechał. - Pióro dzierzby.

Tanus też się uśmiechnął uśmiechem rodzica cierpliwie znoszącego wybryki dziecka.

- Dobrze więc, daj mi to pióro i nie będę cię dłużej zatrzymywać.

- Dar za dar. Musisz coś mi w zamian podarować - powiedział Shufti. - Daj mi dwadzieścia twoich niewolnic. Gdy zaś będziesz powracać z Egiptu, ponownie spotkam cię na szlaku, a wtedy oddasz mi połowę zysków ze sprzedaży pozostałych sześćdziesięciu.

- Za jedno piórko? - prychnął pogardliwie Tanus. - Jak na mój gust lichy to interes.

- To nie jest zwykłe piórko. To pióro dzierzby - zauważył Shufti. - Czyżbyś był tak głuchy, by nigdy nie słyszeć o tym ptaku?

- Niech przyjrzę się temu magicznemu pióru.

Tanus ruszył z wyciągniętą prawą ręką, a Shufti podążył mu na spotkanie. W tej samej chwili Kratas, Rem-rem i Astes również zbliżyli się, jak gdyby pragnęli przypatrzeć się pióru.

Zamiast wziąć dar z jego ręki, Tanus schwycił nagle Shuftiego za nadgarstek i wykręcił mu rękę za plecy.

Z okrzykiem przerażenia Shufti padł na kolana, a Tanus przytrzymał go bez trudu. Jednocześnie Kratas ze swymi ludźmi wystrzelili do przodu, zaskakując pozostałych dwóch bandytów tak samo jak ich przywódcę. Wytrącili im broń i przywlekli do Tanusa.

- A więc, ptaszyny moje, pragniecie wystraszyć swymi groźbami Kaarika Asyryjczyka? Tak, mój szlachetny sprzedawco pierza, słyszałem o Dzierzbach. Słyszałem, że są stadem gadatliwych, tchórzliwych żółtodziobów, robiących więcej zgiełku niż stado wróbli - wykręcił mocniej ramię Shuftiego, aż bandyta wrzasnął z bólu i padł plackiem na twarz. - Tak, słyszałem o Dzierzbach, lecz czy wy słyszeliście o Kaariku zwanym Straszonym?

Skinął na Kratasa, a jego ludzie w kilka chwil szybko i zręcznie rozebrali wszystkich trzech Dzierzbów do naga i rozciągnęli ich z rozpostartymi ramionami na skalistym gruncie.

- Chcę, byście zapamiętali moje imię i odlatywali, jak to przystoi porządnej małej dzierzbie, gdy ponownie je usłyszycie - powiedział Tanus i ponownie skinął głową Kratasowi.

Kratas wygiął między palcami swój bat do poganiania niewolników. Był on tego samego rodzaju co słynne narzędzie Rasfera, zestrugany z wygarbowanej skóry samca hipopotama.

Tanus wyciągnął rękę i Kratas niechętnie mu go podał.

- Nie rób takiej ponurej miny, nadzorco niewolników - powiedział. - Przyjdzie na ciebie kolej później. Lecz Kaarik

Asyryjczyk zawsze nabiera pierwszą łyżkę z garnka.

Machnął batem w powietrzu, on zaś zaświszczając niczym wiatr na skrzydłach zrywającej się do lotu gęsi. Shufi poruszył się nerwowo i wykręcił głowę.

- Postradałeś zmysły, asyryjski wole - syknął. - Nie rozumiesz, że jestem wodzem klanu Dzierzbów? Nie ośmielisz się tego zrobić...

Jego obnażone plecy i pośladki upstrzone były bliznami po ospie.

Tanus uniósł bat wysoko i spuścił go z pełnego zamachu, wkładając w uderzenie całą moc ramienia. Bat pozostawił na plecach Shuftiego purpurową pręgę grubości mego palca wskazującego. Ból był tak przenikliwy, że ciało bandyty zadrgało konwulsyjnie, stracił oddech, nawet nie był w stanie krzyknąć. Tanus podniósł broń i precyzyjnie wyciął kolejną pręgę, idealnie równoległą do pierwszej, prawie, lecz nie całkowicie dotykającą. Tym razem Shufi nabrał powietrza w płuca i wydał ochrypły ryk niczym złapany w pułapkę samiec bawołu. Tanus nie zwrócił uwagi na jego szarpaninę, pracował wytrwale, wymierzając ciosy, jak gdyby tkął dywan.

Gdy wreszcie skończył, nogi, pośladki i plecy jego ofiary pokryte były ognistymi pręgami. Żaden ślad nie zachodził na sąsiednie. Skóra pozostała nietknięta i nie popłynęła ani jedna kropla krwi, a jednak Shufi nie szamotał się już i nie krzyczał. Leżał z twarzą w piachu, oddychając chrapliwie, tak że każdy wydech wzbijał chmurę pyłu. Nie próbował

usiąść, gdy Rem-rem i Kratas go puścili. Nawet się nie poruszył.

- Następny należy do ciebie, nadzorco - Tanus rzucił bat Kratasowi. - Zobaczmy, jaki też wzór potrafisz wytatuować na jego plecach.

Ciosy Kratasa huczały z impetem, lecz brakowało im elegancji, jaką zademonstrował Tanus. Wkrótce plecy bandyty ociekały niczym pęknięty dzban czerwonego wina. Kropelki krwi spadały w piach, tworząc maleńkie grudki błota.

Wreszcie zadowolony, lekko spocony Kratas przekazał bat Astesowi, wskazując na ostatnią ofiarę.

- Daj temu coś, co by mu przypominało o konieczności zachowywania dobrych obyczajów.

Astes miał jeszcze mniej wyważoną rękę od Kratasa. Gdy skończył, plecy ostatniego bandyty przypominały płat świeżej wołowiny porąbany przez obłąkanego rzeźnika.

Tanus dał karawanie znak do wyruszenia w kierunku przełęczy wiodącej przez skaliste czerwone góry. My przez chwilę pozostaliśmy przy trzech nagich mężczyznach.

W końcu Shufti poruszył się i uniósł głowę, a Tanus zwrócił się do niego uprzejmie:

- Tak oto, mój przyjacielu, musimy się pożegnać. Zapamiętaj sobie moją twarz i kroc ostrożnie, gdy znów ją ujrzysz.

- Podniósł leżące na ziemi piórko dzierzby i zatknął je za opaskę na czole. - Dziękuję ci za twój dar. Obyś wszystkie twe noce spędzał kołysany w ramionach pięknych kobiet -

dotknął serca i ust w asyryjskim geście pożegnania, a ja podążyłem za nim w ślad za oddalającą się karawaną.

Zanim zesliśmy z następnego wzniesienia, spojrzałem do tyłu. Trzej Dzierzbowie podnieśli się, wspierając się wzajemnie, by nie upaść. Nawet z tej odległości byłem w stanie odczytać wyraz twarzy Shuftiego. Była to najczystsza esencja nienawiści.

- Cóż, teraz macie pewność, że będziemy mieli na karku wszystkich Dzierzbów po tej stronie Nilu, gdy tylko postawimy pierwszy krok za przełęczą - powiedziałem Kratasowi i jego łotrom.

Nie ucieszyłbym ich bardziej, gdybym obiecał im statek wypełniony piwem i ładnymi dziewczynami.

Ze szczytu przełęczy ostatni raz spojrzeliśmy na chłodny błękit morza, a potem zesliśmy w rozpaloną dzicz skał i piasków, oddzielającą nas od Nilu.

Podczas wędrówki upał atakował nas niczym śmiertelny wróg. Gdy sapiąc, próbowaliśmy złapać oddech, wdzierał się ustami i nosem. Wysysał wilgoć z ciał niczym złodziej. Wysuszał i perforował skórę, dopóki wargi nie popękały jak przejrzałe irgi. Skała pod nogami rozgrzewała się do białości, jakby wyjęto ją prosto z garncarskiego pieca, paliła i pokrywała pęcherzami stopy nawet przez skórzane podeszwy sandałów. Wędrówka podczas godzin największego gorąca stała się niemożliwością. Leżeliśmy wtedy w nikłym cieniu dostarczonych przez Tiamata płóciennych namiotów, dysząc jak myśliwskie psy po pogoni.

Ledwie słońce zaczynało opadać ku postrzępionej linii horyzontu, ruszaliśmy dalej. Pustynia naładowana była tak wszechobecną nieokreśloną groźbą, że przygasł nawet zawiadający nastrój gwardzistów Błękitnego Krokodyla. Długa, powolna kolumna wiła się niczym okaleczony wąż między czarnymi skalnymi występami i wydmami koloru lwiej sierści, podążając starożytnym szlakiem, którym wędrowali przed nami niezliczeni podróżnicy.

Gdy zapadała wreszcie noc, niebo rozjarzało się tak intensywnym blaskiem gwiazd, a pustynia była tak rozświetlona, że mogłem rozróżnić postać Kratasa na końcu karawany, chociaż dzieliło nas dwieście kroków. Maszerowaliśmy przez pół nocy, potem dopiero Tanus dawał komendę do rozejścia się. Zrywał nas przed świtem i szliśmy dalej, dopóki otaczające nas skały nie rozpuściły się w mirażach, a horyzont nie zaczął falować, jakby był utworzony ze stopionej smoły.

Nie dostrzegliśmy żadnego znaku życia poza stadem psiogłowych pawianów, które obszczeekało nas ze zboczy nagiego kamienistego płaskowyżu, gdy przechodziliśmy poniżej. Tylko sępy krążyły na rozżarzonej błękitnym niebie tak wysoko, że wydawały się pyłkami kurzu zataczającymi powolne, ociężałe kręgi nad naszymi głowami.

Gdy odpoczywaliśmy w środku dnia, wiry powietrzne kręciły się i kołysały na równinie ze szczególnym wdziękiem tańczących hurys, a kubek wody stanowiący naszą rację w ustach obracał się w parę.

- Gdzie oni są? - burczał Kratas. - Na spoconą moszną Setha, mam nadzieję, że te ptaszki wreszcie zdobędą się na odwagę i wleżą na grzędę.

Choć wszyscy żołnierze byli twardymi weteranami, zahartowanymi w znoszeniu ciężkich warunków i niewygód, coraz częściej tracili humor i nerwy. Dobrzy towarzysze i starzy przyjaciele spoglądali jeden na drugiego spode łba bez wyraźnego powodu i kłócili się o przydział wody.

- Shufti to stary szczwany lis - powiedziałem Tanusowi. - Zbierze swe siły i raczej zaczeka na nas, niż pospieszy nam na spotkanie. Zanim uderzy, pozwoli, byśmy znużyli się podróżą i ze zmęczenia zapomnieli o ostrożności.

Piątego dnia ujrzałem mroczne wzgórza podziurawione otworami starożytnych grobowców. Poznałem, że zbliżamy się do oazy Gallala. Przed wiekami oaza utrzymywała kwitnące miasto, lecz później trzęsienie ziemi wstrząsnęło wzgórzami i uszkodziło studnie. Zasoby wody zmalały do kilku leniwie sączących się kropel. Choć studnie zostały pogłębione, by dogonić ustępujący życiodajny płyn, a ziemne stopnie wiodły ku zawsze skrytemu w cieniu lustru wody, miasto umarło. Pozbawione dachów ściany stały opuszczone w ciszy, a na dziedzińcach, gdzie niegdyś bogaci kupcy figlowali w swych haremach, wygrzewały się jaszczurki.

Po pierwsze, musieliśmy napełnić szawłoki. Echa pobrzmiwające w głębokich szybach zniekształcały głosy ludzi nabierających wodę na dnie studni. Gdy ci się trudzili, Tanus i ja pospiesznie obeszlśmy zrujnowane miasto. Było

to opuszczone, melancholijne miejsce. W centrum wznosiła się podniszczona świątynia opiekuńczego bóstwa Gallali. Strop runął, a ściany miejscami chyliły się ku ziemi. Prowadziła tu tylko jedna droga, wiodąca przez walące się wejście w zachodniej ścianie.

- Nada się doskonale - wymruczał Tanus, przemierzając świątynię wielkimi krokami, oceniając ją okiem żołnierza szkolonego w sztuce fortyfikacji i zasadzek. Gdy zacząłem podpytywać go o zamiary, uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Tę część pozostaw mnie, stary druhu. Walka to moje rzemiosło.

Staliśmy tak pośrodku świątyni, a w kurzu u naszych stóp dostrzegłem ślady stada pawianów i pokazałem je Tanusowi.

- Zapewne przychodzą napić się do studni - zauważyłem.

Tego wieczoru, gdy siedzieliśmy dookoła małych, obficie kopających ognisk z wysuszonego oślego nawozu rozpalonych w starożytnej świątyni, ponownie usłyszeliśmy pawiany, stare samce wyrzaskujące małpie obelgi na wzgórzach otaczających opuszczone miasto. Ich głosy rozbrzmiewały na zboczach ze wszystkich stron, kiwnąłem więc głową w stronę Tanusa siedzącego po drugiej stronie ogniska.

- Twój przyjaciel Shufti wreszcie przybył. Jego zwiadowcy siedzą teraz na wzgórzach i obserwują nas. To oni wystraszyli pawiany.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Moi szubrawcy są bliscy buntu. Wiedzą, że to twój pomysł i jeżeli nie miałeś

racji, będę musiał oddać im twoją głowę lub twój tyłek, by ich ułagodzić – warknął Tanus i przeszedł do sąsiedniego ogniska porozmawiać z Astesem.

Gdy bliskość przeciwnika stała się oczywista, nastrój w obozie błyskawicznie się zmienił. Ponure miny zniknęły bez śladu, mężczyźni uśmiechali się do siebie w blasku ognisk, ukradkowo sprawdzając ostrza mieczy skrytych pod matami, na których siedzieli. Byli to jednak doświadczeni weterani, dalej odgrywali więc sceny z codziennego życia karawany, by nie zaalarmować obserwatorów na mrocznych wzgórzach. Wreszcie wszyscy skuliliśmy się na naszych matach, ognie przygasły, lecz nikt nie mógł zasnąć. Słyszałem, jak ludzie pokaszają i przewracają się niespokojnie. Długie godziny wlokły się niemiłosiernie, przez otwarty dach przyglądałem się wielkim gwiazdozbiorom kołującym wolno w majestatycznym przepychu nad moją głową, a atak wciąż nie nadchodził.

Tuż przed świtem Tanus po raz ostatni obszedł warty i po drodze ku stygnącym popiołom ogniska zatrzymał się na moment przy moim posłaniu.

- Ty i twoi kumple, pawiany, pasujecie do siebie. Nic, tylko obszczekujecie cienie – szepnął.

- Dzierzbowie są tutaj. Czuję ich smród. Wzgórza roją się od nich – zaprotestowałem.

- Wszystko, co czujesz, to nadzieja na śniadanie – mruknął.

Tanus dobrze wie, jak nie cierpię sugestii, że jestem obżartuchem. Zamiast odpowiadać na takie przejawy

kwaśnego humoru, wstałem i oddaliłem się w ciemność, by ulżyć sobie za najbliższym stosem kamieni.

Gdy tam kucałem, ponownie szczeknął jakiś pawian, dziki, donośny wrzask zakłócił ciszę ostatej i najmroczniejszej z nocnych wart. Obróciłem głowę w tym kierunku i usłyszałem słaby, daleki dźwięk metalu uderzającego o skałę, jak gdyby na grzbiecie wzgórza nerwowa dłoń upuściła sztylet lub jakby nieostroźnie trzymana tarcza otarła się o skalny występ, gdy uzbrojony człowiek pospiesznie zajmował stanowisko, zanim zdradzi go blask świtu.

Uśmiechnąłem się z samozadowoleniem - niewiele znam w tym życiu przyjemności większych od oglądania Tanusa odwołującego swe słowa.

- Gotujcie się. Są tutaj!

Usłyszałem, jak me ostrzeżenie wędruje z jednych bezsennych ust do drugich. Wróciłem na posłanie.

Nad moją głową gwiazdy poczęły blednąć i świt zaczął nadchodzić ku nam ukradkiem niczym lwica podchodząca stado gazel. Wtedy rozległ się ostry gwizd wartownika na zachodnim murze świątyni, melodyjny, płynny dźwięk, jaki mógł wydać lelek kozodój, tyle tylko, że my wiedzieliśmy, co on oznacza, i natychmiast przez obóz przebiegł szmer poruszenia. Uciszyły go ciche, lecz naglące szepty Kratasa i jego oficerów.

- Spokojnie, Błękitni! Pamiętajcie o rozkazach. Pozostać na pozycjach!

Nikt nie podniósł się z posłania.

Nie siadając, z twarzą wciąż osłoniętą chustą, obróciłem powoli głowę i spojrzałem na grzbiety wzgórz wyłaniające się z mroku ponad świątynnymi murami. Szczerbaty niczym rekinie zęby zarys granitowych wzniesień zaczął się delikatnie zmieniać. Musiałem zamrużyć, by upewnić się, co widzę. Potem wolno obróciłem głowę i gdziekolwiek spojrzałem, me oczy napotykały ten sam widok. Grzbiety wzgórz naokoło nas najeżone były ciemnymi, złowieszczyymi kształtami uzbrojonych ludzi. Tworzyli nieprzerwaną palisadę, przez którą nie miał szansy umknąć żaden uciekinier.

Wówczas zrozumiałem, dlaczego Shufti tak bardzo odwlekał swój odwet. Cały ten czas zajęło mu zgromadzenie takiej armii złodziei. Musiało ich być ponad tysiąc, choć w kiepskim świetle nie sposób było tego dokładnie ocenić. Mieli nad nami przynajmniej dziesięciokrotną przewagę liczebną, więc upadłem na duchu. Szanse były nikłe, nawet dla pułku Błękitnych.

Dzierzbowie stali nieruchomo jak otaczające ich skały i ten pokaz dyscypliny mnie zaniepokoił. Oczekiwałem, że spłyną strumieniami w nieskładnej masie, a zachowywali się jak wyszkoleni żołnierze. Ich spokój był bardziej zatrważający niż dzikie wycie i wymachiwanie bronią.

Jako że z każdą chwilą robiło się jaśniej, mogliśmy dokładniej ich obejrzeć. Pierwsze promienie słońca odbijały się od brązowych tarcz i nagich ostrzy mieczy, miotając blaski światła w nasze oczy. Każdy Dzierzba zakutany był w chustę z czarnej wełny owiniętą wokół głowy, tak że

w szczelinach między zwojami lśniły tylko oczy, oczy równie wrogie jak spojrzenia okrutnych błękitnych rekinów straszących w wodach morza, które zostawiliśmy daleko za sobą.

Milczenie się przeciągało. Myślałem już, iż lada moment puszczą mi nerwy, a serce eksploduje pod ciśnieniem stłoczonej w nim krwi. Wreszcie zabrzmiał znajomy głos, przeganiając poranną ciszę i odbijając się wśród wzgórz.

- Kaarik! Nie śpisz?

Mimo maskującej go chusty rozpoznałem Shuftiego. Stał na środku zachodniego zbocza, tam gdzie przecinała je droga.

- Kaarik! - zawołał ponownie. - Już czas zapłacić, co mi jesteś winien, lecz cena wzrosła. Teraz chcę wszystkiego. Wszystkiego! - powtórzył i odrzucił chustę, odsłaniając dziobatą twarz. - Chcę wszystkiego, co posiadasz, łącznie z twoim durnym, butnym łbem.

Tanus podniósł się z posłania, odtrącając na bok pled z owczej skóry.

- W takim razie musisz zejść na dół, żeby mi go zabrać! - odkrzyknął, obnażając miecz.

Shufti uniósł prawe ramię, światło padło na jego ślepe oko, które zaśniło jak srebrna moneta. Potem gwałtownie opuścił rękę.

Na jego sygnał nad szeregami ludzi ustawionych na wyniosłym terenie zerwał się krzyk, wojownicy poderwali broń, potrząsając nią na tle bladożółtego, porannego nieba.

Shufti pognął ich naprzód ruchem ręki, a oni spłynęli potokiem po zboczach w wąską dolinę Gallali.

Tanus popędził na środek świątynnego dziedzińca, gdzie starożytni mieszkańcy wzniesli wysoki, kamienny ołtarz swemu patronowi Besowi, karlemu bogu muzyki i opilstwa. Kratas pobiegł ze swymi oficerami, by się do niego przyłączyć, podczas gdy niewolnice i ja kuliliśmy się na posłaniach, kryjąc głowy i zawodząc w przerażeniu.

Tanus wskoczył na ołtarz i przykląkł na jedno kolano, napinając Lanatę. Naciągnięcie łuku wymagało potwornej siły, lecz gdy powstał, zwoje drutu ze srebrnego elektrum połyskiwały jakby obdarzone własnym życiem. Sięgnął przez ramię i wyciągnął strzałę z kołczana na plecach, zwracając się ku głównemu wejściu, przez które musiała wpaść horda Dzierzbów.

Pod ołtarzem Kratas ustawił swych ludzi w pojedynczy szereg, oficerowie również napięli łuki, obracając się ku wejściu na dziedziniec. Grupka wokół ołtarza była żałośnie mała i przyglądałem się jej ze ściśniętym gardłem. Wojownicy byli tak bohaterscy i nieustraszeni. Ułożę poemat na ich cześć - postanowiłem powodowany nagłym impulsem, lecz zanim stworzyłem pierwszy wers, czołówka tłumu bandytów wdarła się z wyciem przez zrujnowane wejście.

Nie więcej niż pięciu ludzi naraz mogło wspinać się po stromych schodach do przejścia, a od ołtarza, na którym stał Tanus, dzieliło ich najwyżej czterdzieści kroków. Tanus zwolnił cięciwę i wypuścił pierwszą strzałę. Ta jedna strzała

zabiła trzech ludzi. Pierwszym z nich był wysoki oprych w krótkiej spódnicy, o długich, tłustych kłakach opadających na kark. Pocisk uderzył go w środek nagiej piersi i przeszedł przez ciało tak czysto, jakby była to tarcza wycięta z arkusza papierusu.

Śliska od krwi pierwszego człowieka strzała uderzyła idącego za nim mężczyznę w gardło. Choć jej pęd zmniejszył się, zdołała przebić szyję i wynurzyć się po drugiej stronie. Lotki wczepiły się w ciało, podczas gdy zębaty, brązowy grot zagłębił się w oku trzeciego człowieka, pchającego się tuż za poprzednim. Dwaj Dzierzbowie zostali szczepieni razem. Zatoczyli się i trzepotali w przejściu, blokując drogę tym, którzy starali się przepchnąć obok nich na dziedziniec. W końcu grot wyrwał się z czaszki trzeciego mężczyzny, ciągnąc za sobą nadziane na czubek oko. Dwaj trafieni ludzie rozdzielili się i ciżba wrzeszczących bandytów przeszła po nich na dziedziniec. Mała grupa wokół ołtarza powitała ich strzałami, powalając ich tak szybko, że ciała zablokowały przejście, a ci pracy z tyłu zmuszeni byli gramolić się po stosach rannych i trupów.

Długo nie mogło to potrwać, napór wojowników z tyłu był zbyt wielki, a ich liczba zanadto przytłaczająca. Niczym woda przez pękający ziemny wał niezdolny powstrzymać przybierający wylew Nilu ludzie przedarli się przez otwór. Zwarta masa wlała się na dziedziniec, otaczając niewielki oddział przy ołtarzu boga Besa.

Odległość była teraz za mała, by używać łuków, Tanus i jego ludzie odrzucili je więc i dobyli mieczy.

- Horusie, uzbrój mnie! - wykrzyczał swój zew bojowy Tanus, a otaczający go żołnierze podjęli okrzyk, zabierając się do dzieła.

Brząz dźwięczał o brząz. Dzierzbowie próbowali ich dopaść, lecz gwardziści utworzyli pierścień dookoła ołtarza, zwróciwszy się do niego plecami. Z której strony by ich nie zachodzili, Dzierzbowie napotykali ostrza i zabójcze ciosy żołnierzy. Dzierzbom nie brakowało odwagi, skupili się więc ciasnymi szeregami wokół ołtarza. Gdy tylko jeden padał, kolejny wskakiwał na jego miejsce.

W wejściu ujrzałem Shuftiego. Trzymał się z daleka od starcia, przeklinając swych ludzi i wysyłając ich w wir walki ohydnyymi rykami wściekłości. Gdy zagrzewał ich do boju, jego ślepe oko obracało się w oczodole.

- Asyryjczyka weźcie żywego. Chcę zabić go powoli i słyszeć, jak skamle.

Bandyci całkowicie zignorowali kobiety, nadal kulące się z nakrytymi głowami na posłaniach, jęczące i piszczące w panice. Zawodziłem równie dobrze jak pozostali, lecz zwarcie na środku dziedzińca było jak na mój gust zbyt niepokojące. W tej chwili na zamkniętej przestrzeni tłoczyło się już ponad tysiąc ludzi. Krztusząc się w kurzu, kopany byłem i walony obutymi w sandały stopami walczącego tłumu, dopóki nie zdołałem odczołgać się w kąt podwórca.

Jeden z bandytów wycofał się z walki i pochylił nade mną. Zdarł chustę z mej twarzy i przez moment wpatrywał się mi

w oczy.

- Matko Izydy - wyszeptał - aleś ty piękna!

Sam był odrażającym demonem ze szparami między zębami i blizną biegnącą przez policzek. Jego oddech śmierdział jak kanał ściekowy, gdy gapił się pożądliwie na moją twarz.

- Poczekaj, póki to zamieszanie się nie skończy. Wtedy dam ci coś, co sprawi, że będziesz piszczeć z rozkoszy - obiecał i przybliżył mą twarz do swojej. Pocałował mnie.

Naturalny odruch nakazywał go odepchnąć, lecz opanowałem się i oddałem pocałunek. W sztukach miłosnych jestem artystą, gdyż mych umiejętności nauczyłem się w chłopięcych apartamentach księcia Intefa. Me pocałunki są w stanie zamienić mężczyznę w galaretę.

Pocałowałem go najlepiej, jak tylko umiałem, a bandytę ogarnął paraliż. Podczas gdy nadal nie był w stanie się poruszyć, wysunąłem sztylet z pochwy pod koszulą i wepchnąłem jego czubek w szczelinę między piątym i szóstym zębem. Gdy rabuś wrzasnął, zdławiłem okrzyk własnymi ustami i przyciągnąłem go namiętnie do łona, wiercąc sztyletem w jego sercu, dopóki z dygotem nie zawisł na mnie bezwładnie, a wtedy pozwoliłem mu przetoczyć się na bok.

Pospiesznie rozejrzałem się dookoła. W te parę chwil, jakie zajęło mi pozbycie się mego wielbiciela, położenie grupki gwardzistów wokół ołtarza się pogorszyło. W pojedynczym szyku widniały przerwy. Dwóch ludzi padło,

a Amseth był ranny. Przełożył miecz do lewej ręki, gdyż prawa krwawiąc zwisała u jego boku.

W przyływie ulgi dostrzegłem, że Tanin nadal jest nietknięty, a operując mieczem, wciąż śmieje się z dziką radością. Pomyślałem, że zbyt długo zwleka z ujawnieniem pułapki. Cała banda Dzierzbów stłoczyła się na dziedzińcu, wyjąc niczym sfora psów myśliwskich wokół zagnanego na drzewo lamparta. W parę chwil on i jego waleczny oddziałek bez wątplenia zostaną zarąbani.

Właśnie gdy na niego spojrzałem, Tanus zabił kolejnego zbója czystym pchnięciem w gardło, a potem wyszarpnął ostrze z lepkiego ciała i postąpił o krok w tył. Odchylił głowę i wydał z siebie ryk, który zatrzęsł niszczącymi murami świątyni:

- Do mnie, Błękitni!

W tym samym momencie dygocące ze strachu niewolnice poderwały się, zrzucając powłóczyste szaty. Z uprzednio już obnażonymi mieczami w dłoniach gwardziści spadli od tyłu na bandycką horde. Zaskoczenie było całkowite i przygniatające. Na moich oczach zgładzili stu, a może i więcej Dzierzbów, zanim ich ofiary w ogóle pojęły, co się dzieje, i zdążyły się zebrać, by stawić im czoło. Lecz skoro tylko bandyci odwrócili się, by odeprzeć ten nowy atak, wystawili plecy na ciosy Tanusa i jego nikłego oddziału.

Walczyli dobrze, tyle muszę im oddać, choć pewien jestem, że to przerażenie, nie zaś odwaga, gnało ich do boju. Ich szeregi były jednak zbyt ściśnięte, by mogli w pełni wykorzystać swe umiejętności szermiercze,

a ludzie, z którymi walczyli, należeli do jednej z najlepszych formacji w Egipcie, a więc i na całym świecie.

Przez chwilę opierali się jeszcze. Wtedy Tanus ponownie wykrzyknął coś wśród zgiełku. Przez moment sądziłem, że wydaje jeszcze jeden rozkaz, lecz zaraz zorientowałem się, że jest to pierwsza linijka bojowego hymnu gwardii. Chociaż wielokroć słyszałem pełne podziwu opowieści o tym, jak Błękitni śpiewają zawsze wtedy, gdy bitwa sięga szczytu, nigdy nie wierzyłem, by było to w pełni możliwe. Teraz naokoło mnie pieśń tę podchwyciło sto wyteżonych głosów.

*Jesteśmy tchnieniem Horusa,
Gorącym jak pustynny wiatr,
Jesteśmy żeńcami ludzi...*

Miecze wybijały akompaniament do tych słów, przypominający łomot młotów bijących o kowadła w podziemiach świata. Wobec takiej zawziętości Dzierzbowie zawahali się i nagle bitwa przemieniła się w masakrę.

Widziałem kiedyś, jak zgraja psów otacza i wdziera się w stado owiec. To było jeszcze gorsze. Niektórzy Dzierzbowie rzucali miecze i padali na kolana, zebrząc zmiłowania. Nie okazywano im żadnej litości. Inni próbowali dotrzeć do wyjścia, lecz tam czekali na nich gwardziści z mieczami w dłoniach.

Tańczyłem wokół walczących, wrzeszcząc do Tanusa, starając się, by mój głos przebił się przez harmider.

- Powstrzymaj ich. Potrzebujemy jeńców.

Tanus mnie nie słyszał albo, co bardziej prawdopodobne, po prostu puścił mimo uszu me błagania. Śpiewając i śmiejąc się, z Kratasem u lewego boku i Rem-remem u prawego, wdarł się pomiędzy wroga. Jego broda przesiąknięta była krwią tych, których zabił, a w oczach ociekającej posoką czerwonej maski jego twarzy migotało szaleństwo, jakiego nigdy dotąd tam nie widziałem. O! Hapi, jakże służył mu ten idący do głowy bitewny napitek!

- Powstrzymaj to, Tanusie! Nie zabijajcie wszystkich!

Tym razem mnie usłyszał. Ujrzałem, że szaleństwo gaśnie w jego oczach, i ponownie wziął się w garść.

- Okazywać litość tym, którzy o nią proszą - krzyknął, a gwardziści go posłuchali.

Lecz koniec końców z początkowego tysiąca mniej niż dwie setki Dzierzbów płaszczyło się bez broni na skrwawionych kamiennych płytach, błagając o darowanie życia.

Przez chwilę stałem na obrzeżu tej jatki oszołomiony i niepewny, gdy nagle kątem oka wychwyciłem jakiś ukradkowy ruch.

Shufti pojął, że nie wymknie się przez wyjście. Rzucił miecz i pomknął ku wschodniemu murowi dziedzińca, niedaleko od miejsca, w którym stałem. Ten fragment był najbardziej zniszczony, zredukowany do połowy swej pierwotnej wysokości. Wykruszone gliniane cegły tworzyły strome nachylenie, po którym Shufti zaczął się gramolić, obsuwając się i spadając, a jednak w szybkim tempie zbliżał

się do szczytu muru. Wyglądało na to, że tylko ja zauważyłem jego ucieczkę. Gwardziści zajęci byli innymi jeńcami, a Tanus stał do mnie tyłem, kierując dobijaniem rozbitego przeciwnika.

Prawie bez zastanowienia pochyliłem się i podniosłem połówkę glinianej cegły. Gdy Shufti wspiał się na szczyt muru, cisnąłem w niego cegłą, wkładając w to całą siłę. Pocisk łupnął go w tył głowy z taką mocą, że Dzierzba opadł na kolana, a wtedy zdradziecka kupa luźnego gruzu ustąpiła pod jego ciężarem i Shufti zsunął się na dół w chmurze pyłu. Półprzytomny wylądował u moich stóp.

Doskoczyłem do niego, siadłem na nim okrakiem i przycisnąłem mu do gardła czubek mego sztyletu. Shufti spojrzał na mnie swym jedynym okiem, wciąż jeszcze zamglonym od ciosu, jaki mu zaserwowałem.

- Nie ruszaj się - ostrzegłem go - albo wypatroszę cię jak rybę.

Zgubiłem gdzieś chustę i nakrycie głowy, moje włosy rozsypały się na ramiona. Shufti rozpoznał mnie, co nie było dla mnie zaskoczeniem. Często się spotykaliśmy, choć w odmiennych okolicznościach.

- Taita eunuch! - wymamrotał. - Czy księżę Intef wie, co wyprawiasz?

- Wkrótce się dowie - zapewniłem go i dźgnąłem tak, że stęknął. - Ale to nie ty go oświecisz.

Cały czas trzymając sztylet przy jego gardle, przywołałem dwóch najbliższych gwardzistów, by go przejęli. Żołnierze

przewrócili go na twarz i skrępowali nadgarstki lnianym sznurem, a potem powlekli go na bok.

Tanus widział, jak pojmałem Shuftiego, i ruszył wielkimi krokami w moją stronę, przekraczając ciała rannych i zabitych.

- Dobry rzut, Taito! Nie zapomniałeś niczego, czego cię nauczyłem - walnął mnie w plecy tak, że aż się zatoczyłem.

- Wciąż jest dla ciebie dużo pracy. Straciliśmy czterech ludzi, a przynajmniej tuzin jest rannych.

- Co z ich obozem? - zapytałem, a on wlepił we mnie nierozumiejące spojrzenie.

- Jakim obozem?

- Tysiąc Dzierzbów nie wyrosło na piachu jak pustynne kwiecie. Muszą mieć ze sobą zwierzęta juczne i niewolników. I to niedaleko stąd. Nie wolno ci pozwolić im umknąć. Nikt nie może się wydostać z wieścią o dzisiejszej bitwie. Nikt nie może dotrzeć do Karnaku z informacją o tym, że nadal pozostajesz wśród żywych.

- Słodka Izydo, masz słuszność! Ale jak ich znajdziemy?

Oczywiste było, że Tanus wciąż zamroczony jest bitewnym szaleństwem. Czasami poważnie się zastanawiałem, co on by beze mnie uczynił.

- Po tropach - odparłem niecierpliwie. - Tysiąc par stóp musiało wydeptać ścieżkę, która zaprowadzi nas do miejsca, z którego przybyli.

Rozchmurzył się i krzyknął do Kratasa krzątającego się po drugiej stronie świątyni:

- Weź pięćdziesięciu ludzi. Idź z Taitą. On zaprowadzi cię do ich obozowiska.

- Ale ranni... - spróbowałem zaprotestować.

Miałem już dość walki jak na jeden dzień, lecz Tanus odrzucił moje sprzeciwy.

- Jesteś najlepszym tropicielem, jakiego mam. Ranni mogą poczekać na twój opatrunek, moi zbóje są równie żyłści jak świeże bawole mięso, niewielu z nich umrze przed twoim powrotem.

Odnalezienie obozu było tak łatwe, jak można było wnioskować z moich słów. Podczas gdy Kratas i jego pięćdziesięciu gwardzistów szło tuż za mną, okrążyłem miasto obszernym łukiem i za pierwszą linią wzgórz znalazłem szeroki trop, jaki pozostawili Dzierzbowie, zanim się rozproszyli, by nas okrążyć. Podążyliśmy wzdłuż niego truchtem, by za kolejnym wzniesieniem w płytkiej dolinie u naszych stóp ujrzeć obóz bandytów.

Zaskoczenie było całkowite. Mniej niż dwudziestu ludzi strzegło osłów i kobiet. Żołnierze Kratasa zgnetli ich pierwszym atakiem i tym razem przybyłem na miejsce zbyt późno, by uratować jeńców. Gwardziści oszczędzili jedynie kobiety, a gdy obóz został zabezpieczony, Kratas oddał je swoim ludziom jako tradycyjną nagrodę za zwycięstwo.

Kobiety wyglądały na zestaw urodziwszy, niż można się było spodziewać w takim towarzystwie. Znalazłem wśród nich kilka całkiem ładnych twarzy. Poddały się rytuałowi podboju ze znaczną pobłażliwością. W rzeczy samej słyszałem śmiechy i żarty, gdy gwardziści rzucali o nie

kości. Profesja markietanki w bandzie Dzierzbów nie może być uważana za nazbyt cnotliwe zajęcie, toteż wątpiłem, czy którakolwiek z tych dam była wstydliwą dziewicą. Nowi właściciele jedną po drugiej wiedli pod osłonę najbliższej grupy skał, gdzie bez zbędnych ceregieli zadzierały spódnice.

Nowy księżyc następuje po śmierci starego, wiosna przychodzi po zimie, więc żadna dama nie okazywała żałoby po swych poprzednich partnerach. Prawdę mówiąc, prawdopodobnie na tych pustynnych piaskach tworzyły się właśnie nowe i być może trwałe związki.

Jeśli o mnie chodzi, bardziej interesowały mnie osły i ich ładunek. Było ich ponad sto pięćdziesiąt, w większości mocnych zwierząt w pierwszorzędnym stanie, które osiągnęłyby dobrą cenę na targu w Karnaku czy Safadze. Oceniałem, że przy podziale pieniędzy z łupów powinienem być uprawniony co najmniej do części oficera. W końcu, wspierając to przedsięwzięcie, roztrwoiłem już znaczne sumy z mych własnych oszczędności i powinienem mieć prawo do jakiejś rekompensaty. Postanowiłem, iż poważnie porozmawiam o tym z Tanusem, wiedząc, że mogę liczyć na zrozumienie. Tanus jest hojnym człowiekiem.

Gdy powróciliśmy do Gallali, wiodąc za sobą obładowane zdobyczą zwierzęta juczne i bezładną grupę kobiet, które w naturalny sposób zdążyły się już przywiązać do swych nowych mężczyzn, słońce właśnie zaszło.

Jeden z mniejszych, zrujnowanych budynków w pobliżu studni przekształcony został w polowy szpital. Tam

pracowałem nieustrudzenie przez całą noc, przy świetle pochodni i oliwnej lampy zszywając poranionych gwardzistów. Jak zawsze byłem pod wrażeniem ich stoickiego spokoju, gdyż wiele ran było poważnych i bolesnych. Przed świtem straciłem tylko jednego pacjenta. Amsetha zabiła utrata krwi z przeciętych arterii ramienia. Gdybym zajął się nim natychmiast po walce, zamiast wypuszczać się na pustynię, być może zdołałbym go uratować. Chociaż odpowiedzialność spoczywała na Tanusie, czułem znajome poczucie winy i smutku w obliczu śmierci, której mogłem zapobiec. Byłem jednak przekonany, że rany pozostałych pacjentów wygoją się szybko i bez komplikacji. Wszyscy byli silnymi, młodymi mężczyznami w doskonałym stanie fizycznym.

Nie znalazłem natomiast rannych Dzierzbów, którymi mógłbym się zająć. Odrąbano im głowy tam, gdzie padli na polu bitwy. Jako lekarz poruszony byłem tym starodawnym sposobem traktowania rannych przeciwników, przypuszczam jednak, że jest w tym pewna logika. Dlaczego zwycięzcy mieliby marnować swe zasoby na ratowanie okaleczonych przeciwników, skoro jest mało prawdopodobne, by osiągnęli oni jakąkolwiek wartość jako niewolnicy, a gdyby pozostawiono ich przy życiu, mogliby wyzdrowieć i ponownie podnieść broń?

Trudziłem się przez całą noc jedynie o łyku wina i kilku kęsach pożywienia, zjedzonych zakrwawionymi rękoma, by nie zwalić się z nóg. Byłem prawie kompletnie wyczerpany,

lecz nie dane mi było jeszcze odpocząć. Tanus posłał po mnie, gdy tylko się rozjaśniło.

Zdrowi jeńcy przetrzymywani byli w świątyni Besa. Siedzieli w długich rzędach wzdłuż północnej ściany z rękoma skrępowanymi na plecach, a gwardziści trzymali nad nimi straż.

Skoro tylko wszedłem do świątyni, otoczony grupką oficerów, Tanus przywołał mnie do siebie. Nadal przebrany byłem za Asyryjkę, uniosłem więc pochlapane krwią spódnice i skierowałem się ku niemu, wybierając drogę wśród zaścieniającego posadzkę bitewnego śmiecia.

- Istnieje trzynaście klanów Dzierzbów, czyż nie tak mi powiedziałaś, Taito? - zapytał Tanus, a ja potwierdziłem skinieniem głowy. - Każdy klan ma swojego wodza. Pojmaliśmy Shuftiego. Zobaczmy, czy poznasz jeszcze jakiegoś wśród tego zgromadzenia prawego i szlachetnego ludu - chichocząc, wskazał na jeńców i ujął mnie za ramię, by poprowadzić między rzędami przykucniętych mężczyzn.

Skrywałem twarz za zasłoną, tak by żaden z więźniów mnie nie rozpoznał. Przyglądałem się każdemu mijanemu obliczu i zidentyfikowałem dwóch. Akheku był głową południowego klanu, żerującego na ziemiach wokół Asuanu, Elefantyny i pierwszej katarakty, a Setek, wódz Kom Ombo, pochodził z ziem położonych dalej na północy.

Shufti zgromadził wszystkich ludzi, jakich tylko był w stanie znaleźć w tak krótkim czasie. Wśród pochwyconych przez nas znajdowali się członkowie

wszystkich klanów. Gdy identyfikowałem ich przywódców klepieniem w ramię, natychmiast odciągano ich na bok.

- Jesteś pewien, że żadnego nie pominąłeś? - zapytał Tanus, kiedy doszliśmy do końca rzędu.

- Jak mogę być pewien? Powiedziałem ci, że nigdy nie spotkałem wszystkich wodzów.

- Nie powinniśmy oczekiwać, że złapiemy wszystkie ptaszki przy pierwszym zarzuceniu sieci. - Tanus wzruszył ramionami.

- Powinniśmy uważać się za szczęśliwców, że tak szybko udało nam się pojmać aż trzech. Ale przyjrzyjmy się teraz głowom. Być może fortuna się do nas uśmiechnie i znajdziemy wśród nich jeszcze kilka znajomych.

Była to makabryczna czynność, która mogłaby wpłynąć na żołądek wrażliwszy od mojego, lecz widok ludzkiego ciała, tak martwego jak żywego, jest w moim fachu rzeczą zwyczajną. Usiedliśmy swobodnie na stopniach świątyni, zajadając śniadanie, a gwardziści pokazywali nam po kolei odrąbane głowy. Unosili je za zlepione krwią włosy, a języki zwisały spomiędzy sflaczałych warg, puste zaś, przyprószone kurzem oczy wpatrywały się w zaświaty, w które zmierzali ich właściciele.

Nie narzekałem na brak apetytu, jako że przez ostatnie dwa dni niewiele jadłem. Pochłaniałem smakowite ciastka i owoce przygotowane przez Tiamata, jednocześnie wskazując głowy, które rozpoznawałem. Było wśród nich ze dwadzieścia głów prostych złodziei, których napotkałem w trakcie pracy dla księcia Intefa, lecz tylko jedna należała

do wodza, Nefer-Temu z Keny, pomniejszego członka ohydneho braterstwa.

- To już czterech - Tanus uśmiechnął się z zadowoleniem i polecił, by głowę Nefer-Temu umieszczono na szczycie piramidy czaszek, jaką wznosił przy studniach Gallali.

- A więc załatwiliśmy się już z czterema. Musimy odnaleźć pozostałych dziewięciu. Zaczniemy, pytając o to naszych jeńców.

Podniósł się żywo, ajapospiesznie przełknąłem resztki śniadania i niechętnie poszedłem z powrotem do świątyni Besa.

Chociaż to ja jasno ukazałem Tanusowi konieczność posiadania informatorów w klanach i choć to właśnie ja zasugerowałem mu, w jaki sposób ich zwerbować, to jednak gdy nadszedł czas, by postąpić według mej sugestii, dopadły mnie wyrzuty sumienia i poczucie winy. Zaproponowanie bezwzględnego działania to jedno, a przyglądanie się wprowadzaniu go w życie to drugie.

Skleciłem kiepski wykręt, że ranni żołnierze w prowizorycznym szpitalu mogą mnie potrzebować, lecz Tanus odrzucił go pogodnie.

- Na bok z twoimi cywilizowanymi skrupułami, Taito. Zostaniesz ze mną podczas przesłuchania, by się upewnić, że przy pierwszej inspekcji nie przeoczyłeś żadnego z twoich starych znajomych.

Przesłuchanie było szybkie i bezlitosne, co, jak sędzę, było jedynym rozwiązaniem pasującym do charakterów ludzi, z którymi mieliśmy do czynienia.

Na początek Tanus wskoczył na kamienny ołtarz Besa i z jastrzębią pieczęcią w dłoni powiódł wzrokiem po rzędach skulonych więźniów z uśmiechem, który musiał zmrozić im krew w żyłach, chociaż siedzieli w pełnym blasku pustynnego słońca.

- Powierzono mi jastrzębią pieczęć faraona Mamose i przemawiam jego głosem - oznajmił im ponuro, unosząc figurkę.

- Jestem waszym sędzią i katem.

Przerwał i powoli powędrował wzrokiem po skierowanych ku niemu twarzach. Gdy jego spojrzenie napotykało oczy któregoś z Dzierzbów, ten pospiesznie opuszczał głowę. Żaden nie potrafił trzymać fasonu pod jego przenikliwym wzrokiem.

- Zostaliście schwytani na aktach łupiestwa i mordu. Jeżeli jest wśród was ktoś, kto temu zaprzecza, niech powstanie i obwieści swoją niewinność.

Czekał, podczas gdy niecierpliwe cienie sępów, krążących na niebie nad nami, przesuwały się po zakurzonym dziedzińcu.

- Śmiało! Odezwijcie się, niewiniątka! - Spojrzał w górę na kołujące ptaki o groteskowo różowych, łysych głowach. - Wasi bracia niecierpliwie wyglądają uczyty. Nie dajmy im czekać.

Nikt się nie poruszył ani nie odezwał, więc Tanus opuścił jastrzębią pieczęć.

- Wasze czyny, których wszyscy byliśmy świadkami, przemawiają przeciwko wam. Wasze milczenie potwierdza

słuszność orzeczenia. Jesteście winni. W imieniu boskiego faraona wydaję na was wyrok. Skazuję was na śmierć przez ścięcie. Wasze odrąbane głowy wystawione zostaną przy szlaku karawan. Wszyscy miłujący prawo ludzie podróżujący w tę stronę ujrzą wasze czaszki szczerzące się na nich z pobocza i dowiedzą się, że dzierzba napotkała orła. Dowiedzą się, że okres bezprawia dobiegł w tym kraju końca i że pokój powrócił do naszego Egiptu. Przemówiłem. Faraon Mamose przemówił.

Tanus skinął głową i pierwszy więzień zawleczony został przed jego oblicze i ciśnięty na kolana przed ołtarzem.

- Jeżeli udzielisz prawdziwych odpowiedzi na trzy pytania, twe życie zostanie oszczędzone. Zostaniesz wcielony do mego pułku gwardii jako prosty żołnierz, opłacany regularnym żołdem i cieszący się wszystkimi prawami. Jeżeli odmówisz odpowiedzi, wyrok zostanie bezzwłocznie wykonany - powiedział Tanus i spojrzał na klęczącego więźnia. - Oto pierwsze pytanie. Do którego klanu należysz?

Skazaniec milczał. Przysięga krwi składana przez Dzierzbów wiązała go zbyt mocno, by mógł ją złamać.

- Oto drugie pytanie. Kto jest wodzem, który wydaje ci rozkazy? - zapytał Tanus, lecz mężczyzna nadal nic nie mówił.

- Oto trzecie i ostatnie pytanie. Czy zaprowadzisz mnie do sekretnej kryjówki, w której chroni się twój klan? - zapytał Tanus, a mężczyzna podniósł na niego wzrok, odcharknął i splunął.

Flegma rozbryznęła się żółcią na kamieniach. Tanus dał znak gwardziście, który stał przy nim z mieczem w dłoni.

Cios był precyzyjny i głowa stoczyła się na schody u stóp ołtarza.

- Jeszcze jedna do piramidy - stwierdził spokojnie Tanus i skinął ręką, by przywieziono kolejnego więźnia.

Zadał mu te same trzy pytania, a gdy Dzierzba odpowiedział mu z wyzywającą wulgarnością, Tanus kiwnął głową. Tym razem kat źle wymierzył cios i ciało zatrzepotało na ołtarzu z przerąbaną do połowy szyją. Trzeba było jeszcze trzech uderzeń, by głowa potoczyła się po stopniach.

Tanus zdjął dwadzieścia trzy głowy - liczyłem je, by odegnąć nacierające na mnie fale osłabiającego współczucia - zanim załamał się pierwszy ze skazańców. Był młody, nieledwie chłopiec. Drżącym głosem wytrajkotał odpowiedzi, nim jeszcze Tanus zdążył zadać mu swe trzy pytania.

- Nazywam się Hui. Jestem członkiem klanu Bastiego Okrutnika. Znam jego tajne kryjówki i zaprowadzę cię do nich.

Tanus uśmiechnął się z ponurą satysfakcją i dał znak, by odprowadzono młodzieńca na bok.

- Dbajcie o niego dobrze - upomniał strażników. - Odtąd jest żołnierzem Błękitnych i waszym towarzyszem broni.

Gdy wyłamał się pierwszy, poszło już sprawniej, choć nadal wielu odtrącało ofertę Tanusa. Niektórzy przeklinali go, inni śmiali się wyzywająco, dopóki nie opadało ostrze

i ich brawura nie kończyła się wraz z ostatnim oddechem, wrywającym się purpurową chmurą z otwartej tchawicy.

Byłem pełen podziwu dla tych, którzy u kresu nędznego i pogardy godnego życia zdecydowali się umrzeć przynajmniej z namiastką honoru. Śmiali się ze śmierci. Wiedziałem, że sam nie jestem zdolny do takiej odwagi. Gdybym to ja stanął przed podobnym wyborem, pewien jestem, że zareagowałbym tak, jak uczynili to słabsi duchem spośród jeńców.

- Jestem członkiem klanu Ura - wyznał jeden z nich.

- Należę do klanu Maa-En-efa, wodza zachodniego brzegu aż po El Charga - powiedział inny, i ciągnęło się to tak długo, dopóki nie znaleźliśmy informatorów gotowych zaprowadzić nas do twierdzy każdego z żyjących jeszcze bandyckich wodzów, a stos krnąbrnych łąbów przeznaczonych do podwyższenia piramidy przy studni nie urósł na wysokość ramienia.

Jedną ze spraw, które poważnie zaprzętały nasze myśli, był sposób pozbycia się trzech pojmanych wodzów oraz dziesiątek informatorów pozyskanych spośród skazanych na śmierć Dzierzbów.

Wiedzieliśmy, że wpływy Dzierzbów były tak potężne, iż nie śmieliśmy przetrzymywać jeńców w Egipcie. Nie było w nim więzienia na tyle bezpiecznego, by przeszkodzić Akh-Sethowi i jego wozom w dotarciu do nich i albo uwolnieniu przekupstwem czy siłą, albo uciszeniu trucizną czy podobnie nieprzyjemną metodą. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że Akh-Seth był niczym ośmiornica o ukrytej głowie

i mackach sięgających do każdej komórki administracji państwowej i w każdą dziedzinę naszego życia.

W tym momencie w moich rachubach ponownie pojawił się przyjaciel Tiamat, kupiec z Safagi.

Maszerując już jako jednostka gwardii Błękitnych Krokodyli, a nie jako karawana niewolnic, powróciliśmy do portu nad Morzem Czerwonym w czasie dwukrotnie krótszym od tego, jaki zajęło nam dotarcie do Gallali. Naszych jeńców zapędzono na pokład czekającego na nas w porcie jednego ze statków handlowych Tiamata, a kapitan natychmiast postawił żagiel i skierował się ku wybrzeżom Arabii, gdzie na przybrzeżnej wysepce Jez Bakwan Tiamat utrzymywał doskonale zabezpieczoną zarządzaną przez strażników osadę niewolników. Wody wokół wysepki patrolowane były przez stada okrutnych błękitnych rekinów. Tiamat zapewnił nas, że żaden niewolnik, który próbował uciec z wyspy, nie zdołał dotąd wymknąć się czujnym strażnikom i zgłodniałym rekinom.

Tylko jeden więzień nie został odesłany na wyspę. Był to Hui z klanu Bastiego Okrutnika, ten sam młodzieniec, który pierwszy załamał się w obliczu groźby stracenia. Podczas marszu ku morzu Tanus trzymał chłopaka blisko siebie i poddał go całemu nieodpartemu wpływowi swej osobowości. Teraz Hui był jego chętnym niewolnikiem. Ten specjalny dar Tanusa, dar zjednywania sobie wierności i oddania z najmniej oczekiwanej strony, nigdy nie przestawał mnie zadziwiać. Pewien byłem, że Hui, który tak

szybko ugiął się na widok katowskiego miecza, teraz z chęcią oddałby za Tanusa swe bezwartościowe życie.

Hui wyjawiał wszystkie szczegóły dotyczące klanu, któremu niegdyś złożył krwawą przysięgę, jakie tylko potrafił sobie przypomnieć. Z pędzelkiem w gotowości przysłuchiwałem się w milczeniu wypyтажącemu Tanusowi i spisywałem wszystko, co niewolnik miał nam do powiedzenia.

Dowiedzieliśmy się, że twierdza Bastiego Okrutnika kryła się na obszarze przerażającej pustyni Gebel-Umm-Bahari, na szczycie jednej z płaskich gór, chroniona ze wszystkich stron stromymi zboczami. Ukryta i niezdobyta, a jednocześnie oddalona o zaledwie dwa dni marszu od wschodniego brzegu Nilu i uczęszczanych przez karawany szlaków biegnących wzdłuż rzeki, stanowiła idealne gniazdo dla drapieżcy.

- Na szczyt wiedzie tylko jedna ścieżka, wykuta niczym schody w skale. Jest szeroka zaledwie na tyle, by mógł się nią wspinać jeden człowiek - powiedział nam Hui.

- Nie ma innej drogi? - zapytał Tanus, a Hui uśmiechnął się i konspiracyjnym gestem dotknął palcem nosa.

- Jest inny szlak. Często go używałem, wracając na górę po tym, jak opuściłem stanowisko, by odwiedzić przyjaciółkę. Basti kazałby mnie zabić, gdyby się dowiedział, że mnie nie ma. To niebezpieczna wspinaczka, ale tuzin dobrych ludzi powinien dać sobie radę i utrzymać wierzchołek, podczas gdy główna siła wspinać się będzie ku nim ścieżką. Poprowadzę cię tam, Akh-Horusie.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem to imię. Akh-Horus, brat wielkiego boga Horusa. Było to dobre imię. Oczywiście Hui i inni jeńcy nie mogli znać prawdziwej tożsamości Tanusa. Wiedzieli jedynie na swój prosty sposób, że musi być jakiegoś rodzaju bóstwem. Wyglądał jak bóg i walczył jak bóg, wzywał też imienia Horusa w gorączce bitwy. Tak więc doszli do wniosku, że musi być jego bratem.

Akh-Horus! W nadchodzących miesiącach cały Egipt miał poznać to imię. Wykrzykiwane było z jednego wzgórze na drugie. Poniesione zostało wzdłuż szlaków karawan. Przemierzyło całą długość rzeki na ustach żeglarzy, z miasta do miasta i z królestwa do królestwa. Wokół tego imienia urosła legenda. Powtarzano opowieści o wielkich czynach Akh-Hoursa i ubarwiano je za każdym powtórzeniem.

Akh-Horus to potężny wojownik, który pojawił się znikąd, posłany przez swego brata Horusa, by dalej prowadzić wieczne zmagania ze złem, z Akh-Sethem, władcą Dzierzbów.

Akh-Horus! Za każdym razem, gdy lud Egiptu powtarzał to imię, nowa nadzieja napełniała jego serce.

Wszystko to oczekiwało nas, gdy siedzieliśmy w ogrodzie kupca Tiamata. Tylko ja wiedziałem, jak zawzięty był Tanus na Bastiego i jak palił się do tego, żeby poprowadzić swych ludzi na Gebel-Umm-Bahari, by go upolować. Chęć ta płynęła nie tylko z tego, że Basti był najchciwszym i najmniej miłosiernym ze wszystkich wodzów. W grę

wchodziło znacznie więcej. Tanus miał z tym bandytą bardzo osobisty rachunek do wyrównania.

Tanus dowiedział się ode mnie, że Basti był narzędziem, którego użył Akh-Seth, by zniszczyć fortunę Piankiego, księcia Harrab.

- Mogę przeprowadzić cię przez stoki Gebel-Umm-Bahari
- obiecał Hui. - Mogę oddać Bastiego w twe ręce.

Tanus milczał przez jakiś czas w ciemności. Smakował tę obietnicę. Siedzieliśmy, przysłuchując się śpiewającemu w głębi ogrodu Tiamata słowikowi. Był to dźwięk zupełnie obcy złym i ponurym sprawom, o jakich dyskutowaliśmy. Po chwili Tanus westchnął i odprawił Huiego.

- Dobrze się spisałeś, chłopcze - powiedział mu. - Wypełnij swe przyrzeczenie, a nie omieszkać okazać ci wdzięczności.

Hui rozpląszczył się na ziemi jak przed bogiem, a Tanus szturchnął go z irytacją stopą.

- Dość tej bzdury. Znikaj już.

To niedawne, nieoczekiwane wyniesienie do boskiej godności stanowiło powód zakłopotania Tanusa. Nikt nie mógł zarzucić mu skromności ani pokory, lecz był przynajmniej pragmatykiem, pozbawionym fałszywych złudzeń co do swego statusu. Nigdy nie pragnął zostać faraonem ani bóstwem i zawsze szybko rozprawiał się z objawami służalczego czy unizonego zachowania ze strony otaczających go ludzi.

Gdy tylko chłopak odszedł, Tanus zwrócił się do mnie:

- Tak często leżę bezsennie w nocy i rozmyślam nad tym, co powiedziałeś mi o moim ojcu. Każdą cząstkę mego ciała i duszy pali żądza zemsty na tym, który wpędził go w nędzę i poniżenie, by zaszczyć go na śmierć. Z trudem jestem w stanie się powstrzymać. Przepenia mnie chęć porzucenia tego pokrętnego sposobu schwytania Akh-Setha w pułapkę. Zamiast tego pragnę odszukać go otwarcie i gołymi dłońmi wydrzeć mu z piersi jego parszywe serce.

- Gdybyś tak zrobił, utraciłbyś wszystko - odparłem.

- Dobrze o tym wiesz. Uczyni, jak ci radzę, a odzyskasz nie tylko swą własną reputację, lecz na dodatek przywrócisz dobre imię twego ojca. Moją metodą odzyskasz posiadłość i majątek, jakie zostały ci skradzione. Moim sposobem nie tylko w pełni nasycisz się zemstą, lecz także zbliżysz się do Lostris i do wypełnienia wizji, jaką wywróżyłem dla was dwojga z Labiryntów Amona-Re. Zaufaj mi, Tanusie. Dla dobra twego i mojej pani, zaufaj mi.

- Gdybym nie ufał tobie, komu mógłbym zaufać? - odparł i dotknął mego ramienia. - Wiem, że masz rację, lecz zawsze brakowało mi cierpliwości. Dla mnie szybka i prosta droga zawsze była najłatwiejsza.

- Na jakiś czas wyrzuć Akh-Setha ze swego umysłu. Myśl tylko o następnym kroku na pokrętnej drodze, jaką musimy wspólnie przejść. Myśl o Bastim Okrutniku. To Basti niszczył powracające ze Wschodu karawany twego ojca. Przez pięć sezonów żadna karawana księcia Harrab nie powróciła do Karnaku. Wszystkie zostały zaatakowane i złupione po drodze. To Basti zniszczył należące do twego

ojca kopalnie miedzi w Sestrze, zamordował inżynierów i niewolnych robotników. Odtąd bogate żyły rudy spoczywają niewykorzystane. To Basti systematycznie plądrował posiadłości twego ojca wzdłuż Nilu, to on mordował jego niewolników na polach i palił plony, aż wreszcie tylko chwasty rosły na ziemi księcia Harrab, tak że zmuszony był sprzedać ją za ułamek jej prawdziwej wartości.

- Wszystko to może być prawdą, lecz to Akh-Seth wydawał rozkazy Bastiemu.

- Nikt w to nie uwierzy. Faraon w to nie uwierzy, o ile nie usłyszy zeznań Bastiego - wytknąłem mu niecierpliwie.

- Dlaczego zawsze musisz być tak uparty? Przechodziliśmy przez to ze sto razy. Najpierw wodzowie, a dopiero na końcu głowa węża, Akh-Seth.

- Z twych słów przemawia mądrość, wiem o tym. Ale wyczekiwanie przychodzi mi z trudem. Pragnę zemsty. Pragnę oczyścić mój honor z plamy buntu i zdrady i pragnę też... och, jakże pragnę... Lostris!

Pochylił się i ścisnął me ramię z taką siłą, że aż się skrzywiłem.

- Uczyniłeś tu dosyć, stary druhu. Nigdy nie osiągnąłbym tak wiele bez ciebie. Gdybyś mnie wtedy nie odnalazł, być może nadal leżałbym przesiąknięty trunkiem w objęciach jakiejś śmierdzącej dziwki. Zawdzięczam ci więcej, niż kiedykolwiek będę w stanie wynagrodzić, lecz teraz muszę cię odesłać. Jesteś potrzebny gdzie indziej. Basti to moja zwierzyna i nie muszę dzielić się ucztą z tobą. Nie pójdiesz

ze mną do Gebel-Umm-Bahari. Odsyłam cię z powrotem tam, gdzie jest twoje miejsce... gdzie jest i moje miejsce, lecz gdzie ja być nie mogę... u boku pani Lostris. Zazdroszczę ci, stary druhu, zrezygnowałbym z nadziei na nieśmiertelność w zamian za możliwość zastąpienia cię w tej podróży.

Jak można się było spodziewać, zaprotestowałem gorąco. Zaklinałem się, że moim jedynym pragnieniem jest ponowne popróbowanie tych bandziorów, że jestem jego towarzyszem i że poczuję się poważnie dotknięty, jeżeli nie znajdzie dla mnie miejsca u swego boku podczas kolejnej kampanii. Przez cały ten czas poczuciem bezpieczeństwa napawała mnie świadomość tego, że gdy Tanus raz coś postanowi, jest nieugięty i niełatwo go od tego odwieść, no chyba że od czasu do czasu dokona tego niewolnik Taita, jego przyjaciel i doradca.

Tak naprawdę to miałem już dosyć dzikiego heroizmu i ludzi nastających na moje życie. Nie posiadam natury żołnierza, nie jestem nieczułym ciołkiem wojakiem. Nienawidziłem trudów pustynnej kampanii. Nie zniósłbym jeszcze jednego tygodnia upału, potu i much bez przelotnego nawet widoku słodkich zielonych wód matki-rzeki. Tęskniłem za dotykiem czystego płótna na świeżo wykąpanej i namaszczonej skórze. Tęskniłem za moją panią bardziej, niż mógłbym oddać to zwykłymi słowami. Nasze ciche cywilizowane życie w ozdobionych freskami komnatach Elefantyny, moja muzyka i długie, leniwe,

wspólne rozmowy, moje zwierzęta i zwoje – wszystko to przyciągało z nieodpartą siłą.

Tanus miał rację, nie potrzebował mnie już dłużej, a me miejsce było u boku mojej pani. Zbyt szybkie ustępstwo mogłoby jednak popsuć jego opinię o mnie, a tego także nie pragnąłem.

W końcu dałem mu się przekonać i kryjąc swój zapał, rozpocząłem przygotowania do powrotu do Elefantyny.

Tanus wysłał Kratasa z powrotem do Karnaku z zadaniem zebrania i przyprowadzenia posiłków na wyprawę w głąb pustyni Gebel-Umm-Bahari. Miałem podróżować pod jego ochroną aż do Karnaku, lecz rozstanie z Tanusem nie było prostą sprawą. Gdy opuściłem dom Tiamata, by dołączyć do oczekującego na przedmieściach Kratasa, Tanus dwukrotnie przywoływał mnie z powrotem, by powierzyć mi kolejne posłania, jakie zanieść miałem mej pani.

- Powiedz jej, że myślę o niej w każdej godzinie!

- To posłanie już mi przekazałeś – protestowałem.

- Powiedz jej, że me sny wypełnione są obrazami jej uroczej twarzy.

- I to także. Znam je już na pamięć. Powiedz mi coś nowego – błagałem.

- Powiedz jej, że ufam wizji Labiryntów, że za kilka krótkich lat będziemy razem...

- Kratas na mnie czeka. Jeżeli mnie tu zatrzymasz, jak zdołam przekazać jej twoje słowa?

- Powiedz jej, że wszystko, co robię, robię dla niej. Każdy oddech, jaki nabieram, jest dla niej... – Przerwał i objął

mnie. - Prawda jest taka, Taito, że wątpię, czy potrafię przeżyć bez niej choćby jeszcze jeden dzień.

- Pięć lat przeminie jak krótki dzień. Gdy ponownie ją ujrzysz, twoje dobre imię będzie oczyszczone i raz jeszcze cieszyć się będziesz poważaniem w całym kraju. Lostris może jedynie jeszcze bardziej cię za to pokochać.

- Dbaj o nią dobrze, dopóki sam nie będę mógł przejść od ciebie tej radosnej służby - uwolnił mnie. - A teraz znikaj. Spiesz do niej.

- Taki był mój zamiar przynajmniej od godziny - odparłem zgryźliwie i wymknąłem się z domu.

Z Kratasem na czele naszego oddziału podróż do Karnaku ukończyliśmy w mniej niż tydzień. Obawiając się zdemaskowania przez Rasfera albo księcia Intefa, spędziłem w moim ukochanym mieście tylko tyle czasu, ile zajęło mi zorganizowanie przejazdu na jednej z podążających na południe barek. Zostawiłem Kratasa intensywnie werbującego spośród elitarnych pułków gwardii faraona tysiąc dobrych wojowników, jakich zażądał Tanus, i wszedłem na pokład.

Przez całą drogę nasze żagle wypełniał wiatr z północy, tak więc przycumowaliśmy do nabrzeża Wschodniej Elefantyny dwanaście dni po opuszczeniu Teb. Nadal kryłem się pod peruką i kapłańskim strojem, więc nikt mnie nie rozpoznał, gdy schodziłem na brzeg.

Zapłaciwszy małym miedzianym pierścieniem, wynająłem felukę, która przewiozła mnie przez rzekę na królewską wyspę i wysadziła przy stopniach prowadzących do śluzy

w naszym ogrodzie w haremie. Serce waliło mi o żebra, gdy susami wspinałem się po schodach. Stanowczo za długo byłem z dala od mej pani. W momentach takich jak ten uświadamiałem sobie pełną moc mych uczuć. Pewien byłem, że miłość Tanusa była lekką rzeczną bryzą w porównaniu z *khamsinem* mej namiętności.

Jedna z kuszyckich dziewczyn Lostris powitała mnie przy bramie i spróbowała zatrzymać przed wejściem.

- Moja pani jest chora, kapłanie. W tej chwili przebywa u niej inny lekarz. Moja pani cię nie przyjmie.

- Mnie przyjmie - odparłem, ściągając perukę.

- Taita! - zapiszczała i padła na kolana, wykonując magiczne znaki odpędzające zło. - Ty nie żyjesz. To nie ty, ale zły duch z za grobu.

Odtrąciłem ją na bok i popędziłem do prywatnych apartamentów mej pani, by w drzwiach zderzyć się z jednym z tych kapłanów Ozyrysa, którzy uważają się za lekarzy.

- Co tu robisz? - zapytałem, przerażony, że ten szarlatan w ogóle zbliżył się do Lostris. Zanim zdążył odpowiedzieć, ryknąłem na niego. - Precz! Wynoś się precz! Zabieraj swe zaklęcia, amulety i śmierdzące mikstury i więcej tu nie wracaj!

Wyglądało na to, że ma ochotę się kłócić, lecz położyłem mu dłoń między łopatkami i posłałem go w stronę bramy. Potem pospieszyłem do łóża mej pani.

Zapach choroby wypełniał komnatę, gorzki i intensywny, a gdy spojrzałem na Lostris, ogarnęła mnie szalona

rozpacz. Zdawało się, że moja pani się skurczyła, jej skóra była szara niczym popioły starego ogniska. Spała albo też zapadła w śpiączkę, nie potrafiłem tego ustalić, w każdym razie pod zamkniętymi powiekami widniały ciemne cienie sińców. Widok jej suchych, popękanych ust napełnił mnie przerażeniem.

Odciągnąłem okrywające ją płócienne prześcieradło, pod którym leżała kompletnie naga. Ze zdumieniem spojrzałem na jej ciało. Mięśnie jakby wyparowały. Kończyny były cienkie jak patyki, żebra i kości miednicy sterczały pod niezdrowo wyglądającą skórą, co przywodziło na myśl krowę żyjącą na terenach objętych suszą. Delikatnym gestem przyłożyłem dłoń do jej pachy, by poszukać ciepła gorączki, lecz skóra była chłodna. Cóż to za choroba? – zaniepokoiłem się. Nigdy dotąd nie napotkałem niczego podobnego.

Stojąc przy łóżku, zawołałem na niewolnice, lecz żadna nie miała odwagi stanąć przed duchem Taity. W końcu musiałem wdrzeć się do ich komnat i przy wtórze pojękiwań wywlec jedną spod posłania.

- Coście uczyniły z waszą panią, że doprowadziłyście ją do takiego stanu!

Kopnąłem ją w tłusty tyłek, by pomóc jej skupić się na moim pytaniu, a ona zajęczała i zakryła twarz, by na mnie nie patrzeć.

- Ona nie chce jeść. Zjadła najwyżej garść przez wszystkie te tygodnie. I to od czasu gdy mumia Tanusa, księcia Harrab, złożona została w jego grobie w Dolinie

Dostojników. Utraciła nawet dziecko faraona, które nosiła w swym łonie. Oszczędź mnie, szlachetny duchu. Nie uczyniłam ci nic złego.

Przez moment wpatrywałem się w nią w zdumieniu, dopóki nie pojąłem, co się zdarzyło. Me słowa otuchy nigdy nie zostały dostarczone pani Lostris. Zgadywałem, że posłaniec, którego Kratas wyprawił z Luksoru z listem do mej pani, nie dotarł do Elefantyny. Prawdopodobnie stał się jeszcze jedną ofiarą Dzierzbów, jeszcze jednym trupem spływającym w dół rzeki z pustą sakiewką i otwartą raną w gardle. Miałem nadzieję, że list wpadł w ręce jakiegoś złodzieja analfabety i nie zaniecono go Akh-Sethowi. Lecz teraz nie było czasu, by się tym martwić.

Pognałem z powrotem do łoża mej pani i przykląknęłem przy niej.

- Moja kochana - wyszeptałem, gładząc jej wynędzniałe czoło. - To ja, Taita, twój niewolnik.

Lostris poruszyła się nieznacznie i wymruczała coś, czego nie dosłyszałem. Pojąłem, że zostało mi niewiele czasu, bo była o krok od śmierci. Od rzekomego zgonu Tanusa minął już ponad miesiąc. Jeżeli niewolnica mówiła prawdę i Lostris nie przyjmowała pokarmu przez cały ten okres, na cud zakrawało to, że wciąż jeszcze żyła.

Podерwałem się i pognałem do moich komnat. Mimo mego „zgonu” nic się w nich nie zmieniło i skrzynka z lekarstwami stała w niszy, w której ją zostawiłem. Wziąwszy ją pod pachę, pospieszyłem z powrotem do mojej pani. Drżącymi rękoma zapaliłem od płomienia stojącej

przy łóżku oliwnej lampy gałąź janowca i rozżarzony koniec podetknąłem jej pod nos. Prawie natychmiast Lostris westchnęła, kichnęła i poruszyła się, by uniknąć gryzącego dymu.

- Pani, to ja, Taita. Odezwij się.

Lostris otworzyła oczy i ujrzałem, jak świtającą w nich radość szybko wypiera ponowna świadomość utraty ukochanego. Wyciągnęła do mnie cienkie, szare ramiona, a ja przyciągnąłem ją do siebie.

- Taita - załkała cicho. - On nie żyje. Tanus nie żyje. Nie potrafię żyć bez niego.

- Nie! Nie! On żyje. Przybywam prosto od niego, niosąc dla ciebie przesłanie miłości i oddania.

- To okrutne z twojej strony tak sobie ze mnie szydzić. Wiem, że on nie żyje. Jego grobowiec został zamknięty...

- To był podstęp, by zmylić jego wrogów - krzyknąłem. - Tanus żyje. Przysięgam. On cię kocha i czeka na ciebie.

- Och, jakżebyś chciała ci uwierzyć! Ale tak dobrze cię znam. Skłamiesz, żeby mnie chronić. Jak możesz torturować mnie fałszywymi obietnicami? Tak cię nienawidzę... - Próbowała wyrwać się z mych objęć.

- Przysięgam, Tanus żyje.

- Przysięgnij na honor matki, której nigdy nie znałeś. Przysięgnij na gniew wszystkich bogów. - Ledwie starczało jej sił, by wypowiedzieć to żądanie.

- Przysięgam na to wszystko, a także na całą miłość i poczucie obowiązku wobec ciebie, moja pani.

- Czyż może to być prawdą? - Zobaczyłem, jak na nowo wypełnia ją moc nadziei i blady rumieniec zabarwia jej policzki.

- Och, Taito, czy to rzeczywiście prawda?

- Czy wyglądałbym tak pogodnie, gdyby to nie było prawdą? Wiesz, że kocham go prawie tak samo jak ty. Czy mógłbym się uśmiechać, gdyby Tanus był martwy?

Lostris patrzyła mi w oczy, a ja wyrzuciłem z siebie zwięzłą relację o wszystkim, co się zdarzyło, od kiedy opuściłem ją przed tak wieloma tygodniami. Pomiąłem jedynie szczegóły o stanie, w jakim znalazłem Tanusa w starej chacie na mokradłach, i osobę dotrzymującą mu kobiecego towarzystwa.

Nie powiedziała ani słowa, lecz nie odrywała wzroku od moich ust, pochłaniając opowieść. Gdy przysłuchiwała się memu sprawozdaniu z naszych przygód w Gallali i relacji o tym, jak to Tanus przodował w walce niczym bóg i jak śpiewał uniesiony dziką radością boju, jej blada twarz, prawie przezroczysta z wygłodzenia, lśniła niczym perła.

- Tak więc widzisz, że to prawda i że Tanus żyje - zakończyłem, a ona odezwała się, po raz pierwszy od kiedy rozpocząłem mą opowieść.

- Jeżeli żyje, sprowadź go do mnie. Nie zjem ani kęsa, dopóki me oczy nie spoczną raz jeszcze na jego twarzy.

- Sprowadzę go do ciebie tak szybko, jak tylko zdoła dotrzeć do niego posłaniec, jeżeli tego pragniesz - obiecałem i wyciągnąłem ze skrzynki wypolerowane lustro z brązu.

Podniosłem zwierciadełko do jej oczu i zapytałem cicho:

- Chcesz, żeby zobaczył cię taką, jaką jesteś teraz?

Lostris spojrzała na swe wychudzone odbicie o zapadniętych oczach.

- Poślę po niego jeszcze dziś, jeżeli mi rozkażesz. Będzie tutaj w ciągu tygodnia, skoro naprawdę tego pragniesz.

Przyglądałem się, jak zмага się z uczuciami.

- Jestem brzydka - wyszeptała. - Wyglądam jak stara baba.

- Twe piękno nadal jest w tobie, tuż pod powierzchnią.

- Nie mogę dopuścić do tego, by Tanus ujrział mnie w tym stanie.

Kobieca próżność zatriumfowała nad innymi emocjami.

- W takim razie musisz jeść.

- Przrzekasz - zawahała się - przrzekasz, że Tanus żyje i że sprowadzisz go do mnie, gdy tylko wydobreję? Połóż dłoń na moim sercu i przysięgnij.

Czułem pod palcami wszystkie żebra i trzepoczące niczym ptak w klatce serduszko.

- Przrzekam - powiedziałem.

- Tym razem ci zaufam, lecz jeżeli kłamiesz, nie zaufam ci już nigdy. Przynieś mi coś do jedzenia.

Gdy pędziłem do kuchni, nie próbowałem nawet zwalczyć uczucia samozadowolenia. Chytrus-Taita raz jeszcze postawił na swoim.

Wymieszałem miskę ciepłego mleka i miodu. Musieliśmy zaczynać powoli, gdyż Lostris doprowadziła się prawie do stanu śmierci głodowej. Zawartość pierwszej miski

zwymiotowała, lecz druga zatrzymała się w jej żołądku. Gdybym odwlekl mój powrót o jeszcze jeden dzień, mogłoby być za późno.

Rozpowszechniana przez rozgadane niewolnice wieść o moim cudownym powrocie z za grobu przetoczyła się przez wyspę niczym epidemia ospy.

Przed zmierzchem faraon posłał Atona, by doprowadził mnie na posłuchanie. Nawet stary przyjaciel był spięty i wstrzemięźliwy w mym towarzystwie. Gdy spróbowałem go dotknąć, gwałtownie odskoczył na bok, jak gdyby moja ręka mogła przeniknąć przez jego ciało niczym przez chmurę dymu. Wiódł mnie przez pałac, a niewolnicy jak i dygnitarze pospiesznie umykali mi z drogi, wścibskie twarze zaś spoglądały ze wszystkich mijanych okien i mrocznych kątów.

Faraon powitał mnie z nerwową mieszaniną szacunku i ciekawości, nader obcą królowi i bogu.

- Gdzieżeś przebywał, Taito? - zapytał tak, jakby wcale nie pragnął usłyszeć odpowiedzi.

- Boski faraonie - rozpląszczyłem się u jego stóp - jako że również należysz do boskiej rodziny, pojmuję, że zadajesz to pytanie, by mnie sprawdzić. Wiedz, że me usta są zapieczętowane. Byłoby świętokradztwem z mej strony mówić o tych tajemnicach nawet z tobą. Proszę, przekaz twym towarzyszom, pozostałym bogom, zwłaszcza zaś Anubisowi, bogu cmentarzysk, że wierny byłem misji, jaką mi powierzono. I że dotrzymałem przysięgi milczenia, jaką

na mnie nałożono. Powiedz im, że zdałem egzamin, jakiemu mnie poddałeś.

Gdy rozważał tę odpowiedź, jego oblicze przybrało niejasny wyraz i poruszał się niespokojnie. Widziałem, że formułuje pytanie za pytaniem i po kolei je odrzuca. Nie zostawiłem żadnej luki, którą mógłby wyzyskać.

W końcu wyrzucił z siebie niezręcznie:

- Zaiste, Taito, zdałeś egzamin, jakiemu cię poddałem. Witaj z powrotem. Brakowało nam ciebie.

Mogłem jednak dostrzec, że wszystkie jego podejrzenia się potwierdziły, i traktował mnie z szacunkiem należnym temu, kto rozwikłał ostateczną tajemnicę.

Podczołgałem się bliżej tronu i zniżyłem mój głos do szeptu.

- Wielki Egipcie, znasz przyczynę, dla której przysłano mnie z powrotem?

Sprawił wrażenie skonsternowanego, lecz niepewnie skinął głową. Powstałem i rozejrzałem się ukradkiem, jak gdybym spodziewał się, że podglądają mnie nadnaturalne moce. Zanim odezwałem się ponownie, wykonałem znak chroniący przed urokiem.

- To pani Lostris. Jej chorobę spowodowała bezpośrednia ingerencja... -Nie zdołałem wypowiedzieć imienia, lecz dwoma palcami zrobiłem znak rogów, znak boga mroku, Seta.

Zmieszanie na jego twarzy ustąpiło miejsca przerażeniu, faraon zadrżał i przysunął się do mnie, jakby szukał ochrony, podczas gdy ja ciągnąłem dalej:

- Zanim zostałem zabrany, moja pani nosiła już w łonie skarb rodu Mamose. Wtedy wtrącił się Władca Ciemności. Wskutek jej choroby syn, którego dźwigała, został poroniony z jej łona.

Faraon wyglądał na oszołomionego.

- A więc to dlatego poroniła... - zaczął i urwał raptownie.

- Nie obawiaj się, Wielki Egipcie - zareplikowałem zgrabnie.

- Przysłany zostałem z powrotem przez moce potężniejsze od Władcy Ciemności, by ją uratować. Przeznaczenie ukazane mi w Labiryntach Amona-Re wypełni się zgodnie z pierwotnym planem. Będzie kolejny syn, który zastąpi tego utraconego. Los twej dynastii zostanie zabezpieczony.

- Nie wolno ci odstępować pani Lostris, dopóki nie wyzdrowieje. - Jego głos drżał z emocji. - Jeżeli ją uratujesz, a ona urodzi mi następnego syna, możesz zażądać ode mnie, czego zapragniesz, lecz jeśli umrze...

Urwał, rozważając, jaka groźba mogłaby wyrzucić wrażenie na kimś, kto właśnie powrócił z zaświatów, i ostatecznie nie dokończył zdania.

- Za twoim przyzwoleniem, Wasza Wysokość, udam się do niej niezwłocznie.

- Niezwłocznie! - zgodził się. - Idź już! Idź!

Moja pani powracała do zdrowia tak szybko, że począłem podejrzewać, iż nieumyślnie przywołałem jakąś siłę pozostającą poza granicami mego pojmowania, i poczułem podziw dla swej mocy, ale i odrobinę się jej przestraszyłem.

Ciało Lostris napełniało się i jędrniało niemal pod moim spojrzeniem. Nędzne puste worki skóry nabrzmiały z powrotem w pulchne, okrągłe piersi, dość słodkie, by rozpalic zazdrość w kamiennym posągu Hapi, stojącym u wejścia do jej komnaty. Świeża, młoda krew nasączyła kolorem kredową skórę, tak że na powrót tryskała energią, a jej śmiech dźwięczał jak fontanny w naszym wodnym ogrodzie.

Wkrótce utrzymanie jej w łóżku stało się niemożliwe. Po upływie trzech tygodni od mego powrotu do Elefantyny grała już w piłkę ze swymi służkami, tańczyła po ogrodzie, podskakując wysoko, by dosięgnąć nadmuchanego pęcherza nad głowami towarzyszek, dopóki nie skonfiskowałem piłki i nie poleciłem jej wrócić do komnaty w obawie, że wyczerpie swe powracające siły. Posłuchała mnie dopiero wtedy, gdy zawarliśmy kolejną umowę i zgodziłem się z nią śpiewać oraz nauczyć ją najbardziej wyszukanych strategii senet, które umożliwiłyby jej odniesienie pierwszego zwycięstwa nad Atonem – nałogowym graczem.

Aton zjawiał się prawie każdego wieczoru, by w imieniu króla dowiedzieć się o zdrowie mej pani, a potem zagrać z nami partyjkę czy dwie. Chyba uznał wreszcie, iż nie jestem niebezpiecznym duchem, i choć traktował mnie z nowym szacunkiem, nasza stara przyjaźń przetrwała mój zgon.

Każdego ranka moja pani Lostris zmuszała mnie do powtórzenia danego jej przyrzeczenia. Potem sięgała po

lusterko i przyglądała się odbiciu bez najmniejszego śladu próżności, oceniając każdy element swej urody, by zdecydować, czy jest już godny spojrzenia księcia Tanusa.

- Moje włosy przypominają słomę, a na brodzie robi mi się jeszcze jeden pryszcz - rozpaczała. - Taito, uczynь mnie na nowo piękną. Dla Tanusa, uczynь mnie na nowo piękną.

- Sama wyrządziłaś sobie tę szkodę, a potem wołasz Taitę na pomoc, by ją naprawiał - marudziłem, a ona wybuchała śmiechem, zarzucając mi ramiona na szyję.

- Po to tu jesteś, stary nicponiu. Żeby o mnie dbać.

Każdego wieczoru, gdy kładła się spać, a ja mieszałem przeznaczoną dla niej miksturę i przynosiłem parującą misę, kazała mi powtarzać moją obietnicę.

- Przysięgnij, że sprowadzisz do mnie Tanusa, gdy tylko będę gotowa na jego przyjęcie.

Staralem się pomijać trudności i niebezpieczeństwa, jakie mogła ściągnąć na nas wszystkich.

- Przysięgam ci to - powtarzałem posłusznie, a ona opierała głowę o zagłówek z kości słoniowej i zasypiała z uśmiechem.

Będę się martwić o wypełnienie przyrzeczenia, gdy nadejdzie na to czas.

Faraon otrzymywał od Atona wyczerpujące raporty o powrocie Lostris do zdrowia i osobiście przybył ją odwiedzić. Przyniósł jej nowy naszyjnik w kształcie orła ze złota i lapis-lazuli i pozostał do wieczora, bawiąc się z nią w gry słowne i układając zagadki. Gdy zbierał się do

odejścia, wezwał mnie, bym towarzyszył mu aż do jego apartamentów.

- Zmieniła się nadzwyczajnie. To cud, Taito. Kiedy będę mógł znów wziąć ją do łóża? Wydaje się już dość zdrowa, by urodzić mi syna i następcę.

- Jeszcze nie, Wielki Egipcie - zapewniłem go gwałtownie.

- Najmniejszy wysiłek ze strony mej pani mógłby wywołać nawrót choroby.

Nie kwestionował już mych słów, jako że przemawiałem teraz z autorytetem człowieka znającego drugą stronę śmierci, choć w miarę jak na nowo się do mnie przyzwyczajał, jego strach ustępował.

Niewolnice również stopniowo przywykły do mego zmartwychwstania i potrafiły spoglądać mi w oczy bez czynienia magicznych znaków. Prawdę mówiąc, mój powrót z zaświatów nie był już najpopularniejszym pożywieniem pałacowych plotek. Pojawiło się coś nowego, co zaprzętało uwagę dworu - w życie i świadomość każdego człowieka mieszkającego w kraju nad wielką rzeką wkroczył Akh-Horus.

Gdy po raz pierwszy usłyszałem imię Akh-Horusa szeptane w pałacowych korytarzach, początkowo nie skojarzyłem go z niczym. Ogród Tiamata nad Morzem Czerwonym wydawał mi się tak odległy od światka Elefantyny, że zapomniałem o imieniu, jakim Hui obdarzył Tanusa. Kiedy jednak usłyszałem opisy nadzwyczajnych czynów przypisywanych temu półbogowi, zrozumiałem, o kim mowa.

Podniecony przebiegłem całą drogę do haremu i znalazłem mą panią w ogrodzie. Była oblegana przez tuzin gości, szlchetnych pań i królewskich małżonek, gdyż wyzdrowiała już na tyle, by podjąć na nowo swą rolę nadwornej faworyty.

Byłem tak podekscytowany, że zapomniałem, gdzie jest miejsce zwykłego niewolnika, i obszedłem się dosyć nieuprzejmie z królewskimi paniami, by się ich pozbyć. Z oburzeniem wypadły z ogrodu, skarżąc się głośno niczym stado gęsi, a moja pani napadła na mnie:

- To do ciebie niepodobne. Co, u licha, cię opętało, Taito!

- Tanus! - wymówiłem jego imię jak zaklęcie, a ona zapomniała o swej irytacji i chwyciła mnie za rękę.

- Masz wieści o Tanusie! Mów! Szybko, zanim umrę z niecierpliwości.

- Wieści? O tak, mam o nim wieści. I to jakie wieści! Jakie nadzwyczajne wieści. Jakie niewiarygodne wieści!

Lostris uwolniła me dłonie i chwyciła swój groźny srebrny wachlarz.

- W tej chwili przestań błaznować! - pogroziła nim. - Nie ścierpię twoich przekomarzań. Mów zaraz albo będziesz miał na głowie więcej guzów niż Nubijczyk pcheł.

- Pójdź! Chodźmy gdzieś, gdzie nikt nas nie usłyszy.

Sprowadziłem ją na nabrzeże i wpakowałem na naszą małą łódkę. Na środku rzeki bezpieczni byliśmy przed sterczącymi uszami czającymi się za każdym rogiem pałacowych murów.

- Nowy, świeży wiatr wieje przez ten kraj - oznajmiłem jej.

- Nazywają ten wiatr Akh-Horus.

- Brat Horusa - wyszeptała z szacunkiem. - Czy tak nazywają teraz Tanusa?

- Nikt nie wie, że to Tanus. Myślą, że jest bogiem.

- Bo jest - odparła z naciskiem. - Dla mnie jest bogiem.

- Ludzie też tak go widzą. Gdyby nie był bogiem, skąd wiedziałby, gdzie czyhają Dzierzbowie, jak zdołałby dotrzeć do ich twierdz, skąd wiedziałby, gdzie leżą w ukryciu, by atakować nadjeżdżające karawany, i jak zaskoczyć ich w ich własnych zasadzkach?

- Dokonał tego wszystkiego? - zapytała z podziwem.

- Wszystkich tych czynów i setki innych, o ile można wierzyć plotkom krążącym po pałacu. Mówi się, że każdy złodziej i bandyta w kraju ucieka w trwodze, by ratować życie, że klany Dzierzbów miażdżone sajedenpo drugim. Powiada się, że Akh-Horus rozwinął skrzydła niczym orzeł i wzleciał nad niedostępne stoki Gebel-Umm-Bahari, by pojawić się w cudowny sposób w środku klanu Bastiego Okrutnika. Własnymi rękami strącił ze szczytu wzgórza pięć setek bandytów.

- Mów dalej! - Klasnęła w dłonie, o mało nie wywracając łódki.

- Ludzie mówią, że na każdym rozdrożach i przy każdym szlaku karawan wznosił wysokie pomniki dla upamiętnienia swego przejścia.

- Pomniki? Jakie pomniki?

- Stosy ludzkich czaszek, wysokie piramidy z czaszek. To głowy bandytów, których zgładził. Ostrzeżenie dla pozostałych.

Moja pani zadrżała z radości i zgrozy, lecz jej twarz wciąż jaśniała.

- Zabił aż tylu? - zapytała.

- Niektórzy mówią, że zgładził pięć tysięcy, inni, że pięćdziesiąt tysięcy. Są nawet tacy, którzy twierdzą, że sto tysięcy, lecz ja sędzę, że muszą odrobinę przesadzać.

- Mów dalej! Dalej!

- Ludzie powiadają, że pojmał już co najmniej sześciu bandyckich wodzów.

- I odrąbał im głowy! - dopowiedziała z makabryczną satysfakcją.

- Nie, mówi się, że ich nie zabił, lecz przemienił w pawiany. Podobno trzyma ich w klatce dla rozrywki.

- Czy to wszystko możliwe? - zachichotała.

- Dla boga wszystko jest możliwe.

- On jest moim bogiem. Och, Taito, kiedy pozwolisz mi go zobaczyć?

- Niedługo - obiecałem. - Twa uroda z każdym dniem świeci jaśniejszym blaskiem. Wkrótce w pełni powróci do dawnej świetności.

- Tymczasem musisz zbierać wszystkie opowieści i wszystkie plotki o Akh-Horusie i przynosić mi je.

Każdego dnia posyłała mnie na portowe nabrzeże, bym wypytywał załogi przybywających z północy barek o nowiny dotyczące Akh-Horusa.

- Powiadają, że nikt nie widział jeszcze jego twarzy, gdyż nosi hełm z przyłbicą odsłaniającą jedynie oczy. Ludzie mówią też, że w ogniu bitwy głowa Akh-Horusa staje w płomieniach, płomieniach, które oślepiają jego przeciwników - doniosłem jej po jednej z takich wizyt.

- Widziałam, jak włosy Tanusa wydają się płonąć w słońcu niebiańskim światłem - potwierdziła ma pani.

- Ludzie powiadają, że potrafi mnożyć swą ziemską powłokę niczym odbicia w lustrze, że potrafi przebywać jednocześnie w wielu różnych miejscach, gdyż tego samego dnia można go ujrzyć w Kenie i Kom Ombo, oddalonych od siebie o wiele dni drogi - przekazałem jej innego ranka.

- Czy to możliwe? - zapytała z podziwem.

- Niektórzy twierdzą, że to nieprawda. Ci utrzymują, że Akh-Horus jest w stanie pokonywać tak wielkie odległości, ponieważ nigdy nie zasypia. Powiadają, że nocą galopuje przez mrok na grzbiecie lwa, a za dnia szybuje przez niebo na grzbiecie olbrzymiego białego orła, by spaść na swych wrogów wtedy, gdy najmniej się tego spodziewają.

- To może być prawdą - z powagą skinęła głową. - Nie wierzę w te lustrzane odbicia, ale lew i orzeł mogą być prawdą. Tanus mógłby uczynić coś podobnego. Wierzę w to.

- Sądzę, iż bardziej prawdopodobne, że każdy człowiek w Egipcie pragnie ujrzyć Akh-Horusa, a pragnienie jest ojcem działania. Widzą go za każdym krzewem. Co do szybkości jego przemarszów, cóż, maszerowałem z gwardzistami i mogę ręczyć...

Nie pozwoliła mi dokończyć.

- W twojej duszy nie ma śladu romantyzmu, Taito - stwierdziła z afektacją. - Ty powątpiewałbyś, czy chmury są runem stad Ozyrysa i czy słońce to twarz Re tylko dlatego, że nie potrafisz sięgnąć i dotknąć ich ręką. Ja wierzę, że Tanus zdolny jest do wszystkich tych rzeczy.

To zapewnienie położyło kres dyskusji, a ja zwiesiłem ulegle głowę.

Popołudniami starym zwyczajem włóczyliśmy się we dwójkę przez ulice i targowiska. Jak przed jej chorobą, moją panią witał uwielbiający ją lud, a ona zatrzymywała się, by pomówić ze wszystkimi, bez względu na ich pozycję czy zajęcie. Od kapłanów po prostytutki, nikt nie był odporny na jej wdzięk i niekłamany urok.

Zawsze udawało się jej skierować rozmowę na Akh-Horusa, a ludzie byli równie chętni jak ona do dyskusji o nowym bogu. Do tego czasu ludowa wyobraźnia awansowała go z półboga na pełnego członka panteonu. Obywatele Elefantyny zaczęli już zbiórkę na budowę świątyni Akh-Horusa, na którą moja pani złożyła nader hojną darowiznę.

Dla świątyni wybrano miejsce na brzegu rzeki naprzeciwko świątyni Horusa, jego brata, a faraon oficjalnie ogłosił swą wolę osobistego poświęcenia budowli. Monarcha miał wszelkie powody, by być wdzięczny. W kraju zapanował duch nowej ufności. Wraz z zabezpieczeniem szlaków karawan handel między Górnym Królestwem a resztą świata począł rozkwitać.

Jeśli dotąd przybywała jedna karawana ze Wschodu, to teraz cztery z powodzeniem przekraczały pustynię i tyleż wyruszało w podróż powrotną. By zaopatrzyć przewodników karawan, potrzebne były tysiące jucznych osłów, rolnicy i hodowcy spędzali je więc do miast, uśmiechając się na myśl o wysokich cenach, jakie za nie uzyskają.

Jako że praca na polach położonych z dala od ochrony miejskich wałów stała się teraz bezpieczna, obsiewano ziemie, na których od dziesięcioleci rosły jedynie chwasty, a wpędzeni w żebractwo rolnicy zaczęli znów żyć dostatnio. Drogami ochranianymi przez legiony Akh-Horusa woły ciągnęły sanie załadowane stosami produktów i świeże towary zapełniły targowiska.

Część uzyskanych tą drogą zysków kupców i właścicieli ziemskich wydawana była na wznoszenie nowych willi na wsi, gdzie na powrót bez obaw można było mieszkać wraz z rodzinami. Artyści i rzemieślnicy, wydeptujący ulice Teb i Elefantyny w poszukiwaniu zatrudnienia, stali się nagle poszukiwani, a swe wynagrodzenie przeznaczali na zakup nie tylko podstawowych towarów codziennego użytku, lecz i na przedmioty zbytku dla siebie i dla swych rodzin. Na targowiskach panował tłok.

Zwiększył się gwałtownie ruch w górę i w dół Nilu, potrzeba było więcej statków i w każdej stoczni co dzień kładziono stępki pod nowe barki. Kapitanowie i załogi rzecznych jednostek na równi z robotnikami stocznioowymi pożytkowali swe nowe bogactwo w tawernach i domach

uciech, tak że prostytutki i kurtyzany krzyczały o piękne suknie i bawidełka, krawcy zaś i złotnicy mieli ręce pełne roboty, budowali nowe domy, a ich żony przetrząsały stragany, mając sakiewki pełne złota i srebra, poszukując wszystkiego, od nowych niewolników po kuchenne garnki.

Po wielu latach gnębienia przez rozboje Akh-Setha i Dzierzbów Egipt powracał do życia.

W rezultacie tego wszystkiego wzrastały dochody państwa, a królewscy poborcy podatkowi krążyli nad tym zgiełkiem z takim samym zadowoleniem jak sępy nad trupami bandytów, którymi Akh-Horus ze swymi legionami zaścielał pola i łąki. Nie ulegało wątpliwości, że faraon odczuwać musiał wdzięczność.

Moja pani i ja także ją czuliśmy. Za moją sugestią zainwestowaliśmy w wykupienie udziału w wyprawie kupieckiej, wyruszającej na Wschód do Syrii. Gdy karawana powróciła sześć miesięcy później, okazało się, że nasz zysk pięćdziesięciokrotnie przewyższył pierwotnie włożoną sumę. Moja pani kupiła sobie sznur pereł i pięć nowych niewolnic, by uczynić me życie jeszcze nędzniejszym. Ja ze zwykłą roztropnością wykorzystałem swoją część do nabycia pięciu działek pierwszorzędnej ziemi na wschodnim brzegu rzeki, a jeden z prawników sporządził akty własności i kazał zarejestrować je w księgach świątynnych.

Wtedy nadszedł dzień, którego się obawiałem. Tego ranka moja pani przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze z jeszcze większą uwagą niż zazwyczaj i oznajmiła, że jest nareszcie gotowa. Zachowując bezstronność, musiałem niechętnie

przyznać, że nigdy dotąd nie wyglądała równie uroczo, zupełnie jakby wszystko to, co przecierpiała ostatnimi czasy, dało jej nową prężność. Ostatnie ślady dziewczęcej płochości, niepewności i dziecięcej pucołowatości zniknęły bez śladu z jej twarzy i stała się kobietą dojrzałą i opanowaną.

- Zaufałam ci, Taito. Teraz udowodnij, że nie było to głupotą z mojej strony. Sprowadź do mnie Tanusa.

Gdy rozstawałam się z Tanusem w Safadze, nie zdołaliśmy uzgodnić metody wymiany wiadomości.

„Będę nieprzerwanie w marszu, a kto może powiedzieć, dokąd zawiedzie mnie ta kampania? Nie pozwól pani Lostris się niepokoić, jeżelibym się do niej nie odezwał. Powiedz, że prześlę wiadomość, gdy moje zadanie zostanie ukończone. Lecz powiedz jej też, że będę przy niej, gdy owoce miłości dojrzeją na drzewie i gotowe będą, by je zerwać”.

Oto dlaczego nie słyszeliśmy o nim nic poza plotkami z nabrzeży i bazarów.

Raz jeszcze wydawało się, że to bogowie zainterweniowali, by mnie uratować, tym razem przed gniewem mej pani Lostris. Na targowisku pojawiła się tego dnia nowa pogłoska. Karawana wędrująca północnym szlakiem nie dalej jak godzinę drogi od murów miasta napotkała wzniesioną niedawno przydrożną piramidę z ludzkich głów. Głowy były tak świeże, że tylko nieco śmierdziały i nie zostały jeszcze obrane z mięsa przez kruki i sępy.

- Oznacza to tylko jedno - powtarzali między sobą plotkarze.

- Oznacza to, że Akh-Horus jest w nomie Asuanu, prawdopodobnie w pobliżu Elefantyny. Spadł na szczątki klanu Akheku, przemykające się przez pustynię, od kiedy ich wódz utracił głowę w Gallali. Akh-Horus wyrzwał ostatnich bandytów i ułożył ich głowy przy drodze. Dzięki niech będą nowemu bogu, bo południe oczyszczone zostało z budzących trwogę Dzierzbów!

Były to godne uwagi nowiny, najlepsze, jakie słyszałem od tygodni, i spieszyłem się, by zanieść je mej pani. Przepychałem się przez tłum marynarzy, kupców i rybaków na nabrzeżu, szukając żeglarza, który zabrałby mnie z powrotem na wyspę.

Ktoś pociągnął mnie za rękę, a ja z irytacją odtrąciłem jego dłoń. Mimo nowego dobrobytu ogarniającego kraj, a może właśnie z jego powodu, żebracy stali się bardziej natarczywi niż niegdyś. Tego też nie dało się zniechęcić byle czym, więc odwróciłem się do niego, podnosząc w gniewie laskę, by go przegnać.

- Nie bij starego przyjaciela! Mam dla ciebie przesłanie od jednego z bogów - zapiszczał żebrak, a ja powstrzymałem cios i wlepiłem w niego wzrok.

- Hui! - Me serce poszybowało w niebiosa z radości, gdy tylko rozpoznałem lisi uśmiech byłego rabusia. - Co tu robisz?

- Nie czekałem na odpowiedź na to głupie pytanie, lecz dorzuciłem pospiesznie: - Idź za mną w pewnej odległości.

Zawiodłem go do jednego z przybytków rozpusty w wąskiej alejce za portem, oferującego pokoje dla par tej samej i różnej płci. Pomieszczenia wynajmowane były na krótki czas, odmierzany zawieszonym na drzwiach wodnym zegarem, a za usługi żądano dużego miedzianego pierścienia. Zapłaciłem tę niebotyczną cenę i gdy tylko zostaliśmy sami, chwyciłem Huiego za postrzępiony kaftan.

- Jakie masz wieści o twym panu? - zapytałem, a on zachichotał z przyprawiającą o furię bezczelnością.

- Tak zaschło mi w gardle, że ledwo mówię.

Już przejął całą fanfaronadę i buńczuczność żołnierza Błękitnych. Jak szybko małpa uczy się nowych sztuczek!

Krzyknąłem na odźwiernego, by przyniósł dzban piwa. Hui pił jak spragniony osioł, potem odstawił naczynie i beknął z zadowoleniem.

- Bóg Akh-Horus przesyła pozdrowienia tobie i tej, której imienia nie wolno mi wypowiedzieć. Poleca oznajmić wam, że zadanie zostało wykonane i wszystkie ptaszki siedzą w klatce. Przypomina ci, że do kolejnego święta Ozyrysa brakuje zaledwie paru miesięcy i czas już napisać scenariusz nowego przedstawienia ku uciechu króla.

- Gdzie on jest? Jak długo zabierze ci powrót do niego? - zapytałem niecierpliwie.

- Mogę dotrzeć do niego, zanim Amon-Re, bóg słońca, schroni się za wzgórze na zachodzie - oznajmił Hui, a ja spojrzałem przez okno na słońce, które było w połowie swej drogi ku horyzontowi.

Tanus zaszył się bardzo blisko miasta, więc ponownie się uradowałem. Jakże pragnąłem poczuć jego krzepki uścisk i usłyszeć potężny, dudniący śmiech.

Uśmiechając się do siebie, przemierzałem wzdłuż i wszerz brudną podłogę pomieszczenia, zastanawiając się nad posłaniem, jakie Hui miał zanieść Tanusowi.

Było już niemal ciemno, gdy zszedłem na ląd w naszej niedużej przystani i pospieszyłem po schodach do haremu. Jedna z niewolnic płakała przy bramie, pocierając opuchnięte ucho.

- Ona mnie uderzyła - wyjęczała i dostrzegłem, że jej duma ucierpiała znacznie bardziej niż ucho.

- Nie mów „ona” o pani Lostris - skarciłem ją. - A poza tym na co się skarżysz? Po to są niewolnicy, by ich bić.

Niemniej było rzeczą niezwykłą, by moja pani podniosła rękę na któregokolwiek z domowników. Musi być doprawdy w fatalnym nastroju - pomyślałem i zwolniłem kroku. Idąc teraz ostrożnie, zjawiłem się u niej dokładnie w chwili, gdy kolejna dziewczyna wypadła z płaczem z jej komnaty. Moja pani pojawiła się na progu w ślad za nią, zaczerwieniona ze złości.

- Zrobiłaś z moich włosów stóg siana...

Wtedy mnie dostrzegła i przerwała tyradę. Naskoczyła na mnie z takim zapalem, że poznałem, iż to ja byłem prawdziwym powodem jej wściekłości.

- Gdzie się podziewałeś? - zapytała. - Posłałam cię do portu przed południem. Jak śmiesz kazać mi czekać tak

długo? - ruszyła na mnie z taką miną, że cofnąłem się pośpiesznie.

- On tu jest - powiedziałem, a potem zniżyłem głos, żeby nie usłyszała nas żadna niewolnica. - Tanus jest tutaj - wyszeptalem. - Pojutrze wypełnię daną ci obietnicę.

Jej nastrój odmienił się diametralnie. Podskoczyła, zarzuciła mi ręce na szyję, a potem oddaliła się, by odszukać i pocieszyć rozżalone dziewczyny.

Jako część rocznego trybutu wasal faraona, król Amorytów, przysłał mu parę wytresowanych myśliwskich gepardów ze swego królestwa znajdującego się po drugiej stronie Morza Czerwonego. Faraon nie mógł się doczekać, by wypuścić te wspaniałe stworzenia na stado gazeli, od których roiły się pustynne wydmy zachodniego brzegu. Cały dwór, włączając w to moją panią, otrzymał polecenie wzięcia udziału w wyprawie.

Pożeglowaliśmy na zachodni brzeg flotyllą małych rzecznych łodzi, białe żagle i jaskrawe proporce trzepotały na wietrze. Towarzyszył nam śmiech, dźwięki lutni i sistrum. W tych dniach miał się rozpocząć coroczny wylew wielkiej rzeki i wyczekiwanie na to zdarzenie, w połączeniu z nowym pomyślnym klimatem, jaki zapanował w kraju, wzmagало karnawałowy nastrój dworu.

Moja pani była radośniejsza od innych i wykrzykiwała wesołe pozdrowienia ku swoim przyjaciołom na innych łodziach, a nasza feluka pruła zielone letnie wody z taką szybkością, że koronkowe białe wieńce piany pokrywały

dziób łodzi, który pozostawiał za sobą migotliwie lśniący ślad.

Wyglądało na to, że jedynie ja nie uległem atmosferze powszechnej szczęśliwości i beztroski. Wiatr miał w sobie coś surowego i szorstkiego, wiał przy tym z niewłaściwego kierunku. Z niepokojem spoglądałem co chwila na zachodnie niebo. Było bezchmurne i rozjaśnione, lecz bił od niego nienaturalny, miedziany poblask, zupełnie jakby ze strony przeciwnej niż to, które tak dobrze znaliśmy, wschodziło drugie słońce.

Odepchnąłem od siebie złe przeczucia i spróbowałem poddać się nastrojowi wycieczki. Nie udało mi się, bo pogoda nie była moją jedyną troską. Gdyby zawiódł którykolwiek fragment mego planu, moje życie znalazłoby się w niebezpieczeństwie, a być może na szwank wystawione zostałyby i cenniejsze od niego żywoty.

Wszystko to musiało odbijać się na mojej twarzy, gdyż Lostris szturchnęła mnie elegancko pomalowanym palcem u nogi i powiedziała:

- Coś ty taki ponury, Taito? Każdy, kto na ciebie spojrzy, będzie wiedział, że coś knujesz. Uśmiechnij się! Rozkazuję ci, byś cię uśmiechnął.

Gdy wylądowaliśmy na zachodnim brzegu, czekała na nas armia niewolników. Pachołkowie przytrzymywali wspaniałe osły z królewskich stajni okryte jedwabiem do jazdy wierzchem. Juczne osły obładowano namiotami, dywanami, koszami jedzenia i wina oraz wszystkimi innymi zapasami niezbędnymi podczas królewskiej uczy. Oddział

niewolników doglądał uczestników wyprawy, jedni przytrzymywali parasole nad głowami pań, inni usługiwali dostojnym gościom. By ich zabawiać, byli tam błaznowie, akrobaci i muzycy oraz setka łowców, by dostarczyć im widowiska.

Klatka z gepardami załadowana została na sanie ciągnięte przez zaprzęg białych wołów i dworzanie zgromadzili się wokół pojazdu, żeby podziwiać te rzadkie bestie. Nie występowały w naszym kraju w stanie naturalnym, gdyż są to stworzenia otwartej, trawiastej sawanny, a wzdłuż rzeki nie było podobnie ukształtowanego terenu. Zobaczyłem je pierwszy raz i tak pobudziły mą ciekawość, że na chwilę zapomniałem o frasunkach. Podeszedłem do klatki na taką odległość, na jaką zdołałem przepchnąć się przez tłum bez popychania ani przydepnięcia jakiegoś drażliwego dygnitarza.

Były to najpiękniejsze koty, jakie mogłem sobie wyobrazić, wyższe i smuklejsze od lampartów. Miały długie, gładkie kończyny i wklęsłe brzuchy, a giętkie ogony wyrażały ich nastroje. Złocista skóra ugwieżdżona była rozetami najgłębszej czerni, a z wewnętrznych kącików oczu przez policzki niczym ścieżki łez biegły czarne linie. To, wraz z ich królewskim zachowaniem, przydawało im urzekającego tragizmu i romantyczności. Zapragnąłem stać się właścicielem jednego z tych stworzeń, toteż natychmiast postanowiłem, że podsunę tę myśl mej pani. Faraon zawsze spełniał jej kaprysy.

Wioząca króla przez rzekę barka przybiła do zachodniego brzegu aż za szybko jak na mój gust i wraz z resztą dworzan pospieszyliśmy na plażę, by go powitać.

Faraon przyodziany był w lekki strój myśliwski. Choć raz sprawiał wrażenie odprężonego i szczęśliwego. Zatrzymał się przy mojej pani, a gdy wykonała stosowny pokłon, zapytał ją łaskawie o stan zdrowia. Napełniła mnie obawa, że król może zatrzymać ją przy sobie przez cały dzień, co obróciłoby wniwecz wszystkie moje przygotowania. Myśliwskie gepardy przyciągnęły jednak jego uwagę i poszedł dalej, nie poleciwszy mej pani iść za sobą.

Wtopiliśmy się w tłum i przepchnęliśmy tam, gdzie trzymano osła dla Lostris. Pomagając jej go dosiąść, rozmawiałem jednocześnie ściszym głosem z pacholkiem. Gdy powiedział mi to, co pragnąłem usłyszeć, wsunąłem mu w dłoń srebrny pierścień, który natychmiast zniknął niczym za sprawą magii.

Śladami króla i sań podążyliśmy z moją panią na pustynię, jeden niewolnik prowadził osła, drugi zaś trzymał nad nią parasolkę. Zatrzymując się często dla wytchnienia, połowę przedpołudnia zużyliśmy na dotarcie do Doliny Gazeli. Po drodze minęliśmy starożytne cmentarzysko Tras, pochodzące z czasów pierwszych faraonów. Niektórzy mędrcy powiadali, że grobowce wyciosane zostały w czarnej skale trzy tysiące lat temu, choć w jaki sposób doszli do tego wniosku, nie mam pojęcia. Kryjąc się z tym starannie, skwapliwie przyjrzałem się wejściom do mijanych grobowców. Z takiej odległości nie byłem wszakże

w stanie dostrzec wokół nich śladów niedawnej ludzkiej obecności i poczułem nieracjonalne rozczarowanie. Gdy podążyliśmy dalej, bez przerwy oglądałem się za siebie.

Dolina Gazeli stanowiła jeden z monarszych terenów łowieckich, chronionych dekretami długiego ciągu faraonów. Oddział królewskich łowczych był na stałe rozmieszczony na wzgórzach nad doliną, by egzekwować przestrzeganie edyktu pozostawiającego wszystkie żyjące w niej stworzenia na wyłączny użytek władcy. Karą za polowanie w dolinie bez królewskiego zezwolenia była śmierć przez uduszenie.

Na szczycie jednego ze wzgórz górujących nad rozległą, brązową doliną dworzanie zsiadli z wierzchowców. Pospiesznie rozstawiono namioty, by uzyskać trochę cienia, otwarto dzbany z szербetem i piwem i gaszono wywołane podróżą pragnienie.

Upewniłem się, że wybrano dla nas punkt obserwacyjny oferujący dobrą panoramę łowów. Można było się stąd dyskretnie oddalić bez zwracania niczyjej uwagi. W oddali, na dnie doliny, za wodnistą zasłoną tańczącego powietrza dostrzegłem stada gazeli. Wskazałem je mojej pani.

- Co one tam znajdują do jedzenia? - zapytała moja pani Lostris. - Nie ma ani śladu zieleni. Z pewnością jedzą kamienie, bo tego tu jest pod dostatkiem.

- To nie kamienie, lecz żywe rośliny - poinformowałem ją.

Gdy zaśmiała się z niedowierzaniem, przeszukałem skaliste podłoże i zerwałem garść owych cudownych roślin.

- To kamienie - nalegała, dopóki nie wzięła jednej do ręki i nie zgmiotła. Gęsty sok pociekł jej po palcach, a ją zadziwił spryt boga, który obmyślił ten kamuflaż. - To tym żyją? To chyba niemożliwe.

Nie mogliśmy dalej prowadzić tej rozmowy, gdyż zaczynało się polowanie. Dwaj królewscy łowczy otworzyli klatkę i gepardy zeskoczyły na ziemię. Spodziewałem się, że spróbują uciec, lecz były oswojone niczym świątynne koty i miłośnie ocierały się o nogi swych opiekunów. Wydawały dziwny, świergotliwy dźwięk, pasujący bardziej do ptaka niż do brutalnego drapieżcy.

Po drugiej stronie brązowego, spalonego słońcem dna doliny dostrzegłem linię naganiaczy. Ich postaci były drobne i zniekształcone odległością oraz drganiem powietrza. Szli powoli w naszą stronę, a stada antylop zaczynały z wolna przesuwać się pod ich naporem.

Podczas gdy król i jego łowczy zeszli zboczem na dno doliny, wiodąc gepardy na smyczach, my wraz z resztą dworu pozostaliśmy na grzbiecie wzniesienia. Dworzanie czynili zakłady, a i ja z równą niecierpliwością oczekiwałem wyniku łowów, lecz moja pani miała głowę zaprzątniętą innymi sprawami.

- Kiedy będziemy mogli pójść? - wyszeptała. - Kiedy będziemy mogli wymknąć się na pustynię?

- Gdy rozpoczną się łowy i oczy wszystkich będą na nie zwrócone. Wówczas nadejdzie nasza chwila.

Ledwie wypowiedziałem te słowa, wiatr, który przeniósł nas przez rzekę i chłodził nasze czoła podczas marszu,

nieoczekiwanie ucichł. Poczułem się tak, jakby jakiś kowal otworzył drzwi swojej kuźni. Powietrze stało się prawie że zbyt gorące, by nim oddychać.

Raz jeszcze spojrzałem na zachód. Niebo nad horyzontem przybrało siarkawożółtą barwę. Patrzyłem, jak ta żółta plama rośnie na nieboskłonie. Bardzo mnie to zaniepokoiło. W całym tym tłumie byłem wszakże jedyny, który zauważył owo dziwne zjawisko.

Choć myśliwi znajdowali się już u stóp wzgórza, byli wciąż jeszcze dosyć blisko, bym mógł obserwować wielkie koty. Dostrzegły stada gazeli, niespiesznie naganiane w ich stronę. To przemieniło je z przymilających się kociaków w groźnych myśliwych, jakimi naprawdę były. Zadarły głowy, stały się czujne i napięte, postawiły uszy, naprężyły smycze. Wciągnęły swe wklęsłe brzuchy, każdy mięsień napięty był niczym naciągnięta do oporu cięciwa.

Moja pani pociągnęła mnie za spódniczkę i wyszeptała nagle:

- Chodźmy już, Taito.

Niechętnie zacząłem wycofywać się ku skupisku skał, które ukryć miało nasz odwrót i osłonić przed resztą towarzystwa. Srebrna łapówka wręczona pachółkowi przyniosła nam zysk w postaci osiołka, teraz przywiązanego z boku między głazami. Gdy tylko do niego dotarliśmy, sprawdziłem, czy dźwiga to, co zamówiłem - szawłok i skórzaną torbę z zapasami. Przekonałem się, że wszystko było w porządku.

Nie potrafiłem się opanować i błagalnym tonem poprosiłem moją panią:

- Jeszcze tylko chwileczkę.

Zanim zdążyła mi zabronić, wdrapałem się na szczyt skalnego występu i zerknąłem w głąb doliny rozciągającej się u mych stóp.

Najbliższe antylopy przebiegały o kilkaset kroków od faraona, trzymającego na smyczach parę gepardów. Zdążyłem akurat, by ujrzeć, jak spuszcza je z uwięzi i posyła na zwierzynę. Koty lekko ruszyły susami, zadzierając głowy, jak gdyby przyglądały się stadom wykwinicie kłusujących antylop i wybierały swe ofiary. Gazele wnet uświadomiły sobie gwałtowne zbliżanie się drapieżników i zerwały się do pełnego galopu. Podobne stado jaskółek mknęły przez pylistą równinę.

Koty wyciągnęły długie ciała, sięgały daleko przednimi łapami i podciągały zady, składając się wpół przed kolejnym susem. Rozpędziły się błyskawicznie. Nigdy dotąd nie widziałem równie prędkiego zwierzęcia. Wyglądało na to, że gazele trafiły nagle na podmokły grunt i musiały zwolnić. Oba koty z gracją dogoniły stado i minęły jednego czy dwóch maruderów, dopóki nie dopędziły wybranych ofiar.

Spłoszone antylopy próbowały uniknąć tej zabójczej szarży. Wyskakiwały wysoko, zmieniając kierunek w powietrzu, skręcając i zawracając, gdy tylko ich filigranowe kopyta dotykały spieczonej ziemi. Koty nadążały za tymi ewolucjami z pełną wdzięku łatwością, toteż koniec tej zabawy był nieunikniony. Każdy powalił na ziemię jedną

gazelę, okrywając się ruchomą, kotłującą się chmurą pyłu, a potem pochylił się nad zdobyczą, zacisnął szczęki na tchawicy ofiary, by ją udusić. Tylne nogi złowionych zwierząt kopały konwulsyjnie powietrze, a w końcu zeszywniały w bezruchu śmierci.

Podniecenie wywołane polowaniem zaparło mi dech w piersiach, byłem do głębi poruszony. Do rzeczywistości przywrócił mnie głos mej pani.

- Taito! Zejdź natychmiast. Zauważą, że siedzisz tam w górze!

Ześlizgnałem się więc, by do niej dołączyć.

Choć byłem jeszcze podekscytowany, podsadziłem ją na siodło i sprowadziłem osła na pozbawioną życia, spaloną ziemię tam, gdzie towarzystwo na szczycie wzgórza nie było w stanie nas dojrzeć. Moja pani nie zdołała długo podsycać swej irytacji, a ponieważ przebiegle wspomniałem ponownie imię Tanusa, zapomniała o niej całkowicie i popędziła swego wierzchowca.

Dopiero gdy zostawiliśmy za sobą jeszcze jedno wzniesienie i przekonany byłem, że oddaliliśmy się już znacznie od Doliny Gazeli, skierowałem się bezpośrednio w stronę cmentarzyska Tras. W nieruchomym rozgrzanym powietrzu odgłos oślich kopyt dźwięczących i stukających na kamieniu brzmiał tak, jakbyśmy kroczyli po warstwie potłuczonego szkła. Wkrótce poczułem występujący na skórze pot, bo powietrze było parne i ciężkie jak przed burzą.

- Powietrze jest suche jak stare kości. Powinnaś napić się trochę wody... - powiedziałem do mej pani, zanim dotarliśmy do grobowców.

- Idź dalej! U celu będziesz miał dosyć czasu, by napić się do woli.

- Myślałem jedynie o tobie, pani - zaprotestowałem.

- Nie możemy się spóźnić. Każdy zmarnowany przez ciebie moment skraca moje spotkanie z Tanusem.

Oczywiście miała rację, bo i tak będziemy mieli niewiele czasu, gdyż wkrótce dworzanie zauważą naszą nieobecność. Moja pani była tak popularna, że gdy skończy się polowanie i widzowie powracać będą ku rzece, wielu zechce cieszyć się jej towarzystwem.

Kiedy zbliżyliśmy się do skalistego zbocza, jej ochota wezbrała tak dalece, że nie mogła już znieść tempa marszu swego wierzchowca. Zeskoczyła z jego grzbietu i popędziła na następne wzniesienie.

- Jest tam! Tam będzie na mnie czekał! - zawołała, wskazując przed siebie.

Kiedy tańczyła tak na tle nieba, wiatr runął na nas jak zgłodniały wilk, wyjąc wśród wzgórz i wąwozów. Porwał włosy mej pani i rozwiął je niczym chorągiew, oplątał wokół głowy. Zadarł jej spódnicę wysoko nad szczupłe, brązowe uda, a ona zaśmiała się i obróciła w miejscu, flirtując z wiatrem, jakby był jej kochankiem. Nie podzielałem tego zachwyty.

Odwróciłem się, by spojrzeć za siebie, i ujrzałem nadciągającą z Sahary burzę. Sięgała ku ponurym żółtym

niebiosom, ciemnobrązowa i przerażająca, spiętrzała się niczym fale przyboju rozbijające się na rafie koralowej. Gnany wiatrem piach chlasnął mnie po nogach i zerwałem się do biegu, wlokąc za sobą osła. Pchające mnie w plecy podmuchy prawie zwały z nóg, lecz dogoniłem moją panią.

- Musimy się pospieszyć! - przekrzyczałem wiatr. - Musimy schronić się w grobowcu, zanim dopadnie nas burza.

Wicher gnał przed tarczą słoneczną sięgając niebios chmury piasku, przesłaniając ją tak, że mogłem spojrzeć na nią gołym okiem. Cały świat skąpany został w posępnym odcieniu ochry, słońce zamieniło się w matową, pomarańczową kulę. Niesiony podmuchał piach ciął odsłoniętą skórę naszych kończyn i karków. Owinąłem ją chustą wokół głowy Lostris, by ją ochronić, i poprowadziłem za rękę.

Pochłaniały nas fale poderwanego burzą piasku; przesłaniały widok do tego stopnia, że dopóki w piaskowej zasłonie nie otwarła się nagle dziura, przez którą dostrzegłem wyłaniający się przed nami czarny otwór grobowca, obawiałem się, czy nie zgubiłem drogi. Ciągnąc moją panią jedną ręką, osła zaś drugą, wepchnąłem oboje do oferującego bezpieczeństwo wnętrza jaskini. Tunel wejściowy wykuty był w litej skale. Prowadził daleko w głąb wzgórza, a następnie zakręcał ostro, otwierając się na komorę grobową, gdzie niegdyś złożono na odpoczynek starożytną mumię. Przed wiekami włamywacze zajęli się zabalsamowanym ciałem i skarbami. Do chwili obecnej

dotrwały jedynie wyblakłe freski na kamiennych ścianach, wizerunki bogów i potworów, w mrocznej atmosferze sprawiające niesamowite wrażenie.

Moja pani osunęła się pod skalną ścianą, lecz jej pierwsze myśli skierowane były ku ukochanemu.

- Tanus nigdy nas teraz nie znajdzie! - zakrzyknęła w rozpaczy, a jej niewdzięczność zabolęła mnie, jako że to ja doprowadziłem ją w bezpieczne miejsce.

Rozsiodłałem naszego osła i zwałem ładunek w kącie grobowca. Potem napełniłem kubek wodą z szawłoka i zmusiłem Lostris, by się napiła.

- Co będzie z pozostałymi, z królem i wszystkimi naszymi przyjaciółmi? - zapytała między łykami.

W jej naturze leżało troskanie się o bezpieczeństwo innych, nawet gdy sama miała kłopoty.

- Mają łowczych, którzy się nimi zaopiekują - odparłem. - To dobrzy ludzie i znają pustynię.

Lecz nie aż tak dobrze, by przewidzieć burzę - pomyślałem ponuro. Choć starałem się ją uspokoić, wiedziałem, że kobietom i dzieciom nie będzie łatwo.

- A Tanus? - zapytała. - Co stanie się z Tanusem?

- Kto jak kto, ale Tanus będzie wiedział, co należy uczynić. Jest niczym jeden z Beduinów. Możesz być pewna, że zauważył nadciągającą nawałnicę.

- Czy uda nam się dotrzeć z powrotem do rzeki? Czy kiedykolwiek nas tu odnajdą?

Nareszcie pomyślała o własnym bezpieczeństwie.

- Będziemy tu bezpieczni. Mamy dość wody na wiele dni. Gdy burza się wyszaleje, znajdziemy drogę ku rzece.

Myśląc o bezcennej wodzie, przeniosłem wydęty szawłok w głąb grobowca, by osioł nie zdołał nań nastąpić. Było już prawie kompletnie ciemno, więc po omacku zacząłem grzebać przy lampie, którą niewolnik umieścił w jukach. Rozdmuchałem kopcący knot, a ten rozjarzył się i rozjaśnił wewnątrz grobowca wesołym, żółtym światłem.

Jeszcze krzątałem się przy lampie, obrócony plecami do wejścia, kiedy moja pani wrzasnęła. Jej głos był tak piskliwy i przepełniony tak śmiertelną grozą, że ogarnęło mnie podobne przerażenie i krew zakrzepła mi w żyłach, gęsta niczym miód, choć me serce rozświetniło się jak kopyta uciekającej gazeli. Okręciłem się w miejscu, sięgając po sztylet, lecz gdy ujrzałem potwora, którego postać przesłaniała wejście, zamarłem w bezruchu, nie dotknąwszy skrytej za pasem broni. Instynktownie pojąłem, że nędzne ostrze nie zdziałałoby niczego przeciw temu stworzeniu, czymkolwiek by ono nie było.

W drżącym blasku lampy jego postać była niewyraźna i zniekształcona. Ujrzałem, że sylwetką zbliżona jest do człowieka, lecz za duża, by mieć w sobie cokolwiek ludzkiego, a jej groteskowa głowa przekonała mnie, że to w rzeczy samej ów przerażający potwór z zaświatów o głowie krokodyla, który pożera serca uznane za nieczyste podczas kontroli na wadze Thota, potwór odmalowany na ścianach grobowca. Głowa o orlim czy też żółwim dziobie połyskiwała gadzimi łuskami. Oczy, głębokie, bezdenne

otwory, wpatrywały się w nas nieubłaganie. Z ramion wyrastały wielkie skrzydła. Na wpół zwinięte, trzepotały nad niebotycznym ciałem, które przypominało próbującego ucieczki rozzłoszczonego sokoła. Spodziewałem się, że stwór zerwie się do lotu i rozszarpie mą panią brązowymi szponami. Lostris musiała obawiać się tego tak bardzo jak ja, gdyż krzyknęła ponownie, kuląc się u stóp potwora.

Nagle zauważyłem, że stworzenie nie było skrzydlate, że to poły długiej, wełnianej peleryny, takiej, jaką noszą Beduini, trzepotały na wietrze. Gdy wciąż jeszcze byliśmy zmrozeni pojawieniem się tej straszliwej istoty, ta uniosła ręce i zdjęła pozłacany bojowy hełm o przyłbicy ukształtowanej na podobieństwo orlego łba. Potem potrząsnęła głową i masa czerwonozłotych kędziorów opadła na jej szerokie ramiona.

- Ze szczytu wzgórza widziałem, jak nadchodzicie wśród burzy - powiedziała kochanym, znajomym głosem.

Mojapani krzyknęła ponownie, tym razem w jej głosie brzmiała dzika radość:

- Tanus!

Skoczyła ku niemu, a on chwycił ją, jakby była dzieckiem, i podniósł tak wysoko, że głową otarła się o kamienny strop. Potem postawił i przycisnął do piersi. Z kołyski jego ramion Lostris sięgnęła ustami jego warg i wydawało się, że gnani mocą swej żądzы pochłoną się nawzajem.

Stałem zapomniany wśród zalegających grobowiec cieni. Choć to ja, ryzykując tak wiele, przyczyniłem się do tego spotkania, nie potrafię zmusić się do opisanja, jakie uczucia

mną targały, gdy stałem się niechętnym świadkiem ich uniesień. Uważam zazdrość za najpodlejsze ze wszystkich uczuć, ale przecież kochałem panią Lostris równie mocno jak Tanus i to nie ojcowską czy braterską miłością. Jestem eunuchem, lecz pałam do niej normalną miłością mężczyzny, oczywiście bez szansy na spełnienie, i właśnie z tego powodu jeszcze bardziej gorzką. Nie mogłem zostać i się przyglądać, zacząłem więc wycofywać się z grobowca niczym zbity szczeniak. Tanus dostrzegł, że wychodzę, i przerwał pocałunek, który groził zniszczeniem mej duszy.

- Taito, nie zostawiaj mnie samego z małżonką króla. Zostań z nami, by uchronić mnie przed tą straszliwą pokusą. Nasz honor jest zagrożony. Nie mogę sobie zaufać, musisz zostać i dopilnować, bym nie okrył hańbą żony faraona.

- Odejdź! - krzyknęła pani Lostris z jego objęć. - Zostaw nas samych. Nie mam zamiaru wysłuchiwać teraz mów o hańbie czy honorze. Nasza miłość zbyt długo pozostawała w ukryciu. Nie mogę czekać na wypełnienie się przepowiedni Labiryntów. Zostaw nas teraz samych, dobry Taito.

Umknąłem z komnaty, jakby me życie było w niebezpieczeństwie. Być może powinienem był wybiec na zewnątrz i stracić życie w burzy. Tym sposobem znalazłbym kres mych cierpień, lecz byłem tchórzem i pozwoliłem, by wiatr zagnał mnie z powrotem do grobowca. Potykając się, dotarłem w kąt szybu, gdzie podmuchy nie były w stanie mnie nękać, i osunąłem się na piaszczyste podłoże.

Naciągnąłem szal na głowę, by przysłonić oczy i uszy, lecz choć burza szalała na zboczu wzgórza, nie potrafiła zagłuszyć dźwięków dobiegających z komory grobowej.

Przez dwa dni nawałnica piekliła się z niegasnącą wściekłością. Część tego czasu przespałem, zmuszając się do szukania spokoju w zapomnieniu, ale gdy się budziłem, słyszałem ich, a odgłosy ich miłości były dla mnie torturą. To dziwne, że nigdy tak nie cierpiałem, kiedy moja pani była z królem... z drugiej strony może i nie takie znowu dziwne, gdyż ten stary człowiek nic dla niej nie znaczył.

Znajdowałem się w świecie męczarni. Te okrzyki, te jęki, te szepty rozdzierały mi serce. Rytmiczne pojękiwanie młodej kobiety, spowodowane nie bólem, przyprawiało mnie prawie o śmierć. Jej dziki krzyk najwyższej ekstazy sprawiał większy ból niż cios kastrującego mnie noża.

W końcu wiatr zelżał i ucichł, zawodził jeszcze tylko u stóp wzgórza. Pojaśniało, a ja uświadomiłem sobie, że był to już trzeci dzień mego uwięzienia w grobowcu. Poruszyłem się i zawołałem do nich, nie mając odwagi wejść do wewnętrznej komnaty w obawie przed tym, co mógłbym tam odkryć. Przez chwilę nie otrzymywałem odpowiedzi, a potem moja pani odezwała się ochrypłym, oszołomionym głosem, który pobrzmiwał niesamowicie w głębi szybu:

- Taito, to ty? Myślałam, że zginęłam w burzy i zostałam zabrana na zachodnie pola rajy.

Skoro burza ustąpiła, pozostało nam niewiele czasu. Królewscy łowczy z pewnością już nas poszukiwali. Burza

dostarczyła nam najlepszego wytłumaczenia naszej nieobecności. Pewien byłem, że żyjący uczestnicy wyprawy myśliwskiej rozproszeni są wśród tych przerażających wzgórz. Lecz wyprawa ratunkowa nie mogła odkryć nas w towarzystwie Tanusa.

Z drugiej strony Tanus i ja prawie ze sobą nie rozmawialiśmy przez te ostatnie parę dni, a mieliśmy wiele do omówienia. Stojąc w wejściu do szybu, pospiesznie uzgodniliśmy nasze plany.

Moja pani była wyciszona i spokojna, rzadko widywałem ją w podobnym nastroju. Zniknęła gdzieś dawna niepohamowana gaduła, stała teraz u boku Tanusa, z nowym spokojem spoglądając mu w twarz. Przypominała mi kapłankę odprawiającą nabożeństwo przed wizerunkiem swego boga. Nie spuszczała z niego oczu, od czasu do czasu dotykała go, jakby upewniała się, że to naprawdę on.

Gdy to robiła, Tanus urywał swą wypowiedź w pół zdania i całą uwagę poświęcał tym ciemnozielonym oczom. Musiałem na powrót przywoływać go do spraw, których jeszcze nie ukończyliśmy. W obliczu tak jawnego uwielbienia me własne uczucia były nędzne i przyziemne. Zmuszałem się, by radować się razem z tą parą.

Omówienie wszystkich kwestii zajęło nam więcej czasu, niż uważałem za roztropne, lecz w końcu uścisnąłem Tanusa na pożegnanie i wyгнаłem osła na słońce, którego promienie przesączały się przez drobny żółty pył, nadal unoszący się w powietrzu. Moja pani ociągała się

z odejściem, więc zaczekałem na nią w dolinie poniżej grobowca.

Zobaczyłem przez ramię, że wychodzą wreszcie z groty. Przez długą chwilę stali, spoglądając na siebie i nie dotykając się. W końcu Tanus odwrócił się i szybko odszedł. Moja pani odprowadziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął jej z oczu, a potem zeszła tam, gdzie na nią oczekiwałem. Kroczyła jak pogrążona we śnie.

Podsadziłem ją na wierzchowca, a gdy poprawiałem popręg u siodła, wyciągnęła dłoń i ujęła mnie za rękę.

- Dziękuję ci - powiedziała po prostu.

- Nie jestem godzien twojej wdzięczności - zaproponowałem.

- Jestem najszczęśliwszą istotą pod słońcem. Wszystko, co powiedziałaś mi o miłości, jest prawdą. Proszę, ciesz się moją radością, chociaż...

Nie dokończyła i nagle zrozumiałem, że odczytała me najskrytsze uczucia. Nawet u szczytu swego szczęścia smuciła się tym, że sprawiła mi ból. Myślę, że w owej chwili kochałem ją bardziej niż kiedykolwiek.

Odwróciłem się, ująłem wodze i powiodłem osła z powrotem w stronę Nilu.

Jeden z królewskich łowczych wypatrzył nas z odległego szczytu wzgórza i powitał serdecznie.

- Poszukujemy was z rozkazu króla - oznajmił, gdy zbiegł pospiesznie do nas.

- Czy król ocalał? - zapytałem.

- Jest bezpieczny w pałacu na Elefantynie. Poleciał, by panią Lostris przyprowadzono do niego, gdy tylko zostanie

odnaleziona.

Kiedy postawiliśmy nogę na pałacowym nabrzeżu, Aton już tam był. Z ulgą wydymał umalowane policzki i krzątał się wokół mej pani.

- Znalezione ciała dwudziestu trzech nieszczęśników, którzy postradali życie podczas burzy - poinformował nas z makabryczną satysfakcją. - Wszyscy byli przekonani, że was również znajdziemy martwych. Modliłem się w świątyni Hapi o wasz bezpieczny powrót.

Najwyraźniej był zadowolony z siebie, a mnie rozzłościła ta próba przywłaszczenia sobie zasługi uratowania Lostris. Dał nam tylko tyle czasu, ile zajęło pospieszne umycie się i nawilżenie wysuszonej skóry pachnącymi olejkami, a potem zagnał nas na audiencję do króla.

Faraon był szczerze poruszony odzyskaniem mojej pani. Pewien jestem, że pokochał ją tak głęboko jak inni, i to nie tylko ze względu na obietnicę nieśmiertelności, jaką w niej widział. Gdy Lostris uklękła przed nim, łza zawisła na jego rzesach, rozmazując farbę na policzku.

- Sądziłem, że zginęłaś - rzekł i objąłby ją, gdyby zezwalała na to etykieta. - Tymczasem odzyskuję cię piękniejszą i pełniejszą życia niż kiedykolwiek.

Było to prawdą, gdyż miłość rozpałała ją mocą swej magii.

- Taita mnie uratował - powiedziała faraonowi. - Zaprowadził mnie do kryjówki i ochraniał przez te okropne dni. Bez niego przepadłabym jak ci inni biedacy.

- Czy to prawda, Taito? - zwrócił się do mnie władca.

- Jestem jedynie nędznym instrumentem w rękach bogów
- wymruczałem, przybrawszy skromną minę.

Król uśmiechnął się, gdyż, jak wiedziałem, polubił i mnie.

- Oddałeś nam liczne usługi, o nędzny instrumencie. Ta
wszakże jest z nich najcenniejszą. Zbliź się! - rozkazał, a ja
ukląłem przed nim.

Aton stanął obok, trzymając małe cedrowe pudełko.
Uniósł jego pokrywkę i podsunął je królowi. Faraon wyjął ze
szkatułki łańcuch, wykonany z najczystszej szczerego
złota i noszący znaki królewskich złotników,
potwierdzające, że waży równe dwadzieścia debenów.

Król uniósł łańcuch nad moją głową i zaintonował:

- Obdarzam cię Złotem Chwały.

Opuścił go na moje ramiona, a jego ciężka masa była dla
mnie źródłem radości. Ozdoba ta była najwyższym znakiem
królewskiej łaski, zwykle zarezerwowanym dla generałów
i ambasadorów lub wysokich urzędników takich jak księżę
Intef. Powątpiewałem, by w całej historii naszego Egiptu
złoty łańcuch umieszczony został na szyi nędznego
niewolnika.

Nie był to koniec podarunków i nagród, jakimi miałem
zostać obsypany, jako że moja pani nie miała zamiaru
pozostać w tyle. Tego samego wieczoru, gdy brała kąpiel,
niespodzianie odprawiła niewolnice i stając naga przede
mną, oznajmiła mi:

- Możesz pomóc mi się ubrać, Taito.

Zezwalała mi na ten zaszczyt, gdy była ze mnie
szczególnie zadowolona. Zdawała sobie sprawę z tego, jak

wielką przyjemność sprawiało mi przebywanie z nią sam na sam w tych intymnych okolicznościach.

Jej urodę skrywały jedynie połyskliwe sploty jedwabistych włosów. Dni spędzone z Tanusem wypełniły ją pięknem nowego rodzaju, emanującym głęboko z jej wnętrza. Lampa umieszczona w alabastrowej wazie przeświecać będzie przez przezroczyste ścianki; pani Lostris lśniła w podobny sposób.

- Nigdy nie śniło mi się, że tak marne naczynie jak moje ciało skrywać może taką rozkosz. - Przesunęła dłońmi po bokach, spoglądając na siebie i zapraszając mnie do tego samego.

- Wszystko, co mi obiecałeś, ziściło się, gdy byłam z Tanusem. Faraon obdarzył cię Złotem Chwały, słuszne więc, bym i ja okazała ci moje uznanie. Chcę, byś w jakiś sposób mógł dzielić ze mną moje szczęście.

- Możliwość służenia ci jest jedyną nagrodą, jakiej mógłbym pragnąć.

- Pomóż mi się ubrać - poleciła, unosząc ręce.

Gdy się poruszyła, jej piersi zmieniły kształt. W ciągu tego roku obserwowałam, jak rozwijały się z małych, niedojrzałych fig w okrągłe owoce granatu, piękniejsze od klejnotów i marmurowych posągów. Podniosłem nad jej głowę przezroczystą nocną koszulę, a potem pozwoliłem materii spłynąć wzdłuż ciała. Strój skrył ją, nie przesłaniając urody, w ten sam sposób, w jaki poranna mgła pokrywa o świcie powierzchnię Nilu.

- Zarządziłam bankiet i rozesłałam zaproszenia królewskim damom.

- Dobrze, moja pani. Dopilnuję wszystkiego.

- Nie, nie, Taito. To przyjęcie na twoją cześć. Będiesz siedział u mego boku jako mój gość.

Było to równie szokujące jak inne szalone pomysły, które przychodziły jej do głowy ostatnimi czasy.

- To nie uchodzi, pani. Postąpisz wbrew zwyczajom.

- Jestem żoną faraona. To ja ustalam zwyczaje. Podczas bankietu będę miała dla ciebie podarunek i wręczę ci go na oczach wszystkich.

- Czy powiesz mi, co to za podarunek? - zapytałem z niejakim drzeniem.

Nigdy nie byłem pewien, jakiego figla zechce znowu spłatać.

- Oczywiście, że powiem ci, co to jest - uśmiechnęła się tajemniczo. - To niespodzianka, ot co.

Chociaż byłem honorowym gościem, nie mogłem pozostawić przygotowań do uczyty w rękach kucharzy i chichoczących niewolnic. W końcu na szali spoczywała reputacja mej pani jako gospodyni. Przed świtem udałem się na targowisko, by nabyć najlepsze, najświeższe owoce pól i rzeki.

Przyrzekłem Atonowi, że zostanie zaproszony, on zaś otworzył królewską piwnicę z winami, po czym pozwolił mi dokonać wyboru. Wynająłem i przeszkoliłem najlepszych muzykantów oraz akrobatów w całym mieście. Wysłałem niewolników, żeby na brzegu rzeki nazbierali hiacyntów, lili

i lotosów w celu pomnożenia mas kwiecia, jakie już ozdabiały nasz ogród. Zleciłem tkaczom uplecenie stateczków z sitowia, na które wstawiłem kolorowe szklane lampki i spuściłem na wodę w sadzawkach naszego ogrodu wodnego. Rozstawiłem dla każdego gościa skórzane poduszki, wieńce kwiatów i słoiczki pachnących olejków, by chłodziły ich gorącą nocą i odganiały moskity.

O zmierzchu zaczęły przybywać królewskie damy odziane według najnowszej mody. Niektóre wygoliły nawet głowy i zastąpiły naturalne włosy wykwintnymi perukami ułożonymi z włosów, do sprzedaży których zmuszone były żony biedaków pragnące wyżywić swą dzieciarnię. Nie cierpiałem tego zwyczaju i ślubowałem uczynić wszystko, co w mojej mocy, by powstrzymać mą panią przed popadnięciem w to szaleństwo. Jej połyskliwe loki dostarczały mi niebywałej radości, lecz gdy w grę wchodzi moda, nie można ufać nawet najrozsądniejszej kobiecie.

Pod wpływem nalegań ze strony mej pani usadowiłem się na poduszce u jej boku, a nie na zwykłym miejscu za jej plecami, i dostrzegłem, że wielu naszych gości oburzyło takie nieprzyzwoite zachowanie, bo szeptali między sobą pod osłoną wachlarzy. Byłem równie zakłopotany jak oni, toteż by ukryć zmieszanie, dałem niewolnikom znak, żeby napełnili kubki, muzykom, żeby zaczęli grać, a tancerzom, by poczęli tańczyć.

Wino było mocne, muzyka podniecająca, a wszyscy tancerze płci męskiej. Dostarczyli wielu dowodów swej męskości, jako że poleciłem im wystąpić tak, jak ich

bogowie stworzyli. Ich sztuka pochłonęła panie w takim stopniu, że wkrótce zapomniały o urażonym poczuciu przyzwoitości, nie gardząc przy tym winem. Nie miałem nawet cienia wątpliwości, iż wielu tancerzy nie opuści haremu przed świtem. Niektóre królewskie małżonki odznaczały się nienasyconym apetytem, a większości z nich król nie odwiedzał od lat.

Gdy biesiadny nastrój sięgnął szczytu, moja pani wstała, prosząc gości o uwagę. Następnie zaczęła wychwalać mnie przed nimi w sposób tak przesadny, że się zarumieniłem. Opowiadała zabawne i wzruszające epizody z naszego spędzonego wspólnie życia. Wino widocznie złagodziło nastawienie kobiet wobec mnie, bo słuchaczki śmiały się i nagradzały słowa owacją. Kilka nawet popłakiwało odrobinę pod wpływem wina i wzruszenia.

W końcu moja pani poleciła mi ukłęknać przed nią, a gdy to zrobiłem, w ogrodzie rozległ się szmer komentarzy. Zdecydowałem się włożyć prostą spódniczkę z najdelikatniejszego płótna, a niewolnice ułożyły me włosy w sposób najbardziej mi odpowiadający. Nie miałem na sobie żadnej ozdoby oprócz Złota Chwały. W otoczeniu ostentacyjnego przepychu mój skromny strój wywoływał uderzające wrażenie. Przez regularne ćwiczenia i pływanie zachowałem atletyczne ciało, które niegdyś przyciągnęło do mnie księcia Intefa. W owym czasie byłem w kwiecie urody.

Usłyszałem, jak jedna ze starszych żon królewskich szepcze do sąsiadki:

- Jaka szkoda, że stracił swe klejnoty. Byłaby z niego zajmująca zabawka.

Tego wieczoru mogłem sobie pozwolić na zlekceważenie słów, jakie w innych okolicznościach sprawiłyby mi przenikliwy ból.

Moja pani wyglądała na niezwykle zadowoloną z siebie. Udało się jej utrzymać mnie w niewiedzy na temat natury swego daru. Zazwyczaj nie bywała dość zręczna, by mnie przechytrzyć. Spojrzała na mą schyloną głowę i przemówiła wolno i wyraźnie, czerpiąc z tej chwili największą przyjemność.

- Taito, niewolniku. Przez wszystkie lata mego życia byłeś mi tarczą. Byłeś moim opiekunem i nauczycielem. Nauczyłeś mnie czytać i pisać. Wyjawiłeś mi tajemnice gwiazd i sztuk tajemnych. Nauczyłeś mnie śpiewać i tańczyć. Pokazałeś mi, jak znajdować radość i zadowolenie w wielu rzeczach. Jestem ci za to wdzięczna.

Królewskie panie ponownie stały się niespokojne. Nigdy dotąd nie słyszały, by niewolnika chwalono równie wylewnie.

- W dniu *khamsinu* wyświadczyłeś mi przysługę, którą muszę wynagrodzić. Faraon wynagrodził cię Złotem Chwały. Ja mam dla ciebie mój własny dar.

Spod szaty wyciągnęła zwój papirusu związany kolorową nicią.

- Klęknałeś przede mną jako niewolnik. Powstań teraz jako wolny człowiek. - Uniosła rękę z papirusem. - Oto twój

akt wyzwolenia sporządzony przez nadwornych skrybów. Od tego dnia stajesz się wolnym człowiekiem.

Dopiero wtedy podniosłem głowę i spojrzałem na nią z niedowierzaniem. Lostris wcisnęła zwój papirusu w me zeszywniałe palce i uśmiechnęła się czule.

- Tego nie oczekiwałeś, prawda? Jesteś tak zaskoczony, że brakuje ci słów. Powiedz coś, Taito. Powiedz, jak bardzo jesteś mi wdzięczny za ten dar.

Każde wypowiedane przez nią słowo raniło mnie jak zatruty dzirynt. Gdy wyobraziłem sobie życie bez niej, język zamienił mi się w głąz. Jako wolny człowiek na zawsze wykluczony zostanę z jej otoczenia. Już nigdy nie przygotuję jej jedzenia, nie będę towarzyszyć w kąpieli. Nie będę rozścielać nad nią pościeli, gdy kłaść się będzie do snu, i nie będę budzić jej o świcie, by czuwać u boku, gdy otworzy swe urocze ciemnozielone oczy na powitanie kolejnego nowego dnia. Już nigdy nie będę z nią śpiewać, podawać pucharu, pomagać się odziać, odebrana mi zostanie rozkosz spoglądania na piękno jej ciała.

Byłem jak porażony, wpatrywałem się w nią z rozpaczą jak ktoś, czyje życie właśnie dobiegło końca.

- Bądź szczęśliwy, Taito - rozkazała mi. - Ciesz się z wolności, jaką ci daję.

- Już nigdy nie będę szczęśliwy - wyrzuciłem z siebie. - Odtrąciłaś mnie. Jak mogę być kiedykolwiek szczęśliwy?

Jej uśmiech zgasł, spojrzała na mnie zmieszana.

- Ofiaruję ci najcenniejszy dar, jaki mogę ci wręczyć. Ofiaruję ci wolność.

- Skazujesz mnie na najśroźsząkarę - pokręciłem głową. - Przeganasz mnie od siebie. Nigdy nie zaznam już szczęścia.

- To nie jest kara, Taito. To było pomyślane jako nagroda. Proszę cię, zrozum!

- Jedyłą nagrodą, jakiej požądam, jest możność pozostania u twego boku po kres mego życia. - Poczułem, jak w głębi mego jestestwa wzbierają łzy, i spróbowałem je powstrzymać. - Proszę cię, pani, błagam cię, nie odrzucaj mnie. Jeżeli żywisz wobec mnie jakiegokolwiek uczucia, pozwól mi pozostać z tobą.

- Nie płacz - rozkazała. - Bo jeżeli zaczniesz płakać, ja zapłacę wraz z tobą przed wszystkimi moimi gośćmi.

Szczerze wierzę, że do tego momentu nie zdawała sobie sprawy z konsekwencji tego niefortunnego dowodu hojności, jaki sobie wymarzyła. Łzy trysnęły spod moich powiek i popłynęły strumieniem po policzkach.

- Przestań! Nie tego chciałam. - Jej łzy dotrzymywały moim towarzystwa. - Pragnęłam jedynie uhonorować twoje zasługi, jak to uczynił król.

- Proszę, pozwól mi podrzeć ten owoc szaleństwa na strzępy - podniosłem zwój papirusu. - Przyjmij mnie z powrotem na służbę. Pozwól mi stanąć za tobą, tam gdzie moje miejsce.

- Taito, przestań! Łamiesz mi serce! - Głośno przełknęła łzy, lecz ja byłem nieubłagany.

- Jedyńy dar, jakiego od ciebie pragnę, to prawo służenia ci przez wszystkie dni mego życia. Proszę cię, pani moja,

unieważnij ten akt. Daj mi przyzwolenie, by go podrzeć.

Lostris kiwnęła energicznie głową, becząc tak, jak zwykła to czynić, gdy jako mała dziewczynka przewróciła się i otarła kolana. Przedarłem arkusz papirusu raz, potem drugi. Wciąż niesyty z tego zniszczenia, przytknąłem fragmenty do płomienia lampy i spaliłem je na kruche, czarne zwitki.

- Obiecuj mi, że już nigdy nie spróbujesz się mnie pozbyć. Przyrzeknij, że już nigdy nie spróbujesz wmusić we mnie wolności.

Kiwnęła głową przez łyzy, lecz to mi nie wystarczało.

- Powiedz to - nalegałem. - Powiedz to na głos, tak by wszyscy słyszeli.

- Przyrzekam zatrzymać cię jako mego niewolnika, nigdy cię nie sprzedawać ani nie uwalniać - wyszeptała ochryple przez łyzy, a potem figlarny promyk zaśnił w tych tragicznych, ciemnozielonych oczach. - Oczywiście o ile nie wezwę prawników. - Wyciągnęła rękę, by postawić mnie na nogi. - Powstań, głupi człowieku, i zabieraj się do swych obowiązków. Klnę się, że mój puchar jest pusty.

Powróciłem na mą właściwą pozycję za jej plecami i napełniłem jej puchar. Podchmielone towarzystwo wzięło całą tę scenę za zabawę przygotowaną przez nas dla rozrywki i okazało nam swoje uznanie, gwizdząc, klaszcząc i obsypując nas płatkami kwiatów. Dostrzegłem, że większość gości z ulgą skonstatowała, że nie pogwałciliśmy

jednak dobrych obyczajów i że niewolnik pozostał niewolnikiem.

Moja pani uniosła puchar wina do ust, lecz zanim się napiła, posłała mi uśmiech z nad jego brzegu. Choć jej oczy nadal były wilgotne od łez, ten uśmiech poprawił mi nastrój i na nowo napełnił mnie radością. Czułem się tak jej bliski jak nigdy dotąd przez wszystkie te lata.

Gdy się zbudziłem rankiem dnia następnego po uczcie i mej godzinie wolności, stwierdziliśmy, że przez noc Nil wezbrał wysoką wodą rozpoczynającego się corocznego wylewu. Stało się to nagle, zerwały nas dopiero radosne okrzyki portowych wartowników. Wciąż ociążały od wina, wygrzebałem się z łóżka i pobiegłem nad rzekę. Oba brzegi zatłoczone już były mieszkańcami miasta, witającymi wodę modlitwami, pieśniami i wymachiwaniem palmowymi liśćmi.

Niska woda miała jasnozieloną barwę śniedzi zakwitającej na miedzianych sztabkach. Powodziowa fala przegnała ją i teraz rzeka nabrzmiała złowieszczą szarością. Przez noc podkradła się do połowy wysokości nabrzeży portu, a wkrótce naprzec miała na nabrzeżne nasypy. Potem wdrze się przez ujścia kanałów irygacyjnych, wyschniętych i popękanych od tak wielu miesięcy. Stamtąd rozleje się, przykryje pola, zaleje wieśniacze chaty i zmyje graniczne znaki między polami.

Kontrola i wyznaczanie granic po każdym wylewie były obowiązkiem strażnika wód. Książę Intef pomnożył swoją fortunę faworyzowaniem roszczeń bogatych i hojnych, gdy

każdego roku przychodził czas ponownego ustawiania kamiennych znaków.

Ze strony górnego biegu rzeki dobiegał odległy huk. Wzbierająca powódź przerwała naturalne granitowe zapory umieszczone na jej drodze i gdy woda przelewała się z rykiem przez ich gardziele, w rozpalone, błękitne niebo wzbijała się mgła, srebrzysta kolumna widoczna ze wszystkich części nomu Asuanu. Delikatna mgiełka dryfowała przez wyspę, osiadała chłodna i orzeźwiająca na naszych zadartych ku niebu twarzach. Rozkoszowaliśmy się tym błogosławieństwem, jako że był to jedyny deszcz, jaki znaliśmy w naszej dolinie.

Na oczach zgromadzonych plaże naokoło wyspy pochłonięte zostały przez powódź. Wkrótce i nabrzeże znajdzie się pod wodą, a rzeka chlupać będzie o bramy naszego ogrodu. Odpowiedź na pytanie, gdzie się zatrzyma, udzielona być mogła jedynie na podstawie badań poziomów nilometru. Od jego wskazań zależała pomyślność albo głód dla całego kraju i wszystkich jego mieszkańców.

Pospieszyłem, by odszukać moją panią i by przygotować się do ceremonii wód, w której odegrać miałem znaczącą rolę. Ubraliśmy się w to, co mieliśmy najlepszego, a ja włożyłem na szyję mój nowy złoty łańcuch. Potem wraz z resztą domowników i pań z haremu dołączyliśmy do spontanicznej procesji zmierzającej w stronę świątyni Hapi.

Wiedli nas faraon i wszyscy wielcy panowie Egiptu. Kapłani, pulchni od życia w przepychu, oczekiwali nas na stopniach świątyni. Ich głowy były wygolone, łysiny lśniły

od oleju, a oczy płonęły chciwością, gdyż król miał dziś składać hojne ofiary.

Posąg bóstwa wyniesiony został przed króla z sanktuarium i przybrany kwiatami i delikatnym purpurowym płótnem. Następnie skąpany został w olejkach i perfumach, podczas gdy my intonowaliśmy pochwalne i dziękczynne hymny na cześć bóstwa, które zesłało nam wylew.

Na dalekim południu, w kraju, którego nigdy nie odwiedził cywilizowany człowiek, Hapi ze szczytu swej góry wylewa do Nilu święte wody z dwóch bezdennych dzbanów. Woda z każdego dzbana ma odmienny kolor i smak; jedna jest jasnozielona i słodka, druga szara i ciężka od mułu, jakim zalewa co roku nasze pola, napełniając je nowym życiem i płodnością.

Podczas gdy śpiewaliśmy, król złożył ofiarę z ziarna, mięsa, wina, srebra i złota. Potem wezwał mędrców, inżynierów i matematyków i polecił im wejść do nilometru i rozpocząć obserwacje i obliczenia.

Kiedy należałem jeszcze do księcia Intefa, mianowany zostałem jednym ze strażników wód. Byłem jedynym niewolnikiem w tym prześwietnym towarzystwie, lecz pocieszałem się myślą, że tylko niewielu strażników nosiło Złoto Chwały i że traktowali mnie z szacunkiem. Pracowali już ze mną uprzednio i znali mą wartość. Pomagałem przy projektowaniu nilometrów, odmierzających przepływ rzeki, i nadzorowałem ich budowę. To ja opracowałem złożoną

formułę, według której na podstawie obserwacji określano przypuszczalną wysokość i rozmiary każdego wylewu.

Przy świetle tańczących pochodni z zanurzonego w smole sitowia podążyłem za arcykapłanem w otchłań nilometru, mroczny otwór w tylnej ścianie sanktuarium. Zeszliśmy pochyłym szybem, schodami śliskimi od szlamu i rzecznoego śluzu. Spod naszych stóp wyslizgnęła się zabójcza czarna wodna kobra, by z wściekłym sykiem zanurkować w mroczną wodę, która już podeszła do połowy wysokości szybu.

Zebraliśmy się na ostatnim odkrytym stopniu i w świetle pochodni przestudiowaliśmy znaki, jakie moi kamieniarze wyłobili na ścianach. Każdy z tych symboli miał przydzielone odpowiednie znaczenie, tak magiczne jak i praktyczne.

Ze szczególną starannością wykonaliśmy wspólnymi siłami pierwsze i najważniejsze pomiary. Przez następne pięć dni na zmianę przyglądać się będziemy wznoszącej się wodzie, dokonując dalszych badań i synchronizując je według wskazań wodnego zegara. Z próbek wody ocenimy ilość niesionego przez nią mułu, a wszystkie te czynniki wpłyną na nasze ostateczne wnioski.

Gdy minęło pięć dni przeznaczonych na obserwację, trzy kolejne poświęciliśmy na obliczenia. Pokryliśmy nimi wiele zwojów papirusu. W końcu gotowi byliśmy, by przedstawić wyniki królowi. Tego dnia faraon z majestatycznym przepychem powrócił do świątyni w towarzystwie

wielmożów oraz połowy populacji Elefantyny, by wysłuchać naszych szacunków.

W miarę odczytywania przez arcykapłana rezultatów na wargi faraona wyływał coraz szerszy uśmiech. Prognozowaliśmy wylew prawie doskonałych rozmiarów. Poziom wód nie będzie tak niski, by zostawić pola odsłonięte i smażące się w słońcu, pozbawiając je obfitej czarnej warstwy mułu, tak ważnej dla ich żyzności. Nie będzie też aż tak wysoki, by zmyć kanały i groble, zatopić nadbrzeżne wioski i miasta. Ten wylew przynieść miał obfite plony i tłuste stada.

Uśmiech faraona nie był wywołany zapowiadaną pomyślnością jego poddanych, lecz perspektywą danin, jakie zebrać mieli jego poborcy podatkowi. Coroczne podatki obliczane były na podstawie rozmiarów powodzi, a tego roku magazyny świątyni grobowej napełnią się bogactwem nowych skarbów. Zamykając ceremonię błogosławieństwa wód w świątyni Hapi, faraon obwieścił datę pielgrzymki odbywanej co dwa lata do Teb w celu wzięcia udziału w święcie Ozyrysa. Trudno uwierzyć, że od czasu, gdy moja pani odgrywała rolę bogini w poprzednim przedstawieniu ku czci Ozyrysa, minęły dwa lata.

Tej nocy zaznałem równie niewiele snu jak podczas czuwania w szybie nilometru, gdyż moja pani była zanadto podekscytowana, by udać się na spoczynek. Zmusiła mnie więc, bym siedział z nią do świtu, śpiewając, śmiejąc się i powtarzając opowieści o Tanusie, których słuchaniem nigdy się nie męczyła.

Za osiem dni królewska flotylla, niesiona wezbranymi powodzią wodami Nilu, wypłynie na północ. Gdy przybędziemy na miejsce, Tanus, książę Harrab, czekać będzie na nas w Tebach. Moja pani nie posiadała się z radości.

Flotylla, jaka zebrała się na redzie portu w Elefantynie, była tak liczna, że pokrywała wodę od jednego brzegu do drugiego. Moja pani zauważyła żartobliwie, że można by teraz przejść przez Nil po pokładach statków bez zamoczenia stóp. Okryta powiewającymi ze szczytów masztów proporcami i chorągwiami flota stanowiła wspaniały widok.

Podobnie jak reszta dworzan załadowaliśmy się na wyznaczony nam statek i z jego pokładu hałaśliwie powitaliśmy króla, schodzącego marmurowymi schodami i wkraczającego na pokład wielkiej paradnej barki. Skoro tylko dotarł tam bez kłopotów, setka rogów zagrała sygnał do postawienia żagli. Statki ustawiły żagle prostopadle do kierunku żeglugi i skierowały dzioby na północ. Gnani pędem rzeki i pociągnięciami rzędów wiosł odbiliśmy od brzegu.

Od kiedy Akh-Horus zniszczył Dzierzbów, w kraju zapanował odmienny nastrój. Mieszkańcy każdej mijanej przez nas wioski wylegali na brzeg, by pozdrowić swego króla. Faraon siedział na wysokim pokładzie rufowym, dźwigając masywną podwójną koronę, tak by wszyscy mogli go bez trudu ujrzeć. Ludzie wymachiwali palmowymi liśćmi i krzyczeli: „Oby wszyscy bogowie uśmiechali się do

faraona!”. Rzeka niosła ku nim nie tylko władcę, lecz i obietnicę swej własnej łaskawości, byli więc szczęśliwi.

W ciągu kolejnych dni faraon i jego świta dwukrotnie schodzili na brzeg, by obejrzyć pomniki, jakie wznosił na skrzyżowaniu traktów kupieckich Akh-Horus dla upamiętnienia swego przemarszu. Miejscowi wieśniacy zachowali owe posępne stosy czaszek jako święte relikwie nowego boga. Wypolerowali wszystkie czaszki tak, że lśniły jak kość słoniowa, i połączyli piramidy gliną, by przetrwały wiele lat. Potem wzniesli nad nimi kaplice i wyznaczyli kapłanów, którzy służyć mieli w tych świętych przybytkach.

W obu kaplicach moja pani zostawiła po złotym pierścieniu w ofierze radośnie przyjętej przez samozwańczych strażników. Na próżno protestowałem przeciw takiej rozrzutności. Meja pani nierzadko brakowało właściwego szacunku dla majątku, który z takim trudem gromadziłem w jej imieniu. Bez mej hamującej dłoni zapewne z uśmiechem na ustach rozdałaby cały zachłannemu kapłaństwu i nienasyconej biedocie.

Dziesiątej nocy po opuszczeniu Elefantyny królewska świta obozowała na ładnie położonym przylądku ponad zakrętem rzeki. Tego wieczoru rozrywki dostarczyć nam mieli między innymi naj słynniejsi krajowi gawędziarze, a moja pani zwykle przedkładała dobrą opowieść nad większość innych przyjemności. Niecierpliwie wyczekiwaliśmy tego wydarzenia i dyskutowaliśmy o nim zawzięcie od chwili opuszczenia pałacu. Było więc to dla mnie zaskoczeniem i gorzkim rozczarowaniem, gdy pani

Lostris oznajmiła, że jest zbyt znużona i niedysponowana, by udać się na spotkanie z bazarzem. Choć nalegała, żebym poszedł i zabrał ze sobą resztę domowników, nie mogłem zostawić jej samej, skoro źle się czuła. Przygotowałem gorący napój i położyłem się spać na podłodze przy jej pościeli, by być w pobliżu, gdyby potrzebowała mnie w nocy.

Kiedy budziłem ją rankiem, poważnie się zaniepokoiłem. Zwykle wyskakiwała z łóżka z niecierpliwym uśmiechem, gotowa pochwycić nowy dzień i zanurzyć się w niego, gnana nienasyconą radością życia. Tego ranka wszakże naciągnęła pościel z powrotem na głowę i wymruczała:

- Daj mi jeszcze trochę pospać. Jestem ciężka i otępiała jak stara baba.

- Król zarządził wczesną pobudkę. Musimy znaleźć się na pokładzie przed wschodem słońca. Przyniosę ci gorący napar, który powinien cię rozruszać.

Zalałem wrzącą wodą misę z ziołami, które zebrałem własnoręcznie podczas najkorzystniejszej fazy ostatniego księżyca.

- Och, przestań zrędzić - burknęła na mnie, lecz nie pozwoliłem jej zasnąć. Rozbudziłem ją szturchnięciem i zmusiłem do wypicia wywaru. Lostris wykrzywiła się. - Przysięgnę, że próbujesz mnie otruć - westchnęła, a potem, bez ostrzeżenia i zanim mogłem temu zapobiec, zwymiotowała obficie.

Po fakcie była równie zaskoczona jak ja. Oboje wpatrywaliśmy się skonsternowani w parującą kałużę przy

łóżku.

- Co się ze mną dzieje, Taito? - wyszeptała. - Nic podobnego nigdy mi się nie przytrafiło.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę ze znaczenia tego wszystkiego.

- *Khamsin!* - zakrzyknąłem. - Cmentarzysko Tras! Tanus!

Przez moment spoglądała na mnie tępo, a potem jej uśmiech rozjaśnił mroki namiotu jak lampa.

- Poczęłam dziecko! - zawołała.

- Nie tak głośno, pani - poprosiłem błagalnym tonem.

- Dziecko Tanusa! Noszę syna Tanusa.

Nie mógł to być potomek króla, gdyż z powodzeniem trzymałem go z daleka od jej łoża od czasu choroby głodowej i poronienia.

- Och, Taito - wymruczała, unosząc nocną koszulę i przyglądając się z podziwem swemu płaskiemu, jędrnemu brzuchowi. - Tylko pomyśl! Mały łobuz zupełnie taki jak Tanus rosnący wewnątrz mnie. - Pomacała się pogodnie. - Wiedziałam, że takie rozkosze, jakie odkryłam w grobowcu w Tras, nie mogły pozostać niezauważone przez bogów. Obdarzyli mnie pamiątką, która pozostanie ze mną na całe życie.

- Rozumujesz zbyt pochopnie - ostrzegłem ją. - To może być jedynie kolka. Muszę to sprawdzić, zanim będziemy mogli powiedzieć coś pewnego.

- Nie potrzebuję żadnych badań. Czuję to w sercu i w tajemnych głębiach mego ciała.

- A jednak przeprowadzimy te badania - oznajmiłem kwaśnym tonem i poszedłem po garnek.

Przykucnęła nad nim, by dostarczyć mi świeżej, pierwszej tego dnia uryny, a ja rozdzieliłem ją na dwie równe części. Jedną wymieszałem z równą ilością wody z Nilu. Następnie napełniłem dwa słoje czarną ziemią i w obu posadziłem po pięć ziaren sorgo. Jeden słoje podlałem czystą rzeczną wodą, drugi zaś miksturą przygotowaną przy udziale mojej pani. Na tym polegała pierwsza próba.

Potem wybrałem się na łowy w sitowie zatoki niedaleko od obozu i złapałem dziesięć żab. Nie tych jaskrawozielonych i żółtych o skocznych tylnych nogach, lecz tych czarnych, oślizgłych. Ich głowy osadzone są bezpośrednio na powolnym, ociążałym cielsku, a oczy umieszczone na szczycie płaskiej czaszki, więc dzieci nazywają je wytrzeszczami.

Umieściłem po pięć wytrzeszczy w dwóch wypełnionych rzeczną wodą słojach. Do jednego dodałem intymnej wydzieliny mojej pani, płyn w drugim zaś pozostawiłem niezmacony. Następnego ranka w zaciszu kabiny mej pani na pokładzie łodzi zdjęliśmy przykrywającą słoje tkaninę i zbadaliśmy ich zawartość.

Ziarno podlane przez panią Lostris wypuściło delikatne, zielone pędy, podczas gdy inne nasiona pozostały w uśpieniu. Pięć wytrzeszczy pozbawionych błogosławieństwa mojej pani nadal było jałowe, lecz szczęśliwsza piątka złożyła długie, srebrzyste struny usiane czarnymi plamkami jaj.

- Mówiłam ci! - zaszczębiotała moja pani zadowolona z siebie, zanim zdążyłem postawić oficjalną diagnozę. - Och, dzięki niech będą wszystkim bogom! Nic wspanialszego nie przydarzyło mi się w całym życiu.

- Natychmiast porozmawiam z Atonem. Jeszcze tej nocy dzielić będziesz łóżce z królem - oznajmiłem jej ponuro, a ona spojrzała na mnie oszołomiona. - Nawet faraon, który ufa temu, co mu mówię, nie uwierzy, że zostałam zapłodniona przez nasienie niesione *khamsinem*. Musimy znaleźć ojczyzna dla naszego małego bękarta.

Już w tym momencie uważałem dziecko za nasze, a nie tylko jej. Choć starałem się zamaskować to brakiem powagi, byłem równie zachwycony jej stanem jak ona sama.

- Nie nazywaj go nigdy bękartem - wybuchnęła. - On zostanie księciem.

- Zostanie księciem tylko wtedy, gdy zdołasz znaleźć dla niego królewskiego rodzica. Przygotuj się. Zamierzam porozmawiać z faraonem.

Ostatniej nocy miałem sen, Wielki Egipcie - powiedziałem faraonowi. - Był tak zdumiewający, że by się upewnić, uciekłem się do pomocy Labiryntów Amona-Re.

Faraon pochylił się z ożywieniem, jako że uwierzył w moje sny i moc Labiryntów tak mocno jak wszyscy moi pacjenci.

- Tym razem nie ma wątpliwości, Wasza Wysokość. W mym śnie ukazała mi się bogini Izyda i obiecała zrównoważyć złowieszczy wpływ swego brata Setha, który w tak okrutny sposób pozbawił cię pierwszego syna, poraziwszy panią Lostris wyniszczającą ciało chorobą. Weź

moją panią do łoża pierwszego dnia święta Ozyrysa, a bogowie pobłogosławią cię kolejnym synem. Oto obietnica bogini.

- Dziś jest wigilia święta. - Król był zachwycony. - Po prawdzie, Taito, gotów byłem do wypełnienia tego przyjemnego obowiązku przez wszystkie te minione miesiące, gdybyś tylko był mi pozwolił. Lecz nie wyjawiałeś mi jeszcze, co ujrzałeś w Labiryntach Amona-Re - ponownie wychylił się w oczekiwaniu, lecz ja byłem na to przygotowany.

- Była to ta sama wizja co uprzednio, tyle że tym razem silniejsza i wyraźniejsza. Ten sam bezkresny las, drzewa na brzegach rzeki, a każde majestatyczne i zwieńczone koroną. Twoja dynastia sięgająca przez stulecia, silna i nieprzerwana.

Faraon westchnął z zadowoleniem.

- Przyślij do mnie to dziecko.

Gdy powróciłem do namiotu, moja pani czekała na mnie. Była już przygotowana, tryskała wdziękiem i dobrym humorem.

- Zamknę oczy i wyobrażę sobie, że znowu jestem z Tanusem w grobowcu w Tras - zwierzyła mi się, a potem zachichotała szelmowsko. - Tyle tylko, że wyobrazić sobie króla jako Tanusa jest równie trudno, jak wyobrazić sobie mysi ogonek przeistoczony w trąbę słońca.

Aton przybył, by zabrać ją do królewskiego namiotu, gdy tylko król spożył kolację. Pewnym krokiem poszła za nim ze spokojem na twarzy, być może marząc o swym małym

księciu i o jego prawdziwym ojcu, który czekał na nas w Tebach.

Umiłowane Teby, piękne Teby o stu bramach! Jakże radowaliśmy się, gdy wyłoniły się przed nami, ozdabiając łagodny łuk brzegu rzeki swymi świątyniami i lśniącymi murami.

Moja pani podśpiewywała głośno z zapałem za każdym razem, gdy odśłaniał się przed nami kolejny znajomy, charakterystyczny budynek. Potem, gdy królewska barka przybiła do nabrzeża poniżej pałacu wielkiego wezyra, odbiegła nas radość z powrotu do domu i oboje zamilkliśmy. Pani Lostris po omacku chwyciła moją dłoń, niczym mała dziewczynka wystraszona opowieściami o demonach, gdyż ujrzeliśmy jej ojca.

Książę Intef wraz z synami, Mensetem i Sobekiem, tymi dwoma bezpalcymi bohaterami, stał na czele wielkiego zgromadzenia tebańskich możnowładców i ojców miasta, oczekującego na molo, by powitać króla. Książę Intef był równie przystojny i łagodny jak jego podobizny, nawiedzające mnie w koszmarach, toteż poczułem, że upadam na duchu.

- Teraz musisz być czujny - szepnęła do mnie pani Lostris.

- Będą starali się usunąć cię z drogi. Pamiętaj o kobrze.

Niedaleko za wielkim wezyrem stał Rasfer. Podczas naszej nieobecności najwyraźniej otrzymał zaszczytny awans. Nosił teraz nakrycie głowy dowódcy dziesięciu tysięcy, dzierżył też znamionujący jego rangę pozłacany

bicz. Jeżeli chodzi o mięśnie jego twarzy, nie zaszła tu żadna poprawa. Jedna strona tego paskudnego oblicza nadal zwisała odpychająco, a ślina sączyła się z kącika ust. Dostrzegł mnie i ponad wąskim pasem wody połową twarzy przesłał mi uśmiech, unosząc złocisty bicz w ironicznym pozdrowieniu.

- Przyrzekam ci, pani, że tak długo, jak Rasfer i ja przebywać będziemy jednocześnie w Tebach, nie oderwę ręki od sztyletu i że jeść będę jedynie własnoręcznie obrane owoce - wymruczałem, po czym uśmiechnąłem się do niego i odwzajemniłem salut radosnym machnięciem ręki.

- Masz nie przyjmować niepewnych podarunków - nalegała Lostris - a spać będziesz przy moim łóżku, tak bym mogła ochraniać cię w nocy. Za dnia pozostaniesz u mego boku i nie będziesz włóczyć się samotnie.

- Nie sprawi mi to przykrości - zapewniłem ją i przez następnych kilka dni dotrzymywałem tej obietnicy, pozostając pod jej bezpośrednią opieką, gdyż pewien byłem, że książę Intef nie zaryzykuje zerwania swego związku z tronem przez narażanie swej córki na niebezpieczeństwo.

Oczywiście często przebywaliśmy w towarzystwie wielkiego wezyra, gdyż jego obowiązkiem było eskortowanie króla podczas wszystkich uroczystości święta. W tym czasie książę Intef odgrywał wobec pani Lostris rolę kochającego i czulego ojca, traktując ją z szacunkiem i atencją należną królewskiej małżonce. Każdego ranka przysyłał jej podarki, złoto i klejnoty, wyśmienitej roboty maleńkie figurki skarabeuszy i bogów wyrzeźbione w kości

słoniowej i szlachetnym drewnie. Mimo rozkazów mojej pani nie zwracałem ich. Nie chciałem ostrzegać przeciwnika, a poza tym podarunki były bardzo cenne. Sprzedawałem je ukradkiem, a zyski inwestowałem w zapasy zboża przechowywane dla nas w spichlerzach godnych zaufania miejskich kupców, ludzi będących moimi przyjaciółmi.

Ponieważ wszyscy oczekiwali na obfite plony, cena zboża spadła do poziomu najniższego od dziesięciu lat. Zmienić się mogła tylko w jednym kierunku, choć być może zysk będziemy mieli dopiero za jakiś czas. Kupcy wręczali mi kwity wystawione na moją panią a ja składałem je w archiwach sądowych. Dla siebie zatrzymywałem jedynie piątą część, co uważałem za bardzo skromną prowizję.

Za każdym razem, gdy przechwytywałem skierowany w moją stronę wzrok żółtych, lamparcich oczu księcia Intefa, sprawiało mi to wątpliwą przyjemność. To spojrzenie nie pozostawiało mi żadnych wątpliwości co do tego, że jego uczucia wobec mnie nie złagodniały ani na jotę. Nie zapominałem o właściwej mu cierpliwości i uporze w obchodzeniu się z wrogiem. Czyhał w środku swej sieci niczym przepiękny pająk, wpatrując się we mnie błyszczącymi oczyma. Pamiętałem o dzbanie z zatrutym mlekiem i o kobrze, lecz mimo wszystkich podjętych środków ostrożności czułem się niepewnie.

Tymczasem święto toczyło się zgodnie z ceremoniałem i tradycją, które nie zmieniły się od stuleci. Tego roku wszakże to nie Błękitni Tanusa, lecz inna flotylla polowała

na hipopotamy w zatoce Hapi i inna trupa aktorska odegrała pasję w świątyni Ozyrysa. Ponieważ zarządzenie faraona było przestrzegane i skorzystano z mojej wersji sztuki, słowa były równie potężne i poruszające. Nowa Izyda wszakże urodą nie dorównywała tej przedstawionej przez moją panią, a i Horus nie odznaczał się szlachetnością ani mocą księcia Tanusa. Seth był zaś wręcz pociągający i uroczy w porównaniu z tym odegranym przez Rasfera.

Dzień po przedstawieniu faraon przeprowadził się przez rzekę, by dokonać inspekcji swej świątyni, i z tego powodu przez cały dzień trzymał mnie blisko siebie. Wielokrotnie otwarcie omawiał ze mną najrozmaitsze zagadnienia związane z postępowaniem prac. Oczywiście kiedy tylko było to właściwe, nosiłem swój złoty łańcuch. Nic z tego nie uszło uwagi księcia Intefa i widziałem, że rozmyśla nad przychylnością, jaką okazywał mi monarcha. Miałem nadzieję, że przyda mi się to jako jeszcze jedna osłona przed zemstą wielkiego wezyra.

Odkąd opuściłem Teby, nadzór nad wznoszeniem świątyni powierzono innemu architektowi. Być może niesprawiedliwością ze strony faraona było oczekiwanie, że ów nieszczęśnik zdoła utrzymać osiągnięty przeze mnie wysoki poziom robót lub też że potrafi prowadzić prace w podobnym tempie.

- Na błogosławioną matkę Horusa, żałuję, że już tu nie rządzisz, Taito - mruknął faraon. - Gdyby tylko twoja pani zechciała się z tobą rozstać, odkupiłbym cię od niej i na

stałe umieścić w Mieście Umarłych, byś nadzorował prace. Od kiedy ten głupiec przejął kierownictwo, koszty robót się podwoiły.

- To naiwny młodzieniec - przyznałem. - Kamieniarze i podwykonawcy ukradną mu jądra, a on nie zauważy ich braku.

- Oni kradną moje jaja - król spojrzał ponuro. - Chcę, byś przejrzał spis wydatków i pokazał mu, gdzie jesteśmy oszukiwani.

Oczywiście pochlebiało mi jego wysokie mniemanie o moich talentach i nie było ani cienia złośliwości w tym, że ukazałem faraonowi brak dobrego smaku wykazany przez nowego architekta przy przebudowie frontonu fasady mojej świątyni oraz niedbałe wykończenie, jakie łotry z cechu kamieniarskiego zdołały wykonać mimo jego kontroli. Fronton roił się od elementów schyłkowego syryjskiego stylu, najnowszej mody rodem z Dolnego Królestwa, gdzie prostacki smak nisko urodzonego czerwonego uzurpatora jak trąd niszczył klasyczne tradycje egipskiej sztuki.

Co się tyczy samego wykonawstwa, zademonstrowałem królowi, że między kamienne bloki tworzące boczną ścianę świątyni grobowej można było wsunąć kawałek papirusu. Faraon nakazał wyburzenie frontonu i świątynnej ściany, ukarał też cech kamieniarzy grzywną pięciuset debenów złota, którą wpłacić mieli do królewskiego skarbcza.

Resztę dnia i cały dzień następny faraon spędził na przeglądzie skarbów znajdujących się w salach świątyni grobowej. Tu przynajmniej nie mógł się na nic skarżyć.

W całej historii świata nie zgromadzono w jednym miejscu podobnego bogactwa. Nawet ja, miłośnik pięknych przedmiotów, wkrótce zacząłem doznawać uczucia przesyty z powodu ich obfitości, a blask złota boleśnie raził me oczy.

Król nalegał, by pani Lostris przez cały czas przebywała u jego boku. Sądzę, że jego zauroczenie z wolna przekształcało się w prawdziwą miłość lub w uczucie tak do niej zbliżone, jak tylko było możliwe w jego przypadku. W rezultacie tego przywiązania, gdy powróciliśmy za rzekę do Teb, moja pani była wyczerpana tak, że obawiałem się o noszone przez nią dziecko. Było za wcześnie, by powiedzieć królowi o odmiennym stanie Lostris i zasugerować okazywanie większej wyrozumiałości. Nie minął jeszcze tydzień, jak powróciła do jego łóżka, i tak wczesna diagnoza ciąży, nawet w moim wykonaniu, musiałaby wzbudzić podejrzenia. W jego oczach wciąż jeszcze była zdrową młodą kobietą i tak też ją traktowałem.

Jak przed stuleciami święto kończyło się zgromadzeniem w świątyni Ozyrysa, gdzie lud miał wysłuchać mowy tronowej.

Na kamiennym podwyższeniu przed sanktuarium Ozyrysa na wyniosłym tronie zasiadał faraon, by wszyscy zebrani bez przeszkód mogli go widzieć. Na głowie miał podwójną koronę, w dłoniach trzymał berło i bicz.

Tym razem w normalnym układzie świątyni zaszła zmiana, ponieważ przedstawiłem królowi pewną sugestię, on zaś był na tyle łaskawy, by ją przyjąć. Pod trzema ścianami wewnętrznej świątyni nakazał skonstruowanie

drewnianego rusztowania, które wznosiło się kilkoma poziomami w górę masywnych kamiennych murów, zapewniając miejsca siedzące tysiącom tebańskich notabli. Z tych uprzywilejowanych pozycji mieli możliwość przyglądania się wszystkiemu, nie przesłaniając sobie wzajemnie widoku. zaproponowałem, aby brzydotę trybun zakryć dekoracją z kolorowych chorągwi i palmowych liści. Po raz pierwszy wtedy wzniesiono w tym kraju tego rodzaju konstrukcję. W późniejszych czasach stały się one rzeczą zwykłą i powszechnie spotykaną, wznoszono je na czas prawie wszystkich uroczystości publicznych, wzdłuż tras królewskich procesji i wokół pól, na których odbywały się zawody sportowe. Aż do dzisiejszego dnia znane są jako trybuny Taity.

Doszło do zacieklej rywalizacji o miejsca na tych trybunach, lecz ja, jako projektant, zdołałem zarezerwować najlepsze dla siebie i dla mojej pani. Znajdowaliśmy się powyżej tronu, nieco ponad głową króla, tak że mieliśmy doskonały widok na cały wewnętrzny dziedziniec. Przygotowałem dla pani Lostris skórzaną poduszkę wypchaną jagnięcą wełną, a także koszyk wypełniony owocami, ciastkami oraz dzbanami szербetu i piwa, by zdołała dotrzeć do końca wlokącej się w nieskończoność ceremonii.

Wokół zgromadzeni byli najszlachetniejsi obywatele naszego kraju, ubrani według najnowszej mody wielcy panowie i ich damy. Generałowie i admirałowie obnosili się z połączanymi biczami, dumnie okazując odznaczenia

i symbole pułków, mistrzowie cechowi i bogaci kupcy, kapłani i ambasadorowie państw podległych imperium – wszyscy zasiedli na trybunach.

Przed królem rozpościerały się dziedzińce świątyni, jeden zachodzący na drugi niczym pudełka z dziecięcej układanki. Usytuowanie masywnych kamiennych ścian rozplanowane zostało w taki sposób, by wszystkie bramy położone były w idealnie prostej linii. Wierni stojący w alei świętych baranów przed pylonami głównego wejścia, spoglądając przez wewnętrzne bramy, mogli bez problemu dojrzeć króla siedzącego na swym wysokim tronie prawie czterysta kroków dalej.

Wszystkie dziedzińce zapchane były tłumem pospólstwa, który wylewał się aż w świętą aleję i ogrody za świątynnymi murami. Choć prawie całe życie spędziłem w Tebach, nigdy nie widziałem podobnego zgromadzenia. Niemożliwością było policzenie wszystkich, lecz szacowałem, że zebrało się owego dnia co najmniej dwieście tysięcy ludzi. Ciżba ta szumiała taką wielością głosów, że czułem się jak pszczoła w wielkim brzęczącym ulu.

Wokół tronu zgromadziła się mała grupka najznacześniejszych dygnitarzy, ich głowy znajdowały się na poziomie stóp faraona. Oczywiście jednym z nich był arcykapłan Ozyrysa. Ostatniego roku stary sługa boży porzucił ten niedoskonały świat i wyruszył w drogę przez zaświaty ku zachodnim równinom wiecznego raju. Nowy był młodszym, prężniejszym mężczyzną. Wiedziałem, że nie da się równie łatwo manipulować księciu Intefowi jak jego poprzednik. Współpracował ze mną w pewnych niezwykłych przygotowaniach do dzisiejszej ceremonii, do których przyłożyłem ręki przy okazji nadzorowania prac przy wznoszeniu trybun Taity.

Najbardziej imponującą postacią w tej grupie, nieomal równą samemu faraonowi, był jednak wielki wezyr. Księżę Intef przyciągał wszystkie spojrzenia. Był wysoki i piękny jak z bajki, a jego postawa emanowała godnością. Z masywnymi łańcuchami Złota Chwały spoczywającymi ciężko na piersi przypominał członka boskiego panteonu. Tuż za nim majaczyła ohydna sylwetka Rasfera.

Książę Intef otworzył uroczystość w uświęcony tradycją sposób, wychodząc na pustą przestrzeń przed tronem i rozpoczynając powitalną orację, kierowaną do króla w imieniu bliźniaczych miast Teb. Gdy mówił, spojrzałem z ukosa na moją panią i chociaż podzielałem jej nienawiść, zaskoczyła mnie nieskrywana złość i wrogość, którymi darzyła swego ojca. Chciałem ją ostrzec, by nie okazywała uczuć tak otwarcie, lecz wiedziałem, że czyniąc to, mógłbym jedynie zwrócić jeszcze większą uwagę na jej palącą niechęć.

Wielki wezyr przemawiał wylewnie, opisując swe osiągnięcia i wierność, z jaką służył faraonowi w ciągu ostatniego roku. Tłum mruczał i szeleścił z nudy i niewygody. Gorąco biło od stłoczonych ciał, a promienie słońca palące wewnętrzne podwórce zatrzymywane były przez świątynne mury. Widziałem, że niejedna kobieta zemdląła w ścisku i osunęła się na ziemię.

Książę Intef skończył wreszcie, a jego miejsce zajął arcykapłan. Podczas gdy słońce nad naszymi głowami mijało zenit, on przedstawiał królowi stan spraw religijnych w Tebach. W czasie trwania jego mowy upał i smród wzmogły się; perfumy i pachnące olejki nie były już w stanie tłumić odoru rozgrzanych, niemytych ciał i płynącego strugami potu. Nie było jak wyrwać się z tłumu, by odpowiedzieć na zew natury, więc mężczyźni i kobiety kucali po prostu tam, gdzie stali. W świątyni zaczęło śmierdzieć jak w chlewie lub publicznej latrynie. Podałem

mojej pani jedwabną chusteczkę nasączoną perfumami. Natychmiast przytknęła ją do nosa.

Chóralne westchnienie ulgi powitało błogosławieństwo w imieniu boga Ozyrysa, jakim obdarzył króla arcykapłan na zakończenie swej mowy, by w głębokim ukłonie wycofać się na swe miejsce za wielkim wezyrem. Po raz pierwszy od chwili gdy ludzie zaczęli gromadzić się przed świątynią tego ranka, w tłumie zapanowała całkowita cisza. Znudzenie i niewygodność poszły w niepamięć, a wszyscy w ożywieniu wyciągnęli szyję, by usłyszeć słowa faraona.

Król powstał. Podziwiałem hart ducha tego starego człowieka, który przez cały czas siedział nieruchomy jak posąg. Rozłożył ramiona w geście błogosławieństwa, lecz w tym momencie uświęcony puchar zwyczaju i tradycji roztrzaskał się pod wpływem wydarzenia, które przyprawiło całe zgromadzenie – kapłanów, notabli i prostaków – o konsternację. Byłem jednym z nielicznych w tłumie, których nie zaskoczyło, jako że w znacznej mierze sam je zaplanowałem.

Wielkie wypolerowane miedziane wrota wiodące do sanktuarium rozwarły się. Zdawało się, że doszło do tego bez udziału człowieka, że drzwi ustąpiły z własnej woli.

Sapnięcie, szmer wypuszczanego z płuc powietrza przebiegł przez świątynne dziedzińce jak wiatr, poruszając gęsto stłoczone szeregi, jakby były liśćmi tamaryndy. Wtedy któraś kobieta wrzasnęła nagle i momentalnie wszystkimi wstrząsnął jęk przesądnej grozy. Niektórzy padli na kolana, inni unosili ręce nad głowę z przerażenia, jeszcze inni

zasłaniali twarze szalami, by nie spotkała ich kara ślepoty za spoglądanie na obrazy nieprzeznaczone dla oczu śmiertelnych.

Progi sanktuarium przekroczył bóg, wysoki, budzący lęk bóg, a jego płaszcz falował na ramionach w rytm kroków. Pióropusz z czaplich piór wieńczył hełm, a wyryte w metalu rysy twarzy były groteskowe, na wpół ludzkie, a na wpół orle. Boskie oblicze miało zakrzywiony dziób i mroczne szpary miast oczu.

- Akh-Horus! - krzyknęła jakaś kobieta, osuwając się bez przytomności na kamienne płyty.

- Akh-Horus! - podchwycono okrzyk. - To bóg!

Rząd za rzędem ludzie padali na kolana w pełnej szacunku postawie. Ci na wyższych poziomach trybun klękali, a wielu, czyniąc magiczne znaki, zabezpieczało się przed nieszczęściem. Nawet grupka dostojników skupiona wokół monarchy poszła za ich przykładem. W całej świątyni tylko dwóch obecnych pozostało na nogach. Faraon zamarł na stopniach tronu niczym pomalowany posąg, a wielki wezyr Teb stał wyprostowany i pełen buty.

Akh-Horus zatrzymał się przed królem i spojrzał na niego przez szpary w swej brązowej masce. Lecz i wtedy faraon nawet nie drgnął. Jego policzki ubarwione były na biało, więc nie mogłem stwierdzić, czy pobladł, ale w jego oczach ujrzałem błysk, który być mógł oznaką tyleż religijnego uniesienia co strachu.

- Kim jesteś? Duchem czy bogiem? Dlaczego zakłócasz nasze uroczyste obrzędy? - zawołał monarcha dźwięcznym,

czystym głosem.

Nie wychwyciłem w nim żadnego drżenia, co zwiększyło mój podziw. Mógł być słaby, starzejący się i łatwowierny, lecz w tym starym mężu wciąż kryło się wiele dzielności. Potrafił, jak przystało wojownikowi, stanąć twarzą w twarz z człowiekiem czy bogiem i nie ustępować.

Akh-Horus odpowiedział mu głosem przywykłym do rozkazywania pułkom w zażartym zgiełku bitwy, głosem, który niósł się między kamiennymi kolumnami.

- Wielki faraonie, jestem człowiekiem, nie bogiem. Jestem twoim sługą. Przybywam przed twoje oblicze na twój rozkaz. Przybywam do ciebie, by ukazać, że wywiązałem się z obowiązku, jaki na mnie tu nałożyłeś tego samego dnia Ozyrysa dwa lata temu.

Zdjął hełm, a na płaszcz rozsypały się złote loki. Zgromadzeni natychmiast go rozpoznali. Rozległ się krzyk, który wstrząsnął fundamentami świątyni.

- Księżę Tanus! Tanus! Tanus!

Wydawało mi się, że moja pani, siedząca tak blisko mnie, woła najgłośniejszym, skutecznie mnie ogłuszającym głosem.

- Tanus! Akh-Horus! Akh-Horus! - Te dwa imiona mieszały się i uderzały o świątynne mury niczym gnany sztormem przybój.

- Powstał z grobu! Stał się bogiem pośród nas!

Wrzaski nie cichły, dopóki Tanus gwałtownym ruchem nie wyciągnął miecza z pochwy, unosząc go gestem, który nakazywał ciszę. Rozkaz został wypełniony i Tanus odezwał się ponownie.

- Wielki Egipcie, czy zezwalasz mi mówić?

Sądzę, że w tym momencie król nie mógł już ufać swej władzy nad językiem, gdyż wykonał znak berłem i biczem, a potem opadł z powrotem na tron, zupełnie jakby nogi się pod nim ugięły.

Tanus zwrócił się do niego dźwięcznym głosem, który niósł się aż na zewnętrzny dziedziniec:

- Przed dwoma laty zleciłeś mi wyniszczenie węzowych kłębowisk morderców i bandytów, którzy zagrażali istnieniu państwa. Powierzyłeś mi też jastrzębią pieczęć.

Spod płaszcza Tanus wyciągnął niebieski posążek i postawił go na stopniach tronu. Potem cofnął się i ciągnął dalej:

- By tym skuteczniej wykonywać królewskie rozkazy, sfingowałem moją śmierć i poleciłem, by mumię obcego człowieka zamknięto w moim grobowcu.

- *BakHer!* - zakrzyknął pojedynczy głos, a inne podchwyciły ten okrzyk i Tanus raz jeszcze musiał nakazać tłumowi milczenie.

- Poprowadziłem tysiąc dzielnych ludzi z pułku Błękitnych przez pustynie i dzikie krainy, odszukałem Dzierzbów w ukrytych fortecach. Tam wyrznęliśmy ich setkami i usypaliśmy odrąbane głowy w stosy na poboczach dróg.

- *BakHer!* - zawołał tłum. - To prawda. Akh-Horus dokonał tego wszystkiego.

Ponownie Tanus uciszył zgromadzonych.

- Złamałem potęgę wodzów pustyni. Wysiekłem ich ludzi bez litości. W całym Egipcie pozostaje już tylko jeden

człowiek, który nadal zwie się Dzierzbą.

Teraz ludzie zamilkli wreszcie, pochłaniając każde jego słowo, zafascynowani i przejęci. Nawet faraon nie potrafił utrzymać w ryzach swej niecierpliwości.

- Mów, książę Tanusie, którego ludzie zwą obecnie Akh-Horusem. Wymień imię tego człowieka. Podaj mi jego imię, tak by mógł poznać gniew faraona.

- Skrywa się on za imieniem Akh-Seth - zaryczał Tanus. - Jego niesławne czyny porównywalne są z tymi dokonanymi przez jego brata, mrocznego boga.

- Podaj mi jego prawdziwe imię - rozkazał faraon, raz jeszcze podnosząc się z niecierpliwością. - Wskaż ostatniego z Dzierzbów!

Tanus przeciągał przesyconą napięciem chwilę. Powoli, z rozmysłem powiódł wzrokiem po świątyni. Gdy nasze oczy się spotkały, skinąłem głową tak nieznacznie, że tylko on dostrzegł ten ruch, lecz jego spojrzenie powędrowało dalej i padło na otwarte drzwi sanktuarium.

Uwaga całego zgromadzenia była tak skupiona na Tanusie, że w pierwszej chwili nikt nie dostrzegł wybiegającego stamtąd szybko i bezszelestnie rzędu uzbrojonych ludzi. Choć skrywały ich pełne pancerne i bojowe tarcze, rozpoznałem większość schowanych pod hełmami twarzy. Byli tam Rem-rem i Astes, i pięćdziesięciu innych wojowników Błękitnych. Sprawnie uformowali szyk wokół tronu niczym królewska straż przyboczna. Tylko Rem-rem i Astes ukradkiem przesunęli się za plecy księcia

Intefa. Gdy wszyscy zajęli swe pozycje, Tanus odezwał się ponownie:

- Wyjawię ci, boski faraonie, imię tego Akh-Setha. Stoi bezwstydnie w cieniu twego tronu. - Tanus wskazał go mieczem.

- Oto on, ze Złotem Chwały na swej zdradzieckiej piersi. Oto stoi, najbliższy towarzysz faraona, który przekształcił twe królestwo w tereny łowieckie dla morderców i bandytów. Oto Akh-Seth, gubernator nomu Teb, wielki wezyr Górnego Królestwa.

Przerażająca cisza ogarnęła świątynię. Wśród zgromadzonych musiało być co najmniej dziesięć tysięcy, a może i więcej ludzi, którzy doznali bolesnych krzywd z ręki księcia Intefa i którzy mieli wszelkie prawo go nienawidzić, lecz nie zabrzmiał przeciw niemu ani jeden okrzyk radości czy triumfu. Wszyscy wiedzieli, jak straszliwy bywał jego gniew i jak nieunikniona jego zemsta. Czulem unoszący się w powietrzu smród strachu, gęsty niczym kadzidlany dym. Każdy człowiek pojmował, że nawet reputacja Tanusa i jego świetne czyny nie miały wystarczającej mocy, by jego niepoparte dowodami oskarżenia przeważyły słowa kogoś takiego jak księżę Intef. Okazywanie w tym momencie radości albo otwartego poparcia byłoby śmiertelną głupotą.

W tej ciszy księżę Intef roześmiał się. W owym śmiechu była czysta pogarda, a sam księżę z lekceważeniem odwrócił się plecami do Tanusa, i zwrócił się bezpośrednio do króla.

- Pustynia wypaliła mu rozum. Biedny chłopak oszalał. W jego majaczeniach nie ma ani krzty prawdy. Powinienem się gniewać, lecz jestem jedynie zasmucony tym, że okryty sławą wojownik mógł upaść tak nisko. - Wyciągnął ręce do władcy w dostojnym, ale i poddańczym geście. - Przez całe życie służyłem faraonowi i memu ludowi. Mój honor jest tak nieskazitelny, że nie widzę potrzeby bronić się przed tym szaleńczym bajdurzeniem. Bez obawy pokładam me zaufanie w mądrości i sprawiedliwości boskiego monarchy. Niech moje uczynki i moja miłość do faraona przemówią zamiast mego języka.

Dostrzegłem zmieszanie i niezdecydowanie na umalowanej twarzy króla. Jego wargi drżały, czoło pobruździło się fałdami, gdyż nie był obdarzony byстрыm i wnikliwym umysłem. Po chwili otworzył usta, by przemówić, lecz zanim zdążył wygłosić jakikolwiek rozstrzygający czy nieodwracalny osąd, Tanus znów uniósł miecz i wskazał ku otwartym wrotom do sanktuarium znajdującego się z tyłu tronu.

Wyszła kolejna procesja mężczyzn, procesja tak niezwykła, że władca spojrzał na nią z zapytaniem, zapomniawszy zamknąć usta. Prowadził ją Kratas w bojowym hełmie i z mieczem w prawej dłoni. Idący za nim mieli na sobie jedynie przepaski, ich głowy i stopy były obnażone. Z rękoma związanymi na plecach szurali nogami jak niewolnicy w drodze na pomost licytatora.

Obserwowałem twarz księcia Intefa i ujrzałem, że ogarnia go przerażenie, a ciałem wstrząsa dreszcz, jak gdyby

otrzymał cios w twarz. Rozpoznał jeńców, lecz bez wątpienia sądził, że od dawna nie żyli, a ich czaszki szczerzą martwe zęby na poboczu drogi. Posłał ukradkowe spojrzenie ku niewielkim, zakrytym zwieszającymi się z murów płóciennymi chorągwiom drzwiom prowadzącym do pomieszczeń pomocniczych. Była to jedyna droga ucieczki z zatłoczonego wewnętrznego dziedzińca, lecz Rem-rem postąpił krok w prawo, blokując mu dojście. Książę Intef spojrział znów w stronę tronu i zadarł brodę w stanowczym, wyzywającym geście.

Sześciu skrępowanych jeńców ustawiło się w szereg przed tronem, a potem, na cichą komendę Kratasa, padło na kolana, pochylając głowy.

- Kim są te kreatury? - zapytał faraon, a Tanus stanął nad pierwszym z nich i chwyciwszy go za spętane nadgarstki, poderwał na nogi. Skóra jeńca podziobana była starymi, zagojonymi bliznami po ospie, a jego ślepe oko odbijało światło jak srebrna moneta.

- Boski faraon pyta, kim jesteś - rzekł spokojnie Tanus. - Odpowiedz na to pytanie.

- Wielki Egipcie, jestem Shufti - powiedział. - Niegdyś, zanim Akh-Horus rozproszył i wyrznął mój klan w mieście Gallala, byłem wodzem Dzierzbów.

- Powiedz królowi, kto był twoim zwierzchnikiem - nalegał Tanus.

- Akh-Seth był moim zwierzchnikiem - odparł Shufti. - Złożyłem Akh-Sethowi krwawą przysięgę wierności i płaciłem mu daninę w wysokości jednej czwartej mych

łupów. W zamian Akh-Seth zapewniał mi bezkarność wobec prawa i dostarczał informacji o przyszłych ofiarach.

- Wskaż królowi człowieka, którego znasz jako Akh-Setha
- rozkazał Tanus.

Shufti potruchtał naprzód, a potem stanął przed księciem Intefem. Napełnił usta plwociną i splunął na przepyszny strój wielkiego wezyra.

- To jest Akh-Seth - zawołał. - I oby robaki pożywiły się jego flakami!

Kratas odciągnął Shuftiego na bok, a Tanus postawił na nogi kolejnego jeńca.

- Powiedz królowi, kim jesteś - rozkazał.

- Jestem Akheku i byłem wodzem Dzierzbów, lecz wszyscy moi ludzie zostali zabici.

- Kto był twoim zwierzchnikiem? Komu składałeś daninę? zapytał Tanus z naciskiem.

- Książę Intef był moim panem. Daninę wpłacałem do kufrów wielkiego wezyra.

Gdy ciskano mu w twarz te oskarżenia, książę Intef stał dumny i wyniosły, nie okazując swych uczuć. Nie próbował się bronić, a niegdysiejsi wodzowie stawiani byli przed nim jeden po drugim i składali podobnie brzmiące oświadczenia.

- Książę Intef był moim panem. Książę Intef to Akh-Seth.

Milczenie tłumów w świątyni było równie nieznośne jak upał.

Ludzie spoglądali w przerażeniu, w bezdźwięcznej nienawiści lub też zmieszani i pełni niewiary. Nikt nie

odważył się jeszcze wystąpić przeciw księciu Intefowi ani też otwarcie wyrazić swych uczuć. Czekano, aż przemówi faraon.

Ostatni wódz wywleczony został do przodu, by stanąć twarzą w twarz z wielkim wezyrem. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o sękatą budowę i spalonej słońcem skórze. W jego żyłach płynęła beduińska krew, gdyż oczy miał czarne, a nos zakrzywiony. Gęsta broda skręcała się w loki, a z twarzy biła buta.

- Nazywam się Basti - mówił wyraźniej od pozostałych. - Ludzie nazywają mnie Bastim Okrutnikiem, choć nie znam żadnego ku temu powodu - wyszczerzył zęby, przejawiając impertynencki, wisielczy humor. - Byłem wodzem Dzierzbów, dopóki Akh-Horus nie zniszczył mego klanu. Książę Intef był moim zwierzchnikiem.

Nie odciągnięto go na bok jak innych. Tanus przemówił do niego ponownie:

- Powiedz królowi, czy znałeś Piankiego, księcia Harrab, który w dawnych czasach był szlachetnie urodzonym obywatelem Teb.

- Znałem go dobrze. Miałem z nim do czynienia.

- Co masz na myśli? - zapytał Tanus, a śmierć czała się w jego głosie.

- Rabowałem jego karawany. Palilem jego zboże na polach. Najeżdżałem na jego kopalnie w Sestrze i mordowałem górników w tak zabawny sposób, że nikt już tam nie powrócił, by dobywać miedź. Palilem jego wille. Posyłałem moich ludzi, by głosili złe rzeczy na jego temat,

tak że jego uczciwość i wierność państwu podane zostały w wątpliwość. Pomogłem innym go zniszczyć. W końcu własną ręką wychylił puchar trującego wywaru z bielunia.

Dostrzegłem, że dłoń faraona dzierzżąca monarsze berło zadrżała, gdy się temu przysłuchiwał, a jedna powieka zatrzepotała w sposób charakterystyczny dla momentów, w których władca był czymś boleśnie poruszony.

- Kto polecił ci popełnić te wszystkie czyny?

- Książę Intef zlecił mi to wszystko i wynagrodził mnie pięćdziesięcioma debenami szczerego złota.

- Co książę Intef spodziewał się zyskać przez prześladowanie księcia Harrab?

- Książę Intef jest wielkim wezyrem, a Pianki, książę Harrab nie żyje. - Basti uśmiechnął się i wzruszył ramionami. - Chyba książę Intef osiągnął swój cel.

- Przyznajesz, że nie przyrzekłem ci łagodniejszego traktowania w zamian za to wyznanie? Pojmujesz, że oczekuje cię śmierć?

- Śmierć? - Basti wybuchnął śmiechem. - Nigdy się jej nie obawiałem. Jest mąką na chleb, jaki wypiekam. Nakarmiłem nim niezliczoną liczbę ludzi, więc czemuż miałbym obawiać się samemu go zakosztować?

Przysłuchując się jego chełpliwym słowom, zastanowiłem się, czy jest głupcem, czy odważnym człowiekiem. W każdym razie nie żywiłem dla niego współczucia ani podziwu. Pamiętałem, że Pianki, książę Harrab, był człowiekiem podobnym do swego syna, i tam kierowałem me współczucie i podziw.

Dostrzegłem bezlitosny błysk w oczach Tanusa. Wiedziałem, że podzielał moje uczucia, gdy zaciskał uchwyt na rękojeści miecza, tak że jego palce zbieleły jak u topielca.

- Zabrać go! - warknął. - Niech czeka, póki wolą faraona nie będzie się nim zająć.

Opanował się z widocznym wysiłkiem, a potem odwrócił się ku królowi i przykląkł przed nim na jedno kolano.

- Dokonałem tego, czego ode mnie żądałeś, boski Mamose, boże i władco Kemit. Oczekuję na twe dalsze rozkazy.

Jego dostojność i szlachetność ujęły mnie do tego stopnia, że nie mogłem przełknąć śliny.

Milczenie w świątyni się przeciągało. Słyszałem ciężki oddech mojej pani siedzącej obok mnie i poczułem, jak ujmuję mnie za rękę i ściska ją z taką mocą, że się obawiałem, iż połamię mi palce.

Faraon wreszcie przemówił, lecz z niesmakiem usłyszałem zwątpienie w jego głosie i wyczułem, że król nie chce, by to, co usłyszał, okazało się prawdą. Ufał księciu Intefowi tak głęboko i przez tak długi czas, że słowa Tanusa zachwiały podstawami jego wiary.

- Książę Intefie, słyszałeś skierowane przeciw tobie oskarżenia. Czym możesz na nie odpowiedzieć?

- Boski faraonie, czy naprawdę są to oskarżenia? Uważałem je jedynie za wymysły młodego człowieka powodowanego zazdrością i zawiścią. Jest synem przestępcy i zdrajcy. Motywy księcia Tanusa są łatwe do

przejrzenia. Wmówił sobie, że zdrajca Pianki mógł zostać wielkim wezyrem zamiast mnie. Jakimś pokrętnym sposobem uważa mnie za winnego upadku swego ojca.

Machnięciem ręki okazał Tanusowi ogrom swego lekceważenia. Było to wykonane tak zręcznie, że dostrzegłem wahanie na twarzy faraona. Jego wątpliwości rosły. Przez całe życie bez granic ufał księciu Intefowi i trudno mu było zmienić punkt widzenia. Pragnął wierzyć w jego niewinność.

- A co z oskarżeniami wodzów? - odezwał się w końcu. - Jaką masz na nie odpowiedź?

- Wodzów? - zapytał księżę Intef. - Czy musimy schlebiać im tym tytułem? Sami mówią, że są przestępcami najniższego gatunku. Mordercami, złodziejami, katami kobiet i dzieci. Czy poszukiwanie u nich prawdy ma uzasadnienie większe od oczekiwania honoru i sumienia ze strony bestii? - Księżę Intef wskazał na nich. Byli na wpół nadzy i spętani jak zwierzęta. - Spójrzmy na nich, boski Mamose. Czyż nie są to ludzie, jacy dla ratowania swej skóry daliby się przekupić lub zastraszyć, by powiedzieć cokolwiek? Czy bardziej ufasz słowu któregoś z nich niż człowiekowi, który służył ci wiernie przez całe swe życie?

Dostrzegłem, jak król mimo woli kiwa lekko głową, zgadzając się z rozumowaniem tego, kogo uważał za swego przyjaciela, człowieka, którego obsypywał nagrodami i zaufaniem.

- Wszystko, co mówisz, jest prawdą. Zawsze służyłeś mi bez skazy. Tym łotrom obca jest prawda i honor. Możliwe,

że zostali przymuszeni - zawahał się i książę Intef poczuł, że zyskuje przewagę.

- Dotychczas słyszeliśmy tylko kierowane przeciw mnie słowa. Z pewnością istnieją i inne dowody, wspierające tak potworne zarzuty? Czy jest w Egipcie choć jeden człowiek, który dostarczy dowodów przeciwko mnie, prawdziwych dowodów, a nie jedynie słów? Jeżeli jest takowy, niech wystąpi, a wówczas mu odpowiem. Jeżeli nikt nie posiada takich świadectw, nie mam na co odpowiadać.

Jego słowa głęboko zakłopotaly faraona, wyraźnie to widziałem. Rozejrzał się, jakby szukał żądanych przez księcia Intefa dowodów, a potem powziął decyzję.

- Książę Tanusie, jakie dowody posiadasz na poparcie swych zarzutów oprócz słów morderców i przestępców?

- Ten potwór dobrze pozacierał za sobą ślady - przyznał Tanus - i ukrył się w największym gąszczu, gdzie trudno go dosięgnąć. Nie posiadam dalszych dowodów świadczących przeciw księciu Intefowi, lecz może ktoś inny jest w ich posiadaniu, ktoś, kogo poruszyło to, co do tej pory usłyszał. Zaklinam cię, Królewski Egipcie, zapytaj swego ludu, czy nie ma wśród niego kogoś, kto dostarczyć nam może pomocnych informacji.

- Faraonie, to prowokacja. Moi wrogowie poczują się mocni i wyłonią się z cieni, w których się czają, by mnie zaatakować! - zaprotestował gwałtownie książę Intef, lecz faraon uciszył go władczy gestem.

- Fałszywe świadectwo składać będą na własne ryzyko - obiecał, a potem zwrócił się do zgromadzenia. - Ludu mój!

Obywatele Teb! Wysłuchaliście oskarżeń skierowanych przeciw memu zaufanemu i wielce umiłowanemu wezyrowi. Czy ktoś z was potrafi dostarczyć dowodu, jakiego brakuje księciu Tanusowi? Czy ktoś z was jest w stanie przedstawić świadectwo przeciw księciu Intefowi? Jeżeli tak jest, nakazuję mu przemówić.

Wstałem, zanim jeszcze pojąłem, co czynię, a mój głos zahuczał mi w uszach tak, że aż się przeraziłem.

- Jestem Taita, niegdyś byłem niewolnikiem księcia Intefa - zawołałem, a faraon spojrzał na mnie ze zmarszczonym czołem.

- Twoje imię jest nam znane, Taito lekarzu. Możesz się zbliżyć.

Opuściłem miejsce na trybunie i zszedłem po stopniach, by stanąć przed królem. Spojrzałem na księcia Intefa i potknąłem się. Wydawało mi się, że wpadłem na kamienny mur, tak namacalna była jego nienawiść.

- Boski Egipcie, ta kreatura jest niewolnikiem - głos księcia Intefa był zimny i zawzięty. - Słowo niewolnika przeciw jednemu z tebańskich książąt i wysokiemu urzędnikowi państwowemu... cóż to znowu za szyderstwo?

Odruch, by reagować na jego głos i ulegać jego opiniom, sprawił, że me zdecydowanie osłabło. Wówczas poczułem dotyk ręki Tanusa na moim ramieniu. Było to ledwie muśnięcie, lecz dodało mi otuchy i pokrzepiło. Książę Intef zauważył jednak ten gest i zwrócił nań uwagę króla.

- Zważ, że ten niewolnik pozostaje we władzy mego oskarżyciela. Oto jeszcze jedna z tresowanych małp księcia

Tanusa.

- Głos księcia Intefa był na powrót pełen słodczy niczym gorący miód. -Jego buta nie zna granic. Kodeksy praw przewidują kary...

Faraon uciszył go ruchem berła.

- Nadużywasz mojego dobrego mniemania o twojej osobie, książę Intefie. Interpretacja i zmiany kodeksów praw należą do mnie. One zaś zawierają kary na wysoko urodzonych tak samo jak na prostego człowieka. Byłoby rozsądne, gdybyś o tym pamiętał.

Książę Intef skłonił się pokornie i zamilkł, lecz jego twarz poszarzała i ściągnęła się nagle, ponieważ uświadomił sobie swoje położenie.

Teraz król spojrział na mnie.

- Niezwykła to sytuacja, która dopuszcza użycie bezprecedensowych środków, Taito niewolniku, muszę cię wszakże ostrzec, że gdyby twe słowa okazały się błahe, gdyby brakło im podstaw czy wagi, czeka cię katowski sznur.

Ta groźba, w połączeniu z morderczym jadem spojrzenia, jakim obdarzył mnie książę Intef, sprawiła, że zacząłem się jękać.

- Gdy byłem niewolnikiem wielkiego wezyra, byłem jego posłańcem i wysłannikiem do wodzów pustyni. Znam wszystkich tych ludzi - wskazałem jeńców, których Kratas pilnował w pobliżu tronu. - To ja przekazywałem im rozkazy księcia Intefa.

- Kłamstwa! Znowu słowa, słowa bez podstaw - zakrzyknął książę Intef, lecz teraz w jego głosie zabrzmiała rozpacz.

- Zamilcz! - zagrział król z niespodziewaną wściekłością.

- Wysłuchamy świadectwa Taity niewolnika.

Patrzył prosto na mnie, a ja nabrałem powietrza w płuca, by mówić dalej.

- To ja zaniósłem polecenie księcia Intefa Bastiemu Okrutnikowi. Polecenie to nakazywało mu zniszczyć majątek i bogactwo Piankiego, księcia Harrab. W owym czasie byłem zaufanym sługą Intefa i wiedziałem, że pożąda dla siebie urzędu wielkiego wezyra. Wszystko, co rozkazał, zostało wykonane. Książę Harrab został zniszczony, pozbawiono go przychylności i miłości faraona i wychylił puchar trucizny. Ja, Taita, poświadczam wszystkie te rzeczy.

- Tak jest - Basti Okrutnik wzniosł związane ręce ku tronowi.

- Wszystko, co mówi Taita, to prawda.

- *BakHer!* - zawołali wodzowie. - To prawda. Taita mówi prawdę.

- A jednak to wciąż tylko słowa - zamyślił się król. - Książę Intef żądał dowodów. Ja, twój faraon, żądam dowodów.

- Przez pół życia byłem pisarzem i skarbnikiem wielkiego wezyra. Prowadziłem rejestry jego majątności. Na moich zwojach zapisywałem dochody i wydatki. Gromadziłem

daniny, jakie wodzowie Dzierzbów płacili księciu Intefowi, i dysponowałem całym tym bogactwem.

- Czy możesz pokazać mi te zwoje, Taito? - twarz faraona zajaśniała jak księżyc w pełni na wspomnienie skarbu.

Teraz obdarzał mnie zachłanną uwagą.

- Nie, Wasza Wysokość, nie mogę tego uczynić. Zwoje te zawsze pozostawały w posiadaniu księcia Intefa.

Faraon nie starał się nawet ukryć swego zmartwienia, jego twarz przybrała pełen zaciętości wyraz, lecz ja uparcie ciągnąłem dalej:

- Nie mogę pokazać ci tych zwojów, ale być może będę w stanie zaprowadzić cię do skarbów, jakie wielki wezyr ukradł tobie i mieszkańcom twego królestwa. To ja zbudowałem dla niego tajne skarbcce i ukryłem w nich zebrane od wodzów daniny. To w tych składach ukryłem majątek, którego nigdy nie widzieli poborcy podatkowi faraona.

Podniecenie monarchy zapłonęło nowym ogniem, gorące niczym węgle w kowalskim piecu. Pochylił się w napięciu. Choć wszystkie oczy w świątyni utkwione były we mnie, a dygnitarze tłoczyli się jeden przed drugiego, by tym lepiej słyszeć każde słowo, ja obserwowałem księcia Intefa, pozornie wcale nie patrząc w jego stronę. Wypolerowane miedziane wrota sanktuarium były jak wysokie lustra, które powiększały jego odbicie. Wyraźnie dostrzegałem każdy niuans gry uczuć na jego twarzy, każdy ruch, jaki robił, choćby nie wiem jak nieznaczny.

Podjąłem olbrzymie ryzyko, zakładając, że jego skarby pozostawały wciąż w ukrytych schowkach, w których je złożyłem. W ciągu minionych dwóch lat mógł bez trudu je przenieść. Przetransportowanie tak wielkiego majątku byłoby jednak poważnym zadaniem, a związane z tym niebezpieczeństwo skłaniało do pozostawienia go tam, gdzie się znajdował. Inaczej zmuszony byłby dopuścić do sekretu innych, a to nie przychodziło łatwo księciu Intefowi, który był z natury człowiekiem podejrzliwym. Do tego dochodził jeszcze i ten fakt, że do niedawna sądził, iż umarłem, a wraz ze mną i moja tajemnica.

Wyliczyłem, że szanse sukcesu i niepowodzenia są mniej więcej wyrównane, więc zaryzykowałem życie. Teraz z zapartym tchem obserwowałem w miedzianych drzwiach odbicie księcia Intefa. Nagle me serce zabiło jak oszalone, duch mój pomknął ku niebu jak niesiony na skrzydłach orłów. Ból i popłoch widoczne na jego twarzy powiedziały mi, że wypuszczona w jego stronę strzała nie chybiła celu. Wygrałem. Skarby nadal były tam, gdzie je zostawiłem. Wiedziałem, że jestem w stanie doprowadzić faraona do łupów i zdobyczy, jakie książę Intef nagromadził przez całe życie.

Lecz Intef daleki był jeszcze od przyznania się do klęski. Zbyt pochopnie myślałem, że tak łatwo osiągnę sukces. Dostrzegłem, jak daje prawą ręką znak, który wprowadził mnie w osłupienie, i w tej chwili wahania o mało co nie utraciłem wszystkiego.

Upojony triumfem zapomniałem o Rasferze. Księżę Intef błyskawicznie skinął prawą ręką. Na ten sygnał Rasfer zareagował niczym wytresowany pies na komendę myśliwego. Rzucił się na mnie tak gwałtownie, że zdołał zaskoczyć nas wszystkich. By mnie dosięgnąć, musiał pokonać dziesięć kroków. Kiedy je robił, jego miecz wyskoczył ze zgrzytem z pochwy.

Rozdzielali nas dwaj ludzie Kratasa, lecz obrócenii byli do niego plecami. Rasfer wpadł na nich i zbił ich z nóg. Jeden runął jak długi na kamienne płyty przed Tanusem, blokując mu przejście, gdy ten skoczył, by przyjść mi z pomocą. Byłem zdany tylko na siebie, bezbronny, Rasfer zaś poderwał swój miecz oburącz, chcąc rozszczepić mi głowę aż po mostek. Uniosłem ręce, by osłonić się przed ciosem, ale szok i przerażenie skuły me nogi lodem, tak że nie byłem w stanie się poruszyć ani uskoczyć przed syczącym ostrzem.

Nie zauważyłem wcale, kiedy Tanus ciął mieczem. Widziałem przed sobą jedynie twarz Rasfera. Nagle w powietrzu zaświszcziała broń. Przestrach do tego stopnia wyostrzył mi zmysły, że czas płynął dla mnie wolno jak oliwa wyciekająca ze słoja. Patrzyłem, jak miecz Tanusa obraca się raz za razem, okręca się z wolna wokół własnej osi, za każdym obrotem rozbłyskując niczym letnia błyskawica. Gdy uderzył, nie wykonał jednak pełnego obrotu, i to rękojeść, a nie ostrze, trafiła Rasfera w czaszkę. Cios nie zabił go, lecz odtrącił na bok głowę, wygięła mu

kark niczym wierzbową gałąź podczas wichury. Oczy Rasfera przewróciły się szaleńczo w oczodołach.

Nie dokończył wymierzonego we mnie ciosu. Nogi ugięły się pod nim i zwałił się na posadzkę u moich stóp. Miecz wyfrunął z pozbawionych czucia palców, obrócił się wysoko w powietrzu, a potem opadł na powrót. Wbił się w oparcie tronu faraona i zadygotał na boki. Król wlepił oczy w broń z niedowierzaniem pomieszanym z przestraczem. Na oczach nas wszystkich ostry jak brzytwa metal dotknął jego ręki, rozcinając skórę. Linia rubinowych kropelek wytoczyła się z płytkiej rany i ściekła na śnieżnobiałą płócienną spódniczkę.

Tanus przerwał nabrzmiałą przerażeniem ciszę.

- Wielki Egipcie, widziałeś, kto dał tej bestii znak do ataku. Wiesz, kto winien jest narażenia twej królewskiej osoby na niebezpieczeństwo.

Przeskoczył przez powalonego gwardzistę i pochwycił księcia Intefa za ramię. Wykręcił je tak mocno, że wezyr padł na kolana, krzycząc z bólu.

- Nie chciałem uwierzyć w to, co o tobie mówiono. - Faraon z przepełnionym smutkiem obliczem spojrział na swego wielkiego wezyra. - Ufałem ci przez całe życie, a ty plwalesz na mnie.

- Wielki Egipcie, wysłuchaj mnie! - błagał księżę Intef na kolanach, lecz faraon odwrócił od niego twarz.

- Dość długo już ciebie słuchałem. - Skinął głową Tanusowi. - Niech twoi ludzie pilnie go strzegą, ale niech

traktują go dobrze, jako że jego wina nie została jeszcze w pełni udowodniona.

Wreszcie monarcha zwrócił się do zgromadzonego tłumu.

- Są to dziwne i nigdy przedtem niewidziane wydarzenia. Przerywam przeto dzisiejszą uroczystość, żeby wnikliwie rozważyć dowody, jakie przedstawi mi niewolnik Taita. Lud Teb zbierze się ponownie i wysłucha mego wyroku w tym samym miejscu jutro w południe. Taka jest moja wola.

Głównym wejściem wkroczyliśmy do sali audiencyjnej pałacu wielkiego wezyra. W progu faraon zatrzymał się. Choć miecz Rasfera zadał mu jedynie powierzchowną ranę, owinąłem ją płótnem i umieściłem rękę na temblaku.

Monarcha powoli przyjrzał się sali. Na drugim końcu ogromnego pomieszczenia znajdował się tron wielkiego wezyra. Wyciosany z litego bloku alabastru, był niewiele mniej imponujący od królewskiego, który stał w sali tronowej w Elefantynie. Wysokie ściany pokryto gładką warstwą gliny, a na tym podkładzie namalowane zostały jedne z najwspanialszych fresków, jakie kiedykolwiek zaprojektowałem. Nadają tej wielkiej sali charakter barwnego ogrodu rozkoszy. Namalowałem je, gdy byłem niewolnikiem księcia Intefa, i choć stanowiły moje dzieło, wciąż przenikał mnie dreszcz zadowolenia, gdy je podziwiałem.

Nie miałem żadnych wątpliwości, że same te malowidła, nie biorąc pod uwagę pozostałych osiągnięć, uzasadniłyby moje pretensje do tytułu najbardziej znaczącego artysty w historii naszego kraju. Bolało mnie, że ja, który je

stworzyłem, miałem je teraz zniszczyć. Owego burzliwego dnia zakłócało to moje poczucie triumfu.

Poprowadziłem monarchę w głąb sali. Przynajmniej raz daliśmy sobie spokój z protokołem, bo faraon był rozemocjonowany jak dziecko. Szedł tak blisko, że nieledwie deptał mi po piętach, a za nim z równą ochotą kroczyła jego świta.

Powiodłem go przed ścianę za tronem, gdzie zatrzymaliśmy się na wprost wielkiego fresku przedstawiającego boga słońca, Amona-Re, podczas jego codziennej podróży przez niebiosy. Widziałem, że choć król był podekscytowany, w jego oczach zapłonął przemieszany z podziwem szacunek, gdy spojrzał na malowidło.

Wielka sala za naszymi plecami wypełniła się członkami monarszego orszaku, dworzanami, wojownikami i szlachetnymi panami, nie wspominając o królewskich małżonkach i konkubinach, które oddałyby wszystkie swe róże oraz pudełka ze szminkami i barwicznymi, żeby tylko nie przegapić tej podniecającej chwili, którą im obiecałem. Moja pani stała oczywiście w pierwszym rzędzie. Tanus znajdował się o krok za królem. Wraz ze swymi Błękitnymi przejął teraz obowiązki straży faraona.

- Niech twoi ludzie przywiodą księcia Intefa! - zwrócił się do niego władca.

Traktując go z wyszukaną i lodowatą uprzejmością, Kratas przyprowadził Intefa pod ścianę, lecz sam z nagim ostrzem w gotowej do ciosu dłoni zajął pozycję między więźniem a królem.

- Taito, możesz mówić dalej - powiedział do mnie faraon, a ja zmierzyłem mur, przechodząc dokładnie trzydzieści kroków od najdalszego kąta i zaznaczając odległość kawałkiem kredy, który w tym celu ze sobą zabrałem.

- Za tą ścianą znajdują się prywatne apartamenty wielkiego wezyra - wyjaśniłem królowi. - Podczas ostatniego odnawiania pałacu dokonane zostały pewne modyfikacje. Książę Intef lubi mieć swe skarby blisko siebie.

- Czasem bywasz gadatliwy, Taito. - Mój wykład o architekturze pałacowej nie wywarł zbytniego wrażenia na faraonie. - Przechodź do rzeczy, człowieku. Płonę z niecierpliwości, by ujrzeć, co się tam kryje.

- Niech zbliżą się kamieniarze - zawołałem i mała grupka tych silnych hultajów okrytych skórzanymi fartuchami przeszła przez salę i złożyła narzędzia u stóp ściany.

Ściągnąłem ich z drugiego brzegu rzeki, odrywając od pracy przy grobowcu faraona. Biały kamienny pył okrywający ich włosy sprawiał, że robili wrażenie starych i mądrych, na które to miano zasługiwało niewielu z nich.

Pożyczyłem od ich majstra drewniany trójkąt kreślarski i za jego pomocą wyznaczyłem podłużny kontur na pokrytej gliną ścianie. Następnie cofnąłem się i zwróciłem się do mistrza kamieniarzy:

- Tylko ostrożnie! Starajcie się jak najmniej uszkodzić freski. To wspaniałe dzieła sztuki.

Kamieniarze rzucili się na ścianę z drewnianymi młotami i krzemiennymi dłutami w dłoniach, zwracając niewiele

uwagi na moje ostrzeżenia. Płyty zewnętrznego muru odłupywane były jedna po drugiej i padały z łoskotem na marmurową posadzkę, a chmury farby i gipsu unosiły się w powietrzu. Pył przeszkadzał paniom, które zasłaniały usta i nosy szalami.

Stopniowo spod pokrywy gipsu wyłoniły się zarysy kamiennych bloków. Wówczas faraon wykrzyknął głośno i, nie zwracając uwagi na wszechobecny kurz, podszedł, by przyjrzeć się wzorowi ukazującemu się pod zewnętrzną warstwą. Regularne linie bloków zakłócała podłużna plama kamieni innej barwy, prawie idealnie pasująca do zarysu, jaki nakreśliłem kredą na ścianie.

- Tu są ukryte drzwi - zakrzyknął. - Otworzyć je natychmiast!

Ponaglani przez króla kamieniarze energicznie zaatakowali zablokowane przejście i gdy usunęli zwornik, pozostałe bloki dały się z łatwością wyjąć. Powstał mroczny otwór, a faraon, który do tego czasu przejął już kierowanie robotami, zawołał, by zapalono pochodnie.

- Cała przestrzeń za tą ścianą to tajne pomieszczenie - powiedziałem, gdy czekaliśmy na przyniesienie pochodni. - Zostało zbudowane z rozkazu księcia Intefa.

Dostarczono pochodnie. Tanus wziął jedną i oświetlił królowi przejście przez rozbite tajemne drzwi. Król wkroczył do środka, a ja wszedłem zaraz za nim i Tanusem.

Tyle czasu minęło, od kiedy byłem tu ostatni raz, że rozglądałem się z takim samym zaciekawieniem jak inni. Przez cały ten okres nic się nie zmieniło. Skrzynie i beczki

z cedrowego oraz akacjowego drewna ustawione były tak, jak je zostawiłem. Wskazałem królowi te, którym najpierw powinien poświęcić swą uwagę, a on rozkazał:

- Wynieście je do sali audiencyjnej.

- Będą potrzebni silni mężczyźni, by je udźwignąć - zauważyłem sucho. - Są dość ciężkie.

Trzech najrośniejszych spośród Błękitnych musiało unosić każdy ładunek, a i tak przechodząc przez nieregularny otwór w ścianie, uginali się pod tym ciężarem.

- Nigdy przedtem nie widziałem tych pudeł - zaprotestował książę Intef, gdy pierwsze zostało wyniesione i postawione na podwyższeniu obok tronu wielkiego wezyra. - Nic mi nie wiadomo o jakiejś sekretnej komnacie za tą ścianą. Musiała zostać zbudowana przez mojego poprzednika, a te skrzynie umieszczono w niej na jego polecenie.

- Wasza Wysokość, zechciej zwrócić uwagę na pieczęcie na tym wieku - wskazałem, a król zerknął na glinianą tabliczkę.

- Czyja to pieczęć? - zapytał.

- Proszę zwrócić uwagę na pierścień na palcu wskazującym lewej ręki wielkiego wezyra, Wasza Wysokość - wymruczałem.

- Ośmielałem się zasugerować, by faraon przyłożył go do pieczęci na tej skrzyni.

- Książę Intefie, zechciej podać mi swój pierścień - poprosił król z przesadną uprzejmością, lecz wielki wezyr skrył lewą dłoń za plecami.

- Wielki Egipcie, nie zdejmowałem tego pierścienia od dwudziestu lat. Wrósł w ciało i teraz nie da się go ściągnąć.

- Książę Tanusie. - Król odwrócił się. - Weź miecz, odetnij palec księcia Intefa z pierścieniem i przynieś mi go.

Tanus uśmiechnął się z okrucieństwem i ruszył z mieczem do połowy wyciągniętym z pochwy, by wykonać rozkaz.

- Być może się mylę - przyznał skwapliwie książę Intef. - Może uda mi się go uwolnić.

Pierścień bez kłopotu ześlizgnął się z palca, a Tanus, podając go królowi, przyklęknął na jedno kolano.

Faraon w skupieniu pochylił się nad skrzynią, po czym porównał pierścień z pieczęcią. Gdy się wyprostował, jego twarz pociemniała ze złości.

- Pasują idealnie. Tę pieczęć odbito twoim pierścieniem, książę Intefie.

Wielki wezyr nie odpowiedział na to oskarżenie. Stał z założonymi rękami i kamienną twarzą.

- Złamcie pieczęć. Otwórzcie skrzynię - polecił faraon.

Tanus rozciął glinianą tabliczkę i podważył wieko mieczem.

- Na wszystkich bogów! - wykrzyknął odruchowo król, gdy wieko upadło na bok, ukazując zawartość.

Dworzanie bezceremonialnie stłoczyli się naokoło, zaglądając do wnętrza, wykrzykując i szturchając się wzajemnie, by mieć lepszy widok.

- Złoto! - Król nabrał w dłonie błyszczących złotych pierścieni i przesypywał je między palcami. Jeden pierścień zatrzymał w garści i uniósł go do oczu, by przyjrzeć się

wybitemu na nim znakowi mennicy. - Dwa debeny szczerego złota. Ile może zawierać ta skrzynia, ile podobnych stoi jeszcze w tym tajnym magazynie?

To pytanie rzucił właściwie w przestrzeń i nie oczekiwał odpowiedzi, lecz ja i tak mu jej udzieliłem.

- Ten pojemnik zawiera... - przeczytałem wykaz, jaki spisałem na wieku tak wiele lat temu - ...zawiera tysiąc trzysta debenów czystego złota. Jeżeli zaś chodzi o liczbę naczyń ze złotem, to o ile pamięć mnie nie zawodzi, w tym składzie winny być pięćdziesiąt trzy skrzynie złota i dwadzieścia trzy srebra. Zapomniałem wszakże dokładnej liczby skrzyń z klejnotami, jakie tu ukryliśmy.

- Czy nikomu nie mogę już zaufać? Ciebie, księżę Intefie, traktowałem jak brata. Nie ma takiego dowodu przychylności, jakiego byś nie otrzymał z moich rąk, a tak mi się za to odpłaciłeś.

O północy kanclerz i najwyższy poborca królewskich podatków przybyli do komnaty króla, gdzie zmieniałem opatrunek na jego zranionej ręce. Przedstawili końcowe obliczenia rozmiarów skarbu i faraon przeczytał je z niebotycznym zdumieniem. Raz jeszcze najprzeróżniejsze uczucia toczyły walkę w jego duszy, wściekłość brała się za bary z radością wywołaną tym ogromnym darem bogów.

- Ten drań był bogatszy od swojego króla. Nie ma dość surowej kary za taką niegodziwość. Oszukiwał, okradał mnie i moich poborców podatkowych.

- A także zamordował i obrabował księcia Harrab oraz dziesiątki tysięcy twych poddanych - przypomniałem mu,

zaciskając bandaż wokół ramienia.

Było to może bezczelnością z mojej strony. Miał już jednak wobec mnie tak wielki dług wdzięczności, że mogłem się na to odważyć.

- To też - zgodził się skwapliwie, nie zauważywszy mej ironii. - Jego wina jest równie głęboka jak morze i równie bezgraniczna jak niebiosa. Będę musiał obmyślić odpowiednią karę. Sznur dusiciela jest zbyt łagodny dla księcia Intefa.

- Wasza Wysokość, jako twój lekarz muszę nalegać, byś udał się już na spoczynek. Był to dzień, który nadszarpnął nawet twą wielką siłę i wytrzymałość.

- Gdzie jest Intef? Nie zasną, dopóki się nie upewnię, że dobrze o niego zadbano.

- Przebywa pod strażą w swoich apartamentach, Wasza Wysokość. Na warcie stoi oficer gwardii wraz z oddziałem Błękitnych. - Zawahałem się lekko. - Rasfera również pilnują strażnicy.

- Rasfera? To ohydne, śliniace się zwierzę z jego menażerii? To, które próbowało cię zabić w świątyni Ozyrysa? Czyżby przeżył cios, jakim obdarzył go książę Tanus?

- Czuje się dobrze, choć na pewno nie jest szczęśliwy, faraonie - zapewniłem go. - Czy Wasza Wysokość wiedział, że to Rasfer przed laty sprawił mnie nożem kastratora? - Gdy to z siebie wyrzuciłem, ujrzałem błysk współczucia w oku króla.

- Rozprawię się z nim tak samo, jak z jego panem - przyrzekł faraon. - Spotka go ta sama kara co księcia Intefa.

- Wasza Wysokość jest sprawiedliwy i wszechwiedzący.

Wycofałem się z komnaty i wyruszyłem na poszukiwanie mojej pani.

Lostris czekała na mnie i, choć było już po północy, a ja czułem wielkie zmęczenie, nie pozwoliła mi zasnąć. Była zbyt podniecona i nalegała, bym przez resztę nocy siedział przy jej łóżku i wysłuchiwał gadaniny o Tanusie i innych mniej ważnych sprawach.

Zasnąłem w końcu głęboko, gdy więc następnego ranka zająłem swe miejsce w świątyni Ozyrysa, umysł miałem jasny i wypoczęty.

Zgromadzenie było chyba jeszcze liczniejsze niż poprzedniego dnia. W Tebach nie było nikogo, kto nie słyszałby o upadku wielkiego wezyra i kto nie pragnąłby być świadkiem jego ostatecznego upokorzenia. Nawet ci, którzy najlepiej prosperowali pod jego opartymi na przekupstwie rządami, teraz zwrócili się przeciwko niemu jak hieny, które pożerają przewodnika stada, gdy ten jest chory czy ranny.

Przywódców Dzierzbów doprowadzono przed tron w łańchmanach i więzach, lecz gdy książę Intef wkroczył do świątyni, miał na sobie delikatne płótno i srebrne sandały. Jego włosy były świeżo ułożone, twarz umalowana, łańcuchy Złota Chwały zwisały na szyi.

Wodzowie uklękli przed królem, ale księżę Intef, nawet gdy jeden z gwardzistów szturchnął go mieczem, nie zgiął kolana, faraon zaś dał gwardziście znak, by zaprzestał dalszych starań.

- Niech stoi - rozkazał król. - Dosyć sobie poleży w grobie.

Potem faraon podniósł się i stanął przed nami w całym swym majestacie i gniewie. W owej chwili wyglądał jak prawdziwy król, taki, jakim był pierwszy władca z jego dynastii, człowiek silny i potężny. Ja, który tak dobrze poznałem monarchę i jego słabości, stwierdziłem, że ogarnia mnie lęk.

- Księżę Intefie, jesteś oskarżony o zdradę i morderstwo, o rozbój i piractwo oraz o setkę innych przestępstw, nie mniej zasługujących na karę. Wysłuchałem popartych dowodami zeznań pięćdziesięciu moich poddanych wszystkich profesji i klas społecznych, książąt, ludzi wolnych i niewolników. Widziałem zawartość twego tajnego skarbca, w którym ukryłeś przed poborcami podatkowymi swój majątek. Widziałem twoją osobistą pieczęć na skrzyniach ze skarbami. Tak oto wina twa udowodniona została po tysiącokroć. Ja, Mamose, ósmy tego imienia faraon i władca Egiptu, niniejszym uznaję cię za winnego wszystkich zarzucanych ci zbrodni i niegodnego królewskiej pobłażliwości i miłosierdzia.

- Niech żyje faraon! - krzyknął Tanus, a lud tebański podchwycił i dziesięć razy powtórzył to pozdrowienie. - Oby żył wiecznie!

Gdy zapadła cisza, faraon przemówił ponownie:

- Książę Intefie, nosisz Złoto Chwały. Widok tego odznaczenia na piersi zdrajcy razi mój wzrok – spojrzał na Tanusa. - Książę, zdejmij złoto z więźnia.

Tanus uniósł łańcuchy z szyi księcia Intefa i zaniósł je królowi. Faraon ujął złoto oburącz, lecz gdy Tanus zaczął się wycofywać, powstrzymał go.

- Imię księcia Harrab okryte zostało potwarzą zdrady. Twój ojciec został zaszczyty na śmierć jako zdrajca. Ty dowiodłeś jego niewinności. Unieważniam wszystkie wyroki wydane na Piankiego, księcia Harrab, i pośmiertnie przywracam mu wszystkie zaszczyty oraz tytuły, z jakich go obdarto. Te zaszczyty i tytuły przechodzą na ciebie, jego syna.

- *BakHer!* - zakrzyknęli zgromadzeni. - Oby faraon żył wiecznie! Wiwat Tanus, książę Harrab!

- Oprócz tytułów, które otrzymujesz dzisiaj jako dziedzictwo, nadaję ci nowe wyróżnienie. Wywiązałeś się z nałożonego przeze mnie zadania. Zniszczyłeś Dzierzbów i oddałeś ich przywódcę w ręce sprawiedliwości. W uznaniu wyświadczonych koronie usług obdarowuję cię Złotem Męstwa. Uklęknij, książę Harrab, i przyjmij dowód królewskiej przychylności.

- *BakHer!* - krzyczeli ludzie, gdy faraon umieszczał na szyi Tanusa brzęczące, złote łańcuchy, które tak niedawno należały do księcia Intefa, a do których dodał teraz gwiaździsty wisior wojskowego odznaczenia. - Wiwat książę Harrab!

Gdy Tanus się cofnął, faraon na powrót zwrócił swą uwagę ku więźniom.

- Książę Intefie, pozbawiam cię twego tytułu tebańskiego arystokraty. Twe imię i pozycja wymazane zostaną ze wszystkich państwowych budowli, a także z grobowca, który przygotowałeś dla siebie w Dolinie Dostojników. Twoje posiadłości i majątek, włączając w to nielegalnie zdobyte skarby, przechodzą na własność państwa, z wyjątkiem tych majątności, które należały niegdyś do Piankiego, księcia Harrab, a które drogą podłych machinacji znalazły się w twym posiadaniu. Te w całości zwrócone zostaną ich dziedzicowi, memu dobremu Tanusowi, księciu Harrab.

- *BakHer!* Faraon jest mądry! Oby żył wiecznie! - wivatowali ludzie, a moja pani otwarcie płakała u mego boku. Podobnie czyniła połowa królewskich dam.

Niewiele z nich było w stanie oprzeć się urokowi tej heroicznej postaci, której złote włosy zdawały się przyćmiewać blask łańcuchów na jej piersi.

Wtedy król zaskoczył mnie kompletnie. Spojrzał prosto tam, gdzie siedziałem obok mojej pani.

- Jest jeszcze ktoś, kto wiernie służył koronie, kto wyjawiał miejsce ukrycia skradzionych skarbów. Niech wystąpi niewolnik Taita.

Zszedłem na dół, by stanąć przed tronem, a król przemówił łagodnym tonem:

- Ścierpiałeś niewypowiedziane męki z rąk zdrajcy Intefa i jego siepacza Rasfera. Byłeś przez nich zmuszany do

popęłniania zbrodniczych czynów i podlegających karze śmierci przestępstw przeciwko państwu, knując z bandytami i rabusiami, zatajając skarby swego pana przed królewskimi poborcami podatkowymi. Lecz te przestępstwa nie były twoim dziełem. Jako niewolnik zmuszony byłeś do wykonywania woli twego pana. Dlatego oczyszczam cię z całej winy i odpowiedzialności przed prawem. Zwalniam cię z odpowiedzialności za wszystkie przestępstwa i wynagradzam za oddane nam usługi darem dwa tysiące debenów czystego złota, które wypłacone zostaną z majątku skonfiskowanego zdrajcy Intefowi.

Pomruk zadziwienia powitał to obwieszczenie, a ja sapnąłem głośno. Była to olbrzymia suma. Fortuna równa majątkom najbogatszych panów w kraju, za którą można było nabyć rozległe połacie najżyźniejszego gruntu wzdłuż rzeki, wyposażyć wspaniałe wille na tej ziemi i zakupić trzystu silnych niewolników do jej uprawy, wyekwipować flotę statków handlowych i wysłać je na kres świata, by przywiozły jeszcze większe bogactwo. Była to suma wystarczająca, by porazić nawet moją wyobraźnię, lecz król jeszcze nie skończył.

- Jako że jesteś niewolnikiem, nagroda ta nie zostanie wypłacona tobie, tylko twojej pani, Lostris, która jest młodszą żoną faraona.

Mogłem się domyślać, że faraon zatrzyma to w rodzinie.

Ja, który przez ulotny moment byłem jednym z najbogatszych ludzi w Egipcie, skłoniłem się przed królem i powróciłem na miejsce przy mojej pani. Ona ścisnęła moją

dłoń, by mnie pocieszyć, lecz, prawdę mówiąc, nie byłem zmartwiony. Nasze losy zostały tak ze sobą splecione, że stałem się jej częścią, i wiedziałem, że nigdy więcej nie zabraknie nam żadnej materialnej rzeczy. Już planowałem, w co zainwestuję w jej imieniu fortunę mojej pani.

W końcu król gotów był wydać wyrok stracenia więźniów przez powieszenie, choć przemawiając spoglądał jedynie na Intefa.

- Wasze zbrodnie nie mają sobie równych. Żadna wykonywana dotąd kara nie jest dość surowa, by mogła być zastosowana w waszym przypadku. Oto więc jaki wyrok na was wydaję. O świcie pierwszego dnia po zakończeniu święta Ozyrysa przeprowadzeni zostaniecie przez ulice Teb nadzy i skrępowani. Następnie zostaniecie przybici żywcem za nogi do głównych wrót miasta, głową w dół. Będziecie tak wisieć, dopóki kruki do cna nie oczyszczą waszych kości. Wówczas zostaną one zdjęte, starte na proch i ciśnięte do Nilu.

Nawet Intef pobladł i zatoczył się, słysząc sentencję wyroku. Rozpraszając ich cielesne powłoki, tak by nigdy nie można było ich zabalsamować i przechować, faraon skazywał więźniów na nicość. Dla Egipcjanina nie istnieje surowsza kara. W ten sposób na całą wieczność pozbawia się jego duszę możliwości wejścia na rajskie równiny.

Gdy moja pani wyraziła wolę uczestniczenia w egzekucji i przyglądania się przybijaniu jej ojca nogami do góry do głównej bramy, nie sądzę, by zdawała sobie sprawę z okropieństwa tego, czego stałaby się świadkiem.

Postanowiłem równie nieugięcie, że tego nie zobaczy. Nigdy nie było w niej najmniejszego śladu sadyzmu. Myślę, że na jej decyzję wpływ miało to, że większość królewskich pań zamierzała wziąć udział w tym rozrywkowym widowisku i że Tanus miał nadzorować egzekucję. Lostris nigdy nie zmarnowałaby okazji popatrzenia na niego, choćby z daleka.

W końcu wybiłem jej to z głowy, używając najbardziej uczuciowego argumentu.

- Moja pani, tak okrutne widoki bez wątpienia wpłyną na twego nienarodzonego syna. Z pewnością nie chcesz skazić jego młodego, niewykształconego umysłu.

- To nie jest możliwe - zawahała się pierwszy raz podczas tej dyskusji. - Mój syn nic o tym nie będzie wiedział.

- Będzie spoglądał twoimi oczami, a wrzaski jego konającego dziadka przenikną przez ściany twego brzucha i trafią do jego uszek. - Słowa doбираłem szczególnie starannie pod kątem ich obrazowości i wywarły efekt, jakiego oczekiwałem.

Lostris zastanowiła się nad tym poważnie, a potem westchnęła.

- No dobrze, ale spodziewam się, że powrócisz z dokładnym opisem całej egzekucji. Nie wolno ci przegapić żadnego szczegółu. Pragnę zwłaszcza wiedzieć, w co ubrane będą inne królewskie małżonki. - Uśmiechnęła się łobuzersko, żeby przekonać mnie, iż nie całkiem dała się nabrać. - Możesz to wszystko powiedzieć szeptem, tak by śpiące w moim brzuchu dziecko nie mogło nas podsłuchać.

Gdy opuściłem harem o świcie w dniu egzekucji, pałacowe tereny wciąż spowite były mrokiem. Pospiesznie przeszedłem przez ogrody wodne, a gwiazdy odbijały się w czarnych taflach sadzawek. Zbliżyłem się właśnie do skrzydła pałacu, w którym w apartamentach przetrzymywano księcia Intefa, i dostrzegłem oświetlający okna blask pochodni i lamp, usłyszałem też wykrzykiwane w środku szaleńcze rozkazy oraz inwektywy.

Pojąłem od razu, że coś było poważnie nie w porządku, i zerwałem się do biegu. Strażnik przed drzwiami prywatnej kwatery księcia Intefa o mało nie użył włóczni, lecz rozpoznał mnie w ostatniej chwili przed zadaniem ciosu i uniósł broń, wpuszczając mnie do pomieszczenia.

Tanus stał na środku przedpokoju. Ryczał niczym czarnogrzywy lew w pułapce, wymierzając pięścią ciosy każdemu, kto nawinął mu się pod rękę. Chociaż zawsze był porywczej natury, nigdy nie widziałem go tak oszołomionego wściekłością. Zdawało się, że utracił zdolność spójnego myślenia i wydawania artykułowanych dźwięków. Jego ludzie, ci wielcy bohaterowie Błękitnych, kulili się przed nim w strachu, a wrzawa ogarnęła całe skrzydło pałacu.

Podbiegłem prosto do niego, uniknąłem dzikiego kułaka i wykrzychałem prosto w twarz:

- Tanus! To ja! Uspokój się! W imię bogów, oszalałeś?

Omiał mnie nie uderzył i widziałem, jak zмага się z emocjami, zanim ostatecznie je opanował.

- Zobacz, czy możesz coś dla nich uczynić - wskazał na ciała porozrzucane po przedpokoju, zupełnie jakby przetoczyła się przezeń bitwa.

Z przerażeniem poznałem, że jednym z nich był Khetkhet, doświadczony oficer pułku i człowiek, którego darzyłem szacunkiem. Leżał zwinięty w rogu, ściskając dłońmi brzuch, a na jego surowej twarzy zastygł ból tak przeraźliwy, że mam nadzieję nigdy już nie ujrzeć podobnego grymasu. Dotknąłem jego policzka, skóra była chłodna i martwa. Potrząsnąłem głową.

- Moj a pomoc na nic mu już się nie zda. - Uniosłem kciukiem powiekę i spojrzałem w martwe oko, potem nachyliłem się i powąchałem usta trupa. W nozdrza uderzył mnie straszliwie znajomy słaby zapach spleśniałych grzybów. - Trucizna - podniosłem się. - Z innymi będzie tak samo. - Leżało ich tam pięciu zwiniętych na posadzce.

- Jak? - zapytał Tanus ze sztucznym spokojem.

Podniosłem jedną z ustawionych w stos na niskim stole misek, z których najwidoczniej zjedli kolację, i powąchałem ją. Zapach grzybów był znacznie silniejszy.

- Zapytaj kucharzy - zaproponowałem.

Potem, w nagłym porywie gniewu, cisnąłem miską o ścianę. Sponiewierane trupy przypomniały mi o moich zwierzętach, które zginęły podobną śmiercią. Khetkhet zaś był moim przyjacielem.

Wzięłem głęboki oddech, by się uspokoić. Potem zapytałem:

- Twój więzień bez wątpienia uciekł?

Tanus nie odpowiedział, lecz powiódł mnie do sypialni wielkiego wezyra. Natychmiast zauważyłem pokrytą malowidłami płytę zdjętą z przeciwległej ściany pustego pokoju i kryjący się za nią otwór.

- Wiedziałeś, że jest tu ukryte przejście? - zapytał zimno, a ja pokręciłem głową.

- Sądziłem, że znam wszystkie jego sekrety, ale się myliłem - stwierdziłem z rezygnacją.

Myślę, że w głębi serca cały czas wiedziałem, iż nigdy nie uda nam się wymierzyć Intefowi sprawiedliwości. Był ulubieńcem bogów ciemności, a oni otaczali go swoją opieką.

- Rasfer uciekł wraz z nim? - zapytałem, lecz Tanus zaprzeczył ruchem głowy.

- Trzymam go zamkniętego w zbrojowni razem z wodzami. Ale dwaj synowie Intefa, Menset i Sobek, zniknęli. Jestem prawie pewien, że to oni przygotowali zabójstwo moich ludzi i ucieczkę ojca. - Tanus na powrót kontrolował już w pełni swój porywczy charakter, lecz gniew nadal czaił się tuż pod powierzchnią. - Tak dobrze znasz Intefa, Taito. Co teraz zrobi? Dokąd się uda? Jak mogę go dostać?

- Wiem tylko, że z pewnością przygotował się na nadejście dnia takiego jak ten. Wiem, że zgromadził majątek w Dolnym Królestwie, pod opieką tamtejszych kupców i prawników. Zawierał nawet transakcje z fałszywym faraonem. Myślę, że sprzedawał tajemnice

wojskowe jemu i jego generałom. Na północy czeka go przyjazne powitanie.

- Wysłałem już na północ pięć szybkich okrętów z rozkazem przeszukania wszystkich zatrzymanych statków - powiedział Tanus.

- Ma też przyjaciół za Morzem Czerwonym - rzekłem. - I posyłał pieniądze kupcom w Gazie, na wybrzeżu północnego morza, by je dla niego przechowywali. Utrzymywał kontakty z Beduinami. Wielu z nich jest na jego żołdzie. Ci pomogą mu przekroczyć pustynię.

- Na Horusa, przypomina szczura, który zawsze ma tuzin dróg ucieczki ze swej nory - zaklął Tanus. - Jak mam je wszystkie zamknąć?

- Nie jesteś w stanie - odparłem. - A faraon czeka już, by być świadkiem egzekucji. Będziesz musiał mu o tym zameldować.

- Król będzie zły i będzie miał ku temu powód. Pozwalając Intefowi uciec, nie wywiązałem się z obowiązku.

Tanus mylił się jednak. Faraon przyjął wieści o ucieczce Intefa z godnym uwagi spokojem. Nie potrafię zgłębić powodu takiego zachowania, lecz być może olbrzymia masa skarbów, które tak nieoczekiwanie weszły w jego posiadanie, sprawiła, że nieco złagodniał. W głębi serca mógł nadal czuć jakąś ukrytą sympatię do swego wielkiego wezyra. Z drugiej strony był człowiekiem dobrotliwym i myśl o oglądaniu księcia Intefa przybijanego do bram miasta zapewne zbytnio go nie cieszyła.

To prawda, że okazał przelotną irytację i wspominał o okpionej sprawiedliwości, lecz przez cały czas gdy przebywaliśmy w jego towarzystwie, ukradkiem studiował spis zawartości skarbu. Nawet gdy Tanus wziął na siebie odpowiedzialność za ucieczkę więźnia, faraon przeszedł nad tym do porządku dziennego.

- Wina spoczywa na oficerze gwardii, a on został już wystarczająco ukarany z zatrutej misy, jaką dostarczył mu Intef. Posłałeś okręty i wojsko w pościg za uciekinierem. Uczyniłeś wszystko, czego można było od ciebie oczekiwać, książę Harrab. Pozostaje ci tylko wykonanie wyroku na pozostałych zbrodniarzach.

- Czy faraon gotów jest ujrzeć egzekucję? - zapytał Tanus, a monarcha rozejrzał się w poszukiwaniu pretekstu, by pozostać ze swymi spisami skarbów i raportami poborców podatkowych.

- Mam tu wiele do zrobienia, książę Tanusie. Zaczynaj beze mnie. Przyjdź, gdy wyrok zostanie wykonany.

Tak wielkie było zainteresowanie ludności egzekucją, że ojcowie miasta przed głównymi wrotami postawili trybunę Taity i pobierali srebrny pierścień za miejsce. Klientów nie brakowało, a trybuny wypełnione były po brzegi. Tłumy ludzi, którzy nie znaleźli tam miejsca, rozlały się na pola za murami. Wielu przyniosło ze sobą piwo i wino, by urządzić sobie święto i przepić do wódzów na pożegnanie. Tylko nieliczni nie ucierpieli wskutek szerzonego przez Dzierzbów spustoszenia, większość utraciła z ich rąk ojców, braci czy synów.

Kompletnie nadzy i związani razem, tak jak rozkazał faraon, skazańcy powiedzeni zostali ulicami Karnaku. Wzdłuż trasy przemarszu ustawił się tłum, by obrzucić ich nieczystościami i gnojem, wyrzaskując obelgi i wymachując pięściami. Dzieci tańczyły na czele procesji, wyśpiewując fragmenty ułożonego na oczekaniu wiersza:

*Gwoździe w paluszkach, nagi zadek w górze,
Jestem wielmożą i wiszę na murze.*

Zgodnie z życzeniem mojej pani zająłem miejsce na trybunie, by przyrzeć się wykonaniu wyroku. Prawdę mówiąc, gdy w końcu przez otwartą bramę wyprowadzono więźniów, przestały mnie interesować stroje i biżuteria obecnych tu modnych pań. Obserwowałem za to Rasfera, starając się ożywić i rozdmuchać moją nienawiść. Zmusiłem się do wyliczania w myślach wszystkich okrutnych i bestialskich uczynków, jakich się dopuścił wobec mnie, do przeżywania na nowo wywołanego cięciem noża bólu, jaki mi zadał. A jednak stał teraz przede mną z bladym, zwisającym prawie do kolan brzuchem, z ekskrementami we włosach i nieczystościami spływającymi po twarzy i groteskowym ciele. Trudno było nienawidzić go tak, jak na to zasługiwał.

Dojrzał mnie na trybunie i wyszczerzył zęby. Sparaliżowane mięśnie z jednej strony twarzy sprawiły, że była to tylko połowa uśmiechu, sardoniczny grymas.

- Dziękuję, że przyszedłeś życzyć mi szczęśliwej drogi, eunuchu! - zawołał. - Może spotkamy się znów na rajskich

polach, gdzie, mam nadzieję, doznam przyjemności ponownego obcięcia ci jaj.

To szyderstwo powinno było ułatwić mi rozbudzenie nienawiści, lecz jakoś się tak nie stało.

- Nie dotrzesz dalej niż szlam na dnie rzeki, stary przyjacielu! - odkrzyknąłem tylko. - Następnego zębacza, jakiego piec będę na rożnie, nazwę Rasfer.

Rasfer był pierwszym więźniem, którego wciągnięto na drewniane wrota. Potrzeba do tego było trzech ludzi ustawionych na blankach, podczas gdy czterech dalszych pchało od dołu. Przytrzymano go w tej pozycji, a jeden z pułkowych zbrojmistrzów wspiął się na przystawioną obok niego drabinę z kamiennym młotem w garści.

Rasferowi odeszła chęćka do dalszych kpin, gdy pierwszy gruby, miedziany gwóźdź zagłębił się w ciało i kości jego wielkich, zrogowaciałych stóp. Zaryczał, miotając przekleństwa i rzucając się w uchwycie trzymających go ludzi, tłum zaś klaskał, śmiał się i zachęcał do wysiłku zlanego potem zbrojmistrza.

Dopiero gdy wszystkie gwoździe zostały wbite i kowal zszedł na dół, by podziwiać swe dzieło, wyszły na jaw wady tej nowatorskiej formy kaźni. Rasfer wył i wrzeszczał, zwisając głową na dół, podczas gdy krew powoli ściekała mu strumyczkami po nogach. Kołyszący się brzuch zwiślał teraz w przeciwną stronę, a wielka, owłosiona kiść genitaliów klapała o pępek. Gdy wykręcał się tak i szamotał, gwoździe z wolna przedzierały się przez tkanki ciała między palcami, dopóki w końcu nie wyrwały się

całkowicie. Rasfer spadł na ziemię, trzepocząc się niczym wyrzucona na brzeg ryba. Widzowie zachwyceni byli widowiskiem i wyli z uciechy, obserwując jego konwulsje.

Zachęceni przez widzów oprawcy ponownie podciągnęli Rasfera, a zbrojmistrz wspiął się raz jeszcze z młotem na drabinę, żeby wbić więcej gwoździ. By tym pewniej przyszpilić Rasfera i uniemożliwić mu szarpanie się, Tanus rozkazał przybić do bramy stopy i dłonie.

Ta próba była bardziej udana. Rasfer zawisnął głową w dół z rozpostartymi kończynami niczym monstrualna rozgwiazda. Nie ryczał już, gdyż masa wnętrzości w brzuchu napierała na płuca. Nabranie każdego oddechu przychodziło mu z trudem i nie marnował sił na krzyki.

Jeden po drugim pozostali skazańcy wciągnięci zostali na wrota i unieruchomieni gwoździami, podczas gdy tłum ryczał z zachwytu. Jedyne Basti Okrutnik nie wydał żadnego dźwięku i dostarczył zebrany kiepskiej rozrywki.

Dzień ciągnął się powoli, słońce prażyło ukrzyżowane ofiary, a upał stale się wzmagił. W południe więźniowie byli tak osłabieni bólem, pragnieniem i utratą krwi, że zwisali cisi niczym poście mięsa na rzeźniczych hakach. Widzowie zaczęli tracić zainteresowanie i poczęli się rozchodzić. Niektórzy widzowie wytrwali dłużej. Basti oddychał przez cały dzień. Dopiero gdy zachodziło słońce, wydał z drzeniem ostatnie tchnienie i wreszcie zwisał nieruchomo.

Rasfer okazał się najtwardszy. Zwisiał jeszcze długo po śmierci Bastiego. Jego twarz nabiegła ciemną krwią, tak że obrzmiała do swej podwójnej wielkości. Język wystawał

spomiędzy warg niczym gruby plaster purpurowej wątroby. Co jakiś czas wydawał głęboki jęk i trzepotał powiekami. Za każdym razem podzielałem jego cierpienie. Resztki mej nienawiści już dawno skurczyły się i wyparowały, przeżywałem męczarnie współczucia, jakie znalazłbym w sobie dla każdego torturowanego zwierzęcia.

Tłum rozszedł się i siedziałem samotnie na pustej trybunie. Nie próbując ukryć niesmaku wobec tak okrutnego obowiązku narzuconego mi królewskim rozkazem, Tanus pozostał na posterunku do zachodu słońca. Wtedy przekazał wreszcie straż nad skazańcem jednemu ze swoich oficerów i pomaszerował do miasta, pozostawiając nam czuwanie.

Przy bramie znajdowało się jedynie dziesięciu strażników, ja na trybunach oraz kilku żebraków leżących niczym kupki szmat pod murem. Pochodnie po obu stronach wrót skwierczały i trzepotały w nocnej bryzie znad rzeki, rzucając niesamowity blask na tę makabryczną scenę.

Rasfer jęknął ponownie i tym razem nie mogłem tego wytrzymać. Wyjąłem z koszyka dzban piwa i zszedłem na dół, by zamienić parę słów z oficerem. Zналиśmy się jeszcze z pustyni, gwardzista zaśmiał się, potrząsając głową w odpowiedzi na moją prośbę.

- Jesteś miękkim głupcem, Taito. Sukinsyn jest już prawie gotów, nie warto się o niego martwić - powiedział. - Lecz przez chwilę popatrzę w inną stronę. Pospiesz się.

Podszedłem do bramy. Głowa Rasfera znajdowała się na jednym poziomie z moją. Zawołałem go cicho po imieniu;

otworzył oczy. Nie miałem jak sprawdzić, ile rozumiał, lecz wyszeptałem:

- Mam trochę piwa, by zwilżyć ci język.

Z jego gardła dobył się cichy odgłos przełykania. Utkwił we mnie wzrok. Wiedziałem, że pragnienie musi być dla niego piekielną torturą. Utoczyłem kilka kropli z dzbana na jego język, starając się nie zalać mu nosa. Rasfer zdobył się na słabą, nieudaną próbę przełknięcia. Byłoby to niemożliwe, nawet gdyby miał więcej siły; płyn ściekał kącikami ust i po policzkach w zlepione gnojem włosy.

Zamknął oczy, a ja czekałem właśnie na taką chwilę. Ze zwojów szala wyciągnąłem sztylet. Umieściłem czubek dokładnie za jego uchem i gwałtownie zagłębiłem go po rękojeść. Plecy Rasfera wygięły się w ostatniej konwulsji, a potem śmierć rozluźniła mięśnie. Oswobodziłem ostrze. Pocięło tylko trochę krwi, skryłem więc sztylet pod szalem i odwróciłem się.

- Niech rajskie sny niosą cię przez noc, Taito! - zawołał za mną oficer straży, lecz ja straciłem głos i nie byłem w stanie odpowiedzieć.

Nigdy nie przypuszczałem, że będę opłakiwać Rasfera, i być może wcale tego nie robiłem. Być może opłakiwałem siebie samego.

Na rozkaz faraona powrót dworu do Elefantyny został początkowo opóźniony o miesiąc. Król miał nowy skarb do zagospodarowania i był w kwitjącym nastroju. Odkąd go poznałem, nigdy nie widziałem go równie szczęśliwego i zadowolonego. Bardzo mnie to cieszyło. W owym czasie

darzyłem go już prawdziwym i ciepłym uczuciem. Czasami przesiadywałem nocą z nim i jego skarbami, przeglądając spisy zawartości królewskiej szkatuły, od których była teraz zdecydowanie różowa poświata.

Kiedy indziej monarcha wzywał mnie na narady dotyczące przebudowy świątyni grobowej i królewskiego grobowca, na którą było go teraz znacznie bardziej stać. Obliczyłem, że co najmniej połowa niedawno odkrytego skarbu powędruje do krypty wraz z faraonem. Wybrał najpiękniejsze klejnoty z kolekcji Intefa i posłał co najmniej piętnaście tysięcy debenów złota w sztabach świątynnym złotnikom, by przekuli je na wyposażenie grobowca.

Niemniej jednak znalazł i czas na przywołanie Tanusa, który doradzał mu w sprawach wojska. Uznawał go teraz za jednego z najwyższych generałów swej armii.

Byłem obecny podczas paru takich spotkań. Zagrożenie ze strony fałszywego faraona Dolnego Królestwa było potężne i gnębiło nas wszystkich. Tanus cieszył się u króla tak wielkim poważaniem, że zdołał wykorzystać te obawy i nakłonić go do przeznaczenia małej części skarbu Intefa na wybudowanie pięciu nowych flotyli okrętów wojennych i na wyekwipowanie wszystkich pułków gwardii w nową broń i sandały. Nie zdołał tylko przekonać króla do wypłacenia armii zaległego żołdu. Wiele pułków nie otrzymywało pieniędzy przez minione pół roku, lecz stworzenie nowych oddziałów i uzupełnienie wyposażenia podniosły morale armii, a żołnierze wiedzieli, komu należy za nie dziękować. Gdy Tanus dokonywał przeglądu ich

formacji, ryczeli niczym lwy i salutowali podniesioną pięścią.

Zazwyczaj kiedy Tanus wzywany był na królewską audiencję, moja pani znajdowała jakiś powód, by być na niej obecna. Choć miała dość zdrowego rozsądku, żeby przy podobnych okazjach trzymać się z tyłu, wymieniała z Tanusem takie spojrzenia, że obawiałem się, by nie opaliły sztucznej brody faraona. Na szczęście nikt oprócz mnie najwyraźniej nie zauważał tych ognistych wyznań namiętności.

Za każdym razem, gdy moja pani wiedziała, że mam spotkać się z Tanusem na osobności, obciążała mnie przekazywaniem mu długich, płomiennych wyznań. Powracając, niosłem jego odpowiedzi, dorównujące tamtym żarem i długością. Szczęśliwie treść tych wylewnych deklaracji powtarzała się z taką regularnością, że zapamiętywanie ich nie sprawiało wielkiego trudu.

Lostris nigdy nie czuła się zmęczona naleganiem, bym za pomocą kolejnego podstępu umożliwił jej i Tanusowi jeszcze jedno spotkanie sam na sam. Przyznać muszę, że tak bardzo drżałem o własną skórę oraz o bezpieczeństwo mej pani oraz naszego nienarodzonego dziecka, że nie poświęcałem całej energii i inwencji wypełnianiu tego życzenia. Gdy raz jeden ostrożnie powiedziałem Tanusowi, że moja pani zaprasza go na schadzkę, westchnął i odmówił, okraszając swe słowa licznymi zapewnieniami o swej miłości.

- To zajście w grobowcach w Tras było kompletnym szaleństwem, Taito. Nigdy nie zamierzałem splamić honoru pani Lostris i gdyby nie *khamsin*, nigdy by do tego nie doszło. Nie wolno nam ponownie podejmować takiego ryzyka. Powiedz jej, że kocham ją nad życie. Powiedz, że nadejdzie nasz czas, jako że obiecały nam to Labirynty Amona-Re. Powiedz, że będę na nią czekał przez wszystkie dni mego żywota.

Otrzymawszy to przepełnione miłością posłanie, moja pani zatupała nogą, nazwała swego jedyne go ukochanego upartym, nic o nią nie dbającym głupcem, stłukła puchar i dwie misy z kolorowego szkła, cisnęła do rzeki wysadzane klejnotami lusterko - prezent od króla - i wreszcie rzuciła się na łóżko, gdzie płakała do kolacji.

Poza obowiązkami wojskowymi, które obejmowały nadzór nad budową nowej floty, Tanus był teraz pochłonięty wprowadzaniem swoich porządków w odziedziczonych nareszcie po ojcu majątnościach.

Prawie codziennie konsultował się ze mną w tych sprawach. Posiadłości te ani razu nie zostały spustoszone przez Dzierzbów, bo należały do księcia Intefa, tak więc wszystkie świetnie prosperowały i były w znakomitym stanie. Tak oto Tanus z dnia na dzień stał się jednym z najbogatszych ludzi w Górnym Królestwie. Choć robiłem wszystko, by go od tego odwieść, większą część swej osobistej fortuny wydał na nadrobienie zaległości w wypłatach żołdu dla swych ludzi i na odnowienie

wyposażenia ukochanych Błękitnych. Oczywiście jego żołnierze jeszcze bardziej pokochali go za tę hojność.

Jakby tej rozrzutności było mało, Tanus posłał swych oficerów

- Kratasa, Rem-rema i Astesa - by zgromadzili wszystkich okaleczonych i ślepych weteranów wojen rzecznych, utrzymujących się teraz z żebraniny na ulicach Teb. Umieścił tę zbieraninę w wielkiej wiejskiej willi wchodzącej w skład jego majątku i choć nawet pomyje i kuchenne odpadki byłyby dla nich za dobre, karmił ich mięsem, pszennymi plackami i piwem. Prości żołnierze wychwalali Tanusa na ulicach i pili jego zdrowie w tawernach.

Gdy opowiedziałem mojej pani o tych szalonych wybrykach, tak ją to rozochociło, że natychmiast wydała setki debenów złota, które dla niej zarobiłem, na zakupienie i wyposażenie tuzina budynków, po czym przekształciła je w szpitala i noclegownie dla tebańskiej biedoty. Przeznaczyłem już to złoto na inwestycje na rynku zbożowym, lecz chociaż załamywałem ręce i błagałem, nic nie było w stanie jej wzruszyć.

Nie trzeba chyba mówić, że to cierpliwy niewolnik Taita odpowiedzialny był za bieżące zarządzanie najnowszym kaprysem swej pani, choć ona sama codziennie odwiedzała przytułki. Tak oto każdy próżniak i pijaczyna bliźniaczych miast mógł przymówić się u nas o darmowy posiłek i wygodne łóżko. Nie dość na tym - miał okazję otrzymać miskę zupy prosto ze ślicznej ręki Lostris, a o cieknące

pęcherze i umęczone biegunką jelita troszczył się jeden z najwybitniejszych medyków Egiptu.

Udało mi się wyszukać kilku młodych bezrobotnych skrybów i rozczarowanych kapłanów, którzy kochali ludzi bardziej niż pieniądze. Moja pani przyjęła ich na służbę. Prowadzałem tę małą bandę na nocne łowy w boczne uliczki i najuboższe dzielnice miasta. Co noc zbieraliśmy bezdomne sieroty. Stanowiły brudne, zawszone stado dzikusów i tylko nieliczne szły z nami z własnej woli. Musieliśmy gonić je i wyłapywać jak zdziczałe koty. Podczas kąpania ich oblepionych brudem ciał i golenia włosów tak gęsto pokrytych wszami i gnidami, że niemożnością było przeciągnięcie przez nie grzebieniem, niejeden raz zostałem solidnie pogryziony i podrapany.

Umieszczaliśmy je w jednym z nowych schronisk mojej pani. Tam kapłani rozpoczynali mozolny proces osvajania tych dzieciaków, podczas gdy skrybowie stawiali pierwsze kroki na drodze ku ich edukacji. Większość schwytanych przez nas dzieci uciekała podczas pierwszych kilku dni i wracała do rynsztoka, gdzie było ich miejsce. Niektóre pozostały jednak w schronisku. Ich powolna przemiana ze zwierzęcia w istotę ludzką zachwycała moją panią i dawała mi więcej przyjemności, niż podejrzewałem, iż mogę czerpać z tak mało obiecującego źródła.

Wszelkie moje sprzeciwy na temat sposobu, w jaki moja pani roztrwaniała nasz majątek, spełzały na niczym. Przysięgam, że jeżeli zostanę przedwcześnie zabalsamowany i złożony do grobu, wina spoczywać będzie

wyłącznie na parze tych młodych idiotów, których przygarnąłem pod skrzydła, a którzy odpłacali mi konsekwentnym lekceważeniem mych najlepszych rad.

Nie warto nawet wspominać, że to moją panią, a nie mnie błogosławili kalecy i wdowy, i to jej składali w podarunku nędzne drobiazgi: więdnące polne kwiaty, tanie paciorki i postrzępione kawałki papierusu zawierające kiepsko przepisane teksty z „Księgi umarłych”. Gdy przechadzała się po mieście, prości ludzie wystawiali swe bachory, by udzieliła im błogosławieństwa, i starali się dotknąć rąbka jej spódniczki, jakby była jakimś religijnym talizmanem. Lostris całowała brudne dzieciaki, który to zwyczaj, jak ją ostrzegałem, mógł zagrozić jej zdrowiu, i rozrzucała wałkoniom miedziaki z taką beztroską, z jaką drzewo sypie jesiennymi liśćmi.

- To moje miasto - powiedziała. - Kocham je i kocham każdego żyjącego w nim człowieka. Och, Taito, boję się powrotu do Elefantyny. Nie chcę porzucić moich pięknych Teb.

- Czy to miasta nie chcesz porzucić? - zapytałem. - A może pewnego nieokrzesanego żołnierza, który tu mieszka?

Spoliczkowała mnie, lecz niezbyt mocno.

- Czy nie istnieje dla ciebie nic świętego, nawet czysta i prawdziwa miłość? Mimo wszystkich twoich zwojów i wytwornego języka w głębi serca jesteś barbarzyńcą.

Tak oto dni upływały nam szybko, aż wreszcie któregoś ranka zajrzałem do kalendarza i stwierdziłem, że minęły już

ponad dwa miesiące, od kiedy moja pani Lostris na powrót podjęła swe małżeńskie obowiązki w łożu faraona. Choć nadal nie można było odczytać jej stanu z wyglądu, nadszedł już czas, by powiadomić króla o jego niebywałym szczęściu, o zbliżającym się ojcostwie.

Gdy oznajmiłem me zamiary mojej pani, jej uwagę zaprzętnął tylko jeden problem. Zmusiła mnie, bym przyrzekł, że zanim porozmawiam z królem, najpierw powiem Tanusowi, że to on jest prawdziwym ojcem noszonego przez nią dziecka. Tego samego popołudnia wyruszyłem do miasta, by spełnić obietnicę. Tanusa znalazłem w stoczni na zachodnim brzegu rzeki, gdzie obrzucał przekleństwami skutników i groził im, że nakarmi nimi krokodyle. Gdy mnie ujrzał, zapomniał o złości i zaprowadził na pokład zwodowanego tego ranka okrętu. Z dumą pokazał nową pompę do wybierania wody z dna, zamontowaną na wypadek gdyby okręt doznał jakichś uszkodzeń w trakcie bitwy. Zdawał się zapomnieć o tym, że to ja zaprojektowałem to urządzenie, więc w taktowny sposób o tym przypomniałem.

- Następnym razem każesz mi płacić za twoje pomysły, stary łotrze. Daję słowo, że jesteś równie skąpy jak syryjski kupiec. - Poklepał mnie po plecach i powiódł na drugi koniec pokładu, gdzie żaden marynarz nie mógł nas podsłuchać. Zniżył głos. - Jak się wie dzie twojej pani? Ostatniej nocy znowu o niej śniłem. Powiedz, miewa się dobrze? Co u jej sierotek? Jakież ma kochające serce, jakąż urodę! Całe Teby ją uwielbiają. Dokąd bym nie poszedł,

słyszę jej imię w rozmowach, a jego dźwięk pali mnie tak boleśnie jak wraźna w pierś dzida.

- Wkrótce będziesz miał ich dwoje do kochania - powiedziałem, a on wlepił we mnie wzrok i rozdziawił usta jak człowiek z nagła pozbawiony rozumu. - Owej nocy w grobowcu w Tras wydarzyło się więcej, nie tylko *khamsin*.

Pochwyił mnie w tak mocarny uścisk, że nie mogłem oddychać.

- Cóż to za zagadka? Mów otwarcie albo wrzucę cię do rzeki.

O czym gadasz, stary nicponiu? Nie baw się ze mną półsłówkami!

- Pani Lostris nosi twoje dziecko. Przysyła mnie, by ci to oznajmił, byś dowiedział się o tym jako pierwszy, nawet przed królem - wykrztusiłem. - A teraz puść mnie, zanim zrobisz mi krzywdę.

Uwolnił mnie tak niespodzianie, że ledwie nie wyleciałem za burtę.

- Moje dziecko! Mojego syna! - krzyknął. Zabawny był sposób, w jaki oboje natychmiast założyli, jaka będzie płeć tego biednego maleństwa. - To cud. To dar prosto od Horsa. - W tej chwili Tanus nie miał wątpliwości, że żaden inny mężczyzna w całej historii świata nie spłodził dotąd dziecka. - Mojego syna! - potrząsnął głową ze zdziwieniem, uśmiechając się idiotycznie.

- Moja kobieta i mój syn! Muszę zaraz do nich iść!

Pognał przez pokład, więc musiałem biec za nim, by go zatrzymać. Użyłem wszystkich moich zdolności perswazji, by powstrzymać go przed wpadnięciem do pałacu i wdarciem się do królewskiego haremu. Na koniec zabrałem go do najbliższej nadrzecznej tawerny, by wypić za pomyślność nienarodzonego dziecka. Szczęśliwym trafem popijała już tam banda Błękitnych po służbie. Zamówiłem i zapłaciłem za beczkę najprzedniejszego wina i zostawiłem ich przy niej. W tawernie siedzieli też ludzie z innych pułków, więc później niechybnie musiało dojść do zamieszek, jako że Tanus był w zawadiackim nastroju, a Błękitni nigdy nie potrzebowali zachęty do walki.

Prosto z karczmy udałem się do pałacu. Faraon ucieszył się na mój widok.

- Miałem właśnie po ciebie posłać, Taito. Zdecydowałem, że byliśmy zbyt skąpi w planowaniu bramy wejściowej do mojej świątyni. Chciałbym czegoś okazalszego...

- Faraonie! - zakrzyknąłem. - Wielki i Boski Egipcie! Przynoszę cudowne wieści. Bogini Izyda dotrzymała złożonej ci obietnicy. Twoja dynastia trwać będzie wiecznie. Proroctwo Labiryntów Amona-Re zostanie wypełnione. Księżyc mej pani stratowany został kopytami potężnego byka Egiptu! Pani Lostris nosi w swym łonie twego syna!

Teraz wszelkie myśli o pogrzebach i budowie świątyń wywietrzały faraonowi z głowy i jak w przypadku Tanusa jego pierwszym odruchem było udać się do Lostris. Prowadzeni przez króla, gnaliśmy pałacowymi korytarzami w gęstym strumieniu dworzan, burzliwym niczym wezbrane

wody Nilu. Moja pani oczekiwała nas w ogrodach haremu. Wiedziona naturalnym kobiecym sprytem, idealnie przygotowała scenerię tak, by w pełni ukazać swą urodę. Usadowiła się na niskiej ławce w otoczeniu klombów, a za jej plecami płynęła szeroka rzeka. Przez moment sądziłem, że król rzuci się przed nią na kolana, lecz nawet perspektywa nieśmiertelności nie zaćmiła aż tak dalece jego poczucia dostojności.

Zamiast tego zasypał ją gratulacjami, komplementami i żarliwymi pytaniami o zdrowie. Przez cały czas jego pełne ciekawości spojrzenie utkwione było w jej brzuchu, z którego w odpowiednim czasie miał wyłonić się ów cud.

- Moje kochane dziecko, czy brakuje ci czegoś do szczęścia? - zapytał w końcu. - Czy jest coś, co mógłbym uczynić, by ulżyć ci w zniesieniu tego trudnego okresu w twoim życiu?

Kolejny raz poczułem podziw dla mojej pani. Miała tak nienaganne wyczucie, który moment jest odpowiedni, że byłby z niej wielki generał albo handlarz zbożem.

- Wasza Wysokość, Teby to moje rodzinne miasto. Nigdzie indziej nie będę w pełni szczęśliwa. Błagam cię, byś w swej hojności i wyrozumiałości zezwolił na to, by twój syn urodził się w Tebach. Proszę, nie zmuszaj mnie do powrotu do Elefantyny.

Wstrzymałem oddech. Wybór siedziby dworu był decyzją wagi państwowej. Przeprowadzka władcy z miasta do miasta wpływała na życie tysięcy obywateli. Nie należało

podejmować tego rodzaju decyzji na podstawie kaprysu dziecka, które nie skończyło jeszcze szesnastu lat.

Faraona wyraźnie zdziwiło to życzenie, bo podrapał się pod sztuczną brodą.

- Chcesz mieszkać w Tebach? Dobrze więc, dwór przeniesie się do Teb! - Odwrócił się do mnie. - Taito, zaprojektuj mi nowy pałac - spojrzał znów na moją panią. - Postawimy go tam, na zachodnim brzegu, kochana? - wskazał dłonią przez rzekę.

- Na zachodnim brzegu jest chłodno i ślicznie - zgodziła się Lostris. - Tam będę bardzo szczęśliwa.

- Na zachodnim brzegu, Taito. Nie bądź nadto skromny w swoich projektach. To musi być dom odpowiedni dla syna faraona. Na imię będzie miał Memnon, władca świtu. Dom nazwiemy Pałacem Memnona.

Z taką więc łatwością moja pani obarczyła mnie górą pracy, a zarazem przyzwyczaiała króla do pierwszego z licznych żądań w imieniu skrytego w łonie potomka. Od tego momentu faraon nie potrafił odmówić jej niczego, o co poprosiła, czy były to zaszczytne tytuły dla tych, których kochała albo lubiła, jałmużny dla tych, których otoczyła swoją opieką, czy też rzadkie i egzotyczne potrawy sprowadzane dla niej z krańców imperium. Myślę, iż niczym nieznośne dziecko znajdowała przyjemność w badaniu granic swej nowej władzy, jaką posiadała nad królem.

Nigdy nie widziała śniegu, ale znała go z moich opowieści opartych na fragmentarycznych wspomnieniach z dzieciństwa, dotyczących górzystego kraju, w którym się

urodziłem. Poprosiła, by dostarczono jej trochę śniegu dla chłodzenia czoła podczas upałów panujących w dolinie Nilu. Faraon natychmiast zarządził specjalne igrzyska sportowe, podczas których wyłoniono stu najszybszych biegaczy w Górnym Królestwie. Posłano ich do Syrii, by przynieśli śnieg w specjalnym pudle mojej konstrukcji, które miało uchronić go przed stopieniem. To chyba jedyny jej kaprys, który nie został zaspokojony. Z owych odległych górskich szczytów otrzymaliśmy jedynie wilgotną plamę na dnie pojemnika.

We wszystkim innym dogadzano jej bez reszty. Któregoś dnia obecna była przy tym, jak Tanus przedstawiał królowi raport o szyku bojowym egipskiej floty. Moja pani siedziała cicho w kącie, dopóki Tanus nie skończył i nie został odprawiony, a wtedy zauważyła cicho:

- Słyszałam, że księżę Tanus jest naszym najlepszym generałem. Czy nie uważasz, boski mężu, że roztropnie byłoby awansować go na Wielkiego Lwa Egiptu i postawić na czele północnych oddziałów?

Raz jeszcze sapnąłem, zaskoczony jej bezczelnością, lecz faraon kiwnął z namysłem głową.

- Ta sama myśl i mnie przyszła do głowy, moja droga, choć jest jeszcze bardzo młody jak na to stanowisko.

Następnego dnia Tanus wezwany został na audiencję do króla, z której powrócił jako Wielki Lew Egiptu i dowódca północnego skrzydła armii. Wiekowego generała, będącego jego poprzednikiem, ufetowano obfitym wynagrodzeniem i przesunięto na mało znaczące, choć intratne stanowisko

na dworze królewskim. Tanus miał teraz pod swym dowództwem trzysta okrętów i prawie trzydzieści tysięcy ludzi. Awans oznaczał, że zajmował obecnie czwartą pod względem znaczenia pozycję w hierarchii dowodzenia, mając nad sobą jedynie Nembeta i dwóch innych zgrzybiałych starców.

- Księżę Tanus jest dumnym człowiekiem - poinformowała mnie pani Lostris, tak jakbym był kompletnie nieświadomy tego faktu. - Gdybyś kiedykolwiek wspomniał mu o moim udziale w jego awansie, sprzedam cię pierwszemu napotkanemu syryjskiemu kupcowi - zagroziła złowieszczo.

Przez cały ten czas jej brzuch, niegdyś tak gładki i kształtny, stopniowo się wypełniał. Oprócz wszystkich innych zadań, zobowiązany byłem do przekazywania codziennych sprawozdań z jego przemian nie tylko do królewskiego pałacu, lecz i do kwatery głównej północnej grupy armii.

Pracę przy budowie pałacu Memnona zacząłem pięć tygodni po otrzymaniu pierwotnego zlecenia od monarchy, albowiem aż tyle zajęło mi nakreślenie ostatecznych planów. Zarówno moja pani jak i król przyznali, że przerastały ich oczekiwania i że będzie to zdecydowanie najpiękniejszy budynek w całym kraju.

W dniu, kiedy rozpoczęły się roboty budowlane, statek przemysłowy, któremu po przekupieniu floty czerwonego uzurpatora z północy udało się przedrzeć przez blokadę, wszedł do portu w Tebach z ładunkiem drewna cedrowego

z Byblos. Jego kapitan był moim starym znajomym i miał dla mnie interesujące nowiny.

Po pierwsze poinformował mnie, że w Gazie widziano księcia Intefa. Mówiono, że podróżował z przepychem na Wschód w towarzystwie silnej eskorty. Udało mu się zatem przebyć pustynię Synaj albo też znalazł statek, który przewiózł go do ujścia Nilu i dalej na wschód wzdłuż brzegu wielkiego morza.

Kapitan przekazał i inne wieści. W owym czasie wydawały się mało znaczące, lecz miały odmienić losy naszego Egiptu i nas wszystkich mieszkających wzdłuż rzeki. Podobno, gnając inne ludy przed sobą z nieznannej krainy na wschód od Syrii, pojawił się nowy, wojowniczy szczep. Nikt nie wiedział niczego pewnego o tym plemieniu wojowników poza tym jedynie, że rzekomo wykształciło ono nowy, niewidziany dotąd rodzaj sztuki wojennej. Było w stanie niezwykle szybko pokonywać wielkie odległości i żadna armia nie mogła stawić mu czoła.

Niesamowite plotki o nowych wrogach gotujących się do napaści na Egipt były rzeczą codzienną. Słyszałem już pięćdziesiąt takich jak ta i nie przejmowałem się nią bardziej niż pozostałymi. Kapitan stanowił jednak na ogół godne zaufania źródło informacji, tak więc przy najbliższym spotkaniu wspomniałem o jego opowieści Tanusowi.

- Nikt nie może stawić czoła temu tajemniczemu nieprzyjacielowi? - uśmiechnął się Tanus. - Chciałbym zobaczyć, jak zwiera się z moimi chłopakami, pokazałbym mu prawdziwe znaczenie słowa „niepokonani”. Mówiłeś, że

jak się nazywają ci potężni wojownicy przemierzający się niczym wiatr?

- Podobno sami zważają się Królami-Pasterzami - odparłem. - Hyksosami.

Nie wypowiadałbym tej nazwy z podobną lekkością, gdybym pojmował wówczas, co miała wkrótce oznaczać dla naszego świata.

- Pasterze, co? Cóż, w moich łotrach nie znajdą stadka łatwego do zagonienia - zlekceważył ten problem i okazał znacznie większe zainteresowanie nowinami o księciu Intefie. - Gdybyśmy tylko mogli mieć pewność co do prawdziwego miejsca jego pobytu, posłałbym oddział żołnierzy, by go uwięzili i sprowadzili przed sąd. Za każdym razem gdy przemierzam majątki, które niegdyś należały do mojego rodu, czuję u swego boku ducha mojego ojca. Wiem, że dopóki go nie pomszczę, nigdy nie zazna spoczynku.

- Gdyby tylko było to takie łatwe - potrząsnąłem głową. - Intef jest sprytny niczym pustynny lis. Nie sądzę, byśmy ujrzeli go jeszcze kiedyś w Egipcie.

Bogowie ciemności musieli pokładać się ze śmiechu, gdy to mówiłem.

Kiedy ciąża mojej pani stawała się coraz bardziej widoczna, zdołałem nakłonić ją do ograniczenia aktywności. Zabroniłem odwiedzać szpitale i sierocińce, obawiając się zarażenia jej i nienarodzonego dziecka robactwem tudzież chorobami biedoty. Gdy upał sięgał szczytu, sadzałem ją w altanie, którą wybudowałem w wodnym ogrodzie dla

wielkiego wezyra. Protestowała przeciw nudzie związanej z tą przymusową bezczynnością, lecz faraon ku jej uciechu przysłał do ogrodu muzyków, a i ja dałem się namówić do porzucenia pracy przy pałacu Memnona, by dotrzymać jej towarzystwa, opowiadać historie i omawiać z nią najnowsze wyczyny Tanusa.

Jej dietę traktowałem z całą surowością, zabroniłem picia wina i piwa. Poleciałem pałacowym ogrodnikom, by co dzień dostarczali świeże owoce i warzywa, odkrawałem też cały tłuszcz z przygotowywanego dla niej mięsa, wiedząc, że rozleniwiliby i spowolnił śpiące w jej brzuchu dziecko. Osobiście przygotowywałem jedzenie, a co noc po odprowadzeniu jej do sypialni mieszałem specjalną miksturę z ziół i soków, by wzmocnić potomka.

Oczywiście kiedy znienacka oznajmiała, że musi dostać gulasz z wątroby i nerek gazeli, sałatkę z języków skowronków czy też pieczoną pierś dzikiego dropia, król bezzwłocznie posyłał na pustynię setkę swych myśliwych, by zdobyli dla niej owe smakołyki. Unikałem wspomnienia księciu Tanusowi o jej osobliwych pragnieniach, gdyż obawiałem się, iż usłyszę, że miał prowadzić wojnę przeciw fałszywemu faraonowi, północna armia wysłana została na pustynię, by polować na gazy, skowronki czy dropie.

Kiedy zaczął zbliżać się dzień połogu, niepokój spędzał mi sen z powiek. Obiecałem królowi księcia, lecz monarcha nie oczekiwał tak szybkiego zjawienia się swego dziedzica. Nawet bóg potrafi zliczyć dni, jakie upłynęły od rozpoczęcia

święta Ozyrysa. Nic nie mógłbym poradzić w przypadku, gdyby dziecko okazało się księżniczką, ale przynajmniej mogłem przygotować faraona na jego przedwczesne przybycie.

Faraon poczuł teraz zainteresowanie sprawami ciąży i porodu, które chwilowo dorównało jego obsesji na temat świątyń i grobowców. Prawie co dzień musiałem go zapewniać, że dosyć wąskie biodra pani Lostris nie będą stanowić przeszkody w normalnym rodzeniu i że jej młody wiek nie tylko nie jest szkodliwy, lecz wręcz wysoce korzystny dla udanego zakończenia naszego przedsięwzięcia.

Skorzystałem z tej okazji, by poinformować go o interesującym, choć mało znanym fakcie, a mianowicie, że wielu znanych atletów, wojowników i mędrców minionych wieków przedwcześnie ujrzało światło dzienne.

- Wierzę, Wasza Wysokość, że analogię stanowi tu przypadek leniucha, który zbyt długo wyleguje się w łóżku, marnując w ten sposób swoją energię, podczas gdy wielcy ludzie są z reguły rannymi ptaszkami. Zauważyłem, że ty, Boski Faraonie, zawsze wstajesz przed wschodem słońca. Nie zdziwiłbym się przeto słysząc, że i ty zostałeś przedwcześnie urodzony. - Wiedziałem, że tak nie było, lecz naturalnie nie mógł teraz mi zaprzeczyć. - Byłaby to nader przychylna okoliczność, gdyby twój książę poszedł w ślady swego ojca i przed czasem opuścił łono matki.

Miałem nadzieję, że nie przesadziłem z nachalnością w prezentowaniu mojego stanowiska, ale król wydawał się

przekonany moją elokwencją.

Koniec końców dziecko uprzejmie wsparło moje starania, o prawie dwa tygodnie przekraczając wyznaczony termin, ja zaś nie czyniłem niczego, by je ponaglić. Czas trwania ciąży był wystarczająco zbliżony do normalnego, by zapobiec powstaniu plotek, a z drugiej strony faraon został pobłogosławiony przedwczesnym przyjściem na świat, w którego pożądaną charakter zdążył już uwierzyć.

Nie zaskoczyło mnie wcale to, że moja pani zaczęła rodzić o najmniej odpowiedniej porze. Wody spłynęły podczas trzeciej nocnej stróży. Nie było jej zwyczajem ułatwianie mi życia. Lecz przynajmniej miałem pretekst, by uniknąć korzystania z usług położnej, jako że nie ufałem zbyt tym staruchom o długich, połamanych paznokciach, pod którymi kruszyła się czarna, zaschnięta krew.

Skoro już zaczęła, moja pani Lostris działała ze zwykłą sobie zimną krwią i pośpiechem. Ledwie miałem czas, by otrząsnąć się ze snu, wyszorować dłonie w gorącym winie i poświęcić narzędzia w ogniu lampy, gdy chrząknęła i oznajmiła całkiem radosnym tonem:

- Lepiej przyjrzyj się jeszcze raz, Taito. Myślę, że coś się dzieje.

Chociaż wiedziałem, że jest o wiele za wcześnie, posłuchałem jej z czystej życzliwości. Starczyło jedno spojrzenie i już wrzeszczałem na jej niewolnice.

- Pospieszcie się, wy leniwe ulicznice! Sprowadźcie królewskie małżonki!

- Które? - pierwsza dziewczyna odpowiedziała na moje wezwanie, wlokąc się półnaga przez pokój, wciąż jeszcze na poły pogrążona we śnie.

- Wszystkie, którekolwiek.

Żaden książę nie mógł odziedziczyć podwójnej korony, jeżeli przy jego porodzie nie było świadków, którzy mogli oficjalnie potwierdzić, że nie podmieniono dziecka.

Królewskie damy zaczęły przybywać dokładnie wtedy, gdy dziecko po raz pierwszy wyjrzało na świat. Wszechpotężna konwulsja wstrząsnęła moją panią, a potem wyłonił się czubek głowy noworodka. Obawiałem się, że może być pokryta rudozłotymi lokami, lecz oto ujrzałem gęstą, ciemną czuprynę przypominającą futro rzecznej wydry. Jej kolor zmienił się dopiero znacznie później i w tych czarnych kudłach poczęła przebłyskiwać czerwień, niczym ścianki oszlifowanych granatów, a i to tylko wtedy, gdy świeciło na nie słońce.

- Przyj! - krzyknąłem do mojej pani. - Przyj mocno!

Zareagowała energicznie. Młode kości miednicy, jeszcze nieusztywnione upływem lat, rozwarły się, by przepuścić noworodka. Dziecko kompletnie mnie zaskoczyło. Wystrzeliło jak kamień z procy i drobne, śliskie ciałoomal nie wypadło mi z rąk.

Zanim zdążyłem je pewnie uchwycić, moja pani podniosła się z wysiłkiem na łokciu. Jej włosy przylepione były potem do skóry, na twarzy malował się bliski rozpaczyny niepokój.

- Chłopiec? Powiedz mi! Powiedz mi!

Wypełniające pokój królewskie małżonki były świadkami pierwszej czynności, jaką wykonało dziecko po przybyciu na nasz świat. Z penisa długiego jak mój mały palec książę Memnon, pierwszy tego imienia, wystrzelił fontannę prawie pod sam sufit. Znalazłem się prosto na trasie tego ciepłego strumienia, który przemoczył mnie do skóry.

- Czy to chłopiec? - zawołała ponownie moja pani, a tuzin głosów odpowiedział jej chóralnie.

- Chłopiec! Niech żyje Memnon, następca tronu Egiptu!

Gdy rozległ się jego pierwszy krzyk, rozgniewany i płonący złością, wciąż nie byłem w stanie mówić, gdyż paliła mnie w oczy nie tylko monarsza uryna, lecz i łzy radości oraz ulgi.

Memnon zamachał mi przed twarzą rękoma, kopiąc tak mocno, że o mało co, a puściłbym go. W miarę jak odzyskiwałem wzrok, dostrzegałem przed sobą silne, smukłe ciało i drobną, dumną główkę porośniętą gęstymi, czarnymi włosami.

Już dawno straciłem rachubę tego, jak wiele noworodków przyjmowałem, lecz żadne z moich doświadczeń nie przygotowało mnie na coś takiego. Poczułem, jak w tej jednej chwili krystalizuje się cała miłość i oddanie, do jakich byłem zdolny. Zrozumiałem, że zaczęło się coś, co trwać będzie całe me życie i co nasilać się będzie z każdym mijającym dniem. Zrozumiałem, że w moim życiu nastąpił kolejny zwrot i że nic nie pozostanie już takie jak przedtem.

Gdy przecinałem pępowinę i obmywałem dziecko, napełniło mnie uczucie zabobonnej bojaźni, jakiej nigdy nie

zaznałem w sanktuarium żadnego z przelicznych bogów Egiptu. Napawałem oczy i duszę widokiem tego doskonałego ciała i czerwonej, pomarszczonej twarzy, na której oznaki siły i upartej odwagi odciskały się równie wyraźnie jak w rysach jego prawdziwego ojca.

Złożyłem go w ramionach matki, a gdy przywarł do nabrzmiałego sutka jak lampart do gardła gazeli, moja pani podniosła na mnie spojrzenie. Brakowało mi słów, lecz tego, co między nami zaszło, nie można by ubrać w żadne słowa. Oboje wiedzieliśmy. Zaczęło się coś tak cudownego, że na razie żadne z nas nie było w stanie tego ogarnąć.

Pozostawiłem ją sam na sam z radością z nowo narodzonego syna i udałem się z wieściami do króla. Nie spieszyłem się zbyt. Wiedziałem, że nowina już dawno do niego dotarła. Królewskie damy nie słyną z małomówności. W tejże chwili był prawdopodobnie w drodze do haremu.

Ogarnięty uczuciem nierealności rodem ze snu, zamarudziłem nieco w ogrodzie wodnym. Świtało i bóg słońca, Amon-Re, ukazał skraj swego ognistego dysku nad wschodnimi wzgórzami. Wyszepiałem skierowaną ku niemu dziękczynną modlitwę. Gdy stałem tak z podniesionymi oczyma, nad ogrodami poczęło krążyć stado pałacowych gołębi. Promienie słońca lśniły na skrzydłach, ptaki błyszczały na niebie niczym jaskrawe klejnoty.

Wtedy dostrzegłem ciemną plamkę wysoko nad kołującym stadem i nawet z takiej odległości natychmiast ją rozpoznałem. Był to dziki sokół przybyły znad pustyni. Drapieżnik złożył ostre skrzydła i rozpoczął nurkowanie.

Upatrzył sobie ptaka prowadzącego stado, a jego atak był zabójczo precyzyjny i nie do uniknięcia. Uderzył gołębia wśród chmury pierza przypominającej szary dym. Jego ofiara zginęła w locie. Sokół zawsze trzyma się swojej zdobyczy i opada na ziemię, ściskając ją w pazurach.

Tym razem tak się nie stało. Zabił gołębia, a potem rozwarł szpony i wypuścił go. Zmiażdżone ciało ptaka runęło w dół, a sokół z ochryplym krzykiem zatoczył krąg nad moją głową. Trzykrotnie wykonywał nade mną koło i trzykrotnie wydawał przenikliwy, wojowniczy okrzyk. Trzy to jedna z najpotężniejszych liczb magicznych. Z tych wszystkich znaków pojąłem, że nie było to zjawisko naturalne. Sokół był posłańcem, a może nawet bogiem Horusem w odmienionej postaci.

Martwy gołąb upadł u mych stóp, kropelki ciepłej krwi opryskały mi sandały. Zrozumiałem, że był to znak od boga, dowód jego ochrony i poparcia dla małego księcia. Pojąłem też, że przybyło mi jeszcze jedno zadanie. Bóg polecał go mojej opiece.

Ująłem martwego gołębia w ręce i uniosłem ku niebu.

- Z radością przyjmuję ten obowiązek, jakim mnie obarczyłeś, o Horusie. Przez wszystkie dni mego życia będę mu wierny.

Sokół zawołał ponownie, ostatnim, dzikim krzykiem, a potem zawrócił i szybkimi, tnącymi uderzeniami skrzydeł odleciał na drugą stronę szerokich wód Nilu i zniknął w surowej krainie, kierując się ku zachodnim równinom raj, gdzie mieszkają bogowie.

Ze skrzydła gołębia wyrwałem pojedyncze pióro. Trochę później umieściłem je pod materacem w łóżeczku księcia, by przynosiło mu szczęście.

Radość faraona i duma z dziedzica nie miały granic. Na jego cześć ogłosił ogólnokrajowe święto narodzin. Przez całą noc mieszkańcy Górnego Egiptu śpiewali i tańczyli na ulicach, opychając się darowanym przez władcę mięsem i winem. Błogosławili księcia Memnona za każdym razem, gdy zawartość kolejnej misy znikwała w ich gardłach. To, że był synem mojej pani Lostris, którą miłowali, uczyniło jego narodziny tym radośniejszym wydarzeniem.

Młodość mojej pani i szybkość, z jaką dochodziła do siebie po trudach porodu, sprawiły, że po paru dniach czuła się dość dobrze, by pojawić się przed całym dworem monarchy Egiptu z niemowlęciem przy piersi. Gdy zasiadła na mniejszym tronie poniżej królewskiego, stanowiła obraz uroczego, młodego macierzyństwa. Rozchyliła szaty, wyjęła nabrzmiąłą mlekiem pierś i podała dziecku do ssania na oczach wszystkich zgromadzonych. Okrzyki entuzjazmu były tak donośne, że wystraszyły malucha. Memnon wypluł sutek i z zaczerwienioną z oburzenia twarzą ryknął na nich, co momentalnie podbiło serca całego narodu.

- To lew - oznajmili zebrani. - W jego sercu płynie krew królów i wojowników.

Gdy już uciszono księcia, zatykając mu usta sutkiem, faraon powstał, by przemówić do nas, swoich poddanych.

- Uznaję to dziecko za mego potomka, z mojej krwi i pierwszego w linii do tronu. Jest moim pierworodnym

synem i zostanie po mnie faraonem. Wam, szlachetni panowie i panie, wszystkim moim poddanym powierzam księcia Memnona.

Entuzjazm nie miał końca, jako że nikt nie chciał zamilknąć pierwszy, podając w ten sposób w wątpliwość swoją wierność.

Przez cały ten czas stałem wraz z innymi sługami i niewolnikami w służbie królewskiej na jednej z górnych galerii wychodzących na wielką salę. Wyciągając szyję, zdołałem wyłowić z tłumu wysoką postać księcia Tanusa. Znajdował się w trzecim rzędzie za tronem, wraz z Nembetem i pozostałymi dowódcami armii. Choć wiwatował jak inni, na jego szerokiej, otwartej twarzy bez trudu odczytywałem uczucie, które starał się ukryć. Inny mężczyzna przyznawał się do jego syna, a on nie mógł temu zapobiec. Nawet ja, który tak dobrze go rozumiałem, mogłem jedynie domyślać się rozmiarów jego cierpienia.

Gdy wreszcie król nakazał ciszę i uwaga wszystkich ponownie skupiła się na nim, odezwał się raz jeszcze:

- Polecam waszej opiece także i matkę księcia, panią Lostris. Wiedźcie wszyscy, że zasiada teraz najbliżej mego tronu. Od tego dnia wyniesiona zostaje na pozycję pierwszej małżonki faraona. Odtąd zwać się będzie królową Lostris, rangą zaś i pierwszeństwem stoi jako trzecia, zaraz po królu i księciu. Ponadto, dopóki książę nie osiągnie wieku dojrzałego, królowa Lostris działać będzie jako moja regentka i kiedy już przestanę być zdolny do sprawowania władzy, w moim zastępstwie stanie na czele narodu.

Nie sędzę, by w całym Górnym Królestwie znalazł się ktoś, kto nie kochałby mojej pani, może z wyjątkiem paru królewskich żon, które nie potrafiły zapewnić władcy męskiego potomka i ustępowały jej teraz rangą na dworze. Wszyscy inni aplauzem, jakim powitali to obwieszczenie, dawali wyraz swej miłości.

Na zakończenie uroczystości wyznaczenia dziedzica królewska rodzina opuściła salę. Na głównym dziedzińcu faraon wsiadł do paradnych sań i z królową Lostris usadowioną u jego boku z księciem w ramionach zawieszony został przez zaprzęg białych wołów aleją baranów do świątyni Ozyrysa, by złożyć bogu ofiarę. Obie strony alei zatłoczone były ustawionymi w sto szeregów mieszkańcami Teb. Potężnym głosem okazywali swe oddanie królowi oraz miłość do królowej i nowo narodzonego księcia.

Tej nocy, gdy usługiwałem jej i dziecku, Lostris wyszeptała do mnie:

- Och, Taito, widziałeś w tłumie Tanusa? Cóż to był za dzień radości przemieszanej ze smutkiem. Byłam bliska płaczu nad moim ukochanym. Był taki dumny i dzielny, a musiał przyglądać i przysłuchiwać się temu, jak odbiera mu się jego syna. Chciałam zerwać się na nogi wśród całej tej ciżby i zakrzyknąć: „Oto syn Tanusa, księcia Harrab, kocham ich obu”.

- Cieszę się ze względu na nas wszystkich, Wasza Wysokość, że choć raz zdołałaś powstrzymać swój nieokiełznany język.

- To takie dziwne - zachichotała - słyszeć, że się do mnie zwracasz „wasza wysokość”. Czuję się przez to jak uzurpator.

Przystawiła księcia do drugiej piersi, a wskutek tego ruchu Memnon obiema końcami swego ciała wypuścił podwójny strumień powietrza o prawdziwie imperialnym napięciu i dźwięczności.

- Od razu widać, że poczęto go wśród burzy - zauważyłem sucho, ona zaś zachichotała ponownie, lecz zaraz westchnęła z żalnością.

- Mój ukochany Tanus nigdy nie będzie dzielił z nami tych intymnych chwil. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że nie miał jeszcze Memnona w ramionach i że być może nigdy do tego nie dojdzie? Chyba znowu się rozpłaczę.

- Opanuj się, pani. Twe mleko może skwaśnieć od płaczu. To ostrzeżenie było tyleż nieprawdziwe, co skuteczne w naginaniu jej do mojej woli. Lostris przełknęła łzy.

- Czy nie ma sposobu na to, by umożliwić Tanusowi cieszenie się dzieckiem wraz z nami?

Zastanawiałem się przez chwilę, a potem uczyniłem sugestię, która sprawiła, że Lostris krzyknęła z radości. Jak gdyby na znak poparcia mych słów, książę ponownie donośnie wypuścił wiatry.

Zaraz następnego dnia, gdy faraon odwiedził swego syna, królowa wcieliła moją propozycję w życie.

- Drogi i boski mężu, czy poświęciłeś już należną uwagę wyborowi oficjalnych wychowawców dla księcia Memnona?

Faraon roześmiał się pobłażliwie.

- To jeszcze niemowlę. Czy zanim otrzyma przeszkolenie w innych dziedzinach, nie powinien najpierw nauczyć się chodzić i mówić?

- Uważam, że opiekunowie powinni być mianowani już teraz, by mogli lepiej poznać dziecko.

- Dobrze - król uśmiechnął się i położył księcia na kolanie.

- Kogo proponujesz?

- Do jego wykształcenia potrzebujemy jednego z naszych wybitnych uczonych. Kogoś, kto zna się na wszystkich naukach i sekretach.

Rozbawienie błysnęło w oku króla.

- Nie przychodzi mi na myśl nikt, kto odpowiadałby takiemu opisowi.

Uśmiechnął się do mnie. Dziecko odmieniło usposobienie faraona; od chwili narodzin Memnona stał się wręcz jowialny i przez moment spodziewałem się, że do mnie mrugnie. Jednak nawet jego nowa pogodna postawa wobec życia nie pozwalała mu posunąć się aż tak daleko.

- Dalej potrzebujemy też żołnierza, wprawnego w sztukach wojennych i władaniu bronią, by wyszkolił go na wojownika - kontynuowała królowa, niewzruszona tą wymianą spojrzeń.

- Uważam, że powinien być młody i z dobrego rodu. Oczywiście godny zaufania oraz wierny koronie.

- Kogo proponujesz na tę pozycję, kochanie? Jedyne nieliczni spośród moich żołnierzy obdarzeni są wszystkimi tymi cnotami.

Nie sądzę, by w tym pytaniu monarchy krył się podstęp czy złośliwość, ale moja pani nie była głupia. Wdzięcznym ruchem pochyliła głowę i odparła:

- Król jest mądry i wie, który z jego generałów najbardziej nadaje się do tej funkcji.

Podczas następnej audiencji król ogłosił imiona wychowawców księcia. Niewolnik i medyk Taita miał być odpowiedzialny za wykształcenie oraz maniery Memnona. To mało kogo zaskoczyło, lecz dalsze słowa króla wywołały szmer komentarzy.

- Za jego wyszkolenie we władaniu bronią oraz za znajomość prawideł taktyki i strategii wojennej będzie odtąd odpowiedzialny Wielki Lew Egiptu, książę Harrab.

Zgodnie z tą decyzją obowiązkiem księcia Harrab na początku każdego tygodnia, jeśli tylko nie przebywał na wyprawie, było służenie księciu.

Na czas oczekiwania na ukończenie budowy swych apartamentów w nowym pałacu, który wznosiłem po drugiej stronie rzeki, moja pani przeniosła się z haremu do tego skrzydła posesji wielkiego wezyra, które wychodziło na ogród wodny, jaki zaprojektowałem dla jej ojca. Pozostawało to w zgodzie z jej nowym statusem pierwszej małżonki i towarzyszki faraona. Cotygodniowe audiencje, na których książę Memnon przyjmował swoich oficjalnych wychowawców, odbywały się w altanie w obecności królowej Lostris. Bardzo często towarzyszyło jej kilkudziesięciu innych urzędników czy dworzan, a czasami

zjawiał się sam faraon wraz ze świtą, tak więc nasza swoboda poczynąń pozostawała znacznie ograniczona.

Raz na jakiś czas jednakże obecna była jedynie nasza czwórka. Zaraz przy pierwszej okazji, gdy udało się nam znaleźć chwilę takiej prywatności, królowa Lostris po raz pierwszy umieściła księcia w ramionach jego ojca i byłem świadkiem niepohamowanej radości, z jaką Tanus patrzył na swego syna. Memnon uczcił doniosłość sytuacji, pokrywając wymiocinami przód odzienia rodzica, lecz nawet wtedy Tanus nie chciał go oddać.

Odtąd z każdym specjalnym wydarzeniem w życiu dziecka czekaliśmy na chwilę, w której Tanus był z nami. To on nakarmił go pierwszą łyżką kleiku, a księżę okazał się tak wstrząśnięty owym niezwykłym pokarmem, że wykrzywił twarz i wypluł drażniącą go substancję na brodę. Potem, by spłukać ten smak z ust, głośnym wrzaskiem domagać się począł matczynego mleka. Królowa Lostris wzięła go w objęcia i podała mu pierś, a Tanus patrzył na to wielce zafascynowany. Niespodzianie wyciągnął rękę i zabrał sutek z małej buzi. To rozbawiło wszystkich oprócz księcia i mnie. Memnon był niezmiernie rozżłoszczony tak bezceremonialnym traktowaniem, ja zaś przeżyłem wstrząs. Wyobraziłem sobie, jak niespodzianie zjawia się król i widzi Wielkiego Lwa Egiptu z dłonią na piersi królowej, nie przejawiającego najmniejszej chęci, by zwolnić uchwyt.

Kiedy jak najśluszniej zaprotestowałem, moja pani odparła:

- Nie bądź taką przyzwoitką Taito. To tylko niewinna zabawa.

- Owszem, zabawa. Istnieją wszakże pewne wątpliwości co do jej niewinnego charakteru - wymruczałem, gdy dostrzegłem, jak rozjaśniają się ich twarze podczas tego intymnego dotyku, i wyczułem namiętność wiszącą w powietrzu niczym burza. Wiedziałem, iż nie są w stanie dłużej się powstrzymać, więc nawet poczucie obowiązku i honoru Tanusa musi w końcu ustąpić przed tak wielką miłością.

Tego samego wieczoru odwiedziłem świątynię Horusa i złożyłem hojną ofiarę. Potem pomodliłem się.

- Oby proroctwo Labiryntów już się spełniło, gdyż oni nie potrafią już nad sobą panować - poprosiłem boga. - To zaś oznaczać będzie śmierć i hańbę dla nas wszystkich.

Czasami najlepszą rzeczą, jaką człowiek może zrobić, jest niewtrącanie się w sprawy przeznaczenia. Na nasze modlitwy udzielona być może odpowiedź, której się nie spodziewamy i wcale sobie nie życzymy.

Byłem lekarzem księcia, lecz prawdę mówiąc rzadko musiał korzystać z moich medycznych zdolności. Po ojcu obdarzony był krzepkim, mocnym ciałem oraz niezwykłą jak na ten wiek siłą. Jego apetyt i trawienie godne były pozazdroszczenia. Wszystko, co umieszczone zostało w jego ustach, pochłaniał z lwią żarłocznością i wkrótce wyłaniało się to na powrót drugim końcem w pożądanym kształcie i konsystencji.

Spał bez przerw i budził się, wrzeszcząc o jedzenie. Gdy pokazywałem mu palec, wodził za nim wielkimi, ciemnymi oczami, a gdy tylko palec znalazł się w jego zasięgu, chwycił go i próbował podciągnąć się do pozycji siedzącej. Próby te uwieńczył sukcesem wcześniej od innych dzieci, jakimi się opiekowałem. Stawał i raczkował w wieku, gdy maluchy dopiero zaczynają siadać. Pierwszy chwiejny krok postawił, gdy inne dopiero zaczynają raczkować.

Tanus był obecny owego doniosłego dnia. Dwa poprzednie miesiące spędził na wyprawie wojennej, gdyż siły czerwonego uzurpatora zdobyły Asjut. Miasto to było kluczowym punktem naszej linii obronnej na północy i faraon rozkazał Tanusowi z całą flotą udać się w dół rzeki i odbić je.

Znacznie później dowiedziałem się od Kratasa, jak zacięty był sam bój, lecz w końcu Tanus wdarł się na mury i na czele swych ukochanych Błękitnych wpadł do miasta. Uzurpator został wyparty z Asjut i przegnany w głąb swych ziem z krwawymi stratami.

Tanus pożeglował z powrotem do Teb, by otrzymać dowód wdzięczności królestwa. Faraon zawiesił na jego ramionach kolejny łańcuch, Złoto Męstwa, i nadrobił zaległości w wypłacie żołdu dla wszystkich oddziałów, które pomogły w osiągnięciu zwycięstwa.

Wprost od króla Tanus przybył do altany w ogrodzie wodnym, gdzie na niego czekaliśmy. Stałem na straży przy wejściu, a Tanus i moja pani objęli się z ogniem, który rozpalił się jasno przez czas, gdy byli od siebie oddaleni.

Musiałem w końcu ich rozdzielić, gdyż ów uścisk doprowadzić mógł tylko do jednego.

- Książę Tanusie - zawołałem ostro. - Książę Memnon się niecierpliwi.

Rozłączyli się niechętnie i Tanus podszedł do niemowlaka leżącego nago na błamie szakalich skór, jaki rozłożyłem dla niego w cieniu. Tanus przykląkł przed nim na jedno kolano.

- Witaj, Wasza Książęca Wysokość. Przynoszę ci wieści o triumfie naszego oręża... - zażartował z miłością w głosie, a Memnon krzyknął radośnie, rozpoznawszy ojca, i wtedy w oko wpadł mu migoczący złoty łańcuch. Wielkim wysiłkiem dźwignął się na nogi. Zrobił cztery niepewne kroki, chwycił łańcuch i zacisnął na nim obie dłonie.

Wszyscy powitaliśmy ten wyczyn brawami, a Memnon, dla zachowania równowagi trzymając się łańcucha, potoczył dookoła promiennym spojrzeniem, przyjmując pochwały jako coś należnego.

- Na skrzydła Horusa, złoty metal przyciąga jego spojrzenie zupełnie jak twoje, Taito - zaśmiał się Tanus.

- To nie złoto go przyciąga, lecz jego zdobywanie - oznajmiła mojąpani. - Pewnego dnia na jego piersi także zawiśnie Złoto Męstwa.

- Nie wątpię. - Tanus podniósł chłopca wysoko, Memnon zaś krzyknął z radości, wymachując nogami i zachęcając Tanusa do dalszej zabawy.

Tak oto dla Tanusa i dla mnie postępy dziecka odmierzały upływ pór roku równie dokładnie jak wznoszenie się i opadanie rzeki. Z drugiej strony życie mej pani obracało

się wokół tych paru godzin spędzanych na osobności z dzieckiem i tym mężczyzną.

Każda przerwa między wizytami Tanusa była zbyt długa, każde jego odwiedziny zbyt krótkie.

Owego lata wylew był pomyślniejszy od wszystkich, jakie dotąd przewidzieliśmy podczas uroczystości wód w Elefantynie. Gdy powódź ustąpiła, pola lśniły pod nową warstwą czarnego mułu. W swoim czasie pokryta została gęstą zielenią pszenicy i owoców. Kiedy księżę postawił swój pierwszy krok, spichlerze Egiptu zapchane już zostały po brzegi, a spiżarnie najbiedniejszych nawet mieszkańców wypełniły się. Na zachodnim brzegu pałac Memnona nabierał kształtów, wojna na północy zaś przebiegała po naszej myśli. Bogowie spoglądali przychylnie na faraona i całe jego państwo.

Jedyny powód do niezadowolenia stanowiło to, że dwoje kochanków, choć fizycznie tak bliskich, że mogli się dotknąć, rozdzielonych było przepaścią szerszą niż dolina, w której mieszkaliśmy. Każde z nich często nagabywało mnie o przepowiednię Labiryntów Amona-Re, tak jakbym ja był osobiście odpowiedzialny za wypełnienie się sennych wizji. Na próżno protestowałem, że jestem jedynie zwierciadłem, w którym odbija się przyszłość, nie zaś tym, który przesuwam kamienie na planszy przeznaczenia.

Stary rok odszedł i rzeka ponownie zaczęła wzbierać, zamykając cykl. Był to czwarty wylew przepowiedziany przez Labirynty. Tak jak każde z nich i ja oczekiwałem spełnienia się mej zaczerpniętej z przepowiedni wizji przed

końcem tego roku. Ponieważ nic się nie zmieniało, moja pani i Tanus niejednokrotnie robili mi wyrzuty.

- Kiedy stanę się wolna i będę mogła wyjść za Tanusa? - wzdychała królowa Lostris. - Musisz coś zrobić, Taito.

- Swoje pytania powinnaś kierować nie do mnie, lecz do bogów. Ja mogę się do nich modlić, ale to wszystko, co jestem w stanie uczynić.

Kolejny rok minął, nie przynosząc zmiany w naszym położeniu, i nawet Tanus nie krył się ze swoim rozgoryczeniem.

- Tak wielką wiarę w tobie pokładałem, że na twoim słowie oparłem moje przyszłe szczęście. Przysięgam ci, Taito, że jeżeli czegoś szybko nie zrobisz... -przerwał i zmierzył mnie wzrokiem. Groźba była tym wymowniejsza, że pozostała niewypowiedziana.

Przeszedł jeszcze jeden rok i nawet ja skłonny byłem powątpiewać we własną przepowiednię. Zacząłem podejrzewać, że bogowie zmienili zamiary albo też że to, co widziałem, okazało się jedynie złudzeniem opartym na moich pobożnych życzeniach.

Księżę Memnon miał już prawie pięć lat, jego matka zaś dwadzieścia jeden, gdy na jednym z naszych zwiadowczych okrętów przybył posłaniec, uciekający z północy z obłędem w oczach.

- Delta padła. Czerwony uzurpator nie żyje. Dolne Królestwo stoi w ogniu. Miasta Memfis i Awaris zostały zniszczone. Świątynie spalone do fundamentów, a posągi bogów obalone na ziemię! - wykrzyczał.

- To nie jest możliwe. Pragnąłbym uwierzyć w tę wiadomość, lecz nie potrafię - odparł faraon. - Jak mogłoby się to zdarzyć bez naszej wiedzy? Uzurpator dysponował wielkimi siłami, przez ponad piętnaście lat nie byliśmy zdolni go obalić. W jaki sposób doszło do tego z dnia na dzień i kto tego dokonał?

Posłaniec dygotał ze strachu i zmęczenia, gdyż miał za sobą ciężką podróż, a wiedział też, jak traktowani są w Tebach wysłannicy przynoszący katastrofalne wieści.

- Czerwony uzurpator padł, nie wyciągnąwszy miecza z pochwy. Jego wojska zostały rozproszone, zanim trąby bojowe zdążyły zagrać na alarm.

- Jak do tego doszło?

- Boski Egipcie, nie wiem. Ludzie powiadają, że ze Wschodu wyłonił się nowy przerażający przeciwnik, chyży niczym wiatr, i że żaden naród nie uchowa się przed jego gniewem. Nasza armia wycofuje się z północnej granicy na całej linii, choć nikt nie widział wroga na oczy. Nawet najdzielniejsi nie chcą zostać, by stawić mu czoło.

- Kim jest ów przeciwnik? - zapytał monarcha i po raz pierwszy usłyszeliśmy przestrach w jego głosie.

- Nazywają go Królem-Pasterzem. Jego imię jest Hyksos.

Tanus i ja kpiliśmy sobie niegdyś z tego imienia. Już nigdy więcej tego nie uczynimy.

Faraon zwołał swą radę wojenną na tajne zebranie. Dopiero znacznie później dowiedziałem się od Kratasa o wszystkim, co wydarzyło się podczas owych obrad. Tanus oczywiście nie złamałby przysięgi milczenia i nie wyjawiłby sekretu

nawet mnie czy mojej pani. Lecz z Kratasa zdołałem wycisnąć wszystko, jako że ten sympatyczny, skłonny do awantur osioł nie był odporny na moje sztuczki.

Tanus awansował Kratasa do rangi dowódcy dziesięciu tysięcy i oddał mu komendę nad gwardzistami Błękitnych Krokodyli. Więż między przyjaciółmi wciąż była mocna jak granitowa stela. Tak oto, jako dowódca pułku, Kratas miał prawo do zasiadania w radzie wojennej i choć ze względu na niski stopień nie wzywano go do zabrania głosu, wiernie powtórzył mnie i mojej pani wszystko, co zostało powiedziane.

Rada podzielona była między wiekowych dowódców, na których czele stał Nembet, a świeżą krew z Tanusem jako przywódcą. Niestety ostatnie słowo należało do starców i oni narzucili pozostałym swe archaiczne poglądy.

Tanus chciał ściągnąć główne siły z granicy i zorganizować kilka linii obronnych wzdłuż rzeki. Jednocześnie zamierzał rozesłać oddziały zwiadowcze, by oszacować i zbadać naturę tajemniczego przeciwnika. Posiadaliśmy szpiegów we wszystkich miastach północy, lecz z niewiadomego powodu nie otrzymaliśmy jeszcze od nich żadnego raportu. Tanus pragnął zebrać je po drodze i przestudiować przed wprowadzeniem głównych sił do boju.

- Dopóki nie będziemy wiedzieli, z kim mamy do czynienia, nie jesteśmy w stanie opracować właściwej strategii przeciw temu zagrożeniu - oznajmił radzie.

Nembet i jego stronnictwo przeciwstawiali się wszystkim sugestiom Tanusa. Stary admirał nigdy nie wybaczył mu upokorzenia doznanego owego dnia, gdy Tanus uratował przed zagładą królewską barkę. Sprzeciwiał się dla zasady, nie zaś dlatego, że dyktowały mu to rozsądek czy logika.

- Nie oddamy nawet łokcia naszej świętej ziemi. Sugerowanie czegoś podobnego jest tchórzostwem. Zewrzemy się z przeciwnikiem i zniszczymy go tam, gdzie go znajdziemy. Nie będziemy tańczyć ani flirtować z nim jak stado wioskowych dziewczuch.

- Mój panie! - ryczał Tanus, rozjuszony aluzją do tchórzostwa. - Jedynie głupiec, i to stary głupiec, podejmuje decyzje nie znając faktów. Nasz wywiad nie dostarczył nawet szczątkowych informacji, na podstawie których można by rozpocząć działania...

Wszystko spełzło na niczym. Ostatecznie starszeństwo trzech wodzów wyższych stopniem od Tanusa okazało się decydujące.

Tanus otrzymał rozkaz, by bezzwłocznie wyruszyć na północ, zebrać wycofującą się armię i przywrócić w niej porządek. Miał bronić granicy i stawić czoło napastnikom wzdłuż granicznych kamieni. Zakazano mu dokonania strategicznego odwrotu na linię wzgórz przed Asjut, która stanowiła naturalną pozycję obronną, wzmocnianą murami miasta jako drugą linią obrony. Otrzymywał pod bezpośrednie rozkazy flotę wraz z północnym korpusem armii oraz trzysta okrętów wojennych dla celów transportu i utrzymania panowania na rzece.

Tymczasem Nembet miał skupić resztę armii, nawet pułki stacjonujące na południowej granicy z Kusz. Czarne zagrożenie z wnętrza Afryki musiało zostać zlekceważone w obliczu bardziej naglącego niebezpieczeństwa. Gdy tylko wszystkie oddziały zostaną zebrane, Nembet pospieszyć miał z posiłkami na północ, by dołączyć do Tanusa. W ciągu miesiąca przed Asjut znaleźć się powinna niezwyciężona armia sześćdziesięciu tysięcy ludzi i czterystu okrętów. Do tej chwili Tanus za wszelką cenę wytrwać musiał na granicy.

- Księżę Harrab otrzymuje też rozkaz trzymania całej swej siły na granicy. Nie wolno mu pozwalać sobie na najazdy czy wyprawy zwiadowcze na północ - zakończył surowo Nembet.

- Mój księżę Nembecie, te rozkazy przesłaniają mi oczy i krępują me dzierzące miecz ramię. Pozbawiasz mnie środków do przeprowadzenia tej kampanii w roztropny i skuteczny sposób - protestował Tanus na próżno.

Nembet chichotał z satysfakcją, narzuciwszy swe zwierzchnictwo młodemu rywalowi i zasmakowawszy zemsty. Na tak przyziemnych ludzkich uczuciach opiera się przeznaczenie narodów.

Faraon ogłosił zamiar zajęcia należnego mu miejsca na czele armii. Od tysiąca lat, gdy toczyły się decydujące o naszej historii zmagania, władca obecny był na polu bitwy. Chociaż musiałem podziwiać królewską odwagę, żałowałem, że nie wybrał sobie innego momentu dla jej okazywania. Faraon Mamose nie był wojownikiem i jego

obecność w nikłym stopniu zwiększała szanse zwycięstwa. Morale oddziałów mogło nieco wzrosnąć na widok monarchy podróżującego ze strażą przednią, lecz jeśli rozważyć wszystkie za i przeciw, on i jego świta okazaliby się większym obciążeniem niż pomocą dla księcia Tanusa.

Król nie zamierzał w pojedynkę podróżować ku linii północnego frontu. Towarzyszyć mu miał cały dwór, łącznie z jego pierwszą małżonką i synem. Królowa potrzebowała świty, a książę Memnon swoich wychowawców, tak więc i ja wyruszyć miałem na północ do Asjut i na front.

Nikt nie znał ani nie rozumiał przeciwnika. Czułem, że moja pani i książę wystawiani są na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Natomiast bezpieczeństwo niewolnika nie miało znaczenia, chyba że dla samego niewolnika. Niewiele spałem tej nocy, która poprzedzała dzień, gdy pożeglowaliśmy na północ po wezbranych wylewem wodach rzeki, kierując się do Asjut i na linię frontu.

Im dalej na północ się posuwaliśmy, tym liczniejsze i bardziej niepokojące stawały się plotki i raporty napływające z frontu. Żerowały na naszym samozadowoleniu i pewności siebie niczym szarańcza na stojących na polu plonach. Podczas podróży po pozorem przedyskutowania ze mną tych doniesień Tanus często przybywał na pokład naszego statku. Przy okazji każdej wizyty trochę czasu spędzał z księciem i jego matką.

Nigdy nie byłem zwolennikiem obyczaju, zgodnie z którym kobiety podążały w bój za armią. W czasach pokoju i wojny wspaniale rozpraszają uwagę – nawet

wojownik pokroju Tanusa mógł mieć problemy ze skupieniem uwagi na głównej sprawie. Jego umysł zaprzątnięty być winien wyłącznie stojącym przed nim zadaniem, lecz gdy mu to powiedziałem, zaśmiał się i poklepał mnie po ramieniu.

- Dzięki nim mam powód, by walczyć. Nie obawiaj się, stary druhu. Będę jak lew broniący swego szczenięcia.

Wkrótce napotkaliśmy pierwsze oddziały wycofującej się armii; wlokące się bezładnie grupki dezerterskich plądrujących wioski podczas ucieczki wzdłuż rzeki na południe. Bezceremonialnie i bez wahania Tanus ściął kilkuset ludzi, a ich nadziane na włócznie głowy zatknął wzdłuż brzegu jako przykład i ostrzeżenie. Następnie zebrał pozostałych i przeformował ich pod dowództwem zaufanych oficerów. Nie było już więcej dezercji, a w przemieszczające się pod sztandarami Egiptu wojska wstąpił nowy duch.

Nasza flotylla przybyła do otoczonego murami nadrzecznego miasta Asjut. Otwarcie łamiąc otrzymane od Nembeta rozkazy, Tanus zostawił w nim mały odwód strategiczny, pięć tysięcy ludzi pod dowództwem Rem-rema. Potem pożeglowaliśmy dalej na północ, by zająć pozycje na granicy i tam oczekiwać nadejścia tajemniczego Króla-Pasterza.

Flota zakotwiczyła w poprzek rzeki w formacji bojowej, lecz na okrętach pozostało minimum załogi. Wojownicy zeszli na ląd razem z głównymi siłami piechoty i rozmieszczeni zostali na wschodnim brzegu Nilu.

Przekonałem faraona, by zezwolił mojej pani i księciu na pozostanie na pokładzie wielkiej i wygodnej barki, która ich tu przywiozła. Na wodzie było chłodniej i zdrowiej, a w przypadku jakiegokolwiek niepowodzenia naszej armii znacznie łatwiej byłoby uciekać.

Król z wojskiem zszedł na brzeg i rozbił obóz na wzniesieniu pośród zalanych wodą pól. Znajdowała się tam opuszczona wioska; przed laty chłopci uciekli z granicy, która stanowiła przedmiot sporu państwa z fałszywym faraonem. W okolicy ciągle krążyły plądrujące oddziały i dochodziło do drobnych krwawych starć, więc rolnicy zarzucili wszelkie próby uprawiania tych żyznych, lecz niebezpiecznych pól. Zrujnowana wioska zwała się Abnub.

Na kilka tygodni przed naszym przybyciem do Abnub wody Nilu poczęły opadać i chociaż płynęły jeszcze wartko kanałami irygacyjnymi, zamieniając pola w bagniska czarnego mułu, główny nurt wycofał się na powrót do stałego koryta rzeki.

Tanus, respektując ograniczenia narzucone mu przez Nembeta, zaczął przygotowywać się na spotkanie zagrożenia. Pułki obozowały zgodnie z ich pozycją w szyku bitewnym. Astes dowodził flotą na rzece, Tanus osobiście zarządzał trzonem armii, lewa flanką kotwiczyła na Nilu, a Kratas otrzymał dowództwo nad prawym skrzydłem.

Pustynia rozciągała się po wschodni horyzont, żółtobrązowa i odpychająca. Żadna armia nie mogła przetrwać na tym pozbawionym wody, wypalonym słońcem

odludziu. Nasza prawa flanka była bezpieczna i nie do zdobycia.

O królu Hyksosie wiedzieliśmy tylko tyle, że podróżował lądem i nie posiadał własnej floty. Tanus oczekiwał starcia lądowego i stoczenia boju przy pomocy piechoty. Wiedział, że jest w stanie uniemożliwić Hyksosowi przeprawę przez rzekę, tak więc powinien bez trudu sprowadzić go na wybrane przez siebie pole bitwy. Najlepiej, by było to w okolicach Abnub, lecz Nembet podjął tę decyzję za niego.

Wioska Abnub znajdowała się na niskim wzniesieniu, otoczona otwartymi, leżącymi ugiorem polami. Ta lokalizacja zapewniała przynajmniej dobrą widoczność, toteż przeciwnik znajdzie się pod naszą obserwacją na długo przed tym, zanim zdoła zaatakować i wyprzeć nasze wysunięte placówki.

Tanus miał pod swoim dowództwem trzydzieści tysięcy najlepszych żołnierzy Egiptu. Nigdy dotąd nie widziałem tak znacznych sił. Prawdę mówiąc, wątpię, by kiedykolwiek przedtem w dolinie Nilu zgromadziły się oddziały podobnej wielkości. Wkrótce nadciągnąć miał Nembet z kolejnymi trzydziestoma tysiącami. Wówczas będzie to największa armia w historii.

Towarzyszyłem Tanusowi podczas przeglądu oddziałów. Morale wojska podniosło się znacznie, od kiedy osobiście przejął nad nim komendę. Możliwe, że obecność faraona w obozie również pomogła żołnierzom zapanować nad obawami. Wiwatowali na cześć Tanusa, gdy ten kroczył pewnie wzdłuż szeregów. Liczebność oddziałów oraz

panujący w nich nastrój podniosły mnie na duchu i rozproszyły do pewnego stopnia mój niepokój.

Nie byłem w stanie wyobrazić sobie przeciwnika dość potężnego, by nas pokonać. Mieliśmy dwanaście tysięcy łuczników w hełmach z polerowanej skóry i pikowanych skórzanych napierśnikach zdolnych zatrzymać strzałę, o ile nie była wystrzelona z bardzo bliska, osiem tysięcy ciężkozbrojnych włóczyków, chronionych długimi tarczami ze skóry hipopotama, twardej i odpornej jak brąz. Dziesięć tysięcy żołnierzy w czapach z lamparciej skóry walczących mieczami i uzbrojonych w proce. Wystrzelone z nich kamienie z pięćdziesięciu kroków bez trudu rozszczipiały czaszkę.

Z każdym mijającym dniem wzrastała we mnie pewność siebie, gdy obserwowałem Tanusa ćwiczącego olbrzymie masy zbrojnych. A jednak niepokoiłem się tym, że wciąż tak niewiele wiedzieliśmy o Hyksosie i siłach, jakimi rozporządzał. Podsunąłem Tanusowi, że rada wojenna zabroniła mu wysłać na zwiad wojska lądowe, lecz nie wspomniała ani słowem o wykorzystaniu do tego celu okrętów.

- Powinieneś być prawnikiem - zaśmiał się Tanus. - Sprawiasz, że słowa tańczą, jak im zagrasz.

Niemniej polecił Huiemu popłynąć z flotyllą szybkich okrętów na północ aż do Minja, o ile wcześniej nie napotka przeciwnika. Był to ten sam Hui, którego pojмалиśmy w Gallali i który był jednym z Dzierzbów Bastiego.

Obdarzony przychylnością Tanusa młody łobuz szybko awansował i teraz dowodził grupą okrętów.

Hui otrzymał wyraźne rozkazy unikania starcia i powrócenia do obozu w ciągu czterech dni. Posłusznie wrócił więc czwartego dnia. Do Minja dotarł, nie napotkawszy żadnego okrętu ani oporu. Wszystkie wioski wzdłuż rzeki były opuszczone, a samo miasto Minja splądrowane stało w płomieniach.

Hui schwytał wszakże kilku dezertersów z rozbitej armii fałszywego faraona. Byli to pierwsi naoczni świadkowie inwazji Hyksosów, jakich mieliśmy sposobność wypytać. Żaden z nich nie brał jednak udziału w starciach i walce z Królem-Pasterzem. Wszyscy umknęli na pierwszą wieść o jego nadejściu. Ich opowieści były więc naciągane i tak zniekształcone, że zupełnie nie można było dać im wiary.

Jak mieliśmy uwierzyć w istnienie armii, która żeglowała przez otwartą pustynię na szybkich jak wiatr okrętach? Według naszych informatorów chmury pyłu wiszące nad tą dziwną flotą były tak wysokie, że nie dało się zliczyć wojowników, co napawało przerażeniem serca obserwujących jej zbliżanie żołnierzy.

- To nie są ludzie - donosili więźniowie - to demony z zaświatów dosiadające szatańskich wichrów pustynnych.

Szczegółowo wypytawszy jeńców i przekonawszy się, że nawet umieszczone na głowach rozżarzone węgle nie są w stanie zmienić relacji, Tanus zarządził ich niezwłoczne stracenie. Nie chciał, by owe niesamowite wieści rozeszły się po obozie, szerząc uczucie przygnębienia

i beznadziejności wśród wojska, które dopiero co odzyskało odwagę.

Dziesiątego dnia naszego oczekiwania w Abnub dotarła do nas wieść, że Nembet nareszcie wyruszył w drogę z posiłkami i że spodziewał się osiągnąć Asjut w ciągu dwóch najbliższych tygodni. Przyjemnie było patrzeć, jaki wpływ na naszych ludzi wywarła ta wiadomość. Przemienili się z wróbli w orły. Tanus wydał dodatkową rację piwa i mięsa, by uczcić tę nowinę, i ogniska zamieniły równinę pod Abnub w pole gwiazd. Woń przypiekanego soczystego baraniego tłuszczu wypełniła noc, a śpiewy i śmiech przycichły dopiero podczas ostatniej warty.

Zostawiłem moją panią z jej synem na pokładzie barki i zszedłem na brzeg, wezwany przez Tanusa. Pragnął, bym wziął udział w ostatniej radzie wojennej z dowódcami pułków. „Zawsze jesteś pełen pomysłów i mądrości, stary łotrze. Może będziesz w stanie nam powiedzieć, jak można zatopić flotę okrętów żeglujących po suchym lądzie?”.

Obrady przeciągnęły się do północy i tym razem wniosłem do nich niewielki wkład. Zrobiło się już zbyt późno, by wracać nocą na statek, więc Tanus przydzielił mi siennik w kącie swego namiotu. Zbudziłem się przed świtem, jak to miałem w zwyczaju, lecz posłanie Tanusa było już puste, a na zewnątrz grubych, płóciennych ścian namiotu panowała krzątanina. Poczulem się winny zaniedbania i pospieszyłem, by przyjrzeć się świtowi nad pustynią.

Wspiąłem się na wzgórze za obozem. Stamtąd najpierw spojrzałem ku rzece. Błękitny dym ognisk snuł się nad jej powierzchnią, zmieszany ze smugami rzecznej mgły. Lampy kotwiczne na pokładach okrętów odbijały się w mrocznej wodzie. Było jeszcze wciąż zbyt ciemno, by z tej odległości dostrzec barkę, na której znajdowała się moja pani.

Następnie odwróciłem się na wschód i ujrzałem światło rozkwitające nad pustynią opalizującym blaskiem perłowych muszli ostryg. Wzmagało się, pustynia była spokojna i miła dla oka, wzgórze i wydmy okrywały odcienie różu i łagodnej purpury. W kryształowo czystym powietrzu horyzont wydawał się tak bliski, jakby można go było dotknąć wyciągniętą ręką.

Wtedy zauważyłem plamkę zawieszoną nad horyzontem na tle nieskazitelnie akwamarynowego poblasku nieba. Była nie większa od końca kciuka, więc moje spojrzenie minęło ją, lecz potem powróciło do niej leniwie. Nie czułem początkowo żadnego niepokoju, gdyż musiałem poświęcić dobrą chwilę na obserwację, zanim ustaliłem, że plama się porusza.

- Dziwne - wymruczałem. - Może zaczątek *khamsinu*.

Lecz pora roku była nieodpowiednia, a powietrzu brakowało naładowania wrogimi mocami, jakie zwykle zapowiadają pustynną burzę. Poranek pozostawał chłodny i kojący.

Gdy zastanawiałem się nad tym zjawiskiem, odległa chmura rozszerzyła się i urosła. Jej podstawa opierała się o ziemię, a nie wisiała nad nią, a jednak przemieszczała się

zbyt szybko, by mieć jakikolwiek związek z ziemią. Z taką szybkością mogłoby poruszać się stado ptaków, w podobny sposób mogłaby przesłonić swym rojem niebo szarańcza, lecz nie była to żadna z tych rzeczy.

Miała kolor ochrowożółty, ale początkowo nie mogłem uwierzyć, by był to kurz. Przyglądałem się niegdyś stadom szablrogich oryksów galopujących setkami przez wydmy podczas swych dorocznych migracji, lecz nigdy nie wzbijały one podobnego tumanu. Mógł to być dym pożaru, ale na pustyni nie było niczego, co mogłoby zająć się ogniem. To musiał być kurz, a jednak wciąż nie mogłem w to uwierzyć. Wpatrywałem się z zadziwieniem i lękiem, a chmura rosła w oczach, zbliżając się ku nam.

Nagle u jej podstawy dostrzegłem migoczące odbite światło. Momentalnie przeniosłem się pamięcią do wizji Labiryntów Amona-Re. Ten sam obraz. Tamten zrodzony został przez fantazję, lecz ten był rzeczywisty. Wiedziałem, że te promienie światła odbijały się od zbroi i ostrzy z wypolerowanego brązu. Zerwałem się na równe nogi i stojąc samotnie na szczycie wzgórza, wykrzyczałem na wiatr ostrzeżenie, którego nikt nie usłyszał.

Wtedy w obozie u mych stóp rozległy się trąby bojowe. Posterunki na wzgórzach nareszcie dostrzegły zbliżającą się chmurę kurzu i podniosły alarm. Dźwięk ten stanowił część mojej wizji. Nagłące ostrzeżenie przeszywało mi uszy, groziło rozłupaniem czaszki, mroziło krew w żyłach i zmieniało serce w galaretę. Z wizji wiedziałem, że tego proroczego dnia upadnie dynastia, a szarańcza ze Wschodu

pożre ciało Egiptu. Przepęłniał mnie strach, obawa o moją panią i dziecko, będące członkiem tej dynastii.

Obóz w dole zamienił się w kłębowisko biegnących po broń ludzi. Zbroje błyszcząły, ostrza włóczyły, którymi potrząsali nad głową, słały migotliwe iskry. Byli niczym pszczoły z wywróconego ula, gromadzące się i rojące w nieładzie. Krzyki podoficerów i zwoływające żołnierzy głosy oficerów tonęły w dźwięku ryczących trąb.

Ujrzałem faraona wyprowadzanego z namiotu w środku grupki zbrojnych. Żołnierze pospiesznie zawiedli go w górę zbocza na miejsce, w którym wśród skał ustawiony był jego zwrócony ku równinie i szerokiemu zakrętowi rzeki tron. Podsadzili go tam, złożyli mu berło i bicz w dłoniach, a na głowę włożyli podwójną koronę. Władca siedział niczym marmurowy posąg z popielatobiałą twarzą, a u jego stóp pułki zajmowały pozycje bojowe. Tanus dobrze je wyszkolił i wyćwiczył, toteż z zamieszania wywołanego pierwszym alarmem wnet wyłonił się porządek.

Zbiegłem ze wzgórza, by być blisko króla. Gdy dotarłem do stóp tronu, armia rozwinęła się na równinie niczym pokryty łuskami wąż, gotowa na spotkanie zagrożenia niesionego wraz z gnającą ku niej kotłującą się chmurą żółtego kurzu.

Kratas ze swoją dywizją obsadził prawą flankę. Na pierwszym zboczu dostrzegłem jego wyniosłą postać. Wokół niego zgrupowani byli oficerowie jego pułku, pióra na ich hełmach chyliły się i falowały w lekkiej porannej bryzie znad rzeki. Tanus ze swoim sztabem stał bezpośrednio pode

mną, na tyle blisko, bym mógł podsłuchać rozmowę. Chłodnym, akademickim tonem omawiali zbliżanie się przeciwnika, jak gdyby był to teoretyczny problem na ćwiczeniach dla oficerów.

Tanus rozmieścił siły w sposób klasyczny. Pierwsze szeregi tworzyli ciężkozbrojni włócznicy. Tarcze zachodziły na siebie, końce włóczni zatknęli w ziemię. Brązowe groty migotały w bladych promieniach wschodzącego słońca, a ludzie zachowywali spokój i powagę. Za nimi rozstawieni zostali łucznicy. Ciężkiw naciągnięte były na łączyska i gotowe do akcji. Za każdym łucznikiem stał chłopiec z kołczanem, trzymający pęki zapasowych strzał. Podczas bitwy chłopcy ci mieli zbierać zużyte strzały przeciwnika, by uzupełniać własne zapasy. Uzbrojeni w miecze piechurzy stanowili odwód; te lekkie i szybkie oddziały rzucone być mogły do zatkania wyłomu w linii obrony lub by wykorzystać słaby punkt w szyku przeciwnika.

Ruchy podczas każdej bitwy przypominały posunięcia na planszy do senet. Wypracowano udoskonalane przez stulecia klasyczne otwarcia i standardowe sposoby obrony. Przystudiowałem je niegdyś i napisałem trzy rozprawy poświęcone taktyce wojskowej, które stanowiły obecnie obowiązkową lekturę dla oficerów szkolących się w Tebach.

Teraz, analizując zarządzenia Tanusa, nie mogłem znaleźć w nich żadnych niedociągnięć i poczułem się znacznie pewniej. W jaki sposób wrogowie mogliby zatriumfować nad tą potężną armią złożoną z wyćwiczonych i zahartowanych w walce weteranów, dowodzoną przez

błyskotliwego, młodego generała, który nigdy jeszcze nie przegrał bitwy?

Później znów spojrzałem ponad naszymi szeregami na ową złowrogą, wzburzoną żółtą chmurę i upadłem na duchu. Było to coś nieznanego tradycji wojskowej, obcego doświadczeniu wszystkich generałów w długiej, dumnej historii naszego kraju. Czy to śmiertelnikom mieliśmy stawić czoło, czy też, jak sugerowała plotka, demonom?

Gdy wpatrywałem się w skłębione chmury, te były już tak blisko, że mogłem dostrzec ciemne kształty kryjące się za brązowymi, mrocznymi zasłonami pyłu. Skóra mi ścierpła, poczułem coś na kształt religijnego przerażenia, gdy ujrzałem zbliżone do statków cienie, przed którymi ostrzegali nas jeńcy. Były wszakże mniejsze i zwrotniejsze niż jakikolwiek zwodowany dotąd okręt, zwrotniejsze nawet od wszystkich stworzeń, jakie kiedykolwiek stąpały po powierzchni ziemi.

Śledzenie wzrokiem któregoś z tych kształtów nie było łatwe, gdyż poruszały się lekko i szybko jak ćmy w świetle latarni. Kołowały, kluczyły i znikały w przemieszczających się obłokach pyłu, tak że gdy na nowo się ukazywały, nie dawało się stwierdzić, czy to ten sam, czy też inny, podobny do niego twór. Nie było sposobu na ocenienie ich liczebności ani nawet na określenie, co podążało za pierwszymi liniami natarcia. Za nimi obłoki kurzu ciągnęły się aż po horyzont, zza którego nadeszły.

Choć nasze szeregi stały pewnie i nieugięte w blasku słońca, wyczuwałem ogarniające ludzi zdumienie i lęk.

Wystudiowane rozmowy Tanusa i jego oficerów wygasły, stali teraz w ciszy owładnięci grozą, obserwując przeciwnika rozmieszczającego przed nami swe siły.

Wówczas dostrzegłem, że chmura kurzu przestała się do nas zbliżać. Wisiała na niebie, stopniowo osiadała i rozpraszała się, tak że byłem w stanie rozróżnić zarysy nieruchomych pojazdów w pierwszym rzędzie. Byłem jednak tak skołowany i wystraszony, że nie potrafiłem stwierdzić, czy było ich tysiąc, czy więcej.

Mieliśmy się później dowiedzieć, że przerwa ta stanowiła stały element planu ataku Króla-Pasterza. Wtedy tego nie wiedziałem, lecz podczas owej ciszy jego wojska się przegrupowywały, gasiły pragnienie i przygotowywały do ostatecznej szarży.

W naszych szeregach zapadło straszliwe milczenie. Było tak głębokie, że szmer bryzy wśród skał i wąwozów wzgórza, na którym staliśmy, wydawał się głośnym hukiem. Jedynym ruchem był trzepot i wirowanie bojowych proporców na czele każdego pułku. Dostrzegłem sztandar Błękitnych Krokodyli powiewający w centrum naszej linii i z tego czerpałem nieco pociechy.

Chmury pyłu opadły powoli, odsłaniając rząd za rzędem pojazdy króla Hyksosa. Znajdowały się wciąż zbyt daleko, by rozróżnić szczegóły, lecz zauważyłem, że te z tyłu były znacznie większe od wiodących armię. Wydawało mi się, że pokryto je żaglami z płótna i skóry. Dostrzegłem ludzi, którzy wyładowywali z nich coś w rodzaju wielkich pojemników na wodę i nieśli je do przodu. Zadziwiłem się,

co za ludzie mogli spożywać tak wielkie ilości wody. Wszystko, co czynili ci obcy przybysze, stanowiło zagadkę i nie miało dla mnie żadnego sensu.

Cisza i oczekiwanie przeciągały się, aż każdy nerw i mięsień w moim ciele krzyczał z napięcia. Wtedy nagle znowu rozpoczął się ruch.

Kilka owych dziwnych pojazdów ruszyło ku nam z pierwszej linii formacji Hyksosów. Na widok szybkości, z jaką się poruszały, szmer przeszedł przez nasze szeregi. Po krótkim okresie odpoczynku wozy zdawały się podwoić swą prędkość. Dystans między nami zmniejszył się i kolejny okrzyk wzniósł się nad naszym wojskiem, gdy zorientowaliśmy się, że każdy pojazd ciągnięty był przez parę nadzwyczajnych bestii.

Były równie wysokie jak antylopy, o podobnych sztywnych, zjeżonych grzywach na wygiętych łukowato karkach. W przeciwieństwie do antylop nie posiadały rogów, a ich głowy miały znacznie wdzięczniejszy kształt. Oczy były wielkie, nozdrza rozszerzone, a długie nogi zakończone kopytami. Kroczyły ze szczególnym wdziękiem, zaledwie muskając powierzchnię pustyni.

Nawet teraz, po wszystkich tych latach, dobrze pamiętam dreszcz podniecenia towarzyszący chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem konia. W moim umyśle piękno polującego geparda wyblakło w porównaniu z tymi wspaniałymi stworzeniami. Jednocześnie przepełniała wszystkich obawa przed nimi i usłyszałem, jak jeden z oficerów niedaleko mnie woła:

- Te potwory to z pewnością zabójcy, pożeracze ludzkiego mięsa! Cóż za odrażające istoty nas nawiedziły?

Dreszcz przerażenia przebiegł przez formacje, gdyż oczekiwaliśmy, że owe bestie rzucą się na nas i pożrą niczym zgłodniałe lwy. Lecz wiodący pojazd zakręcił i pognął równolegle do naszych szeregów. Poruszał się na wirujących dyskach, w które zapatrzyłem się z zadziwieniem. Przez pierwsze kilka chwil byłem tak oszołomiony tym, na co spoglądałem, że nie mogłem ogarnąć tego umysłem. Widok pierwszego rydwanu wstrząsnął mną na równi z widokiem ciągnących go koni. Między galopującą parą znajdował się długi dyszel, połączony z czymś, co, jak dowiedzieliśmy się później, nosiło nazwę osi. Wysoki przód pojazdu pokryty był złotymi listkami, burty zaś głęboko wycięte, by umożliwić łucznikowi wypuszczanie pocisków na obie strony.

Ogarnąłem to jednym spojrzeniem, a potem całą moją uwagę przyciągnęły wirujące dyski, na których rydwan sunął tak płynnie i szybko po nierównym gruncie. Przez tysiąc lat my, Egipcjanie, byliśmy ludem o najwyższej rozwiniętej kulturze i cywilizacji na świecie; w sprawach nauki i religii znacznie prześcigaliśmy pozostałe narody. Lecz mimo całej wiedzy i mądrości nie wytworzyliśmy niczego podobnego. Nasze sanie szorowały po piachu na drewnianych płozach, które marnowały siłę ciągnących je antylop, wielkie bloki kamienia holowaliśmy na drewnianych rolkach, nie robiąc kolejnego logicznego kroku.

Wpatrywałem się w pierwsze koło, jakie ujrzałem, i jego prostota oraz piękno uderzyły mnie niczym eksplodujący w głowie piorun. W mgnieniu oka pojąłem zasadę konstrukcji i łajałem się w duchu za to, że sam na to nie wpadłem. Był to owoc najczystszej geniuszu, toteż zdałem sobie sprawę, że czeka nas nieuchronna zagłada ze strony tego cudownego wynalazku, tak samo jak stało się z czerwonym uzurpatorem z Dolnego Królestwa.

Złoty rydwan przemknął przed naszym szykiem, tuż poza zasięgiem strzału z łuku. Gdy zrównał się z nami, oderwałem wzrok od owych precudownie obracających się kół i dzikich, przerażających stworzeń, które je ciągnęły, by spojrzeć na dwóch ludzi we wnętrzu rydwanu. Jeden powoził. Wychylał się i kontrolował galopujący zaprzęg za pomocą długich rzemieni ze splecionej skóry, przymocowanych do głów stworzeń. Wyższy mężczyzna, stojący za plecami tamtego, był władcą. Jego królewska postawa nie pozostawiała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Natychmiast dostrzegłem, że był Azjatą o bursztynowej skórze i zakrzywionym orlim nosie. Brodę miał czarną i gęstą, ściętą równo na wysokości napierśnika, kręconą i z wyszukanie wplecionymi kolorowymi wstążkami. Jego zbroję stanowiła błyszcząca skóra z brązowych łusek, nosił na skroniach wysoką, kwadratową koronę; wysadzone drogimi kamieniami złoto pokrywały ryty przedstawiające obcych bogów. Jego uzbrojenie wisiało pod ręką na burcie rydwanu. Szeroki miecz skryty w skórzanej, inkrustowanej

złotem pochwie pysznił się rękojeścią z kości słoniowej i srebra. Obok niego dwa kołczany wzdymały się strzałami, a każdą brzechwę zakańczały jaskrawe pióra. Później miałem się dowiedzieć, jak dalece Hyksosi umiłowali krzykliwe kolory. Królewski łuk, spoczywający w uchwycie u boku władcy, był niezwykłego kształtu, odmiennego od wszystkiego, co dotychczas widziałem. Nie miał prostej, czystej krzywizny egipskiej broni; jego końce zaginały się w przeciwną stronę.

Podczas gdy rydwan gnał wzdłuż naszych szeregów, król wychylił się i zatknął w ziemię włócznię uwieńczoną szkarłatnym proporcem. Ludzie wokół mnie burczeli z niepokojem:

- Co on robi? Czemu służy ta lanca? Czy to symbol religijny, a może wyzwanie?

Wlepiąłem oczy w trzepoczący proporzec, lecz moje myśli zaćmione były tym, co już ujrzałem, i nie odkryłem w nim żadnego znaczenia. Rydwan popędził dalej, wciąż nie wchodząc w zasięg naszych łuków, a Azjata w koronie zatknął kolejną lancę, potem zakręcił i ruszył z powrotem. Zauważył siedzącego na tronie faraona i zatrzymał się w pobliżu. Konie pokryte były potem, zbierającym się w przypominającą koronkę pianę na ich bokach. Wywracały dziko oczyma i rozwierały nozdrza, tak że widoczna stała się różowa wyściółka. Kiwały głowami na długich, wygiętych szyjach, a grzywy w świetle słońca falowały jak włosy pięknej kobiety.

Hyksos powitał faraona Mamose - Syna Re, Boskiego Władcę Dwóch Królestw, Oby Żył Wiecznie - zakutą w metal ręką wykonał ironiczny gest, a potem wybuchnął śmiechem. Wyzwanie było tak oczywiste, jakby wypowiedział je perfekcyjnym egipskim. Szyderczy śmiech powędrował ku nam i szeregi naszej armii zamruczały ze złością dźwiękiem przypominającym odległy grzmot burzy w letnim powietrzu.

Nieznaczny ruch w dole przyciągnął moją uwagę i spojrzałem w tamtą stronę dokładnie wtedy, gdy Tanus postąpił krok naprzód i poderwał wielki łuk Lanatę. Wypuścił strzałę, która wzniosła się wysoką, zagiętą trajektorią w mlecznobiałe niebo. Hyksos pozostawał poza zasięgiem każdej innej broni, lecz nie Lanaty. Strzała osiągnęła najwyższy punkt i runęła w dół jak nurkujący sokół, kierując się w sam środek piersi azjatyckiego króla. Przyglądający się tłum westchnieniem powitał odległość, siłę i precyzję tego strzału. Pocisk przeleciał trzysta kroków. W ostatniej chwili Hyksos podniósł brązową tarczę, a strzała zagłębiła się w samym jej środku. Uczynił to z tak pogardliwą łatwością, że wszystkich nas ogarnęło zdumienie i zmieszanie.

Wówczas Hyksos chwycił ze stojaka swój dziwnie ukształtowany łuk. Jednym ruchem nałożył strzałę na cięciwę, napiął i wypuścił ją w powietrze. Uniosła się wyżej, niż zdołał sięgnąć Tanus, i przemknęła nad jego głową. Grając niczym gęsie skrzydło, zanurkowała w moją stronę. Nie byłem w stanie się poruszyć i strzała przeszłaby mnie niechybnie, jako że nie uczyniłem najmniejszej próby jej

uniknięcia, lecz pocisk minął mi głowę o wyciągnięcie ręki i uderzył w podstawę tronu faraona za moimi plecami. Zadygotał w cedrowej podstawie niczym obraźliwe słowo, a król Hyksosów zaśmiał się ponownie, zawrócił rydwan i pognął z powrotem przez równinę, by dołączyć do swojej armii.

Wtedy już wiedziałem, że jesteśmy skazani na porażkę. Jak mieliśmy stawić czoło pędzącym rydwanom i refleksyjnym łukom, które bez trudu przewyższały zasięgiem strzał najlepszego łuczника w naszych szeregach? Nie byłem osamotniony w tych ponurych przewidywaniach. Gdy oddziały rydwanów rozpoczęły swe ostatnie, nieubłagane ewolucje na równinie i pomknęły falami w naszą stronę, jęk desperacji wyrwał się z gardeł armii Egiptu. Zrozumiałem wówczas, w jaki sposób siły czerwonego uzurpatora rozproszone zostały bez walki, a on sam poległ z mieczem wciąż skrytym w pochwie.

W biegu rydwany sformowały się w kolumny czwórkowe i skierowały prosto na nas. Dopiero wtedy mnie olśniło i co sił w nogach pogałem w dół zbocza. Dysząc ciężko, przypadłem do boku Tanusa i wykrzychałem:

- Włócznie z proporcami wyznaczają słabe punkty w naszej linii. Ich główne uderzenie spadnie na nas tu i tu!

Jakimś sposobem Hyksosi poznali nasz szyk bitewny i odkryli wady naszej formacji. Ich król umieścił proporce dokładnie pomiędzy naszymi dywizjami. Już wtedy przyszła mi do głowy myśl o szpiegu lub zdrajcy, lecz odtrąciłem ją,

bo na razie były ważniejsze sprawy i zapomniałem o niej na jakiś czas.

Tanus natychmiast zareagował na moje ostrzeżenie i wykrzyczał rozkaz w stronę wysuniętych posterunków, by wybiegły naprzód i porwały proporce. Chciałem, żeby je przestawiono tak, byśmy mogli przyjąć uderzenie wroga w najsilniejszym miejscu naszej linii, lecz na to brakowało już czasu. Zanim ludzie zdążyli dotrzeć do znaków i wyrwać je, wpadła na nich czołówka pędzących z zawrotną szybkością rydwanów. Niektórzy zginęli od strzał wypuszczonych z podskakujących, miotających się na boki wozów. Celność nieprzyjacielskich strzelców była niesamowita.

Pozostali odwrócili się i pognali z powrotem, starając się dotrzeć za iluzoryczną osłonę naszych linii. Rydwany dogoniły ich bez trudu. Woźnice kontrolowali galopujące, wierzgające końskie zaprzęgi z subtelnością dotyku kochanka. Nie przejechali bezpośrednio po swoich ofiarach, lecz skręcili, by wyminąć je w odległości mniejszej niż jeden łokieć. Dopiero wtedy dostrzegłem noże. Odchylały się na zewnątrz od wirujących piast kół niczym kły monstrualnego krokodyla.

Widziałem, jak migotliwe ostrza uderzyły prosto w jednego z naszych ludzi. Wydawało się, że rozpląnął się w jasnej chmurze krwi. Odrąbane ramię wystrzeliło wysoko w powietrze, a skrwawione kawałki okaleczonego korpusu ciśnięte zostały na skalistą ziemię. Rydwan pomknął dalej, nie zwalniając nawet na mgnienie oka. Falanga tych

pojazdów nadal mierzyła prosto w załamanie w naszej pierwszej linii i chociaż słyszałem rozkazy Kratasa, który usiłował ją wzmocnić, było już o wiele za późno.

Kolumna rydwanów uderzyła w nasz obronny mur tarcz i włóczy i przedarła się przezeń tak, jakby był równie niematerialny jak pasmo rzecznej mgły. W jednej chwili formacja, która oparła się atakom najlepszych syryjskich i huryckich wojowników, została rozszczepiona i złamana.

Konie tratowały najsilniejszych i najcięższych ludzi. Wirujące noże na kołach przerąbywały zbroje, odkrawały kończyny i głowy, jakby cięły najdelikatniejsze pędy winorośli. Z wysokich nadwozi łucznicy zasypywali ciasno skupione szeregi strzałami i oszczepami, a potem przedzierali się przez wytworzoną w ten sposób lukę, przechodzili przez nasze szyki, rozpraszali się na tyłach i gnali pełnym pędem, cały czas zasypując niechronione zaplecze gradem pocisków.

Gdy nasze oddziały wykonywały zwrot, by odeprzeć atak z tyłu, inna grupa rydwanów wpadała na nie od strony otwartej równiny. Pierwsze uderzenie rozdzieliło armię na dwie części, odcinając Tanusa od Kratasa i jego prawego skrzydła. Kolejne następujące błyskawicznie po sobie natarcia pokawałkowały połowy na mniejsze odizolowane grupy. Nie stanowiliśmy już spójnej całości. Niewielkie oddziały po pięćdziesięciu czy stu zwróconych do siebie plecami ludzi walczyły z męstwem skazanych na śmierć.

Hyksosi nadciągali nieprzerwanie przez równinę na skrzydłach wirującego kurzu. Za lżejszymi rydwanami na

dwóch kołach nadjechały ciężkie, czterokołowe wozy bojowe, a każdy wiozł dziesięciu ludzi. Boki tych pojazdów osłonięte były owczym runem. Nasze strzały były nieskuteczne w gęstą, miękką wełnę, a miecze nie sięgały łuczników na wysokich wozach. Oni zaś szyli strzałami w dół, prosto w nas, rozbijając zmieszane tłumy wojowników na rozproszone grupki przerażonych niedobitków. Gdy tylko któryś z oficerów zgromadził nieco ludzi i rozpoczął kontratak, wozy bojowe zawracały i wycofywały się poza zasięg strzału. Żołnierze za pomocą łuków refleksyjnych rozbijali wszystkie bohaterskie szarże, a kiedy nasze oddziały zaczynały słabnąć, na powrót spadali na nas z łoskotem kół swoich wozów.

Z bolesną jaskrawością dostrzegłem moment, w którym starcie z bitwy przemieniło się w rzeź. Resztki dywizji Kratasa na naszej prawej flance wystrzeliły swe ostatnie strzały. Hyksosi rozpoznawali oficerów po zwieńczonych pióropuszcami hełmach i przeszywali strzałami prawie wszystkich. Ludzie byli bezbroni i pozbawieni dowódców. Rzucili się do ucieczki. Cisnęli broń i pobiegli ku rzece. Lecz nie zdołali prześcignąć rydwanów Hyksosów.

Rozbite wojska wpadły na dywizję Tanusa u stóp wzgórka i zmieszały się z nią. Spanikowane, szamoczące się tłumy zdławiły resztki oporu, jaki był jeszcze w stanie stawiać Tanus. Przerazenie jest zaraźliwe, toteż środek naszej linii się załamał, próbując ucieczki, lecz zabójcze rydwany okręwały naszych żołnierzy niczym wilki stado owiec.

Pośród tego chaosu, krwawej jatki i zgiełku klęski, jedynie Błękitni stali twardo wokół Tanusa i sztandaru Krokodyli. Stanowili maleńką wysepkę w strumieniu pokonanych. Nawet rydwany nie były w stanie ich rozbić, gdyż, okazując instynkt godny wielkiego generała, Tanus zebrał ich i wycofał w płataninę skał i wąwozów, jedyne miejsce, dokąd Hyksosi nie mogli wedrzeć się w pościgu. Błękitni utworzyli bastion naokoło tronu faraona.

Jako że pozostawałem u boku króla, znalazłem się w środku tego pierścienia bohaterów. Z trudem stałem na nogach, gdyż wszędzie ludzie zmagali się i chwiali, miotani w przód i w tył falami bitwy jak wodorosty przywierające do skały pod naporem przyboju i przyływu.

Ujrzałem, jak Kratas przebija się do nas z rozbitego prawego skrzydła. Upierzony hełm przyciągał strzały Hyksosów, które przemykały wokół gęsto niczym szarańcza, lecz Kratas dotarł bez zadraśnięcia, a nasz pierścień otworzył się, wpuszczając go do wewnątrz. Wojak ujrzał mnie i zaśmiał się z olbrzymią radością:

- Na parujące odchody Setha, Taito, to lepsza zabawa niż budowanie pałaców dla małych książąt, nie?

Nigdy nie słyszał z lotnego dowcipu ten nasz Kratas, a ja zbyt pochłonięty byłem utrzymywaniem pionowej pozycji, by martwić się o odpowiedź.

On i Tanus spotkali się w pobliżu tronu. Kratas wyszczerzył zęby jak głupek.

- Nie opuściłbym tego za wszystkie skarby faraona. Jedne z tych sań Hyksosów chcę dla siebie.

Kratas nie był też najślynniejszym inżynierem Egiptu. Nawet teraz sądził, że rydwany były jakimś nowym typem sań. Dalej nie sięgała już jego wyobraźnia.

Tanus na powitanie uderzył płazem miecza w bok jego hełmu i chociaż przemawiał lekkim tonem, twarz miał posępną.

- Nasze dzieło na dzisiaj jest ukończone - oznajmił.

- Sprawdźmy, czy te hyksoskie potwory pływają równie dobrze, jak biegają. Z powrotem ku rzece!

Potem ramię w ramię przecisnęli się obaj przez szeregi żołnierzy ku tronowi, u stóp którego wciąż się znajdowałem.

Ponad ich głowami, ponad naszym małym obronnym pierścieniem widziałem rozległą równinę, gdzie rozbita armia potokami wycofywała się ku rzece, wciąż nękana przez oddziały rydwanów.

Ujrzałem, jak złoty rydwan króla Hyksosów wyjeżdża z szyku i przebija się w naszą stronę, miażdżąc ludzi roztętnionymi końskimi kopytami i rąbiąc ich na kawałki lśniącymi ostrzami noży. Woźnica ściągnął wodze i konie stanęły dęba. Rydwan zatrzymał się na skraju skalnej zapory, która nas ochraniała. Bez trudu utrzymując równowagę na stopniach pojazdu, Hyksos napiął swój łuk refleksyjny i wycelował w moją stronę, a przynajmniej tak mi się zdawało. Już gdy robiłem unik, pojąłem, że strzała nie była przeznaczona dla mnie. Zagwizdała nad moją głową. Odwróciłem się, by odprowadzić ją wzrokiem.

Uderzyła faraona wysoko w pierś i zagłębiła się do połowy w jego ciele.

Faraon wydał ochryply krzyk i zachwiał się na wysokim tronie. Nie było widać krwi, gdyż brzechwa zaczopowała ranę, a pióra miały piękną barwę purpury i zieleni. Faraon osunął się na bok i opadł wprost na mnie, a ja rozwarłem ramiona, by go chwycić. Ciężar powalił mnie na kolana, nie widziałem więc odjeżdżającego rydwanu króla Hyksosów, lecz usłyszałem szyderczy śmiech, cichnący w miarę jak wódz oddalał się w głąb równiny, by ponownie pokierować rzezią.

Tanus pochylił się nade mną, a ja wciąż trzymałem króla w ramionach.

- Jak poważnie został raniony? - zapytał.

„Nie przeżyje” - ta odpowiedź odruchowo cisnęła mi się na usta. Kąt trafienia i głębokość rany wskazywały tylko na jeden możliwy rezultat, lecz zdusiłem te słowa, zanim zdążyłem je wypowiedzieć. Wiedziałem, że ludzie upadliby na duchu, gdyby Wielki Egipt został zabity.

- Jest ciężko ranny - powiedziałem więc zamiast tego. - Ale jeśli zaniemiemy go na pokład królewskiej barki, może wyzdrowieć.

- Dajcie mi tarczę! - zawołał Tanus, a gdy ją przyniesiono, złożyliśmy na niej władcę.

Nadal nie było widać krwi, lecz wiedziałem, że jego klatka piersiowa napełniała się nią jak dzban wina. Pospiesznie spróbowałem wymacać grot strzały, ale nie wyszedł przez plecy. Nadal zanurzony był głęboko pomiędzy

żebrami. Złamałem wystającą z rany brzechwę i przykryłem rannego jego własnym lnianym szalem.

- Taito - wyszeptał. - Czy ujrzę jeszcze mojego syna?

- Tak, Potężny Egipcie. Przysięgam ci to.

- A moja dynastia przetrwa?

- Tak jak to przepowiedziały Labirynty Amona-Re.

- Dziesięciu silnych ludzi do mnie! - ryknął Tanus.

Żołnierze stłoczyli się wokół zaimprovizowanych noszy i ponieśli króla między sobą.

- Formować zółwia! Kupą do mnie, Błękitni! - szepiając tarcze, Błękitni utworzyli mur wokół króla.

Tanus popędził do Błękitnego Krokodyla, który nadal powiewał pośród nas, i zdarł go z drzewca. Owinął go wokół talii i zawiązał węzeł na brzuchu.

- Jeżeli Hyksosi chcą tej szmaty, będą musieli przyjść i mi ją zabrać! - krzyknął, a jego ludzie zareagowali entuzjastycznie na ten przejaw szaleńczej zuchwałości.

- Wszyscy razem! Z powrotem do okrętów! Co sił w nogach!

Gdy tylko opuściliśmy schronienie naszej skalnej reduty, rydwany ruszyły w naszą stronę.

- Zostawcie ludzi! - Tanus znalazł sposób na powstrzymanie przeciwnika. - Zabijcie ich bestie!

Gdy pierwszy rydwan z pełną szybkością zbliżył się do nas, Tanus napiął Lanatę. Strzelcy naciągnęli łuki równo z nim i na jego znak wypuścili strzały.

Połowa pocisków poszła na boki, gdyż biegliśmy po nierównym terenie, a nasi łucznicy byli zadyszani. Inne

trafiły w nadwozie prowadzącego rydwanu, łamiąc się albo wbijając w drewno. Jeszcze inne odbiły się z grzechotem od płyt z brązu okrywających końskie piersi.

Tylko jedna pomknęła z całym impetem prosto do celu. Wyskoczyła z wielkiego łuku Lanaty i wiatr śpiewał w jej lotkach, gdy uderzyła prawego konia w czoło. Stworzenie runęło na ziemię niczym kamienna lawina, płacząc postronki i pociągając za sobą drugie zwierzę w chmurę pyłu i wierzgających kopyt. Woźnice wylecieli z pojazdu, rydwan wywrócił się do góry kołami, a pozostałe wozy skręciły na boki, by ominąć wrak. Radosny okrzyk wyrwał się z naszych szeregów i przyspieszyliśmy kroku. Był to pierwszy sukces owego straszego dnia. Dodał odwagi i siły małej grupce Błękitnych.

- Ze mną, Błękitni! - zaryczał Tanus i, co było niewiarygodne, zważywszy na okoliczności, zaczął śpiewać.

Ludzie wokół niego natychmiast włączyli się chórem w pierwsze słowa pułkowego hymnu bojowego. Ich głosy były zniekształcone, ochryple z pragnienia i wysiłku, brakowało im melodii i piękna, a jednak ten dźwięk podnosił na duchu i rozgrzewał krew. Odchyliłem głowę do tyłu, po czym zacząłem śpiewać z nimi, a mój głos, czysty i miły, uniósł się ku niebu.

- Niech cię Horus błogosławi, mój kanareczku! - zaśmiał się Tanus.

Pognaliśmy dalej ku rzece. Rydwany okręwały nas z ostrożnością, jaką po raz pierwszy tego dnia dostrzec było można w ich manewrach. Ich uwagi nie umknął los

towarzysza. Potem trzy zakręciły, by znaleźć się na wprost naszego zółwia i w formacji w kształcie grotu ruszyły na nas w szarży od czoła.

- Strzelać bestiom w łby! - zawołał Tanus i dał pozostałym przykład, pierwszą strzałą powalając na kolana kolejnego konia.

Rydwan wywrócił się i roztrzaskał na kawałki na skalistym gruncie, a pozostałe pojazdy w szyku zawróciły.

Gdy nasz oddział mijał rozbity rydwan, paru ludzi wybiegło z grupy, by dobić kwiczące konie, unieruchomione w szczątkach pojazdu. Zrodziła się już w nich nienawiść do tych zwierząt i lęk graniczący z przesadną bojaźnią, które znalazły swe odbicie w tym mściwym odruchu okrucieństwa. Zabili też i ogłuszonych Hyksosów, lecz bez takiej złośliwości.

Straciwszy dwa spośród swoich rydwanów, Hyksosi nie palili się do ponownego zaatakowania naszej małej formacji, tak więc szybko zbliżaliśmy się do mokradeł błotnistych pól i zalanych kanałów irygacyjnych wyznaczających brzeg rzeki. Myślę, że w owej chwili tylko ja zdawałem sobie sprawę z tego, że wróg na kołach nie może podążyć za nami na podmokły teren.

Chociaż biegłem obok noszy króla, przez szczeliny w szeregach widziałem rozgrywające się wokół nas końcowe sceny przygasającej bitwy.

Nasz oddział był jedyny, który wykazywał jakąkolwiek spójność. Reszta egipskiej armii zmieniła się w bezładny, kłębiący się na równinie, przerażony motłoch. Większość

żołnierzy porzuciła broń. Gdy kierował się ku nim któryś z rydwanów, padali na kolana, wznosząc błagalnie ręce. Hyksosi nie okazywali miłosierdzia. Nie marnowali nawet strzał, lecz przejeżdżali blisko, tnąc zebrzących na kawałki wirującymi ostrzami, albo też wychylali się z pojazdów, by przebijać ich kopiami lub roztrzaskiwać czaszki maczugami o kamiennych głowicach. Nierzadko wlekli za sobą nadziane na lance ofiary, dopóki zębaty grot nie wyrwał się z ciała, a wtedy złachmanione odwłoki nieruchomiały w podniesionym przejeździe rydwanu kurzu.

Nigdy dotąd nie widziałem podobnej rzezi. Nie czytałem o czymś takim w żadnym opisie bitew starożytności. Hyksosi wyrzynali naszych ludzi tysiącami i dziesiątkami tysięcy. Równina pod Abnub przypominała pole sorga po przejściu żniwiarzy z kosami. Zabici leżeli ułożeni w stogi i pokosy.

Przez tysiąc lat nasze armie były niepokonane, nasze miecze triumfowały na całym świecie. Tutaj, na polach Abnub kończyła się pewna epoka. W samym środku tej masakry Błękitni śpiewali, a ja wraz z nimi, chociaż łyż wstydu paliły mi oczy.

Pierwszy rów nawadniający był już niedaleko, ale wtedy kolejny oddział rydwanów skręcił ku nam z flanki i pognął kolumną trójkową w naszą stronę. Zasypaliśmy wozy strzałami, lecz Hyksosi przedarli się, konie ciężko oddychały rozwartymi, czerwonymi pyskami, woźnice wykrzykiwali słowa zachęty. Tanus oddał dwa strzały, ale jeden grot odbił się nieszkodliwie od pancerza, a drugi

chybił, zmylony niekontrolowanymi szarpnięciami i podskokami rydwanów. Nieprzyjaciel uderzył w nas i przerwał żółwia splecionych ze sobą tarcz.

Dwaj spośród żołnierzy dźwigających nosze faraona poszatkowani zostali na strzępy ostrzami i ranny król stoczył się na ziemię. Padłem przy nim na kolana, osłaniając go własnym ciałem przed lancami Hyksosów, lecz rydwany nie marnowały czasu. Popędziły przed siebie i oddaliły się, zanim nasi ludzie zdążyli sięgnąć ich mieczami. Dopiero wtedy przegrupowały się i ruszyły z powrotem.

Tanus pochylił się i postawił mnie na nogi.

- Jeżeli dasz się zabić, kto skomponuje odę na cześć naszego bohaterstwa? - zbeształ mnie, a potem krzyknął na Błękitnych.

Wspólnie podnieśli nosze króla i pobiegli z nimi w stronę najbliższego rowu.

Słyszałem pisk kół ścigającego nas rydwanu, nie obejrzałem się jednak ani razu. W normalnych okolicznościach jestem dobrym biegaczem, lecz teraz prześcignąłem noszowych tak, jakby ich stopy przykute były łańcuchami do ziemi. Spróbowałem przeskoczyć rów, ale okazał się dla mnie zbyt szeroki, by pokonać go jednym susem, tak więc wylądowałem po kolana w czarnym mule. Goniący mnie rydwan uderzył w nasyp na skraju kanału i jedno koło się rozpadło. Pojazd runął do rowu, omal mnie nie przygniótł, lecz zdołałem rzucić się w bok.

Błękitni spieszenie zakłuli i porąbali konie oraz leżących bezbronne w błocie ludzi, ja zaś na chwilę podszedłem do

rydwanu.

Sterczące ku górze koło wciąż obracało się w powietrzu. Położyłem na nim dłoń, studiując jego konstrukcję, i badałem, jak kręci się pod moimi palcami. Stałem tam tyle czasu, ile potrzebowałem na nabranie trzech głębokich oddechów, ale po jego upływie wiedziałem o budowie koła tyle co Hyksosi i świtało mi już kilka pomysłów na jego ulepszenie.

- Taito, na melodyjne pierdy Setha, wszyscy przez ciebie zginiemy, jeżeli zaczniesz teraz marzyć! - wrzasnął na mnie Kratas.

Otrząsnąłem się z zamyślenia i porwałem łuk refleksyjny z uchwytu na burcie rydwanu oraz strzałę z kołczana. W wolnej chwili chciałem im się starannie przyjrzeć. Dokładnie w momencie gdy oddział rydwanów przetoczył się z łoskotem równoległe do niego, wypuszczając strzały w naszym kierunku, przekroczyłem rów w bród, niosąc oba przedmioty.

Ludzie dźwigający króla byli o sto kroków przede mną, ja zaś zamykałem nasz skromny pochód. Za moimi plecami Hyksosi ryczeli ze złości, bo nie mogli nas ścigać, i posyłali pociski, starając się trafić mnie w biegu. Jeden z nich uderzył mnie w ramię, lecz grot nie przebił zbroi i strzała odpadła, zostawiając purpurowego sińca, którego odkryłem dopiero znacznie później.

Chociaż wystartowałem z opóźnieniem, doścignąłem noszowych, gdy ci dotarli na właściwy brzeg Nilu. Nadrzeczne równiny roiły się od niedobitków. Prawie

wszyscy byli bez broni, a tylko niewielu nie odniosło ran. Wszystkich gnało jedno pragnienie – jak najszybciej powrócić na okręty, które przywiozły ich z Teb w dół rzeki.

Tanus wyłowił mnie z tłumu i przywołał do siebie, gdy tylko zjawili się noszowi.

- Powierzam teraz faraona w twoje ręce, Taito. Zabierz go na pokład królewskiej barki i uczyn wszystko, co w twojej mocy, by go uratować.

- Kiedy ty wrócisz na okręt? – zapytałem.

- Moim obowiązkiem jest pozostać tutaj, z ludźmi. Muszę uratować tylu, ilu zdołam.

Odwrócił się i odszedł, wybierając spośród rozbitej tłuszczy oficerów oraz podoficerów i wykrzykując rozkazy.

Podszedłem do króla i przykląknę przy noszach. Żył jeszcze. Zbadałem go pobieżnie i stwierdziłem, że znajdował się na krawędzi świadomości. Jego skóra zrobiła się wilgotna i zimna jak u gada, a oddech płytki. Wokół brzechwy widoczna była jedynie wąska obwódka krwi, która wypływała z rany, lecz gdy przyłożyłem ucho do jego piersi, usłyszałem bulgot towarzyszący każdemu zaczerpniętemu oddechowi, a cienki czerwony wąż wymykał się spomiędzy warg na brodę. Zdawałem sobie sprawę z tego, że cokolwiek miałbym zrobić, by ocalić władcę, winienem uczynić to szybko. Przywołałem okrzykiem łódź, by przewieźć go na barkę.

Noszowi złożyli monarchę do łodzi, a ja usiadłem przy nim na dnie. Wiosłowa łódź pomknęła ku wielkiej paradnej barce, zakotwiczonej pośrodku nurtu rzeki.

Królewska świta tłoczyła się u burty statku, obserwując zbliżanie się naszej łódki. Było tam stadko królewskich małżonek oraz ci wszyscy dworzanie i kapłani, którzy nie wzięli udziału w boju. Gdy podpłynęliśmy bliżej, dostrzegłem moją panią. Twarz miała bladą i niespokojną, za rękę trzymała swego małego synka.

Kiedy tylko ludzie na pokładzie spojrzeli do wnętrza naszej łupinki i zobaczyli spoczywającego na noszach króla o twarzy umazanej krwią, której nie byłem w stanie zetrzeć, rozległ się przeraźliwy okrzyk strachu i rozpacz. Kobiety jęczały i zawodziły, mężczyźni wyli z żalości jak psy.

Króla wciągnięto przez burzę, a potem jego nosze złożono na pokładzie, moja pani stała najbliżej władcy ze wszystkich jego kobiet. Jako pierwsza żona miała obowiązek się nim zająć. Pozostałe zrobiły jej miejsce, a ona pochyliła się nad królem, ocierając błoto i krew z jego poszarzałej twarzy. Rozpoznał ją, gdyż usłyszałem, jak szepcze jej imię i pyta o syna. Moja pani przywołała księcia, a faraon uśmiechnął się delikatnie i spróbował unieść rękę, by dotknąć chłopca, lecz brakło mu siły i dłoń opadła z powrotem na nosze.

Rozkazałem załodze zanieść monarchę do jego kabiny. Moja pani zbliżyła się do mnie pospiesznie.

- Co z Tanusem? Czy nic mu nie jest? - spytała cicho, głosem pełnym napięcia. - Och, Taito, powiedz mi, że nie zginął z rąk tych strasznych wrogów!

- Jest bezpieczny. Nic nie może mu się przytrafić. Powtórzyłem ci wizję Labiryntów. Wszystko to zostało przepowiedziane. Lecz teraz muszę udać się do króla

i potrzebna mi będzie twoja pomoc. Zostaw Memnona z piastunkami i chodź ze mną.

Byłem wciąż brudny i oblepiony rzeczonym mułem, tak samo jak faraon, który wpadł do tego samego rowu co ja. Poprosiłem królową Lostris i dwie inne szlachetnie urodzone panie, by rozebrały go i obmyły, a potem złożyły na świeżych białych lnianych prześcieradłach, sam zaś powróciłem na pokład, by wykąpać się w kubłach rzecznej wody, które żeglarze wciągali z za burty. Nigdy nie operuję w brudzie, gdyż z doświadczenia wiem, że z jakiegoś powodu źle wpływa to na pacjenta i sprzyja gromadzeniu się śmiertelnych humorów.

Podczas tej czynności obserwowałem jednocześnie wschodni brzeg, gdzie nasza rozbita armia kuliła się za chroniącymi ją rowami i rozlewiskami. Przepęłniał mnie wstyd i strach, bo ta żałosna zbieranina była niegdyś dumną i waleczną potęgą. Wtedy dostrzegłem wysoką postać Tanusa kroczącą wśród żołnierzy. Dokąd by nie poszedł, ludzie wstawali z błota i gromadzili się, okazując coś zbliżonego do wojskowej dyscypliny. Raz uchwyciłem nawet niesione wiatrem ochrypłe i wydawane bez przekonania okrzyki na wiwat.

Gdyby przeciwnik posłał teraz przez mokradła swoją piechotę, doszłoby do całkowitej klęski i masakry. Ani jeden człowiek nie ocalałby z naszej potężnej armii, gdyż nawet Tanus zdolny byłby do stawienia jedynie symbolicznego oporu. Spoglądałem z niepokojem na wschód, ale nie

widziałem ustawionej w szeregi piechoty ani błysków zbliżających się włóczni na zboczach wzgórza.

Równinę pod Abnub zalegała wciąż ta przerażająca chmura kurzu, tak więc rydwany prowadziły dalej swe dzieło, lecz niezagrożony atakiem wrogiej piechoty Tanus mógł jeszcze uratować tego straszego dnia trochę nadziei. Miałem zapamiętać tę lekcję, która w mających nadejść latach nieraz nam się przydała. Rydwany mogą wygrać bitwę, ale jedynie piechurzy są w stanie utrwalić uzyskaną przewagę.

Bitwa na brzegu rzeki była teraz wyłączną sprawą Tanusa, ja zaś miałem do stoczenia bitwę ze śmiercią w kabinie paradnej barki.

Jeszcze nie traćmy nadziei – wyszeptałem do mojej pani, gdy powróciłem na swe miejsce przy boku króla. – Tanus zbiera wojska i jeżeli istnieje człowiek zdolny uratować Egipt przed Hyksosami, on nim jest.

Potem zwróciłem się do faraona i w tejże chwili zapomniałem o wszystkim oprócz mego pacjenta.

Jak to mam w zwyczaju, myślałem na głos, mrużąc cicho przy oględzinach rany. Od uderzenia owej nieszczęsnej strzały nie minęła jeszcze godzina, licząc według zegara wodnego, a jednak ciało wokół ułamanego drzewca napuchło już i zaogniło się.

– Strzała musi być wyjęta. Jeżeli zostawię ją w ranie, umrze przed świtem.

Sądziłem, że król już mnie nie słyszy, ale gdy się odezwałem, rozwarł powieki i spojrzał mi prosto w oczy.

- Czy jest szansa, że przeżyję? - zapytał.

- Szansa jest zawsze - odparłem nieszczercze bez zaj
ąknięcia.

Usłyszałem fałsz w mym głosie i król też go usłyszał.

- Dziękuję ci, Taito. Wiem, że będziesz o mnie walczył,
i oczyszczam cię z winy, gdyby ci się nie udało.

Okazał się niezwykle szczodry, jako że wielu medyków
przede mną poczuło zaciskający się na szyi sznur jako karę
za dopuszczenie do tego, by życie króla przeciekło im
między palcami.

- Grot utkwiał głęboko. Będzie bardzo bolało, lecz podam
ci proszek czerwonego shepennu, kwiatu snu, by uciszyć
ból.

- Gdzie jest moja pierwsza małżonka, królowa Lostris? -
zapytał, a moja pani odpowiedziała natychmiast:

- Jestem tutaj, mój panie.

- Jest coś, co chciałbym powiedzieć. Zwołaj wszystkich
moich ministrów i skrybów, tak by me słowa zostały
poświadczone i zapisane.

Wezwani stłoczyli się w ciasnej, rozgrzanej kabinie
i stanęli w milczeniu. Wówczas faraon wyciągnął rękę do
mojej pani.

- Weź moją dłoń i wysłuchaj tych słów - rozkazał, a ona
przysiadła przy nim i uczyniła, jak rozkazał, król zaś,
któremu brakowało tchu, mówił dalej cichym głosem. -
Gdybym miał umrzeć, królowa Lostris obejmie regencję
w imieniu mego syna. Poznawszy ją, przekonałem się, że

jest osobą silną i rozsądną. Gdyby taką nie była, nie składałbym na jej barki takiej odpowiedzialności.

- Dziękuję ci, Wielki Egipcie, za twoje zaufanie - powiedziała cicho królowa Lostris i teraz faraon zwrócił się wprost do niej, chociaż słyszeli go wszyscy obecni w kabinie.

- Otaczaj się mądrymi i uczciwymi ludźmi. Instruuj naszego syna we cnotach władzy królewskiej, które z tobą omówiłem. Znasz moją opinię we wszystkich sprawach.

- Uczynię tak, Wasza Wysokość.

- Gdy będzie już wystarczająco dorosły, by udźwignąć berło i bicz, przekaż mu je. To moja krew i moja dynastia.

- Z chęcią postąpię tak, jak rozkazujesz, gdyż jest nie tylko synem swego ojca, lecz i moim.

- Gdy będziesz władać, władaj mądrze i dbaj o mój lud. Wielu próbować będzie wydrzeć ci z rąk oznaki władzy królewskiej... nie tylko ten nowy, okrutny wróg, ów Hyksos, ale i inni, stojący bliżej tronu. Lecz ty musisz im się oprzeć. Zachowaj dla mego syna nietkniętą podwójną koronę.

- Jak sobie życzysz, boski faraonie.

Król zamilkł na chwilę i myślałem już, że zapadł w otchłanie nieświadomości, lecz nagle znów sięgnął po dłoń mojej pani.

- Mam dla ciebie ostatnie polecenie. Mój grobowiec i moja świątynia nie są ukończone. Teraz ta straszliwa klęska, której doznaliśmy, zagraża im w tym samym stopniu jak całemu memu królestwu. O ile moi generałowie ich nie zatrzymają, ci Hyksosi przetoczą się przez Egipt aż po Teby.

- Błagajmy bogów, by do tego nie doszło - wyszeptała moja pani.

- Polecam ci najsurowiej, żebyś dopilnowała tego, by moje ciało zostało zabalsamowane i pochowane razem z całym skarbem, zgodnie z najściślejszymi zaleceniami „Księgi umarłych”.

Mojapani milczała. Myślę, że już wtedy zdawała sobie sprawę z tego, jak uciążliwy obowiązek nakładał na nią faraon.

Jego uścisk stał się tak mocny, aż pobielaly mu palce, a Lostris skrzywiła się z bólu.

- Przymeknij mi to na swoje życie i nadzieję nieśmiertelności. Przysięgnij przed moimi ministrami dworu i całą moją monarszą świtą. Przysięgnij na imię Hapi, patronującego ci bóstwa, i na imię błogosławionej trójcy, Ozyrysa, Izydy i Horusa.

Królowa Lostris spojrzala w bok na mnie z żalosalną prośbą w oczach. Wiedziałem, że gdy już da słowo, dotrzyma go bez względu na cenę, jaką przyjdzie jej za to zapłacić. W tym podobna była do swego kochanka. Ją i Tanusa wiązał ten sam honorowy kodeks postępowania. Wiedziałem też, że wszyscy bliscy jej ludzie muszą być gotowi do zapłacenia tej samej ceny. Przysięga złożona teraz królowi któregoś dnia spaść mogła ciężarem na nas wszystkich, włączając w to księcia Memnona i niewolnika Taitę. A jednak nie było sposobu odmówienia spoczywającemu na łóżu śmierci królowi. Niedostrzegalnie skinąłem głową. Później skontroluję najdrobniejsze szczegóły tej przysięgi i niczym prawnik uformuję trochę rozsądniejszą interpretację.

- Przysięgam na Hapi i na wszystkich bogów - powiedziała cicho, lecz wyraźnie królowa Lostris. W mających nadejść latach po stokroć żalowałem, że to uczyniła.

Król westchnął z ulgą i puścił jej rękę.

- W takim razie jestem na ciebie gotów, Taito. I na jakikolwiek los zgotują mi bogowie. Pozwól mi tylko raz jeszcze pocałować syna.

Kiedy przyprowadzono do niego małego księcia, przegnałem bezceremonialnie z kabiny tłum dworzan. Potem przygotowałem wywar z czerwonego shepennu, tak mocny, jak tylko się odważyłem, gdyż zdawałem sobie sprawę z tego, że ból potrafi zniweczyć największe wysiłki i zniszczyć pacjenta równie szybko jak obsunięcie się skalpela.

Gdy król wypił wywar, odczekałem, dopóki źrenice nie zwężyły się do wielkości łebków od szpilek i dopóki nie przykryły ich powieki. Wtedy odesłałem księcia wraz z jego piastunkami.

Opuszczając Teby, spodziewałem się, że będę miał do czynienia z ranami po strzałach, zabrałem więc ze sobą moje łyżki. Narzędzie to zaprojektowałem osobiście, chociaż pewien szarlatan z Gazy oraz inny z Memfis twierdzili, że jest to ich wynalazek. Pobłogosławiłem łyżki i skalpele w płomieniu lampy, a potem opłukałem dłonie gorącym winem.

- Nie uważam zastosowania twoich łyżek za rozsądne, gdy grot strzały tkwi tak głęboko i tak blisko serca - stwierdziła moja pani, przyglądając się tym przygotowaniom.

Zdarzają się sytuacje, gdy przemawia w taki sposób, jakby uczeń prześcignął mistrza.

- Jeżeli zostawię strzałę w ranie, na pewno wda się gangrena. Zabiłbym władcę równie skutecznie, jak gdybym zdjął mu głowę z ramion. Tylko w ten sposób mamy szansę go uratować.

Przez moment patrzyliśmy sobie w oczy i rozumieliśmy się bez słów. Taka była wizja dana nam przez Labirynty Amona-Re. Czy pragnęliśmy uniknąć dobroczynnych konsekwencji, jakie nam niosła?

- To mój mąż. To faraon - moja pani ujęła moją dłoń dla podkreślenia swych słów. - Uratuj go, Taito. Uratuj go, jeżeli potrafisz.

- Wiesz dobrze, że spróbuję - odparłem.

- Potrzebujesz mnie do pomocy?

Asystowała mi już wielokrotnie. Skinąłem przyzwalająco głową i pochyliłem się nad królem.

Mogłem spróbować jednego z trzech sposobów usuwania strzały. Pierwszym byłoby wyrwanie jej z rany. Słyszałem o chirurgu z Damaszku, który nagina giętką gałąź drzewa i przymocowuje ją do strzały. Gdy uwalnia gałąź, grot zostaje wyszarpięty z żywego ciała siłą sprężystości drzewa. Nigdy nie próbowałem tak brutalnego leczenia, jako że przekonany jestem, iż niewielu ludzi by je przeżyło.

Druga metoda polega na przepchnięciu strzały przez kończynę czy tors, dopóki haczykowany grot nie wynurzy się po drugiej stronie. By to osiągnąć, wbija się ją w ranę za pomocą drewnianego młota niczym gwóźdź w deskę. Wówczas odpiłowuje się grot i wyciąga brzechwę. Ten sposób jest równie brutalny jak poprzedni.

Moją metodą jest łyżka Taity. Z całą skromnością nazwałem łyżkę moim imieniem, jako że prawa tamtych dwóch są bezpodstawne, a potomność winna dowiedzieć się o moim geniuszu.

Najpierw przyjrzałem się hyksoskiej strzale, którą wydostałem wraz z łukiem z wywróconego rydwanu. Ze zdziwieniem skonstatowałem, że wykonana była z obrobionego krzemienia, nie zaś z brązu. Oczywiście krzemień jest tańszy i łatwiejszy do zdobycia w dużych ilościach, lecz rzadko kiedy słyszałem o generale, który stara się oszczędzać, wyruszając na podbój sąsiedniego królestwa. Ten krzemienny grot wymownie świadczył o ograniczonych zasobach, jakimi dysponował Hyksos, i sugerował powód jego brutalnego najazdu na Egipt. Wojny toczy się o ziemię albo bogactwo, a wyglądało na to, że Hyksosowi brakuje obu tych towarów.

Mogłem tylko mieć nadzieję, że grot skryty w piersi faraona był tego samego kształtu i rodzaju. Dopasowałem dwie łyżki do ostrego jak brzytwa odłamka kamienia. Mam narzędzia różnych rozmiarów, wybrałem więc taką parę, która idealnie obejmowała grot, kryjąc paskudne zęby gładko wypolerowanym metalem.

Do tego czasu narkotyk zadziałał już w pełni i faraon spoczywał nieprzytomny na śnieżnobiałej pościeli. Ułamana strzała sterczała na długość mego palca wskazującego z jego skóry, pomarszczonej wiekiem i oszronionej kędziorami włosów. Ponownie przyłożyłem mu ucho do piersi i usłyszałem świszczący, bulgoczący w płucach oddech. Upewniwszy się, że monarcha nadal żyje, wysmarowałem wybrane przeze mnie łyżki baranim tłuszczem, by ułatwić im wniknięcie w ranę. Położyłem

narzędzia w dogodnym miejscu i ująłem najostrzejszy skalpel.

Dałem znak czterem silnym gwardzistom, których wybrała dla mnie królowa Lostris w czasie, gdy ja zajęty byłem przygotowaniami, a oni unieruchomili nadgarstki i kostki faraona w mocnym uchwycie. Królowa Lostris usiadła przy głowie monarchy, po czym wepchnęła mu w usta i głębiej w gardło drewnianą tubę wyjętą z mej skrzynki lekarskiej. To zapewnić miało drożność tchawicy. Chroniło także przed połknięciem języka czy też zaciśnięciem i połamaniem zębów, gdyby ból stał się nie do zniesienia.

- Najpierw muszę powiększyć ranę wokół brzechwy, tak bym mógł dosięgnąć grotu - wymruczałem do siebie, naciskając skalpelem wzdłuż linii wyznaczonej przez strzałę.

Ciało faraona zeszywniało, lecz mężczyźni przytrzymali go bezlitośnie.

Pracowałem szybko, gdyż przekonałem się, że pośpiech ma pierwszorzędne znaczenie w operacjach tego rodzaju, jeżeli chory ma przeżyć. Naciąłem szczelinę po obu stronach brzechwy. Ludzka skóra jest mocna i elastyczna, przeszkadzałaby więc we wprowadzeniu łyżek do rany, dlatego też musiałem się przez nią przebić.

Odłożyłem nóż i chwyciłem parę posmarowanych łojem łyżek. Używając strzały jako przewodnicy, wpychałem je coraz głębiej w ranę, dopóki z ciała nie wystawały jedynie długie rączki.

Teraz faraon wił się i rzucał w uchwycie utrzymujących go żołnierzy. Pot wyciekał z wszystkich porów, spływał po ogolonej, pokrytej rzadką, szarą szczecinią czaszce. Z tuby w ustach rozbrzmiewały okrzyki, niosące się w głąb kadłuba statku.

Nauczyłem się nie zwracać uwagi na cierpienia moich pacjentów, wsunąłem więc łyżki jeszcze głębiej w szeroko rozwarte usta rany, dopóki nie poczułem, że dotykają krzemienia grotu. Teraz zaczynała się najdelikatniejsza część operacji. Używając rączek niczym szczypiec, rozsunąłem łyżki i przesunąłem nimi wzdłuż grotu. Gdy poczułem, jak zamykają się z własnej woli, mogłem jedynie mieć nadzieję, że całkowicie objęły chropowaty krzemień i skryły szczerbate kamienne zęby.

Pewnie schwyciłem rączki instrumentów wraz z trzcinową brzechwą strzały i pociągnąłem za nie razem. Gdyby haki grotu nadal pozostawały nieosłonięte, momentalnie zaczepiłyby się w ciele faraona i oparły memu szarpnięciu. Miałem ochotę krzyknąć z ulgą, kiedy poczułem, że pocisk zaczyna się wysuwać. Nadal wszakże ssanie wilgotnego, lepkiego ciała było znaczne i w wyjmowanie strzały włożyć musiałem wszystkie siły.

Rzeczą straszną było przysłuchiwanie się i przyglądanie cierpieniom faraona, gdy przeciągałem przez jego pierś masę trzciny, kamienia i metalu. Czerwony shepenn już dawno przestał przynosić jakąkolwiek ulgę i król cierpiał przeszywający, okrutny ból. Wiedziałem, że dokonuję

olbrzymich uszkodzeń, i czułem, jak rwą się tkanki i ściętna.

Pot ściekał mi pod powieki, paląc w oczy i na wpół oślepiając, lecz nie zwalniałem uchwytu, dopóki usmarowana krwią strzała nie wyskoczyła nagle z rany, tak że zatoczyłem się do tyłu i wpadłem na przepierzenie. Opierałem się o nie przez moment, wyczerpany wysiłkiem. Przez długą chwilę przypatrywałem się ciemnej, częściowo zakrzepłej krwi sączącej się i tryskającej z rany, zanim zdołałem pozbierać się na tyle, by przejść na chwiejnych nogach przez kabinę i zatamować krwotok.

Wysmarowałem ranę drogocenną mirrą i scukrzonym miodem, a potem obwiązałem ją czystymi płóciennymi bandażami. Podczas pracy recytowałem inkantację przy opatrywaniu ran:

Obwiążuję cię, o tworze Setha,

Zamykam twe usta.

Ustąp przede mną, czerwona falo,

Cofnij się przede mną, czerwony kwiecie śmierci.

Przepędzam cię, o czerwony psie Setha.

Była to recytacja właściwa dla krwawiącej rany zadanej ostrzem lub strzałą. Istnieją odpowiednie wersety dla każdego rodzaju obrażenia, od oparzeń do tych wywołanych ciosami lwich kłów czy pazurów. Nauczenie się ich stanowi znaczną część edukacji medyka. Nigdy nie jestem całkowicie przekonany co do skuteczności tych inkantacji, uważam wszakże, że winien jestem moim pacjentom

zastosowanie przy leczeniu wszelkich dostępnych mi środków.

W rezultacie po założeniu opatrunku faraon robił wrażenie znacznie spokojniejszego, mogłem więc zostawić go pogrążonego we śnie pod opieką kobiet i wyjść na pokład. Potrzebowałem chłodnego, rzeczno powietrza, by mnie orzeźwiło, jako że operacja wyczerpała mnie prawie tak samo jak monarchę.

Był już nieomal wieczór, znużone słońce chowało się za nagimi wzgórzami zachodu, rzucając ostatnie krwawe blaski na pole bitwy. Atak hyksoskiej piechoty nie nastąpił, a Tanus nadal sprowadzał resztki swej pokonanej armii z brzegu na zakotwiczone w nurcie rzeki łodzie.

Przypatrywałem się mijającym naszą barkę łodziom wypełnionym rannymi i zmordowanymi ludźmi. Czułem głębokie współczucie dla nich i dla całego naszego ludu. Po wieczność dzień ten pozostanie najczarniejszym w naszej historii. Wtedy dostrzegłem chmury kurzu podnoszone przez rydwany Hyksosów, które poczęły już oddalać się na południe ku Tebom. Zachodzące słońce zaczerwieniło je kolorem krwi. Uznałem to za znak i współczucie zamieniło się w lęk.

Kiedy Tanus powrócił na pokład królewskiej barki, było już ciemno. W świetle pochodni wyglądał jak jedno z zaścierałych pobojuwisko ciał. Zmęczenie i warstwa kurzu nadawały szary odcień jego twarzy. Płaszcz sztywny był od zaschniętej krwi i błota, pod oczami widniały

mroczne cienie. Gdy mnie ujrzał, jego pierwszą troską było pytanie o zdrowie faraona.

- Wyciągnąłem strzałę - poinformowałem go. - Ale rana jest głęboka i blisko serca. Jest bardzo osłabiony, lecz jeśli przeżyje trzy dni, będę w stanie go uratować.

- Co z twoją panią i jej synem? - zawsze mnie o to pytał, kiedykolwiek się spotykaliśmy.

- Królowa Lostris jest zmęczona, ponieważ asystowała mi przy operacji. Mimo to przebywa z królem. Księżę jest jak zwykle pełen wigoru, ale teraz śpi pod opieką piastunek.

Dostrzegłem, że Tanus słania się na nogach, i pojąłem, że nawet jego olbrzymi zasób sił jest już na wyczerpaniu.

- Musisz teraz odpocząć... - zacząłem, lecz on odtrącił moją dłoń.

- Przynieście tu lampy - rozkazał. - Taito, znajdź swoje pędzelki, kałamarze i zwoje. Muszę wysłać ostrzeżenie do Nembeta, żeby nie wpadł w pułapkę Hyksosów jak my.

Tak więc siedzieliśmy z Tanusem przez pół nocy na odkrytym pokładzie i oto jaki list dla Nembeta mi podyktował:

Pozdrowienia dla Księcia Nembeta, Wielkiego Lwa Egiptu, dowódcy dywizji Re armii Faraona. Obyś żył wiecznie!

Wiedz, że starliśmy się z wrogim Hyksosem na równinie pod Abnub. Hyksos z powodu swojej siły i zawziętości jest strasznym przeciwnikiem, posiada dziwne, szybkie pojazdy, którym nie jesteśmy w stanie stawić czoła.

Wiedz dalej, że ponieśliśmy klęskę i że nasza armia została zniszczona. Nie możemy już dalej opierać się Hyksosowi.

Wiedz dalej, że Faraon został ciężko ranny i jego życiu zagraża niebezpieczeństwo.

Zalecamy ci, byś nie dążył do spotkania z Hyksosem w otwartym polu, gdyż jego pojazdy mkną niczym wiatr. Skryj się przeto za kamiennymi murami lub też wyczekuj na pokładzie okrętów, by odpędzić przeciwnika.

Hyksos nie posiada własnych okrętów i jedynie dzięki naszej flocie możemy nad nim zatriumfować.

Zalecamy ci, byś oczekiwał naszego nadejścia przed zaangażowaniem swych sił w bitwie.

Błagam Horusa i wszystkich bogów, by roztoczył nad tobą swoją opiekę.

Tak przemawia Tanus, książę Harrab, dowódca dywizji Ptah armii Faraona.

Sporządziłem cztery egzemplarze tego posłania, a gdy skończyłem, Tanus przywołał gońców, by zanieśli je księciu Nembetowi, Wielkiemu Lwu Egiptu, posuwającemu się z południa, żeby wzmocnić nasze siły. Tanus posłał w górę rzeki dwa szybkie okręty, każdy z kopią listu na pokładzie. Nakazał wysadzić najlepszych biegaczy na zachodnim brzegu, po stronie rzeki niezajętej przez armie Hyksosów, i wysłać ich na poszukiwanie Nembeta.

- Z pewnością któryś z twych zwojów dotrze do Nembeta. Przed świtem nic więcej nie możesz uczynić - zapewniłem go.

- Musisz teraz się wyspać, bo jeśli sam się zniszczysz, wraz z tobą zginie cały Egipt.

Nawet wtedy Tanus odmówił pójścia do kabiny, zwinął się tylko jak pies na pokładzie, tak by w każdej chwili być gotowym na spotkanie nowego zagrożenia. Ja wszakże powróciłem pod dach kabiny. Chciałem być w pobliżu króla i dostarczać pociechy mojej pani.

Zanim jeszcze zapaliły się pierwsze światła świtu, wyszedłem znowu na pokład. Zjawiłem się w chwili, gdy Tanus wydawał rozkaz spalenia naszej floty. Nie mnie było kwestionować słuszność tej decyzji, lecz Tanus dostrzegł moje pełne niedowierzania spojrzenie i gdy posłańcy zostali odprawieni, rzekł do mnie szorstko:

- Właśnie otrzymałem od moich dowódców pułków dane o stanie armii. Spośród trzydziestu tysięcy ludzi, którzy wyszli wczoraj na równinę pod Abnub, by stawić czoło rydwanom Hyksosów, pozostało siedem tysięcy. Pięć tysięcy z nich jest rannych i wielu jeszcze umrze. Wśród tych, którzy nie odnieśli żadnych ran, tylko nieliczni to żeglarze. Mam teraz ludzi wyłącznie na obsadzenie połowy floty. Muszę porzucić resztę naszych okrętów, ale nie mogą wpaść w ręce Hyksosów.

Do wzniesienia ognia użyto wiązek sitowia. Gdy tylko je podpalono, płomienie rozprzestrzeniły się gwałtownie. Był to straszny i przygnębiający widok nawet dla mnie i mojej pani, chociaż nie mieliśmy duszy żeglarza. Dla Tanusa okazało się to o wiele trudniejsze. Stał samotnie, zgarbiony, na dziobie paradnej barki, przyglądając się, jak płoną jego

okręty, a każda zmarszczka na jego twarzy wyrażała rozpacz i żal. Dla niego okręty były to piękne, żywe istoty.

Moja pani na oczach całego dworu nie mogła zająć należnego jej miejsca u jego boku, lecz ukradkiem ujęła mnie za rękę i we dwoje, spoglądając na te eleganckie okręty pływające jak pochodnie, opłakiwaliśmy Tanusa i Egipt. Huczące kolumny ognia stojące nad każdym skażone były czarnym dymem, lecz mimo to ich krwawy blask dorównywał mocą nadciągającemu wschodowi słońca.

W końcu Tanus wydał swym pozostałym stu okrętom rozkaz podniesienia kotwicy i nasza mała flotylla, obciążona rannymi i konającymi, zawróciła na południe.

Za naszymi plecami dym ze stosu pogrzebowego floty bił wysoko w poranne niebo, przed nami zaś żółta chmura pyłu rozciągała się coraz szerzej i dalej wzdłuż wschodniego brzegu Nilu, w miarę jak oddziały hyksoskich rydwanów zapuszczały się coraz głębiej w Górne Królestwo, w stronę bezbronnych Teb i ich bogactw.

Zdawało się, że bogowie odwrócili się od Egiptu i kompletnie nas porzucili, gdyż wiatr, który o tej porze roku wiał zwykle tak silnie z północy, ucichł całkowicie, a potem zerwał się ponownie z nowymi siłami, dmąc z południa. Musieliśmy więc zmagać się zarówno z prądem, jak i wiatrem, a nasze okręty były poważnie obciążone ładunkiem rannych. Poruszaliśmy się po wodzie ciężko i powoli, przeredzone załogi harowały przy wiosłach. Nie potrafiliśmy dotrzymać kroku armii Hyksosów, która oddalała się od nas nieubłaganie.

Pochłaniały mnie moje obowiązki królewskiego lekarza. Natomiast na wszystkich pozostałych okrętach dziesiątkami umierali ludzie, których mógłbym być ocalić. Za każdym razem, gdy wychodziłem zaczerpnąć świeżego powietrza i odetchnąć po czuwaniu przy łożu faraona, widziałem ciała przerzucane przez burty sąsiednich okrętów. Po każdym uderzeniu trupa o wodę pod powierzchnią zaczynały się miotać krokodyle. Te ohydne gady podążały za flotą jak sępy.

Faraon szybko odzyskiwał siły i drugiego dnia mogłem nakarmić go miseczką rosołu. Tego wieczoru zapragnął ponownie ujrzeć księcia, przyprawiono więc do niego Memnona.

Memnon wkroczył już w wiek, gdy dzieci stają się niespokojne jak pasikonik i hałaśliwe jak stado szpaków. Monarcha zawsze był dobry dla chłopca, okazując wręcz skłonność do nadmiernej pobłażliwości, toteż Memnon uwielbiał jego towarzystwo. Zrobił się już z niego śliczny chłopiec o gładkich, silnych kończynach, skórze doskonałej jak u jego matki i wielkich, ciemnozielonych oczach. Włosy zwijały mu się niczym runo nowo narodzonego jagnięcia, a w świetle słońca przebłyskiwały w nich płomyki pochodzące ze złocistej czupryny Tanusa.

Radość faraona na widok chłopca była bardziej wzruszająca niż zwykle. Dziecko i obietnica, jaką wydarł z mej pani, stanowiły jego nadzieję na nieśmiertelność. Wbrew moim sugestiom zatrzymał dziecko przy sobie aż do zmierzchu. Widziałem, że niewyczerpana energia Memnona

i nieprzerwana uwaga, jaką należało mu poświęcać, męczyły króla, lecz nie mogłem się wtrącić, dopóki nie nadszedł czas na kolację i nie zjawily się piastunki, by zabrać chłopca.

Moja pani i ja pozostaliśmy przy łożu króla, ale on zapadł nieomal natychmiast w podobny śmierci sen. Nawet bez białego makijażu był równie blady jak pościel, na której spoczywał.

Następny dzień był trzecim od czasu zranienia, a więc najbardziej niebezpiecznym. Gdyby władca go przeżył, mógłbym być pewien, że zdołam go uratować. Lecz gdy zbudziłem się o świcie, powietrze w kabinie przesycone było piżmowym odorem rozkładu. Dotknąłem skóry faraona – sparzyła mi palce niczym postawiony na piecu kociołek. Zawołałem moją panią, a ona, potykając się, wybiegła z alkowy, w której spała.

- Co się stało, Taito? – tylko tyle zdążyła powiedzieć, gdyż odpowiedź malowała się na mojej twarzy.

Stała przy mnie, gdy zdejmowałem bandaż. Zakładanie opatrunku stanowi nie lada sztukę pośród umiejętności chirurga, a ja zszyłem bandaż, by je unieruchomić. Teraz rozciąłem łączące je nici i usunąłem opatrunek warstwa po warstwie.

- Litościwe Hapi, módl się za niego! – wykrztusiła królowa Lostris, walcząc z mdłościami, gdy dotarła do niej fala smrodu.

Kruchy czarny strup pokrywający otwartą ranę pękł i z otworu wyciekała powolnym lepkiem strumieniem gęsta

zielona ropa.

- Gangrena! - wyszeptałem. Ów złośliwy humor, atakujący trzeciego dnia i rozprzestrzeniający się w ciele niczym zimowy pożar wśród wyschniętych zarośli papirusu, to koszmar dla chirurga.

- Co możemy uczynić? - zapytała Lostris, a ja potrząsnąłem głową.

- Umrze przed zmierzchem - oznajmiłem, ale i tak czekaliśmy przy jego łożu na to, co było nie do uniknięcia.

Gdy po statku rozniosła się wieść o tym, że faraon jest konający, kabina wypełniła się kapłanami, kobietami i dworzanami. Oczekiwaliśmy w milczeniu.

Tanus przybył jako ostatni i stanął z tyłu tłumu z hełmem pod pachą w postawie wyrażającej szacunek i żalobę. Jego spojrzenie nie spoczywało na łożu śmierci, lecz na królowej Lostris. Ona zaś miała twarz odwróconą w inną stronę, ale wiedziałem, że każdym włóknem swego ciała świadoma jest jego obecności.

Głowę okryła wyhaftowanym płóciennym szalem, lecz od pasa spódniczki w górę była naga. Od kiedy księżę odstawiony został od matki, jej piersi straciły ciężki ładunek mleka. Znów stała się szczupłą jak dziewczica, a poród nie skaził jej łona ani miękkiego brzucha srebrnymi liniami rozstępów. Jej skóra pozostała tak gładka i nieskazitelna, jakby dopiero co została nasmarowana zmieszaną z perfumami oliwą.

Okładałem rozpalone ciało faraona mokrymi szmatami, próbując zbić gorączkę, ale żar wyparowywał wilgoć, toteż

zmuszony byłem często zmieniać okłady. Monarcha rzucał się niespokojnie, krzyczał w delirium, nawiedzany przez wszystkie okropności i potwory zaświatów oczekujące na jego przyjęcie.

Chwilami recytował urywki z „Księgi umarłych”. W dzieciństwie kapłani nauczyli go na pamięć tej księgi, stanowiącej klucz i mapę, które prowadziły przez cienie ku odległym polom rajów.

Kryształowa ścieżka ma dwadzieścia jeden zakrętów.

Droga jest wąska jak brązowe ostrze.

Bogini strzegąca drugiego pylonu

Jest podstępna i kręte są jej ścieżki.

Pani płomienia, dziwko wszechświata

o paszczy lwicy,

twoja pochwa pochłania ludzi,

oni giną w twoich mlecznych wymionach.

Stopniowo jego głos i ruchy słabły, niewiele czasu po tym, jak słońce poczęło opadać ku horyzontowi, westchnął, zadrżał po raz ostatni i znieruchomiał. Pochyliłem się nad nim, poszukując pulsu z boku szyi, lecz go nie znalazłem, a skóra stygła pod moim dotykiem.

- Faraon nie żyje - oznajmiłem cicho, zamykając powieki zapatrzonych w nicość oczu. - Oby żył wiecznie!

Żałobny krzyk wyrwał się z gardeł wszystkich zgromadzonych, a moja pani przewodziła królewskim kobietom w dzikim, pełnym żalu zawroźdzeniu. Dźwięk ten zmroził mnie i sprawił, że niewidzialne owady biegać

poczęły po mej skórze, tak więc jak najszybciej opuściłem kabinę. Tanus wyszedł w ślad za mną na pokład i chwycił mnie za ramię.

- Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy, by go ratować?
- zapytał obcesowo. - To nie była kolejna twoja sztuczka?

Wiedziałem, że to nieuprzejme traktowanie stanowiło wyraz jego własnej winy i lęku, tak więc starałem się złagodzić moją odpowiedź.

- Zabiła go strzała Hyksosów. Zrobiłem wszystko, co leżało w mej mocy, by go ocalić. To przeznaczenie ukazane przez Labirynty Amona-Re, w żadnym z nas nie ma winy ani błędu.

Tanus odetchnął z ulgą i objął mnie silnym ramieniem.

- Nie przewidywałem czegoś podobnego. Myślałem jedynie o mojej miłości do królowej i do naszego syna. Powinienem się cieszyć, że jest teraz wolna, lecz nie potrafię. Zbyt wiele zostało utracone i zniszczone. Wszyscy jesteśmy jedynie ziarnami sorga w młynie Labiryntów.

- Później nadejdzie i dla nas czas radości - zapewniłem go, choć nie miałem żadnych podstaw, by tak sądzić. - Lecz święty obowiązek spoczywa wciąż na mojej pani, a przez nią na tobie i na mnie - i przypomniałem mu o przysiędze, jaką królowa Lostris złożyła królowi, zobowiązując się do zachowania jego ziemskiej powłoki i zapewnienia jej właściwego pogrzebu, tak by jego *Ka* mogło przejść na rajskie równiny.

- Powiedz mi, jak mogę w tym dopomóc - odparł prosto Tanus - lecz pamiętaj, że Hyksos mknie przed nami przez

Górne Królestwo i nie mogę zagwarantować, że grobowiec faraona pozostanie nienaruszony.

- Wobec tego, jeśli zajdzie taka potrzeba, musimy znaleźć dla niego inne miejsce spoczynku. Naszym pierwszym zmartwieniem winno być zachowanie ciała. W tym upale przed zachodem słońca zacznie się rozkładać i roić od robaków. Nie jestem wprawny w sztuce balsamiarskiej, lecz znam tylko jeden sposób na dochowanie naszej przysięgi.

Tanus posłał żeglarzy do ładowni barki, a oni wyciągnęli z zapasów wielki gliniany dzban oliwek w occie. Następnie według moich instrukcji opróżnił dzban i napełnił go wrzątkiem. Gdy woda była wciąż gorąca, rozpuścił w niej trzy worki soli morskiej najwyższej jakości. Później wypełnił taką samą solanką cztery mniejsze dzbany na wino i wystawił je na pokład, by ostygły.

Tymczasem pracowałem samotnie w kabinie. Moja pani chciała mi pomóc, uważając, że jest to winna swemu zmarłemu mężowi, lecz odprawiłem ją, by zaopiekowała się księciem.

Rozciąłem zwłoki faraona wzdłuż lewego boku, od żeber po kość biodrową. Przez ten otwór wyjąłem zawartość klatki piersiowej i brzucha, oddzieliwszy je od reszty ciała ostrym nożem. Oczywiście serce pozostawiłem na swoim miejscu, ponieważ jest to narząd życia i inteligencji. Pozostawiłem też nerki jako naczynia natury wodnej, symbolizujące święty Nil. Powstałą jamę wypchałem solą, a następnie zaszyłem nićmi. Nie posiadałem łyżki balsamiarskiej, którą mógłbym wepchnąć przez nos, by

usunąć z bani czaszki ową miękką, żółtą papkę, pozostawiłem ją więc na miejscu. Tak czy owak, nie miała żadnego znaczenia. Wnętrznosci podzieliłem na części: wątrobę, płuca, żołądek i j elita. Żołądek oraz jelita wypłukałem solanką, choć było to odrażające zajęcie.

Gdy skończyłem, skorzystałem ze sposobności, by dokładnie zbadać płuca króla. Prawe było zdrowe, różowej barwy, lecz lewe przebite zostało pociskiem i zapadło się niczym przekłuty pęcherz. Wypełniała je zepsuta czarna krew i ropa. Byłem zadziwiony, że stary król przeżył tak długo z takimi obrażeniami. Poczułem się oczyszczony z wszelkiej winy. Żaden medyk nie zdołałby go ocalić i w mojej kuracji nie było wad ani błędów.

Na koniec poleciłem żeglarzom wnieść ostudzone dzbany z solanką. Tanus pomógł mi ułożyć ciało faraona w pozycji płodowej, po czym umieściliśmy je w naczyniu po oliwkach. Upewniłem się, że mocna solanka całkowicie pokryła zwłoki. Wnętrznosci upchaliśmy do mniejszych naczyń. Wszystkie naczynia zapieczętowaliśmy smołą i woskiem, a potem starannie umocowaliśmy we wzmocnionym pomieszczeniu pod pokładem, gdzie król składował swe skarby. Myślę, że faraon zadowolony był z tego miejsca spoczynku w otoczeniu swego złota i sztab srebra.

Zrobiłem wszystko, co mogłem, by dopomóc mej pani w wywiązaniu się z przyrzeczenia. W Tebach zamierzałem przekazać ciało króla balsamiarzom, o ile Hyksosi nie dotrą tam pierwsi oraz jeżeli miasto i jego mieszkańcy wciąż będą istnieć, gdy tam przybędziemy.

Gdy podeszliśmy pod otoczone murami miasto Asjut, okazało się, że Hyksosi pozostawili tu jedynie niewielkie siły oblężnicze, natomiast główna armia podążyła dalej na południe. Choć oddział składał się z mniej niż stu rydwanów, oblegający miasto Hyksosi byli zbyt silni, by nasza zdziesiątkowana armia mogła ich zaatakować.

Tanus postawił sobie za cel uratowanie Rem-rema i jego pięciu tysięcy żołnierzy przebywających za miejskimi murami, a potem ruszenie w górę rzeki, by połączyć swe siły z księciem Nembetem i jego trzydziestotysięczną armią posiłkową. Zakotwiczywszy pośrodku rzeki, bezpieczny przed atakiem ze strony śmiercionośnych rydwanów, Tanus mógł zasygnalizować swe zamiary obsadzającemu mury Rem-remowi.

Przed laty pomogłem mu w zaprojektowaniu systemu sygnałowego, wykorzystującego dwie kolorowe flagi do przekazywania wiadomości do pozostającego w zasięgu wzroku adresata przez dolinę, ze szczytu na szczyt, czy też z miejskich obwarowań na równinę lub rzekę. Dzięki flagom Tanus mógł uprzedzić Rem-rema, żeby czekał na nas najbliższej nocy. Wtedy to pod osłoną ciemności dwadzieścia okrętów podeszło pospiesznie do plaży poniżej miejskich umocnień. W tym samym momencie Rem-rem rozwarł boczne bramy i na czele swego pułku przebił się przez hyksoskie posterunki. Zanim przeciwnik zdołał zaprząć konie, Rem-rem i jego ludzie znaleźli się bezpiecznie na pokładach.

Bezzwłocznie Tanus dał reszcie swej flotyli znak do podniesienia kotwicy. Opuścił Asjut, zostawiając miasto na splądrowanie, i ruszyliśmy pod prąd na wiosłach. Przez resztę nocy, gdy spoglądaliśmy za rufę, widzieliśmy rozświetlające północny horyzont ognie płonącego miasta.

- Niech mi te biedne sukinsyny wybaczą - mruknął do mnie Tanus. - Nie miałem innego wyjścia, jak tylko ich poświęcić. Moja powinność spoczywa na południu, w Tebach.

Było w nim dość z żołnierza, by bez wahania podjąć podobną decyzję, i dość z człowieka, by gorzko ją opłakiwać. Mój podziw dla niego dorównywał wówczas mojej miłości.

Rem-rem powiedział nam, że nasze fregaty sygnałowe minęły Asjut poprzedniego dnia i że do tej pory posłanie, jakie spisałem w imieniu Tanusa, musiało znaleźć się w rękach księcia Nembeta.

Rem-rem był też w stanie udzielić nam nieco nowin o Hyksosach i ich marszu na południe. Pochwyił dwóch egipskich dezertersów i zdrajców, którzy przeszli na stronę przeciwnika i zakradli się do Asjut, by szpiegować obrońców. Na torturach wyli jak szakale, którymi zresztą byli, lecz przed śmiercią dostarczyli Rem-remowi wielu cennych i interesujących danych o Hyksosach.

Hyksoski król, którego z tak tragicznym wynikiem spotkaliśmy na równinie pod Abnub, nazywał się Salitis. W żyłach jego plemienia płynęła semicka krew. Pierwotnie był to wędrowny pasterski lud żyjący w górach Zagros

niedaleko jeziora Van. To potwierdziło wrażenie, jakie odniosłem po ujrzeniu tych straszliwych Azjatów. Z rysów zgadywałem ich semickie pochodzenie, lecz dziwiło mnie, w jaki sposób lud pasterzy wykształcił tak niezwykle pojazd jak kołowy rydwan i gdzie znaleźli to wspaniałe zwierzę, które my, Egipcjanie, określaliśmy teraz mianem konia, i obawialiśmy się go wtedy tak, jakby była to bestia rodem z zaświatów.

Pod innymi względami Hyksosi robili wrażenie narodu zacofanego. Nie umieli czytać ani pisać, a ich ustrój był brutalną tyranią pod rządami jednego króla i władcy, owego brodatego Salitisa. My, Egipcjanie, nienawidzimy i boimy się go bardziej jeszcze niż dzikich stworzeń, które ciągnęły jego rydwan.

Głównym bogiem Hyksosów był Sutekh, bóg burzy. Nie trzeba dogłębnej wiedzy, by rozpoznać w nim naszego budzącego przerażenie Seta. Wybór boga był jak najbardziej trafny, a ich postępowanie przynosiło temu bogu zaszczyt. Żaden cywilizowany naród nie paliłby, nie plądrował i nie mordował jak oni. To, że torturujemy zdrajców, nie może być oceniane według tej samej miary co okropieństwa, jakich dopuszczali się ci barbarzyńcy.

Jest prawdą wielokrotnie potwierdzaną przez moje obserwacje, że narody wybierają sobie bóstwa odpowiadające ich naturze. Filistyni czczą Baala i ciskają żywe niemowlęta w rozpalony piec, stanowiący jego usta. Czarne kuszyckie szczepy oddają cześć potworom i stworzeniom z zaświatów przez najdziwaczniejsze rytuały.

My, Egipcjanie, wielbimy sprawiedliwych i przyzwoitych bogów, dobrotliwych w stosunku do człowieka i nie żądających ludzkich ofiar. No, a ci Hyksosi mają swego Sutekha.

Jeńcy Rem-rema nie byli chyba jedynymi egipskimi zdrajcami podróżującymi z wrogą armią. Z rozżarzoną węglem w odbytnicy jeden z pochwyconych przez Rem-rema ludzi wspomniał o jakimś wielkim egipskim panu z Górnego Królestwa zasiadającym w radzie wojennej króla Salitisa. Gdy o tym usłyszałem, przypomniałem sobie moje rozważania nad znajomością naszej formacji bitewnej, jaką wykazywali Hyksosi na równinie pod Abnub. Już wtedy podejrzewałem wśród nich obecność znającego nasze sekrety szpiega.

Gdy okazało się to prawdą, należało oczekiwać, że przeciwnik zna nasze mocne i słabe strony. Musi znać plany i umocnienia wszystkich miast. Zwłaszcza zaś wiedzieć musi o obfitym skarbie, jaki faraon nagromadził w swej świątyni grobowej.

- Może to wyjaśnia pośpiech, z jakim król Salitis gna ku Tebom - podsunąłem Tanusowi. - Powinniśmy oczekiwać, że spróbuje przepłynąć się przez Nil przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

Tanus zaklął siarczyście.

- Jeśli Horus będzie łaskawy, wyda tego zdradzieckiego egipskiego możnowładcę w me ręce - uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Musimy przeszkodzić Salitisowi w przekroczeniu rzeki, nasze okręty są jedyną przewagą,

jaką nad nim mamy. Zamierzam ją w pełni wykorzystać. – Ciężkim krokiem przeszedł się po pokładzie i spojrzał w niebo. – Kiedy ten odrażający wiatr skręci z powrotem na północ? Z każdą godziną rydwany wroga coraz bardziej się od nas oddalają. Gdzie jest flota Nembeta? Musimy połączyć nasze siły i utrzymać linię rzeki.

Tego samego popołudnia na rufowym pokładzie królewskiej barki u stóp tronu zebrała się rada państwa Górnego Egiptu. Arcykapłan Ozyrysa reprezentował stan kapłański, książę Merseket, kanclerz, występował w imieniu stanu świeckiego, a Tanus, książę Harrab przemawiał jako przedstawiciel władzy wojskowej.

Trzej dygnitarze wspólnie wnieśli królową Lostris na tron Egiptu i umieścili jej syna na kolanach. Podczas gdy wszyscy ludzie na pokładzie wyteżali głosy w wiernopoddańczym pozdrowieniu, pozostałe okręty floty przepływały obok barki i nawet ranni żołnierze przyczołgali się do burt, by wiwatować na cześć nowej regentki i młodego dziedzica wielkiego tronu Egiptu.

Arcykapłan Ozyrysa przykleił sztuczną brodę władzy królewskiej do podbródka mojej pani, ale to w żadnej mierze nie umniejszyło jej urody i kobiecości. Książę Merseket obwiązał lwi ogon wokół jej talii, po czym umieścił wysoką czerwoną i białą koronę na skroniach Lostris. Na zakończenie Tanus wspiął się do tronu, by złożyć w jej dłoniach berło i złoty bicz. Memnon dostrzegł błyszczące zabawki, które Tanus niósł w jego stronę, i wyciągnął ręce, by mu je zabrać.

- Prawdziwy król! Wie, że berło należy mu się z mocy prawa - przyklasnął z dumą Tanus, a dwór zaryczał z aprobatą na widok tego nad wiek dojrzałego postępu.

Myślę, że wtedy pierwszy raz od owego straszliwego dnia na polach pod Abnub ktoś z nas się roześmiał. Śmiech ten zdawał się działać jak oczyszczenie, wyznaczając nowy początek dla wszystkich. Do tej pory przygniatał nas szok z powodu klęski i utraty faraona. Lecz teraz, gdy wielcy panowie Egiptu jeden po drugim występowali z tłumu, by przyklęknąć przed tronem, na którym zasiadała ta urocza, młoda kobieta i jej dziecko królewskiej krwi, zrodził się w nas nowy duch. Wyzwoleni zostaliśmy z wywołanej rozpaczą apatii, odrodziła się w nas wola walki i przetrwania.

Tanus jako ostatni ukląkł przed tronem, ślubując swą wierność. Gdy królowa Lostris na niego spojrzała, jej uwielbienie było tak widoczne, że rozpromieniało jej śliczną twarz i lśniło niczym wschodzące słońce w ciemnozielonych oczach. Zdumiało mnie, że nikt w tym tłumie nie zdawał sobie z tego sprawy.

Tego wieczoru po zachodzie słońca moja pani posłała mnie na mostek paradnej barki z wiadomością dla głównodowodzącego jej armii. Wzywała go na radę wojenną w królewskiej kabinie. Tym razem Tanus nie śmiał odmówić, jako że przedtem złożył przysięgę posłuszeństwa.

Ledwie się zaczęła ta nadzwyczajna rada wojenna, której byłem jedynym świadkiem, gdy nowa regentka Egiptu władczo przepędziła mnie z kabiny i postawiła na straży

przed drzwiami, bym odprawiał innych gości. Rzucając ostatnie spojrzenie, zanim zasunąłem ciężką zasłonę, ujrzałem, jak padają sobie w objęcia. Ich potrzeba była tak wielka i tak długo odmawiano im jej zaspokojenia, że rzucili się na siebie nie jak kochankowie, lecz raczej niczym śmiertelni wrogowie zwierający się w boju na śmierć i życie.

Radosne odgłosy ich zmagania rozlegały się przez większą część nocy, toteż cieszyłem się, że nie stoimy na kotwicy, ale gnamy pospiesznie w górę rzeki, by połączyć się z księciem Nembetem. Stukot i świst wiosła, łomot bębna podającego rytm i pieśni wiosłarzy pocących się na swoich ławkach prawie kompletnie zagłuszały zgiełk panujący w królewskiej kabinie.

Kiedy Tanus wyszedł na pokład rufowy równo ze zmianą nocnej warty, jego uśmiech i zadowolenie przywodziły na myśl generała, który dopiero co odniósł świetne zwycięstwo. Moja pani wkrótce podążyła za nim, emanowało z niej nowe, eteryczne piękno, które wstrząsnęło nawet mną, przyzwyczajonym przecież do jej urody. Przez resztę dnia była pogodna i miła dla wszystkich z jej otoczenia i wyszukiwała niezliczone powody, by skonsultować się z dowódcą armii. Tak oto księżę Memnon i ja mogliśmy większość dnia spędzić razem, która to okoliczność bardzo odpowiadała nam obu.

Przy wątpliwej pomocy księcia zacząłem już rzeźbić całą serię drewnianych modeli. Jednym z nich był rydwan

z drewnianymi końmi, innym osadzone na osi koło, z którym eksperymentowałem.

Memnon wspiął się na palce, by przyjrzeć się wirującemu płynnemu na miniaturowej piaście kołu.

- Pełen krążek jest zbyt ciężki, zgodzisz się chyba, Mem? Widzisz, jak traci rozpęd i zwalnia?

- Daj mi to! - zażądał i pochwycił obracający się dysk.

Model wyskoczył spomiędzy jego pulchnych palców, uderzył o pokład i rozpadł się na cztery prawie identyczne kawałki.

- Jesteś hyksoskim łobuzem - powiedziałem surowo, co przyjął jako wielki komplement, i ukląknął, by pozbierać mój nieszczęsny krążek.

Połamane kawałki wciąż leżały złożone w koło i zanim dotknęła ich moja dłoń, doznałem dziwnego zaburzenia wzroku. W wyobraźni lite kawałki drewna zamieniły się w pustkę, a szpary między nimi się wypełniły.

- Słodki oddechu Horusa! Udało ci się, Mem! - przytuliłem go. - Obręcz podtrzymywana biegnącymi od piasty szprychami! Jakich jeszcze cudów dla nas dokonasz, gdy zostaniesz faraonem?

Tak oto następca tronu, księżę Memnon, pierwszy tego imienia, Władca Świtu - z niewielką pomocą swego przyjaciela - wynalazł koło ze szprychami. Ani nie śniło mi się wówczas, że pewnego dnia we dwójkę pojedziemy na nim ku sławie.

Na pierwszego egipskiego trupa natrafiliśmy przed południem. Spłynął w dół rzeki, utrzymywany na

powierzchni przez wydęty brzuch, martwą twarzą zwrócony ku niebu. Czarny kruk usadowił się na jego piersi. Ptak wydłubał mu oczy i odrzucając głowę do tyłu, połknął je po kolei.

Staliśmy w milczeniu przy burcie, przyglądając się martwemu człowiekowi przepływającemu spokojnie obok nas.

- Ma na sobie spódniczkę gwardzistów Lwa - rzekł cicho Tanus. - Lwy stanowią czołówkę armii Nembeta. Modłę się do Horusa, by za nim w dół rzeki nie podążyli następni.

Lecz byli i następni. Dziesięciu, potem setka. Coraz więcej i więcej, aż w końcu powierzchnia rzeki od jednego brzegu do drugiego pokryta została na wpół zanurzonymi trupami. Było ich tak wiele jak liści wodnego hiacyncu, które zapychają w lecie kanały irygacyjne.

W końcu znaleźliśmy jednego, który jeszcze żył. Był to oficer gwardyjskiego pułku Lwów, który oddelegowany został do sztabu Nembeta. Trzymał się niesionej prądem wiązki łądyg papirusu.

Wyłowiliśmy go, a ja opatrzyłem mu rany. Głowica kamiennej maczugi strzaskała kości barku i nigdy już nie miał odzyskać władzy w tej ręce.

Gdy odżył na tyle, by mógł mówić, Tanus przykucnęła przy jego materacu.

- Co z księciem Nembetem?

- Księżę Nembet zginął i cały jego sztab wraz z nim - odpowiedział ochrypłym głosem kapitan.

- Czy Nembet nie otrzymał mojego posłania ostrzegającego go przed Hyksosami?

- Otrzymał je w przeddzień bitwy i śmiał się, czytając.

- Śmiał się? - zapytał Tanus. - Jak mógł się śmiać?

- Powiedział, że ten szczeniak został rozbity... wybacz, książę Tanusie, lecz tak właśnie cię nazwał... a teraz stara się ukryć swą głupotę i tchórzostwo, wysyłając fałszywe listy. Powiedział wtedy, że stoczy bitwę w klasycznym szyku.

- Stary, butny głupiec - jęknął Tanus. - Opowiedz, co było dalej.

- Książę Nembet rozstawił nasze siły na wschodnim brzegu, mając rzekę za swoimi plecami. Wróg spadł na nas jak wiatr i zepchnął nas do wody.

- Ilu naszych ludzi przeżyło? - zapytał cicho Tanus.

- Jestem chyba jedynym ocalałym spośród tych, którzy zeszli na ląd z księciem Nembetem. Nie widziałem, by ktoś jeszcze pozostał przy życiu. Brakuje mi słów, by opowiedzieć o tej rzezi na brzegu rzeki.

- Wszystkie sławne pułki zdziesiątkowane - westchnął Tanus. - Jesteśmy bezbronni, pozostały jedynie okręty. Co stało się z flotą Nembeta? Zakotwiczył ją na środku rzeki?

- Książę Nembet zostawił większą część naszej floty na kotwicy, lecz pięćdziesiąt okrętów przybiło do brzegu na tyłach.

- Dlaczego to uczynił? - zapieklił się Tanus. - Bezpieczeństwo okrętów to pierwsza zasada naszego zwykłego planu bitwy.

- Nie znam myśli księcia Nembeta, ale być może chciał mieć je pod ręką, by szybko zaokrętować na powrót nasze wojska, na wypadek gdyby twe ostrzeżenia okazały się niepozbawione podstaw.

- Jaki jest w takim razie los naszej floty? Nembet utracił armię, lecz czy uratował okręty? - głos Tanusa ze złości i rozpaczki brzmiał szorstko.

- Spośród okrętów zakotwiczonych na rzece większość została zatopiona albo spalona przez pozostałe na pokładach załogi. Z mojej papirusowej tratwy widziałem płomienie i dym. Na kilku przecięto liny kotwiczne. Te uciekły na południe ku Tebom. Wołałem do załóg przepływających obok mnie okrętów, lecz ich przerażenie było tak wielkie, że nie chciały położyć się w dryf i wyciągnąć mnie z wody.

- A te pięćdziesiąt okrętów stojących przy brzegu... - Tanus przerwał i wziął głęboki oddech, zanim dokończył pytanie. - Co stało się z flotyllą wyprowadzoną na plażę?

- Wpadła w ręce Hyksosów - odpowiedział kapitan z drżeniem, obawiając się gniewu wodza. - Oglądałem się płynąc z prądem i widziałem wrogów rojących się na pokładach łodzi na plaży.

Tanus poderwał się i przeszedł na dziób. Utkwił spojrzenie w spływających z góry rzeki ciałach i spalonych, szerniałych deskach z okrętów floty Nembeta, cały czas dryfujących wolno po zielonej, leniwie toczącej swe wody rzece. Podszedłem, by stanąć przy nim, gotów okiełznać jego wściekłość, gdyby nagle wybuchła.

- A więc stary, pyszny głupiec poświęcił swe życie i życie wszystkich swoich ludzi po prostu po to, by zrobić mi na złość. Powinno się wybudować piramidę dla uwiecznienia jego głupoty, gdyż Egipt nigdy dotąd nie widział podobnej.

- Na tym nie kończy się jego głupota - mruknąłem, a Tanus kiwnął ponuro głową.

- Nie, nie kończy się. Dał Hyksosom środek do przeprowadzenia się przez rzekę. Słodkie mleko z piersi Izydy, gdy tylko wylądują po drugiej stronie Nilu, jesteśmy naprawdę skończeni.

Być może bogini usłyszała, jak wypowiada jej imię, gdyż w tejże chwili poczułem, że wiatr, tak długo wiejący nam w twarz, zmienia kierunek. Tanus też to poczuł. Okręcił się na pięcie i wykrzyczał rozkaz do swych oficerów na pokładzie rufowym.

- Mamy przychylny wiatr! Przekażcie sygnał flocie. Postawić wszystkie żagle. Zmieniać ludzi przy wiosłach co godzina według wskazań zegara wodnego. Dobosze, zwiększyć tempo do najwyższej prędkości. Cała naprzód na południe.

Wiał silny, północny wiatr. Żagle wypełniły się i napięły niczym brzuchy ciężarnych kobiet. Bębny podały wiosłarzom rytm i cała flota wojenna, prując wodę, pognąła na południe.

- Dzięki niech będą bogini wiatru - zawołał Tanus. - Boska Izydo, spraw, byśmy zdążyli złapać ich na wodzie.

Paradna barka była wolna i niezgrabna. Zaczęła zostawać w tyle za flotą. Najwyraźniej przeznaczenie doszło do głosu

raz jeszcze, gdyż „Oddech Horusa”, stary okręt, który Tanus tak umiłował, żeglował w szyku obok nas.

Prowadził go teraz nowy kapitan, lecz „Oddech Horusa” nadal był wspaniałym, niedużym okrętem, zbudowanym z myślą o szybkości i ataku. Ostry taran z brązu wystawał z dziobu tuż ponad linią wody. Tanus przywołał okręt do burty barki i przeniósł na niego swój sztandar Błękitnych Krokodyli, przejmując dowództwo z rąk nowego kapitana.

Moje miejsce było przy mojej pani i księciu. Nie jestem więc pewien, w jaki sposób znalazłem się na pokładzie „Oddechu Horusa”. Stałem obok Tanusa na rufie i gnaliśmy w górę rzeki. Czasami popełniam czyny równie szalone, jak te, których dopuścił się niedawno książę Nembet. Pamiętam jedynie, że gdy tylko barka pozostawać poczęła w tyle, zacząłem gorzko żałować mojej porywczosci. Myślałem o tym, by powiedzieć Tanusowi, iż zmieniłem zdanie, i poprosić go, by zawrócił i wysadził mnie na powrót na pokładzie barki. Rzuciwszy jednak szybkie spojrzenie na jego oblicze, stwierdziłem, że wolę już raczej ponownie stanąć twarzą w twarz z Hyksosami.

Tanus wydawał rozkazy z pokładu „Oddechu Horusa”, a te przekazywane były z okrętu na okręt flagami sygnalizacyjnymi i okrzykami. Przegrupował flotę, nie zmniejszając jej szybkości. Zgromadził okręty wokół siebie i zajął pozycję na czele floty.

Ranni i niezdolni do walki przesadzeni zostali na powolniejsze okręty, a te jeszcze bardziej zwolniły, by pozostać przy królewskiej barce. Szybsze w czołówce floty

gotowe były do akcji. Obsadzali je głównie wypoczęci ludzie Rem-rema, których uwolniliśmy z oblężonego Asjut. Wszyscy rwali się do tego, by pomścić hańbę Abnub. Tanus wciągnął sztandar Błękitnych Krokodyli na szczyt masztu „Oddechu Horusa”, a żołnierze rykiem dali wyraz swej żądzy walki. Jak szybko zdołał pokrzepić ich ducha po krwawej porażce!

Z każdą godziną drogi ślady niedawnej katastrofy Nembeta stawały się coraz widoczniejsze. Trupy, wraki i wszelakie odpadki wojenne zaplątały się w zarośla papirusu przy obu brzegach rzeki. Wtedy ujrzeliśmy nareszcie przed nami na tle nieba kurz spod kół rydwanów mieszający się z dymami ognisk obozu Hyksosów.

- Jest tak, jak miałem nadzieję - triumfował Tanus.

- Zatrzymali swe szaleńcze natarcie na Teby, bo Nembet dostarczył im środków do przekroczenia rzeki. Ale nie są żeglarzami, więc będą mieli trudności z załadowaniem ludzi i rydwanów. Jeżeli Horus będzie łaskawy, przybędziemy na czas, by im pomóc w przeprawie.

W rozwiniętym szyku bojowym pokonaliśmy ostatni szeroki zakręt rzeki i już mieliśmy przed sobą Hyksosów. Dzięki jednemu z owych szczęśliwych kaprysów wojny przybyliśmy dokładnie w chwili, gdy wrogowie kompletnie pochłonięci byli przeprawą przez Nil.

Pięćdziesiąt zdobycznych okrętów wlokło się niezdarnie w poprzek rzeki. Żagle stanowiły splątane kłębowisko, a każdy wiosłarz pracował we własnym rytmie. Wiosła chlupotały bezładnie o wodę i szepiały się ze sobą.

Wszystkie okręty sterowane były niepewną i drżącą ręką, bez żadnej koordynacji przy manewrach poszczególnych jednostek.

Widzieliśmy, że obsadzający pokłady Hyksosi mają na sobie pełne zbroje z brązu. Najwidoczniej nie wiedzieli, jak trudno pływa się w takim odzieniu. Z konsternacją przyglądali się gnającym ku nim naszym okrętom. Teraz nareszcie wszystko się odwróciło. My byliśmy w swoim żywiole, a oni miotali się na wietrze niczym podarty żagiel.

Gdy się zbliżaliśmy, miałem parę chwil na przyjrzenie się przeciwnikowi. Główna masa hyksoskiej armii znajdowała się wciąż na wschodnim brzegu. Rozłożyła się biwakiem, a była tak liczna, że obóz ciągnął się do podnóży pustynnych wzgórz tak daleko, jak tylko mogłem sięgnąć wzrokiem z pokładu „Oddechu Horusa”.

Król Salitis posyłał za rzekę jedynie niewielki oddział. Najprawdopodobniej wydał rozkaz, by podążać wzdłuż zachodniego brzegu i zająć świątynię grobową faraona Mamose, zanim zdążymy przenieść skarby.

Zbliżaliśmy się szybko do konwoju hyksoskich okrętów.

- Już przewieźli swoje konie. Spójrz tam! - zawołałem do Tanusa, przekrzykując łomot bębnow i krwiożercze wrzaski naszych zbójów.

Prawie pozbawione ochrony wielkie stado tych straszliwych zwierząt spędzone zostało na zachodnim brzegu. Zgadywałem, że było ich kilkaset; nawet z tej odległości wyraźnie widziałem długie, faliste grzywy i ogony, powiewające w silnym północnym wietrze. Był to

dla nas niepokojący widok. Niektórzy wokół mnie zadrżeli, przeklinając z nienawiścią. Usłyszałem, jak ktoś mruczy posepnie:

- Hyksosi karmią te swoje potwory ludzkim mięsem, jakby to były lwy czy szakale. Stąd ta cała rzeź. Muszą zdobywać dla nich pożywienie. Możemy się tylko domyślać, ilu naszych towarzyszy jest już w ich brzuchach.

Nie byłem w stanie zaprzeczyć i poczułem nawet nieznaczne mdłości na myśl o tym, że być może żołnierz nie mija się z prawdą. Przeniosłem moją uwagę z owych pięknych, lecz morderczych monstrów na walczące z prądem łodzie przed nami.

- Zastaliśmy ich podczas przewozu rydwanów i ludzi - podsunąłem Tanusowi.

Pokłady zdobytych okrętów Nembeta zapchane były stosami pojazdów i sprzętu, zatłoczone woźnicami transportowanymi na drugi brzeg. Gdy Hyksosi uświadomili sobie grozę swego położenia, część zdobytej przez nich floty spróbowała wrócić na wschodni brzeg. Zderzyła się z płynącymi za nimi okrętami, szepiła z nimi i podryfowała bezradnie z prądem.

Widząc to zamieszanie, Tanus zaśmiał się z zadowoleniem.

- Sygnał do wszystkich! Zwiększyć tempo do prędkości bojowej! Zapalić ogniste strzały! - krzyknął.

Hyksosi nigdy nie doświadczyli ataku z użyciem ognistych strzał i na myśl o tym, co ich czekało, zaśmiałem się

nerwowo razem z Tanusem. Nagle zeszywniałem i śmiech zamarł mi w gardle.

- Tanus! - chwyciłem go za ramię. - Patrz! Patrz na ten okręt prosto przed nami! Na rufówce! Oto nasz zdrajca.

Przez moment Tanus nie poznawał wysokiej, dostojnej postaci przy burcie, jako że miała na sobie łuskową zbroję i wysoki hyksoski hełm. Potem ryknął z gniewem i wściekłością:

- Intef! Dlaczego się nie domyśliliśmy, że to on?

- Teraz wszystko pojmuję. To on przyprowadził tutaj Salitisa. Udał się na Wschód i z rozmysłem skusił Hyksosów opisami skarbów Egiptu. - Moja wściekłość i nienawiść intensywnością dorównywała Tanusowej.

Tanus poderwał Lanatę i posłał strzałę, lecz odległość była znaczna i grot ześlizgnął się po zbroi księcia Intefa. Dostrzegłem, jak szarpnął głową po uderzeniu, po czym spojrzał przez rzekę prosto na nas. Wyłowił wzrokiem Tanusa i mnie. Przez moment wydawało mi się, że widzę w jego spojrzeniu lęk. Potem zniknął nam z oczu, odskakując pod osłonę okrężnicy.

Pierwsze okręty naszej floty wpadły pomiędzy miotające się w nieładzie okręty wroga. Z gwałtownym skrzypnięciem brązowy taran uderzył okręt Intefa w śródkręcie. Wstrząs zderzenia zwałił mnie z nóg. Gdy podniosłem się na nogi, wiosłarze wiosłowali już wstecz i z kolejnym przenikliwym zgrzytem drewna odczepiliśmy się od rażonego okrętu.

W tej samej chwili łucznicy zasypali pokład deszczem ognistych strzał. Ich groty, obwiązane pękami nasączonych

smołą łodyg papirusu, płonęły jak komety i ciągnąc za sobą szlak iskier i dymu, uderzały w żagle i takielunek. Północny wiatr podsyczał płomienie, które błyskawicznie pomknęły po olinowaniu.

Okręt przechylił się ostro, bo woda wlewała się przez dziurę, którą wydarliśmy w kadłubie. Żagle zajęły się ogniem. Nawet z tej odległości bijący od nich żar opalał mi rzęsy. Płonący ciężki grotzagiel spłynął na pokład i uwięził pod sobą załogę i stłoczonych woźniców. Gdy płomienie ogarnęły ich włosy i odzież, wrzaski zadźwięczały nam w uszach. Pamiętałem o równinie pod Abnub i nie czułem litości. Hyksosi płonąc wyskakiwali za burtę i znikali pod wodą, pociągnięci na dno ciężarem zbroi. Tylko zawirowanie wody i snujące się wolno obłoki pary znaczyły miejsca, w których tonęli.

Na całej linii rzeki paliły się i tonęły hyksoskie okręty. Hyksosom brakowało doświadczenia i umiejętności, by odeprzeć nasz atak, toteż byli równie bezradni jak my w obliczu szarży rydwanów. Nasze okręty wycofywały się i uderzały ponownie, rozbijały kadłuby okrętów wroga i posyłały w nie potoki płonących strzał.

Obserwowałem pierwszą zaatakowaną przez nas łódź, starając się jeszcze raz dostrzec księcia Intefa. Była już prawie pod wodą, kiedy nagle ponownie się pokazał. Zrzucił hełm i zbroję, miał na sobie jedynie płócienną przepaskę. Z łatwością zachował równowagę, stając na okrężnicy tonącego okrętu, a gdy płomienie wystrzeliły w górę, by go pochwycić, złożył ręce nad głową i skoczył za burtę.

Był synem Nilu, w wodzie czuł się jak ryba. Rozciął powierzchnię rzeki, by wynurzyć się minutę później pięćdziesiąt kroków od miejsca, w którym zanurkował. Jego długie czarne włosy oblepiały mu głowę, tak że przypominał płynącą wydrę.

- Tam jest! - wrzasnąłem na Tanusa. - Rozjedź tę świnie!

Tanus natychmiast rozkazał zawrócić „Oddech Horusa”, lecz choć człowiek przy wiosle sterowym był szybki, okręt skręcał powoli. Tymczasem książę Intef rozcinał wodę jak ryba, wyrzucając ręce znad głowy do przodu. Uciekał na wschodni brzeg, pod ochronę swych sprzymierzeńców Hyksosów.

- Ostry zwrot! - polecił Tanus wiosłarzom sterburty, a ci potężnym pchnięciem obrócili dziób okrętu.

Gdy tylko ustawił się na jednej linii z pływakiem, Tanus dał rozkaz, by wiosłarze przy obu burtach pociągnęli jednocześnie, i ruszyliśmy w pościg. Książę Intef był już daleko w przodzie i blisko brzegu, gdzie pięć tysięcy hyksoskich łuczników czekało w gotowości z napiętymi łukami refleksyjnymi, by go osłonić.

- Niech Seth na nich naszcza! - ryknął wyzywająco Tanus.

- Wyjmiemy im Intefa prosto spod nosa! - i skierował „Oddech Horusa” wprost na nich, zbliżając się do płynącej samotnie postaci.

Gdy weszliśmy w zasięg strzału łuczników stojących na brzegu, Hyksosi wypuścili ku nam salwę, która zaćmiła słońce, a ich pociski obsypały nas gwizdzącą chmurą. Padały tak gęsto, że wkrótce pokład jeżył się nimi niczym

gęsie skrzydło piórami, kilku naszych żeglarzy spadło ze swych ławek, wijąc się i ociekając krwią.

Lecz byliśmy już blisko Intefa, zdrajca obejrzał się przez ramię i na jego twarzy odmalował się przestach, pojął bowiem, że nie zdoła umknąć przed naszym ostrym dziobem. Nie zważając na strzały, przebiegłem na przód okrętu i wykrzychałem ku niemu:

- Nienawidziłem cię od pierwszego dnia, gdy cię spotkałem! Nienawidziłem twego obmierzłego dotyku! Chcę widzieć, jak umierasz! Jesteś zły! Zły!

Intef usłyszał mnie. Dostrzegłem to w jego oczach, a potem raz jeszcze wtrącili się bogowie ciemności. Jeden z tonących hyksoskich okrętów zdryfował w naszą stronę, plując ogniem i dymem. Gdyby się o nas otarł, przepadlibyśmy wraz z nim w kolumnie ognia. Tanus zmuszony był wychylić wiosło sterowe i pospiesznie dać wioślarzom znak do odwrócenia kierunku swych pociągnięć. Płonący okręt przepłynął bezwładnie między brzegiem a naszym leżącym w dryfie okrętem. Książę Intef zniknął mi z oczu, lecz gdy minęła nas gorejąca masa, ujrzałem go ponownie. Trzej muskularni hyksoscy woźnice wyciągali go z wody na stromy brzeg.

Zatrzymał się na szczycie nadbrzeżnej skarpy i popatrzył na nas, a potem skrył się przed naszym wzrokiem. Drżałem z wściekłości i żalu. Nasi ludzie cały czas trafiani byli strzałami, więc Tanus dał odpowiedni rozkaz i zawróciliśmy, by pospiesznie przyłączyć się do niszczenia tych nielicznych

okrętów konwoju, które wciąż jeszcze utrzymywały się na powierzchni.

Gdy ostatni przechylił się i obrócił dnem do góry, zielone wody Nilu wlały się do jego wnętrza, gasząc płomienie syczącą chmurą pary. Nasi łucznicy wychylili się przez burtę i zastrzelili tych kilku Hyksosów, którzy trzepotali się słabo na powierzchni.

Kiedy tylko poszli na dno, Tanus przeniósł uwagę na zachodni brzeg, gdzie znajdowała się osamotniona grupka wrogów pilnująca stada koni. Okręt pomknął do brzegu, a hyksoscy pasterze rozproszyli się w ucieczce, lecz nasi ludzie zeskoczyli na brzeg i z mieczami w dłoniach pognali za nimi. Hyksosi byli woźnicami przywykłymi do toczenia bitwy z pomostów swych pojazdów. Nasi chłopcy to piechurzy szkoleni do biegu. Niczym stado ogarów w pogoni za szakalem odcięli i otoczyli wroga. Porąbali pasterzy na kawałki i zostawili sto skrwawionych ciał porozrzucanych na zielonych polach sorga.

Wyskoczyłem na ląd za pierwszą falą naszych żołnierzy. Umysł mój zaprzętał poważny cel. Konstruowanie modeli i projektowanie rydwanów pozbawione było sensu, o ile nie miało się środka do napędzania szprychowych kół, jakie ujrzałem w wyobraźni.

Olbrzymiej odwagi z mojej strony wymagało ruszenie w stronę porzuconego przez hyksoskich pasterzy w pobliżu wody stada tych straszliwych stworzeń. Każdy krok opłacałem wielkim wysiłkiem woli, jako że zwierząt były setki, a wszystkie wyraźnie niespokojne, wystraszone

wrzaskami i bieganiną ludzi oraz szczękiem broni. Byłem pewien, że w każdej chwili mogą rzucić się na mnie jak zranione lwy. Wyobraziłem sobie, jak pochłaniają me jeszcze ciepłe, podrygujące ciało, wtedy odwaga wyparowała i nie zdołałem podejść bliżej. Z odległości stu kroków wpatrywałem się z przesyconą grozą fascynacją w owe dzikie drapieżniki, gotów na pierwszą oznakę ataku odwrócić się i uciec na bezpieczny pokład łodzi.

To pierwsza okazja, jaka mi się nadarzyła, by przyjrzeć się tym zwierzętom. Były przeważnie ciemnobrązowej barwy, lecz najprzeróżniejszych odcieni, gniade, kasztanowe i dereszowate, jeden czy dwa nawet czarne jak Seth. Były równie wysokie jak człowiek, o pełnej, obłej piersi i długich, wdzięcznie wygiętych szyjach. Ich grzywy przypominały loki pięknej kobiety, a skóra lśniła w blasku słońca jak polerowana.

Jeden z najbliższych uniósł głowę i zadarł górną wargę, ja zaś odskoczyłem, widząc wielkie, kwadratowe białe zęby wypełniające jego szczęki. Wierzgnął tylnymi nogami i wydał tak przerażające rzenie, że odwróciłem się i nader skwapliwie ruszyłem z powrotem na okręt.

Wówczas ochrypły wrzask jednego z naszych żołnierzy powstrzymał mój tchórzliwy odwrót.

- Zabić hyksoskie potwory!
- Zabić potwory! - inni podchwycili okrzyk.
- Nie! - zawołałem, zapominając o dbałości o własne bezpieczeństwo. -Nie! Oszczędźcie konie! Potrzebujemy ich!

Mój głos zginął w gniewnym okrzyku bojowym naszych oddziałów, z którym rzuciły się na stado koni z uniesionymi tarczami i mieczami nadal ociekającymi krwią pastuchów. Paru ludzi zatrzymało się, by nałożyć strzały na cięciwy i posłać je w stronę zwierząt.

- Nie! - krzyknąłem, gdy lśniący czarny ogier, rżąc, stanął dęba ze strzałą sterczącą z kłębu.

- Nie! Proszę, nie! - zawołałem ponownie, kiedy jeden z żeglarzy podbiegł z boku z lekkim toporem wojennym i przerąbał pęcinę młodej klaczy. Cios okaleczył ją tak, że nie była w stanie umknąć przed kolejnym uderzeniem topora, które trafiło ją między uszy i powaliło wierzgającą nogami w kurz.

- Zostawcie je! Zostawcie je! - błagałem, lecz strzały sięgnęły tuzina zwierząt, miecze zaś i topory porąbały i zgładziły kolejny tuzin, zanim stado rozsypało się pod atakiem.

Trzysta koni zerwało się i pogalopowało masą przez pylistą zachodnią równinę w kierunku pustyni.

Ośloniłem dłonią oczy, by odprowadzić je wzrokiem. Miałem wrażenie, że wraz z nimi odeszła część mego serca. Kiedy zniknęły, pobiegłem, by ochronić i opatrzeć pokaleczone i poprzesywane strzałami zwierzęta leżące między kępami papirusu. Ale żołnierze dotarli do nich przede mną. Ich furia była tak wielka, że zgromadzili się wokół nieruchomych trupów. W wybuchu szaleńczej nienawiści zagłębiali klingi w niestawiające oporu ciała i rąbali zmasakrowane łby.

Nieco na uboczu rosła odosobniona kępa papirusu. Za nią, osłonięty przed wzrokiem szalejących żołnierzy stał czarny ogier, który jako pierwszy rażony został strzałą. Był ciężko ranny, chwiejnym krokiem kuśtykał przed siebie, zataczając się ze strzałą utkwioną w piersi. Nie myśląc o własnym bezpieczeństwie, podbiegłem ku niemu, lecz nagle stanąłem, bo zwierzę obróciło się w moją stronę.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie grożące mi niebezpieczeństwo. Oto ranna bestia, która jak lew w podobnych opałach bez wątpienia mnie zaatakuje. Ogier i ja wpatrywaliśmy się w siebie. Poczulem, jak strach spływa ze mnie niczym zrzucony z ramion płaszcz.

Jego wielkie oczy z bólu zaszyły mgłą. Łagodne oczy, piękne oczy, które napełniły me serce żalem. Delikatnie prychnął i pokuśtykał w moją stronę. Wyciągniętą ręką pogłaskałem jego pysk, w dotyku przypominający nagrzaną arabski jedwab. Podszedł prosto do mnie i przycisnął czoło do mej piersi ufnym i błagalnym, niemal ludzkim gestem. Wiedziałem, że prosi o pomoc.

Instynktownie zarzuciłem mu ramiona wokół szyi i objąłem go. W owej chwili bardziej niż czegokolwiek w moim życiu pragnąłem go ocalić, lecz ciepła krew sączyła się mu z nozdrzy na pierś. Wiedziałem, że miał przebite płuca i że zdychał. Wszelka pomoc, jakiej mógłbym udzielić, byłaby o wiele spóźniona.

- Mój biedaku. Co te durne, bezrozumne sukinsyny z tobą zrobiły? - wyszeptałem.

W rozpaczy i cierpieniu niejasno uświadomiłem sobie, że w moim życiu zaszła kolejna zmiana i że dokonało jej właśnie to zdychające stworzenie. Jakimś sposobem przeczuwałem, że w przyszłości gdziekolwiek zostawię ślady stóp na afrykańskiej ziemi, obok nich będą odciski końskich kopyt. Znalazłem jeszcze jedną wielką miłość, która wypełnić miała me dni.

Ogier prychnął ponownie, jego ciepły oddech owiał mi skórę. Potem ugięły się pod nim nogi, padł ciężko na bok i dyszał, nabierając powietrze w przebite płuca. Jaskrawoczerwone pęcherzyki pienily się wokół rany na piersi. Opadłem przy nim, złożyłem szlachetną głowę sobie na kolana i czekałem, dopóki nie skonał. Wtedy podniosłem się i powróciłem do czekającego przy brzegu „Oddechu Horusa”.

Z trudem brnąłem przed siebie, bo oślepiały mnie własne łzy. Raz jeszcze wyzywałem się od miękkih, sentymentalnych głupców, lecz nie pomogło mi to wziąć się w garść. Zawsze rozklejałem się w obliczu cierpienia innej istoty, człowieka czy też nie, a już zwłaszcza istoty szlachetnej i pięknej.

- Niech cię cholera, Taito! Gdzieś siępodziewał? - naskoczył na mnie Tanus, gdy wgramoliłem się na pokład. - Szaleje bitwa. Cała armia nie może czekać beczynn timer, podczas gdy ty przeżywasz jeszcze jeden ze swoich słynnych snów na jawie.

A jednak mimo grózb nie porzucił mnie.

Tanus nie chciał mnie nawet wysłuchać. Obcesowo przerwał, gdy prosiłem, by pozwolił mi udać się w pościg na pustynię za stadem zbiegłych koni i by dał mi ludzi na tę wyprawę.

- Nie chcę mieć nic do czynienia z tymi nieczystymi i bezbożnymi stworzeniami! - krzyknął na mnie. - Żałuję, że moi ludzie pozwolili im uciec i nie wyrznęli wszystkich. Miejmy nadzieję, że lwy i szakale nadrobią to niedociągnięcie.

Zrozumiałem wtedy, że nienawidził ich tak samo jak pierwszy lepszy ciemny cep z jego pułków.

- Czy byłeś na polach pod Abnub? - Zwykle nie uciekam się do krzykliwych kłótni, lecz jego nieprzystępność mnie wpiekliła.

- A może to jakiś tępy jełop stał wtedy przy mnie? Czy nie widziałeś, jak przyszłość szarżuje na nas na kopytach i kołach, szatkując twoich ludzi na karmę dla szakali? Wciąż nie pojmujesz, że bez rydwanu i konia ty i Egipt w znanym nam kształcie jesteście skończeni?

Ta przyjacielska wymiana poglądów miała miejsce na rufowym pokładzie „Oddechu Horusa”. Oficerowie milczeli, zdumieni, że niewolnik określa Wielkiego Lwa Egiptu i dowódcę wszystkich jego armii mianem tępego jełopa. Ja wszakże utraciłem panowanie nad sobą i łajałem go dalej.

- Bogowie zesłali ci ten wspaniały dar. Trzysta koni znalazło się w twoich rękach! Zbuduję ci dla nich rydwany. Czy jesteś tak ślepy, że nie potrafisz tego dostrzec?

- Mam moje okręty! - zaryczał Tanus. - Nie potrzeba mi tych parszywych, człekożernych bestii. Są zniewagą dla przyzwoitych ludzi i życzliwych bóstw. To twory Setha i Sutekha, nie chcę ich.

Za późno zdałem sobie sprawę, że zepchnąłem Tanusa na pozycję, z której nie mógł się wycofać. Był bystrym, inteligentnym człowiekiem, dopóki duma nie paraliżowała mu rozsądku. Złagodziłem ton i wlałem w mój głos miodową słodycz.

- Tanusie, proszę, wysłuchaj mnie. Trzymałem głowę jednego z tych zwierząt w ramionach. Są silne, lecz przedziwnie łagodne. Ich oczy lśnią inteligencją wiernego psa. Nie jedzą mięsa...

- Skąd możesz to wiedzieć po jednym przelotnym dotyku?
- zadrwił ze mnie wyniośle, nadal urażony.

- Po zębach - odparłem. - Nie posiadają kłów ani pazurów mięsożercy. Świnie są jedynymi zwierzętami kopytnymi jedzącymi mięso, a to nie są świnie.

Dostrzegłem, że nareszcie zaczyna się wahać, i nacisnąłem, wykorzystując uzyskaną przewagę.

- Jeżeli ci to nie wystarcza, spójrz na zapasy, jakie Hyksosi przewieźli przez rzekę. Czy potrzebowaliby tej góry paszy do wykarmienia stada mięsożernych lwów?

- Mięso czy pasza, nie będę dłużej dyskutował. Usłyszałeś moją decyzję. Pozwolimy tym przeklętym koniom przepaść na pustyni. Taka jest moja decyzja, i to ostateczna.

Tanus odmaszerował zamaszystym krokiem, lecz ja wymruczałem pod nosem:

- Ostateczna, czyżby? To się jeszcze zobaczy.

Jedynie w nielicznych wypadkach w rozmowie z moją panią nie byłem w stanie postawić na swoim, a jej zdanie stanowiło teraz najwyższą władzę w Egipcie. Udałem się do niej tegoż wieczoru, gdy tylko królewska barka znalazła się na powrót pod eskortą wojennych okrętów.

Bez wiedzy jej dowódcy i kochanka pokazałem Lostris roboczy modelik rydwanu i miniaturowe figurki koni w zaprzęgu, jakie dla niej zmagistrowałem. Królowa była nimi zauroczona. Oczywiście nigdy nie widziała bojowych oddziałów rydwanów w pełnym pędzie i nie posiadała w sobie takiej nienawiści do nich, jaką pałała teraz przeważająca część armii. Przyciągnąwszy jej uwagę za pomocą modelu rydwanu, opisałem śmierć ogiera z tak bolesnymi szczegółami, że oboje płakaliśmy. Lostris nie potrafi oprzeć się moim łzom, tak jak ja nie potrafię znieść jej płaczu.

- Musisz natychmiast wyruszyć i uratować z pustyni te cudowne stworzenia. Gdy je pochwycisz, rozkazuję ci wybudować formację rydwanów dla mojej armii - zakrzyknęła.

Gdyby Tanus pomówił z nią, zanim miałem okazję ją przekonać, wątpię, czy wydałaby ten rozkaz, i historia naszego świata potoczyłaby się zupełnie inaczej. Mój podstęp rozjuszył Tanusa do takiego stopnia, że byliśmy tak blisko stałego zerwania naszych stosunków, jak nigdy dotąd przez wszystkie lata.

Szczęśliwie się złożyło, że zostałem bezzwłocznie wysłany przez królową Lostris na brzeg, w ten sposób unikając jego gniewu. Miałem jedynie kilka godzin na zgromadzenie wokół siebie paru pomocników, z których najgłówniejszym był pozornie najmniej spodziewany kandydat.

Nigdy nie przekonałem się do Huiego, Dzierzby pojmanego w Gallali. Dowodził później łodzią, którą Tanus musiał zatopić pod Abnub. Był teraz kapitanem bez okrętu i szukał celu, który przywróciłby mu chęć do życia. Odszukał mnie, gdy tylko plotka o mojej misji rozniosła się po flocie.

- Co wiesz o koniach? - zapytał mnie bez ogródek, lecz ja nie byłem w owej chwili przygotowany do natychmiastowej odpowiedzi na to pytanie.

- Najwyraźniej mniej od ciebie? - sprawiłem, by zabrzmiało to jak ostrożne pytanie.

- Byłem niegdyś koniuchem - pochwalił się charakterystycznym dla siebie przymilnym tonem.

- A któż to taki?

- Parobek dbający o konie - odparł, a ja spojrzałem na niego ze zdumieniem.

- Gdzie ty widziałeś konie przed tym krwawym dniem pod Abnub? - zapytałem.

- Gdy byłem niemowlęciem, moi rodzice zostali zabici, a mnie uprowadziło plemię barbarzyńców wędrujące przez równiny na Wschodzie o rok podróży za Eufratem. Porywacze byli konnym ludem, a ja jako dziecko wszystkie dni spędzałem wśród tych zwierząt. Mleko kłaczy stanowiło

moje pożywienie, nocą spałem pod osłoną końskich brzuchów, ponieważ niewolnicy nie byli wpuszczani do namiotów członków plemienia. Uciekłem na grzbiecie mego ukochanego ogiera. Zaniósł mnie daleko i szybko, lecz padł na długo przed dotarciem do Eufratu.

Tak oto Hui był ze mną, gdy okręt wysadził niewielki oddział niechętnych łowców koni na zachodnim brzegu. Zdołałem zwerbować jedynie szesnastu ludzi, z których większość stanowiły szumowiny i armijna hałastrą. Tanus dopilnował tego, by nie przyłączył się do mnie żaden z jego najlepszych ludzi. Nie mógł odwołać polecenia regentki Egiptu, lecz utrudnił jego wykonanie, jak tylko potrafił.

Za radą Huiego wyposażyłem ludzi w lekkie lniane sznury i torby mielonego prosa. Poza mną i Huim wszyscy pozostali robili pod siebie ze strachu na samą myśl o stworzeniach, których tropem wyruszaliśmy. Gdy obudziłem się rano po rozbiciu obozu na pierwszą noc, stwierdziłem, że wszyscy ci twardziele zniknęli, i nie ujrzałem ich już więcej.

- Będziemy musieli zawrócić - rozpaczałem. - Sami nic nie zdołamy. Księżę Tanus będzie zadowolony. Dokładnie przewidział, że tak właśnie się stanie.

- Nie jesteś sam - zauważył pogodnie Hui. - Masz mnie.

Wtedy właśnie zacząłem po raz pierwszy nieco cieplej myśleć o tym młodym pyszałku. Podzieliliśmy między siebie ładunek sznurów i toreb ze zmielonym ziarnem, a potem ruszyliśmy dalej.

Ślady koni pochodziły sprzed trzech dni, lecz zwierzęta trzymały się w grupie, wydeptały więc łatwy do tropienia szlak. Hui zapewnił mnie, że istnieje wśród nich silny instynkt stadny i że mając tak bujne pastwiska wzdłuż rzeki, nie mogły powędrować zbyt daleko. Był pewien, że nie uciekłyby na pustynię, czego się obawiałem.

- Dlaczego miałyby to zrobić? Nie ma tam jedzenia ani wody.

Okazało się, że miał rację.

Z nadciągnięciem Hyksosów chłopci porzucili swe domostwa i schronili się za murami miast. Pola leżały odłogiem, porośnięte młodym zbożem. Znaleźliśmy stado przed południem drugiego dnia. Pasło się wdzięcznie na jednym z pól. Mimo mego doświadczenia z rannym ogierem cokolwiek obawiałem się tych tajemniczych stworzeń.

- Schwytywanie kilku będzie z pewnością trudnym i niebezpiecznym przedsięwzięciem - zwierzyłem się Huiemu, szukając u niego wsparcia i porady.

Na tym etapie myśl o pojmaniu wszystkich trzystu koni nie przyszła mi nawet do głowy. Zadowolony byłbym z dwudziestu, zachwycony zaś pięćdziesięcioma. Wyobrażałem sobie, że zmuszeni będziemy do ścigania każdego pojedynczo i wiązania sznurami, jakie w tym celu ze sobą przynieśliśmy.

- Słyszałem, że cieszysz się reputacją bardzo sprytnego człowieka. - Hui wyszczerzył do mnie zęby, zarozumiały i zachwycony tym, że tę kwestię zna lepiej. - Stanowczo bez żadnych podstaw.

Pokazał mi, jak skrócić i upleść mocny postronek ze sznurów. Spletliśmy ich z tuzin, zanim kiwnął głową z zadowoleniem. Potem wzięliśmy po jednym i po torbie z mielonym ziarnem, po czym ruszyliśmy w stronę pasącego się stada. Idąc za przykładem Huiego, nie szliśmy wprost na nich, lecz kroczyliśmy leniwym tempem na skos, mijając zwierzęta na skraju stada.

- Teraz powoli - uprzedził mnie Hui, gdy konie poderwały głowy, przyglądając się nam tym szczególnie otwartym i nieomal dziecięcym spojrzeniem, jakie miałem tak dobrze poznać.

- Usiądź.

Opadliśmy w zboże i pozostaliśmy w bezruchu, dopóki konie nie zaczęły na powrót się pożywiać. Wtedy ruszyliśmy dalej, ale potem znowu zwierzęta zaczęły się niepokoić.

- Na dół - polecił Hui i gdy przykucnęliśmy w zbożu, dodał: - kochają dźwięk łagodnego głosu. Kiedy byłem dzieckiem, śpiewałem moim koniom, by je uspokoić. Patrz teraz! - zaczął nucić przyspiewkę w dziwnym języku, który, jak zakładałem, był barbarzyńską mową jego porywaczy z dzieciństwa.

Głos Huiego brzmiał tak melodyjnie jak krakanie kruków sprzeczących się na rozkładającym się padle zdechłego psa. Najbliższe konie patrzyły na nas z zaciekawieniem. Położyłem dłoń na ramieniu Huiego, by go uciszyć. Pewien byłem, że dla stada jego wysiłki muszą być równie denerwujące jak dla mnie.

- Niech ja spróbuję - szepnąłem i zaśpiewałem kołysankę, jaką skomponowałem dla mojego księcia.

*Śpij, mały Memie, który władasz światem,
śpij, mały księżę, który władać będziesz światem,
złóż kędzierzawą głowę, pełną cudnych snów,
daj odpocząć dłoniom, by nabrały siły do miecza i łuku.*

Jedna z najbliższej stojących klaczy zrobiła kilka kroków w moją stronę, a gdy się zatrzymała, prychnęła cicho. Była zaciekawiona, a ja śpiewałem łagodnie i uwodzicielsko. U jej stóp pętał się źrebak, urocze, niewielkie gniade stworzenie o prześlicznej głowie i postawionych uszach.

Dzięki memu specyficznemu darowi rozumienia ptaków i zwierząt zaczynałem już dostrzegać w tych nowych stworzeniach pożądane cechy ich rasy. Instynktownie szybko uczyłem się z nimi obchodzić. Nie byłem już kompletnie uzależniony od instrukcji Huiego.

Wciąż cicho śpiewając, nabrałem garść zbożowej mąki i podałem ją klaczy. Od razu zauważyłem, że karmiono ją z ręki i że zrozumiała moją zachętę. Parsknęła głośno szerokimi nozdrzami i postąpiła kolejnych kilka kroków ku mnie. Nawet teraz wciąż pamiętam ten dreszcz niepewności, pamiętam, jak serce zamarło mi w piersi, gdy zrobiła ostatni krok i delikatnie przysunęła łeb do mej dłoni, by posmakować białej mąki. Gdy się posilała, pokarm opylił jej pysk, ja zaś zaśmiałem się radośnie. Nie próbowała odsunąć się ode mnie, gdy objąłem jej szyję drugim

ramieniem i przycisnąłem delikatnie policzek do jej głowy, by wciągnąć w płuca dziwny, ciepły zapach końskiej skóry.

- Postronek - przypomniał mi cicho Hui, a ja założyłem go jej na szyję, tak jak mi pokazywał.

- Należy do ciebie - stwierdził Hui.

- A ja do niej - odparłem bez namysłu, bo było to prawdą. Schwytaliśmy się wzajemnie.

Reszta stada nam się przyglądała. Kiedy tylko postronek znalazł się na szyi klaczy, konie uspokoiły się i ufnie pozwoliły Huiemu i mnie przechadzać się do woli między nimi. Podchodziły, by jeść nam z ręki, i nie buntowały się, gdy podnosiliśmy im kopyta, gładziliśmy karki i masywne grzbiety.

Wtedy wszystko to wydawało mi się czymś cudownym, lecz po krótkim przemyśleniu pojąłem, że było to rzeczą całkiem naturalną. Od urodzenia przyzwyczajono je do ludzkiego dotyku i pieśczoć, do karmienia i zaprzęgu. Zawsze przebywały w bliskim i ciągłym towarzystwie ludzi. Prawdziwy cud nastąpił później, gdy zrozumiałem, że potrafią odczytywać uczucia i w pełni je odwzajemniać.

Hui wybrał klacz i nałożył jej uprząż, cały czas pouczając mnie i podkreślając swe doświadczenie, tudzież wiedzę w końskich sprawach. Byłem w tak euforycznym nastroju, że przynajmniej raz nie drażniła mnie jego zarozumiałość.

- No dobrze - stwierdził w końcu - teraz ich dosiędziemy.

Ku memu absolutnemu zdumieniu oparł dłonie o grzbiet klaczy, podciągnął się i przerzucił nad nią jedną nogę, siadając na niej okrakiem. Patrzyłem na niego

z niedowierzaniem, oczekując gwałtownej reakcji klaczy, spodziewając się, że stanie dęba i zrzuci Huiego na ziemię, a przynajmniej schwyci jego obnażoną nogę potężnymi białymi zębami i zwlecze go z grzbietu. Nie uczyniła niczego takiego, stała spokojnie i potulnie.

- Jazda, maleńka! - zawołał i uderzył ją piętami w boki.

Klacz ruszyła posłusznie naprzód, a gdy ponownie ją popędził, zerwała się do kłusu, a potem do galopu. Hui kierował nią bez wysiłku, sposobem, który pozostawał wtedy dla mnie zagadką. Koń i jeździec zataczali na polu eleganckie wzory, w końcu powrócili na miejsce, gdzie stałem.

- Dalej, Taito. Spróbuj galopu!

Widziałem, że spodziewa się, iż odmówię, i to właśnie pomogło mi przezwyciężyć moją niechęć. Nie mogłem pozwolić na to, by ten chłystek nade mną górował.

Pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem, lecz klacz stała ze stoickim spokojem, a Hui śmiał się.

- Może cię wiele nauczyć. Powinieneś nazwać biednego zwierzaka Cierpliwość. - Wtedy nie dostrzegałem w tym niczego zabawnego, lecz imię przylgnęło do niej i odtąd klacz zwała się Cierpliwością. - Podciągnij się wyżej, zanim przerzucisz nogę, i uważaj, żeby nie przygnieść sobie jajek, kiedy będziesz siadał - doradził mi, a potem wybuchnął dzikim śmiechem. - No, ale tym problemem nie musisz się kłopotać. Domyślam się, że wolałbyś nadal mieć parę jajek, które mógłbyś przysiadać.

Cieplejsze uczucia, jakie zaczynałem żywić wobec Huiego, natychmiast ostygły po tym docinku. Wskoczyłem na grzbiet klaczy i obiema rękoma objąłem jej szyję, bo obawiałem się połamania kończyn i rozbicia czaszki.

- Usiądź prosto! - Hui rozpoczął naukę, a Cierpliwość pomagała mi swoim pogodnym i wyrozumiałym usposobieniem.

Zaskoczyło mnie to, że myślę o tych stworzeniach jak o ludziach, lecz w trakcie kilku kolejnych dni, gdy jechaliśmy na południe do Teb, odkryłem, że mogą być głupie i sprytne, podejrzliwe i ufne, uparte i złośliwe, przyjacielskie i wyniosłe, śmiałe i bojaźliwe, nerwowe i flegmatyczne, pobłażliwe i niecierpliwe, zaskakujące i łatwe do zrozumienia - krótko mówiąc, bardziej zbliżone temperamentem do człowieka od wszystkich innych zwierząt chodzących na czterech nogach. Im więcej się o nich uczyłem, tym bardziej pragnąłem się uczyć. Im dłużej z nimi przebywałem, tym bardziej je kochałem.

Jechałem na czele na Cierpliwości z jej źrebakiem deptającym nam po piętach. Za nami ulegle wlokło się stado - wszystkie trzysta szesnaście koni. Hui zamykał pochód, zgarniając maruderów. Z każdą godziną nabierałem pewności i wprawy na grzbiecie Cierpliwości, a więź między nami stawała się coraz mocniejsza. Klacz przeistoczyła się w przedłużenie mego ciała, lecz o ileż szybsze i mocniejsze od mych wątłych kończyn. Zasiadanie na jej szerokim, silnym grzbiecie uważałem za rzecz

naturalną i słuszną, lecz ku memu zdumieniu tylko nieliczni chętni byli dzielić ze mną to przeżycie.

Być może wpływ na zachowanie żołnierzy miał nie tylko siejący przerażenie wróg, który tak druzgoczaco uderzył ich na równinie pod Abnub, lecz także słowa i postawa Tanusa, księcia Harrab. Bez względu na powód z wyjątkiem Huiego i, znacznie później, księcia Memnona nie potrafiłem znaleźć żadnego Egipcjanina, który dosiadłby konia. Oczywiście nauczyli się je hodować i rozmnażać, a także dbać o nie. Pod moim okiem stali się zwinnymi i zuchwałymi woźnicami, lecz nigdy nie widziałem nikogo jadącego konno, oprócz mnie, Huiego i księcia. Gdy rydwany o lekkich, szprychowych kołach, jakie zaprojektowałem, zmiotły wszystko przed sobą i uczyniły Egipt panem wszelkiego stworzenia, Tanus nigdy nie poszedł w nasze ślady i nigdy też nie słyszałem, by darzył jakimkolwiek sentymentem te pełne dobrej woli, dzielne zwierzęta, które ciągnęły go w zamęt bitwy.

Nawet w późniejszych latach, gdy koń stał się zwykłym widokiem w całym królestwie, dosiadanie go uważane było za cokolwiek nieprzyzwoite i obsceniczne. Gdy galopowaliśmy we trójkę, wielu prostych ludzi spluwało po trzykroć na ziemię i wykonywało znak chroniący przed urokiem.

Wiodłem me stado w górę rzeki wzdłuż zachodniego brzegu ku Tebom, a wszystko to czekało na nas w przyszłości. Dotarliśmy na miejsce. Spotkaliśmy się z wdzięcznością

mojej pani oraz burkliwym i wypranym z entuzjazmu powitaniem ze strony głównodowodzącego egipskich armii.

- Tylko trzymaj te demoniczne bydlęta z dala ode mnie - powiedział Tanus.

Nadal nie wybaczył mi udania się poza jego plecami do Lostris.

By oddać mu sprawiedliwość, miał więcej niż wystarczające usprawiedliwienie dla swego złego humoru. Państwo i naród znalazły się w straszliwym niebezpieczeństwie. W całej historii nie było takiego momentu, by nasza cywilizacja była równie zagrożona przez barbarzyńcę.

Asjut już utraciliśmy, podobnie cały wschodni brzeg aż po Denderę. Niezbity z tropu i niezniechęcony rzeczną klęską, jaką zadał mu Tanus, król Salitis pognał dalej ze swymi rydwanami i otoczył chronione murami Teby.

Mury te powinny wytrzymać dziesięcioletnie oblężenie, lecz nie przewidziano złowrogiej obecności księcia Intefa w obozie przeciwnika. Wyszło na jaw, że gdy był jeszcze wielkim wezyrem Górnego Królestwa, potajemnie zarządził budowę ukrytego przejścia pod murami miejskimi. Nawet ja, który znałem większość jego sekretów, nigdy tego nie podejrzewałem, a ponieważ książę Intef wymordował robotników zatrudnionych przy tej budowlu, więc tylko on świadomy był jej istnienia. Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle miałby kopać taki tunel, lecz jego pokrętny umysł zdradzał wyraźną skłonność do podobnych urządzeń. Pałac

usiany był zapadniami i tajnymi przejściami niczym królicza nora czy jama pustynnego lisa.

Gdy książę Intef wyjawiał królowi Salitisowi jego istnienie, ten posłał ukrytym przejściem mały oddział złożony z najlepszych ludzi, a gdy znaleźli się za murami, uderzyli na niczego niepodejrzewających egipskich strażników przy głównej bramie, wyrznęli ich i otworzyli wrota na oścież. Hyksoska horda wtargnęła do Teb i w ciągu kilku dni od rozpoczęcia oblężenia miasto padło, a połowa jego mieszkańców straciła życie.

Z zachodniego brzegu, gdzie Tanus miał teraz swoją kwaterę główną w na wpół wykończonym pałacu Memnona, widzieliśmy w mieście za rzeką wypalone i szerniałe dachy tych budynków, w których Hyksosi podłożyli ogień. Każdego dnia przypatrywaliśmy się chmurom pyłu wzbijanym przez gnające w górę i w dół rzeki ich rydwany i migoczącym grotom włóczni na nadbrzeżnych skarpach, gdzie przygotowywali się do bitwy, która, jak wszyscy wiedzieliśmy, zbliżała się nieuchronnie.

Tanus ze swoją żałośnie przerzedzoną flotą zdołał jak dotąd utrzymać linię rzeki i podczas mej nieobecności odparł kolejną hyksoską próbę przepłynięcia się przez Nil. Nasze formacje obronne rozciągnięte były wszakże na długim odcinku, jako że strzec musieliśmy wielkiego łuku rzeki, Hyksosi natomiast mogli dokonać przeprawy w dowolnie wybranym miejscu. Od naszych szpiegów na wschodnim brzegu dowiedzieliśmy się, że przejęli wszystkie statki, na których tylko zdołali położyć łapy, od łodzi po

barki. Pojmali wielu spośród naszych skutników i zmusili ich do pracy w stocznjach Teb. Oczywiście mogliśmy być pewni, że ksiązę Intef udzielał im cennych rad w tych sprawach, jako że z równą niecierpliwością jak barbarzyńca Salitis wyczekiwać musiał chwili zagarnięcia skarbu faraona.

Załogi naszych galer czuwały pod bronią o każdej porze dnia i nocy, Tanus zaś spał tylko wtedy, gdy miał ku temu sposobność, co nie zdarzało się często. Ani moja pani, ani ja prawie go nie widywaliśmy, a gdy się zjawiał, był wynędzniały i zniecierpliwiony.

Każdą nocą na zachodni brzeg przybywali setkami uciekinierzy obojga płci w różnym wieku. Przez Nil przeprawiali się za pomocą dziwacznej zbieraniny tratw i małych łódek. Wielu silniejszych przebywało szeroki pas wody nawet wpływ. Wszystkim rozpaczliwie zależało na umknięciu spod terroru Hyksosów. Przynosili przerażające opowieści o grabieży i rabunku, lecz także szczegółowe i świeże wiadomości o ruchach Hyksosów.

Oczywiście przyjmowaliśmy tych ludzi gościnnie, byli przecież rodakami i krewnymi, ale ich liczba nadszarpywała nasze zasoby. Największe spichlerze znajdowały się w Tebach, większość stad bydła i owiec także wpadła w ręce przeciwnika. Królowa Lostris powierzyła mi odpowiedzialność za zgromadzenie zapasów zboża i stad na zachodnim brzegu. Sporządziłem listy i rozdzielniki mięsa i ziarna. Na szczęście palmy daktyłowe obsypane były

owocami, a rzeka dostarczała niewyczerpanych zasobów ryb. Hyksosi nigdy nie zdołaliby nas zagłodzić.

Moja pani mianowała mnie też dowódcą królewskiej kawalerii. Rywalizacja o to stanowisko nie należała do najzacieklejszych, szczególnie że nie były z nią związane żadne korzyści finansowe ani przywileje. Uczyniłem Huiego swoim zastępcą, on zaś zdołał przy użyciu łapówek, gróźb i szantażu zwerbować setkę koniuchów do pomocy przy pielęgnacji naszego stadka. Później wyszkoliliśmy tych ludzi na naszych pierwszych woźniców.

Bez trudu znajdowałem codziennie czas na odwiedzenie naszych prowizorycznie zbudowanych stajni w nekropolii. Klacz Cierpliwość zawsze przybiegała, by się ze mną przywitać, a ja przynosiłem zbożowe placki dla niej i dla jej źrebaka. Często udawało mi się wykraść księcia Memnona jego matce i piastunkom, by zanieść go na plecach do stajni. Gdy tylko widział konie, piszczął z podniecenia.

Z księciem usadowionym przed sobą galopowałem na Cierpliwości wzdłuż brzegu rzeki, a on cmokał cicho i kręcił pupą, naśladując sposób, w jaki nakłaniałem Cierpliwość do szybszego galopu. Upewniałem się zawsze, że trasa, jaką podążaliśmy podczas tych przejażdżek, nigdy nie przecinała ścieżki Tanusa. Wciąż mi nie wybaczył, a wiedziałem, że gdyby ujrzął swego syna na grzbiecie przeklętego konia, znalazłbym się w fizycznym niebezpieczeństwie.

Wiele czasu spędzałem też w warsztacie zbrojmistrzów w świątyni grobowej faraona, gdzie najlepsi rzemieślnicy na świecie pomagali mi przy budowie mego pierwszego

rydwanu. Tam właśnie podczas pracy nad planami tych pojazdów zaprojektowałem urządzenie, które stać się miało pierwszą linią obrony przed hyksoskimi rydwanami. Były to po prostu długie drewniane tyki, zaostrome na obu końcach i utwardzone w ogniu. Każdy nasz piechur miał nieść na plecach wiązkę złożoną z dziesięciu sztuk. W razie zbliżania się oddziału kawalerii tyki wbijano by pod kątem w ziemię z ostrzami ustawionymi na wysokości końskich piersi. Nasi ludzie mogliby zajmować stanowiska za tą barierą złowrogich włóczni i posyłać ponad nią swe strzały.

Gdy pokazałem je Tanusowi, objął mnie ramieniem pierwszy raz od czasu naszej kłótni o konie i rzekł:

- Cóż, przynajmniej do reszty mi jeszcze nie zdiadziałeś.

Zrozumiałem, że uzyskałem chociaż częściowe przebaczenie.

Przychylność, jaką sobie u niego tym zaskarbiłem, utraciłem z kretesem wskutek incydentu z rydwanem Taity.

Moi robotnicy i ja ukończyliśmy wreszcie pierwszy rydwan. Burty wykonane były ze splecionych kawałków bambusa, oś zaś z drewna akacji. Piasty wykuto ręcznie z brązu i wysmarowano baranym tłuszczem, a szprychowe koła ujęte zostały w obręcz z brązu. Rydwan był tak lekki, że dwóch ludzi mogło go podnieść wspólnymi siłami i przenieść po nierównym terenie, przez który konie nie dałyby rady go pociągnąć. Nawet ja widziałem, że jest to dzieło sztuki, a robotnicy nazwali go rydwanem Taity. Nie sprzeciwiałem się tej nazwie.

Hui i ja zaprzęgliśmy dwa spośród naszych najlepszych koni, Cierpliwość i Klingę, a potem wyprowadziliśmy rydwan Taity na jego pierwszy galop. Opanowanie obsługi tego sprzętu zajęło nam trochę czasu, lecz uczyliśmy się szybko, a konie były do tego hodowane, więc pomagały nam w wyborze właściwej drogi. Wkrótce mknęliśmy rzucani na boki podczas brania zakrętów w pełnym galopie.

Gdy zajechaliśmy z powrotem do stajni, zaczerwienieni z podniecenia i radzi z naszego osiągnięcia, obaj byliśmy przekonani, że nasz rydwan okazał się szybszy i poręczniejszy od każdego, jaki Hyksosi mogli posłać przeciw nam. Przez pełne dziesięć dni sprawdzaliśmy i usprawnialiśmy ten mój twór, do późna w nocy pracując w zbrojowni przy świetle lamp, dopóki nie zdecydowałem, że mogę go już pokazać Tanusowi.

Tanus przyszedł do stajni ze zgryźliwą niechęcią, sprzeciwiając się zajęciu miejsca na pomoście pojazdu za moimi plecami.

- Ufam tej twojej maszynie w równym stopniu jak tym przeklętym bydłom, które ją ciągną - burczał, lecz przekonywałem go usilnie, więc w końcu wspiał się ostrożnie do rydwanu i ruszyliśmy w drogę.

Dopóki nie poczułem, że zaczyna się odprężyć i wbrew swej woli czerpie przyjemność z naszej radosnej przejażdżki, prowadziłem konie powolnym kłusem. Potem poderwałem je do cwału.

- Zauważ ich szybkość. Możesz wpaść wrogom na karki, zanim się zorientują, że nadciągasz - triumfowałem. Tanus

zaśmiał się pierwszy raz, co dodało mi otuchy. - Dzięki swoim okrętom władasz rzeką. Dzięki rydwanowi władasz lądem. Dzięki im obu władasz światem. Nic cię nie powstrzyma. - Uważałem, by nie pomniejszać wartości jego ukochanych okrętów ani by nie czynić nieprzychylnych porównań.

- To ma być najlepsza prędkość, na jaką cię stać! - zawołał, przekrzykując wiatr i łoskot kopyt. - Przy sprzyjającym wietrze „Oddech Horusa” jest szybszy. - To było kłamstwo i wyzwanie.

- Trzymaj się burt i weź głęboki oddech - uprzedziłem go.

- Zabieram cię tam, gdzie latają orły - i pozwoliłem Cierpliwości i Klindze zaszaleć.

Nikt przed nami nie poruszał się szybciej. Wiatr ciął nas po oczach, zdmuchując we włosy wyciskane z nich łzy.

- Słodki oddechu Izydy! - wrzasnął w podnieceniu Tanus.

- To jest...

Nigdy nie dowiedziałem się, do czego chciał to porównać, gdyż w tejże chwili nasze prawe koło uderzyło o kamień i obręcz się rozpadła.

Rydwan wyrócił się, koziołkując w powietrzu, wyrzucając nas daleko i wysoko. Uderzyłem w twardą ziemię z siłą, która powinna była mnie sparaliżować, lecz byłem tak przejęty wpływem, jaki to drobne nieszczęście wyrzucić może na Tanusa, oraz możliwą zagładą moich marzeń i planów, że nie poczułem bólu.

Natychmiast zerwałem się na nogi i zobaczyłem Tanusa gramolącego się na krwawiące kolana dwadzieścia kroków

za mną. Pokrywała go gruba warstwa kurzu i zdarł skórę z połowy twarzy. Choć wyraźnie kulał, starał się zachować godność, gdy podniósł się ciężko i zataczając się, powrócił do rozbitego rydwanu.

Przez długą minutę stał, wpatrując się w strzaskane szczątki mego dzieła, potem wydał nagle z siebie ryk godny rannego wołu i poczęstował je tak potężnym kopniakiem, że rydwan ponownie się przetoczył, tak jakby był dziecięcą zabawką. Tanus obrócił się na pięcie, nie zaszczycając mnie ani jednym spojrzeniem i pokuśtykał w stronę miasta. Nie widziałem go przez cały tydzień, a i potem żaden z nas nie wspominał o rydwanie.

Myślę, że cała sprawa mogłaby się na tym zakończyć i nigdy nie zebralibyśmy pierwszego oddziału rydwanów, gdyby nie to, że moja pani dumą i uporem przewyższała nawet swojego kochanka. Wydała mi rozkaz i nie zamierzała go cofnąć. Gdy Tanus starał się ją do tego nakłonić, jedynie wzmacniał tym moją pozycję. W ciągu trzech dni odbudowaliśmy z Huim zniszczony rydwan i zmontowaliśmy jeszcze jeden identyczny.

Zanim balsamiarze ukończyli w kaplicy grobowej rytualne siedemdziesiąt dni królewskiej mumifikacji, dysponowaliśmy pierwszym oddziałem pięćdziesięciu rydwanów i wyszkoliliśmy ich załogi.

Od kiedy powróciliśmy do pałacu Memnona po klęsce pod Abnub, moja pani zajęta była sprawami państwa, jakimi obarczyła ją regencja. Spędzaliśmy długie godziny z ministrami i doradcami.

Teraz przynosiło owoce dawne szkolenie, jakiego udzieliłem jej w pałacu w Elefantynie. Nauczyłem ją bezbłędnie poruszać się w labiryncie władzy i wpływów. Miała zaledwie dwadzieścia jeden lat, lecz była królową i władała po królewsku.

Bardzo rzadko napotykała problem, który szczególnie ją niepokoił czy kłopotał. Wtedy posyłała po mnie. Porzucałem pracę w zbrojowni lub w małej kancelarii, jaką dla mnie przeznaczyła na końcu korytarza wiodącego do sali audiencyjnej, i spieszyłem do niej.

Czasami spędzałem całe dni, siedząc u stóp tronu i pomagając jej podjąć jakieś kłopotliwe decyzje. Raz jeszcze przydawała się nam moja umiejętność czytania z ust. Jakiś możny z tyłu sali, knujący czy spiskujący ze swoim sąsiadem, nawet się nie domyślał, że przekazywałem mojej pani jego słowa. Szybko zyskała reputację dalekowzrocznej i przewidującej. Żadne z nas nie miało wiele odpoczynku podczas tych mrocznych i kłopotliwych dni.

Choć wypełnione były zajęciami, noce dłużyły się niepomierne. Rady wojenne i królewskie kończyły się dobrze po północy. Gdy tylko zażegnany został jeden kryzys, na horyzoncie majaczył kolejny. Każdego dnia Hyksosi coraz bardziej nam zagrażali, a panowanie Tanusa na rzece słabło.

Powoli ogarniało nas poczucie nieuchronnej klęski i rozpacz. Ludzie rzadko się uśmiechali, a już nigdy nie śmiali się głośno. Nawet dziecięce zabawy były

przytłumione i wyciszone. Wystarczyło tylko spojrzeć za rzekę – tam gromadzili się wrogowie, z każdym dniem rosnąc w siłę.

Po siedemdziesięciu dniach zakończona została mumifikacja ciała faraona. Pospieszne próby zakonserwowania królewskich zwłok okazały się nader udane i wielki mistrz cechu balsamiarzy pochwalił mnie w obecności mej pani. Gdy wydobył zwłoki króla z dzbana po oliwie, nie doszukał się śladów rozkładu; nawet wątroba, narząd najbardziej podatny na zepsucie, przechowała się w doskonałym stanie.

Kiedy król ułożony został na płycie diorytu w swej kaplicy grobowej, wielki mistrz wepchnął mu w nos łyżkę, za pomocą której wybrał ściętą zawartość czaszki, utwardzoną przez solankę do konsystencji sera. Następnie król, wciąż w pozycji płodowej, umieszczony został w kąpieli natrytowej tak, że jedynie jego głowa wystawała nad żrącą cieczą. Gdy wyciągnięto go z natrytu po trzydziestu dniach, cała tkanka tłuszczowa uległa rozpuszczeniu. Z wyjątkiem twarzy złuszczyły się też zewnętrzne warstwy skóry.

Ponownie położono go na prążkowanej kamiennej płycie i wyprostowano. Wytarto go i wysuszono, pusty brzuch wypełniony został płóciennymi tamponami nasączonymi żywicą i woskiem, a potem szczelnie zaszyty. Tymczasem osuszono wnętrze i schowano je do urn z mlecznobiałego alabastru. Naczynia natychmiast zostały zapieczętowane.

Przez pozostałe czterdzieści dni ciało króla pozostawiono w spokoju, by całkowicie wyschło. Drzwi kaplicy zorientowane były według kierunku ciepłego suchego wiatru dominującego na tych terenach, tak więc wiał on nad płytą grobową. Gdy rytualny okres siedemdziesięciu dni dobiegł końca, ciało faraona było zeschnięte jak szczapa opałowego drewna.

Paznokcie, które usunięto, zanim zanurzono go w natrytowej kąpieli, zostały na powrót umieszczone i przymocowane na swoim miejscu cienkim złotym drutem. Ciało owinięto pierwszą warstwą śnieżnobiałych płóciennych bandaży, pozostawiając nieosłoniętą głowę i szyję. Obwiązywanie zwłok jest czynnością precyzyjną i skomplikowaną, bandaże przecinają się i nakładają na siebie w wymyślnych wzorach. Pod nie włożono talizmany i amulety ze złota i szlachetnych kamieni, następnie nasączono je lakierem i żywicami, które zaschły w substancję twardością równą kamieniowi.

Teraz nadszedł czas na ceremonię otwarcia ust, którą zgodnie z tradycją miał przeprowadzić najbliższy krewny zmarłego faraona. Memnon był zbyt młody, by odegrać tę rolę, tak więc zamiast niego wezwano regentkę.

Moja pani i ja udaliśmy się do świątyni wśród porannych ciemności i byliśmy świadkami ściągnięcia lnianych płócien okrywających króla. Głowa faraona została zakonserwowana w cudowny sposób. Miał zamknięte oczy, na jego twarzy malował się błogi spokój. Balsamiarze

uróżowali i pomalowali jego twarz, tak że po śmierci wyglądał lepiej niż za życia.

Podczas gdy arcykapłan Amona-Re i wielki mistrz cechu balsamiarzy przygotowywali narzędzia do ceremonii, my zaśpiewaliśmy inkantację przeciw powtórnej śmierci.

On jest odbiciem, a nie zwierciadłem.

On jest muzyką, a nie lirą.

On jest kamieniem, a nie żłobiącym go dłutem.

On żyć będzie wiecznie.

On nie umrze powtórnie.

Wtedy arcykapłan wręczył mojej pani złotą łyżkę i podprowadził ją za rękę do grobowej płyty.

Królowa Lostris pochyliła się nad ciałem faraona i złożyła łyżkę życia na jego umalowanych ustach.

Otwieram twe usta, byś mógł ponownie przemówić.

Otwieram twe nozdrza, byś mógł oddychać.

Zaintonowała te słowa, a potem dotknęła łyżką jego powiek.

Otwieram twe oczy, byś mógł raz jeszcze ujrzeć przepych tego świata i boskich zaświatów, gdzie zamieszkiwać będziesz od tego dnia.

Następnie przytknęła łyżkę do zabandażowanej piersi.

Przyspieszam bicie twego serca, byś mógł żyć wiecznie.

Nie umrzesz powtórnie.

Żyć będziesz wiecznie.

Potem odczekaliśmy, dopóki balsamiarze nie obwiązali głowy faraona schludnymi pasmami bandaży i nie pokryli ich żywicą. Ułożyli mokre od żywicy pasy tak, by przylegały do rysów skrytej pod nimi twarzy. Na koniec umieścili na niej pierwszą z czterech pogrzebowych masek.

Była to ta sama maska, której wykuwaniu z czystego złota niegdyś się przyglądaliśmy. Gdy jeszcze żył, faraon pozował rzeźbiarzowi, toteż maska wyglądała jak oblicze żywego człowieka. Oczy z lśniących górskich kryształów i obsydianu zdawały się spoglądać na mnie z całą wyrazistością, jaka była kiedyś udziałem oblicza pod nią ukrytego. Wężowa głowa *ureusa* wznosiła się nad szlachetnym czołem, królewska i mistyczna.

Później zawinięta mumia złożona została w złotej wewnętrznej trumnie, którą zapieczętowano i umieszczono w kolejnym złotym sarkofagu, na którego pokrywie wyryta była następna pośmiertna maska. Połowa dóbr odzyskanych ze skarbcza księcia Intefa poszła na wykucie tej olbrzymiej masy drogocennego metalu i klejnotów.

W sumie było siedem trumien, jeśli wliczyć w tę liczbę masywny kamienny sarkofag ustawiony na złotych saniach, czekających, by powieźć faraona drogą prowadzącą do grobowca wśród posępnych wzgórz. Lecz moja pani nie zgodziła się udzielić swego przyzwolenia na tę ostatnią podróż.

- Złożyłam świętą przysięgę. Nie mogę umieścić mego męża w grobowcu, który może zostać splądrowany przez hyksoskich barbarzyńców. Faraon pozostanie tutaj, dopóki

nie będę w stanie wypełnić danego przyrzeczenia. Znajdę bezpieczny grobowiec, w którym leżeć będzie przez wieczność. Dałam słowo, że nikt nie zakłóci mu spoczynku.

Mądra decyzja królowej Lostris, by opóźnić złożenie ciała w grobowcu, znalazła swe potwierdzenie trzy noce później. Hyksosi podjęli zdecydowaną próbę przejścia przez rzekę i Tanus z trudem zdołał ich odepchnąć. Uczynili to na niestrzeżonym odcinku rzeki godzinę drogi na północ od Esny. Przeprowadzili wpław całe stado koni, a potem podążyli za nim armadą małych łódek, które przenieśli lądem z Teb, by ukryć przed nami swe przygotowania.

W rzeczy samej udało im się zdobyć przyczółek na zachodnim brzegu, zanim Tanus zdążył posłać w to miejsce swe okręty, niemniej dotarł tam wcześniej, niż zdołali wyładować rydwany i zaprząć do nich konie. Zniszczył łodzie z rydwanami na pokładzie, odcinając na naszym brzegu rzeki prawie trzy tysiące Hyksosów. Gdy siły Tanusa ruszyły do pierwszego ataku, konie wroga rozproszyły się i pognały w noc.

Bez rydwanów Hyksosi utracili przewagę nad naszymi wojskami, lecz nie mając drogi ucieczki, walczyli z ponurą determinacją. Liczebnie prawie nam dorównywali, gdyż Tanus zdołał sprowadzić zaledwie jeden pełny pułk. Reszta jego rzadko rozsianej armii stacjonowała wzdłuż zachodniego brzegu. Walka była krwawa i zawzięta, jej chaos powiększała ciemność, rozświetlana jedynie luną ze statków, które nasi podpalili na plaży.

Przedziwnym zbiegiem okoliczności, a może wskutek kolejnej interwencji bogów, Hui i ja zabraliśmy nasz mały oddział pięćdziesięciu rydwanów do Esny na manewry. Prawdę mówiąc, odjechaliśmy na te dwadzieścia mil od Teb w pierwszym rzędzie po to, żeby Tanus się do nas nie wtrącał i nie okazywał swego niezadowolenia.

Rozłożyliśmy się obozem w świętym gaju drzew tamaryndy na tyłach świątyni Horusa w Esnie. Byłem wyczerpany długim dniem wypełnionym galopowaniem i manewrowaniem przy dużej szybkości. Powróciwszy do obozu, Hui postawił dzban szczególnie smacznego wina, a ja nie wykazałem należytego pohamowania w próbowaniu tego trunku. Spałem jak głaz, gdy Hui przyczołgał się do mego namiotu i zbudził mnie szarpnięciem.

- Na brzegu w dole rzeki płoną ognie - powiedział - a gdy wiatr zmienia kierunek, słysząc krzyki i wiwaty. Chwilę temu wydawało mi się, że słyszę liczne głosy śpiewające bojowy hymn Błękitnych. Myślę, że tam w dole toczy się bitwa.

Trzymałem się na nogach równie niepewnie jak on, wino zaś zagłuszyło mą zwyczajną ostrożność. Krzyknąłem do Huiego, by poderwał ludzi i zaprzęgał konie. Wszyscy byliśmy nadal nowicjuszami, więc gdy złapaliśmy zwierzęta i nałożyliśmy im uprząż, zaczynało już świtać. Pokłusowaliśmy północną drogą w kolumnie marszowej, po dwa rydwany w rzędzie, wśród zimnej rzecznej mgły i ponurego chłodu świtania. Prowadziłem pierwszy rydwan, a Hui dowodził tylną strażą. Nasze pięćdziesiąt rydwanów

zredukowane zostało do trzydziestu podczas ćwiczeń dnia poprzedniego, jako że nie udało mi się jeszcze udoskonalić moich kół ze szprychami. Wciąż wykazywały alarmującą tendencję do rozlatywania się na kawałki podczas szybkiej jazdy, toteż prawie połowa sił wyłączona była z akcji.

Wiatr owiewający nagą pierś przyprawił mnie ponownie o dreszcze, co ograniczyło mą podsyconą winem zuchwałość. Zaczynałem żywić nadzieję, że Hui się mylił, lecz nagle z daleka nadpłynął jedyny w swoim rodzaju chór wrzasków i entuzjastycznych okrzyków oraz dźwięczenie brązu o brąz, które oznaczać mogły tylko jedno. Gdy raz się słyszało odgłosy bitwy, trudno je zapomnieć czy pomylić z czymś innym. Nierówna wiejska droga, którą jechaliśmy wzdłuż brzegu rzeki, skręciła w lewo. Kiedy minęliśmy zakręt, ujrzeliśmy przed sobą szerokie pole.

Słońce wisiało nisko nad horyzontem, zamieniając powierzchnię rzeki w błyszczącą miedzianą blachę, boleśnie rażącą oczy. Okręty z flotyli Tanusa stały tuż przy brzegu, by wprowadzić łuczników na odległość skutecznego strzału i odciąć Hyksosom drogę ucieczki przez rzekę.

Osamotniony hyksoski oddział bronił się pośrodku sięgającej do kolan zielonej pszenicy. Żołnierze utworzyli krąg, stając twarzami w stronę wroga, ramię w ramię, szczepiwszy tarcze i nastawiwszy włócznie. Kiedy zjawiliśmy się na polu bitwy, odparli właśnie kolejną próbę przełamania ich szyku podjętą przez wojska Tanusa. Egipski pułk wycofywał się, by się przegrupować,

pozostawiając wokół wrogiego pierścienia porozrzucane ciała zabitych i rannych.

Nie jestem żołnierzem, choć napisałem parę tekstów o prowadzeniu wojny. Rangę dowódcy królewskiej kawalerii, narzuconą mi przez mojąpanią, przyjąłem z najgłębszą niechęcią. Zamierzałem po prostu udoskonalić mój rydwan, wyszkolić pierwszy oddział i przekazać go Huiemu albo komuś innemu, bardziej nadającym się do zawodu wojownika.

Było mi zimno i wciąż szumiało mi w głowie. Usłyszałem własny głos, wydający polecenie rozmieszczenia pojazdów w formacji grotu. Ewolucję tę ćwiczyliśmy poprzedniego dnia, więc podążające za mną rydwany rozjechały się na boki z zadowalającą sprawnością. Byłem boleśnie świadom uderzeń kopyt o miękką ziemię, zgrzytu uprzęży, pisku kół obracających się na pokrytych metalem piastach, grzechotu oszczepów. Moi żołnierze wyciągali strzały z kołczanów. Rozejrzałem się, kontrolując rozstawienie małego oddziału na podobieństwo grotu strzały z moim rydwanem na jego szczycie. Szyk ten podpatrzyliśmy u Hyksosów. Wziąłem głęboki oddech.

- Oddział do ataku! - krzyknąłem piskliwym ze strachu głosem. - Galopem naprzód!

Ledwie uniosłem lewą rękę dzierżącą lejce, a Cierpliwość i Klinga pognały do przodu. O mały włos nie poleciałem w tył, lecz wolną ręką chwyciłem się burty i runęliśmy wprost na hyksoski pierścień.

Rydwan skakał i miotał się pode mną na nierównej, zaoranej ziemi. Spojrzałem ponad wierzgającymi zadami koni i ujrzałem ścianę hyksoskich tarcz, lśniąca i nieprzeniknioną w promieniach porannego słońca, zbliżającą się z każdym susem wierzchowców.

Po obu stronach ludzie ryczeli i wiwatowali, by ukryć swe przerażenie, a ja wyłem wraz z nimi niczym bezpański pies do księżyca w pełni. Konie prychały i rżały, a Cierpliwość nagle podniosła swój długi pióropusz ogona i zaczęła puszczać wiatry w rytm swego długiego kroku. Odebrałem to jako coś bezgranicznie zabawnego. Przestałem wrzeszczeć ze strachu i zacząłem się spazmatycznie śmiać. Pożyczony od Huiego hełm był dla mnie za duży i spadł mi z głowy, a wiatr rozwiał mi włosy.

Cierpliwość i Klinga stanowiły najsmiglejszą parę oddziału i nasz rydwan wyszedł przed formację. Staralem się zwolnić tempo szarży, ściągając lejce, lecz Cierpliwość nie chciała nawet o tym słyszeć. Klacz była równie podniecona jak każdy z nas, wyciągnęła więc szyję i z radością poniosła mnie naprzód.

Przedarliśmy się przez wycofujące się szeregi egipskiej piechoty, powracającej z nieudanego ataku na hyksoski krąg, żołnierze rozproszyli się, schodząc nam z drogi i gapiąc się na nas w zdumieniu.

- Dalej! - zawyłem, rechocząc. - Pokażemy wam, którądy iść!

Piechurzy odwrócili się i biegiem podążyli za nami ku przeciwnikowi. Za sobą słyszałem trębaczy grających do

ataku, a dźwięk rogów jeszcze ponaglił nasze konie. Z prawej strony dostrzegłem powiewający sztandar bojowy Tanusa i rozpoznałem jego uwieńczony grzebieniem hełm wystający ponad otaczających go ludzi.

- Co sądzisz teraz o moich przeklętych bydłach? - wrzasnąłem, gdy przetaczaliśmy się obok niego, a Cierpliwość ponownie puściła wiatry, wywołując u mnie nowy atak nerwowego śmiechu.

Rydwan po mojej lewej stronie jechał prawie równo z moim, lecz jego lewe koło pękło pod ciężarem nadwozia i pojazd przekoziółkował, wyrzucając woźniców w powietrze i powalając rżące konie na ziemię. Reszta parła do przodu bez zatrzymywania.

Pierwszy szereg przeciwnika był już tak blisko, że widziałem ich oczy, wpatrujące się we mnie znad krawędzi tarcz. Strzały zaświstały tuż przy uszach. Wyraźnie dostrzegałem postaci potworów i demonów wryte na wysokich, metalowych hełmach, perełki potu błyszczące na zaplecionych i podwiązanych wstążkami brodach, słyszałem wojenny okrzyk... A potem uderzyliśmy.

Konie wpadły na ścianę tarcz, która rozsypała się pod ciężarem i furią naszej szarży. Ujrzałem człowieka wyrzuconego wysoko w górę i usłyszałem, jak jego kości łamią się, trzaskając niczym chrust w ognisku. Na pomoście za mną mój oszczepnik operował z zabójczą wprawą. Wybrałem go jako najlepszego spośród rekrutów, on zaś potwierdzał teraz słuszność tej decyzji - stał niezachwianie i miotał oszczepy w przeciwnika.

Pozostałe rydwany, jeden za drugim, wdzierały się w otwartą przez nas szczelinę i prawie nie hamowaliśmy. Taranowaliśmy szeregi, wychodząc z drugiej strony hyksoskiego kręgu, by zawrócić w grupkach po trzy pojazdy i znowu na nie ruszyć.

Tanus wykorzystał ten moment i rzucił piechotę w uczyniony przez nas wyłom. Hyksoski szyk rozpadł się na grupki walczących. Potem i one rozproszyły się, a Hyksosi w panice pobiegli ku rzece. Gdy tylko znaleźli się w zasięgu skutecznego strzału, łucznicy z pokładów naszych okrętów posłali w nich chmury pocisków.

Przedemną znajdował się odosobniony ośrodek oporu hyksoskich wojowników nadal walczących ramieniem w ramię i powstrzymujących naszych ludzi. Skręciłem rydwanem i pogałem tam pełnym galopem. Zanim do nich dotarłem, prawe koło rozprysło się na kawałki, lekka łupina rydwanu wywróciła się do góry podwoziem, a ja poszybowałem wysoko, by spaść na ziemię z siłą zdolną rozedrzeć wnętrzności. Wylądowałem na głowie i w oczach stanęły mi jaskrawo świecące gwiazdy i meteory. Potem była tylko ciemność.

Obudziłem się pod baldachimem na pokładzie flagowego okrętu Tanusa. Stwierdziłem, że spoczywam na materacu z baraniej skóry, a nade mną pochyła się Tanus. Gdy tylko dostrzegł, że jestem przytomny, ukrył wyraz niepokoju i troski, jaki malował się na jego twarzy.

- Ty szalony stary głupcze - uśmiechnął się do mnie z przymusem. - Z czego w imię Horusa się śmiałeś?

Spróbowałem usiąść, lecz głowa bolała mnie przeraźliwie, więc tylko jęknąłem, a potem, gdy powróciła mi pamięć, chwyciłem go za ramię.

- Tanus, te nieprzyjacielskie konie, które przepłynęły rzekę ostatniej nocy... muszę je mieć.

- Nie zwracaj tym sobie twojej rozbitej głowy. Już posłałem Huiego, żeby je pozbiierał - uspokoił mnie. - Jeżeli mam dostać pięćset machin dla mojej nowej dywizji rydwanów, potrzebować będę tysiąca tych przeklętych bydląt pociągowych. Ale twoje nowomodne koła są niebezpieczniejsze od Hyksosów. Nie pojedę z tobą, dopóki czegoś z nimi nie zrobisz.

Przez moment nie docierało to do mojej obolałej łepetyny, a potem zrozumiałem, że oto stało się. Tanus zdławił swą dumę i ustąpił. Mój sierocy oddział rydwanów miał stać się wreszcie częścią regularnej armii, on zaś chciał dać mi ludzi i złoto na zbudowanie jeszcze pięciuset wozów. Był nawet zdecydowany ze mną pojechać, o ile zdołam poprawić jakość kół.

Lecz naprawdę napełniło me serce radością to, że wreszcie mi wybaczył i że znowu byliśmy przyjaciółmi.

Zwycięstwo moich rydwanów pod Esną i poczucie pewności siebie, jakim nas napełniło, było krótkotrwałe. W skrytości ducha oczekiwałem i obawiałem się tego, co miało teraz nastąpić. Był to logiczny ruch nieprzyjaciela, który Salitis i książę Intef winni byli uczynić znacznie wcześniej.

Wiedzieliśmy, że przetaczając się przez Dolne Królestwo, Salitis zdobył większą część floty czerwonego uzurpatora.

Okręty te stały opuszczone w dokach Memfis i Tanis w Delcie. Salitis musiał wszakże mieć do swej dyspozycji bandy egipskich renegatów z floty fałszywego władcy, a gdyby nawet tak nie było, niewątpliwie mógł zwerbować dostateczną liczbę najemnych syryjskich żeglarzy w Gazie, Joppie i innych portach na wschodnim wybrzeżu wielkiego morza, by obsadzić kilka setek okrętów i barek transportowych.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że musiało to nastąpić, lecz wstrzymałem się z ostrzeżeniem Tanusa i mojej pani o prawdopodobieństwie czegoś takiego, jako że nie chciałem potęgować posępnego nastroju i powiększać przygnębienia naszego ludu. Wyteżałem intelekt w poszukiwaniu środka zdolnego temu zaradzić, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Ponieważ nie mogłem w żaden sposób rozproszyć tych obaw, uznałem za najlepsze zatrzymanie ich dla siebie.

Gdy w końcu szpiedzy na wschodnim brzegu rzeki naprzeciw Asjut uprzedzili nas o nadciąganiu tej floty z Deltą, Tanus posłał okręty na północ na jej spotkanie. Jego flota pod każdym względem przewyższała tę zgromadzoną przez Salitisa i Intefa, lecz prawie tydzień zajęło jej zniszczenie nieprzyjaciół lub odepchnięcie ich z powrotem do Deltą.

Salitis wszakże przeprowadził transportowce za zasłoną walczących okrętów i kiedy bitwa wciąż jeszcze była w toku, zdołał załadować na nie prawie dwa pełne pułki

koni i rydwanów, przewożąc je bez strat na naszą stronę rzeki. Nasze statki nie były w stanie ich dopaść.

Pułki te obejmowały prawie trzysta szybkich bojowych rydwanów Salitisa, jego doborowe oddziały, którym przewodził osobiście. Nareszcie zdołał zająć nas z flanki. Jego rydwany potoczyły się na południe wzdłuż naszego brzegu. Nic nie mogło ich zatrzymać. Nasze okręty mogły jedynie próbować dotrzymać tempa wzbijanej przez niego chmurze pyłu, a on pędził w stronę świątyni pogrobowej Mamose i zgromadzonych w niej skarbów.

Królowa Lostris zwołała radę wojenną, kiedy tylko wieści o hyksoskiej przeprawie dotarły do pałacu Memnona. Pierwsze pytanie skierowała do Tanusa.

- Czy jesteś w stanie powstrzymać tego barbarzyńcę, skoro znalazł się już po naszej stronie rzeki?

- Być może zdołam zwolnić jego marsz - odparł otwarcie.

- Wiele się o nim dowiedzieliśmy. Możemy czekać na niego za kamiennymi murami czy zaporami z zaostrzonych pali, w jakie wyposażył nas Taita. Lecz Salitis nie musi wydawać nam bitwy. Jego rydwany są tak szybkie, że może ominąć nasze pozycje, tak jak to uczynił pod Asjut. Nie, nie potrafię go powstrzymać.

- Taito - królowa Lostris spojrzała na mnie - co z twoimi rydwanami? Nie mogą stoczyć bitwy z Hyksosami?

- Wasza Wysokość, mam czterdzieści rydwanów, które mogę posłać przeciw niemu. On ma ich trzysta. Moje rydwany są szybsze od pojazdów Salitisa, lecz ludzie nie dorównują jego wojownikom umiejętnościami

i wyszkoleniem. Pozostaje też problem kół. Jeszcze nie usunąłem wszystkich wad. Salitis bez trudu nas zmiążdży i zniszczy. Jeżeli będę mieć czas i materiały, mogę zbudować nowe, lepsze rydwany o kołach, które nie będą pękać, ale nie zdołam uzupełnić strat w koniach. Nie wolno nam ryzykować utraty koni. Są naszą jedyną nadzieją na ostateczne zwycięstwo.

Gdy tak debatowaliśmy, przybył kolejny posłaniec, tym razem z południa. Pędził ku nam gnany prądem i wiatrem, tak więc jego wieści pochodziły sprzed jednego dnia. Tanus przywołał go do sali obrad, a on padł na kolana przed królową Lostris.

- Mów, człowieku - zachęcił go Tanus. - Co masz nam do powiedzenia?

- Boski Majestacie - wyjąkał posłaniec, obawiając się o swe życie - gdy twoja flota zajęta była pod Asjut, barbarzyńcy ponownie przeprawili się pod Esną. Przeprowadzili konie wpław jak uprzednio, lecz tym razem brakło twych okrętów, gotowych do przegania ich łodzi. Dwa pułki Hyksosów są po naszej stronie. Ich konie mają uprząże i nadciągają w chmurze pyłu, szybcy jak jaskółka w locie. Będą tu za trzy dni.

Nikt z nas się nie odezwał, dopóki Tanus nie odesłał posłańca z poleceniem, by go nakarmiono i otoczono opieką. Posłaniec, który spodziewał się, że zostanie zabity, ucałował sandały królowej Lostris.

- Salitis ma na naszym brzegu cztery pułki. Sześćset rydwanów. To koniec - rzekł cicho Tanus, gdy pozostaliśmy

sami.

- Nie! - zaprzeczyła moja pani drżącym głosem. - Bogowie nie mogą teraz porzucić Egiptu. Nasza cywilizacja nie może upaść. Mamy świata zbyt wiele do dania.

- Oczywiście mogę dalej walczyć - zgodził się Tanus. - Lecz w końcu czeka nas to samo. Nie zdołamy pokonać tych rydwanów.

- Taito - zwróciła się na powrót do mnie moja pani - przedtem cię o to nie prosiłam, gdyż wiem, jak drogo cię to kosztuje. Teraz wszakże, zanim podejmę ostateczną decyzję, muszę o to poprosić. Proszę cię, byś użył dla mnie Labiryntów Amona-Re. Muszę wiedzieć, czego żądają od nas bogowie.

Posłusznie schyliłem głowę i wyszeptałem:

- Zaraz przyniosę moją skrzynkę.

Na miejsce wróżenia wybrałem wewnętrzne sanktuarium świątyni Horusa w częściowo ukończonym pałacu Memnona. Świątynia nie została jeszcze oddana bogu i jego posągu jeszcze w niej nie ustawiono, lecz przekonany byłem, że Horus już obdarzył ten budynek swą łaską.

Moja pani siedziała przede mną z Tanusem u boku, przyglądając się z fascynacją, podczas gdy ja piłem diabelską miksturę, by otworzyć oczy duszy, moje *Ka*, ową drobną, podobną ptakowi istotę, która żyje w sercu każdego z nas i która jest naszym drugim ja.

Rozłożyłem przed nimi Labirynty i poprosiłem królową Lostris i Tanusa, by gładzili i przesuwali je przez chwilę, by natchnęli je swym duchem oraz duchem narodu, który

reprezentowali, narodu Egiptu. Gdy przyglądałem się rozkładaniu stosów płytek z kości słoniowej, poczułem, że w mej krwi wzmagają się działanie narkotyku, a serce zwalnia rytm, bo niby-śmierć podkradła się do mnie.

Wziąłem dwie pozostałe płytki z ostatniego stosu i przycisnąłem je do piersi. Powoli zaczęły parzyć skórę i w pierwszym odruchu chciałem wycofać się przed zbliżającą się ku mnie ciemnością. Zamiast tego poddałem się i pozwoliłem jej się ponieść.

Usłyszałem, dobiegający jak gdyby z wielkiej odległości, głos mojej pani.

- Jaki będzie los podwójnej korony? Jak możemy oprzeć się barbarzyńcy?

Wizje poczęły kształtować się przed moimi oczyma i porwany zostałem w dni, które miały dopiero nadejść, ujrzałem wydarzenia, które nie stały się jeszcze rzeczywistością.

Gdy powróciłem wreszcie z podróży w głąb Labiryntów, promienie porannego słońca wpadały przez otwór w suficie, oświetlając ołtarz Horusa. Byłem oszołomiony efektami halucynogennego narkotyku, czułem mdłości i zawroty głowy, dygotałem na wspomnienie niesamowitych widoków, jakie zobaczyłem.

Moja pani i Tanus zostali przy mnie przez tę długą noc. Ich zatroskane twarze, wciąż jeszcze tak zniekształcone i falujące, że wziąłem je za część wizji, były pierwszym widokiem, jaki ujrzałem po powrocie.

- Taito, nic ci nie jest? Odezwij się. Powiedz, co widziałeś.

Moja pani była zaniepokojona. Nie potrafiła ukryć poczucia winy, że zmusiła mnie do zagłębienia się raz jeszcze w Labirynty Amona-Re.

- Tam był wąż. - Mój głos nadal brzmiał dziwacznie, jak gdybym przysłuchiwał mu się z boku. - Wielki, zielony wąż pełznący przez pustynię.

Dostrzegłem zmieszanie na ich twarzach, lecz sam jeszcze nie zastanawiałem się nad znaczeniem tego wszystkiego, więc nie mogłem udzielić im wskazówek.

- Pić - wyszeptałem. - W gardle mi zaschło, a zamiast języka mam omszały kamień.

Tanus przyniósł dzban wina i napełnił puchar, ja zaś napiłem się łąpczywie.

- Opowiedz nam o tym wężu - zażądała moja pani, gdy tylko odstawiłem kielich.

- Jego kręte ciało nie miało końca, migotało zielenią w świetle promieni słonecznych. Pełznął przez dziwną krainę, zamieszkaną przez wysokich, nagich ludzi i zadziwiające bestie.

- Czy widziałeś głowę lub ogon węża? - zapytała moja pani, a ja pokręciłem głową.

- Gdzie ty byłeś? Gdzie stałeś? - nalegała.

Zapomniałem, jak gorąco przeżywała moje wizje i jaką przyjemność sprawiało jej ich interpretowanie.

- Jechałem na grzbiecie węża - odrzekłem. - Ale nie byłem sam.

- Kto był z tobą?

- Ty byłaś u mego boku, pani, a z tobą Memnon. Tanus znajdował się po drugiej stronie, a wąż niósł nas wszystkich.

- Nil! Wąż to rzeka - zakrzyknęła triumfalnie. - Ujrzałeś naszą podróż po rzece.

- W którą stronę? - zapytał Tanus. Był równie podniecony jak ona. - W jakim kierunku płynęła rzeka?

Zdobyłem się na wysiłek przypomnienia sobie wszystkich szczegółów.

- Widziałem słońce wschodzące po mej lewej ręce.

- Na południe! - krzyknął.

- W głąb Afryki - dodała moja pani.

- W końcu ujrzałem przed nami głowy węża. Jego ciało rozwidlało się, a na każdej odnodze widniała głowa.

- Czy Nil ma dwa odgałęzienia? - zastanawiała się głośno moja pani. - A może ta wizja ma jakieś głębsze znaczenie?

- Wysłuchajmy reszty tego, co Taita ma nam do powiedzenia - przerwał jej spekulacje Tanus. - Mów dalej, stary druhu.

- Wtedy zobaczyłem bóstwo - oznajmiłem. - Siedziało na wysokiej górze. Obie głowy węża oddawały mu cześć.

Moja pani nie potrafiła się pohamować.

- Które bóstwo ujrzałeś? Och, mów mi zaraz, które to było.

- Miało brodate oblicze mężczyzny, lecz piersi i narządy płciowe kobiety. Z pochwy tryskały dwa olbrzymie strumienie wody wprost w otwarte paszcze dwugłowego węża.

- To Hapi, bóstwo rzeki - wyszeptała królowa Lostris. - Tworzy w swym wnętrzu rzekę i wylewa ją z siebie, by płynęła przez świat.

- Co jeszcze ukazała ci wizja? - zapytał Tanus.

- Bóstwo uśmiechnęło się do nas, jego twarz zajaśniała miłością i dobrocią. Przemówiło głosem dźwięcznym niczym wiatr i morze. Głosem błyskawic na szczytach odległych gór.

- Co do nas powiedziało? - zapytała z lękiem królowa Lostris.

- Powiedziało: „Niech ma córa przybędzie do mnie. Uczynię ją tak silną, że zatriumfuje, a mój lud nie zginie pod stopą barbarzyńcy” - powtórzyłem słowa, które wciąż rozbrzmiewały mi w głowie niczym bęben.

- Ja jestem dzieckiem rzeczno bóstwa - stwierdziła moja pani. - Przy narodzeniu zostałam mu poświęcona. Teraz mnie przyzywa, muszę się więc udać tam, gdzie zamieszkuje u kresu Nilu.

- To ta sama podróż, którą zamierzaliśmy kiedyś z Taitą - zadumał się Tanus. - Teraz zaś Hapi nakazuje nam ją przedsięwziąć. Nie możemy odmówić.

- Tak, musimy pojechać, lecz powrócimy - przyrzekła moja pani. - To mój kraj, ten nasz Egipt. To moje miasto, te piękne Teby o stu bramach. Nie mogę porzucić ich na zawsze. Powrócę do Teb. Tak przysięgam i wzywam Hapi na świadka tej przysięgi. Powrócimy!

Postanowienie ucieczki na południe, w dziki i niezbadany kraj za kataraktami, już raz z Tanusem podejmowaliśmy.

Wówczas zamierzaliśmy schronić się tam przed gniewem i zemstą faraona. Teraz uciekaliśmy przed bardziej bezlitosnym przeciwnikiem, zupełnie tak, jakby bogowie postanowili, że mamy udać się w tę podróż, i nie zamierzali ustąpić.

Mieliśmy niewiele czasu na przygotowania do tego brzemennego w następstwa wymarszu. Hyksosi zbliżali się z dwóch stron i nasze placówki donosiły, że ich oddziały widoczne będą z dachu pałacu Memnona najpóźniej za trzy dni.

Tanus postawił Kratasa na czele połowy sił, jakie miał do dyspozycji, i posłał go na spotkanie króla Salitisa, jadącego co koń wyskoczy z północy, z Asjut. Jego oddział miał największe szanse na dotarcie przed innymi do nekropolii i pałacu. Rozkazy dla Kratasa nakazywały mu toczenie ruchomej bitwy. Wykorzystując pale i broniąc każdej ufortyfikowanej pozycji, miał opóźnić postępy Salitisa tak długo, jak było to możliwe bez narażenia się na odcięcie lub rozbicie. Z chwilą gdy dalszy opór stanie się bezsensowny, miał ewakuować swoich ludzi na okręty.

Sam Tanus zabrał drugą połowę armii i wyruszył na południe, by stoczyć kolejną bitwę opóźniającą z hyksoską dywizją nacierającą na nas od strony Esny.

W tym czasie moja pani miała załadować naszych ludzi i cały ich dobytek na pokłady pozostałych okrętów floty. Wydelegowała do tego zadania księcia Merseketa, a ja zostałem oczywiście jego asystentem. Książę Merseket nie

tylko był poważnie zramolały, lecz na domiar złego wziął sobie ostatnio szesnastoletnią żonę.

Dlatego też nie było z niego wiele pożytku ani dla mnie, ani dla niego samego. Całość planowania i przeprowadzenia ewakuacji spadła więc na moje barki.

Zanim wszakże poświęciłem temu uwagę, musiałem zadbać o konie. Nawet na tak wczesnym etapie pojmowałem z jaskrawą jasnością, że były kluczem do przetrwania naszego ludu jako narodu cywilizowanego. Razem ze zwierzętami zdobytymi pod Esną mieliśmy teraz liczące kilka tysięcy sztuk stado. Rozdzieliłem je na cztery części, tak by łatwiej znaleźć dla nich pastwiska podczas przemarszu. Ponadto małe stada wzbijałyby mniej kurzu i prościej było im unikać hyksoskich zwiadowców.

Nakazawszy unikać brzegu, wzdłuż którego posuwały się hyksoskie rydwany, i przemieszczać się w głębi lądu, bliżej skraju pustyni, posłałem te stada pod opieką Huiego, moich woźniców i koniuchów na południe, w stronę Elefantyny.

Gdy konie zostały wyprawione, mogłem skupić swą uwagę na ludziach. Zdawałem sobie sprawę, że liczba tych, którzy mogli nam towarzyszyć w długiej wędrówce, była ograniczona liczbą okrętów. Pewien byłem, że prawie wszyscy Egipcjanie pragnęli wziąć udział w tej długiej podróży. O okrucieństwie i dzikości Hyksosów świadczyło każde spalone przez nich miasto i każdy nieludzki czyn, jakiego dopuszczali się wobec naszych współbraci. Wszystkie nieznane niebezpieczeństwa afrykańskiej dziczy stanowiły perspektywę bardziej zachęcającą od tych

złaknionych krwi potworów pędzących ku nam w swoich rydwanach.

Ostatecznie wyliczyłem, że na pokładzie uciekającej floty pomieścić zdołamy tylko dwanaście tysięcy dusz, i tak też zameldowałem mojej pani.

- Będziemy musieli być bezwzględni w wybieraniu, kogo zabierzemy, a kogo zostawimy - uprzedziłem ją, lecz ona nie zamierzała posłuchać mojej rady.

- To mój lud. Wolałabym raczej zrezygnować z własnego miejsca, niż pozostawić choć jednego człowieka Hyksosom.

- Lecz Wasza Wysokość, co ze starymi i zniedołężniałymi? Chorymi i najmłodszymi?

- Każdy obywatel będzie mógł odплыć wraz z nami. Nie zostawię żadnego siwobrodego staruszka ani żebraka, jednodniowego noworodka ani trędowatego. To moi ludzie i jeżeli oni nie mogą popłynąć, księżę Memnon i ja zostaniemy z nimi. - Oczywiście o księciu wspomniała po to, by podwójnie zapewnić sobie nade mną zwycięstwo.

Okręty będą zanurzone po burty, przeciążone tą wielką masą ludzi, lecz nie miałem wyboru. A jednak w załadowaniu w pierwszej kolejności najużyteczniejszych i najbardziej twórczych obywateli znalazłem pewne zadowolenie. Wybrałem przedstawicieli wszystkich zawodów: kamieniarzy i tkaczy, kowali i garncarzy, garbarzy i żaglomistrzów, pisarzy i artystów, szkutników i stolarzy, samych najwybitniejszych reprezentantów swych profesji. Dopilnowałem, by wszyscy bezpiecznie dotarli na pokłady oczekujących transportowców. Szczególną

przyjemność sprawiło mi przyznanie najmniej wygodnych koi na najnędniejszych okrętach kapłanom i prawnikom, owym ssącym krew pchłom na zdrowym ciele państwa.

Gdy wszyscy się zaokrętowali, zezwoliłem tłuszczy wejść na nabrzeże poniżej świątyni.

Na skutek nieustępliwości mojej pani musiałem być uważny w doborze umieszczanego na statkach ładunku. Zabrakło miejsca na białostki. Zgromadziłem broń, narzędzia i surowce, których będziemy potrzebować do zbudowania nowej cywilizacji w nieznanach krainach. W pozostałych przypadkach starałem się wszelkimi sposobami zmniejszać wagę i objętość. Na przykład zamiast zboża i owoców w glinianych naczyniach zapieczętowanych smołą i woskiem załadowałem nasiona wszystkich pożytecznych roślin.

Każdy deben bagażu, jaki składaliśmy w ładowniach, oznaczał, że coś innego musi zostać w Tebach. Nasza podróż mogła potrwać dziesięć lat albo całe życie. Droga miała być ciężka. Wiedzieliśmy, że przed nami leżą wielkie katarakty. Nie śmieliśmy obciążać się niczym innym oprócz rzeczy najbardziej niezbędnych, pozostawała wszakże sprawa przysięgi złożonej przez moją panią faraonowi. Zaledwie starczało miejsca dla żywych... Ile przestrzeni oddać mogliśmy zmarłemu?

- Przyrzekłam to królowi, gdy leżał na łożu śmierci - uparła się moja pani. - Nie mogę go tu zostawić.

- Wasza Wysokość, wyszukam bezpieczną kryjówkę dla królewskiego ciała, nieoznakowany grób wśród wzgórz,

gdzie nikt go nie znajdzie. Kiedy powrócimy do Teb, urządzimy mu królewski pochówek, jak obiecałaś.

- Jeżeli złamię słowo, bogowie nas opuszczą i podróż skazana zostanie na klęskę. Ciało króla musi odpłynąć z nami.

Jeden rzut oka na jej twarz wystarczył, by stwierdzić, że dalsza dyskusja nie przyniosłaby żadnej korzyści. Otworzyliśmy masywny granitowy sarkofag i wyciągnęliśmy z jego wnętrza sześć trumien, skrytych jedna w drugiej. Lecz nawet one były tak nieporęczne, że do ich przewiezienia potrzebna byłaby osobna łódź.

Podjąłem decyzję bez konsultacji z królową Lostris. Kazałem robotnikom wydostać dwie wewnętrzne trumny, które okryliśmy grubym lnianym płótnem, zszytym w pokrowiec. Rozmiary i waga szczątków w ten sposób zmniejszyły się do rozsądnej wielkości, tak więc mogliśmy złożyć ciężar w ładowni „Oddechu Horusa”.

Główna część skarbu faraona - całe złoto, srebro i szlachetne kamienie - zapakowana została do skrzyń z cedrowego drewna. Poleciałem złotnikom zedrzeć złoto z odrzuconych trumien oraz z drewnianego szkieletu wielkich pogrzebowych sań i przetopić je na sztaby. W głębi serca zachwycony byłem tym, że stałem się narzędziem zagłady tego pozbawionego dobrego smaku potwora. Skrzynie ze skarbami i sztaby złota zanesione zostały na nabrzeże i załadowane na pokłady przycumowanych tam okrętów. Rozdzieliłem je tak, by każdy okręt wiozł przynajmniej jedną skrzynię lub stos sztabek. W ten sposób

znacznie zmniejszone zostało ryzyko utraty całego skarbu wskutek pojedynczego nieszczęścia.

Znacznej części majątku zgromadzonego w świątyni grobowej nie mogliśmy zabrać ze sobą – zostały wszystkie meble i rzeźby, paradne zbroje i skrzynie *uszebti*, no i oczywiście niezgrabny szkielet obdartego ze złota karawanu. Żeby nie dopuścić do tego, by dobra te wpadły w łapy Hyksosów, zebraliśmy je na wielkim stosie na podwórku świątyni, ja zaś osobiście cisnąłem płonąca pochodnię na szczyt tej góry skarbów i przyglądałem się, jak zamieniają się w popiół.

Wszystko to robione było w strasznym pośpiechu. Zanim załadowany został ostatni okręt, czujki na dachu pałacu wykrzyczały ostrzeżenie, że chmury kurzu wzniecane przez hyksoskie rydwany są już widoczne na horyzoncie. Nie minęła godzina, gdy nasze wyczerpane i znużone bitwą wojska, które pod dowództwem Tanusa i Kratasa toczyły długi, ponury bój w tylnej straży, zaczęły wycofywać się do nekropolii i ładować się na czekające na nie łodzie.

Spotkałem Tanusa, gdy wspiał się na nasyp przy kanale na czele oddziału gwardzistów. Jak na razie dzięki odwadze i poświęceniu zdołał ze swymi ludźmi wywalczyć dla nas kilka dodatkowych dni na ukończenie wymarszu. Nic więcej nie byli w stanie zrobić, bo przeciwnik spychał ich teraz w tył.

Gdy zamachałem i krzyknąłem jego imię, Tanus dostrzegł mnie i zawołał ponad głowami tłumu:

- Królowa Lostris i księżę? Przeszli już na pokład „Oddechu Horusa”?

Przepchnąłem się do niego przez ludzką ciżbę.

- Moja pani nie odpłynie, dopóki wszyscy jej poddani nie znajdą się na okrętach. Rozkazała, żebym zabrał cię do niej, gdy tylko tu dotrzesz. Czeka na ciebie w swych apartamentach w pałacu.

- Przeciwnik ostro nas naciska. - W jego spojrzeniu załśniło przerażenie. - Królowa Lostris i księżę są cenniejsi od całej tej hołoty. Dlaczego jej nie zmusiłeś?

- Nie jest damą, którą łatwo do czegoś zmusić - roześmiałem się. - Powinieneś wiedzieć to równie dobrze jak ja. Nie zostawi Hyksosom nikogo ze swych ludzi.

- Niech Seth porazi dumę tej kobiety! Wszyscy przez nią zginiemy. - Jego brutalnym słowom przeczyły duma i podziw malujące się na pokrytej kurzem, ociekającej potem twarzy. - No cóż - uśmiechnął się do mnie - skoro nie chce iść z własnej woli, będziemy musieli po nią pójść.

Przepchnęliśmy się przez długie rzędy ludzi obładowanych tobołkami z dobytkiem i dźwigających niemowlęta. Tłumy ciągnęły do doków, by wejść na pokłady okrętów. Gdy podążaliśmy spiesznie wzdłuż nasypu, Tanus wskazał ponad fortyfikacjami na złowieszcze chmury kurzu, nadciągające z obu stron.

- Przemieszczają się szybciej, niż uważałem to za możliwe. Nie zatrzymali się nawet, by napić konie. Jeżeli nie przyspieszymy zaokrętowania, dopadną nas, gdy połowa

ludzi będzie jeszcze na lądzie - stwierdził posępnie, wskazując na rozciągające się w dole nabrzeże.

Było na tyle wąskie, by tylko dwa okręty mogły przybić do niego jednocześnie. Masy uciekinierów oblepiły nasyp i zapchały bramy doków. Ich łkania i lamenty potęgowały zamieszanie.

- Hyksosi są tutaj! Biegnijcie! Ratuj się, kto może! Hyksosi są tutaj! - wrzasnął nagle ktoś z tyłu kolumny.

Panika ogarnęła tłum, który bezmyślnie runął naprzód. Kobiety wgniatane były w kamienne bramy, dzieci zdeptywane. Wszelki porządek i nadzór zniknęły, przyzwoici i dostojni obywatele oraz zdyscyplinowani żołnierze zamienili się w walczący o przeżycie, zdesperowany motłoch.

Musiałem skorzystać z zaostrej laski, którą miałem przy sobie, by się tamtędy przedostać. Przebijałem się z Tanusem w stronę pałacu. Nareszcie wyrwaliśmy się z tłumy i pobiegliśmy w stronę wrót.

Sale i korytarze były puste, znaleźliśmy tam jedynie szabrowników przeglądających próżne pomieszczenia. Na widok Tanusa wszyscy rzucili się do ucieczki. Przedstawiał sobą zatrważający obraz - wychudzony, pokryty kurzem i znużony bitwą, ze szczęką porośniętą rudawą szczeciną. Wbiegł przede mną do prywatnych apartamentów królowej, jej komnata nie była strzeżona, drzwi stały otworem. Wpadliśmy przez nie do środka.

Moja pani siedziała samotnie na tarasie pod pnącą winoroślą, z księciem Memnonem na kolanach. Pokazywała

mu flotę statków na Nilu poniżej tarasu, oboje zachwycali się tym widowiskiem.

- Popatrz na te śliczne okręty.

Królowa podniosła się z uśmiechem, gdy nas zauważyła, a Memnon zsunął się z jej kolan i podbiegł do Tanusa.

Tanus posadził go sobie na ramieniu, potem zaś wolną ręką objął moją panią.

- Gdzie są twoi niewolnicy? Gdzie Aton i księżę Merseket?
- zapytał.

- Odesłałam ich na okręty.

- Taita mówi, że nie chciałaś tam pójść. Jest na ciebie bardzo rozzłoszczony, i słusznie.

- Wybacz mi, kochany Taito - jej uśmiech potrafił rozjaśnić me życie albo złamać mi serce.

- Proś raczej o wybaczenie króla Salitisa - zasugerowałam oziębłość. - Będzie tu już wkrótce - chwyciłem ją za ramię. - Teraz, skoro ten twój szorstki żołnierz już się zjawiał, może moglibyśmy udać się na nabrzeże?

W pośpiechu zbiegliśmy z tarasu i pomknęliśmy pałacowymi korytarzami. Pozostaliśmy zupełnie sami, nawet szabrownicy i złodzieje zniknęli jak szczury w norach. Jedyłą kompletnie beztroską osobą wśród nas był księżę Memnon. Dla niego była to jeszcze jedna wesoła zabawa. Siedząc okrakiem na ramionach Tanusa, kopał go piętami, pokrzykując „Jazda!”, jak się tego nauczył ode mnie, gdy jeździliśmy na Cierpliwości.

Przebiegliśmy przez pałacowe ogrody do kamiennych schodów wiodących w górę na nasyp. Była to najkrótsza droga do świątynnych doków. Pospieszaliśmy wzdłuż nasypu. Zauważyłem, że okoliczności zmieniły się zasadniczo od czasu, kiedy udaliśmy się do pałacu, by zabrać moją panią i księcia. Droga przed nami była pusta, ostatni uciekinierzy weszli na pokłady okrętów stojących w przystani. Poza kamiennymi murami widziałem maszty przesuwane się kanałem ku otwartej rzece.

Z nagłym skurczem żołądka uświadomiłem sobie, że byliśmy ostatnimi ludźmi pozostającymi na brzegu i żeby dotrzeć do opustoszałej przystani, do pokonania mieliśmy jeszcze spory kawałek drogi. Nasza trójka zatrzymała się, odprowadzając wzrokiem ostatnie odpływające okręty.

- Powiedziałem kapitanowi, że ma poczekać - jęknąłem - lecz kiedy Hyksosi pojawili się tak blisko, miał w głowie tylko swe własne bezpieczeństwo.

- Co możemy teraz zrobić? - wyszeptała moja pani i nawet radosne okrzyki Memnona ucichły.

- Jeśli uda nam się dotrzeć na brzeg, Rem-rem albo Kratas z pewnością nas zauważą i wyślą łódź, by nas zabrała - podsunąłem, a Tanus zgodził się błyskawicznie.

- Tędy! Za mną! - zawołał. - Taito, pilnuj swojej pani.

Chwyciłem ją za rękę, by jej pomóc, ale Lostris była silna i zwinna jak pastuszek, więc z łatwością biegła równo ze mną. Wtedy niespodzianie usłyszałem konie, a potem pisk kół.

Nasze konie zostały wyprowadzone kilka dni wcześniej, więc musiały już dotrzeć pod Elefantynę. Rydwany rozmontowaliśmy i przenieśliśmy na pokłady okrętów. Słyszane przeze mnie rydwany wciąż pozostawały niewidoczne, skryte za nasypem, lecz wiedzieliśmy, do kogo należą.

- Hyksosi! - rzekłem cicho i zatrzymaliśmy się blisko siebie.

- Na pewno jeden z ich czołowych oddziałów zwiadowczych.

- Sądząc z odgłosów, są tam nie więcej niż dwa, trzy rydwany - zgodził się Tanus - ale to starczy. Jesteśmy odcięci.

- Chyba troszeczkę się spóźniliśmy - stwierdziła moja pani ze spokojem, który, jak wiedziałem, był udany, a później spojrzała na Tanusa i na mnie z całkowitą ufnością. - Co teraz proponujecie?

Ta bezczelność mnie zatkała. Nasze kłopotliwe położenie zawdzięczaliśmy wyłącznie jej uporowi. Gdyby ustąpiła moim naleganiom, wszyscy znajdowalibyśmy się teraz na „Oddechu Horusa”, zmierzając do Elefantyny.

Tanus uniósł dłoń, nakazując milczenie, staliśmy więc i przysłuchiwaliśmy się odgłosom wrogich rydwanów jadących ścieżką u stóp nasypu. Im bardziej się zbliżały, tym wyraźniej można było stwierdzić, że jest to jedynie niewielki liczebnie oddział zwiadowców.

Nagle dźwięk obracających się kół ucichł. Usłyszeliśmy prychające i tupiące konie, potem ludzi rozmawiających

w chropawym, gardłowym języku. Byli dokładnie pod nami, więc Tanus znów ostro nakazał milczenie. Książę Memnon nie był przyzwyczajony do powściągliwości ani też do powstrzymywania swych pragnień. On także usłyszał i rozpoznał te odgłosy.

- Konie! - zawołał swym zwykłym piskliwym i dźwięcznym głosem. - Chcę zobaczyć konie!

Momentalnie wybuchło poruszenie. Hyksoskie głosy wykrzykiwały rozkazy, broń zagrzecotała w pochwach. Potem ciężkie kroki załomotały po kamiennych schodach, a wrogowie wpadli pędem na nasyp.

Ich wysokie hełmy wyłoniły się ponad balustradą, potem hyksoscy wojownicy stanęli przed nami w całej okazałości. Było ich razem pięciu, rzucili się na nas z obnażonymi mieczami - wielcy mężczyźni w łuskowych zbrojach, z kolorowymi wstążkami wplecionymi w brody. Jeden z nich przewyższał pozostałych wzrostem. Początkowo go nie rozpoznałem, jako że zapuścił brodę i ozdobił ją wstążkami na hyksoską modłę, a przyłbica jego hełmu skrywała pół twarzy. Wtedy zawołał głosem, którego nigdy nie zapomnę:

- Więc to ty, młody Harrab! Zabiłem starego psa, a teraz zabiję jego szczeniaka!

Powinienem był wiedzieć, że książę Intef zjawi się jako pierwszy, wężąc niczym wygłodniała hiena za skarbem faraona. Musiał pognać przed głównymi siłami Hyksosów, by przed innymi zjawić się w świątyni grobowej. Mimo swej przechwałki nie skoczył na spotkanie Tanusa, lecz

skinieniem ręki ponaglił grupkę hyksoskich wojowników, by załatwili tę sprawę za niego.

Tanus zgarnął księcia Memnona z karku i rzucił go do mnie, jakby był lalką.

- Biegnij! - rozkazał. - Zyskam dla was trochę czasu.

Uderzył na Hyksosów, gdy tłoczyli się jeszcze na schodach, bo nie mieli dość miejsca, by użyć mieczy. Zabił pierwszego czystym pchnięciem w gardło, co zawsze wykonywał z niezrównaną wprawą.

- Nie stój i nie gap się! - krzyknął przez ramię. - Biegnij!

Nie gapiłem się, lecz tuląc dziecko do piersi, uświadomiłem sobie daremność jego polecenia. Tak obciążony nigdy nie dotarłbym do brzegu rzeki.

Wspiąłem się na skraj nasypu i spojrzałem w dół. Dwa hyksoskie rydwany stały bezpośrednio pode mną, konie prychały i tupały w uprzęży. Przytrzymał je tylko jeden człowiek, gdyż jego towarzysze pognali po schodach. Stał przy pyskach zwierząt obu zaprzęgów, całą uwagę poświęcając swoim podopiecznym. Nie zauważył mnie stojącego na nasypie nad jego głową.

Nadal ściskając Memnona, przerzuciłem nogi przez balustradę i odepchnąłem się. Księżę krzyknął ze strachu, gdy runęliśmy w dół. Ze szczytu nasypu do miejsca, w którym stał hyksoski woźnica, były cztery długości człowieka. Z łatwością mogłem złamać sobie nogę podczas tego upadku, ale wylądowałem precyzyjnie na głowie niczego się nie spodziewającego Hyksosa. Uderzenie złamało mu kark; usłyszałem chrzęst kruszonych kręgów

i mężczyzna zwał się pod ciężarem, amortyzując nasz upadek.

Pozbierałem się z ziemi, podczas gdy Memnon wrzeszczał z wściekłości, oburzony tym brutalnym traktowaniem, lecz nie był to jeszcze koniec. Rzuciłem go do wnętrza najbliższego rydwanu i spojrzałem w górę na moją panią. Lostris wyglądała przez balustradę wysoko nade mną.

- Skacz! - zawołałem. - Złapię cię!

Nawet się nie zawahała i przerzuciła ciało przez skraj nasypu tak szybko, że nie byłem jeszcze przygotowany na jej przyjęcie. Zwała się na mnie z zadartymi długimi spódnicami i obnażonymi smukłymi udami. Uderzyła prosto we mnie, wybijając mi powietrze z płuc. Oboje runęliśmy na ziemię.

Podniosłem się ciężko, łapiąc dech szeroko rozwartymi ustami, i pomogłem jej wstać. Bezceremonialnie wepchnąłem ją na pomost rydwanu, a potem krzyknąłem:

- Pilnuj Memnona!

Chwyła go w ostatniej chwili, gdy próbował uciec z wnętrza rydwanu. Nadal ryczał ze złości i przerażenia. Musiałem przegramolić się po nich, by sięgnąć wodzy i zapanować nad końmi.

- Trzymajcie się mocno!

Para koni natychmiast zareagowała na ruch moich dłoni i zręcznie podjechałem pod sam nasyp. Jedno koło podskoczyło na trupie zabitego moim upadkiem człowieka.

- Tanus! - wrzasnąłem. - Tędy!

Wysoko nad nami Tanus wskoczył na balustradę, z łatwością utrzymując tam równowagę, wymieniając pchnięcia i zasłony z grupą Hyksosów, którzy opadli go jak psy zagnanego na drzewo lamparta.

- Skacz, Tanus, skacz! - zawyłem, a on zrobił krok za skraj kamiennej ściany i opadł w dół. Płaszcz rozdał się wokół jego ramion i głowy, a potem Tanus wylądował okrakiem na grzbiecie prawego konia. Miecz wyskoczył mu z dłoni i zadźwięczał na zbitej ziemi, a Tanus obiema rękoma objął zwierzę za szyję.

- Jazda! - zawołałem na konie, uderzając końcem lejców w ich zady.

Zwierzęta zerwały się do galopu. Poprowadziłem je ścieżką na otwartą przestrzeń ciągnącą się aż do samej rzeki. Na środku Nilu widziałem żagle naszej floty, rozpoznawałem nawet proporzec „Oddechu Horusa” powiewający wśród lasu masztów. Od brzegu dzieliło nas pół mili, obejrzałem się więc przez ramię.

Księżę Intef i jego ludzie zbiegli pospiesznie po schodach. Na moich oczach wskoczyli do drugiego rydwanu. Skląłem się w myślach za to, że go nie unieruchomiłem. Przecięcie uprzęży i przegnanie koni zajęłoby zaledwie chwilę, lecz ogarnął mnie strach i pragnąłem jedynie wydostać stamtąd moją panią i księcia.

Teraz księżę Intef gnał za nami. Jego rydwan nie pokonał nawet stu kroków, gdy spostrzegłem, że porusza się szybciej od naszego. Ciężar Tanusa na grzbiecie prawego konia przeszkadzał zwierzęciu w galopowaniu; był on

ciężkim mężczyzną, a do tego wciąż trzymał się kurczowo szyi wierzchowca obiema rękami. Najwyraźniej był przerażony. Wtedy chyba pierwszy raz widziałem go w okowach lęku. Widziałem, jak stał nieugięcie, strzelając z łuku do szarżującego lwa, lecz konie budziły w nim strach.

Staralem się nie zwracać uwagi na ścigający nas rydwan, wzrok utkwilem przed siebie i, przywołując wszystkie świeżo nabyte umiejętności, skupilem się na wyprowadzeniu pojazdu na otwarte pole, by labiryntem kanałów irygacyjnych i rowów dotrzeć ku brzegowi Nilu. W porównaniu z rydwanem Taity hyksoski rydwan był masywny i trudny do prowadzenia. Pełne drewniane koła z osadzonymi przy obręczy rozmigotanymi, wirującymi ostrzami zapadały się głęboko w gliniastą ziemię zaoranego pola, obciążał nas także brązowy pancerz i ozdoby na przodzie i burtach. Konie musiały być zgonione, zanim przejąłem nad nimi kontrolę. Pokryte były potem, a biała piana skapywała im z pysków.

Nie przemierzyliśmy nawet połowy dzielącej nas od rzeki odległości, gdy usłyszałem okrzyki doganiającego nas hyksoskiego woźnicy i łomot kopyt. Obejrzałem się i ujrzałem rydwan o trzy długości za nami. Woźnica okładał konie batem o zawiązanych w węzły skórzanych rzemieniach i pokrzykiwał na nie w swym wstrętnym, prostackim języku. Obok niego w napięciu wychylał się z rydwanu książę Intef. Jego przepleciona wstążkami broda

trzepotała po obu stronach szczęki, przystojną twarz rozjaśniało uniesienie myśliwego.

Zawołał do mnie, a jego głos przedarł się przez odgłosy wydawane przez dwa ciężko pracujące zaprzęgi:

- Taito, milutki, kochasz mnie nadal? Chcę, żebyś tego dowiedział raz jeszcze, zanim skonasz - zaśmiał się. - Uklęknieś przede mną i umrzesz z pełnymi ustami.

Dreszcze przebiegły mi po grzbiecie z przerażenia, jakie niósł ze sobą wywołany jego słowami obraz.

Przed nami biegł kanał nawadniający, skręciłem więc, by jechać wzdłuż niego, jako że jego zbocza były wysokie i strome. Hyksoski rydwan podążył za nami, zbliżając się z każdym obrotem kół.

- Co do ciebie, moja śliczna córko, oddam cię do zabawy hyksoskim żołnierzom. Nauczą cię paru sztuczek, jakich Harrab zapomniał ci pokazać. Nie potrzebuję cię, skoro mam twojego bachora.

Królowa Lostris przycisnęła księcia mocniej do piersi, jej twarz pobladła i napięła się.

Natychmiast przejrzałem zamiary księcia Intefa. Dziecko królewskiej krwi egipskiej nawet jako hyksoski satrapa wzbudzałoby wierność całego naszego narodu. Księżę Memnon byłby marionetką, za pomocą której król Salitis i księżę Intef zamierzali władać obu królestwami. To odwieczna i skuteczna metoda stosowana przez najeźdźców wszelkiej maści. Zmusiłem konie do najwyższego wysiłku, lecz zwierzęta męczyły się i zwalniały, a księżę Intef

doganiał nas tak szybko, że nie musiał już krzyczeć, byśmy go słyszeli.

- Księżę Harrab to długo odkładana przyjemność.

Zastanawiam się, co powinniśmy z tobą uczynić? Najpierw razem popatrzymy sobie, jak żołnierze zabawiają się z moją córką...

Próbowałem zmusić się do niesłuchania tych świństw, lecz jego głos przenikał wszystko.

Nadal patrzyłem przed siebie, skupiając uwagę na nierównym, niebezpiecznym gruncie, lecz kątem oka dostrzegłem głowy hyksoskich koni równające się z naszym pojazdem. Gdy gnały tak w pełnym galopie obok nas, ich grzywy rozwiewał wiatr, a w oczach lśnił obłęd.

Obejrzałem się. Krzepki hyksoski łucznik na pomoście za plecami Intefa nałożył strzałę na cięciwę krótkiego łuku refleksyjnego. Odległość była tak niewielka, że z nawet podskakującej i skaczącej na boki platformy nie mógł chybić.

Tanus był wyłączony z walki. Upuścił swój miecz i trzymał się szyi konia biegnącego po przeciwnej stronie niż wyprzedzający nas rydwan. Ja miałem jedynie swój sztylecik, a królowa Lostris padła na kolana, starając się osłonić księcia własnym ciałem.

Dopiero wówczas uświadomiłem sobie błąd, jaki popełnił hyksoski woźnica. Wepchnął swój zaprzęg między nas a głęboki rów irygacyjny. Nie zostawił sobie pola manewru.

Łucznik podniósł łuk i przyciągnął lotki strzały do piersi. Celował we mnie. Spoglądałem w jego oczy ponad zębatym

krzemieniem grotu. Jego brwi były czarne, gęste i krzaczaste, oczy ciemne i nieubłagane niczym spojrzenie jaszczurki. Hyksoskie konie biegły równoległe z piastą mego lewego koła, zebrałem więc wodze i skręciłem ku nim. Błyszczące brązowe noże, sterczące z obręczy, zafurczały cicho, kierując się ku nogom koni.

Hyksoski woźnica zakrzyknął osłupiały, gdy zrozumiał swój błąd. Jego zwierzęta uwięzione zostały między rowem a nożami. Ostrza były nie dalej jak o dłoń od napiętek wielkiego, gniadego ogiera biegnącego najbliżej mnie.

W tym samym momencie hyksoski łucznik wypuścił strzałę, lecz nagły skręt zmylił i jego. Strzała zdawała się lecieć całkiem powoli ku mojej głowie, ale było to jedynie złudzenie wywołane przerażeniem. W rzeczywistości przemknęła mi nad ramieniem jak promień słońca, krzemienista krawędź musnęła ucho i kropla krwi skapnęła z rozciętej skóry na pierś.

Woźnica spróbował pokrzyżować me plany, skręcając w bok, lecz prawe koło jego pojazdu toczyło się teraz po krawędzi kanału irygacyjnego. Ziemia kruszyła się pod okutą brązem obręczą, a i rydwan zataczał się i huśtał na skraju rowu.

Ściągnąłem konie i skręciłem ponownie, spychając je na sąsiedni wóz. Ostrza na kole uderzyły w nogi najbliższego konia i biedne stworzenie zarżało z bólu. Ujrzałem kawałki skóry i sierści pryskające w powietrze ponad burtą mojego rydwanu, zamknąłem uszy na bolesne rżenie i jeszcze raz rzuciłem pojazd w bok. Tym razem z okaleczonych nóg

poleciała kaszka krwi i kości, koń runął na ziemię, wierzgając, pociągając za sobą swego towarzysza z zaprzęgu. Hyksoski rydwan wyskoczył ponad krawędź kanału. Zobaczyłem dwóch ludzi wylatujących wysoko w powietrze. Woźnica znalazł się pod pojazdem i został zgnieciony przez przewróconą platformę i ciężkie, obracające się jeszcze koła.

Nasz pojazd pędził teraz niebezpiecznie blisko krawędzi rowu, lecz zdołałem przyhamować konie i ponownie nad nimi zapanować.

- Stój!

Zwolniłem i obróciłem się, by spojrzeć za siebie. Chmura kurzu wisiała nad kanałem, w którym zniknął hyksoski rydwan. Sprowadziłem mój zaprzęg do kłusu. Brzeg rzeki znajdował się dwieście kroków dalej i nic nie zagradzało nam drogi do bezpieczeństwa.

Rzuciłem za siebie ostatnie spojrzenie. Hyksoski łucznik, który posłał we mnie strzałę, został skrecony i połamany tam, gdzie upadł. Książę Intef leżał nieco dalej od kanału. Sądzę, że pozostawiłbym go tam, gdyby się nie poruszył, lecz w tejże chwili usiadł i dźwignął się niepewnie na nogi.

Cała moja nienawiść powróciła nagle z taką mocą i wyrazistością, że mój umysł zawrzał. Zrobiło mi się ciemno przed oczyma, zupełnie jakby pękła żyła w głębi głowy, i mój wzrok przesłoniła czerwona zasłona krwi. Dziki, bezsensowny okrzyk wyrwał mi się z gardła i zakręciłem końmi w ciasnym łuku, ruszając z powrotem w stronę nasypu.

Książę Intef stał dokładnie na mej drodze. Podczas upadku stracił hełm i broń, robił wrażenie oszołomionego, gdyż chwiał się na nogach. Raz jeszcze przynagliłem konie do galopu i ciężkie koła potoczyły się z łoskotem po ziemi. Skierowałem rydwan prosto na niego. Brodę miał w nieładzie, zaplecione w niej wstążki pokrywał kurz. Jego spojrzenie było puste i półprzytomne, lecz gdy zwróciłem konie w jego stronę, nagle rozjaśniło się i poderwał głowę.

- Nie! - krzyknął i zaczął się cofać, wyciągając ku mnie ręce, jakby chciał zasłonić się przed masywnym pojazdem i gnającymi końmi.

Mierzyłem prosto w niego, lecz w ostatniej chwili mroczni bogowie ochronili go ostatni raz. Gdy byłem tuż przed nim, rzucił się w bok. Widziałem, jak się zataczał, sądziłem więc, że był osłabiony i bezradny. Ale nie. Pozostał szybki i zwinny jak ścigany przez psy szakal. Rydwan był ciężki i trudny w prowadzeniu, więc nie zdołałem skrócić nim dość prędko, by podążyć w ślad za jego unikami i odskokami.

Chybiłem i pojechałem dalej. Mocowałem się z lejcami, lecz konie poniosły jeszcze dalsze sto kroków, zanim zdołałem je opanować i raz jeszcze zawrócić ciężki pojazd. Gdy to uczyniłem, Intef pędził już, by skryć się w kanale. Gdyby tam dotarł, byłby bezpieczny - pojmovalbym to dobrze. Zakląłem siarczyście, gnając zaprzęg w ślad za nim.

Wtedy to jego bogowie ostatecznie go opuścili. Był już prawie w kanale, lecz oglądał się na mnie przez ramię i nie patrzył, gdzie stawia stopy. Wbiegł na skrawek ziemi usiany

twardymi jak skała grudami gliny i wykręcił sobie kostkę. Upadł ciężko, lecz sprawnie przetoczył się na nogi jak akrobata. Spróbował pobiec dalej, ale ból w kostce go zatrzymał. Pokuśtykał parę kroków, a potem zaczął skakać na jednej nodze w stronę kanału.

- Wreszcie jesteś mój! - krzyknąłem, on zaś obrócił się, by na mnie spojrzeć, balansując na jednej nodze.

Prowadziłem rydwan wprost na niego. Poblądł, lecz lamparcie oczy paliły mnie pełnią zawziętości i nienawiści, jaką skrywała jego okrutna i pokrętna dusza.

- To mój ojciec! - zawołała moja pani u mego boku, przyciskając twarz księcia do swego łona, tak by tego nie widział.

- Zostaw go, Taito. To moja krew.

Nigdy dotąd nie ośmieliłem się jej nie posłuchać, ten raz był pierwszy. Nie uczyniłem niczego, by powstrzymać konie, lecz odwzajemniłem spojrzenie księcia Intefa, choć raz bez bojaźni.

Koniec końców o mało co, a znowu by mnie oszukał. Rzucił się w bok i tak wielka była jego zręczność i siła, że skretem ciała usunął się z drogi przed rydwanem i jego kołami, lecz nie zdołał całkowicie uniknąć noży na kole. Jedno z wirujących ostrzy zahaczyło o łuskowe ogniwa kolczugi. Czubek noża przebił zbroję i zagłębił się w brzuchu. Ostrze obracało się, jelita zostały wyszarpane na zewnątrz i zaczęły nawijać się na nóż. Wnętrznosci wychodziły jak gdyby Intef był jednym z wielkich,

błękitnych rzecznych okoni patroszonych przez rybaczkę na targowisku.

Powlekliśmy go za sobą na śliskim sznurze jego własnych jelit i z wolna zaczął pozostawać w tyle, w miarę jak coraz więcej zwojów wysuwało się z otwartej jamy brzusznej. Ścisnął je obiema rękami, lecz one prześlizgiwały mu się między palcami niczym groteskowa pępowina łącząca go z obracającym się kołem rydwanu.

Takich wrzasków nie chciałem już nigdy usłyszeć. Ich echo wciąż jeszcze nawiedza mnie w koszmarnych snach. Udało mu się więc po raz ostatni naznaczyć mnie piętnem swego okrucieństwa. Nigdy nie zdołałem o nim zapomnieć, choć niezwykle bym tego pragnął.

Gdy wreszcie ta makabryczna lina, na której wleczony był po czarnej ziemi, zerwała się, znieruchomiał pośrodku pola. Krzyki ucichły nareszcie i zamarł w bezruchu.

Zatrzymałem konie, Tanus ześlizgnął się z grzbietu swego wierzchowca i podszedł do rydwanu. Zestawił z niego moją panią i księcia, po czym przycisnął ich do piersi. Moja pani szlochała.

- Och, to było straszne! Bez względu na to, co nam uczynił, był moim ojcem.

- Już dobrze - Tanus przytulił ją. - Już po wszystkim.

Księżę Memnon spoglądał ponad ramieniem swej matki na rozciągniętą na ziemi postać swego dziadka z fascynacją, z którą dzieci podchodzą do rzeczy makabrycznych. Niespodzianie zapiszczał swym dźwięcznym sopranem:

- To był zły człowiek.
- Tak - zgodziłem się cicho - to był bardzo zły człowiek.
- Czy ten zły człowiek już nie żyje?
- Tak, Mem, nie żyje. Teraz możemy wszyscy spokojniej spać w nocy.

Musiałem ostro pognać konie wzdłuż brzegu, by dogonić naszą odpływającą flotyllę, lecz w końcu zrównałem się z okrętem Kratasa, on zaś rozpoznał nas w tym niezwykłym pojeździe. Nawet ponad szerokim pasem wody jego zdumienie było doskonale widoczne. Później powiedział mi, że sądził, iż znajdowaliśmy się z dala od niebezpieczeństwa na pokładzie któregoś z czołowych okrętów flotylli.

Przed porzuceniem rydwanu uwolniłem konie. Potem przeszliśmy przez mieliznę na spotkanie łódki, którą wysłał po nas Kratas.

Hyksosi nie zamierzali pozwolić nam wymknąć się tak łatwo. Dzień po dniu ich rydwany ścigały naszą uciekającą na południe flotyllę oboma brzegami Nilu.

Za każdym razem, gdy spoglądaliśmy za rufę „Oddechu Horusa”, widzieliśmy kurz otaczający podążające za nami kolumny nieprzyjaciela. Bardzo często pył mieszał się z ciemniejszymi chmurami dymu wzbijającymi się nad miasteczkami i wioskami palonymi przez Hyksosów po splądrowaniu. Gdy mijaliśmy każde kolejne egipskie miasto, wypływała z niego chmara małych statków, by dołączyć do floty, tak że z każdym dniem nasza armada rosła w siłę.

Zdarzało się, że gdy wiatry były nieprzychylne, kolumny rydwanów doganiały okręty. Wtedy widzieliśmy oddziały Hyksosów błyszczące na brzegu po obu stronach rzeki, słyszeliśmy niosące się po wodzie ich chamskie, lecz próżne szyderstwa i wyzwiska. Odwieczna matka-rzeka otaczała nas swą opieką, jak to czyniła od stuleci, toteż Hyksosi nie mogli nas osiągnąć przez wodę. Potem wiatr zmieniał się na powrót na północny i ponownie ich wyprzedzaliśmy, a chmury pyłu wycofywały się na horyzont.

- Ich konie nie zdołają dłużej utrzymywać takiego tempa pościgu - oznajmiłem Tanusowi porankiem dwunastego dnia.

- Nie bądź tego taki pewien. Salitis ma zachętę w postaci prawnego dziedzica podwójnej korony i skarbu faraona Mamose - odparł Tanus. - Złoto i władza w cudowny sposób umacniają człowiecze postanowienia. Jeszcze nie skończyliśmy z tym barbarzyńcą.

Następnego ranka wiatr zmienił się znowu i rydwany kolejny raz nas dogoniły, powoli wyprzedzając czołowe okręty flotylli w chwili, gdy zbliżaliśmy się do Wrót Hapi, pierwszej z granitowych zapór ograniczających koryto rzeki poniżej Elefantyny. Między nimi Nil zwęzał się do mniej niż czterystu kroków, a czarne granitowe ściany strzelały ku górze nieomal pionowo po obu stronach. Gdy rzeka przeciskała się, wirując, przez Wrota Hapi, mieliśmy przeciwko sobie całą siłę prądu, więc nasza szybkość zmalała stopniowo do zera. Tanus posłał świeżych ludzi na ławki wiosłarzy.

- Chyba masz rację, Taito. Tutaj na nas zaczekają - rzekł do mnie ponuro, a zaraz potem wskazał przed siebie. - Oto i oni.

Prowadzący flotę „Oddech Horusa” wchodził właśnie we wrota, musieliśmy więc zadzierać głowy, by przyjrzeć się urwistym ścianom. Postaci hyksoskich łuczników na kamiennych półkach zniekształcane były kątem, pod jakim na nie spoglądaliśmy, i przypominały groteskowe karły.

- Z takiej wysokości mogą bez problemów strzelać z jednego brzegu na drugi - mruknął Tanus. - Przez większość dnia będziemy łatwym celem. Będzie nam ciężko, a zwłaszcza kobietom i dzieciom.

Było jeszcze gorzej, niż oczekiwał Tanus. Pierwsza strzała, wystrzelona na naszą łódź ze skarpy, pociągnęła za sobą smugę dymu przez błękitne sklepienie niebios, opadając łukiem w dół i uderzając w wodę zaledwie o łokieć przed dziobem naszego okrętu.

- Ogniste strzały - Tanus skinął głową. - Raz jeszcze miałeś rację, Taito. Ci barbarzyńcy szybko się uczą.

- Nauczenie mały nowych sztuczek nie jest rzeczą trudną.

Nienawidziłem Hyksosów tak jak wszyscy ludzie we flocie.

- Przekonajmy się, czy te twoje miechy potrafią wpompować wodę do okrętu równie dobrze, jak ją wypompowują - powiedział Tanus.

Przewidywałem atak z użyciem ognia, więc przez ostatnie cztery dni pracowałem nad tymi okrętami, które Tanus

wyposażył w zaprojektowane przeze mnie pompy. Gdy teraz jego statki podchodziły do nas jeden po drugim, Tanus nakazywał kapitanowi opuszczenie żagli, a my przepompowywaliśmy wodę na pokłady i zlewaliśmy nią takielunek. Napełnione skórzane wiadra rozstawialiśmy na pokładach, potem zaś statek pod eskortą jednego z okrętów wchodził w granitową gardziel rzeki i deszcz ognistych strzał Hyksosów.

Przeprowadzenie całej flotylli zajęło nam dwa pełne dni, gdyż urwiska osłaniały nas przed wiatrem. W przejściu było gorąco i bezwietrznie, więc każdy statek musiał całą drogę pod prąd pokonać na wiosłach. Strzały spadały na nas i kreśląc piękne parabole, uderzały o maszty i pokłady. Każda z nich wzniecała płomienie, które trzeba było gasić ogromną liczbą wiader lub skórzanymi węzami pomp eskortującego okrętu. Nie mieliśmy jak odpowiedzieć na ten atak, bo hyksoscy łucznicy znajdowali się wysoko na stokach, znacznie poza zasięgiem naszych nie tak potężnych łuków. Gdy Rem-rem powiódł oddział desantowy na brzeg, by wyprzeć ich ze stanowisk, zasypali jego ludzi strzałami i spędzili z powrotem do łodzi, zadawszy ciężkie straty.

Statki, które się przebiły, były poznaczone czarnymi, wypalonymi plamami. Wiele innych nie miało tyle szczęścia. Płomienie na ich pokładach okazały się silniejsze niż wiadra i pompy i zniszczyły je doszczętnie. Trzeba było je porzucić, pozwolić im dryfować z prądem, co wywoływało istne piekło wśród reszty podchodzącej do przesmyku floty.

W większości przypadków udawało się nam przejąć załogi i pasażerów, zanim pożar wymykał się spod kontroli, lecz niekiedy było na to za późno. Krzyki kobiet i dzieci w objęciach płomieni ścinały mi krew w żyłach. Na zawsze pozostanie mi z owego strasznego dnia obraz młodej kobiety skaczącej z pokładu płonącej barki z wieńcem płomieni we włosach jak ślubnym wiankiem wokół głowy.

We Wrotach Hapi straciliśmy przeszło pięćdziesiąt statków. Gdy ruszyliśmy ponownie ku Elefantynie, żałobne flagi powiewały nad wszystkimi okrętami, lecz przynajmniej Hyksosi wyczerpali siły swoje i swoich koni w długim pościgu na południe. Tumany kurzu nie plamiły już nieba na północy, zyskaliśmy nieco spokoju na opłakiwanie zabitych i naprawę okrętów.

Nikt z nas nie łudził się jednak, że zrezygnowali całkowicie. Koniec końców ulec musieli wszechpotężnemu urokowi skarbu faraona.

Uwięzieni na pokładzie łodzi, księżę Memnon i ja spędzaliśmy razem wiele czasu, siedząc pod baldachimem na rufie. Tam księżę przysłuchiwał się namiętnie moim opowieściom albo przyglądał się, jak projektuję i strugam dla naszej armii pierwszy model nowego łuku opartego na hyksoskiej broni refleksyjnej. Do tego czasu nauczył się już starego chwytu zadawania pytań w celu zwrócenia na siebie uwagi.

- Co robisz, Taito?
- Nowy łuk.
- Ale dlaczego?

- Dobrze, zaraz ci wyjaśnię. Nasze łuki o jednej krzywiznie, oprócz tego, że brak im podobnej mocy i donośności, są zbyt długie, by móc używać ich z rydwanu.

- Memnon słuchał z poważną miną. Nawet gdy był jeszcze niemowlęciem, starałem się w kontaktach z nim unikać dzieciennego gaworzenia i zawsze zwracałem się do niego jak do równego sobie. Jeżeli nawet czasami nie rozumiał, o czym mówię, to przynajmniej zadowolony był z dźwięku mego głosu. - Jestem teraz całkowicie przekonany, że nasza przyszłość opiera się na koniu i rydwanie. Pewien jestem, że Wasza Królewska Wysokość podziela moją opinię - spojrzałem na niego. - Ty też kochasz konie, prawda, Mem?

To akurat rozumiał doskonale.

- Kocham konie, zwłaszcza Cierpliwość i Klingę - przytaknął energicznie.

Zapełniłem już trzy zwoje rozważaniami i diagramami przedstawiającymi moje koncepcje wykorzystania tych zdobyczy militarnych z największą dla nas korzyścią. Żałowałem, że nie mogę przedyskutować ich szczegółowo z Tanusem, lecz zainteresowanie Wielkiego Lwa Egiptu końskimi sprawami było wymuszone i powierzchowne.

- Buduj te cholerstwa, skoro musisz, lecz przestań o nich gadać - powiedział mi.

Książę był o wiele lepszym słuchaczem i podczas pracy wiedliśmy długie dyskusje, które miały przynieść plon dopiero znacznie później. Jeśli chodzi o towarzystwo, Memnon zawsze wybierał Tanusa, ale ja nie znajdowałem

się daleko w kolejce do jego uczuć i spędzaliśmy razem długie, szczęśliwe godziny.

Od samego początku był niezwykle inteligentnym i nad wiek dojrzałym dzieckiem, a pod moim wpływem rozwijał te dary szybciej od wszystkich innych uczniów, jakich mi dotąd powierzano. Nawet moja pani w tym samym wieku nie była równie pojętna.

Zrobiłem dla Memnona łuk-zabawkę według wzoru, nad którym pracowałem, a on opanował posługiwanie się nim prawie natychmiast i wkrótce, ku poruszeniu niewolnic i piastunek, które stanowiły zwykle jego cel, potrafił posyłać swe maleńkie strzały przez całą długość okrętu. Żadna nie ośmielała się schylić, gdy księżę był uzbrojony, gdyż rzadko chybiał, strzelając w nęcącą parę żeńskich pośladków z poniżej dwudziestu kroków.

Po łuku jego ulubioną zabawką był miniaturowy rydwan z końmi, jakie dla niego wyrzeźbiłem. Wystrugałem nawet drobną figurkę woźnicy, którą umieszczać było można na rydwanie, oraz zrobiłem lejce do powożenia zaprzęgiem. Księżę bezzwłocznie nazwał lalkę Mem, konie zaś ochrzcił mianem Cierpliwości i Klingi. Nieznużenie czołgał się po pokładzie tam i z powrotem, popychając przed sobą rydwan i wydając odpowiednie końskie dźwięki lub okrzyki: „Jazda!” i „Stać!”.

Jak na tak małego chłopca doskonale zdawał sobie sprawę ze swego otoczenia. Jego błyszczące ciemne oczy zauważały prawie wszystko, co działo się wokół niego. Nie zdziwiłem się więc, gdy to on jako pierwszy z całej załogi

„Oddechu Horusa” spostrzegł dziwną postać daleko przed nami na prawym brzegu rzeki.

- Konie! -zawołał, a po chwili dodał: - Patrzcie, patrzcie! To Hui!

Przybiegłem na dziób i stanąłem obok niego. Poczułem uniesienie, gdy przekonałem się, że miał rację. Był to Hui na grzbiecie Klingi, gnający nam na spotkanie pełnym galopem wzdłuż brzegu.

- Hui przeprowadził konie do Elefantyny. Wybaczam mu wszystkie jego grzechy i głupstwa. Hui uratował moje konie.

- Jestem dumny z Huiego - stwierdził poważnie ksiązę, tak idealnie naśladowując mój sposób mówienia, że moja pani i wszyscy wokół nas wybuchnęli śmiechem.

Gdy dotarliśmy do Elefantyny, mogliśmy wreszcie odetchnąć. Tak wiele dni nie widzieliśmy żadnego śladu ścigających nas rydwanów, że nowy optymizm ogarnął flotę i miasto. Ludzie zaczęli mówić o zaniechaniu ucieczki na południe i o pozostaniu tutaj, poniżej katarakt, by stworzyć nową armię dla dania odporu nieprzyjacielowi.

Nigdy nie pozwoliłem mojej pani ulec temu nastrojowi nowej pewności siebie, zakorzenionemu w jakże płytkiej glebie. Przekonałem ją, że wizja Labiryntów ukazała nam właściwą drogę i że nasze przeznaczenie wciąż oczekiwało nas na południu. W tym czasie uporczywie kontynuowałem przygotowania do wyprawy. Sądzę, iż zawładnął mną urok przygody samej w sobie, nie zaś konieczność ucieczki przed Hyksosami.

Chciałem przekonać się, co leżało za kataraktami, toteż nocą, po dniu wypełnionym pracą w dokach, przesiadywałem do późna w pałacowej bibliotece, czytając relacje ludzi, którzy przed nami zrobili pierwszy krok w nieznanie.

Pisali oni, że rzeka nie ma końca, że biegnie aż do samego kresu świata. Pisali, że za pierwszą kataraktą znajduje się następna, jeszcze potężniejsza, której nie zdołał nigdy pokonać żaden człowiek ani okręt. Mówili, że podróż od pierwszej do drugiej katarakty zajmuje cały rok, a rzeka ciągnie się jeszcze dalej.

Chciałem to zobaczyć. Najbardziej pragnąłem ujrzeć miejsce, gdzie rodziła się ta wielka rzeka, która jest naszym życiem.

Gdy w końcu zasypiałem nad zwojami przy świetle lampy, we śnie ponownie przeżywałem wizję witającego nas bóstwa usadowionego na szczycie góry i widziałem bliźniacze strumienie wody tryskające z obszernej pochwy. Chociaż spałem niewiele, budziłem się o świcie wypoczęty i podniecony, po czym pędziłem z powrotem do doków, by prowadzić dalej przygotowania do podróży.

Na szczęście większość lin dla naszej żeglugi skręcana i splatana była właśnie w żeglarskich warsztatach Elefantyny. Tak oto miałem do dyspozycji wybór najlepszych lnianych sznurów. Niektóre były cienkie jak palec, inne grube jak moje udo. Wypełniłem nimi całą przestrzeń w ładowniach okrętów jeszcze niezajętą zapasami.

Wiedziałem po prostu, jak rozpaczliwie będziemy ich potrzebować, gdy dotrzemy do katarakt.

Nic dziwnego, że tu, w Elefantynie, ujawnili się wśród nas ludzie o słabych sercach i pozbawieni stanowczości. Trudy ucieczki z Teb przekonały wielu, że łaska i miłosierdzie Hyksosów lepsze były od kontynuowania podróży na rozpalone pustynie południa, gdzie oczekiwały jeszcze dziksze ludy i bestie.

Gdy Tanus dowiedział się, że tak wiele tysięcy obywateli skłonnych było porzucić naszą flotę, zaryczał:

- Przekłęci zdrajcy i renegaci! Wiem, co z nimi zrobić!

Chciał posłać przeciw nim wojsko i zapędzić ich na powrót na pokłady statków.

Początkowo moja pani popierała ten zamiar. Jej motywami były z gruntu odmienne. Zależało jej wyłącznie na poddanych i na wypełnieniu swej przysięgi, że nikogo nie porzuci na pastwę Hyksosów.

Musiałem pół nocy spędzić na dyskusji, zanim zdołałem ich przekonać, że bez niechętnych wędrowców będziemy w lepszej sytuacji. W końcu królowa Lostris wydała dekret głoszący, że każdy, kto pragnie pozostać w Elefantynie, może tak postąpić, lecz do tego obwieszczenia dodała parę zgrabnych zdań od siebie. Tekst ten odczytany został na wszystkich ulicach miasta i w przystani, gdzie cumowały nasze statki.

Ja, Królowa Lostris, regentka Egiptu, matka Księcia Memnona, dziedzica podwójnej korony dwóch królestw, składam ludowi tego kraju uroczystą obietnicę.

Przysięgam w obliczu bogów, wzywając ich na świadków. Przysięgam wam, że gdy książę osiągnie pełnoletność, powrócę wraz z nim do tego miasta Elefantyny, by wynieść go tutaj na tron Egiptu i umieścić na jego skroniach podwójną koronę, tak by mógł zniszczyć ciemężycieli i władać wami sprawiedliwie i miłosiernie przez wszystkie dni swego żywota.

Tak przemawiam ja, Królowa Lostris, regentka Egiptu.

Ten uczynek i to obwieszczenie po stokroć zwiększyły miłość i wierność, jaką pospólstwo darzyło moją panią i księcia. Wątpię, czy w całej naszej historii znalazłby się władca równie uwielbiany jak ona.

Gdy sporządzone zostały spisy tych, którzy mieli wyruszyć z nami za katarakty, nie zaskoczyło mnie to, że byli wśród nich przeważnie ci, których wierność i umiejętności najbardziej sobie ceniliśmy. Tych, którzy pragnęli pozostać w Elefantynie, pozbywaliśmy się z największą chęcią - była wśród nich większość duchowieństwa.

Czas miał wszakże pokazać, że ci, którzy zostali w Elefantynie, również wielce nam się przysłużyli. Podczas długich lat wychodźstwa podtrzymywali w sercach ludu płomień, pamięć o księciu Memnonie i złożonej im przez królową Lostris obietnicy powrotu.

Stopniowo przez wszystkie te długie i gorzkie lata hyksoskiej tyranii legenda o powrocie księcia rozniosła się po obu królestwach. W końcu cały lud Egiptu, od pierwszej katarakty do siedmiu ujść Nilu w wielkiej Delcie, wierzył

w jego przybycie i modlił się do bogów o nadejście tego dnia.

Hui trzymał moje konie na polach zachodniego brzegu za pomarańczowymi nadrzeczными wydłmami. Księżę i ja odwiedzaliśmy je co dzień i choć Memnon stawał się coraz cięższy, jeździł na moim ramieniu, by lepiej widzieć stado.

Memnon znał już wszystkich swoich ulubieńców po imieniu, a Cierpliwość i Klinga, gdy tylko je zawołał, przybiegały, by jeść zbożowe placki z jego ręki. Kiedy pierwszy raz jechał na grzbiecie Cierpliwości bez pomocy podtrzymującej go mojej dłoni, obchodziła się z nim tak łagodnie jak z własnym źrebakiem, a księżę krzyczał głośno z podniecenia wywołanego tą samodzielną galopadą po polu.

Hui wiele się nauczył o zarządzaniu stadem w marszu i korzystając z tej wiedzy, zaplanowaliśmy ze szczegółami sposób opieki o konie podczas kolejnego etapu naszej wędrówki. Wyjaśniłem też mu rolę, jaką zwierzęta powinny odegrać podczas przeprawy przez katarakty, po czym zmusiłem jego woźniców i koniuchów do ćwiczeń w splataniu i rozdzielaniu uprzęży.

Przy pierwszej sposobności Tanus i ja udaliśmy się w górę rzeki, by dokonać oględzin katarakty. Woda była tak niska, że wyłoniły się wszystkie wysepki. Kanały między nimi zrobiły się do tego stopnia płytkie, iż miejscami można było przejść je w bród, nie zamaczając głowy.

Katarakty ciągnęły się rozległym labiryntem wygładzonych przez wodę granitowych głazów i wężowych

strumieni, wijących się i płaczących między nimi. Nawet ja zbity byłem z tropu i zniechęcony oczekującym nas zadaniem, lecz Tanus wypowiadał się ze zwykłą brutalną bezpośredniością.

- Nie dasz rady przepchnąć tędy łodzi, nie niszcząc dna. Co zrobisz z ciężko wyładowanym okrętem? Przeniesiesz go na grzbiecie jednego z tych twoich przeklętych koni? - roześmiał się bez śladu wesołości.

Ruszyliśmy w drogę powrotną do Elefantyny, ale zanim dotarliśmy do miasta, podjąłem decyzję, że jedyną metodą będzie porzucenie okrętów i przemarsz na piechotę. Trudy, jakie miały się z tym wiązać, były prawie niewyobrażalne. Zakładałem jednak, że zdołamy odbudować flotyllę na brzegach rzeki ponad kataraktą.

Gdy powróciliśmy do pałacu w Elefantynie, bezzwłocznie udaliśmy się z Tanusem do sali audiencyjnej, by złożyć raport królowej Lostris. Wysłuchała wszystkiego, co mieliśmy do powiedzenia, a potem pokręciła głową.

- Nie mogę uwierzyć, by bóstwo opuściło nas tak szybko.

Powiodła nas i cały dwór do świątyni Hapi na południowym skraju wyspy.

Złożyła hojną ofiarę i tej nocy modliliśmy się, błagając Hapi o poradę. Nie wierzę, by przychylność bogów zaskarbić sobie można było, podrzynając gardła kilku kozom i składając kiście winogron na kamiennym ołtarzu, lecz modliłem się z zapalem godnym arcykapłana, chociaż o świcie pośladki bolały mnie fatalnie po długim czuwaniu na kamiennych ławach.

Gdy tylko promienie wschodzącego słońca wpadły przez wrota sanktuarium i rozświetliły ołtarz, moja pani posłała mnie w dół szybu nilometru. Zanim zszedłem na najniższy stopień, znalazłem się po kostki w wodzie.

Hapi wysłuchało naszych modlitw. Choć było o kilka tygodni za wcześnie, Nil począł przybierać.

Zaraz następnego dnia po rozpoczęciu się wylewu jedna z szybkich łodzi zwiadowczych, jakie Tanus pozostawił na północy z zadaniem obserwowania ruchów hyksoskich oddziałów, przyplęnęła gnana w górę rzeki na skrzydłach północnego wiatru. Hyksosi znowu wyruszyli w drogę i w ciągu tygodnia mieli znaleźć się w Elefantynie.

Księżę Tanus natychmiast wyruszył ze swymi głównymi siłami, by przygotować się na obronę katarakty, zostawiając księciu Merseketowi i mnie nadzór nad załadunkiem naszego ludu. Zdołałem oderwać księcia Merseketa od brzucha jego młodej żony na tyle czasu, by zdążył podpisać rozkazy, które starannie dla niego przygotowałem. Tym razem udało się uniknąć chaosu i paniki, jakie ogarnęły nas w Tebach, i flota przygotowała się do wypłynięcia ku początkowi katarakty bez zbędnego zamieszania.

Gdy odpływaliśmy, pięćdziesiąt tysięcy Egipcjan zapełniło oba brzegi, płacząc, śpiewając psalmy na cześć Hapi i wymachując na pożegnanie palmowymi liśćmi. Królowa Lostris stała na dziobie „Oddechu Horusa” z małym księciem u boku, oboje machali w stronę zgromadzonego tłumu, gdy okręt przesunął się powoli w górę rzeki. W wieku dwudziestu jeden lat moja pani była u szczytu urody. Ci, którzy na nią spoglądali, ogarnięci byli prawie religijną bojaźnią. Ta uroda odbijała się echem w twarzy stojącego przy niej dziecka, dzierżącego w drobnych, zdecydowanych dłoniach berło i bicz Egiptu.

- Powrócimy! - wołała moja pani, a książe powtarzał w ślad za nią. - Powrócimy. Czekać na nas. Powrócimy.

Legenda, która podtrzymywała nasz nieszczęsny i uciskany kraj podczas jego najmroczniejszych czasów, zrodziła się tego dnia na brzegach matki-rzeki.

Gdy następnego dnia w południe osiągnęliśmy początek katarakty, naszpikowana skałami gardziel przeistoczyła się w gładką zieloną rynnę wypełnioną bystro płynącą wodą. Miejscami kotłowała się i huczała biała piana, lecz pełna, napawająca przerażeniem potęga Nilu nie została jeszcze wyzwolona.

Był to najprzychylniejszy naszemu przedsięwzięciu moment w cyklu życiowym rzeki. Woda była wystarczająco wysoka, by nasze okręty przeszły po niej, nie osiadając na płycznach, ale z drugiej strony wylew nie osiągnął jeszcze pełni swej dzikości i naporu, który odrzuciłby je w tył i roztrzaskał na szczapy na granitowych progach katarakty.

Tanus osobiście kierował okrętami, podczas gdy Hui i ja pod nominalnym zwierzchnictwem księcia Merseketa zarządzaliśmy zespołami brzegowymi. Jowialnego staruszka umieściłem pod zasłoną z sitowia na wzgórku ponad gardzielą, dając mu do towarzystwa wielki dzban przedniego wina i jego uroczą szesnastoletnią żonę. Przez kolejne dni lekceważyłem nieskładne, sprzeczne polecenia, jakie ten szlachetny mąż posyłał mi od czasu do czasu, po czym zabraliśmy się do przekraczania pierwszej katarakty.

Najcięższe lniane liny rozciągnęliśmy na brzegu, zaprzęgając do nich konie w zespołach po dziesięć. Dość szybko odkryliśmy, że jesteśmy w stanie wprowadzić do pracy dziesięć zaprzęgów - sto koni - i połączyć je przy głównych linach. Kierowanie pracą jakiegokolwiek większej liczby zwierząt stałoby się niemożliwością.

Oprócz koni mieliśmy też prawie dwa tysiące ludzi przy linach pomocniczych i prowadzących. Konie i ludzie zmieniani byli tak, że zawsze do dyspozycji były świeże zespoły. Na każdym niebezpiecznym zakręcie rzeki rozmieściliśmy kolejne grupy ludzi na brzegu i na granitowych wysepkach pośrodku nurtu. Wszyscy uzbrojeni zostali w długie drągi, którymi odpychali od skał przeciągane kadłuby.

Egipcjanie są urodzeni nad rzeką i rozumieją łodzie i kaprysy Nilu lepiej niż swe żony. Do porozumiewania się między brzegiem a okrętami opracowaliśmy z Tanusem system sygnałów dźwiękowych, który funkcjonował nawet płynniej, niż miałem nadzieję.

Żeglarze na pokładach statków również wyposażeni byli w drągi, którymi popychali swe jednostki w przód i kierowali ich dzioby w bok od przeszkód. Przy pracy śpiewali stare żeglarskie pieśni. „Oddech Horusa” miał podjąć próbę pokonania katarakty jako pierwszy. Gdy podholowaliśmy okręt do przodu, wprowadzając jego dziób w pierwszą rynnę spokojnie płynącej wody, śpiew i okrzyki poganiaczy koni mieszały się ze stłumionym grzmotem wód Nilu.

Zielone fale skłębiły się pod dziobem, ale ich napór musiał poddać się naszemu uporowi oraz sile dwóch tysięcy ludzi i setki mozolących się koni. Przeciągnęliśmy „Oddech Horusa” przez pierwszą bystrzynę. Krzyczeliśmy z radości, gdy wpłynął na położone powyżej niej głębokie zielone rozlewisko.

Lecz przed sobą mieliśmy jeszcze sześć mil. Zmieniliśmy ludzi i konie, po czym wciągnęliśmy dziób okrętu na kolejny odcinek kipiącej, kotłującej się wzburzonej wody, z której kamienie sterczały jak łby gigantycznych hipopotamów, gotowe rozpruć delikatne deski poszycia swymi granitowymi kłami. Do pokonania zostało sześć mil tych piekielnych progów, a wokół każdej skały wirowały śmierć i katastrofa. Ale liny były mocne, a ludzie i konie parli naprzód, zmieniając się co chwila.

Moja pani kroczyła wzdłuż brzegu, mijając zespoły spoconych mężczyzn. Nawet w piekących promieniach słońca wyglądała świeżo i rześko jak kwiat, a jej śmiech i żarty dodawały pracującym otuchy. Śpiewała z nimi pieśni,

a ja przyłączałem się do chóru. Po drodze wymyślaliśmy nowe słowa. Ludzie śmiali się z soczystych przyśpiewek i z nowymi siłami napierali na liny.

Księżę Memnon jechał na grzbiecie Klingi w pierwszym zespole koni. Hui obwiązał sznur wokół klatki piersiowej wierzchowca tuż za jego przednimi nogami, by dać chłopcu uchwyt dla rąk, ponieważ nogi Memnona były wciąż za krótkie, by mógł nimi pewnie objąć zwierzę, i sterczały śmiesznie na boki po obu stronach szerokiego grzbietu Klingi. Księżę pomachał dumnie swemu ojcu stojącemu na rufowym pokładzie okrętu.

Gdy przedarliśmy się nareszcie na głębokie, spokojne wody głównego nurtu powyżej bystrzyn, pieśń żeglarzy zmieniła się w pochwalny hymn na cześć Hapi, które przeprowadziło nas bezpiecznie przez kataraktę.

Gdy tylko moja pani powróciła na pokład, przywołała mistrza kamieniarzy. Poleciała mu wykuć obelisk z granitowego masywu otaczającego skalną gardziel. Podczas gdy my trudziliśmy się, przeprowadzając przez przesmyk resztę floty, kamieniarze pracowali przy użyciu ognia i dłuta, by wyciąć ze skalnego pokładu długą, smukłą kolumnę żyłkowanego kamienia. Kiedy uwolnili ją z macierzystej skały, wykuli na niej podyktowane im przez moją panią słowa, używając farańskich hieroglifów, w których imiona jej i księcia otoczone były królewskim kartuszem.

Podczas przeprawy przez kataraktę z każdym krokiem, o jaki posuwaliśmy się w górę rzeki, stawaliśmy się w tym

bieglejsi.

Przeprowadzenie „Oddechu Horusa” przez bystrzyny zajęło nam cały dzień. Podczas następnego tygodnia dokonywaliśmy przejścia progów przez pół dnia, prowadząc przez gardziel pięć lub sześć statków jednocześnie. Była to niemal królewska procesja, statki szły rzędem jeden za drugim. Dziesięć tysięcy ludzi i blisko tysiąc koni ciągnęło naraz liny.

Hyksosi uderzyli na nas ponownie, kiedy już ponad sto statków cumowało wzdłuż brzegu spokojnego, ciemnozielonego odcinka Nilu powyżej katarakty.

Król Salitis zmarnował dużo czasu, łupiąc i plądrując miasto, nie uświadomiwszy sobie, że podążyliśmy dalej w górę rzeki, uwożąc wielką masę skarbów faraona w ładowniach naszych okrętów. Wszystko, co wiedział o rzece, wszystko, co zdołali przekazać mu szpiedzy i książe Intef, przekonało go, że katarakty stanowiły barierę nie do pokonania. Cały ten czas strwonił w Elefantynie, zanim znowu wyruszył za nami.

Spustoszył miasto i pałac na wyspie; opłacił donosicieli i torturował jeńców, próbując dowiedzieć się, co stało się ze skarbem i z księciem. Obywatele Elefantyny dobrze przysłużyli się swemu księciu. Opierali się naciskowi Hyksosów, dając naszej flotyli szansę na ukończenie przeprawy.

Oczywiście nie mogło to trwać w nieskończoność i wreszcie jakiś nieszczęśnik ugiął się przed tyranem

podczas tortur. Król Salitis zaprzągnął konie i pognął za nami w wąwóz katarakty.

Ale Tanus był dobrze przygotowany na to spotkanie. Pod jego dowództwem Kratas, Rem-rem i Astes wydali szczegółowe zarządzenia. Wszyscy mężczyźni, których można było oderwać od pracy przy przeciąganiu statków przez gardziel rzeki, posłani zostali na północ, by bronić flotyli.

Teren okazał się naszym największym sprzymierzeńcem. Wąwóz był stromy i skalisty, ścieżka wzdłuż brzegu wąska i kręta, po obu stronach otoczona nierównym gruntem. Na każdym zakręcie rzeki ku niebu strzelały wysokie skarpy i usiane jaskiniami stoki - naturalne fortece oddane nam do wykorzystania.

W wąwozie rydwany nie potrafiły manewrować. Nie mogły oderwać się od rzeki, by objechać go przez otwartą pustynię. Na piaszczystych bezmiarach nie było ani wody, ani paszy dla koni, a podłoże było miękkie i zdradzieckie. Ciężkie rydwany ugrzęzłyby w nim i pogubiły się na bezdrożach. Nie zdołałyby wrócić do rzeki. Nie miały innego wyjścia, jak uderzyć na nas pojedynczym rzędem wzdłuż wąskiego brzegu.

Kratas miał aż nadto czasu na podniesienie naturalnej obronności terenu kamiennymi murami wznoszonymi w najłatwiejszych do utrzymania miejscach. Na zboczach powyżej tych przeszkód rozmieścił swych łuczników i wysoko ponad ścieżką przygotował sztuczne lawiny.

Gdy hyksoska straż przednia wkroczyła do wąwozu, napotkała deszcz strzał posłanych ze wzmocnionych kamiennymi ścianami redut umieszczonych na wzniesieniach powyżej nich. Hyksosi wysiedli z rydwanów i ruszyli naprzód, by usunąć kamienne przeszkody blokujące szlak. Kratas wydał rozkaz i jego ludzie wybili kliny spod stosów kamieni ustawionych na krawędzi urwiska.

Lawiny runęły z łoskotem na Hyksosów, zmiatając ludzi, konie i rydwany w falujące zielone wody Nilu. Stojąc z Kratasem na szczycie zbocza, przyglądałem się głowom podskakującym i tańczącym na kaskadach, słyszałem słabe, rozpaczliwe krzyki odbijające się od skalnych ścian, a potem ciężar zbroi ściągał wszystkich pod powierzchnię i rzeka zamykała się nad nami.

Król Salitis nie ustępował. Posłał kolejne oddziały, by oczyściły drogę, innym zaś rozkazał wspiąć się po skarpach i wyprzeć nasze oddziały z położonych wysoko pozycji. Straty Hyksosów w ludziach i koniach były przerażające, my zaś pozostaliśmy niemal nietknięci. Oni gramolili się po stokach w swych ciężkich pancerzach z brązu, a my spuszczaaliśmy na nich grad strzał. Potem, zanim zdolali osiągnąć nasze pozycje, Kratas polecił wycofać się na kolejną linię umocnień.

To starcie mogło zakończyć się tylko w jeden sposób. Król Salitis zmuszony został do zaprzestania pościgu, zanim zdolał przebić się przez połowę wąwozu.

Gdy Hyksosi rozpoczęli odwrót ku wylotowi parowu, Tanus i moja pani byli z nami na szczycie skarpy. Wrogowie pozostawiali za sobą ścieżkę usianą szczątkami rydwanów, zasypaną porzuconym sprzętem pozostałym po klęsce.

- Zadmijcie w trąby! - rozkazał Tanus i wąż rozbrzmiał szyderczymi fanfarami, którymi nasz wódz żegnał wycofujące się hyksoskie oddziały.

Ostatnim rydwanem, zamykającym tę żalosną kawalkadę, był połączony, ozdobny pojazd samego króla. Nawet z naszej półki na szczycie urwiska rozpoznawaliśmy wysoką, barbarzyńską sylwetkę Salitisa, brązowy hełm i czarną brodę, którą wiatr rozwiewał mu na ramiona. Uniósł trzymany w prawej ręce łuk i potrząsnął nim w naszym kierunku. Jego twarz wykrzywiały zawód i wściekłość.

Patrzyliśmy za nim, dopóki nie zniknął nam z oczu. Wówczas Tanus posłał zwiadowców, którzy podążać mieli za nimi do Elefantyny, by upewnić się, czy nie był to podstęp, fałszywy odwrót. W głębi serca czułem, że Salitis nie będzie nas już więcej ścigać. Hapi wypełniło obietnicę. Bóstwo raz jeszcze otoczyło nas swoją opieką.

Potem odwróciliśmy się i zeszlismy wydeptaną przez dzikie kozy ścieżką wzdłuż urwiska tam, gdzie cumowała nasza flotylla.

Kamieniarze ukończyli pracę przy obelisku. Była to kolumna z litego granitu wysokości trzech ludzi. Jej wymiary i kształt zaznaczyłem na macierzystej skale, zanim jeszcze robotnicy wykonali pierwsze cięcie. Dzięki temu

linie pomnika były tak eleganckie i przyjemne dla oka, że obelisk wydawał się znacznie wyższy, niż był w rzeczywistości. Gdy stanął na szczycie urwiska ponad ostatnim dzikim fragmentem katarakty, górował nad sceną naszego triumfu.

Zgromadzili się pod nim wszyscy nasi ludzie, a królowa Lostris poświęciła kamień bóstwu rzeki. Później odczytała na głos inskrypcję, którą kamieniarze wykuli w wypolerowanej skale.

Ja, Królowa Lostris, regentka Egiptu i wdowa po Faraonie Mamose, ósmym tego imienia, matka następcy tronu, Księcia Memnona, który włądać będzie po mnie dwoma królestwami, rozkazałam wznieść ten pomnik.

Oto znak i przypieczętowanie mej przysięgi złożonej ludowi Egiptu, że powrócę do niego z dzikich krajów, w które

przegnana zostałam przez barbarzyńcę.

Kamień ten ustawiony został w pierwszym roku mego panowania, w dziewięćsetnym roku od zbudowania wielkiej piramidy Faraona Cheopsa.

Niech kamień ten stoi równie niewzruszenie jak ta piramida, dopóki nie spełnię mej obietnicy powrotu.

Następnie na oczach wszystkich umieściła Złoto Męstwa na ramionach Tanusa, Kratasa, Rem-rema i Astesa, wszystkich tych bohaterów, którzy przyczynili się do powodzenia przeprawy przez kataraktę.

Jako ostatniego przywołała mnie, a gdy ukląknęłam u jej stóp, wyszeptała tak cicho, że tylko ja mogłam ją słyszeć:

- Jak mogłabym o tobie zapomnieć, mój kochany i wierny Taito? Nigdy tak daleko byśmy nie zaszli bez twojej pomocy - musnęła lekko mój policzek - i wiem też, jak bardzo kochasz te śliczne błyskotki.

Z tymi słowy zawiesiła mi na szyi ciężkie Złoto Chwały. Jak później sprawdziłem, ważyło trzydzieści debenów, o pięć więcej od łańcucha, jakim obdarzył mnie faraon.

W drodze powrotnej w dół zbocza wąwozu kroczyłam u boku mej pani, trzymając nad jej głową parasol ze strusich piór, a ona kilka razy uśmiechnęła się do mnie. Każdy jej uśmiech był dla mnie cenniejszy od ciężkiego łańcucha na moich ramionach.

Następnego ranka weszliśmy znów na pokład „Oddechu Horusa” i ponownie skierowaliśmy dziób na południe. Rozpoczęła się długa podróż.

Rzeka zmieniła swój wygląd i charakter. Nie była to już owa rozległa i pogodna istota, będąca dla nas podporą i pociechą, stała się sroższa i dziksza. W jej duszy kryło się niewiele łagodności i współczucia. Zrobiła się węższa i głębsza. Tereny na obu brzegach stały się bardziej strome i nierówne, a parowy i wąwozy surowo wyżłobione w chropowatej ziemi. Przytłaczające, mroczne stoki spoglądały na nas posepnie, jakby marszczyły brwi.

Miejscami żyzne nadrzeczne tereny tak się zwężyły, że bydło i owce iść musiały pojedynczo prymitywną ścieżką wydeptaną przez dzikie kozy między urwiskami a wodą.

Gdzie indziej szlak zanikał kompletnie, gdyż urwiska i skarpy wpychały się zuchwale prosto w nurt Nilu. W takich miejscach nie było przejścia dla naszych stad. Hui zmuszony był wpędzać je do rzeki i przeprowiać przez wielką przestrzeń wody na drugi brzeg, gdzie stoki cofały się nieco, zostawiając im wolną drogę.

Leniwie mijały tygodnie, lecz napotykaliliśmy niewiele śladów ludzkiej obecności. Raz nasi zwiadowcy znaleźli żarty przez robactwo kadłub prymitywnej dłubanki wyrzucony na piaszczysty brzeg, a na spłachetku żyznej ziemi kilka opuszczonych chat. Zapadające się dachy pokryto sitowiem, ścian nie było. Odkryliśmy też pozostałości wędzarni i popioły ognisk, lecz to wszystko. Ani okruchu naczyń, żadnego paciorka jako wskazówki, jacy ludzie tu mieszkali.

Zależało nam na jak najszybszym spotkaniu z plemionami Kusz, jako że potrzebowaliśmy niewolników. Cała nasza cywilizacja opierała się na niewolnictwie, a z Egiptu zdołaliśmy zabrać ich niewielu. Tanus posyłał zwiadowców daleko przed flotę, tak byśmy zostali uprzedzeni o znalezieniu ludzkich osiedli wystarczająco wcześnie, żeby przygotować naszych łowców niewolników. Nie znajdowałem żadnej ironii w tym, że sam będąc niewolnikiem, tak wiele czasu i myśli poświęcałem planowaniu sposobu zdobycia nowych niewolnych.

Całe bogactwo przeliczyć można na cztery towary: ziemię, złoto, niewolników i kość słoniową. Przekonani byliśmy, że leżące przed nami krainy obfitowały w to

wszystko. Jeżeli mieliśmy urosnąć w siłę, by powrócić do Egiptu i wyprzeć z niego Hyksosów, musieliśmy znaleźć to bogactwo w niezbadanym kraju, do którego żeglowaliśmy.

Królowa Lostris posyłała poszukiwaczy złota na wszystkie mijane nadrzeczne wzgórza. Ci wspinali się parowami i wyschłymi korytami strumieni, dłubali i kopali w każdym obiecującym miejscu, wybierali kawałki wybiegających na powierzchnię żył kwarcu i łupku, zgniatali je na pył i wypłukiwali okruchy w płytkim glinianym naczyniu, zawsze mając nadzieję ujrzenia pozostającej na dnie migoczącej drogocennej smugi.

Królewscy myśliwi wyruszali wraz z nimi w poszukiwaniu zwierzyny, by wykarmić nasze masy. Wypatrywali też śladów owych olbrzymich szarych bestii, dźwigających w swych ogromnych łbach bezcenne kły. Energicznie wypytywałem wszystkich towarzyszących nam ludzi, starając się znaleźć kogoś, kto widział żywego, a choćby i martwego słonia. Chociaż ich kły stanowiły rzecz zwyczajną w cywilizowanym świecie, nie było nikogo, kto mógłby pomóc mi w moich poszukiwaniach. Czułem dziwne, niewytłumaczalne podniecenie na myśl o pierwszym spotkaniu z owymi bajecznymi stworzeniami.

Ten dziki kraj zamieszkiwało mnóstwo innych zwierząt, niektóre z nich znaleźliśmy, inne były obce i nowe.

Gdzie tylko na brzegu rosły trzciny, napotykałiśmy wylegające się na płyciznach stada hipopotamów, przypominających okrągłe, granitowe gązdy. Po długiej i uczonej debacie teologicznej wciąż nie wyjaśniliśmy, czy

bestie powyżej katarakty należały do bóstwa jak te żyjące poniżej niej, czy też były królewską zwierzyną należącą do korony. Kapłani Hapi gorąco popierali pierwszy pogląd, podczas gdy pozostali, zgłodniali odżywczego tłuszczu i delikatnego mięsa, skłaniali się ku przeciwnej interpretacji.

Całkowitym zbiegiem okoliczności Hapi ten właśnie moment wybrało, by ukazać mi się w jednym z moich sławnych snów. Ujrzałem, jak uśmiechając się dobrodusznie, wyłania się z zielonej wody i wkłada mojej pani do ręki maleńkiego hipopotama nie większego od dzikiej przepiórki. Gdy tylko się obudziłem, nie ociągałem się z wyjawieniem regentce treści tego dziwaczного i ekscytującego snu. W owym czasie me sny i wróżby przyjmowane już były przez moją panią, a więc i przez resztę naszego towarzystwa, jako jawna wola i prawo bogów.

Tego wieczoru biesiadowaliśmy wszyscy nad smakowitymi kawałami hipopotamiego mięsa, smażonymi na ognisku na piaszczystym brzegu, przy którym cumowały statki. Dzięki tej wizji moja reputacja i popularność, już wysoko cenione w naszej flocie, jeszcze zyskały. Jedynie kapłani Hapi nie podzielali powszechnych ciepłych uczuć wobec mej osoby.

Rzeka roiła się od ryb. Poniżej katarakty Egipcjanie łowili ryby w rzece od przynajmniej tysiąca lat. Te wody nietknięte były przez człowieka ani przez jego sieci. Wyciągaliśmy błyszczące błękitne okonie cięższe od

najgrubszych ludzi w naszej kompanii, olbrzymie zębacze o wąsatych czułkach długich jak moje ramię, zbyt silne i masywne, by łąwić je sieciami. Jednym uderzeniem wielkiego ogona rozdzierały lniane nici jak delikatną pajęczynę. Nasi ludzie polowali na nie na płycznach, używając dzid jak na hipopotamy. Jeden taki gigant mógł nakarmić swym pożywnym żółtym mięsem i ociekającym nad ogniskiem tłuszczem pięćdziesięciu mężczyzn.

Na urwiskach nad rzeką wisiały gniazda orłów i sępów. Z dołu wyglądały jak stosy chrustu, a wydaliny wielkich ptaków pokrywały skały pod nimi smugami błyszczącej bieli. Ptaki szybowały na szerokich skrzydłach, kołując i krążąc w kolumnach rozgrzanego powietrza, unoszących się nad czarnymi skałami wąwozu.

Stada dzikich kóz przyglądały się naszemu przemarszowi ze swych wyżyn królewsko i pogardliwie. Tanus zapuszczał się na niebotyczne stoki, by polować, lecz dopiero po wielu tygodniach udało mu się przynieść myśliwskie trofeum. Zwierzęta te dorównywały bystrością wzroku sępom, a zręcznością niebieskogłowym skalnym jaszczurkom, umiejącym bez trudu biegać po pionowych granitowych skałach.

Stare kozły sięgały człowiekowi do ramienia. Ich brody opadały z gardzieli na skałę, na której stały. Zwinięte w pierścienie wyrastały z masywnych, pofałdowanych podstaw. Gdy Tanus powalił wreszcie jednego, dokonał tego strzałą posłaną przez całą szerokość głębokiego na sto kroków wąwozu, ze szczytu skarpy na czubek któregoś

z dzikich wzgórz. Kozioł runął w otchłań, wirował bez końca w powietrzu, zanim upadł na skały w dole.

Ze względu na moje namiętne zainteresowanie wszelkimi dzikimi istotami Tanus po obdarciu i oprawieniu padła przydźwigał dla mnie głowę i rogi. Potrzebował całej swojej olbrzymiej siły, by znieść ten ciężar z zabójczego urwiska. Oczyściłem i wybieliłem czaszkę, po czym umieściłem ją na dziobie naszej łodzi jako galeon. I tak żeglowaliśmy dalej i dalej w głąb nieznanego.

Upływały miesiące i w miarę jak opadała fala powodziowa, rzeka zaczęła kurczyć się pod kilami. Mijając strome skalne ściany, odczytywaliśmy poziom wody wyznaczony na stokach, na których wszystkie poprzednie wylewy pozostawiły swe wodowskazy.

Nocami przesiadywaliśmy z Memnonem na pokładzie tak długo, jak pozwalała nam jego matka, i studiowaliśmy gwiazdy rozświetlające niebieski firmament mleczną poświatą. Uczyłem go imion i własności wszystkich tych ognistych punktów światła, a także sposobu, w jaki wpływały na przeznaczenie urodzonych pod nimi ludzi. Obserwując ciała niebieskie, byłem w stanie ustalić, że rzeka nie wiodła nas już prosto na południe, lecz że zawracaliśmy na zachód. Obserwacje te wywołały kolejną burzliwą kontrowersję wśród towarzyszących nam naukowców i mędrców.

- Rzeka prowadzi nas prosto na zachodnie pola rajy - sugerowali kapłani Ozyrysa i Amona-Re.

- To podstęp Setha, który pragnie zmieszać nas i zbić z tropu - upierali się kapłani Hapi, którzy do tej pory wywierali niezасłużony wpływ na przebieg narad.

Królowa Lostris była dzieckiem ich bóstwa, a większość z nas powszechnie uznawała Hapi za patrona ekspedycji. Kapłani ze złością przyjmowali osłabienie swej pozycji wskutek kaprysów rzeki.

- Wkrótce rzeka ponownie zakręci na południe - obiecywali.

Zawsze przerażało mnie to, jak pozbawieni skrupułów ludzie manipulują zamiarami bogów tak, by zbiegały się z ich własnymi.

Zanim problem ten został rozstrzygnięty, dotarliśmy do drugiej katarakty.

Tu był kres krain znanych cywilizowanemu człowiekowi, dalej nikt się nie zapaścił. Kiedy zbadaliśmy kataraktę, przyczyna tego stała się jasna. Progi okazały się o wiele rozleglejsze i potężniejsze od tych, które już pokonaliśmy.

Na znacznej przestrzeni nurt Nilu rozdzielało kilka masywnych wysp i setki mniejszych. Poziom wody opadł i w wielu miejscach odłoniło się dno rzeki. Labirynt zapchanych skałami kanałów i odgałęzień ciągnął się milami. Wspaniałość i groza tego widoku zdjęła nas lękiem.

- Skąd możemy wiedzieć, że rzeki nie strzeże jeszcze jedna katarakta, a za nią następna? - pytali się wzajemnie ci, którzy łatwo upadali na duchu. - Roztrwonimy nasze siły i w końcu zostaniemy schwytani między kataraktami, niezdolni do parcia naprzód ani do wycofania się.

Powinniśmy zawrócić teraz, dopóki nie jest za późno – mówili zgodnym chórem.

- Płyniemy dalej – zarządziła moja pani. - Ci, którzy pragną teraz zawrócić, mogą to uczynić. Nie otrzymają jednak statków, które by ich poniosły, ani koni, które by ich pociągnęły. Powrócą o własnych siłach i pewna jestem, że Hyksosi zgotują im serdeczne powitanie.

Nikt nie przyjął jej wielkodusznej oferty. Miast tego niechętni wędrowcy zeszli na żyzne wyspy zapychające nurt rzeki.

Mgiewka unosząca się nad kataraktą podczas wylewu oraz woda przesączająca się przez glebę w okresie obniżenia poziomu wód zamieniły te wyspy w zielone lasy, ostro kontrastujące z suchymi, strasznymi pustyniami na obu brzegach. Wykiełkowawszy z nasion przynoszonych przez wodę z krańców świata, wysokie drzewa, jakich nikt z nas dotąd nie widział, rosły na osadach, które Nil gromadził na granitowych fundamentach tych wysp.

Nie mogliśmy podejmować próby przekroczenia katarakty przed kolejnym wylewem, który zapewniłby głębokość wody niezbędną naszym łodziom. Do tego brakowało jeszcze wielu miesięcy.

Rolnicy zeszli na brzeg i oczyścili ziemię, by zasiać przywiezione ziarna. Nasiona wykiełkowały w ciągu paru dni, a w gorącym słońcu rośliny zdawały się rosnać w oczach. Po upływie kilku krótkich miesięcy zboże gotowe było do zbioru, raczyliśmy się słodkimi owocami

i warzywami, których tak nam brakowało, od kiedy opuściliśmy Egipt. Szemranie wśród ludzi ucichło.

Prawdę mówiąc, wyspy były tak kuszące, gleba zaś tak żyzna, że niektórzy poczęli mówić o osiedleniu się tu na stałe. Delegacja kapłanów Amona-Re udała się do królowej, prosząc o pozwolenie na wzniesienie bogu świątyni na jednej z wysp.

- Jesteśmy tu podróżnymi - odparła moja pani. - Kiedyś powrócimy do Egiptu. Nie będziemy budować świątyń ani innych stałych osiedli. Dopóki nie wrócimy do Egiptu, będziemy żyć jak Beduini, w namiotach i lepiankach.

Miałem teraz do dyspozycji różne rodzaje drewna ze ścinanych na wyspach drzew. Mogłem więc eksperymentować z nimi i badać ich przeróżne własności.

Była wśród nich akacja, której drewno było giętkie i mocne. Robiłem z niego najlepsze szprychy do kół rydwanów ze wszystkich, jakie do tej pory wypróbowałem. Zapędziłem stolarzy i wikliniarzy do pracy przy składaniu przywiezionych rydwanów oraz przy konstrukcji nowych z drzew i bambusów porastających wyspy.

Płaskie żyzne tereny na lewym brzegu poniżej katarakty szerokie były na kilka mil. Wkrótce oddziały naszych rydwanów ponownie ćwiczyły na tych gładkich, otwartych równinach. Szprychy nadal pękały podczas intensywnej jazdy, lecz nie tak często jak niegdyś. Udało mi się kilka razy zwabić Tanusa na rydwan, ale zgadzał się na to tylko wówczas, gdy ja powoziłem.

Jednocześnie zdołałem ukończyć pierwszy udany łuk refleksyjny, nad którym pracowałem, od kiedy opuściliśmy Elefantynę. Sporządzony był z tych samych materiałów co Lanata - drewna, kości słoniowej i rogu. Miał wszakże odmienny kształt. Gdy nie był napięty, jego końce wyginały się od łuczника. Dopiero po naciągnięciu broni odkształcały się w znajomą krzywiznę, lecz napięcie w łączyisku i ciężwie wzrastało odwrotnie proporcjonalnie w stosunku do znacznie mniejszej długości.

Ustępując mym łagodnym naciskom, Tanus zgodził się w końcu wypróbować łuk, strzelając z niego do celów, jakie rozstawiłem na wschodnim brzegu. Po wypuszczeniu dwudziestu strzał powiedział niewiele, lecz widziałem, że był zaskoczony zasięgiem i precyzją broni. Dobrze znałem Tanusa. Był zachowawczy i nie lubił nowinek. Jego pierwszą miłością była Lanata, zarówno kobieta jak łuk. Wiedziałem, że przyznanie się do nowego uczucia byłoby dla niego bolesne, tak więc nie zasypywałem go prośbami o wyrażenie opinii, lecz pozwoliłem, by dojrzał do tego we właściwym czasie.

Właśnie wtedy zwiadowcy donieśli o wędrownicy oryksów z głębi pustyni. Od czasu minięcia pierwszej katarakty widzieliśmy kilka niedużych grup tych wspaniałych zwierząt. Zwykle pasły się na brzegu, ale gdy zbliżały się nasze statki, uciekały z powrotem na pustynię. To, co zaobserwowali zwiadowcy, było rzadko notowanym masowym przemieszczaniem się antylop. Jako że kapryśne burze nawiedzały pustynne ostępy raz na jakieś

dwadzieścia lat, obfitość zielonej trawy strzelającej z wilgotnej ziemi przyciągała rozproszone stada w promieniu setek mil.

Wędrując ku nowym pastwiskom, stada stapiały się w jedną wielką falę toczącą się przez pustynię. To właśnie miało teraz miejsce, dając nam sposobność do zmiany diety i wypróbowania możliwości rydwanów.

Tanus pierwszy raz okazał prawdziwe zainteresowanie tymi pojazdami, jako że pojawiła się zwierzyna, którą mógł w nich ścigać. Gdy zajął miejsce na pomoście mego rydwanu, zauważyłem, że na uchwycie zawiesił nowy łuk refleksyjny, nie zaś starą wierną Lanatę. Nie powiedziałem ani słowa, poderwałem konie i skierowałem je w stronę szczeliny między wzgórzami, stanowiącej szlak wiodący z wąskiej doliny Nilu ku otwartej pustyni.

Oddział składał się z pięćdziesięciu rydwanów, za nim podążał tuzin ciężkich wozów na pełnych kołach, wiozących paszę i wodę na pięć dni. Pokłusowaliśmy kolumną marszową szeroką na dwa rydwany, z odstępem trzech długości pojazdów między rzędami.

Był to teraz nasz typowy szyk podróżny.

Aby zmniejszyć ciężar, rozebraliśmy się do przepasek biodrowych. Wszyscy byli w wyśmienitej kondycji fizycznej po długich miesiącach pracy na wioślarskich ławkach łodzi. Umięśnione, świeżo naoliwione torsy lśniły w słońcu niczym ciała młodych bogów. Każdy rydwan niósł własny jaskrawy proporzec sygnałowy na długim, sprężystym pręcie bambusa. Kiedy tak jechaliśmy kozią ścieżką przez

wzgórza, stanowiliśmy wspaniały widok. Gdy obejrzałem się do tyłu na naszą kolumnę, obraz ten wywarł wrażenie nawet na mnie, choć nigdy nie byłem żołnierzem.

Nie uświadamiałem sobie tego jeszcze z pełną wyrazistością, lecz Hyksosi i wędrowka natchnęły naród nowym, wojskowym duchem. Dotąd byliśmy ludem uczonych, kupców i kapłanów, ale teraz z powodu zdecydowania, z jakim królowa Lostris dążyła do wyparcia tyrana, i pod dowództwem księcia Tanusa szybko stawaliśmy się ludem wojowniczym.

Gdy prowadziliśmy kolumnę rydwanów przez grzbiet wzniesienia i otwarta pustynia rozciągnęła się przed nami, zza ostatniego stosu głazów, gdzie czała się w zasadzce, wyłoniła się mała postać.

- Stać! - zatrzymałem konie. - Co tu robisz, tak daleko od statków?

Nie widziałem księcia od poprzedniego wieczoru i sądziłem, że znajduje się pod opieką piastunek. Spotkanie go tutaj, na skraju pustyni, było dla mnie wielkim zaskoczeniem, więc w moim głosie dźwięczało oburzenie. W owym czasie nie miał jeszcze sześciu lat, lecz swój mały łuk trzymał przerzucony przez ramię, a na twarzy malowało mu się silne postanowienie, idealnie przypominające jego ojca podczas napadu jednego z tych nieprzyjemnych humorów.

- Jadę z wami na polowanie - powiedział Memnon.

- Nie, nie jedziesz - zaprzeczyłem. - W tej chwili odsyłam cię do twojej matki. Ona będzie wiedziała, jak poradzić

sobie z małymi chłopcami, którzy wymykają się z obozu, nie mówiąc swoim opiekunom, dokąd idą.

- Jestem następcą egipskiego tronu - oznajmił Memnon, lecz jego wargi drżały mimo tego doniosłego oświadczenia.
- Nikt nie śmie mi się sprzeciwić. Moim prawem i świętym obowiązkiem jest przewodzenie memu ludowi, gdy tego potrzebuje.

Wkroczyliśmy teraz na niebezpieczny grunt. Księżę znał swe prawa i obowiązki. To ja go ich nauczyłem. Lecz, prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że tak szybko się do nich odwoła. Uczynił z tego sprawę wagi państwowej i dyskutowanie z nim było trudne, a właściwie niemożliwe. Rozpaczliwie poszukiwałem drogi ucieczki z tej sytuacji.

- Dlaczego wcześniej mnie nie zapytałeś? - grałem wyłącznie na zwłokę.

- Bo poszedłbyś do mojej matki - odparł z prostą szczerością - a ona by ciebie poparła, jak zawsze to robi.

- Nadal mogę pójść do królowej - zagroziłem, lecz on obejrzał się na dolinę, gdzie statki były już maleńkie jak zabawki, i uśmiechnął się do mnie.

Obaj wiedzieliśmy, że nie mogłem rozkazać całemu oddziałowi zawrócić, by ponownie pokonał tę odległość.

- Proszę, pozwól mi pojechać z tobą - zmienił taktykę. Mały diabeł atakował mnie na wszystkich frontach. Nie umiałem mu się sprzeciwić, gdy obracał przeciw mnie cały swój urok. Nagle doznałem natchnienia.

- Księżę Harrab jest dowódcą wyprawy. Jego musisz poprosić. Związek między nimi dwoma należał do

niezwykłych. Jedynie nasza trójka - jego rodzice i ja - wiedziała, kto był prawdziwym ojcem Memnona. Sam księżę uważał Tanusa za swego nauczyciela i dowódcę jego armii. Chociaż go pokochał, wciąż się go obawiał. Tanus nie był kimś, kogo mały chłopiec, nawet księżę, mógłby zlekceważyć.

Patrzyli teraz na siebie. Memnon obmyślał najlepszą strategię ataku, a Tanus trząsał się, z wysiłkiem powstrzymując śmiech.

- Księżę Harrab - Memnon postanowił zwrócić się oficjalnie - życzę sobie wyruszyć z tobą. Sądzę, że będzie to dla mnie bardzo użyteczna lekcja. Przecież pewnego dnia będę musiał dowodzić armią.

To ja nauczyłem go zasad logiki i dialektyki. Z takiego ucznia można być dumnym.

- Księżę Memnonie, czy to rozkaz? - Tanus zdołał ukryć swe rozbawienie pod przerażającym grymasem i dostrzegłem łzy nabiegające księciu do oczu.

- Nie, panie - pokręcił żałośnie głową. Znowu był małym chłopcem. - Ale proszę, bardzo chciałbym pojechać z wami na polowanie.

- Królowa każe mnie za to udusić - powiedział Tanus - ale wskakuj tu przede mnie, mały łotrze.

Księżę uwielbiał, gdy Tanus nazywał go łotrem. Było to określenie zwykle zarezerwowane dla ludzi z dawnego pułku Błękitnych i dzięki temu Memnon czuł się jednym z nich. Wydał okrzyk radości i prawie potknął się o własne nogi, tak spieszył się z wykonaniem tego polecenia. Tanus

pochylił się i chwycił go za ramię. Poderwał chłopca i postawił bezpiecznie na podeście między nami.

- Jazda! - zawołał Memnon na Cierpliwość i Klingę.

Ruszyliśmy w otwartą pustynię, lecz przedtem posłałem do floty gońca z wiadomością dla królowej, w której powiadałem ją, że księżę jest bezpieczny. Żadna lwica nie jest równie zaciekła w obronie swego szczenięcia jak moja pani.

Gdy wjechaliśmy na szlak pozostawiony przez wędrujące stado, rozległy pas ubitego piachu był szeroki jak rzeka. Kopyta oryksów są szerokie i ścięte ukośnie, by tym łatwiej poruszać się po miękkim piasku pustyni. Pozostawiają charakterystyczny ślad w kształcie hyksoskiego grotu. Wiele tysięcy tych wielkich antylop przeszło tą drogą.

- Kiedy? - zapytał Tanus, a ja zsiadłem, by zbadać tropy.

Wziąłem ze sobą Memnona, jako że nigdy nie marnowałem sposobności do nauczenia go czegoś nowego. Pokazałem mu, jak nocna bryza zatarła odciski kopyt i jak drobne owady i jaszczurki pokryły ślady stada swymi własnymi.

- Przechodziły tędy wczoraj wieczorem o zachodzie słońca - zawyrokowałem, a księżę poparł moją opinię. - Ale wędrują powoli. Przy odrobinie szczęścia dogonimy je przed południem.

Poczekaliśmy, dopóki nie nadciągnęły wozy. Napoiiliśmy konie i ruszyliśmy dalej szeroką, ubitą drogą przez wydmy.

Wkrótce napotykać poczęliśmy trupy słabszych zwierząt, które padły z wyczerpania. Były to najmłodsze oraz

najstarsze sztuki. Teraz kruki i sępy skrzeczały i kłóciły się na ich szczątkach, a małe czerwone szakale krążyły w pobliżu, mając nadzieję na uszczknięcie kaska dla siebie.

Jechaliśmy szerokim szlakiem, dopóki na południowym horyzoncie nie dostrzegliśmy rzadkiej mgiełki kurzu. Wtedy przyspieszyliśmy tempo. Po wjechaniu na grań skalistych wzgórz, których grzbiety tańczyły w rozgrzanym powietrzu, ujrzeliśmy rozciągające się w dole stada. Dotarliśmy do obszaru, nad którym przed tygodniami przeszła burza. Jak okiem sięgnąć pustynia przemieniona została w ogród kwiatów.

Ostatnie deszcze padały tutaj pewnie ze sto lat temu. Wydawało się to niemożliwe, lecz nasiona tamtych plonów leżały w uśpieniu przez cały ten czas. Słońce i pustynny wiatr prażyły je i suszyły w trakcie oczekiwania na kolejne opady. Gdyby ktoś wątpił w istnienie bogów, ten cud był dostatecznym dowodem. Gdyby wątpił w wieczną naturę życia, tu otrzymywał obietnicę nieśmiertelności. Skoro te kwiaty zdołały przetrwać, z pewnością ludzka dusza, nieskończenie piękniejsza i cenniejsza, musiała również trwać bez końca.

Krajobraz u naszych stóp ubarwiony był odcieniami łagodnej zieleni, kontury i sylwetki wzgórz podkreślone przez ciemnozielone połacie. Na ich tle cudowna tęcza kolorów rozświetlała ziemię. Kwiaty rosły w kępach i ławicach. Kwiecie każdego gatunku zdawało się szukać towarzystwa swych krewniaków niczym stada antylop czy ptaków. Pomarańczowe stokrotki rosły grupami

i skupiskami, te o białych płatkach pokrywały szronem całe zbocza. Wśród nich rozkwitały pola niebieskich mieczyków, purpurowych lili i żółtych wrzośców.

Nawet zbite w gąszcz pachruście w wąwozach i parowach, robiące wrażenie równie spalonych i wysuszonych jak mumie ludzi martwych od tysiąca lat, okryte były teraz świeżymi płaszczami zieleni, a wieńce żółtych kwiatów oplatały ich stare, zwiędnięte głowy. Było to zjawisko urocze, lecz ulotne. Nie minie miesiąc, a pustynia ponownie zatriumfuje. Kwiaty uschną na łodygach, trawa obróci się w pył rozwiewany na cztery strony świata rozpalonym tchnieniem wiatru. Nic nie pozostanie z tego przepychu, jedynie nasiona, drobne jak ziarna piasku, z podziwu godną cierpliwością przeczekujące lata.

- Takie piękno powinno się dzielić z ukochaną osobą - westchnął oczarowany Tanus. - Gdyby tak królowa mogła być tu ze mną!

To, że był tak poruszony, dowodziło jedynie wspaniałości widoku. Ten żołnierz i myśliwy przynajmniej na chwilę oderwał myśli od zwierzyny i podziwiał to przedstawienie z religijnym lękiem.

Okrzyk Kratasa z jadącego za nami rydwanu wyrwał nas z kontemplacji tego piękna.

- Na śmierdzący oddech Setha, musi ich tam być z dziesięć tysięcy!

Stada antylop ciągnęły się aż po zielone zarysy najdalszych wzgórz. Parę starych samców trzymało się

samotnie, odganiając pozostałe, lecz większość zbijała się w grupy po dziesięć i po sto, a niektórych stad nie sposób było oszacować, wielkie płowe plamy przypominały cienie chmur sunące po równinie. Wyglądało na to, że zebrały się tutaj wszystkie oryksy z całej Afryki.

Zanim rozpoczęło się polowanie, ponownie napoiłszy konie. Skorzystałem z okazji, by wyjść nieco do przodu i przyjrzeć się temu olbrzymiemu zgromadzeniu żywych istot. Zabrałem oczywiście ze sobą Memnona, lecz gdy spróbowałem wziąć go za rękę, wysunął palce z mego uścisku.

- Nie prowadź mnie za rękę przy ludziach, Taito - pouczył z namaszczeniem. - Pomyśl, że jestem jeszcze dzieckiem.

Gdy stanęliśmy na tle nieba, najbliższe zwierzęta podniosły głowy, przypatrując się nam z łagodną ciekawością. Zrozumiałem, że zapewne nie spotkały dotąd ludzkiej istoty i nie widziały w naszej obecności żadnego zagrożenia.

Oryks to wspaniałe stworzenie, wysokie jak koń, obdarzone podobnie długim, zamiatającym ziemię, falistym ogonem ciemnej barwy. Jego pysk pokryty jest skomplikowanymi, spiralnie lub równolegle układającymi się prążkami na bladym, piaskowym tle. Sztynna, ciemna grzywa porasta mu kark, jeszcze potęgując wrażenie pokrewieństwa z koniem, rogi zaś różnią się od tych, jakimi pyszną się inne istoty stworzone z woli bogów. Są smukłe, proste i zaostrzone jak sztylet, który noszę za pasem. Są prawie tak długie, jak wysokie jest samo zwierzę,

i stanowią groźną broń. Inne antylopy są potulne i nieszkodliwe, oryks natomiast bronić się będzie nawet zaatakowany przez lwa.

Opowiedziałem Memnonowi o ich odwadze i wytrzymałości, wytłumaczyłem, w jaki sposób potrafią spędzić całe życie, nie pijąc wody ze stawu czy rzeki.

- Wodę czerpią z rosy, a także z pustynnych korzeni i bulw, które wykopują z ziemi kopytami.

Memnon przysłuchiwał się chciwie, jako że zamiłowanie do łowów odziedziczył z krwią ojca, ja zaś nauczyłem go szacunku dla wszelkich dzikich stworzeń.

- Prawdziwy łowca rozumie i szanuje ptaki i zwierzęta, na które poluje - powiedziałem, a on skinął z powagą głową.

- Chcę być prawdziwym łowcą i żołnierzem, tak jak księżę Tanus.

- Człowiek nie otrzymuje tych darów przy urodzeniu. Musi się tego nauczyć tak samo, jak ty musisz nauczyć się być wielkim i sprawiedliwym władcą.

Poczułem ukłucie żalu, gdy Tanus oznajmił okrzykiem, że konie zostały napojone, a kiedy się obejrzałem, zobaczyłem woźniców wsiadających z powrotem do rydwanów. Wolałbym spędzić resztę dnia z moim księciem na obserwacjach królewskiego pokazu na równinach w dole. Wróciłem niechętnie, by ująć na powrót wodze i wyprowadzić rydwan na czoło kolumny.

Na pomostach innych wozów strzelcy napinali łuki, gorączka polowania ogarnęła wszystkich. Byli jak trzymane

na krótkiej smyczy myśliwskie psy czujące w nozdrzach woń zwierzyny.

- Hej, książę Tanusie! - zawołał Kratas. - Zakład o wynik?

- Zawrzyj j eden w moim imieniu - mruknąłem, zanim Tanus zdążył odpowiedzieć. - Stary samochwała nigdy nie strzelał z pędzącego rydwanu.

- Tylko czyste trafienia - odkrzyknął Tanus. - Zwierzęta z cudzymi strzałami się nie liczą. - Każdy łucznik znaczył brzechwę strzały własnym motywem, by później móc ją odzyskać. Znakiem Tanusa był wadzet, oko Horusa. - Deben złota za każdą antylopę powaloną twoją strzałą.

- Niech będzie dwa - zaproponowałem. - Jeden dla mnie.

Nie jestem hazardzistą, ale to nie miało nic wspólnego z hazardem. Tanus wziął swój nowy łuk refleksyjny, a ja byłem najlepszym woźnicą w całej armii.

Nadal pozostawaliśmy nowicjuszami, ale dokładnie przestudiowałem sposób, w jaki Hyksosi używali rydwanu. Każdy manewr, który ich oddziały wykonały owego straszego dnia na polach pod Abnub, wyrył się w mej pamięci. Dla mnie było to nie tylko polowanie dla mięsa i rozrywki, lecz praktyka i ćwiczenia przed znacznie wspanialszą grą wojenną. Musieliśmy nauczyć się prowadzić formacje z jak największą dla nas korzyścią i kierować w pełnym pędzie pośród bitewnego zamieszania, w sytuacji zmieniającej się z każdym posunięciem przeciwnika, wystawieni na wszelkie przypadki i zagrożenia wojny.

Gdy wjechaliśmy kłusem na równinę, dałem pierwszy sygnał i kolumna rozpadła się na trzy szeregi. Rozwarliśmy się płynnie niczym płatki lilii. Skrzydła wygięły się na zewnątrz w kształt byczych rogów, by otoczyć zwierzynę, natomiast moja centralna kolumna rozstawiła się w szyku czołowym, zostawiając między piastami kół sąsiadujących wozów trzy długości rydwanu. Stanowiliśmy byczą pierś. Rogi miały przytrzymać przeciwnika, dopóki nie nadciągniemy i nie zgnieciemy go w brutalnym uścisku.

Przed nami rozproszone stada antylop podnosić poczęły głowy, spoglądając na nas z pierwszymi oznakami zaniepokojenia. Zaczęły się przemieszczać, po drodze zabierając współtowarzyszy, małe stada łączyły się w większe tak samo jak pojedynczy głaz staczający się po zboczu wywołuje lawinę kamieni. Wkrótce cała równina ożyła poruszającymi się antylopami, galopującymi specyficznym, rozkołysanym krokiem. Kurz uniósł się bladą mgiełką i zawisł nad kołyszącymi się grzbietami. Długie, ciemne ogony trzepały z boku na bok.

Zwolniłem tempo do stępa. Nie chciałem za szybko zmęczyć koni długim pościgiem trop w trop. Przypatrywałem się gęstszemu, wyższemu chmurom pyłu wzbijanym przez dwie skrzydłowe kolumny, szybko obchodzące łukiem stado z obu stron.

W końcu zetknęły się w oddali i pierścień się zamknął. Gdy ich droga ucieczki została odcięta, stada antylop zwolniły. Zaczęły kotłować się w nieładzie, zwierzęta na czele grupy zawracały, wpadały na te podążające za nimi.

Posłusznie wykonując moje rozkazy, skrzydłowe kolumny również zwolniły, skoro tylko zakończyły manewr okrążający, i wróciły ku środkowi kręgu. Mieliśmy w garści to wielkie stado i teraz z wolna zwiększaliśmy nacisk. Większość ogłupiałych zwierząt zatrzymała się, nie wiedząc, w którą stronę uciekać. Gdzie nie spojrzały, widziały napierającą na nie linię rydwanów.

Zbliżaliśmy się spokojnym krokiem, a nasze konie wciąż były świeże i chętne do biegu. Im także udzieliła się atmosfera podniecenia, rzucały łbami, szarpiąc za lejce, parskając i wywracając oczyma, tak że pokazywały się białka. Stado wznowiło swój ruch bez konkretnego kierunku. Antylopy kłębiły się w miejscu, rzucając się niezdecydowanie na boki, zatrzymując się i gnając w inną stronę.

Byłem zadowolony z opanowania i dyscypliny oddziałów. Sztywno utrzymywały szyk, nie skupiały się w grupy, unikając tworzenia szczelin w naszych szeregach. Podawane przeze mnie sygnały powtarzane były wzdłuż linii i bezzwłocznie wykonywane. Nareszcie stawaliśmy się armią. Wkrótce będziemy mogli z powodzeniem stawić czoło każdemu przeciwnikowi, nawet hyksoskim weteranom, którzy całe swe życie spędzali na pomostach rydwanów.

Sięgnąłem za siebie i złapałem księcia Memnona za ramię. Przyciągnąłem go do przodu i przycisnąłem do ścianki rydwanu. Zastawiłem go tam własnym ciałem, a on

chwycił się przedniej krawędzi. Teraz Tanus miał obie ręce wolne i mógł użyć łuku, a książę był bezpieczny.

- Pozwól mi wziąć lejce, Taito. Będę powozić - poprosił Memnon.

Zezwalałem mu już na to uprzednio, tak więc powiedział to z całą powagą, choć był tak niskiego wzrostu, że ledwie cokolwiek widział ponad krawędzią rydwanu. Nie ośmieliłem się z niego zaśmiać, jako że traktował siebie bardzo poważnie.

- Następnym razem, Mem. Teraz patrz i się ucz.

Byliśmy już mniej niż o sto kroków od najbliższej antylopy i oryksy nie mogły dłużej znieść naszego natarcia. Prowadzone przez starą wystraszoną samicę złożone ze stu sztuk stado zaszarżowało wprost na naszą linię. Na mój znak skróciliśmy szyk, dopóki nie pędziliśmy koło w koło nieprzerwaną ścianą koni i ludzi. Trębacze zagrali do ataku. Poderwałem mój zaprzęg do galopu i na złamanie karku runęliśmy im na spotkanie.

Tanus strzelał ponad moim prawym ramieniem. Odprowadzałem wzrokiem każdą jego strzałę, która przemierzała zmniejszającą się przestrzeń między nami a stadem. Nigdy przedtem nie strzelał z rozpędzonego rydwanu, toteż gdy pojazd wpadł w stado galopujących antylop, pierwsze trzy strzały wyraźnie chybiły celu. Lecz Tanus był mistrzem łuku i szybko wymierzył dokładniej. Następną strzała trafiła prosto w pierś starej łani, wciąż prowadzącej szarżę. Z pewnością przebiła jej serce, gdyż zwierzę zaryło się pyskiem w piach i przetoczyło przez

głowę. Biegące za nią antylopy rozstąpiły się, by ją ominąć, wystawiając boki na cel Tanusowi. Dlatego też widok dwóch kolejnych strzał skręcających i przelatujących za galopującymi antylopami był zgoła fascynujący.

Odwieczną pokusę stanowi strzelanie prosto w biegnący cel, nie zaś w puste miejsce przed nim, gdzie znajdzie się, gdy dogoni go strzała. Ruch rydwanu w odniesieniu do celu jeszcze bardziej komplikuje wyliczenie. Starąłem się wyprowadzić pojazd na jak najłatwiejszą pozycję, zwracając rydwan równo ze skrętami zwierzyny. Nie zdziwiłem się jednak, że jeszcze dwie strzały Tanusa chybiły celu.

Potem niczym mistrz łuku, którym w końcu jest, wziął poprawkę na wyprzedzenie i następna strzała zagłębiła się po lotki w piersi antylopy. Zabił trzy kolejne trzema następnymi. Polowanie zmieniło się w dzikie zamieszanie, a kurz przesłaniał wszystko, ukazując jedynie przebiegające najbliżej rydwany i zwierzęta.

Jechałem tuż za parą oryksów i z wolna je doganiałem. Wtedy kopyta jednego wyrzuciły w górę odłamek ostrego krzemienia wielkości ostatniej części mego kciuka. Kamień uderzył Memnona w czoło, zanim książę zdążył się uchylić, i gdy na mnie spojrzał, dostrzegłem krew sączącą się z płytkiego rozcięcia nad okiem.

- Jesteś ranny, Mem! - zawołałem i zacząłem ściągać konie.

- To nic - odparł, rogiem szala wycierając krew. - Nie zatrzymuj się, Tata. Dalej za nimi! Kratas nas pobije, jeżeli tego nie zrobisz.

Gnaliśmy więc dalej przez obłoki kurzu, łuk Tanusa za moimi plecami wyśpiewywał swą straszną pieśń, a księżę pokrzykiwał i piszczał w podnieceniu jak szczeniak pierwszy raz ścigający królika.

Część antylop przedarła się przez nasze linie i uciekła na pustynię, inne zostały zawrócone w pułapkę. Podekscytowani ludzie krzyczeli z dumą, konie rżały cicho, a antylopy prychały i ryczały, gdy strzały biły w nie, powalając je na ziemię w plątanie nóg i rogów. Wokół brzmiał grzmot kopyt i kół, spowijała nas żółta mgiełka kurzu.

Nawet najlepszy i najbardziej chętny zaprzęg może gnać pełnym galopem jedynie przez pewien czas. Gdy zwolniłem wreszcie krok Cierpliwości i Klingi do stępa, zlepiony potem kurz oklejał im boki, a głowy zwiesiły nisko, co świadczyło o tym, że klacze są całkowicie wyczerpane.

Chmury kurzu przesłaniające pole odpłynęły powoli gnane wiatrem i rozproszyły się. Równina przedstawiała straszliwy widok.

Nasz oddział rozproszony był po całym polu. Naliczyłem pięć rydwanów, których koła rozsypały się podczas pościgu. Powywracane pojazdy wyglądały jak połamane zabawki rozdrażnionego giganta. Ranni ludzie leżeli na piaszczystej ziemi obok rozbitych rydwanów, a towarzysze klęczeli nad nimi, opatrując im rany.

Zatrzymały się nawet te wozy, które wyszły z polowania bez uszczerbku. Konie były zdyszane i wyczerpane. Ciężko robiły bokami, z trudem łapiąc oddech, biała piana spadała

płatami z pysków. Wszystkie były mokre od potu, jakby dopiero co przepłynęły przez rzekę.

Zwierzyna rozproszyła się po polu równie nieskładnie. Wiele tych wielkich stworzeń było martwych, ich zwłoki leżały nieruchomo rozciągnięte na boku. Wiele innych zostało rannych lub okaleczonych. Niektóre stały ze zwieszonymi łbami. Inne kuśtykały przez wydmy powolnym, nierównym krokiem. Każda strzała pozostawiła ciemną plamę wilgotnej krwi na bladej, dereszowatej skórze.

Tak wygląda żalosne zakończenie każdego polowania, gdy wygasają już gorączka i podniecenie, gdy trzeba pozbierać ranną zwierzynę i położyć kres jej cierpieniom.

Niedaleko od nas ujrzałem starego samca siedzącego na sparaliżowanych zadnich nogach, wspierającego się sztywnymi przednimi kończynami. Pocisk, który go okaleczył, sterczał tak wysoko znad jego grzbietu, że wiedziałem, iż grot przebił mu kręgosłup. Wyjąłem drugi łuk z uchwytu na burcie rydwanu i zeskoczyłem z pomostu na ziemię. Gdy zbliżałem się do rannego oryksa, ten obrócił głowę, by na mnie spojrzeć. Ostatnim bohaterskim wysiłkiem powłókł za sobą sparaliżowane nogi i rzucił się na mnie. Wymachiwał w moją stronę długimi, czarnymi rogami, lecz jego oczy zachodziły łzami śmiertelnego bólu. Zmuszony byłem posłać mu dwie strzały w pierś. Wtedy dopiero wydał ostatni jęk, przetoczył się na bok, wierzgnął konwulsyjnie i znieruchomiał.

Gdy wspiąłem się do rydwanu, zerknąłem na twarz księcia. Jego oczy były wilgotne od łez, usmarowane krwią

oblicze wykrzywiało współczucie dla antylopy. Memnon odwrócił ode mnie twarz, tak bym nie widział jego łez, ale ja byłem z nich dumny. Ten, kto nie zna współczucia dla ściganej zwierzyny, nie jest prawdziwym myśliwym.

Ująłem dłońmi kędzierzawą głowę i obróciłem ją w moją stronę. Delikatnie oczyściłem ranę na czole i zabandażowałem ją pasem płótna.

Obozowaliśmy tej nocy na równinie kwiatów i ciemność przesycona była ich słodkim zapachem silniejszym od woni świeżo rozlanej krwi.

Księżycyca nie widzieliśmy, lecz gwiazdy zapełniały całe niebo. Wzgórza skąpane były w ich srebrzystym blasku. Do późna przy ogniskach rozkoszowaliśmy się smażonymi na węglach wątrokami i sercami antylop. Księżę siedział początkowo przy ogniu między Tanusem i mną, lecz oficerowie i żołnierze rywalizowali o jego względy. Całkowicie podbił ich serca i na ich zaproszenie bez skrupowania przechodził od jednej grupy do następnej. Dobierali słowa i żarty tak, by były stosowne dla jego uszu, więc księżę czuł się swobodnie w ich towarzystwie.

Żołnierze ciągle wracali do tematu jego zabandażowanej głowy.

- Teraz jesteś prawdziwym żołnierzem - mówili - jednym z nas - po czym pokazywali mu swoje blizny.

- Słusznie postąpiłeś, pozwalając mu jechać z nami - powiedziałem Tanusowi, podczas gdy obaj z dumą przypatrywaliśmy się Memnonowi. - To najlepsza szkoła, jaką może otrzymać młody żołnierz.

- Ludzie już go kochają - zgodził się Tanus. - Dowódcy potrzebne są dwie rzeczy. Jedna to szczęście, druga zaś to oddanie jego wojsk.

Po przeciwnej stronie ogniska Kratas uczył Memnona odczytanej wersji pułkowych pieśni marszowych. Księżę miał przyjemny, czysty głos, a żołnierze klaskali do rytmu, włączając się do refrenów. Zaprotestowali głośno i gwałtownie, gdy spróbowałem w końcu zaprowadzić Memnona na posłanie, które dla niego przygotowałem pod rydwanem, a poparł ich nawet Tanus.

- Niech chłopak jeszcze trochę z nami zostanie - polecił.

Było już dobrze po północy, gdy wreszcie zdołałem zawiązać księcia w przykrycie z baraniej skóry.

- Tata, czy będę kiedyś umiał strzelać tak jak księżę Tanus? - zapytał sennie.

- Będziesz jednym z wielkich generałów Egiptu i pewnego dnia wykuję opisy twych zwycięstw na kamiennych obeliskach, tak by cały świat się o nich dowiedział.

Rozmyślał o tym przez chwilę, a potem westchnął.

- Kiedy zrobisz dla mnie prawdziwy łuk, a nie zabawkę?

- Kiedy tylko będziesz w stanie go napiąć - obiecałem.

- Dziękuję ci, Tata. To mi odpowiada - i zasnął tak błyskawicznie jak zdmuchnięty płomień lampy.

Powróciliśmy triumfalnie do miejsca postoju floty, wozy załadowane zostały solonym i wysuszonym na słońcu mięsem. Spodziewałem się, że moja pani ostro wyrzucać mi będzie uprowadzenie księcia. Przygotowałem mowę

obrońcą i zdecydowałem, że całą winę złożę na szerokie barki księcia Harrab.

Jej pretensje okazały się jednak znacznie łagodniejsze, niż przewidywałem. Powiedziała Memnonowi, że jest złym dzieckiem, martwiąc ją w ten sposób, potem zaś przytuliła go, omal przy tym nie dusząc. Kiedy obróciła się do mnie, wyrzuciłem z siebie długie tłumaczenie roli Tanusa w całej tej historii, kładąc nacisk na bezcenne szkolenie i doświadczenie, jakie zebrał dzięki temu ksiączę, lecz ona przeszła do porządku dziennego nad tym zdarzeniem.

- Kiedy ostatni raz wybraliśmy się razem na ryby? - zapytała.

- Idź po swoje ościenie, Taito. Weźmiemy łódź. Tylko my dwoje na rzece, jak w dawnych dobrych czasach.

Wiedziałem, że niewiele czasu poświęcimy łowieniu ryb. Chciała znaleźć się ze mną na osobności na wodzie, gdzie nikt nie mógł nas podsłuchać. Cokolwiek ją kłopotalo, sprawa była poważna.

Powiosłowałem w dół płytkiej, wolno płynącej zielonej rzeki, dopóki urwisty cypel na zakręcie Nilu nie zasłonił nas przed flotą. Wszystkie próby zagajenia rozmowy spęły na niczym, więc odłożyłem wiosło i wziąłem lutnię. Grałem i śpiewałem najbardziej przez nią lubiane pieśni. Czekałem, by się odezwała.

W końcu Lostris zerknęła na mnie, jej spojrzenie wypełnione było niezwykłą mieszanką radości i niepokoju.

- Taito, chyba będę miała drugie dziecko.

Nie znajduję żadnego powodu, dla którego to oświadczenie miałyby mnie aż tak zaskoczyć. Przecież każdej nocy od opuszczenia Elefantyny ona i dowódca jej armii łączyli się w sekretnym związku, podczas gdy ja trzymałem straż przed drzwiami kabiny. Niemniej ogarnęło mnie takie przerażenie, że moja dłoń zamarła na strunach lutni, a pieśń w gardle. Minęło parę chwil, zanim odzyskałem mowę.

- Moja pani, czy używałaś ziołowego naparu, który dla ciebie przygotowałem? - zapytałem nieśmiało.

- Czasami tak, a czasami zapomniałam o tym - uśmiechnęła się wstydliwie. - Książę Tanus potrafi być bardzo popędliwy. Ponadto manipulowanie dzbanami i słojami jest tak mało romantyczne, kiedy na zrobienie czekają lepsze i ważniejsze rzeczy.

- Jak płodzenie dzieci pozbawionych królewskiego ojca, który mógłby się do nich przyznać.

- To chyba poważny problem, prawda?

Zagrałem akord na lutni, gdy szukałem odpowiedzi.

- Chyba poważny? Hmm, myślę, że to niewłaściwe słowo. Jeżeli urodzisz bękarta lub jeśli weźmiesz sobie męża, zmuszona będziesz do zrzeczenia się regencji. Taki jest zwyczaj i takie jest prawo. Książę Merseket będzie następny w kolejce do władzy, lecz cała arystokracja zaangażuje się w sekretne zmagania o to stanowisko. Pozbawiony twojej opieki jako regentki książę znajdzie się w wielkim niebezpieczeństwie. Będziemy rozdierani

morderczą walką... - przerwałem, drżąc na samą myśl o tym.

- Tanus mógłby zostać regentem zamiast mnie, a wtedy mogłabym go poślubić - zasugerowała z ożywieniem.

- Nie myśl, że i mnie nie przychodziło to już do głowy - odparłem ponuro. - Rozwiązywałoby to wszystkie nasze kłopoty. Ale pozostaje problem samego Tanusa.

- Jeżeli go o to poproszę, z chęcią to zrobi. Jestem o tym przekonana - uśmiechnęła się z ulgą - a ja zostanę jego żoną. Nie będziemy musieli dłużej odgrywać tych przedstawień i uciekać się do podstępów, by być razem.

- Chciałbym, by było to takie proste. Ale Tanus nigdy się nie zgodzi. Nie może...

- Cóż to znowu za głupota?

Pierwsze iskierki gniewu zapaliły się w jej oczach, więc wyjaśniłem pospiesznie.

- Tamtej nocy w Tebach, gdy faraon posłał ludzi, by aresztowali Tanusa pod zarzutem buntu, próbowaliśmy nakłonić go, żeby przyjął koronę. Kratas i wszyscy jego oficerowie przyrzekli mu poparcie swoje i całej armii. Chcieli pomaszerować na pałac i osadzić Tanusa na tronie.

- Dlaczego się nie zgodził? Byłby świetnym królem, a nam zaoszczędziłoby to wiele bólu.

- Tanus odrzucił ich propozycję. Oznajmił, że nie jest zdrajcą i że nigdy nie zasiądzie na tronie Egiptu.

- To było dawno temu. Wszystko się zmieniło - zakrzyknęła z rozpaczą.

- Nie, nie zmieniło się. Tanus złożył tamtego dnia przysięgę, przywołując na świadka boga Horusa. Przysięgł, że nigdy nie włoży na skronie korony.

- Ale to już się nie liczy. Może wycofać się z tej przysięgi.

- Czy ty wycofałabyś się z przysięgi złożonej przed bogiem Horusem? - zapytałem, ona zaś odwróciła wzrok i spuściła głowę.

- Zrobiłabyś to? - naciskałem, a ona z ociąganiem pokręciła głową.

- Nie - szepnęła. - Nie mogłabym.

- Ten sam kodeks honorowy wiąże Tanusowi ręce. Nie możesz żądać od niego czegoś, czego sama nie śmiesz uczynić - wytłumaczyłem łagodnie. - Oczywiście możemy się z tym do niego zwrócić, lecz oboje dobrze wiemy, jaka będzie odpowiedź.

- Musi być coś, co możesz dla nas zrobić.

Spojrzała na mnie ze ślepą ufnością, która tak mnie złościła. Za każdym razem, gdy wpakowała się w największe niebezpieczeństwo, zwracała się po prostu do mnie, mówiąc: „Musi być coś, co możesz dla nas zrobić”.

- Wyjście istnieje, lecz nie zgodzisz się na to, tak jak Tanus nie zgodzi się na przyjęcie korony.

- Jeżeli w ogóle ci na mnie zależy, nawet tego nie proponuj - natychmiast zrozumiała i odsunęła się ode mnie, jak gdybym ją uderzył. - Wolałabym sama umrzeć, niż zabić ten cud miłości, który Tanus umieścił w mym łonie. To dziecko jest nim, mną i naszą miłością. Nigdy nie mogłabym zamordować tego wszystkiego.

- W takim razie, Wasza Wysokość, nic więcej nie potrafię zaproponować.

Moja pani uśmiechnęła się do mnie z tak majestatyczną ufnością, że aż zabrakło mi tchu.

- Wiem, że coś wymyślisz, kochany Taito. Jak zawsze.

Wtedy przyśnił mi się sen.

Przedstawiłem mój sen przed całą radą państwa zwołaną przez regentkę Egiptu. Królowa Lostris i księżę Memnon zasiadali na tronie wysoko na rufówce „Oddechu Horusa”. Łódź cumowała przy zachodnim brzegu Nilu. Członkowie rady siedzieli poniżej na plaży.

Księżę Merseket i arystokracja reprezentowali świeckie ramię państwa. Arcykapłani Amona-Re, Ozyrysa i Hapi byli obecni w imieniu stanu kapłańskiego. Księżę Harrab wraz z pięćdziesięcioma oficerami występowali jako przedstawiciele armii.

Stałem przed tronem na odsłoniętym pokładzie, zwrócony twarzą do tego prześwietnego zgromadzenia. Zadałem sobie więcej trudu niż zwykle, by wyglądać jak najlepiej. Delikatnie, lecz starannie umalowałem twarz. Włosy nasączyłem pachnącymi olejkami i ułożyłem na sposób, który uczyniłem popularnym. Na szyi miałem dwa Złota Chwały, a moja pierś i ramiona ukształtowane były i wzmocnione przez powożenie rydwanu. Musiałem przedstawiać sobą widok niezwykłej piękności, gdyż wielu wlepiało we mnie wzrok, a pożądanie malowało się w spojrzeniach tych, których zainteresowania biegły w tę stronę.

- Wasze Wysokości - wykonałem uniżone pozdrowienie w stronę pary na tronie, a książę Memnon uśmiechnął się do mnie szelmowsko.

Jego głowę nadal okrywały bandaże, choć nie było to już konieczne. Był tak dumny ze swej rany wojennej, że pozwoliłem mu ich nie zdejmować. Zmarszczyłem czoło, on zaś przybrał wyraz twarzy bardziej stosowny do okoliczności.

- Wasze Wysokości, ostatniej nocy przyśnił mi się dziwny i cudowny sen, który uważam za swój obowiązek zrelacjonować. Błagam o pozwolenie, by rozpocząć.

- Każda osoba spośród tu zgromadzonych wie o twoim świętym darze - odparła łaskawie królowa Lostris. - Książę i ja pojmujemy, że potrafisz spoglądać w przyszłość i odczytywać wolę i życzenia bogów przez sny i wizje. Polecam teraz wyjawić powierzoną ci tajemnicę.

Skłoniłem się ponownie i odwróciłem się do członków rady.

- Minionej nocy spałem przed drzwiami do królewskiej komnaty, jak to jest mym obowiązkiem. Królowa Lostris spoczywała samotnie w swym łożu, książę zaś spał w alkwie za jej pościelą.

Nawet książę Merseket pochylił się i przytknął zwiniętą dłoń do zdrowego ucha, jako że na drugie był głuchy jak pień. Wszyscy uwielbiali dobre opowieści i pikantne przepowiednie.

- O trzeciej stróży zbudziłem się, cały okręt rozświetlała niesamowita poświata. Poczulem chłodny wiatr owiewający

policzki, a przecież wszystkie drzwi i bulaje były zamknięte.

Moja publiczność poruszyła się z zainteresowaniem. Uderzyłem we właściwą, upiorną nutę.

- Wtedy usłyszałem rozbrzmiewające w głębi kadłuba kroki, powolne i majestatyczne, jakich nigdy nie stawiał żaden śmiertelnik. - Zrobiłem dramatyczną pauzę. - Te niesamowite, mrozące krew w żyłach dźwięki dobiegały z ładowni łodzi.

Przerwałem ponownie, by dotarło do nich znaczenie moich słów.

- Tak, szlachetni, z ładowni, w której oczekuje na pochówek złota trumna faraona Mamose, ósmego tego imienia.

Niektórzy słuchacze zadygotali z lęku, inni pospiesznie wykonali znaki chroniące przed złem.

- Kroki zbliżały się do drzwi kabiny królowej, przy których leżałem. Niebiańska poświata stawała się coraz intensywniejsza. Kiedy ja drżałem na podłodze, przede mną pojawiła się postać. Miała człowiecze kształty, lecz nie był to człowiek, gdyż lśniła jak księżyc w pełni, jej twarz zaś stanowiła boskie wcielenie króla takiego, jakim go pamiętam, tyle że odmienione i napełnione przerażającą boskością.

Wszyscy byli skupieni i cisi. Nikt się nie poruszył. Przyjrzałem się ich twarzom, poszukując oznak niedowierzania, lecz na żadnej ich nie znalazłem.

Wtedy dziecięcy głos rozdarł nagle ciszę, księżę zakrzyknął głośno i wyraźnie:

- *BakHer!* To był mój ojciec. *BakHer!* To był faraon!

- *BakHer!* - inni powtórzyli ten okrzyk. - To był faraon. Oby żył wiecznie!

Poczekalem, dopóki znów nie zapadła cisza i przeciągnąłem ją do chwili, gdy niepewność stała się nieomal nie do zniesienia.

- Faraon zwrócił się w moją stronę, a ja nie mogłem się poruszyć. Minął mnie i wszedł do kabiny Jej Miłościwej Wysokości, Królowej Lostris. Choć nie byłem w stanie się ruszyć ani wydać dźwięku, widziałem wszystko, co się wydarzyło. Podczas gdy królowa nadal spała, boski faraon wspiał się na nią w całym swym majestacie i zaznał z nią małżeńskiej rozkoszy. Ich ciała połączyły się jak mężczyzna z kobietą.

Nadal na żadnym obliczu nie pojawił się nawet cień niewiary. Poczekalem, dopóki me słowa nie wywrą należytego efektu, a potem mówiłem dalej.

- Faraon powstał z łona śpiącej królowej, spojrzał na mnie i przemówił tymi słowy.

Potrafę naśladować brzmienie głosu innych ludzi tak dokładnie, że słuchający wierzą, iż są to słowa naśladowanej przeze mnie osoby. Teraz przemówiłem głosem faraona Mamose.

- „Obdarzyłem królową mą boskością. Stała się jednością ze mną i z bogami. Zapłodniłem ją mym boskim nasieniem. Ona, która nie znała innego mężczyzny oprócz mnie, urodzi dziecko mej królewskiej krwi. Będzie to znakiem dla

wszystkich, że cieszy się mą opieką i że dalej będę nad nią czuwał”.

Skłoniłem się ponownie w stronę królewskiej pary na tronie.

- Potem król przeszedł z powrotem przez okręt i skrył się w złotej trumnie, w której teraz spoczywa. Oto cała moja wizja.

- Oby faraon żył wiecznie! - zawołał książę Tanus, jak go przeszkoliłem, i okrzyk ten został podchwycony.

- Wiwat królowa Lostris! Oby żyła wiecznie! Wiwat boskie dziecko, które nosi w swym łonie! Oby wszystkie jej dzieci żyły wiecznie!

Tej samej nocy, gdy przygotowywałem się do snu, moja pani przywołała mnie do siebie i wyszeptała:

- Twoja wizja była tak wyrazista i przedstawiłeś ją tak dobrze, że nie zdołam zasnąć. Na wypadek gdyby faraon miał zjawić się ponownie, dobrze strzeż drzwi.

- Ośmielałem się stwierdzić, że ktoś może być na tyle odważny i bezczelny, by zakłócić królewski sen, lecz wątpię, by był to faraon Mamose. Gdyby jakiś zuchwalec rzeczywiście zjawił się z zamiarem wyzyskania twego dobrego i łagodnego usposobienia, co mam czynić?

- Śpij głęboko, kochany Taito, i zatkaj uszy. - Jej policzki zapłonęły różowo w świetle lampy.

Raz jeszcze me przewidywania dotyczące przyszłych wypadków okazały się trafne. Tej nocy do kabiny mojej pani przybył tajemniczy gość i nie był to duch faraona.

Postąpiłem tak, jak rozkazała królowa Lostris. Zatkaną uszy.

Nil wezbrał ponownie, przypominając nam, że upłynął kolejny rok. Zebraliśmy zboże zasiane na wyspach i spędziliśmy stada. Rozebraliśmy rydwany i ustawiliśmy je na odkrytych pokładach okrętów. Zwinęliśmy namioty i upchaliśmy je w ładowniach. Gdy wszystko gotowe było wreszcie do wymarszu, rozciągnęliśmy liny na brzegu i zaprzęgliśmy do nich każdego konia oraz każdego mocnego mężczyznę.

Pokonanie tej przerażającej katarakty kosztowało nas prawie miesiąc morderczej pracy. Utraciliśmy szesnastu utopionych ludzi i pięć okrętów, rozbitych i strzaskanych na szczapy kłami czarnych skał. Lecz w końcu znaleźliśmy się po drugiej stronie i pożeglowaliśmy gładkim nurtem rzeki powyżej bystrzyn.

Tygodnie zmieniały się w miesiące, a Nil zatoczył szeroki, majestatyczny łuk pod kilami. Od opuszczenia Elefantyny wykreślałem bieg rzeki. Wykorzystywałem słońce i gwiazdy do ustalenia kierunku, ale natrafiłem na znaczne kłopoty przy próbie wymierzenia pokonywanych przez nas odległości. Początkowo rozkazałem niewolnikowi, by szedł wzdłuż brzegu i liczył stawiane przez siebie kroki, lecz zdawałem sobie sprawę, że metoda ta była wystarczająco niedokładna, by moje obliczenia okazały się bezwartościowe.

Rozwiązanie przyszło mi do głowy któregoś poranka podczas ćwiczeń z rydwanami. Obserwowałem obracające

się prawe koło mego pojazdu i uświadomiłem sobie, że każdy obrót dokładnie wyznaczał długość przejechanego odcinka. Od tej pory któryś rydwan jechał zawsze wzdłuż brzegu. Do obręczy jednego koła przymocowałem chorągiewkę, a godny zaufania człowiek siedział w pojeździe i stawiał znak na zwoju za każdym razem, gdy go mijała.

Każdego wieczoru wyznaczałem kierunek i obliczałem pokonaną tego dnia odległość, zaznaczając je na mapie. Powoli wzór i kształt rzeki zaczął stawać się dla mnie jasny. Ujrzałem, że zrobiliśmy zamaszystą pętlę ku zachodowi, teraz zaś rzeka zawróciła na południe, tak jak przewidywali kapłani Hapi.

Wyniki moich kalkulacji pokazałem Tanusowi i królowej. Wiele długich nocy przesiedzieliśmy w monarszej kabinie, rozmawiając o biegu rzeki i o wpływie, jaki może to wywrzeć na nasze plany powrotu do Egiptu. Każda mila podróży wzdłuż rzeki nie dość, że nie osłabiała stanowczego postanowienia mojej pani, lecz zdawała się wręcz zwiększać moc obietnicy powrotu, jaką złożyła.

- Nie będziemy budować świątyń ani kamiennych pałaców w tej dziczy - rozkazała. - Nie wzniesiemy pomników ani obelisków. Nasz pobyt tutaj jest jedynie chwilowy. Nie zbudujemy miast, mieszkać będziemy na statkach albo pod namiotami lub w chatkach z trawy i sitowia. Jesteśmy wędrującą karawaną, która w końcu wróci do mego rodzinnego miasta, pięknych Teb o stu bramach.

- Dbaj o swoje mapy, Taito - zalecała mi na osobności. -
Ufam, że znajdziesz nam łatwą drogę do domu.

Tak więc nasza rzeczna karawana brnęła dalej, pustynia po obu jej stronach zmieniała wygląd z każdą milą, a jednak pozostawała wciąż taka sama.

Żeglując po rzece, staliśmy się silnie związaną społecznością, niemalże wędrownym miastem bez murów czy trwałych budowli. Życie rozkwitało i gasło. Nasze szeregi powiększały się, gdyż większość z tych, którzy wyszli z Elefantyny, była w kwiecie żywota, a kobiety płodne. Młode pary brały ślub na brzegu rzeki, rozbijając między sobą dzban nilowej wody. Dzieci rodziły się i wzrastały na naszych oczach.

Niektórzy starcy umierali, wypadki i niebezpieczeństwa zbierały żniwo wśród młodszych. Zabalsamowywaliśmy ciała i kopaliśmy groby na dzikich wzgórzach, pozostawiając zmarłych w objęciach snu, a potem znów ruszaliśmy w drogę.

Przestrzegaliśmy świąt i modliliśmy się do bogów. Ucztowaliśmy i pościliśmy we właściwym czasie, tańczyliśmy, śpiewaliśmy i studiowaliśmy nauki. Na pokładzie łodzi prowadziłem lekcje dla starszych dzieci, a Memnon był moim najlepszym uczniem.

Zanim skończył się rok, a rzeka wciąż biegła na południe, natrafiliśmy na trzecią kataraktę przegradzającą nurt Nilu. Raz jeszcze zeszliliśmy na brzeg, oczyściliśmy ziemię i zasialiśmy rośliny w oczekiwaniu na przybór wód, który miał być nam pomocą przy przeprawie.

Tam właśnie, u podnóża trzeciej katarakty kolejna radość wypełniła me życie.

W płóciennym namiocie na brzegu rzeki towarzyszyłem mej pani przy porodzie i przyjąłem na świat księżniczkę Tehuti, prawnie uznaną córkę dawno zmarłego faraona Mamose.

Dla mnie Tehuti była piękna jak cud. Kiedy tylko miałem okazję, siadałem przy jej łóżeczku i ze zdziwieniem oraz bojaźnią przyglądałem się maleńkim nóżkom i rączkom. Gdy była głodna i czekała na matczyne sutki, czasami wsadzałem jej w usta mój mały palec, by z radością poczuć, jak żuje go bezzębnymi dziąsłami.

Nil wezbrał nareszcie, umożliwiając nam przeprawę przez trzecią kataraktę. Pożeglowaliśmy dalej, a rzeka prawie niedostrzegalnie zawróciła z powrotem na wschód, kreśląc obszerną pętlę pod kilami naszych statków.

Przed końcem roku zmuszony byłem doświadczyć kolejnego z moich sławnych snów, jako że moja pani zaszła w następną dziewiczą ciążę, wytłumaczalną jedynie za pomocą ponadnaturalnych mocy. Duch zmarłego faraona znów grasował po okręcie.

Ciąża mojej pani była już poważnie zaawansowana, gdy dotarliśmy do czwartej wielkiej katarakty. Ta rynną kotłującej się wody najeżona skałami niczym krokodylami zębami była jeszcze potężniejsza od poprzednich i w naszej grupie zapanowało przygnębienie. Ludzie narzekali, sądząc, że nikt nie może ich podsłuchać.

„Jesteśmy otoczeni tymi piekielnymi skalnymi zaporami. Bogowie ustawili je w poprzek rzeki, by uniemożliwić nam dalszą podróż”.

Czytałem z ich warg, gdy zbijali się w grupki na brzegu. Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że nie słysząc ich, jestem w stanie zrozumieć, o czym mówią.

„Zostaniemy uwięzieni między tymi strasznymi progami i nigdy nie zdołamy popłynąć z powrotem w dół rzeki. Powinniśmy zawrócić teraz, dopóki nie jest za późno”.

Nawet podczas posiedzeń rady dostrzegałem te słowa na ustach wielkich panów Egiptu siedzących z tyłu zgromadzenia i rozmawiających przyciszonymi głosami.

„Jeżeli się nie zatrzymamy, wszyscy zginiemy na pustyni, a nasze dusze przez wieczność wędrować będą po niej, nie zaznając spokoju”.

Wśród młodych arystokratów była grupka butnych, a jednocześnie upartych ludzi. Ci podsycali niezadowolenie i knuli bunt. Zrozumiałem, że musimy działać szybko i zdecydowanie, gdy ujrzałem, jak księżę Aker mówi do jednego ze swoich służalców: „Jesteśmy w rękach tej kobiety, tej małej ladaczniczki zmarłego króla, podczas gdy w rzeczywistości trzeba nam silnego człowieka jako przywódcy. Musi być jakiś sposób, by jej się pozbyć”.

Najpierw z pomocą mego starego przyjaciela Atona wykryłem imiona wszystkich niezadowolonych i możliwych zdrajców. Nie zdziwiłem się, znalazłszy na czele tej listy tego samego księcia Akera, najstarszego syna księcia Merseketa, z którego ust odczytałem owe zakrawające na

zdradę zdania. Aker był młodym, gniewnym człowiekiem o nadmiernie wysokim mniemaniu o swej wartości i znaczeniu. Podejrzywałem, że miał czelność rozważać wizję siebie samego zasiadającego na tronie obu królestw z podwójną koroną na głowie.

Gdy wyjaśniłem Tanusowi i mojej pani, co należało moim zdaniem zrobić, zwołali wielką i uroczystą radę na brzegu rzeki.

Królowa Lostris otworzyła zgromadzenie.

- Wiem dobrze, że usychacie z tęsknoty za swym krajem i że nuży was ta długa wędrówka. Dzielę z wami wszystkie marzenia o Tebach.

Dostrzegłem Akera wymieniającego znaczące spojrzenia ze swymi towarzyszami i moje podejrzenia wzrosły.

- Jednakowoż, obywatele Egiptu, pozory często mylą i sytuacja nasza nie jest aż tak zła. Hapi czuwa nad naszą wyprawą, zgodnie ze swoją obietnicą. Jesteśmy znacznie bliżej Teb, niż się to komukolwiek z was zdaje. Gdy ruszymy w powrotną drogę do naszego ukochanego miasta, nie będziemy musieli wracać tym samym uciążliwym szlakiem. Nie będziemy musieli ponownie wystawiać się na niebezpieczeństwa i trudy tych piekielnych katarakt, przegradzających bieg rzeki.

Wśród słuchaczy zapanowało poruszenie, szmer powątpiewania i niewiary. Aker roześmiał się, nie dość głośno, by przekroczyć granice szacunku i przyzwoitości, lecz moja pani i tak to wyłowiła.

- Widzę, książę Akerze, że kwestionujesz prawdziwość moich słów?

- W żadnym wypadku, Wasza Wysokość. Przeklinam samą myśl o podobnej nielojalności - wycofał się pospiesznie Aker.

Nie był jeszcze wystarczająco silny, nie dość pewien poparcia dla siebie, by dążyć do starcia. Przyłapałem go, zanim zdążył się przygotować.

- Mój niewolnik, Taita, nakreślił bieg rzeki, po której płynęliśmy przez ostatnie lata - ciągnęła królowa Lostris.

- Wszyscy widzieliście rydwan z oflagowanym kołem mierzący odległość, Taita zaś obserwował ciała niebieskie, by ustalić kierunek naszej podróży. Rozkazuję mu teraz stanąć przed radą i ujawnić swe obliczenia.

Książę Memnon pomógł mi w rysowaniu kopii mapy na dwudziestu zwojach. W wieku dziewięciu lat miał już niezwykle pewną rękę do pióra. Rozdałem teraz papirusy wszystkim najdostojniejszym, by łatwiej przyszło im śledzenie mego wykładu. Zwróciłem ich uwagę na to, że od chwili wyruszenia z Elefantyny prawie zatoczyliśmy koło.

Ich zdumienie było widoczne. Jedyne kapłani dysponowali wcześniej pewną wiedzą na ten temat, oni także obserwowali gwiazdy i mieli jakąś wprawę w nawigacji. Lecz rozmiary tej pętli nawet ich zaskoczyły. Nie było to takie dziwne, gdyż kopie mapy, które im pokazałem, nie zostały wykonane zupełnie wiernie. Pozwoliłem sobie na pewną dowolność wobec faktów, mając na względzie Akera i jego grupę, i sprawiłem, że odległość

w poprzek łuku wydawała się krótsza, niż wskazywały moje obliczenia.

- Moi panowie, jak widać z tych map, od chwili wyruszenia znad drugiej katarakty pokonaliśmy blisko tysiąc mil, lecz od punktu wyjścia dzieli nas zaledwie kilkaset.

Kratas powstał z miejsca i zadał pytanie, które włożyłem mu w usta przed rozpoczęciem rady.

- Czy oznacza to, że możliwe jest przejście tym skrótem przez pustynię i dotarcie do drugiej katarakty w tym samym czasie, jaki zajmuje podróż z Teb do Morza Czerwonego i z powrotem? Kilkakrotnie pokonywałem już tę drogę.

- Towarzyszyłem ci podczas tej podróży - zwróciłem się do niego. - Zabrało to nam dziesięć dni w każdą stronę, a wówczas nie mieliśmy koni. Przekroczenie tego wąskiego pasa pustyni nie powinno być bardziej uciążliwe. Oznacza to, że można powrócić stąd do Elefantyny w ciągu kilku krótkich miesięcy i że konieczne będzie jedynie pokonanie pierwszej katarakty w Asuanie.

Zapanował gwar komentarzy i zadziwienia. Mapy przechodziły z rąk do rąk i poddawane były dokładnym oględzinom. Nastrój zgromadzenia zmienił się. Wszyscy z żalosnym zapałem starali się zaakceptować moją teorię. Ta nieoczekiwana bliskość domu i znanych ziem dodała im otuchy.

Jedynie Aker i jego przyjaciele byli zmieszani. Pozbawiono ich najlepszych kości w tej rozgrywce. Tak jak miałem

nadzieję, Aker poderwał się gniewnie na nogi, by zadać mi kolejne pytanie.

- Jak dokładne są gryzmoły tego niewolnika? - Jego ton był obraźliwy, a mina wyniosła. - Prostą sprawą jest postawienie kilku kresk na zwoju pergaminu, lecz gdy zamieni się je w mile piachu i skał, to już zupełnie inna historia. W jaki sposób ten niewolnik może udowodnić, że jego dzikie teorie są zgodne z rzeczywistością?

- Książę Aker trafił w samo sedno - wtrąciła się uprzejmie moja pani - a czyniąc to, wykazał wnikliwe zrozumienie stojącego przed nami problemu. Zamierzam wysłać przez ten język pustyni grupę złożoną z dobrych ludzi, by otworzyli drogę powrotną na północ, drogę wiodącą do domu, do pięknych Teb.

Ujrzałem, jak wyraz twarzy Akera zmienił się raptownie, gdyż pojął, w którą stronę kierowała się mowa królowej, i ujrzał zastawioną na siebie pułapkę. Usiadł pospiesznie, starając się robić wrażenie zamyślnego i dalekiego duchem. Moja pani mówiła jednak nieubłaganie:

- Byłam niezdecydowana co do tego, kto jest najbardziej odpowiedni do przewodzenia tej wyprawy, lecz teraz książę Aker, wykazując bystrość i zrozumienie, zgłosił się do tego podstawowej wagi zadania. Czy mam rację, panie? - zapytała słodko i ciągnęła gładko dalej, zanim mógł odmówić. - Jesteśmy ci wdzięczni, książę Akerze. Możesz wybrać każdy sprzęt i ludzi, jakich potrzebujesz. Rozkazuję, byś wyruszył przed następną pełnią księżyca. Światło księżyca ułatwi ci nocną wędrówkę, przez co unikniesz żaru

dnia. Poślę z tobą ludzi umiejących poruszać się według gwiazd. Powinieneś przedrzeć się do drugiej katarakty i z powrotem przed końcem miesiąca, a jeśli ci się powiedzie, umieszczę na twych ramionach Złoto Chwały.

Książę Aker gapił się na nią z otwartymi ustami. Siedział sztywno na miejscu jeszcze długo po tym, jak wszyscy się już rozeszli. Oczekiwałem, że wynajdzie jakiś wykręt, by wywinąć się od wykonania zadania, jakie mu narzuciliśmy, lecz ostatecznie zaskoczył mnie, przychodząc z prośbą o radę i pomoc w formowaniu oddziału zwiadowczego. Być może źle go oceniłem i skoro otrzymał teraz godną zachodu misję, była szansa, że z buntownika zmieni się w użytecznego uczestnika wędrówki.

Wybrałem dla niego najlepszych ludzi i konie, dałem mu też pięć najmocniejszych wozów, mieszczących szawłoki, których zawartość przy oszczędnym gospodarowaniu winna starczyć na trzydzieści dni. Gdy nadeszła pełnia, Aker był całkiem pogodny i pełen dobrej wiary, a ja czułem wyrzuty sumienia z powodu pomniejszenia czasu trwania i niebezpieczeństw jego wyprawy.

Gdy grupa wyruszyła w drogę, odprowadziłem ją kawałek na pustynię, by wskazać właściwy kierunek, a potem powiodłem za nią wzrokiem, dopóki nie stopiła się w jedno ze srebrzystym, rozświetlonym blaskiem księżycy odludziem, zmierzając ku wyznaczającej północny horyzont konstelacji gwiazd, którą zwiemy Lutnią.

Przez następne tygodnie, gdy obozowaliśmy poniżej czwartej katarakty, codziennie myślałem o Akerze, mając

nadzieję, że wręczone mu przeze mnie mapy nie były aż tak niedokładne, jak się obawiałem. W każdym razie przynajmniej bezpośrednia groźba buntu zniknęła na północy wraz z nim.

Podczas oczekiwania posialiśmy zboże na wykarczowanych wyspach i brzegach rzeki. Teren był wszakże bardziej stromy niż w innych miejscach w dole rzeki. Sprowadzanie wody do nawadniania pól okazało się znacznie trudniejsze i widziałem jasno, że jakość i ilość plonów musi wskutek tego ucierpieć.

Oczywiście ustawiliśmy szadufy o długich, zaopatrzonych w przeciwwagę ramionach, by czerpać wodę z rzeki. Obsługiwali je niewolnicy, opuszczający gliniane naczynie na końcu ramienia do wody, by po wyciągnięciu wylać jego zawartość do kanału irygacyjnego na brzegu. To powolna, wyczerpująca czynność. Jeżeli brzeg jest wysoki, tak jak to miało miejsce w tym przypadku, jest to także bardzo rozrzutna metoda nawadniania.

Każdego wieczoru robiliśmy sobie z Memnonem przejażdżkę wzdłuż brzegu i mizeria zapowiadających się plonów stanowiła dla mnie powód do zmartwienia. Mieliśmy do wyżywienia wiele tysięcy gąb, a pszenne placki nadal stanowiły podstawę naszej diety. Przewidywałem czas głodu, o ile nie zdołamy dostarczyć na pola więcej wody.

Nie wiem, co podsunęło mi na myśl wykorzystanie w tym celu koła, może to, że badanie tego hyksoskiego wynalazku stało się moją obsesją i życiową pasją. Wciąż prześladował mnie problem łamiących się kół naszych rydwanów. Moje

sny wypełniały wirujące, obracające się i pękające koła, koła z brązowymi nożami na obręczach i z flagami do odmierzenia odległości. Koła duże i małe – ich obrazy nawiedzały mnie i kłopotowały we śnie.

Od kapłana Hapi usłyszałem, że pewne gatunki drewna można utwardzić i nadać im giętkość przez długie moczenie w wodzie. Postanowiłem wypróbować ten pomysł. Gdy opuszczaliśmy w tym celu do rzeki koło od rydwanu, napierający na obręcz nurt począł obracać je na piaście. Przyglądałem się temu z założonymi rękoma, lecz gdy koło zanurzyło się głębiej, ruch ustał i więcej już o tym nie myślałem.

Parę dni później jedna z małych łodzi kursujących między wyspami wywróciła się, a dwaj znajdujący się w niej ludzie zostali porwani na bystrzyny i utonęli. Memnon i ja w strapieniu przyglądaliśmy się z brzegu tej tragedii. Skorzystałem z okazji, by raz jeszcze ostrzec księcia przed niebezpieczeństwami i potęgą rzeki.

- Prąd jest tak silny, że obróci nawet koło rydwanu.

- Nie wierzę ci, Tata. Mówisz tak, by mnie wystraszyć. Wiesz, jak kocham pływanie w rzece.

Zorganizowałem więc dla niego pokaz i obaj z należytym podziwem obserwowaliśmy koło, obracające się pozornie z własnej woli po zanurzeniu w wodzie.

- Obracałoby się szybciej, Tata, gdyby do obręczy przymocowane były wiosła – zawyrokował w końcu Memnon, a ja spojrzałem na niego ze zdumieniem. Miał

wtedy nieco ponad dziesięć lat, a jednak postrzegał wszystko świeżym, dociekliwym okiem.

Zanim nadeszła kolejna pełnia księżyca, zbudowaliśmy koło napędzane przez rzekę, nabierające wodę małymi, wypalnymi z gliny naczyniami i wylewające ją do wyłożonego glinianymi płytkami kanału na szczycie wysokiego brzegu Nilu. Moja pani mimo swego wielkiego brzucha zeszła na brzeg, by przyjrzeć się temu cudownemu urządzeniu. Wprawiło ją w zachwyt.

- Jesteś pełen pomysłów, jeżeli chodzi o rzeczy związane z wodą - powiedziała. - Pamiętasz ten wodny sedes, który dla mnie skonstruowałeś w Elefantynie?

- Mógłbym teraz zrobić ci następny, gdybyś tylko pozwoliła nam mieszkać w przyzwoitych domach jak cywilizowani ludzie.

Tanus był równie zadziwiony moim kołem wodnym, choć oczywiście tego po sobie nie pokazywał. Zamiast tego wyszczerzył zęby.

- Bardzo pomysłowe, ale kiedy się rozsypie, tak jak jedno z twoich sławetnych kół od rydwanów? - zapytał, a Kratas i inni armijni durnie uznali to za bardzo śmieszne.

Odtąd gdy tylko któreś koło łamało się, mówili, że „zrobiło Tata”, używając pieszczotliwego imienia, którym zwracał się do mnie książę.

Mimo tego braku powagi pola prosa na ilastej glebie wysokich brzegów wkrótce pokryły się gęstą zielenią, kłosa złocistej pszenicy zwieszały się ciężko w jaskrawym blasku nadrzecznego słońca. Nie był to jedyny plon, jaki

zebraliśmy przy czwartej katarakcie. Królowa Lostris urodziła następną maleńką księżniczkę. O ile to było możliwe, noworodek okazał się jeszcze rozkoszniejszy od swej starszej siostry.

Było rzeczą nader niezwykłą, że księżniczka Bekatha urodziła się z czupryną czerwonozłocistych kędziorków. Jej boski, niematerialny ojciec, faraon Mamose, miał ciemne włosy, a loki jej matki były ciemne niczym skrzydła czarnego orła. Nikt nie potrafił znaleźć przyczyny tego anormalnego zabarwienia, lecz wszyscy przyznawali, że jest ono urocze.

Księżniczka Bekatha miała dwa miesiące, gdy Nil począł raz jeszcze przybierać i zaczęliśmy czynić przygotowania do przeprawy przez czwartą kataraktę. Byliśmy już wprawieni w tym dorocznym teraz wysiłku i poznaliśmy wszystkie sztuczki i fortele, użyteczne przy pokonywaniu drapieżnej rzeki.

Nie zaczęliśmy jeszcze przeprawy, gdy w obozowisku wybuchło potężne zamieszanie. Okrzyki i wiwaty usłyszeliśmy na drugim brzegu, gdzie wraz z księciem Memnonem dokonywaliśmy inspekcji koni, upewniając się, że wszystko jest gotowe do rozpoczęcia wspinaczki w górę katarakty.

Pospieszaliśmy z powrotem do łodzi, przeprawiliśmy się na wschodni brzeg i wpadliśmy w sam środek panującego w obozie zamętu. Przepchnęliśmy się przez tłum wymachujący palmowymi liśćmi, śpiewający powitalne i pochwalne pieśni. Pośrodku tego mętliku znaleźliśmy małą

karawanę złożoną z poobijanych wozów i przypominających szkielety koni oraz grupkę szczupłych, zahartowanych wędrowników weteranów, spalonych na czarno słońcem po pomyślnym przejściu przez próbę wytrzymałości, jakiej poddała ich pustynia.

- Niech Seth przeklnie ciebie i twoją mapę, Taito - zawołał do mnie książę Aker z pierwszego wozu. - Nie wiem, kto z was gorzej kłamie. Odległość była prawie dwukrotnie większa, niż obiecywałeś.

- Naprawdę dotarłeś na północną stronę pętli rzeki? - odkrzyknąłem, podskakując w podnieceniu i starając się przebić przez ścisk.

- Tam i z powrotem - roześmiał się, wielce zadowolony ze swego osiągnięcia. - Rozłożyliśmy się obozem przy drugiej katarakcie i raczyliśmy się świeżymi rybami z Nilu. Powrotna droga do Teb stoi otworem.

Moja pani zarządziła ucztę na powitanie podróżników, a książę Aker został bohaterem dnia. W najważniejszym momencie uroczystości królowa Lostris zawiesiła mu na szyi Złoto Chwały i wyniosła go do rangi dowódcy dziesięciu tysięcy. Mdło mi się zrobiło, gdy ujrzałem, jak Aker puszy się i nadyma niczym paw. Jakby tego było mało, Lostris powierzyła mu dowództwo czwartej dywizji rydwanów i wydała zaświadczenie uprawniające go do otrzymania po powrocie do Teb stu feddanów najwyższej jakości nadrzecznej ziemi.

Uważałem to za lekką przesadę, zwłaszcza podarowanie takiej ilości ziemi, którą trzeba było wykroić z osobistych

posiadłości mojej pani. W końcu Aker znajdował się już na krawędzi buntu i choć jego osiągnięcie godne było pochwały, to ja przedstawiłem i zaplanowałem tę wyprawę. W tych okolicznościach wydawało mi się, że kolejny złoty łańcuch dla biednego niewolnika Taity nie byłby wcale nie na miejscu.

Niemniej jednak musiałem pochwalić spryt i zdolności dyplomatyczne królowej Lostris. Przekształciła księcia Akera, możliwe że jednego z najgroźniejszych przeciwników, w zagorzałego i wiernego zwolennika, który w nadchodzących latach miał wielokrotnie dowieść swej wartości. Umiała radzić sobie z ludźmi i każdego dnia z większą wprawą kierowała państwem.

Poskromienie księcia Akera i odkrycie szlaku przez jęzor pustyni zabezpieczyło nasze tyły, mogliśmy więc podążać w górę rzeki za czwartą kataraktę w doskonałym nastroju i z męstwem w sercu.

Wędrówka nie trwała nawet miesiąca, gdy dotarło do nas, jak odmieniła się nasza fortuna i jak dalece bóstwo wywiązało się ze swej obietnicy.

Każdego dnia jaśniejsze stawało się, że najgorsze mieliśmy już za sobą. Pustynia pozostała nareszcie w tyle i szeroki, powolny nurt rzeki raz jeszcze skręcił na południe, niosąc nas w krainy, których nikt nigdy nie oglądał.

Tam właśnie wielu pierwszy raz było świadkami cudu deszczu. Chociaż ja poznałem go oczywiście w Dolnym Królestwie, oni nigdy nie widzieli wody spadającej

z niebios. Deszcz smagał zadarte do góry, zdumione twarze, grzmoty przetaczały się przez chmury, a błyskawice oślepiały białym światłem.

Te obfite i regularne deszcze zrodziły nowy, pasjonujący krajobraz. Mogliśmy go tylko podziwiać ze zdumieniem. Na obu brzegach Nilu, jak daleko byliśmy w stanie sięgnąć okiem z pokładu czołowego okrętu, rozciągała się rozległa trawiasta sawanna. Ta wspaniała równina obfitująca w paszę dla koni niczym nie ograniczała zasięgu rydwanów. Mogliśmy zapuszczać się w nią do woli, nie napotykając wydm ani skalistych wzgórz, które mogłyby nas zatrzymać.

Nie było to jedyne błogosławieństwo, jakie otrzymaliśmy od Hapi. Były tam drzewa. Może w wąskiej dolinie, stanowiącej nasz dom, rosły kiedyś lasy. Tego nikt nie rozstrzygnie. Lecz już przed wiekami padły one ofiarą ludzkiej żądzy i toporów. Drewno stanowiło dla nas, Egipcjan, rzadki i ceniony towar. Każdą szczapę należało sprowadzić statkami lub na grzbietach jucznych zwierząt z odległych, obcych krain.

Teraz gdzie byśmy nie spojrzeli, widzieliśmy wielkie drzewa. Rosły nie w gęstych lasach, jakie znaleźliśmy na wyspach katarakt, lecz w wyniosłych gajach, rozległe trawiaste przestrzenie rozdzielały majestatyczne pnie. Na tych równinach było dość drewna, by na nowo wybudować wszystkie floty wszystkich narodów na wszystkich morzach świata. Więcej, starczyłoby go, żeby na nowo wybudować miasta całego cywilizowanego świata oraz pokryć dachem i wyposażać wszystkie pomieszczenia w każdym z nich. Po

dokonaniu tego pozostałoby go wciąż dość, by dostarczać opału przez przyszłe stulecia. My, którzy przez całe nasze życie gotowaliśmy jedzenie na brykietach ze zwierzęcych odchodów, rozglądaliśmy się wokół siebie w oszołomieniu.

Nie był to jedyny skarb, jaki czekał na nas w tym legendarnym kraju Kusz, do którego wreszcie dotarliśmy.

Ujrzałem je najpierw z oddali i wziąłem za kolumny szarego granitu. Stały na porośniętych żółtą trawą równinach i w cieniu rozłożystych konarów akacjowych gajów. Gdy przyglądaliśmy się im w zakłopotaniu, wielkie skały poczęły się poruszać.

- Słonie!

Nigdy żadnego nie widziałem, lecz nie mogło to być nic innego. Okrzyk ten podchwycili ludzie stojący wokół mnie na pokładzie.

- Słonie! Kość słoniowa!

Oto był majątek, o jakim nie śniło się faraonowi Mamose z całym jego grobowym bogactwem. Gdzie nie spojrzeliśmy, widzieliśmy niezmierne stada.

- Są tu ich tysiące. - Tanus rozglądał się, a w jego oczach pojawiła się pasja myśliwego. - Popatrz na to, Taito. Nie można ich policzyć.

Równiny zatłoczone były żywymi istotami, nie tylko stadami słoni. Biegały tam antylopy i gazy, niektóre rodzaje znane nam, innych nigdy przedtem nie widzieliśmy, a nawet o nich nie słyszeliśmy. W przyszłości mieliśmy dobrze je poznać oraz ustalić nazwy dla ich licznych i różnorodnych gatunków.

Oryksy mieszały się ze stadami purpurowych kobów o rogach wygiętych na kształt łuku, jaki sporządziłem dla Tanusa. Były tam plamiste żyrafy o szyjach sięgających do najwyższych gałęzi akacji. Rogi wyrastające z łbów nosorożców miały długość człowieka i ostrość grotu włóczni. Bawoły tarzały się w błocie na brzegu rzeki. To wielkie, podobne bykom bestie, czarne jak broda Setha i równie odrażające w każdym szczególe. Wkrótce poznać mieliśmy wrogość kryjącą się za melancholijnym spojrzeniem, jakim przyglądały się naszym statkom, i groźbę ich pochylonych, czarnych rogów.

- Wyciągnąć rydwany z ładowni! - ryknął niecierpliwie Tanus. - Zaprzęgać konie. Łowy rozpoczęte!

Gdybym znał niebezpieczeństwo, na spotkanie którego wyjeżdżaliśmy, nigdy nie zezwoliłbym księciu Memnonowi na wspięcie się za mną na platformę rydwanu, kiedy wyruszyliśmy na nasze pierwsze polowanie na słonie. Dla nas, nieświadomych niczego, wyglądały na potulne bydlęta, powolne, niezdarne i głupie. Byliśmy pewni, że stanowią łatwą zdobycz.

Tanus drżał z niecierpliwości, rwąc się do wyruszenia przeciw tej nowej zwierzynie, i nie zamierzał czekać na złożenie wszystkich czterech dywizji rydwanów. Gdy tylko pierwszy oddział pięćdziesięciu pojazdów był gotowy, rozkazał wsiadać. Długie kolumny rydwanów przetaczały się przez gaje wzdłuż brzegu rzeki, a my rzucaliśmy wyzwanie innym woźnicom, zakładając się o wynik polowania.

- Pozwól mi powozić, Tata - poprosił księżę. - Wiesz, że robię to równie dobrze jak ty.

Chociaż był urodzonym koniarzem o łagodnych rękach i instynktownej zdolności obchodzenia się z zaprzęgiem i choć ćwiczył się w tej sztuce nieomal codziennie, przechwałka była bezzasadna. Z pewnością nie był lepszym woźnicą ode mnie, żaden człowiek w całej armii nie mógł rościć do tego pretensji, a już na pewno nie jedenastoletni gałgan.

- Obserwuj mnie i się ucz - odparłem surowo, a gdy Memnon zwrócił się do Tanusa, ten przynajmniej raz stanął po mojej stronie.

- Taita ma rację. To coś, czego nikt z nas jeszcze nie robił. Trzymaj usta zamknięte, a oczy otwarte, chłopcze.

Nieduże stado tych dziwnych szarych bestii obżerało się strąkami nasiennymi opadłymi z górnych gałęzi drzew. Zbliżając się ku nim kłusem, obserwowałem je z ciekawością. Miały olbrzymie uszy, które rozstawiały szeroko, zwracając się w naszą stronę. Unosiły wysoko trąby i zgadywałem, że łapią nasz zapach. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek zetknęły się już z wonią człowieka albo konia.

Były z nimi młode i matki zgarnęły je do środka stada, trzymając nad nimi straż. Widok ich matczynej troski wzruszył mnie i po raz pierwszy zacząłem podejrzewać, że zwierzęta te nie są ani tak powolne, ani tak głupie, jak się wydawało.

- To same samice - krzyknąłem przez ramię do stojącego na pomoście Tanusa. - Mają ze sobą małe, a ich kły są niewielkie i niskiej wartości.

- Masz słuszność. - Tanus wskazał ponad moim ramieniem.

- Ale spójrz tam dalej. Te dwa to z pewnością samce. Zobacz, jakie są wysokie i masywne. Zobacz, jak ich kły świecą w słońcu.

Dałem znak jadącym za nami rydwanom i skręciliśmy w bok od pasącego się stada samic z młodymi. Przejechaliśmy kolumną przez akacjowy gaj, kierując się ku dwóm samcom. Po drodze zmuszeni byliśmy objeżdżać odłamane z drzew gałęzie i omijać pnie wyrwanych z korzeniami wielkich akacji. Nie wiedzieliśmy jeszcze nic o niewiarygodnej sile tych zwierząt, zawołałem więc do Tanusa:

- Potężna burza musiała przejść przez ten las, sądząc ze szkód, jakie wyrządziła.

Nie przyszło mi nawet do głowy, że odpowiedzialne za to były stada słońi; robiły przecież wrażenie tak potulnych i bezbronnych.

Dwa stare samce, które wybraliśmy, zauważyły, że się zbliżamy, i obróciły się ku nam. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie ich prawdziwy ogrom. Gdy rozpostarły uszy, zdawały się przesłaniać niebo niczym ciemnoszara chmura burzowa.

- Tylko popatrz na te kły! - zakrzyknął Tanus.

Nie odczuwał niepokoju i w głowie był mu jedynie łup, mający stanowić owoc tego polowania, konie wszakże stały się nerwowe i narowiste. Pochwyciły zapach tej dziwnej zwierzyny i zaczęły rzucać łbami, drobić nogami i skręcać na boki. Prowadzenie ich i zmuszenie do biegu po prostej linii stało się niezwykle trudne.

- Ten po prawej jest większy - pisnął Memnon. - Najpierw powinniśmy wziąć się za niego. - Szczenię było równie pełne zapału co jego ojciec.

- Słyszałeś królewski rozkaz - roześmiał się Tanus.

- Zajmiemy się tym po prawej. Niech Kratas weźmie sobie tego drugiego, jest dla niego w sam raz.

Uniosłem więc pięść i wydałem dłonią polecenie, które rozdzieliło kolumnę na dwa rzędy. Kratas odjechał w lewo, a dwadzieścia pięć rydwanów podążyło za nim sznurem, my zaś gnaliśmy wprost na wielką, szarą bestię, która zwróciła ku nam sterczące z olbrzymiego, szarego łba pożółkłe kościane pale, grube jak kolumny w świątyni Horusa.

- Prosto na niego! - wrzasnął Tanus. - Dopadnij go, zanim rzuci się do ucieczki.

- Jazda! - zawołałem na Cierpliwość i Klingę, a te zerwały się do galopu.

Obaj oczekiwaliśmy, że wielkie zwierzę zacznie przed nami uciekać, gdy tylko pojmie, że mu zagrażamy. Żadna zwierzyna, na którą dotąd polowaliśmy, nie przyjmowała naszej szarży stojąc. Nawet lew, o ile nie jest ranny albo osaczony, ucieka przed myśliwym. Czy te opasłe zwierzaki mogły zachować się inaczej?

- Jego wielki łeb będzie świetnym celem - triumfował Tanus, nakładając strzałę na cięciwę. - Zabiję go jednym pociskiem, zanim zdoła umknąć. Przejeżdż z bliska pod tym długim, śmiesznym nosem.

Reszta naszej kolumny rozciągnięta była za nami w jednym rzędzie. Nasz plan polegał na zbliżeniu się i rozdzieleniu na boki. Mieliśmy posyłać z obu stron samca strzały podczas przejazdu, zakręcać i powrócić, stosując klasyczną taktykę formacji rydwanów.

Znaleźliśmy się już w pobliżu, lecz zwierzę nadal ani nie drgnęło. Może słonie były równie głupie, jak na to wyglądały. Wydawało się, że to zwierzyna łatwa do zabicia i wyczułem, że Tanus jest rozczarowany perspektywą tak nieciekawych łowów.

- Dalej, stary durniu! - krzyknął pogardliwie. - Nie stój tak. Broń się!

Samiec jakby usłyszał i zrozumiał to wyzwanie. Zadarł trąbę i wydał dźwięczny ryk, który ogłuszył nas i oszołomił. Konie spłoszyły się i rzucony zostałem na burtę pojazdu z taką siłą, że obięłem sobie żebra. Na chwilę straciłem panowanie nad zaprzęgiem i zboczyliśmy z trasy.

Wtedy słoń zaryczał ponownie i poderwał się do biegu.

- Na Horusa, spójrz, jak pędzi! - wrzasnął zdumiony Tanus, gdyż bestia nie uciekała przed nami, lecz dziko zaszarżowała.

Była szybsza od konia i zwinna jak rozzłoszczony lampart opadnięty przez psy. Każdym zamaszystym krokiem

wzbijała kłęby kurzu i dopadła nas, zanim zdołałem na powrót opanować zaprzęg.

Spojrzałem na nią, jako że górowała bezpośrednio nad nami, wyciągając trąbę, by porwać nas z pomostu rydwanu. Z niedowierzaniem przyglądałem się jego masie i furii bijącej z oczu. To nie oczy zwierzęcia, lecz inteligentnej i czujnej istoty ludzkiej. To nie podobne świni gnuśne bydlę, ale odważny i groźny przeciwnik, któremu w naszej bucie i niewiedzy rzuciliśmy wyzwanie.

Tanus wystrzelił pojedynczą strzałę, która uderzyła samca w środek czoła. Spodziewałem się, że bestia runie na ziemię, gdy tylko brązowy grot przeszyje mu mózg. Nie wiedzieliśmy wtedy, że mózg słonia nie znajduje się tam, gdzie można by przypuszczać, lecz w tyle ogromnej czaszki, chroniony masą gąbczastej kości, której nie sposób było przebić strzałą.

Samiec nawet nie zwolnił ani nie skręcił. Wyciągnął tylko trąbę i schwycił jej końcem brzechwę, jak uczyniłby to człowiek ręką. Wyciągnął grot z ciała i odrzucił go, a potem popędził za nami, sięgając w naszą stronę usmarowaną krwią trąbą.

Uratował nas Hui, prowadzący drugi rydwan w naszej linii, byliśmy bowiem bezbronni wobec furii starego samca. Hui zajechał z boku, poganiając batem konie i wyjąc jak demon. Łucznik z pomostu za jego plecami posłał strzałę w bok głowy słonia o dłoń poniżej oka i to odwróciło jego uwagę od nas.

Słoń skręcił, by pognać za Huim, lecz zaprzęg był w pełnym galopie i wymknął się bez uszczerbku. Następny rydwan w szyku nie miał tyle szczęścia. Woźnica nie posiadał umiejętności Huiego, a zwrot wykonał niezdarnie. Samiec poderwał wysoko trąbę i opuścił ją z zamachem niczym katowski topór.

Słoń zdzielił lewego konia przez grzbiet tuż za kłębem i złamał mu kręgosłup tak czysto, że usłyszałem odgłos kręgów kruszących się jak łupliwe skorupy. Rażony koń zwalił się w pędzie, pociągając za sobą drugiego. Rydwan przekoziółkował, wyrzucając ze swego wnętrza ludzi. Słoń postawił nogę na ciele obalonego woźnicy, trąbą oderwał mu głowę i cisnął ją w niebo jak dziecięcą piłkę.

Poleciała w górę, wirując w powietrzu i rozpryskując jasny pióropusz różowej krwi z przzerwanej szyi.

Wtedy nadjechał następny rydwan w szeregu i odciągnął uwagę słonia od jego ofiary.

Zatrzymałem konie na skraju zagajnika, z przerażeniem spoglądając na masakrę naszego oddziału. Rozbite rydwany zaścielały pole, bo po lewej stronie Kratasowi nie wiodło się lepiej niż nam.

Dwa wielkie samce najeżone były strzałami, krew spływała strumieniami po ich cielskach, pozostawiając wilgotne smugi na zakurzonej, szarej skórze. Rany ichnie osłabiły, a jedynie wzmogły furję. Słonie miotały się po gaju, rozbijając powywracane rydwany, rozdeptując trupy koni masywnymi stopami, wyrzucając ciała wrzeszczących ludzi

wysoko w powietrze i rozgniatając je, gdy padały z powrotem na ziemię.

Kratas przejechał obok nas, krzycząc:

- Na swędzące wszy w pachwinie Seta, ale gorąca robota! W pierwszej szarży straciliśmy osiem rydwanów.

- Lepsza, niż się spodziewałeś, Kratasie! - odkrzyknął mu książę Memnon.

Zrobiłby lepiej, zachowując tę opinię dla siebie, gdyż w zamieszaniu aż do tej chwili zapomnieliśmy o chłopcu. Teraz wszakże Tanus i ja naskoczyliśmy na niego.

- Co do ciebie, mój chłopcze, miałeś już dosyć na dzisiaj - oznajmiłem stanowczo.

- Wracasz z powrotem do floty i to w te pędy - zgodził się Tanus i w tejże chwili obok nas przetoczył się pusty rydwan.

Nie wiem, co przytrafiło się jego załodze, prawdopodobnie została wyrzucona z pojazdu albo też jedna z rozwścieczonych bestii po prostu ją z niego porwała.

- Złapać te konie! - rozkazał Tanus, a gdy pusty rydwan został do nas przyprowadzony, powiedział do księcia: - Znikaj teraz. Zaprowadź ten rydwan z powrotem na plażę i czekaj tam na nasz powrót.

- Mój książę Tanusie - książę Memnon wyprostował się na całą wysokość, sięgając swemu ojcu do ramienia. - Sprzeciwiam się...

- Nie próbuj ze mną żadnych monarszych sztuczek, młody człowieku. Wracaj i sprzeciwiaj się u swojej matki, skoro

musisz – podniósł księcia jedną ręką i opuścił go na pusty pomost drugiego pojazdu.

- Książę Tanusie, moim prawem jest... – Memnon podjął ostatnią, rozpaczliwą próbę pozostania na polowaniu.

- Moim zaś prawem jest zmierzenie twych królewskich pośladków pochwą miecza, jeżeli jeszcze tu będziesz, gdy znowu się obejrzę – odparł Tanus i odwrócił się do niego plecami.

Obaj przestaliśmy myśleć o chłopcu.

- Gromadzenie kości słoniowej nie jest równie łatwe jak zbieranie grzybów – zauważyłem. – Będziemy musieli opracować lepszy plan.

- Tych stworzeń nie da się zabić, strzelając w głowy – warknął Tanus. – Podjedziemy ponownie i spróbujemy strzału między żebra. Nawet jeśli nie mają mózgu w czaszce, na pewno mają płuca i serce.

Ściągnąłem lejce, zadzierając głowy koni, lecz czułem, że mając w perspektywie powrót do walki, Cierpliwość i Klinga były równie nerwowe jak ja. Żadne z nas nie znalazło wielkiej przyjemności w pierwszym podejściu do łowów na słonie.

- Zajdę go od przodu – oznajmiłem Tanusowi – a potem odjadę na bok, żeby dać ci sposobność do strzału między żebra.

Zmusiłem konie do kłusa, a w miarę jak zagłębialiśmy się między akacje, stopniowo przyspieszyłem ich kroku. Wprost przed nami nasz słoń szalał po ziemi usianej szczątkami powywracanych rydwanów, ciałami martwych ludzi

i zmasakrowanych koni. Dostrzegł, że się zbliżamy, i wydał kolejny przeraźliwy ryk, który zmroził mi krew w żyłach, a konie zastrzygły uszami, bo ponownie się spłoszyły. Poskromiłem je lejcami i pojechaliśmy dalej.

Samiec zaszarżował nam na spotkanie niczym kamienna lawina tocząca się po stromym zboczu wzgórza. Oszalały z bólu przedstawiał przerażający widok, lecz utrzymywałem miarowe tempo jazdy, nie przynaglając koni do maksymalnego wysiłku. Gdy prawie się zderzyliśmy, zaciąłem je i wrzaskiem poderwałem do pełnego, szaleńczego galopu. W tej samej chwili wykręciłem ostro w lewo, odsłaniając Tanusowi bok samca.

Z odległości mniej niż dwudziestu kroków Tanus wpakował mu w pierś trzy strzały, jedną po drugiej. Wszystkie zagłębiły się za łopatką, wynajdując szpary między żebrami i zanurzając się na całą długość w suchej, szarej skórze.

Samiec ryknął ponownie, tym razem w śmiertelnej boleści. Choć próbował nas złapać, umknęliśmy poza zasięg jego trąby.

Obejrzałem się i zobaczyłem go stojącego w kurzu, lecz gdy znowu się odezwał, krew trysnęła z końca trąby niczym para z kociołka.

- Płuca! - krzyknąłem. - Dobra robota, Tanusie. Trafiłeś go w płuca.

- Znaleźliśmy na niego sposób - Tanus unosił się triumfem.

- Zawróć. Wsadzę mu jeszcze jedną, tym razem w serce.

Obróciłem pojazd, konie nie opadły jeszcze z sił i szły chętnie w zaprzęgu.

- Dalej, moje ślicznotki - zawołałem do nich. - Jeszcze raz. Jazda!

Chociaż śmiertelnie rażony, stary samiec daleki był wciąż od śmierci. Później miałem się przekonać, jak niechętnie dokonywały żywota te majestatyczne bestie. Znowu zaszarżował nam na spotkanie z odwagą i dumą, która napełniła mnie szacunkiem. Nawet w gorączce łowów i drząc o własne bezpieczeństwo, poczułem wstyd na myśl o torturze, jaką mu zadawaliśmy.

Może z tego powodu pozwoliłem koniom za bardzo się zbliżyć. Z szacunku dla niego chciałem dorównać mu własną odwagą. Gdy było już prawie za późno, wyprowadziłem zaprzęg z szarży, zamierzając minąć zwierzę tuż poza zasięgiem jego paskudnej trąby.

Wtedy właśnie rozpadło się prawe koło naszego rydwanu. Przez zawrotną chwilę koziółkowałem w powietrzu niczym akrobata, lecz nie był to pierwszy raz, gdy wyrzucony zostałem z pędzącego pojazdu, więc nauczyłem się spadać jak kot. Zamortyzowałem upadek i przetoczyłem się dwukrotnie. Ziemia była miękka, trawa zaś gruba jak materac. Poderwałem się, nie doznawszy uszczerbku i w pełni przytomny. Jednym rzutem oka przekonałem się, że dla Tanusa wywrotka nie skończyła się tak fortunnie jak dla mnie. Leżał bez ruchu rozciągnięty na ziemi.

Konie także się podniosły, lecz nieruchoma masa zniszczonego rydwanu zatrzymywała je w miejscu. Słoń

zaatakował je. Klinga była bliżej, więc jednym ciosem trąby złamał mej ukochanej klaczy kręgosłup. Runęła z rzeniem na kolana, a Cierpliwość wciąż była z nią sprzęgnięta. Samiec przebił pierś Klingi grubym kłębem i poderwał głowę, unosząc wysoko wierzgające i miotające się zwierzę.

Powinienem wtedy uciec, korzystając z tego, że słoń zajęty był czymś innym, lecz Cierpliwość nadal nie odniosła żadnych obrażeń.

Nie mogłem jej zostawić. Słoń biegł na wpół odwrócony ode mnie, jego uszy, rozpostarte niczym żagle statku, zasłaniały mnie przed jego wzrokiem, nie widział więc, jak dopadłem szczątków pojazdu. Wyszarpnąłem miecz Tanusa z pochwy w uchwycie wywróconego rydwanu i pogałem do Cierpliwości.

Chociaż wielki samiec włókł ją za sobą na skórzanej uprzęży łączącej ją z Klingą i choć krew drugiego konia zbryzgała jej kark i grzbiet, nic jej się nie stało. Oczywiście oszalała z przerażenia, rżąc i wierzgając tylnymi nogami, tak że o mało nie rozbiła mi czaszki, gdy podbiegłem do niej od tyłu. Zrobiłem unik i kopyta przemknęły o włos od mojej głowy, ocierając się o policzek.

Zacząłem rąbać rzemienie wiążące ją z dyszlem rydwanu. Miecz był tak ostry, że zgoliłby mi włosy na głowie, więc skóra rozszczepiła się pod ciosami lśniącej klingi. Trzy mocne uderzenia i Cierpliwość była wolna. Sięgnąłem dłonią do grzywy, by wciągnąć się na jej grzbiet, lecz ona, porażona strachem, pogalopowała, zanim zdążyłem się jej

złapać. Uderzyła mnie łopatką, odrzucając na bok. Wylądowałem ciężko na ziemi pod rozbitym rydwanem.

Podźwignąłem się chwiejnie i ujrzałem, jak Cierpliwość gna przez lasek. Biegła swobodnym, lekkim krokiem, tak więc mogłem być pewny, że nic jej się nie stało. Następnie rozejrzałem się za Tanusem. Leżał o dziesięć kroków od rydwanu, twarzą do ziemi, i pomyślałem, że nie żyje, lecz w tej samej chwili uniósł głowę i potoczył wzrokiem z oszołomionym, półprzytomnym wyrazem twarzy. Zdawałem sobie sprawę z tego, że każdy jego nagły ruch może przyciągnąć uwagę słonia, i modliłem się, by leżał nieruchomo. Nie śmiałem wydać żadnego dźwięku, jako że rozwścieczone zwierzę cały czas nade mną stało.

Przeniosłem spojrzenie na słonia. Biedna Klinga nadziana była na kiel, rzemienne postronki splątały się wokół jego trąby. Samiec począł się oddalać, wlokąc za sobą rozbity rydwan. Próbował usunąć z kła ciężar zwisającego bezwładnie ciała Klingi. Ostrze kła rozpruło brzuch konia i fetor zawartości żołądka mieszał się z wyziewami krwi i specyficznym zapachem słonia. Ale nozdrza wypełnił smród potu mego własnego strachu, mocniejszy niż wszystkie te wonie.

Upewniłem się, że słoń jest nadal odwrócony ode mnie, podniosłem się i pobiegłem skulony do Tanusa.

- Wstawaj! Dalej, wstawaj! - zaskrzeczałem chrapliwym szeptem i spróbowałem podnieść go na nogi, lecz on był ciężkim, wciąż jedynie półprzytomnym mężczyzną.

Z rozpaczą spojrzełem z powrotem na słonia. Odchodził, cały czas ciągnąc za sobą plątaninę zniszczonego sprzętu i martwej Klingi.

Zarzuciłem sobie na szyję ramię Tanusa i wsunąłem mu bark pod pachę. Używając całej siły, zdołałem dźwignąć go na nogi, a on zawisł na mnie chwiejnie. Zatoczyłem się pod jego ciężarem.

- Weź się w garść! - wyszeptałem nagląco. - Zaraz nas zauważą.

Spróbowałem powlec Tanusa ze sobą, lecz on postąpił zaledwie krok, a potem jęknął i ponownie opadł na mnie.

- Moja noga - stęknął. - Nie mogę się ruszać. Poszło kolano. Skręciłem je.

Jak uderzenie pioruna poraziła mnie nagle pełna groza naszego położenia, której sobie dotąd nie uświadamiałem. Stary grzech tchórzostwa raz jeszcze mnie pokonał i siła wyciekła mi z nóg.

- Wynoś się stąd, stary durniu! - zgrzytnął mi przy uchu Tanus. - Zostaw mnie. Uciekaj!

Słoń podniósł głowę i potrząsnął nią tak, jak pies wytrząsa wodę z uszu po przyplnięciu do brzegu. Olbrzymie skórzane uszy zatrzepotały i zaklaskały o jego grzbiet, zmiażdżony trup Klingi ześlizgnął się z kła i poleciał na bok, jak gdyby nie był cięższy niż martwy królik. Moc samca przekracza wszelkie wyobrażenie. Skoro z taką łatwością potrafił rzucać koniem i rydwanem, cóż mógłby uczynić z moim kruchym ciałem?

- Uciekaj, na miłość Horusa, uciekaj, durniu! - ponaglał Tanus, próbując mnie odepchnąć, lecz jakiś dziwny upór nie pozwalał mi go porzucić i nadal trzymałem się jego ramienia. Choć byłem śmiertelnie wystraszony, nie mogłem go zostawić.

Samiec usłyszał głos Tanusa i okręcił się, rozpościerając szeroko uszy niczym grotzagieli bojowej łodzi. Spoglądał wprost na nas, a my byliśmy mniej niż o pięćdziesiąt kroków od niego.

Wtedy tego nie wiedziałem i dowiedzieć się miałem dopiero później, że wzrok słonia jest tak słaby, iż zwierzę to jest nieomal ślepe. Polega prawie wyłącznie na słuchu i węchu. Tylko ruch przyciąga jego uwagę i gdybyśmy stanęli nieruchomo, nie spostrzegłoby nas.

- Zobaczył nas - jęknąłem i powlokłem Tanusa ze sobą, zmuszając go do skakania obok mnie na zdrowej nodze.

Samiec dostrzegł ruch i zatrąbił. Nigdy nie zapomnę tego dźwięku. Ogłuszył mnie i oszołomił, zbijając nas obu z nóg, tak że zatoczyliśmy się razem i prawie się wywróciliśmy.

Wówczas samiec zaszarżował wprost na nas.

Nadciągał wielkimi, energicznymi krokami, uszy falowały mu wokół głowy. Strzały sterczały z masywnego, spłowiałego czoła, posoka ściekała po pysku jak łzy. Z każdym rykiem krew z płuc tryskała z trąby chmurą. Wysoki niczym rzeczna skarpa i szary jak śmierć runął ku nam pełnym pędem. Mogłem rozróżnić każdą bruzdę i fałdę pomarszczonej skóry wokół oczu. Rzęsy miał gęste jak u pięknej dziewczyny, lecz spod nich przeświecał blask

takiej wściekłości, że serce obróciło mi się w kamień w piersi, obciążając nogi, tak że nie byłem w stanie się poruszyć.

Czas stanął, ogarnęło mnie uczucie sennej nierzeczywistości. Stałem, przyglądając się śmierci gnającej ku nam z powolną i dostojną nieuchronnością, niezdolny wykonać żadnego ruchu, by jej uniknąć.

- Tata! - zadźwięczał mi w głowie dziecięcy głos i wiedziałem, że jest to złudzenie wywołane przerażeniem. - Tata, nadjeżdżam!

Z całkowitym niedowierzaniem odwróciłem głowę od widniejącej przede mną wizji śmierci. Przez otwartą przestrzeń gaju pełnym galopem gnał w naszą stronę rydwan. Konie wyciągnięte były w biegu, ich głowy poruszały się jak młoty na kowadle. Uszy położyły po sobie, szeroko rozwierając różowe, wilgotne nozdrza. Nie dostrzegałem woźnicy trzymającego lejce.

- Przygotuj się, Tata! - Dopiero wtedy zauważyłem kształtną główkę, ledwie wystającą ponad obudowę. Na lejcach zaciskały się drobne piąstki, ich kostki zbieleły z napięcia.

- Mem! - wrzasnąłem. - Zawracaj! Zawracaj!

Wiatr rozwiewał mu włosy w aureolę, słońce zapalało rubinowe iskry w gęstych, ciemnych kędziorach. Zbliżał się, nie zatrzymując się ani nie zwalniając.

- Wygrzmocę tego małego łotra za niesłuchanie moich poleceń - warknął Tanus, chwiejąc się na jednej nodze.

Obaj zapomnieliśmy o grożącym nam niebezpieczeństwie.

- Stać! - zawołał Memnon, wyhamowując zaprzęg z pełnego galopu.

Położył pojazd w tak ciasny zakręt, że wewnętrzne koło wykonało obrót w miej scu. Uczynił to tuż przed nami, na mgnienie oka osłaniając nas przed szarżującym samcem, i gdy rydwan zawracał, na moment stanął. Zostało to świetnie wykonane.

Wepchnąłem bark w pachę Tanusa i rzuciłem go na pomost. W następnej chwili sam wskoczyłem na niego głową naprzód. Gdy wylądowałem, Memnon popuścił koniom cugli i pognaliśmy przed siebie tak gwałtownie, że o mały włos nie zostałem strząśnięty z platformy, lecz zdołałem schwycić się burty i utrzymałem równowagę.

- Dalej, Mem! - wrzasnąłem. - Pokaż, co potrafisz!

- Jazda! - krzyknął Memnon.

Rydwan popędził dalej, wściekłe trąbienie słonia zachęcało przerażone konie do rozwinięcia najwyższej szybkości.

We trójkę oglądaliśmy się za siebie ponad zatylnikiem. Łeb samca unosił się nad nami, pozornie przesłaniając wszystko inne. Trąba sięgała po nas, tak bliska, że przy każdym ryku ogarniała nas krwawa chmura, płamiąc zadarte ku górze twarze, wyglądaliśmy więc jak ofiary jakiegoś potwornego moru.

Nie byliśmy w stanie umknąć przed jego szarżą, on zaś nie mógł nas dogonić. Z równą prędkością mknęliśmy przez polanę, wielka, skrwawiona głowa górowała nad nami, a my kuliliśmy się na deskach pomostu podskakującego rydwanu.

Nawet drobny błąd woźnicy starczyłby, by wpakować nas w dziurę lub odłamać koła na pniaku powalonego drzewa, a wtedy słoń dopadłby nas w mgnieniu oka. Lecz książe posługiwał się lejcami jak weteran, wybierając drogę przez lasy pewną ręką i wprawnym okiem. Wprowadzał rydwan w ciasne zakręty na jednym kole, o włos od wywrotki. W ten sposób powstrzymywał szaleńczą szarżę słonia. Ani przez chwilę się nie zawahał, a potem niespodziewanie było po wszystkim.

Jedna ze strzał zagłębionych w piersi samca wślizgnęła się głębiej i rozcięła serce. Słoń rozwarł szeroko paszczę, fala jasnej krwi wystrzeliła z gardła i padł na miejscu. Nogi ugięły się pod nim i runął na ziemię z impetem, który wstrząsnął gruntem pod nami, po czym znieruchomiał na boku z jednym z długich, wygiętych kłów zadartym w powietrze, jak gdyby w ostatnim, buntowniczym i monarszym geście.

Memnon zatrzymał konie, Tanus i ja wykuśtykaliśmy z pojazdu, by stanąć razem, gapiąc się na olbrzymie cielsko. Tanus chwycił się burty rydwanu, by oszczędzić uszkodzoną nogę, a potem obejrzał się powoli na chłopca, który nie wiedział, że był on jego ojcem.

- Na Horusa, znałem wielu dzielnych ludzi, lecz żaden z nich nie był lepszy od ciebie, chłopcze - powiedział po prostu, uniósł Memnona w ramionach i przycisnął do piersi.

Wiele nie widziałem, gdyż tryskające z nieznośną obfitością łzy przesłoniły mi oczy. Chociaż wiedziałem, że jestem ckliwym głupcem, nie potrafiłem ich zatamować.

Zbyt długo czekałem na to, by ujrzeć, jak ojciec obejmuje swego syna.

Zdołałem odzyskać kontrolę nad moimi niesfornymi uczuciami dopiero wówczas, gdy usłyszałem cichy dźwięk odległych wiwatów. Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy z tego, że pościg odbywał się na oczach całej floty. „Oddech Horusa” cumował blisko brzegu Nilu i mogłem rozróżnić szczupłą postać królowej na wysokiej rufówce. Nawet z tej odległości widać było, że jej twarz jest blada i stężała.

Złoto Męstwa to nagroda dla wojownika zaszczytem i poważaniem przewyższająca Złoto Chwały. Noszą je jedynie bohaterowie.

Zebraliśmy się na pokładzie łodzi – ludzie najbliżsi królowej oraz dowódcy wszystkich dywizji jej armii. Kły słońca, oparte o maszt, wystawione zostały na pokaz niczym łupy wojenne, oficerowie wystroili się w pułkowe odznaki. Chorążowie stali na baczność za tronem, a trębacze zagrali fanfary, gdy książę ukląkł przed królową.

– Moi umiłowani poddani! – przemówiła królowa. – Szlachetni oficerowie, członkowie rady, generałowie i oficerowie mojej armii. Pochwalam przed wami następcę tronu, księcia Memnona, który znalazł przychylność w moich oczach i w oczach was wszystkich – uśmiechnęła się do jedenastoletniego chłopca, który potraktowany został jak zwycięski generał. – Za jego odwagę rozkazuję, by przyjęty został do pułku gwardii Błękitnych Krokodyli w randze podoficera drugiej klasy i obdarzam go Złotem Męstwa, by nosił je z dumą i wyróżnieniem.

Łańcuch został specjalnie wykuty przez królewskich złotników, by pasował na szyję chłopca w wieku Memnona, ja zaś własnoręcznie wyrzeźbiłem maleńkiego złotego słonia, który zawieszony został na jednym z ogniw. Był doskonały w każdym szczególe, miniaturowe dzieło sztuki o oczach z okruchów granatu i kłach z prawdziwej kości słoniowej. Doskonale wyglądał na tle nieskazitelnie gładkiej skóry na piersi księcia.

Gdy ludzie wiwatowali na cześć mego ślicznego księcia, poczułem ponownie cisnące mi się do oczu łzy, lecz zwalczyłem je wysiłkiem woli. Nie byłem jedynym obecnym tarzającym się w cikliwości niczym guziec w błotnej kąpieli; nawet Kratas, Rem-rem i Astes mimo swego zawziętego, a zarazem nonszalanckiego stosunku do świata, który tak pilnie pielęgowali, szczerzyli się jak idioci i przysięgłbym, że w ich szeregach dostrzegłem więcej niż jedną parę wilgotnych oczu. Tak jak jego rodzice, chłopiec potrafił zaskarbiać sobie uczucia i wierność ludzi. Na zakończenie każdy oficer Błękitnych wystąpił, by pozdrowić księcia i uścisnąć go uroczyście jako towarzysza broni.

Tego wieczoru, gdy o zachodzie słońca jechaliśmy samotnie wzdłuż brzegu Nilu, Memnon niespodzianie ściągnął konie i zwrócił się do mnie:

- Zostałem powołany do mego pułku. Jestem wreszcie żołnierzem, więc musisz teraz zrobić dla mnie łuk, Tata.

- Zrobię ci najlepszy łuk, jaki kiedykolwiek trafił w dłonie łuczника - przyrzekłem.

Memnon rozważał to przez chwilę z powagą, potem westchnął:

- Dziękuję ci, Tata. Myślę, że jest to najszczęśliwszy dzień mego życia. - Sposób, w jaki to powiedział, czynił z jedenastu lat podeszły siwizną wiek.

Następnego dnia, gdy flota zacumowała na noc, udałem się na poszukiwanie księcia i znalazłem go stojącego samotnie na brzegu, w miejscu osłoniętym przed wzrokiem przypadkowego obserwatora. Nie dostrzegł mnie, więc mogłem przez chwilę mu się przyglądać.

Był golusieńki. Mimo moich ostrzeżeń przed prądami i krokodylami oczywiste było, że pływał w rzece, bo włosy ociekały wodą. Jego zachowanie wprawiło mnie jednak w zakłopotanie, gdyż wybrał na plaży dwa wielkie, okrągłe kamienie i trzymał po jednym w każdej ręce, podnosząc je i opuszczając w jakimś niezwykłym rytuale.

- Tata, szpiegujesz - powiedział nagle, nie odwracając głowy.

- Chcesz czegoś ode mnie?

- Chcę wiedzieć, co wyprawiasz z tymi kamieniami. Oddajesz cześć jakiemuś dziwacznemu kuszyckiemu bogu?

- Ćwiczę siłę ramion, żebym mógł napiąć mój nowy łuk.

Chcę, by miał pełny naciąg. Nie zbędziesz mnie następną zabawką, słyszysz, Tata?

Rzekę przegrodziła kolejna katarakta, piąta i jak miało się później okazać, przedostatnia, jaką napotkaliśmy podczas wędrówki. Ta wszakże nie stanowiła tak poważnej przeszkody w posuwaniu się na południe jak poprzednie.

Dzięki odmiennemu ukształtowaniu terenu po obu jej stronach nie byliśmy ograniczani biegiem rzeki.

Oczekując na ponowny przybór Nilu, jak zwykle sialiśmy zboża, lecz jednocześnie mogliśmy we wszystkich kierunkach posyłać rydwany na sawannę. Moja pani kierowała na południe wyprawy, mające za zadanie ściganie słoni i przywożenie kłów.

Owe olbrzymie stada tych wspaniałych szarych bestii, które z taką ufnością nas powitały, gdy wpłynęliśmy do Kusz, były teraz przegnane i rozproszone. Polowaliśmy na nie bezlitośnie, gdzie tylko je napotykalismy, ale te mądre stworzenia szybko wyciągnęły słuszne wnioski z pierwszej lekcji.

Gdy przybyliśmy do piątej katarakty, spotkaliśmy stada pasące się w laskach na obu brzegach. Liczyły tysiące sztuk i Tanus natychmiast posłał do akcji rydwany. Ulepszyliśmy naszą taktykę polowania i nauczyliśmy się unikania strat, jakie zadały nam dwa pierwsze samce. Przy piątej katarakcie zabiliśmy sto siedem słoni, tracąc jedynie trzy pojazdy.

Następnego dnia w zasięgu wzroku z pokładów statków nie było ani jednego słonia. Chociaż rydwany ścigały stada, podążając szlakami, jakie pozostawiały za sobą, uciekając przez las, dogoniły je dopiero po pięciu dniach.

Zdarzało się teraz często, że wyprawy łowieckie wracały do obozu poniżej katarakty po wielu tygodniach nieobecności, nie napotkawszy ani jednego słonia i nie zdobywszy ani jednego kła. Na początku wydawało nam się,

że zdobędziemy niewyczerpane rezerwy kości słoniowej, ale okazało się to złudzeniem. Jak zauważył książę tamtego pierwszego dnia, polowanie na te zwierzęta nie było tak proste, jak by się zdawało.

Rydwany zapuszczające się na południe nie powróciły jednak zupełnie puste. Odkryły coś jeszcze cenniejszego od kości słoniowej. Odkryły ludzi.

Zajęty ciągłymi doświadczeniami z kołami do rydwanów, nie opuszczałem obozowiska od kilku miesięcy. To w owym okresie znalazłem wreszcie rozwiązanie tej kwestii, która prześladowała mnie od samego początku i która stała się źródłem wielkiej radości i szyderstw ze strony Tanusa oraz jego armijnych kompanów – sporadycznej zawodności mojego projektu.

Ostatecznie nie była to pojedyncza odpowiedź, lecz kombinacja czynników, począwszy od materiału, z którego wykonywałem szprychy. Miałem teraz do dyspozycji praktycznie nieskończony wybór przeróżnych gatunków drewna, a także rogi oryksów i nosorożców, na które polowaliśmy w pobliżu naszego siedliska. Antylopy w przeciwieństwie do stad słońi mimo prześladowania z naszej strony nie przeniosły się gdzie indziej.

Odkryłem, że czerwony rdzeń akacji po namoczeniu stawał się tak twardy, iż bez trudu odbijał cios najostrzejszego topora z brązu. Połączyłem to drewno z warstwami rogu, całość obwiązując brązowym drutem w sposób bardzo podobny do tego, jaki zastosowałem, gdy robiłem łączysko Lanaty. W rezultacie otrzymałem koło,

które mogło być wykorzystywane bez ograniczeń na każdym rodzaju nawierzchni i nie rozpadało się. Gdy Hui i ja ukończyliśmy pierwsze dziesięć rydwanów wyposażonych w nowe koła, założyłem się z Kratasem i Rem-remem, sławnymi w całej armii ze swej mało delikatnej i niszczącej rydwanowej jazdy, że nie zdołają ich rozbić. Ustaliliśmy stawkę dziesięć debenów złota od głowy.

Taka zabawa bardzo przypadła do gustu tym dwóm przerośniętym dzieciakom i przystąpili do niej z chłopięcym zapałem. Przez następne tygodnie ich ochryple krzyki i dźwięk galopujących kopyt rozbrzmiewały w gajach na brzegach Nilu. Zanim minął wyznaczony czas, Hui przyszedł do mnie, skarżąc się gorzko, że zajędzili mu dwadzieścia zaprzęgów. Pewną pociechą dla niego był jednak fakt, że wygraliśmy zakład. Nasze nowe koła przetrwały najsurowszy test.

- Gdybyś dał nam parę dni więcej - gderał Kratas, z wyraźnym brakiem sportowego ducha wręczając mi złoto - pewien jestem, że udałoby mi się jeszcze jedno „Tata”. - Po czym odegrał nam pantomimę, która wydawała mu się zabawna, a która miała w jego zamierzeniu przedstawiać rozpryskujące się koło i koziołkującego w powietrzu woźnicę.

- Jesteś utalentowanym błaznem, o dzielny Kratasie, lecz ja mam twoje złoto - potrząsnąłem mu nim pod nosem. - Wszystko, co ci zostało, to wyświechtany żart, który obróci się przeciw tobie.

Wtedy właśnie wyprawa zwiadowcza prowadzona przez księcia Akera, która wyruszyła na poszukiwanie słoni, powróciła z wieściami, że dalej na południu zamiast nich znalazła ludzkie osady.

Spodziewaliśmy się natrafić na te plemiona zaraz po pokonaniu pierwszej katarakty. Przez stulecia kraina Kusz dostarczała niewolników. Łapani byli przez swych pobratymców prawdopodobnie podczas międzyplemiennych wojen i posyłani wraz z innymi towarami - kością słoniową, strusimi piórami, rogami nosorożców i złotym piaskiem - do wysuniętych placówek naszego imperium. Bezczelne czarne dziewczki królowej Lostris pochodziły z tego kraju i trafiły do niej przez targowiska niewolników w Elefantynie.

Nadal nie znajduję wytłumaczenia tego, że przedtem nie napotkaliśmy żadnych ludzi. Być może przegnani zostali przez wojny i wyprawy łowców niewolników, tak jak my rozproszyliśmy stada słoni. Mogły zgładzić ich głód czy zaraza - nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi. Dotychczas jedynie z rzadka znajdowaliśmy ślady ludzkiej obecności.

Skoro jednak wreszcie ją odkryliśmy, podniecenie ogarnęło obóz niczym plaga. Potrzebowaliśmy niewolników bardziej niż kości słoniowej. Cała nasza cywilizacja i sposób życia opierają się na systemie posiadania niewolników, systemie popieranym przez bogów i uświęconym swą starożytnością. Zdołaliśmy zabrać z Egiptu jedynie nielicznych niewolników i rzeczą konieczną dla naszego przetrwania i rozwoju jako narodu było schwytanie

większej ich liczby, by zastąpili tych, których byliśmy zmuszeni porzucić.

Tanus zarządził natychmiastowe zorganizowanie wielkiej wyprawy. Sam zamierzał dowodzić, ponieważ nie mieliśmy pewności, co napotkamy w górze rzeki. Oprócz tych, których braliśmy jako jeńców wojennych, my, Egipcjanie, zawsze kupowaliśmy niewolników od zagranicznych handlarzy i teraz po raz pierwszy od wieków, o ile mi wiadomo, musieliśmy sami ich łapać. To dla nas rozrywka równie nowa jak łowy na słonie, lecz przynajmniej tym razem nie oczekiwaliśmy, że zwierzyna okaże się potulna czy tępa.

Tanus nadal nie chciał jeździć z nikim oprócz mnie, ale nawet nieudane próby zniszczenia moich nowych rydwanów podjęte przez Kratasa i Rem-rema nie przekonały go o zaletach tych pojazdów. Prowadziliśmy kolumnę, a drugim rydwanem w linii kierował najmłodszy podoficer Błękitnych, następca tronu, księżę Memnon.

Na załogę dla Memnona wybrałem dwóch najlepszych żołnierzy. Jego własna waga była na tyle nieznaczna, że rydwan mógł udźwignąć dodatkowego człowieka, a księżę nie nabrał jeszcze na tyle siły, by zdołał dźwignąć z jednej strony rydwan, gdyby niezbędne okazało się przenoszenie go nad przeszkodami, przez które by nie przejechał. Ten dodatkowy człowiek był mu niezbędny do pomocy.

Pierwsze wioski, na które się natknęliśmy, znajdowały się na brzegu rzeki, o trzy dni drogi powyżej katarakty. Były to skupiska nędznych schronień z trawy, zbyt prymitywnych,

by nazywać je chatami. Tanus posłał przodem zwiadowców, a o świcie otoczyliśmy wioskę pojedynczym, zgrabnym manewrem.

Ludzie, którzy potykając się wypadli z nędznych chatynek, okazali się zbyt oszołomieni i zaskoczeni, by stawiać jakikolwiek opór czy choćby próbować przed nami uciec. Zbijali się w grupki, skrzecząc i wlepiając oczy w pierścień rydwanów i tarcz, jaki wokół nich założyliśmy.

- Dobra zdobycz! - zachwycał się Tanus, obejrzawszy ich sobie.

Mężczyźni byli wysocy i szczupli, o długich, smukłych kończynach. Górowali wzrostem nad większością ludzi w naszych szeregach, nawet Tanus robił wrażenie niskiego, gdy kroczył wśród nich, rozdzielając na grupy niby rolnik doglądający stada.

- Jest parę naprawdę niezłych okazów - cieszył się.

- Zobacz to cudo - wybrał młodego mężczyznę wyjątkowej budowy. - W każdej chwili na targu w Elefantynie dostałbym za niego dziesięć pierścieni złota.

Kobiety też okazały się mocne i zdrowe. Plecy miały proste, zęby białe i równe. Każda dorosła nosiła na biodrze niemowlę, drugie dziecko wiodąc za rękę.

A jednak był to najbardziej prymitywny lud, jaki kiedykolwiek napotkałem. Ani mężczyźni, ani kobiety nie mieli na sobie choćby strzępa odzieży, bezwstydnie wystawiając na widok publiczny nagość swych narządów płciowych. Tylko młodsze dziewczyny nosiły wokół bioder pojedyncze sznury paciorków wykonanych ze skorup

strusich jaj. Od razu dostrzegłem, że wszystkie dojrzałe kobiety zostały obrzezane w nader brutalny sposób. Później dowiedziałem się, że stosowano przy tej operacji krzemienne noże albo ułamki bambusa. Ich pochwy pokryte były bliznami i zdeformowane w otwarte jamy, zaszpilone kościanymi drzazgami. Młodsze dziewczyny nie przeszły jeszcze tego okaleczenia i zdecydowałem, że dopilnuję, by zwyczaj ten został w przyszłości zakazany. Pewien byłem, że mogę liczyć w tej sprawie na wsparcie mojej pani.

Ich skóra była tak ciemna, że nagie ciała w promieniach wschodzącego słońca miały barwę szkarłatu jak przejrzałe granaty. Niektóre usmarowane zostały pastą z popiołu i białej glinki, a na niej nabazgrane były palcami prymitywne wzory. Ludzie ci pokrywali włosy mieszaniną wolej krwi i gliny, formując wysokie, błyszczące hełmy, które powiększały ich i tak imponujący wzrost.

Natychmiast uderzyło mnie to, że nie zobaczyłem wśród nich starców. Później się dowiedziałem, że mieli w zwyczaju łamać im nogi maczugami i pozostawiać na brzegu rzeki w ofierze krokodylom. Wierzyli, że krokodyle są wcieleniami zmarłych przodków po reinkarnacji i że stając się ich pożywieniem, ofiara włącza się do tego cyklu.

Nie wykuwali żadnych metalowych przedmiotów. Ich broń stanowiły maczugi i zaostrome kije. Sztuki garncarskiej nie znali, jako naczyn używali wydrążonych skorup owoców dzikich roślin. Nie uprawiali ziemi, lecz żywili się rybami chwytanymi w pułapki z wikliny, hodowali też stada karłowatego bydła, które było ich najcenniejszym

majątkiem. Zwykli wytaczać krowom krew z żył na szyi i mieszać ją z ciepłym mlekiem prosto z wymion, po czym pili krzepnącą masę z najwyższą rozkoszą.

Obserwując ich przez następne miesiące, przekonałem się, że nie umieli czytać ani pisać. Jedyne instrumenty muzyczne stanowił tu bęben z wydrążonego pnia drzewa, a pieśni przypominały chrząknięcia i ryki dzikiej zwierzyny. Tańce były skandalicznymi parodiami stosunku miłosnego, podczas których szeregi nagich mężczyzn i kobiet posuwały się ku sobie, tupiąc i kiwając biodrami, dopóki się nie spotkały. Wówczas imitacja przekształcała się w rzeczywistość i dochodziło do odgrywania najbardziej wyuzdanych czynów rozpustnych.

Gdy książę Memnon zapytał mnie, jakim prawem łapiemy tych ludzi i bierzemy ich w posiadanie niczym bydło, wyjaśniłem mu:

- To dzikusy, a my jesteśmy ludźmi cywilizowanymi. Tak jak ojciec ma obowiązek wobec swego syna, naszym obowiązkiem jest wydzwignięcie ich z tego prymitywnego stanu i ukazanie im prawdziwych bogów. Oni zaś odpłacają nam swoją pracą.

Memnon był bystrym chłopcem i skoro mu to wytłumaczyłem, nigdy już nie podważał zasadności ani moralności tego postępowania.

Za moją radą pani Lostris zezwoliła swym dwóm czarnym służkom na towarzyszenie wyprawie. Moje osobiste stosunki z tymi małymi niecnotami nie zaliczały się do bezkonfliktowych, lecz teraz dziewczyny oddały

nieocenione usługi. Obie zachowały wspomnienia z dzieciństwa sięgające czasów przed ich pojmaniem i nadal posiadały szczątkową znajomość języka plemion Kusz. Wystarczyło to akurat do tego, by rozpocząć proces osvajania naszych jeńców. Jako muzyk mam ucho wyczulone na dźwięk ludzkiego głosu; w dodatku obdarzony jestem naturalną zdolnością do języków. W ciągu kilku krótkich tygodni byłem w stanie mówić językiem Szylluków, gdyż tak nazywał się ten lud.

Ich mowa jest równie prymitywna jak zwyczaje i tryb życia. Całe słownictwo nie przekracza pięciuset słów, które spisałem na zwojach i których nauczyłem nadzorców oraz wojskowych, jakich Tanus przeznaczył do nadzoru świeżo złapanych niewolników. A to dlatego, że z tych ludzi chciał uczynić pułki piechoty, które stanowić miały uzupełnienie dywizji rydwanów.

Pierwszy wypad nie dostarczył nam żadnego ostrzeżenia przed prawdziwą wojowniczą naturą Szylluków. Wszystko poszło aż za łatwo i nie byliśmy przygotowani na to, co zdarzyło się, gdy spadliśmy na kolejne skupisko wiosek. Do tego czasu Szyllukowie zostali już uprzedzeni i przygotowali się na nasze spotkanie.

Przegnali swe stada bydła, ukryli kobiety oraz dzieci. Nadzy i uzbrojeni jedynie w drewniane maczugi, runęli hordami przeciw naszym rydwanom, łukom refleksyjnym i mieczom z odwagą i nieustępliwością przechodzącą wszelkie wyobrażenie.

- Na stęchły wosk w uchu Seta - zaklął Kratas z radością po odparciu którejś z kolei szarży - każdy z tych czarnych demonów jest urodzonym żołnierzem.

- Wyszukani i uzbrojeni w brąz ci Szyllukowie oprą się każdej piechocie świata - zgodził się Tanus. - Zostawcie łuki w uchwytach. Chcę wziąć żywcem tylu, ilu damy radę.

Koniec końców Tanus ganiał ich do wyczerpania rydwanami i dopiero gdy padli na kolana, znalazłszy się u kresu swej niezwyklej wytrzymałości i szaleńczej odwagi, nadzorcy niewolników mogli wziąć ich w pęta.

Tanus wybrał najlepszych z nich do pułków piechoty i uczył się ich języka równie chętnie jak ja. Szyllukowie wkrótce zastąpili Tanusem krokodyla - zaczęli traktować go jak boga, on zaś pokochał ich prawie tak samo jak ja kochałem moje konie. Po jakimś czasie nie trzeba już było łowić Szylluków niczym zwierzęta. Ci nadzwyczajnie wysocy i zwinni oszczepnicy dobrowolnie wychodzili ze swych kryjówek w szuwarach i zarośniętych krzakami wąwozach, by odszukać Tanusa i błagać go o przyjęcie do któregoś pułku.

Tanus uzbroił ich w długie dzidy o grotach z brązu i w tarcze ze słoniowej skóry, umundurował w spódniczki z ogonów żbików i nakrycia głowy ze strusich piór. Podoficerowie musztrowali ich we wszystkich klasycznych ewolucjach bitewnych i szybko nauczyliśmy się integrować tę taktykę z działaniami rydwanów.

Nie wszyscy Szyllukowie wybrani zostali do armii. Inni okazali się niestrudżonymi wioślarzami na łodziach,

oddanymi pasterzami i koniuchami, jako że byli urodzonymi opiekunami zwierząt.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że ich odwiecznych przeciwników stanowiły plemiona żyjące dalej na południe, Dinkowie i Mandari. Tamte plemiona okazały się jeszcze prymitywniejsze i brakowało im bojowego instynktu Szylluków. Nic nie cieszyło bardziej nowych pułków Tanusa od wyprawy na południe na dawnych wrogów pod dowództwem egipskich oficerów i ze wsparciem rydwanów. Zgarniali Dinków i Mandarich tysiącami. Używaliśmy ich do ciężkiej, prostej pracy. Żaden nie zgłosił się z własnej woli, jak to robili niektórzy Szyllukowie.

Gdy przeprowadziliśmy flotę przez piątą kataraktę, cała kraina Kusz stanęła przed nami otworem. Mając Szylluków za przewodników, flota żeglowała w górę rzeki, natomiast dywizje rydwanów zapuszczały się daleko wzdłuż obu brzegów, by powrócić z nowymi ładunkami kości słoniowej i świeżymi dostawami niewolników.

Wkrótce dotarliśmy do szerokiego koryta rzeki łączącej się z Nilem od wschodu. Jej nurt zredukowany był do wąskiego strumienia sączącego się pomiędzy skurczonymi rozlewiskami. Szyllukowie zapewniali nas jednak, że w swoim czasie rzeka ta, nazywająca się Atbara, przemieniała się w rwący potok, zasilający wodą coroczny wylew Nilu. Królowa Lostris posłała grupę poszukiwaczy złota, prowadzoną przez szylluckich przewodników, by podążyła wzdłuż Atbary tak daleko, jak tylko się uda. Flota

popłynęła dalej na południe, po drodze polując i łowiąc niewolników.

Źródłem moich nieustannych trosk było to, że choć starałem się temu zapobiec, rydwan księcia Memnona często znajdował się wówczas na czele jednej z pędzących kolumn. Oczywiście wspierali go zaufani ludzie, tego przynajmniej mogłem dopilnować, lecz w afrykańskim buszu czyhało ciągle ryzyko i niebezpieczeństwo, a on był jeszcze chłopcem.

Uważałem, że powinien spędzać więcej czasu ze mną i swymi zwojami, ucząc się na pokładzie „Oddechu Horusa”, nie zaś zabawiać się z osobnikami pokroju Kratasa czy Rem-rema. Ci dwaj nicponie troszczyli się o bezpieczeństwo księcia nie bardziej niż o swoje. Podbechtywali go zakładami, wyzwaniem i przesadną pochwałą każdego co śmielszego wyczynu. Wkrótce stał się równie lekkomyślny jak oni i po powrocie z tych wypadów wielką przyjemność czerpał ze straszenia mnie sprawozdaniami ze swych eskapad.

Powiedziałem Tanusowi, że mi się to nie podoba, ale ten zaśmiał się tylko.

- Jeżeli ma kiedyś nosić podwójną koronę, musi nauczyć się lekceważyć niebezpieczeństwo i kierować ludźmi.

Moja pani zgadzała się z Tanusem co do sposobu kształcenia Memnona. Musiałem się zadowolić wykorzystywaniem tego czasu, jaki nadal spędzałem w samotności z moim księciem.

Przynajmniej pozostawały mi jeszcze dwie małe księżniczki. Były dla mnie wspaniałą pociechą. Tehuti i Bekatha z każdym dniem stawały się bardziej urocze i byłem ich niewolnikiem w więcej niż jednym znaczeniu tego słowa. Ze względu na naszą szczególną sytuację stawałem im się bliższy, niż kiedykolwiek mógłby być ich prawdziwy ojciec. Pierwszym słowem Bekathy było „Tata”, a Tehuti nie chciała zasnąć, dopóki nie opowiedziałem jej historyjki na dobranoc. Usychała z tęsknoty, gdy musiałem opuścić flotę, żeby załatwić inne sprawy. Sądzę, że był to najszczęśliwszy okres mego życia. Czułem, że znajduję się w środku mojej rodziny, darzony przez wszystkich jej członków trwałym uczuciem.

Pomyślność narodu była nieomalże równie wielka. Wkrótce jeden z poszukiwaczy złota powrócił z wyprawy w górę Atbary. Ukląkł przed królową Lostris i złożył u jej stóp mały skórzany woreczek. Na jej polecenie rozchylił go, wysypując z niego potok migoczących kamyczków. Niektóre były małe jak ziarnka piasku, inne duże jak koniec mego kciuka. Wszystkie lśniły tym charakterystycznym blaskiem, którego nie sposób z czymś pomylić.

Wezwani złotnicy trudzili się przy swoich piecach i glinianych tyglach, by ostatecznie obwieścić, że grudki te zawierały prawdziwe złoto niezwykłej czystości. Tanus i ja pojechaliśmy w górę Atbary na miejsce, w którym odkryto cenny kruszec. Pomogłem zaprojektować żwirownię w korycie rzeki, w której skrywało się złoto.

Użyliśmy tysięcy Mandarich i Dinków do nabierania koszy żwiru i przenoszenia ich w górę do rynien, jakie kamieniarze wykuli w granitowych zboczach nadrzecznych wzgórz.

Naszkieowałem rysunki długich rzędów nagich, czarnych niewolników o mokrej, błyszczącej w słońcu skórze, pnących się mozolnie po zboczu z ciężkimi koszami chwiejącymi się na głowach, by pokazać je mojej pani. Gdy opuściliśmy pochłoniętych pracą kopaczy i ruszyliśmy połączyć się z flotą, powieźliśmy ze sobą pięćset debenów świeżo wytopionych złotych pierścieni.

W naszej podróży na południe napotkaliśmy jeszcze jedną kataraktę. Był to szósty i ostatni zespół skalnych progów. Tym razem przeprawa okazała się szybsza i łatwiejsza. Rydwany i wozy objechały bystrzyny i tak oto dotarliśmy wreszcie do mistycznego zlewiska dwóch potężnych rzek, które razem stawały się znanym nam i tak umiłowanym przez nas Nilem.

- Oto miejsce, które ujrzał Taita w wizji danej mu przez Labirynty Amona-Re. Tutaj Hapi wylewa i miesza swe wody. Tu jest święte miejsce - oświadczyła królowa Lostris. - Dotarliśmy do kresu naszej wędrówki. Tu właśnie Hapi wzmocni nas, zanim powrócimy do Egiptu. Nadaję mu imię Kebui, Miejsce Północnego Wiatru, jako że to ów wiatr przygnał nas tutaj.

- To dobre miejsce, sprzyjające naszym planom. Bóstwo już okazało swoją łaskawość, dostarczając niewolników

i złota - przytaknęli wielcy panowie z rady królewskiej. - Nie należy żeglować dalej.

- Pozostaj e j edynie znaleźć dogodny teren na grobowiec mego męża, faraona Mamose - obwieściła królowa Lostris.
- Gdy grobowiec zostanie wybudowany i spocznie w nim ciało faraona, moja przysięga będzie wypełniona i nadejdzie czas triumfalnego powrotu do Egiptu. Dopiero gdy to nastąpi, powstaniemy przeciw hyksoskiemu tyranowi i przegnamy go z naszej ojczyzny.

Wydaje mi się, że byłem jednym z nielicznych, któremu decyzja ta nie przyniosła ulgi i radości. Innych zżerała tęsknota za domem, dokuczało znużenie długimi latami podróży. Ja zaś porażony zostałem jeszcze złośliwszą chorobą - zamięłowaniem do włóczęgi. Pragnąłem ujrzeć, co kryło się za następnym zakrętem rzeki i za grzbietem kolejnego wzgórza. Pragnąłem iść tak bez końca aż po kres świata. Dlatego byłem zachwycony, gdy moja pani wybrała mnie na tego, który wynaleźć miał miejsce na królewski grobowiec, i rozkazała księciu Memnonowi eskortować mnie podczas tej wyprawy z oddziałem rydwanów. Nie tylko mogłem zaspokoić nową potrzebę podróżowania, lecz raz jeszcze czekała mnie czysta przyjemność przebywania w towarzystwie księcia.

Księżę Memnon otrzymał dowództwo wyprawy w wieku lat czternastu. Nie było w tym nic niezwykłego. Istnieli w naszej historii faraonowie, którzy mając tyle samo lat, dowodzili wielkimi armiami w bitwie. Księżę z wielką powagą podszedł do obowiązków wiążących się z jego

pierwszą samodzielną komendą. Rydwany zostały przygotowane, on zaś osobiście dokonał przeglądu każdego konia i pojazdu. Mieliśmy dwa zapasowe zaprzęgi do każdego rydwanu, by można było często je zmieniać, dając zwierzętom odpocząć.

Następnie we dwójkę zastanawialiśmy się długo i szczegółowo nad obraniem kierunku dla naszych poszukiwań idealnego miejsca na królewski grobowiec. Powinien się on znajdować w dzikiej i niezamieszkannej okolicy trudno dostępnej dla złodziei. Powinien tam być stok, w którym można by wykuć grobowiec wraz ze wszystkimi towarzyszącymi przejściami.

Żaden teren, na który wkroczyliśmy od chwili dotarcia do krainy Kusz, nie spełniał tych wymagań. Powtórzyliśmy sobie wszystko, co wiedzieliśmy o ziemiach leżących za nami, i staraliśmy domyślić się, co mogło znajdować się dalej. Miejsce, w którym teraz obozowaliśmy, zlewisko dwóch rzek w Kebui, było najpiękniej położone ze wszystkich, jakie odwiedziliśmy podczas całej długiej wędrówki.

Wydawało się, że przyleciały tutaj wszystkie ptaki, od drobnych, klejnotom podobnych zimorodków po stateczne niebieskie żurawie, od świstliwych stad kaczek, które swą mnogością zaćmiewały słońce, po siewki i czajki, przebiegające na skraju wody i zatrzymujące się tylko po to, by zadać płaczące pytanie „piiwit? piiwit?”. W srebrzystych akacjowych gajach i na otwartej sawannie niezliczonymi milionami pasły się stada antylop. Było

zupełnie tak, jakby siedziba Hapi stanowiła święte miejsce dla wszystkich rodzajów życia. Woda poniżej miejsca złączenia się rzek była mętna od ławic ryb, a w górze, na tle uderzająco błękitnego afrykańskiego nieba powolnie krążyły białogłowe orły, wydając swe dziwaczne, szczekliwe krzyki.

Każda z bliźniaczych rzek posiadała inny charakter i nastrój, tak jak dwa niemowlęta wydane na świat z tego samego łona różnić się mogą w każdym szczególe ciała i umysłu. Prawa odnoga była powolna i żółta, bardziej stateczna, mniej apodyktyczna. Odnoga wschodnia-ponuro szarobłękitna, a rozzłoszczony, hardy nurt odpychał swego bliźniaka na bok po spotkaniu, odmawiając zgody na zmieszanie wód, odganiał go pod brzeg i długo zachowywał swój gniewny charakter, by w końcu rozpuścić się niechętnie w łagodniejszym, żółtym strumieniu.

- Wzdłuż której rzeki powinniśmy pójść, Tata? - zapytał Memnon, a ja posłałem po szylluckich przewodników.

- Żółta rzeka wypływa z rozległego, zabójczego bagniska, które nie ma końca. Nikt tam nie wchodzi. To siedlisko krokodyli, hipopotamów i żądliwych owadów. To siedlisko gorączki, w którym człowiek może zgubić się i błąkać przez wieczność - powiedzieli Szyllukowie.

- A co z drugą rzeką? - zapytaliśmy.

- Ciemna rzeka spływa z niebios, po kamiennych zboczach sięgających chmur. Nikt nie zdoła wspiąć się tymi strasznymi wąwozami.

- Pojedziemy wzdłuż ciemnej, prawej odnogi - zdecydował książę. - W owych skalistych ostępach znajdziemy miejsce spoczynku dla mego ojca.

Tak więc podążaliśmy na wschód, dopóki nie ujrzelśmy wznoszących się na horyzoncie gór. Tworzyły błękitną ścianę tak wysoką i przytłaczającą, że zaćmiewały wszystko, co kiedykolwiek widzieliśmy lub uważaliśmy za możliwe. Przy tych olbrzymach wzgórza, jakie pamiętaliśmy z doliny Nilu, przypominały ślady stóp małych ptaków na piaszczystych brzegach rzeki. Każdego dnia podróży pięły się wyżej w niebiosa, cały świat malał u ich stóp.

- Nikt nie zdoła się tam wspiąć - rzekł z podziwem Memnon.

- Tam musi być siedziba bogów.

Obserwowaliśmy grę tańczących w górach światła, migoczących i rozbłyskujących w ogromnym kłębowisku chmur, kryjącym szczyty przed naszym wzrokiem. Przysłuchiwaliśmy się grzmotom ryczącym w wąwozach i stromych dolinach niczym polujący lew. Wtedy ogarniała nas przemożna bojaźń.

Zapusciliśmy się tylko do podnóży tego przerażającego łańcucha, gdzie stromizny i urwiska blokowały nam przejście, więc nasze rydwany musiały zawrócić. Na podgórzu znaleźliśmy ukrytą kotlinę o pionowych skalnych ścianach. Przez dwadzieścia dni książę i ja badaliśmy to dzikie miejsce, aż w końcu stanęliśmy przed czarną kamienną ścianą.

- Tu spocznie na całą wieczność ziemska powłoka mego ojca - oznajmił cicho Memnon i przeniósł spojrzenie na skalną stromiznę z rozmarzonym, mistycznym wyrazem twarzy. - Zupełnie jakbym słyszał w głowie jego głos. Tu będzie szczęśliwy.

Tak więc wymierzyłem to miejsce i poczyniłem znaki na zboczu, wbijając brązowe kołki w skalne szczeliny, wyznaczyłem kamieniarzom, którzy mieli tu przybyć i rozpocząć pracę, kierunek i nachylenie wejściowego korytarza. Gdy się z tym uporałem, wyplątaliśmy się z labiryntu dolin i pogmatwanych wąwozów, po czym powróciliśmy nad Nil, do zlewiska dwóch rzek, gdzie czekała nasza flota.

Obozowaliśmy na rozległej równinie kilka dni drogi od Kebui. W nocy zbudziły mnie dobiegające z ciemności niesamowite chrząkania i ryki oraz odgłosy poruszającej się grupy zwierząt.

Memnon rozkazał trębaczowi grać na alarm i otoczeni kręgami rydwanów rozpoczęliśmy czuwanie. Dorzuciliśmy drewna do ognia i wpatrywaliśmy się w noc. W migotliwym blasku ognisk ujrzelśmy przetaczającą się obok nas mroczną powódź podobną wylewowi Nilu. Dziwaczne trąbienie, ryki i prychania nieledwie nas ogłuszały, napór zwierząt w tej ciżbie był tak wielki, że pojedyncze sztuki wpadały na zewnętrzny krąg rydwanów i przewracały niektóre pojazdy na bok. Spać w tym zgiełku się nie dało, więc resztę nocy pozostaliśmy pod bronią. Przez cały ten czas strumień żywych istot nie malał.

Gdy świt rozjaśnił równinę, ukazał się nam nadzwyczajny spektakl. W każdym kierunku jak okiem sięgnąć ziemia pokryta była dywanem idących zwierząt. Wszystkie zdążyły w tę samą stronę, wędrując z zadziwiającym, ponurym zdecydowaniem. Głowy miały zwieszane i pokryte kurzem wzbijanym ich własnym marszem. Wydawały owe cudaczne, ponure ryki. Co jakiś czas któraś grupka w bezkresnym stadzie wpadała bez przyczyny w panikę i zaczynała biec. Zwierzęta brykały, prychały i goniły się w kółko, co przypominało wiry na powierzchni spokojnie płynącej rzeki. Potem na nowo zwalniały do ciężkiego kroku i podążały w ślad za majaczącym przed nimi stadem.

Staliśmy i patrzyliśmy zdumieni. Wszystkie stworzenia w tym olbrzymim zgromadzeniu należały do jednego gatunku. Wszystkie były identyczne – ciemnoszarej barwy, o podgardlach porośniętych niechlujną grzywą i rogach ukształtowanych na podobieństwo sierpu księżyca. Miały nieforemne łby o ohydnych bulwiastych nosach, ich ciała pochylały się od wysokich barków ku wrzecionowatym zadom.

Gdy zaprzęgliśmy wreszcie konie i wznowiliśmy podróż, przejeżdżaliśmy przez żywe morze zwierząt jak flotylla okrętów. Rozstępowały się, by nas przepuścić, przepływając tak blisko, że można było wyciągnąć rękę i ich dotknąć. Wcale się nie bały, wlepiały tylko w nas swe tępe, pozbawione ciekawości oczy.

Kiedy nadeszła pora południowego posiłku, Memnon napiął łuk i zabił pięć tych antylop taką samą liczbą strzał.

Obdarliśmy i poćwiartowaliśmy padła, a współbracia martwych zwierząt mijali nas na wyciągnięcie ręki. Mimo dziwnego wyglądu tych stworzeń, ich mięso smażone na węglach ogniska było równie smaczne jak każda dziczyzna.

- Oto kolejny dar od bogów - stwierdził Memnon. - Gdy tylko przyłączymy się do głównej armii, wyślemy wyprawę w ślad za tymi stadami. Będziemy mogli uwędzić dość mięsa, by wykarmić wszystkie wojska i niewolników do czasu, gdy te bestie znów się pojawią w przyszłym roku.

Od naszych szylluckich przewodników dowiedzieliśmy się, że ta niewiarygodna migracja była corocznym zjawiskiem. Stada przemieszczały się z jednego pastwiska na inne, odległe o wiele dni drogi. Szyllukowie nazywali te stworzenia „gnu”, co naśladować miało ich dziwny, dźwięczny ryk.

- To niewyczerpany zapas pożywienia, w które będziemy mogli się zaopatrywać co roku - poinformowałem księcia.

Nikt z nas nie był w stanie przewidzieć okropnych wydarzeń, które wyniknąć miały z odwiedzin tych niezgrabnych gnu. Być może powinienem był zwrócić większą uwagę na to, jak rzucały łbami i prychały bez powodu lub też na wydzielający się z ich nozdrzy śluz, który zauważyłem, gdy nas mijaly. Nie zastanawiałem się wszakże zbyt nad ich zachowaniem, osądziwszy, że są to łagodne, nieszkodliwe bydłota i przynieść nam mogą jedynie wielką korzyść.

Gdy tylko dotarliśmy do bliźniaczych rzek, donieśliśmy królowej Lostris o wędrówce gnu, a ona poparła pomysł

księcia Memnona. Postawiła go w towarzystwie Kratasa i Rem-rema na czele kolumny dwustu rydwanów, nie licząc wozów i kilku tysięcy Szylluków. Poleciała mu zarznąć tyle antylop, ile tylko dało się pokroić i uwędzić na racje dla wojska.

Nie towarzyszyłem tej wyprawie, jako że rola pomocnika rzeźnika zanadto mi się nie uśmiechała. Wkrótce mogliśmy wszakże dostrzec zasnuwający horyzont dym ognisk, na których wędziły się antylopy, i nie minęło wiele dni, a pierwsze wozy poczęły wracać wyładowane czerniałymi płatami gotowego do przechowania mięsa.

Dokładnie dwadzieścia dni po naszym pierwszym spotkaniu ze stadami gnu siedziałem pod cienistym drzewem na brzegu Nilu, grając w senet z moim starym i drogim przyjacielem Atonem. Jako namiastkę luksusu oraz na dowód mego szacunku dla Atona otworzyłem cenny dzban trzypalmowego wina, który ocalał z zapasu, jaki zabrałem z Egiptu. Graliśmy, przekomarzając się, jak to mają w zwyczaju starzy przyjaciele, i sącząc z głębokim uznaniem wino.

Skąd mieliśmy wiedzieć, że nieszczęście pędziło w naszą stronę, by powalić wszystkich? Nic go nie zapowiadało. Wręcz przeciwnie, miałem wszelkie powody do zadowolenia. Poprzedniego dnia ukończyłem szkice grobowca faraona, do których włączyłem kilka pomysłów mających na celu zniechęcenie włamywaczy i pokrzyżowanie ich łupieżczych planów. Królowa Lostris je zatwierdziła i kazała nadzorować wykonanie całości

jednemu z mistrzów kamieniarskich. Powiedziała mi, że mogę rekwirować wszystkich niewolników i każdy sprzęt, jakiego mógłbym potrzebować. Moja pani nie chciała oszczędzać przy wypełnianiu przysięgi złożonej zmarłemu mężowi. Zamierzała zbudować dla niego najwspanialszy grobowiec, jaki tylko mógł zrodzić mój geniusz.

Wygrałem właśnie trzecią partię z kolei i nalewałem następny kubek prawdziwie wyborowego wina, gdy usłyszałem tętent kopyt. Podniosłem wzrok, by ujrzeć jeźdźca zbliżającego się pełnym galopem od strony rydwanów. Choć był jeszcze daleko, rozpoznałem w nim Huiego. Niewielu jeździło wierzchem, a już na pewno nie na złamanie karku. Gdy gnał w moją stronę, dostrzegłem wyraz jego twarzy, który mnie przeraził do tego stopnia, że wyprostowałem się na tyle gwałtownie, iż rozlałem wino i przewróciłem planszę.

- Taito! - krzyknął do mnie. - Konie! Słodka Izydo, zmiłuj się nad nami! Konie!

Ściągnął wierzchowca, a ja wskoczyłem za niego i objąłem go w pasie.

- Nie marnuj czasu na gadanie! - zawołałem mu w ucho. - Jedź, chłopie, jedź!

Najpierw poszedłem do Cierpliwości. Połowa stada leżała na ziemi, lecz ona była moją pierwszą miłością. Klacz spoczywała na boku, a jej pierś ciężko falowała. Była już stara, siwa sierść oszraniała jej pysk. Nie zaprzęgałem jej od dnia, gdy słoń zabił Klingę. Chociaż nie ciągnęła rydwanu, była najlepszą klaczą rozplodową w naszym

stadzie. Jej młode dziedziczyły po niej wielkie serce i inteligencję. Ledwie co podchowiała ślicznego źrebaczka, który stał teraz, przyglądając się niespokojnie.

Przykląkłem przy niej.

- Co ci jest, moje dzielne kochanie? - zapytałem cicho, a ona rozpoznała mój głos i otworzyła oczy.

Powieki miała sklezione śluzem. Byłem przerażony jej stanem. Szyj a i gardło spuchły tak, że ich obwód dwukrotnie się powiększył. Odrażająco cuchnący strumień żółtej ropy sączył się z pyska i nozdrzy. Paliła ją gorączka, czułem gorąco bijące od niej jak od ogniska.

Gdy pogładziłem ją po karku, spróbowała wstać, ale była zbyt słaba. Opadła na ziemię, oddech charczał i świszczał jej w gardle. Gęsta jak śmietana ropa dobywała się z nozdrzy i słyszałem, że Cierpliwość się nią dusi. Musiała walczyć o każdy oddech.

Przypatrywała mi się z takim zaufaniem i błaganiem jak człowiek. Ogarnęło mnie poczucie bezsilności. Owa choroba przekraczała całe me uprzednie doświadczenie. Ściągnąłem z ramion śnieżnobiały płócienny szal i otarłem nim ciekącą z jej nozdrzy ropę. Była to beznadziejnie żalosna próba, jako że gdy tylko ją zgarnąłem, wypływały świeże strugi cuchnącej wydzieliny.

- Taito! - zawołał do mnie Hui. - Wszystkie nasze zwierzęta dotknięte są tą plagą.

Wdzięczny za odwrócenie uwagi, zostawiłem Cierpliwość i poszedłem obejrzyć stado. Połowa koni leżała, a te, które

nadal trzymały się na nogach, na ogół chwiały się albo już zaczynały toczyć z pysków gęstą żółtą ropę.

- Co mamy robić? - pytali błagalnie Hui i pozostali woźnice.

Ich ufność była dla mnie ciężarem. Oczekiwali, że sam zdołam odwrócić to straszliwe nieszczęście, a ja dobrze wiedziałem, że to nie leży w mojej mocy. Nie znałem na to lekarstwa i nie przychodziła mi do głowy żadna, nawet najdrastyczniejsza i najmniej spodziewana kuracja.

Błędnym krokiem powróciłem do Cierpliwości, by otrzeć z jej pyska nowy wylew cuchnącej wydzieliny. Widziałem, że gasła w szybkim tempie. Każdy nabierany oddech wymagał niewypowiedzianej walki. Żal mnie osłabiał; zdawałem sobie sprawę z tego, że zaraz zaleję się łzami bezsilności i na nic się już nie przydam ani koniom, ani ludziom.

Ktoś przyklęknął obok mnie, podniosłem wzrok i zobaczyłem, że był to jeden z szylluckich koniuchów, sympatyczny i chętny do pracy chłopak, z którym się zaprzyjaźniłem i który uważał mnie teraz za swego pana.

- To choroba gnu - powiedział w swym prostym języku. - Wiele zdechnie.

Wlepiąłem w niego oczy, a jego słowa poczęły układać się w logiczną całość w zmaconym umyśle. Przypomniałem sobie prychające, śliniące się stada ciemnoszarych zwierząt, które przetoczyły się przez równiny, wspomniałem, jak braliśmy je za prezent od przychylnych nam bogów.

- Ta choroba zabija nasze bydło, gdy przychodzą gnu. Zwierzęta, które ją przeżyją, są bezpieczne. Już więcej nie chorują.

- Co możemy zrobić, by je uratować, Habani? - zapytałem, lecz on pokręcił głową.

- Nic nie można uczynić.

Trzymałem głowę Cierpliwości w ramionach, gdy mój ukochany koń zdechł. Zdławiony oddech ucichł, klacz zadrżała, jej nogi zeszywniały, a potem ogarnął je bezwład. Jęknąłem, bo znalazłem się na krawędzi otchłani rozpacz. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że źrebak Cierpliwości także leży z żółtym śluzem bulgoczącym w krtani.

W jednej chwili rozpacz ustąpiła palącemu gniewowi.

- Nie! - krzyknąłem. - Nie pozwolę ci umrzeć.

Podbiegłem do źrebaka i zawołałem na Habaniego, by przyniósł w skórzanych wiadrach ciepłej wody. Lnianym suknem obmyłem gardło źrebaka, próbując zmniejszyć obrzmienie, lecz bez skutku. Ropa nadal płynęła z chrap, gorąca skóra szyi się napinała, w miarę jak ciało rozdymało się niczym wypełniający się powietrzem pęcherz.

- Zdycha - Habani potrząsnął głową. - Wiele zdechnie.

- Nie pozwolę na to - przysięgłem ponuro i posłałem Huiego na okręt po moją skrzynkę lekarską.

Wrócił prawie za późno. Źrebak był bliski śmierci. Oddech zamierał mu w płucach, czułem, jak energia wycieka z niego pod moimi nerwowo poruszającymi się rękoma. W miejscu zetknięcia się krtani i piersi namacałem pierścienie tchawicy o ostrych krawędziach. Jednym

płytkim cięciem przez skórę odsłoniłem białą, sztywną rurę, a następnie wbiłem w nią czubek skalpela i przedziurawiłem twardą osłonę. Powietrze natychmiast zaświszczało w otworze i ujrzałem, jak pierś źrebaka unosi się, a płuca wypełniają ją. Zaczął oddychać równym, miarowym rytmem, lecz prawie natychmiast dostrzegłem, że kłuta rana w gardle zaczyna zapychać się krwią i śluzem.

W szaleńczym pośpiechu odrąbałem kawałek bambusa z obudowy najbliższego rydwanu, odciąłem z końca pustą rurkę i wepchnąłem ją w ranę. Bambusowa rurka zapobiegała jej zamykaniu się, a źrebak zaprzestał walki, gdy tylko zaczął zasysać i wydychać przez nią powietrze.

- Hui! - przywołałem go krzykiem. - Pokażę ci, jak je uratować.

Zanim zapadła noc, przeszkoliłem stu albo więcej woźniców i koniuchów w wykonywaniu tej prymitywnej, lecz skutecznej operacji, a potem pracowaliśmy przez całą noc przy drżącym, nierównym świetle pochodni.

W owym czasie królewskie stada liczyły trzynaście tysięcy koni. Nie mogliśmy uratować wszystkich, chociaż próbowaliśmy.

Trudziliśmy się dalej, krew z rozcinanych gardeł oblepiała nam ręce po łokcie. Gdy zmęczenie brało górę, padaliśmy na belę siana i spaliśmy przez godzinę, a potem zwlekaliśmy się z posłań i wracaliśmy do roboty.

Niektóre konie nie wykazywały tak ostrych objawów choroby, którą nazwałem żółtym dusicielem. Miały chyba wrodzoną odporność. Wydzielina z nozdrzy nie była obfitsza

niż u widzianych przez nas gnu, wiele zwierząt pozostało na nogach i zwalczyło niemoc w ciągu paru dni.

Inne zdechły, zanim zdążyliśmy zrobić im otwór w tchawicy, a nawet część tych, które z powodzeniem zoperowaliśmy, padła później wskutek gangreny lub powikłań spowodowanych ranami, jakie im zadaliśmy. Oczywiście wiele koni zabranych zostało na wyprawę w głąb równin i nie mogłem udzielić im pomocy. Księżę Memnon utracił dwie trzecie swoich rumaków, zmuszony więc był porzucić rydwany i wrócić do Kebui na piechotę.

Straciliśmy ponad połowę stada, siedem tysięcy sztuk, a te, które przeżyły, były tak osłabione i przygnębione, że minąć musiało wiele miesięcy, zanim stały się wystarczająco zdrowe i silne, by pociągnąć rydwan. Żrebak Cierpliwości wyzdrowiał i zajął w moim sercu miejsce swej starej matki. Biegał po prawej stronie w moim zaprzęgu, a był tak mocny i godny zaufania, że nazwałem go Głaz.

- Jak zaraza ta wpłynęła na nasze nadzieje szybkiego powrotu do Egiptu? - zapytała moja pani.

- Cofnęła nas w przygotowaniach o wiele lat - oznajmiłem i dostrzegłem ból w jej oczach. -Utraciliśmy większość najlepiej wyszkolonych koni, takich jak Cierpliwość. Będziemy musieli od początku rozmnożyć królewskie stada i wytresować żrebaki, żeby mogły zastąpić tamte przy rydwanach.

Z trwogą oczekiwałem następnej dorocznej migracji gnu, lecz gdy się zaczęła i tłumy zwierząt raz jeszcze pokryły równiny, okazało się, że Habani miał rację. Zaledwie kilka

koni zapadło na żółtego dusiciela, a i to w łagodnej postaci. Straciły siły jedynie na kilka tygodni, po upływie tego czasu znów mogły pracować.

Zdziwiło mnie, że źrebaki urodzone w okresie po pierwszej infekcji żółtego dusiciela, nigdy niewystawione na działanie właściwej choroby, były równie na nią odporne jak ich matki, które poznały pełną siłę zarazy. Zupełnie jakby odporność została im przekazana z wyssanym matczynym mlekiem. Nabrałem pewności, że nigdy więcej nie doświadczymy już całej furii tej plagi.

Teraz moim głównym obowiązkiem, nałożonym na mnie przez moją panią, była budowa w górach grobowca faraona. Większość czasu musiałem spędzać w tym dzikim i niedostępnym miejscu. Góry i ich zmienne nastroje zaczynały mnie fascynować.

Nieprzewidywalne jak piękna kobieta, czasami odległe i skryte za gęstymi, przesuwającymi się zasłonami chmur, przeszywanymi błyskawicą i rozdieranymi gromem, kiedy indziej urocze i uwodzicielskie, przywoływały i zachęcały mnie, bym odkrywał ich sekrety i doświadczał wszystkich ich niebezpiecznych rozkoszy.

Chociaż do wykonania grobowca miałem osiem tysięcy niewolników i nieograniczone wsparcie naszych najlepszych rzemieślników i artystów, roboty postępowały powoli. Wiedziałem, że ukończenie wykwiutnego mauzoleum, na którego wybudowanie nalegała moja pani, i ozdobienie go tak, by było godnym schronieniem dla władcy Dwóch Królestw, zająć musiało wiele lat. Prawdę

mówiąc, przyspieszanie prac nie miało sensu, jako że równie dużo czasu trwać musiało uzupełnienie stad królewskich koni i wyszkolenie szylluckich pułków piechoty tak, by stanowiły godnych przeciwników dla hyksoskich oddziałów, z którymi pewnego dnia miały się zewrzeć.

Gdy nie byłem w górach zajęty pracą przy grobowcu, cały czas spędzałem w Kebui, gdzie oczekiwały mnie miliony różnych zadań i przyjemności. Między innymi kształcenie moich dwóch księżniczek jak i opracowywanie nowej taktyki wojskowej dla Tanusa i księcia.

Stało się jasne, że Memnon któregoś dnia stanie na czele wszystkich dywizji rydwanów. Tanus natomiast nigdy nie przewycięży swej pierwotnej nieufności do koni. Był żeglarzem i piechurzem do szpiku kości, a z upływem lat stawał się jeszcze bardziej zachowawczy i dowodził swymi nowymi szylluckimi pułkami w sposób zdecydowanie tradycyjny.

Księżę wyrastał na śmiałego i pomysłowego dowódcę. Każdego dnia przychodził do mnie z tuzinem nowych pomysłów, niektóre były mocno naciągane, lecz inne zdecydowanie genialne. Wypróbowywaliśmy wszystkie, nawet te, co do których wiedziałem, że są niemożliwe do wcielenia w życie. Miał szesnaście lat, gdy królowa Lostris awansowała go do stopnia dowódcy dziesięciu tysięcy.

Tanus jeździł teraz ze mną bardzo rzadko, powoli przejąłem więc rolę pierwszego woźnicy Memnona. Wytworzyło się między nami porozumienie, które stało się niemal instynktowne i które objęło także nasze ulubione

konie, Głaza i Łącucha. Podczas przemarszów Memnon nadal lubił powozić, a ja stawałem za nim na platformie. Ale gdy tylko wkraczaliśmy do akcji, rzucał mi lejce i zdejmował z uchwytu łuk albo oszczepy. Ja zaś prowadziłem rydwan w bój i wykonywałem nim ewolucje, jakie wspólnie wymyśliliśmy.

W miarę jak Memnon dojrzewał i nabierał sił, zaczęliśmy zdobywać nagrody podczas zawodów i wojskowych pokazów, będących częścią naszego życia w Kebui. Najpierw zabłysnęliśmy w wyścigach, w których nasz zaprzęg złożony z Głaza i Łącucha mógł w pełni wykazać się prędkością; potem poczęliśmy wygrywać zawody łucznicze i oszczepnicze. Wkrótce staliśmy się znani jako ten rydwan, który należało pokonać, by zażądać od królowej Lostris wstęgi mistrza.

Pamiętam wiwaty, które nastąpiły po tym, jak nasz rydwan przemknął przez ostatnią bramkę na trasie. Trzymałem lejce, a Memnon stał na pomoście, ciskając oszczepy na lewo i na prawo w dwie wypchane słomą kukły. Potem był już tylko szaleńczy pęd po prostej, książę był jak demon, a jego długi warkocz rozciągał się za nim na wietrze niczym ogon szarżującego lwa.

Wkrótce zaczął się wyróżniać i w innych dziedzinach, tym razem bez mojej pomocy. Kiedy tylko ze lśniącym na piersi Złotem Męstwa i wstęgą mistrza wplecioną w warkocz mijał młode dziewczyny, te chichotały, rumieniły się i strzelały oczyma w jego stronę. Pewnego razu wszedłem w pośpiechu do jego namiotu, niosąc jakieś ważne

wiadomości, lecz stanąłem jak wryty, ujrawszy mego księcia w jednoznacznej pozycji, niewidzącego świata poza miękkim młodym ciałem i ładną twarzą pod sobą. Wycofałem się bezszelestnie, nieco zasmucony, że skończył się już jego wiek niewinności.

Spośród wszystkich tych przyjemności żadna nie mogła równać się dla mnie z bezcennymi godzinami, jakie spędzałem z moją panią. W trzydziestym trzecim roku życia jej uroda była w pełni rozkwitu. Doświadczenie i powaga jedynie dodawały Lostris uroku. Stała się prawdziwą królową i kobietą nie mającą sobie równych.

Wszyscy ją kochali, ale nikt bardziej ode mnie. Nawet Tanus nie mógł prześcignąć mnie w oddaniu. Dumny byłem z tego, że wciąż jeszcze tak bardzo mnie potrzebowała i z taką ufnością polegała na mnie i moich sądach. Nie umniejszając pod żadnym względem innych błogosławieństw, jakie upiększały mi życie, Lostris na zawsze pozostanie największą miłością mego żywota.

Powinienem być zadowolony i zaspokojony, lecz w mojej naturze leżała pewna niecierpliwość, zaostrzana jeszcze nowym zamiłowaniem do wędrówki, które pojawiło się ostatnimi laty. Za każdym razem, gdy przerywałem pracę nad grobowcem faraona i spoglądałem na góry, słyszałem ich zew. Zacząłem robić krótkie wycieczki wąwozami, często w pojedynkę, czasem z Huim czy innym towarzyszem.

Hui był ze mną, gdy wysoko, na wyniosłych graniach, pierwszy raz ujrzałem stada koziorożców. Należały do

gatunku, jakiego nigdy dotąd nie napotkałem. Były dwukrotnie wyższe od dzikich kóz, które znaleźliśmy z doliny Nilu, a niektóre stare capy dźwigały tak wielkie skęczone rogi, że wydawały się równie monstrualne jak jakieś bajeczne bestie.

Do zlewiska rzek, gdzie w Kebui oczekiwała flota, Hui zaniósł wieści o tych wielkich koziorożcach, i w ciągu miesiąca do doliny kryjącej królewski grobowiec przybył Tanus z łukiem przerzuconym przez ramię i księciem Memnonem u boku. Księżę szybko stawał się równie zagorzałym myśliwym jak jego ojciec i z podobnym napięciem oczekiwał polowania. Jeśli chodzi o mnie, z radością powitałem sposobność zbadania tych fascynujących gór w takim towarzystwie.

Zamierzaliśmy zapuścić się jedynie do linii szczytów najbliższego łańcucha, lecz gdy się tam wspieliśmy, ujrzeliśmy zapierający dech w piersiach widok. Ukształtowane na wzór kowadeł góry o płaskich wierzchołkach rysowały się na tle nieba, barwą przypominając płowe lwy. Szczyty, na których staliśmy, wydawały się przy nich karłami, więc poczuliśmy pokusę dalszej wędrówki.

Nil wspinał się równo z nami przez przepastne doliny i mroczne wąwozy, które ubijały jego wody w lśniącą biel. Nie mogliśmy podążać nieprzerwanie za jego biegiem, lecz miejscami musieliśmy się wspinać i maszerować karkołomnymi kozimi ścieżkami w poprzek zbocza ponurego szczytu.

Wtedy, gdy daliśmy się zwabić głęboko w jej paszczę, góra wyładowała na nas całą swoją furię.

Było nas stu, prowadziliśmy ze sobą dziesięć jucznych koni obładowanych zapasami. Obozowaliśmy w głębi jednego z bezdennych wąwozów, świeże zdobycze ostatniego polowania Tanusa i Memnona wystawione były na pokaz na skalistym podłożu i budziły powszechny podziw. Były to dwa łby koziorożców, największych, jakie widzieliśmy podczas naszych wędrówek, o rogach tak ciężkich, że trzeba było dwóch niewolników, by unieść jeden. Nagle zaczęło padać.

W naszej egipskiej dolinie pada nie częściej niż raz na dwadzieścia lat. Nikomu z nas nie śniło się nawet o niczym choćby mgliście zbliżonym do deszczu, który lunął teraz z nieba.

Najpierw gęste czarne chmury zawisły na wąskim pasku nieba widocznym między zamykającymi się wokół nas zboczami, tak więc ze słonecznego południa wtrąceni zostaliśmy w głęboki półmrok. Zimny wiatr przemknął przez kotlinę, przesywając chłodem ciała i serca. Z przerażenia zbiliśmy się w ciasną grupę.

Wtedy z ponurej powłoki chmur wystrzeliła błyskawica, bijąc w otaczające skały, napełniając powietrze zapachem siarki i iskrami skrzesanymi z krzemienia. Rozległ się grzmot, tym przeraźliwszy, że dźwięk odbijał się od stoków, aż ziemia podskoczyła i zadrżała pod stopami.

Wówczas zaczął się deszcz. Nie padał na nas pod postacią kropli. Czuliśmy się tak, jakbyśmy stanęli pod którąś

z katarakt Nilu podczas wylewu rzeki, zabrakło nam powietrza do oddychania, woda wypełniała usta i nozdrza, niemal zaczęliśmy się topić. Deszcz był tak gęsty, że widzieliśmy jedynie zamazane sylwetki ludzi stojących na wyciągnięcie ręki. Poniewierał nami do tego stopnia, iż zwaliliśmy się na ziemię i skuliliśmy pod najbliższą skałą w poszukiwaniu osłony. Paraliżował wszystkie zmysły, ciął nagą skórę niczym rój rozzłoszczonych szerszeni.

Było zimno. Nigdy nie doświadczyłem podobnego chłodu. Mieliśmy na sobie jedynie cienkie lniane szale. Chłód wysysał energię z kończyn, dygotaliśmy tak, że dzwoniliśmy zębami i nawet zaciskając ze wszystkich sił szczęki, nie byliśmy w stanie przestać.

Wtedy przez dźwięk padającego deszczu przebił się nowy odgłos. Był to ryk wody przemienionej w żarłocznego potwora. Przez wąską dolinę, na dnie której leżeliśmy, toczyła się szara ściana. Sięgała od krańca do krańca i zabierała ze sobą wszystko.

Porwała i mnie. Miotła mną bez końca. Rzuciła na skały, poczułem, jak ucieka ze mnie życie, a lodowata woda wypełnia gardło. Zapanowała ciemność i pomyślałem, że umieram.

Jak przez mgłę przypominam sobie wywlekające mnie z wody ręce, a potem coś mnie wyrzuciło na jakiś mroczny i odległy brzeg. Słyszałem wołanie mego księcia. Zanim zdołałem otworzyć oczy, dotarł do mnie zapach płonącego drewna i jedną stroną ciała poczułem ciepło płomieni.

- Tata, zbudź się! Odezwij się. - Głos nalegał, rozwarłem więc powieki. Twarz Memnona falowała, pojawił się na niej przeznaczony dla mnie uśmiech. Potem zawołał przez ramię: - Odzyskał przytomność, księżę Tanusie.

Stwierdziłem, że znajdowaliśmy się w skalnej jaskini i że na zewnątrz zapadła noc. Tanus podszedł do dymiącego ogniska i przykucnął obok księcia.

- Jak się masz, stary drużu? Chyba nie połamałeś sobie kości?

Usiadłem z trudem i niepewnie obmacałem wszystkie części ciała, zanim odpowiedziałem.

- Rozbiłem sobie głowę, wszystkie członki mnie bolą. Poza tym zimno mi i jestem głodny.

- A więc będziesz żył - zachichotał Tanus - chociaż przed chwilą wątpiłem, czy któremukolwiek z nas to się uda. Musimy wydostać się z tych przeklętych gór, zanim zdarzy się coś gorszego. Szaleństwem było już samo zapuszczanie się w miejsce, gdzie rzeki spadają wprost z nieba.

- Co z innymi? - zapytałem.

- Wszyscy utonęli. - Pokręcił głową. - Jesteś jedynym, którego zdołaliśmy wyciągnąć z wody.

- Co z końmi?

- Przepadły - mruknął. - Wszystkie przepadły.

- Jedzenie?

- Nic nie ocalało - odparł Tanus. - Nawet mój łuk przepadł w rzece. Został mi miecz u boku i to, co mam na sobie.

O świcie opuściliśmy skalne schronienie i ruszyliśmy w drogę powrotną przez zdradziecką dolinę. U wylotu

wąwozu znaleźliśmy porozrzucane wśród skał tam, gdzie pozostawiła je ustępująca powódź, ciała niektórych naszych ludzi i koni.

Przeszukaliśmy rozsiane wśród kamieni i usypisk szczątki; zdołaliśmy odzyskać trochę zapasów i sprzętu. Ku mej wielkiej radości znalazłem moją skrzynkę lekarską, była nietknięta, choć zalana wodą. Rozłożyłem jej zawartość na kamieniu. Ze skórzanych rzemieni zmajstrowałem uprząż, dzięki której mogłem przenosić całość na plecach.

W tym czasie Memnon wyciął pasy mięsa z końskiego trupa i usmażył je nad ogniskiem. Gdy najedliśmy się do syta, schowaliśmy resztę strawy i podążyliśmy dalej.

Podróż powoli zamieniała się w koszmar, spuszczaaliśmy się po stromych skalistych zboczach i schodziliśmy w wąwozy. To straszliwe pustkowienie nie miało końca, a nasze poobijane stopy w sandałach boleśnie odczuwały każdy krok. Nocą trzęśliśmy się żałośnie wokół małego kopcałego ogniska z ułamanymi gałęzi.

Drugiego dnia wiedzieliśmy już, że zgubiliśmy drogę i że wędrujemy na oślep. Pewien byłem, że czeka nas śmierć w tych przerażających górach. Wtedy usłyszeliśmy rzekę i po wspięciu się na kolejne siodło między szczytami, znaleźliśmy ledwo co narodzony Nil przemykający dnem parowu u naszych stóp. To nie wszystko. Na brzegach ujrzeliśmy zbieraninę kolorowych namiotów, pomiędzy którymi poruszały się ludzkie postaci.

- Cywilizowani ludzie - powiedziałem natychmiast - bo te namioty muszą być z tkaniny.

- I mają konie - zgodził się skwapliwie Memnon, wskazując na zwierzęta spętane sznurami za obozowiskiem.

- Tam! - pokazał Tanus. - Widziałem błysk światła na ostrzu miecza albo na grocie włóczni. Znają obróbkę metalu.

- Musimy dowiedzieć się kim są. - Fascynowało mnie to, że byli w stanie przeżyć w tak niegościnniej krainie.

- Zyskamy na tym jedynie poderżnięte gardła - warknął Tanus. - Na jakiej podstawie uważasz, że ci górale nie są równie dzicy jak kraj, w którym żyją?

Później okazało się, że ci ludzie są Etiopczykami.

- To wspaniałe konie - szepnął Memnon. - Nasze nie są tak wielkie ani mocne. Musimy zejść na dół i im się przypatrzeć.

Następca tronu był przede wszystkim jeźdźcem.

- Książę Tanus ma słuszość - jego ostrzeżenie poruszyło mą z reguły roztropną naturę, lecz w końcu ciekawość zwyciężyła i zakradliśmy się jednym z parowów, by podejrzeć obóz obcych.

Gdy się zbliżyliśmy, ujrzeliśmy, że byli to wysocy, dobrze umięśnieni ludzie, prawdopodobnie bardziej krzepkiej budowy ciała od nas, Egipcjan. Włosy mieli gęste i ciemne, mocno skręcone. Mężczyźni nosili brody, my natomiast golimy zarost. Ubierali się w sięgające do ziemi jaskrawe szaty prawdopodobnie utkane z wełny. My odkrywamy torsy, a nasze spódniczki są zwykle śnieżnobiałe. Na nogach mieli buty z miękkiej skóry, w przeciwieństwie do naszych sandałów, głowy owijali barwnym płótnem.

Zauważyliśmy, że kobiety, które pracowały między namiotami, były wesole i nie zakrywały twarzy. Gdy czerpały wodę, kucaly przy ogniskach gotując posiłek, czy miały zboże w żarnach, śpiewały i wołały do siebie w języku, którego przedtem nie słyszałem, lecz ich głosy były melodyjne.

Grupka mężczyzn pochłonięta była planszową grą, która, jak widziałem z miejsca, w którym się ukrywałem, bardzo przypominała senet. Zakładali się i kłócili przy każdym posunięciu. W pewnej chwili dwaj poderwali się na nogi i zza pasów wyszarpnęli zakrzywione sztylety. Skoczyli na siebie, warcząc i sycząc jak para rozzłoszczonych kocurów.

W tym momencie trzeci mężczyzna, siedzący samotnie, wstał i przeciągnął się niczym rozleniwiony lampart. Podeszedł do nich niespiesznym krokiem i mieczem roztrącił sztylety. Obaj przeciwnicy natychmiast się uspokoili i chyłkiem odeszli.

Człowiek, który zaprowadził spokój, najwyraźniej pełnił rolę przywódcy. Był wysokim mężczyzną o żylastej sylwetce górskiego kozła. I pod innymi względami przypominał capa. Miał długą i gęstą brodę, grube, podobne do koźlich rysy, ciężki, zakrzywiony nos i szerokie usta, wygięte w znamionującym okrucieństwo grymasie.

Nagle poczułem na ramieniu uchwyt Tanusa.

- Spójrz tylko na to! - szepnął.

Wódz miał na sobie najbogatsze odzienie. Jego szata pyszniła się szkarłatnymi i błękitnymi pasami, kolczyki wykonane zostały z kamienia płonącego niczym księżyc

w pełni. Lecz nie dostrzegałem niczego, co mogłoby Tanusa podniecić.

- Jego miecz - syknął Tanus. - Spójrz na jego miecz.

Teraz przyjrzałem mu się po raz pierwszy. Był dłuższy od naszej broni, misternej roboty głowicę bez wątpienia wykonano ze złota, a równie delikatnej ornamentyki jeszcze nie widziałem. Jelec bogato ozdobiono drogocennymi klejnotami. Było to dzieło sztuki, którego wykonanie na pewno zajęło jakiemuś mistrzowi całe życie.

Nie to wszakże przyciągało uwagę Tanusa, lecz ostrze. Długością równe ramieniu wodza, zrobiono z metalu, którym nie był ani żółty brąz, ani czerwona miedź. Miało dziwną, srebrzystobłękitną połyskliwą barwę łuski świeżo wyciągniętego z wody nilowego okonia. Jakby dla podkreślenia unikatowej wartości, było inkrustowane złotem.

- Co to jest? - sapnął Tanus. - Co to za metal?

- Nie mam pojęcia.

Wódz zajął na powrót miejsce przed wejściem do swego namiotu, lecz teraz położył miecz w poprzek kolan i zaczął z czułością gładzić krawędź ostrza fragmentem wulkanicznej skały w kształcie fallusa. Przy każdym dotknięciu kamieniem metal wydawał dźwięczny, drżący odgłos. Żaden brąz nigdy tak nie dźwięczał. Było to mruczenie odpoczywającego lwa.

- Chcę go mieć - szepnął Tanus. - Nie zaznam spokoju, dopóki nie zdobędę tego miecza.

Spojrzałem na niego z przestracchem, gdyż nigdy nie słyszałem takiego brzmienia jego głosu. Stwierdziłem, że mówił poważnie. Był jak człowiek porażony nagłą, nieodpartą namiętnością.

- Nie możemy tu dłużej zostać - powiedziałem cicho. - Odkryją nas.

Wzięłem go za ramię, ale się opierał. Nie odrywał wzroku od broni.

- Chodźmy przyjrzeć się koniom - nalegałem i tym razem pozwolił mi się wreszcie odciągnąć.

Memnona prowadziłem drugą ręką. W bezpiecznej odległości okrążyliśmy obóz i podkradliśmy się ku stadu.

Gdy ujrzałem je z bliska, zapłonąłem namiętnością równie ognistą jak uczucie Tanusa do błękitnego miecza. Była to rasa odmienna od naszych hyksoskich koni. Wyższe, o bardziej eleganckich proporcjach, miały szlachetne głowy, szersze chrapy. Wiedziałem, że nozdrza te są oznaką wytrzymałości i większej pojemności płuc. Wielkie, wilgotne oczy lśniły inteligencją, znajdowały się bardziej z przodu czaszki i były wypuklejsze niż u naszych zwierząt.

- Są piękne - wyszeptał Memnon u mego boku. - Zobacz, jak unoszą głowy i wyginają szyje.

Tanus pragnął miecza, my równie namiętnie pożąдалиśmy koni.

- Tylko jeden taki ogier dla naszych kłaczy - poprosiłem wszystkich bogów, którzy nam się przysłuchiwali. - Oddałbym wieczność za jednego.

Jakiś pastuch rzucił okiem w naszą stronę, potem rzekł coś do swego towarzysza i ruszył ku nam. Tym razem nie musiałem nalegać - wszyscy trzej skuliliśmy się za kryjącym nas głazem i odczołgaliśmy się w tył. Znaleźliśmy bezpieczną kryjówkę w dole rzeki, wśród niekształtnego stosu kamieni i natychmiast wszczęliśmy jedną z tych dyskusji, w których wszyscy mówią jednocześnie, nikt zaś nie słucha innych.

- Pójdę i zaproponuję mu tysiąc debenów złota - zaklinał się Tanus. - Muszę mieć ten miecz.

- Zabije cię. Nie widziałeś, jak gładził go niczym pierworodnego syna?

- Te konie - rozmarzył się Memnon. - Nigdy nie wyobrażałem sobie takiego piękna. Horus musi zaprzęgać podobne bestie do swego rydwanu.

- Czy widziałeś, jak tamci dwaj skoczyli na siebie? - upomniałem go. - To ludzie nieokrzesani i żądni krwi. Wypruliby ci flaki, zanimbyś otworzył usta i zdążył się odezwać. Ponadto co mógłbyś im w zamian zaoferować? Zobaczą w nas nędznych żebraków.

- Moglibyśmy skraść dziś w nocy trzy lub cztery ogiery i uciec na nich na równinę - zaproponował Memnon, lecz choć pomysł był pociągający, skarciłem księcia surowo.

- Jesteś egipskim następcą tronu, nie zwykłym złodziejem.

Memnon wyszczerzył zęby.

- Dla jednego takiego konia podrzynałbym gardła jak najgorszy tebański rzezimieszek.

Kiedy tak się spieraliśmy, nagle do naszej świadomości dotarły głosy obcych zbliżających się wzdłuż brzegu od strony obozowiska. Rozejrzeliśmy się w poszukiwaniu lepszej kryjówki.

Głosy stały się wyraźniejsze. Przed naszymi oczyma pojawiła się grupka kobiet, która przystanęła na skraju wody. Były tam trzy staruchy i młoda dziewczyna. Kobiety miały na sobie brązowawe szaty i czarne płótno na głowach. Sądziłem, że były to służki lub niewolnice. Nie przyszło mi wtedy do głowy, że mogły to być strażniczki, jako że traktowały dziewczynę z niezwykłym szacunkiem.

Dziewczyna była wysoka i szczupła. Idąc, poruszała się niczym łodyga papirusu w bryzie znad Nilu. Miała na sobie krótką odsłaniającą kolana szatę z kosztownej wełny w żółte i błękitne pasy. Choć nosiła płytkie buty zszyte z kawałków miękkiej skóry, mogłem zauważyć, że jej nogi były zgrabne i gładkie.

Kobiety zatrzymały się poniżej naszej kryjówki. Jedna zaczęła dziewczynę rozbierać. Dwie pozostałe napełniły wodą z Nilu gliniane dzbany, które przyniosły na głowach. Rzeka nadal wezbrana była po deszczu. Wejście do lodowatego nurtu to rzecz niezwykle niebezpieczna. Jasne, że zamierzały umyć dziewczynę wodą z dzbanów.

Któraś ściągnęła przez głowę szatę dziewczyny i ta stała teraz naga na skraju wody. Usłyszałem westchnienie Memnona. Spojrzałem na niego i dostrzegłem, że całkowicie zapomniał o kradzieży koni.

Podczas gdy dwie kobiety wylewały wodę z dzbanów, trzecia wycierała dziewczynę złożonym kawałkiem sukna. Dziewczyna trzymała ręce nad głową i obracała się powoli w miejscu, żeby mogły zmoczyć całe ciało. Śmiała się i piszczała z zimna, zauważyłem drobną gęsią skórkę pojawiającą się wokół jej sutków – oszlifowanych granatów czysto rubinowej barwy, osadzonych jak klejnoty na czubkach gładkich okrągłych piersi.

Jej włosy były ciemną gęstwiną drobnych loków, a skóra miała kolor akacjowego drewna po wypolerowaniu i naoliwieniu. Intensywny brązowoczerwony odcień płonął w ostrym górskim słońcu.

Rysy były czyste, nos wąski i delikatny, usta miękkie i pełne, lecz nie grube. Miała wielkie, ciemne, lekko skośne oczy i wysokie kości policzkowe, a rzęsy tak gęste, że spleływały się ze sobą. Była piękna. Znałem tylko jedną kobietę, która przewyższała ją urodą.

Niespodzianie dziewczyna powiedziała coś do towarzyszących jej kobiet. Te odsunęły się, ona zaś odeszła i zaczęła wspinać się w naszą stronę na długich, nagich nogach. Zanim jednak dotarła do naszej kryjówki, skręciła za głaz, który zasłaniał ją przed towarzyszkami, my natomiast widzieliśmy ją doskonale. Rozejrzała się szybko na boki, lecz nas nie spostrzegła. Zimna woda musiała na nią podziałać, gdyż przykucnęła pospiesznie i uryna zadzwięczała na skale pod jej stopami.

Memnon jęknął cicho. Był to odruchowy, nie umyślny wyraz pożądania tak intensywnego, że stało się

cierpieniem. Dziewczyna zerwała się na nogi i spojrzała wprost na niego. Memnon stał w pewnej odległości ode mnie i Tanusa. My pozostawaliśmy w ukryciu, ale on był dobrze dla niej widoczny.

Wpatrywali się w siebie. Dziewczyna drżała, otwierała coraz szerzej ciemne oczy. Spodziewałem się, że ucieknie z wrzaskiem. Zamiast tego zerknęła konspiracyjnie przez ramię, jak gdyby chciała się upewnić, że kobiety nie poszły za nią. Potem odwróciła się do Memnona i łagodnym, słodkim głosem zadała pytanie, jednocześnie wyciągając do niego rękę w błagalnym geście.

- Nie rozumiem - szepnął Memnon, rozkładając ręce.

Dziewczyna podeszła do niego i niecierpliwie powtórzyła pytanie, a gdy Memnon pokręcił głową, chwyciła go za rękę i potrząsnęła nią. Podniosła głos, prosząc go o coś.

- Masara! - Jedna z jej towarzyszek usłyszała jej słowa. - Masara!

Bez wątpienia było to imię dziewczyny, gdyż ostrzegawczym gestem nakazała Memnonowi milczenie, a potem odwróciła się, by zejść na dół.

Trzy kobiety ruszyły wszakże po zboczu w ślad za Masarą. Mówiły coś podniecone i zaniepokojone, obeszły głaz i zatrzymały się, ujrawszy Memnona.

Przez moment nikt się nie ruszał, a potem wszystkie trzy wrzasnęły chórem. Naga dziewczyna była chyba gotowa pobiec w stronę Memnona, lecz gdy się zerwała, dwie kobiety ją zatrzymały. Teraz krzyczały już wszystkie cztery. Dziewczyna ciągle próbowała się wyrwać.

- Czas do domu. - Tanus szarpnął mnie za ramię, a ja jednym susem pognałem za nim.

Ze strony obozu dobiegały krzyki wielu mężczyzn zaniepokojonych kobiecymi wrzaskami. Gdy się zatrzymałem, by spojrzeć do tyłu, zobaczyłem, jak kupą przekraczają grzbiet wzniesienia. Zobaczyłem też, że Memnon nie poszedł w nasze ślady, lecz skoczył na pomoc dziewczynie.

Wszystkie trzy strażniczki były wielkimi kobietami i mocno trzymały swą podopieczną, wrzeszcząc dwa razy głośniej. Chociaż Masara rozpaczliwie starała się uwolnić, Memnon nie mógł jej wydrzeć.

- Tanusie! - ryknąłem. - Memnon ma kłopoty.

Zawróciliśmy, wspólnymi siłami schwyciliśmy go i odciągnęliśmy w tył. Ustępował nam niechętnie.

- Wróć po ciebie! - zawołał do dziewczyny, oglądając się przez ramię, gdy biegł między nami. - Bądź dzielna! Wróć po ciebie!

Gdy ktoś mówi mi teraz, że nie istnieje coś takiego jak miłość od pierwszego wejrzenia, uśmiecham się do siebie i wspominam ten dzień, gdy Memnon pierwszy raz ujrzał Masarę.

Straciliśmy czas na szamotaninę i uwalnianie Memnona, więc gdy popędziliśmy jedną z kozich ścieżek na grzbiet wzgórza, ścigający ostro na nas napierali. Strzała przemknęła Memnonowi obok ramienia i zagrzechotała na przydrożnych kamieniach. To skłoniło nas do jeszcze szybszego biegu.

Mknęliśmy jeden za drugim wąską ścieżką. Prowadził Memnon, a Tanus podążał za nim. Ja zamykałem grupkę i, obciążony ciężką skrzynką lekarską na plecach, począłem zostawać w tyle. Kolejna strzała przeleciała nam nad głowami, a potem trzecia uderzyła w pakunek na plecach z taką siłą, że aż się zatoczyłem. Lecz skrzynka zatrzymała pocisk, który inaczej przebiłby mi ciało.

- Dalej, Taito! - zawołał do mnie Tanus. - Zrzuć to przekłete pudło, bo cię dopadną.

On i Memnon byli już pięćdziesiąt kroków przede mną i wciąż się oddalali, lecz nie mogłem porzucić cennej skrzynki. W tej samej chwili uderzyła następna strzała. Tym razem nie miałem tyle szczęścia. Trafiła w nogę, w umięśnioną część uda, i padłem ciężko w poprzek ścieżki.

Przetoczyłem się do pozycji siedzącej, po czym z przerażeniem spojrzałem na trzcinową brzechwę wystającą z nogi. Przeniosłem wzrok na ścigających. Wiódł ich brodaty wódz w prążkowanej szacie, wyprzedzając swych wojowników o sto kroków. Pędził szlakiem długimi, miękkimi susami, pokonując przestrzeń równie zręcznie jak samiec koziorożca, którego przypominał pod tak wieloma innymi względami.

- Taito! - zawołał do mnie Tanus. - Wszystko w porządku?

Zatrzymał się na szczycie wzniesienia i obejrzał się z niepokojem. Memnon przebiegł już na drugą stronę, toteż zniknął mi z oczu.

- Postrzelili mnie! - wrzasnąłem. - Zostaw mnie i uciekaj! Nie nadążę za wami!

Bez chwili wahania Tanus odwrócił się, a potem wielkimi skokami pognął w moją stronę. Etiopski wódz dostrzegł go i wyrzucił wyzwanie. Obnażył migotliwy błękitny miecz i wymachując nim, pogalopował w górę stoku.

Tanus dotarł do miejsca, w którym siedziałem. Próbował podnieść mnie na nogi.

- To bezcelowe. Mocno oberwałem. Sam się ratuj - mruknąłem, a Etiopczyk był tuż przy nas.

Tanus puścił moje ramię i wyciągnął miecz.

Zwarli się, w morderczym pośpiechu rzuciwszy się na siebie. Nie miałem żadnych wątpliwości co do rezultatu tego pojedynku, gdyż Tanus był najsilniejszym i najwprawniejszym szermierzem Egiptu. Gdy zabije Etiopczyka, będziemy zgubieni, bo nie możemy wtedy oczekiwać litości od jego sług.

Etiopczyk uderzył pierwszy. Ciął ze wszystkich sił znad głowy, mierząc w czoło Tanusa. Wymierzanie podobnego ciosu w szermierza kalibru jego przeciwnika to nieroztropność. Wiedziałem, że odpowiedzią Tanusa będzie sparowanie w linii głowy i naturalna odpowiedź - a za nią pójdzie cały pęd ramienia - kierująca ostrze miecza przez brodę wodza w jego gardło. Było to jedno z ulubionych uderzeń Tanusa.

Dwa ostrza spotkały się, lecz bez metalicznego dźwięku. Błękitna klinga przerąbała gładko złoty brąz Tanusa, tak jakby to była wierzbowy witka. Tanusowi została w dłoni rękojeść i długi na palec kawałek tego, co kiedyś było smukłym, zabójczym ostrzem z brązu.

Tanus oszołomiony był łatwością, z jaką Etiopczyk go rozbroił, i spóźnił się z obroną przed kolejnym ciosem, który spadł na niego niczym piorun. Odskoczył do tyłu w ostatniej chwili, lecz błękitny metal pozostawił długie, płytkie cięcie na nabrzmiąłych mięśniach nagiej piersi, wytaczając szybko płynącą krew.

- Uciekaj, Tanusie! - wrzasnąłem. - Albo zabije nas obu.

Etiopczyk znowu się na niego rzucił, ale ja leżałem na środku wąskiej ścieżki. By dopaść Tanusa, zmuszony był przeskoczyć przeze mnie. Chwyciłem go obiema rękami za kolana i przewróciłem na siebie.

Ponieważ leżałem pod nim, Etiopczyk próbował wbić czubek błękitnego miecza w mój brzuch, skręciłem się więc tak gwałtownie, że obaj spadliśmy ze ścieżki i zaczęliśmy ześlizgiwać się stromym, pokrytym piargami zboczem. Toczyliśmy się coraz szybciej. Jeszcze zobaczyłem Tanusa wyglądającego znad skraju ścieżki i zawołałem z rozpaczliwym skowytom:

- Uciekaj! Zajmij się Memnonem!

Łupki i luźne piargi stanowiły pułapkę równie zdradziecką jak ruchome piaski mokradeł, bo nie dawały uchwytu dla dłoni ani punktu podparcia. Rozdzieliliśmy się w końcu z Etiopczykiem i zatrzymaliśmy na skraju rzeki. Byłem tak poobijany i potłuczony, że ledwie zachowywałem przytomność. Leżałem i jęczałem, dopóki brutalne ręce nie postawiły mnie na nogi, zasypując ciosami i chrapliwymi przekleństwami moją głowę.

Wódz nie pozwolił swoim ludziom mnie zabić i wrzucić ciała do rzeki. Tak samo jak ja pokryty był kurzem, szatę miał brudną i porozdzieraną wskutek upadku, lecz błękitny miecz wciąż tkwił w dłoni. Powiedział coś do swoich. Zaczęto wlec mnie w stronę obozu. Rozejrzałem się rozpaczliwie i zauważyłem moją skrzynkę medyczną tkwiącą wśród skał. Skórzana uprząż pękła, toteż ładunek spadł mi z pleców.

- Przynieście to - poleciłem tym, którzy mnie pochwycili, z taką mocą i godnością, na jaką mogłem się zdobyć, wskazując na skrzynkę.

Moja bezczelność ich rozbawiła, lecz wódz posłał jakiegoś człowieka po skrzynkę.

Dwóch musiało mnie podtrzymywać, bo strzała w udzie zaczynała zadawać mi paralizujący ból. Każdy krok po drodze do obozu był torturą, a gdy tam dotarliśmy, rzucono mnie brutalnie na ziemię na placu wewnątrz kręgu namiotów.

Potem kłócili się długo i zawzięcie. Oczywiście było, że zastanawiali się nad tym, kim jestem i po co przyszedłem, starając się rozstrzygnąć, co ze mną zrobić. Co jakiś czas któryś stawał nade mną i kopał mnie po żebrach, wykrzykując pytania. Leżałem tak spokojnie, jak tylko potrafiłem, by nie skłaniać ich do dalszego stosowania przemocy.

Gdy z pustymi rękami powrócił oddział ścigający Tanusa i Memnona, powstało zamieszanie. Było jeszcze więcej krzyków i wymachiwania ramionami, w powietrzu

krzyżowały się obelgi i wzajemne zarzuty. Ucieszyłem się na myśl o tym, że tamtym dwóm udało się wymknąć.

Po chwili Etiopczycy przypomnieli sobie o mnie i wrócili, żeby kopniakami i uderzeniami wyładować na mnie swą złość. W końcu wódz ich odwołał, rozkazując dłużej mnie nie dręczyć. Wtedy przestałem ich ciekawić i rozeszli się. Pozostawili mnie leżącego na gołej ziemi, pokrytego brudem i sińcami, ze strzałą nadal tkwiącą w ciele.

Etiopski wódz wrócił na swe siedzisko przed największym namiotem, który najwyraźniej do niego należał, i ostrząc swój miecz na pasku, przyglądał mi się spokojnym, nieprzeniknionym wzrokiem. Czasami zamieniał parę przyciszonych słów z którymś ze swoich ludzi, lecz odniosłem wrażenie, że pierwsze zagrożenie już minęło.

Starannie wybrałem moment, gdy zwróciłem się bezpośrednio do niego. Wskazałem na moją skrzynkę, którą rzucono przy jednym z namiotów, i poprosiłem łagodnym, potulnym głosem:

- Potrzebuję mojej skrzynki. Muszę opatrzyć tę ranę.

Chociaż wódz nie zrozumiał słów, zrozumiał gesty. Poleciał jednemu ze swoich ludzi przynieść skrzynkę. Kazał postawić ją przed sobą, po czym podniósł wieko. Metodycznie rozpakował zawartość, przyglądając się każdemu przedmiotowi. Za każdym razem, gdy coś szczególnie go zainteresowało, podnosił to i zadawał pytanie, na które starałem się odpowiedzieć znakami.

Odniósł chyba wrażenie, że poza skalpelami skrzynka nie zawierała niebezpiecznej broni. Nie jestem pewien, czy

uświadamiał sobie wtedy, że były to instrumenty medyczne. Gestykulacją wyjaśniłem mu wszakże, co muszę uczynić, wskazując na nogę i odgrywając pantomimę wyciągania strzały. Stał nade mną z mieczem w dłoni, jasno dając do zrozumienia, że zamierza odrąbać mi głowę, jeśli tylko spróbuję uciec się do jakiegoś podstępu, lecz zezwolił mi skorzystać z narzędzi.

Strzała utkwiała pod kątem i w miejscu trudnym do sięgnięcia. Ponadto ból, jaki sobie zadawałem, chwytając i osłaniając łyżkami Taity zagłębiony w ciele grot, niejednokrotnie doprowadzał mnie niemal do utraty przytomności.

Gdy byłem wreszcie gotowy do wyciągnięcia strzały, dyszałem ciężko i spływały ze mnie strugi potu. Teraz miałem już publiczność złożoną z połowy mężczyzn w obozie. Wrócili, stłoczyli się wokół mnie, przypatrując się operacji z wielką ciekawością.

Uchwyciłem mocno rękojeści łyżek, wsunąłem sobie między zęby drewniany klin i zagryzłem go ze wszystkich sił, po czym wyciągnąłem z rany ujęty łyżkami grot. Wśród widzów rozległy się okrzyki podziwu i zdumienia. Było oczywiste, że nikt z nich nie widział dotąd grota usuwanego z taką łatwością i z tak nikłym uszczerbkiem dla ofiary. Ich zachwyty spotęgował się jeszcze, gdy ujrzeli wprawę i zręczność, z jaką nałożyłem płócienne bandaż.

W każdym narodzie i w każdej kulturze, nawet najbardziej prymitywnej, uzdrowiciel oraz lekarz zajmują szczególnie poważane miejsce. Przedstawiłem listy

uwierzytelniające w najbardziej przekonujący sposób, co całkowicie odmieniło moją pozycję w etiopskim obozie.

Na rozkaz wodza zaniesiony zostałem do namiotu i ułożony na sienniku. Skrzynkę lekarską ustawiono u wezgłowa, a jakaś kobieta przyniosła mi posiłek złożony z pszennych placków, rosółu i gęstego skwaśniałego mleka.

Gdy rankiem zwijano namioty, umieszczono mnie na noszach wleczonych w długiej karawanie przez konia. Pociągnął nosze nierównym, stromym szlakiem. Ku memu przerażeniu z położenia słońca zorientowałem się, że zmierzamy na powrót w głąb górskiego pustkowia, i poczułem obawę, że zostałem stracony dla mego ludu prawdopodobnie na zawsze. To, że byłem lekarzem, zapewne uratowało mi życie, lecz nadawało mi zarazem taką wartość, że nie miałem co liczyć na uwolnienie. Wiedziałem, że byłem teraz niewolnikiem nie tylko z nazwy.

Pomimo ciągłego podrażniania spowodowanego wstrząsami noszy noga zaczęła się dobrze goić. To zrobiło jeszcze większe wrażenie na moich władcach i wkrótce przynoszono do mnie wszystkich chorych i rannych członków oddziału.

Leczyłem liszaje i przekłuwałem zanokcice pod paznokciami. Pozszywałem mężczyznę, który wygrał zbyt wiele zakładów ze swoimi porywczymi towarzyszami. Etiopczycy wykazywali zamiłowanie do rozwiązywania sporów przy użyciu sztyletu. Gdy koń zrzucił jeźdźca do żlebu, poskładałem złamane ramię. Zrosło się prosto i moja reputacja jeszcze się poprawiła. Etiopski wódz spoglądał na

mnie z szacunkiem i podawano mi misę z jedzeniem zaraz po tym, jak on dokonał wyboru najprzedniej szych kawałków, jeszcze zanim pozostałym mężczyznom wolno było przystąpić do posiłku.

Gdy moja noga zagoiła się na tyle, że mogłem znów chodzić, pozwolono mi swobodnie poruszać się po obozie. Nie spuszczano mnie wszakże z oczu. Chodził za mną uzbrojony mężczyzna i stawał nade mną wśród skał nawet podczas załatwiania najintymniejszych spraw.

Nie dopuszczano mnie do Masary, widywałem ją jedynie z daleka przed rozpoczęciem codziennej wędrówki i po rozbiciu wieczornego obozowiska. Podczas długiego dnia jazdy przez góry byliśmy rozdzieleni; ja jechałem blisko czoła karawany, ją natomiast prowadzono w tyle. Zawsze towarzyszyły jej strażniczki, zwykle w otoczeniu uzbrojonych wojowników.

Gdy tylko nasze spojrzenia się spotykały, Masara przeszywała mnie rozpaczliwym i błagalnym wzrokiem, jakbym był w stanie jej w jakiś sposób pomóc. Nie ulegało wątpliwości, że była ważnym i znaczącym więźniem, a przy tym tak uroczą młodą kobietą, że niejednokrotnie przyłapywałem się za dnia na rozmyślaniu o niej, starając się zgłębić powód jej niewoli. Uznałem, że była albo niechętną panną młodą wiezioną dla swojego przyszłego męża, albo też pionkiem w jakiejś politycznej intrydze.

Bez znajomości języka nie mogłem zrozumieć, co się wokół mnie działo, ani dowiedzieć się niczego o tych Etiopczykach. Wziąłem się więc do nauki języka ge'ez.

Mam słuch muzyka i stosowałem wszystkie moje sposobiki. Uważnie przysłuchiwałem się gadaniu wokół mnie, podchwytyjąc kadencję i rytm mowy. Bardzo wcześnie zdołałem wywnioskować, że wódz miał na imię Arkoun. Któregoś dnia przed wyruszeniem karawany w drogę Arkoun wydawał swemu zebranemu oddziałowiienne rozkazy dotyczące przemarszu. Oczekałem, dopóki nie wygłosił długiej i gorącej oracji, a wtedy powtórzyłem ją dokładnie tym samym tonem i w identycznej kadencji.

Wysłuchali mnie w pełnym oszołomienia milczeniu, a potem wybuchła wrzawa. Wszyscy ryczeli ze śmiechu, walili jeden drugiego po plecach. Łzy uciechy spływały im po policzkach, jako że obdarzeni byli prostackim poczuciem humoru. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co powiedziałem, lecz jasne było, że zrobiłem to bezbłędnie.

Wykrzykiwali do siebie wyjątki z mej przemowy, kiwając głowami i naśladując pompatyczne zachowanie Arkouna. Przywrócenie porządku zajęło wiele czasu, ale w końcu Arkoun podszedł do mnie dumnym krokiem i wykrzyczał oskarżycielskim tonem jakieś pytanie. Nie rozumiałem ani słowa, lecz odkrzyknąłem to samo pytanie w jego stronę, słowo w słowo.

Tym razem rozpętało się istne szaleństwo. Dowcip był zbyt dobry, by mogli go znieść. Dorośli mężczyźni czepiali się jeden drugiego, szukając oparcia, wyli i ocierali zalane łzami oczy. Któryś wpadł do ogniska i osmalił sobie brodę.

Chociaż żart uczyniony został jego kosztem, Arkoun śmiał się w głos razem z nimi, poklepując mnie po plecach. Odtąd wszyscy mężczyźni i kobiety w obozie byli moimi nauczycielami. Musiałem jedynie wskazać jakiś przedmiot, a jego nazwa w ge'ez zostawała wykrzyczana w moim kierunku. Gdy zacząłem zlepić te słowa w zdania, poprawiali mnie skwapliwie, okazując przesadną dumę z mych postępów.

Zgłębienie gramatyki zajęło mi nieco czasu. Czasowniki odmieniano tu w sposób absolutnie niepowiązany z egipskim, a rodzaje i formy liczby mnogiej rzeczowników były co najmniej dziwaczne. Jednakowoż po upływie dziesięciu dni mówiłem rozumiałym ge'ez i zgromadziłem nawet niezły zasób wyszukanych przekleństw i obelg.

Ucząc się języka i lecząc dolegliwości, poznawałem zwyczaje Etiopczyków. Przekonałem się, że byli niepoprawnymi hazardzistami i że gra planszowa, w którą potrafili grać bez końca, była ich namiętnością. Nazywali ją „dom”, lecz była to uproszczona i szczątkowa forma senet. Liczba otworów na planszy i kamieni wprowadzanych do gry różniła się od tych stosowanych w senet. Wszystkie cele i zasady pozostały jednak zbliżone.

Sam Arkoun był mistrzem dom, lecz przypatrując się jego grze, stwierdziłem, że nie miał pojęcia o klasycznej zasadzie siedmiu kamieni. Nie pojmował też zasady czterech byków. Bez dogłębnej znajomości tychże żaden gracz w senet nie może rościć sobie prawa do miana nawet najlichszego mistrza trzeciego stopnia. Rozważałem

w duszy ryzyko, na jakie bym się wystawił, upokarzając tak próżnego i butnego tyrana jak Arkoun, lecz ostatecznie zdecydowałem, że to jedyny sposób na wyrobienie sobie uznania w jego oczach.

Gdy następnym razem, uśmiechając się pogardliwie i podkręcając węża w oczekiwaniu na wyzwanie, zasiadł przed swoim namiotem i rozstawił planszę, odtrąciłem łokciem pierwszego ochotnika i usadowiłem się ze skrzyżowanymi nogami naprzeciw Arkouna.

- Nie ma srebra, które mógłbym postawić - oznajmiłem w moim wciąż jeszcze mizernym ge'ez. - Gram z miłości do kamieni.

Arkoun skinął z powagą głową. Jako nałogowy gracz rozumiał to uczucie. Nowina o tym, że zasiadłem do planszy naprzeciw Arkouna, obiegła obóz i wszyscy przybiegli, śmiejąc się i poszturchując, by to zobaczyć.

Gdy pozwoliłem Arkounowi umieścić trzy kamienie we wschodnim zamku, widzowie zaczęli trącać się pod żebra i chichotać, rozczarowani, że partia zostanie tak szybko przegrana. Jeszcze jeden kamień na wschodzie i plansza należeć będzie do niego. Nikt nie pojmował znaczenia czterech byków, które zgromadziłem na południu. Gdy spuściłem je z uwięzi, przemaszerowały niepokonanie przez planszę, rozdzielając jego pozbawione wsparcia kamienie i oddzielając wschodni zamek. Nie mógł mi przeszkodzić. Cztery ruchy i plansza była moja. Nie musiałem nawet pokazywać zasady siedmiu kamieni.

Przez parę chwil wszyscy siedzieli w ciszy i zdumieniu. Nie sądzę, by Arkoun od razu zrozumiał rozmiary swej porażki. Potem, gdy wreszcie to do niego dotarło, powstał i wyciągnął swój straszny błękitny miecz. Myślałem, że się przeliczyłem i że zamierza odrąbać mi głowę, a przynajmniej ramię.

Uniósł miecz wysoko i spuścił go z wrzaskiem wściekłości. Tuzinem uderzeń porąbał planszę na szczapy i porozrzucił kamienie po obozie. Potem oddalił się między skały, szarpiąc brodę i wykrzykując ku niebotycznym zboczom, które miały słowa dalej przez doliny seria cichnących ech, że mnie zabije.

Minęły trzy dni, zanim Arkoun ponownie rozstawił planszę i gestem polecił mi zająć miejsce naprzeciwko siebie. Biedaczysko nie miał zielonego pojęcia, co go czekało.

Z każdym dniem wzrastała moja znajomość języka ge'ez i byłem wreszcie w stanie pojąć do pewnego stopnia mego władcę i powód tej długiej wędrówki przez parowy i wąwozy.

Nie doceniłem Arkouna. Nie był wodzem, lecz królem. Jego pełne imię brzmiało Arkoun Gannouchi Maryam, Neguse Negest, król królów i władca etiopskiego państwa Aksum. Dopiero później dowiedziałem się, że w tym kraju każdy górski zbój posiadający sto koni i pięćdziesiąt żon uważał się za króla oraz że w tym samym czasie dwudziestu królów królów krążyło po kraju gnanych żądzą ziemi i łupu.

Najbliższym sąsiadem Arkouna był niejaki Prester Beni-Jon, również głoszący swe prawo do tytułu króla królów i władcy etiopskiego państwa Aksum. Odniosłem wrażenie, że między tymi dwoma monarchami istniała pewna uraza i rywalizacja. Stoczyli już nawet kilka nierozstrzygniętych bitew.

Masara była ulubioną córką Prestera Beni-Jona. Porwał ją jeden z innych bandyckich wodzów, który jeszcze się nie ukoronował i nie przybrał obowiązkowego tytułu króla królów. Drogą prostej transakcji handlowej Masara sprzedana została Arkounowi za tyle sztabek srebra, ile zdołał udźwignąć jeden koń. Arkoun zamierzał użyć jej do zdobycia przewagi nad zaślepionym miłością do dziecka ojcem. Wydawało się, że branie zakładników dla okupu należało do zwyczajów etiopskiego postępowania z sąsiadami.

Ponieważ nie ufał żadnemu ze swych ludzi na tyle, by powierzyć mu tak cenny towar, Arkoun sam pojechał wziąć w posiadanie księżniczkę Masarę. Nasza karawana wiozła ją do twierdzy Arkouna. Te i inne informacje wyciągnąłem od rozplotkowanych niewolnic, które przynosiły mi jedzenie, i z niedbałych rozmów nad planszą dom. Gdy dotarliśmy do Amba Kamara, górskiej twierdzy króla Arkouna Gannouchiego Maryama, byłem ekspertem w dziedzinie zawiłych i zmiennych stosunków politycznych najprzeróżniejszych etiopskich państw Aksumu oraz niezliczonych pretendentów do tronu.

Zauważyłem, że w miarę jak zbliżaliśmy się do końca podróży, naszą karawanę ogarniało coraz większe podniecenie. W końcu wąską, krętą ścieżką, następnym wydeptanym przez kozy szlakiem zaczęliśmy wspinaczkę na szczyt kolejnej amby. Ambami nazywano masywy składające się na łańcuchy górskie centralnej Etiopii. Były to góry o płaskim wierzchołku i stromych zboczach opadających niczym mur w dolinę oddzielającą ją od kolejnego wzniesienia.

Gdy stanęło się na szczycie takiego urwiska, łatwo było zrozumieć, dlaczego kraj podzielony został na tak wiele królestw i księstw. Każda amba stanowiła naturalną fortecę nie do zdobycia. Człowiek na jej wierzchołku był niepokonany i bez obawy, że ktoś temu zaprzeczy, mógł nazywać siebie królem.

Arkoun zrównał się ze mną i wskazał góry na południu.

- To kryjówka tego koniokrada i łajdaka, Prestera Beni-Jona. To człowiek niezrównanej perfidii. - Odcharknął i splunął za krawędź przepaści w stronę swego rywala.

Poznałem już Arkouna jako człowieka również nacechowanego niemałym okrucieństwem i perfidią. Skoro przyznawał Presterowi Beni-Jonowi palmę pierwszeństwa w tych dziedzinach, ojciec Masary musiał doprawdy być człowiekiem wybitnym.

Przejechaliśmy przez płaskowyż Amba Kamara, mijając kilka wiosek złożonych z ruder otoczonych kamiennym murem, pola sorga i prosa. Chłopi pracujący na polach byli wysokimi, kudłatymi zbójami, uzbrojonymi w miecze

i okrągłe miedziane tarcze. Robili wrażenie równie zażartych i wojowniczych jak każdy mężczyzna w naszej karawanie.

Na drugim końcu amby ścieżka przywiodła nas do najniezwyklejszej naturalnej fortecy, jaką kiedykolwiek widziałem. Erozja wyciosała w powierzchni góry samotną kolumnę, pionowy skalny słup o urwistych zboczach, oddzielony od płaskowyżu napawającą grozą otchłania.

Brzezi przepaści spinała wąska grobla, naturalnego pochodzenia kamienny łuk łączący ją z płaskowyżem. Była tak wąska, że dwa konie nie mogły mijać się na ścieżce. Jeśli koń wjechał na most, nie mógł zawrócić i zmienić kierunku, dopóki nie dotarł na drugą stronę.

Pod naszymi stopami była przepaść głęboka jak dwie ustawione na sobie piramidy. Należało przejść groblą wprost do wyrzeźbionego przez rzekę wąwozu. Widok ten napełniał konie takim strachem, że jeźdźcy zmuszeni byli zsiąść, przewiązać im oczy i przeprowadzić je przez most. Gdy byłem w połowie drogi, zacząłem dygotać ogarnięty lękiem przestrzeni. Nie miałem odwagi zerknąć ponad krawędzią ścieżki w pustkę. Potrzebowałem całego mego opanowania, by zmusić się do dalszego marszu, powstrzymać się przed rzuceniem na płask i przywarciem do skał pod stopami.

Na szczycie skalnej kolumny usadowił się koślawy zamek z kamiennych bloków o strzechach z sitowia. Otwarte okna przesłonięte były kotarami z niewyprawionej skóry, ścieki

i ohydne odpadki wyciekające z fortecy plamiły i oblepiały zbocze poniżej niej.

Mury i blanki obwieszane były zwłokami mężczyzn i kobiet niczym proporcami i dekoracjami na cześć jakiegoś makabrycznego święta. Niektóre wisiały tam tak długo, że ich kości obrane zostały do czysta przez stada kruków kołujących nad przepaścią i gnieźdzących się z jazgotem na dachach. Inne ofiary żyły jeszcze. Z przerażeniem przyglądałem się ich ostatnim, słabym ruchom, gdy wisiały tak zaczepione za pięty. Większość była jednak martwa i w przeróżnych stadiach rozkładu. Fetor od gnijących ludzkich trupów bił tak silnie, że nawet wiecznie wyjący wokół urwisk wiatr nie był w stanie go rozproszyć.

Król Arkoun nazywał kruki swymi kurczaczkami. Czasami karmił je na murach, kiedy indziej zrzucał im jedzenie z mostu w przepaść. Cichnący wrzask kolejnej nieszczęsnej ofiary spadającej w otchłań stanowił stały składnik naszego życia w Adbar Seged, Domu Śpiewającego Wiatru.

Te egzekucje, jak i codzienne batożenie, odrąbywanie dłoni czy stóp lub też wyrywanie języków rozżarzonymi do czerwoności szczypcami stanowiły podstawowe rozrywki króla Arkouna, gdy nie grał w dom ani nie planował ataku na jakiegoś sąsiadującego z nim króla królów. Bardzo często Arkoun własnoręcznie dzierżył topór lub szczypce, a wybuchy jego śmiechu dorównywały natężeniem krzykom ofiar.

Gdy tylko karawana przeszła przez groblę i wkroczyła na główny dziedziniec Adbar Seged, Masara odprowadzona

została przez swe strażniczki w głąb labiryntu kamiennych przejść, mnie zaś powiedziano do moich nowych apartamentów stykających się z pokojami Arkouna.

Przydzielono mi pojedynczą kamienną celę. Była mroczna i wietrzna. Otwarte ognisko uczerniło ściany sadzą, ale dawało niewiele ciepła. Chociaż nosiłem wełniane szaty charakterystyczne dla tej krainy, w Adbar Seged nigdy nie było mi ciepło. Jakże tęskniłem za słońcem na Nilu i jasną oazą Egiptu. Siedziałem na blankach, na których szalał wiatr, a serce rwało mi się do rodziny, do Memnona i Tanusa, do małych księżniczek, lecz przede wszystkim do mojej pani. Czasami budziłem się w nocy z chłodnymi łzami na twarzy i musiałem przykrywać głowę baranicą, by Arkoun nie usłyszał szlochów przez grubego, kamiennego mur.

Częstokroć błagałem go, by mnie uwolnił.

- Ale dlaczego chcesz mnie opuścić, Taito?

- Chcę wrócić do mojej rodziny.

- Ja jestem teraz twoją rodziną - śmiał się. - Jestem twoim ojcem.

Zawarłem z nim zakład. Zgodził się, że jeżeli wygram z nim sto kolejnych partii dom, pozwoli mi odejść i przydzieli ochronę na drogę w dół Nilu na wielkie równiny. Gdy wygrałem setną partię, zachichotał i pokręcił głową, podziwiając moją naiwność.

- Powiedziałem sto? Nie sądzę. Czy aby nie mówiłem tysiąc? - odwrócił się do swoich podwładnych. - Czy umowa była o tysiąc partii?

- Tysiąc! - zawołali chórem. - Tysiąc!

Wszyscy uważali to za wspaniały dowcip. Kiedy rozgoryczony odmówiłem dalszej gry, ten zwiesił mnie bez odzienia za pięty z murów cytadeli i wisiałem tak, dopóki nie zacząłem pisać, by rozstawił planszę.

Gdy Arkoun zobaczył mnie nagiego, roześmiał się i szturchnął mnie.

- Może i znasz się na dom, lecz zdaje się, że utraciłeś własne kamienie, Egipcjaninie.

Był to pierwszy raz od wpadnięcia w niewolę, gdy ujawnione zostało moje fizyczne kalectwo. Raz jeszcze ku memu wielkiemu wstydowi i upokorzeniu ludzie nazywali mnie eunuchem.

Koniec końców konsekwencje tego wydarzenia okazały się pozytywne. Gdybym był mężczyzną, nigdy nie dopuściliby mnie do Masary.

Przyszli po mnie w nocy i drżącego powiedli korytarzami do celi Masary. Pomieszczenie oświetlone było słabą lampką oliwną i śmierdziało wymiocinami. Dziewczyna leżała skulona na sienniku na środku podłogi, obok niej na kamieniach widniała kałuża wymiocin. Odczuwała straszliwy ból, jęczała, płakała i trzymała się za brzuch.

Bezwzględnie wziąłem się do pracy i zbadałem ją dokładnie. Obawiałem się, że brzuch będzie twardy jak kamień, co stanowiłoby objaw nabrzmienia i pęknięcia jelita, wskutek którego jama brzuszna wypełniłaby się zawartością wnętrza. Nie było na to lekarstwa. Nawet ja mimo moich umiejętności nie zdołałbym jej uratować, gdyby dotknęła ją ta właśnie dolegliwość.

Z wielką ulgą stwierdziłem, że brzuch był ciepły i miękki. Nie miała gorączki. Kontynuowałem badanie i chociaż jęczała i krzyczała pod moim dotykiem, nie mogłem znaleźć żadnej przyczyny tego stanu. Zbity z tropu usiadłem, by to przemyśleć. Wtedy zauważyłem, że choć cierpienie wykrzywiało jej twarz, przyglądała mi się spokojnym spojrzeniem.

- Jest gorzej, niż się obawiałem - zwróciłem się w ge'ez do dwóch służących. - Jeżeli mam ją uratować, muszę mieć moją skrzynkę. Przynieście ją natychmiast.

Kobiety rzuciły się do wyjścia, a ja pochyliłem się nad głową Masary i wyszeptałem:

- Jesteś sprytną dziewczyną i dobrą aktorką. Podrażniłaś sobie gardło piórkiem?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Nie przychodził mi do głowy żaden inny sposób, by cię spotkać - wyszeptała. - Kiedy kobiety powiedziały mi, że nauczyłeś się ge'ez, wiedziałam, że możemy sobie pomóc.

- Mam nadzieję, że to możliwe.

- Jestem taka samotna. Już możliwość rozmawiania z przyjacielem będzie dla mnie radością. - Darzyła mnie tak spontanicznym zaufaniem, że byłem poruszony. - Może we dwoje znajdziemy drogę ucieczki z tego straszego miejsca.

W tej chwili usłyszeliśmy wracające kobiety, ich głosy odbijały się echem w zewnętrznym korytarzu. Masara chwyciła mnie za rękę.

- Jesteś moim przyjacielem, prawda? Przyjdiesz jeszcze do mnie?

- Jestem i przyjdę.

- Szybko, powiedz mi, zanim będziesz musiał odejść. Jak ma na imię?

- Kto?

- Ten, który był z tobą tego pierwszego dnia nad rzeką. Ten, który wygląda jak młody bóg.

- Nazywa się Memnon.

- Memnon! - powtórzyła ze szczególną czcią. - To piękne imię. Pasuje do niego.

Kobiety wpadły do pokoju, więc Masara chwyciła się za zdrowy brzusek i zajęczała tak, jakby była o krok od śmierci. Odgrywając przed kobietami przedstawienie z cmokaniem wargami i kręceniem głową, przygotowałem ziołowy wywar tonizujący, który nie mógł jej zaszkodzić, i oznajmiłem, że wrócę o świcie.

O świcie stan Masary poprawił się, a przy tym mogłem porozmawiać z nią nieco dłużej. Obecna była tylko jedna kobieta, a i ona znudziła się wkrótce, odeszła więc w przeciwny kąt pokoju. Zamieniliśmy z Masarą kilka cichych słów.

- Memnon coś do mnie mówił. Nie rozumiałam tego. Co powiedział?

- Powiedział: „Wrócę po ciebie. Bądź dzielna. Wrócę po ciebie”.

- Nie mógł naprawdę tak myśleć. On mnie nie zna. Widział mnie tylko przelotnie - pokręciła głową, a łzy wypełniły jej oczy.

- Czy myślisz, że mówił poważnie, Taito?

W jej tonie brzmiało namiętne, wzruszające błaganie. Nie mogłem pozwolić na to, by cierpiała jeszcze bardziej.

- Jest następcą egipskiego tronu i człowiekiem honoru. Memnon nie powiedziałby tego, gdyby nie traktował poważnie każdego wypowiedzanego słowa.

Tylko tyle mogliśmy sobie wtedy powiedzieć, lecz wróciłem następnego dnia. Najpierw poprosiła: „Opowiedz mi raz jeszcze, co powiedział do mnie Memnon”, a ja zmuszony byłem powtórzyć jego obietnicę.

Oznajmiłem Arkounowi, że stan zdrowia Masary poprawia się, lecz niezbędne są jej codzienne spacerunki na murach fortecy.

- W przeciwnym razie nie mogę odpowiadać za jej zdrowie - dodałem.

Myślał nad tym przez cały dzień. Masara była wszakże cennym nabytkiem, za który zapłacił obładowanym srebrem koniem, więc ostatecznie udzielił zezwolenia.

Nasze codzienne spotkania przedłużały się z wolna, w miarę jak strażnicy przyzwyczajali się do tego, że przebywaliśmy razem. Po jakimś czasie mogliśmy spędzać większą część poranka w swoim towarzystwie, przechadzając się wzdłuż murów Adbar Seged i rozmawiając bez końca.

Masara chciała wiedzieć wszystko, co miałem do powiedzenia o Memnonie, więc by ją zabawić, łamałem sobie głowę w poszukiwaniu stosownych historii. Miała swoje ulubione opowieści, które zmuszony byłem powtarzać tak długo, dopóki nie znała ich na pamięć i nie zaczęła mnie

poprawiać, gdy pomyliłem się przy kolejnej powtórce. Szczególnie lubiła opowiadanie o tym, jak uratował Tanusa i mnie przed rannym słoniem i jak otrzymał za swój uczynek Złoto Męstwa.

- Opowiedz mi o jego matce królowej - prosiła, a potem: - opowiedz mi o Egipcie. Opowiedz mi o waszych bogach. Opowiedz mi o dzieciństwie Memnona.

Jej pytania zawsze dotyczyły jego osoby, ja zaś z radością zaspokajałem te prośby, jako że tęskniłem za moją rodziną. Mówienie o niej sprawiało, że bliscy zdawali się mniej ode mnie oddaleni.

Któregoś dnia Masara przyszła do mnie roztrzęsiona.

- Ostatniej nocy śniłam, że Memnon wrócił do mnie, a ja nie rozumiałam, co do mnie mówił. Musisz nauczyć mnie egipskiego, Taito. Zaczniemy dzisiaj, w tej chwili!

Masarze zależało na tym, by się uczyć, a nie brakowało jej rozumu. Poszło bardzo szybko. Wkrótce gawędziliśmy ze sobą wyłącznie po egipsku, a możliwość prowadzenia sekretnych rozmów w obecności strażników była bardzo użyteczna.

Gdy nie rozmawialiśmy o Memnonie, snuliśmy plany ucieczki. Oczywiście rozmyślałem nad tym od dnia przybycia do Adbar Seged, lecz wysłuchanie jej opinii na ten temat i porównywanie pomysłów okazało się użyteczne.

- Nawet jeżeli uciekniesz z fortecy, bez pomocy nigdy nie przedostaniesz się przez góry - ostrzegła. - Te ścieżki są pokrętne jak plątanina włóczki. Nigdy nie znajdziesz wśród

nich drogi. Każdy klan jest w stanie wojny z pozostałymi. Nie ufają obcym i poderzną ci gardło jako szpiegowi.

- Co w takim razie możemy zrobić? - zapytałem.

- Jeżeli uda ci się wyrwać, musisz udać się do mojego ojca. On cię ochroni i odprowadzi do twego ludu. Powiesz Memnonowi, gdzie jestem, a on przybędzie mi na ratunek. - Powiedziała to z taką pewnością siebie, że nie mogłem spojrzeć jej w oczy.

Zrozumiałem wtedy, że Masara stworzyła sobie w wyobraźni obraz Memnona, który nie znajdował oparcia w rzeczywistości. Kochała się w bogu, nie młokosie równie młodym i niewypróbowanym jak ona. Odpowiedzialny za to byłem ja i moje zgrabne opowieści o księciu. Nie mogłem jej teraz zrobić przykrości i zniszczyć nadziei, ukazując, jak dalece nieprawdziwe były te wyobrażenia.

- Jeżeli skieruję się do Prestera Beni-Jona, twojego ojca, pomyśli, że jestem szpiegiem Arkouna. Każe mi ściąć głowę. - Próbowałem uchronić się od odpowiedzialności, jaką na mnie nałożyła.

- Nauczę cię, co masz mu powiedzieć. Rzeczy, o których wiemy tylko ja i on. To będzie dla niego dowodem, że przychodzisz ode mnie.

Uniemożliwiła mi zrobienie tego uniku, spróbowałem więc innego.

- Jak znajdę drogę do twierdzy twego ojca? Powiedziałaś mi, że szlak jest splątaną gmatwaniną.

- Wytłumaczę ci drogę. Zapamiętasz wszystko, co ci powiem, jesteś przecież taki sprytny.

Naturalnie do tej pory pokochałem ją już prawie tak mocno jak moje małe księżniczki. Poszedłbym na każde ryzyko, by ochronić ją przed krzywdą. Tak mocno przypominała mi moją panią w tym samym wieku, że niczego nie mogłem jej odmówić.

- No dobrze. Wytłumacz.

I tak oto rozpoczęliśmy przygotowania do ucieczki. Dla mnie była to przede wszystkim gra, w którą się bawiłem, by nie pozbawiać jej nadziei i podtrzymywać wiarę. Nie spodziewałem się, żebyśmy naprawdę znaleźli sposób umknienia z tej skalnej kolumny.

Dyskutowaliśmy o metodach sporządzania sznura, na którym opuścić się mieliśmy do podnóża ściany, choć za każdym razem, gdy wyglądałem na most z tarasu przed jej celą, ta przepastna pusta przestrzeń napawała mnie drżeniem. Masara zaczęła zbierać strzępki wełny i płótna, które chowała pod materacem. Zamierzała spleść z nich linę. Nie mogłem jej powiedzieć, że lina wystarczająco długa i mocna, by utrzymać nasz ciężar i sięgnąć na dno doliny, zapełniłaby jej celę po sufit.

Przez dwa długie lata marnieliśmy na szczycie Adbar Seged i nigdy nie zdołaliśmy obmyślić planu ucieczki, lecz Masara nie traciła wiary. Każdego dnia pytała mnie:

- Co Memnon do mnie powiedział? Powtórz raz jeszcze, co obiecał.

- Powiedział: „Wrócę po ciebie. Bądź dzielna”.

- Zgadza się. Jestem dzielna, prawda, Taito?

- Jesteś najdzielniejszą dziewczyną, jaką znam.

- Powiedz mi, co przekażesz mojemu ojcu, kiedy go spotkasz.

Powtarzałem jej wskazówki, a potem Masara wyjawiała swój najnowszy plan.

- Złapiemy wróbelki, które karmię na tarasie. Napiszesz list do mojego ojca, mówiący mu, gdzie jestem. Przywiążemy go wróblowi do nogi, a on poleci do niego.

- Bardziej prawdopodobne, że poleci do Arkouna, a on każe nas oboje obić i nie wolno nam będzie się więcej widywać.

Ostatecznie uciekłem z Adbar Seged na grzbiecie dobrego konia. Arkoun wyruszał na kolejną wyprawę przeciw królowi Presterowi Beni-Jonowi. Polecono mi, bym mu towarzyszył jako osobisty lekarz i partner do gry.

Prowadząc po moście konia z zawiązanymi oczyma, obejrzałem się i ujrzałem Masarę stojącą na tarasie i spoglądającą na mnie. Była uroczą, osamotnioną postacią. Zawołała do mnie po egipsku. Ledwie zdołałem uchwycić jej słowa ponad szumem wiatru.

- Powiedz mu, że na niego czekam. Powiedz mu, że jestem dzielna. - Potem dodała ciszej, tak że nie byłem pewien, czy dobrze ją zrozumiałem. - Powiedz mu, że go kocham.

Gdy odjeżdżałem w głąb Amba Kamara, wiatr osuszył lodowate łzy na moich policzkach.

W noc poprzedzającą bitwę Arkoun zatrzymał mnie do późna w swoim namiocie. Gdy wydał dowódcom ostatnie rozkazy, zaczął ostrzyć klingę błękitnego miecza. Co jakiś

czas ścinał sobie kilka włosów z nadgarstka metalicznie lśniącym brzeszczotem, by sprawdzić ostrość, i kiwał z zadowoleniem głową.

W końcu przetaił ostrze wyklarowanym baranim tłuszczem. Ten dziwny, srebrnobłękitny metal musiał być zawsze dobrze natłuszczony, inaczej tworzył się na nim czerwony pył, zupełnie jakby krwawił.

Błękitny miecz zaczął wywierać na mnie równie fascynujący wpływ jak na Tanusa. Od czasu do czasu, gdy Arkoun był w szczególnie dobrodusznym nastroju, pozwalał mi wziąć go do ręki. Ciężar tego metalu stanowił dla mnie zaskoczenie, a ostrość krawędzi przechodziła wszelkie pojęcie. Wyobrażałem sobie, jakie spustoszenie siałby w rękach szermierza takiego jak Tanus. Wiedziałem, że jeżeli się jeszcze spotkamy, Tanus będzie chciał poznać najdrobniejsze szczegóły, wypytywałem więc Arkouna, którego nigdy nie męczyło pysznienie się swoją bronią.

Wyjawił mi, że broń ta wykuta została w sercu wulkanu przez jednego z pogańskich bogów Etiopii. Pradziad Arkouna wygrał ją od boga w partii dom trwającej dwadzieścia dni i dwadzieścia nocy. Wszystko to brzmiało wiarygodnie z wyjątkiem tego fragmentu o wygraniu miecza. Jeżeli pradziad Arkouna grał w dom na takim samym poziomie co Arkoun, bóg, który przegrał do niego miecz, musiał być niezwykle głupi.

Arkoun zapytał mnie o opinię na temat planu bitwy, którą miał stoczyć następnego dnia. Dowiedział się, że jestem znawcą taktyki wojskowej. Stwierdziłem, że jego plan jest

genialny. Ci Etiopczycy mieli takie samo pojęcie o taktyce wojskowej jak o rozgrywaniu kamieni dom. Oczywiście teren nie pozwalał na pełne wykorzystanie koni, nie mieli też rydwanów. Bitwy toczyli w przypadkowy i bezładny sposób.

Wielka strategia bitewna Arkouna polegała na rozdzieleniu sił na cztery oddziały. Te miały skryć się wśród skał i wyskoczyć zniemacka, porwać paru jeńców, poderżnąć parę gardeł i uciekać co tchu w piersiach.

- Jesteś jednym z najwybitniejszych wodzów w historii - powiedziałem. - Chciałbym napisać tekst wysławiający twój geniusz.

Pomysł mu się spodobał i obiecał dostarczyć mi wszystkie materiały potrzebne do tego przedsięwzięcia zaraz po powrocie do Adbar Seged.

Wydawało się, że król Prester Beni-Jon był dowódcą dorównującym mu wigorem i przenikliwością. Napotkaliśmy jego siły następnego dnia w szerokiej dolinie o stromych zboczach. Pole bitwy ustalone zostało z góry przed paroma miesiącami, więc zanim przybyliśmy, Prester Beni-Jon zajął pozycje u wylotu doliny. Wystąpił naprzód, by z bezpiecznej odległości obrzucić Arkouna wyzwiskami i kpinami.

Prester Beni-Jon wyglądał jak tyka, chudy, o długiej białej brodzie i srebrnych włosach sięgających do pasa. Z tej odległości nie widziałem dobrze jego twarzy, lecz kobiety powiedziały mi, że w młodości był najprzystojniejszym młodzieńcem w Etiopii i że miał dwieście żon. Parę zabiło

się z miłości do niego. Jasne było, że jego uzdolnienia korzystniejsze zastosowanie znalazłyby raczej w haremie niż na polu bitwy.

Gdy Prester Beni-Jon zakończył swoją tyradę, Arkoun wyszedł do przodu, by szczegółowo mu odpowiedzieć. Jego obelgi były kwieciste i poetyckie, odbijały się od skalnych ścian i niosły echem po wąwozach. Zapamiętałem parę co treściwszych określeń, jako że warte były utrwalenia.

Kiedy Arkoun ucichł wreszcie, oczekiwałem rozpoczęcia bitwy, lecz myliłem się. Po obu stronach było jeszcze po paru wojowników, którzy pragnęli zabrać głos. Zasnąłem w ciepłym słońcu oparty o głaz, uśmiechając się do siebie na myśl o zabawie, jaką miałyby z tymi etiopskimi mistrzami retoryki Tanus z pułkiem Błękitnych.

Było już popołudnie, gdy się podniosłem, zbudzony szczękiem broni. Arkoun rozpoczął swe pierwsze natarcie. Jeden z jego oddziałów pognał ku pozycjom Prestera Beni-Jona, bijąc mieczami o miedziane tarcze. Skwapliwie powrócił na wyjściowe pozycje po zadziwiająco krótkim czasie, nie zadawszy ani nie poniosłszy strat.

Nastąpiła jeszcze jedna wymiana wyzwisk i nadeszła kolej Prestera Beni-Jona. Zaszarżował i wycofał się z równą werwą i podobnymi efektami. Tak spędziliśmy dzień, odpowiadając obelgą na obelgę, szarżą na szarżę. O zmierzchu obie armie się wycofały. Rozbiliśmy obóz na dnie doliny i Arkoun posłał po mnie.

- Co za bitwa! - powitał mnie z dumą, gdy wszedłem do namiotu. - Upłynie wiele miesięcy, zanim Prester Beni-Jon

odważy się znowu wyjść w pole.

- Nie będzie jutro bitwy? - zapytałem.

- Jutro wracamy do Adbar Seged - odparł - gdzie spiszesz na swoich zwojach pełną relację z mego zwycięstwa. Spodziewam się, że po tej porażce Prester Beni-Jon wkrótce poprosi o pokój.

Siedmiu naszych ludzi odniosło obrażenia w tym zażartym starciu, wszyscy od strzał wypuszczonych z maksymalnej odległości. Powyciągałem je z ran i nałożyłem opatrunki. Następnego dnia dopilnowałem załadunku poszkodowanych na nosze, a gdy wyruszyliśmy w drogę powrotną, maszerowałem przy nich.

Jeden był ranny w brzuch i bardzo cierpiał. Wiedziałem, że gangrena zabije go przed upływem tygodnia, lecz robiłem wszystko, co w mojej mocy, by złagodzić jego bóle i zamortyzować wstrząsy noszy na co bardziej nierównych odcinkach szlaku.

Późnym popołudniem dotarliśmy do brodu na rzece, którym się przeprawiliśmy uprzednio w drodze na bitwę. Poznałem ten bród z opisu krajobrazu i trasy do fortecy Prestera Beni-Jona, jaki dostarczyła mi Masara. Rzeka była jednym z licznych dopływów Nilu spływających z gór. Przez poprzednie dni padał deszcz i poziom wody był wysoki.

Zacząłem przeprawę, brodząc przy noszach mego pacjenta z raną brzucha. Zaczynał już majaczyć. W połowie drogi uświadomiłem sobie, że nie doceniliśmy wysokości i siły nurtu. Rzeka pochwyciła skraj noszy i wykręciła je

ukośnie. Jej napór obrócił konia, spychając biedne zwierzę na głębszą wodę, gdzie straciło grunt pod kopytami.

Trzymałem się uprzęży i w następnej chwili już płynęliśmy. Lodowata, zielona woda niosła nas w dół rzeki. Ranny stoczył się z noszy, a gdy spróbowałem go złapać, puściłem się końskiej uprzęży. Rzeka nas rozdzieliła.

Głowa rannego zniknęła pod powierzchnią, a ja płynąłem, walcząc o własne życie. Odwróciłem się na plecy, ustawiłem stopy zgodnie z nurtem. Dzięki temu byłem w stanie odpychać się nogami od skał, na które rzucała mnie woda. Przez krótką chwilę paru ludzi Arkouna biegło za mną wzdłuż brzegu, lecz wkrótce zniesiony zostałem za zakręt, a oni nie zdołali obejść podstawy urwiska. Koń i ja byliśmy sami w rzece.

Poniżej zakrętu prędkość nurtu zelżała, zdołałem więc na powrót podpłynąć do wierzchowca i objąć ramieniem jego szyję. Na jakiś czas byłem bezpieczny. Teraz dopiero zacząłem myśleć o ucieczce i zrozumiałem, że bogowie stworzyli mi idealną okazję. Wyszepiałem dziękczynną modlitwę i ściskając w garści końską grzywę, skierowałem zwierzę na środek nurtu.

Godzinę spływaliśmy w dół rzeki i zrobiło się już ciemno, gdy zwróciłem konia z powrotem w stronę brzegu. Wygramoliliśmy się na piaszczystą łachę. Oceniałem, że do świtu pościg nie nadejdzie, a z nim groźba ponownego schwytania. Żaden z ludzi Arkouna nie zapuściłby się w dół wąwozu w ciemności. Byłem wszakże tak zziębnięty, że miałem dreszcze.

Zaprowadziłem konia w miejsce osłonięte przed wiatrem i przycisnąłem się do jego boku. Mokra sierść parowała w świetle księżyca. Stopniowo przeniknęło mnie ciepło bijące od zwierzęcia i drzenie ustało. Gdy byłem już częściowo rozgrzany, zdołałem zebrać na plaży naniesione przez rzekę kawałki drewna. Szyllucką metodą udało mi się z wielkim trudem rozpalić ogień. Rozłożyłem szaty, by przeschnęły, i przez resztę nocy kulilem się przy ognisku.

Gdy tylko rozjaśniło się na tyle, że mogłem dostrzec przed sobą ścieżkę, ubrałem się i wspiąłem na konia. Oddaliłem się od rzeki, wiedząc, że ludzie Arkouna będą prowadzić poszukiwania wzdłuż brzegów.

Dwa dni później, wędrując zgodnie ze wskazówkami otrzymanymi od Masary, dotarłem do jednej z umocnionych górskich wiosek w posiadłościach Prestera Beni-Jona. Naczelnik wioski chciał natychmiast poderżnąć mi gardło i zabrać konia. Użyłem mego daru przekonywania i ostatecznie stanęło na tym, że zatrzyma konia, lecz zaprowadzi mnie do twierdzy Prestera Beni-Jona.

Przewodnicy eskortujący mnie do króla Prestera Beni-Jona wyrażali się o nim w ciepłych i czułych słowach. Mijane po drodze wioski były czystsze i cieszyły się większym dobrobytem od należących do Arkouna, stada krów dorodniejsze, pola starannie uprawiane, a ludzie lepiej odżywieni. Widziałem wspaniałe konie. Ich piękno wyciskało mi łzy z oczu.

Wreszcie zamajaczył przed nami położony wysoko na jeszcze jednej ambie zamek. Był w lepszym stanie od

siedziby Arkouna, a jego murów nie ozdabiały żadne potworne trofea.

Król Prester Beni-Jon okazał się doprawdy niezwykle przystojnym mężczyzną. Srebrzyste włosy i broda przydawały mu dostojęstwa. Miał jasną cerę, ciemne i inteligentne oczy. Początkowo odnosił się wysoce nieufnie do mojej opowieści, lecz w miarę jak recytowałem intymne szczegóły, w jakie uzbroiła mnie Masara, jego stosunek do mnie się zmieniał.

Był głęboko poruszony przesłaniami miłości i wierności, jakie przyniosłem od jego córki, i żywo wypytywał mnie o jej zdrowie oraz położenie. Potem słudzy powiedli mnie do pokoi, które według etiopskich standardów uznawane były za wytworne, i otrzymałem wełniane szaty, którymi zastąpiłem dotychczasowe łachmany.

Gdy się najadłem i odpocząłem, zaprowadzili mnie na powrót do wilgotnej i przesiąkniętej dymem klitki, stanowiącej salę audiencyjną Prestera Beni-Jona.

- Wasza Wysokość, przez ostatnie dwa lata Masara jest więźniem Arkouna - zauważyłem bezzwłocznie. - To delikatna i młoda dziewczyna. Usycha z żalości w jego śmierdzących lochach - ubarwiłem odrobinę fakty, by tym celniej podkreślić dramatyzm jej położenia.

- Próbowałem zebrać okup, jakiego żąda za moją córkę Arkoun - tłumaczył się Prester Beni-Jon. - Lecz musiałbym przetopić wszystkie talerze i miski Aksum, by zgromadzić stos srebra, który zaspokoiłby jego żądzę. Ponadto domaga się wielkich połaci mych ziem i wielu najważniejszych

wiosek. Oddanie ich osłabiłoby królestwo i skazało dziesiątki tysięcy poddanych na jego tyranię.

- Mógłbym przeprowadzić twoją armię do jego twierdzy, Adbar Seged. Mógłbyś rozpocząć oblężenie zamku i zmusić go do wydania ci Masary.

Prester Beni-Jon był najwyraźniej wstrząśnięty tą propozycją. Nie sędzę, by podobny sposób postępowania przyszedł mu do głowy. Nie takie były etiopskie metody prowadzenia wojny.

- Dobrze znam Adbar Seged i wiem, że jest nie do zdobycia - odpowiedział sztywno. - Arkoun ma do dyspozycji potężną armię. Stoczyliśmy z nim wiele zaciekłych bitew. Moi ludzie to lwy, lecz nigdy nie udało się nam go pokonać.

Widziałem już te lwy Prestera Beni-Jona w boju i uznałem jego ocenę sytuacji za trafną. Armia, którą dowodził, nie miała żadnej szansy na wzięcie Adbar Seged szturmem i uwolnienie Masary siłą.

Następnego dnia powróciłem z kolejną propozycją.

- Wielki Władco Aksum, królu królów, jak dobrze wiesz, pochodzę z ludu egipskiego. Królowa Lostris, regentka Egiptu, obozuje ze swoimi armiami u zbiegu dwóch rzek, tam gdzie Nil spotyka swego bliźniaka.

- Wiem o tym - skinął głową. - Ci Egipcjanie wkroczyli na moje ziemie bez zezwolenia. Zakładają kopalnie w moich dolinach. Wkrótce spadnę na nich i zetrę ich z powierzchni ziemi.

Tym razem przyszła moja kolej, by doznać wstrząsu. Prester Beni-Jon wiedział o pracach nad grobowcem faraona i naszym ludziom tam zatrudnionym groził atak. W takiej sytuacji odpowiednio zmieniłem propozycję, jaką miałem mu przedstawić.

- Moi ludzie wprawieni są w sztuce oblężenia i wojny - wyjaśniłem. - Ja zaś mam pewien wpływ na królową Lostris. Gdybyś bezpiecznie odesłał mnie do niej, nakłonię ją do okazania ci swej przyjaźni. Jej wojska zdobędą fortecę Adbar Seged i uwolnią twoją córkę.

Chociaż Prester Beni-Jon starał się to ukryć, dostrzegłem, że moja propozycja mu się spodobała.

- Czego zażądałaby twoja królowa w zamian za swą przyjaźń? - zapytał ostrożnie.

Targowaliśmy się przez pięć dni, lecz w końcu zawarliśmy umowę.

- Pozwolisz królowej Lostris na prowadzenie prac górniczych w twojej kotlinie i ogłosisz tę ziemię terenem zakazanym. Twym ludziom pod groźbą śmierci nie wolno będzie tam wchodzić - powiedziałem.

To dla mojej pani. Tym sposobem grobowiec faraona zabezpieczony zostanie przed zbezczeszczeniem.

- Zgadza się - odparł Prester Beni-Jon.

- Przekażesz królowej Lostris dwa tysiące koni, które wybiorę z twoich stad.

To dla mnie.

- Tysiąc - rzekł król.

- Dwa tysiące - byłem twardy.

- Zgadzam się - ustąpił Prester Beni-Jon.

- Po uwolnieniu księżniczka Masara będzie mogła poślubić tego mężczyznę, którego sama wybierze. Nie będziesz jej tego zabraniał.

To dla Memnona i dziewczyny.

- To wbrew naszym obyczajom - westchnął. - Ale zgadzam się.

- Arkoun i twierdza Adbar Seged zostaną ci przekazane, gdy tylko wpadną w nasze ręce. - Teraz ożywił się i z wigorem pokiwał głową.

- I na koniec, my, Egipcjanie, zatrzymamy wszystkie łupy zdobyte na Arkounie, włączając w to jego legendarny błękitny miecz.

To dla Tanusa.

- Zgadzam się - powiedział Prester Beni-Jon, a z jego miny wywnioskowałem, że w swoim mniemaniu ubił właśnie świetny interes.

Dał mi pięćdziesięciu ludzi i następnego dnia wyruszyłem w powrotną drogę do Kebui, jadąc na pięknym ogierze, podarowanym mi przez króla na pożegnanie.

Byliśmy jeszcze oddaleni o pięć dni jazdy od Kebui, gdy ujrzałem pędzącą w naszą stronę przez równinę chmurę pyłu. Potem w rozgrzanym falującym powietrzu dostrzegłem rydwany. Zbliżając się, kolumny w galopie uformowały się do ataku. Stanowiły piękny widok. Rozmieszczenie pojazdów było idealne, odstępy między nimi tak równe, że przypominały sznur paciorków. Zastanawiałem się, kto nimi dowodził.

Gdy podjechały bliżej, osłoniłem oczy i serce zatrzepotało mi w piersi, kiedy rozpoznałem konie czołowego rydwanu. Były to Głaz i Łańcuch, moi ulubieńcy. Ich woźnicy wszakże z początku nie rozpoznałem. Minęły prawie trzy lata od dnia, kiedy ostatni raz spoglądałem na Memnona. Różnica wieku między siedemnastolatkiem a dwudziestolatkiem oznacza różnicę między chłopcem a mężczyzną.

Przywykłem do jeżdżenia z derką i strzemionami, na etiopską modłę, stanąłem więc teraz w strzemionach i zamachałem ręką. Rydwan skręcił w bok. Memnon rozpoznał mnie i poderwał konie do pełnego galopu.

- Mem! - wrzasnąłem - Mem! - a wiatr przyniósł do mnie wykrzyczaną przez niego odpowiedź.

- Tata! Na słodkie mleko Izydy, to ty!

Osadził konie, zeskoczył z pomostu i ściągnął mnie z wierzchowca. Najpierw mnie uścisnął, potem odsunął od siebie na wyciągnięcie ręki i przez chwilę obaj przypatrywaliśmy się sobie chciwie.

- Jesteś blady i chudy, Tata. Sama skóra i kości. Czy to, co tu widzę, to siwe włosy? - pogładził mnie po skroni.

Był teraz wyższy ode mnie, wąski w talii i szeroki w barach. Naoliwiona skóra opalona była na kolor szlifowanego bursztynu, węzły mięśni nabrzmiwały pod skórą na szyi, gdy się śmiał. Nosił złote bransolety, naga pierś zdobiło Złoto Męstwa. Choć wydawało się to niemożliwością, zrobił się jeszcze przystojniejszy, niż gdy ostatnio go widziałem. Przypominał giętkiego i lśniącego lamparta.

Uniósł mnie w powietrze i postawił na pomoście rydwanu.

- Bierz wodze - polecił. - Chcę zobaczyć, czy nie zapomniałeś czegoś ze swoich starych umiejętności.

- Dokąd? - zapytałem.

- Oczywiście na zachód, do Kebui - rozkazał. - Moja matka będzie zła, jeżeli nie zawiodę cię wprost do niej.

Tej nocy posilaliśmy się przy ognisku, w pewnym oddaleniu od pozostałych oficerów, tak że mogliśmy porozmawiać na osobności. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, spoglądając na srebrzysty blask gwiazd.

- Gdy pomyślałem, że cię utraciłem, było to tak, jakbym stracił część siebie. Wpleciony jesteś w moje najwcześniejsze wspomnienia - odezwał się w pewnej chwili Memnon.

Ja, którego siłą są słowa, nie potrafiłem ich znaleźć, by mu odpowiedzieć. Znowu zamilkliśmy, wreszcie Memnon położył dłoń na moim ramieniu.

- Czy widziałeś jeszcze tę dziewczynę? - zapytał i chociaż powiedział to niedbałym tonem, siła, z jaką ścisnął me ramię, przeczyła tej obojętności.

- Jaką dziewczynę? - zapytałem, by się z nim podroczyć.

- Tę dziewczynę znad rzeki, którą spotkaliśmy owego dnia, gdy zostaliśmy rozdzieleni.

- Była tam jakaś dziewczyna? - Zmarszczyłem czoło, jakbym starał się sobie przypomnieć. - A jak wyglądała?

- Jej twarz była jak ciemna lilia, skóra miała barwę miodu dzikich pszczół. Nazywano ją Masara i jej wspomnienie nadal dręczy mnie we śnie.

- Nazywa się Masara Beni-Jon - powiedziałem - i dwa lata spędziłem uwięziony wraz z nią w fortecy Adbar Seged. Tam nauczyłem się ją kochać, jako że jej charakter słodszy jest od twarzy.

Teraz pochwycił mnie obiema rękami i potrząsnął bez miłosierdzia.

- Opowiedz mi o niej, Tata! Opowiedz mi wszystko. Niczego nie pomijaj.

Tak więc resztę tej nocy przesiedzieliśmy przy ognisku, rozmawiając o dziewczynie. Opowiedziałem mu, jak nauczyła się dla niego mówić po egipsku. Opowiedziałem mu, jak jego obietnica podtrzymywała ją podczas tych ponurych, samotnych dni, a na koniec przekazałem posłanie, jakie wykrzyczała za mną z murów Adbar Seged, gdy odjeżdżałem od niej.

„Powiedz mu, że jestem dzielna. Powiedz mu, że go kocham”.

Memnon milczał przez długą chwilę, utkwivszy wzrok w płomieniach, a potem powiedział cicho:

- Jakim sposobem może mnie kochać? Przecież mnie nie zna.

- A czy ty znasz ją lepiej, niż ona ciebie? - zapytałem, a on pokręcił głową.

- Kochasz ją?

- Tak - odparł zwięźle.

- A więc ona kocha cię w ten sam sposób.

- Złożyłem jej obietnicę. Pomożesz mi ją wypełnić, Tata?

W całym moim życiu nie zaznałem podobnej radości jak ta, która była moim udziałem, gdy po powrocie do Kebui wszedłem na pokład „Oddechu Horusa”.

Memnon posłał przed nami gońca, by uprzedzić o moim powrocie, i wszyscy na mnie czekali.

- Na śmierdzące strupy między palcami stóp Setha! - zawołał Kratas. - Myślałem, żeśmy się ciebie wreszcie pozbyli, stary łotrze - po czym przycisnął mnie do piersi tak, że sądziłem, iż niechybnie połamię mi wszystkie żebra.

Tanus pochwycił mnie w ramiona i na moment zatopił spojrzenie w moich oczach, potem zaś uśmiechnął się.

- Gdyby nie ty, ten włochaty Etiopczyk by mnie dopadł. Wybierając ciebie, ubił lepszy interes. Dziękuję ci, stary druhu.

Dostrzegłem, jak bardzo Tanus się postarzał. W jego włosach, jak w moich, widniała siwizna, ogorzałą twarz niczym granitowe zbocze zaczęła żłobić erozja.

Moje małe księżniczki nie były już małe, lecz wciąż urocze. Przy mnie pozostały nieśmiałe, jako że ich wspomnienia o mnie wyblakły. Gdy wykonywałem poddańczy ukłon, wpatrywały się we mnie wielkimi oczyma. Włosy Bekathy ściemniały do barwy miedzi.

- Tata! - odezwała się Tehuti, rozpoznawszy mnie wreszcie.

- Przyniosłeś mi prezent?

- Tak, Wasza Wysokość - odparłem. - Przywiozłem ci moje serce.

Moja pani uśmiechnęła się do mnie, gdy kroczyłem ku niej po pokładzie. Jej skronie opasywał lekki *nemes* i złota głowa kobry. Kiedy się uśmiechnęła, dostrzegłem, że straciła pierwszy ząb, i ta szczerba szpeciła jej uśmiech. Pogrubiała w talii, żmudne sprawy państwowe pobruździły jej czoło i wyryły kurze łapki w kącikach oczu. Dla mnie wszakże pozostawała najpiękniejszą kobietą na świecie.

Ukląknęłam przed nią, a ona powstała z tronu. To oznaka najwyższej łaski. Złożyła dłoń na mej pochylonej głowie, co było pieśczętą.

- Zbyt długo cię z nami nie było, Taito - powiedziała tak cicho, że tylko ja ją słyszałem. - Dziś w nocy będziesz spać przy moim łożu.

Tej nocy, gdy wypita już miskę przygotowanego przeze mnie ziołowego naparu, a ja przykryłem ją futrzaną narzutą, wymruczała szeptem:

- Czy mogę ci zaufać, że nie pocałujesz mnie, kiedy zasnę?

- Nie, Wasza Wysokość - odparłem i skłoniłem się nad nią.

Lostris uśmiechnęła się, gdy nasze usta się zetknęły.

- Nigdy więcej nie opuszczaj nas na tak długo, Taito - powiedziała.

Drobiazgowo zaplanowaliśmy z Memnonem naszą taktykę i wprowadziliśmy ją w życie równie precyzyjnie jak manewry rydwanów.

Przekonanie Tanusa nie było trudne. Porażka zadana mu przez Arkouna wciąż napawała go goryczą. W jego

obecności dyskutowaliśmy z Memnonem łatwość, z jaką błękitny miecz rozszczepił ostrze z brązu, i to, że Arkoun niechybnie zabiłby Tanusa, gdybym się nie wtrącił. Tanus drżał z upokorzenia.

Wówczas Memnon zaczął wypytywać mnie o magiczne pochodzenie i własności tej legendarnej broni. Tanus zapomniał o urazie i przyłączył się do rozmowy, żarliwie dorzucając własne pytania.

- Ów Prester Beni-Jon ogłosił błękitny miecz łupem wojennym. Ktokolwiek go zdobędzie, będzie mógł go zatrzymać - powiedziałem.

- Gdybyśmy wyruszyli przeciw Arkounowi, w tych dolinach nie moglibyśmy użyć rydwanów - zastanawiał się Memnon. - Musiałaby to być piechota. Co sądzisz, książę Tanusie, jak twoi Szyllukowie poradziłoby sobie z tymi Etiopczykami?

Memnon nadal zwracał się do Tanusa bardzo oficjalnie. Najwidoczniej podczas mojej nieobecności nie dowiedział się, że Tanus jest jego prawdziwym ojcem.

Wreszcie Tanus zapalił się do wyprawy równie mocno jak my. Kiedy rozpoczęliśmy kampanię skierowaną na królową Lostris, był już naszym niezachwianym sojusznikiem.

W przeciwieństwie do Tanusa od samego początku moja pani pojmowała, jak wielką rolę odegrać musiały konie i rydwany, jeżeli kiedykolwiek mieliśmy zrealizować marzenie o powrocie do Egiptu. Zaprezentowałem ogiera podarowanego mi przez Prestera Beni-Jona, wskazując mojej pani na jego co szlachetniejsze cechy.

- Spójrz na jego chrapy, pani. Przyjrzyj się rozmiarom jego kłębu i stosunkowi mięśni do kości. Hyksosi nie posiadają niczego, co dorównywałoby tym etiopskim koniom.

Następnie przypomniałem jej o przyrzeczeniu, jakie złożyła zmarłemu faraonowi.

- Prester Beni-Jon odstąpi ci dolinę, w której znajduje się grobowiec - powiedziałem. - Jego wojownicy strzec go będą przed złodziejami. Obłóży też dolinę tabu, a Etiopczycy są przesądnym ludem. Przestrzegać będą zakazu jeszcze długo po naszym powrocie do Teb.

Ostrzegłem Memnona, by nie wspominał królowej Lostris o miłosnym powodzie wyprawy przeciw Arkounowi. Nie przyniosłoby to naszej sprawie niczego dobrego. Każda matka jest także kochanką i rzadko sprawia jej przyjemność widok syna zabieranego przez inną kobietę.

Żadna kobieta, choćby i królowa, nie zdołałaby oprzeć się połączonym urokom i chytrym naszej trójki, Tanusa, Memnona i mojej. Królowa Lostris udzieliła naszym wojskom przyzwolenia na wymarsz do Adbar Seged.

Pozostawiliśmy wozy i rydwany w dolinie grobu faraona i wyruszyliśmy w góry. Prester Beni-Jon wysłał nam na spotkanie grupę przewodników. Było to stu spośród jego najlepszych i najbardziej godnych zaufania ludzi.

Tanus wybrał pełną dywizję swych dzikich i krwiożerczych Szylluków, obiecawszy im całe bydło, jakie zdołają schwytać. Każdy z tych czarnych niósł na grzbiecie

gruby błam szakalego futra, jako że pamiętaliśmy o chłodnym wietrze na górskich przełęczach.

Za wsparcie mieliśmy prowadzone przez księcia Kratasa trzy oddziały egipskich łuczników. Ten stary łobuz podczas mego pobytu w Adbar Seged dołączył do grona arystokratów. Teraz rwał się do prawdziwej walki. Jak wszyscy jego ludzie, uzbrojony był w nowy kompozytowy łuk refleksyjny, zasięgiem o dwieście kroków przewyższający etiopskie długie łuki.

Memnon dobrał sobie niewielką grupkę naszych najlepszych szermierzy i twardych wojowników. Rem-rem był oczywiście jednym z nich, tak samo jak książę Aker i Astes. Wchodziłem w skład tego specjalnego oddziału nie z powodu moich umiejętności bojowych, lecz po prostu dlatego, że jako jedyny wkroczyłem kiedyś do fortecy Adbar Seged.

Hui pragnął pójść z nami, proponował mi w charakterze łapówki wszystko, co miał. Ostatecznie zgodziłem się, głównie dlatego, że przy wyborze koni, które przyrzekł mi Prester Beni-Jon, potrzebowałem pomocy prawdziwego znawcy.

Przekonałem Tanusa i księcia, że należy maszerować szybko, co podyktowane było nie tylko potrzebą uzyskania efektu zaskoczenia, lecz także i tym, że wkrótce w górach zacząć się miały deszcze. W czasie spędzonym w Adbar Seged przestudiowałem regularności zmian pogody i pór roku. Gdyby deszcze złapały nas w dolinach, stałyby się

wrogiem znacznie bardziej niebezpiecznym od jakiegokolwiek etiopskiej armii.

Podeszliśmy do Amba Kamara w niecały miesiąc. Nasza kolumna wiła się przełęczami niczym długa, śmiertelnie groźna kobra. Brązowe groty szylluckich włóczy błyszczały w jaskrawym słońcu jak łuski węża. Nie napotykałiśmy żadnego oporu. Wioski, przez które przechodziliśmy, były opuszczone. Mieszkańcy umknęli, zabierając ze sobą stada i kobiety. Choć każdego dnia czarne, posępne chmury gromadziły się na górskich szczytach, a nocami toczyły się ku nam pomrukiwania gromów, deszcze opóźniły się i poziom wody w brodach był niski.

Dwadzieścia pięć dni od chwili wyruszenia stanęliśmy w dolinie poniżej masywu Amba Kamara i spojrzeliśmy na kręty szlak, pnący się ku majaczącym w górze wyniosłościom.

Przy okazji mych poprzednich podróży w dół i ku szczytowi przypatrzyłem się umocnieniom obronnym zbudowanym przez Arkouna wzdłuż traktu. Składały się z kamiennych lawin i skalnych redut. Wskazałem je Tanusowi. Bez trudu dostrzec mogliśmy kudłate, niechronione hełmami głowy ukazujące się ponad murami punktów obronnych.

- Słabością kamiennej lawiny jest to, że można jej użyć tylko raz, a moi Szyllukowie są wystarczająco szybcy w nogach, by uskoczyć przed szarżującym bawołem - rzekł z namysłem Tanus.

Posyłał ich w górę ścieżki niewielkimi grupkami, a gdy obrońcy wybijali kliny spod przygotowanych rumowisk, spuszczać na szlak lawiny kamieni, ci długonodzy czarni włócznicy rozbiegali się na boki ze zręcznością górskich kozic. Przeskakując z głazu na gład i wyjąc tak straszliwie, że włosy jeżyły mi się na głowie, spychali wroga w górę zbocza i poza jego szczyt.

Zatrzymywali ich jedynie łucznicy Arkouna, skryci za murami kamiennych redut. Gdy się to zdarzało, Kratas wyprowadzał na czoło swoich strzelców. Dzięki większemu zasięgowi łuków Egipcjanie mogli cofnąć się i posyłać miażdżące salwy prawie pionowo w chmury.

Zafascynowany przyglądałem się rojowi strzał pnącemu się w niebo niczym stado czarnych ptaków, by opaść na redutę tak ostro, że kamienny mur nie zapewniał żadnej osłony skulonym za nim ludziom. Słyszeliśmy ich wrzaski, a potem widzieliśmy, jak zrywają się i gnają w górę stoku. Szyllukowie bezzwłocznie rzucali się w pościg, wyjąc niczym stado myśliwskich psów. Nawet na dnie doliny słyszałem ich okrzyk bojowy:

- *Kajan! Kajan! Zabić! Zabić!*

Choć nie brakło mi tchu w piersiach, a moje nogi wzmocnił długi marsz, miałem problemy z nadążeniem za Memnonem i resztą naszej grupki. Lata zaczynały dawać mi się we znaki.

Wszyscy mieliśmy na sobie długie wełniane etiopskie szaty i tradycyjne okrągłe tarcze naszych przeciwników. Wciąż jednak nie nakładaliśmy na głowy peruk z końskiego

włosia. Zważywszy na obecny nastrój Szylluków, tak dokładne upodobnienie się do Etiopczyków byłoby niezmiernie nierozsądne.

Gdy wyszliśmy wreszcie na gładki płaskowyż amby, jednym rzutem oka dostrzegłem, że Tanus gromadzi i przegrupowuje piechotę. Jedyłą wadą szylluckich wojowników było to, że gdy już umoczyli włócznie we krwi, ogarniało ich szaleństwo i zapanowanie nad nimi graniczyło z niemożliwością. Tanus ryczał jak słoń, bijąc na boki swym oficerskim złotym batem. Gdy Szyllukowie nieco ochłonęli, sformowali szyki i ruszyli na pierwszą wioskę, za której kamiennymi murami czekali Etiopczycy. Kiedy fala wysokich, czarnych postaci zwieńczona pianą białych strusich piór popłynęła w ich stronę, obrońcy wypuścili ze swych długich łuków chmurę strzał. Ale Szyllukowie wysoko nad głowami nieśli długie tarcze.

Gdy szyllucka szarża na nich wpadła, niektórzy Etiopczycy popędzili naprzód, wymachując mieczami. Nie brakło im odwagi, lecz ten rodzaj walki był dla nich nowością. Nigdy dotąd nie musieli stawiać czoła atakowi, który prowadzono na śmierć i życie.

Odczekałem, dopóki dobrze się nie zewrą, i zawołałem do Memnona i jego grupki:

- Peruki!

Każdy naciągnął na głowę perukę z czarnego końskiego włosia. Wykonałem je własnoręcznie zgodnie z etiopskim pojęciem piękna, tak że były obfite i kosmate. Przyodziani

w długie, pasiaste szaty i z perukami na głowach uchodzić mogliśmy za bandę mężczyzn z klanu Arkouna.

- Tędy! Za mną! - zawołałem, wydając zawodzący etiopski okrzyk wojenny.

Pozostali z wyciem podążyli za mną. Omijali wioskę, w której nadal szalała walka, i gnali nieskładną gromadą przez pola pszenicy.

Musieliśmy dotrzeć do twierdzy i znaleźć się przy boku Masary, by ją ochronić, kiedy Arkoun pojmie w końcu, że poniósł klęskę.

Wiedziałem, że gdy tylko utraci dla niego jakąkolwiek wartość, nie zawaha się przed jej zabiciem. Przypuszczałem, że zgładzi ją swym błękitnym mieczem albo też strąci ją z mostu w otchłań. Były to jego dwa najulubieńsze sposoby pozbywania się swych ofiar.

Przedzierając się przez ambę, widzieliśmy, jak cały płaskowyż ogarnia zamieszanie. Grupy kudłatych wojowników miotały się bezładnie. Kobiety wlokły dzieci za ręce, dźwigając na głowach stosy dobytku, lamentując i biegając na oślep niczym przerażone kurczaki czujące zapach lisa. Stada kóz beczały, bydło ryczało, mieląc kopytami kurz. Wszyscy pastuszkowie umknęli. Gdy biegliśmy przez pola, trzymając się z dala od wiosek, nikt nie zwracał na nas uwagi.

Zgodnie z ruchem tego tłumu poruszaliśmy się w stronę Adbar Seged na drugim krańcu płaskowyżu i gdy zbliżyliśmy się do mostu, masy ludzi i zwierząt poczęły gęstnieć i krzepnąć, tak że w końcu zmuszeni byliśmy użyć

siły, by się przez nie przebijać. U wejścia na most stali strażnicy, zawracający uciekinierów nagimi mieczami i pałkami. Kobiety wrzeszczały i zebrały o schronienie za murami fortecy, błagalnie unosząc dzieci. Niektóre wywracały się w ścisku, ginąc pod stopami napierających z tyłu ludzi.

- Formować żółwia - rozkazał cicho Memnon.

Nasz mały oddział skupił się ciasniej, nakładając na siebie krawędzie etiopskich tarcz. Rozciąliśmy tłum jak rekin ławicę sardynek. Słabsi ludzie na czele tłuszczy zepchnięci zostali w przód, poza krawędź przepaści. Ich wrzaski jeszcze spotęgowały panikę. Gdy dotarliśmy do wejścia na most, wartownicy spróbowali nas zatrzymać, lecz sami byli tak ściśnięci przez tłum, że nie mogli ruszyć bronią, zagrożeni zgnieceniem i strąceniem ze skały.

- Wykonujemy bezpośrednie rozkazy króla Arkouna. Na bok! - krzyknąłem na nich w ge'ez.

- Hasło?! - wrzasnął do mnie oficer straży, walcząc o utrzymanie się na nogach. Tłum napierał i cofał się w panice. - Musisz podać hasło! - Szturchnął mnie mieczem, ale Memnon odtrącił ostrze na bok.

Kiedy byłem tu uwięziony, słyszałem je powtarzane po tysiącokroć, bo moja cela znajdowała się nad główną bramą. Od tego czasu mogło się zmienić, toteż byłem gotów nakazać zgładzenie oficera, gdy odwrzaskiwałem w jego stronę stare hasło:

- Góra jest wysoka!

- Przejdźcie!

Odstąpił na bok, a my wyrwaliśmy się z tłumu, kopiąc i odpychając tych, którzy starali się pójść w nasze ślady. Wbiegliśmy na most. Musieliśmy dotrzeć do Masary, więc ledwie zauważyłem otchłań po obu stronach, bez obawy powiodłem oddział nad ziejącą pustką.

- Gdzie jest król Arkoun? - zawołałem na zastawiających bramę strażników. Gdy się zawahali, dorzuciłem: - Góra jest wysoka! Mam pilne wieści dla króla. Na bok! Przepuście nas!

Przepchnęliśmy się przez otwartą bramę, zanim zdążyli się zdecydować, czy stawić nam opór. Mając za plecami dwunastu dobrych ludzi, pognałem ku zewnętrznym schodom prowadzącym na górny taras.

Przy drzwiach do komnaty Masary stało dwóch uzbrojonych mężczyzn, lecz ich widok sprawił mi radość. Obawiałem się, że dziewczyna mogła zostać przeniesiona do innej części fortu, ale obecność strażników upewniła mnie, że tak się nie stało.

- Kim jesteście? - zawołał jeden, obnażając miecz. - Jakim prawem...

Nie dokończył tego wezwania. Odsunąłem się, przepuszczając Memnona i Rem-rema. Skoczyli na strażników i zarąbali ich, zanim ci zdążyli się zasłonić.

Drzwi do komnaty Masary były zabarykadowane od wewnątrz, a gdy skierowaliśmy przeciw nim połączoną masę naszych ciał, z drugiej strony rozległ się chór kobiecych krzyków i płaczu. Przy trzeciej próbie drzwi ustąpiły i wleciałem przez otwór do pomieszczenia.

Wypełniały je głębokie ciemności i z trudem dostrzegałem grupkę kobiet skuloną w przeciwległym rogu komnaty.

- Masara! - wykrzyknąłem, zdzierając perukę z głowy. Włosy opadły mi na ramiona. Dzięki temu natychmiast mnie rozpoznała.

- Taita!

Ugryzła w nadgarstek kobietę, która próbowała ją przytrzymać, i podbiegła do mnie. Zarzuciła mi ręce na szyję, a potem zerknęła ponad moim ramieniem i jej uścisk osłabł, ciemne oczy się rozszerzyły, rumieniec zalał policzki.

Memnon ściągnął perukę. Bez niej był prawdziwym księciem, co do tego nie było żadnej wątpliwości. Odstąpiłem w bok, odsuwając się od Masary. Oboje wpatrywali się w siebie. Żadne nie poruszało się ani nie mówiło przez chyba całą wieczność, lecz była to jedynie chwila. Potem Masara odezwała się nieśmiało i cicho po egipsku:

- Przybyłeś. Dotrzymałeś słowa. Wiedziałam, że to zrobisz.

Był to chyba jedyny raz, gdy widziałem Memnona całkowicie zbitego z tropu. Zdołał jedynie skinąć głową, a potem byłem świadkiem zdumiewającego zjawiska. Krew napłynęła mu do szyi i zabarwiła twarz, tak że zapłonęła rumieńcem nawet mimo mroków komnaty. Następca tronu Egiptu, syn faraona, dowódca pierwszej dywizji rydwanów, dowódca dziesięciu tysięcy, posiadacz Złota Męstwa stał teraz zaczerwieniony i oniemiały niczym głupi wieśniak.

Za moimi plecami jakaś kobieta zaskrzeczała jak wystraszona kwoka. Zanim zdołałem wyciągnąć rękę, żeby ją powstrzymać, zanurkowała pod moim ramieniem i wypadła na wewnętrzne schody. Jej wrzaski rozdzwięczały się w głębi szybu.

- Straż! Wróg wdarł się do wschodniego skrzydła. Chodźcie szybko!

Prawie natychmiast na schodach zastukały obute stopy.

Memnon w mgnieniu oka przeistoczył się z rumieniącego się, zakochanego młodzieńca w srogiego gwardzistę.

- Zajmij się nią, Taito - polecił mi surowo i przeszedł obok mnie do podestu schodów.

Pierwszego wspinającego się mężczyznę zabił klasycznym pchnięciem w gardło, którego nauczył go Tanus. Potem oparł stopę pośrodku jego piersi. Wyszarpując ostrze z ciała, kopniakiem strącił zabitego w dół. Spadający trup wpadł na następnych biegnących po schodach i zgarnął ich ze sobą.

- Jak sądzisz, czy zdołamy dotrzeć do bramy, zanim ją zamkną? - Memnon spojrzał na mnie.

- Musimy - odparłem. - Nasza najlepsza droga ucieczki wiedzie w dół po zewnętrznych schodach.

- Rem-rem, prowadź. Taita i księżniczka do środka. Ja pójdę w tylnej straży - rzucił zwężle i dźgnął następnego wchodzącego po schodach człowieka w oko.

Etiopczyk upuścił broń i obiema dłońmi chwycił się za twarz. Memnon zadał mu kolejne pchnięcie, tym razem

w pierś, i zepchnął go po schodach, ponownie je oczyszczając.

- Za Rem-remem! - krzyknął do mnie. - Nie stój tak. Za nim, tak szybko jak tylko potrafisz.

Chwyciłem Masarę za rękę, lecz nie było trzeba jej ciągnąć. Poszła za mną chętnie, tak szybko i zwinnie, że to ona mnie prowadziła.

Gdy wybiegliśmy na taras, poraziło nas słońce. Po wyjściu z mrocznego pomieszczenia zostałem oślepiony. Zamrugałem, by przyzwyczaić oczy do światła, a potem spojrzałem ponad mostem ku skrajowi płaskowyzu po drugiej stronie przepaści. Byli tam Szyllukowie Tanusa. Dostrzegłem ich powiewające pióra i wzniesione wysoko tarcze.

- *Kajan! Kajan!* Zabić! Zabić! - śpiewali, a ostrza włóczy już zmatowiały od świeżej krwi.

Ogarnięci paniką wieśniacy rozpraszali się przed nimi, wkrótce więc dotarli do wejścia na most.

Było tam dwustu czy trzystu żołnierzy Arkouna. Za plecami mieli otchłań. Konieczność ze wszystkich uczyniła bohaterów. Teraz stali się prawdziwymi lwami. Chociaż ze dwudziestu zepchniętych zostało z krawędzi i runęło w skalistą dolinę na spotkanie śmierci, pozostali odparli pierwszą szarżę Szylluków.

Wtedy dostrzegłem Tanusa, dokładnie tam, gdzie spodziewałem się go ujrzeć - stał w środku formacji. Jego hełm lśnił jak latarnia pośród mrocznego morza szylluckich

wojowników. Zobaczyłem, jak odrzuca głowę do tyłu i zaczyna śpiewać.

Dziki szylluckie słowa przetoczyły się ponad przepaścią do miejsca, w którym stałem na tarasie fortecy. Ludzie wokół niego przyłączyli się do chóru i runęli naprzód z pieśnią na ustach. Tym razem nic nie było w stanie ich zatrzymać. Wycięli i wyrąbali sobie drogę przez obrońców, a Tanus jako pierwszy wpadł na most. Biegł lekko jak na tak wielkiego mężczyznę, cały czas śpiewając. Jego Szyllukowie podążyli za nim na kamienny łuk, lecz droga była tak wąska, że zmuszeni byli rozciągnąć się w pojedynczy rząd.

Tanus był w połowie drogi, gdy pieśń zamarła mu na ustach i stanął.

Z bramy Adbar Seged, poniżej miejsca, w którym się znajdowałem, na most wyszedł mężczyzna, by stawić mu czoło. Spoglądałem z góry, więc nie byłem w stanie dostrzec jego twarzy, ale broni, którą dzierżył w prawej ręce, nie sposób było pomylić z czymkolwiek innym. Słońce odbiło się od błękitnego miecza, rozpalając go niczym letnią błyskawicę.

- Arkoun! - ryknął Tanus. - Szukałem cię.

Arkoun nie mógł zrozumieć słów, lecz ich sens był jasny. Zaśmiał się przez wiatr, broda rozpostarła się niczym dym wokół jego koziej twarzy.

- Znam cię! - Zawinał srebrnobłękitnym ostrzem wokół głowy, a ono zasyczało i zajęczało w powietrzu. - Tym razem cię zabiję!

Ruszył naprzód po wąskim kamiennym łuku, długimi, zręcznymi susami biegnąc wprost na Tanusa.

Tanus mocniej chwycił brązową tarczę prawą dłonią i schował za nią głowę. Znał już moc kryjącą się w tym lśniącym ostrzu i widziałem, że nie zamierzał stawić mu czoła większą klingą swego miecza. Arkoun także nauczył się roztropności podczas ich poprzedniego krótkiego starcia. Ze sposobu, w jaki trzymał błękitny miecz, zgadywałem, że nie zaryzykuje drugiego pochopnego ciosu znad głowy.

Arkoun zebrał się w sobie. Zwarli się. Ujrzałem, jak napinają się mięśnie jego barków, a ciężar ciała przesuwają do przodu. Wykorzystał siłę swej szarży do wyprowadzenia prostego pchnięcia w głowę Tanusa. Tanus uniósł tarczę i przechwycił błękitne ostrze na środek ciężkiej płyty z brązu. Oreż z pośledniejszego metalu skruszyłby się, lecz błękitny miecz przeszedł przez nią, jak gdyby wykonana była z koziej skóry. Do połowy swej srebrzystej długości zagłębił się w złotym metalu.

Wtedy pojąłem zamiar Tanusa. Wykręcił tarczę pod takim kątem, by zaklinować ostrze. Arkoun szarpnął, starając się cofnąć broń, mocował się i ciągnął, rzucając się całym ciałem w tył, lecz Tanus pochwycił błękitny miecz w kleszcze.

Arkoun zebrał wszystkie siły i ponownie pociągnął do tyłu. Tym razem Tanus nie stawiał oporu. Skoczył naprzód w kierunku, w którym ciągnął przeciwnik, i ten nieoczekiwany ruch pozbawił Etiopczyka równowagi.

Arkoun zatoczył się w tył, potknął i zachwiał na krawędzi otchłani. Żeby nie spaść, musiał puścić rękojeść błękitnego miecza i zostawić go w tarczy.

Wymachując zamasyżycie ramionami, zabalansował nad przepaścią. Wówczas Tanus zmienił taktykę – wsparł się barkiem o tarczę i runął do przodu. Tarcza wbiła się w pierś Arkouna, a głowica błękitnego miecza trafiła go w dołek z całą siłą, jaką przekazał jej rozpedzony Tanus.

Arkouna odrzuciło do tyłu, w pustą przestrzeń. Wykręcił w powietrzu powolne salto, a potem runął prosto w dół, szata rozdeła się wokół niego, rozwiewana pędem upadku, broda rozpostarła się niczym proporzec na rydwanie.

Z miejsca, w którym stałem, patrzyłem, jak odbywa tę samą, ostatnią podróż, w którą wysłał tak wielu nieszczęśników. Od runięcia z mostu do uderzenia o skały na dnie przepaści wrzeszczał przez cały czas wysoką, cichnącą nutą, która urwała się raptownie.

Tanus stał samotnie na środku mostu. Nadal trzymał uniesioną tarczę, z mieczem zagłębionym w metalu.

Powoli zamieszanie i walka ustały. Etiopczycy ujrzeli klęskę i upadek swego króla. Stracili serce do boju. Porzucili broń, zebrząc o zmiłowanie. Egipscy oficerowie zdołali wyrwać część oddziałów przeciwnika oszalałym z chęci mordy Szylukom i wnet odwleczono jeńców w tył, gdzie czekali już nadzorcy, gotowi, by ich spętać.

Nic z tego mnie nie interesowało, cały czas przypatrywałem się stojącemu na moście Tanusowi. Zaczął

kroczyć ku bramie fortecy, a wojownicy wiwatowali na jego cześć, unosząc broń w salucie.

- W tym starym byku jest jeszcze chętka do walki - zaśmiał się z podziwem Memnon, lecz ja mu nie zawtórowałem.

Doznałem lodowatego przeczucia jakiejś okropnej tragedii, przypominającego podmuch powietrza, wzbijany uderzeniami skrzydeł sępów zasiadających do makabrycznej uczyty.

- Tanus - wyszeptałem.

Szedł powoli kamiennym mostem, utykając. Opuścił tarczę i dopiero wtedy dostrzegłem plamę rozprzestrzeniającą się na jego napierśniku.

Rzuciłem Masarę w objęcia Memnona i zbiegłem po zewnętrznych schodach. Etiopscy strażnicy przy bramie chcieli złożyć przede mną broń, przepchnąłem się jednak przez nich i wybiegłem na most.

Tanus zauważył mnie i uśmiechnął się, lecz uśmiechnął się krzywo. Przystanął, a nogi ugięły się pod nim z wolna i usiadł ciężko pośrodku mostu. Upadłem przy nim na kolana i ujrzałem szczelinę w krokodylej skórze jego napierśnika. Ciekła z niej krew i zrozumiałem, że błękitny miecz ugryzł głębiej, niż się to wydawało możliwe. Arkoun przebił czubkiem brązową tarczę, twardej skórzany napierśnik i zagłębił go w ciele Tanusa.

Delikatnie rozplątałem wiązania przytrzymujące zbroję i zdjąłem napierśnik. Spojrzeliśmy na ranę. Była to głęboka szpara, szerokością dokładnie odpowiadająca ostrzu,

maleńkie usta o wilgotnych, czerwonych wargach. Każdy nabierany przez Tanusa oddech wypierał przez ten straszliwy otwór wysypkę różowych pęcherzyków. Rana sięgała płuc, ale nie mogłem zdobyć się na powiedzenie tego na głos. Nikt nie jest w stanie przeżyć pchnięcia mieczem w płuco.

- Jesteś ranny.

Była to idiotyczna uwaga. Nie potrafiłem spojrzeć mu w twarz, gdy to mówiłem.

- Nie, stary druhu. Nie jestem ranny - odparł cicho. - Jestem martwy.

Szyllovakowie Tanusa sporządzili nosze z włóczni i przykryli je baranicą. Dźwignęli go i ponieśli, delikatnie i powoli, do fortecy Adbar Seged.

Umieściliśmy go na pościeli króla Arkouna, a potem odprawiłem wszystkich z komnaty. Gdy wyszli, złożyłem na łożu u jego boku błękitny miecz. Tanus uśmiechnął się i położył dłoń na złotej, wysadzonej klejnotami rękojeści.

- Wysoką cenę zapłaciłem za ten skarb - szepnął. - Chciałbym choć raz wznieść go podczas bitwy.

Nie mogłem ofiarować mu żadnej nadziei ani pociechy. Był starym żołnierzem i widział zbyt wiele przypadków uszkodzonych płuc. Nie miałem szansy go oszukać. Opatrzyłem ranę wełnianym tamponem i płóciennym bandażem. Podczas pracy recytowałem inkantację, mającą za zadanie powstrzymanie krwawienia:

Cofnij się przede mną, o tworze Setha...

Lecz Tanus gasł w moich oczach. Każdy oddech stanowił wysiłek, wyraźnie słyszałem krew poruszającą się w jego płucach niczym ukryte w głębi moczarów zwierzę.

Sporządziłem wywar z przynoszącego sen kwiatu, ale odmówił jego wypicia.

- Chcę przeżyć wszystkie minuty mego życia - powiedział do mnie. - Nawet tę ostatnią.

- Co jeszcze mogę dla ciebie uczynić?

- Zrobiłeś już tak wiele - rzekł. - A jednak żądania, jakie ci wszyscy stawiamy, nie mają końca.

Potrząsnąłem głową.

- Moja chęć ich spełniania nie ma granic.

- O te oto ostatnie przysługi proszę. Po pierwsze, nigdy nie powiesz Memnonowi, że jestem jego ojcem. Musi zawsze wierzyć, że krew faraonów płynie w jego żyłach. Potrzebne mu będą wszystkie siły, by sprostać przeznaczeniu, które go czeka.

- Z twej krwi byłby równie dumny jak z królewskiego pochodzenia.

- Przysięgnij mi, że mu nie powiesz.

- Przysięgam - odparłem, a on leżał przez chwilę, zbierając siły.

- Jest jeszcze jedna przysługa.

- Zgadzam się, zanim jeszcze ją nazwiesz - odrzekłem.

- Zaopiekuj się tą kobietą, która nigdy nie była moją żoną. Osłaniaj ją i wspieraj, tak jak to czyniłeś przez wszystkie minione lata.

- Wiesz, że to uczynię.

- Tak, wiem, że to uczynisz, bo zawsze kochałeś ją równie mocno jak ja. Zaopiekuj się Lostris i naszymi dziećmi. Oddaję ich wszystkich w twe ręce.

Zamknął oczy i pomyślałem, że kres jest już bliski, lecz Tanus siłą przewyższał innych ludzi. Po chwili ponownie podniósł powieki.

- Pragnę ujrzeć księcia - powiedział.

- Czeka na tarasie - odparłem i ruszyłem do przesłoniętych materią drzwi.

Memnon stał na drugim końcu tarasu. Masara była przy nim, oboje blisko siebie, nie dotykając się wszakże. Mieli poważne twarze i mówili ściszonymi głosami. Gdy zawołałem, oboje podnieśli głowy.

Memnon podszedł natychmiast, zostawiając dziewczynę samą. Stał tuż przy posłaniu Tanusa i patrzył. Tanus uśmiechnął się, lecz jego uśmiech był nierówny. Wiedziałem, ile wysiłku go kosztował.

- Wasza Wysokość, nauczyłem cię wszystkiego, co wiem o wojnie, ale nie mogę nauczyć cię życia. Tę wiedzę każdy człowiek musi zdobyć sam. Nic więcej nie muszę ci przekazać. Zanim wyruszę w tę nową podróż, pozostaje mi jedynie podziękować za dar, jakim była możliwość poznania ciebie i służenia ci.

- Zawsze byłeś dla mnie kimś więcej niż tylko nauczycielem - odrzekł cicho Memnon. - Byłeś ojcem, którego nigdy nie znałem.

Tanus zamknął oczy, grymas wykrzywił mu twarz.

Memnon pochylił się i mocno ścisnął jego ramię.

- Ból to zaledwie jeszcze jeden przeciwnik, któremu należy stawić czoło i go pokonać. Tego mnie nauczyłeś, książę Tanusie.

Memnon przypuszczał, że to rana tak mu dokuczała, lecz ja wiedziałem, że był to ból wywołany słowem „ojciec”.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. - Tanus otworzył oczy. - Dobrze jest mieć twą pomoc w walce z tym ostatnim cierpieniem.

- Nazywaj mnie raczej przyjacielem niż wysokością. - Memnon przypadł na kolano przy łożu, nie zwalniając uchwytu na ramieniu rannego.

- Mam dla ciebie podarunek, przyjacielu.

Krzepnąca krew w płucach zniekształcała mu głos. Namacał rękojeść błękitnego miecza, który wciąż leżał przy nim na materacu, lecz nie miał już siły go podnieść.

Zdjął dłoń Memnona ze swego ramienia i umieścił ją na wysadzanej klejnotami rękojeści.

- Jest teraz twój - wyszeptał.

- Będę o tobie myślał za każdym razem, gdy wyciągnę go z pochwy. Będę wołał twe imię za każdym razem, gdy wzniosę go w bitwie.

Memnon ujął broń.

- Wyświadczasz mi wielką łaskę.

Wstał i z mieczem w prawej dłoni przybrał klasyczną postawę wyjściową na środku pomieszczenia. Przyłożył ostrze do warg, salutując leżącemu na pościeli człowiekowi.

- Tak nauczyłeś mnie to robić.

Potem rozpoczął ćwiczenia szermiercze, w których Tanus go wyszkolił, gdy jeszcze był dzieckiem. Wykonał dwanaście zasłon, potem cięcia i wypady, wszystko z niespieszną perfekcją. Srebrzyste ostrze zataczało kręgi i opadało niczym lśniący orzeł. Grało i świszczało w powietrzu, rozjaśniając mroki komnaty strzelającymi na wszystkie strony promieniami światła.

Memnon zakończył prostym pchnięciem wymierzonym w gardło wyimaginowanego przeciwnika. Następnie oparł ostrze miecza o ziemię i złożył obie dłonie na głowicy.

- Dobrze się sprawiłeś. - Tanus skinął głową. - Niczego więcej cię już nie nauczę. Nie odchodzę przedwcześnie.

- Poczekam z tobą - powiedział Memnon.

- Nie - Tanus machnął dłonią ze znużeniem. - Twoje przeznaczenie czeka na ciebie za murami tego ponurego pomieszczenia. Musisz iść naprzód, by je spotkać, nie oglądając się do tyłu. Taita ze mną zostanie. Zabierz ze sobą dziewczynę. Udaj się do królowej Lostris i przygotuj ją na wieść o mojej śmierci.

- Odejdź w pokoju, książę Tanusie.

Memnon nie pomniejszał wagi tego uroczystego momentu próżną dyskusją. Podszedł do łoża i pocałował swego ojca w usta. Potem odwrócił się i nie spojrzawszy za siebie, wyszedł z pomieszczenia z błękitnym mieczem w ręce.

- Idź ku sławie, mój synu - szepnął Tanus.

Odwrócił się twarzą do kamiennej ściany. Usiadłem w nogach jego łoża i utkwilem wzrok w brudnej kamiennej

posadzce. Nie chciałem widzieć łez człowieka takiego jak Tanus.

Zbudziłem się w nocy, wyrwany ze snu hukami bębni, prymitywnych drewnianych bębni szylluckich, łomoczących w zalegającej na zewnątrz ciemności. Żałobny dźwięk szylluckich głosów chóralnie wyśpiewujących dzikie lamenty sprawił, że zadrżałem z lęku.

Lampa przygasła, jej płomień pełgał nierówno przy łożu. Rzuciła groteskowe cienie na sufit, podobne trzepoczącym i falującym sępiemu skrzydłom. Powoli i niechętnie podszedłem do leżącego na pościeli Tanusa. Wiedziałem, że Szyllukowie się nie mylili – potrafili przeczuwać podobne rzeczy.

Leżał tak, jak go zostawiłem, twarzą do ściany, lecz gdy dotknąłem jego ramienia, poczułem chłód ciała. Nieugięty duch wyruszył w dalszą wędrówkę.

Przesiedziałem przy nim resztę nocy, lamentując i oplakując go tak, jak czynili to jego Szyllukowie.

O świcie posłałem po balsamiarzy.

Nie zamierzałem pozwolić, by ci prostacy rzeźnicy wybebeszyli mojego przyjaciela. Sam wykonałem nacięcie w lewym boku. Nie było to długie, ohydne chłaięcie skalpelem, w jakim lubują się te łapiduchy, lecz dzieło chirurga.

Przez nie wyciągnąłem wnętrzności. Gdy wziąłem w dłoń wielkie serce Tanusa, zadygotałem. Miałem wrażenie, jakbym nadal mógł wyczuć całą jego siłę i moc pulsujące w tym cielesnym naczyniu. Z szacunkiem

i miłością umieściłem je na powrót w klatce żeber, po czym z największą wprawą zamknąłem cięcie w boku i zadana błękitnym mieczem ranę w piersi.

Ująłem brązową łyżkę i wcisnąłem ją mu w nos, dopóki nie poczułem, że dotyka cienkiej kościanej przegrody na końcu tunelu. Jednym pchnięciem przebiłem tę nikłą przeszkodę i wygarnąłem miękką substancję z jamy czaszki. Dopiero wtedy uznałem, że mogę przekazać go balsamiarzom.

Chociaż nie miałem nic więcej do zrobienia, odczekałem wraz z Tanusem długie czterdzieści dni mumifikacji w chłodnym i mrocznym zamku Adbar Seged. Wracając teraz pamięcią do owego czasu, widzę, że był to objaw słabości. Nie potrafiłem udźwignąć ciężaru pierwszego żalu mej pani na wieść o śmierci Tanusa. Pozwoliłem, by Memnon przejął obowiązek, który prawnie należał do mnie. Kryłem się wśród umarłych, podczas gdy powinienem był być z żywymi, którzy bardziej mnie potrzebowali. Zawsze byłem tchórzem.

Nie znalazłem żadnej trumny, w której umieścić mogłem zmumifikowane ciało Tanusa. Zamierzałem sporządzić ją zaraz po dotarciu do floty w Kebui. Poleciałem etiopskim kobietom upleść dla niego długi kosz. Faktura plecionki była tak delikatna, że przypominała płótno, i zatrzymywała wodę równie dobrze jak naczynie z wypalanej gliny.

Znieśliśmy go z gór. Szyllukowie z łatwością dźwigali ciężar wyschniętego ciała. Walczyli między sobą o ten zaszczyt. Czasami, gdy krętymi drogami wędrowaliśmy przez wąwozy

i smagane wichrami przełęcz, śpiewali swe dzikie żałobne pieśni. Kiedy indziej intonowali bojowe melodie, których nauczył ich Tanus.

Całą tę uciążliwą drogę maszerowałem przy marach. Deszcze rozpadały się na szczytach gór i moczyły nas do suchej nitki. Poziom wody w rzecznych brodach podniósł się tak, że musieliśmy posyłać na drugi brzeg pływaków z linami. Nocami trzciniowa trumna Tanusa stała przy posłaniu w moim namiocie. Mówiłem do niego głośno w ciemności, zupełnie jakby mógł mnie usłyszeć i odpowiedzieć, tak jak to niegdyś robiliśmy.

W końcu zeszedliśmy z ostatniej przełęcz i rozpostarły się przed nami wielkie równiny. Gdy zbliżyliśmy się do Kebui, moja pani wyjechała na spotkanie naszej ponurej karawany. Jechała na pomoście rydwanu za plecami księcia Memnona.

Gdy nadjeżdżali przez trawiastą równinę, rozkazałem szylluckim tragarzom złożyć trzciniową trumnę Tanusa pod rozłożystymi konarami gigantycznej akacji. Moja pani zsiadła z rydwanu i podeszła tam. Oparła na niej dłoń i w milczeniu schyliła głowę.

Wstrząsnął mnie widok spustoszenia, jakie żalność wyrządziła na jej obliczu. We włosach pojawiły się siwe smugi, oczy straciły blask. Zniknęły z nich ogień i zapał. Pojąłem, że dni jej młodości i wielkiej urody minęły bezpowrotnie. Stała się samotną i tragiczną kobietą. Jej żaloba była tak widoczna, że nikt, kto na nią spoglądał, nie mógł mieć wątpliwości co do tego, że była wdową.

Podszedłem do niej, by ją ostrzec.

- Pani, nie wolno ci okazywać wszystkim twego bólu. Nikt nie może się dowiedzieć, że był kimś więcej niż tylko twoim przyjacielem i wodzem twych armii. Mając na względzie jego pamięć i honor, który tak wysoce sobie cenił, powstrzymaj się od łez.

- Braknie mi już łez - odpowiedziała cicho. - Wypłakałam cały mój ból. Tylko ty i ja znać będziemy prawdę.

Złożyliśmy skromną trzciniową trumnę Tanusa w ładowni „Oddechu Horusa” obok okazałej złotej trumny faraona. Pozostałem u boku mej pani, jak to obiecałem Tanusowi, dopóki najgorsze żałobne cierpienie nie zmniejszyło się do tępego, nieustannego bólu, który miał nigdy jej nie opuścić. Wtedy, wykonując jej rozkazy, powróciłem do grobowej doliny, by nadzorować ukończenie grobowca faraona.

Posłuszny mojej pani, wybrałem także w głębi doliny miejsce na grobowiec Tanusa. Chociaż zrobiłem, co było w mojej mocy, wzięwszy pod uwagę dostępne mi materiały i rzemieślników, miejsce spoczynku Tanusa było chłopską chatą w porównaniu z grobowym pałacem faraona Mamose.

Armia rzemieślników pracowała przez wszystkie te lata, by ukończyć efektowne freski ozdabiające przejścia i podziemne komnaty królewskiego grobowca. Jego magazyny zapchane zostały całym skarbem, jaki przewieźliśmy ze sobą z Teb.

Grobowiec Tanusa budowany był w pośpiechu. Ten człowiek nie zgromadził żadnego majątku podczas trwającej życie służby państwu i koronie. Na ścianach wymalowałem obrazy przedstawiające wydarzenia z jego

doczesnego żywota - łowy na potężne bestie, bitwy z czerwonym uzurpatorem i Hyksosami oraz ostatni atak na fortecę Adbar Seged. Nie ośmieliłem się wszakże ukazać jego szlachetniejszych osiągnięć - miłości do mojej pani i niezachwianej przyjaźni ze mną. Miłość do królowej stanowi zdradę, przyjaźń z niewolnikiem jest rzeczą poniżającą.

Gdy wszystko zostało wreszcie ukończone, stanąłem samotnie w skromnym grobowcu Tanusa, gdzie spędzić miał całą wieczność, i nagle owładnęła mną złość, że tylko tyle mogłem dla niego uczynić. W moich oczach więcej było w nim mężczyzny niż w jakimkolwiek faraonie, który nosił dotąd podwójną koronę. Ta korona mogła należeć do niego, powinna była należeć do niego, lecz on ją odtrącił. Moim zdaniem bardziej zasługiwał na miano króla, niż faraon kiedykolwiek był godzien tego tytułu.

Wtedy pierwszy raz zaświtała mi w głowie ta myśl. Była tak zuchwała, że ją przegnałem. Nawet poważne zastanawianie się nad nią było straszliwą zdradą, obrazą w oczach ludzi i bogów.

Jednak w ciągu kolejnych tygodni z uporem zakradała się do mego umysłu. Tak wiele winien byłem Tanusowi, faraonowi zaś tak mało. Nawet gdybym został skazany na wieczne potępienie, byłaby to uczciwa cena. Przez cały czas naszej znajomości Tanus dał mi więcej niż szansę na nieśmiertelność.

Nie byłem w stanie wykonać tego w pojedynkę. Potrzebowałem pomocy, lecz do kogo mógłbym się zwrócić?

Nie mogłem zwerbować ani królowej Lostris, ani księcia. Moja pani związana była przysięgą złożoną faraonowi, a Memnon nie wiedział, który z tych dwóch mężczyzn był jego rodzonym ojcem. Nie mogłem mu tego wyjawić, nie łamiąc przy tym danego Tanusowi słowa.

W końcu znalazłem tylko jedną osobę, która kochała Tanusa prawie tak samo jak ja, która nie bała się bogów ani ludzi i która posiadała brutalną siłę fizyczną, jakiej mi brakowało.

- Na niepodtarty tyłek Setha! - Księżę Kratas wybuchnął śmiechem, gdy wyjawilem mu mój plan. - Tylko ty mógłbyś uknuć coś podobnego. Jesteś największym łotrem, jakiego dźwiga ten świat, Taito, lecz kocham cię za to, że dajesz mi ostatnią szansę uczczenia Tanusa.

Zaplanowaliśmy to dokładnie. Posunąłem się tak daleko, że posłałem strażnikom przy wejściu do ładowni „Oddechu Horusa” dzban wina solidnie zaprawionego proszkiem z niosących sen kwiatów.

Gdy weszliśmy wreszcie z Kratasem do ładowni, w której spoczywały dwie trumny, me zdecydowanie osłabło. Wyczuwałem, że *Ka* faraona Mamose obserwuje mnie z cienia i że jego mściwy duch podążać będzie za mną przez wszystkie dni mego żywota, poszukując pomsty za to świętokradztwo.

Wielki prostoduszny Kratas nie odczuwał podobnego niepokoju i zabrał się do pracy z takim zapałem, że kilkakrotnie w ciągu tej nocy zmuszony byłem ostrzegać go,

by nie czynił zbyt wiele hałasu, gdy otwieraliśmy złote pokrywy monarszej trumny i wyciągaliśmy mumię króla.

Tanus był większy od faraona, lecz na szczęście artyści wykonujący trumnę pozostawili nam nieco miejsca, a ciało Tanusa skurczyło się podczas balsamowania. Mimo to musieliśmy odwinąć kilka warstw bandaży, zanim zmieścił się bez kłopotów w wielkiej, złotej skrzyni.

Wymamrotałem przeprosiny pod adresem faraona Mamose, gdy złożyliśmy go w skromnej drewnianej trumnie z namalowaną na pokrywie podobizną Wielkiego Lwa Egiptu. Był w niej aż nadmiar wolnej przestrzeni i zanim zapieczętowaliśmy wieko, wepchnęliśmy do środka płócienne bandaże, które ściągnęliśmy z Tanusa.

Gdy minęły deszcze i powróciła chłodna pora roku, moja pani rozkazała, by procesja pogrzebowa wyruszyła z Kebui do grobowej doliny.

Na czele jechała pierwsza dywizja rydwanów prowadzona przez księcia Memnona. Za nią podążało pięćdziesiąt wozów wyładowanych grobowymi skarbami faraona Mamose. Królewska wdowa, królowa Lostris, podróżowała na pojeździe wiozącym złotą trumnę. Cieszyło mnie to, że tę ostatnią wędrówkę odbywała w towarzystwie mężczyzny, którego kochała, chociaż sądziła, że jest to ktoś inny. Parokrotnie przechwytywałem jej spojrzenie kierowane w stronę końca nieskończenie długiej karawany pełną ponuro przez równinę.

Za zamykającym kolumnę wozem, zawierającym lżejszą drewnianą trumnę, maszerował pułk Szylluków. Ich

wspaniałe głosy, śpiewające ostatnie pożegnalne pieśni, niosły się wyraźnie na czoło kolumny, gdzie się znajdowaliśmy. Pewien byłem, że Tanus mógł je słyszeć i że wiedział, dla kogo były one przeznaczone.

Gdy dotarliśmy wreszcie do doliny, w której znajdowały się grobowce, złota trumna złożona została pod baldachimem przed wejściem do królewskiego mauzoleum. Płócienne sklepienie iluminowane było tekstami i ilustracjami z „Księgi umarłych”.

Odbyć się miały dwa oddzielne pogrzeby. Pierwszym był mniej okazały pochówek Wielkiego Lwa Egiptu. Po nim nastąpić miał drugi, wspanialszy i bardziej uroczysty pogrzeb króla.

Tak więc trzy dni po przybyciu do doliny drewniana trumna umieszczona została w grobowcu, który przygotowałem dla Tanusa. Kapłani Horusa poświęcili kryptę, a potem ją zamknęli. Ten właśnie bóg był patronem Tanusa.

Podczas obrzędów moja pani zdołała skryć swą żalność i okazywała jedynie przyzwoity smutek królowej po utracie wiernego sługi, choć wiedziałem, że w jej sercu umierało coś, co nigdy nie miało się odrodzić.

Przez całą noc dolina rozbrzmiewała chóralnym zawodzeniem pułku Szylluków oplakujących człowieka, który stał się teraz jednym z ich bogów. Do dziś wciąż wykrzykują jego imię podczas bitwy.

Dziesięć dni po pierwszym pochówku złota trumna umieszczona została na drewnianych saniach i wciągnięta

do obszernego królewskiego grobowca. Potrzebny był połączony wysiłek trzystu niewolników, by przeprowadzić ją przez korytarze. Zaprojektowałem grobowiec tak precyzyjnie, że między bokami i wiekiem trumny a kamiennymi ścianami i stropem pozostawała wolna przestrzeń szeroka na dłoń.

By pokrzyżować zamiary przyszłych włamywaczy oraz wszystkich innych, którzy zamierzaliby zbezczcić królewski grobowiec, zbudowałem pod górą labirynt tuneli. Szeroki przesmyk wiódł wprost od wejścia w zboczu wzgórza do imponującej komory grobowej, ozdobionej wspaniałymi freskami. Pośrodku pomieszczenia stał pusty granitowy sarkofag z wiekiem zsuniętym na bok i dramatycznie wywróconym. Pierwszy włamywacz, który by się tu znalazł, miał uwierzyć, że się spóźnił i że ktoś inny wcześniej splądrował grobowiec.

Do prawdziwej krypty prowadził inny tunel pod kątem prostym w bok od wejścia. Jego wlot zamaskowany był przez zawierający grobowe kosztowności skarbiec. Trumnę należało obrócić, by wprowadzić ją do tego bocznego przejścia. Dalej wkraczało się do labiryntu fałszywych krypt grobowych i korytarzy, z których każdy stawał się bardziej kręty i bardziej zwodniczy od poprzedniego.

W sumie znajdowały się tam cztery komory grobowe, lecz trzy miały pozostać na wieki puste. Były tam też trzy pary tajemnych drzwi i dwa pionowe szyby. Trumnę należało wciągnąć jednym z nich, a potem opuścić w głąb drugiego.

Przeprowadzenie jej przez ten labirynt zajęło piętnaście dni. Wtedy dopiero stanęła na miejscu swego ostatecznego spoczynku. Strop i ściany grobowca ozdobiłem malowidłami przy wykorzystaniu wszystkich umiejętności i całego geniuszu, jakimi obdarzyli mnie bogowie. Najmniejszy nawet fragment muru wielkości paznokcia mego kciuka lśnił kolorami i ruchem.

Z tą komnatą sąsiadowało pięć skarbców. W nich upchane zostały dobra nagromadzone przez faraona Mamose podczas jego życia. To z ich powodu prawie udało mu się wpędzić nasz Egipt w biedę. Starłem się wytłumaczyć mojej pani, by tego skarbu nie grzebano w ziemi, lecz raczej by użyty został na opłacenie armii i walki, jaka czekała nas podczas próby wygnania hyksoskiego tyrana oraz wyzwolenia naszego ludu i kraju.

- Ten skarb należy do faraona - odpowiedziała wtedy. - Tu, w Kusz, zgromadziliśmy drugi skarb, złoto, niewolników i kość słoniową. To wystarczy. Niech boski Mamose zachowa to, co jego... Dałam mu na to słowo.

Tak więc piętnastego dnia złota trumna złożona została w kamiennym sarkofagu wyciosanym w litej skale. Przy wykorzystaniu systemu sznurów i dźwigni podniesiono ciężkie wieko i umieszczono na swym miejscu.

Królewska rodzina, kapłani i arystokraci wkroczyli do grobowca, by dopełnić ostatnich rytuałów.

Moja pani i książę stali u szczytu sarkofagu, kapłani mamrotali monotennie swe inkantacje i odczytywali fragmenty z „Księgi umarłych”. Tłusty dym z lamp

i oddechy tłumu ludzi w zamkniętym pomieszczeniu zepsuły powietrze, tak że wkrótce z trudem można było złapać oddech.

W słabym, żółtym świetle dostrzegłem, że moja pani blednie, a perełki potu występują jej na czoło. Przecisnąłem się przez ciasno stłoczone szeregi i dotarłem do niej dokładnie w chwili, gdy zatoczyła się i zasłała. Zdołałem ją pochwycić, zanim uderzyła głową o granitową krawędź sarkofagu.

Wynieśliśmy ją z grobowca na noszach. W świeżym górskim powietrzu szybko doszła do siebie, lecz mimo to przez resztę dnia zatrzymałem ją w łóżku w namiocie.

Tej nocy gdy przygotowywałem ziołowy napój, leżała cicha i zamyślona, a wypiwszy napar, wyszeptała do mnie:

- Miałam najniezwyklejsze uczucie. Gdy stałam w grobowcu faraona, poczułam nagle, że Tanus jest bardzo blisko mnie. Poczułam dotyk jego dłoni na twarzy i usłyszałam jego głos szepczący mi do ucha. Właśnie wtedy zemdlałam.

- Tanus zawsze będzie przy tobie - powiedziałam.

- Wierzę w to - odparła po prostu.

Widzę teraz, choć wtedy nie potrafiłem tego dostrzec, że jej powolny upadek rozpoczął się w dniu, gdy złożyliśmy do grobu Tanusa. Utraciła wówczas radość życia i wolę stawiania czoła przeciwnościom losu.

Następnego dnia powróciłem do królewskiego grobowca z kamieniarzami i grupą niewolnych robotników, by

zamknąć przejścia i szyby i by uzbroić urządzenia, które strzec miały komory grobowej.

Cofając się labiryntem korytarzy, przegradzaliśmy tajne przejścia sprytnie układanymi kamieniami i gipsem, następnie malowaliśmy na nich freski. Wyloty pionowych szybów zamknęliśmy tak, że robiły wrażenie gładkiej posadzki i sklepienia.

Przygotowałem kamienne lawiny, które wyzwałało postawienie stopy na obluzowanej płytce posadzki, a pionowe szyby wypełniłem drewnianymi belkami. Rozkładając się wraz z upływem wieków, zżerane grzybem emitować miały trujące opary, dławiące każdego intruza, któremu udałooby się odnaleźć drogę ukrytymi przejściami.

Lecz zanim to wszystko uczyniliśmy, powróciłem do właściwej komnaty grobowej, by pożegnać się z Tanusem. Zabrałem ze sobą długi, zawinięty w płótno pakunek. Kiedy ostatni raz stanąłem przy królewskim sarkofagu, odprawiłem wszystkich robotników. Chciałem opuścić grobowiec jako ostatni, a po moim wyjściu przejście miało zostać zablokowane.

Gdy zostałem sam, rozwinąłem paczkę. Wyjąłem z niej długi łuk, Lanatę. Tanus nazwał go na cześć mojej pani, a ja go wykonałem. Był to ostatni podarunek od nas obojga. Złożyłem go na zapieczętowanym kamiennym wieku trumny.

W moim pakunku znajdował się jeszcze jeden przedmiot. Była to drewniana figurka *uszebti*, którą uprzednio wyrzeźbiłem. Umieściłem ją u stóp sarkofagu. Rzeźbiąc ją,

rozstawiłem trzy miedziane lusterka, tak bym mógł przyjrzeć się rysom mej twarzy pod każdym kątem i odwzorować je jak najwierniej. Rzeźba była miniaturowym Taitą.

Na jej podstawie wyryłem następujące słowa: *Nazywam się Taita. Jestem medykiem i poetą. Jestem architektem i filozofem. Jestem twoim przyjacielem. Odpowiem w twoim imieniu.*

Gdy wychodziłem z komory grobowej, przystanąłem w wejściu i obejrzałem się ostatni raz.

- Żegnaj, stary przyjacielu - powiedziałem. - Znajomość z tobą wzbogaciła mnie. Zaczekaj na nas po drugiej stronie.

Ukończenie pracy przy królewskim grobowcu zajęło mi wiele miesięcy. Gdy wycofywaliśmy się z labiryntu, osobiście sprawdzałem każde zamknięte drzwi i każde ukryte urządzenie, jakie za sobą zostawiliśmy.

Byłem sam, jako że moja pani i książę odjechali w góry, do fortecy Prestera Beni-Jona. Wyruszyli wraz z całym dworem, by przygotować zaślubiny Memnona i Masary. Towarzyszył im Hui, który miał wybrać z etiopskich stad konie, stanowiące część naszej zapłaty za zdobycie Adbar Seged i odzyskanie Masary.

Kiedy wreszcie moja praca w grobowcu dobiegła końca, a robotnicy zakryli zewnętrzne wejście w zboczu wzgórza, również wyruszyłem w góry chłodnymi, wietrznymi przełęczami. Zależało mi na tym, by nie stracić weselnej uczty, lecz w drogę ruszyłem dosyć późno. Wykończenie prac przy grobowcu zajęło mi więcej czasu, niż

planowałem. Podróżowałem z największą szybkością, na jaką stać było konie.

Do pałacu Prestera Beni-Jona dotarłem napięć dni przed ślubem i udałem się wprost do tej części fortecy, w której zakwaterowana była moja pani ze swoją świtą.

- Nie uśmiechałam się, od kiedy ostatni raz cię widziałam, Taito - powitała mnie. - Zaśpiewaj. Opowiedz mi którąś ze swoich historii. Spraw, bym mogła się zaśmiać.

Postawiła przede mną niełatwe zadanie, jako że melancholia głęboko zapuściła korzenie w jej duszy, a prawdę powiedziawszy, i mnie nie było wesoło ani lekko na sercu. Wyczuwałem, że trapiło ją coś więcej niż tylko smutek. Wkrótce porzuciliśmy próby wzajemnego rozbawienia się i przeszliśmy do omawiania spraw wagi państwowej.

Dla dwojga zakochanych mogło to być małżeństwo z miłości, połączenie bliźniaczych dusz obdarzonych błogosławieństwem bogów, lecz dla reszty z nas związek Memnona z Masarą stanowił królewskie zaślubiny i układ między narodami. Trzeba było wynegocjować umowy i traktaty, ustalić posagi, przygotować układy handlowe między królem królów i władcą Aksum a regentką Egiptu, dźwigającą na skroniach podwójną koronę dwóch królestw.

Jak przewidywałem, w pierwszej chwili moja pani była mniej niż zachwycona perspektywą małżeństwa jej jedyne go syna z kobietą innej rasy.

- Różni ich wszystko, Taito. Bogowie, którym oddają cześć, język, którym się porozumiewają, kolor skóry... Och!

Chciałabym, żeby wybrał dziewczynę z naszego rodu.

- Zrobi to - zapewniłem ją. - Poślubi pięćdziesiąt, może sto Egipcjanek. Poślubi także Libijki, Hurytki i Hyksoski. Wszystkie rasy i narody, jakie w przyszłości podbije, dostarczać mu będą małżonek. Kuszytki, Hetytki i Asyryjki...

- Przestań się ze mną drażnić, Taito. - Tupnęła nogą z energią przywołującą na myśl jej niegdysiejszy ogień. - Doskonale pojmujesz, o co mi chodzi. Wszystkie następne będą małżeństwami dla dobra państwa. To pierwsze jest małżeństwem dwojga serc.

To co mówiła, było prawdą. Obietnica miłości, jaką Memnon i Masara wymienili podczas owych ulotnych chwil nad rzeką, teraz rozkwitała.

Uważałem za szczególny przywilej możliwość przebywania blisko nich w te wspaniałe dni. Oboje nie negowali mojej roli w doprowadzeniu do ich związku i byli mi za to wdzięczni. Dla obojga byłem długoletnim przyjacielem, kimś, komu ufali bez zastrzeżeń.

Nie podzielałem złych przeczuć mojej pani. Choć różniło ich wszystko to, co wymieniła, serca Memnona i Masary odlane zostały z tej samej formy. Oboje odznaczali się skłonnością do poświęceń, odrobiną bezwzględności i okrucieństwa, jaką musi posiadać każdy władca. Stanowili dobrze dobraną parę, niczym samiec i samica sokoła. Wiedziałem, że Masara nie będzie odciągać Memnona od jego przeznaczenia, a raczej zachęcać

i nakłaniać do jeszcze większego wysiłku. Byłem zadowolony z moich starań w roli swata.

Pewnego słonecznego dnia w górach, na oczach dwudziestu tysięcy ludzi z Etiopii i Egiptu szczelnie zapelniających zbocza okolicznych wzniesień, Memnon i Masara stanęli razem na brzegu rzeki i opróżnili dzban wody, którą arcykapłan Ozyrysa zaczerpnął z niemowlęcego Nilu.

Młodzi powiedli z gór naszą karawanę obładowaną posagiem księżniczki oraz traktatami i przysięgami przyjaźni zawartymi między oboma narodami.

Hui z koniuchami pędził za nami stado pięciu tysięcy koni. Część z nich stanowiła zapłatę za nasze usługi, pozostałe wchodziły w skład posagu Masary. Zanim wszakże dotarliśmy do zlewiska dwóch rzek w Kebui, ujrzeliśmy na równinie przed nami ciemną plamę, zupełnie jakby jakaś chmura rzuciła swój cień na sawannę - tyle że słońce lśniło na bezchmurnym niebie.

Stada gnu powróciły w swej corocznej wędrówce.

W ciągu kilku tygodni od chwili zetknięcia się z gnu, żółty dusiciel spadł na stado etiopskich koni i przetoczył się przez nie niczym wywołana burzą powódź w którejś z wysokogórskich dolin.

Naturalnie spodziewaliśmy się z Huim ataku zarazy po powrocie gnu i poczyniliśmy stosowne przygotowania. Przeszkoliliśmy wszystkich koniuchów i woźniców w wykonywaniu tracheotomii i odkażaniu ran gorącą smołą

w celu zapobieżenia gangrenie atakującej zwierzę, zanim jeszcze zdąży się otrząsnąć po dusicielu.

Przez wiele tygodni żaden z nas nie zaznał snu, lecz ostatecznie niecałe dwa tysiące nowych koni zdechło wskutek zarazy, a te, które przeżyły, jeszcze przed kolejnym wylewem Nilu były dostatecznie silne, by można było zacząć układać je do chodzenia w zaprzęgu.

Kiedy nadeszła pora wylewu, kapłani złożyli ofiary na brzegach rzeki, każdy swemu bogu, zasięgając rady wyroczni co do pomyślności nadchodzącego roku. Niektórzy zaglądali we wnętrze ofiarnych owiec, inni obserwowali lot dzikich ptaków, jeszcze inni wlepiali wzrok w naczynia wypełnione wodą z Nilu. Każdy wróżył na swój sposób.

Królowa Lostris złożyła ofiarę Hapi. Choć wziąłem wraz z nią udział w nabożeństwie, włączałem się do liturgii i chóralnych odpowiedzi zgromadzonych, sercem byłem gdzie indziej. Jestem człowiekiem Horusa, tak jak książę Kratas i książę Memnon. Złożyliśmy naszemu bogu ofiarę ze złota i kości słoniowej, prosząc go o radę.

Nie jest rzeczą zwykłą, by bogowie zgadzali się ze sobą, ludzie zresztą robią to samo. Ten rok był wszakże odmienny od wszystkich, jakie pamiętałem. Z wyjątkiem bogów Anubisa i Thota oraz bogini Nut niebiańskie zastępy przemówiły jednym głosem. Ta trójka - Anubis, Thot i Nut - to pomniejsze bóstwa. Ich opinia mogła być przeto bez obaw pominięta. Wszyscy wielcy bogowie - Amon-Re, Ozyrys, Horus, Hapi, Izyda - i dwustu innych, tak wielkich

jak i małych, udzielili tej samej wskazówki: „Nadszedł czas powrotu do świętej czarnej ziemi Kemit”.

Książę Kratas, będąc w sercu poganinem, a cynikiem z natury, podsunął, że całe kapłaństwo uknuło spisek, by włożyć te słowa w usta patronujących im bogów. Chociaż okazywałem pełne zgorszenia oburzenie wobec takiego bluźnierstwa, po cichu skłonny byłem zgodzić się z tą opinią.

Kapłani są ludźmi miękkimi, przyzwyczajonymi do zbytku i wygod, a przez prawie dwie dekady w dzikiej krainie Kusz prowadziliśmy surowe życie wędrowców i wojowników. Sądzę, że tęsknili za pięknymi Tebami jeszcze bardziej niż moja pani. Może więc to nie bogowie, lecz ludzie udzielili nam rady, by powrócić na północ.

Królowa Lostris zwołała uroczystą radę państwa. Gdy wygłosiła obwieszczenie uznające boskie nakazy, wielmoże i kapłani powstali i wiwatowali jak jeden mąż. Wyrażałem swą radość równie głośno jak wszyscy i tej nocy me sny wypełnione były wizjami Teb oraz obrazami owych odległych dni, gdy Tanus, Lostris i ja byliśmy młodzi i szczęśliwi.

Od śmierci Tanusa nie mieliśmy najwyższego dowódcy naszych armii, więc na tajnych posiedzeniach zbierała się rada wojenna. Oczywiście byłem wyłączony z tego zgromadzenia, lecz moja pani powtarzała mi każde wypowiedziane tam słowo.

Po długiej naradzie dowództwo zaproponowano Kratasowi. Kratas stanął pośród obecnych, posiwiaily

i pokryty bliznami jak stary lew, i wybuchnął swym dudniącym śmiechem, po czym rzekł:

- Jestem żołnierzem. Moją rzeczą jest wykonywać rozkazy, nie je wydawać. Dajcie mi dowództwo Szylluków, a za tym człowiekiem pójdę do granic królestwa śmierci i dalej - obnażył miecz i wskazał nim księcia. - Oto człowiek, za którym pójdę.

Niech żyje Memnon! Oby żył wiecznie.

- Oby żył wiecznie! - zakrzyknęli, a moja pani uśmiechnęła się.

Sami doprowadziliśmy do tej sytuacji.

W wieku lat dwudziestu dwóch księżę Memnon wyniesiony został do rangi Wielkiego Lwa Egiptu i dowódcy wszystkich armii. Natychmiast zaczął przygotowywać Powrót.

Choć miałem zaledwie stopień dowódcy królewskiej kawalerii, należałem do sztabu księcia Memnona. Jeśli natrafiliśmy na jakiś problem logistyczny, zwracał się do mnie z prośbą o jego rozwiązanie.

W dzień powoziłem jego rydwanem z błękitnym proporcem trzepoczącym nad naszymi głowami, gdy dokonywał przeglądu pułków i prowadził je na ćwiczenia.

Wiele nocy przesiedzieliśmy we trójkę nad dzbanem wina, księżę, Kratas i ja, dyskutując o Powrocie. W te noce usługiwała nam księżniczka Masara, napełniając puchary. Potem siadała u stóp Memnona na obitej owczą skórą poduszce i przysłuchiwała się każdemu słowu. Gdy nasze spojrzenia się spotykały, uśmiechała się do mnie.

Główną troską było uniknięcie niebezpiecznego i uciążliwego przekraczania wszystkich katarakt po drodze w dół rzeki. Pokonać je było można jedynie w porze wylewu, co ograniczyłoby okres, w którym moglibyśmy podróżować.

Zaproponowałem, byśmy poniżej piątej katarakty wybudowali drugą flotę złożoną z barek. Dzięki nim moglibyśmy przetransportować armię do miejsca, z którego mieliśmy wyruszyć na pustynię, by przeciąć wielki łuk rzeki. Po ponownym dotarciu do Nilu powyżej pierwszej katarakty zbudowalibyśmy kolejną flotyllę szybkich okrętów wojennych i barek, które zniosłyby nas do Elefantyny.

Byłem pewien, że o ile poprawnie zaplanujemy to w czasie i jeżeli uda się nam przemknąć przez bystrzyny i zaskoczyć hyksoską flotę na kotwiczowisku na redzie Elefantyny, zdołamy zadać przeciwnikowi bolesny cios i zdobyć okręty potrzebne do powiększenia naszych szeregów wojennych. Gdy uzyskamy ten punkt oparcia, będziemy mogli sprowadzić piechotę i rydwany wężozem wzdłuż pierwszej katarakty i stawić Hyksosom czoło na nadrzecznych równinach Egiptu.

Rozpoczęliśmy pierwszy etap Powrotu podczas następnej pory wylewu. W Kebui, stanowiącym naszą stolicę przez tyle lat, pozostawiliśmy jedynie garnizon. Kebui miało przekształcić się w wysuniętą placówkę handlową państwa. Przez ten port przeładunkowy bogactwa Kusz i Etiopii spływać miały na północ do Teb.

Kiedy główne siły floty pożeglowały na północ, Hui i ja wraz z pięciuset koniuchami oraz oddziałem rydwanów pozostaliśmy w tyle, by zaczekać na powrót migrujących gnu. Zjawily się równie nagle jak zwykle, rozległa czarna plamą rozlewając się na złocistych, trawiastych równinach sawanny. Wyruszyliśmy im na spotkanie w naszych rydwanach.

Łowienie tych niezgrabnych bydłał było rzeczą łatwą. Doganialiśmy je i jadąc równolegle do nich, zarzucaliśmy pętle na odrażające łby. Gnu brakowało szybkości i ducha koni. Walczyły z więzami jedynie przez chwilę, wkrótce godząc się z niewolą. W dziesięć dni zagnaliśmy ponad sześć tysięcy zwierząt za wybudowane specjalnie w tym celu ogrodzenia na brzegu Nilu.

Właśnie w zagrodach najbardziej uwidocznił się ich brak wytrzymałości i siły. Padały setkami bez powodu. Obchodziliśmy się z nimi delikatnie i łagodnie. Karmiliśmy je i poiiliśmy jak konie. Miało się wrażenie, że ich wędrowny duch odmawiał zakucia w kajdany i usychały z tęsknoty za wolnością.

Ostatecznie utraciliśmy połowę schwytanych zwierząt, a wiele dalszych padło podczas długiej podróży na północ.

Dwa pełne lata po zarządzeniu Powrotu przez królową Lostris nasz lud zgromadził się na wschodnim brzegu Nilu przy czwartej katarakcie. Przed nami rozciągała się pustynna droga przecinająca po cięciwie wielki łuk rzeki.

Przez cały miniony rok wyruszały stąd karawany wozów. Wszystkie załadowane glinianymi dzbanami wypełnionymi

po brzegi wodą z Nilu, zamkniętymi drewnianymi zatyczkami i gorącą smołą. Co dwie godziny drogi pylistego szlaku urządziliśmy wodopój. W każdym takim miejscu zakopane zostało trzydzieści tysięcy dzbanów z wodą, by uchronić je przed popękaniem i skruszeniem w promieniach rozwścieczonego słońca.

Mieliśmy prawie pięćdziesiąt tysięcy dusz i tyleż zwierząt, wliczając w to moje kurczące się stado pojmanych gnu. Wozy z wodą wyruszały znad rzeki każdego wieczoru. Praca wozowodów nie miała końca.

Czekaliśmy na brzegu na wzejście nowego księżyca, by oświetlił nam drogę przez pustkowie. Chociaż zaplanowaliśmy wymarsz na tę najchłodniejszą porę roku, upał i słońce zabiłyby ludzi i zwierzęta. Zamierzaliśmy podróżować jedynie nocą.

Dwa dni przed rozpoczęciem przeprawy moja pani powiedziała:

- Taito, kiedy ostatni raz spędziliśmy razem dzień, łowiąc ryby na rzece? Przygotuj ościenie i łódkę.

Wiedziałem, że dręczy ją jakaś sprawa wielkiej wagi, coś, co pragnie ze mną omówić. Popłynęliśmy z prądem po zielonej wodzie, aż znalazłem miejsce, by przywiązać łódkę do drzewa na przeciwległym brzegu, gdzie byliśmy poza zasięgiem ciekawskich uszu.

Najpierw rozmawialiśmy o nieuchronnym wkroczeniu na pustynną drogę i o nadziejach związanych z powrotem do Teb.

- Kiedyż znów ujrzę ich lśniące mury, Taito? - westchnęła moja pani, a ja mogłem jedynie odpowiedzieć, że nie mam pojęcia.

- Jeżeli bogowie będą łaskawi, możemy dotrzeć do Elefantyny o tej samej porze podczas następnego wylewu, gdy wezbrane wody Nilu przeniosą statki przez pierwszą kataraktę. Później nasza fortuna wzbierać będzie i opadać jak rzeka, zależnie od niebezpieczeństw i przebiegu wojny.

Jednak nie to było powodem, dla którego wyciągnęła mnie na rzekę. Jej oczy zasnuły się łzami.

- Ile czasu minęło, od kiedy Tanus nas opuścił, Taito? - spytała.

Zdławionym głosem odparłem:

- Wyruszył w drogę ku rajskim polom ponad trzy lata temu, pani.

- A więc o wiele więcej miesięcy upłynęło, od kiedy ostatni raz spoczywałam w jego ramionach.

Zamyśliła się, a ja skinąłem głową. Nie wiedziałem, do czego zmierza.

- Śniłam o nim niemal co noc od tego czasu, Taito. Czy jest możliwe, by powrócił i złożył nasienie w mym łonie, gdy jeszcze spałam?

- Wszystko na świecie jest możliwe - odparłem ostrożnie.

- Powiedzieliśmy ludziom, że tak właśnie poczęte zostały Tehuti i Bekatha. Lecz mówiąc szczerze i z całą powagą, nie słyszałem, by kiedykolwiek się to zdarzyło.

Milczeliśmy przez chwilę, Lostris przeciągnęła ręką po wodzie i uniosła dłoń, przyglądając się skapującym

z końców palców kroplom. Potem, nie patrząc na mnie, odezwała się ponownie.

- Myślę, że będę miała następne dziecko - wyszeptała. - Mój czerwony księżyc osłabł i ustał.

- Pani - odparłem cicho i taktownie - zbliżasz się już do tego wieku, kiedy rzeki twego łona poczynają wysychać.

Nasze egipskie kobiety są niczym pustynne kwiaty, które rozkwitają w mgnieniu oka, lecz więdną równie szybko.

- Nie, Taito - potrząsnęła głową. - To nie to. Czuję rosnące we mnie dziecko.

Spojrzałem na nią bez słów. Ponownie poczułem ocierające się o mnie skrzydła nieszczęścia, które poruszyły powietrze i uniosły mi włosy na przedramionach.

- Nie musisz mnie pytać, czy byłam z innym mężczyzną - tym razem mówiąc, patrzyła mi prosto w oczy. - Wiesz, że nie.

- O tym wiem doskonale. A jednak nie mogę uwierzyć, że zostałeś zapłodniona przez ducha, bez względu na to jak ukochany i mile widziany ten duch mógłby być. Może pragnienie posiadania kolejnego dziecka wpłynęło na twą wyobraźnię.

- Dotknij mego łona, Taito - poleciła. - Jest we mnie żyjąca istota. Rośnie z każdym dniem.

- Uczynię to dziś wieczorem w prywatności twojej kabiny. Nie tu, na rzece, gdzie mogłyby odkryć nas wścibskie oczy.

Moja pani położyła się nago na płóciennych prześcieradłach, ja zaś przyjrzałem się najpierw jej twarzy, potem zaś ciału. Gdy spoglądałem na nią oczyma

mężczyzny, wciąż wydawała mi się piękna, lecz jako medyk wyraźnie widziałem, jak okrutnie odmieniły ją upływające lata i trudy życia w dziczy. Jej włosy były teraz bardziej srebrzyste, żałoba i troski regencji wyrzeźbiły na czole swe ponure posłanie. Starzała się.

To ciało było naczyniem, które obdarowało życiem trzy inne istnienia. Lecz piersi zrobiły się próżne, nie nabrzmiwały mlekiem nowej ciąży. Była chuda. Powinienem zauważyć to wcześniej. Była to nienaturalna chudość, nieomalże wycieńczenie. A jednak jej brzuch nadymał się niczym blada kula z kości słoniowej, stał się nieproporcjonalnie wielki w porównaniu z tymi szczupłymi rękami i nogami.

Lekko złożyłem me dłonie na jej brzuchu, na srebrnych smugach, znaczących miejsca, w których skóra napięła się niegdyś, przyjmując radosny ciężar. Wymacałem to coś w jej wnętrzu i od razu stwierdziłem, że pod moimi palcami nie ma życia. To była śmierć.

Nie potrafiłem znaleźć słów. Odwróciłem się i wyszedłem na pokład, spoglądając na nocne gwiazdy. Były zimne i odległe. Tak jak bogów, nic je nie obchodziło. Zwracanie się do nich – bogów czy gwiazd – nie miało sensu.

Znałem tę rzecz rosnącą w mojej pani. Wyczuwałem ją już w ciałach innych kobiet. Gdy zmarły, otwarłem martwe łona i widziałem to coś, co je zabiło. Było ohydne i zdeformowane, niepodobne niczemu ludzkiemu ani nawet zwierzęcemu. Była to bezkształtna kula czerwonego, dzikiego mięsa. Był to twór Seta.

Upłynęło wiele czasu, zanim zdołałem zgromadzić dość odwagi, by powrócić do kabiny.

Moja pani okryła się szatą. Siedziała na środku łoża, patrząc na mnie swymi ogromnymi, ciemnozielonymi oczami, które nigdy się nie starzały. Wyglądała jak mała dziewczynka, którą niegdyś znałem.

- Pani, dlaczego nie powiedziałaś o bólu? - zapytałem delikatnie.

- Skąd wiesz o bólu? - odszepnęła. - Staralam się to przed tobą ukryć.

Karawana wyruszyła na pustynię. Podróżowaliśmy w świetle księżyca przez srebrne piaski. Czasami moja pani maszerowała u mego boku, a księżniczki dokazywały przy nas, rozchichotane i podniecone przygodą. Kiedy indziej, gdy ból przybierał na sile, jechała na wozie, który wyposażyłem dla jej wygody. Siadywałem wtedy przy niej i trzymałem ją za rękę, dopóki pył dającego sen kwiatu nie dokonywał swego cudu, przynosząc ulgę.

Każdej nocy wędrowaliśmy jedynie do najbliższego wodopoju wzdłuż drogi solidnie ubitej przez poprzedzające nas tysiące pojazdów. Podczas długich dni leżeliśmy pod płótnem wozu, drzemiąc w piekącym upale.

Byliśmy w drodze od trzydziestu dni i nocy, gdy o świcie dostrzegliśmy zadziwiający widok. Na południu, nad piaskami poruszał się łagodnie bezcielesny żagiel. Dopiero po wielu godzinach marszu ujrzeliśmy, w jaki sposób zostaliśmy oszukani.

Kadłub okrętu skrył się za wyniosłością rzeczno-
brzegu, a poniżej wydm Nil odwiecznie toczył swe wody.
Przekroczyliśmy pętlę.

Książę Memnon ze swoim sztabem czekał, by nas
powitać. Flotylla nowych okrętów była już prawie
całkowicie wyekwipowana. Wracając do rzeki, ujrzeliśmy
właśnie żagiel jednego z nich. Każda deska i maszt pocięte
zostały i spiłowane na rozległych równinach Kusz, a potem
przetransportowane przez zamaszystą pętlę Nilu. Wszystkie
rydwany zmontowano tutaj. Hui przegnał konie przez
pustynię, a towarzyszące im wozy przewiozły paszę dla
nich. Nawet moje gnu oczekiwały w zagrodach na brzegu.

Chociaż karawany wozów wyładowanych kobietami
i dziećmi nadal były w drodze, główna część naszego
narodu miała już przeprawę za sobą. Było to
przedsięwzięcie, w które prawie że nie sposób uwierzyć,
dzieło na iście boską miarę. Jedynie ludzie tacy jak Kratas,
Rem-rem i Memnon mogli wykonać je w tak krótkim czasie.

Teraz tylko pierwsza katarakta oddzielała nas od świętej
ziemi Egiptu.

Wyruszyliśmy dalej na północ. Moja pani zeglowała na
pokładzie nowej barki, zbudowanej dla królowej
i księżniczek. Znajdowała się tam przeznaczona specjalnie
dla niej, wielka i przestronna kabina, którą wyposażyłem
we wszystkie dostępne zbytki. Draperie wykonano
z misternie utkanej etiopskiej wełny, meble zbito
z ciemnego drewna akacjowego inkrustowanego kością

słoniową i złotem z Kusz. Ściany ozdobiłem malowidłami kwiatów, ptaków i innych ślicznych rzeczy.

Sypiałem jak zawsze przy łożu mojej pani. Trzy noce po odbiciu od brzegu zbudziłem się w nocy. Lostris cicho płakała. Choć zdławiła szloch poduszką, drżenie jej ramion wyrwało mnie ze snu. Natychmiast do niej podszedłem.

- Ból powrócił? - zapytałem.

- Nie chciałam cię obudzić, ale czuję się tak, jakby ktoś wbił mi miecz w brzuch.

Przyrządziłem porcję nasennego napoju, mocniejszą od tych, które dotąd podawałem. Ból zaczynał brać górę nad kwiatem.

Wypiła wywar i przez chwilę leżała bez ruchu. Potem odezwała się:

- Czy nie możesz wyciąć tego z mego ciała, Taito?

- Nie, pani, nie potrafię.

- W takim razie przytul mnie, Taito. Przytul mnie tak, jak to robiłeś, kiedy byłam małą dziewczynką.

Wszedłem do łóżka i wziąłem ją w ramiona. Utuliłem ją, była chuda i lekka jak dziecko. Kołysałem ją delikatnie i po chwili zasnęła.

Flota dotarła do pierwszej katarakty powyżej Elefantyny. Kołysani powolnym nurtem rzeki niesłyszającej jeszcze zewu kaskad, nawołujących do rzucenia się w głąb wąwozu, przycumowaliśmy do brzegu.

Tam musieliśmy poczekać na resztę spławianej ku nam w dół rzeki armii, na wszystkie konie, rydwany i pogańskie szylluckie pułki księcia Kratasa. Czekaliśmy też na przybór

Nilu, który otworzyć miał nam drogę przez kataraktę do Egiptu.

Czekając, posyłałiśmy przez wąwóz szpiegów. Przebrani byli za chłopów, kapłanów i wiozących swe towary kupców. Ja też zapuściłem się z Kratasem w głąb wąwozu, by sporządzić odpowiednie plany i oznaczyć przejścia. Przy niskim stanie wody wszystkie niebezpieczeństwa były wyraźnie widoczne. Wymalowaliśmy wskazujące kanał znaki na skałach ponad linią wysokiej wody, byśmy mogli poznać, gdzie czyhają przeszkody nawet wówczas, kiedy przykryje je rzeka.

Spędziłiśmy przy tej pracy wiele tygodni, a kiedy powróciliśmy do miejsca, w którym cumowała flota, zgromadzona już tam była cała armia. Posłałiśmy więc oddziały zwiadowcze w poszukiwaniu szlaku, którym można by przeprowadzić rydwany i konie przez skalistą pustynię do Egiptu. Nie mogliśmy zaryzykować powierzenia tak cennego towaru burzliwym wodom katarakty.

Nasi szpiedzy zaczęli powracać z Elefantyny. Przybywali potajemnie, pojedynczo, zazwyczaj nocą. Przynosili pierwsze wieści z ojczyzny, jakie dotarły do nas przez wszystkie lata tułaczki.

Król Salitis nadal zasiadał na tronie, lecz był już stary, a jego broda przybrała srebrnobiałą barwę. Jego dwaj synowie byli dowódcami hyksoskich armii. Książę Beon dowodził piechotą, a książę Apachan stał na czele rydwanów.

Potęga Hyksosów przewyższała wszystkie nasze szacunki. Szpiedzy donosili, że Apachan ma do dyspozycji dwanaście tysięcy rydwanów. My przywieźliśmy z Kusz cztery tysiące. Beon miał czterdzieści tysięcy łuczników i piechoty. Nawet wzięwszy pod uwagę Szylluków Kratasa, mogliśmy zgromadzić tylko piętnaście tysięcy. Przeciwnik miał nad nami przygniatającą przewagę liczebną.

Nadchodziły też i pomyślne wiadomości. Główna masa hyksoskich wojsk stacjonowała w Delcie, a Salitis swoją stolicą uczynił miasto Memfis. Przesunięcie sił na południe, w stronę Elefantyny i Teb, musiało zająć mu kilka miesięcy. Nie mógł też skierować rydwanów w górę rzeki, dopóki powódź nie ustąpi, a ziemia nie przeschnie. Elefantyny strzegł zaledwie pojedynczy oddział rydwanów, sto pojazdów stojących na przeszkodzie naszemu wejściu do miasta. Wszystkie były starego typu - o pełnych kołach. Najwidoczniej Hyksosi nie zastosowali jeszcze koła szprychowego.

Księżę Memnon przedstawił nam swój plan bitwy. Mieliśmy przedostać się przez kataraktę na fali powodzi i zająć Elefantynę. Następnie, gdy Salitis skieruje się na południe, by stawić nam czoło, mieliśmy pomaszerować do Teb, po drodze podrywając ludność do powstania.

Mogliśmy się spodziewać tego, że gdy tylko opadną wody Nilu, Salitis wyda nam bitwę całą swą armią na nadrzecznych równinach pod Tebami. Mieliśmy nadzieję, że do tego czasu różnica w liczebności obu armii zostanie

częściowo zmniejszona przez egipskie oddziały, które zbiec się powinny pod nasz sztandar.

Od szpiegów dowiedzieliśmy się, że Hyksosi nie podejrzewali obecności naszej armii tak blisko granicy i że pierwsze uderzenie powinno ich zaskoczyć. Uzyskaliśmy też informacje, że Salitis żył na modłę egipską. Obecnie mieszkał w naszych pałacach i czcił naszych bogów. Nawet jego stary Sutekh zmienił się w Setha i, absolutnie prawidłowo, nadal pozostawał jego głównym bogiem.

Choć wszyscy wyżsi dowódcy byli Hyksosami, wielu oficerów i podoficerów Salitisa rekrutowało się spośród Egipcjan, a połowa prostych żołnierzy pochodziła z naszego ludu. W czasie wędrówki większość z nich była niemowlętami albo jeszcze się nie narodziła. Zastanawialiśmy się, wobec kogo okażą się lojalni, gdy książę Memnon powiedzie armię do Egiptu.

Wszystko było gotowe. Zwiadowcy wyznaczyli drogę przez pustynię na zachodnim brzegu, a wozy rozmieściły składy paszy i dzbanów z wodą na całej jej długości w ilości wystarczającej, by rydwany zdołały dotrzeć do żyznych równin Egiptu. Okręty zostały w pełni obsadzone i przygotowane do boju. Mogliśmy podnieść żagle natychmiast, gdy rozpocznie się wylew Nilu, lecz do odprawienia pozostawał jeszcze jeden, ostatni rytuał.

Wspięliśmy się na nadrzeczne urwisko tam, gdzie nadal stał wzniesiony przez moją panią przed ponad dwiema dekadami obelisk, wysoki i elegancki kamienny palec, wskazujący na bezchmurny błękit afrykańskiego nieba.

Moja pani była zbyt słaba, by wspiąć się dziką ścieżką na szczyt. Dziesięciu niewolników zaniósł ją tam w lektyce i wysadziło u stóp wyniosłego pomnika. Boleśnie powoli podeszła do kolumny wsparta na ramieniu księcia Memnona i spojrzała na inskrypcję wykutą w granicie. Obserwował ją cały nasz naród, wszystkie dusze, które pokonały drogę wiodącą z powrotem do punktu, z którego wyruszyliśmy tak dawno temu.

Moja pani odczytała inskrypcję. Jej głos był słaby, lecz wciąż tak melodyjny, że bez trudu niósł się do miejsca, w którym stałem za plecami wspaniałych książąt i generałów.

- „Ja, Królowa Lostris, Regentka Egiptu i wdowa po Faraonie Mamose, ósmym tego imienia, matka następcy tronu, księcia Memnona, który włączyć będzie po mnie dwoma królestwami, rozkazałam wznieść ten pomnik...”.

Kiedy skończyła, odwróciła się twarzą do ludu i rozpostarła ramiona.

- Uczyniłam to, czego ode mnie wymagano - oznajmiła, a jej głos odzyskał swą dawną siłę. - Przywiodłam was na powrót do granic waszego kraju. Moje zadanie jest skończone i zrzekam się regencji - przerwała i na moment jej oczy zetknęły się z moimi ponad głowami arystokratów. Skinąłem lekko głową na znak zachęty, więc odezwała się ponownie. - Obywatele Egiptu, jest rzeczą właściwą, byście mieli prawdziwego faraona, który powiedzie was, gdy stawiać będziecie ostatnie kroki na drodze do domu. Daję

wam boskiego faraona Tamose, który był niegdyś następcą tronu, księciem Memnonem. Oby żył wiecznie!

- Oby żył wiecznie! - ryknął naród jednym głosem. - Oby żył wiecznie!

Faraon Tamose postąpił kilka kroków i stanął przed swym ludem.

- Oby żył wiecznie! - zakrzyknęli po raz trzeci zgromadzeni, a nasz nowy władca wyciągnął błękitny miecz z uklejnoczonej pochwy i uniósł go w salucie.

W ciszy, jaka nastąpiła, jego dźwięczny głos odbił się echem od posępnych, czerwonych skał wzgórz.

- Przyjmuję tę świętą odpowiedzialność. Przysięgam na nadzieję wiecznego życia, że przez wszystkie me dni służyć będę memu ludowi i memu krajowi. Nie uchylę się przed tym obowiązkiem i przywołuję bogów na świadków mej przysięgi.

Nadeszła powódź. Wody podniosły się do skał strzegących wejścia do wąwozu, ich kolor przeszedł z zieleni w szarość. Katarakta zaczęła pomrukiwać niczym bestia w swym legowisku, chmura kropelek wody uniosła się w niebo i sięgnęła szczytów wzniesień obejmujących Nil z obu stron.

Wszedłem na pokład prowadzącego okrętu wraz z księciem Kratasem i faraonem. Zdjęliśmy cumy i odbiliśmy od brzegu. Wioślarze na ławkach rozebrani byli do przepasek biodrowych, z zadartymi głowami obserwowali Kratasa, stojącego wysoko na rufie i zaciskającego w niedźwiedzich łapskach wiosło sterowe.

Na dziobie pod dowództwem króla dwie grupy żeglarzy czekały w gotowości z ciężkimi wiosłami, żeby w razie potrzeby odpychać okręt od przeszkód. Stałem obok Kratasa, rozłożywszy przed sobą na pokładzie mapę bystrzyn, by oznajmiać mu krzykiem, kiedy należy skręcić, a kiedy wykonać zwrot, aby ominąć bariery, gdy już się do nich zbliżymy. Tak naprawdę nie potrzebowałem mapy, gdyż nauczyłem się na pamięć każdej narysowanej na niej linii. Ponadto rozstawiłem zaufanych ludzi na obu brzegach wąwozu i na wyspach w głównym nurcie przed nami. Mieli używać flag sygnalizacyjnych i w ten sposób wskazywać nam drogę.

Gdy nurt stał się bardziej wartki, rzuciłem za siebie ostatnie spojrzenie i dostrzegłem resztę flotyli ustawiającą się w szyku torowym za nami, by podążyć naszym śladem przez kataraktę. Potem na powrót spojrzałem do przodu i poczułem na wnętrzościach zaciskającą się pięść strachu, tak że musiałem mocno zewrzeć pośladki. Przed nami wąwóz dymił niczym wylot kowalskiego pieca.

Nabieraliśmy szybkości ze złudną ukradkowością. Wioślarze lekko muskali powierzchnię wody piórami wiosł, na tyle tylko, by utrzymywać dziób skierowany zgodnie z nurtem. Płynęliśmy tak lekko i spokojnie, jakbyśmy dryfowali. Dopiero gdy spojrzałem na brzegi i ujrzałem, że błyskawicznie przesuwały się obok nas, pojąłem, jak szybko się poruszaliśmy. Skalne portale wąwozu wyskoczyły nam na spotkanie. Ale dopiero kiedy dostrzegłem grymas na surowej twarzy Kratasa, uświadomiłem sobie pełnię

niebezpieczeństwa wiążącego się z tym, czego zamierzaliśmy dokonać. Kratas szczerzył się w ten sposób tylko wówczas, gdy widział śmierć kiwającą na niego zakrzywionym, kościstym palcem.

- Dalej, dranie! - ryknął na załogę. - Dziś wbiję wasze matki w dumę albo znajdę zatrudnienie dla balsamiarzy.

Rzekę rozdzieliły trzy wyspy, toteż kanał się zwęził.

- Ster na lewą burzę, kierunek błękitny krzyż!

Starąłem się, by zabrzmiało to beztrąsko, lecz w tejże chwili poczułem, jak pokład przechyla się pode mną i złapałem się za poręcz.

Pomknęliśmy rynną zielonej wody, dziób tańczył szaleńczo. Pomyślałem, że straciliśmy już kontrolę nad okrętem, i czekałem tylko na zgrzyt drewna na skale, na rozprysnięcie się pokładu pod stopami. Wtedy dostrzegłem, że dziób nieruchomieje, kierując się wprost na błękitny krzyż namalowany na skalnej ścianie.

- Ostro na sterburtę, kiedy zrównamy się z flagą! - kwiknąłem.

Udało mi się na środkowej wysepce dostrzec człowieka flagą wprowadzającego nas w zakręt, a Kratas przełożył ster i wrzasnął w stronę ławek:

- Prawa burta wstecz, lewa ciągnąć razem!

Gdy położyliśmy się w skręt, pokład przechylił się ostro.

Obok przemknęła skalna ściana, a poruszaliśmy się z prędkością galopującego konia. Jeszcze jeden zakręt i przed nami pojawiły się pierwsze bystrzyny. Na drodze wyrósł czarny głaz, woda piętrzyła się wokół niego,

wyznaczając obszar skrytych pod jej powierzchnią skał. Wydymała się i formowała wysokie, statyczne fale. Rzucała się w dół gładkimi, zielonymi żlebami. Kłębiła się w miejscu i eksplodowała ścianami bieli, zza których czarnymi kłami warczały na nas kamienie. Żołądek ścisnął mi się w twardą kulę, gdy przeskoczyliśmy przez krawędź i zanurkowaliśmy w dół zbocza. U jego stóp zachwialiśmy się i zawirowaliśmy niczym źdźbło zeschniętej trawy porwane trąbą powietrzną.

- Ciągnąć w lewo! - zaryczał Kratas. - Ciągnąć, dopóki nie zaczną wam podskakiwać jaja!

Wyrównaliśmy i skierowaliśmy się w stronę następnej przerwy w skałach, a spieniona woda prysnęła na pokład i w oczy. Syczała za burtą, pędząc wraz z nami, fale wznosiły się ponad poziom rufówki.

- Na postrzępiony i zaropiały napletek Setha, nie miałem tyle uciechy, od kiedy pokryłem moją pierwszą owieczkę! - roześmiał się Kratas, a skała skoczyła nam na spotkanie niczym szarżujący słoń.

Raz się z nią zetknęliśmy - zazgrzytała po dnie okrętu. Pokład zadygotał pod stopami, byłem zanadto przerażony, by krzyczeć. Wtedy zespół ludzi Memnona odepchnął nas na wolną przestrzeń i pomknęliśmy dalej.

Za nami rozległ się przejmujący trzask - to któryś okręt uderzył ciężko w kamienie. Nie ośmieliłem się spojrzeć w tył, oceniałem wzrokiem następny skręt, lecz wkrótce woda po obu stronach okrętu pokryła się szczątkami rozbitego statku i wirującymi i podskakującymi z nurtem głowami tonących. Wrzeszczeli do nas, a woda znosiła ich

w dół i roztrzaskiwała na skalnych ostrogach, ale nie mogliśmy udzielić im żadnej pomocy. Śmierć deptała nam po piętach i gnaliśmy, czując jej smród w nozdrzach.

W trakcie tej godziny przeżyłem sto żywotów, umierając w każdym z nich. Lecz w końcu wyrzuciło nas z wylotu katarakty w główny nurt rzeki. Z dwudziestu trzech okrętów, jakie weszły do wąwozu, osiemnaście wypłynęło w ślad za nami. Pozostałe zostały rozbite w drzazgi, a ciała potopionych załóg spłynęły do nas na szarych wezbranych wodach Nilu.

Nie mieliśmy czasu, by świętować wybawienie. Wprost przed nami widniała wyspa Elefantyna, a na obu brzegach rzeki wznosiły się dobrze pamiętane mury i budynki miasta.

- Strzelcy, napiąć łuki! - zakrzyknął faraon Tamose z dziobu.

- Wywiesić błękitny proporzec. Dobosz, zwiększyć rytm do prędkości bojowej!

Nasza maleńka flotylla wpłynęła pomiędzy stłoczoną masę statków wypełniającą redy Elefantyny. Większą jej część stanowiły barki handlowe i transportowe. Minęliśmy je, kierując się w stronę hyksoskiej floty. Hyksosi obsadzali swe okręty bojowe egipskimi marynarzami, jako że nikt nie znał lepiej rzeki. Tylko oficerowie byli Hyksosami. Większość z nich przebywała na brzegu i hulała w przybytkach rozkoszy.

Szpiedzy donieśli nam, jak wyglądała flaga południowego admirała - szkarłatno-złoty jaskółczy ogon, tak długi, że jego koniec zanurzał się w wodę. Zwróciliśmy się w stronę

okrętu, nad którym powiewała, a Memnon wdarł się przez burtę na jego pokład z dwudziestoma ludźmi.

- Wyzwolenie od hyksoskiego tyrana! - zakrzyknęli.

- Powstańcie do boju o Egipt!

Załoga wlepiła w nich zdumione spojrzenia. Była kompletnie zaskoczona, większość ludzi nie miała przy sobie broni. Ich uzbrojenie zamknięte było pod pokładem, jako że hyksoscy oficerowie ani trochę im nie ufali.

Pozostałe łodzie z naszego oddziału obrały za swój cel poszczególne okręty nieprzyjaciela i ludzie równie zręcznie weszli na pokłady. Na wszystkich reakcja załogi była identyczna. Po pierwszym zaskoczeniu rozlegało się pytanie:

- Kim jesteście?

- Egipcjanami! Armią prawdziwego faraona Tamose. Przyłączcie się do nas, rodacy! Obalcie tyrana! - brzmiała odpowiedź.

Marynarze zwracali się przeciw swym hyksoskim oficerom i wyrzynali ich, zanim mieliśmy okazję ich dopaść. Potem rzucali się naszym ludziom w objęcia, wznosząc powitalne okrzyki.

- Za Egipt! - wrzeszczeli. - Za Tamose! Za Egipt i Tamose!

Radość i zapał przenosiły się z okrętu na okręt. Ludzie tańczyli na balustradach i tłumnie wspinali się na maszty, zdierali hyksoskie bandery. Rozbijali arsenały, rozdawali łuki i miecze.

Potem wylegli na brzeg. Wywlekli Hyksosów z tawern i porąbali ich na skrwawione kawałki, tak że z rynsztoków wylewały się szkarłatne strumienie w wody portu. Przemknęli ulicami do baraków wojskowych i runęli na wartowników.

- Za Egipt i Tamose! - wykrzykiwali chórem.

Paru hyksoskich oficerów zebralo ludzi i przez jakiś czas stawialo opór w odizolowanych grupkach otoczonych przez motłoch. Wtedy Kratas i Memnon zeszli na brzeg ze swymi weteranami i w ciągu dwóch godzin miasto było nasze.

Większość hyksoskich rydwanów stała porzucona w szyku bojowym, lecz połowa formacji wymknęła się przez wschodnią bramę i pogalopowała przecinającą zalane wodą pola groblą w kierunku suchego terenu.

Opuściłem okręt i pospieszyłem bocznymi alejkami, które tak dobrze znałem, na północną wieżę w murach miejskich. Wiedziałem, że stamtąd będę mieć najlepszy widok na miasto i jego okolicę. Z goryczą przyglądałem się uciekającemu oddziałowi rydwanów. Z każdym, który się teraz wymknął, później będzie trzeba walczyć, a ponadto potrzebowałem koni. Miałem właśnie odwrócić się i spojrzeć, co dzieje się w mieście, gdy ujrzałem niewielki słup pyłu wzbijający się w powietrze u podnóży dzikich, południowych wzgórz.

Ośloniłem oczy dłonią i przyjrzałem mu się uważnie. Poczułem narastające podniecenie. Kurz zbliżał się szybko w naszą stronę, mogłem już rozpoznać skryte za nim ciemne kształty.

- Na Horusa, to Rem-rem! - wyszeptałem z zachwytem.

Stary wojownik przeprowadził pierwszą dywizję rydwanów przez trudny górzysty teren szybciej, niż wydawało się to możliwe. Minęły zaledwie dwa dni, od kiedy się rozstaliśmy.

Z zawodową dumą przypatrywałem się pierwszej dywizji rozjeżdżającej się z kolumny czwórkowej w szyk czołowy. Hui i ja dobrze ich wyszkoliliśmy. Manewr wykonany został precyzyjnie i Rem-rem zachodził teraz wroga z flanki. Połowa hyksoskich pojazdów wciąż znajdowała się na grobli. Odniosłem wrażenie, że ich dowódca nie zdawał sobie nawet sprawy, że zwarte oddziały pędzą na jego odsłoniętą flankę. Myślę, że cały czas przez ramię spoglądał za siebie. W ostatniej chwili spróbował zwrotu do szyku czołowego, by zewrzeć się z szarżującym Rem-remem, lecz było już o wiele za późno. Uczyniłby rozsądniej, zawracając i szukając szczęścia w ucieczce.

Rydwany Rem-rema przetoczyły się falą przez Hyksosów, zmiotły ich niczym śmieci niesione prądem Nilu. Przyglądałem się temu, dopóki nie byłem pewien, że Rem-rem wyłapał większość hyksoskich koni. Dopiero wówczas odetchnąłem z ulgą i spojrzałem w stronę miasta.

Ludność oszalała, pijana była radością wyzwolenia. Wszyscy tańczyli na ulicach, wymachując pierwszymi lepszymi kawałkami błękitnego płótna, jakie były pod ręką. Błękit był kolorem faraona Tamose. Kobiety wplatały błękitne wstążki we włosy, mężczyźni zakładali błękitne szarfy wokół bioder i błękitne opaski na ramiona.

Wciąż trwały pojedyncze starcia, lecz stopniowo Hyksosi zostali wybici albo też wywleczeni z budowli, których próbowali bronić. Jeden z budynków w koszarach, w którym znajdowało się jeszcze kilkuset mężczyzn, oddany został na pastwę płomieni. Słyszałem wrzaski płonących ludzi i wkrótce nadpłynął swąd palonego ciała. Pachniało jak pieczona wieprzowina.

Oczywiście dochodziło do plądrowania, niektórzy z rozradowanych obywateli wdarli się do tawern i sklepów z winem, wynosząc dzbany na ulice. Gdy któryś pękł, rzucili się na kolana, chlepcząc wino z rynsztoka niczym świnię.

W dole ujrzałem trzech mężczyzn ścigających aleją dziewczynę. Gdy swą ofiarę dopadli, obalili ją i zdarli z niej spódniczkę. Dwaj unieruchomili jej kończyny i trzymali rozwarte nogi, a trzeci wspiął się na nią. Nie przyglądałem się temu, co działo się dalej.

Gdy tylko Memnon i Kratas zdławili ostatnie ogniska hyksoskiego oporu, zabrali się do przywracania porządku w mieście. Oddziały żołnierzy przemierzały truchtem ulice, używając tępych końców włóczni jako pałek, by wbić nieco rozsądku do łbów pijanego i oszalałego tłumu.

Memnon rozkazał udusić na miejscu paru ludzi złapanych na gwałcie i łupieniu sklepów, a ich ciała wywieszono za pięty na bramach miasta. O zmierzchu w Elefantynie zapanował spokój, przyzwoici mieszkańcy znów mogli bezpiecznie chodzić po ulicach.

Memnon urządził sobie kwaterę główną w pałacu faraona Mamose, w budowli, która była niegdyś naszym domem na

wyspie. Gdy tylko zszedłem na brzeg, pospieszyłem do naszych dawnych apartamentów w haremie.

Wciąż były luksusowo wyposażone i ocalały przed grabieżą. Ktokolwiek je zajmował, potraktował me freski z szacunkiem, na jaki zasługiwały. Ogród wodny imponował obfitością uroczych roślin, stawy wypełnione były rybami i lotosami. Egipski ogrodnik powiedział mi, że hyksoski dowódca garnizonu, który tu mieszkał, podziwiał nasz egipski styl życia i starał się go wiernie naśladować. Byłem mu za to wdzięczny.

W parę dni przywróciłem pokoje i ogród do stanu, w którym ponownie nadawały się na przyjęcie mojej pani. Wtedy udałem się do Memnona, by prosić o pozwolenie na sprowadzenie królowej do domu.

Pochłonięty był problemami związanymi z uchwyceniem królestwa silną dłonią. Dziesięć tysięcy spraw wymagało jego uwagi, lecz na chwilę odłożył je na bok i wziął mnie w ramiona.

- Wszystko idzie po naszej myśli, Tata.

- Radosny powrót, Wasza Wysokość - odparłem - lecz tak wiele pozostaje jeszcze do zrobienia.

- Jest moją królewską wolą, byś nadal zwracał się do mnie Mem, kiedy jesteśmy sami, tak jak teraz - uśmiechnął się. - Ale masz rację, jest wiele do zrobienia, a pozostaje mało czasu. Potem Salitis i cała jego armia wymaszerują z Delt, by stawić nam czoło. Wygraliśmy pierwszą drobną utarczkę. Wielkie bitwy wciąż są przed nami.

- Jest pewna powinność, która sprawiłaby mi wielką radość, Mem. Przygotowałem apartamenty dla królowej matki. Czy mogę udać się w górę rzeki i przywieźć ją do domu, do Elefantyny? Już zbyt długo czeka, by postawić stopę na egipskiej ziemi.

- Wyrusz natychmiast, Tata - polecił - i sprowadź też królową Masarę.

Rzeka była zanadto wezbrana, a droga przez pustynię zbyt uciążliwa. Stu niewolników przeniosło lektyki obu królowych wzdłuż brzegu Nilu, przez wąwóz na skraj naszej zielonej doliny.

Nie było całkowitym zbiegiem okoliczności to, że pierwszym budynkiem, jaki napotkaliśmy po przekroczeniu granicy, okazała się mała świątynia. Tak zaplanowałem trasę wędrówki, by przywiodła nas w to miejsce.

- Co to za świątynia, Taito? - moja pani odsunęła zasłonę lektyki.

- To świątynia boga Akh-Horusa, pani. Czy życzysz sobie pomodlić się tutaj?

- Dziękuję ci - wyszeptała.

Wiedziała, co uczyniłem. Pomogłem jej wsiąść, a ona wsparła się ciężko na mnie, potem weszliśmy w chłodny półmrok kamiennej budowli.

Modliliśmy się razem i byłem pewien, że Tanus przysłuchiwał się głosom dwojga ludzi, którzy kochali go najbardziej ze wszystkich żyjących. Zanim wyruszyliśmy w dalszą drogę, moja pani poleciła mi przekazać kapłanom

całe złoto, jakie ze sobą mieliśmy, i przyrzekła przysłać jeszcze więcej na utrzymanie i upiększenie świątyni.

Gdy dotarliśmy do Elefantyny, była wyczerpana. Z każdym dniem ta rzecz w jej łonie powiększała się, żerując na niszczącym ciele. Złożyłem ją na posłaniu pod altaną w ogrodzie wodnym, a ona przymknęła oczy i odpoczywała przez chwilę. Potem ponownie uniosła powieki i uśmiechnęła się do mnie łagodnie.

- Byliśmy tu kiedyś szczęśliwi, lecz czy ujrzę jeszcze Teby, zanim umrę?

Nie potrafiłem odpowiedzieć. Bezsensem byłoby składanie obietnic, których dotrzymanie nie ode mnie zależało.

- Jeżeli umrę wcześniej, czy obiecasz, że zabierzesz mnie tam i zbudujesz mi grobowiec na wzgórzach tak, bym mogła spoglądać na moje piękne miasto?

- To obiecuję ci z całego serca - odparłem.

W następnych dniach odtworzyliśmy z Atonem naszą starą pajęczą sieć szpiegów i informatorów oplatając Górne Królestwo. Wielu z tych, którzy niegdyś dla nas pracowali, od dawna nie żyło, lecz wielu pozostało przy życiu. Nęcąc złotem i przypominając o powinnościach wobec kraju, zwerbowali nowych, młodszych szpiegów we wszystkich miastach i wioskach.

Wkrótce mieliśmy szpiegów w pałacu hyksoskiego namiestnika w Tebach i w miejscach tak daleko wysuniętych na północ jak Delta w Dolnym Królestwie. Przez nich dowiedzieliśmy się, które hyksoskie pułki

zakwaterowane były w poszczególnych miastach, a które znajdowały się w drodze. Poznaliśmy ich siłę oraz imiona i słabostki dowódców. Dysponowaliśmy dokładną liczbą ich okrętów i rydwanów, a gdy powodziowe wody Nilu opadły, byliśmy w stanie śledzić przemieszczające się na południe olbrzymie masy ludzi i machin wojennych, gdy król Salitis wymaszerował ku Tebom.

Przemyciałem sekretne posłania w imieniu faraona Tamose do Egipcjan w nieprzyjacielskich oddziałach, zachęcając ich do buntu. Uciekinierzy zaczęli przesączać się przez nasze linie, przynosząc ze sobą jeszcze więcej cennych informacji. Wkrótce strumyk dezertarów z hyksoskich armii zamienił się w powódź. Dwa pełne pułki łuczników przemaszerowały pod bronią z powiewającą nad ich głowami błękitną chorągwią, wykrzykując „Egipt i Tamose!”.

Załogi setki wojennych jednostek zbuntowały się i wycięły swych hyksoskich oficerów. Gdy nadpłynęły w górę rzeki, by się do nas przyłączyć, gnały przed sobą flotę barek zdobytych w tebańskim porcie. Te wyładowane były ziarnem, oliwą, solą, płótnem i drewnem - paliwem dla maszyny wojennej.

Do tego czasu nasze siły w całości pokonały już kataraktę i rozmieściły się wokół miasta. Wyjątek stanowiło moje małe stadko oswojonych gnu, które zostawiłem na samym koniec. Ze stanowiska na północnej wieży widziałem rzędy koni ciągnące się daleko wzdłuż obu brzegów, a dym

z ognisk pułkowych obozowisk napełniał powietrze błękitem.

Z każdym dniem rośliśmy w siłę, cały Egipt ogarniała gorączka podniecenia i oczekiwania. Uderzający do głów zapach wolności przesycił każdy nabierany oddech. *Kemit* był narodem przeżywającym powtórne narodziny. Ludzie śpiewali patriotyczne hymny na ulicach i w tawernach, dziwki i sprzedawcy wina obrastali tłuszczem.

Aton i ja ślęczeliśmy nad mapami i tajnymi posłaniami, więc widzieliśmy wyłaniający się z nieładu odmienny obraz. Dostrzegaliśmy, że hyksoski gigant otrząsa się ze snu i wyciąga w naszą stronę okutą metalem pięść. Z Memfis, ze wszystkich miast i miasteczek Deltę maszerowały pułki króla Salitisa. Wszystkie drogi zatłoczone były rydwanami, a rzeka niosła jego flotę. Wszystko to kierowało się na południe, w stronę Teb.

Odczekałem, dopóki się nie dowiedziałem, że książę Apachan, dowódca hyksoskich rydwanów, dotarł do Teb i rozłożył się obozem poza murami miasta wraz ze wszystkimi swymi pojazdami i końmi. Wtedy stanąłem przed radą wojenną faraona Tamose.

- Wasza Wysokość, przybywam, by donieść, że przeciwnik dysponuje teraz stoma dwudziestoma tysiącami koni i dwunastoma tysiącami rydwanów zgromadzonymi w Tebach. W ciągu dwóch miesięcy Nil opadnie na tyle, że Apachan będzie mógł rozpocząć ostateczne natarcie.

Nawet Kratas spoważniał.

- Bywaliśmy już w gorszej sytuacji... - zaczął, lecz król przerwał mu w pół słowa.

- Z jego twarzy czytam, że dowódca królewskiej kawalerii ma nam więcej do powiedzenia. Mam rację, Taito?

- Faraon ma zawsze rację - zgodziłem się. - Błagam o zezwolenie na sprowadzenie znad katarakty moich gnu.

- Na łysą czaszkę Setha - zaśmiał się Kratas. - Taito, czy zamierzasz wyjechać w pole przeciw Hyksosom na grzbiecie jednego z tych twoich błazeńskich bydła?

Zawtórowałem mu uprzejmie. Jego poczucie humoru było równie subtelne jak dzikich Szylluków, którymi dowodził.

Następnego ranka wyruszyliśmy z Huim w górę rzeki, by sprowadzić do obozu gnu. Z pierwotnych sześciu tysięcy owych nędznych stworzeń pozostało przy życiu już tylko trzysta, lecz te były całkiem oswojone i można było karmić je z ręki. Przegnaliśmy je powolnym tempem, tak by jeszcze bardziej ich nie osłabiać.

Konie, które Rem-rem schwytał podczas pierwszej, krótkiej bitwy z umykającymi hyksoskimi rydwanami, na mój rozkaz przetrzymywano z dala od koni, które przywieźliśmy ze sobą z Kusz. Hui i ja spędziliśmy gnu na ich pastwisko i mimo wstępnej nieufności zwierzęta spokojnie pasły się razem. Tej nocy zamknęliśmy gnu i hyksoskie konie w tej samej zagrodzie. Pozostawiłem Huiego, by je obserwował, sam zaś powróciłem do pałacu na wyspie Elefantynie.

Przyznam się teraz do wielkiej niepewności i troski, jaką przeżywałem podczas następnych kilku dni. Tak wiele

nadziei pokładałem w powodzeniu tego pomysłu, opierającego się ostatecznie na naturalnym wydarzeniu, którego istoty w pełni nie pojmowałem. Gdyby zawiódł, stanęlibyśmy w obliczu pełnej furii przeciwnika, który liczebnie przewyższał nas co najmniej czterokrotnie.

Pracowałem z Atonem do późna i zasnąłem nad zwojami w pałacowej bibliotece. Ze snu wyrwały mnie czyjeś nieokrzesane łapy, a Hui wykrzyczał mi wprost do ucha:

- Dalej, stary leniwy draniu! Obudź się! Mam coś dla ciebie.

Jego konie czekały na nas na nabrzeżu. Pospieszyliśmy do nich, gdy tylko łódź wysadziła nas na brzeg, i wskoczyliśmy w siodła. Galopowaliśmy w świetle księżyca przez całą drogę wzdłuż brzegu rzeki i dotarliśmy do koni na ociekających pianą wierzchowcach. Koniuchowie zapalili lampy i pracowali w zagrodzie przy ich migotliwym, żółtym świetle.

Siedem hyksoskich koni spoczywało już na ziemi, gęsta żółta ropa sączyła się z pysków i nozdrzy. Koniuchowie nacinali tchawice i wpychali w szpary puste trzciny, by uchronić je przez zadławieniem i uduszeniem.

- Podziałało! - krzyknął Hui, chwytając mnie w szorstki uścisk i obtańcowując dookoła. - Żółty dusiciel! Podziałało! Podziałało!

- To ja to wymyśliłem, nieprawdaż? - przypomniałem mu z całą godnością, na jaką pozwalały mi jego wybryki. - Oczywiście, że podziałało.

Przez wszystkie te tygodnie barki cumowały przy brzegu w oczekiwaniu na ten dzień. Natychmiast załadowaliśmy konie, wszystkie, które były jeszcze w stanie utrzymać się na nogach. Gnu pozostawiliśmy w zagrodzie. Tam, dokąd wyruszaliśmy, ich obecność byłaby zbyt trudna do wyjaśnienia.

Podając hol z poszczególnych barek na zdobyczne hyksoskie okręty, wypłynęliśmy na wiosłach w nurt rzeki i zwróciliśmy się na północ. Gnani wiatrem i prądem, nabraliśmy dobrej szybkości, pędząc w stronę Teb, by dostarczyć nasz podarunek księciu Apachanowi.

Zaraz po minięciu Kom Ombo opuściliśmy błękitną flagę i wciągnęliśmy na maszt zdobyczne hyksoskie bandery. Większość załóg holujących barki okrętów urodziła się pod hyksoskim panowaniem, część była mieszanego pochodzenia i posługiwała się płynnie obcym językiem.

Dwie noce na północ od Kom Ombo okrzyknięci zostaliśmy z pokładu hyksoskiego okrętu. Wrogi okręt ustawił się równolegle do nas i posłał na nasz pokład grupę, która miała obejrzeć i sprawdzić ładunek.

- Konie dla rydwanów księcia Apachana - oznajmił im nasz kapitan.

Jego ojciec był Hyksosem, lecz matka pochodziła z egipskiej arystokracji. Zachowywał się naturalnie i wyglądał wiarygodnie. Po pobieżnej kontroli zostaliśmy przepuszczeni. Zanim dotarliśmy do Teb, zatrzymano nas jeszcze dwukrotnie, za każdym razem wchodząc na pokład,

ale w obu przypadkach kapitan zdołał oszukać hyksoskich oficerów dokonujących inspekcji.

Głównym przedmiotem mojej troski była w owym czasie kondycja koni. Mimo naszych najlepszych starań zaczynały zdychać, a połowa z tych, które pozostawały przy życiu, znalazła się w żalosnym stanie. Wyrzucaliśmy padła za burtę i pędziliśmy na północ tak szybko, jak tylko byliśmy w stanie.

Według mego pierwotnego planu mieliśmy sprzedać zwierzęta hyksoskiemu kwatermistrzowi w tebańskim porcie, lecz nikt znajdujący się na koniach nie spojrzałby nawet na to nędzne stado. Postanowiliśmy z Huim postąpić inaczej.

Tak wymierzyliśmy w czasie ostatni etap naszej podróży, by dotrzeć do Teb o zachodzie słońca. Serce mnie bolało, gdy rozpoznawałem wszystkie znajome, charakterystyczne widoki. Mury cytadeli lśniły różowo w ostatnich promieniach słońca. Trzy eleganckie wieże, trafnie nazywane Palcami Horusa, które wybudowałem dla księcia Intefa, nadal strzelały dumnie w niebo.

Na zachodnim brzegu pałac Memnona, którego nie zdążyłem ukończyć, został przebudowany przez Hyksosów. Musiałem przyznać, że azjatyckie wpływy stanowiły przyjemny widok.

W takim oświetleniu wieżyczki i strażnice nabierały tajemniczego i egzotycznego kolorytu. Żałowałem, że moja pani nie mogła dzielić wraz ze mną tej chwili powrotu do

domu. Oboje tęskniliśmy za nią przez ponad połowę jej życia.

W gasnącym świetle zdołaliśmy dostrzec rozległe, znajdujące się poza miejskimi murami zgromadzenie ludzi, koni, rydwanów i wozów. Chociaż otrzymałem dokładne raporty, nie potrafiłem sobie wyobrazić jego rozmiaru. Upadłem na duchu i wspomniałem waleczną, lecz nieliczną armię, którą zostawiłem pod Elefantyną.

Wiedziałem, że potrzebować będziemy wszelkiej boskiej przychylności oraz więcej niż odrobiny szczęścia, by zatriumfować nad takim wojskiem. Gdy ostatki światła roztopiły się wśród nocy, hyksoskie ogniska rozkwitły i rozmigotały się na równinie niczym pole gwiazd. Nie było im końca - rozciągały się jak okiem sięgnąć.

Podpłynąwszy bliżej, poczuliśmy ich zapach. Istnieje szczególna woń, jaką wydziela obozująca armia. Stanowi mieszaninę wielu zapachów - ognisk z nawozu i gotowanego pożywienia, słodkiej woni świeżo skoszonego siana i amoniakalnego zapachu koni, smrodu ludzkich odchodów w odsłoniętych jamach, skóry, smoły, końskiego potu, trocin i skwaśniałego piwa. Najsilniejszy zaś jest zapach ludzi, dziesiątków tysięcy ludzi mieszkających blisko siebie w namiotach, chatach i szałasach.

Żeglowaliśmy dalej, a najprzeróżniejsze odgłosy przyływały ku naszemu milczącemu okrętowi nad rozświetloną blaskiem gwiazd wodą: prychanie i rzenie koni, dźwięk kowalskich młotów na kowadłach, wykuwających groty włóczni i klingi mieczy, okrzyki

wartowników oraz głosy śpiewających, kłócących i śmiejących się ludzi.

Stałem obok kapitana na pokładzie czołowego okrętu i podprowadziłem go do wschodniego brzegu. Przypominałem sobie o nabrzeżu handlarzy drewnem poza obrębem murów. Jeżeli wciąż istniało, stanowiło najlepsze miejsce do wyładowania naszego stada.

Wypatrzyłem wejście do doku i wpłynęliśmy do środka na wiosłach. Nabrzeże wyglądało dokładnie tak, jak je pamiętałem. Gdy do niego przybiliśmy, na pokład wszedł zaaferowany kapitan portu, żądając okazania naszych papierów kupieckich.

Rozpłasczyłem się przed nim, kłaniając się i uśmiechając służalczo.

- Panie, zdarzył się okropny wypadek. Wiatr, niewątpliwie za sprawą Setha, wyrwał mi papiery z ręki.

Nadał się jak rozzłoszczona ropucha, ale potem, gdy wcisnąłem mu do tłustej łapy ciężki złoty pierścień, na powrót się uspokoił. Sprawdził zębami jakość metalu i odszedł rozpromieniony.

Posłałem jednego z koniuchów na brzeg, by pogasił oświetlające nabrzeże pochodnie. Nie chciałem, by jakieś ciekawskie oczy ujrzały stan wyprowadzanych na brzeg koni. Niektóre były zbyt słabe, by powstać, inne chwiały się i charczały, śmierdzący śluz ściekał im z pysków i nozdrzy. Zmuszeni byliśmy pozakładać im uzdy i wywabić je z barki na nabrzeże. Ostatecznie pozostało jedynie sto zdolnych do marszu zwierząt.

Wyprowadziliśmy je używanym przez wozy szlakiem na wyższy teren, gdzie zgodnie z doniesieniami szpiegów rozlokowane były główne stada. Szpiedzy dostarczyli nam również hasła pierwszej dywizji hyksoskich rydwanów, a nasi ludzie znający język odpowiadali na zawołania straży.

Przeprowadziliśmy konie przez całą długość nieprzyjacielskiego obozu. W trakcie marszu zaczęliśmy uwalniać chore zwierzęta, pozwalając kilku z nich powędrować w stronę formacji każdej z dwudziestu hyksoskich dywizji rydwanów. Poruszaliśmy się z taką niedbałą naturalnością, że nie wywołaliśmy żadnego alarmu, gawędziliśmy nawet i żartowaliśmy z napotkanymi po drodze koniuchami czy pastuchami wroga.

Gdy pierwsze smugi świtu pojawiły się na wschodniej stronie nieba, powlekliśmy się z powrotem w stronę handlowego nabrzeża, na które wysiedliśmy. Tylko jeden okręt czekał, by nas zabrać, reszta flotylli odbiła i zawróciła na południe, gdy tylko pozbyła się swego ładunku zarażonych koni.

Weszliśmy na pokład ostatniego okrętu. Hui wraz z pozostałymi koniuchami padli wyczerpani na deski, a ja stanąłem przy rufowej poręczy, przyglądając się znikającym w tyle murom moich pięknych Teb, skąpanym w czystym blasku poranka.

Dziesięć dni później wpłynęliśmy do portu w Elefantynie i po złożeniu raportu faraonowi Tamose pospieszyłem do ogrodu wodnego w haremie. Moja pani spoczywała w altanie. Była blada i tak wychudzona, że nie potrafiłem

powstrzymać drżenia rąk, gdy wyciągnąłem się w ukłonie. Lostris zapłakała na mój widok.

- Brakowało mi ciebie, Taito. Tak niewiele czasu nam zostało, by być razem.

Nil począł cofać się do swego starego koryta. Pola wyłoniły się spod wód wylewu, połyskując czernią nowej, grubej warstwy żyznego namułu. Drogi poczęły przesychać, otwierając szlak na północ. Wkrótce nadejść miał czas orki oraz czas wojny.

Aton i ja wyczekiwaliśmy go niecierpliwie, przeglądając każdy raport od donosicieli z północy. W końcu przybyły wieści, na które czekaliśmy i o które się modliliśmy. Przyniosła je szybka feluka, mknąca do nas na skrzydłach północnego wiatru. Weszła do portu podczas trzeciej stróży, lecz posłaniec zastał Atona i mnie nadal pracujących przy świetle lampy w jego komnacie.

Z brudnym skrawkiem papirusu w dłoni pospieszyłem do królewskich apartamentów. Strażnicy mieli rozkaz przepuszczać mnie o każdej godzinie, lecz przy zasłoniętym wejściu do sypialni króla zatrzymała mnie królowa Masara.

- Nie pozwolę ci go teraz zbudzić, Taito. Król jest wyczerpany. To od miesiąca jego pierwsza noc nieprzerwanego snu.

- Wasza Wysokość, muszę się z nim widzieć. Otrzymałem bezpośrednio od niego rozkaz...

Podczas gdy wciąż się kłóciliśmy, tubalny młody głos zawołał do mnie zza zasłony:

- Czy to ty, Tata?

Zasłona została odsunięta i król stanął przed nami w całej krasie swojej nagości. W moim życiu widziałem niewielu podobnych mu mężczyzn. Był szczupły i twardy niczym ostrze błękitnego miecza, okazały w swej męskości, toteż spoglądając na niego, tym bardziej byłem świadom własnego kalectwa.

- O co chodzi, Tata?

- Wieści z północy. Z obozu Hyksosów. Straszliwa zaraza szaleje w ich szeregach. Uległa jej połowa koni, a dalsze tysiące padają jej ofiarą każdego dnia.

- Jesteś czarodziejem, Tata. Jakże mogliśmy szydzić z ciebie i z twoich gnu? - Ścisnął mnie za ramiona i spojrzał mi w oczy.

- Jesteś gotów pojechać ze mną na spotkanie sławy?

- Jestem gotów, faraonie.

- W takim razie zaprzęgnij Głaza i Łańcucha, a potem podnieś nad moim rydwanem błękitny proporzec. Wracamy do domu, do Teb.

Tak więc stanęliśmy wreszcie przed miastem stu bram z czterema dywizjami rydwanów i trzydziestoma tysiącami piechurów. Przed nami rozciągała się armia króla Salitisa, lecz za plecami jej tłumów Palce Horusa przyzywały nas, a mury Teb lśniły perłową poświatą w blasku świtania.

Hyksoska armia niczym gigantyczny pyton ociężałe zajęła pozycję, rozwijając się powoli, kolumna za kolumną, szereg za szeregiem. Groty włóczni migotały, a złote hełmy oficerów płonęły w porannym świetle słońca.

- Gdzie jest Apachan i jego rydwany? - zapytał król, a ja spojrzałem na Palec Horusa stojący najbliżej rzeki.

Musiałem wyteńczyć wzrok, by dostrzec drobne barwne strzępy płótna powiewające ze szczytu wieży.

- Apachan ma pięć dywizji w centrum, a dalsze sześć trzyma w rezerwie. Te ukryte są za murami miasta.

Odczytywałem sygnały, posyłane za pomocą flag przez szpiega, którego umieściłem w najwyższej z trzech wież. Wiedziałem, że będzie miał stamtąd widok z lotu ptaka na pole bitwy.

- To dopiero jedenaście dywizji, Tata - zaniepokoił się król.

- Wiemy, że ma ich dwadzieścia. Gdzie są pozostałe?

- Żółty dusiciel - odpowiedziałem. - Wyprowadził w pole wszystkie konie, jakie trzymają się jeszcze na nogach.

- Na Horusa, mam nadzieję, że się nie mylisz. Mam nadzieję, że Apachan nie planuje dla nas ślicznej małej niespodzianki. - Dotknął mego ramienia. - Kości są w kubku, Tata. Już zbyt późno, by je zmienić. Musimy rozegrać tę partię tym, co oddali nam do dyspozycji bogowie. Wyjeżdż do przeglądu wojsk.

Ująłem lejce i wytoczyłem rydwan przed naszą armię. Król pokazywał się swoim żołnierzom. Jego obecność miała dodać im otuchy i męstwa. Równym kłusem przeprowadziłem konie wzdłuż długich linii. Głaz i Łańcuch były wyszczotkowane tak, że ich sierść lśniła w słońcu wypolerowaną miedzią. Nadwozie królewskiego rydwanu pokryte zostało cienką powłoką złotych płatków. To jedyne ustępstwo, jakie skłonny byłem uczynić w mym dążeniu do lekkości pojazdu.

Złoto wykute było cieniejsze niż arkusz papirusu i dodawało mniej niż sto debenów do ogólnej wagi rydwanu, a jednak czyniło z niego olśniewający widok. Przyjaciół czy wróg, który nań spoglądał, nie mógł mieć wątpliwości, że to rydwan faraona, i nabierał otuchy lub też rażony był strachem w gąszczu bitwy. Na długim, giętkim pręcie z bambusa błękitny proporzec chwiał się i falował na wietrze wysoko nad głowami, a ludzie pozdrawiali nas okrzykami, gdy przejeżdżaliśmy wzdłuż ich szeregów.

W dniu, kiedy opuszczaliśmy Kebui, rozpoczynając Powrót, przysięgłem nie ścinać włosów, dopóki nie złożę ofiary w świątyni Horusa w środku Teb. Teraz włosy sięgały mi do pasa i aby ukryć smugi siwizny, ufarbowałem je henną przywożoną z krain za rzeką Indus. Rudozłota grzywa do perfekcji uwydatniała moją urodę. Miałem na sobie prostą, wybielaną spódniczkę z najbielszego płótna i Złoto Chwały na nagiej piersi. Nie pragnąłem w żaden sposób umniejszać wspaniałości mego młodego faraona, więc nie nałożyłem żadnego makijażu ani ozdób.

Przejechaliśmy przed stłoczonymi pułkami szylluckich włóczników tworzących środek naszej formacji. Ci wspaniali, krwiożerczy poganie stanowili opokę naszego szyku. Mijaliśmy ich, a oni krzyczeli do nas „*Kajan! Tanus! Kajan! Tamose!*”. Gdy unosili włócznie w pozdrowieniu, ich strusie pióra falowały bielą niczym rzeczna piana na kataraktach. Ujrzałem pośród nich księcia Kratasa. Wołał coś do mnie. Jego słowa zginęły w ryku dziesięciu tysięcy głosów, lecz z jego ust odczytałem:

- W Tebach dziś wieczorem urąbimy się do nieprzytomności, ty i ja, stary łobuzie.

Szylukowie ustawieni byli szereg za szeregiem i pułk za pułkiem. Kratas szkolił ich bezustannie w taktyce, jaką pomogłem mu opracować do walki z rydwanami. Oprócz długiej włóczni każdy niósł wiązkę oszczepów oraz wykonaną z drewna i skóry wyrzutnię, pomagającą im miotać je z większą mocą. Przed swymi szeregami zatknęli w ziemię palisadę zaostrzonych drewnianych drągów. By dosięgnąć Szyluków, hyksoskie rydwany musiały przedrzeć się przez tę kolczastą barierę.

Za nimi stali egipscy łucznicy, gotowi ruszyć do przodu przez ich szyki albo ponownie się wycofać, zależnie od tego, jakiej taktyki wymagać będą kaprysy bitwy. Unieśli łuki refleksyjne i pozdrowili faraona:

- Tamose! Egipt i Tamose!

Faraon dźwigał na skroniach błękitną koronę wojenną, złota opaska *ureusa* obejmowała skronie, głowy sępa i kobry dwóch królestw były splecione, klejnoty w ich

oczach błyszcząły. Odwzajemnił salut wzniesionym wysoko nagim ostrzem błękitnego miecza.

Zakręciliśmy na lewej flance. Zanim ruszyliśmy w drogę powrotną, Memnon powstrzymał mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu. Przez krótką chwilę przyglądaliśmy się polu. Hyksosi już ruszyli naprzód. Ich pierwsza linia była dwukrotnie dłuższa od naszej.

- Z twojego własnego traktatu, Tata - zacytował. - „Ostrożna obrona, dopóki przeciwnik nie zaangażuje swoich sił, a następnie gwałtowny i zuchwały atak”.

- Dobrze zapamiętałeś tę lekcję, panie.

- Z pewnością zostaniemy oskrzydleni, a Apachan prawdopodobnie rzuci na początek pierwsze pięć dywizji.

- Zgadzam się z tobą, Mem.

- Lecz my wiemy, co musimy zrobić, nieprawdaż, Tata?

Klepnął mnie po ramieniu i ruszyliśmy z powrotem ku czekającym na tyłach rydwanom.

Rem-rem dowodził pierwszą dywizją, Astes dzierżył drugą, a księżę Aker trzecią. Świeżo awansowany do rangi dowódcy dziesięciu tysięcy kapitan Hui otrzymał komendę nad czwartą. Dwa pułki Szylluków strzegły naszych ładunków i zapasowych koni.

- Spójrz tylko na tego starego ogara - Memnon kiwnął głową w stronę Rem-rema. - Aż rwie się do tego, by spuścić go ze smyczy. Nim minie dzisiejszy dzień, nauczę go nieco cierpliwości.

Usłyszeliśmy rozbrzmiewające w centrum rogi.

- Zaczyna się. - Memnon wskazał przed siebie i zobaczyliśmy majaczące w chmurach pyłu hyksoskie pojazdy.

- Tak, Apachan wypuścił swoje rydwany.

Spojrzał z powrotem na nasze dywizje, a Rem-rem uniósł miecz.

- Pierwsza jest gotowa, Wasza Wysokość - zawołał z zapalem, lecz Memnon nie zwrócił na niego uwagi i dał znak księciu Akerowi.

Trzecia dywizja podjechała do nas kolumną czwórkową, a faraon poprowadził ją w pole.

Hyksoskie rydwany toczyły się naprzód ciężko i majestatycznie, zmierzając w środek naszej linii. Memnon zajechał im drogę z boku, umieścił naszą cienką kolumnę między nimi a piechotą. Następnie na jego sygnał uformowaliśmy szyk czołowy i pomknęliśmy wprost na wroga. Wydawało się to posunięciem samobójczym, równie bezsensownym jak szarża jednym z naszych kruchych drewnianych okrętów na skały katarakty.

Gdy prawie się zwarliśmy, nasi łucznicy posłali strzały, mierząc wprost w hyksoskie konie. W ich linii utworzyły się luki, potem w ostatniej możliwej chwili nasz szyk rozwiął się niczym gnany wiatrem dym. Woźnice wykorzystali lepszą zdolność manewru i większą szybkość naszych rydwanów. Zamiast zderzyć się z hyksoską linią i dać się zgnieść molochowi, skręciliśmy w wyrwy w szyku wroga. Nie wszystkie rydwany zdołały się wymknąć, niektóre

zostały rozbite i wywrócone, lecz księżę Aker przeprowadził na drugą stronę cztery z każdych pięciu.

Wyłoniliśmy się za plecami szarżujących Hyksosów. Zawróciliśmy w miejscu, w galopie na powrót formując linię i, ponownie wykorzystawszy naszą szybkość, dogoniliśmy Hyksosów, zaszliśmy ich od tyłu i zasypali strzałami ze stale zmniejszającego się dystansu.

Hyksoskie rydwany zaprojektowane zostały tak, by chronić załogę od frontu, a ich łucznicy stali na pomostach w taki sposób, by strzelać do przodu. Zamieszanie ogarnęło ich szyk, gdy próbowali stawić czoło naszemu atakowi od tyłu. Ostro naciskani, niektórzy woźnice spróbowali zawrócić i zewrzeć się z naszymi, zderzali się przy tym z sąsiednimi rydwanami. Straszliwe ostrza na kołach wrzynały się w nogi koni i powalały je w rozkwiczone, rżące kłębowisko.

Zamieszanie wybuchło właśnie wtedy, gdy pierwsza seria strzał, posłana przez egipskich łuczników, wzniosła się ponad stłoczonymi szeregami Szylluków i opadła wśród Hyksosów. Gdy tylko to nastąpiło, Memnon wydał rozkaz i skręciliśmy w bok. Hyksosi wpadli na palisadę zaostrzonych pali. Zabójcze piki okaleczyły albo zabiły połowę hyksoskich koni. Te, które się przedarły, powitane zostały przez Szylluków chmarą oszczepów. Rażone palem, strzałą i oszczepem konie wpadały w panikę, wierzgały i stawały dęba w zaprzęgu.

Rydwany, których woźnice nadal mieli nad nimi kontrolę, runęły na szyllucki szyk. Nie napotkały oporu. Czarne

szeregi rozwarły się, pozwalając koniom przejechać, lecz potem się za nimi zamknęły.

Każdy z tych wysokich, giętkich czarnych diabłów był sportowcem i akrobatą. Wskakiwali z tyłu na pomosty rozpędzonych rydwanów, kłując i rąbiąc załogi sztyletem i włócznią. Pierwszą szarżę rydwanów połknęli tak, jak meduza pochłania zwinną, srebrną sardynkę miriadą swych ramion i bezkształtnym ciałem.

Hyksoscy włócznicy posuwali się naprzód w ślad za szarżą rydwanów, by wykorzystać jej sukces, lecz teraz zostali nagle odsłonięci. Luźne konie i ocalałe pojazdy wpadły na powrót w ich zbite szeregi, zmuszając do rozstąpienia się i przepuszczenia uciekinierów. W tej chwili stali opuszczeni i rozproszeni na środku pola, a Memnon wprawnie wykorzystał tę okazję.

Konie księcia Akera były zdyszane, więc faraon odesłał je na tyły. Natychmiast zmieniliśmy zaprzęg. Poluzowanie uprzęży łączącej Głaza i Łańcucha oraz przyprowadzenie świeżej pary trzymanyh w rezerwie koni zajęło koniuchom krótką chwilę. Na tyłach mieliśmy sześć tysięcy gotowych do akcji zwierząt. Zastanawiałem się, ile hyksoskich koni uniknęło dusiciela, iloma świeżymi zaprzęgami oni dysponowali.

Gdy zajechaliśmy z powrotem do formacji, Rem-rem zawołał do nas z rozpaczą w głosie:

- Wasza Wysokość! Pierwsza! Poślij moją pierwszą dywizję!

Faraon nie słuchał go, lecz dał znak Astesowi. Druga podjechała do nas i uformowała się kłusem.

Hyksoska piechota nadal sterczała w zamieszaniu na środku pola. Rozciągnęła linie, by ogarnąć naszą krótszą formację, ale nie zdołała utrzymać szyku. Generalskim okiem Memnon dojrzał najsłabszy punkt – wybrzuszenie na lewej flance.

- Druga dywizja do ataku. Kłusem naprzód! Grupami po osiem, do szarży!

Wbiliśmy się w wybrzuszenie, po osiem rydwanów w szeregu. Uderzyliśmy grupa za grupą i przerywaliśmy ich szeregi. Lewa flanka wroga ugięła się, prawa natomiast nadal parła naprzód. Sprawiliśmy, że Hyksosi stanęli ukosem na polu, ich centrum szło w rozsypkę, a Memnon w galopie przegrupował trzecią dywizję i posłał ją, by rozbiła środek nieprzyjacielskiej formacji.

W chwili gdy mieliśmy rzucić się do szarży, spojrzałem w stronę miasta. Kurz prawie kompletnie przesłaniał widok, lecz udało mi się przelotnie dostrzec dwie białe flagi na szczycie Palca Horusa. Był to sygnał ostrzegawczy od mojego obserwatora, którego tam umieściłem, okręciłem się więc i spojrzałem na wschodni fort miejski.

- Panie! - krzyknąłem i wskazałem w tył.

Król podążył wzrokiem wzdłuż mego ramienia i ujrzał pierwszy oddział hyksoskich rydwanów wyjeżdżający kłusem z ukrycia za załamaniem muru. Za nim podążyły następne niczym maszerująca kolumna wojowniczych czarnych mrówek.

- Apachan posyła do walki swe odwody, by uratować piechotę - zawołał Memnon, przekrzykując zgiełk boju. - Jeszcze chwila i zaszedłby nas z flanki. Dobra robota, Tata.

Musieliśmy pozwolić piechocie uciec, ponieważ ustawialiśmy się w szeregu, by oprzeć się rydwanom Apachana. Szarżowaliśmy przez pole usiane rozbitymi i wywróconymi rydwanami, bezpańskimi strzałami i oszczepami, martwymi i rannymi końmi oraz konającymi ludźmi. Kiedy podjechaliśmy bliżej, wyprostowałem się na pomoście i zerknąłem przed siebie. W pędzie wrogich rydwanów było coś niezwykłego i nagle doznałem olśnienia.

- Panie! - krzyknąłem. - Spójrz na konie! Zaprzęgnęli chore zwierzęta!

Piersi koni w czołowych zaprzęgach pokryte były błyszczącą warstwą żółtego śluzu, spływającego z rozwartych pysków. Na moich oczach biegnący koń zachwiał się i zwałił na ziemię, pociągając za sobą swego towarzysza.

- Słodka Izydo, masz słusność. Są wykończone, zanim jeszcze na dobre zaczęły - odparł Memnon.

W mgnieniu oka dostrzegł, co należało uczynić. Miarą jego doskonałego panowania nad swą armią było to, że potrafił zatrzymać szarżę rozpędzonych rydwanów. W tej ostatniej chwili zrezygnował z czołowego zwarcia.

Otworzyliśmy się przed ich naporem jak kwiat. Rozstąpiliśmy się na boki, zawróciliśmy pędem ku naszym liniom, wiodąc wroga za sobą, zmuszając chore i ciężko dyszące zwierzęta do najwyższego wysiłku.

Jechaliśmy w ciasnym, zwartym szyku. Hyksoska linia zaczęła się chwiać i rozsypywać, gdyż słabsze konie ustawały. Niektóre padały jak rażone w łeb strzałą. Inne po prostu zwalniały i zatrzymywały się ze zwieszonymi łbami, a śluz wypływał z pysków lśnącymi, złotymi sznurami.

Konie księcia Akera również były prawie całkowicie wyczerpane. Bez odpoczynku przeprowadziły już dwie zaciekle szarże. Cały czas ścigany przez szczątki dywizji Apachana, Memnon zaprowadził je tam, gdzie czwarta dywizja Huiego ustawiona została obok Rem-rema i jego pierwszej.

- Faraonie! Pierwsza jest gotowa. Pozwól mi uderzyć! W imię wszystkich bogów, pozwól mi uderzyć! - ryknął zdenerwowany Rem-rem.

Memnon ledwie spojrzał w jego stronę. Zawróciłem rydwan, by ustawić go równolegle do pojazdu Huiego. Zespół koniuchów wyprowadził spienione konie z uprzęży i zastąpił je nowymi. Kiedy zmęczona dywizja księcia Akera przepłynęła obok nas, ujrzeliśmy przed sobą nadciągających Hyksosów.

- Jesteś gotów, Hui? - zawołał Memnon, a Hui uniósł w salucie swój łuk.

- Za Egipt i Tamose! - krzyknął.

- W takim razie naprzód marsz. Do szarży! - Memnon wybuchnął śmiechem, nasze konie szarpnęły się w uprzęży i wystrzeliliśmy do przodu.

Sześć pełnych dywizji rydwanów Apachana rozproszonych było na polu przed nami. Połowa z nich

została rozbita, konie padły albo stały bez siły w zaprzęgach, dusiły się i zdychały na żółtego dusiciela. Większość pozostałych wozów wroga musiała przejść w kłus, dysponując charczącymi i potykającymi się zwierzętami. Pozostałe rydwany wszakże nadciągały w równym szyku.

Wyjechaliśmy im na spotkanie, by stoczyć kolejną potyczkę. Ich szarżę prowadził wysoki rydwan o burtach obitych lśniącym brązem. Na pomoście stał mężczyzna tak wysoki, że górował nad swoim woźnicą. Jego głowę okrywał wysoki, złoty hełm hyksoskiej rodziny królewskiej, ciemna broda zapleciona była kolorowymi wstążkami, trzepoczącymi na wietrze niczym piękne motyle unoszące się nad kwitnącym krzewem.

- Apachan! - rzucił mu wyzwanie Memnon. - Jesteś martwy!

Apachan usłyszał go i dostrzegł nasz złoty rydwan. Skręcił nam na spotkanie, a Memnon klepnął mnie w ramię.

- Ustaw nas równolegle do tego brodatego wieprza. Nadszedł wreszcie czas, by użyć miecza.

Gdy się zbliżaliśmy, Apachan wypuścił w naszą stronę dwie strzały. Memnon przechwycił jedną na tarczę, ja uchyliłem się przed drugą, ani na chwilę nie rozprasząc swojej uwagi. Obserwowałem te straszliwe, wirujące ostrza na piastach kół Apachana. Mogły przeciąć nogi moim koniom.

Za plecami usłyszałem szorstki zgrzyt. To Memnon wyciągał błękitny miecz z pochwy w uchwycie na burcie.

Kątem oka ujrzałem stalowy blask ostrza, gdy stawał w pozycji obronnej.

Ściągnąłem w bok końskie łby, udając skręt w prawo, by zmylić hyksoskiego woźnicę, lecz kiedy tylko zaczęliśmy zawracać, ponownie zmieniłem kierunek. Uniknąłem ostrzy i przejechałem blisko tamtego rydwanu, a potem wykonałem ciasny zakręt. Wolną ręką chwyciłem bosak i przerzuciłem go przez burtę wrogiego pojazdu. Teraz byliśmy złączeni, ale ja osiągnąłem przewagę, jako że zająłem pozycję z tyłu.

Apachan obrócił się w miejscu i ciął we mnie mieczem, lecz opadłem na kolana, uskakując przed ciosem, a Memnon przyjął go na tarczę, potem zaś zawiął błękitnym ostrzem. Skrawek metalu odłupał się z klingi brązowej broni Apachana, ścięty stałą, Hyksos wściekle krzyknął z niedowierzaniem i zasłonił się miedzianą tarczą przed kolejnym uderzeniem.

Apachan był doskonałym szermierzem, ale nie potrafił sprostać memu królowi i błękitnej klindze. Memnon pociął na pasy jego tarczę, potem zaś uderzył potężnie w brązowy miecz, gdy Apachan spróbował osłonić głowę przed ciosem. Błękitne ostrze czysto przecięło brąz i w dłoni Hyksosa pozostała jedynie rękojeść.

Rozwarł szeroko usta i wrzasnął. Zęby trzonowe miał czarne i zepsute, jego ślina chmurą uderzyła mnie w twarz. Memnon użył klasycznego prostego pchnięcia, by to skończyć. Wraził ostrze błękitnej klingi w otwarte usta Apachana, zagłębiając je w tylną ścianę gardła. Wściekły

ryk stłumiony został strumieniem jasnej krwi buchającej spomiędzy warg.

Przeciąłem przymocowany do bosaka sznur, co pozwoliło hyksoskiemu rydwanowi oddalić się swobodnie. Konie nie reagowały na komendy woźnicy, skręciły i pognały wzdłuż linii szepionych ze sobą i walczących rydwanów. Apachan uchwycił się rękoma burty. Stał prosto, choć już konał, a krew bryzgała mu z ust i spływała kaskadą po napierśniku.

Widok ten napełnił serca jego wojowników trwogą. Hyksosi podjęli próbę wyprowadzenia z walki chorych i potykających się koni, lecz jechaliśmy za nimi piasta w piastę, ciskając oszczepami. Odprowadziliśmy ich tak daleko, dopóki nie znaleźliśmy się w zasięgu nieprzyjacielskich łuczników, bo wtedy strzały zaczęły padać gęsto, co zmusiło nas do odwrotu.

- To jeszcze nie koniec - ostrzegłem Memnona, gdy powolnym krokiem wiedliśmy zmęczone konie ku naszym szeregom. - Zgniotłeś rydwan Apachana, lecz musisz jeszcze poradzić sobie z piechotą Beona.

- Zawieź mnie do Kratasa - rozkazał faraon.

Zatrzymałem rydwan przed ciasno stłoczonymi pułkami Szylluków, a Memnon zakrzyknął w stronę Kratasa:

- Jakie nastroje, mój książę?

- Obawiam się, panie, że moi chłopcy wkrótce zasną, o ile nie znajdziesz dla nas jakiejś pracy.

- Wobec tego niechaj usłyszę waszą pieśń, gdy poprowadzisz ich do roboty.

Szylukowie rozpoczęli natarcie. Maszerowali dziwnym, posuwistym chodem, co trzeci krok tupali jak jeden mąż z taką mocą, że ziemia drżała pod ich zrogowaciałymi, nagimi stopami. Śpiewali niskimi, melodyjnymi afrykańskimi głosami. Ich chór przypominał dźwięk roju rozwścieczonych czarnych pszczół. Walili włóczniami w tarcze z surowej skóry.

Hyksosi byli zdyscyplinowani i dzielni, w przeciwnym razie nie podbiliby połowy świata. Zniszczyliśmy im rydwany, a jednak stali, gotowi przyjąć uderzenie Kratasa murem tarcz z brązu.

Oba wojska zwały się niczym walczące świątynne byki. Czarne i białe samce szczepiły się rogami i walczyły pierś w pierś, włócznia o włócznię.

Pieszne armie ścierały się, a faraon trzymał rydwany w rezerwie, używając ich wprawnie i śmiało jedynie wtedy, gdy w nieprzyjacielskim szyku pojawiała się szczelina lub słabe miejsce. Kiedy grupa hyksoskich piechurów odizolowana została na lewym skrzydle, posłał do boju dywizję Akera i zniszczył wroga dwiema szybkimi szarżami. Książę Beon spróbował pchnąć posiłki, by wesprzeć swą oblężoną pierwszą linię, a faraon wysłał Astesa z pięcioma setkami rydwanów, by pokrzyżować jego zamiary.

Hyksosi zgromadzili wszystkie ocalałe pojazdy oraz wszystkie konie, które trzymały się jeszcze na nogach, i rzucili je przeciw naszemu prawemu skrzydłu. Memnon posłał im na spotkanie Huiego i Astesa z rozkazem rozbicia

ich szarzy. Zlekceważył przekleństwa, błagania i głośne tupanie stojącego przy rydwanie Rem-rema.

Faraon i ja zataczaliśmy koła wokół walczących w złotym rydwanie, obserwując każde wahnięcie i zmianę w przebiegu starcia. Memnon posyłał odwody dokładnie w te miejsca, gdzie były najbardziej potrzebne, wykazując wycucie właściwej chwili i umiejętność przewidywania, jakich nie można przekazać ani się nauczyć. Puls i tempo bitwy tętniły w jego sercu, on zaś wyczuwał je we krwi.

Cały czas wypatrywałem w gęstwie Kratasa. Wielokrotnie traciłem go z oczu i obawiałem się, że padł, lecz potem jego hełm ukazywał się ponownie, choć pióropusz ze strusich piór został ścięty u nasady, a brąz pochłapany był krwią jego i innych ludzi.

Właśnie w środku, tam gdzie walczył Kratas, hyksoskie szeregi poczęły się chwiać. Przypominało to pierwsze strumyki sączące się przez ziemny nasyp tamy, formacja wygięła się i rozciągnęła do granic wytrzymałości. Tylne szeregi zaczęły się cofać i mieszać pod nieubłaganym naporem.

- Na miłość Horusa i miłosierdzie wszystkich bogów, Tata, oto chwila naszego zwycięstwa! - Memnon dostrzegł to jeszcze szybciej ode mnie.

Pogalopowaliśmy do miejsca, w którym wciąż czekał Rem-rem.

- Jesteś gotów, mój księżę Rem-remie? - zawołał faraon.

- Jestem gotów od świtania, panie, ale żaden ze mnie księżę.

- Czy zamierzasz kłócić się ze swoim królem, panie? Teraz jesteś księciem. Nieprzyjacielskie centrum się rwie. Poprowadź swoje rydwany i pognaj ich z powrotem do Memfis.

- Obyś żył wiecznie, faraonie! - ryknął książę Rem-rem i wskoczył do rydwanu.

Poprowadził pierwszą w pole. Jej konie były świeże i silne, a duch bojowy rozpalony i podsycany gniewem wywołanym tak długim czekaniem.

Uderzyli na prawą flankę Hyksosów. Przeszli przez nią ledwie zwalniając, a potem zawrócili i wpadli od tyłu w środek nieprzyjacielskiej formacji. Dokładnie w tym momencie równowaga bitwy została zachwiana. Środek hyksoskiej linii się przerwał. W czasie krótszym niż ten, jakiego trzeba na nabranie i zatrzymanie długiego oddechu, Hyksosi rzucili się do ucieczki.

Runęli strumieniami w stronę bram miejskich, lecz nawet Szyllukowie Kratasa byli zanadto zmęczeni, by ich ścigać. Stali po kolana w stosach trupów i konających, wsparci na włóczniach, i pozwolili Hyksosom umknąć. Wtedy geniusz Memnona stał się widoczny w całej okazałości. Trzymał pierwszą dywizję w gotowości, oczekując na tę chwilę. Rydwany podjęły pościg i ujrzałem miecz Rem-rema wznoszący się i opadający w straszliwym rytmie, gdy książę gnał przed sobą wroga.

Pierwsi uciekający dotarli do bram miasta, lecz zatrzaśnięto im je przed nosem. Moi szpiedzy i agenci dobrze wywiązali się ze swego zadania. Ludność Teb

wszczęła rewoltę, więc miasto było nasze. Bramy zostały zaryglowane przed rozbitymi hyksoskimi oddziałami.

Rem-rem ścigał Hyksosów do nastania nocy, kiedy to jego konie opadły z sił. Odepchnął ich o dzień marszu, a każda piędź północnego traktu usiana była porzuconą bronią i ciałami zabitych.

Podprowadziłem złoty rydwan faraona do głównej bramy miasta, Memnon zaś stanął wyprostowany na pomoście i zawołał w stronę strażników na blankach wysoko nad nami:

- Otworzyć bramy! Przepuścić mnie!
- Kto domaga się prawa wjazdu do Teb? - odkrzyknęli.
- Jestem Tamose, władca dwóch królestw.
- Niech żyje faraon! Oby żył wiecznie!

Bramy rozwarły się z rozmachem, a Memnon dotknął mego ramienia.

- Wjedź do środka, Tata.
- Wybacz mi, Wasza Wysokość - odwróciłem się do niego.
- Złożyłem przysięgę, że nie wejdę do miasta inaczej, jak tylko przy boku mojej pani, królowej Lostris. Muszę przekazać ci lejce.

- Zsiadaj - rozkazał mi cicho. - Ruszaj! Sprowadź swą panią i wypełnij swoją przysięgę.

Przejął wodze, a ja zszedłem na zakurzoną drogę. Odprowadziłem go wzrokiem, gdy wiódł złoty rydwan przez bramę, a ryk entuzjazmu przypominał grzmot wzburzonej wody w kataraktach w czasie przyboru. Lud Teb witał swego króla.

Stałem na poboczu, a nasza przerzedzona i poobijana armia podążała za faraonem do miasta. Ujrzałem, jak wysoką cenę zapłaciliśmy za zwycięstwo. Nie będziemy zdolni do pościgu za Hyksosami, dopóki nie odbudujemy wojska. Do tego czasu król Salitis na nowo urośnie w siłę, a jego konie otrząsną się ze skutków żółtego dusiciela. Wygraliśmy pierwszą bitwę, ale wiedziałem, że czeka nas ich znacznie więcej, zanim tyran zostanie wypędzony z Egiptu.

Gdy maszerowały obok mnie pułki Szylluków, wypatrywałem Kratasa, lecz nie było go wśród nich.

Hui przygotował dla mnie rydwan i świeże konie.

- Pojadę z tobą, Taito - zaoferował się, lecz ja potrząsnąłem głową.

- W pojedynkę będę podróżował szybciej - odparłem. - Idź do miasta i świętuj swoje zwycięstwo. Tysiąc pięknych dziewcząt czeka, by powitać cię w domu.

Zanim wjechałem na drogę na południe, skierowałem się na pobojuwisko. Szakale i hieny zasiadły już do uczyty, jaką im zgotowaliśmy, ich warknięcia i skowyty mieszały się z jękami konających. Trupy leżały stosami niczym śmieci pozostawione na brzegu rzeki przez opadające wody wylewu.

Podprowadziłem rydwan do miejsca, w którym ostatni raz widziałem Kratasa, lecz był to najkrwawszy fragment tego potwornego pola. Zwały trupów sięgały powyżej kół. Dostrzegłem jego hełm, leżący w kurzu urobionym krwią w gęste błoto. Wysiadłem i podniosłem go. Brakowało na

nim pióropusza, hełm był poobijany i powyginany potężnymi uderzeniami.

Odrzuciłem go na bok i zacząłem szukać ciała. Dostrzegłem jego nogę, sterczącą spod stosu trupów niczym konar gigantycznej akacji. Szyllukowie i Hyksosi leżeli obok siebie, połączeni po śmierci ostatecznym pokojem. Odciągnąłem ich na bok i znalazłem Kratasa spoczywającego na plecach. Pokryty był czarną, zakrzepłą krwią, jego włosy były matowe od niej, twarz przypominała ciemną, zaskorupiałą maskę.

Przykląknęłam przy nim i wyszeptałam cicho:

- Czy wszyscy muszą umierać? Wszyscy, których prawdziwie kocham, czy muszą umierać? - pochyliłam się i pocałowałam okrwawione wargi.

Kratas usiadł i spojrzał na mnie. Potem wykrzywił się swoim szerokim, chłopięcym uśmiechem.

- Na korek z zeschniętego gluta w lewym nozdrzu Setha, to była prawdziwa walka! - powitał mnie.

- Kratas! - wlepiłam w niego rozradowany wzrok. - Ty naprawdę będziesz żyć wiecznie.

- Ani przez chwilę w to nie wątp, chłopcze. Ale w tej chwili potrzeba mi kwaterki.

Pobiegłam do rydwanu i przyniosłam manierkę z winem. Chwycił ją i wlał sobie czerwone wino w gardło bez przełykania. Kiedy naczynie było puste, odrzucił je i beknął.

- Na początek wystarczy - mrugnął do mnie. - Teraz wskaż mi drogę do najbliższej tawerny, stary rozpustniku.

Szybciej niż jakikolwiek okręt mógłby pożeglować pod prąd, wiozłem wieści do Elefantyny. Byłem sam w rydwanie, a konie biegły lekko. Zmieniałem zaprzęgi na każdej stacji koni rozstawnych wzdłuż południowego szlaku i nie zatrzymując się galopowałem dalej. Koniuchowie podawali mi manierkę albo kawałek pszennego chleba i sera w trakcie wymiany koni, ja zaś wcale nie spałem ani nie odpoczywałem.

Nocą gwiazdy i księżyc odślaniały drogę przed rydwanem, a Horus kierował mymi znużonymi, zaciśniętymi na lejcach dłońmi, bo mimo bólu we wszystkich kończynach i zmęczenia sprawiającego, że chwiałem się na pomoście, nie przytrafiło mi się żadne nieszczęście.

Na każdej stacji i w każdej przydrożnej wiosce wykrzykiwałem radosną nowinę:

- Zwycięstwo! Wspaniałe zwycięstwo! Faraon odniósł triumf pod Tebami. Hyksosi pokonani!

- Chwała bogom! - wiwatowali ludzie. - Egipt i Tamose!

Galopowałem dalej. W osadach przy południowym szlaku wciąż mówi się o mojej jeździe. Ludzie opowiadają o wychudzonym jeźdźcu o dzikich, nabiegłych krwią oczach, długich falujących na wietrze włosach, odzianym w szaty pokryte grubą warstwą kurzu i splamione zeschniętą posoką, zwiastunie zwycięstwa, wiozącym do Elefantyny wieści o bitwie, która wprowadziła Egipt na drogę ku wolności.

Przejechałem z Teb do Elefantyny w dwa dni i dwie noce, a gdy dotarłem do pałacu, zostało mi zaledwie tyle sił, by

dowlec się do ogrodu wodnego, gdzie leżała moja pani, i rzucić się na ziemię przy jej łożu.

- Pani - wycharczałem przez zaschnięte wargi i wysuszone kurzem gardło. - Faraon odniósł wielkie zwycięstwo. Przyjechałem zabrać cię do domu.

Popłynęliśmy w dół rzeki do Teb. Księżniczki wraz ze mną dotrzymywały towarzystwa swej matce i starały się ją pocieszyć. Rymowały, układały zagadki i śmiały się, lecz w tej wesołości pobrzmiwała smutna nuta, a gdy doglądały mojej pani, w ich oczach widniała głęboka troska.

Królowa Lostris stała się delikatna jak zraniony ptak. Kości zrobiły się lekkie, ciało zaś nabrało przezroczystości masy perłowej. Mogłem dźwignąć ją i nosić z równą łatwością jak wówczas, gdy miała dziesięć lat. Pył nasennego kwiatu nie był już w stanie uciszyć bólu wgryzającego się w jej brzuch niczym krab o strasznych kleszczach.

Gdy wreszcie przed naszymi oczyma zza ostatniego zakrętu rzeki wyłoniły się mury Teb, zaniósłem ją na dziób łodzi, podtrzymywałem ramieniem owiniętym wokół wychudłych barków i oboje rozkoszowaliśmy się wszystkimi widokami pamiętanymi z dawnych czasów, ponownie przeżywając tysiąc radosnych wspomnień z naszej młodości.

Lecz ten wysiłek ją zmęczył. Przybiliśmy do nabrzeża poniżej pałacu Memnona, gdzie połowa ludności Teb czekała, by ją powitać. Faraon Tamose stał na czele tego wielkiego tłumu.

Tragarze znieśli Lostris na brzeg, rozległy się wiwaty. Chociaż większość mieszkańców Teb nigdy nie widziała jej na oczy, legenda o pełnej współczucia królowej przetrwała długą tułaczkę. Matki unosiły niemowlęta, prosząc o błogosławieństwo, ludzie starali się dotknąć zwisającej z krawędzi lektyki dłoni.

- Módl się za nas do Hapi - błagali. - Módl się za nas, Matko Egiptu.

Faraon Tamose kroczył przy lektyce niczym syn prostaka, Tehuti i Bekatha podążały tuż za nim. Obie księżniczki uśmiechały się promiennie, choć klejnoty łez ozdabiały ich powieki.

Aton przygotował apartamenty dla królowej. Przy drzwiach odprawiłem wszystkich, nawet króla. Złożyłem ją na łóżku w porośniętej winoroślą altanie na tarasie. Z tego miejsca spoglądać mogła przez rzekę na lśniące mury umiłowanych Teb.

Po zapadnięciu zmroku zaniósłem ją do sypialni. Spoczęła w lnianej pościeli, po czym podniosła na mnie wzrok.

- Taito - powiedziała półgłosem - zajrzysz dla mnie ten ostatni raz w Labirynty Amona-Re?

- Pani, nie mogę ci niczego odmówić. - Schyliłem głowę i poszedłem po skrzynkę lekarską.

Usiadłem ze skrzyżowanymi nogami na kamiennych płytach przy jej łóżku, ona zaś przyglądała się, jak przygotowuję zioła. Skruszyłem je tłuczkiem w alabastrowym moździerzku i podgrzałem wodę w miedzianym kociołku.

Wzniosłem w jej stronę parujący puchar.

- Dziękuję ci - wyszeptała, a ja wypilem wywar.

Zamknąłem oczy, czekając na znajome, choć straszne ześlizgnięcie się z krawędzi rzeczywistości w świat snów i wizji.

Gdy powróciłem, lampy pełgały i kopciły w obejmach, w pałacu panowała cisza. Żaden dźwięk nie dobiegał z rzeki ani ze śpiącego miasta na drugim brzegu. Słyszałem tylko słodkie trele słowika w ogrodach i płytki oddech mojej pani, spoczywającej na jedwabnej poduszce.

Myślałem, że śpi. Lecz gdy tylko uniosłem drżącą dłoń, by otrzeć zimny, obrzydliwy pot z twarzy, otworzyła oczy.

- Biedny Taita, było aż tak źle?

Było gorzej niż kiedykolwiek. Głowa mnie bolała, świat falował przed oczyma. Wiedziałem, że nigdy więcej nie skorzystam z Labiryntów. Był to ostatni raz, a zrobiłem to wyłącznie dla niej.

- Widziałem sępa i kobrę, stojące na przeciwległych brzegach rzeki. Ujrzałem, jak wody unoszą się i opadają sto razy. Ujrzałem sto kłosów pszenicy, sto ptaków przeleciało ponad rzeką. W dole widziałem bitewny pył i lśnienie mieczy. Widziałem dym płonących miast mieszający się z kurzem.

W końcu ujrzałem kobrę i sępa złączone w miłosnym uścisku. Widziałem, jak parzą się i splatają ze sobą na prześcieradle z czystego jedwabiu. Na miejskich murach widniały błękitne chorągwie, błękitne sztandary powiewały na świątynnych pylonach.

Ujrzałem błękitne proporce na rydwanach przetaczających się przez świat. Widziałem pomniki tak wysokie i potężne, że stać będą przez dziesięć tysięcy lat. Ujrzałem ludy pięćdziesięciu różnych krain zgięte przed nimi w pokłonie.

Westchnąłem i przycisnąłem palce do skroni, by uciszyć pulsujący pod czaszką ból, a potem dodałem:

- To cała moja wizja.

Żadne z nas nie odzywało się ani nie poruszało przez długą chwilę. W końcu moja pani powiedziała cicho:

- Sto lat musi minąć, zanim dwa królestwa zostaną zjednoczone, sto lat wojny i zmagania, zanim Hyksosi zostaną ostatecznie wyparci ze świętej ziemi naszego Egiptu. Wielkie i gorzkie będą cierpienia mego ludu.

- Lecz zjednoczy się pod błękitnym sztandarem, a królowie z twego rodu podbiją świat. Wszystkie ludy świata składać im będą hołd - objaśniłem za nią resztę mojej wizji.

- To mnie zadowala - westchnęła i zapadła w sen.

Ja nie spałem, bo wiedziałem, że będzie potrzebować mej bliskości.

Zbudziła się ponownie o tej godzinie przed świtem, która jest najmroczniejsza z całej nocy.

- Ten ból! Słodka Izydo, ten ból! - krzyknęła.

Przyrządziłem dla niej czerwony shepenn. Po chwili powiedziała:

- Ból minął, ale jest mi zimno. Przytul mnie, Taito, ogrzej mnie swoim ciałem.

Wziąłem ją w ramiona i przycisnąłem do piersi, a ona zasnęła.

Zbudziła się raz jeszcze, gdy pierwsze nieśmiałe promienie świtu zakradły się przez wejście z tarasu.

- W całym życiu kochałam jedynie dwóch mężczyzn - wyszeptala - a ty byłeś jednym z nich. Może w następnym życiu bogowie potraktują naszą miłość z większą przychylnością.

Nie znalazłem odpowiedzi na te słowa. Ostatni raz zamknęła oczy. Wymknęła się cicho. Opuściła mnie. Ostatni oddech nie był głośniejszy od poprzedniego, lecz gdy ją pocałowałem, poczułem chłód warg.

- Żegnaj, moja pani - szepnąłem. - Żegnaj, moje serce.

Te zwoje spisałem podczas siedemdziesięciu dni i nocy, kiedy trwało balsamowanie królowej. Są moim ostatnim hołdem złożonym mojej pani.

Zanim balsamiarze zabrali ją ode mnie, wzdłuż jej lewego boku wykonałem takie samo cięcie jak kiedyś wzdłuż boku Tanusa. Otworzyłem jej łono i wyjąłem z niego ten twór, który ją zabił. Ta rzecz składała się z ciała i krwi, ale nie było w niej nic ludzkiego. Cisnąłem ją do ognia, w ten sposób uzdrowiłem moją panią i wydarłem ją obrzydliwemu bogowi Sethowi, który w tej rzeczy zamieszkał.

Przygotowałem na te zwoje dziesięć alabastrowych naczyń. Zostaną tutaj, razem z moją panią. Sam tworzę malowidła na wszystkich ścianach jej grobowca. Są najpiękniejszym dziełem, jakie kiedykolwiek stworzyłem.

Każde pociągnięcie pędzlem jest wyrazem mojej dla niej miłości...

Chciałbym spocząć z nią w tym grobowcu. Jestem chory i pogrążony w smutku. Ale mam jeszcze moje dwie księżniczki i króla i muszę otaczać ich opieką.

Jestem im potrzebny.

Od autora

Piątego stycznia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku doktor Duraid ibn al Simna z egipskiego Ministerstwa Starożytności otworzył i spenetrował grobowiec znajdujący się na zachodnim brzegu Nilu, w Dolinie Dostojników. Grobowiec ten nie był uprzednio zbadany, ponieważ w dziewiątym wieku wzniesiono nad nim islamski meczet. Dopiero po długich, prowadzonych z niezwykłą subtelnością negocjacjach z islamskimi władzami religijnymi uzyskano zgodę na prowadzenie wykopalisk.

Gdy tylko doktor al Simna wszedł do korytarza prowadzącego do komory grobowej, przywitała go wspaniała kolekcja fresków, które pokrywały wszystkie ściany i stropy. Były to malowidła wykonane z największą dbałością o szczegóły, a także najlepiej zachowane spośród tych, na które natrafił w czasie całego swego życia poświęconego badaniu zabytków.

Powiedział mi, że zorientował się od razu, iż jego znalezisko ma dużą wartość, ponieważ wśród

umieszczonych na ścianach hieroglifów wyróżniał się nieznany dotąd monarszy kartusz egipskiej królowej.

Nadzieje i oczekiwania doktora al Simna rosły w miarę zbliżania się do komory grobowej, ale wkrótce się rozwiały, gdyż stwierdził, że pieczęcie na wrotach zostały uszkodzone, a drzwi sforsowane. Grobowiec musiał być obrabowany jeszcze w starożytności, wtedy też wykradziono z niego sarkofag i pozostałe znajdujące się w nim skarby.

Mimo to doktor al Simna zdołał ustalić, że grobowiec z całą pewnością powstał w czasie trwania owej mrocznej nocy walk i nieszczęść, jaka zapadła nad Egiptem około tysiąc siedemset osiemdziesiątego roku przed naszą erą. Przez następne stulecie w Dwóch Królestwach zachodziły gwałtowne zmiany. Dysponujemy nielicznymi zapiskami dotyczącymi tego, co się tam wówczas wydarzyło, lecz wiemy, że w końcu z tego chaosu wyłoniła się linia książąt i faraonów, która definitywnie przegnała hyksoskiego najeźdźcę i wprowadziła Egipt w epokę jego największej chwały. Wielką radość sprawia mi myśl, że w ich żyłach znalazła się spora domieszka krwi Lostris, Tanusa i Memnona.

Prawie rok po otwarciu grobowca, gdy asystenci doktora al Simny kopiowali i fotografowali ściennie malowidła, odpadł fragment gipsowej płyty, odsłaniając niszę, w której stało dziesięć zapieczętowanych waz z alabastru.

Kiedy doktor al Simna poprosił mnie o pomoc w transkrybowaniu ukrytych w wazach zwojów, był to dla

mnie tyleż zaszczyt, co powód do obaw. Oczywiście nie posiadam kwalifikacji koniecznych do skopiowania oryginalnych zwojów zapisanych pismem hieratycznym. Te prace wykonał w kairskim muzeum międzynarodowy zespół egiptologów.

Doktor al Simna zaproponował mi sporządzenie kopii oryginału napisanej w stylu, który uczyniłby całość bardziej przystępną dla współczesnego czytelnika.

Gdy tylko rozpocząłem swoją pracę, przestałem mieć jakiegokolwiek do niej zastrzeżenia, bo całkowicie zauroczył mnie charakter starożytnego autora i czasy, w których żył. Mimo jego napuszonego stylu i mimo chępliwości poczułem sympatię dla niewolnika Taity i stwierdziłem, że łączy mnie z nim sięgająca tysiąc lat w przeszłość duchowa więź.

Pozostaje mi tylko świadomość, że przez cały ten czas niewiele zmieniły się ludzkie uczucia i aspiracje, oraz spowodowane tęsknotą podniecenie na myśl o tym, że do dziś gdzieś w górach Abisynii, w pobliżu źródeł Błękitnego Nilu w nienaruszonym grobowcu spoczywa nadal mumia Tanusa.

Od wydawcy

Odkrycia grobowca królowej Lostris w 1988 roku nie było. W każdym razie milczy o nim archeologia. Sama królowa, podobnie jak pozostałe postacie w tej powieści to bohaterowie fikcyjni.

Wilbur Smith napisał barwny romans historyczny o wartkiej akcji, utrzymany w konwencji znalezionego rękopisu. Taki cel sobie postawił i jemu podporządkował prawdę historyczną.

Nie ingerując w tekst autorski, staraliśmy się w miarę możliwości używać w przekładzie nazewnictwa stosowanego we współczesnej archeologii oraz przyjąć pisownię nazw własnych ustaloną przez współczesną polską egiptologię, by uniknąć rażących przekłamań w kreowanym obrazie świata faraonów.